SHANTARAM *powrócił. Na szczęście.*
*Proszę do mnie nie dzwonić przez kilka dni,*
*a zwłaszcza w nocy.*

MARCIN MELLER

# CIEŃ GÓRY

GREGORY DAVID ROBERTS

KONTYNUACJA BESTSELLERA

SHANTARAM

SHANTARAM *powrócił. Na szczęście.*
*Proszę do mnie nie dzwonić przez kilka dni,*
*a zwłaszcza w nocy.*

MARCIN MELLER

# CIEŃ GÓRY

GREGORY DAVID ROBERTS

KONTYNUACJA BESTSELLERA

SHANTARAM

# CIEŃ GÓRY

GREGORY DAVID ROBERTS

PRZEŁOŻYŁA MACIEJKA MAZAN

MARGINESY

*Dla Bogini*

I

# 1

Świetlistość, źródło wszystkiego, przybiera więcej postaci, niż jest gwiazd na niebie – to pewne. By się rozjarzyć, wystarczy jej jedna dobra myśl. Ale jeden błąd może spalić w twoim sercu cały las, ukryć wszystkie gwiazdy na wszystkich niebach. I dopóki jego ogień płonie, dopóty zdradzona miłość czy utracona wiara może ci podsunąć myśl, że już po tobie, że nie możesz żyć dalej. Ale to nieprawda. To nigdy nie jest prawda. Bez względu na to, co robisz, bez względu na to, gdzie się zgubiłeś, ta świetlistość nigdy cię nie opuszcza. A dobro, które w tobie umiera, może się odrodzić, jeśli bardzo tego chcesz. Serce nie potrafi się poddać, bo nie potrafi kłamać. Odrywasz wzrok od przeczytanej strony, napotykasz uśmiech kogoś zupełnie obcego, i poszukiwanie zaczyna się od nowa. Nie jest tak, jak było. Nigdy. Zawsze jest inaczej. Ale nowy las, który odrośnie w okaleczonym sercu, czasem okazuje się dzikszy i silniejszy niż tamten sprzed pożaru. A jeśli tam pozostaniesz, w tym blasku swojego wnętrza, w tym nowym miejscu na świetlistość, wybaczając wszystko i nigdy się nie poddając, wcześniej czy później zawsze znajdziesz się tam, gdzie miłość i piękność stworzyły świat, i to będzie początek. Początek. Początek.

– Hej, Lin, co za początek dnia! – zawołał Vikram gdzieś z głębin ciemnego, dusznego pokoju. – Jak mnie znalazłeś? Kiedy wróciłeś?

– W tej chwili – powiedziałem, stojąc w szerokich balkonowych drzwiach werandy wychodzącej na ulicę. – Jakiś chłopiec powiedział, że tu jesteś. Wyjdź na chwilkę.

– Nie, nie, stary, ty wejdź! – rzucił Vikram ze śmiechem. – Poznaj chłopaków!

Moje oczy, przywykłe do świetlistości nieba, nie rozróżniały w ciemnym pokoju nic oprócz niewyraźnych kształtów. Widziałem tylko dwie słoneczne lance wpadające przez zamknięte okiennice i przebijające kłęby oparów pachnących haszyszem i spaloną wanilią – wonią brązowej heroiny.

Wspominając ten dzień, zapach narkotyków, cienie i rozjarzone światło przeszywające ten pokój, zastanawiałem się, czy to jakieś przeczucie ostrzegało mnie przed przekroczeniem progu. Zastanawiałem się, jak inaczej potoczyłoby się moje życie, gdybym się wtedy odwrócił i odszedł. Decyzje, które podejmujemy, to gałęzie drzewa możliwości. Na trzy pory monsunowe od tego dnia Vikram i obcy ludzie z tego

pokoju stali się nowymi gałęziami w lesie, w którym przez jakiś czas przebywałem wraz z nimi – miejskiej dżungli miłości, śmierci i zmartwychwstania. Z tamtej chwili wahania, która wtedy nie wydawała mi się ważna, wyraźnie pamiętam, że gdy Vikram wyszedł z mroku, chwycił mnie za ramię i wciągnął do pokoju, dotyk jego spoconej ręki przeszył mnie dreszczem.

Większość powierzchni tego wielkiego prostokątnego pomieszczenia zajmowało ogromne trzymetrowe łoże. Leżał na nim mężczyzna z rękami złożonymi na piersi, w srebrnej piżamie – trup, jak mi się wydawało. O ile mogłem się zorientować, jego pierś nie unosiła się w oddechu. Dwaj mężczyźni, jeden po lewej, drugi po prawej stronie nieruchomej postaci, siedzieli na łóżku i przygotowywali chillum. Na ścianie, dokładnie nad głową martwego lub twardo śpiącego mężczyzny, wisiał ogromny portret Zaratustry, parsyjskiego proroka. Gdy mój wzrok przywykł do ciemności, pod ścianą naprzeciwko werandy zobaczyłem trzy wielkie krzesła, oddzielone dwiema masywnymi, starymi komodami. Na krzesłach siedzieli mężczyźni. Na podłodze leżał bardzo duży, kosztowny perski dywan. Wszędzie znajdowały się zdjęcia osób w tradycyjnych parsyjskich strojach. Po prawej stronie, naprzeciwko łoża, na toaletce z marmurowym blatem stał zestaw hi-fi. Dwa wiatraki pod sufitem obracały się tak leniwie, że nie rozpraszały stojących chmur dymu. Vikram zaprowadził mnie do mężczyzny siedzącego na jednym z trzech krzeseł, tym znajdującym się najbardziej z zewnątrz. Był to cudzoziemiec jak ja, ale wyższy: jego długie ciało i jeszcze dłuższe nogi spoczywały bezwładnie, jakby unosił się w wannie. Oceniłem go na jakieś trzydzieści pięć lat.

– To Concannon – oznajmił Vikram, popychając mnie ku niemu. – Jest z IRA.

Ręka, którą uścisnąłem, była ciepła, sucha i bardzo silna.

– Pierdolić IRA! – powiedział Concannon, wymawiając to pierwsze słowo z północnoirlandzkim akcentem. – Jestem z Ulsteru, z UVF, ale nie można się spodziewać, że taka pogańska cipa jak Vikram to zrozumie, nie?

Spodobał mi się błysk pewności siebie w jego oku, ale nie jego pewne siebie słowa. Cofnąłem rękę i skinąłem mu głową.

– Nie słuchaj go – poradził Vikram. – Wygaduje mnóstwo głupot, ale umie się bawić jak żaden znany mi cudzoziemiec, zaręczam ci. – Pociągnął mnie w kierunku drugiego, siedzącego w środku młodego mężczyzny, który w chwili gdy do niego podeszliśmy, pykał właśnie z nabitej haszyszem chillum, którą zapalał mu mężczyzna z trzeciego krzesła. Gdy płomyk zapałki znalazł się w fajce, z jej główki ponad głowę młodzieńca buchnął ogień.

– *Bom shankar!* – zawołał Vikram, sięgając po fajkę. – Lin, to Naveen Adair, prywatny detektyw. Słowo daję. Naveen, to Lin, facet, o którym ci opowiadałem. Jest lekarzem w slumsach.

Młodzieniec wstał, żeby uścisnąć mi rękę.

– Na razie nie jestem detektywem – powiedział z nieśmiałym uśmiechem.

– Nie szkodzi – odparłem, także się uśmiechając. – Ja w ogóle nie jestem lekarzem.

Trzeci mężczyzna, który zapalił fajkę, pociągnął z niej i podsunął mi ją. Podziękowałem uśmiechem, więc podał ją mężczyźnie siedzącemu na łóżku.

– Jestem Vinson – powiedział, potrząsając moją dłonią jak wielki, wesoły szczeniak. – Stuart Vinson. Wiele o tobie słyszałem.

– Każda cipa słyszała o Linie – oznajmił Concannon, przyjmując fajkę od mężczyzny na łóżku. – Vikramowi gęba się na twój temat nie zamyka. Jest jak nastoletnia fanka. Lin to, Lin tamto, Lin sramto. Powiedz, Vikram, obciągnąłeś mu już? Naprawdę taić dobry czy tylko tak gada?

– Jezus, Concannon! – jęknął Vinson.

– Co? – spytał Concannon jak wcielenie niewinności. – No co? Zadałem tylko pytanie. Indie nadal są wolnym krajem, tak? Przynajmniej tam, gdzie mówi się po angielsku.

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedział do mnie Vinson, przepraszająco wzruszając ramionami. – On nad tym nie panuje. Ma jakiś zespół skurwysyna Tourette'a czy coś takiego.

Stuart Vinson, Amerykanin, miał muskularną sylwetkę, szerokie, wyraziste rysy i gęstą szopę rozczochranych jasnych włosów nadających mu wygląd człowieka morza, który szuka przygód podczas samotnych wypraw jachtem. W rzeczywistości był dilerem narkotykowym, w dodatku bardzo znanym. Słyszałem o nim, podobnie jak on słyszał o mnie.

– To Dżamal – podjął Vikram, nie zwracając uwagi na Vinsona i Concannona, i przedstawiając mnie mężczyźnie siedzącemu po lewej stronie łóżka. – Importuje, przetwarza i pali. Teatr Jednego Aktora.

– Teatr Jednego Aktora – powtórzył Dżamal. Był chudy, o gadzich oczach, obwieszony ogromną liczbą religijnych amuletów. Zacząłem je liczyć, zahipnotyzowany takim nagromadzeniem świętości. Zauważyłem symbole pięciu głównych religii, zanim moje spojrzenie zatrzymało się na jego uśmiechu.

– Teatr Jednego Aktora – powiedziałem.

– Teatr Jednego Aktora – powtórzył.

– Teatr Jednego Aktora.

– Teatr Jednego Aktora.

Zrobiłbym to jeszcze raz, ale Vikram mnie powstrzymał.

– To Billy Bhasu – oznajmił, wskazując małego, bardzo drobnego mężczyznę o jasnej skórze, siedzącego po drugiej stronie nieruchomej postaci. Billy Bhasu złożył dłonie w pozdrowieniu i wrócił do czyszczenia fajki. – Billy Bhasu jest dostarczycielem – wyjaśnił Vikram. – Dostarcza wszystko, czego chcesz. Wszystko, od dziewczyny po lody. Dostarczy ci to w tej chwili. Poproś go o coś!

– Nie chcę…

– Billy, dostarcz Linowi lody!

– W tej chwili – powiedział Billy, odkładając chillum.

– Nie, Billy – rzuciłem, unosząc dłoń. – Nie chcę lodów.

– Przecież je uwielbiasz! – zaprotestował Vikram.

– Ale nie aż tak, żeby kogoś po nie posyłać. Siadaj, człowieku.

– Jeśli ma nam coś dostarczyć – odezwał się Concannon z mroku – to ja głosuję na lody i dziewczynę. Dwie dziewczyny. Ale biegusiem, kurwa.

– Słyszysz, Billy? – ponaglił Vikram. Podszedł do mężczyzny i zaczął go ściągać z łóżka, ale w tej samej chwili postać leżąca na łożu odezwała się, a Vikram zamarł, jakby spojrzał w lufę broni.

– Vikram – powiedział leżący. – Psujesz mi haj.

– O cholera! O cholera! O cholera! Przepraszam, Dennis – rzucił gorączkowo Vikram. – Przedstawiałem Lina chłopakom i…

– Lin – przerwał mu mężczyzna, otwierając oczy i przeszywając mnie spojrzeniem. Jego tęczówki były zaskakująco jasne, szare, z aksamitnym połyskiem. – Nazywam się Dennis. Cieszę się, że cię poznałem. Czuj się tu jak u siebie w domu. *Mi casa es su casa*.

Podszedłem, uścisnąłem bezwładne ptasie skrzydło, które podał mi Dennis, i cofnąłem się, stając u stóp łoża. Dennis odprowadził mnie wzrokiem, uśmiechając się łagodnie i dobrotliwie.

– No, no! – odezwał się cicho Vinson, stając obok mnie. – Dennis, chłopie! Dobrze cię znowu widzieć! Jak było po tamtej stronie?

– Cicho – mruknął Dennis, nadal uśmiechając się do mnie. – Bardzo cicho. Do

niedawna.

Concannon i Naveen Adair, młody detektyw, stanęli obok nas. Wszyscy patrzyli na Dennisa.

– To wielki zaszczyt – szepnął do mnie Vikram. – Dennis patrzy na ciebie.

Przez chwilę milczeliśmy. Ciszę przerwał Concannon.

– No i zajebiście – rzucił, błyskając zębatym uśmiechem. – Tkwię tu, kurwa, od pół roku, dzielę się dowcipem i mądrością, palę twój towar, piję twoją whisky, a ty otworzyłeś oczy tylko dwa razy. Lin dopiero co przekroczył twój próg, a ty wpatrujesz się w niego jak w święty obraz. Co ja jestem, Dennis, jakaś cipa?

– No naprawdę, człowieku – powiedział cicho Vinson.

Concannon ryknął śmiechem. Dennis skrzywił się boleśnie.

– Concannon – szepnął. – Kocham cię jak przyjaznego ducha, ale psujesz mi haj.

– Przepraszam, chłopaku – rzucił Concannon z uśmiechem.

– Lin – wymamrotał Dennis, trwając w doskonałym bezruchu. – Proszę, nie czuj się urażony. Muszę teraz odpocząć. Miło było mi cię poznać. – Odwrócił lekko głowę w stronę Vikrama.

– Vikram – mruknął dźwięcznym, wibrującym basem. – Proszę, nie hałasuj. Psujesz mi haj, człowieku. Będę wdzięczny, jeśli się uciszysz.

– Oczywiście. Przepraszam.

– Billy Bhasu? – dodał Dennis cicho.

– Tak?

– Pieprzyć lody.

– Pieprzyć lody?

– Pieprzyć lody. Nikt nie dostanie lodów. Nie dziś.

– Tak jest.

– Czy zrozumieliśmy się w kwestii lodów?

– Pieprzyć lody, Dennis.

– Nie chcę słyszeć słowa „lody” przez co najmniej trzy miesiące.

– Tak jest.

– Dobrze. Dżamal, przygotuj mi następną chillum. Dużą i mocną. Gigantyczną. Legendarną. To będzie akt współczucia zatrącający o cud. Do widzenia wszystkim zebranym. – Dennis założył ręce na piersi, przymknął oczy i wprowadził się w stan

relaksu: prawie śmiertelny bezruch z pięcioma oddechami na minutę. Nikt się nie poruszył, nikt się nie odezwał. Dżamal z żarliwym skupieniem przygotowywał legendarną chillum. Wszyscy wpatrywali się w Dennisa. Chwyciłem Vikrama za koszulę.

– Wyjdźmy stąd – szepnąłem, wyciągając go z pokoju. – Do widzenia wszystkim zebranym.

– Hej, poczekajcie na mnie! – zawołał za nami Naveen, wybiegając przez balkonowe drzwi.

Świeże powietrze otrzeźwiło Vikrama i Naveena, którzy przyspieszyli kroku, doganiając mnie. Wiatr wiejący przez cienisty korytarz dwupiętrowych budynków i gęstych platanów przyniósł mocny, przejmujący zapach ryb z pobliskiego portu Sassoon. Między drzewami kładły się plamy słonecznego światła. Przechodząc z mroku w kolejny rozbryzg białego żaru, czułem, że słońce wypełnia mnie po brzegi, a potem ustępuje przed przypływem cienia drzew. Niebo miało mglisty odcień błękitu: szkło wyrzucone przez morze. Wrony jechały na dachach autobusów do chłodniejszych dzielnic miasta. Obwoźni sprzedawcy pokrzykiwali dziarsko. Był to taki bombajski dzień, w którym mieszkańcy Bombaju – mumbajkarzy – głośno śpiewają. Kiedy minąłem się z mężczyzną zmierzającym z naprzeciwka, obaj nuciliśmy tę samą piosenkę miłosną w hindi.

– Zabawne – zauważył Naveen. – Obaj śpiewacie to samo, człowieku.

Uśmiechnąłem się i właśnie zamierzałem zaśpiewać jeszcze parę linijek, jak to mamy w zwyczaju w te bombajskie dni z błękitnego szkła, kiedy Vikram spytał:

– No, to jak poszło? Masz to?

Jedną z przyczyn, dla których nie jeżdżę często do Goa, jest to, że gdy się tam wybieram, ktoś zawsze chce, żebym coś mu załatwił. Gdy trzy tygodnie temu powiedziałem Vikramowi, że mam sprawę w Goa, poprosił mnie o przysługę. Zastawił u tamtejszego lichwiarza, rekina finansów, ślubny naszyjnik matki jako poręczenie za pożyczkę. Ozdoba była wysadzana małymi rubinami. Vikram spłacił dług, ale lichwiarz nie chciał odesłać zastawu. Powiedział, że Vikram ma go odebrać osobiście w Goa. Wiedząc, że lichwiarz szanuje firmę Sanjaya – mafię, w której pracowałem – Vikram poprosił mnie, żebym złożył mu wizytę. Zrobiłem to i odebrałem naszyjnik, ale okazało się, że lichwiarz nie szanuje mafii aż tak, jak się wydawało. Zwodził mnie ponad tydzień, nieustannie odwołując spotkania i zostawiając obraźliwe wiadomości o mnie i firmie Sanjaya. W końcu zgodził się oddać naszyjnik, ale wtedy było już za późno. Jeśli on był rekinem finansów, to mafia, którą obraził, była statkiem poławiaczy rekinów.

Skontaktowałem się z czterema miejscowymi współpracownikami firmy Sanjaya. Pobiliśmy gangsterów broniących nam dostępu do lichwiarza i dotarliśmy do niego. Oddał naszyjnik. Wtedy jeden z miejscowych pokonał go w uczciwej walce, a potem nadal go bił, już nie fair, dopóki nie wbił mu do głowy poszanowania dla mafii.

– No więc? – spytał Vikram. – Masz to czy nie?

– Proszę – powiedziałem, wyjmując klejnot z kieszeni i oddając go Vikramowi.

– Super! Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Danny się stawiał?

– Wykreśl go z listy pożyczkodawców.

– *Thik*. – „Dobrze". Vikram wytrząsnął rubinowy naszyjnik z błękitnej atłasowej saszetki. Rubiny zalśniły krwawo w słońcu. – Słuchaj… Odniosę to mamie. Od razu. Mogę was podwieźć taksówką?

– Jedziesz w przeciwną stronę – powiedziałem, gdy Vikram zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. – Wrócę do Leopolda, gdzie zaparkowałem rower.

– Przejdę się z tobą, jeśli mogę – odezwał się Naveen cicho.

– Jak chcesz.

Vikram schował saszetkę za pazuchą i już miał wsiąść do taksówki, gdy zatrzymałem go i szepnąłem, pochylając się do jego ucha:

– Co robisz?

– Jak to?

– Nie oszukasz mnie w sprawie narkotyków, Vik.

– Kto oszukuje? – oburzył się. – Wziąłem tylko parę buchów, to wszystko.

I co z tego? Zresztą to towar Concannona. Sam za niego zapłacił. Ja bym…

– Wyluzuj.

– Jestem wyluzowany. Przecież mnie znasz.

– Niektórzy potrafią zerwać z nałogiem. Concannon może do nich należeć. Ty – nie. Dobrze o tym wiesz.

Vikram uśmiechnął się i przez parę chwil przypominał dawnego siebie – tego, który nie potrzebowałby niczyjej pomocy i sam odwiedziłby Goa, tego, który przede wszystkim nigdy nie zastawiłby ślubnej biżuterii swojej matki. Kiedy wsiadał to taksówki, uśmiech znikł z jego oczu. Obserwowałem go zmartwiony niebezpieczeństwem, w którym się znalazł – optymista złamany przez miłość.

Znowu ruszyłem przed siebie. Naveen poszedł za mną.

– Ciągle mówi o tej dziewczynie, Angielce – powiedział.

– To jedna z tych rzeczy, które powinny się udać, ale rzadko się udają.

– O tobie też często mówi.

– Za dużo gada.

– Mówi o Karli, Didierze i Lisie. Ale na ogół o tobie.

– Za dużo gada.

– Powiedział, że uciekłeś z więzienia. I że się ukrywasz.

Stanąłem.

– Teraz ty za dużo gadasz. Jakaś epidemia czy co?

– Nie, pozwól mi wyjaśnić. Pomogłeś mojemu przyjacielowi Aslanowi…

– Co?

– Mojemu przyjacielowi…

– Co ty opowiadasz?

– Pewnej nocy koło Ballard Pier, parę tygodni temu. Pomogłeś mu w trudnej sytuacji.

Młody mężczyzna, biegnący po północy w moją stronę przez Ballard Estate, szeroką ulicę w kupieckiej dzielnicy, wśród zamkniętych na głucho budynków po obu stronach, młody mężczyzna, który znalazł się w pułapce, gdy przybyli tamci, a on zatrzymał się z rzucanym przez latarnie potrójnym cieniem u stóp, gotów do samotnej walki – i nagle nie był już sam.

– No i?

– Umarł. Trzy dni temu. Chciałem cię znaleźć, ale byłeś w Goa. Teraz mam szansę, żeby ci to powiedzieć.

– Co?

Naveen zadrżał. Patrzyłem na niego kamiennym wzrokiem, bo wspomniał o ucieczce z więzienia, i chciałem, żeby przeszedł do rzeczy.

– Był moim szkolnym kolegą – powiedział spokojnie. – Lubił wyprawiać się w nocy w niebezpieczne miejsca. Tak jak ja. Tak jak ty, bo inaczej by cię tam nie było i byś mu nie pomógł. Pomyślałem, że zechcesz to wiedzieć.

– Żartujesz?

Staliśmy w bladym cieniu, o centymetry od siebie, opływani przez tłum.

– Jak to?

– Wywlekasz moją ucieczkę, żeby przekazać mi smutne wieści o śmierci Aslana? To

mi chciałeś powiedzieć? Jesteś świrem czy takim poczciwiną?

– Chyba poczciwiną – powiedział zraniony i rozdrażniony. – Zbyt poczciwym, żeby podejrzewać, że będziesz się dopatrywać drugiego dna w moich słowach. Żałuję, że cię niepokoiłem. Nie chciałem tego. Przepraszam. Już pójdę.

– Czekaj – zatrzymałem go. – Czekaj.

Wszystko mi się w nim zgadzało: szczere spojrzenie, pewna siebie postawa, blask uśmiechu. Instynkt wskazuje nam właściwych ludzi. Ja instynktownie polubiłem tego chłopaka, młodego mężczyznę, który robił wrażenie tak odważnego i zranionego. Wszystko mi się w nim podobało, a to się nie zdarza często.

– Dobrze, popełniłem błąd – przyznałem, wyciągając rękę.

– Nie ma sprawy – powiedział, znowu się odprężając.

– Wróćmy do tego, że Vikram powiedział ci o więzieniu. Widzisz, taka informacja wzmogłaby zainteresowanie Interpolu – i zawsze budzi moje zainteresowanie. Rozumiesz to, prawda?

To nie było pytanie, a on to rozumiał.

– Pieprzyć Interpol.

– Jesteś detektywem.

– Pieprzyć detektywów. To informacja dotycząca przyjaciela, której nie ukrywa się przed przyjacielem, kiedy się ją pozna. Nikt cię tego nie nauczył? Wychowałem się na tych ulicach, tutaj, i wiem o tym.

– Ale nie jesteśmy przyjaciółmi.

– Jeszcze nie – powiedział Naveen z uśmiechem.

Przyglądałem mu się przez chwilę.

– Lubisz spacerować?

– Lubię spacerować i rozmawiać – odparł, włączając się wraz ze mną w kręte strumienie pieszych.

– Pieprzyć Interpol – dodał po chwili.

– Ty naprawdę lubisz mówić, co?

– I spacerować.

– To może opowiesz mi trzy krótkie spacerowe historie.

– Pewnie. Świetnie. Spacerowa historia numer jeden?

– Dennis.

– Wiesz – rzucił Naveen ze śmiechem, wymijając kobietę z ogromną paką makulatury na głowie – ja też tam byłem pierwszy raz. Oprócz tego, co sam widziałeś, mogę ci powiedzieć tylko to, co usłyszałem.

– Mów, co słyszałeś.

– Jego rodzice umarli. Podobno mocno go to zraniło. Byli dziani. Opatentowali jakiś wynalazek, który zaczął przynosić wielkie dochody. Dał Dennisowi sześćdziesiąt milionów.

– To nie był pokój za sześćdziesiąt milionów.

– Pieniądze pozostaną w funduszu powierniczym, dopóki on będzie się znajdować w tym transie.

– Dopóki nie wstanie z łóżka?

– To coś więcej niż leżenie w łóżku. Dennis we śnie wchodzi w stan *samadhi*. Jego uderzenia serca i oddech zwalniają do zera. Często jest praktycznie martwy.

– Pogrywasz sobie ze mną, detektywie.

– Nie – zapewnił ze śmiechem. – W zeszłym roku już siedmiu lekarzy podpisało jego akt zgonu, ale Dennis zawsze znowu się budził. Dżamal, Teatr Jednego Aktora, przechowuje te dokumenty.

– No dobrze, czyli Dennis bywa od czasu do czasu praktycznie martwy. Jego ksiądz i księgowy muszą mieć z tym pewien problem.

– Dopóki Dennis jest w transie, jego majątek pozostaje w funduszu powierniczym, a on ma tylko tyle środków, żeby wystarczyło mu na mieszkanie i utrzymywanie się na poziomie odpowiednim do wymogów jego transu.

– Usłyszałeś o tym czy odkryłeś jako detektyw?

– To i to.

– Hm… – Zrobiłem pauzę, żeby przepuścić samochód, który jechał na wstecznym tuż przed nami. – Nie wiem, o co mu chodzi, ale muszę przyznać, że nigdy w życiu nie widziałem kogoś, kto by potrafił leżeć lepiej od niego.

– Jest bezkonkurencyjny – przyznał Naveen z uśmiechem.

Obaj przez chwilę o tym myśleliśmy.

– Druga historia? – spytał Naveen.

– Concannon – zdecydowałem, ruszając.

– Uprawia boks w moim klubie sportowym. Niewiele o nim wiem, ale mogę ci powiedzieć dwie rzeczy.

– Mianowicie?

– Ma zabójczy lewy sierpowy, którym potrafi znokautować, ale się odsłania, jeśli spudłuje.

– Ach, tak?

– Za każdym razem. Wyprowadza cios prosty lewą, potem prawą, a lewy sierpowy zawsze ląduje mu w górze i jeśli nie trafia, zawsze zostaje bez osłony. Ale jest szybki i nieczęsto pudłuje. Dobry jest.

– I?

– Mogę też powiedzieć, że to jedyny mój znajomy, który zdołał mnie skontaktować z Dennisem. Dennis go uwielbia. Przytomnieje dla niego na dłużej niż dla kogokolwiek innego. Podobno chce go urzędowo adoptować. To trudne, bo Concannon jest od niego starszy i nie wiem, czy istnieje precedens adopcji białego przez Hindusa.

– Jak to „zdołał cię skontaktować”?

– Tysiące ludzi zabiega o audiencję u Dennisa, kiedy jest w transie. Wierzą, że w czasie przejściowej śmierci potrafi się skomunikować z ludźmi umarłymi na stałe. Niemal nikomu nie udaje się do niego wejść.

– Chyba że się przyjdzie i zapuka do drzwi.

– Nie rozumiesz. Nikt się nie ośmieli przyjść i zapukać, kiedy Dennis jest w transie.

– No co ty?

– Aż do teraz, kiedy to zrobiłeś.

– O Dennisie już sobie opowiedzieliśmy – powiedziałem, przepuszczając wózek ciągnięty przez czterech mężczyzn. – Wracajmy do Concannona.

– Jak powiedziałem, uprawia boks w moim klubie sportowym. Lubi się bić. Niewiele o nim wiem. Wydaje się rozrywkowy. Uwielbia imprezować.

– Nie liczy się ze słowami. Człowiek w tym wieku tak się nie zachowuje, jeśli nie może sobie na to pozwolić.

– Mówisz, że powinienem go obserwować?

– Tylko jego mroczną stronę.

– A trzecia historia? – spytał Naveen.

Zszedłem z drogi, którą szliśmy, i po kilku krokach stanąłem na wąziutkiej ścieżce.

– Dokąd idziemy? – spytał idący za mną Naveen.

– Na sok.

– Sok?

– Dzień jest gorący. Co z tobą?

– Nie, nic. Super. Uwielbiam sok.

Trzydzieści dziewięć stopni w Bombaju, mrożony sok arbuzowy, pracujący na pełnych obrotach wiatrak zbyt blisko głowy – pełnia szczęścia.

– Więc… ty serio jesteś prywatnym detektywem?

– Tak. Zacząłem przez przypadek… w pewnym sensie… ale robię to już od roku.

– Jaki przypadek zmienia człowieka w detektywa?

– Studiowałem prawo – wyjaśnił Naveen z uśmiechem. – Prawie dotarłem do dyplomu. Na ostatnim roku natknąłem się na pracę o prywatnych detektywach i o tym, jak wpływają na sądownictwo. Wkrótce przestało mnie interesować cokolwiek oprócz pracy detektywa, więc rzuciłem studia, żeby spróbować.

– I jak?

Naveen parsknął śmiechem.

– Rozwód jest zdrowszy od giełdy i o wiele bardziej przewidywalny. Zaliczyłem parę spraw rozwodowych, ale dałem sobie spokój. Pracowałem z takim jednym facetem. Wprowadzał mnie w zawód. Od trzydziestu pięciu lat obstawiał sprawy rozwodowe i nadal je uwielbia. Ja nie. Dla żonatego mężczyzny romans zawsze jest wyjątkowy. Dla mnie to ciągle ten sam smutny film.

– A odkąd opuściłeś bujne pastwiska rozwodów…?

– Na razie znalazłem dwa zaginione zwierzaki, zaginionego męża i zaginiony półmisek. Wygląda na to, że wszyscy moi klienci, niech ich Bóg błogosławi, byli zbyt leniwi lub uprzejmi, żeby rozpocząć poszukiwania na własną rękę.

– Ale chyba lubisz to bycie detektywem. Kręci cię, nie?

– Wiesz, dochodzenie kończy się odkryciem prawdy. Jako prawnik mogę znać tylko jakąś jej wersję. A tu mam wszystko czarno na białym, nawet jeśli chodzi tylko o półmisek z serwisu po babci. To szczera, nieskażona prawda.

– I będziesz to robić dalej?

– Nie wiem – powiedział z uśmiechem, znowu odwracając wzrok. – Zależy, czy się sprawdzę.

– Albo nie.

– Albo nie.

– To już trzecia historia. Naveen Adair, hindusko-irlandzki prywatny detektyw.

Naveen uśmiechnął się, błyskając białymi zębami. Ta biel szybko znikła.

– Nie ma o czym opowiadać.

– Naveen Adair – powtórzyłem wyraźnie. – Co ci dokopało bardziej, twoja angielska czy hinduska strona?

– Zbyt angielski dla Hindusów – rzucił ze śmiechem – i zbyt hinduski dla Angoli. Mój ojciec…

Kraina zwana ojcem jest dla zbyt wielu z nas pełna trudnych szczytów i zaginionych dolin. Czekałem, aż Naveen je pokona i znowu przemówi.

– Kiedy opuścił matkę, mieszkaliśmy na ulicy, dopóki nie skończyłem pięciu lat, choć właściwie niewiele pamiętam.

– Co się stało?

Naveen podniósł spojrzenie na ulicę; w jego oczach można było dostrzec przepływające kolory i emocje.

– Miał gruźlicę. Sporządził testament, w którym ustanowił matkę swoją spadkobierczynią i okazało się, że miał mnóstwo pieniędzy, więc nagle staliśmy się bogaci, a potem…

– Wszystko się zmieniło.

Naveen spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby żałował swojej gadatliwości.

Wentylator, oddalony zaledwie o lalka centymetrów, przyprawił mnie o ból głowy. Wezwałem kelnera i poprosiłem, żeby trochę go przykręcił.

– Zimno? – prychnął z ręką na pokrętle. – Ja ci pokażę zimno!

Ustawił wentylator na huraganową piątkę. Policzki mi zlodowaciały.

Zapłaciliśmy i wyszliśmy, słyszałem, jak woła na pożegnanie:

– Dwójka już wolna!

– Uwielbiam to miejsce – oznajmił Naveen po wyjściu.

– Serio?

– Tak. Świetny sok, chamscy kelnerzy. Idealnie.

– Możliwe, że się dogadamy, detektywie. Całkiem możliwe.

# 2

Przeszłość, ukochany wróg, nie ma wyczucia czasu. Te bombajskie dni wracają do mnie tak wyraźnie i gwałtownie, że czasem wyrywają mnie z rzeczywistości i każą zapomnieć o obowiązkach. Jakiś uśmiech, jakaś piosenka i znowu wracam do sennych słonecznych poranków, do jazdy motocyklem po górskiej drodze albo do tego momentu, gdy związany i pobity błagałem los o chwilę przerwy. I kocham każdą minutę, każdą złą czy dobrą chwilę ucieczki czy wybaczenia, każdą minutę życia. Ale przeszłość ma zwyczaj zabierać cię we właściwe miejsce o niewłaściwej porze, a to może powodować wewnętrzną burzę.

Pewnie powinienem być rozgoryczony z powodu kilku rzeczy, które zrobiłem i które zrobiono mnie. Ludzie tak twierdzili. Pewien więzień powiedział kiedyś: „Byłbyś ekstra, gdybyś miał w sobie trochę zajadłości". Ale ja urodziłem się bez niej i nigdy nie zaznałem złości ani goryczy. Bywałem zły i zdesperowany, zbyt często dopuszczałem się złych rzeczy, ale przestałem, i nigdy nikogo nie nienawidziłem ani świadomie nie życzyłem mu źle, nawet tym, którzy mnie torturowali. I choć od czasu do czasu mogłem się bronić pewną goryczą, tak jak nadal to robię, nauczyłem się, że słodkie wspomnienia nie przechodzą przez drzwi cynizmu. A ja kocham moje wspomnienia, nawet kiedy przychodzą nie w porę: zapamiętane minuty plam słońca, kładących się wśród szpalerów drzew na ulicach Bombaju, nieustraszone dziewczęta śmigające na skuterach wśród samochodów, sprzedawcy ciągnący swoje wózki, ugięci pod ciężarem, ale uśmiechnięci, i te pierwsze wspomnienia młodego hindusko-irlandzkiego detektywa Naveena Adaira.

Szliśmy przez chwilę w milczeniu, wymijając samochody i szeregi przechodniów, manewrując w tańcu ulicy między rowerami i ręcznymi wózkami.

W szerokiej bramie budynku straży pożarnej stali mężczyźni w grubych granatowych mundurach, śmiejąc się i żartując. W garażu czekały dwa wielkie samochody strażackie. Słońce odbijało się w ich wypolerowanych czerwonych lub chromowanych powierzchniach.

Na jednej ze ścian wisiała także fantazyjnie ozdobiona kapliczka Hanumana, a pod nią napis:

JEŚLI NIE ZNOSISZ GORĄCA, WYJDŹ Z PŁONĄCEGO BUDYNKU.

Później weszliśmy do dzielnicy sklepów, rozciągającej się za targiem Kolaba. Szkło, ramy, drewno, artykuły żelazne, sprzęt elektroniczny i hydrauliczny stopniowo ustępowały miejsca ubraniom, biżuterii i żywności.

Przy szerokim wejściu na targ musieliśmy się zatrzymać, by ustąpić miejsca kilku potężnym ciężarówkom, torującym sobie drogę w gęstym ruchu na drodze.

– Słuchaj – powiedział Naveen, gdy czekaliśmy. – Miałeś rację, że Vikram za dużo mówi. Ale nie przekażę jego słów dalej. Nigdy nie będę o tym rozmawiać z nikim oprócz ciebie. Nigdy. A jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebować, to… jestem do dyspozycji. To usiłuję ci powiedzieć. Za Aslana i za to, co zrobiłeś tamtej nocy, jeśli nie chcesz, żebym robił to ze względu na ciebie.

Kolejny raz wyjrzałem z tego czerwonego wygnania, którym stało się moje życie, by spojrzeć w oczy płonące ogniem – jak latarnia morska na wybrzeżu słowa „ucieczka”. W czasach gdy byłem zbiegiem, szybko zaprzyjaźniałem się z buntownikami, ludźmi równie oddanymi mojej ucieczce przed systemem jak mnie samemu.

Chcieli, żebym pozostał wolny częściowo dlatego, że zależało im, żeby komukolwiek udało się uciec i nie wrócić do więzienia. Uśmiechnąłem się do Naveena. Nie po raz pierwszy ani ostatni płynąłem z nurtem tej rzeki.

– Witam – powiedziałem, podając mu rękę. – Nazywam się Lin. Nie jestem doktorem ze slumsów.

– Miło cię poznać – odparł Naveen, ściskając mi dłoń. – Jestem Naveen i dziękuję, zawsze dobrze wiedzieć, kto nie jest doktorem.

– I kto nie jest policjantem – dodałem. – Może się napijemy?

– Z przyjemnością – odpowiedział uprzejmie.

W tej samej chwili poczułem, że ktoś stoi zbyt blisko mnie. Odwróciłem się gwałtownie.

– Ostrożnie! – rzucił George Bliźniak. – Uważaj na moją koszulę, bracie. To pięćdziesiąt procent mojej garderoby, pozwolę sobie zauważyć!

Poczułem kości jego chudego ciała na kostkach zaciśniętej dłoni. Puściłem go.

– Przepraszam, stary – rzuciłem, wygładzając jego koszulę. – Nie powinieneś się tak zakradać, przecież wiesz. Pewnego dnia to się skończy łzami.

– Mój błąd – przyznał George Bliźniak, rozglądając się nerwowo. – Mam malutki problemik, rozumiesz?

Włożyłem rękę do kieszeni, ale mnie powstrzymał.

– Nie taki. No, szczerze mówiąc, taki, ale to akurat stała sytuacja; no wiesz, jestem spłukany, to bardziej metakulturalna manifestacja, rodzaj ponurej, ale fascynującej ścieżki dźwiękowej, wyczuwasz?

– Nie – odparłem, wręczając mu pieniądze. – To w czym problem?

– Możesz poczekać? Sprowadzę Skorpiona.

– Dobra.

Bliźniak łypnął na lewo i prawo.

– Ale poczekasz?

Skinąłem głową, a on zanurkował w przejście za straganem z małymi marmurowymi figurkami bogów.

– Mogę z tobą zostać? – spytał Naveen.

– Jasne. Bliźniak i Skorpion nie zachowają niczego w tajemnicy, zwłaszcza własnych sekretów. Mogliby prowadzić własną radiostację. A ja bym jej chętnie słuchał.

Po chwili pojawił się Bliźniak, ciągnąc za sobą opierającego się Skorpiona.

Zodiakalni Georgeowie, jeden z południowego Londynu, drugi z Kanady, byli nierozłącznymi włóczęgami. Do pewnego stopnia uzależnili się od siedmiu różnych narkotyków, a bardzo silnie – od siebie nawzajem. Sypiali we względnie wygodnej bramie magazynu i zarabiali na życie bieganiem na posyłki, dostarczaniem narkotyków zagranicznym klientom i czasem sprzedawaniem informacji gangsterom.

Kłócili się ze sobą od pierwszego ziewnięcia po padnięcie na posłanie, ale się kochali, a ich przyjaźń była tak niezmienna, że wszyscy kochali za nią tych Zodiakalnych George'ów: George'a Bliźniaka z Londynu i George'a Skorpiona z Kanady.

– Przepraszam, Lin – mruknął Skorpion, kiedy Bliźniak dowlókł go do mnie. – Pracowałem pod przykrywką. Chodzi o te kłopoty z CIA. Pewnie o nich słyszałeś.

– Z CIA? Raczej nie. Ale byłem w Goa. Co tam?

– Jest taki jeden dziad – wtrącił Bliźniak. Jego wysoki przyjaciel skinął głową. – Śnieżnobiałe włosy, ale nie taki bardzo stary. Chodzi w ciemnoniebieskim garniturze z krawatem, jak biznesmen…

– Albo agent CIA – wtrącił Skorpion konspiracyjnym szeptem, pochylając się do nas.

– Na litość boską! – wrzasnął Bliźniak. – Czego, do kurwy nędzy, miałaby chcieć CIA od kogoś takiego jak my?

– Mają takie maszyny do czytania w myślach – szepnął Skorpion. – Odczytują je nawet przez ściany.

– Skoro potrafią czytać w myślach, to nie ma sensu szeptać, no nie?

– Może zaprogramowali nas na szeptanie, kiedy czytają w naszych myślach.

– Gdyby czytali w twoich myślach, uciekliby z krzykiem, ty pojebie. Cud, że ja jeszcze nie uciekłem, wiesz?

Nie istnieje żadna wiarygodna mapa manowców, na które zbaczały kłótnie George'ów, ani też limity czasowe. Na ogół lubiłem się przysłuchiwać ich utarczkom, ale nie zawsze.

– Opowiedzcie mi o tym siwowłosym facecie w garniturze.

– Nie znamy go – oznajmił Bliźniak, przytomniejąc. – Ale od dwóch dni wypytuje o Skorpiona w Leopoldzie i jeszcze dwóch knajpach.

– Jest z CIA – powtórzył Skorpion, szukając wzrokiem kryjówki.

Bliźniak spojrzał na mnie z udręką. Starał się opanować. Odetchnął głęboko. Nie pomogło.

– Gdyby był z CIA i potrafił czytać w naszych myślach – wysyczał przez zaciśnięte zęby – to raczej by o nas nie wypytywał, nie? Po prostu przyszedłby prosto do ciebie i do mnie, klepnął w ramię i powiedział: „E, ty! Właśnie odczytaliśmy twoje myśli naszą maszyną do czytania myśli i nie musieliśmy o ciebie nikogo pytać, bo mamy maszynę do czytania myśli, która czyta ludziom w myślach, bo jesteśmy z zasranego CIA", no nie? No nie?

– Hm…

– Pytał, wymieniając nazwisko? – spytał Naveen z powagą na młodej twarzy. – I czy chodziło mu o was obu, czy tylko o Skorpiona?

Obaj Georgeowie spojrzeli na niego.

– To Naveen Adair – powiedziałem. – Prywatny detektyw.

Przez chwilę obaj milczeli.

– Jasna cholera – mruknął Bliźniak. – Niezbyt prywatny, skoro ogłasza się wszem wobec na targu, no nie? Powiedziałbym, że to bardziej publiczny detektyw.

Naveen parsknął śmiechem.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Znowu zapadła cisza.

– On jest detektywem… jakiego rodzaju? – spytał podejrzliwie Skorpion.

– Rodzaju detektywistycznego – odparłem. – Jak ksiądz. Płacisz tylko raz. Odpowiedz mu.

– Wiesz – powiedział Skorpion, przyglądając się z namysłem Naveenowi – jak się tak zastanowić, to ten facet faktycznie wypytywał tylko o mnie, nie o Bliźniaka.

– Gdzie mieszka?

– Jeszcze nie wiemy – odpowiedział Bliźniak. – Początkowo nie traktowaliśmy tego poważnie. Ale teraz, po dwóch dniach, Skorpion zaczyna się trochę bać, a i tak już wystarczająco się boi; czaisz? Dziś jeden chłopak poszedł za tym białowłosym piernikiem i wkrótce powinniśmy już wiedzieć, gdzie się zatrzymał.

– Zajmę się tym, jeśli chcecie – zaproponował cicho Naveen.

Bliźniak i Skorpion spojrzeli na mnie. Wzruszyłem ramionami.

– Dobra – zgodził się szybko Skorpion. – A co tam, niech będzie. Postaraj się dowiedzieć, co to za facet, jeśli zdołasz.

– Musimy dotrzeć do sedna sprawy – rzucił rozgorączkowany Bliźniak. – Skorpion tak mnie podkręcił, że dziś rano budzę się, patrzę, a ja sam siebie duszę. Jak już człowiek sam siebie dusi we śnie, to nie jest dobrze.

– Co powinniśmy zrobić? – spytał Skorpion.

– Nie rzucajcie się w oczy, na ile to możliwe – poradził Naveen. – Dajcie znać Linowi, czy dowiedzieliście się, gdzie zatrzymał się ten facet. Albo zostawcie mi wiadomość w budynku Natraj na Merewether. Naveen Adair.

Zodiakalni George'owie przez chwilę spoglądali na siebie, na Naveena, na mnie.

– Może być – powiedziałem, ściskając dłonie Bliźniakowi.

Pieniądze, które mu dałem, wystarczały na co najmniej dwa z ich ulubionych narkotyków, parę wygodnych dni w niewygodnym hotelu, czyste ubrania od pracza, którego często nie opłacali, i dietę złożoną z ich ukochanych bengalskich deserów.

George'owie wtopili się w tłum; Skorpion pochylał się do niższego od niego londyńczyka.

– I co sądzisz? – spytałem Naveena.

– Wyczuwam prawnika – powiedział ostrożnie. – Zobaczę, co wyjdzie w praniu. Nie mogę zagwarantować rezultatu. Pamiętaj, jestem amatorem.

– Amator to ktoś, kto nie nauczył się, czego *nie* robić.

– Niezłe. To cytat?

– Tak.

– Czyj?

– Mojej znajomej. A co?

– Mogę ją poznać?

– Nie.

– Proszę.

– Co ty masz z tym poznawaniem ludzi, których trudno poznać?

– To Karla, prawda? Amator to ktoś, kto nie nauczył się, czego *nie* robić. Fajne.

Zatrzymałem się i stanąłem blisko niego.

– Zawrzyjmy umowę – powiedziałem. – Nigdy więcej nie wspomnisz przy mnie o Karli.

– To nie jest umowa – zauważył z beztroskim uśmiechem.

– Cieszę się, że to rozumiesz. Mieliśmy się napić, pamiętasz?

Weszliśmy do jaskini Leopolda, pachnącej piwem i curry. Było późne popołudnie, chwila ciszy przed najazdem turystów, dilerów narkotykowych, rekinów czarnego rynku, ludzi mafii, aktorów, studentów, gangsterów i grzecznych panienek szukających niegrzecznych chłopców, którzy wedrą się tu przez te szerokie łuki, by krzyczeć, jeść, pić i ryzykować utratą duszy w grze toczącej się przy trzydziestu stolikach restauracji. Była to ulubiona pora Didiera, spychająca na drugie miejsce inną ulubioną porę – godziny działalności baru. Znalazłem go przy jego ulubionym stoliku w głębi sali pod ścianą, z widokiem na trzy wejścia.

Didier czytał gazetę, trzymając ją w wyciągniętej ręce.

– A niech to, Didier! Gazeta! Powinieneś przygotować ludzi na taki szok.

Odwróciłem się do kelnera, noszącego ironiczny przydomek Miluś, który ostentacyjnie się lenił. Różowy identyfikator na jego kurtce zwisał leniwie.

– Co ci, Miluś? Powinieneś wystawić tablicę na zewnątrz czy coś.

– Pierdolę cię uprzejmie – odpowiedział Miluś, przenosząc językiem zapałkę z jednego kącika ust w drugi.

Didier odrzucił gazetę i chwycił mnie w objęcia.

– Do twarzy ci z opalenizną – powiedział.

Przez chwilę przyglądał mi się z wnikliwością policjanta.

– Wyglądasz jak dupler! Tak to się mówi? Nie gwiazdor, tylko ten gość, co robi za niego całą czarną robotę.

– To dubler, ale dupler też może być. Przywitaj się z drugim duplerem, Naveenem Adairem.

– A, z tym detektywem! – zawołał Didier, serdecznie ściskając dłoń Naveenowi i omiatając profesjonalnym spojrzeniem jego wysoką, muskularną sylwetkę. – Słyszałem o tobie od mojej przyjaciółki dziennikarki Kawity Singh.

– O panu też pisała – odparł Naveen z uśmiechem. – I pozwolę sobie stwierdzić, że spotkanie bohatera tych wszystkich historii jest dla mnie zaszczytem.

– Nie spodziewałem się młodzieńca o tak nieskazitelnych manierach – odpowiedział szybko Didier, wskazując krzesła i dając znak Milusiowi. – Co zamawiacie? Piwo? Miluś! Trzy bardzo zimne piwa, proszę!

– Pierdolę cię uprzejmie – wymamrotał Miluś, wlokąc się do kuchni w kapciach, które nosił pod koniec zmiany.

– Odrażający cham – powiedział Didier, patrząc za nim. – Ale ta naturalna wulgarność jakoś dziwnie mnie pociąga.

Było nas trzech, ale usiedliśmy przy stoliku rzędem pod ścianą, patrząc nad chmarą stolików na szerokie łuki wychodzące na ulicę. Didier omiatał restaurację wzrokiem jak rozbitek wodzący spojrzeniem po horyzoncie.

– No? – rzucił, skłaniając ku mnie głowę. – Jak przygoda w Goa?

Wyjąłem z kieszeni plik listów przewiązanych niebieską wstążeczką i podałem mu go. Didier przez chwilę trzymał go w stulonych dłoniach jak rannego ptaszka.

– Czy… czy musiałeś go pobić? – spytał, nie odrywając oczu od listów.

– Nie.

– Och… – westchnął, szybko na mnie zerkając.

– Powinienem?

– Nie, skąd – zapewnił, ocierając łzę. – Didier nie płaci za takie rzeczy.

– Przecież mi nie zapłaciłeś.

– Zasadniczo, nic ci nie płacąc, również ci płacę. Prawda, Naveen?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparł Naveen. – Więc, oczywiście, zgadzam się ze wszystkim.

– Po prostu – chlipnął Didier, spoglądając na listy – myślałem, że będzie choć trochę bronić moich listów miłosnych. Że… została chociaż iskierka uczucia.

Przypomniałem sobie wykrzywioną małpim grymasem nienawiści twarz Gustava, gdy ubliżając genitaliom swojego byłego kochanka, wyrzucił plik listów na wysypisko śmieci za oknem bungalowu.

Musiałem mu przebić ucho paznokciem kciuka, żeby skłonić go do wejścia do dołu z odpadkami, wyjęcia listów, wytarcia ich do czysta i oddania ich mnie.

– Nie – powiedziałem. – Iskierka zgasła.

– Ha. Dziękuję – westchnął Didier, kładąc listy na kolanach. – Sam bym pojechał, gdyby nie ten drobiazg, że w Goa jestem poszukiwany.

– Dobrze, że wiesz, gdzie jesteś poszukiwany – powiedziałem. – Ja nie nadążam. Mógłbyś wytapetować pokój tymi żółtymi świstkami. Już mnie zmęczyło oczyszczanie cię ze wszystkich zarzutów.

– Ale w całych Indiach wystawiono na mnie tylko cztery nakazy aresztowania.

– Tylko?

– Kiedyś było ich dziewięć. Chyba się… nawróciłem? – Didier wydął usta, wymawiając to niesmaczne słowo.

– Zniesławienie – zauważył Naveen.

– O, dziękuję. Jesteś… bardzo sympatycznym młodzieńcem. Lubisz broń?

– Nie idzie mi z relacjami – odpowiedział Naveen, kończąc piwo i wstając. – Potrafię nawiązać więź tylko z bronią w ręku.

– W tym mogę ci pomóc – rzucił Didier ze śmiechem.

– Na pewno – zgodził się Naveen, również ze śmiechem. – Lin, ten gość w garniturze, ten, co śledzi Zodiakalnych George'ów… zajmę się tym i powiadomię cię.

– Uważaj. Jeszcze nie wiemy, co się dzieje.

– Spokojnie. – Uśmiechnął się jak wcielenie nieustraszonej, nieśmiertelnej młodości. – Teraz się pożegnam. Didier, to były przyjemność i zaszczyt. Do zobaczenia.

Patrzyliśmy, jak wychodzi w mgiełkę przedwieczoru. Didier ściągnął brwi.

– Co? – spytałem.

– Nic!

– Co, Didier?

– Nic nie powiedziałem.

– Wiem, ale znam to spojrzenie.

– Jakie spojrzenie? – spytał z takim oburzeniem, jakbym mu zarzucił, że wypił mi

drinka. Didier Levy miał czterdzieści parę lat. W jego ciemnych kędzierzawych włosach pojawiły się pierwsze zimowe spiralki bieli. Rozświetlone, łagodnie błękitne tęczówki unosiły się w anemonowym patchworku czerwonych żyłek w jego białkach, dzięki czemu ten sam uśmiech nadawał mu wygląd jednocześnie młodego i rozwiązłego: psotny chłopiec, nadal ukrywający się we wnętrzu podupadającego mężczyzny. Pijał wszystkie gatunki alkoholu, o każdej porze dnia i nocy, ubierał się jak dandys, gdy inni dandysi już dawno rozpłynęli się w upale, palił wyrafinowane blanty ze zrobionej na zamówienie papierośnicy, był zawodowcem w większości przestępstw, w kilku – nawet mistrzem, i nie krył swojej orientacji seksualnej w mieście, które nadal reagowało na nią dezorientacją.

Poznawałem go przez pięć lat walki z wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Był odważnym człowiekiem – stawał razem z tobą przed lufami i nigdy nie uciekał, bez względu na to, co się działo.

Był prawdziwy. Dawał wyraz swojej unikatowości w czasie, gdy możemy decydować, kim się stać. Znałem go w latach utraconej miłości, niebezpiecznego porywu żądzy i pokornego wniebowzięcia, jego i mojego. I spędziłem z nim dość tych długich, wilczych, samotnych nocy, by go pokochać.

– To spojrzenie – powtórzyłem. – Spojrzenie, które świadczy, że wiesz coś, o czym powinni wiedzieć wszyscy. To spojrzenie, które mówi: „A nie mówiłem?”, zanim coś w ogóle powiesz. Więc powiedz, zanim usłyszę: „A nie mówiłem?”.

Urażona mina Didiera rozpłynęła się w uśmiechu i znikła w śmiechu.

– To coś więcej niż: „A nie mówiłem?”. Bardzo lubię tego chłopca. Bardziej, niż się spodziewałem. I bardziej, niż powinienem, bo o tym Naveenie Adairze krążą plotki.

– Gdyby plotki mogły głosować, bylibyśmy prezydentami.

– To prawda. Ale plotki o tym chłopcu niepokoją. Mądrej głowie dość dwie słowie; tak brzmi to powiedzenie?

– Tak, ale zawsze się zastanawiałem, dlaczego „dwie słowie”.

– Podobno bardzo, bardzo dobrze posługuje się pięściami. Na uniwersytecie boksował. Mógłby być mistrzem Indii. Jego pięści to śmiercionośna broń.

I jak słyszałem, nie waha się – może zanadto – ich używać.

– Ty też się nie wahasz, Didier. I mnie też niewiele potrzeba.

– Wielu mężczyzn padło na kolana przed tym młodzieńcem. Niedobrze, że człowiek tak młody widział tak wielu pokonanych. Za tym uroczym młodym uśmiechem kryje się wiele krwi.

– Za twoim uroczym uśmiechem też kryje się wiele krwi, przyjacielu.

– Dziękuję – powiedział, odrzucając siwiejące loki. – Mówię tylko, że z tego, co słyszałem, wynika, że powinienem od razu zastrzelić tego przystojnego młodzieńca, zamiast wdawać się z nim w bójkę.

– W takim razie dobrze, że nosisz przy sobie broń.

– Mówię… wybacz mi ten nietakt… poważnie. A wiesz, jak wielki niesmak czuję do wszystkiego co poważne.

– Zapamiętam. Daję słowo. Pójdę już.

– Zostawiasz mnie tutaj, żebym pił samotnie, a sam idziesz do niej? – rzucił Didier szyderczo. – Myślisz, że na ciebie czeka po tych trzech tygodniach w Goa? Dlaczego sądzisz, że nie znalazła sobie zieleńszej trawy, jak mawiacie wy, Anglicy, z tak uroczą prowincjonalnością.

– Ja też cię kocham, bracie – powiedziałem, ściskając mu dłoń.

Wyszedłem na tętniącą życiem ulicę i znowu obejrzałem się na niego.

Trzymał plik odzyskanych listów miłosnych i machał mi na pożegnanie.

To mnie zatrzymało. Poczułem – co zdarzało mi się często – że go opuściłem. Wiedziałem, że Didier był prawdopodobnie najbardziej samowystarczalnym przemytnikiem w mieście. Należał do ostatnich niezależnych gangsterów, którzy nie byli winni nic – nawet strachu – mafiom, policjantom i ulicznym gangom rządzącym jego podziemnym światkiem.

Ale istnieją tacy ludzie, tacy ukochani, którzy martwią się każdym pożegnaniem i pozostawienie ich jest jak porzucenie ojczyzny. Didier, mój stary przyjaciel, Naveen, mój nowy przyjaciel, i Bombaj, moje Miasto Wysp – moje tak długo, jak długo mnie zechce – każde z was jest niebezpieczne na własny szczególny sposób.

Gdy przed laty przybyłem do Bombaju, byłem obcym przybyszem w nowej dżungli. Mężczyzna, którym się stałem, spoglądał na obcych z gęstwiny miejskiej dżungli. Byłem w domu. Znałem teren.

I stałem się twardszy – być może – bo czegoś mi brakowało, czegoś, co powinno się znajdować tuż koło serca. Uciekłem z więzienia. Didier uciekł przed sprawiedliwością. Naveen uciekł z ulicy, a miasto uciekło przed morzem, kamień po kamieniu zmienione pracą mężczyzn i kobiet w wyspę.

Pomachałem Didierowi, a on się uśmiechnął i dotknął listami czoła. Ja też się uśmiechnąłem i poczułem, że mogę go zostawić. Żaden uśmiech nie zadziała, żadne pożegnanie nie złagodzi bólu, żadne serdeczne słowo nie przyniesie ocalenia, jeśli

kryjąca się w nas prawda nie będzie piękna. A najważniejsza prawda na temat nas, ludzi, brzmi tak, że jesteśmy połączeni czystą miłością, której nie znają inne stworzenia.

# 3

Od Leopolda do mojego mieszkania miałem blisko. Zjechałem z zatłoczonej turystycznej ulicy, minąłem posterunek policji w Kolabie i dotarłem do zakrętu, znanego wszystkim kierowcom taksówek w Bombaju jako Elektryczny Dom.

Po skręcie w prawo z obsadzonej drzewami ulicy za posterunkiem ujrzałem narożnik więzienia. Siedziałem w tych celach. Gdy przejeżdżałem powoli, moje oczy zdradziły mnie i spojrzały na wysokie zakratowane okna. Mała kaskada wspomnień, smród otwartych latryn, kłębowisko mężczyzn, walczących o odrobinę czystsze miejsce przy kratach. Przy następnym narożniku skręciłem w bramę prowadzącą na dziedziniec budynku Beaumont Villa, gdzie zatrzymałem rower. Skinąłem głowę strażnikowi i pobiegłem na trzecie piętro, przeskakując po trzy schodki naraz.

Otworzyłem drzwi, zadzwoniwszy parę razy. Wszedłem przez salon do kuchni, rzuciłem w przelocie torbę i klucze na stół. Nie znalazłem jej ani tam, ani w sypialni, więc wróciłem do salonu.

– Cześć, skarbie – zawołałem z amerykańskim akcentem. – Wróciłem.

Jej śmiech wpadł do pokoju przez powiewające firanki na tarasie. Rozgarnąłem je i zobaczyłem ją, klęczącą z rękami w ziemi ogródka wielkości walizki. Wokół niej kręciło się małe stadko gołębi, dziobiących okruszki i przeganiających się nawzajem.

– Zadajesz sobie tyle kłopotu, żeby zrobić tu ogród – odezwałem się – a potem pozwalasz, żeby ptaki ci go rozdziobały.

– Nic nie rozumiesz – powiedziała Lisa, zwracając na mnie oczy w kolorze akwamaryny. – Urządziłam ogród, żeby przyciągnąć ptaki. To na nich mi zależało.

– Ty jesteś moim stadkiem ptaków – powiedziałem, kiedy wstała, żeby mnie pocałować.

– Cudownie – rzuciła przekornie. – Pisarz znowu wrócił do domu.

– I jest cholernie zadowolony, że cię widzi. – Zacząłem ciągnąć ją w stronę sypialni.

– Uświniłam sobie ręce! – zaprotestowała.

– Mam nadzieję na świństwa.

– Nie, serio! – Cofnęła się ze śmiechem. – Weźmiemy prysznic…

– Mam nadzieję.

– Ty weźmiesz prysznic – powtórzyła, omijając mnie z daleka – i natychmiast się przebierzesz.

– Przebiorę? A po co nam jakieś ubrania?

– Potrzebne. Wychodzimy.

– Lisa, dopiero wróciłem. Po dwóch tygodniach.

– Po prawie trzech. I będzie mnóstwo czasu, żeby się przywitać, zanim powiemy sobie „dobranoc”.

– Przywitanie brzmi jakoś podobnie do pożegnania.

– Powitanie jest zawsze pierwszą częścią pożegnania. Idź się zmoczyć.

– Dokąd idziemy?

– To ci się spodoba.

– Czyli bardzo mi się nie spodoba, tak?

– Galeria sztuki.

– O, świetnie.

– Odwal się – rzuciła ze śmiechem. – Są dobrzy. Kontrowersyjni. Prawdziwi artyści. Będziesz zachwycony. I to naprawdę ważne wydarzenie. Jeśli się nie pospieszysz, spóźnimy się. I bardzo się cieszę, że wróciłeś na czas.

Zmarszczyłem brwi.

– No, weź. – Roześmiała się. – Co nam zostanie, gdy zabraknie sztuki?

– Seks. Jedzenie. I znowu seks.

– W galerii będzie mnóstwo jedzenia – oznajmiła, popychając mnie w stronę prysznica. – I pomyśl, jak wdzięczne będzie twoje stadko ptaków, kiedy wrócimy z tej galerii, do której stadko bardzo, bardzo chce iść i do którego się spóźnimy, jeśli nie wleziesz pod ten prysznic natychmiast!

W kabinie zdjąłem koszulę przez głowę. Lisa odkręciła wodę, która smagnęła moje plecy i dżinsy.

– Hej! – krzyknąłem. – To moje najlepsze spodnie!

– W których chodziłeś przez wiele tygodni! – zawołała Lisa z kuchni. – Dziś włożysz drugie najlepsze.

– I jeszcze nie dałem ci prezentu! Mam go w kieszeni tych dżinsów, które przemoczyłaś!

Lisa stanęła w drzwiach.

– Przyniosłeś mi prezent?

– Oczywiście.

– Dobrze. To słodkie. Spojrzę na niego później.

Znowu zniknęła mi z oczu.

– Dobrze! – rzuciłem za nią. – Tak zróbmy. Jak już się ubawimy w galerii.

Wychodząc spod prysznica, usłyszałem, jak Lisa śpiewa piosenkę z indyjskiego filmu. Przypadkiem, a może za sprawą tej synchroniczności, która przeplata się przez spiralne komnaty miłości, była to ta sama piosenka, którą śpiewałem zaledwie parę godzin temu na ulicy, idąc z Vikramem i Naveenem. A później, kiedy zabieraliśmy nasze rzeczy, nuciliśmy tę piosenkę razem.

Zasady ruchu w Bombaju obmyślili akrobaci z myślą o małych słoniach. Po dwudziestu minutach motocyklowych wyczynów dotarliśmy do Cumballa Hill, bogatej dzielnicy na najbardziej prestiżowym bombajskim wzgórzu.

Zaparkowałem motocykl przed modnie kontrowersyjną galerią Backbeat u wylotu modnie ortodoksyjnej Carmichael Road. Przed galerią stały drogie zagraniczne samochody i bogate miejscowe osoby.

Lisa wprowadziła mnie do środka, lawirując w gęstym tłumie. Ciżba stłoczona w podłużnym pomieszczeniu pewnie dwukrotnie przekraczała dopuszczalne normy stu pięćdziesięciu osób, widniejące na znaku ostrzegawczym straży pożarnej przy wejściu.

„Jeśli nie znosisz gorąca, wyjdź z płonącego budynku”.

Lisa w końcu odszukała swoje przyjaciółki i przystąpiliśmy do poznawania się z niemal anatomiczną dokładnością.

– To Rosanna – oznajmiła Lisa, wciśnięta koło niskiej dziewczyny z dużym, ozdobnym złotym krzyżykiem; stopy przybitego do niego Zbawiciela znajdowały się tuż między jej piersiami. – A to Lin. Właśnie wrócił z Goa.

– W końcu się poznajemy – powiedziała Rosanna, wpierając się we mnie piersią, kiedy podniosła rękę, żeby przesunąć nią po krótkich, najeżonych włosach. Mówiła z amerykańskim akcentem, ale z indyjskimi samogłoskami. – Co cię sprowadziło do Goa?

– Listy miłosne i rubiny.

Rosanna zerknęła na Lisę.

– Nie patrz na mnie – westchnęła Lisa, wzruszając ramionami.

– Ale z ciebie dziwak, kurde! – zawołała Rosanna głosem przerażonej papugi. – Chodź ze mną! Musisz poznać Tadża. On uwielbia dziwaków, *yaar*.

Rosanna przepchnęła nas przez tłum do wysokiego, przystojnego młodzieńca o sięgających ramion włosach, lśniących od perfumowanego olejku. Stał przed wielką, prawie trzymetrową kamienną rzeźbą, przedstawiającą dzikiego człowieka.

Na tabliczce obok rzeźby widniała jej nazwa: ENKIDU. Artysta powitał Lisę pocałunkiem w policzek, a potem podał mi rękę.

– Tadż – powiedział, przyglądając mi się z życzliwą, nieskrywaną ciekawością. – A ty musisz być Lin. Lisa wiele mi o tobie opowiadała.

Uścisnąłem mu rękę i pozwoliłem sobie zajrzeć mu w oczy, a potem przeniosłem wzrok na wielką rzeźbę za jego plecami. Tadż lekko odwrócił głowę, idąc za moim spojrzeniem.

– Co sądzisz?

– Podoba mi się. Kupiłbym go, gdybym miał trochę wyższe mieszkanie z mocniejszą podłogą.

– Dzięki – rzucił ze śmiechem.

Położył rękę na piersi kamiennego wojownika.

– Właściwie nie wiem, kto to. Poczułem, że chcę go zobaczyć, stojącego naprzeciwko mnie. Tak po prostu. Żadnych metafor, psychologii, nic.

– Goethe powiedział, że wszystko jest metaforą.

– A to dobre – powiedział Tadż, znowu ze śmiechem. Jego łagodne, brązowe jak kora oczy zalśniły. – Mogę użyć tego cytatu? Mógłbym go wydrukować i umieścić obok tego oto pana. Może wtedy łatwiej się sprzeda.

– Oczywiście. Pisarze nie umierają, dopóki ludzie ich cytują.

– Wystarczy tego dobrego – przerwała Rosanna, chwytając mnie za ramię. – Teraz chodź zobaczyć moje prace.

Zaprowadziła Lisę i mnie przez pijący, palący, śmiejący się i krzyczący tłum pod ścianę naprzeciwko wysokiej rzeźby. Na wysokości oczu przez połowę pokoju ciągnęły się gipsowe płaskorzeźby. Pomalowano je tak, że imitowały brąz, a każda z nich opowiadała kolejną część historii.

– Chodzi o zabójstwa Sapny – wyjaśniła Rosanna, krzycząc mi do ucha. – Pamiętasz? Parę lat temu? Jeden szaleniec namawiał służących, żeby się zbuntowali i zabili swoich bogatych panów. Pamiętasz? Pisały o tym wszystkie gazety.

Pamiętałem morderstwa Sapny. I znałem prawdę o nich lepiej od Rosanny i lepiej niż ktokolwiek w Bombaju, Mieście Wysp. Szedłem powoli od płaskorzeźby do płaskorzeźby, przyglądając się długim szeregom postaci z historii Sapny. Zakręciło mi się w głowie. Widziałem historie ludzi, których znałem – ludzi, którzy zabijali i umierali, a w końcu stali się malutkimi figurkami, zaklętymi przez artystkę we fryzie.

Lisa pociągnęła mnie za rękaw.

– Co się dzieje?

– Chodźmy do zielonej sali! – krzyknęła.

– Dobrze, dobrze.

Poszliśmy za Rosanną przez dżunglę pocałunków i wyciągniętych rąk. Rosanna pokrzykiwała i wrzeszczała przez całą drogę. Wystukała rytmiczny sygnał na drzwiach. Kiedy nam otworzono, wepchnęła nas do ciemnego pomieszczenia, oświetlonego czerwonymi motocyklowymi reflektorami zawieszonymi na grubych kablach. W pomieszczeniu znajdowało się około dwudziestu osób, siedzących na krzesłach, sofach i podłodze. Było tu o wiele ciszej. Dziewczyna, która podeszła do mnie, by podać mi blanta, mówiła ochrypłym szeptem, który zadziałał na mnie jak ręka pieszcząca moje krótkie włosy.

– Chcesz się sponiewierać? – spytała retorycznie, podając mi jointa w nadnaturalnie długich palcach.

– Spóźniłaś się – powiedziała Lisa szybko, przejmując blanta. – Los cię uprzedził.

Wzięła bucha i oddała papierosa dziewczynie.

– To Anuszka – wyjaśniła.

Długie palce Anuszki zamknęły moją dłoń w uścisku.

– Artystka performatywna – dodała Lisa.

– Co ty nie powiesz – powiedziałem.

Anuszka pochyliła się, żeby pocałować mnie lekko w policzek, przytrzymując jedną ręką tył mojej głowy.

– Powiedz, kiedy przestać – szepnęła.

Kiedy doszła do szyi, powoli odwróciłem głowę, aż napotkałem spojrzenie Lisy.

– Wiesz co, miałaś rację. Faktycznie lubię twoje przyjaciółki. I naprawdę dobrze się bawię w tej galerii, choć w życiu bym nie pomyślał.

– Dobra – rzuciła Lisa, odciągając Anuszkę. – Koniec występu.

– Bis! – zaryzykowałem.

– Nie ma bisów. – Lisa pociągnęła mnie w kierunku jakiegoś trzydziestoletniego mężczyzny, przy którym usiedliśmy na podłodze.

Mężczyzna miał ogoloną, błyszczącą głowę i nosił kurtkę i spodnie w kolorze brudnej pomarańczy.

– To Risz. To on zorganizował tę wystawę. Sam też pokazuje swoje prace. Risz, to Lin.

– Siema. – Risz uścisnął mi dłoń. – Jak ci się tu podoba?

– Performance jest rewelacyjny – odpowiedziałem, patrząc, jak Anuszka pochyla się, by ukąsić nieprotestującą ofiarę.

Lisa klepnęła mnie mocno w ramię.

– Żartuję. Wszystko jest fajne. I przyciągnęliście tłum. Gratulacje.

– Mam nadzieję, że będą mieli ochotę kupować – powiedziała Lisa.

– Jeśli nie, Anuszka ich przekona.

Lisa znowu uderzyła mnie w ramię.

– A Lisa może ich zdzielić.

– Mieliśmy szczęście – powiedział Risz z uśmiechem, podając mi jointa.

– Nie, dziękuję. Nie palę, kiedy prowadzę. Szczęście w czym?

– O mało nic z tego nie wyszło. Widziałeś ten duży portret Rama? Ten pomarańczowy?

Wielkie, w większości pomarańczowe malowidło wisiało tuż koło kamiennej rzeźby Enkidu. Nie od razu uświadomiłem sobie, że znajdująca się na jego środku uderzająca postać to hinduski bóg.

– Moralna policja z obłąkanej religijnej prawicy – wyjaśnił Risz. – Nazywają się Włócznią Karmy. Dowiedzieli się o tym obrazie i usiłowali doprowadzić do zamknięcia wystawy. Skontaktowaliśmy się z ojcem Tadża. To znany prawnik, mający dojścia do sekretarza generalnego. Zdobył nakaz sądowy, dzięki któremu mogliśmy jednak otworzyć.

– Kto to namalował?

– Ja – oznajmił Risz. – A co?

– Dlaczego postanowiłeś namalować taki obraz?

– Twierdzisz, że istnieją tematy, których nie powinienem poruszać?

– Pytam, dlaczego wybrałeś właśnie ten.

– Ze względu na wolność artystycznej wypowiedzi.

– *Viva la revolution* – zamruczała Anuszka, siadając przy Riszu i kładąc mu się na kolanach.

– Jaką wolność? – spytałem. – Waszą czy ich?

– Włóczni Karmy? – prychnęła Rosanna. – Obłąkane faszystowskie pojeby, jeden w drugiego. Nic nie znaczą. To peryferyjna grupa. Nikt ich nie słucha.

– Peryferyjne grupy przeważnie torują sobie drogę do centrum, które je ignoruje lub obraża.

– Co? – rzuciła się Rosanna.

– To prawda – zgodził się Risz. – Już dopuścili się paru aktów przemocy. Nie ma co do tego wątpliwości. Ale działają głównie w centrach regionalnych i wioskach. Tam pobiją księdza, gdzie indziej spalą kościół, takie rzeczy. Nigdy nie zdobędą w Bombaju rzesz zwolenników.

– Zasrani obłąkani fanatycy – rzucił zapalczywie brodaty młodzieniec w różowej koszuli. – Najgłupsi ludzie świata!

– Nie możesz tak mówić – odezwałem się cicho.

– Powiedziałem! – odpalił młodzieniec. – Więc się pierdol. Powiedziałem. Więc mogę.

– W porządku. Chodziło mi o to, że nie możesz tak mówić, bo to stwierdzenie bez pokrycia. Na tej samej zasadzie możesz powiedzieć nawet, że księżyc to ozdoba na Diwali. Nie można twierdzić, że wszyscy ludzie, którzy mają inne zdanie niż ty, są głupi.

– To jacy są? – spytał Risz.

– Pewnie znasz ich i ich sposób myślenia lepiej niż ja.

– Nie, wyjaśnij mi to.

– No dobrze. Moim zdaniem są wierzący. I to wierzący żarliwie. Pewnie kochają Boga, są w nim rozkochani, a kiedy przedstawia się go w niepobożny sposób, to obraża ich wiarę.

– Więc twierdzisz, że nie powinniśmy zorganizować tej wystawy?

– Tego nie chciałem powiedzieć.

– Co to za kolo? – rzucił młody brodacz w pustkę.

– Proszę – nie rezygnował Risz. – Powiedz, co *chciałeś* powiedzieć.

– Szanuję twoje prawo do tworzenia i prezentowania swojej sztuki, ale uważam, że prawo łączy się z obowiązkami i że jako artyści mamy obowiązek nie ranić nikogo w

imię sztuki. Może to dopuszczalne w imię prawdy, sprawiedliwości i wolności. Ale nie sztuki.

– Dlaczego?

– Gdy wyrażamy siebie, sięgamy do osiągnięć artystów, którzy żyli przed nami. Musimy pozostać wierni tym, co w nich najlepsze. To nasz obowiązek.

– Co to za kolo? – spytał młody brodacz szeregu motocyklowych reflektorów.

– Więc jeśli ktoś się poczuje urażony, to będzie moja wina? – spytał Risz cicho i poważnie.

Zaczynałem go lubić.

– Powtarzam – upierał się młody brodacz – co to za kolo?

Jego już nie lubiłem.

– Kolo, który ci przetrzepie gramatykę – powiedziałem cicho – jeśli jeszcze raz zwrócisz się do mnie w trzeciej osobie.

– To pisarz – rzuciła Anuszka, ziewając. – Kłócą się, bo…

– Bo mogą – przerwała Lisa, ciągnąc mnie za rękę. – Chodź, Lin. Pora zatańczyć.

Ze stojących na podłodze głośników buchnęła muzyka.

– Uwielbiam tę piosenkę! – mruknęła Anuszka. Poderwała się i podniosła Risza. – Zatańcz ze mną!

Przez chwilę trzymałem Lisę w objęciach. Pocałowałem ją w szyję.

– Śmiało – uśmiechnąłem się. – Wytańcz się. Ja jeszcze raz rzucę oldem na wystawę. Do zobaczenia na dworze.

Lisa pocałowała mnie i dołączyła do tańczących. Ja przedarłem się przez tłum, brnąc pod prąd fal muzyki.

W galerii stanąłem znowu przed brązowymi gipsowymi płaskorzeźbami, opowiadającymi historię morderstw Sapny. Usiłowałem rozstrzygnąć, czy był to koszmar artysty, czy mój.

Straciłem wszystko. Odebrano mi prawo do opieki nad córką. Pogrążyłem się w uzależnieniu od heroiny i napadach z bronią w ręku. Złapano mnie i skazano na dziesięć lat ciężkich robót w więzieniu o zaostrzonym rygorze. Mógłbym powiedzieć, że byłem bity przez pierwsze dwa i pół roku. Mógłbym podać pół tuzina innych racjonalnych przyczyn, dla których uciekłem z tego obłąkanego więzienia, ale prawda wyglądała tak, że pewnego dnia wolność stała się dla mnie droższa od własnego życia. I tego dnia przestałem się zgadzać na uwięzienie. Od tamtego dnia na zawsze. Uciekłem i stałem

się ściganym banitą.

Uciekając, opuściłem Australię i przez Nową Zelandię trafiłem do Indii. Po pół roku w wiosce na odludziu w Maharasztrze nauczyłem się języka wieśniaków. Półtora roku w miejskich slumsach pozwoliło mi opanować język ulicy.

W Bombaju znowu trafiłem do więzienia, jak to się czasem zdarza uciekinierom. Człowiekiem, który wykupił mnie z więzienia, był szef mafii, Kadirbaj. Wiedział, jak się mną posłużyć. Potrafił znaleźć rolę dla każdego. A kiedy pracowałem dla niego, żaden bombajski policjant mnie nie niepokoił i żadne więzienie nie proponowało mi swoich usług.

Fałszowanie paszportów, przemyt, złoto z czarnego rynku, nielegalny handel walutami, wymuszanie haraczu, wojny gangów, Afganistan, wymierzanie sprawiedliwości – mafia wypełniła mi całe łata. I nic z tego nie miało dla mnie większego znaczenia, ponieważ most w przeszłość, do mojej rodziny i przyjaciół, nazwiska, narodowości i wszystkiego, co przed Bombajem stanowiło o mojej tożsamości, zniknął, jak ci nieżyjący ludzie zastygli na malowanej na brąz płaskorzeźbie Rosanny.

Wyszedłem z galerii, utorowałem sobie drogę w rzednącym tłumie i dotarłem do motocykla, na którym usiadłem. Znajdowałem się po drugiej stronie ulicy naprzeciwko wejścia.

Na ścieżce koło mnie zebrała się spora grupa ludzi, w większości miejscowych z okolicznych kwater dla służących. Stanęli w chłodzie nocy, by podziwiać piękne samochody i eleganckich gości wchodzących i wychodzących z wernisażu. Słyszałem ludzi mówiących w marathi i hindi. Komentowali samochody, biżuterię i ubrania z prawdziwym podziwem i przyjemnością. Nikt nie odzywał się zazdrośnie czy niechętnie. Byli to biedacy żyjący w trudzie i strachu, zawierających się w słowie „bieda”, ale na klejnoty i jedwabie bogaczy patrzyli z radosną, pozbawioną zawiści niewinnością.

Gdy z galerii wyłonił się znany przemysłowiec i jego żona, gwiazda filmowa, zebrani westchnęli z podziwem. Kobieta miała na sobie iskrzące się drogimi kamieniami żółto-białe sari. Odwróciłem głowę, by spojrzeć na ludzi uśmiechających się i szepczących z podziwem, jakby kobieta była ich sąsiadką – i zauważyłem stojących na uboczu trzech mężczyzn.

Patrzyli przed siebie kamiennym, nieruchomym wzrokiem. Z ich ciemnych, martwych oczu złość biła tak intensywnymi falami, że czułem ją na skórze jak wodny pył.

I nagle, jakby poczuli, że ich obserwuję, odwrócili się jednocześnie i spojrzeli mi

prosto w oczy z oczywistą bezpodstawną nienawiścią.

Wpatrywaliśmy się w siebie, gdy radosny tłum wzdychał z zachwytu, limuzyny przejeżdżały obok nas, a flesze błyskały. Pomyślałem o Lisie, która nadal znajdowała się w galerii. Ci mężczyźni prowokowali wzrokiem czający się we mnie mrok. Powoli sięgnąłem po dwa noże w płóciennych pochwach, przymocowanych do paska na plecach.

– Hej! – zawołała Rosanna, klepiąc mnie w ramię.

Odruchowo chwyciłem ją jedną ręką za przegub, drugą popychając do tyłu.

– No co! Spokojnie! – rzuciła zaskoczona.

– Przepraszam – burknąłem, puszczając jej rękę.

Szybko odwróciłem się, szukając tych nienawistnych oczu. Trzej mężczyźni zniknęli.

– Wszystko w porządku? – spytała Rosanna.

– Jasne – powiedziałem, znowu odwracając się do niej. – Jasne. Przepraszam. Już skończyliście?

– Mniej więcej. Skończymy po wyjściu wielkich gwiazd. Lisa powiedziała, że nie przepadasz za Goa. Dlaczego? Ja stamtąd pochodzę, wiesz?

– Domyśliłem się.

– To co masz przeciwko Goa?

– Nic. Po prostu za każdym razem, kiedy tam jadę, ktoś prosi mnie o niewygodną przysługę.

– To nie jest moje Goa – odparła.

Nie broniła się. Po prostu stwierdzała fakt.

– Może i nie – zgodziłem się z uśmiechem. – I Goa jest duże. Znam tylko parę plaż i miast.

Przyglądała się uważnie mojej twarzy.

– Powiedziałeś, że co to było? Rubiny i co?

– Rubiny i listy miłosne.

– Ale nie pojechałeś tam tylko po to, prawda?

– Tylko po to – skłamałem.

– Gdybym stwierdziła, że załatwiałeś tam interesy czarnego rynku, bardzo bym spudłowała?

Pojechałem na Goa, żeby odebrać dziesięć pistoletów. Zostawiłem je u człowieka

mafii w Bombaju, zanim poszedłem do Vikrama, żeby mu oddać naszyjnik. Podejrzenia o czarnorynkową działalność były bliskie prawdy.

– Słuchaj…

– Przyszło ci do głowy, że to wy stanowicie problem? Ludzie tacy jak ty, którzy przyjeżdżają do Indii, przywożąc problemy, których nam nie potrzeba?

– W Indiach było dość problemów, zanim się tu zjawiłem, i będzie ich równie wiele, kiedy odjadę.

– Mówimy o tobie, nie o Indiach.

Miała rację; dwa noże uwierające mnie w plecy przypominały mi o tym.

– Masz rację – ustąpiłem.

– Tak?

– Tak. Oznaczam kłopoty. Ty w tej chwili też, jeśli mogę zauważyć.

– Lisa nie potrzebuje kłopotów przez ciebie – powiedziała, marszcząc brwi.

– Nie – powiedziałem spokojnie. – Nikt nie potrzebuje kłopotów.

Przyglądała mi się jeszcze przez chwilę; jej piwne oczy szukały czegoś na tyle szerokiego czy głębokiego, żeby nadać kontekst rozmowie. W końcu się roześmiała i odwróciła wzrok, przeciągając ciężką od pierścieni ręką przez nastroszone włosy.

– Przez ile dni będzie otwarta wystawa? – spytałem.

– Dali nam jeszcze tydzień – powiedziała, patrząc na gości opuszczających galerię. – Jeśli oczywiście wariaci nie doprowadzą do jej zamknięcia.

– Na waszym miejscu zapłaciłbym za ochronę. Postawiłbym paru dużych, groźnych facetów w drzwiach. Podkupiłbym ochroniarzy z pięciogwiazdkowych hoteli. Niektórzy są bardzo dobrzy, a ci, co nie są, wyglądają, jakby byli.

– Wiesz coś?

– Nie. Widziałem tu paru facetów. Bardzo serio niezadowolonych. Myślę, że są niezadowoleni z tego, co jest w galerii.

– Nienawidzę tych zasranych fanatyków! – syknęła.

– Chyba z wzajemnością.

Zerknąłem w stronę galerii, gdzie Lisa całowała Risza i Tadża na pożegnanie.

– Jest Lisa.

Usiadłem na motocyklu i uruchomiłem silnik, który ożył z warknięciem i podjął cichy, bulgoczący pomruk. Lisa podeszła, żeby uściskać Rosannę, i usiadła za mną.

– *Phir milenge* – powiedziałem. „Do następnego spotkania”.

– Chyba że ja spotkam cię pierwsza.

Zjechaliśmy długim zboczem nad morze, a kiedy zatrzymaliśmy się na światłach, za nami stanęła czarna furgonetka. Odwróciłem się i ujrzałem mężczyzn z nienawistnymi spojrzeniami. Kłócili się.

Światła się zmieniły, a ja ich przepuściłem. Na tylnym oknie mieli nalepki o politycznej treści i symbole religijne. Przy pierwszej okazji skręciłem z głównej szosy.

Przez jakiś czas jechaliśmy bocznymi drogami, a ja martwiłem się zmianami, które dostrzegłem. Niby-brązowe płaskorzeźby Rosanny opowiadały brutalną historię Bombaju, ale mniej brutalną niż w rzeczywistości i mniej brutalną niż czyny fanatyków. Dawna przeszłość była tylko piaskiem niesionym przez nową falę, która już dopływała do brzegów Miasta Wysp. Uzbrojeni w pałki fanatycy polityczni napływali całymi transportami, a mafijne gangi niegdyś składające się z dwudziestu-trzydziestu mężczyzn, zwiększyły liczebność do setek wojowników. Jesteśmy tym, czego się boimy, a wielu z nas, mieszkańców tego miasta, bało się okrutnego dnia sądu.

# 4

Jadąc powoli, dotarliśmy do szerokiego luku Marine Drive, podążając za naszyjnikiem świateł odbitych w spokojnych wodach zatoki. Pierwsze mgnienie roziskrzonego gwiazdami morza sprawiło, że znowu zaczęliśmy rozmawiać i nie przestaliśmy, dopóki nie przejechałem przez podjazd naszego bloku, mijając pozdrawiającego nas odźwiernego, i nie zatrzymałem motocykla na zadaszonym parkingu.

– Idź na górę – powiedziałem. – Ja wytrę motocykl.

– Teraz?

– Teraz. Zaraz przyjdę.

Gdy kroki Lisy rozbrzmiały na marmurowych schodach, odwróciłem się do odźwiernego i wskazałem ją, kiwając głową. Zrozumiawszy, że chcę, żeby jej towarzyszył, ruszył szybkim krokiem po dwa stopnie naraz. Usłyszałem odgłos otwieranych drzwi i głos Lisy żegnającej się z odźwiernym. Szybko wymknąłem się boczną furtką na ścieżkę. Cicho dotarłem do wysokiego liściastego żywopłotu biegnącego wzdłuż parkingu.

Już zamierzałem wejść na parking, kiedy ujrzałem skuloną postać cofającą się w cień żywopłotu. Ktoś się tam czaił.

Wyciągnąłem nóż i zakradłem się w okolice furtki, przy której widziałem postać. Jakiś mężczyzna stanął przede mną, odwrócony do mnie tyłem, i ruszył w stronę parkingu.

Był to George Skorpion.

– Lin! – szepnął. – Jesteś tam, Lin?

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – spytałem, a on podskoczył.

– Lin! Omal się nie zesrałem ze strachu!

Zmarszczyłem brwi, czekając na wyjaśnienia.

Rozejm, który utrzymywał się od czasu ostatniej wielkiej wojny gangów w południowej części Bombaju, zbliżał się do końca. Młodzi mężczyźni, którzy nie brali udziału w tej wojnie ani w negocjacjach pokojowych, atakowali się nawzajem, łamiąc zasady spisane krwią lepszych od siebie. Także w naszej okolicy zdarzały się napady

rywalizujących z nami gangów. Bez przerwy zachowywałem czujność i byłem zły na siebie, bo omal nie skrzywdziłem przyjaciela.

– Już wam mówiłem, żebyście się nie zakradali do ludzi – warknąłem.

– Widzisz… przepraszam… – zaczął nerwowo George, rozglądając się na boki. – Bo… bo…

Strach ściskał mu gardło, nie pozwalając przemówić. Rozejrzałem się za miejscem, w którym mógłbym z nim porozmawiać.

Nie mogłem wyjść z nim na parking. Był włóczęgą, sypiał w bramach, więc gdyby zauważyli go mieszkańcy budynku, złożyliby skargę. Nie bałem się tego, ale wiedziałem, że odźwierny straciłby pracę.

Wziąłem Skorpiona za ramię i zaprowadziłem go przez ulicę do ukrytej w mroku ruiny. Usiadłem z nim w ciemnościach, zapaliłem blanta i podałem mu go.

– No, co tam, Skorpion?

– Chodzi o tego faceta – zaczął, zaciągając się głęboko. – Tego w ciemnym garniturze. Tego z CIA. Dostaję przez niego ciarek! Nie mogę pracować na ulicy. Nie mogę gadać z turystami. Wydaje mi się, że wszędzie go widzę, jak o mnie wypytuje. Czy ten twój znajomy, ten detektyw, no, ten Naveen, czy coś znalazł?

Pokręciłem głową.

– Jeden chłopak jechał za nim aż do Bandry, ale potem skończyły mu się pieniądze na taksówkę, no i go zgubił. Ten twój Naveen się nie odzywa. Myślałem, że coś już wiesz.

– Nie. Na razie nic.

– Boję się, Lin – powiedział George Skorpion, drżąc na całym ciele. – Chłopaki z ulicy go sprawdzili. I nic. Nie kupuje narkotyków, nie pije, nawet piwa. Nie bierze dziewczyn.

– Dowiemy się wszystkiego. Nic się nie martw.

– To dziwne. Naprawdę świruję, wiesz? – wyznał zatroskany Skorpion.

Wyjąłem z kieszeni zwitek sturupiowych banknotów i podałem mu go. Skorpion wyciągnął rękę z wahaniem, ale potem schował pieniądze za koszulę.

– Dzięki – powiedział, szybko podnosząc wzrok, by spojrzeć mi w oczy. – Czekałem, żeby cię poprosić o pomoc, bo nie pracowałem na ulicy. Odźwierny powiedział mi, że jeszcze nie wróciłeś. Ale potem zobaczyłem cię z Lisą i nie mogłem pozwolić, żeby mnie zauważyła. Nie chciałem prosić o pieniądze w jej obecności.

Bardzo mnie szanuje.

– Wszyscy czasem potrzebujemy pieniędzy. A lisa szanuje cię bez względu na to, czy masz pieniądze, czy nie.

W oczach George'a stanęły łzy. Nie chciałem ich widzieć.

– Słuchaj, ty i Bliźniak… – zacząłem, prowadząc go na drugą stronę ulicy. – Zgromadźcie zapasy, nakupujcie towaru i wynajmijcie pokój w Frantic. Zostańcie tam parę dni. Dowiemy się, kim jest ten facet i załatwimy sprawę, dobra?

– Dobra – powiedział, ściskając mi dłoń drżącą ręką. – Myślisz, że Frantic jest bezpieczny, tak?

– Tylko w tym hotelu tolerują ciebie i twój styl życia.

– A… no tak…

– I nie wpuszczą tego tajemniczego człowieka poza recepcję. Na pewno nie, jeśli przyjdzie w garniturze. Nie wychylajcie się, a będziecie bezpieczni, dopóki tego nie rozgryziemy.

– Dobrze, dobrze.

Odszedł, pochylając wysokie, chude ciało, żeby przejść pod zwisającymi gałęziami żywopłotu. Patrzyłem, jak idzie krokiem człowieka ulicy – w świetle latarni powoli i nonszalancko – „jak Boga kocham, nie mam nic do ukrycia" – przyspieszając w mrocznych miejscach. Dałem stojącemu obok mnie odźwiernemu dwadzieścia rupii i wszedłem po marmurowych schodach do mieszkania. Kiedy brałem prysznic, Lisa stała w drzwiach łazienki, a ja opowiedziałem jej o siwowłosym prześladowcy George'a Skorpiona.

– Ale kim on jest? – spytała, gdy wyszedłem z kabiny. – Czego chce od George'ów?

– Nie wiem. Naveen Adair, ten facet, o którym ci opowiadałem… Uważa, że to prawnik. Może i ma rację. To zmyślny chłopak. Tak czy tak, dowiemy się, kim jest ten facet.

Wytarłem się i padłem na łóżko obok Lisy, opierając głowę o atłasowe tchnienie jej piersi. Z tej pozycji widziałem jej nagie ciało aż do stóp.

– Rosanna cię lubi – powiedziała, zmieniając kierunek naszej rozmowy eleganckim ruchem obu stóp.

– Wątpię.

– Dlaczego? Co się wydarzyło?

– Nic się nie… wydarzyło.

– Coś się wydarzyło, kiedy rozmawiałeś z nią na dworze. Co jej powiedziałeś?

– Rozmawialiśmy tylko… o Goa.

– O, nie – jęknęła Lisa. – Ona szaleje za Goa.

– Zdołałem się zorientować.

– Ale ona cię naprawdę lubi. Bez względu na to, co powiedziałeś o Goa.

– E… nie sądzę.

– Na pewno. I na pewno jednocześnie cię nie lubi. Ale zdecydowanie cię lubi.

– O czym ty mówisz?

– Kiedy wyszłam, była tak wściekła, że mogłaby cię uderzyć.

– Tak? To pewien postęp.

– Była gotowa cię uderzyć, więc bardzo cię lubi.

– Hm… jak to działa?

– Była tak wściekła, że mogłaby cię uderzyć, a nawet cię nie zna, rozumiesz?

Nie rozumiałem, ale zdążyłem się już przyzwyczaić. Lisa miała własny sposób porozumiewania się ze światem.

– Wszystko jasne.

– Czy rozmawiając z tobą, robiła te swoje gesty?

– Jakie gesty?

– Udaje, że boli ją kręgosłup i zaczyna kołysać biodrami. Zrobiła to?

– Nie.

– Dobrze.

– Naprawdę?

– Tak, bo to bardzo seksowne, a ona zrobiła to dla mnie, nie dla ciebie.

– Na pewno w tej sytuacji z kołysaniem biodrami istnieje jakaś logika, ale zamierzam to odkołysać w niepamięć. Za to udało mi się odczytać sygnały Anuszki.

– Jej sygnały odczytałby ślepy – przerwała Lisa, uderzając mnie w ramię.

– Powiedziałaś, że gdzie występuje? – spytałem ze śmiechem.

– Nie powiedziałam – rzuciła, znowu mnie uderzając.

Na jej nadgarstku zaszczękała bransoletka z muszelek – prezent ode mnie z Goa. Przez jakiś czas Lisa bawiła się tym dźwiękiem, poruszając nadgarstkiem. Potem uciszyła ją wolną ręką.

– Zmarnowałeś sobie wieczór? Mam żałować, że cię zmusiłam do wyjścia w dniu

twojego powrotu z podróży?

– Skąd. Polubiłem twoich przyjaciół. Zresztą już dawno powinienem ich poznać. Rosannę też lubię. Ma dobrą energię.

– Bardzo się cieszę. Nie jest tylko moją wspólniczką. Stała się mi bliska. Uważasz, że jest atrakcyjna?

– Co?

– Jest inteligentna, zaangażowana, twórcza, entuzjastyczna i sympatyczna. Naprawdę wspaniała.

Spojrzałem na delikatną linię długich, szczupłych nóg Lisy.

– O czym my właściwie rozmawiamy?

– Uważasz, że jest atrakcyjna.

– Co?

– Nie szkodzi. Ja też tak uważam.

Wzięła moją rękę i przesunęła nią między swoimi nogami.

– Jak bardzo jesteś zmęczony?

Spojrzałem na jej palce wygięte w wachlarze.

– Nikt nie jest *aż tak* zmęczony.

Było dobrze. Jak zawsze. Dzieliliśmy się miłosną bliskością, która była bliska miłości. I może dlatego, że oboje wiedzieliśmy, iż to się skończy – kiedyś, jakoś – pozwoliliśmy naszym ciałom mówić to, czego nasze serca nie potrafiły.

Poszedłem do kuchni po zimną wodę. Przyniosłem kubek dla Lisy, postawiłem go na jej stoliku nocnym. Przez jakiś czas patrzyłem na nią, piękną, zdrową, silną, skuloną w kłębek jak śpiący kot. Usiłowałem sobie wyobrazić, jakiej miłości szuka i na ile jest ona odmienna od mojej.

Położyłem się obok niej i dopasowałem swoje ciało do zarysów jej snu. Odruchowo wtuliła palce stóp w moje. A moje senne ciało, bardziej szczere niż umysł, zgięło kolana, wparło się w jej wygięte w łuk plecy i zaczęło stukać w nie pięścią serca, błagając o miłość.

# 5

Jazda motocyklem to poezja ruchu. W tej finezyjnej równowadze między elegancką zwinnością i niebezpiecznym upadkiem jest prawda, i jak każda prawda wznosi ze sobą bicie serca ku niebu. Te ponadczasowe chwile w siodełku wymykają się zgiełkowi czasu, przestrzeni i celu. Śmigając na tych kołach, na tym nurcie powietrza, w tym locie uwolnionego ducha, nie czuje się żadnych więzów, strachu, radości, nienawiści, miłości ani złości. Dla niektórych skłonnych do przemocy ludzi – zwłaszcza dla tego konkretnego człowieka – to stan łaski.

Przybyłem do wytwórni paszportów firmy Sanjaya w dobrym humorze. Dziś przyjechałem okrężną drogą i jazda oczyściła mi umysł, dała spokojny uśmiech, który czułem w całym ciele.

Wytwórnia stanowiła największy ośrodek, w którym tworzyliśmy i wymienialiśmy fałszywe paszporty. Jako główny fałszerz paszportów i innych dokumentów tożsamości spędzałem tu przynajmniej parę godzin niemal codziennie.

Otworzyłem drzwi i mój zrodzony na motocyklu uśmiech zamarł. Przede mną stał młody, obcy człowiek. Wyciągnął do mnie rękę.

– Lin! – zawołał, potrząsając nią, jakby pompował wodę. – Mam na imię Farzad. Wchodź!

Zdjąłem ciemne okulary i przyjąłem zaproszenie do własnego gabinetu, gdzie ujrzałem stojące w kącie drugie biurko, zawalone stertą papierów i rysunków.

– Umieścili mnie tu… jakieś dwa tygodnie temu – powiedział Farzad, kiwając głową w stronę biurka. – Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, kim, do cholery, jesteś i co, do cholery, robisz w moim gabinecie.

– A… – Farzad roześmiał się, na tyle się rozluźniając, by usiąść przy swoim biurku. – To proste. Jestem twoim nowym asystentem. Możesz na to liczyć!

– Nie prosiłem o nowego asystenta. Lubiłem dawnego.

– Ale chyba wcale nie miałeś asystenta?

– Dokładnie.

Złożone na kolanach dłonie Farzada drgnęły jak płetwy ryby wyrzuconej na ląd. Podszedłem do wysokich okien, by spojrzeć przez nie z góry na wytwórnię. Zauważyłem, że tam także zaszły zmiany.

– Co jest, do cholery?

Zbiegłem po drewnianych schodach prowadzących do hali wytwórni i ruszyłem do nowych biurek i przeglądarek. Farzad szedł za mną, mówiąc szybko:

– Postanowili rozbudować sekcję fałszywych dokumentów o dział edukacyjny. Myślałem, że wiesz.

– Jaki dział edukacyjny?

– Dyplomy, certyfikaty, stopnie naukowe i tak dalej. Po to mnie sprowadzili.

Nagle urwał, widząc, jak biorę dokument z jednego z nowych biurek. Był to dyplom inżynierski, rzekomo wydany przez prestiżowy bengalski uniwersytet. Widniało na nim znajome nazwisko – chłopak był synem człowieka mafii z rejonów portu, równie tępym jak skąpym, prawdopodobnie najbardziej chciwym młodym gangsterem w porcie Sassoon.

– Sprowadzili… mnie – podjął Farzad niepewnie – b-b-bo jestem magistrem zarządzania. Prawdziwym. Możesz na to liczyć.

– Co za upadek obyczajów. Nikt już nie studiuje filozofii?

– Mój tata. Jest Leroy-Merlinistą.

– Proszę, kimkolwiek jesteś… jeszcze nie piłem czaju.

Przeszedłem do drugiego biurka i wziąłem kolejny fałszywy dokument. Był to dyplom lekarza dentysty. Farzad zerknął na mój wyraz twarzy.

– Ale nie martw się – odezwał się znowu. – Żaden z tych dokumentów nie zostanie w Indiach. Są dla ludzi, którzy szukają pracy w innych krajach.

– Aha – powiedziałem bez uśmiechu. – Czyli wszystko porządku.

– Dokładnie! – Farzad uśmiechnął się radośnie. – Posłać po herbatę?

A kiedy przyniesiono czaj w niskich szklaneczkach pokrytych siecią spękań, porozmawialiśmy na tyle długo, że zdążyłem go polubić.

Farzad pochodził z niewielkiej, inteligentnej i wpływowej społeczności parsyjskiej. Był dwudziestotrzyletnim kawalerem, mieszkał z rodzicami i dalszą rodziną w wielkim domu nieopodal bombajskich slumsów, w których niegdyś rezydowałem.

Po zrobieniu dyplomu w USA przez dwa lata pracował w bostońskiej firmie

zajmującej się kontraktami *futures*. W pierwszym roku wplątał się w skomplikowaną piramidę finansową, prowadzoną przez dyrektora firmy. Choć nie odegrał ważnej roli w kryminalnej intrydze swojego pracodawcy, jego nazwisko pojawiło się na przelewach na tajne konto. Kiedy wydawało się, że jego aresztowanie jest tylko kwestią czasu, Farzad wrócił do Indii, korzystając z nadarzającej się szczęśliwej – choć nieprzyjemnej – okazji, jaką była konieczność odwiedzenia umierającego wuja.

Jego wuja – Kekiego – znałem bardzo dobrze. Był mądrym doradcą Kadirbaja, pana południowego Bombaju, i zasiadał w mafijnej radzie. W swojej ostatniej godzinie parsyjski doradca poprosił nowego przywódcę mafijnej firmy, Sanjaya Kumara, by ochraniał młodego Farzada, swojego siostrzeńca, którego uważał za syna.

Sanjay zaopiekował się Farzadem, któremu powiedział, że jeśli pozostanie w Bombaju i będzie pracować dla mafii, ominie go amerykański wymiar sprawiedliwości. Podczas mojego pobytu na Goa Sanjay umieścił go w mojej wytwórni fałszywych dokumentów.

– Tak wiele osób wyjeżdża obecnie z Indii – powiedział Farzad, popijając drugą filiżankę czaju. – A przepisy zostaną złagodzone. Zobaczysz. Możesz na to liczyć!

– Aha.

– Obostrzenia i prawo się zmienią, staną się bardziej przyjazne. Ludzie będą wyjeżdżać z Indii i wracać, będą zakładać firmy tutaj i za granicą, obracać pieniędzmi. I wszyscy oni będą potrzebować albo poszukiwać dokumentów, które zapewnią im lepsze szanse w Ameryce, Londynie, Sztokholmie czy Sydney, wiesz?

– To wielki rynek?

– Gigantyczny. Gigantyczny! Zaczęliśmy dwa tygodnie temu i już musimy pracować na dwie zmiany, żeby się wyrobić.

– Na dwie zmiany?

– Dokładnie, *baba*.

– A… jeśli jeden z naszych klientów, który kupi sobie dyplom inżyniera, zamiast na niego zapracować, zostanie poproszony o zbudowanie mostu, który nie powinien się zawalić, zabijając kilkaset osób?

– Bez nerwów, *baba*. W większości krajów fałszywy dyplom pozwala tylko zrobić pierwszy krok. I tak trzeba studiować, żeby spełnić miejscowe wymogi i otrzymać nostryfikację. A wiesz, jacy jesteśmy my, Hindusi. Jeśli wpuścisz ich do domu, kupią go, a potem dom obok i za chwilę będą posiadać wszystkie domy na ulicy i zaczną je wynajmować byłym właścicielom. Tacy już jesteśmy. To pewne, *yaar*.

Farzad był łagodnym młodzieńcem o szczerej twarzy. Gdy w końcu odprężył się w moim towarzystwie i przestał się bać, jego łagodne brązowe oczy spojrzały z niezmąconym spokojem, przepełnione dobrotliwą wizją świata. Jego pełne, wydatne wargi rozchyliły się lekko w permanentnym uśmiechu. Skórę miał bardzo jasną – jaśniejszą od mojej, ogorzałej od słońca pod krótkimi jasnymi włosami. Jego dżinsy skrojone według zachodniej mody i jedwabna koszula od projektanta nadawały mu pozory gościa, turysty, a nie potomka rodziny żyjącej w Bombaju od trzystu lat.

Twarz miał gładką, skórę bez blizn, zadrapań czy blednących siniaków. Słuchając jego pogodnego gadania, pomyślałem, że pewnie nigdy się nie bił ani nawet nie zacisnął pięści z gniewu. Zazdrościłem mu. Kiedy pozwalałem sobie spojrzeć w zrujnowany tunel mojej przeszłości, wydawało mi się, że walczyłem przez całe życie. Mój młodszy brat i ja byliśmy jedynymi katolikami w naszej trudnej, robotniczej dzielnicy. Niektórzy z naszych trudnych sąsiadów z robotniczych rodzin cierpliwie czekali na przyjazd naszego szkolnego autobusu i bili się z nami przez całą drogę do domu, dzień po dniu, codziennie. I nigdy nie przestawali. Wyprawa do centrum handlowego była jak przejście przez terytorium wroga. Miejscowe gangi albo oddziały obywatelskie atakowały obcych z gwałtownością, jaką biedacy okazują tylko biedakom. Karate i zajęcia w klubie bokserskim stanowiły w mojej dzielnicy umiejętności pozwalające przetrwać.

Każde dziecko, które nie stroniło od bójek, uczyło się sztuk walki i co tydzień miało kilka okazji, żeby sprawdzić swoje umiejętności. Pogotowie i urazówka w miejscowym szpitalu w piątkowe i sobotnie noce zawsze pękały w szwach od młodzieńców, którym zszywano pęknięte wargi i luki brwiowe bądź też po raz trzeci składano złamane nosy.

Byłem jednym z nich. Moje akta szpitalne były obszerniejsze niż dzieła zebrane Szekspira. A to wszystko zanim trafiłem do więzienia.

Słuchając radosnych opowieści Farzada o samochodzie, który mu się marzył, czułem nacisk dwóch długich noży, które zawsze nosiłem na plecach. W tajnej szufladzie szafki w moim mieszkaniu znajdowały się dwa rewolwery i dwieście sztuk amunicji. Jeśli Farzad nie miał broni ani chęci, by ją użyć, znalazł się w niewłaściwej branży. Jeśli nie nauczył się walczyć i nie znał smaku przegranej, znalazł się w niewłaściwej branży.

– Sprzymierzyłeś się z firmą Sanjaya – powiedziałem. – Nie planuj za wiele na przyszłość.

– Dwa lata – oznajmił Farzad, z dłońmi stulonymi tak, jakby chronił w nich ten czas wraz z jego obietnicami. – Dwa lata takiej pracy, a potem wezmę wszystkie

oszczędności i otworzę własną firmę. Konsultacyjną, dla ludzi, którzy będą się starać o zieloną kartę w USA i tak dalej. Zawód przyszłości, możesz na to liczyć!

– Tylko się nie wychylaj – doradziłem w nadziei, że los – lub firma – dadzą mu te lata, których pragnął.

– No pewnie. Zawsze…

Dzwonek telefonu przerwał mu w pół słowa.

– Nie odbierzesz? – spytał Farzad po paru sygnałach.

– Nie lubię telefonów.

Dzwonek nadal jazgotał.

– To czemu masz telefon?

– Nie ja, tylko biuro. Jeśli to cię tak niepokoi, to odbierz.

Farzad uniósł słuchawkę.

– Dzień dobry, tu Farzad – powiedział i raptem odsunął słuchawkę od ucha.

Dobiegł mnie agresywny bełkot, jakby bagno na coś pomstowało albo wielkie psy coś pożerały. Farzad wpatrywał się w słuchawkę z przerażeniem.

– To do mnie – powiedziałem i odebrałem mu ją. – *Salaam aleikum,* Nazir.

– Linbaba?

Był to głos, który budził wibracje w podłodze.

– *Salaam aleikum, Nazir.*

– *Wa aleikum salaam.* Przyjeżdżaj – rozkazał Nazir. – Przyjeżdżaj już!

– A gdzie: „Jak się masz, Linbaba”?

– Przyjeżdżaj! – wrzasnął Nazir.

Jego głos był jak warczące stworzenie, które ciągnie ciało po żwirowej ścieżce.

Uwielbiałem go.

– Dobrze, dobrze. Nie trać złego humoru. Już jadę.

Odłożyłem słuchawkę, wziąłem portfel i kluczyki do motocykla i ruszyłem do wyjścia.

– Później porozmawiamy – powiedziałem, odwracając się do mojego nowego asystenta. – Ale na razie uważam, że nam się ułoży. Pilnuj interesu, *thik?*

To słowo, które wymawia się „tik”, wywołało szeroki uśmiech na jego młodej, nieskalanej twarzy.

– *Bilkul thik!* – Zdecydowanie w porządku.

Opuściłem biuro, zostawiając młodemu magistrowi robienie fałszywych dyplomów, i popędziłem motocyklem przez Marine Drive, skręcając w wąski tunel koło wiaduktu metra.

Na rogu parsyjskiej Świątyni Ognia zobaczyłem mojego przyjaciela Abdullaha, jadącego wraz z dwoma towarzyszami przez skrzyżowanie przede mną. Zmierzali w stronę wąskich uliczek dzielnicy handlowej.

Czekając na lukę w niemal nieprzerwanym szeregu pojazdów i widząc, że policjant regulujący ruch jest zajęty przyjmowaniem łapówki od kogoś innego, przejechałem na czerwonym świetle i popędziłem za przyjacielem.

Jako pracownik firmy Sanjaya poświęciłem życie na obronę innych członków gangu, moich towarzyszy broni. Abdullah był kimś więcej. Ten wysoki, długowłosy Irańczyk stał się moim pierwszym i najbliższym przyjacielem w firmie. Moje zobowiązanie wobec niego wykraczało poza obowiązki wynikające z przysięgi. Istnieje silna więź łącząca gangsterów z wiarą i śmiercią. Wszyscy mężczyźni z firmy Sanjaya czuli, że ich dusze spoczywają w dłoniach ich osobistego boga, i wszyscy byli na tyle pobożni, że modlili się przed i po popełnieniu morderstwa. Abdullah wierzył nie mniej żarliwie od nich, choć nigdy nie okazywał litości.

Co do mnie, nadal szukałem czegoś więcej niż wersety, nakazy i wyrazy uwielbienia, które znajdowałem w modlitewnikach. I podczas gdy ja wątpiłem we wszystko w sobie, Abdullah żywił nieustanną pewność, niezłomnie niepokonany – niczym najpotężniejszy orzeł, szybujący nad jego głową na tle wysokiego bombajskiego nieba.

Byliśmy różni, miłość wyrażaliśmy w różny sposób i różne instynkty pchały nas do walki. Ale przyjaźń to także religia, zwłaszcza dla tych z nas, którzy nie wierzą w nic innego. A prosta prawda wyglądała tak, że na widok Abdullaha moje serce zawsze się wznosiło, zawsze szybowało na moim małym prywatnym niebie.

Jechałem za nim ulicą, czekając na okazję, by znaleźć się obok niego. Jego proste plecy i spokojna pewność, z jaką kierował motocyklem, stanowiły cechy charakterystyczne, które nauczyłem się podziwiać. Niektórzy ujeżdżają konie, jakby urodzili się w siodle; podobny instynkt dotyczy jazdy na motocyklu.

Dwaj mężczyźni towarzyszący Abdullahowi, Fardin i Hussein, byli dobrymi motocyklistami, śmigającymi na tych pojazdach od urodzenia – ojcowie wozili ich przez te same ulice w tym samym tłumie. Jednak oni nigdy nie osiągnęli tej płynności ruchów co nasz irański przyjaciel, i nigdy nie wyglądali tak efektownie.

W chwili gdy wyczułem, że obok motocykla zwolni się miejsce, i podjechałem, Abdullah odwrócił głowę i spojrzał na mnie. Uśmiech przegnał powagę z jego twarzy.

Mój przyjaciel – a wraz z nim Fardin i Hussein – zjechał na pobocze drogi.

Zatrzymałem się obok niego i padliśmy sobie w ramiona, siedząc na motocyklach.

– *Salaam aleikum* – powitał mnie ciepło.

– *Wa aleikum Salaam wa Rahmatullahi wa Barakatuh*. – I niech na ciebie spłynie pokój, łaska Allaha i Jego błogosławieństwa.

Fardin i Hussein uścisnęli mi dłoń.

– Słyszałem, że wybierasz się na spotkanie – powiedział Abdullah.

– Tak. Nazir do mnie zadzwonił. Myślałem, że cię tam zastanę.

– Rzeczywiście, jadę tam.

– Okrężną drogą – zauważyłem ze śmiechem, ponieważ zmierzał w niewłaściwym kierunku.

– Muszę jeszcze coś zrobić. Nie potrwa to długo. Jedź z nami. To niedaleko stąd, a chyba nie znasz tego miejsca i tych ludzi.

– Dobrze. Dokąd jedziecie?

– Na spotkanie z Rowerowymi Zabójcami. W sprawie firmy.

Nigdy nie byłem w siedzibie Rowerowych Zabójców. Niewiele o nich wiedziałem. Ale jak wszyscy mieszkańcy ulic Bombaju, znałem nazwiska ich dwóch najlepszych kilerów i wiedziałem, że będą nas przewyższać liczebnie – na każdego z naszej czwórki będzie przypadać ich sześciu lub siedmiu.

Abdullah kopnął starter i zaczekał, aż uruchomimy motocykle, a potem ruszył pierwszy przez uliczny ścisk, wyprostowany, dumnie i wysoko trzymając głowę.

# 6

Widywałem Rowerowych Zabójców, śmigających na błyszczących chromem rowerach z samobójczą prędkością przez handlowe uliczki Bazaru Złodziei. Byli młodzi i zawsze ubrani w takie same uniformy – jaskrawe, obcisłe podkoszulki zwane banyanami, białe obcisłe dżinsy i najnowszy model butów do biegania. Zaczesywali włosy do tyłu, przygładzając je perfumowanym olejkiem, nosili ostentacyjne kastowe tatuaże na twarzach, chroniące ich przed złym wzrokiem, i zakrywali oczy identycznymi lustrzanymi aviatorami, równie błyszczącymi jak ich srebrne rowery.

Całe przestępcze podziemie zgadzało się, że byli to najbardziej skuteczni nożownicy, jakich można wynająć za pieniądze, ustępujący umiejętnościami tylko jednemu człowiekowi w tym mieście: Hathodzie, mistrzowi sztyletu pracującemu dla firmy Sanjaya. W plątaninie uliczek i zaułków, zatłoczonych towarami i gęstych od nawoływań sprzedawców, zaparkowaliśmy motocykle przed sklepem z ajurwedyjskimi lekami i jedwabnymi sakiewkami z tajemnymi ziołami, dającymi ochronę przed miłosnymi zaklęciami. Chciałem kupić taki, ale Abdullah mnie powstrzymał.

– Ochroną mężczyzny jest Allah, honor i obowiązek – warknął, biorąc mnie za ramiona. – Nie amulety i zioła.

Odnotowałem w pamięci, żeby wrócić do sklepu, kiedy będę sam, i poszedłem za moim surowym przyjacielem.

Weszliśmy w uliczkę tak wąską, że ocieraliśmy się ramionami o ściany budynków, a gdy zrobiło się w niej ciemno, Abdullah zatrzymał się pod niemal niewidocznym lukiem z napisem „Wieżowce Bella Vista ”.

Za łukiem ujrzeliśmy sieć krytych ulic, które wydawały się przebiegać przez środek prywatnego domu. Jego właściciel, starszy mężczyzna w podartym banyanie, siedzący na szezlongu, czytał gazetę przez zbyt duże optyczne ciemne okulary.

Nie podniósł głowy ani nie przywitał się z nami, kiedy przeszliśmy przez jego salon.

Zagłębiliśmy się w jeszcze ciemniejszą uliczkę, skręciliśmy po raz ostatni w tym labiryncie i dotarliśmy do przestronnego, otwartego, zalanego słonecznym światłem dziedzińca.

Już o nim słyszałem. Nazywano go Das Rasta, czyli Dziesięć Dróg. Budynki

mieszkalne i liczne uliczki otaczały niemal całkiem okrągły prywatny plac. Lokatorzy wychylali się z okien, spoglądając na to, co dzieje się na Das Rasta. Niektórzy opuszczali lub wciągali na górę kosze z warzywami, gotowanymi potrawami i innymi towarami. Wiele osób wchodziło na dziedziniec i opuszczało go promieniście rozchodzącymi się uliczkami, prowadzącymi do szerokiego świata.

Na środku placu piętrzyły się worki ziarna i roślin strączkowych. Tworzyły stertę dwukrotnie przewyższającą dorosłego mężczyznę. Na workach jak na małej piramidzie tronów siedzieli Rowerowi Zabójcy.

Najwyższy tron zajmował Iszmit, przywódca. Zgodnie z sikhijską tradycją nigdy nie obcinał swoich długich włosów – ale na tym kończyła się wierność zasadom. Jego włosy nie kryły się w schludnym turbanie, lecz spływały swobodnie do wąskiej talii. Chude, nagie ramiona Iszmita były pokryte tatuażami przedstawiającymi jego liczne morderstwa i zwycięstwa w wojnach gangów. Za paskiem obcisłych dżinsów miał dwa długie, zakrzywione noże w ozdobnych pochwach.

– *Salaam aleikum* – odezwał się od niechcenia, witając Abdullaha.

– *Wa aleikum Salaam* – odpowiedział Abdullah.

– Co to za psi pysk z tobą przyszedł? – spytał w hindi mężczyzna siedzący obok Iszmita, odwracając głowę, żeby głośno splunąć.

– Ma na imię Lin – odpowiedział spokojnie Abdullah. – Nazywają go także Shantaram. Był z Kadirbajem i mówi w hindi.

– Może mówić w hindi, pendżabskim i malajalam, mam to gdzieś – odparł mężczyzna w hindi, łypiąc na mnie złym wzrokiem. – Mam gdzieś, czy będzie mi tu deklamować wiersze i czy wsadził sobie w dupę słownik. Chcę wiedzieć, co ten psi pysk tu robi.

– Podejrzewam, że masz większe doświadczenie z psami niż ja – odparłem w hindi. – Przyszedłem tutaj nie z psami, ale w towarzystwie ludzi, którzy potrafią okazywać szacunek.

Mężczyzna drgnął, kręcąc głową z niedowierzaniem. Nie wiedziałem, czy chodziło o wyzwanie, które mu rzuciłem, czy o to, że biały cudzoziemiec przemówił językiem używanym przez ulicznych gangsterów.

– Ten człowiek jest także moim bratem – odezwał się Abdullah spokojnie, wpatrując się w Iszmita. – To, co mówi twój człowiek do niego, mówi do mnie.

– Więc może powiem to do ciebie, Irańczyku – rzucił mężczyzna.

– Powiedz, na Allaha – odparł Abdullah.

Zapadła zupełna cisza. Mężczyźni noszący worki ziarna, garnki z wodą, pudła napojów, paczki przypraw i innych towarów nadal krążyli po dziedzińcu. Ludzie nadal wyglądali przez okna. Dzieci wciąż śmiały się i bawiły się w cieniu. Ale w przestrzeni między Rowerowymi Zabójcami a naszą czwórką rozchodził się medytacyjny bezruch, tchnący z naszych bijących serc. Był to brak ruchu, decyzja, by nie sięgnąć po broń, cień przed rozbłyskiem słońca i krwi.

Rowerowi Zabójcy tylko czekali na wypowiedzenie wojny, ale szanowali Abdullaha i bali się go. Spojrzałem w uśmiechnięte oczy Iszmita, wąskie jak chytre szparki. On już liczył ciała, które legną wokół jego tronu z worków.

Abdullah bez wątpienia zabiłby co najmniej trzech ludzi Iszmita, a reszta z nas mogła zrobić to samo. I choć na dziedzińcu było dwunastu Rowerowych Zabójców i kilku innych w pokojach nieopodal – i choć Iszmit mógł ocalić życie – gang poniósłby zbyt wielkie straty, by w odwecie odeprzeć atak naszego gangu.

Oczy Iszmita rozszerzyły się nieco. Błysnął uśmiech zabarwiony szkarłatnym orzechem betela.

– Brat Abdullaha – powiedział Iszmit, spoglądając na mnie – jest moim bratem. Pójdź, usiądź obok mnie. Razem napijemy się bhangu.

Spojrzałem na Abdullaha, który skinął mi głową, nie odrywając wzroku od Rowerowych Zabójców. Wspiąłem się na tron z worków i usiadłem nieco poniżej Iszmita, na tym samym poziomie co mężczyzna, który mnie obraził.

– Radża! – rzucił Iszmit, zwracając się do człowieka, który polerował i tak już lśniące rowery. – Przynieś krzesła!

Mężczyzna szybko wrócił z drewnianymi stołkami dla Abdullaha, Fardina i Husseina. Drugi przyniósł bladozielony bhang w wysokich szklankach i wielką chillum.

Wypiłem paroma łykami mleko z marihuaną, podobnie jak Iszmit. Beknął głośno i mrugnął do mnie.

– Mleko bawolicy – powiedział. – Ze świeżego udoju. Daje dodatkowego kopa. Chcesz być królem tego świata, dój swoją własną bawolicę.

– A… ha…

Iszmit zapalił chillum, zaciągnął się głęboko dwa razy i podał ją mnie. Dym wysnuwał mu się z nozdrzy jak para z pęknięcia w kamieniu. Wziąłem bucha i podałem fajkę stojącemu niżej w hierarchii gangsterowi. Z jego uśmiechniętych oczu zupełnie zniknęła wcześniejsza wrogość. Zapalił, podał chillum dalej i klepnął mnie w kolano.

– Jaką heroinę lubisz najbardziej?

– Teraz czy kiedyś?

– Teraz.

– Karisma Kapoor.

– A kiedyś?

– Smita Patii. A ty?

– Rekha. Kiedyś, teraz, zawsze. To królowa wszystkiego. Masz nóż?

– Oczywiście.

– Mogę zobaczyć?

Wyjąłem jeden z noży i podałem mu go. Iszmit otworzył go sprawnie i musnął długą, ciężką broń o mosiężnej rękojeści, jakby był to kwiat.

– Ładny – orzekł, oddając mi go. – Czyja robota?

– Vikranta z portu Sassoon – odpowiedziałem, chowając nóż.

– A, Vikrant. Dobry rzemieślnik. Chcesz zobaczyć mój?

– Pewnie – powiedziałem, wyciągając rękę.

Mój długi nóż sprężynowy był stworzony do walki ulicznej. Nóż Rowerowego Zabójcy zaprojektowano tak, żeby zostawiał głęboką, szeroką ranę, przeważnie na plecach. Ostrze, gwałtownie zwężające się ku czubkowi, miało kanaliki ułatwiające spływanie krwi. Zakrzywione do tyłu zęby wchodziły w ciało gładko, ale przy cofaniu ostrza wyrywały kawały mięsa, nie pozwalając ranie się zamknąć. Rękojeść miała kształt mosiężnego półkola, dopasowanego do zaciśniętych palców. Ten nóż lepiej sprawdzał się podczas uderzeń pięścią niż dźgania czy cięcia.

– Wiesz co – powiedziałem, oddając go. – Mam nadzieję, że nigdy, przenigdy nie staniemy przeciwko sobie.

Iszmit uśmiechnął się szeroko, chowając nóż do pochwy.

– Dobry plan! Nie ma sprawy. Ty i ja nigdy nie będziemy walczyć. W porządku?

Podał mi rękę. Zawahałem się przez chwilę, bo gangsterzy traktują taicie rzeczy poważnie, a ja nie wiedziałem, czy zdołam dotrzymać słowa, jeśli nasze gangi się skłócą.

– A, co tam – rzuciłem, z rozmachem klepiąc w jego dłoń i zaciskając palce w mocnym uścisku. – Nigdy nie będziemy walczyć. Choćby nie wiem co.

Iszmit znowu się uśmiechnął.

– Więc… – zaczął w hindi. – Przepraszam… za tamtą uwagę.

– W porządku.

– Ja lubię psy. Każdy ci to powie. Nawet karmię bezpańskie psy.

– W porządku.

– Ajay! Powiedz mu, jak bardzo lubię psy!

– Bardzo je lubi – poświadczył Ajay. – Nawet kocha.

– Jeśli nie przestaniesz mówić o psach, kopnę cię w łeb – rzucił Iszmit, błyskając uśmiechem. Odwrócił się od niego godnie. – Abdullah! – zawołał. – Chciałeś ze mną porozmawiać, tak?

Abdullah miał już odpowiedzieć, gdy na dziedziniec weszła grupa robotników ciągnących dwa długie puste wózki.

– Z drogi! – krzyczeli. – Praca zbliża do Boga! Robotnicy wykonują bożą pracę! Zabieramy worki! Stare odjeżdżają, nowe przyjeżdżają! Z drogi! Praca zbliża do Boga!

Z brawurą, która innych kosztowałaby życie, zlekceważyli status i wygodę gangu zabójców i zaczęli zabierać worki z zaimprowizowanego tronu. Śmiertelnie groźni mordercy przewracali się i spadali ze swoich siedzeń.

Iszmit zeskoczył – na tyle szybko, na ile pozwalała mu godność – i stanął obok Abdullaha. Ja zszedłem w ślad za nim, by stanąć obok moich towarzyszy.

Fardin, nazywany Politykiem, natychmiast wstał i zaproponował swój drewniany stołek Iszmitowi. Przywódca Rowerowych Zabójców przyjął ofertę, usiadł obok Abdullaha i zażądał gorącego czaju.

Czekając na herbatę, patrzyliśmy, jak robotnicy rozbierają wysoką stertę worków, zostawiając na bruku dziedzińca tylko pojedyncze ziarna i słomki. Popijaliśmy adrak czaj, pikantną imbirową herbatę, tak palącą, że nawet najtwardszym łzy stawały w oczach.

Robotnicy położyli na dziedzińcu nowe worki. Po chwili zaczęła powstawać kolejna sterta, a ludzie pracujący dla Rowerowych Zabójców znowu zaczęli z niej kształtować podobne do tronów siedziska. Może po to, by zatuszować zażenowanie, że jego miejsce rezydowania można tak szybko usunąć, Iszmit znowu zwrócił na mnie uwagę.

– No to… cudzoziemcze… co sądzisz o Das Raście?

– *Ji* – powiedziałem, używając pełnego szacunku odpowiednika słowa „pan” – zastanawiałem się, jakto możliwe, że mogliśmy tu wejść bez przeszkód.

– Wiedzieliśmy, że nadchodzicie – odparł Iszmit z zadowoleniem – a także to, że jesteście przyjaciółmi i jak wielu was jest. Wuj Dilip, ten starszy pan czytający gazetę… pamiętacie go?

– Tak. Przeszliśmy przez jego dom.

– No właśnie. Wuj Dilip ma przycisk na podłodze pod fotelem. Ten guzik uruchamia dzwonek na dziedzińcu. Po liczbie sygnałów i ich długości poznajemy, czy nadchodzi wróg, czy przyjaciel i w jakiej sile. A mamy wielu wujów takich jak Dilip, którzy są oczami i uszami Das Rasty.

– Nieźle – przyznałem.

– Widzę po twojej minie, że masz kolejne pytanie.

– Zastanawiałem się, dlaczego to miejsce nazywa się Das Rasta. Dziesięć Dróg, skoro naliczyłem ich tylko dziewięć.

– Lubię cię, *gora!* – oznajmił Iszmit, używając słowa oznaczającego „białego człowieka". – Niewielu to zauważyło. Tak naprawdę dziedziniec ma dziesięć wejść, ale jedno jest tajne, znane wyłącznie tym, którzy tu mieszkają. Pozna je tylko jeden z nas, albo ten, który ma zginąć z naszej ręki.

Abdullah wybrał sobie tę chwilę, żeby wyjaśnić cel swojego przybycia.

– Mam twoje pieniądze – powiedział, nachylając się ku lekkiemu uśmiechowi Iszmita. – Ale istnieje pewna kwestia, którą muszę wyjaśnić, zanim ci je dam.

– Jaka… kwestia?

– Świadek – oznajmił Abdullah na tyle głośno, żebym go usłyszał. – Podobno pracujesz tak szybko, że nawet dżinn nie widzi, kiedy uderzasz. Ale w tym zleceniu ktoś cię zauważył. Ktoś, kto przekazał policji dokładny opis twoich ludzi.

Iszmit zacisnął zęby i zerknął na swoich ludzi, zanim znowu wrócił spojrzeniem do Abdullaha. Jego uśmiech powoli wrócił, ale zęby nadal były zaciśnięte, jakby trzymał w nich nóż.

– Oczywiście zabijemy tego świadka – syknął. – Gratis.

– Nie ma potrzeby. Sierżant, który przyjął jego zeznania, to nasz człowiek. Zbił świadka i przekonał go do zmiany zeznań. Ale rozumiesz, że w takiej sprawie muszę przemówić w imieniu samego Sanjaya. Zwłaszcza że to dopiero drugie zlecenie, które od nas dostałeś.

– *Jarur* – syknął znowu Iszmit. „Oczywiście". – I mogę cię zapewnić, że nigdy więcej, jak długo będziemy razem robić interesy, nie będziesz musiał poruszać tematu świadków.

Iszmit ujął rękę Abdullaha, trzymał ją przez chwilę, wstał, odwrócił się i zaczął się wdrapywać na szczyt nowego tronu z worków. Usadowił się na szczycie sterty i rzucił jedno słowo, zwracając się do tego zabójcy, który siedział obok mnie:

– Pankadż!

Fardin wyjął z plecaka paczkę banknotów. Podał ją Abdullahowi, który przekazał ją Pankadżowi. Ten odwrócił się, by wspiąć się na górę worków, po czym zawahał się i spojrzał na mnie.

– Ty i ja nigdy nie będziemy walczyć – rzucił z uśmiechem, raz jeszcze podając mi rękę. – *Pukkah?* – „Racja?”.

Gangsterzy i wyrzutkowie, których poznałem w australijskim więzieniu, wyśmialiby ten jego szeroki uśmiech i oczywistą, niewinną radość z zawarcia nowej znajomości. Ale byliśmy w Bombaju, a uśmiech Pankadża był tak szczery, jak przed chwilą jego gotowość, by ze mną walczyć – tak szczery jak mój.

Dopóki Iszmit nie wymienił jego imienia, nie zdawałem sobie sprawy, że człowiek, z którym obrzucałem się obelgami, był drugim najważniejszym z Rowerowych Zabójców i równie groźnym nożownikiem jak sam Iszmit.

– Ty i ja – oznajmiłem w hindi – nigdy nie będziemy walczyć. Choćby nie wiem co.

Jego szeroki uśmiech stał się jeszcze szerszy. Pankadż zwinnie wspiął się na stertę worków, by podać paczkę Iszmitowi. Abdullah uniósł rękę do piersi w pożegnalnym geście.

Poszliśmy za Abdullahem przez labirynt zaułków, a potem przez salon, w którym wuj Dilip nadal siedział, czytając gazetę, ze stopą tuż przy guziku w podłodze. W końcu dotarliśmy na ulicę.

Gdy uruchomiliśmy motory, Abdullah złowił moje spojrzenie. Odwzajemniłem je, a wtedy jego twarz rozświetliła się w nieczęstym szerokim uśmiechu szczęścia i uniesienia.

– Było blisko! – powiedział. – *Shukran Allah.*

– Od kiedy wynajmujecie podwykonawców?

– Od dwóch tygodni, kiedy byłeś w Goa. Wynajęliśmy prawnika, który wydał naszych ludzi policji, no nie?

Skinąłem głową, przypominając sobie gniew, który nas ogarnął, gdy ludzie firmy otrzymali dożywocie na podstawie zeznań zdrajcy. Złożono apelację, ale nasi ludzie nadal siedzieli.

– Ten prawnik dołączył do długiego szeregu swoich kompanów w piekle – powiedział Abdullah. Jego złote oczy lśniły. – I od tego wyroku nie ma odwołania. Ale nie mąćmy naszego spokoju rozmową o podłości. Cieszmy się przejażdżką i bądźmy wdzięczni, że Allah oszczędził nam dziś konieczności zabicia zabójców, którym

płacimy za zabijanie w naszym imieniu. Życie to wielka i wspaniała rzecz, *Alhamudlillah*. Z łaski Boga.

Ale gdy wraz z Fardinem i Husseinem ruszyliśmy za nim na spotkanie w firmie Sanjaya, to nie myśli o bożej łasce zaprzątały moją głowę. Inne mafijne firmy wynajmowały czasem Rowerowych Zabójców. Nawet policjanci od czasu do czasu zlecali im robienie czystek. Ale Kadirbaj, założyciel naszej grupy, zawsze odmawiał. Wszędzie, gdzie gromadzą się ludzie – od sal konferencyjnych po burdele – szukają oni i uzgadniają moralne standardy. A jednym z nich był dla Kadirbaja ten, że jeśli trzeba kogoś zabić, to ma on prawo spojrzeć w oczy ludziom, którzy roszczą sobie prawo do jego życia. Wynajęcie zabójców, wyręczanie się z nimi, dla wielu stanowiło zbyt daleko idącą zmianę. Na przykład dla mnie.

Porządek i chaos tańczyły na wąskim ostrzu w wyciągniętej ręce sumienia. Wynajęcie Rowerowych Zabójców przechyliło to ostrze. Co najmniej połowa ludzi firmy była bardziej wierna kodeksowi niż Sanjayowi, który zmienił zasady.

Pierwsze spojrzenie na morze na Marine Drive przyniosło ulgę mojemu sercu, jeśli nie głowie. Odwróciłem się od czerwonego cienia. Przestałem myśleć o piramidzie zabójców i nieopatrzności Sanjaya. Przestałem myśleć o moim udziale w tym szaleństwie. I tak jechałem z przyjaciółmi w stronę krańca wszystkiego.

# 7

Gdyby Abdullaha z nami nie było, Fardin, Hussein i ja ścigalibyśmy się w drodze na zebranie, wymijając samochody aż do meczetu Nabiła. Ale Abdullah nigdy się nie ścigał, nie wciskał się między samochody. Spodziewał się, że to one ustąpią mu drogi i przeważnie tak było. Jechał powoli, wyprostowany, z uniesioną głową, powiewając długimi czarnymi włosami, które spadały mu na szerokie ramiona.

Dotarliśmy do domu w dwadzieścia minut i zaparkowaliśmy motocykle na miejscach zarezerwowanych specjalnie dla nas przed perfumerią. Wejście do rezydencji było zwykle otwarte i niestrzeżone. Kadirbaj uważał, że jeśli wróg jest na tylko szalony, żeby zaatakować jego dom, należy wypić z nim herbatkę, zanim się go zabije.

Ale zbliżając się, zauważyliśmy, że wysokie, ciężkie drzwi wejściowe do budynku są zamknięte, a przed nimi stoi czterech uzbrojonych mężczyzn. Znałem jednego, Farukha, który zarządzał hazardem w dalekim mieście Aurangabadzie. Inni byli przybyszami z Afganistanu.

Otworzyliśmy drzwi i ujrzeliśmy za nimi kolejnych dwóch mężczyzn z bronią.

– Afgańczycy? – spytałem, kiedy ich mijaliśmy.

– Wiele się wydarzyło, bracie Lin, od kiedy pojechałeś do Goi – wyjaśnił Abdullah, kiedy weszliśmy na otwarty dziedziniec we wnętrzu zabudowań.

– Bez żartów.

Nie odwiedzałem tego dworu od miesięcy i teraz ze smutkiem ujrzałem, że stan brukowanego dziedzińca się pogorszył. W czasach Kadirbaja na jego środku znajdowała się fontanna z wielkim głazem, na który nieustannie spadał strumień wody. Bujne doniczkowe palmy i kwiaty tworzyły plamy koloru w tej biało-niebieskiej przestrzeni. Te rośliny już dawno uschły, a spieczona ziemia, w której tkwiły, znikła pod warstwą niedopałków papierosów.

Przy drzwiach sali konferencyjnej stali dwaj kolejni Afgańczycy z bronią. Jeden z nich zapukał w zamknięte drzwi, a potem powoli je otworzył.

Abdullah, Hussein i ja weszliśmy, a Fardin zaczekał na zewnątrz wraz ze strażnikami. Kiedy drzwi się zamknęły, znalazłem się w podłużnym pomieszczeniu wraz z dwunastoma innymi ludźmi.

Sala konferencyjna także się zmieniła. Podłogę nadal pokrywały pięciokątne kremowe płytki, a ściany i sklepiony sufit – mozaika przedstawiająca błękitne niebo z białymi chmurami. Ale niski intarsjowany stolik i obfite brokatowe pufy zniknęły.

Niemal przez cały pokój biegł ciemny stół konferencyjny, przy którym stało czternaście obitych skórą krzeseł z wysokimi oparciami. U szczytu stołu pysznił się jeszcze bardziej okazały fotel prezesa. Siedzący na nim mężczyzna, Sanjay Kumar, podniósł głowę z uśmiechem, który nie był przeznaczony dla mnie.

– Abdullah! Hussein! – zawołał. – Drobiazgi już omówiliśmy. Skoro przyszliście, możemy w końcu zająć się prawdziwymi problemami.

Założyłem, że Sanjay chce, żebym zaczekał na zewnątrz do zakończenia zebrania, więc chciałem się wycofać.

– Sanjaybaj – odezwałem się. – Zaczekam na dziedzińcu, aż będę ci potrzebny.

– Nie, Lin – odparł, machając ręką od niechcenia. – Usiądź z Tarikiem. A reszta – zaczynamy.

Tarik, czternastoletni siostrzeniec Kadirbaja i jego jedyny potomek płci męskiej, siedział w cesarskim fotelu wuja na końcu pokoju.

Szybko rósł; już niemal dorównywał wzrostem wszystkim mężczyznom w pokoju. Ale kiedy tak siedział w tym fotelu – dawnym tronie króla zbrodni z południowego Bombaju – nadal wydawał się mały i kruchy.

Za Tarikiem siedział Nazir z dłonią na rękojeści noża, obrońca chłopca i mój przyjaciel.

Obszedłem stół, by przywitać się z Tarikiem. Chłopiec na chwilę się uśmiechnął, gdy uścisnąłem jego rękę, ale szybko przybrał chłodne, obojętne spojrzenie, które od śmierci wuja dodawało twardości jego brązowym oczom.

Kiedy spojrzałem na Nazira, rzucił mi uśmiech rzadko goszczący na jego twarzy. Był to uśmiech zdolny ujarzmiać lwy, jeden z moich ulubionych.

Usiadłem obok Tarika. Abdullah i Hussein zajęli swoje miejsca i zebranie potoczyło się dalej.

Przez jakiś czas Sanjay kierował rozmowami w sprawach biznesowych: problem ze strajkującymi robotnikami w dokach przystani Ballard, którzy utrudnili dostawę narkotyków do południowego Bombaju, problem z niektórymi rybakami z portu Sassoon, mieszczącego największą flotę rybacką w Mieście Wysp, którzy utworzyli związek i odmawiali płacenia za ochronę, problem ze sprzyjającym nam adwokatem, złapanym podczas policyjnego najazdu na mafijny dom publiczny – wyciszenie

skandalu i uratowanie kariery prawnika wymagało przysługi ze strony rady mafii. Rada mafii, która starannie zorganizowała najazd policji, by mocniej związać ze sobą adwokata, wyasygnowała sumę potrzebną na przekupienie policji i zdecydowała, żeby zażądać od rzeczonego prawnika dwa razy więcej za wyświadczenie mu przysługi.

Ostatnia sprawa była nieco bardziej skomplikowana i wykraczała poza kwestie biznesowe. Firma Sanjaya i rada, która decydowała o jej polityce, rządziła całym południowym Bombajem – rejonem rozciągającym się od Flora Fountain do Navy Nagar w pobliżu najbardziej wysuniętego na południe skraju Miasta Wysp i zawierającym wszystko, co się między nimi znajdowało, od morza do morza. Firma Sanjaya była tu jedyną organizacją rządzącą czarnym rynkiem, ale nie budziła nienawiści. Wiele osób wręcz zwracało się do niej ze swoimi problemami i zatargami częściej niż na policję. Mafia zwykle działała szybciej, często sprawiedliwiej i zawsze taniej niż legalny wymiar sprawiedliwości.

Gdy Sanjay przejął dowodzenie mafią, nazwał ją firmą, posłuszny modzie nakazującej gangsterom dzielić miasto według hierarchii biznesowej. Kadirbaj, zmarły założyciel grupy, miał tak wielką władzę, że mógł nazwać swoją organizację własnym imieniem. Jego echo dodawało firmie poważania, którego nie budziło nazwisko Sanjaya, i utrzymywało pokój.

Jednak czasem ktoś postanawiał wziąć sprawy we własne ręce. Takim buntownikiem był ambitny właściciel mieszkania w Cuffe Parade, w którym wysokie, drogie apartamentowce stały na ziemiach wydartych morzu. Mężczyzna zaczął wynajmować własnych zbirów. Firmie się to nie spodobało, ponieważ musiała dbać o reputację swoich gangsterów.

Prywatne zbiry wyrzuciły uzurpatora z okna mieszkania na trzecim piętrze. Facet przeżył, ale wylądował na sklepie z papierosami i haszyszem, własności firmy, robiąc krzywdę sprzedawcy znanemu jako Lśniący Patel oraz popularnemu klientowi, cenionemu śpiewakowi sufickich pieśni.

Lśniący Patel i jego sklepik z towarami z białego i czarnego rynku był dla firmy Sanjaya zwykłym interesem. Jednak krzywda, jaka spotkała wielkiego pieśniarza, kochanego przez każdego palacza haszyszu na południowym półwyspie, sprawiła, że uraza nabrała zabarwienia osobistego.

– Mówiłem ci, Sanjaybaj, że do tego dojdzie – powiedział niejaki Fajsal, zaciskając na stole pięść. – Ostrzegałem cię przed tym od miesięcy.

– Ostrzegałeś mnie, że ktoś spadnie na sklep Lśniącego Patela? – rzucił kpiąco Sanjay. – Chyba nie było mnie na tym zebraniu.

– Ostrzegałem, że przestają cię szanować – odparł Fajsal spokojniej. – Ostrzegałem, że dyscyplina się rozluźnia. Nikt się nas nie boi i wcale się nie dziwię. Jeśli tak się boimy, że stawiamy ochronę przy drzwiach, to sami jesteśmy sobie winni.

– Ma rację – dodał Mały Tony. – Weźmy choćby ten problem z firmą Skorpionów. To przez to tacy *chutiya* jak ten *bahinchudh* właściciel domu zaczynają sobie roić, że mogą nas pominąć i stworzyć własną małą armię.

– To nie jest firma! – rzucił wściekle Sanjay. – Tych pojebów Skorpionów nie uznała żadna poważna bombajska organizacja. To gang! Zwykłe cwaniaczki z północnego Bombaju, usiłujące wedrzeć się na południe. Trzeba to nazywać po imieniu – to tani, tandetny gang.

– Bez względu na to, jak ich nazwiemy – odezwał się cicho Mahmoud Melbaaf – nadal stanowią problem. Zaatakowali naszych ludzi na ulicy. Nie dalej niż kilometr stąd dwaj nasi najbardziej dochodowi pracownicy zostali zmasakrowani siekierami w biały dzień.

– To prawda – zgodził się Fajsal.

– Właśnie dlatego zatrudniliśmy naszych afgańskich braci – podjął Mahmoud. – Skorpiony chciały wtargnąć na nasze tereny w Regal i Nariman Point. Wykopałem ich stamtąd, ale było ich pięciu, a gdyby nie towarzyszył mi Abdullah, sprawy mogłyby się potoczyć inaczej. Moje nazwisko – i twoje także, Sanjay – nie wystarczy, żeby ich odstraszyć. A gdyby Mały Tony nie pociął twarzy temu dilerowi, nadal by sprzedawano narkotyki przed KC College, pięćdziesiąt kroków od naszych drzwi. Jeśli to nie jest problem, to ja już nic nie rozumiem.

– Wiem – powiedział Sanjay łagodniejszym tonem, zerkając na Tarika.

Zimne spojrzenie chłopca ani drgnęło.

– Rozumiem cię – powiedział Sanjay. – Czego oni właściwie chcą? Wojny? Naprawdę uważają, że uda im się ją wygrać? Czego te pojeby chcą?

Wszyscy wiedzieliśmy, czego chce Gang Skorpionów: wszystkiego plus naszej śmierci albo zniknięcia.

W ciszy, która zapadła po tym retorycznym pytaniu, spojrzałem na członków rady, usiłując ocenić ich nastrój i chęć przystąpienia do następnej wojny.

Sanjay spuścił oczy – zimne oczy we wrażliwej twarzy – rozważając dostępne opcje. Wiedziałem, że instynkt podpowiada mu, żeby unikać walki i negocjować rozejm, nawet z tak drapieżnymi wrogami jak Skorpiony. Dla Sanjaya liczył się rozejm, a nie to, z kim, gdzie i jak go zawierał.

Był odważny i bezwzględny, ale w pierwszym odruchu zawsze próbował się dogadać. To on wstawił do pokoju konferencyjnego ten długi stół, a ja, widząc jego zaskoczenie i bezradność, uświadomiłem sobie, że to nie symbol dumy ani megalomanii, lecz chęci negocjowania.

Krzesło po prawicy Sanjaya zawsze stało puste na cześć jego przyjaciela z dzieciństwa, Salmana, który zginął w walce podczas pierwszego wielkiego starcia z konkurencyjnym gangiem.

Sanjay oszczędził człowieka, który ocalał z grupy wrogów. To właśnie ten człowiek, Wisznu, stworzył Gang Skorpionów, a teraz zagroził Sanjayowi.

Sanjay wiedział, że członkowie rady, którzy nie pochwalali jego łagodności i upierali się, że należało zabić Wisznu, będą uważać te kłopoty za potwierdzenie słuszności swoich poglądów i słabości przywódcy. Widziałem, jak Sanjay powoli przesuwa rękę po lśniącym blacie stołu na prawo, jakby szukał dłoni i rady swojego zmarłego przyjaciela.

Po prawicy Sanjaya, za pustym krzesłem, siedział Mahmoud Melbaaf, szczupły, czujny Irańczyk, którego niewzruszonego spokoju nie mogła zmącić żadna prowokacja; nic nie było w stanie zachwiać jego równowagi. Ale był to spokój dziecka smutku; Mahmoud nigdy się nie śmiał i prawie nigdy się nie uśmiechał. Jakaś wielka strata zraniła mu serce i pozostała w nim, wyrównując góry i doliny emocji, tak jak wiatr i piasek ścierają w pył góry na pustyni.

Miejsce obok Melbaafa zajmował Fajsal, były bokser, niemal mistrz. Nieuczciwy agent, który ukradł wszystko, co Fajsal zarobił na walkach, wbił mu nóż w plecy jeszcze głębiej, uciekając z jego dziewczyną. Fajsal zabił go, a dziewczyna uciekła z miasta i nikt więcej o niej nie słyszał.

Po ośmiu latach Fajsal wyszedł z więzienia, mając instynkt równie szybki i śmiertelnie niebezpieczny jak pięści. Parę lat przepracował jako egzekutor długów dla firmy Sanjaya. Słynął z szybkiego rozwiązywania problemów. Choć czasem musiał korzystać z bokserskich umiejętności, często sam wygląd jego pociętej bliznami twarzy i płonące spojrzenie wystarczały, by dłużnicy nagle stawali się wypłacalni.

Po ostatniej wielkiej bitwie o teren, po której w radzie pojawiło się kilka wakatów, Fajsal otrzymał w niej stałe miejsce. Tuż obok niego siedział jego nieodłączny towarzysz Amir. Z dużą głową, okrągłą jak oszlifowany przez rzekę kamień, posiekaną bliznami twarzą, krzaczastymi brwiami i misternym wąsem miał tajemniczy urok hinduskiej gwiazdy filmowej. Pomimo wydatnego brzucha słynął jako dobry tancerz. Grzmiącym basem opowiadał różne historie, płatał figle wszystkim z wyjątkiem

Abdullaha, był pierwszy do tańca i do bójki. Amir i Fajsal kontrolowali handel narkotykami w południowym Bombaju, a zarobki ich ulicznych dilerów stanowiły jedną czwartą całego dochodu firmy.

Obok Amira siedział jego protegowany, Andrew DaSilva, młody gangster, którego do rady wprowadził Amir. Kontrolował prostytucję i pornografię, przejęte od pokonanego gangu w ostatniej wojnie o teren. Ten ładny młodzieniec o jasnobrązowych włosach i karmelowych oczach miał uśmiech promieniejący fałszywą niewinnością, który rodzi się ze strachu i z przebiegłości pod wpływem okrucieństwa. Widziałem, jak ta maska spada. Widziałem jego spojrzenie tnące jak bat. Ale inni jakby tego nie dostrzegali: jego uśmiech tuszował wszystko tak szybko, że nie budził nieufności, choć powinien.

A on wiedział, że ja wiem. Za każdym razem, gdy nasze oczy się spotykały, widziałem w nich pytanie: *dlaczego mnie widzisz?*

Otarliśmy się o przemoc, DaSilva i ja, i obaj wiedzieliśmy, że pewnego dnia, pewnej nocy, w tej czy innej sytuacji dojdzie do dnia sądu, z którego ocaleje tylko jeden z nas. Teraz, patrząc na niego, byłem pewien, że gdy ten dzień nadejdzie, Andrew nie będzie sam. Oprze się mocno na silnych, szerokich barkach swojego przyjaciela Amira.

Dalej siedział Farid, znany jako Farid Złota Rączka, oddany Kadirbajowi nawet bardziej niż Nazir. Farid uważał, że jest odpowiedzialny za śmierć Kadirbaja w Afganistanie. Wmawiał sobie – choć my twierdziliśmy coś innego – że gdyby był z nami, Kadirbaj by przeżył.

Jego poczucie winy i rozpacz pchnęły go do bezwzględności, ale także zacieśniły więzy jego przyjaźni ze mną. Zawsze go lubiłem. Lubiłem jego furię i gotowość do rzucania się w każdą burzę, cień, który szedł przed nim, nie za nim. Gdy przyglądałem mu się w tej chwili przeciągającego się milczenia, kiedy Sanjay podejmował decyzję, jak postąpić ze zbuntowanymi właścicielami mieszkań, zbirami spoza mafii i drapieżnymi Skorpionami, Farid spojrzał na mnie z dopalającym się w oczach smutkiem. Przez chwilę znowu się tam znalazłem, na tej przysypanej śniegiem górze, spoglądając w martwą, zimną jak śnieg twarz Kadirbaja – mężczyzny, którego Farid i ja nazywaliśmy ojcem. Ojcem. Ojcem.

Ostatni mężczyzna przy stole, siedzący przed Husseinem i Abdullahem, odkaszlnął uprzejmie. Nazywał się Radżubaj i kontrolował handel walutami. Ten grubas, który dźwigał swoje brzuszysko z niekłamaną dumą, wyglądał jak mędrzec z dalekiej wioski, ale był urodzonym mumbajkarem. Jego głowę przykrywał wspaniały różowy turban, a

na tradycyjny strój składało się białe *dhoti* pod sięgającą kolan serżową tuniką bez rękawów. Radżubaj, który swobodnie czuł się tylko w spokoju swojego kantoru, wiercił się, zerkając na zegarek, gdy Sanjay na niego nie patrzył.

– No dobrze – odezwał się w końcu Sanjay. – Ten gospodarz ma wielki tupet, przyznaję, ale zrobił coś niedopuszczalnego. To stanowiłoby zły przykład, a to niedobry czas na wysyłanie złych sygnałów. Abdullah, Hussein, Farid – weźcie jednego z tych wynajętych przez niego osiłków, największego, najtwardszego, przywódcę. Zabierzcie go na trzecie piętro tego drugiego budynku, nowego apartamentowca, który buduje się w Navy Nagar.

– *Ji*… – powiedział Abdullah. „Panie…".

– Posłuż się tym nowym miejscem, które w zeszłym miesiącu zapłaciło Gangowi Skorpionów, a nie nam. Wyrzuć tego madachudha z trzeciego piętra. Byłoby fajnie, gdyby spadł na gabinet dyrektora albo jakieś ważne miejsce, żeby przesłać wiadomość i firmie budowlanej, i tym skurwielom Skorpionom. Ale najpierw pogadaj sobie od serca z gościem. Dowiedz się, co wie. Jeśli przeżyje upadek z okna, daj mu spokój.

– *Jarur* – rzucił Abdullah, kiwając głową. „Oczywiście".

– A potem – podjął Sanjay – wyłap resztę tych ludzi i zabierz ich na spotkanie z typem, który ich wynajął. Niech go pobiją. Niech bandyci, którzy pracowali dla niego, zrobią z niego miazgę. Dopilnuj tego. Potem potnij im twarze i wypędź z miasta.

– *Jarur.*

– Jak gospodarz się ocknie, powiedz mu, że jego podatek zwiększył się dwukrotnie. Potem niech zapłaci za czas i kłopot, który nas kosztował. I za leczenie Lśniącego Patela i Rafika. Nie znam lepszego pieśniarza *quawwali*. Cholerna szkoda.

– To prawda – zgodził się Mahoud Melbaaf.

– Cholerna szkoda – westchnął Amir.

– Zapamiętałeś wszystko? – spytał Sanjay.

– Tak – powiedział Abdullah.

Sanjay odetchnął, wydymając policzki, i powiódł wzrokiem po pozostałych członkach rady.

– Czy to wszystko? – spytał.

Przez chwilę panowało milczenie. Potem przemówił Radżubaj.

– Czas i pieniądze nie czekają na nikogo – oznajmił, szukając sandałów.

Wszyscy wstali. Po kolei kiwali głową Tarikowi, chłopcu na cesarskim tronie, po

czym wychodzili z pokoju. Został tylko Sanjay, a gdy i on ruszył do drzwi, podszedłem do niego.

– Sanjaybaj?

– A, Lin – rzucił, szybko się odwracając. – Jak było w Goa? Dobrą broń przywiozłeś, dobra robota.

– Było… w porządku.

– Ale?

– Ale pod moją nieobecność wydarzyły się dwie rzeczy. Rowerowi Zabójcy i Afgańczycy. Co się dzieje?

Jego twarz pociemniała z gniewu, zacisnął mocno wargi.

– Wiesz, Lin – powiedział Sanjay szeptem, pochylając się do mnie – nie łudź się, że twoja przydatność ma znaczenie. Wysłałem cię do Goa po broń, bo wszyscy moi lepsi ludzie są tam zbyt znani. I nie chciałem, żeby któryś z moich lepszych ludzi wpadł podczas tego pierwszego kursu, gdyby coś się nie udało. Czy to jasne?

– Wezwałeś mnie tutaj, żeby mi to powiedzieć?

– Nie wezwałem cię na to zebranie i nie pozwoliłem ci w nim uczestniczyć. Nigdy bym tego nie zrobił. I nie jestem z tego zadowolony. To Tarik cię wezwał i to on nalegał, żebyś został.

Razem odwróciliśmy się, żeby spojrzeć na chłopca.

– Masz czas, Lin? – spytał Tarik cicho, lecz zdecydowanie.

Nie było to pytanie.

– No – rzucił Sanjay głośniej, klepiąc mnie w ramię. – To ja się zbieram. Nie wiem, po co wracałeś. Ja po prostu kocham Goa. Na twoim miejscu bym zniknął i został na tej plaży na zawsze. Nie miałbym do ciebie pretensji, gdybyś tak zrobił.

Wyszedł, a ja znowu usiadłem koło Tarika. Byłem zły i nie od razu udało mi się spojrzeć w martwe oczy chłopca. Minęła cała minuta ciszy wypełnionej powolnym oddechem.

– Nie spytasz? – odezwał się w końcu Tarik, uśmiechając się blado.

– O co miałbym cię spytać?

– Dlaczego wezwałem cię na zebranie rady.

– Zakładałem, że wcześniej czy później mi to powiesz – odparłem, także się uśmiechając.

Tarik wyglądał, jakby chciał się roześmiać, ale nie stracił surowej pozy.

– Wiesz, Lin, to jedna z cech, które mój wuj najbardziej w tobie lubił. Parę razy powiedział mi, że w głębi duszy jesteś bardziej *Inszallah* – jeśli wiesz, o co mi chodzi – niż ktokolwiek z nas.

Nie odpowiedziałem. Założyłem, że przez „Inszallah" rozumie zwrot „wola boża" albo „jeśli Bóg pozwoli", czyli że uważa mnie za fatalistę.

Nie była to prawda. Nie pytałem o to, co zrobiliśmy, bo mnie to nie obchodziło. Obchodzili mnie ludzie – niektórzy – i nic więcej. Nie dbałem o to, co mnie spotkało przez te lata po ucieczce z więzienia. Przyszłość zawsze wyglądała jak ogień, a przeszłość tonęła w zbyt głębokim mroku.

– Po śmierci wuja – podjął Tarik – wszyscy wykonaliśmy jego wolę i podzieliliśmy jego spory majątek.

– Pamiętam.

– Jak wiesz, otrzymałem dom i znaczną sumę pieniędzy.

Zerknąłem na Nazira. Twarz starego żołnierza pozostała niezmiennie groźna, ale jedna jego krzaczasta brew drgnęła z zainteresowaniem.

– A ty… – ciągnął Tarik. – Ty nic nie dostałeś od Kadirbaja. Nie zostałeś wymieniony w jego testamencie.

Kochałem Kadirbaja. Nieudani synowie mają dwóch ojców: tego zranionego, który ich spłodził, i tego, którego wybrały ich zranione serca. Ja wybrałem Kadirbaja i obdarzyłem go miłością.

Ale w tym wewnętrznym pokoju, gdzie prawda jest lustrem, wiedziałem z całą pewnością, że on – nawet jeśli miał dla mnie jakieś uczucia – uważał mnie za pionka w swojej wielkiej grze.

– Nigdy się tego nie spodziewałem.

– Nie spodziewałeś się, że będzie o tobie pamiętał? – spytał Tarik, przechyleniem głowy podkreślając swoją wątpliwość.

Był to dokładnie ten gest, którym posługiwał się Kadirbaj, gdy toczył ze mną dyskusje filozoficzne.

– Choć byłeś mu tak bliski? Choć nieraz mówił, że jesteś jego ulubieńcem? Choć wraz z Nazirem wyprawiliście się z nim w podróż, którą przypłacił życiem?

– Cholernie dobrze mówisz po angielsku – zauważyłem, starając się zmienić temat. – Ta nowa nauczycielka świetnie się spisuje.

– Lubię ją – powiedział Tarik, ale potem drgnął nerwowo i poprawił się

pospiesznie. – To znaczy… Szanuję moją nauczycielkę. Jest doskonałym pedagogiem. Lepszym od ciebie, jeśli mogę tak powiedzieć.

Nastąpiła chwila milczenia. Położyłem ręce na kolanach, dając znak, że jestem gotów odejść.

– No, to…

– Czekaj! – rzucił szybko.

Zmarszczyłem brwi i spojrzałem na niego ostro, ale widząc przyczajoną w jego spojrzeniu prośbę, znowu usiadłem i założyłem ręce na piersi.

– W… w tym tygodniu – zaczął znowu – znaleźliśmy nowe dokumenty wuja. Te dokumenty zaginęły w jego Koranie. Właściwie nie zaginęły, po prostu do tej pory ich nie znaleźliśmy. Mój wuj włożył je tam tuż przed wyprawą do Afganistanu.

Chłopiec urwał, a ja spojrzałem znowu na jego ochroniarza, mojego przyjaciela Nazira.

– Zostawił ci podarunek – rzucił gwałtownie Tarik. – Miecz. Swój miecz, który należał do jego pradziadka i dwukrotnie został użyty w walce z Anglikami.

– To pewnie pomyłka.

– Zapis jest bardzo konkretny – oznajmił Tarik sztywno. – W razie jego śmierci masz odziedziczyć miecz. Nie jako spadek, lecz jako dar, z moich rąk do twoich. Zrobisz mi zaszczyt, jeśli go przyjmiesz.

Nazir przyniósł broń. Rozwinął ją z jedwabnej osłony i podał mi w uniesionych dłoniach.

Był to długi miecz w szerokiej srebrnej pochwie, ozdobionej wzorem w jastrzębie w locie. Na jej czubku znajdował się werset z Koranu. Rękojeść miecza była zrobiona z lapis-lazuli, inkrustowana turkusem maskującym nity. Jelec z kutego srebra zataczał wdzięczny łulc od głowicy aż po wąsy.

– To pomyłka – powtórzyłem, wpatrując się w rodowy skarb. – Ten miecz powinien należeć do ciebie. Musi należeć do ciebie.

Chłopiec uśmiechnął się z wdzięcznością i tęsknotą.

– Masz rację, powinien należeć do mnie. Ale dokument spisany ręką Kadirbaja nie pozostawia wątpliwości. Broń jest twoja. I nawet nie myśl o tym, żeby z niej zrezygnować. Znam cię. Jeśli spróbujesz mi ją oddać, obrazisz mnie.

– Mam jeszcze jeden argument – powiedziałem, nadal wpatrując się w miecz. – Wiesz, że w moim kraju uciekłem z więzienia. W każdej chwili mogę zostać

aresztowany i odesłany. Jeśli tak się stanie, miecz przepadnie.

– Nigdy nie będziesz miał problemu z bombajską policją – odparł Tarik. – Jesteś z nami. Nie stanie ci się tu żadna krzywda. A jeśli opuścisz miasto na dłużej, możesz oddać miecz Nazirowi, który będzie go chronić do twojego powrotu.

Skinął głową Nazirowi, który pochylił się w moją stronę, zmuszając mnie w ten sposób do przejęcia miecza z jego rąk. Spojrzałem mu w oczy. Wygiął usta w uśmiechu.

– Przyjmij miecz – powiedział w urdu. – I dobądź go.

Miecz był lżejszy, niż się spodziewałem. Znowu usiadłem, położywszy go na kolanie.

W tej chwili ciszy w porzuconej rezydencji zawahałem się, myśląc, że gdybym teraz dobył miecza, uwolniłbym uwięzione na jakiś czas wspomnienia. Ale tradycja wymagała, żebym to zrobił na znak, że go przyjmuję.

Wyciągnąłem ostrze na światło dzienne i stanąłem, trzymając jego czubek tuż nad marmurową posadzką. I rzeczywiście, poczułem: ten przedmiot miał moc przywoływania wspomnień.

Znowu schowałem miecz do pochwy i odwróciłem się do Tarika. Chłopiec wskazał mi głową miejsce obok siebie. Raz jeszcze usiadłem z mieczem na kolanach.

– Co jest napisane na klindze? – spytałem. – Nie znam alfabetu arabskiego.

– *Inna Lillahi wa inna…* – zaczął Tarik poezję Koranu.

– *…ilayhi raji'un* – skończyłem.

Znałem ten cytat. „Należymy do Boga i do Boga powracamy". Każdy muzułmański gangster wypowiadał te słowa przed bitwą. Wszyscy je wypowiadaliśmy, nawet jeśli wyznawaliśmy inną religię – tak na wszelki wypadek.

Fakt, że nie potrafiłem nawet odczytać arabskiej inskrypcji na rodowym mieczu Kadirbaja, sprawił, że twarz Tarika stężała w gorzkim grymasie. Współczułem mu. Sam przyznawałem, że nie zasłużyłem na ten miecz. Nawet nie mogłem sobie wyobrazić, co oznacza on dla Tarika.

– Wśród dokumentów, które znaleźliśmy w Świętej Księdze, był list – powiedział chłopiec, panując nad każdym oddechem i słowem. – Do ciebie.

Poczułem, że kobra w moim sercu podnosi głowę. List. To mi się nie podobało. Nie lubiłem listów. Mroczna przeszłość jest zawsze jak wampir żywiący się krwią żyjących chwil, a listy to jej zwiastuny.

– Zaczęliśmy go czytać – ciągnął Tarik – nie wiedząc, że jest zaadresowany do ciebie. Dopiero w połowie się zorientowaliśmy. Wtedy przestaliśmy *czytać*. Nie znamy jego drugiej części. Nie znamy jego zakończenia. Ale wiemy, że zaczyna się od Sri Lanki.

Czasem rzeka życia znosi cię na mieliznę. List, miecz, decyzje podjęte na zebraniu rady, „nie łudź się, że twoja przydatność ma znaczenie", Rowerowi Zabójcy, broń z Goa, Sri Lanka – strumienie zbiegów okoliczności i konsekwencji. A gdy widzisz zbliżającą się mieliznę, masz do wyboru dwie drogi: zostać w łodzi lub z niej wyskoczyć.

Nazir podał Tarikowi srebrną kopertę. Tarik uderzył nią o dłoń.

– Mój wuj – powiedział jeszcze ciszej – zawsze dawał prezenty pod pewnymi warunkami i nigdy niczego nie przyjmował bez…

– Konsekwencji – dokończyłem.

– Chciałem powiedzieć „oddania". Ten dom był darem, który Kadirbaj przekazał mi w testamencie, ale pod warunkiem, że nigdy go nie opuszczę, nawet na minutę, dopóki nie skończę osiemnastu lat.

Nie kryłem wstrząsu. Nie miałem pojęcia, co przechodzi i kim się staje Tarik.

– Co?!

– Nie jest tak źle – oznajmił Tarik, zaciskając zęby na widok mojego oburzenia. – Wszyscy nauczyciele przychodzą do mnie. Uczę się wszystkiego. Angielskiego, przyrody, religii, ekonomii i sztuki walki. A Nazir i reszta służby nie odstępują mnie ani na krok.

– Ale masz czternaście lat! Wytrzymasz tak kolejne cztery lata? Spotykasz się z jakimiś dziećmi?

– Mężczyźni z mojego rodu dowodzą ludźmi w bitwach, mając piętnaście lat – odparł Tarik, piorunując mnie wzrokiem. – Już teraz żyję zgodnie z przeznaczeniem. Czy potrafisz powiedzieć to samo o sobie?

Determinacja młodych to najsilniejsza energia, jaką może z siebie wykrzesać samotny człowiek. Nie chciałem go krytykować, zamierzałem mu tylko uświadomić, że ma inne wyjście.

– Tarik… – westchnąłem. – Nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz.

– Nie będę wyłącznie naśladować mojego wuja – oznajmił powoli, jakby uważał mnie za dziecko. – Pewnego dnia stanę się Kadirbajem i obejmę rządy nad tymi ludźmi, których tu dzisiaj widziałeś. Także nad tobą. Będę twoim przywódcą. Jeśli nadal jesteś

z nami.

Znowu zerknąłem na Nazira, który odpowiedział mi spojrzeniem rozświetlonym cichą dumą. Ruszyłem do wyjścia.

– List! – rzucił szybko Tank.

Nagle ogarnięty gniewem, odwróciłem się do niego gwałtownie. Już miałem przemówić, ale Tarik uniósł rękę z listem.

– Zaczyna się wzmianką o Sri Lance – powiedział, podając mi srebrną kopertę. – Wiem, że to było jego życzenie. Dałeś słowo, że tam pojedziesz, tak?

– Tak – mruknąłem, przyjmując list z jego smukłych palców.

– Nasi agenci z Trikunamalai mówią, że wkrótce nadejdzie pora, żebyś spełnił swoją obietnicę.

– Kiedy? – spytałem, trzymając dwa spadki: list i miecz.

– Wkrótce – powiedział Tarik, rzucając okiem na Nazira. – Abdullah cię powiadomi. Ale bądź gotów w każdej chwili. Już niedługo.

Rozmowa dobiegła końca. Zimna uprzejmość sprawiała, że chłopiec nadal siedział, ale widziałem, że chciałby już odejść, a jeszcze bardziej – żebym ja odszedł.

Wyszedłem przez drzwi prowadzące na dziedziniec. Towarzyszył mi Nazir. W progu odwróciłem się, by spojrzeć na tego wysokiego chłopca, nadal siedzącego na cesarskim tronie, z głową opartą na ręce. Jego kciuk wpierał się w policzek z dołeczkiem, pozostałe palce obejmowały czoło. Dokładnie w takiej pozie widywałem zamyślonego Kadirbaja.

W drzwiach wyjściowych Nazir wyjął perkalowy pokrowiec z paskiem. Miecz doskonale się w nim zmieścił. Mogłem go przewiesić przez plecy na czas jazdy motocyklem.

Nazir przełożył mi pasek przez ramię i długo układał miecz, aż w końcu uzyskał odpowiednio estetyczny kąt. Potem objął mnie szybko, gwałtownie i wstydliwie, miażdżąc mi żebra obręczą swoich ramion.

Odszedł bez słowa, bez jednego spojrzenia. Dreptał na krzywych nogach najszybciej, jak potrafił, spiesząc się do chłopca, tego młodzieńca, który był jego panem i jedyną miłością: przywróconym do życia Kadirbajem, któremu znowu mógł służyć.

Patrząc za nim, przypomniałem sobie czasy, gdy ta rezydencja była pełna roślin i melodyjnego szmeru wody, a oswojone gołębie chodziły za Nazirem krok w krok po ogromnym domu. Te ptaki go kochały.

Ale teraz ptaki zniknęły, a jedynym dźwiękiem był zgrzyt metalu o metal, jak szczękanie zębów na lodowatym wichrze – odgłosy pocisków wkładanych w magazynki kałasznikowów, jedna skoncentrowana śmierć po drugiej.

# 8

Na ulicy przedwieczorne światło rozjaśniało twarze, jakby cały świat rumienił się na myśl o tym, co przyniesie noc. Abdullah czekał na mnie na motocyklu zaparkowanym koło mojego. Dał parę rupii dzieciom, które pilnowały naszych pojazdów. Malcy krzyknęli ze szczęścia i pobiegli do sklepu z cukierkami, żeby kupić papierosy.

Abdullah ruszył za mną na ulicę. Odezwałem się dopiero na czerwonym świetle.

– Umówiłem się z Lisą w Maheshu. Idziesz?

– Pojadę tam z tobą – odparł poważnie – ale nie dołączę do was. Mam pracę.

Jechaliśmy w milczeniu bulwarem handlowym Mohammed Ali Road.

Uwodzicielskie wonie bazarów z perfumami ustąpiły miejsca słodkim aromatom sklepów z fimi, rabri i faludą. Olśniewającą wspaniałość straganów z bransoletkami zaćmiły fantastyczne fraktale perskich dywanów, rozwieszonych jeden za drugim na całą długość przecznicy.

Gdy długa droga zakończyła się w pobliżu wielkiego kompleksu Crawford Market gęstwiną wózków, pojechaliśmy skrótem pod prąd do kolejnego skrzyżowania.

Wróciwszy do właściwego kierunku ruchu, zatrzymaliśmy się na światłach na skrzyżowaniu przy lanie Metro, na którego pierwszym piętrze wisiał wielki plakat. Twarze Złego i Dobrego, skąpane w zieleniach, żółciach i fioletach, zapowiadały historię miłości i krzywdy zza cierni pistoletów i szabli.

Upchnięte w samochodach i taksówkach rodziny gapiły się łapczywie na ten plakat. Chłopiec w samochodzie obok mnie pomachał, wskazał poster i zrobił z dłoni pistolet, który we mnie wycelował. Nacisnął spust. Udałem, że kula trafiła mnie w ramię, a chłopiec się roześmiał. Jego rodzina też. I ludzie w innych samochodach.

Matka chłopca, kobieta o dobrej twarzy, dała mu znak, żeby znowu do mnie strzelił. Mały wycelował, zmrużył oko i strzelił. Odegrałem wielką scenę śmierci Złego Faceta i znieruchomiałem, leżąc na zbiorniku paliwa. Kiedy się wyprostowałem, wszyscy pasażerowie samochodów bili brawo, machali mi i zanosili się śmiechem. Ukłoniłem się i odwróciłem się do Abdullaha, który wpatrywał się we mnie pobladły, ze zgrozą.

Usłyszałem jego myśli: Jesteśmy ludźmi firmy. Szacunek i strach. Jedno lub drugie, nic innego. Szacunek i strach.

Dopiero widok morza w drodze do hotelu Mahesh w końcu złagodził jego surową minę. Abdullah jechał powoli, z jedną dłonią na rączce gazu, drugą opierając o biodro. Zbliżyłem się do niego, położyłem mu lewą rękę na ramieniu. Gdy się żegnaliśmy, zadałem mu pytanie, które gnębiło mnie przez całą jazdę.

– Wiedziałeś o mieczu?

– Wszyscy o nim wiedzą, Lin, mój bracie.

Nasze ręce się rozłączyły, ale nie spojrzenia.

– Niektórzy – dodał ostrożnie Abdullah – zazdroszczą ci go.

– Andrew.

– To jeden z nich. Ale nie jedyny.

Nie odpowiedziałem. Zacisnąłem usta, pełne goryczy po tym, co usłyszałem. Słowa Sanjaya – „nie łudź się, że twoja przydatność ma znaczenie" – poraziły mnie jak letnia błyskawica, a jakiś głos w mojej głowie powtarzał, wołał, żebym uciekał, gdziekolwiek, dokądkolwiek, zanim wszystko to się źle skończy.

A potem pojawiła się Sri Lanka.

– Zobaczymy się jutro, *Inszallah* – powiedziałem, parkując motocykl.

– Jutro, *Inszallah* – potwierdził, odjeżdżając. – *Allah hafiz!* – rzucił, nie oglądając się. „Niech cię Allah strzeże".

– *Allah hafiz* – powtórzyłem pod nosem.

Stojący przed drzwiami hotelu Mahesh sikhijscy strażnicy przyjrzeli się z pewnym zainteresowaniem przypasanej do moich pleców paczce w kształcie miecza, ale pozwolili mi przejść, kiwając głowami i uśmiechając się do mnie. Dobrze mnie znali. Paszporty, zostawione przez gości, którzy uciekali, nie płacąc rachunków, docierały do mnie dzięki ochroniarzom lub recepcjonistom z niemal wszystkich hoteli w mieście.

Książki, jak nazywaliśmy nielegalne paszporty, płynęły do mnie ciągłym strumieniem, po piętnaście lub więcej na miesiąc w sezonie. A należały do rodzaju najlepszych z najlepszych – ich straty właściciele nie zgłaszali. W biurach ochrony we wszystkich pięciogwiazdkowych hotelach świata znajduje się ściana pełna zdjęć ludzi, którzy uciekli z hotelu bez płacenia, czasem zostawiając swój paszport. Większość osób spoglądała na tę ścianę, by zidentyfikować przestępców. Ja robiłem to z powodów handlowych.

W hotelowym holu powiodłem wzrokiem po otwartej przestrzeni kawiarni i dostrzegłem Lisę, nadal rozmawiającą z przyjaciółmi obok wysokich, szerokich okien z widokiem na morze.

Postanowiłem spłukać uliczny kurz z twarzy i rąk, zanim pójdę się z nią przywitać, więc ruszyłem do łazienki. Otwierając drzwi, usłyszałem za plecami głos:

– Czy to coś na twoich plecach to miecz, czy tylko nie cieszysz się na mój widok?

Odwróciłem się do Randżita, początkującego giganta mediów, przystojnego sportowca i działacza politycznego – człowieka, za którego wyszła Karla, moja Karla. Uśmiechał się.

– Nigdy się nie cieszę na twój widok, Randżit. Żegnam.

Randżit znowu się uśmiechnął. Wyglądało to jak uczciwy, szczery uśmiech. Nie przyglądałem mu się za długo, bo mężczyzna, który się do mnie uśmiechał, był mężem Karli.

– Żegnaj, Randżit.

– Co? Nie, zaraz! – rzucił szybko. – Chciałbym z tobą porozmawiać.

– Porozmawiałeś. Żegnaj.

– Nie, serio! – Randżit stanął przede mną. Jego uśmiech niemal się nie zmienił. – Właśnie wyszedłem z zebrania i wracałem do domu, ale cholernie się cieszę, że na ciebie wpadłem.

– Wpadnij na kogoś innego.

– Proszę, proszę. Ja… nie używam tego słowa codziennie.

– Czego chcesz?

– Chcę… chcę z tobą o czymś porozmawiać.

Obejrzałem się na Lisę, która siedziała z przyjaciółmi. Podniosła głowę i złapała moje spojrzenie. Skinąłem głową. Zrozumiała i odpowiedziała takim samym ruchem, po czym znowu zajęła się przyjaciółmi.

– O co ci chodzi? – spytałem.

Przez jego nieskazitelną twarz przebiegł skurcz zaskoczenia.

– Jeśli to niewłaściwy moment…

– Między nami nie ma właściwych momentów, Randżit. Do rzeczy.

– Lin… Na pewno moglibyśmy być przyjaciółmi, gdybyśmy tylko…

– Nie udawaj, że to dotyczy nas. Nie ma nas. Wiedziałbym, gdyby było inaczej.

– Mówisz, jakbyś mnie nie lubił, a przecież mnie nie znasz.

– Nie lubię cię. I to wystarczy. Gdybym cię znał, na pewno byłoby gorzej.

– Dlaczego?

– Co „dlaczego”?

– Dlaczego mnie nie lubisz?

– Wiesz co, jeśli zamierzasz stać w tym holu i pytać wszystkich, dlaczego cię nie lubią, lepiej wynajmij sobie pokój, bo spędzisz tu całą noc.

– Ale, czekaj… ja… nie rozumiem.

– Twoje ambicje narażają Karlę – oznajmiłem cicho. – A to mi się nie podoba. I ty mi się nie podobasz, ponieważ to robisz. Czy to jasne?

– Chciałem z tobą porozmawiać o Karli – odparł, patrząc na mnie uważnie.

– O czym?

– Chcę mieć pewność, że jest bezpieczna, to wszystko.

– Jak to „bezpieczna”?

Randżit zmarszczył brwi. Westchnął, na chwilę opuszczając głowę.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć…

Rozejrzałem się i zaprowadziłem go do dwóch pustych foteli w holu. Zdjąłem miecz i usiadłem, trzymając na kolanach owiniętą w perkal broń. Natychmiast podszedł do nas kelner, ale odprawiłem go z uśmiechem. Randżit przez jakiś czas siedział ze zwieszoną głową, wpatrując się w dywan. W końcu wzruszył ramionami i wziął się w garść.

– Wiesz, że ostatnio mocno się zaangażowałem w politykę. Prowadzę pewne ważne kampanie. Wszystkie gazety, których nie jestem właścicielem, dobierają mi się do skóry. Pewnie słyszałeś.

– Słyszałem, że kupujesz głosy. To denerwuje ludzi. Wracaj do tematu Karli.

– Czy… czy z nią rozmawiałeś?

– Dlaczego o to pytasz?

– Rozmawiałeś?

– Koniec rozmowy.

Podniosłem się, ale zmusił mnie, żebym znowu usiadł.

– Pozwól mi to wytłumaczyć. Prowadziłem intensywną kampanię prasową przeciwko Włóczni Karmy.

– Włóczni, która uderzy w Karlę, jeśli nie przestaniesz prowokować ludzi.

– Właśnie… właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Widzisz… wiem, że nadal ją kochasz.

– Żegnam – rzuciłem, znowu wstając.

Randżit chwycił mnie za nadgarstek. Spojrzałem na jego rękę.

– Nie radzę.

Cofnął dłoń.

– Proszę, zaczekaj. Usiądź i wysłuchaj tego, co mam do powiedzenia.

Usiadłem. Gardło mi się ściskało – ale to jego gardło chciałem ścisnąć.

– Pomyślisz, że to nietakt, ale chyba zechcesz się dowiedzieć, że Karla jest w niebezpieczeństwie.

– Ty jesteś dla niej niebezpieczeństwem. Powinieneś się wycofać. Jak najszybciej.

– Grozisz mi?

– Tak. Bardzo się cieszę, że sobie porozmawialiśmy.

Patrzyliśmy na siebie przez tę przestrzeń, która dzieli drapieżnika i ofiarę: gorącą, naładowaną elektrycznością, przeszywającą.

Karla. Ta chwila przed laty, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy mojego pierwszego dnia w Bombaju, a moje serce sfrunęło na jej rękę jak ptak łowczy.

Wykorzystała mnie. Kochała mnie, dopóki jej nie pokochałem. Zwerbowała mnie do pracy dla Kadirbaja. Kiedy krew spłynęła wraz z nienawiścią i chęcią zemsty, a rany zmieniły się w plątaninę blizn, Karla – patrząc mi prosto w oczy – wyszła za przystojnego, uśmiechniętego milionera. Karla.

Zerknąłem na Lisę, piękną i jaśniejącą, w towarzystwie przyjaciół artystów. Poczułem gorycz w ustach, serce zabiło mi mocniej. Nie rozmawiałem z Karlą od dwóch lat, ale czułem, że siedząc tutaj i słuchając Randżita, zdradzam Lisę. Znowu wróciłem wzrokiem do Randżita. Nie byłem zadowolony.

– Widzę to – oznajmił. – Nadal ją kochasz.

– Chcesz oberwać? Bo jeśli tak, to już to sobie załatwiłeś.

– Nie, nie. Jestem pewien, że nadal ją kochasz – powiedział szczerze, jak mi się wydawało – bo, wiesz, ja na twoim miejscu nadal bym ją kochał, nawet gdyby mnie zostawiła, żeby wyjść za innego. Istnieje tylko jedna taka kobieta jak Karla. Istnieje tylko jeden szalony sposób, żeby ją kochać. Obaj o tym wiemy.

W garniturach najlepsze jest to, że zawsze jest je za co chwycić. Ja chwyciłem go za marynarkę, koszulę i krawat.

– Przestań mówić o Karli – rzuciłem. – Bo będzie za późno.

Otworzył usta, chyba po to, żeby krzyknąć, ale zmienił zdanie. Był człowiekiem u

władzy, aspirującym do jeszcze większej władzy, i nie mógł robić scen.

– Proszę, proszę, nie chcę cię denerwować – powiedział. – Chcę, żebyś pomógł Karli. Jeśli cokolwiek się ze mną stanie, obiecaj…

Puściłem go, a on cofnął się szybko, wyprostował się i wygładził garnitur.

– O czym ty mówisz?

– W zeszłym tygodniu był zamach na moje życie – oznajmił ze smutkiem.

– Ty sam dokonujesz zamachu na swoje życie – za każdym razem, gdy otwierasz usta.

– Ktoś podłożył bombę w moim samochodzie.

– Opowiedz mi o tym.

– Mój kierowca oddalił się od samochodu tylko na parę minut, żeby kupić paan. Na szczęście po powrocie zauważył wystający drucik i znalazł bombę. Wezwaliśmy policję, która odholowała samochód. To nie była prawdziwa bomba, ale w liście napisali, że następnym razem będzie. Udało mi się zataić to przed prasą. Jak wiesz, mam pewne możliwości.

– Zmień kierowcę.

Randżit roześmiał się bez przekonania.

– Zmień kierowcę – powtórzyłem.

– Kierowcę?

– To słabe ogniwo. Możliwe, że znalazł bombę, bo sam ją tam podłożył. Zapłacono mu, żeby cię przestraszyć.

– E… żartujesz. Pracuje dla mnie od trzech lat…

– I dobrze. Daj mu hojną odprawę. Ale się go pozbądź.

– Jest tak lojalny…

– Karla o tym wie?

– Nie. I nie chcę, żeby się dowiedziała.

Teraz to ja się roześmiałem.

– Karla jest dorosła. I inteligentna. Nie ukryjesz tego przed nią.

– Ale…

– Zmarnujesz swoje najlepsze źródło, jeśli jej nie powiesz. Jest od ciebie inteligentniejsza. Jest inteligentniejsza niż którykolwiek z nas.

– Ale…

– Powiedz jej.

– Może. Może masz rację. Ale ja chcę tylko jakoś to opanować, rozumiesz? Chyba sobie poradzę. Mam dobrą ochronę. Martwię się tylko o nią. To moje jedyne prawdziwe zmartwienie.

– Już ci powiedziałem, wycofaj się. Zostaw na jakiś czas politykę. Powiadają, że ryba psuje się od głowy. Ta ryba jest cała zepsuta. Za długo w tym siedzisz.

– Nie wycofam się, Lin. Ci ludzie… ci fanatycy… właśnie tak zwyciężają. Zastraszają wszystkich.

– Teraz będziesz mnie uczyć polityki?

Uśmiechnął się; pierwszy jego uśmiech, który niemal mi się spodobał, bo przeświecało przez niego coś milszego od blasku zwycięstwa.

– Myślę… myślę, że jesteśmy na skraju prawdziwie wielkiej zmiany myślenia i postępowania, a może nawet marzeń o tym kraju. Jeśli wygrają lepsze umysły, jeśli w Indiach zapanuje prawdziwie nowoczesna, świecka demokracja, z prawami i wolnością dla wszystkich, następny wiek będzie należał do naszego państwa, które stanie na czele świata.

Spojrzał w moje oczy i dostrzegł w nich sceptycyzm. Miał rację co do przyszłości Indii, wszyscy w Bombaju wiedzieli to i czuli, ale jego słowa były przemową, i to już kiedyś wygłaszaną.

– Wiesz co – powiedziałem – wszyscy politycy ze wszystkich partii tak mówią.

Otworzył usta, żeby zaprotestować, ale powstrzymałem go, unosząc rękę.

– Nie zajmuję się polityką, ale potrafię rozpoznać nienawiść i wiem, że kiedy się ją rozjuszy, może zaatakować.

– Cieszę się, że to rozumiesz – westchnął, opuszczając ramiona.

– Nie o moje zrozumienie powinieneś walczyć.

Znowu się wyprostował.

– Nie boję się ich!

– To była bomba, Randżit. Oczywiście, że się boisz. Ja boję się choćby o tym z tobą rozmawiać. Wolałbym, żebyś był daleko stąd.

– Gdybym wiedział, że zaopiekujesz się nią razem z… ze swoimi przyjaciółmi, mógłbym stawić czoło sytuacji ze spokojnym sercem…

Zmarszczyłem brwi. Ciekawe, czy wiedział, że w jego prośbie kryje się wiele powodów do ironicznego uśmiechu.

Postanowiłem przypomnieć mu o jednym z nich.

– Parę tygodni temu twoja popołudniówka zamieściła dość napastliwy artykuł o bombajskiej mafii. Wymieniono z nazwiska jednego z tych moich, jak mówisz, *przyjaciół*. Autor nawoływał do aresztowania go lub wygnania z miasta. A to człowiek, któremu nie postawiono żadnych zarzutów. Co się stało z zasadą domniemania niewinności? Co się stało z dziennikarstwem?

– Wiem.

– O ile sobie przypominam, w innym artykule w twojej gazecie nawoływano do kary śmierci w sprawie innego mojego *przyjaciela*.

– Tak…

– A teraz prosisz mnie…

– O to, by ci sami ludzie ochronili Karlę. Wiem, że jestem hipokrytą. Po prostu nie mam się do kogo zwrócić. Ci fanatycy wdarli się wszędzie. Do policji, wojska, szkół, związków, agencji rządowych. Jedynymi ludźmi w Bombaju, którzy się im nie dali, są…

– *Moi przyjaciele*.

– Właśnie.

Właściwie było to na swój sposób całkiem zabawne. Wstałem, trzymając miecz w ręce. Randżit wstał ze mną.

– Powiedz Karli o wszystkim – oznajmiłem. – O wszystkim, co przed nią ukrywałeś. Powiedz jej to. Niech sama zdecyduje, czy zostanie.

– Tak… tak, oczywiście. A nasza umowa? W sprawie Karli?

– Ani umowa, ani nasza. Nie ma „nas”, pamiętasz?

Uśmiechnął się, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale potem chwycił mnie w ramiona z zaskakującą gwałtownością.

– Wiem, że zawsze postąpisz jak należy. Choćby nie wiadomo co.

Moja twarz znalazła się blisko jego skóry. Poczułem mocny zapach: damskie perfumy, które niedawno przeniknęły jego koszulę. Tanie perfumy. To nie były perfumy Karli.

Był w tym hotelu z jakąś kobietą na chwilę przed tym, jak poprosił mnie o ochronę swojej żony, kobiety, którą nadal kochałem.

I oto ona, prawda, zawieszona na nitce podejrzenia między naszymi oczami, kiedy go odepchnąłem. Nadal kochałem Karlę. Nadal ją kochałem. Trzeba było zapachu innej kobiety na skórze Randżita, żebym w końcu spojrzał w oczy prawdzie, która krążyła

wokół mnie od dwóch lat jak wilk wokół ogniska.

Spojrzałem na Randżita. Myślałem o morderstwie i o haniebnej miłości do Lisy – kombinacja nieprzynosząca spokoju. Randżit przestąpił z nogi na nogę, usiłując odczytać moje spojrzenie.

– Tak że… tego – wymamrotał, cofając się o krok. – To ja… już pójdę.

Patrzyłem, jak idzie do drzwi hotelu. Gdy wsiadł na tylne siedzenie swojego mercedesa sedana, rozejrzał się nerwowo – człowiek, który zbyt łatwo, zbyt często robi sobie wrogów.

Obejrzałem się na Lisę, siedzącą przy stoliku pod oknem i ściskającą rękę młodzieńca, który podszedł się przywitać. Wiedziałem, że go nie lubi. Powiedziała, że jest oślizgły jak glista w kieszeni foliowego płaszcza w deszczową noc. Był synem znanego handlarza diamentów i właśnie kupował sobie ważne miejsce w przemyśle filmowym, po drodze łamiąc cudze kariery. Teraz całował jej rękę. Lisa szybko ją cofnęła, ale obdarzyła go olśniewającym uśmiechem.

Kiedyś powiedziała mi, że każda kobieta ma tylko cztery uśmiechy.

– Tylko?

– Pierwszy Uśmiech – mówiła, nie zwracając na mnie uwagi – jest nieświadomy, mimowolny, na przykład wtedy, gdy uśmiecham się do dziecka na ulicy albo odpowiadam uśmiechem komuś na ekranie telewizora.

– Ja nie uśmiecham się do telewizora.

– Wszyscy się do niego uśmiechają. Po to go mamy.

– Nie uśmiecham się do telewizora.

– Drugi Uśmiech – podjęła – jest uprzejmy, taki, którym witamy przyjaciół w domu albo restauracji.

– Kiedy stawiają?

– Chcesz posłuchać czy nie?

– A jeśli powiem, że nie, to przestaniesz mówić?

– Trzeci Uśmiech to ten, którego używamy przeciwko ludziom.

– Przeciwko ludziom?

– Jasne. To dobry uśmiech. W przypadku niektórych dziewcząt ich najlepszy uśmiech służy do trzymania ludzi na dystans.

– Z tego nie skorzystam. Przejdę do czwartego.

– Aaach! Czwarty Uśmiech to ten, który dajemy wyłącznie ukochanym. To uśmiech

mówiący: „Jesteś tym jedynym”. Nikt inny nie dostaje takiego uśmiechu. Choćby kobieta była najbardziej szczęśliwa, choćby kogoś nie wiadomo jak bardzo lubiła – nawet jeśli by go lubiła tak bardzo, żeby go kochała, naprawdę za nim przepadała – Czwartego Uśmiechu nie dostanie nikt z wyjątkiem tego, kogo kocha prawdziwą miłością.

– A jeśli zerwiesz?

– Czwarty Uśmiech odchodzi z dziewczyną – powiedziała mi tego dnia. – Czwarty Uśmiech zawsze odchodzi z dziewczyną. Od tej pory były chłopak dostaje Drugi Uśmiech, chyba że jest złym byłym chłopakiem. Źli byli chłopcy dostają tylko Trzeci Uśmiech, bez względu na to, jak bardzo są uroczy.

Spojrzałem, jak Lisa rzuca młodemu aspirującemu producentowi swój najlepszy Trzeci Uśmiech i poszedłem do łazienki, żeby spłukać z siebie nowy brud, pozostałość po rozmowie z Randżitem.

Łazienka wykładana czarno-kremowymi kafelkami była większa, bardziej elegancko oświetlona, lepiej wyposażona i wygodniejsza niż osiemdziesiąt procent domów w mieście. Podwinąłem rękawy koszuli, zwilżyłem wodą moje krótkie włosy, obmyłem twarz, dłonie i ręce. Asystent podał mi świeży ręcznik. Uśmiechnął się, kołysząc głową w geście powitania. jedną z wielkich tajemnic Indii – i największą z wszystkich ich radości – jest czułe ciepło najniżej opłacanych. Ten człowiek nie miał nadziei na napiwek; większość z mężczyzn korzystających z łazienki ich nie dawała. Był po prostu życzliwy. Dał mi szczery, dobry uśmiech, jak jeden człowiek drugiemu.

Ta dobroć, płynąca z największych głębin hinduskiego serca, stanowi prawdziwe oblicze narodu indyjskiego i wiąże człowieka z tym krajem raz po raz, by zatrzymać go w nim na zawsze.

Sięgnąłem po pieniądze i wraz z nimi wyjąłem z kieszeni srebrną kopertę z listem Kadirbaja. Wręczyłem mężczyźnie napiwek, położyłem kopertę na szerokim blacie umywalki, a potem oparłem się o nią rękami, spoglądając sobie w lustrze w oczy.

Nie chciałem czytać tego listu. Nie chciałem odsuwać kamienia z wejścia do groty, w której ukryłem tak wiele z mojej przeszłości. Ale Tarik powiedział, że Kadirbaj wspomniał o Sri Lance. Musiałem to przeczytać. Zamknąłem się w kabinie, postawiłem miecz, opierając go o drzwi, i usiadłem na twardej klapie sedesu.

*Tego dnia trzymałem u; dłoni małą kulkę z niebieskiego szkła i myślałem o Sri Lance oraz tych, którzy wyprawią się tam w moim imieniu, tak jak obiecałeś to zrobić. Bardzo długo patrzyłem na tę leżącą na mojej dłoni niebieską szklaną kulkę, którą znalazłem na ziemi i podniosłem. W tak kruchych rzeczach i w tak subtelny sposób zostaje nam ukazany schemat naszego życia. Jesteśmy zbiorami rzeczy, które znajdujemy,*

*których doświadczamy, które cenimy i chowamy w sobie, czasem świadomie, czasem nie, i ta kolekcja rzeczy stanowi o tym, kim się stajemy.*

*Ja wziąłem sobie ciebie, Shantaram. Jesteś jedną z ozdób mojego życia. Moim kochanym synem, jak wszyscy moi kochani synowie.*

Ręce zaczęły mi drżeć, może z gniewu, może ze smutku, nie wiedziałem. Nie pozwoliłem sobie na jego opłakiwanie. Nie odwiedziłem jego grobu na cmentarzu Marine Lines. Wiedziałem, że jego ciała tam nie ma, ponieważ sam pomagałem je pochować.

Moja twarz tchnęła gorączką, skóra na głowie stała się chłodna.

*Mój kochany synu… Pewnie mnie znienawidzisz, kiedy poznasz całą prawdę o mnie. Wybacz mi, jeśli potrafisz. Ta noc mi ciąży. Możliwe, że wszyscy ludzie zostaliby znienawidzeni, gdyby poznano całą prawdę o nich. Ale z całą szczerością, wymaganą w takim liście, pisanym w noc przed naszym wyruszeniem na wojnę, nie mogę powiedzieć, żebym nie zasługiwał na nienawiść niektórych. I mówię im: idźcie do diabła, przeklęci.*

*Urodziłem się, żeby zostawić po sobie tę spuściznę. Urodziłem się, by to zrobić bez względu na to, ile mnie to będzie kosztować. Czy wykorzystuję ludzi? Oczywiście. Czy nimi manipuluję? Kiedy tylko tego potrzebuję. Czy zabijam? Zabijam każdego, kto mi się brutalnie przeciwstawi. A czyniąc tak, jestem chroniony i rosnę u; siłę, podczas gdy wszyscy dokoła upadają, ponieważ podążam za swoim przeznaczeniem. W swoim sercu nie zrobiłem niezłego, a moje modlitwy są szczere. Myślę, że potrafisz to zrozumieć.*

*Zawsze cię kochałem, od tej pierwszej nocy, kiedy się spotkaliśmy. Pamiętasz? Pamiętasz, jak pokazałem ci Ślepych Śpiewaków? To tak samo prawdziwe jak wszystkie złe rzeczy, których się o mnie dowiesz. Te złe rzeczy to szczera prawda i przyznaję to z własnej woli. Ale dobre rzeczy są równie prawdziwe, choć zawierają się u; sercu i się nie urzeczywistniły, które czujemy i pamiętamy. Wybrałem cię, bo cię kocham, a kocham cię, bo cię wybrałem. To cała prawda, mój synu.*

*Jeśli Allah mnie do siebie wezwie i przeczytasz to po moim odejściu, nie smuć się. Mam wiele pytań, a Allah, jak wiesz, jest odpowiedzią na wszystkie pytania. Moja dusza zrosła się z twoją i ze wszystkimi twoimi braćmi. Nigdy nie zaznasz strachu. Zawsze będę przy tobie. Gdy znajdziesz się gdzieś osamotniony, opuszczony i zagubiony, poczujesz na ramieniu dotyk mojej ojcowskiej ręki i będziesz wiedzieć, że moje serce towarzyszy w walce tobie i wszystkim moim synom.*

*Proszę, pozwól, by moja dusza mogła uklęknąć przy twojej podczas modlitwy, choć nie jesteś skłonny do modlitw. Postaraj się znaleźć choć chwilę na krótką codzienną modlitwę. Będę cię czasem odwiedzać w jej trakcie.*

*I zapamiętaj tę moją ostatnią radę: kochaj prawdę, którą znajdziesz w ludzkich sercach. Zawsze słuchaj głosu miłości, który usłyszysz we własnym sercu.*

Schowałem list w kopercie do portfela. Słowa: „Tego dnia trzymałem tę…” wyglądały

z koperty i moje serce pobiegło na szczyt wzgórza.

Zobaczyłem jego rękę. Zobaczyłem popołudniowe światło, lśniące na jego skórze koloru cynamonu. Zobaczyłem długie, szlachetne palce, które poruszały się, kiedy mówił, delikatne jak podwodne stworzenia. Zobaczyłem jego uśmiech. Zobaczyłem światło jego myśli, promieniejące z jego bursztynowych oczu i odbijające się od tej kulki z niebieskiego szkła. I zacząłem go opłakiwać.

Przez chwilę znaleźliśmy się – mój przybrany ojciec i ja, jego opuszczony syn – w jakimś innym miejscu, gdzie nie istnieją wina i kara, w miejscu wybaczenia, odkupienia.

Nieprzeżyta miłość to grzech przeciwko życiu, a żałoba jest jednym ze sposobów okazywania miłości. Wtedy to poczułem i pozwoliłem na to, na pragnienie, żeby wrócił. Pozwoliłem sobie na tęsknotę za siłą jego spojrzenia, jego dumą, kiedy zrobiłem coś, co mu się podobało, za miłością brzmiącą w jego śmiechu. Tęsknota, tęsknota za utraconym.

Gdzieś rozbrzmiewał łomot krwi. Nagle zrobiło mi się gorąco, oddychanie zaczęło mi sprawiać trudność. Mocno ścisnąłem miecz. Musiałem wyjść. Wstać i wyjść.

Za późno. Smutek, od lat ukryty za wściekłością, wyzwolił się we łzach, krępujących i głośnych.

– Przepraszam… – odezwał się asystent po chwili moich szlochów. – Czy pilnie pożąda pan więcej papieru?

Parsknąłem śmiechem. Bombaj mnie uratował, nie po raz pierwszy.

– Wszystko w porządku! – zawołałem. – Dziękuję za zainteresowanie.

Opuściłem kabinę, położyłem miecz na wieszaku na ręczniki, obmyłem twarz zimną wodą. Kontrolne spojrzenie w lustro: okropnie, ale bywało gorzej. Dałem życzliwemu asystentowi drugi napiwek i wróciłem przez hol do stolika Lisy.

Siedziała sama, wpatrując się w ciemne, posrebrzone morze. Jej odbicie patrzyło na nią, jakby ją podziwiało. Potem zobaczyła mnie w szybie.

Trudny dzień. Rowerowi Zabójcy, narada Sanjaya, Randżit i Karla, a także groźba Sri Lanki, raczej wcześniej niż później. Trudny dzień.

Lisa odwróciła się i jednym czujnym spojrzeniem dostrzegła moją rozpacz i zranioną miłość.

Zacząłem mówić, ale mnie uciszyła, kładąc mi palec na wargach, i pocałowała mnie. I znowu było dobrze – na jakiś czas. Połączyła nas dziwna miłość: ona mnie nie kochała, ja nie potrafiłem pokochać jej. Ale wiele razy w naszym życiu świeciło

słońce i nigdy nie czuliśmy się wykorzystani ani niekochani.

Wyjrzeliśmy przez wielkie panoramiczne okna na wzburzone fale zatoki. Kelnerzy noszący tace za naszymi plecami odbijali się w szkle. Wyglądali, jakby chodzili po wodzie. Czarne niebo atakowało morze, zacierało horyzont.

Gdy nadejdzie ta godzina i nie możesz mieć pretensji do nikogo oprócz siebie, dowiadujesz się, że mamy niewiele więcej niż to, co kryje się w nas. Tych parę wyjątkowych cech, jakie dodajemy do tego, kim jesteśmy, to nasza jedyna historia, którą opowiadamy my, nie ktoś inny.

Kadirbaj wziął mnie sobie, tak jak napisał. Ale teraz mój właściciel umarł, a ja nadal tkwiłem na wystawie w muzeum zbrodni, które Kadirbaj stworzył i pozostawił światu. Sanjay wykorzystał mnie, żeby przetestować swój nowy kanał przemytu broni; dzięki temu zrozumiałem: muszę opuścić to muzeum i znowu znaleźć własną wolność, najszybciej jak się da.

Lisa wzięła mnie za rękę. Staliśmy przez chwilę, zapatrzeni, dwa blade odbicia na nieskończonej goryczy morza.

II

# 9

Przez moje biurko w wytwórni fałszywych paszportów przechodziły historie siedmiu wojen i walk o władzę.

Irański profesor, znawca praislamskich tekstów, który uciekł przed czystkami gwardii rewolucyjnej, wymagał całkowitego opracowania: fałszywego aktu urodzenia, fałszywego międzynarodowego prawa jazdy, dokumentów bankowych i fałszywego paszportu wraz z historią podróży z ostatnich dwóch lat oraz ważnymi pieczątkami wizowymi.

Dokumenty musiały być na tyle przekonujące, żeby przeszły wnikliwą inspekcję aż do wejścia pasażera na pokład samolotu. Kiedy nasz klient dotrze tam, dokąd się wybierał, miał wyrzucić papiery i poprosić o azyl.

Siady tortur na jego ciele rzucały się w oczy, ale musiał zaryzykować wyjazd z fałszywymi dokumentami, ponieważ żadna legalna władza nie wydałaby mu prawdziwych – z wyjątkiem tej władzy, która chciała go znowu uwięzić.

Pewien Nigeryjczyk, działacz plemienia Ogoni, który protestował przeciwko sprzymierzaniu się władzy z koncernami naftowymi, chcącymi wykorzystać należące do plemienia złoża, stał się obiektem prześladowań. Przeżył przygotowany na niego zamach i przybył do Bombaju w ładowni frachtowca, bez dokumentów, ale z pieniędzmi od swoich zwolenników. Przekupił policjantów w porcie, którzy zgodnie z ustaloną procedurą odesłali go do nas. Potrzebował nowej tożsamości – z paszportem stwierdzającym jego przynależność do innego państwa.

Uciekinier z chińskiego obozu pracy, do którego trafił za walkę o suwerenność Tybetu, przeprawił się pieszo przez zasypane śniegiem góry do Indii. Dotarł aż do Bombaju, gdzie tybetańscy uchodźcy dali mu pieniądze i skontaktowali z firmą Sanjaya w celu dostarczenia mu nowych dokumentów.

Byli też inni: Afgańczyk, Irakijczyk, działacz kurdyjski, Somalijczyk i dwóch mężczyzn ze Sri Lanki. Wszyscy usiłowali uciec lub przeżyć krwawą powódź wojen, których nie rozpętali i w których nie mogli walczyć.

Ale wojny wychodzą na dobre podejrzanym interesom, więc nie pracowaliśmy tylko dla porządnych ludzi. Firma Sanjaya wykorzystywała każdą okazję zarobku.

Nieuczciwi biznesmeni chcieli ukryć swoje dochody, ludzie od mokrej roboty potrzebowali nowej reputacji do zniszczenia, a byli też zbiegli generałowie i ludzie, którzy upozorowali własną śmierć, zawsze gotowi zapłacić za to, by znaleźć się na początku kolejki.

Był też inny paszport, kanadyjski, z moją fotografią i nową pieczątką wizy ze Sri Lanki, uzupełniony o kartę z agencji prasowej Reutersa.

Podczas gdy innym przygotowywałem dokumenty pozwalające im uciec od wojen i okrutnych reżimów, sobie sporządzałem takie, z którymi mogłem się przedostać w sam środek konfliktu, który kosztował życie dziesiątki tysięcy osób.

– Ty to wszystko przeczytałeś? – spytał mój nowy asystent, biorąc strony z biograficznymi notatkami, przygotowanymi dla nas przez działacza z plemienia Ogoni.

– No.

– Wszyściutko?

– No.

– Serio? Bo to… dość drastyczne, kurde.

– Owszem – przyznałem, nie podnosząc głowy.

– To gorsze niż gazety.

– Wszystko jest w gazetach, pomijając strony z notowaniami giełdowymi i sportem – odparłem, nadal na niego nie patrząc.

– Wcale mnie to nie dziwi. Jakiś cholernie dołujący szit, *yaar*.

– Aha.

– Można się normalnie nabawić depresji od czytania takich rzeczy, dzień po dniu, bez chwili przerwy. Możesz na to liczyć!

– Dobra – westchnąłem, odsuwając czytane akta. – W czym problem?

– Problem?

– Jeśli na końcu tego strumienia świadomości znajduje się ocean, to lepiej już na niego wypłyń. W tej chwili.

– Ocean? – powtórzył Farzad, autentycznie zdziwiony.

– Do rzeczy. Do rzeczy!

– Aaa… – zrozumiał Farzad. – Do rzeczy. Tak. Faktycznie, jest pewna rzecz. Możesz na to Uczyć.

Patrzył na mnie chwilę, po czym spuścił oczy i zaczął rysować palcem kółka na drewnianym blacie.

– No więc… – powiedział wreszcie, unikając mojego spojrzenia – usiłowałem znaleźć sposób, żeby cię zaprosić… do mojego domu… na obiad albo kolację… żebyś poznał moich rodziców.

– To wszystko?

– Tak.

– Dlaczego zwyczajnie nie spytałeś?

– No… – mruknął Farzad, kreśląc coraz mniejsze kółka. – Masz pewną reputację, wiesz?

– Jaką znowu reputację?

– Że potrafisz być zrzędą, *yaar*.

– Zrzędą? – warknąłem. – Ja?

– O, tak.

Zmierzyliśmy się wzrokiem. W wytwórni pod nami jedna z wielkich maszyn drukarskich ożyła z pomrukiem, który szybko przeszedł w szczęk metalowych rolek i podajników, wysuwających się i cofających, warczących i obracających cylinder.

– Czy ktoś ci już mówił, że kompletnie ci nie idzie zapraszanie gości?

– No – rzucił Farzad ze śmiechem – to pierwszy raz od lat, odkąd zaprosiłem kogoś do domu moich rodziców. Jesteśmy… samotnikami, jeśli mnie rozumiesz.

– Wiem, co to samotnik – westchnąłem. – Byłem nim, zanim tu przyszedłeś.

– To co, przyjdziesz? Moi rodzice strasznie by chcieli cię poznać. Wujek Keki dużo o tobie opowiadał. Powiedział, że jesteś…

– Zrzędą. Wiem.

– No, to też. Ale także to, że znasz się na filozofii. Że Kadirbaj najbardziej lubił prowadzić dysputy i rozmawiać o filozofii właśnie z tobą. Mój tata to uwielbia. O mamie nawet nie ma co mówić. Cała rodzina prowadzi te wielkie dyskusje filozoficzne. Czasem trzydzieści osób spiera się jednocześnie.

– Trzydzieści?

– Mamy… tak jakby… rozległą rodzinę. Nie potrafię tego dobrze opisać. To trzeba zobaczyć. To znaczy… zobaczyć nas. Ale nie będziesz się nudzić, to ci mogę obiecać. Nie ma mowy. Możesz na to liczyć.

– Jeśli zgodzę się odwiedzić twoją niemożliwą do opisania rodzinę, dasz mi spokój i pozwolisz wrócić do pracy?

– Czy to znaczy, że się zgadzasz?

– Tak, kiedyś.

– Naprawdę? Przyjdziesz?

– To pewne. A teraz zjeżdżaj stąd i daj mi załatwić te książki.

– Świetnie! – krzyknął i zatańczył parę kroków w lewo i prawo, kołysząc biodrami. – Porozmawiam z tatą i umówimy się kiedyś w tym tygodniu. Na obiad albo kolację! Świetnie!

Uśmiechnął się do mnie po raz ostatni, zakołysał głową i zamknął za sobą drzwi.

Przysunąłem do siebie akta Nigeryjczyka i zacząłem zestawiać ze sobą podstawowe fakty z jego nowej tożsamości. Na stronie mojego notatnika zaczęło powstawać o wiele lepsze, lecz kompletnie nieprawdziwe życie.

Otworzyłem szufladę z fotografiami klientów ubiegających się o paszporty – tych, którzy ocaleli, szczęściarzy, którzy nie zostali zastrzeleni, nie utopili się ani nie trafili do więzienia podczas prób znalezienia lepszego życia. Te twarze prosto z wojen i tortur – umyte, opatrzone, powleczone fałszywym spokojem na potrzeby fotografii w naszym studiu – przyciągały mój wzrok. Niegdyś wędrowaliśmy po wolnej Ziemi, niosąc wizerunek naszego Boga albo władcy, by zapewnić sobie bezpieczne przejście. Teraz świat jest pocięty ogrodzeniami, a my nosimy własne wizerunki. I nikt nie jest bezpieczny.

A przyszłość firmy Sanjaya zawsze malowała się w czarnych barwach – jak czarny rynek. Na całym świecie czarny rynek jest dzieckiem tyranii, wojny lub niepopularnego prawa. Produkowaliśmy miesięcznie trzydzieści do czterdziestu paszportów, a najlepsze sprzedawaliśmy za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za sztukę.

„Traktuj wojnę jak interes – powiedział mi kiedyś Sanjay z oczami błyszczącymi jak nowo wybite monety – a interesy jak wojnę”.

Gdy zakończyłem wstępne prace nad paszportami dla obecnych klientów, zebrałem akta i zdjęcia, żeby znieść je na dół do wytwórni. Wziąłem też mój nowy paszport, ten, który przygotowałem na podróż na Sri Lankę, i schowałem go do środkowej szuflady biurka. Wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał go wręczyć moim najlepszym fałszerzom, Krisznie i Villu, którzy dzięki kaprysowi losu uciekli właśnie ze Sri Lanki. Ale jeszcze nie byłem gotów na tę podróż.

Kriszna i Villu spali na dwóch tapczanach, które ustawiłem im w cichym kącie, z dala od maszyn drukarskich. Zawsze fascynowały ich trudności przy pracy nad nowym paszportem. Często pracowali całymi nocami bez chwili snu, by wywiązać się z zadania.

Przyglądałem się im przez chwilę, słuchając, jak ich pochrapywanie, to jednoczesne, to na zmianę, czasem niemal w tej samej chwili zmienia się w charkot, by zaraz znowu przejść w chrapnięcia przedzielane spokojnym oddechem. Ich ręce zwisały bezwładnie, z otwartymi dłońmi przyjmując błogosławieństwo snu.

Dwaj inni robotnicy znajdowali się akurat poza wytwórnią, coś załatwiając. Na chwilę zapadła tu zupełna cisza. Przez parę minut stałem w tym spokojnym miejscu, zazdroszcząc śpiącym.

Przybyli do Bombaju jako uchodźcy. Kiedy ich poznałem, mieszkali wraz z rodzinami pod folią rozpiętą nad chodnikiem. Choć praca w firmie Sanjaya zapewniała im dobre zarobki, dzięki którym mogli się przenieść do wygodnych, czystych mieszkań nieopodal wytwórni, i choć mieli idealne dokumenty, sporządzone własnymi rękami, nadal żyli w strachu przed deportacją.

Ukochani, których musieli zostawić, byli dla nich straceni, być może na zawsze. A jednak mimo wszystkich tych przeżyć obaj spali spokojnie jak dzieci.

Ja nie miałem tak twardego, nieświadomego snu. Zbyt często, zbyt gwałtownie śniłem. Zawsze budziłem się, walcząc o wolność. Lisa nauczyła się, że najbezpieczniej jest w nocy trzymać mnie w objęciach i spać w kręgu, z którego mój śpiący umysł starał się wyrwać.

Zostawiłem plik dokumentów na biurku Kriszny i cicho wszedłem po drewnianych schodach. Fałszerze mieli własne klucze, więc zamknąłem za sobą drzwi.

Mieliśmy razem z Lisą odwiedzić klinikę w slumsach, a potem zjeść obiad. Lisa nawiązała kontakt z naszym miejscowym aptekarzem, który dostarczył jej parę pudełek leków. Te leki znajdowały się teraz w sakwach mojego motocykla, a Lisa poprosiła mnie, żebym zawiózł je razem z nią.

Sunąłem w południowym korku, bo czasem samochodów jest tyle, że nawet motocykl porusza się powoli.

W lusterku wstecznym zobaczyłem policjanta na motocyklu podobnym do mojego. Jego spiczasta czapka i rewolwer w skórzanej kaburze świadczyły o wyższej randze. Podniósł rękę i dwoma palcami wskazał krawężnik.

Zjechałem na pobocze za nim. Policjant oparł motocykl na stopce, zszedł z niego i stanął przede mną. Trzymając prawą rękę na kaburze, dwoma palcami lewej przesunął po gardle. Wyłączyłem silnik i zostałem na motocyklu.

Byłem spokojny. Policjanci od czasu do czasu mnie zatrzymywali, żeby porozmawiać i wziąć łapówkę. Zawsze na taką okazję trzymałem w kieszeni koszuli

zwinięte pięćdziesiąt rupii. I nie miałem nic przeciwko temu. Gangsterzy rozumieją, że policjanci muszą sobie dorabiać – nie dostają wystarczająco wysokiej pensji za pracę, w której ryzykują życiem, więc z powodu tego niedopatrzenia nakładają podatek na społeczeństwo.

Ale coś w spojrzeniu tego policjanta, błysk czegoś groźniejszego od korupcji, obudziło mój niepokój. Policjant otworzył kaburę i wsunął rękę pod jej sztywną klapę, kładąc ją na kolbie rewolweru.

Uniosłem się z siodełka motoru. Moja ręka zaczęła powoli sunąć do noży ukrytych w pochwach pod połą mojej koszuli. W tych czasach policjanci nie tylko przyjmowali łapówki, ale także czasem strzelali do gangsterów.

Tuż za moimi plecami odezwał się czyjś głos:

– Na twoim miejscu bym tego nie robił.

Odwróciłem się i ujrzałem trzech mężczyzn. Czwarty siedział za kierownicą samochodu za nimi.

– Wiesz – powiedziałem, trzymając rękę na nożu pod koszulą – gdybyś był na moim miejscu, pewnie byś to zrobił.

Ten, który się odezwał, oderwał ode mnie wzrok i skinął głową policjantowi, który zasalutował, wsiadł na motocykl i odjechał.

– Niezły sposób – powiedziałem, odwracając się. – Muszę go zapamiętać, na wypadek gdybym stracił jaja.

– Możesz stracić jaja tu i teraz, *gora* – odparł chudy mężczyzna z cienkim wąsikiem, pokazując mi nóż ukryty w rękawie.

Spojrzałem mu w oczy. Odczytałem w nich bardzo krótką historię, opowiadaną przez strach i nienawiść. Nie chciałem jej czytać drugi raz. Przywódca uniósł rękę zniecierpliwiony. Był krępym mężczyzną pod czterdziestkę i nie podnosił głosu.

– Jeśli nie wsiądziesz do samochodu – powiedział cicho – strzelę ci w kolano.

– A gdzie mi strzelisz, jeśli wsiądę do samochodu?

– To zależy – rzucił, patrząc na mnie nieruchomo.

Był ubrany jak z żurnala: ręcznie szyta jedwabna koszula, luźne spodnie z szarej serży, skórzany pasek, mokasyny od Gucciego. Na środkowym palcu nosił złotą obrączkę, pasującą do rolexa na jego przegubie.

Pozostali mężczyźni rzucali okiem na mijające ich jeden po drugim samochody i pieszych na poboczach. Milczenie zaczęło mi się dłużyć. Postanowiłem je przerwać.

– Zależy od czego?

– Od tego, czy będziesz posłuszny.

– Nie lubię być posłuszny.

– Nikt nie lubi – odparł spokojnie. – Dlatego to daje tyle władzy.

– A to dobre. Powinieneś napisać książkę.

Serce mi łomotało. Bałem się. Żołądek mi się skręcił. To byli wrogowie, a ja znalazłem się w ich rękach. Prawdopodobnie już nie żyłem, jakkolwiek by na to patrzeć.

– Do samochodu – powiedział, pozwalając sobie na lekki uśmiech.

– Do rzeczy.

– Do samochodu.

– Jeśli zrobimy to tutaj, wpadniecie razem ze mną. Jeśli wsiądę do samochodu, przepadnę tylko ja. Rachunek jest prosty. Powinniśmy to zrobić tutaj.

– Kurwa! – rzucił ten z wąsikiem. – Zabijmy tego chudha i niech już raz będzie z tym spokój.

Masywny przywódca zastanowił się nad tym. Trochę to trwało. Nadal trzymałem rękę na nożu.

– Umiesz logicznie myśleć – zaczął. – Powiadają, że toczyłeś dyskusje filozoficzne z Kadirbajem.

– Nikt nie dyskutował z Kadirbajem.

– Mimo to dostrzegasz, że twoje stanowisko jest irracjonalne. Niczego nie stracę, zabijając cię. Ty zyskasz wszystko, ocalając życie do chwili, gdy się przekonasz, czego chcemy.

– Z wyjątkiem tego, że cię zabiję. To bym stracił. A na razie to najbardziej mi się podoba.

– Z wyjątkiem tego – przyznał z uśmiechem. – Ale widzisz, ile kłopotu sobie zadawałem tylko po to, żeby z tobą porozmawiać. Gdybym chciał twojej śmierci, jedna z moich ciężarówek rozjechałaby cię na tym motocyklu.

– Mojego motocykla w to nie mieszaj.

– Twojemu motocyklowi nic się nie stanie, *yaar* – rzucił ze śmiechem, kiwając głową w stronę chudego z wąsikiem. – Danda nim pojedzie. Wsiadaj do samochodu.

Miał rację. Nie było innego logicznego wyboru. Cofnąłem rękę. Przywódca skinął głową. Danda natychmiast uruchomił motocykl i kopnął stopkę. Warknął silnikiem,

niecierpliwiąc się.

– Jak zrobisz krzywdę temu motorowi!… – krzyknąłem za nim, ale zanim zdążyłem dopowiedzieć groźbę do końca, wrzucił pierwszy bieg i pomknął z rykiem ulicą.

– Obawiam się, że Danda nie ma poczucia humoru – powiedział przywódca, patrząc, jak jego człowiek wymija chwiejnym slalomem samochody.

– Dobrze, bo jeśli zrobi krzywdę mojemu motorowi, nie będzie mu do śmiechu.

Przywódca roześmiał się i spojrzał mi prosto w oczy.

– Jak mogłeś filozofować z kimś takim jak Kadirbaj?

– Jak to?

– Tak to, że był szalony.

– Szalony czy nie, nigdy się z nim nie nudziłem.

– Czy jest coś, co nas nie nudzi na dłuższą metę? – spytał, wsiadając do samochodu.

– Poczucie humoru? – podsunąłem, idąc za nim.

Złapali mnie i było tak, jakbym wrócił do więzienia, bo nie mogłem nic na to poradzić. Przywódca znowu się roześmiał i skinął głową szoferowi, którego oczy widziałem w lusterku wstecznym.

– Zawieź nas tam, gdzie jest prawda – zwrócił się do niego w hindi, przyglądając mi się uważnie. – O tej porze dnia to odświeżające.

# 10

Szofer torował sobie drogę w gęstym, południowym tłumie. Po paru minutach dotarł do magazynu w dzielnicy przemysłowej. Magazyn stał z dala od innych budynków, tak daleko, że nie dobiegłby do nich krzyk. Danda już tam był. Mój motocykl stal na żwirowanym podjeździe przed magazynem.

Szofer zaparkował. Drzwi magazynu uniosły się do połowy.

Weszliśmy do środka, pochylając się; szczęknął łańcuch mechanizmu opuszczającego drzwi.

Miałem dwa wielkie zmartwienia. Pierwsze: nie zawiązali mi oczu, pozwolili mi zobaczyć, gdzie jest położony magazyn i twarze ośmiu mężczyzn, którzy w nim czekali. I drugie: zatrzęsienie elektrycznych narzędzi, lutownic i ciężkich młotków, ułożonych na stołach pod ścianą.

Musiałem bardzo nad sobą panować, żeby się nie gapić. Dlatego skupiłem wzrok na niskim leżaku, znajdującym się na otwartej przestrzeni w głębi magazynu. Jego siedzisko zrobiono z plecionki jadowicie zielonych i cytrynowych winylowych pasków. Pod leżakiem dostrzegłem dużą plamę.

Danda, chudy gość z wąsikiem i oczami, w które nie chciałem spoglądać drugi raz, obszukał mnie dokładnie. Znalazł moje dwa noże i podał je przywódcy, który przyglądał im się przez chwilę, po czym odłożył je na warsztat.

– Siadaj – rzucił, odwracając się do mnie.

Kiedy się nie ruszyłem, założył ręce na piersi i skinął głową wysokiemu, muskularnemu mężczyźnie, który towarzyszył nam w samochodzie. Mężczyzna podszedł do mnie.

„Uderzaj pierwszy, i to mocno”, mawiał pewien stary więzień.

Gdy duży facet podszedł szybko, robiąc zamach, by uderzyć mnie otwartą dłonią w skroń, odskoczyłem i zadałem mu krótki, silny cios, przypadkiem trafiając dokładnie w jego brodę.

Facet zachwiał się i zrobił krok do tyłu. Dwaj inni wyciągnęli broń: staroświeckie wojskowe rewolwery z czasów zapomnianej wojny.

Przywódca znowu westchnął i skinął głową.

Czterej mężczyźni rzucili się na mnie i pchnęli mnie na zielono-żółty leżak. Sznurem z włókna kokosowego przywiązali mi ręce do tylnych nóg mebla. Przewlekli sznur pod leżakiem i związali nim moje nogi.

Przywódca opuścił ręce i podszedł do mnie.

– Wiesz, kim jestem?

– Krytykiem? – spytałem, starając się nie okazywać strachu.

Mężczyzna zmarszczył brwi i zmierzył mnie spojrzeniem.

– W porządku – dodałem. – Wiem. Potrafię rozpoznać Skorpiona.

Przywódca pokiwał głową.

– Nazywają mnie Wisznu – oznajmił.

Wisznu, któremu Sanjay darował życie po wojnie, która zabrała tak wielu. Wisznu, który wrócił z gangiem Skorpionów.

– Dlaczego tylu gangsterów przybiera imiona bogów?

– A może ciebie nazwę trupem, *bahinchudh!* – warknął Danda.

– Jak się tak zastanowić – oznajmiłem z namysłem – Danda nie jest bogiem. Poprawcie mnie, jeśli się myślę, ale to zaledwie półbóg. Prawda? Bóstwo o mniejszym znaczeniu.

– Milcz!

– Nie denerwuj się, Danda – powiedział Wisznu kojąco. – On tylko stara się zmienić temat. Nie dawaj się prowokować.

– Półbóg – podjąłem w zadumie. – Zastanawiałeś się kiedyś, ile razy cię tu pominięto, Danda?

– Milcz!

– Wiesz co? – Wisznu stłumił ziewnięcie. – Pierdolić to. Śmiało, Danda. Zetrzyj mu ten uśmiech z ryja, jeśli chcesz.

Danda rzucił się na mnie, młócąc pięściami. Szybko odsuwałem głowę na lewo i prawo, więc trafiał raz na trzy uderzenia. Nagle przestał. Gdy udało mi się zerknąć na niego, przekonałem się, że wielki facet, ten sam, którego uderzyłem w brodę, trzyma go za ramię.

Wielki facet uderzył mnie pięścią w twarz. Na środkowym palcu miał mosiężny pierścień. Poczułem, jak wgniata mi nim kości policzka i szczęki. Facet znał się na swoim fachu. Niczego mi nie złamał, po prostu zrobił krzywdę. Potem zmienił taktykę i

zaczął mnie uderzać w skronie otwartą ręką.

Kiedy wystarczająco długo bije się kogoś pięściami, to albo się połamie sobie kostki palców, albo się tego kogoś zabije, albo jedno i drugie. Ale jeśli lekko się go zmiękczy uderzeniami pięści tak, żeby mocny klaps sprawiał mu ból, można go bić otwartą dłonią cały dzień.

Tortury. To przestrzeń ciężka i płaska, nabita, z tak wielką siłą dośrodkową, że nie można z niej prawie nic zabrać, więc nie wiesz, że nie panują w niej zupełne ciemności. Ale nauczyłem się jednego: kiedy zaczyna się bicie, zamknij usta. Nic nie mów. Nie odzywaj się aż do końca. I nie krzycz, jeśli możesz wytrzymać.

– Dość – odezwał się Wisznu, gdy upłynęły te długie jak miesiąc dwie minuty.

Wielki facet odstąpił ode mnie, przyjął ręcznik, który podał mu Danda, i wytarł spoconą twarz. Danda zaczął mu masować barki.

– Opowiedz mi o Pakistanie – zażądał Wisznu, wkładając mi papierosa do ust.

Zaciągnąłem się dymem zmieszanym ze strużkami krwi, potem wypuściłem go z płuc. Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi.

– Opowiedz mi o Paikistanie.

Odpowiedziałem nieruchomym spojrzeniem.

– Wiemy, że pojechałeś do Goa – powiedział powoli Wisznu. – Wiemy, że przywiozłeś broń. Poproszę jeszcze raz. Opowiedz mi o Pakistanie.

Broń, Goa, Sanjay: wszystko wróciło do mnie z jednym obrotem karmicznego koła. Ale w moim strachu czaił się głos, który wcześniej czy później miał powiedzieć: „Skończmy z tym”.

– Wiele osób uważa, że stolicą Pakistanu jest Karaczi – powiedziałem, z trudem poruszając opuchniętymi wargami – ale to nieprawda.

Wisznu roześmiał się krótko.

– Opowiedz mi o Pakistanie.

– Dobre jedzenie, ładna muzyka.

Wisznu zerknął na czubek papierosa, a potem spojrzał na wielkiego faceta.

I znowu się zaczęło. Brnąłem jak przez gęste błoto, bo każde nowe uderzenie w skroń coraz bardziej zbliżało mnie do mgły. Gdy wielki facet zrobił sobie przerwę, oparłszy ręce o uda, Danda wykorzystał ten czas, żeby mnie wychłostać cienkim bambusowym prętem. Pod koniec opływałem potem cierpienia, ale się obudziłem.

– I jak się czują teraz twoje jaja, *madachudh*? – krzyknął Danda, klękając tak blisko,

że czułem od niego olejek musztardowy i pot strachu bijący spod jego pach.

Zacząłem się śmiać, co czasem się zdarza podczas tortur.

Wisznu machnął ręką.

Nagła cisza, jaka zapadła po tym geście, była tak głęboka, jakby cały świat zatrzymał się na chwilę.

Wisznu coś powiedział. Nie słyszałem go. Uświadomiłem sobie, że cisza dzwoni tylko w moich uszach. Wisznu patrzył na mnie zdziwionym wzrokiem, jakby zauważył bezpańskiego psa i zastanawiał się, czy się z nim pobawić, czy kopnąć go nogą w mokasynie od Gucciego.

Jakiś mężczyzna wytarł mi krew z twarzy szmatą śmierdzącą benzyną i pleśnią. Wyplułem krew i żółć.

– Jak się czujesz? – spytał Wisznu od niechcenia.

Znałem zasady przetrwania. Nie mów. Nie odzywaj się ani słowem. Ale nie mogłem powstrzymać gniewu, który popchnął mnie do wypowiedzenia tekstu, który pojawił się w mojej głowie.

– Islamabad. Stolica Pakistanu. Nie Karaczi.

Wisznu podszedł do mnie, wyjmując z kieszeni kurtki mały półautomatyczny pistolet. W gwiezdnym szafirze jego oczu odbijał się bliźniaczy wizerunek mojej roztrzaskanej czaszki.

Drzwi magazynu się otworzyły.

– *Chai wallah*. – Chłopiec liczący jakieś dwanaście lat wszedł do środka z jasnego światła ulicy, niosąc sześć szklanek herbaty w jednym drucianym koszyku i sześć szklanek wody w drugim.

– A, czaj – powiedział Wisznu z nagłym uśmiechem, który wygładził mu zmarszczki wściekłości.

Odłożył pistolet i wrócił na swoje miejsce koło ławy.

Chłopiec podał im szklanki. Jego stare jak wieczność oczy dziecka ulicy spojrzały na mnie, ale nie pojawiła się w nich żadna emocja. Może już to widywał – zakrwawionego mężczyznę, przywiązanego do jadowicie zielonego i cytrynowego leżaka.

Gangster, który starł mi krew z twarzy, rozwiązał moje ręce i nogi. Wziął szklankę czaju od chłopca i podał mi ją. Usiłowałem utrzymać ją w zdrętwiałych dłoniach.

Inni gangsterzy ujęli szklaneczki, uprzednio kurtuazyjnie wykręcając się przed

poczęstunkiem, a potem godząc się na przyjęcie połowy herbaty, odlanej do opróżnionych z wody szklanek.

Była to uprzejma, sielska scena. Ktoś mógłby nas wziąć za przyjaciół siedzących razem w Nariman Point i podziwiających zachód słońca.

Chłopiec przeszedł przez magazyn, zbierając puste szklanki do drucianego koszyka. Zauważył, że jednej brakuje.

– Szklanka! – ryknął tak drapieżnie, że coś mu zabulgotało w gardle. – Szklanka!

Gangsterzy natychmiast rzucili się szukać zaginionej szklanki, przewracając puste pudła i odsuwając sterty szmat i śmieci. Zgubę znalazł Danda.

– *Hain! Hain!* – powiedział, prezentując szklankę z dwornym gestem. „Tutaj! Tutaj!".

Podał ją chłopcu, który wydarł mu ją z ręki, obejrzał podejrzliwie i wyszedł. Danda zerknął na Wisznu ze służalczym błyskiem w oku: „Widziałeś, szefie? Widziałeś, że to ja znalazłem szklankę?".

Gdy upewniłem się, że mogę się poruszyć bez drżenia, odstawiłem szklankę czaju na podłogę obok siebie. Nie tylko z dumy i gniewu. Wargi miałem popękane i spuchnięte. Wiedziałem, że będę pić własną krew, zmieszaną z herbatą.

– Możesz wstać? – spytał Wisznu, odstawiając pustą szklankę.

Wstałem i straciłem równowagę.

Wielki facet, który wcześniej mnie bił, podbiegł teraz, żeby mi pomóc. Otoczył mnie troskliwym uściskiem potężnych ramion. Z jego pomocą znowu się wyprostowałem.

– Możesz odejść – oznajmił Wisznu.

Spojrzał na Dandę.

– Oddaj mu kluczyki do motocykla, *yaar*.

Danda odruchowo wyjął kluczyki z kieszeni, ale podszedł do Wisznu, nie do mnie.

– Proszę… – odezwał się błagalnie. – On coś wie. Czuję to. Tylko… tylko daj mi trochę czasu.

– W porządku – odparł Wisznu, uśmiechając się pobłażliwie. – Już wiem to, czego chciałem się dowiedzieć.

Odebrał mu kluczyki i rzucił je mnie. Złapałem je w odrętwiałe ręce i przytuliłem do piersi. Spojrzałem mu w oczy.

– Poza tym – dodał Wisznu, mierząc mnie wzrokiem – nic nie wiesz o Pakistanie, prawda? Nie masz pojęcia, o co nam chodzi, tak?

Nie odpowiedziałem.

– Otóż to, mój przyjacielu. *Ja!* – „Idź!”.

Jeszcze przez chwilę patrzyłem mu w oczy, a potem wyciągnąłem rękę.

– Moje noże.

Wisznu uśmiechnął się i znowu założył ręce na piersi.

– Uznajmy to za grzywnę, dobrze? Twoje noże zostaną oddane Hanumanowi jako grzywna za to, że w niego strzeliłeś. I posłuchaj dobrej rady: idź i nikomu nie mów o tym miejscu. Ani Sanjayowi, ani nikomu innemu.

– Tajemnica?

– Pozwoliłem ci zobaczyć to miejsce, bo możesz tu zostawiać dla nas wiadomości. Dotrą do mnie bardzo szybko.

– Po co miałbym wam wysyłać wiadomości?

– Jeśli się co do ciebie nie pomyliłem – a dobrze mi idzie ocenianie ludzi – pewnego dnia możesz dojść do wniosku, że masz z nami więcej wspólnego, niż ci się wydaje. I możesz zapragnąć z nami porozmawiać. Jeśli jesteś mądry, nikomu nie wyjawisz tego adresu. Zachowasz go na później. Ale na razie, jak mawiają Amerykanie, spierdalaj!

Poszedłem z Dandą do bocznych drzwi i odsunąłem się na bok, kiedy je przede mną otwierał. Odcharknął i splunął mi na nogawkę spodni, po czym głośno zatrzasnął drzwi.

Na ziemi, obok mojego motocykla, znalazłem skrawek papieru i wytarłem nim dżinsy. Włożyłem kluczyk do stacyjki. Już miałem uruchomić silnik, kiedy w lusterku wstecznym zauważyłem odbicie mojej poobijanej twarzy. Nos nie był złamany – chociaż tyle – ale oczy zapuchły i były zasinione.

Włączyłem motor, ale zostawiłem go na jałowym biegu, oparłszy na stopce. Przesunąłem dźwignię na tablicy pod dłuższym bokiem siedzenia. Tablica zjechała w dół, ukazując mój włoski sztylet.

Załomotałem jego rękojeścią do drzwi magazynu. Po chwili usłyszałem gniewny głos; ktoś zbliżał się, przeklinając tego, kto zakłóca jego spokój. Danda. Dobrze.

Drzwi otworzyły się, ukazując okropnie przeklinającego Dandę. Chwyciłem go za koszulę na piersi, rzuciłem na framugę drzwi i przystawiłem mu sztylet do brzucha. Usiłował się wyszarpnąć, ale wbiłem czubek ostrza tak głęboko, że na różowej koszuli pojawiła się plamka krwi.

– Dobra! Dobra! Dobra! – krzyknął. – Kurwa! *Arey, pagal hai tum*? – „Oszalałeś?”.

Kilku mężczyzn zaczęło się do nas zbliżać. Zwiększyłem nacisk na nóż.

– Nie! Nie! – krzyknął Danda. – Cofnąć się, kurwa! On mnie tu kroi!

Mężczyźni znieruchomieli. Odezwałem się do Wisznu, nie odrywając wzroku od twarzy Dandy:

– Noże. – Wargi miałem zdrętwiałe jak ręce murarza. – Przynieście je. Chcę je odzyskać.

Wisznu przez chwilę nie odpowiadał. Widziałem przerażenie Dandy. Bardziej bał się niechęci swojego pracodawcy niż mojego gniewu.

W końcu Wisznu przyczłapał do nas niechętnie, niosąc noże. Gdy mi je podał, wsunąłem je za pasek na plecach, nadal nie odrywając sztyletu od brzucha Dandy.

Wisznu pociągnął Dandę za koszulę, chcąc go odsunąć ode mnie i wycofać się z nim w głąb magazynu. Mocniej wbiłem sztylet w miękki brzuch Dandy. Pół centymetra ostrza zagłębiło się już w jego ciało. Jeszcze jeden centymetr i przebije jakiś organ.

– Czekaj! Czekaj! – wrzasnął Danda w panice. – Krwawię! On mnie zabije!

– Czego chcesz? – spytał Wisznu.

– Opowiedz mi o Pakistanie – powiedziałem.

Wisznu roześmiał się. Był to dobry śmiech, czysty i klarowny. Innego dnia – zanim poznałem jego leżak – taki śmiech wzbudziłby moją sympatię.

– Lubię cię, a jednocześnie mam ochotę cię zabić – powiedział z błyskiem oczu w ciemnej oprawie. – Masz wyjątkowy talent.

– Opowiedz mi o Pakistanie.

– Naprawdę nic nie wiesz, co? – westchnął Wisznu i jego uśmiech zgasł. – Widzieliśmy, że poszedłeś na zebranie rady, a w związku z twoim wyjazdem do Goa i innymi sprawami założyliśmy, że musisz być zorientowany. Twoi ziomkowie umyślnie trzymają cię w nieświadomości, mój przyjacielu. To dla ciebie niebezpieczne. Nie wspominając już o tym, że to mały… despekt, na?

– Zaraz twój człowiek pogrąży się w nieświadomości, jeśli nie odpowiesz na moje pytanie. Chcę wiedzieć, o co tu chodzi.

– Jeśli ci powiem, ty powiesz to Sanjayowi – odparł, tłumiąc ziewnięcie. Nad prawym okiem miał cienką, ale głęboką bliznę. Potarł ją palcem. – A wtedy Sanjay będzie mieć przewagę. Nie mogę na to pozwolić. Puść Dandę. Wsiadaj na motocykl i znikaj. Jeśli zabijesz Dandę, ja będę musiał zabić ciebie. A nie chcę nikogo zabijać.

Nie dzisiaj. To urodziny mojej żony, rozumiesz, będzie przyjęcie.

Przeniósł spojrzenie na ciężkie, nisko wiszące chmury.

– Jedź szybko – dodał, wracając do mnie wzrokiem. – Myśleliśmy, że coś wiesz, ale najwyraźniej nie. Kiedy dowiesz się więcej i zechcesz pogadać, wiesz, jak się ze mną skontaktować. Bez urazy. Takie rzeczy się zdarzają. Jak mawiają Amerykanie, jestem twoim dłużnikiem.

– To raczej ja jestem twoim dłużnikiem – odparłem, zostawiając Dandę i wycofując się do motocykla.

Znowu się roześmiał.

– Uznajmy, że rachunki wyrównane i zacznijmy od nowa. Zostaw tu wiadomość, kiedy będziesz się chciał skontaktować. Dowiem się w ten czy inny sposób.

# 11

Każdy człowiek przyjmuje bicie na swój sposób. Moim sposobem przez te lata było dowiedzenie się wszystkiego, co się da, o człowieku, który mnie pobił, a potem czekanie, aż los sam mi podsunie okazję.

Kiedy uciekałem z więzienia, przebiłem dziurę w suficie biura, wdrapałem się na dach i w biały dzień przeszedłem przez mur. Towarzyszył mi przyjaciel. Sufit, przez który uciekliśmy, znajdował się w gabinecie dowódcy strażników, z którego rozkazu bito mojego przyjaciela, mnie i dziesiątki innych ponad miarę i dopuszczalne granice.

Obserwowałem go przez wiele miesięcy. Badałem jego nawyki i nastroje. I wiedziałem, że codziennie wychodzi z biura na siedem minut, zostawiając otwarte drzwi. Stanęliśmy na jego biurku, żeby przebić sobie drogę na wolność. Po naszej ucieczce dowódca stracił pracę, a przeznaczenie zrobiło sobie wakacje.

Nie lubię być źle traktowany. Chciałem poznać ludzi, którzy mi to zrobili. Chciałem dowiedzieć się o nich wszystkiego.

Gdy w betonowym pasie rozdzielającym jezdnie pojawiła się przerwa, zawróciłem w stronę, z której przyjechałem. Zaparkowałem w cieniu drzew za rządkiem sklepów, naprzeciwko magazynu.

Wyłączyłem silnik. Przechodnie i sklepikarze gapili się na moją zakrwawioną twarz, ale mijali mnie szybko albo odwracali głowy, gdy odpowiadałem im nieruchomym spojrzeniem. Po chwili podszedł do mnie sprzedawca szmat do motocykli i samochodów. Kupiłem jedną z największych, ale zanim dałem mu pieniądze, poprosiłem o załatwienie dla mnie paru spraw.

Po pięciu minutach wrócił z paczką kodeiny, przylepnymi bandażami, butelką wódki i dwoma czystymi ręcznikami. Zapłaciłem mu, znalazłem rynsztok i obmyłem twarz szmatką zmoczoną w wódce, osuszając krwawiące rany czystym ręcznikiem.

Golibroda, obsługujący klientów pod drzewem rozmów, podał mi lusterko. Przywiązałem je wstążką do gałęzi drzewa i opatrzyłem dwie najgorsze rany. W końcu wziąłem czarną szmatę od sprzedawcy i owinąłem nią głowę jak afgańskim turbanem.

Klienci i przyjaciele, przykucnięci w cieniu wokół krzesła golibrody, kiwali i kołysali głowami z dezaprobatą lub ubolewaniem. Wziąłem pustą szklankę, nalałem

sobie wódki i wypiłem. Trzymając butelkę i szklankę w jednej ręce, drugą ująłem paczkę kodeiny, rozdarłem ją zębami i wytrząsnąłem cztery tabletki do szklanki, którą napełniłem do połowy wódką. W klubie golonych poziom aprobaty znacznie wzrósł. Gdy wypiłem wódkę jednym haustem i ofiarowałem mężczyznom resztę wódki, rozległy się okrzyki zachwytu.

Wróciłem na mój stojący na uboczu motocykl i spojrzałem przez wyschłe na pieprz Uście spalonych słońcem drzew na magazyn, którego podłogę nadal plamiła moja krew.

Wyszli z niego, śmiejąc się i żartując, szturchając i dogadując chudemu z wąsikiem, Dandzie. Wcisnęli się do dwóch ambassadorów i wyjechali na ulicę w stronę Tardeo.

Dałem im pół minuty i ruszyłem za samochodami, uważając, żeby pozostawać odpowiednio daleko.

Przejechali przez Tardeo i skrzyżowanie przy operze, by dotrzeć do jednej z większych ulic: długiego, ocienionego drzewami bulwaru, biegnącego równolegle do linii miejskiej kolejki.

Samochody zatrzymały się u bram posiadłości nieopodal stacji Churchgate. Wysokie metalowe skrzydła otworzyły się szybko, samochody wjechały, brama zatrzasnęła się za nimi.

Minąłem ją w pędzie, zerkając w wysokie okna dworu z potrójnym frontonem. Wszystkie okna były zasłonięte drewnianymi okiennicami. Nad balustradą balkonu na pierwszym piętrze kołysały się zakurzone, krwistoczerwone pelargonie. Spływały aż do zardzewiałych żelaznych szpikulców na murze osłaniającym parter.

Włączyłem się w nieprzerwany sznur samochodów, zmierzających do stacji Churchgate i jeszcze dalej, za spragnione wody ochrowe boiska Azad Maidan.

Zabrałem moją wściekłość i strach na jezdnię, między samochody. Walczyłem z miastem, rzucając wyzwanie i pokonując wszystkie napotkane motocykle.

Zatrzymałem się nieopodal KC College, blisko posiadłości Sanjaya. Szkoła należała do najlepszych w Bombaju. Ulice miasta zapełniali jej dobrze odziani, zorientowani w ostatniej modzie uczniowie, w których uśmiechach lśniła młodość. To oni byli nadzieją Bombaju, nadzieją świata, choć wtedy niewielu o tym wiedziało.

– A niech mnie – odezwał się jakiś głos za moimi plecami. – Najszybszy biały w Bombaju. Usiłowałem cię złapać od pięciu…

Był to Farid Złota Rączka, młody gangster, który obwiniał siebie za to, że nie towarzyszył Kadirbajowi w tych ostatnich dniach w morderczych śniegach Afganistanu. Urwał gwałtownie, gdy zdjąłem miękką czarną szmatę, która służyła mi za turban.

– O kurwa. Człowieku, co ci się stało?

– Wiesz, czy Sanjay jest w domu?

– Jest. Na pewno. Chodź, wejdźmy.

Kiedy składałem raport, Sanjay siedzący przy szklanym złoconym stoliku w swojej jadalni słuchał mnie spokojnie i niemal obojętnie. Kazał mi powtórzyć imiona, które usłyszałem, i opisać twarze, które widziałem.

– Spodziewałem się tego – powiedział.

– Ach, tak? – rzuciłem.

– Dlaczego nie uprzedziłeś Lina? – spytał Farid. – Albo mnie, żebym z nim pojechał.

Sanjay zignorował nas i zaczął krążyć po długim pokoju. Jego przystojna twarz była przedwcześnie postarzała, przekrwione oczy zapadnięte i podbite ciemnymi sińcami. W ich kącikach pojawiły się promieniste zmarszczki, sięgające aż do posiwiałych skroni. Białe pasma pobłyskiwały w jego czarnych, lśniących włosach. Sanjay pił za dużo i za bardzo sobie pobłażał. Był młodym człowiekiem, stojącym na czele imperium i spalającym swoją młodość.

– Jak sądzisz, o co im naprawdę chodzi? – zwrócił się do mnie po długiej chwili milczenia.

– Może ty mi to powiesz? O co chodzi z Pakistanem? Czego jeszcze mi nie powiedziałeś, wysyłając mnie do Goa?

– Mówię ci tyle, ile musisz wiedzieć! – warknął.

– To jest coś, co musiałem wiedzieć przed dzisiejszym dniem – odparłem spokojnie. – Nie ciebie przywiązali do tego leżaka.

– Ma rację! – poparł mnie Farid.

Sanjay spuścił wzrok na swoje dłonie, spoczywające na szklanym blacie. Najbardziej bał się – co całkiem zrozumiałe – krwawej wojny gangów, która odbierze życie i siłę większości ludzi z jednego gangu i wszystkim z drugiego. Sam fakt, że do tego nie dojdzie, był w jego oczach zwycięstwem. Przez wszystkie misje i walki ostatnich dwóch lat zgadzaliśmy się ze sobą tylko w tym jednym.

– W tej grze idzie o rzeczy, o których nie wiesz i których nie możesz zrozumieć. To ja prowadzę tę firmę. Mówię wam obu tyle, ile musicie wiedzieć, i nic więcej. Więc jeb się, Lin. I jeb się, Farid.

– Ach, tak? – warknął Farid. – Tylko na tyle szacunku zasługuję? A może wyjebię twoje szczęście, tu i teraz?

Zrobił krok w stronę Sanjaya, ale powstrzymałem go, kładąc mu ręce na piersi.

– Spokojnie, bracie – powiedziałem. – Dokładnie tego chcieli, spuszczając mi ten łomot – rozłamu wśród nas.

– Mam się jebać? – wysyczał Farid. – Powtórz to, szefie. Powtórz to jeszcze raz.

Przez jakiś czas Sanjay mierzył wzrokiem młodego wojownika. Potem jego zimne oczy spojrzały na mnie.

– Przyznaj się, Lin. Co im powiedziałeś?

Teraz to ja się wściekłem. Wściekłość zapłonęła. Moje wargi napięły się aż do rozerwania pęknięć.

– O co ci chodzi, szefie?

Sanjay zmarszczył brwi, rozdrażniony.

– Daj spokój. To prawdziwy świat. Ludzie mówią. Co im powiedziałeś?

Byłem tak wściekły, że mógłbym pobić go do nieprzytomności – bardziej wściekły niż mężczyźni, którzy mnie tak urządzili.

– To jasne, że nic nie powiedział! – rzucił Farid. – Nie po raz pierwszy przeciwnicy go skopali. Mnie też. I ciebie także, Sanjay. Przestań go tak znieważać. Co ci się stało?

Sanjay rzucił mu spojrzenie tak zdesperowane, że prawie okrutne, zdradzając, jak bliski jest załamania. Farid przez chwilę patrzył mu w oczy, ale potem odwrócił głowę.

Sanjay przeniósł wzrok na mnie.

– Możesz odejść – powiedział. – I jeśli coś powiedziałeś, od tej pory tego nie rozgaduj.

– Czego? Tego, co mi dziś zrobili? Najpierw chcą mnie zabić, potem puszczają mnie wolno. Chcieli, żebym tu wrócił, w tym stanie, i powiedział ci słowo „Pakistan”. To wiadomość. Ja jestem wiadomością. Ten Skorpion Wisznu jest świetny w wiadomościach.

– Ja też – odparł Sanjay z uśmiechem. – I piszę je krwią, tak jak oni. W wybranym przez siebie czasie i na własnych warunkach.

– Cokolwiek robisz, nie rób tego dla mnie.

– Pouczasz mnie? Za kogo ty się, kurwa, uważasz?

W moim wnętrzu krył się smok, cały z ognia, ale nie chciałem, żeby ktoś inny znalazł się na tym leżaku tak jak ja.

– Nie stawaj w mojej obronie, szefie. Gdy przyjdzie czas, sam to załatwię.

– Zrobisz to, co ci każę i kiedy ci każę.

– Sam to załatwię, Sanjay – powtórzyłem. – W wybranym przez siebie czasie i na własnych warunkach. Uprzedzam.

– Wynocha – warknął Sanjay z oczami zwężonymi jak szparki. – Obaj. Nie zbliżaj się do mnie, Lin, dopóki po ciebie nie poślę. Wynocha.

Na ulicy Farid, jeszcze bardziej wściekły niż ja, zatrzymał mnie.

– Lin – powiedział cicho; jego oczy rozszerzała furia – gówno mnie obchodzi, co mówi Sanjay. Jest słaby. Jest zerem. Już go nie szanuję. Znajdźmy Abdullaha. Pójdziemy we trzech, nic nie mówiąc. Zabijemy tego Wisznu, tego, co dowodzi, i innych *gandus*, Dandę i Hanumana.

Uśmiechnąłem się, ogrzewając się w cieple jego dzielnego serca.

– W porządku, zostaw to. W odpowiednim czasie i miejscu, bracie. Tak czy siak, jeszcze się z nimi spotkam, a jeśli będę cię potrzebował, na pewno do ciebie zadzwonię.

– W dzień lub w nocy, człowieku – powiedział Farid, ściskając mi dłoń.

Odjechał, a ja spojrzałem na posiadłość Sanjaya – kolejny pałac w mieście slumsów. Okna od ulicy były zasłonięte czerwonymi metalowymi okiennicami z zardzewiałymi zawiasami. Do ogrodzenia z kutego żelaza przywarł rachityczny żywopłot.

Dom bardzo przypominał ten, do którego wróciły Skorpiony po skończeniu ze mną. Za bardzo.

Można szanować czyjeś prawa i opinie, wcale go nie znając. Ale jego samego można szanować dopiero wtedy, gdy znajdziemy w nim coś godnego tego uczucia.

Farid nie wielbił Sanjaya i widać było, że inni członkowie rady podzielają jego zdanie. Ja także nie szanowałem Sanjaya, ale pracowałem dla niego, pod ochroną firmy, która nosiła jego imię. Była to dla mnie kwestia sumienia – może także dla niektórych poza mną. Utrata autorytetu oznaczałaby dla Sanjaya wszystko. Każdy gang opiera się na szacunku. Każdy przywódca musi być obiektem kultu.

Gdzie ten deszcz? Czułem się brudny. Pobity i brudny. Upadałem.

Wszystko padało – wszystko z wyjątkiem deszczu. Moje serce było czyimś zakładnikiem, a ja pisałem list z żądaniem okupu.

Światem sprzed tygodni, gdy wyruszyłem do Goa, rządziły inne gwiazdy. Osłabiony przywódca, wspomagany przez afgańskich strażników, czternastoletni chłopiec Tarik, marzący o roli władcy zabójców i złodziei, poranne tortury ze słowem „Pakistan”, Lisa, Karla, Randżit – nic już nie było takie samo, nawet miejsca. Byłem zagubiony. I

brudny. I pobity. Musiałem znaleźć drogę. Musiałem przestać upadać. Odwróciłem się od posiadłości Sanjaya i odjechałem, rzucając kolejną tratwę nadziei na ten mały ocean czasu, moje życie.

# 12

Kiedy wróciłem do domu, na stole w kuchni czekała na mnie kartka. Lisa pisała, że stęskniła się za mną i idzie na zakupy z naszym przyjacielem Vikramem. Zaproponowała, żebyśmy się spotkali później, w mieszkaniu.

Odetchnąłem po raz pierwszy od chwili, gdy ludzie Wisznu mnie zgarnęli. Zamknąłem drzwi na klucz i oparłem się o ścianę. Nie na długo. Osunąłem się w dół i usiadłem na podłodze.

Było jeszcze wcześnie. Udało mi się podrobić trzy paszporty, wpaść w ręce gangsterów, oberwać, wysłuchać reprymendy od szefa, a była dopiero druga po południu.

Mam przyjaciół, po których łomot spływa jak po kaczce. Ja nigdy nie zobojętniałem. Potrafię zacisnąć zęby i wytrwać tak długo, jak trzeba, żeby znaleźć się w bezpiecznym miejscu, ale kiedy tylko zamykam za sobą drzwi schronienia, rusza lawina. Tego dnia minęło trochę czasu, zanim opanowałem moje serce i trzęsące się dłonie.

Wziąłem prysznic, wyszorowałem rany na twarzy i szyi ostrą szczotką i mocnym środkiem dezynfekującym. Nie zostały zakażone, co w tropikalnym klimacie ma ogromne znaczenie, ale znowu zaczęły krwawić. Zalałem je płynem po goleniu.

Gdy białe ogniki bólu zniknęły mi sprzed oczu, zapisałem w pamięci na przyszłość: wybierając się na spotkanie z wąsaczem Dandą, muszę zabrać ze sobą płyn po goleniu.

W każdym miejscu, z którym zetknął się bambus Dandy, powstały sińce i pręgi, bliźniaczo podobne do tych, które miałem w więzieniu i które widziałem u innych więźniów pod prysznicem.

Odwróciłem wzrok od lustra, zmuszając się, żeby zapomnieć – kolejna więzienna sztuczka. Po dwudziestu minutach znowu siedziałem na motocyklu, przebrany w czyste dżinsy i motocyklowe buty, czerwony podkoszulek i wystrzępioną kamizelkę.

Minąłem rybackie zatoczki w drodze do Kolaba Back Bay, na umówione spotkanie w slumsach.

Otaczający mnie teren został wydarty morzu, kamień po kamieniu. Wysokie nowoczesne wieżowce tłoczyły się na nowym kamiennym oceanie i rzucały bezcenny cień na szerokie, zadrzewione ulice. Była to pożądana droga okolica z hotelem

President jak figurą dziobową na froncie przedmieść. Małe sklepiki, stojące wzdłuż trzech głównych bulwarów, zostały świeżo odmalowane. Skrzynki z kwiatami zdobiły wiele okien. Służące i służący, kursujący od wieżowców do sklepów, byli odziani w najlepsze sari i bielutkie koszule.

Gdy jezdnia skręciła w lewo, a potem w prawo za World Trade Centre, widok się zmienił. Drzewa stały się rzadsze, potem całkiem znikły. Słońce zaczęło odzyskiwać władzę, gdy minąłem ostatni cień wieżowca.

Żar tego słońca, ukrytego za grubymi chmurami, lał się na szary jak pył ocean slumsów, gdzie krawędzie niskich dachów ciągnęły się aż po horyzont poszarpany burzliwymi falami troski i walki z życiem. Zaparkowałem motocykl, wziąłem z sakw leki i bandaże i rzuciłem monetę dziecku, które zaproponowało, że popilnuje mojego pojazdu. Właściwie nie było potrzeby. W tej okolicy nikt nie kradł.

Wszedłem do slumsów szeroką, piaszczystą, nierówną ścieżką. Smród otwartej latryny przy drodze zaparł mi dech w piersiach. Mdłości skręciły mi żołądek.

Bicie w magazynie przypomniało brutalnie o sobie. Słońce. Ból. Zbyt gorące słońce. Zatoczyłem się na pobocze. Wymiociny bluznęły mi z ust; pochyliłem się, opierając ręce na kolanach i zwróciłem wszystko, co miałem w żołądku, w chwasty przy drodze. Dzieci ze slumsów wybrały sobie akurat ten moment, by wypaść z bocznych uliczek i mnie powitać. Tłoczyły się wokół mnie, kiedy walczyłem z konwulsjami, szarpały mnie za rękawy, krzyczały moje imię:

– Linbaba! Linbaba! Linbaba!

Opanowałem torsje i pozwoliłem się pociągnąć w głąb slumsów. Razem przeszliśmy wąskie, wyboiste uliczki między chatynkami z arkuszy plastiku, plecionych mat i bambusowych tyczek. Chaty, pokryte kurzem, który gromadził się na nich przez osiem miesięcy suchej pory, wyglądały jak piaszczyste diuny.

Przez niskie drzwi widzieliśmy lśniące wieże garnków i patelni, obwieszone girlandami święte obrazki i gładkie, wypolerowane do połysku podłogi z bitej ziemi, świadczące o schludnym, uporządkowanym życiu, które wiedli w nich ludzie.

Dzieci zaprowadziły mnie prosto do domu Johnny’ego Cygaro, niedaleko plaży.

Johnny, który był naczelnikiem slumsów, urodził się na ulicach tego miasta. Jego ojciec, marynarz, na jakiś czas wysłany do Bombaju, porzucił matkę Johnny’ego, gdy się dowiedział o ciąży. Opuścił miasto na okręcie wojennym płynącym do Adenu. Od tamtej pory nie dał znaku życia.

Wygnana przez rodzinę matka Johnny’ego wprowadziła się do osady bezdomnych

koczujących na chodniku w pobliżu Crawford Market.

Johnny urodził się w trwającym przez cały dzień pokrzykiwaniu i przepychankach na jednym z największych krytych targów Azji. Od wczesnego ranka po ostatnie promienie słońca dzwoniło mu w uszach od wrzasków ulicznych sprzedawców i straganiarzy.

Przez całe życie mieszkał na chodniku i w zatłoczonych slumsach, dlatego czuł się jak w domu tylko wśród ludzi. Gdy parę razy widziałem go samotnego na plaży za slumsami lub siedzącego w popołudniowym rozleniwieniu przed herbaciarnią, wydawał się jakby mniejszy, jakby się skurczył. Ale w gromadzie stawał się przywódcą swojego ludu.

– Boże! – krzyknął na widok mojej twarzy. – Co ci się stało, stary?

– Długa historia. Jak leci, Johnny?

– Cholera, stary. Ale oberwałeś!

Spochmurniałem. Johnny znał ten mój grymas. Mieszkaliśmy jako sąsiedzi w slumsach przez półtora roku i od lat byliśmy przyjaciółmi.

– Dobrze, dobrze, *thik hai*, *baba*. Chodź, usiądź. Napij się czaju. Sunil! Przynieś czaju! *Fatafat!* – „Bardzo szybko!”.

Usiadłem na pustej beczce po ziarnie, patrząc, jak Johnny wydaje polecenia grupie młodzieńców kończących przygotowania do nadchodzącego deszczu.

Gdy poprzedni przywódca slumsów odjechał do swojej wioski, mianował swoim następcą Johnny’ego Cygaro. Parę osób twierdziło, że Johnny nie jest idealnym kandydatem, ale miłość i podziw, które wszyscy czuli do odchodzącego przywódcy, uciszyły obiekcje.

Była to honorowa funkcja, za którą nie stała żadna władza oprócz tej, którą narzucał sam przywódca. Po niemal dwóch latach Johnny udowodnił swoją mądrość w rozstrzyganiu licznych sporów i okazał się na tyle silny, by budzić ten pradawny instynkt: potrzebę podążania za pozytywnymi wskazówkami.

Sam Johnny lubił rolę przywódcy, a kiedy wszystko zawodziło, kierował się sercem, ogłaszał święto i organizował imprezę.

Ten system się sprawdził i cieszył popularnością. Niektórzy wprowadzili się do slumsów, ponieważ co drugi miesiąc odbywała się w nich impreza, która miała pokojowo zakończyć spór. Ludzie z innych slumsów także zgłaszali się po radę do Johnny’ego. I stopniowo chłopiec urodzony na chodniku stał się Salomonem swojego ludu.

– Arun! Biegnij z Deepakiem do namorzynów! – krzyknął. – Ta ściana

przeciwpowodziowa wczoraj się zawaliła. Postawcie ją, szybko! Radżu! Zabierz chłopców do domu Bapu. Starsze panie z jego uliczki nie mają folii na dachu. Te pieprzone koty ją ściągnęły. Bapu ma arkusze folii. Pomóż mu ją położyć. Reszta niech dalej czyści rynsztoki. *Jaldi!* – „Szybko!”.

Przyniesiono herbatę i Johnny usiadł, żeby ją ze mną wypić.

– Koty – westchnął. – Możesz mi wyjaśnić, dlaczego na tym świecie istnieją kociarze?

– Na świecie? Myszy. Koty to sprytne małe cholery.

– Pewnie tak. Minąłeś się z Lisą i Vikramem. Lisa widziała, jak wyglądasz?

– Nie.

– Cholera, stary, ona dostanie zawału, *yaar*. Wyglądasz, jakby ktoś cię przejechał.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy. Hej, ten Vikram też nie wygląda za dobrze. Chyba się nie wysypia.

Wiedziałem, dlaczego Vikram tak wygląda. Nie chciałem o tym mówić.

– Jak myślisz, kiedy? – spytałem, spoglądając na ciemne, kłębiące się chmury. Zapach deszczu, który powinien spaść, ale nie spadał, był wszędzie: w moich oczach, włosach, pocie. Pierwszy deszcz, idealne dziecko monsunu.

– Myślałem, że dzisiaj – odparł, sącząc herbatę. – Byłem pewien.

Upiłem łyk herbaty. Była bardzo słodka, zaprawiona imbirem dla ochrony przed upałem, który miażdżył wszystkie serca w tych ostatnich dniach lata.

Imbir złagodził ból rany w moich ustach. Westchnąłem z ulgą.

– Dobry czaj – powiedziałem.

– Dobry czaj – zgodził się Johnny.

– Indyjska penicylina.

– W tym czaju… nie ma penicyliny, *baba*.

– Nie, chodziło mi o to…

– Nigdy nie dodajemy penicyliny do herbaty – oznajmił Johnny jakby z urazą.

– Nie, nie – zapewniłem go, choć wiedziałem, że brnę w ślepy zaułek. – To aluzja do starego dowcipu, żartu o rosole, no wiesz, zupie z kurczaka – że to żydowska penicylina.

Johnny powąchał podejrzliwie herbatę.

– Czujesz… kurczaka w herbacie?

– Nie, nie, to żart. Wychowałem się w żydowskiej dzielnicy, w Małym Izraelu. I wiesz, to popularny żart, bo Żydzi podobno zalecają rosół na wszystkie choroby. Ból żołądka – zjedz rosół. Ból głowy – zjedz rosół. Postrzelono cię – zjedz rosół. A w Indiach takim rosołem jest herbata, rozumiesz? Szklanka mocnego czaju pomoże ci na wszystko. Czaisz?

Zaskoczenie Johnny'ego zmieniło się w półuśmiech.

– Niedaleko stąd mieszka pewna żydowska osoba, w parsyjskiej kolonii na Cuffe Parade, choć nie jest Parsem. Ma na imię Izaak. Mam go przyprowadzić?

– Tak! – zawołałem. – Przyprowadź tu żydowską osobę!

Johnny wstał.

– Zaczekasz tu na mnie? – spytał.

– Nie! – rzuciłem zdesperowany. – Żartowałem. To był żart! Oczywiście nie chcę, żebyś tu przyprowadził żydowską osobę.

– To żaden problem.

Johnny przyjrzał mi się, stropiony, w rozterce, niepewny, czy powinien przyprowadzić Izaaka, żydowską osobę, czy nie.

– Więc… – odezwałem się w końcu, szukając w niebie ucieczki z tego konwersacyjnego ślepego zaułka – jak myślisz, kiedy?

Johnny odetchnął i spojrzał na chmury nadciągające znad morza.

– Myślałem, że to będzie dzisiaj. Byłem pewien.

– No cóż – westchnąłem. – Jeśli nie dzisiaj, to jutro. No, to jak, zrobimy to teraz?

– *Jarur* – oznajmił Johnny, idąc do niskich drzwi swojej chaty. Poszedłem za nim, zamykając za sobą liche drzwi z dykty. Chata, zrobiona z cienkich mat rozpiętych między bambusowymi tyczkami, miała posadzkę z położonych na gołej ziemi bajecznie wzorzystych kolorowych płytek. Tworzyły mozaikę przedstawiającą pawia z rozłożonym ogonem na tle drzew i kwiatów.

Szafki były pełne jedzenia. Wielka metalowa szafka, odporna na ataki szczurów, była w slumsach bardzo drogim i wielce pożądanym meblem. Na niej stał zestaw stereo na baterie. Ale największą dumą mieszkania był trójwymiarowy wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa. W kącie pokoju leżały zwinięte nowe materace w kwiatki. Te oznaki względnego luksusu świadczyły o statusie Johnny'ego i jego finansowym sukcesie. Dałem mu pieniądze w ramach ślubnego prezentu, za które miał kupić małe, prawdziwe mieszkanie w sąsiednim dystrykcie Navy Nagar. Chciałem, żeby uciekł przed niepewnością i trudnościami życia w nielegalnych slumsach.

Johnny, wspomagany przez przedsiębiorczą żonę Sitę, córkę właściciela popularnej herbaciarni, wykorzystał mieszkanie jako zabezpieczenie dla pożyczki, a potem je wynajął. Za pożyczkę kupił trzy chaty w slumsach, wynajął je po rynkowych cenach i dalej mieszkał na tej samej uliczce, na której go poznałem.

Johnny odsunął parę przedmiotów i zrobił mi miejsce. Powstrzymałem go.

– Dziękuję, bracie. Dziękuję. Nie mam czasu. Muszę znaleźć Lisę. Przez cały dzień jestem o jeden krok za nią.

– Lin, bracie, zawsze będziesz o jeden krok za tą dziewczyną.

– Chyba masz rację. Masz, weź to.

Wręczyłem mu torbę lekarstw, które dostałem od Lisy, i wyciągnąłem z kieszeni zwitek pieniędzy opasany gumką. Była to suma wystarczająca na opłacenie dwóch miesięcy pracy młodych ludzi pełniących funkcję sanitariuszy w darmowej klinice. Zostawała z niej nadwyżka na nowy zapas bandaży i leków.

– Czy jest coś wyjątkowego?

– No… – zawahał się.

– Mów.

– Andżali, córka Bhagata, zdawała egzaminy.

– Jak jej poszło?

– Zdała z najwyższą lokatą. I to nie tylko w swojej klasie, ale w całym stanie Maharasztra.

– Inteligentna dziewczynka.

Pamiętałem tę małą sprzed laty, kiedy od czasu do czasu pomagała mi w darmowej klinice. Ta dwunastolatka pamiętała nazwiska wszystkich pacjentów, setek pacjentów, i zaprzyjaźniała się z każdym z nich. Podczas późniejszych wizyt w klinice widziałem, jak dziewczynka uczy się i dorasta.

– Ale inteligencja to w naszych Indiach za mało – westchnął Johnny. – Sekretarz uniwersytetu żąda bakszyszu w wysokości dwudziestu tysięcy rupii.

Powiedział to po prostu, bez urazy, stwierdzając fakt, tak jakby mówił o zmniejszającej się liczbie ryb w sieciach rybaków i codziennie większej masie samochodów, ciężarówek i motocykli na ulicach niegdyś eleganckiego Miasta Wysp.

– Ile masz?

– Tysiąc pięćset. Wszyscy zrobili zrzutkę, ludzie wszystkich kast i wyznań. Ja sam dałem pięć tysięcy.

Było to znaczne poświęcenie. Wiem, że Johnny nie doczeka się zwrotu długu przez co najmniej trzy lata.

Wyjąłem z kieszeni zwitek amerykańskich dolarów. W tych czasach wściekłego zapotrzebowania na pieniądze z czarnego rynku zawsze nosiłem przy sobie co najmniej pięć różnych walut: niemieckie marki, funty szterlingi, szwajcarskie franki, dolary i riale. Miałem około trzystu pięćdziesięciu dolarów w banknotach. Według stawek czarnego rynku to wystarczyło, żeby pokryć brakującą sumę.

– Lin, nie sądzisz… – zaczął Johnny, uderzając zwitkiem o dłoń.

– Nie.

– Wiem, Linbaba, ale to niedobrze, że dajesz pieniądze, nie mówiąc ludziom. Powinni o tym wiedzieć. Rozumiem, że jeśli dajemy pieniądze anonimowo, nie czekając na pochwały, w oczach Boga dajemy po dziesięciokroć. Ale Bóg, oby mi wybaczył, że mówię, co mi leży na moim skromnym sercu, potrafi bardzo zwlekać z wyrażeniem pochwały.

Johnny był niemal mojego wzrostu i wagi, a chodził zadzierzyście, z postawą człowieka, który potrafi dopiec głupcom i często to robi.

Miał trzydzieści pięć lat, lecz jego pociągła twarz wyglądała starzej, a szczecinę na brodzie przyprószyła siwizna. Piaskowe oczy były czujne, nieufne i mądre.

Lubił czytać i co tydzień pochłaniał co najmniej jeden podręcznik samokształcenia, a potem męczył przyjaciół i sąsiadów, żeby także go przeczytali.

Podziwiałem go. Był takim człowiekiem, takim przyjacielem, przy którym czułem się lepszy tylko dlatego, że go znam. Coś dziwnego, głupiego nie pozwalało mi powiedzieć tego Johnny'emu. Chciałem to zrobić. Parę razy już zaczynałem, ale nie mogłem z siebie wydusić tych słów.

Moje serce uchodźcy było wtedy przepełnione zwątpieniem, niechęcią i sceptycyzmem. Oddałem je Kadirbajowi, a on potraktował mnie jak pionka. Oddałem je Karli, jedynej kobiecie, którą kochałem, a ona wykorzystała mnie dla potrzeb tego samego człowieka, którego oboje nazywaliśmy ojcem, Kadirbaja. Od tej pory minęły dwa lata mojego życia na ulicach i widziałem, jak miasto zmienia się w cyrk, bogaci żebrzą u biednych, a zbrodnia jest odpowiednia do kary. Postarzałem się ponad wiek i byłem zbyt daleko od ludzi, którzy mnie kochali. Niewielu osobom pozwoliłem się do siebie zbliżyć, ale nigdy nie szukałem z nimi kontaktu tak jak oni ze mną. Nie potrafiłem się zaangażować tak jak oni, bo wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał ich zostawić.

– Daj spokój, Johnny – powiedziałem cicho.

Westchnął znowu, schował pieniądze i wyprowadził mnie z chaty.

– Dlaczego Żydzi dodają penicyliny do kurcząt? – spytał, gdy spoglądaliśmy na ciężkie chmury.

– Johnny, to był żart.

– No, ale ci Żydzi są łebscy, *yaar*. Skoro dodają penicyliny do kurcząt, to musi być cholernie dobre…

– Johnny – przerwałem, unosząc dłoń. – Kocham cię.

– Ja ciebie też kocham, stary – odparł z uśmiechem.

Otoczył mnie mocnym uściskiem, który uraził wszystkie rany i siniaki na moich ramionach i barkach.

Wychodząc ze slumsów, nadal czułem jego siłę i zapach oleju kokosowego na jego włosach. Brzemienne chmury rzucały wczesnowieczorny mrok na zmęczone twarze rybaków i praczek wracających do domu z gwarnego brzegu morza. Ale gdy się do mnie uśmiechali, białka ich zmęczonych oczu płonęły złotem i różem. A uśmiechali się wszyscy, co do jednego, gdy mnie mijali z koroną kropli na spoconych czołach.

# 13

Zanurzyłem się w roześmianą kipiel Leopolda i rozejrzałem się, szukając Lisy i Vikrama. Nie dostrzegłem ich, ale spotkałem spojrzenie mojego przyjaciela Didiera. Siedział z Kawitą Singh i Naveenem Adairem.

– Zazdrosny mąż! – zawołał Didier, z podziwem przyglądając się mojej pokancerowanej twarzy. – Lin! Jestem z ciebie dumny!

– Przykro mi, że cię rozczaruję – odparłem, wzruszając ramionami. – Pośliznąłem się pod prysznicem.

– A prysznic ci chyba oddał – zauważył Naveen.

– A ty kto, hydrauliczny detektyw?

– Nieważne, co się stało, jestem zachwycony widokiem grzechu na twojej twarzy! – oznajmił Didier, machając na kelnera. – To trzeba uczcić!

– Witajcie, jestem Naveen – odezwał się młody detektyw, podchwytując konwencję – i jestem grzesznikiem.

– Witaj, Naveen – powiedzieli wszyscy.

– Od czego zacząć… – dodał Naveen ze śmiechem.

– Każdy grzech się nada – zachęcił go Didier.

Naveen udał, że się zastanawia.

– Do twarzy ci – oznajmiła Kawita Singh, gdy usiedliśmy.

– Na pewno mówisz to wszystkim posiniaczonym.

– Tylko tym, których sama posiniaczyłam.

Kawita, piękna, młoda dziennikarka, miała skłonność do dziewcząt, i była jedną z niewielu kobiet w mieście, które nie bały się do tego przyznać.

– Naveen nie chce wyznać grzechów! – pożalił się Didier. – Przynajmniej ty wyznaj mi swoje.

Kawita roześmiała się i zaczęła recytować listę swoich grzechów.

– Te kamienie pod twoim prysznicem – odezwał się cicho Naveen, pochylając się do mnie – zadziałały jak zawodowcy.

Zerknąłem na niego. Byłem gotowy go polubić, już go polubiłem, ale nadal był obcy i nie wiedziałem, czy mogę mu ufać. Skąd wiedział, że oberwałem od zawodowców?

Naveen odczytał wyraz mojej twarzy i uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Te uderzenia po obu stronach twojej twarzy znajdują się tuż obok siebie – wyjaśnił cicho. – Masz podbite oczy, ale możesz je otworzyć i widzisz. Niełatwo osiągnąć taki efekt. Masz też pręgi na nadgarstkach. Nietrudno się domyślić, że ten ktoś, kto dał ci wycisk, znał się na tym.

– Podejrzewam, że do czegoś zmierzasz.

– Zmierzam do tego, że mnie to boli.

– Ciebie?

– Nie zaprosiłeś mnie.

– Nie ja zapraszałem.

– Będą jeszcze jakieś imprezy? – zagadnął z uśmiechem.

– Nie wiem. A co, czujesz się samotny?

– Następnym razem zabierz mnie jako osobę towarzyszącą.

– Nikogo mi nie brakuje. Ale dzięki za propozycję.

– Panowie! – rzucił Didier, gdy obrażony na cały świat kelner postawił z rozmachem szklanki na naszym stoliku. – Przestańcie szeptać. Jeśli nie zamierzacie się pochwalić nielegalnym romansem albo bójką z zazdrosnym mężem, musicie wyznać inny grzech.

– Wypiję za to – oznajmiła Kawita.

– Wiesz, dlaczego grzechy są zakazane? – spytał ją Didier z błyskiem w błękitnych oczach.

– Bo to kupa śmiechu?

– Bo ośmieszają ludzi, którzy ich zakazują – odparł Didier, unosząc kieliszek.

– Wznoszę toast! – zawołała Kawita. – Za wiązanie ludzi i spuszczanie im lania!

– Brawo! – krzyknął Didier.

– Dołączam się – dodał Naveen, również wznosząc kieliszek w górę.

Nie był to dzień, w którym piłbym za wiązanie ludzi.

– Dobra, Lin – warknęła Kawita. – Może teraz ty wzniesiesz toast?

– Za wolność, we wszystkich jej postaciach – powiedziałem.

– I znowu się dołączam – powiedział Naveen.

– Didier zawsze pije za wolność – zgodził się Didier, unosząc kieliszek.

– Dobrze – powiedziała Kawita, stukając kieliszkiem o nasze. – Za wolność we wszystkich jej postaciach… ponieważ jest kobietą.

Ledwie odstawiliśmy kieliszki, a dołączył do nas Concannon ze Stuartem Vinsonem.

– Stary – odezwał się Vinson z dobrodusznym uśmiechem, ściskając mi rękę. – A tobie co się stało?

– Ktoś mu skopał dupsko – odparł Concannon z północnoirlandzkim akcentem. Roześmiał się. – I chyba nie tylko dupsko. W coś ty się wpakował, chłopie?

– Miał problem z prysznicem – powiedziała Kawita.

– Problem z prysznicem, powiadasz? – Concannon wyszczerzył zęby i pochylił się do niej. – A jakie problemy masz ty?

– Powiem, jeśli i ty powiesz – odpaliła.

Concannon uśmiechnął się, jakby wygrał w dyskusji.

– Ja? Ja mam problem ze wszystkim, co nie jest jeszcze moje. A ponieważ już się przyznałem, pytam jeszcze raz: jaki masz problem?

– Z byciem piękną. Ale już się leczę.

– Podobno terapia awersyjna daje bardzo dobre efekty – oznajmił Naveen, łypiąc na Concannona.

Ten zmierzył wzrokiem najpierw jedno, potem drugie z nich, roześmiał się głośno, zabrał od sąsiedniego stolika dwa krzesła, nikogo nie pytając o pozwolenie, przystawił je do naszego i zmusił Vinsona do zajęcia miejsca na jednym. Swoje obrócił oparciem do przodu i położył na nim mocne ręce.

– Co pijemy? – spytał.

Uświadomiłem sobie, że Didier nie wezwał kelnera, co było jego odruchem zawsze, gdy ktoś przysiadał się do niego u Leopolda. Odwróciłem głowę; gapił się nieruchomo na Concannona. Gdy ostatnio widziałem u niego takie spojrzenie, miał w ręce pistolet. Trzydzieści sekund później z niego strzelił.

Podniosłem rękę, żeby wezwać kelnera. Gdy zamówiliśmy drinki, zmieniłem temat.

– Dobrze wyglądasz, Vinson.

– Jestem cholernie zadowolony – powiedział młody Amerykanin. – Właśnie nam się poszczęściło. Obłowiłem się. No, obłowiliśmy się, Concannon i ja. Więc to my stawiamy.

Pojawiły się drinki. Vinson zapłacił i unieśliśmy kieliszki.

– Za udane łowy! – powiedział Vinson.

– I za jelenie, dzięki którym są udane – dodał szybko Concannon.

Kieliszki brzęknęły, ale Concannon zepsuł nam radość.

– Dziesięć tysięcy amerykańskich dolarów na łeb! – zawołał, odstawiając kieliszek z rozmachem. – Nie ma lepszego uczucia! Jakbym się zwalił do ust bogatej dziewczyny!

– E, Concannon – rzuciłem ostrzegawczo.

– Nie ma potrzeby tak mówić – dodał Vinson.

– Co? – Concannon rozłożył ręce. – Co?

Odwrócił się i przechylił do Kawity.

– No, kochanie – powiedział z szerokim uśmiechem, jakby prosił ją do tańca. – Nie powiesz mi, że tego nie znasz. Nie z taką buzią i ciałkiem.

– Może pogadasz o tym ze mną? – wycedził Naveen Adair przez zaciśnięte zęby.

– Chyba że jesteś jakąś pierdoloną lesbą – ciągnął Concannon, zaśmiewając się tak gwałtownie, że krzesło się pod nim zachwiało i prawie upadło.

Naveen chciał wstać, ale Kawita położyła mu rękę na piersi, nie pozwalając mu się ruszyć z krzesła.

– Na miłość boską, Concannon! – wykrztusił Vinson, zaskoczony i zbity z tropu. – Co ci odbiło, do cholery? Przyprowadzasz mi pierwszorzędnego klienta, zarabiamy górę kasy, więc mamy się cieszyć, świętować. Przestań wszystkich obrażać!

– Nie szkodzi – powiedziała Kawita, spoglądając spokojnie na Concannona. – Wierzę w wolność słowa. Gdybyś mnie dotknął, straciłbyś rękę. Ale dopóki tylko siedzisz i gadasz jak idiota, możesz to robić nawet całą noc, mnie to nie obchodzi.

– A, czyli jednak jesteś lesbą – rzucił Concannon, szczerząc zęby.

– Skoro o tym mowa… – zaczęła.

– Skoro o tym mowa – przerwał jej Didier – to nie twój interes.

Uśmiech Concannona stwardniał. W jego oczach pojawił się błysk – jak połysk słońca na kapturze kobry. Concannon odwrócił się wyzywająco do Didiera. W jego spojrzeniu malowała się wyraźna groźba. To niegrzeczne zachowanie wobec Kawity było prowokacją skierowaną pod adresem Didiera.

Jego plan się udał. Oczy Didiera zmieniły się w płomienie koloru indygo.

– Przypudruj nosek i włóż kieckę, kochana – warknął Concannon. – Wszystkie pedały powinny chodzić w sukienkach. Żeby prawdziwi mężczyźni wiedzieli. Jak dajesz się dymać jak baba, to się ubieraj jak baba.

– Powinieneś mieć odwagę… skoro nie masz honoru… – odparł Didier spokojnie – przedyskutować to na osobności. Na dworze.

– Jesteś jebanym dziwolągiem – syknął Concannon przez zaciśnięte zęby.

Wszyscy wstaliśmy. Naveen wyciągnął rękę, żeby chwycić Concannona za koszulę. Vinson i ja rozdzieliliśmy ich. Kelnerzy rzucili się do nas ze wszystkich kątów sali.

Przez ostatnie lata kelnerów przyjmowano do Leopolda po osobliwej rozmowie kwalifikacyjnej. Jeśli włożyli rękawice bokserskie i wytrzymali dwie minuty walki w bocznej uliczce z bardzo dużym, bardzo agresywnym sikhem, kierownikiem sali, dostawali pracę. Teraz nasz stolik otoczyło sześciu takich kelnerów pod wodzą bardzo dużego, bardzo agresywnego sikha, kierownika sali.

Concannon rozejrzał się szybko, a jego zimny uśmiech stał się szerszy, odsłaniając nierówny rząd pożółkłych zębów. Przez parę sekund słuchał swojego wewnętrznego głosu, namawiającego go, by zginął w walce. W przypadku niektórych mężczyzn jest to najsłodszy głos, jaki słyszeli w życiu. Potem jego agresja rozmyła się w przebiegłości, a on zaczął się wycofywać poza zasięg kelnerów.

– Wiecie co? – rzucił, idąc tyłem. – Walcie się! Walcie się na ryj!

– Co to było, do cholery? – wykrztusił Vinson, gdy Concannon wypadł na ulicę, potrącając przechodniów.

– To oczywiste, mój drogi Stuarcie – powiedział Didier, gdy z wolna znowu usiedliśmy. Tylko on nie wstał i tylko on zachował spokój.

– Nie dla mnie, człowieku.

– Widywałem ten fenomen wiele razy, Stuarcie, w wielu krajach. Ten mężczyzna odczuwa niemal nieopanowany pociąg do mnie.

Vinson prychnął pianą z piwa na stolik. Kawita ryknęła śmiechem.

– Twierdzisz, że to gej? – spytał Naveen.

– Czy mężczyzna musi być gejem, żeby poczuć pociąg do Didiera? – spytał Didier, rzucając mu spojrzenie zdolne wygarbować skórę.

– Dobrze, dobrze – ustąpił Naveen z uśmiechem.

– Moim zdaniem on nie jest gejem – oznajmił Vinson. – Chodzi na prostytutki. Moim zdaniem to po prostu wariat.

– To akurat się zgadza – powiedziała Kawita, machając kieliszkiem przed jego zatroskaną twarzą.

Miluś, który nie mieszał się do naszego konfliktu, trzepnął brudną szmatą o nasz stół

na znak, że jest gotów przyjąć zamówienie. Podłubał w orlim nosie środkowym palcem, który wytarł o fartuch, po czym westchnął.

– *Aur kuch?* – warknął, jakby nam groził. „Coś jeszcze?”.

Didier miał już zamówić, ale go powstrzymałem.

– Nie dla mnie – powiedziałem, wstając i biorąc kluczyki.

– Ależ nie! – zaprotestował Didier. – Jeszcze jeden!

– Nie dopiłem ostatniego. Prowadzę.

– Jadę z tobą, kowboju – rzuciła Kawita. – Powiedziałam Lisie, że zadzwonię koło północy. Wpadnę z tobą do domu, jeśli ci to nie przeszkadza.

– Będę szczęśliwy.

– Ale… czy gej może chodzić na prostytutki… ale tak na maksa? – dopytywał się Vinson, pochylając się do Didiera.

Didier zapalił papierosa, przez chwilę oglądał jego ogienek, a potem zwrócił się do Vinsona, mrużąc oczy:

– Nie słyszałeś, Stuarcie, że gej może robić wszystko, czego pragną mężczyźni?

– Co? – wykrztusił Vinson, zagubiony jak dziecko.

– Mówią także, że czasem lepiej nie wiedzieć – wtrąciłem, wymieniając uśmiech z Didierem. – I lepiej będzie, jak wrócę do domu.

Opuściliśmy bar i ruszyliśmy przez tłum przechodniów na parking, gdzie zostawiłem motocykl.

Kiedy włożyłem kluczyk do stacyjki, bardzo silna ręka chwyciła mnie za przedramię.

– Pierdolić go, nie? – rzucił Concannon, uśmiechając się szeroko.

– Co?

– Pierdolić go. Francuskiego pedała.

– Jesteś bardziej szalony, niż ci się wydaje.

– Nie mogę zaprzeczyć. I nie chcę. Mam pieniądze. Dziesięć tysięcy. Chodźmy się uwalić.

– Jadę do domu – powiedziałem, oswabadzając się, by włożyć kluczyk do stacyjki.

– No, weź, będzie fajnie! Chodźmy razem, ty i ja. Pobijmy się z kimś! Znajdźmy jakichś napakowanych kolesi i spuśćmy im łomot. Zabawmy się, stary!

– Brzmi atrakcyjnie, ale…

– Mam nową irlandzką muzykę – rzucił szybko. – Zajebista. Z irlandzką muzyką jest

tak, że jest za dobra, żeby się przy niej bić.

– Nie.

– No, weź! Przynajmniej posłuchaj muzyki i upij się ze mną.

– Nie.

– Ten Francuz to jebana ciota!

– Concannon…

– Ty i ja – powiedział cichszym głosem, zmuszając się do uśmiechu, który wyglądał niemal jak grymas bólu. – Jesteśmy tacy sami, ty i ja. Znam cię. No, kurwa, znam cię.

– Nie znasz.

Concannon wyszczerzył zęby, odwrócił głowę i splunął na ziemię.

– No pomyśl tylko, co za pedał. Gdyby wszyscy byli tacy, jak on, ludzki gatunek by wymarł.

– A gdyby wszyscy byli tacy jak ty, gatunek zasługiwałby na wymarcie.

To było przykre. Zbyt przykre. Kim byłem, żeby rzucać kamieniem? Ale kochałem Didiera, a Concannona miałem już dość jak na ten długi dzień.

W jego oczach błysnęła nagła mordercza furia, a ja odpowiedziałem nieruchomym wzrokiem, myśląc, że tego dnia mnie związano i pobito, więc mordercze spojrzenia nie robią na mnie wrażenia.

Uruchomiłem silnik motocykla, kopnąłem stopkę i pomogłem Kawicie usiąść za mną. Ruszyliśmy, nie oglądając się za siebie.

– Ten gość! – krzyknęła Kawita, opierając mi się o ramię i dotykając ustami mojego ucha – normalnie zwariował, *yaar*.

– Spotkałem go tylko raz! – krzyknąłem. – Wydawał się całkiem w porządku.

– No to ktoś wykorzystał całe jego „w porządku”.

– Można tak powiedzieć o większości z nas.

– Mów za siebie – rzuciła Kawita ze śmiechem. – Moje „w porządku” jest rogiem obfitości, skarbie.

Ja się nie śmiałem. Nie mogłem zapomnieć wyrazu oczu Concannona. Nawet gdy ukoiłem ból i troskę lisy, przeprosiłem ją, pocałowałem i usiadłem na chwiejnym stołeczku w łazience, podczas gdy ona oczyszczała i opatrywała rany na mojej twarzy, nadal widziałem te oczy: zapowiedź nieszczęścia kryjącego się w grotach.

– Do twarzy mu – oznajmiła Kawita, siadając na sofie, gdy już zostałem opatrzony. – Powinien płacić komuś, żeby to robił co najmniej raz na miesiąc. Mam parę koleżanek,

które chętnie zrobią to za darmo.

– Nie pomagasz. Spójrz na niego! Tak wyglądałby samochód po wypadku, gdyby ludzie byli samochodami.

– Dobra – mruknęła Kawita. – Tego obrazu naprawdę nie chcę widzieć.

Lisa zmarszczyła brwi i odwróciła się do mnie, trzymając moją głowę w dłoniach.

– Nie powiesz mi, co się wydarzyło, prawda?

– Co się wydarzyło?

– Jesteś chory – oznajmiła, odpychając mnie. – Zjadłeś coś przynajmniej?

– No… byłem zajęty…

– Kawita, ugotujesz nam coś? Ja jestem zbyt roztrzęsiona.

Kawita przyrządziła jedną z moich ulubionych potraw, żółty dhal i aloo ghobi, mieszankę z kalafiora i ziemniaków z przyprawami, bardzo smaczną. Nie wiedziałem, jak bardzo jestem głodny, dopóki nie zacząłem jeść. Kiedy sprzątnęliśmy ze stołu, usiedliśmy razem, żeby obejrzeć film.

Był to *Uciekający pociąg* Konczałowskiego na podstawie scenariusza Kurosawy, z Jonem Voightem nieustraszenie zmierzającym ku białemu niebu, które dla każdego wyjętego spod prawa staje się wcześniej czy później obiektem gorącego pożądania.

Kawita, która uznała film za testosteronowy terroryzm, wpadła na pomysł, żeby obejrzeć go drugi raz, ale z wyłączonym dźwiękiem, żeby każde z nas mówiło role bohaterów. Puściliśmy film ponownie i śmialiśmy się aż do jego końca.

Zmyślałem kwestie przydzielonych mi przez Kawitę postaci, bezczeszcząc ukochany film, ale gdy na nasze roześmiane twarze w ciemnym pokoju padło światło z tego uciekającego pociągu, zaatakowały mnie inne obrazy i inne twarze z innego ciemnego pomieszczenia, w którym byłem tego długiego dnia.

Gdy Lisa włożyła nowy film do odtwarzacza, wstałem, wziąłem kluczyki i schowałem dwa noże do pochew.

– A ty dokąd? – rzuciła Lisa z kanapy, na której umościła się obok Kawity.

– Mam sprawę do załatwienia – odparłem, pochylając się, by pocałować ją w policzek.

– Że co? Będziemy oglądać drugi film! Tym razem ja wybieram. To niesprawiedliwe, że musiałam obejrzeć ten twój testosteronowy terroryzm, a ty nie zobaczysz estrogenowej ekstazy.

– Niech idzie – rzuciła Kawita, przytulając się do niej. – Spędzimy babski wieczór.

W drzwiach do salonu odwróciłem się i spojrzałem na nie.

– Jeśli nie wrócę dziś na noc, nie oddawaj moich rzeczy – powiedziałem. – Zawsze wracam.

– Bardzo śmieszne – burknęła Lisa. – Powiedz, w dzieciństwie zbierałeś znaczki?

– Proszę cię – prychnęła ze śmiechem Kawita. – Nie odpowiadaj.

– Zacząłem. Ojciec to zakończył. Nawiasem mówiąc… czy ja jestem zrzędą?

– Co? – spytały obie.

– Ktoś, jeden znajomy chłopak, nazwał mnie zrzędą. Nie czaję tego. Myślicie, że to prawda?

Lisa i Kawita zaczęły się zaśmiewać tak bardzo, że spadły z kanapy. Na widok mojej miny zaczęły się śmiać jeszcze gwałtowniej, turlając się po podłodze z nogami w powietrzu.

– Dziewczyny, to nie jest aż tak śmieszne.

Zawyły, żebym przestał.

– Dzięki – mruknąłem. – Stokrotne dzięki.

Nadal się śmiały, gdy uruchomiłem motocykl, wyjechałem z podjazdu i skierowałem się przez Marine Drive do Tardeo.

Ulice prawie opustoszały. Zapach żelaza i soli, krwi morza, unosił się z grzyw fal uderzających o brzeg szerokiej zatoki. Nocny wietrzyk wnosił ten zapach przez każde otwarte okno przy bulwarze.

Ciężkie, kłębiaste czarne chmury kipiały i wzdymały się nad moją głową, tak nisko, że wydawało mi się, iż mogę wyciągnąć rękę i ich dotknąć. Błyskawica, bezgłośna, lecz przecinająca całe niebo, rozdarła welon nocy, każdym srebrnym uderzeniem wyławiając z mroku dramatyczny widok chmur.

Po ośmiu miesiącach suszy dusza Miasta Wysp błagała o deszcz. Serca wszystkich ludzi, śpiących czy czuwających, przyspieszały z nadzieją przy każdym pomruku nadchodzącej burzy. Krew starych i młodych tętniła w rytmie zbliżającego się deszczu, każdy oddech wtapiał się w porywisty wicher i sunące ławą chmury.

Zaparkowałem u wylotu pustego zaułka. Pobliskie uliczki były bezludne, nieliczni śpiący wyciągnęli się w pobliżu rzędu wózków jakieś trzysta metrów dalej. Zapaliłem papierosa, czekając i obserwując cichą okolicę. Gdy się upewniłem, że wszyscy śpią, podstawiłem bawełnianą chusteczkę pod rurę wylotową zbiornika paliwa w moim motocyklu, odkręciłem kranik paliwa, zmoczyłem chusteczkę benzyną i zakręciłem

kranik.

Otworzyłem kłódkę na łańcuchu na drzwiach magazynu, w którym dziś zostałem pobity, i wszedłem do środka.

Przyświecając sobie zapalniczką, dotarłem do tego leżaka z jadowicie zielonego i żółtego winylu. Obok leżała pusta beczka. Przyciągnąłem ją do leżaka i usiadłem.

Po paru minutach wzrok przywykł mi do ciemności. Zacząłem rozróżniać poszczególne przedmioty i meble. Wśród nich znajdował się duży zwój sznura z włókna kokosowego. Kawałkiem tego sznura przywiązano mnie do leżaka.

Wstałem, rozwinąłem sznur, który legł na podłodze splątaną, luźną stertą. Wsunąłem ją pod leżak, a między zwoje wcisnąłem nasyconą benzyną chustkę.

W magazynie znajdowały się także puste kartonowe pudła, stare książki telefoniczne, zatłuszczone szmaty i inne łatwopalne przedmioty. Ułożyłem je w rząd prowadzący od leżaka do rzędu szafek i stołów, na których leżały elektryczne narzędzia, i oblałem je wszystkim, co udało mi się znaleźć.

Kiedy zbliżyłem płomyk zapalniczki do chustki, natychmiast zajęła się ogniem, który zamigotał i nagle buchnął w górę, pożerając splątany sznur. W pomieszczeniu rozszedł się gęsty, lepki dym. Winylowy leżak stawiał opór. Zaczekałem, aż ogień popełznie wzdłuż szeregu łatwopalnych przedmiotów i opuściłem magazyn, ciągnąc za sobą ciężki zestaw do cięcia i spawania.

Położyłem butle z tlenem i acetylenem w rynsztoku, poza zasięgiem ognia, i podszedłem powoli do motocykla.

Płomienie w oknach magazynu przez jakiś czas falowały i pulsowały, jakby wewnątrz trwała bezgłośna impreza. Potem rozległ się mały wybuch. Być może eksplodowała puszka kleju lub rozcieńczalnika. Cokolwiek to było, sprawiło, że ogniste jęzory sięgnęły sufitu magazynu, a pierwsze płomienie i pomarańczowe iskierki strzeliły w ciężkie, wilgotne powietrze.

Z okolicznych sklepików i domów zaczęli wychodzić ludzie. Biegli w stronę pożaru, ale nie pozostało im nic do zrobienia. Nie mieli dość wody. Magazyn był budynkiem wolno stojącym. Przegrał walkę i wszyscy to wiedzieli, ale ogień nie mógł się przenieść na inne domy.

Tłum rósł; z czasem zaczęli się pojawiać jeżdżący na rowerach sprzedawcy czaju i paanu. Wkrótce po nich przyjechały straż pożarna i policja.

Strażacy usiłowali gasić płonący budynek, ale strumień, który wydobył się z węży, był cieniutki. Policjanci świsnęli bambusowymi trzcinkami w stronę paru widzów,

zorganizowali punkt dowodzenia naprzeciwko magazynu i wezwali sprzedawcę czaju. Zacząłem się martwić. Chciałem spalić tę izbę tortur. Początkowo pomysł wydawał się dobry. Wisznu życzył sobie, żebym zostawił mu tutaj wiadomość i byłem pewny, że ta wiadomość do niego dotrze. Ale nie chciałem, żeby ogień się rozprzestrzenił.

Strażacy w mosiężnych ateńskich hełmach byli bezradni. Przez parę chwil wydawało się, że ogień przeskoczy w powietrzu do następnego budynku.

Grzmot zabrzmiał jak niebiański bęben. Wszystkie szyby na ulicy zadzwoniły. Wszystkie serca zadrżały. Huk rozdarł niebo jeszcze raz, i jeszcze, tak straszliwy, że kochankowie, sąsiedzi, a nawet obcy ludzie odruchowo chwycili się za ręce.

Błyskawica zapaliła latarnie chmur na całym niebie jednocześnie. Psy zaczęły skomleć. Zimny poryw wiatru smagnął rozprażoną noc, przenikając moją cienką koszulę. Lodowaty wiatr ustąpił i nagle ciepła fala powietrza wilgotnego jak wodny pył nad morzem przesunęła się przez ulicę jak dłoń po jedwabnej firance.

Zaczął padać deszcz. Płynna noc, ciężka jak kaszmirowy płaszcz. A deszcz padał i padał.

Zebrani zadrżeli i krzyknęli ze szczęścia. Zapominając o pożarze, skakali, wiwatowali i tańczyli ze sobą, śmiejąc się wariacko, a woda bryzgała im spod stóp.

Płomienie zasyczały, pokonane. Strażacy także ruszyli w tany. Ktoś włączył muzykę. Stojący rzędem policjanci kołysali się koło swoich jeepów. Tańczący śmiali się, a ich przemoczone, lśniące jak atłas ubrania odbijały się kolorowo w kałużach.

Tańczyłem na rzece mokrego światła. Grzmiało, a na ziemię spadał wodospad. Wicher szarpał nas jak sfora rozradowanych psów. Błyskawice rzucały na ulicę jeziora światła. Z każdego kamienia bił żar. Nasze twarze rozświetlała wiara w życie. Ręce poruszały się lekko jak śmiech. Cienie tańczyły, pijane deszczem, a ja tańczyłem z nimi, szczęśliwy głupiec, którym byłem, gdy ta pierwsza ulewa zmywała grzechy miasta.

III

# 14

– Śpisz?

– Nie.

– Śpisz.

– Nie śpię.

– Skoro śpisz, to jak możesz mi odpowiadać?

– Śni mi się koszmar.

– Ach, tak?

– Tak.

– Jaki koszmar?

– Straszny. Jakiś upierdliwy głos wyrywa mnie z pierwszego dobrego snu, który trafił mi się od tygodni.

– To ma być koszmar? – rzuciła kpiąco Lisa zza moich pleców. – Spróbuj wytrzymać rok w branży malarskiej.

– Robi się coraz straszniej. Ten głos nie chce zamilknąć.

Lisa ucichła. Po jej oddechu poznałem, że ma otwarte oczy. To możliwe, kiedy się kogoś lubi. Wentylator pod sufitem obracał się powoli, mieszając gęste monsunowe powietrze. Igły światła latarni przekłuwały drewniane okiennice, kładły się jak kreski między obrazami na ścianie koło łóżka.

Do brzasku zostało jakieś pół godziny, ale fałszywy świt już odebrał głębię cieniom w pokoju. Na wszystkich powierzchniach osiadła surrealna szarość, nawet na skórze mojej ręki, na poduszce obok mojej twarzy.

Efekt peyotlu, nazwała to kiedyś Karla. I miała rację. Oczywiście. Ten narkotyk maluje wszechświat na taki sam kolor, jak ten fałszywy, wyobrażony świt. Karla, zawsze taka inteligentna, zawsze taka zabawna…

Oczy mi się zamknęły. Prawie zasnąłem, trzymając grudkę peyotlu w dłoni. Prawie.

– Często myślisz o Karli? – spytała Lisa.

Cholera, pomyślałem obudzony. Jak te kobiety to robią?

– Ostatnio bardzo. W ciągu trzech dni już trzeci raz ktoś wymienia jej imię.

– Kto jeszcze o niej wspominał?

– Naveen, ten młody prywatny detektyw, i Randżit.

– Co powiedział Randżit?

– Lisa, a może byśmy nie rozmawiali o Karli i Randżicie, co?

– Jesteś o niego zazdrosny?

– Co?

– No, wiesz. Ostatnio ciągle przesiaduję z nim po nocach.

– Ostatnio mnie tu nie było, więc nie wiedziałem. Ile czasu spędziłaś z Randżitem?

– Bardzo mi pomógł z reklamą wystawy. Odkąd do nas dołączył, mamy o wiele więcej gości. Ale między nami nie ma absolutnie nic.

– Aha. Co?

– Jak często myślisz o Karli?

– Musimy to robić teraz? – spytałem, odwracając się do niej.

Oparła się na łokciu i przechyliła głowę na ramię.

– Widziałam ją wczoraj – powiedziała, przyglądając mi się uważnie oczami jak niewinne, błękitne niezapominajki.

Zmarszczyłem brwi.

– Wpadłam na nią w moim ulubionym sklepie z sukienkami. Tym na Brady's Lane. Myślałam, że tylko ja o nim wiem, a tu nagle odwracam się i widzę Karlę stojącą tuż za mną.

– Co powiedziała?

– O co ci chodzi?

– O to, co ci powiedziała.

– To… trochę dziwne.

– Jak to „dziwne"?

– Nie spytałeś, jak wyglądała, co u niej, tylko co powiedziała.

– No więc?

– Więc… Nie widziałeś jej od prawie dwóch lat i w pierwszym odruchu pytasz, co powiedziała. Nie wiem, co jest dziwniejsze – że to zrobiłeś czy że to rozumiem, bo chodzi o Karlę.

– Więc… rozumiesz.

– Oczywiście.

– Czyli… to nie dziwne.

– Dziwne jest, jak to świadczy o mnie, tobie i o niej.

– O czym my tu rozmawiamy?

– O Karli. Chcesz wiedzieć, co powiedziała, czy nie?

– Aha. Nie.

– Właśnie, że chcesz. Najpierw powiem, że wyglądała wspaniale. Naprawdę świetnie. I wygląda na to, że wszystko u niej dobrze. Wypiłyśmy kawę w Madras Café i omal nie pękłam ze śmiechu. Karla w tej chwili ma hopla na punkcie religii. Powiedziała… nie, czekaj, żebym tego nie spaliła… a, już wiem. Powiedziała: „Religia to tylko bardzo długie zawody, kto wymyśli najdziwniejsze nakrycie głowy". Jest strasznie zabawna. To musi być cholernie trudne.

– Bycie zabawnym?

– Nie. Bycie zawsze najbardziej inteligentną osobą w towarzystwie.

– Ty jesteś inteligentna – odparłem, kładąc się na wznak i zakładając ręce pod głowę. – Jesteś jedną z najbardziej inteligentnych osób, jakie znam.

– Ja? – prychnęła.

– A jak.

Pocałowała moją pierś i wtuliła się we mnie.

– Zaprosiłam Karlę do pracy w galerii – oznajmiła, poruszając stopami w rytmie słów.

– To nie jest najlepszy pomysł tego tygodnia.

– Przed chwilą powiedziałeś, że jestem inteligentna.

– Że jesteś inteligentna – rzuciłem przekornie. – Nie że mądra.

Dała mi kuksańca w bok.

– Nie, serio – dodałem ze śmiechem. – Nie… nie… no, nie wiem, czy chcę, żeby Karla wróciła do mieszkania mojego życia. Pokoje, które zajmowała, są teraz zabite deskami. W sumie chciałbym, żeby tak zostało… przynajmniej na jakiś czas.

– Karla nawiedza także mój dom – powiedziała Lisa z żalem.

– A, rozumiem. Ja mam wyimaginowane mieszkanie, a ty dom?

– Oczywiście. Wszyscy mają wewnętrzny dom. Z wyjątkiem tych, którzy mają problem z niską samooceną, jak ty.

– Nie mam niskiej samooceny. Jestem realistą.

Lisa parsknęła śmiechem. Śmiała się całkiem długo; na tyle długo, że zacząłem się zastanawiać, co właściwie powiedziałem.

– Bądź poważny – powiedziała, gdy się w końcu uspokoiła. – Zobaczyłam Karlę po raz pierwszy od prawie dziesięciu miesięcy i… spojrzałam na nią i… uświadomiłam sobie, jak bardzo ją kocham. To śmieszne, prawda? Przypomnieć sobie, że się kogoś kocha?

– Mówię tylko…

– Wiem – szepnęła i przysunęła się, żeby mnie pocałować. – Wiem.

– Co wiesz?

– Wiem, że to nie będzie na zawsze. – Jej wargi nadal dotykały moich, a błękitne oczy rzucały wyzwanie porannemu niebu.

– Po każdej twojej odpowiedzi rozumiem mniej.

– Ja nawet nie wierzę w „na zawsze” – oznajmiła, odrzucając wieczność potrząśnięciem jasnych loków. – Nigdy nie wierzyłam.

– A czy kiedy zrozumiem, o czym rozmawiamy, będę zadowolony?

– Jestem fanatyczną zwolenniczką „teraz”, jeśli mnie rozumiesz. Nawet fundamentalistką.

Zaczęła mnie całować, ale nie przestała mówić, podając mi słowa prosto do ust.

– Nigdy mi nie opowiesz o tej walce, którą stoczyłeś, prawda?

– To nie była prawdziwa walka. Skoro zależy ci na ścisłości, to wcale nie była walka.

– Owszem, zależy mi na ścisłości. Co się stało?

– Stało? – spytałem, nadal ją całując.

Odsunęła się ode mnie i usiadła po turecku na łóżku.

– Musisz przestać.

– No dobrze – westchnąłem, siadając z plecami opartymi o poduszki. – Wal.

– Firma. Wytwórnia paszportów. Firma Sanjaya.

– Daj spokój. Już to przerabialiśmy.

– Od jakiegoś czasu nie.

– Dla mnie to jak wczoraj. Słuchaj…

– Nie musisz tego robić. Nie musisz taki być.

– Owszem, muszę, jeszcze przez jakiś czas.

– Nie musisz.

– Jasne. I jako poszukiwany zbieg będę zarabiać, pracując w banku.

– Nie żyjemy wystawnie. Utrzymamy się z mojej pensji. Galeria zaczyna się rozkręcać.

– Robiłem to, zanim się zeszliśmy…

– Wiem, wiem.

– A ty to zaakceptowałaś. Przecież…

– Mam złe przeczucia – palnęła.

Uśmiechnąłem się i położyłem dłoń na jej policzku.

– Nie potrafię się go pozbyć – dodała cicho. – Mam… mam bardzo złe przeczucia.

Wziąłem jej rękę. Nasze nogi się stykały i Lisa zacisnęła palce u stóp na moich z zaskakującą siłą. Świt zaczął przepalać drewniane okiennice.

– Już to przerabialiśmy – powtórzyłem powoli. – Rząd mojego kraju wyznaczył cenę za moją głowę. I jeśli nie zginę podczas próby aresztowania, to wrócę do tego samego więzienia, z którego uciekłem, a tam przykują mnie do tej samej ściany i zaczną nade mną pracować. Ja tam nie wrócę. Tu jestem bezpieczny… przez jakiś czas. To już coś. Dla mnie, jeśli nie dla ciebie.

– Nie powiedziałam, że masz zrezygnować z wolności. Mówię, żebyś nie rezygnował z siebie.

– Co innego miałbym robić?

– Na przykład pisać.

– Piszę. Codziennie.

– Wiem, ale moglibyśmy się na tym mocno skupić, wiesz?

– My? – rzuciłem ze śmiechem.

Nie kpiłem z niej; po prostu po raz pierwszy wspomniała o moim pisaniu, a mieszkaliśmy razem prawie od dwóch lat.

– Nieważne – powiedziała.

Zamilkła. Jej oczy powoli spojrzały w dół, palce u stóp rozluźniły żarliwy uścisk. Odgarnąłem jej zabłąkany loczek z oka i przesunąłem ręką przez morską pianę jej jasnych włosów.

– Jestem im coś winien – powiedziałem sucho.

– Nie jesteś – odparła, ale w jej proteście nie było siły. Spojrzała mi w oczy. – Nie jesteś im nic winien.

– Jestem. Wszyscy, których znam, są im coś winni. Tak to działa. Dlatego nie pozwalam ci się z nimi spotykać.

– Jesteś wolny, Lin. Przeskoczyłeś przez ten mur, a nawet nie czujesz, że jesteś na wolności.

Zajrzałem jej głęboko w oczy, w jeziora odbijające niebo. Zadzwonił telefon.

– Czuję taką wolność, że nie odbiorę tego telefonu – oznajmiłem. – A ty?

– Nigdy nie odbierasz telefonu – warknęła. – To żaden argument.

Wstała. Patrząc na mnie, słuchała głosu po drugiej stronie. Patrzyłem, jak smutek spływa na jej ramiona niczym szal, kiedy oddała mi słuchawkę.

Był to człowiek Sanjaya, który przekazywał mi wiadomość.

– Zajmę się tym – powiedziałem. – Tak. Co? Mówiłem, że się tym zajmę. Za dwadzieścia minut.

Rozłączyłem się, wróciłem do łóżka i ukląkłem obok Lisy.

– Aresztowano jednego z moich ludzi. Jest w areszcie w Kolabie. Muszę go wykupić.

– To nie jest twój człowiek – odparła, odpychając mnie. – A ty nie jesteś ich człowiekiem.

– Przykro mi.

– Nieważne, co zrobiłeś ani jaki byłeś. Nieważne nawet, jaki jesteś. Liczy się to, jaki starasz się być.

Uśmiechnąłem się.

– To nie takie proste. Wszyscy jesteśmy, kim jesteśmy.

– Nieprawda. Jesteśmy tym, kim chcemy być. Jeszcze tego nie rozumiesz?

– Nie jestem wolny.

Pocałowała mnie, ale letni wiatr przeminął, a pole kwiatów w jej oczach poszarzało, jakby padł na nie cień chmury.

– Puszczę ci wodę pod prysznicem – powiedziała Lisa, wyskakując z łóżka i biegnąc do łazienki.

– Słuchaj, to nic takiego – powiedziałem, idąc za nią. – Tylko wykupię tego faceta.

– Wiem – rzuciła sucho.

– Nadal chcesz się spotkać? Później?

– Oczywiście.

Wszedłem do łazienki i stanąłem pod zimnym prysznicem.

– Powiesz mi, o co chodzi? – zawołałem. – Czy to nadal wielka tajemnica?

– To nie tajemnica, to niespodzianka – odparła cicho, stając w drzwiach.

– No jasne. – Roześmiałem się. – Gdzie i kiedy mam się zjawić, żeby dać się zaskoczyć?

– Bądź o wpół do szóstej przed Maheshem na Nariman Point. Zawsze się spóźniasz, więc zapamiętaj, że spotykamy się o wpół do piątej, to może zdążysz.

– Dobra.

– Przyjdziesz, prawda?

– Nie martw się. Panuję nad wszystkim.

– Nie – powiedziała, a jej uśmiech zniknął jak deszcz w promieniach słońca. – Nieprawda. Nie panujesz nad niczym.

Oczywiście miała rację. Wtedy, przechodząc pod wysokim lukiem drzwi posterunku w Kolabie, nie rozumiałem tego, ale nadal widzę jej smutny uśmiech, chłodzący serce jak śnieg padający do rzeki.

Wszedłem po paru schodkach prowadzących na drewnianą werandę, która biegła wzdłuż bocznej i tylnej ściany budynku administracyjnego. Policjant siedzący przed gabinetem sierżanta znał mnie. Zakołysał głową z uśmiechem i pozwolił mi przejść. Ucieszył się na mój widok. Dobrze płaciłem.

Żartobliwie zasalutowałem Dilipowi Błyskawicy, sierżantowi z dziennej zmiany. Jego pijacko spuchnięta twarz nabrzmiała wstrzymywaną wściekłością; miał dziś zły humor. Kiepski początek.

Dilip Błyskawica był sadystą. Wiedziałem to, bo parę lat temu byłem jego więźniem. Pobił mnie wtedy, karmiąc się moją bezradnością. I kiedy zobaczył siniaki na mojej twarzy, zapragnął to zrobić jeszcze raz. Wargi zadrżały mu z pragnienia.

Ale mój świat się zmienił, nawet jeśli jego pozostał taki sam. Pracowałem dla firmy Sanjaya, a mafia przelewała mnóstwo środków na konto posterunku. Dilip nie straciłby takich pieniędzy dla zaspokojenia swoich chorych pragnień.

Rzucił mi coś w rodzaju uśmiechu i przechylił głowę, jakby pytał: „Co jest?”.

– Zastałem szefa? – spytałem.

Dilip obnażył zęby w uśmiechu. Wiedział, że jeśli porozmawiam z jego

zwierzchnikiem, podinspektorem, strużka pieniędzy, która do niego spłynie z góry, ledwie wypełni jego spoconą dłoń.

– Podinspektor jest bardzo zajęty. Mogę w czymś pomóc?

– Hm…

Powiodłem wzrokiem po obecnych w pomieszczeniu policjantach. Udawali – mało przekonująco – że nie słuchają. Trzeba im oddać sprawiedliwość – w Indiach nie ma się wielu okazji, żeby ćwiczyć udawanie, że się nie podsłuchuje.

– Santosh! Przynieś czaju! – rzucił Dilip w marathi. – Zrób świeżego, *yaar!* Reszta niech idzie sprawdzić podkoszary!

Podkoszary były parterowymi zabudowaniami na tyłach kompleksu policyjnego. Trzymano w nich więźniów agresywnych oraz agresywnie protestujących przeciwko torturom.

Młodzi policjanci spojrzeli na siebie.

– Ale podkoszary są puste… – odezwał się jeden z nich.

– Pytałem, czy ktoś jest w podkoszarach? – poinformował się Dilip.

– N… nie.

– Więc robić, co powiedziałem, i sprawdzić dokładnie! Już!

– Tak jest! – krzyknęli szeregowcy, chwycili miękkie czapki i wybiegli, potykając się i popychając.

– Powinniście ustalić jakiś kod – podsunąłem po ich odejściu. – To nudne, tak wyganiać ich co godzinę.

– Bardzo śmieszne. Przejdź do rzeczy albo idź do diabła. Głowa mnie boli i chętnie sprawię, że kogoś innego też zaboli.

Wszyscy uczciwi policjanci są podobni do siebie. Natomiast jeśli chodzi o policjantów skorumpowanych, każdy z nich jest skorumpowany na własny sposób. Wszyscy biorą pieniądze, ale jedni niechętnie, inni łapczywie, jeszcze inni z urazą albo dobrotliwie. Żartują albo pocą się, jakby biegli pod górę, traktują cię jak przeciwnika bądź chcą zostać twoim najlepszym kumplem.

Dilip należał do tych, którzy przyjmują pieniądze z nienawiścią i mają ochotę skrzywdzić tego, który im je daje. Na szczęście, jak wszyscy, którzy lubią zastraszać słabszych, był podatny na pochlebstwa.

– Cieszę się, że możesz to załatwić osobiście – oznajmiłem. – Patii potrzebowałby na to całego dnia. Nie ma twojej finezji w załatwianiu spraw szybko i zdecydowanie,

*fatafat*, jak błyskawica. Nie na darmo nazywają cię Dilipem Błyskawicą.

Tak naprawdę nazywano go tak ze względu na wypolerowane buty, które jak błyskawice trafiały przykutego człowieka, gdy ten się tego najmniej spodziewał, i nigdy nie uderzały dokładnie w to samo miejsce.

– To sama prawda – nadął się Dilip, rozwalając się na krześle. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Macie w areszcie pewnego człowieka, niejakiego Farzada Daruwallę. Chciałbym zapłacić za niego grzywnę.

– Grzywnę ustala sąd, nie policja – zauważył Dilip z chytrym uśmieszkiem na wilgotnych wargach.

– Oczywiście, masz całkowitą rację – przyznałem – ale człowiek tak dalekowzroczny jak ty wie, że załatwiając tę sprawę energicznie, tu i teraz, oszczędzisz cennego czasu sądu i publiczne pieniądze.

– Po co ci ten człowiek?

– O, przychodzi mi do głowy z pięć tysięcy powodów – odparłem, wyciągając z kieszeni przygotowany zwitek rupii i zaczynając je przeliczać.

– Człowiek dalekowzroczny znalazłby o wiele więcej powodów – burknął Dilip.

Za późno. Już pożerał wzrokiem banknoty.

– Błyskawico-*ji* – powiedziałem cicho, składając banknoty na pół i przesuwając je po blacie, przykryte dłonią. – Odbywamy ten rytuał od dwóch lat i obaj wiemy, że pięć tysięcy powodów to wszystko, co mogę podać podinspektorowi w ramach pełnego… wyjaśnienia… mojego zainteresowania. Byłbym wdzięczny, gdybyś oszczędził mi tego kłopotu i osobiście przyjął wyjaśnienie.

Rozległy się kroki głucho łomoczące na deskach drewnianej werandy i pojawił się Santosh z herbatą. Dilip Błyskawica błyskawicznie przykrył moją dłoń swoją. Cofnąłem ją. Dilip przesunął pieniądze na swoją stronę biurka i schował je do kieszeni.

– Ten uczony – rzucił do Santosha, gdy młody posterunkowy postawił przed nami szklanki. – Ten, którego wczoraj zgarnęliśmy z nocnego klubu. Przyprowadź go.

– Tak jest – rzucił Santosh i wybiegł.

Młodzi policjanci wrócili do gabinetu, ale Dilip powstrzymał ich uniesioną ręką.

– A wy tu czego?

– No… sprawdziliśmy podkoszary, tak jak pan sierżant kazał. Wszystko w porządku.

I zobaczyliśmy, że zamówił pan czaj, więc pomyśleliśmy…

– Sprawdźcie jeszcze raz! – warknął Dilip Błyskawica, znowu spoglądając na mnie.

Młodzi policjanci wybałuszyli na mnie oczy, wzruszyli ramionami i znowu niechętnie poczłapali do wyjścia.

– Mogę pomóc w czymś jeszcze? – spytał Dilip sarkastycznie.

– Właściwie tak. Czy słyszałeś coś o mężczyźnie o śnieżnobiałych włosach w ciemnogranatowym garniturze, który przez ostatnie dwa tygodnie rozpytuje się na ulicach Kolaby?

Myślałem o Zodiakalnych George'ach i ich tajemniczym prześladowcy. Jeśli Dilip miał o nim jakieś informacje, warto było je kupić.

– Granatowy garnitur i białe włosy? – powtórzył Dilip w zamyśleniu. – A gdybym widział kogoś takiego?

– To myślę, że mam tysiąc powodów, dla których chciałbym się o nim dowiedzieć.

Dilip uśmiechnął się z lubością. Wyjąłem pieniądze z kieszeni i, tak jak poprzednio, przesunąłem je po blacie, osłaniając je dłonią.

– A ja myślę, że te powody powinny cię zaprowadzić do pana Wilsona w hotelu Mahesh.

Dilip wyciągnął dłoń, żeby przykryć nią moją rękę. Zawahałem się.

– Kto to jest? Czego chce?

– Kogoś szuka. Więcej nie chciał mi powiedzieć.

Cofnąłem rękę. Dilip zgarnął pieniądze.

– Pomogłeś mu kogoś znaleźć?

– Nie dostarczył mi odpowiedniego wyjaśnienia, więc go wyrzuciłem.

– Jeśli… – zacząłem; w tej samej chwili wszedł Santosh z Farzadem.

Młody parsyjski fałszerz nie był zakrwawiony, ale szedł pochylony. Oczy miał rozszerzone strachem, a pierś unosiła mu się i opadała gwałtownie w rwących się, płytkich oddechach. Widziałem to wiele razy: spojrzenie człowieka, który sądzi, że zostanie pobity. Potem zobaczył mnie, twarz mu się rozjaśniła, i rzucił się do mnie.

– Człowieku, ależ się cieszę, że cię widzę! Już…

Wstałem i położyłem mu rękę na piersi, powstrzymując go.

– Spokojnie – rzuciłem szybko z obawy, że powie coś, czego nie chciałem zdradzać Dilipowi Błyskawicy. – Pożegnaj się z sierżantem i idziemy.

– Sierżancie-*ji* – powiedział Farzad, składając dłonie. – Bardzo, bardzo dziękuję za

twoją serdeczność i hojność.

Dilip rozparł się w krześle.

– Spierdalaj – warknął. – I nie wracaj.

Pociągnąłem Farzada za rękaw, wywlekając go z gabinetu przez szeroką bramę na ulicę.

Na chodniku, parę kroków od łukowatego wejścia, zapaliłem dwa papierosy i podałem jednego młodemu fałszerzowi.

– Co się wydarzyło?

– No, trochę się wczoraj upiłem. Właściwie bardzo. W Drum Beat była niesamowita impreza. Zajebista, człowieku. Szkoda, że mnie nie widziałeś. Tańczyłem jak skurwysyn. Możesz na to liczyć.

– Liczę na wyjaśnienie, dlaczego musiałem wstać z wygodnego łóżka o szóstej rano, żeby usłyszeć, że tańczyłeś jak skurwysyn.

– Tak, oczywiście. Przepraszam. No więc policjanci przyszli koło pierwszej, jak zwykle, żeby zamknąć knajpę. Ktoś się sprzeciwił i się zaczęło. Chyba ta cała *tamasha* sprawiła, że mnie poniosło i zacząłem rzucać bezczelne uwagi pod adresem policjantów.

– Bezczelne?

– O, tak. Słynę z bezczelnych uwag.

– Dorosły mężczyzna nie powinien się chwalić czymś takim.

– Nie, serio! Jestem znany z moich…

– O jakiej bezczelności mówimy?

– Jest taki bardzo gruby policjant. Nazwałem go funkcjonariuszem „Trzy świnie się jebią”. A o drugim powiedziałem, że jest głupszy niż ulubiony kokos małpy. A o trzecim…

– Dobra, łapię.

– No i ani się obejrzałem, a leżałem na ziemi. Potknąłem się albo ktoś mnie popchnął. A jak już leżałem, to nagle bach, ktoś mnie kopnął w głowę. Raz, ale wystarczyło, żeby mi odebrać przytomność.

– Dilip Błyskawica wyrabiał normę.

– Pewnie tak. Ten skurwiel sierżant. No więc obudziłem się na tyle policyjnego jeepa z nogą Dilipa Błyskawicy na piersi, a potem wrzucili mnie do celi. Nie pozwolili mi zadzwonić, przez te…

– Bezczelne uwagi.

– No. Uwierzysz? Myślałem, że czeka mnie cały dzień w areszcie i potem wpierdol. Skąd się dowiedzieliście, gdzie jestem?

– Firma płaci wszystkim sprzątaczom cel. W ten sposób zapewniamy naszym ludziom dostawy do więzienia. Jeden z nich cię zobaczył i zadzwonił do swojego kontaktu. A firma zadzwoniła do mnie.

– Cholernie się cieszę, że przyszedłeś, człowieku. To był mój pierwszy raz w pudle. Jeszcze jedna noc i by mnie wykończyli. Możesz być pewny.

– Sanjay się nie ucieszy. Wydaje mnóstwo pieniędzy na ten posterunek. Będziesz mu musiał kupić nowy kapelusz na pociechę.

– A… ale… ale, no… ja nie znam jego rozmiaru… – wykrztusił Farzad, rozpaczliwie zmartwiony. – Widziałem go tylko raz i, o ile sobie przypominam, jego głowa wyglądała… bez urazy… na dość dużą.

– On nie nosi kapeluszy.

– Ale… powiedziałeś…

– Żartowałem. Ale tylko w sprawie kapelusza.

– Bardzo przepraszam… spierdoliłem sprawę. To… to się nie powtórzy. Może mógłbyś szepnąć o mnie Sanjayowi dobre słowo?

Nadal się śmiałem, gdy obok nas zatrzymała się taksówka. Przednie drzwi od strony pasażera otworzyły się i wysiadł z nich Naveen Adair, który pochylił się, żeby zapłacić kierowcy. Następnie otworzył drzwi z tyłu i pomógł wysiąść pięknej młodej kobiecie. Odwrócił się i zauważył mnie.

– Lin! Cholernie dobrze, że cię widzę, człowieku. Co cię tu sprowadza?

– Sześć tysięcy powodów – odparłem, przypatrując się dziewczynie.

Jej twarz wydawała się znajoma, choć nie potrafiłem sobie przypomnieć, skąd ją znam.

– Ach… – rzucił Naveen. – To Divya. Divya Devnani.

Divya Devnani, córka jednego z najbogatszych mieszkańców Bombaju.

Zdjęcia jej niskiego, atletycznie umięśnionego ciała, otulonego w fałdy drogich dizajnerskich sukienek, pojawiały się w relacjach ze wszystkich pierwszorzędnych wydarzeń w mieście.

Oto, co mnie zmyliło: skromne ubranie, które miała na sobie tego ranka. Prosty niebieski podkoszulek, naszyjnik z kuleczek lapis-lazuli i dżinsy nie pochodziły z

tamtego innego świata, w którym urodziła się na władczynię. Przede mną stała dziewczyna, a nie kobieta ze stron magazynu.

– Miło mi panią poznać – powiedziałem.

– Masz haszysz? – spytała.

Zerknąłem na Naveena.

– Długa historia – rzucił z westchnieniem.

– Nieprawda – zaprzeczyła dziewczyna. – Mój tata, Mukesh Devnani – zakładam, że słyszeliście o Mukeshu Devnanim?

– To taki facet, którego szalona córka chce kupić narkotyki przed posterunkiem policji, prawda?

– Zabawne. Bo się zsikam w majtki.

– Miałaś mi opowiedzieć, dlaczego to nie jest długa historia.

– Teraz już nie chcę – oznajmiła naburmuszona.

– Jej ojciec wynajął mojego znajomego prawnika – zaczął Naveen.

– Który potem wynajął tego gościa – wtrąciła szybko – jako mojego ochroniarza na parę tygodni.

– Jesteś w bardzo dobrych rękach.

– Dziękuję – powiedział Naveen.

– Wal się – rzuciła ona.

– Było mi miło – zakończyłem. – Na razie, Naveen.

– A to wszystko dlatego, że poznałam tego początkującego gwiazdorka z Bollywood – podjęła Divya, nie zwracając na mnie uwagi. – To nawet nie jest prawdziwy gwiazdor. Dopiero zaczyna! I ten jebany gnojek zaczął mnie szantażować, kiedy nie chciałam się z nim spotykać. Uwierzysz?

– Ten świat to dżungla – oświadczyłem z uśmiechem.

– Mnie to mówisz? No więc, masz ten hasz czy nie?

– Ja mam! – wtrącił szybko Farzad. – Możesz na to liczyć!

Wszyscy odwróciliśmy się do niego w osłupieniu.

A on sięgnął za pazuchę, gmerał w niej przez chwilę, by wyciągnąć rękę z dziesięciogramową kostką kaszmirskiego haszyszu, zapakowaną w przezroczystą folię.

– Proszę – powiedział, podając ją Divyi. – To dla ciebie. Proszę, przyjmij to jako… eee… prezent czy coś.

Divya patrzyła na niego ze zgrozą.

– Czy ty to wyjąłeś z… z majtek? – spytała, lekko się krztusząc.

– E… no tak… ale… zmieniałem je zaledwie wczoraj! Możesz na to liczyć!

– Kto to, kurwa, jest? – poinformowała się Divya.

– Jest ze mną – oznajmiłem.

– Przepraszam! – Farzad cofnął rękę. – Nie chciałem…

– Stój! Co robisz?

– No… bo myślałem…

– Rozwiń tę folię – zażądała. – A potem nie dotykaj haszu. Niech leży na folii. Nie dotykaj go palcami. I nie dotykaj mnie. Nawet nie myśl o tym, że mógłbyś mnie dotknąć. Wierz mi, poznam, jeśli będziesz myśleć. Umysły takie jak twój są dla mnie niczym zabawka. Dla każdej kobiety. Więc nie myśl o mnie. I dawaj w końcu ten pierdolony hasz! Ale z ciebie chudh.

Farzad drżącymi palcami zaczął rozwijać kostkę haszyszu. Zerknął na drobną gwiazdę z wyższych sfer.

– Myślisz! – rzuciła ostrzegawczo Divya.

– Nie! Nie myślę!

– Jesteś obrzydliwy.

Farzad w końcu uporał się z folią i położył kostkę haszu na dłoni. Divya wzięła ją w dwa palce, odłamała kawałeczek, a resztę wrzuciła w rozdziawiony srebrny rybi pyszczek torebki.

Wyjęła papierosa, wydłubała z jego końca trochę tytoniu i wepchnęła w puste miejsce haszysz. Z papierosem w ustach odwróciła się do Naveena po ogień. Zawahał się.

– Myślisz, że to dobry pomysł?

– Nie pójdę gadać z policjantami, dopóki sobie nie zapalę. Nie gadam nawet z pokojówką z parteru, dopóki pokojówka z piętra nie da mi fajki.

Naveen zapalił jej papierosa. Zaciągnęła się, przez parę chwil trzymała dym w płucach, a potem wydmuchnęła go długim strumieniem. Naveen odwrócił się do mnie.

– Zanim zacząłem dla niej pracować, jej ojciec wniósł skargę na tego początkującego aktora – powiedział. – Aktor się stawiał. Złożyłem mu wizytę. Pogadaliśmy. Zgodził się zniknąć i nie wracać. Teraz musimy wycofać skargę, ale Divya musi to zrobić osobiście. Chcę to załatwić wcześnie, zanim dziennikarze coś

zwąchają i…

– No, kurwa, idziemy czy nie? – warknęła Divya, rozgniatając papierosa stopą.

Naveen uścisnął mi dłoń. Trzymałem ją mocno przez chwilę.

– Ten facet, który chodzi za Zodiakalnymi George'ami – powiedziałem. – Nazywa się Wilson. Mieszka w…

– Hotelu Mahesh – dokończył Naveen. – Wiem. Przez to wszystko zapomniałem ci powiedzieć. Wyśledziłem go wczoraj w nocy. A jak ty się dowiedziałeś?

– Przyszedł tu, szukając informacji.

– I znalazł?

– Dilip, oficer dyżurny… znasz go?

– Tak. Dilip Błyskawica. Przeżyliśmy razem to i owo.

– Mówi, że pan Wilson nie chciał płacić, więc wyleciał na bruk.

– Wierzysz mu?

– Przeważnie nie.

– Chcesz, żebym spotkał się z tym Wilsonem?

– Jeszcze nie. Nie beze mnie. Sprawdź go. Dowiedz się o nim, ile możesz. I daj mi znać, dobra?

– *Thik* – powiedział z uśmiechem Naveen. – Zajmę się tym i…

– W całym moim jebanym *życiu* – przerwała nam Divya gniewnie – nie stałam tak kurewsko *długo*, na *nogach*, na miłość boską, w tym samym jebanym miejscu, na miłość boską! Jak ci się wydaje, możemy w *końcu* iść?

Naveen rzucił nam pożegnalny uśmiech i poprowadził biedną bogatą dziewczynkę przez łukowate wejście.

– Farzad! – zawołał za nią Farzad. – Mam na imię Farzad!

Kiedy stracił ją z oczu, odwrócił się do mnie, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– A niech mnie wszyscy diabli, *yaar*! Co za piękna dziewczyna! I jaki miły charakter! Niektóre z tych supermegabogatych dziewczyn potrafią być strasznie zarozumiałe i w ogóle, tak słyszałem. Ale ona jest taka naturalna i…

– Przestaniesz w końcu?

Farzad otworzył usta, żeby zaprotestować, ale na widok mojej miny słowa zamarły mu na ustach.

– Przepraszam – powiedział pokornie. – Ale… widziałeś kolor jej oczu? O mój

Boże! Jak kawałki czegoś świecącego, no wiesz, zanurzone w czymś… no, pełnym tego, no… czegoś bardzo fajnego, jakby w wiadrze… śliczności… i miodu…

– Farzad, ja cif bardzo proszę. Jeszcze nie jadłem śniadania.

– Przepraszam. Hej, to jest to! Chodźmy na śniadanie! Możesz mnie odwiedzić? Możesz pojechać do mojego domu? Obiecałeś, że przyjdziesz w tym tygodniu!

– Nie da rady.

– Proszę cię, chodź! Muszę zobaczyć się z rodzicami, wziąć kąpiel i przebrać się, zanim pójdę do pracy. Chodź ze mną. Niektórzy jeszcze jedzą śniadanie i będą zachwyceni, że cię poznają. Zwłaszcza że uratowałeś mi życie i wszystko.

– Nie uratowałem ci…

– Proszę, *baba!* Zaufaj mi, uwierz mi, oni czekają, żeby cię poznać, i to bardzo ważne, że przyjdziesz, a w moim domu będzie cholernie interesująco!

– Słuchaj, ja…

– Proszę! Proszę, Lin!

Cztery motocykle zaparkowały gwałtownie obok nas. Byli to ludzie z firmy Sanjaya. Dowodził nimi Rawi, młody żołnierz z grupy Abdullaha.

– Cześć, Lin – powiedział z oczami ukrytymi za srebrnymi lustrzankami. – Słyszeliśmy, że Skorpiony jedzą śniadanie w naszej knajpie w Forcie. Jedziemy skopać im dupy. Chcesz się dołączyć?

Zerknąłem na Farzada.

– Już jestem umówiony na śniadanie.

– Serio? – spytał Farzad z niedowierzaniem.

– Dobra. – Rawi wrzucił bieg. – Przywiozę ci upominek.

– Nie, dziękuję – rzuciłem, ale już odjechał.

Fort znajdował się zaledwie pół godziny spaceru od miejsca, w którym się znajdowaliśmy, i mniej więcej tyle samo od posiadłości Sanjaya. Jeśli Skorpiony prowokowały bójkę tak blisko domu, to wojna, której Sanjay usiłował uniknąć, już pukała do jego drzwi.

– Myślisz, że pewnego dnia zabiorą mnie ze sobą? – spytał Farzad, patrząc, jak cztery motocykle znikają wśród innych pojazdów. – To by było super, skopać komuś tyłek razem z nimi.

Spojrzałem na niego. Zaledwie wczoraj skopano go do nieprzytomności, a już dziś myślał o tym, żeby kopać kogoś innego. Nie było to okrucieństwo ani bezmyślność; to

chłopie ca brawura podpowiadała mu takie historie o braterstwie i krwi. Farzad nie był gangsterem. Po paru godzinach w areszcie znajdował się na skraju załamania. Był grzecznym chłopcem, który znalazł się w grzesznej firmie.

– Jeśli kiedykolwiek z nimi pojedziesz, a ja się o tym dowiem, osobiście skopię ci tyłek – oznajmiłem.

Zastanowił się nad tym przez chwilę.

– Ale przyjdziesz na śniadanie?

– Możesz na to liczyć – mruknąłem, obejmując go i prowadząc do mojego motocykla.

# 15

Bombaj – nawet ten dzisiejszy – jest miastem słów. Wszyscy mówią, wszędzie, bez przerwy. Kierowcy pytają innych kierowców o drogę, obcy rozmawiają z obcymi, policjanci gadają z przestępcami, lewica z prawicą, a jeśli chcesz, żeby dostarczono twój list lub paczkę, musisz załączyć parę słów o punktach orientacyjnych: naprzeciwko Heera Panna albo koło Miedzianego Komina. A słowa w Bombaju, nawet małe słowa, jak „proszę”, „proszę, przyjdź”, nadal prowadzą ku przygodzie jak wydęte żagle.

Farzad jechał na tylnym siodełku przez całą krótką drogę do Kolaba Back Bay koło Cuffe Parade, wskazując mi swoje ulubione miejsca. Dzieciak lubił gadać i zdążył zacząć trzy opowieści, zainspirowane okolicami, które mijaliśmy, choć żadnej nie skończył.

Gdy zaparkowaliśmy, przyjrzałem się domowi jego rodziców. Ogromny budynek, mający co najmniej dwa piętra, ze ścianą szczytową w kształcie trójkąta, i imponujący, potrójny fronton. Stał w pobliżu dwóch innych domów, tworząc mały, wewnętrzny blok pomiędzy ulicami.

Dwór Daruwallów, podobnie jak domy po obu jego stronach, miał fasadę uwielbianą przez nas, miłośników południowego Bombaju – architektoniczne detale odziedziczone po Indiach Brytyjskich, wyrzeźbione w miejscowym granicie i piaskowcu przez hinduskich artystów.

W oknach pyszniły się witraże, dekoracyjne kamienne łuki i służące jako kraty ozdobne spirale z wdzięcznymi liśćmi winorośli z kutego żelaza. Kwitnący żywopłot zapewniał ochronę przed wścibskimi oczami i porannym słońcem.

Szerokie, drewniane drzwi, strzeżone przez kolumny z Radżastanu i ozdobione misternymi geometrycznymi płaskorzeźbami otworzyły się bezgłośnie, gdy Farzad przekręcił w nich klucz i zaprosił mnie do środka.

Wysoki, marmurowy hol ozdabiały girlandy kwiatów wspinających się z doniczek w alkowach w ścianach. W powietrzu rozchodził się zapach sandałowego kadzidła. Dokładnie nad naszymi głowami, naprzeciwko drzwi, wisiały sięgające sufitu zasłony z czerwonego aksamitu.

– Gotowy? – spytał teatralnie Farzad z rękami na obu częściach zasłon.

– Mam broń – odparłem z uśmiechem – jeśli o to ci chodzi.

Farzad odchylił jedną część materiału, wpuszczając mnie do środka. Poprowadził mnie ciemnym korytarzem do rozsuwanych drzwi. Otworzył je, a ja przez nie przeszedłem.

Ogromna przestrzeń za korytarzem była tak wysoka, że ledwie dostrzegałem detale oświetlonych słońcem górnych rejonów, i tak szeroka, że najwyraźniej sięgała daleko poza dom Farzada.

Na parterze stały dwa długie stoły, każdy z piętnastoma nakryciami. Siedziało przy nich kilka osób, mężczyzn, kobiet i dzieci.

Po ich lewej i prawej stronie znajdowało się coś, co wyglądało na dwie w pełni wyposażone otwarte kuchnie. Drzwi za nimi prowadziły do innych zamkniętych pokoi.

Mój wzrok powędrował ku wyższym kondygnacjom. Drabiny wiodły do znajdujących się na wysokości człowieka drewnianych krużganków, z których inne drabiny prowadziły do podtrzymywanych przez bambusowe rusztowanie krużganków na wyższym poziomie. Tu i ówdzie stali na nich mężczyźni i kobiety, z niezmąconym spokojem odrapując ściany.

Przez szczelinę w monsunowej chmurze przedarło się słoneczne światło, które wpadło przez wysokie okna w wieżyczkach. Cała przestrzeń nagle wypełniła się świetlistością żółtego topazu. Wyglądała jak katedra, lecz bez podszycia strachu.

– Farzad! – zawołała jakaś kobieta i wszystkie głowy się odwróciły.

– Cześć, mamo! – powiedział Farzad z ręką na moim ramieniu.

– Cześć, mamo? – wrzasnęła ona. – Wezmę to twoje: „Cześć, mamo” i zbiję cię nim na kwaśne jabłko. Gdzieś ty się podziewał?

Wszyscy podeszli do nas.

– Przyprowadziłem Lina – rzucił szybko Farzad, jakby miał nadzieję, że dzięki temu mu się upiecze.

– Farzad! Mój synu! – załkała kobieta, chwytając go w miażdżący uścisk.

I równie niespodziewanie odepchnęła go i uderzyła w twarz.

– Au! Mamo! – zaprotestował Farzad, rozcierając policzek.

Matka Farzada miała pięćdziesiąt parę lat. Była niska i zgrabna, ze schludną, chłopięcą fryzurą, która pasowała do jej miękkich rysów. Na pasiastej sukience miała kwiecisty fartuch, a na szyi – sznurek dobrze dobranych pereł.

– Coś ty wyczyniał, niegodziwcze? – krzyknęła. – Pracujesz teraz dla szpitali? Napędzasz im pacjentów, przyprawiając nas wszystkich o to *takie*?

– Zawał serca – pomógł jej siwowłosy mężczyzna, zapewne jej mąż.

– Tak, o to takie!

– Mamo, to nie moja…

– Więc to ty jesteś Lin! – przerwała mu, przyglądając mi się. – Wujek Keki, oby jego duch lśnił w naszych oczach, wiele o tobie mówił. Wspominał o mnie? O Anahicie? Swojej siostrzenicy? Mamie Farzada? Żonie Arszana? Powiedział, że lubisz rozmawiać o filozofii. Powiedz, co sądzisz o wolnej woli i determinizmie?

– Mamo, daj chłopcu odetchnąć – odezwał się ojciec Farzada, ściskając mi rękę. – Jestem Arszan. Bardzo miło mi cię poznać.

Odwrócił się do Farzada, przeszywając go surowym, choć kochającym spojrzeniem.

– A co do ciebie, młodzieńcze…

– Tato, mogę to wyjaśnić! Otóż…

– Otóż możesz wyjaśniać mojej ręce na twoim tyłku! – warknęła Anahita. – Możesz wyjaśnić, dlaczego martwiliśmy się tak bardzo, że oka nie zmrużyliśmy przez całą noc? Możesz wyjaśnić, dlaczego twój biedny ojciec jeździł po ulicach do drugiej nad ranem, szukając ciebie, bo może przejechała cię cysterna z wodą, zostawiając w rowie twoje zmiażdżone na marmoladę ciało?

– Mamo…

– Wiesz, ile rowów jest w tej okolicy? To kopalnia rowów! A twój ojciec sprawdził każdy, szukając twojego marmoladowego trupa. I jeszcze masz czelność stanąć tutaj przed nami bez jednego draśnięcia na swojej żałosnej skórze?

– Mógłbyś chociaż utykać – dodał jakiś młody mężczyzna, ściskając rękę Farzadowi. – Albo być trochę zdeformowany, na?

– To mój przyjaciel Ali – wyjaśnił Farzad, rzucając proszący uśmiech chłopcu podobnego wzrostu i wagi co on i prawdopodobnie w tym samym wieku.

– *Salaam aleikum* – powiedziałem.

– *Wa aleikum salaam,* Lin – odwzajemnił się Ali, ściskając mi rękę. – Witaj w fabryce snów.

– Lin wyciągnął mnie dziś z więzienia – obwieścił Farzad.

– Z więzienia! – wrzasnęła Anahita. – Już byś lepiej wylądował w tym rowie, z twoim biednym ojcem.

– No, ale jest już w domu, mamo – powiedział Arszan, łagodnie popychając nas ku stołom po lewej stronie wielkiego pomieszczenia. – I pewnie obaj są bardzo głodni.

– Umieramy z głodu, tato! – potwierdził Farzad, siadając przy stole.

– O, nie! – zawołała jakaś kobieta, szarpiąc go za rękaw. Miała na sobie kolorowy salwar kamiz z bladozielonymi, zwężającymi się ku kostkom spodniami i powiewną żółto-pomarańczową tuniką. – Nie z tymi łapami, na których roi się od więziennych zarazków! Kto wie, jakimi chorobami nas w tej chwili zarażasz. Umyj ręce!

– Słyszałeś! – poparła ją Anahita. – Umyj ręce! Ty też, Lin. Mógł cię zarazić tymi więziennymi zarazkami.

– Tak jest.

– Muszę cię uprzedzić – dodała – że skłaniam się ku determinizmowi i jestem gotowa do walki, jeśli opowiadasz się za wolną wolą.

– Tak jest.

– I nie oszczędzam przeciwnika, gdy idzie o filozofię.

– Tak jest.

Umyliśmy ręce nad zlewem w otwartej kuchni, a potem usiedliśmy przy długim stole po lewej stronie wielkiego pomieszczenia. Kobieta ubrana w salwar kamiz natychmiast podała nam miski z mięsem w wonnym sosie.

– Zjedzcie sobie baraninki, chłopcy – powiedziała, wykorzystując okazję, by uszczypnąć Farzada w policzek. – Jesteś niegrzeczny, bardzo niegrzeczny!

– Nawet nie wiesz, co zrobiłem! – obraził się Farzad.

– Nie muszę nic wiedzieć – odparta kobieta, wykręcając jego policzek w kolejnym morderczym uszczypnięciu. – Zawsze byłeś niegrzeczny, bez względu na to, co wyprawiałeś. Nawet kiedy robiłeś coś dobrego, też byłeś niegrzeczny, bardzo niegrzeczny, prawda?

– I bezczelny – dodałem.

– O, o jego bezczelności mogłabym długo mówić! – zgodziła się Anahita.

– Dzięki, Lin – wymamrotał Farzad.

– Nie ma sprawy.

Kobieta w tunice zafundowała Farzadowi kolejny siniak na policzku.

– Bezczelny, bardzo bezczelny chłopiec!

– To cioteczka Zahira – wyjaśnił Farzad, rozcierając twarz. – Mama Alego.

– Jeśli masz ochotę na coś całkiem wegetariańskiego – odezwała się wesoło inna

kobieta w jasnobłękitnym sari – to możesz spróbować tych daal roti. Są świeże. Dopiero co zrobione.

Postawiła na stole dwie małe czarki szafranowego daalu i rozwinęła serwetkę ze świeżo usmażonymi roti.

– Jedz! Jedz! – rozkazała. – Nie wstydź się.

– To cioteczka Dżaja – powiadomił mnie scenicznym szeptem Farzad. – Prowadzi swego rodzaju zawody z cioteczką Zahirą o to, która lepiej gotuje. Moja mama się w to nie miesza. Postarajmy się działać dyplomatycznie. Ja wezmę się za baraninę, a ty za daal, dobra?

Przysunęliśmy bliżej talerze i zaczęliśmy jeść. Wszystko było pyszne i pałaszowałem, aż mi się uszy trzęsły. Obie kobiety wymieniły znaczące spojrzenia, zadowolone z efektu. Usiadły obok nas.

Do długiego stołu dosiadło się kilka dorosłych osób i dzieci. Niektórzy wyłonili się z parterowych mieszkań, inni zeszli z krużganków, by stanąć obok nas lub usiąść nieco dalej.

Gdy Farzad łapczywie pożerał baraninę w sosie masala, Anahita zbliżyła się do niego od tyłu i uderzyła go w potylicę tak szybko i niespodziewanie, że nie powstydziłby się tego nawet Dilip Błyskawica. Dzieci zachichotały.

– Au! Mamo! A to za co?

– Powinieneś jeść kamienie! – krzyknęła, machając dłonią. – Kamienie z tych rowów, w których szukał cię twój biedny ojciec, a nie smaczne baranie kąski!

– Daal też jest smaczny, prawda? – spytała mnie cioteczka Dżaja.

– O, tak – zapewniłem ją bez namysłu.

– Twój biedny ojciec całą noc błąkał się po tych cholernych rowach!

– Dość już o tych rowach, mamusiu – powiedział łagodnie ojciec Farzada. – Niech chłopiec powie nam, co się wydarzyło.

– Byłem zeszłej nocy w Drum Beat – zaczął Farzad.

– Tak? Jaką grali muzykę? – spytała ładna, może siedemnastoletnia dziewczyna.

Siedziała nieco dalej i pochyliła się, by spotkać spojrzenie Farzada.

– To kuzynka Karina, córka cioteczki Dżai – powiedział Farzad, nie patrząc na nią. – Karino, to Lin.

– Cześć – powiedziała, uśmiechając się nieśmiało.

– Cześć – odpowiedziałem.

Opróżniłem miseczkę warzyw i delikatnie ją odsunąłem.

Cioteczka Zahira natychmiast postawiła przede mną miskę baraniny tak blisko krawędzi blatu, że prawie strąciła mi ją na kolana. Przytrzymałem miskę rękami.

– Dziękuję.

– Dobra baranina – wyjawiła cioteczka Zahira. – Dobra na gniew i takie tam.

– Gniew. Tak. Dziękuję.

– Więc byłeś wczoraj w nocnym klubie – powiedział Arszan cicho – przed którym ostrzegałem cię wiele razy, synu.

– Ostrzegałeś? – rzuciła Anahita, dając mu kuksańca w potylicę.

– Au! Mamo, przestań wreszcie, *yaar!*

– Twoje ostrzeżenia są dla niego przysmakiem! Pałaszuje je jak słodycze. Mniam, mniam, mniam! Mówiłam ci, że na tego chłopca działa tylko warunkowanie instrumentalne, ale ty przecież świata nie widzisz poza Steinerem. Wczoraj twój mąż nieźle się wysteinerował, nie powiesz?

– Nie sądzę, żeby należało obwiniać szkołę steinerowską – wtrąciła Dżaja.

– To prawda – zgodziła się Zahira. – Metodologia jest dość sensowna, na? Mój Sulejman powiedział wczoraj…

– A kiedy byłeś w tym nocnym klubie… – podjął cierpliwie Arszan.

– No więc – powiedział Farzad, nerwowo zerkając na rękę matki – była ta impreza i wszystko, a my…

– Były jakieś nowe tańce? – spytała Karina. – Grali muzykę z tego nowego filmu z Mithunem?

– Mogę ci zdobyć tę muzykę po południu – rzucił Ali od niechcenia, odłamując kawałek chleba Farzada i odgryzając kęs. – I w ogóle co tylko chcesz. Nawet ścieżkę dźwiękową z filmów, które jeszcze nie weszły do kin.

– Ooo! – westchnęła dziewczyna.

– A kiedy byłeś w klubie… – nie odpuszczał Arszan.

– A kiedy byłeś w tym steinerowskim nocnym klubie – przerwała Anahita, unosząc rękę – wolny jak ptak, twój ojciec siedział w rowie!

– Nie – powiedział Arszan ze zrozumieniem. – Jestem pewien, że rowy miały miejsce później, skarbie. Więc, co takiego wydarzyło się w klubie, że wylądowałeś w więzieniu?

– No… tak do końca to nie wiem – wyznał Farzad, marszcząc brwi. – Za dużo

wypiłem. To przyznaję bez oporów. No i kiedy przyszli policjanci, żeby zamknąć klub, doszło do awantury. No i ani się obejrzałem, a już leżałem na podłodze. Chyba upadłem. A potem ten policjant kopnął mnie w potylicę, dokładnie tam, gdzie ty mnie ciągle bijesz, mamo, no i zemdlałem. Ocknąłem się w policyjnym jeepie, a oni wsadzili mnie do celi, nie pozwalając mi zadzwonić ani nie przepraszając. Ktoś zadzwonił do firmy, a oni zadzwonili do Lina, a Lin przyjechał i mnie wyciągnął. Uratował mi skórę. To pewne.

– I to wszystko? – spytała matka Farzada z pogardą. – To cała twoja wielka przygoda?

– Nie powiedziałem, że to wielka przygoda! – zaprotestował Farzad, ale jego matka już odeszła do kuchni.

– Dziękuję, że przywiozłeś nam naszego syna – powiedział Arszan, kładąc mi na chwilę rękę na ramieniu, po czym znowu zwrócił się do Farzada. – Czy dobrze zrozumiałem? Policjant kopnął cię w głowę, kiedy leżałeś na ziemi. Kopnął cię tak mocno, że straciłeś przytomność?

– Tak, tato. Nic nie zrobiłem. Byłem zbyt pijany, żeby coś zrobić. Tylko leżałem tam, gdzie upadłem.

– Znasz nazwisko tego policjanta?

– Nazywają go Dilip Błyskawica. To oficer dyżurny w więzieniu w Kolabie. A co?

– Mój tata oszaleje! – odezwał się Ali. – Odbierze odznakę temu Dilipowi Błyskawicy. Ściągnie mu na głowę cały wydział prawa.

– A mój tata doda całą organizację lekarzy – dodała Karina z zaciętością. – Wyrzucimy tego policjanta z pracy.

– Zdecydowanie! – zgodziła się Dżaja. – Zaczynajmy!

– Czy mogę coś powiedzieć?

Wszystko spojrzeli na mnie.

– Dobrze znam tego Dilipa Błyskawicę. Nie zapomni łatwo urazy. On nawet nie przyjmuje łatwo łapówek.

Zrobiłem pauzę, czując, że skupiłem ich uwagę.

– Mów – poprosił cicho Arszan.

– Nie możecie go wyrzucić z pracy. Możecie mu na jakiś czas bardzo uprzykrzyć życie i spowodować, że zostanie gdzieś przeniesiony, ale pracy nie straci. Za dużo wie o zbyt wielu ludziach. Nie twierdzę, że na to nie zasługuje, ale jeśli dacie się mu we

znaki, on wcześniej czy później wróci. A kiedy wróci, znowu zakłóci wasze szczęście. Może na zawsze.

– Twierdzisz, że nie powinniśmy nic z tym robić? – spytał Ali.

– Twierdzę, że jeśli z nim zadrzecie, musicie być gotowi na wojnę. Nie lekceważcie go.

– Zgadzam się – powiedział Arszan cicho.

– Co? – rzucili razem Ali i Dżaja.

– Farzad miał szczęście. Lin dobrze mówi. Mogło być o wiele gorzej. A w tej chwili nie potrzebujemy psychopatycznego policjanta na karku.

– I tak warunkowanie instrumentalne dostaje kolejne manto – odezwała się Anahita, wracając z kuchni. – Co wy, steinerowcy, macie z tym uciekaniem?

– Nie chodź więcej do tego nocnego klubu – zwrócił się do syna Arszan, ignorując żonę. – Słyszysz? Zakazuję ci.

– Tak, tato – powiedział Farzad, zwieszając głowę.

– Dobrze. – Arszan wstał i zaczął zbierać talerze. – Skończyłeś?

Razem z Anahitą zanieśli naczynia do kuchni i wrócili z dwiema nowymi miseczkami i dwiema butelkami napoju.

– Smaczny krem – powiedział Anahita, stawiając przed nami miseczki. – Na podniesienie poziomu cukru we krwi.

– I malinowa lemoniada – dodał Arszan, umieszczając szkarłatne butelki koło miseczek. – Prawie wszystkie problemy tego świata po malinowej lemoniadzie wyglądają bardziej różowo. Pijcie!

– Podoba mi się wystrój waszego domu – zauważyłem. – Kto wam go zaprojektował? Harlan Ellison?

Farzad odwrócił się do ojca.

– On mi uratował życie, tato. Rodziny przeprowadziły głosowanie. Chyba już czas. Jak sądzisz?

– Chyba tak – mruknął Arszan, spoglądając na escherowską sieć drabin, ręcznie robionych schodków i krużganków, wznoszących się wokół niego w wielkim pomieszczeniu.

– Czy to pozwolenie? – spytał Farzad.

Arszan oparł nogę o ławę, na której siedzieliśmy, i spojrzał mi w twarz.

– Jak sądzisz, co tu robimy? – spytał.

– Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że czegoś szukacie.

– Dokładnie – przyznał Arszan z uśmiechem, odsłaniającym rząd małych, idealnie białych zębów. – Rozumiem, dlaczego wujek Keki cię lubił. Dokładnie to robimy. Wszystko, co tu widzisz, jest jednym wielkim polowaniem na skarby. Na bardzo cenną skrzynię ze skarbem.

– Takim… pirackim?

– W pewnym sensie. Ale to skarb kupca – mniejszy i o wiele cenniejszy.

– Na pewno… przy tylu przeróbkach wnętrza…

– Idź po listę – zwrócił się Arszan do syna.

Po jego odejściu zaczął wyjaśniać.

– Mój pradziadek odniósł wielki sukces. Zgromadził znaczną fortunę. Nawet gdy zgodnie z parsyjską tradycją przelał znaczną część pieniędzy na organizacje charytatywne i projekty publiczne, jego majątek był nadal porównywalny z majątkami wszelkich przemysłowców czy kupców jego czasów.

Farzad wrócił i usiadł obok mnie na długiej ławie. Podał ojcu złożony pergamin. Arszan trzymał na dokumencie dłoń, dopóki nie skończył wyjaśniać.

– Gdy Anglicy zobaczyli przed sobą widmo klęski i zrozumieli, że ich panowanie zbliża się do końca, zaczęli wyjeżdżać z Bombaju, niektórzy w wielkim pośpiechu. Wielu najbardziej zamożnych angielskich biznesmenów obawiało się, że po odzyskaniu niepodległości przez Indie padną ofiarą przemocy. Te ostatnie tygodnie i dni były wypełnione szaleństwem i paniką.

– A twój pradziadek znalazł się w odpowiednim czasie o odpowiedniej porze.

– Wszyscy wiedzieli, że mój pradziadek ma góry pieniędzy, których nie trzyma na koncie w banku – oznajmił Farzad.

– Pieniędzy, które nigdy nie zostały odpowiednio zaksięgowane – dodał Arszan.

– I za te pieniądze kupował różne rzeczy od wyjeżdżających Anglików – domyśliłem się.

– Dokładnie. Bojąc się, że indyjskie władze mogłyby dojść do wniosku, iż ukradli czy zrabowali klejnot – a kto wie, może wielu z nich właśnie tak weszło w ich posiadanie – Anglicy sprzedawali swoją biżuterię za gotówkę. Mój pradziadek kupił bardzo wiele tych drogocenności w ostatnich miesiącach przed nastaniem niepodległości i ukrył je…

– Gdzieś w tym domu – dokończyłem.

Arszan westchnął i powiódł spojrzeniem po krużgankach i przejściach, które otaczały siecią pomieszczenie.

– Ale nie została żadna wskazówka, gdzie szukać skarbu?

– Ani jedno słówko. – Arszan otworzył pergaminowy list, trzymając go między nami. – Dokument, który znaleźliśmy w starej książce, bardzo szczegółowo odnotowuje liczbę i rodzaj klejnotów, a także fakt, że są gdzieś ukryte, włącznie z opisem skrzyni, w której są schowane, ale nie zdradza, gdzie dokładnie się ona znajduje. Mój pradziadek był właścicielem wszystkich trzech domów z tej dzielnicy i w swoich czasach mieszkał i pracował w nich wszystkich.

– Więc zaczęliście szukać.

– Przeszukaliśmy pokoje i wszystkie meble. Przewróciliśmy wszystko do góry nogami, szukając tajnych szuflad. Potem zaczęliśmy ostukiwać ściany, szukając skrytek lub ukrytych drzwiczek czy czegoś w tym rodzaju. Gdy niczego nie znaleźliśmy, zrozumieliśmy, że musimy zacząć burzyć ściany.

– Zaczęliśmy tutaj, od ścian działowych naszego domu – podjęła Anahita, gdy Karina postawiła przede mną porcelanową filiżankę czaju. – Ale potem, gdy zabraliśmy się do *tego tam*…

– Wspólnej ściany – pomógł jej Arszan.

– Tak, gdy zaczęliśmy burzyć *to tam*, w domu sąsiadów, Khanów, zaczęło spadać mnóstwo rzeczy.

– Na przykład mój ulubiony podświetlany zegar – odezwał się ponuro Zahira. – Z wodospadem, więc wyglądał, jakby nieustannie spływała w nim woda. Cały zegar upadł i rozbił się na milion kawałków. Od tej pory nie znalazłam drugiego takiego.

– A gdy w ich domu zaczęły się przewracać przedmioty, Khanowie przyszli i spytali, co robimy.

– Wtedy wkroczył mój tata – odezwał się przyjaciel Farzada, Ali.

– Dosłownie – dorzucił Farzad z uśmiechem.

– Nasze rodziny zawsze były ze sobą blisko – oznajmił Ali. – Wujek Arszan i cioteczka Anahita postanowili wyjawić mojemu tacie, co robią, i zaprosili go do poszukiwań skarbu.

– Uznaliśmy, że mój pradziadek mógł ukryć skrzynię z klejnotami we wspólnej ścianie – dodał Arszan. – Za jego czasów te domy ciągle przebudowywano i przerabiano, a nie mogliśmy sprawdzić, co znajduje się w ścianach, pomijając Khanów.

– Tego wieczoru mój Sulejman wrócił do domu po wizycie u nich – podjęła cioteczka Zahira – i zwołał rodzinne zebranie. Powiedział nam o skarbie i zaprosił do poszukiwań, choć mogło to wymagać zburzenia ściany między naszymi domami. Wszyscy mówiliśmy jednocześnie, jak wariaci!

– Było super – dodał Ali.

– I kłóciliśmy się – powiedziała Zahira. – Ale po wielu szczerych rozmowach postanowiliśmy dołączyć do poszukiwań i już następnego dnia zaczęliśmy burzyć ścianę.

– Ale nie było w niej skarbu – oznajmiła ładna dziewczyna, Karina. – I nadal go nie znaleźliśmy. W ten sposób w tym *mela* pojawił się mój tata.

– Arszan i Anahita zaprosili nas na rozmowę – wyjaśniła Dżaja, uśmiechając się na to wspomnienie. – Kiedy tu przyszliśmy, znaleźliśmy wszystkich Daruwallów i Khanów wśród ruin. Wtedy zaprosili nas do poszukiwań, bo uważali, że skarb może się znajdować w ścianie między naszymi domami, z drugiej strony. A żeby przeszukać górne piętra, potrzebowali naszej zgody. Mój mąż Rahul zgodził się od razu. Dla przygody zrobi wszystko.

– Jeździ na nartach – wyjaśniła Karina. – Po śniegu!

Wszyscy pokręcili głowami ze zgrozą.

– I jesteście całkowicie pewni, że ten skarb tu jest?

– Możesz na to liczyć – zapewnił mnie Farzad. – Kiedy nie znaleźliśmy skarbu i w tamtej ścianie, zaczęliśmy pracować nad sufitami i podłogami stąd aż po dach. On tu jest, a my go znajdziemy.

– To trochę jak dom wariatów, tylko z normalnymi ludźmi – dokończyła Karina.

– Z trzema szczęśliwymi rodzinami, hinduistami, muzułmanami i parsami, żyjącymi pod jednym dachem.

Otaczający mnie ludzie – członkowie trzech rozległych rodzin o trzech wyznaniach – wzruszyli ramionami z uśmiechem.

– Tu nie ma ważnych i mniej ważnych – powiedział cicho Arszan. – Jesteśmy w tym razem. Uznaliśmy, że podzielimy skarb na trzy równe części.

– Jeśli go znajdziecie – zauważyłem.

– Kiedy go znajdziemy – poprawiło mnie parę głosów.

– I od kiedy się to ciągnie?

– Już prawie pięć lat – odpowiedział Farzad. – Zaczęliśmy tuż po znalezieniu

pergaminu. Khanowie dołączyli do nas rok później, a Malhotrowie – pół roku po nich. Poszedłem na uczelnię, potem na Wall Street i wróciłem, a oni ciągle szukali.

– Ale to nie jest nasza jedyna prawdziwa praca – zapewniła Karina Malhotra. – Mój tata jest doktorem. Tata Alego, wujek Sulejman, wykłada prawo na Uniwersytecie Bombajskim. Wujek Arszan jest architektem, dzięki czemu możemy przeprowadzać te renowacje tak, żeby domy nie runęły. A wszyscy ci, którzy nie pracują na pełny etat albo nie siedzą z dziećmi w domu, studiują.

– Poszukiwania skarbu trwają głównie w nocy i święta – dodał Ali. – Albo w dni wolne, jak ten, gdy wszyscy się zwolnili z pracy, bo tak się martwili zniknięciem Farzada na całą noc. Dzięki za wolne, kuzynie.

– Do usług – odparł Farzad z uśmiechem.

– I mamy dwie kuchnie – oznajmiła triumfalnie Anahita. – Wegańską i niewegańską, więc nie ma problemów.

– Rzeczywiście – włączyła się cioteczka Dżaja. – Widzisz, wiele różnic między społecznościami sprowadza się do ghobi i gosht, kalafiorów i kebabów. Mając dwie kuchnie, jemy to, co się nam podoba i wszystko jest tip i to takie…

– Top – dopowiedziała Anahita, i obie uśmiechnęły się do siebie.

– I jesteśmy w tym wszystkim razem, na dobre i na złe – dodał Ali – więc nie mamy powodów się kłócić.

– Chyba że w sprawie filozofii – sprzeciwiła się Anahita.

– Co prawda to bardzo interesujące… – zacząłem, ale Farzad mi przerwał.

– A nie mówiłem, że będzie interesujące?

– Hm… no tak. Ale nadal musimy dotrzeć do tego, po co mi to mówicie.

– Mamy problem – oznajmił Arszan z prostotą, spoglądając mi prosto w oczy. – I liczymy, że nam w nim pomożesz.

– Dobrze. Mówcie.

– Parę tygodni temu przyszedł tu inspektor z rady miejskiej – wyjaśnił Ali – i zobaczył niektóre nasze działania.

– Oczywiście nie wie, co robimy – dopowiedział Farzad. – Zapewniliśmy, że przerabiamy domy na oddzielne mieszkania.

– Co go tu sprowadziło? – spytałem.

– Chyba sąsiad – wyznał Arszan. – Parę miesięcy temu widział, jak dostarczają nam ciężkie stalowe filary. Podpieraliśmy nimi tuki, gdy wyburzaliśmy część ścian.

– Parę lat temu chciał kupić nasz dom – odezwał się Anahita. – Ten drań próbował wszystkich sztuczek świata, żeby nas do tego zmusić. Gdy odmówiliśmy, wściekł się bardziej niż oparzony kot.

– Skrzywdzenie kota przynosi pecha – oznajmiła Zahira, kiwając mądrze głową.

– Nawet w przenośni? – spytała Anahita z przejęciem.

– Mówię tylko, że z kotami trzeba uważać. Pewnie nawet w przenośni.

Cała grupa pokiwała głowami.

Po paru chwilach milczenia znowu się odezwałem.

– No, więc… pomijając koty… czego ode mnie chcecie?

– Pozwolenia na budowę – oznajmił Arszan, przytomniejąc. – Rada miejska oficjalnie wyraziła zgodę – po długich negocjacjach – na przyjęcie łapówki za dalsze prowadzenie… renowacji. Ale inspektor uparł się, żebyśmy zdobyli prawdziwe pozwolenie na budowę albo jego cholernie dobrą kopię.

– Żeby mógł kryć swój tyłek – dodał Ali.

– On nie potrafi go sfałszować i nie może ukraść – podjął Farzad. – Ale jeśli je podrobimy, obiecał, że dochodzenie na tym się zakończy.

– Jeśli ty je podrobisz – poprawił go Arszan.

– Tak, jeśli zdołasz je podrobić, inspektor je podpisze i pozwoli nam prowadzić poszukiwania, jak zawsze. Nie będzie problemu. Możesz na to liczyć.

– Więc o to właśnie chodzi – westchnął Arszan, opierając łokcie na długim stole. – Jeśli nie zdołasz nam pomóc, będziemy musieli przestać. Jeśli zdołasz, będziemy mogli szukać tak długo, aż znajdziemy skarb.

– Sam potrafisz robić bardzo dobre dokumenty – zwróciłem się do Farzada. – Jesteś całkiem niezły. Nie potrzebujesz mnie.

– Dziękuję za komplement – odparł z uśmiechem – ale jest parę problemów. Po pierwsze, nie mam żadnych kontaktów w radzie miejskiej. A po drugie, chłopcy z wytwórni nie przyjmą ode mnie zlecenia i pewnie powiedzą o nim Sanjayowi. Natomiast ty…

– Dlaczego zawsze jestem natomiast?

– Natomiast ty możesz to zrobić dyskretnie albo pozwolić, żebym ja to zrobił, bo jesteś szefem wytwórni. Z twoją pomocą możemy to zrobić i nikt się o tym nie dowie.

– Możecie uznać, że to dziwne pytanie – powiedziałem, wodząc wzrokiem po wpatrzonych we mnie wyczekująco twarzach – ale pewnie byłoby dziwniej, gdybym go

nie zadał. Dlaczego myślicie, że nie powiem Sanjayowi?

– Masz prawo pytać – przyznał Arszan – i mam nadzieję, że się nie obrazisz, kiedy powiem, iż to pytanie nie padło po raz pierwszy. Rzecz w tym, że potrzebujemy twojej pomocy i wierzymy, że możemy ci zaufać. Wujek Keki wyrażał się o tobie w samych superlatywach. Wiele razy powtarzał, że byłeś z Kadirbajem do samego końca i że jesteś człowiekiem honoru.

Słowo „honor” uderzyło mnie w samo serce, zwłaszcza że prosili mnie, żebym zataił coś przed moim szefem. Ale polubiłem ich. Już w tej chwili czułem do nich większą sympatię niż do Sanjaya. A Sanjay i tak był bogaty. Nie potrzebował udziału w ich skarbie – gdyby kiedykolwiek go znaleźli.

– Dostarczę wam dokumenty w tym tygodniu – oznajmiłem. – Powiem Sanjayowi, że to przysługa dla przyjaciela, bo tak jest. Już robiłem zlecenia na boku. Ale chcę, żeby na tym się skończyło. Nie życzę sobie, żeby Sanjay miał do mnie pretensje. Jasne?

Stojący wokół mnie ludzie zaczęli klaskać i wiwatować. Kilkoro podbiegło, żeby poklepać mnie po plecach, objąć lub uścisnąć mi rękę.

– Dziękuję, bardzo dziękuję! – powiedział rozradowany Arszan. – Tak bardzo się martwiliśmy o tę radę miejską. To pierwsza prawdziwa przeszkoda w naszych planach. To… to poszukiwanie skarbu zaczęło nam się podobać i… no… chyba byśmy się zagubili tak samo jak ten skarb, gdyby rada miejska nam to uniemożliwiła.

– I nie spodziewamy się, że zrobisz to za darmo – dodał Farzad. – Powiedz mu, tato!

– Jeśli się zgodzisz, chcemy ci dać jeden procent skarbu – oznajmił Arszan.

– Jeśli go znajdziecie – odparłem z uśmiechem.

– Kiedy go znajdziemy – poprawiło mnie parę głosów.

– No, to może jeszcze troszkę roti? – spytała Dżaja.

– I kurczaczka – zaproponowała Zahira.

– I kanapeczkę z jajkiem i curry – dodała Anahita – z dużą szklanką malinowej lemoniady.

– Nie, nie, dziękuję – odparłem szybko, wstając od stołu. – Jestem najedzony. Może następnym razem.

– Na pewno będzie następny raz – oznajmiła Anahita.

– Jasne, oczywiście.

– Odprowadzę cię – rzucił Farzad, gdy ruszyłem do długiej zasłony, która odgradzała hol od reszty domu. Cała grupa poszła za nami do drzwi.

Gdy w końcu nadszedł koniec pożegnań, chwytania się w objęcia i ściskania dłoni, wyszedłem z Farzadem na ulicę.

Monsunowy deszczyk zwilżył ulice, ale ciężkie chmury przepłynęły i w gorących słonecznych promieniach ze wszystkich lustrzanych powierzchni zaczęła unosić się para.

Nie wiem dlaczego, ale w pierwszej chwili ta ulica wydała mi się dziwna, nieznajoma, jakby ten osobliwy kosmos krużganków i tuneli w gigantycznej czaszy domu Farzada był prawdziwym światem, a lśniąca, parująca ulica – złudzeniem.

– E… miałem nadzieję, że moja mieszana rodzina cię nie wystraszy – wymamrotał Farzad.

– Nie wystraszyła.

– Nie sądzisz, że to… no wiesz… wariactwo, *na?* To, co robimy?

– Każdy czegoś szuka. A z tego, co widzę, jesteście szczęśliwi.

– Tak – zgodził się szybko.

– Trzeba by być wariatem, żeby nie lubić być szczęśliwym.

Młody pars bez namysłu chwycił mnie w swe mocne objęcia.

– Wiesz, Lin – powiedział, kiedy się rozłączyliśmy – właściwie to chciałem cię poprosić o coś jeszcze.

– Coś nowego?

– Tak. Wiesz, jeśli kiedykolwiek dostaniesz numer tej dziewczyny, tej piękności z niesamowitym spojrzeniem, tej Divyi, tej, którą spotkaliśmy dziś przed posterunkiem, to…

– Nie.

– Nie?

– Nie.

– Naprawdę nie?

– Nie.

– Ale…

– Nie – powiedziałem łagodnie, uśmiechając się do jego zdziwienia.

Farzad pokręcił głową, odwrócił się i wszedł do budynku ula, kopca termitów, domu. Skierowałem twarz do słońca i przez jakiś czas stałem na ulicy pachnącej deszczem.

Pieniądze też są narkotykiem – oczywiście – ale nie martwiłem się o złożoną rodzinę

Farzada. Nie byli opętani. Na razie. Oczywiście rozebrali swoje domy, ale zastąpili je wspólną przestrzenią. Postawili swoje życie na głowie, ale to była przygoda, podróż w głąb siebie. Marzenie, którym żyli, miało dla nich sens. Nadal ich bawiło i bardzo ich za to lubiłem. Stałem z twarzą zwróconą ku słońcu, wyglądałem na spokojnego, bardzo spokojnego, a w środku płakałem. Czasem widok tego, co się straciło, widok cudzej miłości, przerasta nasze siły.

Rodzina, dom, skromne słowa, które wznoszą się jak atole podczas trzęsień serca. Strata, samotność, skromne słowa w powodzi samotności. Na wyspie teraźniejszości traciłem lisę, a wszystko to spowodowało jedno imię: Karla. Karla.

Głupotą jest starać się znaleźć miłość, gdy jedyna osoba, którą naprawdę kochamy, przepadła gdzieś w labiryntach miasta. To głupie i desperackie – starać się pokochać kogoś innego. Miłość to nie staranie. Miłość jest natychmiastowa i nieunikniona. Wspomnienie Karli wznieciło we mnie ogień, o którym ciągle przypominało mi moje serce. Byliśmy rozbitkami, Karla i ja, ponieważ oboje nas odrzucono. Lisa i wszyscy piękni ludzie, których kochaliśmy – lub staraliśmy się kochać – byli ochotnikami płynącymi na statkach marzeń do Miasta Wysp. Karla i ja wyczołgaliśmy się na piasek, gdy już sami zatopiliśmy nasze statki.

Byłem zepsuty. Samotny i zepsuty. Może Karla też, na swój sposób.

Obejrzałem się na ten wydrążony dom – osobne wejścia na zewnątrz, wspólne życie w środku. Czy znajdą ten skarb, czy nie, i tak był to cud, ziszczenie modlitw.

Znowu odwróciłem się do słońca po burzy i ruszyłem w świat uchodźców, który był moim domem.

# 16

Odjechałem motocyklem sprzed domu Farzada, kierując się na szeroki, wielopasmowy bulwar, który biegł wzdłuż wybrzeża Miasta Wysp na północ. Ciasno upchane, brzemienne deszczem chmury sunęły nad moją głową, rzucając cień na ulicę. Na widok szerokiej, osłoniętej zatoczki zwolniłem.

Długie drewniane łodzie rybackie, pomalowane na jaskrawy błękit, czerwień i zieleń, wyciągnięto na brzeg, żeby je wyremontować. Skromne chaty rybaków tłoczyły się obok siebie, osłonięte folią przytwierdzoną do dachów z blachy falistej i kawałków cementu.

Między tyczkami rozciągnięto sieci. Mężczyźni naprawiali je, przewlekając szpulki nylonowych nici przez oczka. Dzieci bawiły się w piasku, nie bojąc się nadciągającej burzy, i goniły się między łodziami i pajęczynami sieci.

Od świtu zatoczka pełniła małą, lecz ważną funkcję w miejscowej rybackiej społeczności. Po północy zaczynała pełnić małą, lecz ważną funkcję w miejscowej społeczności przemytników, którzy przywozili tu papierosy, whisky, walutę i narkotyki.

Mijając tę piaszczystą plażę, za każdym razem wypatrywałem na niej znajomych twarzy i oznak nielegalnego handlu. Nie robiłem tego dla siebie; zatoczką rządził Farid Złota Rączka, a dochody i wszystkie możliwości z nią związane należały do niego. Kierowała mną zawodowa ciekawość.

Wszyscy działający na czarnym rynku znaliśmy te miejsca w południowym Bombaju, w których kwitła działalność przestępcza. Wszyscy kontrolowaliśmy je dyskretnie, zawsze gdy je mijaliśmy. „My, kryminaliści, zaczynaliśmy w jaskiniach i ciemnych zaułkach – powiedział kiedyś Didier – i nadal straszliwie za nimi tęsknimy”.

Znowu skierowałem wzrok na szeroki bulwar i zobaczyłem mijających mnie trzech Skorpionów na motocyklach. W środku jechał Danda. W drugim rozpoznałem Hanumana, tego wielkiego faceta, który spuścił mi w magazynie profesjonalne manto.

Zatrzymałem motocykl, wrzuciłem jałowy bieg i przekrzywiłem lusterko wsteczne tak, żeby ich widzieć. Stali na światłach nieco przede mną. Westchnąłem i na chwilę spuściłem głowę.

Nie chciałem z nimi walczyć, ale byłem na swoim terenie i nie zamierzałem ich

doprowadzić do miejsc działalności firmy. Zbyt dumny, żeby uciekać, nie chciałem, żeby ścigali mnie, dopóki nie schronię się w ramionach moich przyjaciół parę ulic dalej.

Wrzuciłem bieg, puściłem sprzęgło, dodałem gazu i ostro zawróciłem. Pomknąłem pod prąd w stronę zbliżających się Skorpionów.

Nie miałem nic do stracenia. Było ich trzech, a gdyby numer z szarżą na nich się nie udał, i tak miałbym kłopoty. Już zdarzało mi się spadać z motocykli i wolałem wypadek od masakry. A mój motor towarzyszył mi we wszystkim, tak jak ja jemu.

Tamci pewnie mieli coś do stracenia – albo mniej lojalne motocykle – bo w ostatniej chwili skręcili.

Dwaj wpadli w spiralny poślizg, usiłując opanować swoje pojazdy. Trzeci wjechał w mur na poboczu.

Zahamowałem ostro, obróciłem się, jedna noga ześliznęła mi się na mokrą jezdnię, oparłem motocykl na stopce i wyłączyłem silnik.

Powalony Skorpion już wstawał z trudem. Był to Danda. No proszę, a ja nie wziąłem płynu po goleniu. Zaatakowałem go lewym i prawym sierpowym, które na nowo powaliły go na ziemię.

Pozostałe Skorpiony zostawiły motory i rzuciły się na mnie. Zrobiło mi się szkoda. Motorów.

Uskakując przed ciosami i zadając je, kiedy tylko mogłem, odpędziłem dwa Skorpiony na pobocze, za ich porzucone motocykle. Mijające nas samochody zwalniały, ale żaden się nie zatrzymał. Danda oprzytomniał i pobiegł do nas. Potknął się o swoich koleżków i wpadł na mnie, chwytając mnie za kamizelkę.

Pośliznąłem się na mokrej drodze i runąłem na wznak. Danda wylądował na mnie, warcząc jak zwierzę. Usiłował mnie ugryźć. Poczułem jego usta na szyi, wilgoć jego języka, tępy nacisk jego głowy, gdy starał się zbliżyć na tyle, żeby wgryźć mi się w gardło. Nadal ściskał moją kamizelkę. Nie mogłem go z siebie strząsnąć. Dwa pozostałe Skorpiony kopały mnie, usiłując nie trafiać w Dandę. Nie zawsze im się udawało; parę razy oberwał i nawet tego nie zauważył.

Nie odniosłem poważnych obrażeń, nikt mnie nawet porządnie nie uderzył. Czułem na plecach ucisk moich dwóch noży. Miałem pewną zasadę: nigdy nie wyciągałem ich, jeśli przeciwnik nie był uzbrojony lub jeśli moje życie nie było zagrożone.

Udało mi się odwrócić, odczepiłem Dandę od mojej kamizelki i szybko wstałem. To był błąd. Hanuman znalazł się za moimi plecami. Zarzucił mi muskularne ramię na

szyję i zaczął dusić.

Danda znowu rzucił się na mnie z wyszczerzonymi zębami. Lubił gryźć. Znałem takiego jednego w więzieniu: w gniewie potrafił odgryźć przeciwnikowi kawałek ciała. Któraś jego ofiara w końcu wybiła mu zęby i wszyscy mogliśmy odetchnąć. Zamierzałem zrobić to samo z Dandą.

Danda naparł na mnie, wsuwając głowę pod ramię Hanumana. Wgryzł mi się w ramię. Nie mogłem mu zadać ciosu, który by go zniechęcił.

Wyciągnąłem rękę, chwyciłem go za ucho i szarpnąłem za nie. Poczułem, że cała małżowina odrywa się od ciała. Gdy przestał gryźć, ja przestałem ciągnąć. Krzyknął i odskoczył, trzymając się za krwawiącą ranę.

Odwróciłem rękę. Usiłowałem ją wcisnąć między ciało moje i Hanumana. Chciałem dosięgnąć swojego noża albo jego jądra – obie opcje mnie zadowalały.

Rzucił się na mnie trzeci Skorpion. Zaczął mnie bić po głowie. Stanął za blisko. Kopnąłem go w jaja. Upadł, jakbym do niego strzelił. Zamknąłem dłoń na rękojeści mojego noża, a ciemność zamknęła rękę na moim gardle. Nóż wysunął się z pochwy. Usiłowałem dźgnąć wielkiego Skorpiona w nogę. Nie trafiłem. Ostrze się ześliznęło. Spróbowałem znowu. I znowu pudło. Potem nóż wbił się w ciało, drasnął zewnętrzną stronę uda Hanumana. Wielki Skorpion drgnął.

To wystarczyło, żebym oprzytomniał. Uderzyłem znowu, przeszywając jego udo. Hanuman odskoczył, wyrywając mi z dłoni nóż.

Dusząca mnie ręka nie osłabła. Pamiętając wyuczone manewry, wbiłem brodę w zgięcie jego łokcia, żeby nieco rozluźnić chwyt. Nie udało się. Zacząłem tracić przytomność.

Wydawało mi się, że słyszę jakiś grzmiący głos, który woła moje imię. Obróciłem głowę, na ile pozwalały mi miażdżące moją krtań nabrzmiałe mięśnie Hanumana. A jednak słyszałem ten głos.

– Odwróć się, chłopaku.

Coś zobaczyłem, pięść spadającą na mnie z nieba. Ależ była ogromna, jak kula ziemska… Ale w chwili, gdy byłem pewny, że roztrzaska mi twarz, uderzyła w coś innego, coś tak bliskiego, że poczułem wibracje ciosu. A potem następnego. I kolejnego.

Ramię zaciskające się na mojej szyi rozluźniło chwyt. Hanuman upadł na kolana, a potem runął twarzą naprzód, jakby jego głowa zmieniła się w ołów.

Przetoczyłem się na bok i wstałem, szybko się otrząsając i odkasłując, z pięściami

osłaniającymi twarz, zdyszany. Odwróciłem się. Concannon stał z założonymi rękami obok powalonego Hanumana. Uśmiechnął się do mnie i ostrzegawczo poruszył głową. Odwróciłem się szybko. Danda – zakrwawione zęby, przekrwione oczy, krwawiące ucho – biegł na mnie. A ja nie miałem płynu po goleniu.

Zamachnął się dziko. Nie trafił. Uderzyłem pięścią w krwawiącą ranę, z której na pasku skóry zwisał strzęp ucha. Danda krzyknął. Nagle lunął deszcz. Potoki wody chlusnęły na nas.

Danda uciekł, trzymając się za ucho; spływający z jego głowy deszcz barwił mu koszulę na czerwono. Odwróciłem się i ujrzałem Concannona, który wymierzał kopniaka uciekającemu Skorpionowi. Mężczyzna wrzasnął i razem z Dandą pobiegł do czekających taksówek.

Deszcz ocucił Hanumana, który jęknął. Dźwignął się na kolana, wstał chwiejnie i uświadomił sobie, że został sam. Zawahał się przez chwilę. Zerknąłem przelotnie na Concannona. Irlandczyk uśmiechał się z zaciśniętymi zębami.

– O, Panie – powiedział cicho. – Spraw, by ten człowiek był zbyt głupi, żeby uciec.

Hanuman pospieszył za swoimi ziomkami, kuśtykając.

Mój nóż leżał na deszczu, nadal krwawiąc na asfalt. Nieco dalej Skorpiony władowały się do taksówki, która ruszyła z piskiem opon. Podniosłem nóż, wytarłem go, zamknąłem i schowałem do pochwy.

– Aleśmy im zajebiście zajebali! – oznajmił Concannon, klepiąc mnie po ramieniu. – Chodźmy się najebać.

Nie chciałem, ale miałem u niego dług wdzięczności.

– Dobrze.

Pod wielkim drzewem nieopodal miejsca, w którym się znajdowaliśmy, działała herbaciarnia. Przetoczyłem motocykl pod gałęzie drzewa. Wytarłem go szmatą pożyczoną od właściciela straganu. Gdy skończyłem, wróciłem na jezdnię.

– A ty, kurwa, dokąd?

– Zaraz wracam.

– Pijemy tu jebaną herbatę jak cywilizowani ludzie, ty australijski barbarzyńco.

– Zaraz wracam.

Opuszczone motocykle Skorpionów nadal leżały w deszczu na poboczu, krwawiąc benzyną i olejem. Podniosłem je, postawiłem na stopkach pod osłoną kamiennego muru i wróciłem do Concannona akurat w chwili, gdy przyniesiono herbatę.

– Twoje szczęście, że się nawinąłem – powiedział, pociągając czaj.

– Radziłem sobie.

– Gówno prawda – rzucił ze śmiechem.

Spojrzałem na niego. Nie było co udawać.

– Gówno prawda – przyznałem i również się roześmiałem. – Naprawdę jesteś popierdolony. Co tu w ogóle robiłeś?

– W okolicy był mój ulubiony sklep z haszem – odparł Concannon, wskazując kciukiem okolice Cuffe Parade. – Ale ktoś wyrzucił jakiegoś gościa z budynku obok i biedak wylądował akurat na sklepie. I na Lśniącym Patelu, właścicielu.

– Nie gadaj.

– Plus tej sytuacji jest taki, że ucierpiał też jeden wyjec, dzięki czemu sporo zaoszczędziłem. Płaciłem mu regularnie. Tylko tak mogłem go skłonić do zamknięcia paszczy. Dlaczego ja o tym mówię?

– Tłumaczyłeś, jak się tu znalazłeś.

– A, myślałeś, że cię śledziłem? Tak? Musisz mieć o sobie niezłe zdanie, chłopaku. Przyjechałem tu z powodu haszu.

– A, no.

Na jakiś czas zapadła cisza, ta dziwna cisza między ludźmi, których myśli biegną w zupełnie odmiennych kierunkach.

– Dlaczego mi pomogłeś?

Concannon spojrzał na mnie z autentycznym bólem, jak mi się wydawało.

– A po chuj jeden biały mężczyzna pomaga drugiemu białemu mężczyźnie w takim pogańskim kraju?

– Znowu zaczynasz.

– Dobra, dobra – rzucił szybko, klepiąc mnie uspokajająco po kolanie. – Wiem, masz miękkie serce. Jesteś z tych współczujących. Na tym polega twój urok. Współczujesz nawet motocyklom, niech Bóg się nad tobą zlituje. Ale nie lubisz, jak gadam szczerze. Nie lubisz, kiedy człowiek mówi, że czarny to czarnuch, a pedał to ciota.

– Chyba to już zakończyliśmy.

– Wysłuchaj mnie, stary. Wiem, że urażam twoją wrażliwość. Rozumiem. Naprawdę. To mi się w tobie nie podoba i tego nie szanuję. Mówię ci to wprost. Nie można szanować dobroci. Nie tak w głębi serca. Chyba rozumiesz. Siedziałeś, byłeś po

drugiej stronie, tak jak ja. Ale zachowałeś współczucie, choć jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż ci się zdaje.

– Concannon…

– Czekaj. Nie skończyłem. Współczucie to dziwna rzecz. Pochodzi z wnętrza. Ludzie je rozpoznają, bo tego nie można podrobić. Wiem. Próbowałem. Nie wyszło. Rzygać mi się chciało, kiedy udawałem. Musiałem wrócić do bycia prawdziwym tępym chujem, żeby znowu się dobrze poczuć. Bo to jest szczerość, nawet jeśli to oznacza, że się jest tępym chujem, a mnie ciągnie do szczerości, nawet jeśli jej nie lubię. Rozumiesz, do czego zmierzam?

– Nie znasz mnie – oznajmiłem, patrząc mu w oczy.

– No i tu się mylisz – odparł z uśmiechem. – Jestem w Bombaju od jakiegoś czasu, wiesz? I parę dni po przyjeździe jakieś mętne typy w palarni opium wymieniły twoje imię. Potem usłyszałem je znowu, dwa razy z rzędu. Początkowo myślałem, że mówią o dwóch różnych kolesiach. Dopiero potem dotarło do mnie, że Lin i Shantaram to ten sam burak. Ty.

– Więc jednak mnie śledziłeś.

– Tego nie powiedziałem. Ale mnie zaintrygowałeś. Zacząłem się o ciebie rozpytywać. Zacząłem poznawać ludzi, których znałeś, i ludzi, z którymi robiłeś interesy. Nawet znam twoją dziewczynę.

– Co?

– Nie powiedziała?

Concannon wyszczerzył zęby. Ten uśmieszek zaczął mnie wkurzać.

– Ciekawe, dlaczego ci nie powiedziała? Może mnie lubi.

– Co to ma, kurwa, znaczyć?

– Nic się nie stało. Poznałem ją w galerii.

Moje uniesienie brwi go sprowokowało.

– No co? Nie mogę się interesować sztuką, bo jestem wielkim irlandzkim pyrojadem? O to chodzi?

– Do rzeczy.

– Nie ma żadnej rzeczy, chłopaku. Poznałem Lisę – tak się nazywa? – w galerii. Porozmawialiśmy i tyle.

– Dlaczego?

– Nawet nie wiedziałem, że to twoja dziewczyna, dopóki jedna z jej koleżanek nie

wymieniła twojego imienia. Wtedy dodałem dwa do dwóch, że tak powiem. Daję słowo.

– Nie zbliżaj się do niej, Concannon.

– Dlaczego? Chyba mnie polubiła. Coś zaiskrzyło. Tak trochę. Ja na pewno polubiłem ją. Pewnego dnia będziesz musiał pozwolić jej odejść – ale to już na pewno wiesz, prawda?

– Dość tego – rzuciłem, wstając.

– Zaczekaj! – poprosił, wstając ze mną i delikatnie kładąc mi rękę na ramieniu. – Proszę. Nie chcę się z tobą kłócić. Nie chciałem… No… Nie chcę cię zdenerwować. Taki mam charakter. Wiem, popierdolony. Ale nie umiem inaczej. Tak jak powiedziałem wcześniej: nawet jeśli ci się to nie podoba, musisz widzieć, że to jest szczere. Taki jestem prawdziwy ja. Naprawdę nie chciałem urazić twoich uczuć. I naprawdę chciałbym porozmawiać.

Nie zmiękłem; usiłowałem odczytać jego spojrzenie. Źrenice miał maleńkie: główki szpilek znikające w fali lodowatego błękitu. Odwróciłem wzrok. Na drodze nieopodal ciężarówka straży miejskiej zatrzymała się przy motocyklach Skorpionów. Wyskoczyli z niej mężczyźni i dźwignęli pojazdy na pakę ciężarówki, rzucając je między inne zgarnięte z nieprzepisowych miejsc.

Concannon poszedł za moim spojrzeniem.

– Gdybym się nie zjawił – powiedział cicho – to twojego trupa wnosiliby teraz do samochodu.

Miał rację. Nie lubiłem go i byłem pewien, że jest obłąkany. Ale pojawił się w idealnym momencie i mnie uratował.

Znowu usiadłem. Concannon zamówił kolejne dwie szklaneczki czaju. Grubymi paluchami zwinnie skręcił małego jointa.

– Zapalisz ze mną?

Wziąłem papierosa i zapaliłem go od zapałki, którą Concannon podsunął mi w stulonych dłoniach. Po jakimś czasie oddałem mu jointa.

– Ponieważ ciągle się tak obrażasz, zrywasz z miejsca i chcesz ze mną walczyć albo gdzieś uciec, przejdę od razu do rzeczy – oznajmił, wydmuchując strumień szarobłękitnego dymu.

– Do jakiej rzeczy?

– Zakładam własny gang i chcę, żebyś do niego dołączył.

Teraz to ja się roześmiałem.

– Co cię tak bawi?

– Na przykład… Ale dlaczego?

– Dlaczego zakładam gang? – spytał, oddając papierosa. – Ze zwykłych powodów. Żebyśmy nakupili sobie broni, narobili rozpierduchy, wystraszyli ludzi tak, żeby oddali nam ciężarówki pełne pieniędzy, żebyśmy mogli wydawać całe ciężarówki pieniędzy i przy okazji umrzeć.

– Przy okazji umrzeć? To ma mnie zachęcić?

W tej samej chwili podszedł do mnie niejaki Dżibril, hodowca koni ze stajni w pobliskim slumsie. Wstałem, żeby się z nim przywitać.

Dżibril był łagodnym człowiekiem, nieśmiałym i trochę speszonym w obecności ludzi, lecz gadatliwym i kochającym swoje konie. Parę tygodni temu jego najstarsza córka dostała gorączki i ciężko zachorowała. Dżibril zadzwonił do mnie i zgodził się, żeby córkę przebadano na obecność najróżniejszych wirusów. Zapłaciłem za badanie w prywatnej klinice. Wyniki wykazały, że córka cierpi na leptospirozę – czasem kończącą się śmiercią chorobę przenoszoną przez szczurzy mocz. Ponieważ została wykryta wcześnie, dziewczynka dobrze reagowała na leczenie.

Dżibril wziął moją rękę w dłonie i zapewnił mnie, że jego córka czuje się o wiele lepiej. Zaprosił mnie na herbatę do swojego domu.

Ja również mu podziękowałem i poprosiłem, by usiadł z nami przy szklaneczce czaju. Odmówił, przepraszając, i odszedł pospiesznie na spotkanie ze sprzedawcą ziarna, który dostarczał mu paszę dla koni.

– Widzisz, o co mi chodzi? – odezwał się Concannon, gdy znowu usiadłem. – Ci ludzie cię lubią. A mnie nie. I nie chcę, żeby mnie lubili. Nie chcę z nimi jeść przy jednym stole. Nienawidzę tego ich żarcia. Nie chcę oglądać ich filmów. Nie chcę mówić ich zasranym językiem. A ty tak. Ty ich rozumiesz. Ty się z nimi porozumiewasz, a oni cię za to szanują. Pomyśl o tym. Będziemy niepokonani. Moglibyśmy przejąć tę część miasta, ty i ja.

– Po co mielibyśmy to zrobić? – spytałem ze śmiechem.

– Bo możemy – rzucił, pochylając się do mnie.

Bo możemy: motto władzy, od kiedy myśl o władzy nad innymi zrodziła się w głowach naszego gatunku.

– To nie powód, to pretekst.

– Rozejrzyj się! Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi wykonuje rozkazy. Ale ty i

ja należymy do tego jednego procenta. Bierzemy to, co chcemy. Reszta bierze to, co jej dają.

– Ludzie się buntują.

– O, tak – przyznał z błyskiem jasnych oczu. – Od czasu do czasu. I wtedy ten jeden procent odbiera im wszystkie przywileje, a przy okazji także dumę i godność, a oni wracają do bycia niewolnikami, którymi się urodzili.

– Wiesz – westchnąłem, odwzajemniając jego spojrzenie. – Nie chodzi tylko o to, że się z tobą nie zgadzam, ale brzydzę się tym, co powiedziałeś.

– W tym tkwi całe piękno tej sytuacji! – zawołał, uderzając się rękami w uda.

Przez chwilę przyglądał się mojemu grymasowi, a potem podjął łagodniej:

– Słuchaj… moja mama umarła, kiedy byłem niemowlęciem. Tata starał się jak umiał, ale nie dał rady. Było nas pięcioro, wszyscy poniżej dziesięciu lat, a on chorował. Wysłał nas do domu dziecka. Byliśmy protestantami. Dziewczynki trafiły do protestanckich sierocińców, ale dla nas, chłopców, nie było miejsca, więc wylądowaliśmy u katolików.

Przez jakiś czas milczał ze spuszczoną głową. Znowu lunął deszcz, bębniąc w plastikową folię nad herbaciarnią jak w weselne bębny. Concannon zaczął powoli grzebać nogą w ziemi. Podeszwa jego sportowego buta rysowała esy-floresy w rozmiękłym podłożu.

– Widzisz, był taki ksiądz.

Podniósł wzrok. Fraktale tęczówek jego lodowato błękitnych oczu zalśniły wokół źrenic jak łebki szpilek. Białka nagle poczerwieniały, jakby spaliły się nad morzem.

– Nie mówię o tym – dodał i znowu zapadł w ciężkie jak ołów milczenie.

Oczy wypełniły mu się łzami. Zacisnął szczękę, przełknął ślinę z wysiłkiem, jakby zmuszał łzy, żeby wyschły. Ale popłynęły mu po policzkach, a on odwrócił głowę.

– Ale z ciebie pizda, wiesz – warknął, wycierając oczy wierzchem dłoni.

– Ze mnie?

– Tak, kurwa, z ciebie! To właśnie robi z ludźmi to twoje miłe, rozsądne podejście. Zmieniasz ich w słabe pizdy. Pierwszy raz od wielu długich lat pozwoliłem sobie na łzy i pierwszy raz, od nie wiem kiedy, mówiłem o tym chuju księdzu. I to… to właśnie dowodzi, że razem jesteśmy dobrzy, nie rozumiesz?

– Właściwie… nie bardzo.

– Wyszedłem z sierocińca, kiedy miałem szesnaście lat. Zanim skończyłem

osiemnaście, zabiłem już sześciu ludzi. Jednym z nich był ten jebany ksiądz. Szkoda, że nie widziałeś, jak błagał o życie, żałosny pojeb.

Concannon znowu zrobił pauzę. Jego wargi zacisnęły się w zmarszczkę goryczy. Miałem nadzieję, że przestanie mówić. Nie przestał.

– Wybaczyłem mu, wiesz, zanim go zabiłem.

– Concannon, ja…

– Wysłuchasz mnie czy nie?

W jego głosie brzmiała desperacja.

– Dobrze.

– Potem już nikomu nie wybaczyłem – zaczął, rozjaśniając się na tę okrutną myśl. – Byłem stuprocentowym ochotnikiem w UVF. I dalej rozbijałem łby, strzelałem katolikom w kolana, wysyłałem schwytane przez nas cipy z IRA w kawałkach do ich żon. Robiłem wiele więcej. Współpracowaliśmy z psami i wojskiem. Oczywiście nieoficjalnie, ale mieliśmy, kurwa, zielone światło. Atakowaliśmy, zabijaliśmy i okaleczaliśmy na rozkaz, żadnych pytań.

– Concannon…

– A potem wszystko się rozpadło. Zrobiło się za gorąco. Mnie. Mówili, że stałem się zbyt agresywny. Przecież była wojna! Jak można być zbyt agresywnym na wojnie? Ale mnie odesłali. Najpierw do Szkocji, potem do Londynu. Było do dupy. Więc ruszyłem w drogę i dotarłem tutaj.

– Słuchaj, Concannon…

– Wiem – rzucił szybko. – Wiem, co myślisz, i wiem, co powiesz. I to prawda. Nie mogę zaprzeczyć. Lubię robić krzywdę ludziom, którzy na to zasługują. Jestem pokręconą pizdą. Na szczęście dla mnie jest tu mnóstwo pokręconych dziewczyn, więc mogę być, jaki jestem. Ale ty jesteś inny. Ty masz zasady. Nie rozumiesz? Ty jesteś marchewką, a ja kijem. Ty patrzysz im w oczy, robisz z nimi interesy i ściskasz im ręce. Ja odrąbuję te ręce, jeśli się sprzeciwią.

– Odrąbujesz ludziom ręce. To wielki krok naprzód.

– Długo nad tym myślałem – rzucił nerwowo. – Dlatego chciałem, żebyś zostawił tego francuskiego pedała.

– Ty po prostu nie wiesz, kiedy przestać, co?

– Nie, czekaj, wysłuchaj mnie. To… to jak… jeśli rozbierzesz religie na części pierwsze i dotrzesz do tego, co sprawia, że od setek lat tak dobrze funkcjonują, okazuje

się, że wszystko sprowadza się do miłych słów i strachu przed straszliwą, niekończącą się karą. Ty i ja. Nie ma lepszego połączenia. Papieże i pogańscy mułłowie tuczą się na tym od wieków.

Westchnąłem przeciągle i oparłem dłonie na kolanach, zamierzając wstać. Concannon dotknął mojego nadgarstka. Uścisk jego stwardniałych palców był żarliwy i krył w sobie ogromną siłę.

– Nie radzę – wycedziłem.

Puścił mnie.

– Przepraszam, ja… tylko… zastanów się nad tym – dokończył z uśmiechem czającym się w oczach. – Za parę dni odezwę się do ciebie. Nie będziemy sami, jeśli się zgodzisz. Już rozmawiam z innymi i wielu jest zainteresowanych, nic się nie bój. Zastanów się. To nie tak wiele w zamian za to, że uratowałem dziś twoją wrażliwą dupę, nie? Chciałbym, żebyś mi towarzyszył. Potrzebuję kogoś, z kim mógłbym pogadać. Komu mógłbym zaufać. Tylko się zastanów, o nic więcej nie proszę.

Odjechałem, zostawiając go pod tym dachem z niebieskiego plastiku. Nie myślałem o jego ofercie, ale myślałem o nim tego popołudnia, gdy objeżdżałem kawiarnie i bary, w których zostawialiśmy paszporty.

Rozmawiałem z moimi kontaktami. Słuchałem gangsterskiej muzyki ulicy: plotek, pomówień, kłamstw i denuncjacji. To zawsze bawi. Ale w każdej wolnej chwili moje myśli wracały do Concannona i do tych łez, przed którymi tak się bronił, lecz których nie potrafił powstrzymać.

Jakie marzenie, jaka nadzieja, jaka rozpacz pcha nas do robienia tego, co robimy, by opuścić nas, gdy już się stanie? Jak bardzo puste są zrodzone w nocy motywy i przyczyny, skoro tak szybko giną w blasku konsekwencji? To, co robimy, żyje w nas długo po tym, jak ambicje i strach znieruchomieją, skute lodem na zapomnianych brzegach. To, co robimy – w większym stopniu niż to, co myślimy lub mówimy – staje się nami.

Concannon pędził w stronę świata zbrodni. Ja już się z niego wycofywałem. Zbyt długo robiłem różne rzeczy, bo strach przed schwytaniem stał się lustrem, odbiciem w wodzie, nie mną. Rozgrzeszyłem się z tych grzechów. Ale wody zostały zmącone, a twarz, którą zawsze przydawałem swoim czynom, była niewyraźna, coraz mniej widoczna.

# 17

Czekałem na Lisę przed hotelem Mahesh, sycąc wzrok widokiem miasta. Przez całe popołudnie padało, z przerwami, ale obficie, a jednak wczesnym wieczorem powietrze znowu było gorące i suche.

Od czasu do czasu w niski falochron uderzały fale, wytryskując w górę i ochlapując połowę szerokiej ulicy. Dzieci bawiły się, biegając od rozbryzgu do rozbryzgu, dorośli uciekali.

Rikszarze zwalniali z nadzieją koło przechodniów, usiłując zachęcić ich do wejścia do ich rozchwianych pojazdów na wysokich kołach. Sprzedawcy fistaszków wędrowali wśród pieszych, wachlując żarzące się węgielki, które nosili w zawieszonych na szyjach koszach. Sączący się z nich dym, pachnący prażonymi orzeszkami, unosił się nad chodnikiem, kusząc i zwracając na siebie uwagę.

Całe miasto, opłukane do czysta ulewnymi deszczami, pachniało piękniej niż zwykle. Chmury więziły wonie potraw, gotowanych w setkach małych ulicznych straganów – bhel puri, pav baji, pakory – i słodkich przysmaków od sprzedawców paanu, kadzidła i girland plumerii, sprzedawanych na każdych światłach.

Zatopiłem się w aromatycznych rozmyślaniach. Potem usłyszałem jej głos.

– Pens za twoje myśli – powiedziała Lisa.

Odwróciłem się.

– Już nie robią pensów – powiedziałem, przyciągając ją do siebie i całując.

– Zapominasz, że to Bombaj? – spytała, nie opierając się. – Tu można trafić do aresztu za publiczne całowanie.

– Może wsadzą nas do tej samej celi – podsunąłem, tuląc ją.

– Coś mi się nie wydaje – prychnęła.

– Zatem ucieknę i cię uwolnię.

– A potem co?

– A potem sprowadzę cię tutaj, w taki wieczór, dokładnie taki jak ten, i znowu cię pocałuję, dokładnie tak jak teraz.

– Zaraz – rzuciła, przyglądając mi się. – Znowu się biłeś.

– No co ty.

– Przestań. Chcesz mnie rozkojarzyć. To chwyt poniżej pasa, kolego.

– Co?

– Lin, do cholery! Znowu bójka? Odbiło ci?

– To nic takiego. Nic mi nie jest. I jestem tu, z tobą.

Pocałowałem ją.

– Lepiej już chodźmy – powiedziała, płosząc ten pocałunek zmarszczeniem brwi – bo się spóźnimy.

– Co się odwlecze, to nie ucieknie.

– Nie uciecze, pisarzu.

– Co nam uciecze?

– Wkrótce się okaże.

Zaprowadziła mnie na pobliską promenadę biegnącą wokół budynku Air India. Biura już zamknięto, ale w przyćmionych światłach na recepcji widać było biurka i drzwi.

Gdy dotarliśmy do zamkniętych szklanych drzwi na zapleczu budynku, Lisa dała mi znak, żebym zaczekał. Zerknęła nerwowo na skrawek ulicy, widoczny z miejsca, w którym staliśmy, ale w zasięgu wzroku nie było nikogo.

– No… to co my tu…

– Czekamy – przerwała mi.

– Na co?

– Na niego.

W budynku zamigotało światło. Do drzwi podszedł ochroniarz z latarką. Otworzył je kluczem na grubym łańcuchu i przytrzymał, żebyśmy mogli wejść. Ponaglił nas gestem, a potem znowu zamknął drzwi.

– Tędy – rzucił. – Proszę iść tuż za mną.

Lawirując przez liczne korytarze, między rzędami opuszczonych biurek, zaprowadził nas do windy towarowej na tyłach budynku.

– Winda awaryjna – powiedział z radosnym uśmiechem. – Kiedy zatrzyma się na górze, wejdźcie dwa piętra wyżej. Moją gratyfikację poproszę.

Lisa podała mu zwitek banknotów. Strażnik zasalutował, wcisnął guzik otwierający drzwi windy i zaprosił nas do środka.

– Aha, czyli okradniemy Air India – odezwałem się, gdy winda ruszyła w górę. – A

jeszcze dziesięć minut temu martwiłaś się o publiczny pocałunek.

– Nie martwiłam się – odparła ze śmiechem. – I nikogo nie okradniemy. Przyszliśmy na prywatną imprezę.

Drzwi otworzyły się, ukazując składzik pełen katalogów i otwartych półek, na których stały zakurzone foldery.

– Ooo, Sala Kafki. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę menu.

– Chodź! – ponagliła Lisa, biegnąc do schodów. – Musimy się spieszyć.

Pociągnęła mnie za sobą, przeskakując po dwa stopnie naraz. Na górze zawahała się, stojąc z ręką na klamce zamkniętych drzwi wyjścia ewakuacyjnego.

– Mam nadzieję, że pamiętał, żeby ich nie zamykać – rzuciła bez tchu i nacisnęła klamkę.

Wyszliśmy na dach budynku. Był przestronny, z kilkoma małymi metalowymi budkami na skraju.

Nad nami wznosiła się mniej więcej dziesięciometrowa konstrukcja, podtrzymywana ciężkimi stalowymi filarami. Padało na nią światło neonu Air India: stylizowany łucznik z naciągniętym łukiem, otoczony wielkim dyskiem.

Z centralnego filaru wznosiła się gigantyczna postać, przytwierdzona do obracającego się stalowego kręgu, który z kolei podtrzymywały inne filary i kable.

Jak każdy inny mumbajkar sto razy widziałem ten wielki, obracający się znak nad budynkiem Air India – ale stanąć tak blisko niego, tak wysoko nad wzburzonym morzem, to całkiem inna historia.

– Cholera!

– Zdążyliśmy na czas – oznajmiła triumfalnie Lisa.

– A można tu przyjść w złym czasie? Co za widok!

– Czekaj – mruknęła, wpatrując się w łucznika. – Czekaj.

Rozległ się zgrzyt, jakby gdzieś włączył się generator. Usłyszeliśmy pulsujący pomruk elektrycznej turbiny, przechodzący od cichego mruczenia do uporczywego jęku. Potem kliknięcie i terkot kondensatora – albo kilku – gdzieś bardzo blisko, u podstaw wielkiego neonu.

Nagle wielkie okrągłe logo rozświetliło się w wybuchu migoczącego szkarłatu, zalewając całą okolicę krwawą czerwienią. Po chwili szkarłatny łucznik zaczął się obracać na cokole.

Lisa zatańczyła w miejscu, rozkładając szeroko ręce.

– Super, co?

Roześmiała się radośnie.

– Cudowne. Jestem zachwycony.

Przez jakiś czas patrzyliśmy, jak ogromne szkarłatne koło się obraca, a potem odwróciliśmy się w stronę morza. Chmury zebrały się, by wypełnić całe niebo czarną grozą. Dalekie błyskawice przeszyły ciemność, oświetliły zwały chmur falujących i przetaczających się przez noc.

– Podoba ci się? – spytała Lisa, wtulając się we mnie.

– Bardzo! Jak na to wpadłaś?

– Byłam tu parę dni temu z Riszem z galerii. Chciał zrobić kopię łucznika Air India na nową wystawę i zaprosił mnie, żebym na to spojrzała. Kiedy tu dotarliśmy, zmienił zdanie. Ale mnie tak się tu spodobało, że zjednałam sobie strażnika i dałam mu łapówkę, żeby pozwolił nam tu wejść.

– Zjednałaś, tak?

– Jestem zjednującą ludzi dziewczyną.

Przez jakiś czas spoglądaliśmy na morze, burzące się daleko w dole. Widok był niebezpieczny, nieodparcie fascynujący, ale myślami wróciłem do tego popołudnia i Concannona.

– Poznałaś jakiś czas temu wysokiego Irlandczyka nazwiskiem Concannon?

Zastanowiła się przez chwilę, robiąc jedną z ulubionych przeze mnie minek i unosząc górną wargę.

– Fergusa? Tak miał na imię?

– Znam go tylko jako Concannona. Ale nie można go nie zapamiętać. Wysoki, krępy, muskularny, trochę nieokrzesany, bokser, płowe włosy i twarde spojrzenie. Powiedział, że poznał cię w galerii.

– No. Na imię ma Fergus. Rozmawiałam z nim tylko przez chwilę. Bo co?

– Bo nic. Tylko zastanawiałem się, co robił w galerii. Nie wydaje mi się miłośnikiem sztuki.

– Na tym pokazie było mnóstwo mężczyzn – powiedziała w zamyśleniu. – To do tej pory nasz największy sukces. Taki, który przyciąga ludzi na ogół niechodzących do galerii.

– Co to za pokaz?

– O złamanych życiach, które wynikają ze złych lub z trudnych układów między

ojcami a synami. Nosił tytuł *Synowie ojców*. W gazecie napisali o nim duży artykuł. Randżit zapewnił nam świetną reklamę. Przyciągnęła tłumy. Mówiłam ci o tym, nie pamiętasz?

– Nie. Byłem w Goa, a ty mi o tym nie mówiłaś.

– Naprawdę? A byłam pewna. Śmieszne, co?

– Nie bardzo.

Synowie ojców. Czy to ten zwrot, te słowa – „synowie", „ojcowie" – przyciągnęły Concannona do galerii? A może śledził mnie, a potem poszedł za Lisą do galerii, wykorzystując pokaz jako pretekst, by ją spotkać i zamienić z nią parę słów?

Kiedy ze mną rozmawiał, żrące wspomnienia sparzyły mu oczy. Ja też miałem swoje wspomnienia. Zbyt często budziłem się nadal przykuty do ściany, torturowany przez ludzi, których twarze zacząłem już zapominać.

Odwróciłem głowę, by spojrzeć na subtelny profil Lisy – głęboko osadzone, ocienione oczy, delikatny mały nosek, rzeźbioną linię jej długiego, wdzięcznego podbródka. Zerwał się wiatr, który uniósł jej jasne loki i zrobił z nich pierzastą aureolę.

Lisa miała na sobie luźną czarną sukienkę do kolan z wysokim sztywnym kołnierzykiem, ale bez rękawów i ramion. Zrzuciła sandały i stała boso. Jej jedyną ozdobą był cienki sznureczek nieregularnych turkusowych paciorków.

Zauważyła wyraz mojej twarzy i lekko zmarszczyła brwi, zaglądając mi w myśli.

– Wiesz, co to za dzień? – spytała i parsknęła śmiechem, widząc, jak strach rozszerza mi oczy. – Dziś jest nasza rocznica.

– Ale przecież zaczęliśmy…

– Mam na myśli dzień, w którym pozwoliłam sobie cię pokochać – powiedziała z uśmiechem zdradzającym, jak bardzo bawi ją moja dezorientacja. – Dokładnie tego dnia dwa lata temu zatrzymałeś swój motocykl koło mnie na jezdni – tydzień po ślubie Karli – gdy czekałam, aż deszcz przestanie padać.

– Mam nadzieję, że zapomniałaś, jaki byłem napruty tego dnia.

– Byłeś – przyznała z uśmiechem w oczach. – Zobaczyłeś, jak stoję z innymi ludźmi pod dachem sklepu. Zatrzymałeś się i spytałeś, czy mnie podwieźć. Ale deszcz lał jak szalony…

– To był początek powodzi, dużej. Martwiłem się, że możesz nie dotrzeć do domu.

– Lało jak z cebra, fakt. A ty, siedząc na motocyklu, przemoczony do suchej nitki,

proponujesz mi, suchutkiej, podwózkę do domu. Omal nie pękłam ze śmiechu.

– Dobra, dobra…

– A potem zsiadłeś z motocykla i zacząłeś tańczyć na oczach tych ludzi…

– Idiota ze mnie.

– Nie mów tak! Byłam zachwycona!

– Idiota – powtórzyłem, kręcąc głową.

– Powinieneś obiecać wszechświatowi, że w porze monsunowej w Bombaju zawsze będziesz tańczyć w deszczu, przynajmniej raz.

– Nie wiem, co z tym wszechświatem, ale mogę zawrzeć umowę z tobą. Niniejszym obiecuję, że w porze monsunowej zatańczę w deszczu przynajmniej raz.

Burza szybko się zbliżała. Błyskawica wstrząsnęła teatrem morza. Ułamek sekundy później rozległ się pierwszy grzmot.

– Nadciąga nawałnica.

– Chodź tu – powiedziała Lisa, biorąc mnie za rękę.

Zaprowadziła mnie na otwartą przestrzeń pod wolno obracającym się kołem ze szkarłatnym łucznikiem. Weszła do niszy i wyłoniła się z niej, trzymając kosz.

– Zapłaciłam strażnikowi za to, żeby zostawił to dla nas – wyjaśniła, otwierając wiklinowe wieko i ukazując wielki koc, butelkę szampana i kilka kieliszków.

Podała mi butelkę.

– Otwórz.

Kiedy odwijałem sreberko i rozplątywałem drut, ona rozłożyła koc, przytrzymując obluzowanymi dachówkami, żeby nie zwiał go wiatr.

– Wszystko przemyślałaś – zauważyłem, otwierając szampana.

– Nawet nie masz pojęcia jak – odparła ze śmiechem. – Ale to wyjątkowe miejsce. Gdy przyszłam tu z Riszem, dobrze się rozejrzałam. To jedyna w Bombaju otwarta przestrzeń – może jedyna przestrzeń – gdzie nikt nie widzi cię z żadnego okna.

Zdjęła sukienkę przez głowę i odrzuciła ją. Była naga. Wzięła kieliszki i wyciągnęła je do mnie. Nalałem szampana. Odstawiłem butelkę i uniosłem kieliszek w toaście.

– Za co wypijemy?

– A może byś wyskoczył z ciuchów?

– Lisa – powiedziałem, mroczny jak nadciągająca burza. – Musimy porozmawiać.

– Dobrze. Ale najpierw wypijemy. Wzniosę toast.

– Dobrze.

– Za zakochanych głupców.

– Za zakochanych głupców.

Wypiła jednym haustem, a potem rzuciła kieliszek przez ramię. Rozbił się o kamienny słup.

– Zawsze chciałam to zrobić – oznajmiła z upodobaniem.

– Wiesz, powinniśmy porozmawiać…

– Nie.

Rozpięła mi ubranie i zdjęła je. Gdy oboje byliśmy nadzy, wzięła kolejny kieliszek i napełniła go.

– Jeszcze jeden toast. Potem porozmawiamy.

– Dobrze. Za deszcz – podsunąłem. – Zewnętrzny i wewnętrzny.

– Za deszcz. Zewnętrzny i wewnętrzny.

Wypiliśmy.

– Liso…

– Nie. Jeszcze jeden.

– Powiedziałaś…

– Poprzedni nie załatwił sprawy.

– Czego?

– Nie upił mnie.

Znowu napełniła kieliszki.

– Tym razem nie będzie toastu – oznajmiła, wypijając połowę. – Do dna!

Wypiliśmy. Drugi kieliszek brzęknął w ciemnościach. Lisa pchnęła mnie na zakotwiczony koc, ale znowu mi się wymknęła. Jej ciało unosiło się na niebie.

– Czy przeszkadza ci, jeśli będę tańczyć podczas tej rozmowy? – spytała, zaczynając się kołysać. Wiatr figlował w jej włosach.

– Postaram się nie protestować – odparłem, kładąc się z rękami za głową, by ją podziwiać.

– To kolejna rocznica… swojego rodzaju – powiedziała marząco.

– Wiesz, w piekle jest specjalne miejsce dla ludzi, którzy nigdy nie zapominają o rocznicach i urodzinach.

– Ta zaczyna się tej nocy, dwa lata po tamtej.

– Po jakiej tamtej?

– My – powiedziała tańcząc w kółko, z rękami wplecionymi w wiatr. – Dawni my, tacy, jacy byliśmy.

– Jacy byliśmy?

– Jacy byliśmy.

– A kiedy się zmieniliśmy?

– Teraz.

– Naprawdę?

– Tak.

– W windzie czy na schodach?

Roześmiała się i dalej tańczyła, poruszając głową w rytmie, które słyszały tylko jej ręce, nogi i biodra.

– To taniec deszczu – powiedziała. Jej ręce już płynęły przez wodę. – Dziś musi padać.

Podniosłem wzrok na ogromny, powoli obracający się owal z łucznikiem, przykuty do skały miasta. Deszcz. Deszcz oznacza błyskawice. Czerwony łucznik wyglądał jak bardzo kuszący piorunochron.

– Musi padać?

– O, tak – powiedziała, padając mi do stóp, i obserwowała mnie, oparta na ręce. – I wkrótce będzie.

Napiła się szampana z butelki i pocałowała mnie, przelewając płyn wprost do moich ust. Nasze wargi się rozdzieliły.

– Chcę mieć otwarty związek – powiedziała.

– Trudno o bardziej otwarty – zauważyłem z uśmiechem.

– Chcę się spotykać z kimś jeszcze.

– A. *Taki* otwarty związek.

– Ty też powinieneś się spotykać z kimś innym. Oczywiście nie na stałe. Dopóki będziemy razem, nie chciałabym, żebyś miał kogoś na stałe. Ale czasem. Nawet mogłabym cię z kimś umówić. Mam koleżankę, która za tobą szaleje. Jest tak śliczna, że nie miałabym nic przeciwko trójkątowi.

– Co?

– Wystarczy jedno słowo – powiedziała, patrząc mi w oczy.

Burza się zbliżała. Wiatr pachniał morzem. Podniosłem wzrok na niebo. Duma jest najbardziej podobna do gniewu, a pokora – do tego, co słuszne.

Nie miałem prawa mówić jej, co powinna albo czego nie powinna robić. Nie miałem nawet prawa jej prosić. Nie łączyła nas miłość tego rodzaju.

– Nie mam prawa…

– Chcę być z tobą, jeśli chcesz mnie kochać – powiedziała, kładąc się obok mnie, z ręką na mojej piersi. – Ale chcę, żebyśmy żyli też z innymi ludźmi.

– Wiesz, wybrałaś dziwny sposób, żeby mi o tym powiedzieć.

– A istnieje sposób, który nie jest dziwny?

– Mimo wszystko…

– Nie wiedziałam, jak zareagujesz – wyjaśniła naburmuszona. – Nadal nie wiem. Myślałam, że jeśli ci się to nie spodoba, to będzie nasz ostatni seks. A jeśli ci się spodoba, po raz pierwszy będziemy się kochać jako nowi ludzie, którzy mogą się stać tym, kim chcą. Tak czy tak, będzie to moment godny zapamiętania.

Spojrzeliśmy na siebie. W naszych oczach zamajaczył uśmiech.

– Wiedziałaś, że będę tym zachwycony, prawda?

– Zdecydowanie.

Pochyliłem się nad nią, odgarnąłem jej z twarzy rozczochrane przez wiatr włosy.

– Jesteś zadziwiająca. I nieustannie mnie zadziwiasz.

Pocałowała mnie, oplatając rękami moją szyję.

– Wiesz – szepnęła – zrobiłam rozeznanie.

– Tak?

– Tak, jak często pioruny trafiają w ten dach. Chcesz wiedzieć?

Nie obchodziło mnie to. Wiedziałem, co się dzieje, ale nie wiedziałem, dokąd zmierzamy.

Burza dotarła do nas. Niebo spadło na ziemię. Deszcz wypełnił nam usta srebrem. Lisa wciągnęła mnie na siebie, w siebie, splotła nogi na moich plecach i trzymała mnie, napinając się, rozluźniając, znowu napinając, żądając, żebym podążył za nią.

O plecy bębnił mi wodospad. Oparłem czoło o jej czoło, osłaniając jej twarz, oddalony od niej na długość rzęsy. Monsunowy deszcz, ciepły jak ciało, lał się z góry i chlustał z dołu. Zwarliśmy nasze usta, dzieląc się oddechem, dzieląc się powietrzem.

Lisa przewróciła mnie na plecy, nadal trzymając mnie w sobie, wparła długie palce w moją pierś, wyprężyła ramiona. Ryk grzmotu wyzwolił nową falę deszczu z

ciężarnych chmur. Woda ciurkała strużkami z włosów i piersi Lisy, chlustała do moich otwartych ust. Zaczęła zalewać dach, gromadzić się wokół nas jak tajemne morze wysoko nad Miastem Wysp.

Lisa zakrzywiła palce jak szpony. Wygięła się jak drapieżna kotka. Przesunęła dłońmi po moim ciele. Uwięziła mnie w sobie, siedząc wyprostowana* z twarzą zwróconą do nieba i rozłożonymi ramionami.

Rozległ się łomot bębna – ciężkie kroki w mojej sali wspomnień, moim sercu. Rozłączyliśmy się. W tej chwili zrozumiałem: to, co nas łączyło, nigdy nie będzie i nie mogłoby być niczym więcej.

Błyskawica zabarwiła wodę wokół nas. Nad moją głową wirowała Lisa, burza i koło Fortuny, a cały świat był czerwony, czerwony jak krew, aż po to morze nieba, morze nieba.

IV

# 18

Prowadzenie przestępczej działalności wymaga instynktu strachu, zdolności do kaprysów nieliczących się z niczym i nikim oraz talentu do zapędzania swoich ludzi na bujne pastwiska między podziwem a zazdrością. Jednocześnie prowadzenie przestępczej działalności opiera się wyłącznie na ciężkiej pracy.

Po nocy pod czerwonym łucznikiem obudziłem się wcześnie, z poczuciem, że zostałem przeszyty strzałą, która zostawiła po sobie czerwoną pustkę. Przy biurku w wytwórni paszportów usiadłem przed dziewiątą.

Po trzech godzinach wytężonej pracy z Kriszną i Villu fałszywe paszporty zostały ukończone. Zadzwoniłem do mojego kontaktu w bombajskiej radzie miejskiej i poprosiłem o dostarczenie blankietu pozwoleń dla szukającej skarbu rodziny Farzada, po czym poszedłem na Kolaba Causeway na biznesowy lunch.

Większość pięcio-, cztero- i trzygwiazdkowych hoteli w południowym Bombaju znajdowało się w promieniu trzech kilometrów od monumentu Wrota Indii. Ściąga tu dziewięćdziesiąt procent turystów zwiedzających Bombaj wraz z dziewięćdziesięcioma pięcioma procentami handlarzy nielegalnych paszportów i osiemdziesięcioma pięcioma procentami dilerów narkotyków.

Większość przedsiębiorców z południa płaciło haracz za ochronę, nazywany *hafta* – co znaczy „tydzień” – firmie Sanjaya. Firma zwolniła od opłaty właścicieli siedmiu restauracji i barów w tej okolicy w zamian za wpuszczenie na ich teren alfonsów, przewodników, kieszonkowców, dilerów i handlarzy z czarnego rynku. Lokale te stanowiły wygodne miejsce wymiany towarów, dokumentów i informacji. Moja wytwórnia paszportów miała obowiązek sprawdzać tych siedem miejsc przerzutowych w poszukiwaniu nadających się do wykorzystania dokumentów. Przeważnie to zadanie spadało na mnie. By zmylić wrogów i potencjalną konkurencję, codziennie zmieniałem kolejność, w jakiej odwiedzałem bary i restauracje, krążąc między nimi na tyle często, żeby nikt nie zdołał ustalić jakiegokolwiek schematu.

Tego dnia zacząłem od Trafalgar Restaurant, znajdującej się o rzut nożem od biurka Dilipa Błyskawicy na posterunku w Kolabie. W drzwiach wychodzącego na róg ulicy lokalu, u stóp trzech stromych schodków prowadzących do wnętrza, zatrzymałem się,

by uścisnąć dłoń Zapamiętywaczowi Hriszikeszowi.

Zapamiętywacze stanowili w tamtych latach kryminalną podkastę – brakowało im brawury, by popełniać przestępstwa, za które grozi więzienie, ale dzięki inteligencji i wybitnej pamięci zapewniali sobie skromne życie, usługując tym nieustraszonym głupcom, którzy nie cofali się przed niczym. Stacjonowali w miejscach wzmożonej aktywności kryminalistów, takich jak ten deptak, poznawali najnowsze ceny złota, aktualne czarnorynkowe stawki wymiany sześciu najbardziej popularnych walut, cenę za karat białych diamentów, rubinów, szmaragdów oraz zmieniające się co pół godziny ceny wszelkich narkotyków, od trawki po kokainę.

– Co tam, Kesz? – spytałem, ściskając mu dłoń.

– Nie ma problemu, *baba* – oznajmił z uśmiechem, na chwilę wznosząc oczy ku niebu. – *Ooperwale*.

Słowo, którego użył, dotyczyło Boga i było jednym z moich ulubionych. Najczęściej używano go w liczbie pojedynczej, *ooperwala*, co można luźno przetłumaczyć jako „osobę na piętrze”. W liczbie mnogiej oznaczało „ludzi na piętrze”.

– *Ooperwale* – odparłem. – Do rzeczy.

– Dobrze – powiedział i, natychmiast poważniejąc, zaczął recytować najnowsze ceny i stawić.

Potrzebowałem tylko ceny za złoto i walutę, ale pozwoliłem mu zaprezentować cały repertuar. Lubiłem go i podziwiałem jego niezwykły geniusz, pozwalający mu zapamiętać setki faktów, które korygował co najmniej trzy razy dziennie, nie myląc się nawet o jedną dziesiątą.

Gangsterzy na ogół traktowali ludzi takich jak Kesz z pogardą. Nigdy tego nie rozumiałem. Drobni uliczni przestępcy byli nieszkodliwymi ludźmi, którzy przetrwali dzięki swojej inteligencji i zdolności przystosowania się do wrogiego środowiska, które często nie traktowało ich dobrze. Miałem także słabość do niezależnych wyrzutków – mężczyzn i kobiet – którzy nie chcieli funkcjonować w przestrzegającym prawa społeczeństwie i równie zdecydowanie odrzucali agresję prawdziwych kryminalistów.

Gdy Kesz skończył recytować, zapłaciłem mu podwójną stawkę, obowiązującą za mantrę Zapamiętywacza, a on obdarował mnie uśmiechem jak słoneczny blask, odbijający się od morza.

W restauracji usiadłem plecami do ściany. Miałem doskonały widok na ulicę. Kelner trącił mnie brzuchem w ramię. Zamówiłem wegetariańską kanapkę i kawę.

Nie musiałem dawać sygnałów, wystarczyło zaczekać. Wiedziałem, że uliczna sieć informacyjna już działa. Niejeden typ, nieustannie krążący po turystycznej dzielnicy, widział, jak parkuję motocykl, rozmawiam z Keszem i wchodzę do restauracji. W tej chwili w położonych w okolicy zaułkach i melinach rozchodzi się wiadomość: „Linbaba siedzi w Trafalgarze".

Zanim skończyłem kanapkę, pojawił się pierwszy kontakt, Billy Bhasu. Stanął nieopodal mojego stolika, rozejrzał się nerwowo i szepnął ledwie dosłyszalnie:

– Witam, panie Lin. Nazywam się Billy Bhasu. Pracuję dla Dennisa, Śpiącego Baby. Pamięta mnie pan?

– Usiądź. Szef się denerwuje.

Billy zerknął na właściciela restauracji – opartego o bar i przesiewającego drobniaki jak kamyki w strumieniu – i usiadł.

Natychmiast pojawił się kelner, który rzucił przed Billy'ego lepkie winylowe menu. Zasady barów i restauracji służących jako lokale przerzutowe były proste: zero bójek i kłopotów, które mogłyby zaniepokoić cywilów, plus każdy coś zamawia, czy chce jeść, czy nie.

Zamówiłem dla Billy'ego herbatę i kanapkę na wynos. Gdy kelner odszedł, Billy szybko przeszedł do rzeczy.

– Mam łańcuszek – powiedział, sięgając do kieszeni. – Lite złoto, z medalionem.

Położył ozdobę na stole. Wziąłem ją, przesunąłem kciukiem po ogniwach, potem otworzyłem medalion. Ujrzałem dwa zdjęcia: młody mężczyzna i młoda kobieta, patrzący na siebie i uśmiechający się radośnie ponad zawiasami swojego małego światka – światka, który trafił do mojej ręki.

– Nie przyjmuję kradzionego, Billy.

– Co jest kradzione, *baba*? – obruszył się Billy. – To wymiana, uczciwa wymiana, medalion za prochy. Dobrej jakości. Czyste w prawie pięćdziesięciu procentach. Wszystko uczciwie i porządnie!

Znowu przyjrzałem się zdjęciom młodej pary. Oboje, promieniejący zdrowiem, z błyszczącymi oczami, wyglądali jakby pochodzili z Europy Północnej, z klasy społecznej, która gwarantuje idealne zęby i beztroskie uśmiechy. Mogli mieć po jakieś dwadzieścia lat.

– Ile chcesz?

– O, *baba* – rzucił Billy, przystępując do rytuału targów. – Ty mi to powiedz.

– Dam ci pięć dolarów. Amerykańskich.

– Ale… – wykrztusił z oburzeniem – To znacznie za mało, za takie coś!

– Chciałeś, żebym to ja powiedział.

– Tak, *baba*, ale miałeś powiedzieć uczciwą cenę.

– Dam ci sześćdziesiąt procent ceny za gram. Zgadzasz się, że to osiemnastokaratowe złoto?

– A… A może dwadzieścia dwa karaty, *baba*. Nie?

– Osiemnaście. Sześćdziesiąt procent. Albo spróbuj u Marwarich na Bazarze Zaveri.

– O, nie, *baba*! – zawołał Billy bez namysłu. – Jak ja spróbuję u Marwarich, to ja skończę z długiem u nich. Są za mądrzy. Wolę spróbować z tobą. Bez urazy.

– Nie obraziłem się. Pięćdziesiąt procent.

– Oddam za sześćdziesiąt.

Zawołałem kelnera, dałem mu medalion z łańcuszkiem i poleciłem zważyć go na jubilerskiej wadze właściciela restauracji. Kelner poczłapał do baru i podał właścicielowi ozdobę. Ten zważył ją na precyzyjnej wadze, trzymanej pod barem, zapisał wagę na papierze i podał go kelnerowi.

Kelner oddał mi kartkę, przez chwilę ważył medalion w dłoni, jakby sprawdzał wynik ważenia, po czym upuścił ozdobę na moją wyciągniętą dłoń.

Zerknąłem na liczbę na kartce i pokazałem ją Billy'emu Bhasu. Skinął głową. Posługując się danymi Kesza, zaokrągliłem końcówkę sumy do dziesięciu rupii i zapisałem ją na tej samej kartce, którą pokazałem Billy'emu. Znowu skinął głową.

– Wiesz, *baba* – powiedział, chowając pieniądze. – Widziałem tego Naveena Adaira, tego angielskiego detektywa. Dał mi wiadomość, na wypadek gdybym cię dzisiaj gdzieś spotkał.

– I akurat gdzieś mnie spotkałeś.

– Tak – potwierdził Bobby z przejęciem. – Więc mogę ci dać wiadomość.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Chciałbyś jeszcze jedną kanapkę na wynos, Billy?

– Właściwie to tak, Linbaba. Dżamal czeka na zewnątrz.

Dałem znak, że zamawiam kanapkę.

– Czy możemy już przejść do wiadomości?

– O tak. Naveen powiedział, żebym powtórzył dokładnie: „Powiedz Linbabie, jeśli go zobaczysz, że w sprawie mężczyzny w garniturze nie mam nic nowego".

– I już? Cała wiadomość?

– Tak, *baba*. Ważna, nie?

– Decydująca. Pozwól, że o coś cię spytam.

– Tak, *baba*?

– Czy gdybym nie kupił łańcuszka, przekazałbyś mi tę wiadomość?

– Oczywiście, *baba* – odparł Billy z uśmiechem. – Ale za więcej niż dwie kanapki.

Pojawiły się zapakowane kanapki. Billy Bhasu położył na nich rękę.

– Więc… więc teraz… sobie pójdę?

– Jasne.

Gdy wyszedł, znowu spojrzałem na zdjęcia uśmiechniętej młodej pary. Zamknąłem medalion i wrzuciłem go do kieszeni koszuli.

Przez następne cztery godziny obszedłem sześć pozostałych punktów przerzutowych w mojej dzielnicy, w każdym spędzając jakieś czterdzieści minut.

Był to przeciętny dzień. Kupiłem paszport, trzy sztuki biżuterii, sto pięćdziesiąt dolarów amerykańskich w gotówce oraz inne waluty, a także piękny zegarek.

Ten ostatni przedmiot, ostatnia transakcja dnia, w ostatnim z barów, wciągnął mnie w utarczkę. Człowiek, który przyniósł mi zegarek – Deepak – szybko wymienił cenę, dużo poniżej prawdziwej wartości zegarka, ale o wiele wyższą niż ta, którą dostałby od handlarzy w rejonie Fortu.

W momencie wymiany w barze pojawił się drugi mężczyzna, Isztiak, domagając się głośno swojego udziału. Jego strategia była prosta – narobić tyle hałasu, żeby wydusić z Deepaka zgodę, zanim ten zdoła mu się zgubić na zatłoczonej ulicy.

W innych okolicznościach zabrałbym moje pieniądze, wyrzucił obu mężczyzn z baru i zapomniał o nich. Moje kontakty z właścicielem były ważniejsze od wszystkich transakcji.

Ale kiedy przyłożyłem zegarek do ucha, usłyszałem budzący otuchę chrobot mechanizmu, zdążającego ku końcowi swojego cyklu, mechanicznego serca, które dziękuje swoim biciem za codzienną wierność nakręcającego je właściciela. Tak się złożyło, że był to mój ulubiony zegarek.

Zagłuszając głos instynktu, starałem się uspokoić Isztiaka. Ta chwilowa słabość zrodziła bezczelność i Isztiak rozwrzeszczał się jeszcze głośniej. Klienci przy innych stolikach zaczęli nas gromić wzrokiem, a restauracja nie była duża. Pospiesznie uspokoiłem Isztiaka, wyjąłem z kieszeni pieniądze i dałem mu. Chwycił banknoty, wyszczerzył zęby na Deepaka i opuścił bar. Deepak przepraszająco wzruszył

ramionami i wymknął się na ulicę.

Wsunąłem metalową bransoletę na rękę. Zatrzasnąłem zapięcie na nadgarstku. Zegarek pasował jak ulał. Potem podniosłem wzrok na gapiących się na mnie właściciela i kelnerów. W ich oczach widziałem krótką wiadomość: straciłem twarz. Mężczyzna na moim stanowisku nie powinien uspokajać ulicznych rzezimieszków.

Zerknąłem na zegarek na moim nadgarstku. Chciwość mnie osłabiła. „Chciwość to kryptonit dla ludzi", powiedziała niegdyś Karla, zgarniając naszą wspólną prowizję z utargu.

Poczułem potrzebę wysiłku fizycznego, więc śmignąłem motocyklem przez uliczne korki do mafijnej sali bokserskiej koło Ballard Pier.

Kierownik sali, Hussein, był emerytowanym gangsterem, który stracił rękę po ciosie maczetą, zadanym w walce z innym gangiem. Jego pociągła, posiekana bliznami twarz kryła się w biblijnej brodzie, spoczywającej na potężnym masywie piersi. Był odważny, dobry, zabawny, twardy i potrafił stawić czoło wszystkim trenującym u niego młodym gangsterom. Za każdym razem, gdy patrzyłem w jego roześmiane, niebezpieczne oczy, zastanawiałem się, jak on i Kadirbaj musieli wyglądać jako młodzi wojownicy, założyciele gangu, który stał się firmą.

„Niech mój wróg ujrzy tygrysa, nim zabierze go śmierć", mawiali. Nie było wątpliwości, że świat wiele razy zobaczył tygrysa, gdy Hussein i Kadirbaj, młodzi i nieustraszeni, przemierzali miasto. I nadal wydawało mi się, że gdy patrzę w oczy koloru palonej gliny właściciela sali, widzę złowrogie mgnienie tygrysich pasków.

– *Wah, wah*, Linbaba – powiedział na mój widok. – *Salaam aleikum.*

– *Wa aleikum salaam*, Husseinie Jeden.

Ponieważ w początkach istnienia gangu wśród gangsterów Kadirbaja znajdował się inny Hussein, który otrzymał pozycję w radzie, czasem nazywano ich Husseinem Jeden i Husseinem Dwa – ze względu na liczbę ich ramion.

– *Kya hal hain*? – „Co u ciebie?".

– Jestem bardziej zajęty niż jednoręki podczas bójki w barze – odparłem w hindi.

Ten żart powtarzaliśmy od dawna, ale on śmiał się za każdym razem.

– A co u ciebie, Husseinbaj Jeden?

– Nadal boksuję, Linbaba. Jak człowiek boksuje, to nie mięknie. Jak młyn staje, nie ma mąki.

– Masz rację.

– Przyszedłeś na całą sesję?

– Nie, Husseinbaj Jeden, tylko naładować broń.

„Naładowanie broni” oznaczało w gangsterskim slangu ćwiczenia, które pompowały bicepsy i tricepsy podczas tej samej sesji ćwiczeń.

– I bardzo dobrze! – rzucił Hussein ze śmiechem. – Broń musi być naładowana, *yaar*. Znasz dwie zasady walki wręcz: niech przeciwnik wie, że oberwał i…

– Niech nie przestaje obrywać – dokończyłem.

– *Jarur!*

Hussein podał mi ręcznik i wszedłem na salę treningową. Klub bokserski, który początkowo był małą, paskudną klitką, w której wielcy, paskudni gangsterzy uczyli się sztuk ulicznej walki, stał się tak popularny wśród młodych mężczyzn z firmy Sanjaya, że zajął cały pobliski magazyn.

W głębi pomieszczenia stały najróżniejsze przyrządy treningowe: ławy, wiosła, maszyny do wyciskania na leżąco, suwnice do przysiadów, wiszące i stojące drążki do podciągania, sterty obciążników do sztang i góry hantli. Dalej znajdował się otoczony lustrami, zakrwawiony ring bokserski.

Na nowo stworzonej przestrzeni leżała mata do zapasów i judo. Pod przeciwległą ścianą wisiał rząd ciężkich worków i gruszek treningowych. W kącie znajdował się korytarz prowadzący do drzwi wejściowych. Był tak szeroki, że mógł pomieścić idących obok siebie dwóch mężczyzn. Jego ściany wyłożono winylem. Korytarz stanowił miejsce do treningu walki nożem.

W klubie było gorąco. W wilgotnym powietrzu, gęstym od adrenaliny i tego przeraźliwego, przejmującego do szpiku kości zapachu testosteronu, rozchodziły się stęknięcia, jęki i wrzaski bólu.

Spędziłem sporą część życia w towarzystwie mężczyzn. Dziesięć lat życia w więzieniach, siedem w gangach, dwadzieścia na siłowniach, w szkołach karate, klubach bokserskich, drużynach rugby, gangach motocyklowych, no i lata dorastania w szkole dla chłopców: ponad połowa życia w męskim towarzystwie. I zawsze czułem się w nim swobodnie. To prosty świat. Potrzebujesz tylko jednego klucza do każdego zamkniętego serca: pewności siebie.

Skinąłem głową młodym mężczyznom na maszynach do ćwiczeń, wyjąłem długie pochwy noży zza paska dżinsów i położyłem je wraz z pieniędzmi, kluczami, zegarkiem i koszulą na szerokim drewnianym stołku.

Zapiąłem gruby skórzany pas z obciążnikami, rzuciłem ręcznik na pustą ławę i

zacząłem serię ćwiczeń na triceps i biceps. Po trzydziestu minutach moje ramiona osiągnęły szczyt napięcia. Zebrałem rzeczy i poszedłem do korytarza do ćwiczeń walki na noże.

W tamtych latach, zanim każdy doliniarz zaczął się obnosić z pistoletem, technika walki na noże była poważną sprawą. Młodzi gangsterzy otaczali kultem mistrzów, którzy uczyli władania nożem, i zwracali się do nich z takim szacunkiem, jak do członków rady Sanjaya.

Hathoda, który uczył mnie tej sztuki przez dwa lata, był także nauczycielem Iszmita, przywódcy Cyklicznych Zabójców, który z kolei przekazał swoje umiejętności innym. W drzwiach korytarza spotkałem mistrza wraz z młodym ulicznym wojownikiem imieniem Tricky.

Obaj powitali mnie uśmiechem i serdecznym uściskiem dłoni. Młody gangster, wykończony, ale szczęśliwy, szybko nas pożegnał i poszedł pod prysznic.

– Dobry dzieciak – powiedział Hathoda w hindi, odprowadzając go wzrokiem. – I ma talent do noża, *oby nigdy go nie użył w haniebnej sprawie*.

To ostatnie zdanie było rodzajem mantry, której Hathoda uczył swoich podopiecznych. Odpowiedziałem odruchowo, jak kiedyś, z innym uczniami:

– Obyśmy nigdy nie użyli go w haniebnej sprawie.

Hathoda był sikhem ze świętego miasta Amritsaru. Jako młodzieniec zadał się z niewłaściwym towarzystwem. Porzucił naukę i niemal bez przerwy przebywał z miejscowymi gangsterami. Gdy krwawy napad doprowadził do konfliktu z przywódcami społeczności, rodzina wyparła się Hathody. Jego gang zrobił to samo. Była to część ceny za zachowanie pokoju.

Samotny, bez grosza przy duszy, ruszył do Bombaju i trafił do organizacji Kadirbaja, który przydzielił młodego sikha jako ucznia Ganeszbajowi, ostatniemu mistrzowi walki nożem, który przyłączył się do Kadirbaja w początkach lat sześćdziesiątych. Hathoda nie odstępował swojego mistrza na krok i po latach nauki sam został mistrzem. Był ostatnim nauczycielem walki nożem w południowym Bombaju, ale wtedy, w latach przed fascynacją bronią palną, nikt z nas o tym nie wiedział.

Był wysoki, co dla kogoś władającego nożem może być utrudnieniem. Gęstą grzywę wygładzonych olejkiem włosów nosił wiecznie zwiniętą w kok na czubku głowy. Jego migdałowe oczy, te same pendżabskie oczy, które od stuleci swoim gorącym spojrzeniem zwabiają podróżników do Indii, lśniły nieustraszoną odwagą i honorem.

Jego imię, pod którym znali go wszyscy w południowym Bombaju – Hathoda – w

hindi znaczyło „młot”.

– Więc jak, Lin, chcesz ze mną poćwiczyć? Już wychodziłem, ale chętnie zostanę na dodatkową sesję, jeśli masz dziś refleks.

– Nie chcę cię zmęczyć, mistrzu-*ji* – odparłem.

– To nie żaden problem. Napiję się wody i zaczniemy.

– Ja z nim potrenuję – odezwał się za moimi plecami głos mówiący w hindi. – Niech *gora* spróbuje się ze mną.

Był to Andrew DaSilva, młody Goańczyk z rady firmy Sanjaya. Termin *gora*, oznaczający białego, choć bardzo popularny w Bombaju, był obraźliwy. Andrew oczywiście o tym wiedział i patrzył na mnie wyzywająco, z rozchylonymi ustami i wysuniętą szczęką. To, że użył tego słowa, było dość dziwne. Andrew miał bardzo jasną skórę, a płynąca w jego żyłach krew portugalskich przodków uwidoczniła się w rudawym brązie włosów i miodowych oczach. Natomiast ja, spędzając tak wiele czasu na motocyklu, na świeżym powietrzu, bez kasku, miałem twarz i ręce ciemniejsze niż on.

– Oczywiście – dodał Andrew, gdy nie odpowiedziałem – jeśli *gora* nie boi się ośmieszyć.

Wybrał złą chwilę złego dnia.

– Który poziom? – spytałem, odwzajemniając jego spojrzenie.

– Czwarty – odparł jeszcze bardziej wyzywająco.

– Niech będzie.

Podczas treningu walki nożem używa się trzonków młotków – stąd przydomek Hathody. Drewniane trzonki bez obuchów były zbliżone rozmiarami do ostrzy i rękojeści noży i można było nimi ćwiczyć, nie powodując poważnych ran.

Poziom pierwszy zakładał używanie tępego końca zwykłego trzonka. Na poziomie czwartym walczono trzonkami zaostrzonymi, tak że można było zranić przeciwnika. Przeważnie staczano pięć jednominutowych rund z trzydziestosekundową przerwą regeneracyjną między nimi.

Rozebrani do pasa weszliśmy na korytarz. Hathoda, pełniący funkcję sędziego, wręczył nam zaostrzone trzonki.

Przestrzeni mieliśmy niewiele: mogliśmy się przesuwać w lewo i w prawo zaledwie o parę centymetrów. Miało to nauczyć nas walczyć w ścisku, w tłumie wrogów. Korytarz kończył się ślepą ścianą; jedyną drogą ucieczki były drzwi.

Andrew ujął zaostrzony trzonek zwrócony ostrzem ku górze, jakby trzymał szablę. Ja swój skierowałem w dół. Przyjąłem postawę bokserską. Hathoda skinął głową, sprawdzając, czy jesteśmy gotowi, zerknął na stoper wiszący mu na piersi i dał sygnał.

– Start!

Andrew rzucił się na mnie, usiłując zaskoczyć mnie ciosem. Bez trudu uskoczyłem. Rozpęd poniósł go daleko, a ja pchnąłem go, tak że wpadł na Hathodę, stojącego w otwartym końcu korytarza.

Młody gangster, obserwujący nas zza pleców mistrza, parsknął śmiechem, ale mistrz go uciszył.

Andrew odwrócił się gwałtownie i zbliżył się do mnie, zachowując już większą ostrożność. Szybko skróciłem dystans między nami i rozpoczął się chaos dźgnięć, pchnięć i kontr.

Przez chwilę trwaliśmy w zwarciu, wparci w siebie głowami. Udało mi się zachwiać równowagą mojego przeciwnika, który zatoczył się w stronę ślepego końca korytarza. Znowu zaatakował, robiąc zwody. Za każdym razem unikałem ciosu, wyginając plecy, i uderzałem go w twarz wolną lewą ręką.

W wejściu do korytarza stanęło kilku młodych gangsterów, którzy ćwiczyli na maszynach. Śmiali się przy każdym policzku, doprowadzając DaSilvę do szału. Andrew był pełnoprawnym członkiem rady firmy Sanjaya i sama ta funkcja wymagała traktowania go z szacunkiem, nawet jeśli on sam go nie budził.

– Milczeć, kurwa! – wrzasnął.

Chłopcy natychmiast zamilkli.

Andrew łypnął na mnie, zaciskając zęby, jakby przegryzał kąsającą go nienawiść do mnie. Ramiona stężały mu z gniewu, pompowanego przez jego serce. Mięśnie ramion zesztywniały, zaczął cały dygotać z powstrzymywanej wściekłości.

Nie wygrywał i to go bolało. Sądził, że dobrze mu idzie walka nożem, a ja mu uświadomiłem, że był w błędzie.

Powinienem był mu pozwolić wygrać. Nic by mnie to nie kosztowało. W pewnym sensie był moim szefem. Ale nie potrafiłem. Kryjemy w sobie taki zakątek, w którym przechowujemy pogardę przeznaczoną dla tych, którzy nas nienawidzą, choć nie zrobiliśmy im nic złego, dla tych, którzy pastwią się nad nami bez powodu i mają do nas nieuzasadnione pretensje. Andrew dał się zapędzić w ten zakątek tak samo jak w ślepy zaułek tego korytarza. A pogarda niemal zawsze zwycięża nad ostrożnością.

Andrew zadał cios. Obróciłem się, unikając ostrza, i skierowałem zaostrzony

trzonek w jego plecy między łopatkami.

– Trzy punkty! – zawołał Hathoda.

Andrew odwrócił się do mnie. Znowu stracił równowagę; wystarczyło mu podciąć nogi, a runął u moich stóp. Spadłem na niego całym ciężarem i dziabnąłem go w plecy i nerki.

– Sześć punktów! – zawołał Hathoda. – Stop! Przerwa!

Odstąpiłem na bok. Andrew, nie zwracając uwagi na rozkaz Hathody, wstał i rzucił się na mnie z drewnianym ostrzem.

– Stop! – krzyknął Hathoda. – Przerwa!

Andrew z uporem zamachnął się, celując w gardło i twarz, wbrew regułom treningu. Usiłował skaleczyć mnie do krwi. Odparowałem cios i osłoniłem się, cofając się głębiej w stronę ślepego końca korytarza. Broniąc się pięściami i trzonkiem, uderzałem w każde miejsce, które odsłonił. Po paru sekundach nasze ręce i ramiona zaczęły krwawić. Uderzenia w piersi i barki zostawiły rany, z których sączyły się cienkie strużki krwi.

Odbijaliśmy się od miękkich ścian, pięści i broń migały, z ust wyrywał się przyspieszony oddech, zaczęliśmy się ślizgać na kamiennej posadzce, aż w końcu zwarliśmy się w zapaśniczym chwycie i runęliśmy na podłogę. Ja miałem więcej szczęścia. W czasie upadku udało mi się zarzucić ramię na szyję DaSilvy i zacisnąć je, odcinając mu dopływ powietrza. Był odwrócony do mnie plecami. Kiedy usiłował się wyrwać, otoczyłem nogami jego uda, unieruchamiając go. Miotał się tak gwałtownie, że obaj przesuwaliśmy się po śliskich płytach, ale trzymałem go mocno i nie potrafił mnie z siebie strząsnąć ani wyzwolić się z mojego uścisku.

– Poddajesz się?

– Wal się! – warknął.

Usłyszałem głos jakiegoś pradawnego instynktu: „To wilk w pułapce. Jeśli go wypuścisz, wróci do ciebie, wcześniej czy później”.

– Lin! – krzyknął nowy głos. – Bracie Lin! Puść go!

Był to Abdullah. Siła uciekła z moich kończyn i pozwoliłem DaSilvie odczołgać się ode mnie. Krztusił się, kasłał i charczał. Hathoda i paru młodych gangsterów zebrało się wokół niego, żeby mu pomóc.

Abdullah pomógł mi się podnieść. Zdyszany, poszedłem za nim do wieszaków, gdzie zostawiłem swoje rzeczy.

– *Salaam aleikum* – powitałem go. – Co cię tu, kurwa, sprowadza?

– *Wa aleikum salaam.* Najwyraźniej niebo, i to w samą porę.

– Niebo?

– No, na pewno byłoby tu piekło, gdybyś go wykończył. Przysłaliby kogoś takiego jak ja, żeby cię zabił.

Wziąłem moją koszulę, noże, pieniądze i zegarek. W drzwiach wytarłem mokrym ręcznikiem twarz, pierś i plecy. Przypasałem noże, narzuciłem koszulę na ramiona i skinąłem głową Abdullahowi.

– Przejeźdźmy się, bracie – powiedział spokojnie – i przewietrzmy umysły.

Andrew DaSilva podszedł i zatrzymał się o dwa kroki ode mnie.

– To nie koniec – wycedził.

Podszedłem blisko i szepnąłem tak cicho, że nie słyszał mnie nikt oprócz niego:

– Wiesz co, Andy, na tyłach tego klubu jest zaułek. Skończmy z tym w tej chwili. Tylko kiwnij głową, a to załatwimy. Bez świadków. Tylko ja i ty. Kiwnij głową, bufonie.

Zajrzałem mu z bliska w twarz. Nie poruszył się, nie odezwał się ani słowem. Znowu nachyliłem się mu do ucha.

– Tak sądziłem. Teraz wiemy już obaj. Więc wypierdalaj i daj mi spokój.

Zabrałem swoje rzeczy i opuściłem klub ze świadomością, że zachowałem się jak idiota, upokarzając DaSilvę, nawet bez świadków. Wilk uciekł z pułapki. Ten wilk pewnie wróci do mnie przy złym księżycu.

# 19

Pojechaliśmy w milczeniu do Leopolda. Abdullah, robiąc wyjątek od reguły, która zwykle nie pozwalała mu zbliżać się do lokali serwujących alkohol, zaparkował swój motocykl obok mojego i wszedł razem ze mną.

Znaleźliśmy Didiera przy tym samym stoliku co zawsze, w pobliżu małych, wychodzących na północ drzwi, naprzeciwko dwóch szerokich łuków arkady, za którą widać było zatłoczony deptak.

– Lin! – zawołał na nasz widok. – Ja tu ginę z samotności! A picie w pojedynkę jest jak seks w pojedynkę, nie sądzisz?

– Nie zaczynaj, Didier – rzuciłem.

– Jesteś samozwańczym kapłanem zabronionych przyjemności, mój przyjacielu – odparł ze śmiechem.

Chwycił mnie w objęcia, uścisnął dłoń Abdullahowi i wezwał kelnera.

– Piwa! Dwa kufle! I solczgranatu dla naszego irańskiego przyjaciela! Bez lodu! Raz-raz!

– A juści, łaskawy panie, już lecę, mało sobie nóg nie połamię, żeby tylko łaskawemu panu usłużyć – warknął Miluś.

Miluś należał do pięciu najlepszych znanych mi kelnerów, a znałem mnóstwo świetnych kelnerów. Zajmował się upłynnianiem towarów z czarnego rynku, które pojawiały się u Leopolda jednymi drzwiami i opuszczały go drugimi bez wiedzy właścicieli lokalu. Pobierał honorarium od wszystkich sklepów na ulicy, miał pod sobą paru alfonsów, prowadził mały totalizator. I jakimś cudem udawało mu się robić to wszystko, czerpiąc siły wyłącznie z pesymizmu i opryskliwości.

Didier, Abdullah i ja siedzieliśmy rzędem pod ścianą, obserwując rozległy bar i zatłoczony deptak za nim.

– No, to jak leci, Abdullahu? – zagadnął Didier. – Zbyt długo nie widziałem twojej przerażająco przystojnej twarzy.

– *Alhamdulillah* – odparł Abdullah, co oznaczało: „Dziękuję, chwalić Boga”. – A co u ciebie?

– Nigdy nie narzekam – oznajmił Didier z westchnieniem. – To jedna z moich kapitalnych cech, jak mawiają Anglicy. Gdybym miał zwyczaj narzekać, byłbym mistrzem w tej sztuce.

– Więc… – Abdullah zmarszczył brwi. – To znaczy… że masz się dobrze?

– Tak, mój przyjacielu – potwierdził Didier z uśmiechem. – Mam się dobrze.

Miluś łupnął o stolik kuflami z naszym piwem, ale ze szklanki Abdullaha starannie wytarł wszystkie ślady wilgoci, po czym ustawił ją obok niego na sporym pliku papierowych serwetek. Następnie wycofał się, z każdym krokiem bijąc pokłony, jakby opuszczał grobowiec świętego.

Didier skrzywił się zirytowany. Zerknął na mnie, a ja parsknąłem śmiechem, zdmuchując pianę ze swojego kufla.

– Doprawdy, Lin, ci ludzie są niemożliwi! Siedzę tu dzień i noc, rok po roku. W tutejszych łazienkach wylałem morze moczu, znosiłem jedzenie tak żałosne dla Francuza, że nie jesteś sobie w stanie tego nawet wyobrazić, a wszystko to w imię zaangażowanej i – chyba nie będę nieskromny, używając tego słowa – wspaniałej dekadencji. I ciągle traktują mnie tu jak turystę. Abdullah pojawia się tu raz na rok, a oni mało nie umrą z miłości do niego. Szału można dostać!

– Przez lata, które tu spędziłeś – powiedział Abdullah, pociągając świeży sok – poznali granice twojej wytrzymałości. Ale nie znają moich. To jedyna różnica.

– A gdybyś przestał tu przychodzić – dodałem – tęskniliby za tobą bardziej niż za kimkolwiek.

Didier uśmiechnął się, udobruchany, i sięgnął po swój kufel.

– No tak, oczywiście, masz rację. Mówiono mi nieraz, że jestem niezapomniany. Wznieśmy toast za tych, którzy będą płakać po naszym odejściu!

– Oby raczej się śmiali! – dodałem, stukając kuflem w jego kufel.

Gdy pociągnąłem łyk piwa, na krzesło naprzeciwko mnie padł uliczny naciągacz Saleh, potrącając szklankę Abdullaha i rozlewając jego sok.

– Co za zasrany głąb z tego cudzoziemca! – burknął.

– Wstań – powiedział Abdullah.

– Co?

– Wstań albo połamię ci ręce.

Saleh spojrzał na Didiera i na mnie. Didier zatrzepotał palcami, dając mu znak, żeby wstał. Saleh przeniósł wzrok na Abdullaha i powoli wstał.

– Kim jesteś? – spytał Abdullah.

– Saleh, szefie – wyjaśnił nerwowo Saleh. – Na imię mam Saleh.

– Jesteś muzułmaninem?

– Tak, szefie.

– Tak witają się muzułmanie?

– Co?

– Jeśli jeszcze raz powtórzysz „co”, połamię ci ręce.

– Przepraszam, szefie. *Salaam aleikum.* Mam na imię Saleh.

– *Wa aleikum salaam.* Co cię tu sprowadza?

– E… no… ale…

Widziałem, że chce znowu powiedzieć „co” i miałem nadzieję, że tego nie zrobi.

– Powiedz mu, Saleh – odezwałem się.

– Dobrze, dobrze, mam ten aparat. – Saleh położył na stoliku drogi aparat.

– Nie rozumiem. – Abdullah zmarszczył brwi. – Usiedliśmy tutaj, żeby się napić. Dlaczego nam to mówisz?

– Chce to sprzedać – wyjaśniłem. – Skąd to masz, Saleh?

– Od tych debili z plecakami, co siedzą za mną. Dwóch chudych blondynów. Miałem nadzieję, że zechcesz kupić, Lin. Potrzebuję pieniędzy na już, rozumiesz.

– Nie rozumiem – powtórzył Abdullach.

– Wycyganił aparat od tych turystów i chce go spieniężyć.

– Uwierzyli mi bez pytania – oznajmił Saleh. – Debile.

– Jeśli jeszcze raz przeklniesz w moim towarzystwie, wrzucę cię pod koła samochodu – zapowiedział Abdullah.

Saleh, jak każdy uliczny rzezimieszek w tej sytuacji, chciał uciec. Wyciągnął rękę po aparat, ale Abdullah uniósł ostrzegawczo palec.

– Zostaw – rzucił i Saleh cofnął rękę. – Jakim prawem zakłócasz ludziom spokój swoim handlem?

– P-prawem? – zająknął się zdumiony Saleh.

– Nic się nie stało – powiedziałem. – Ludzie ciągle przychodzą do mnie z interesami.

– To niedopuszczalne! Jak możesz robić interesy z ludźmi, którzy nie potrafią okazać szacunku, nie znają honoru?

– Honoru? – wymamrotał Saleh.

– Widzisz, Saleh, jest tak. Ty widzisz w turystach ofiary, które proszą się, żeby je wykorzystać, a my mamy inny pogląd. My postrzegamy ich jako emisariuszy współczucia.

– Co?

Abdullah chwycił go za nadgarstek.

– Przepraszam, szefie! Nie chciałem!

Abdullah rozluźnił chwyt.

– Jak daleko od Kolaby oddaliłeś się w życiu, Saleh?

– Raz pojechałem zobaczyć Tadż Mahal w Agrze. To daleko.

– Kto z tobą pojechał?

– Moja żona.

– Tylko żona?

– Nie, Linbaba, także siostra żony, moi rodzice i kuzyn z żoną, no i wszystkie dzieci.

– Widzisz, Saleh, ci ludzie, którzy tam siedzą, mają więcej odwagi niż wy. Oni zostawili za plecami swój świat, samotnie wybrali się do dzikich krajów i śpią pod opieką ludzi, których poznali zaledwie parę godzin temu.

– To tylko turyści. Sami się proszą.

– Budda też był turystą. Wędrował, mając tylko tyle majątku, ile potrafił unieść. I Jezus był turystą, który przez lata podróży zniknął dla świata. Wszyscy jesteśmy turystami, Saleh. Przychodzimy na świat bez niczego i odchodzimy bez niczego. A kiedy zabijesz szczęście turysty, zabijesz moje.

– Ale… jestem biznesmenem – wymamrotał Saleh.

– Ile im zapłaciłeś, Saleh?

– Nie mogę tego powiedzieć – oznajmił Saleh, spoglądając na mnie przebiegle. – Ale mogę wyjawić, że nie więcej niż dwadzieścia procent wartości. Wezmę dwadzieścia pięć, jeśli go kupisz.

Abdullah znowu chwycił go za nadgarstek. Znalem ten chwyt. Zaczynał się źle, a kończył jeszcze gorzej.

– Nie chcesz powiedzieć prawdy? – spytał Abdullah.

Odwrócił się do mnie.

– Tak robisz interesy? Z ludźmi, którym nie można ufać? Dam ci język tego człowieka.

– Język? – wykrztusił Saleh.

– Mówiono mi – zauważył Didier w zamyśleniu – że pewna przerażająca kobieta, niejaka madame Zhou, używa ludzkiego języka jako puszka do pudru.

Saleh wyszarpnął rękę i uciekł, zostawiając aparat. Zapadła chwila ciszy, w której spokojnie przetrawialiśmy ten wypadek.

– Proszę – odezwałem się po chwili. – Nie obcinaj mu języka.

– Coś mniej drastycznego?

– Nie. W ogóle mu nic nie ucinaj.

– Zawsze mawiam – zauważył Didier – że jeśli nie możesz powiedzieć o kimś nic miłego, obrabuj go i zastrzel.

– Mądre słowa – przyznał Abdullah.

– Mądre?

– To się rozumie samo przez się – powiadomił mnie Didier.

Abdullah pokiwał głową.

– Tylko dlatego, że nie możesz powiedzieć o kimś nic miłego?

– Oczywiście. Jeśli nie potrafisz znaleźć ani jednej miłej rzeczy, którą mógłbyś powiedzieć o facecie, to jest on skończoną świnią. A wszyscy z nas, którzy mają jakieś pojęcie o świecie, wiedzą, że skończona Świnia wcześniej czy później doprowadzi cię do rozpaczy albo sprawi, że będziesz żałować – bądź to i to. To po prostu rozsądny środek zapobiegawczy – pobić i okraść złych ludzi, zanim oni pobiją i okradną ciebie. Według mnie to samoobrona.

– Gdyby ci kelnerzy znali cię tak jak my, Didier – powiedział Abdullah – okazywaliby ci więcej szacunku.

– To niewątpliwie prawda – zgodził się Didier. – Im bardziej znasz Didiera, tym bardziej go kochasz i szanujesz.

Wstałem, odstawiając kufel.

– Zaraz, chyba nie odchodzisz? – zaprotestował Didier.

– Przyszedłem, żeby coś ci dać. Muszę wracać do domu i się przebrać. Wieczorem wychodzimy na kolację z Randżitem i Karlą.

Rozpiąłem bransoletę z nierdzewnej stali i zsunąłem ją z przegubu. Przez chwilę poczułem ściskanie serca na myśl, że tracę coś, czego zbytnio pragnąłem. Oddałem zegarek Didierowi.

Ten przyjrzał mu się, odwrócił, żeby odczytać tekst na kopercie, a potem zbliżył go

do ucha, słuchając chrobotu mechanizmu.

– Ależ… to znakomity zegarek! – zawołał z zaskoczeniem. – Przepiękny instrument. Czy… czy to naprawdę dla mnie?

– Jasne, że tak. Przymierz.

Didier zapiął zegarek na przegubie i poruszył ręką w górę i w dół, w lewo i prawo, podziwiając swój prezent.

– Pasuje ci – oznajmiłem, wstając. – Idziesz, Abdullah?

– Otóż, mój bracie, w kącie sali siedzi piękna kobieta – oznajmił Abdullah ze śmiertelną powagą, wpatrzony w moje oczy. – Przygląda mi się od co najmniej kwadransa.

– Zauważyłem.

– Wydaje mi się, że posiedzę jeszcze z Didierem.

– Kelner! – rzucił Didier szybko. – Jeszcze jeden sok z granatu! Bez lodu!

Zgarnąłem aparat i cofnąłem się o krok, ale Didier także wstał i rzucił się za mną.

– Zobaczysz dziś Karlę? – spytał, pochylając się do mnie.

– Na to wygląda.

– To twój pomysł?

– Nie.

– Jej?

– Nie.

– To kto wymyślił tak diaboliczny plan?

– Lisa. Trochę mnie zaskoczyła. Dowiedziałem się o nim godzinę temu. Siedząc w barze Edwarda, dostałem wiadomość. A o co chodzi?

– Nie możesz się wykręcić? Znaleźć sposób, żeby tam nie iść?

– Nie sądzę. Nie wiem, o co jej chodzi, ale napisała, że chce, żebym się tam zjawił.

– Lin, nie widziałeś Karli od prawie dwóch lat.

– Wiem.

– Ale… w sprawach sercowych, miłosnych…

– Wiem.

– … te dwa lata to tylko dwie chwile.

– Nie…

– Czekaj! Pozwól mi to powiedzieć. Lin… jesteś… jesteś w bardziej mrocznym

miejscu niż dwa lata temu. Jesteś bardziej mrocznym człowiekiem niż wtedy, gdy po raz pierwszy przybyłeś do Bombaju. Nigdy ci tego nie mówiłem. Wstydzę się do tego przyznać, ale początkowo nawet mi się to podobało. To mnie podnosiło na duchu. Można powiedzieć, że ucieszyłem się z towarzystwa.

Prawie szeptał, wyrzucał z siebie płynny strumień sylab tak szybkich, że brzmiały bardziej jak modlitwa czy zaklęcie niż wyznanie.

– Co ty opowiadasz, Didier?

– Moje uczucia dla Karli są może nawet tak silne jak twoje, na swój sposób. Ale to jej nieobecność w twoim życiu tak cię zmieniła. To, że ją kochałeś i utraciłeś, ściągnęło na ciebie ten cień i uczyniło cię mroczniejszym człowiekiem, niż to zamierzył Bóg.

– Bóg?

– Martwię się, Lin. Martwię się tym, co się w tobie otworzy, jeśli znowu ją zobaczysz. Pewne mosty powinny pozostać spalone. Pewnych rzeknie wolno przekraczać.

– Nic się nie stanie.

– A może mógłbym ci towarzyszyć? Powszechnie wiadomo, że jestem co najmniej równym jej partnerem w dyskusji.

– Nic się nie stanie.

– Zatem, skoro postanowiłeś się z nią spotkać, może zaaranżuję jakiś nieszczęśliwy wypadek Randżita? Taki, który nie pozwoli mu zjawić się na spotkaniu?

– Żadnych wypadków.

– Zatem niefortunny zbieg okoliczności?

– A może pozwolimy działać naturze?

– Tego właśnie się obawiam, jeśli znowu zobaczysz Karlę.

– Nic się nie stanie.

– Hm… – mruknął Didier, spuszczając wzrok na zegarek, który mu dałem. – Dzięki za zegarek. Będę go traktować jak skarb.

– Uważaj na Abdullaha z tą ładną dziewczyną w kącie.

– Wiem. My, twardzi faceci, zakochujemy się szybko i na zabój. Niestety, historia mojego życia. Pamiętam, jak…

– Ja też, bracie – rzuciłem ze śmiechem i odwróciłem się do drzwi. – Ja też.

Przeszedłem obok dwóch chudych turystów, którzy jedli za czterech, czterema

rękami. Położyłem aparat na ich stoliku.

– W tutejszych sklepach jest wart tysiąc dolarów amerykańskich – powiedziałem. – Każdy uliczny sprzedawca weźmie za niego sześć, a uczciwy odda wam pięć.

– Dał nam sto i obiecał, że przyniesie więcej – powiedział jeden z nich.

– Będzie się tu kręcić – wyjaśniłem. – I zażąda swojej setki z powrotem. Jest tu kelner, niejaki Miluś. Trochę sobie dorabia na boku. Ponury skurwysyn, ale możecie mu zaufać. Dobijecie targu, oddacie Salehowi jego pieniądze i jeszcze będziecie do przodu. Uważajcie na siebie.

– Dziękuję – powiedzieli obaj.

Wyglądali jak bracia. Nie wiem, w której części Indii przebywali, ale najwyraźniej tam zgłodnieli.

– Dołączysz do nas?

– Już idę na kolację – odparłem z uśmiechem. – Ale dziękuję.

Wyszedłem na parking. Abdullah i Didier unieśli ręce na pożegnanie. Didier udał, że robi zdjęcie, sarkastycznie komentując, że pomogłem dwóm obcym.

Odwróciłem się i spojrzałem na pojazdy przeciskające się obok rozpartego autobusu. Didier i Abdullah, mężczyźni tak odmienni od siebie, byli jednak pod wieloma względami jak bracia. Pomyślałem o tym, co zrobiliśmy, trzej nie-mędrcy, razem i osobno, odkąd spotkaliśmy się jako uchodźcy w Mieście Wysp. Niektórych rzeczy żałowaliśmy, o innych nie mówiliśmy. Ale były też triumfy i jasne chwile. Gdy któregoś raniła miłość, pozostali dezynfekowali ranę sarkazmem. Gdy któryś stawał w obliczu przeważającej siły wroga, inni przynosili broń. Gdy jeden tracił nadzieję, inni wypełniali pustkę lojalnością. A kiedy obejrzałem się na nich, poczułem tę lojalność jak rękę położoną na piersi i myślałem o ich przyszłości z taką samą nadzieją jak o własnej.

Strach jest wilkiem na łańcuchu, niebezpiecznym tylko wtedy, kiedy się go uwolni. Smutek wyczerpie się do zera w sieci zapomnienia. Gniew, choćby najstraszniejszy, można zabić uśmiechem. Tylko nadzieja jest wieczna, ponieważ nie należy do nas, a do naszych przodków, pierwszych ludzi, których odważna miłość dała nam niemal całe dobro, jakie w sobie mamy. Nadzieja, to pradawne ziarno, odkupuje serce, którym się żywi. Bicie serca świadomej teraźniejszości zależy od tego samego wyboru, jaki daje nam wszystkim nadzieja, między mrokiem przeszłości i jasną, niezapisaną stroną nowego dnia.

# 20

Przeszłość jest powieścią, której autor – Przeznaczenie – splata ze sobą te same tematy: miłość z jej chwałą, nienawiść z jej więźniami, duszę i jej cenę. O akcji decydują nasze decyzje, narzucone przez przeznaczenie wybory, którymi nieświadomie zmieniamy kurs rzeki życia. W teraźniejszości, gdzie podejmuje się decyzje i nawiązuje się więzi, Przeznaczenie czeka na brzegach opowieści, zostawiając nam popełnianie błędów i doznawanie cudów, bo tylko nasza wolna wola prowadzi nas od jednego do drugiego.

Tamtego dnia stałem przy motocyklu, przyglądając się twarzom przechodniów. Jedna z nich przykuła mój wzrok. Młoda kobieta, błękitnooka nerwowa blondynka. Stała na chodniku przed Leopoldem, czekając na kogoś. Była przestraszona, lecz zdeterminowana, równie dzielna, jak trwożna.

Wyjąłem medalion, który kupiłem od Billy'ego Bhasu. Otworzyłem go i spojrzałem na zdjęcie. Była to ta sama dziewczyna.

Na każdej złej ulicy można spotkać setki dobrych dziewcząt, czekających na faceta, który przeważnie nie jest tego wart. Dziewczyna czekała, aż jej chłopak wróci z narkotykiem. Ona sama nie brała; była chuda, ale wyglądała na zbyt zdrową i zbyt świadomą świata. Podejrzewałem, że narkomanem był jej chłopak i że to ona sprzedała medalion Billy'emu Bhasu, ulicznemu handlarzowi, żeby zyskać pieniądze na narkotyki.

Znałem życie ulicy na tyle dobrze, by rozpoznać kogoś mocno uzależnionego nawet na podstawie obserwacji jego partnerki. Sam byłem uzależniony i widziałem ten nałóg w oczach wszystkich, którzy mnie kochali. Fakt, że dziewczyna z medalionu czekała przed Leopoldem, a nie w środku, oznaczał, że ona i jej chłopak mają już za sobą pierwszy etap turystyczny, z zimnymi drinkami i gorącym jedzeniem oraz przesiadywaniem całymi dniami w restauracjach. Fakt, że była na ulicy, a nie w hotelu, świadczył, że prawdopodobnie zalegali z opłatami. Dziewczyna czekała, aż chłopak wróci z narkotykami, kupionymi za ich miłosny medalion, i pieniędzmi na pokój.

Widywałem już takie dziewczyny jak ta z medalionu. Opuszczały Miasto Wysp jako prochy rozsypane przez niechętne ręce, niedługo po przybyciu. Były piękne jak wszystkie dziewczyny i zawsze tę część ich historii pisał jakiś niezbyt piękny facet.

Mógłbym odjechać bez słowa. Robiłem tak codziennie – przejeżdżałem obok smutku, zaniedbania, daremności. Nie można przeskakiwać przez każdą obręcz, którą podsuwa ci Przeznaczenie.

Ale medalion ożył na moich oczach, naśladując sztukę, a ja podszedłem do dziewczyny.

– To chyba twoje – powiedziałem, trzymając medalion na otwartej dłoni.

Spojrzała na niego oczami rozszerzonymi strachem, ale ani drgnęła.

– Śmiało. Weź go.

Nieśmiało wyciągnęła rękę i zgarnęła medalion z mojej dłoni.

– Co… czego…

– Niczego nie chcę – przerwałem jej. – Wpadło mi to w ręce, że tak powiem. To wszystko.

Uśmiechnęła się z zażenowaniem.

– Powodzenia – dodałem.

Odwróciłem się, żeby odejść.

– Pewnie go zgubiłam – rzuciła szybko, broniąc się kłamstwem.

Zatrzymałem się.

– Kiedy mój chłopak wróci, damy ci nagrodę – oznajmiła, przywołując uśmiech, którego od jakiegoś czasu nie używała.

– Nie zgubiłaś go. Sprzedałaś.

– Co?

– Fakt, że sprzedałaś go z waszymi fotografiami, świadczy, że twój chłopak się spieszył. A fakt, że się spieszył, oznacza, że robił to pod presją. Jedyne, co w tym mieście wywiera podobną presję na ludzi takich jak my, to narkotyki.

Drgnęła, jakbym czymś jej zagroził.

– Ludzi takich jak my… – powtórzyła. Skandynawski akcent, brzmiący przyjemną melodią w jej słowach, nie pasował do smutku w jej oczach.

Odszedłem.

Obejrzałem się. Nadal się kuliła; spazm szoku zgarbił jej ramiona.

Wróciłem.

– Słuchaj – odezwałem się łagodniej, rozglądając się na prawo i lewo. – Zapomnij.

Wręczyłem jej zwitek banknotów, cały zarobek z tego dnia, i odwróciłem się, ale

mnie zatrzymała. Trzymała pieniądze w zaciśniętej ręce.

– O… o czym ty mówisz?

– Zapomnij – powtórzyłem, cofając się o krok. – Zatrzymaj pieniądze. Zapomnij, co powiedziałem.

– Nie! – rzuciła błagalnie, zaplatając ramiona na piersi. – Powiedz mi, o co ci chodzi.

Zatrzymałem się i znowu westchnąłem.

– Musisz zostawić tego faceta, ktokolwiek to jest – powiedziałem w końcu. – Wiem, jak to się kończy. Widziałem to setki razy. Nieważne, jak bardzo go kochasz ani jaki jest miły…

– Nic nie wiesz.

Wiedziałem, że następne swoje zdjęcie, które komuś sprzeda, będzie się znajdować w jej paszporcie. Wiedziałem, że nadal ma paszport, bo jeszcze do mnie nie trafił. Ale sprzeda go, to pewne, jeśli jej chłopak o to poprosi. Sprzeda wszystko, a kiedy nic jej nie zostanie, zacznie sprzedawać siebie.

A jej chłopak będzie miał z tego powodu wyrzuty sumienia, ale przyjmie pieniądze, które dziewczyna zarobi na sprzedawaniu ciała, i kupi za nie narkotyki. Wiedziałem to tak samo jak każdy uliczny naganiacz, sklepikarz i alfons. Tak wygląda prawda o uzależnieniu, która tylko czekała na urzeczywistnienie, a oni byli prawdą ulicy i tylko czekali, żeby wykorzystać tę dziewczynę.

– Masz rację – powiedziałem. – Nic nie wiem.

Podszedłem do motocykla i odjechałem. Czasem rzucasz do gry wszystko, czasem nic, czasem próbujesz, czasem mijasz. Złoty łańcuszek i fotografia łączyły mnie jakoś z tą dziewczyną, ale zbyt wiele dziewczyn w zbyt wielkich kłopotach czekało gdzieś na swoich robiących kłopoty chłopaków. Zresztą sam byłem takim chłopakiem. Życzyłem szczęścia dziewczynie z medalionu, a przestałem o niej myśleć, zanim zaparkowałem motocykl przed domem.

Lisa była zajęta, milczała, gdy goliłem się, brałem prysznic i wkładałem świeże ubranie. To dobrze. Nie chciałem rozmawiać. Kolacja z Randżitem i Karlą nie była moim pomysłem.

Choć oboje mieszkaliśmy na wąskim półwyspie Miasta Wysp, nie spotkałem Karli, odkąd zamieszkałem z Lisą. Od czasu do czasu widywałem jej zdjęcia z Randżitem – w jego gazetach – ale przeznaczenie nigdy nie skrzyżowało naszych ścieżek.

„Karla nawiedza także dom mojego życia”, powiedziała Lisa. Rozumiałem, o co jej

chodziło, ale Karla nie była duchem. Karla była bardziej niebezpieczna.

– Jak wyglądam? – spytała mnie Lisa, stając na tle drzwi naszego mieszkania.

Miała na sobie bardzo krótką niebieską jedwabną sukienkę bez rękawów. Włożyła do niej naszyjnik i bransoletkę z muszelek, które dostała ode mnie, i rzymianki sznurowane aż do kolan.

Umalowała się mocniej niż zwykle, ale było jej w tym do twarzy: błękitne jak niebo oczy w czarnej aureoli. Gęste jasne loki fruwały swobodnie jak zawsze, ale sama przystrzygła grzywkę kuchennymi nożyczkami – nieregularnie, przypadkowo, rewelacyjnie.

– Wyglądasz świetnie – powiedziałem z uśmiechem. – Jestem zachwycony tą fryzurą. Odłożyłaś mój nóż na miejsce, gdy skończyłaś?

– Wiesz, gdzie sobie możesz wsadzić swój nóż, brachu? – spytała, śmiejąc się i mocno trącając mnie w pierś.

– Mówiłaś serio o tym spotykaniu się z innymi? – spytałem poważnie.

– Tak – rzuciła szybko. – Spotykam się. I ty też powinieneś.

– Po to ta niespodziewana kolacja?

– W pewnym sensie. Możemy o tym później porozmawiać.

– Powinniśmy porozmawiać już teraz. I o paru innych rzeczach.

– Najpierw porozmawiaj z Karlą.

– Co?

– Będzie tam dzisiaj. Porozmawiaj z nią. Dowiedz się, co myśli, a potem porozmawiamy o tym, co ty myślisz.

– Nie rozumiem…

– Właśnie. Jedźmy, kowboju, bo się spóźnimy.

Pojechaliśmy do hotelu Mahesh w przerwie w deszczu. Zaczął padać, gdy wjechaliśmy pod markizę nad wejściem. Zaparkowałem motocykl w niszy, z dala od głównych drzwi. Parkowanie w tym miejscu było surowo zabronione, więc kosztowało mnie pięćdziesiąt rupii.

Przy szeregu drzwi Lisa zatrzymała się, trzymając mnie za rękę.

– Jesteś na to gotowy? – spytała.

– Na co?

– Na Karlę – wyjaśniła z jasnym, odważnym uśmiechem. – A na co?

Randżit siedział przy stole z dziesięcioma nakryciami. Towarzyszyło mu dwóch

naszych wspólnych znajomych, Cliff De Souza i Chandra Mehta. Obaj mężczyźni byli wspólnikami w hollywoodzkiej wytwórni filmowej. Moja znajomość z nimi zaczęła się przed paroma laty, kiedy zwrócili się do mnie z prośbą o wymianę ich niezgłoszonych, nieopodatkowanych rupii na dolary z czarnego rynku, którymi zamierzali przekupić urząd celny, ponieważ tam przyjmowano tylko dolary. Lisa pracowała z nimi przez parę miesięcy, prowadząc małą agencję aktorską, dostarczającą cudzoziemców jako statystów do hinduskich filmów. Gdy przeszła z agencji do galerii, nie straciła kontaktu z Cliffem i Chandrą.

W ostatnich latach ich filmy okazały się przebojami łanowymi. Producenci wyrobili sobie markę, która przyciągała największe gwiazdy w mieście. Miarą ich sukcesu było to, że Chandra i Cliff, którzy zawsze pokazywali się publicznie z młodą gwiazdeczką, zjawili się dziś w towarzystwie czterech ładnych dziewcząt.

Przywitaliśmy się, poznaliśmy dziewczęta – Monikę, Mallikę, Simple i Snehę – i usiedliśmy przy stole. Randżit umieścił nas po obu swoich stronach, Lisę po prawej, mnie po lewej. Nie było miejsca dla Karli.

– Karla nie przyjdzie? – spytała Lisa.

– Nie, przykro mi – oznajmił Randżit, zaciskając wargi w niewesołym uśmiechu. – Hm… nie czuje się dziś w stu procentach dobrze. Prosi o wybaczenie i przesyła pozdrowienia.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego? Powinnam do niej zadzwonić?

– Nie, to nic poważnego. Ostatnio zbyt się przepracowuje. To wszystko.

– Przekaż jej moje pozdrowienia.

– Dobrze, Liso, dobrze.

Lisa zerknęła na mnie, ale szybko odwróciła głowę.

– Mallika, wszystkie jesteście aktorkami? – spytała dziewczyny siedzącej najbliżej.

Dziewczyny zachichotały i skinęły głowami.

– Tak – powiedziała nieśmiało Mallika.

– Trudno dostać się na sam szczyt – zauważył Cliff De Souza, już trochę niewyraźnie. Alkohol zaczął działać. – Nie wiemy, która z was dotrze na następny poziom, *yaar*, a która zawiedzie i zniknie bez śladu.

Dziewczyny zachichotały nerwowo. Chandra Mehta pospieszył z pocieszeniem.

– Wszystkie będziecie mieć szansę – zapewnił dziewczyny. – Wasze twarze pojawią się na ekranie. To gwarantowane. Jak w banku. Ale jak powiedział Cliff, nie można

stwierdzić, która z was będzie miała tę szczególną magię przed kamerą, to coś, co spowoduje, że pójdziecie naprzód i w górę, że tak powiem.

– Wypiję za to! – zawołał Cliff, unosząc kieliszek. – Naprzód i w górę!

– Od dawna grasz? – spytała Lisa Simple, gdy kieliszki wróciły na stół.

– O, tak – odparła dziewczyna.

– Zaczęłyśmy wiele miesięcy temu – dodała Monica.

– To już weteranki – wymamrotał Cliff. – Jeszcze jeden toast! Za interes, na którym się wzbogacimy!

– Za show-biznes! – zgodził się Chandra.

– Za kreatywną księgowość! – poprawił go Cliff.

– Za to na pewno wypiję! – Chandra roześmiał się i stuknął kieliszkiem w jego kieliszek.

Przyniesiono pakory i wąskie paski kaszmirskiej parathy.

– Pozwoliłem sobie złożyć zamówienie – oznajmił Randżit. – Coś niewegetariańskiego dla Cliffa, Lina i Lisy i szeroki wybór wegetariańskich dań dla pozostałych. Proszę, częstujcie się! – Tu odwrócił się do Chandry. – Czy przypadkiem zerknąłeś na artykuł w mojej gazecie? W zeszłym tygodniu? Ten o młodym tancerzu geju, zamordowanym w pobliżu twojego studia?

– On nie czytuje niczego z wyjątkiem umów – odparł Cliff, nalewając sobie kolejny kieliszek czerwonego wina. – Ale ja czytałem. Właściwie czytała go moja sekretarka. Buczała jak dziecko, mało oczu nie wypłakała, a kiedy spytałem, co się stało, przeczytała mi cały artykuł. O co chodzi?

– Pomyślałem, że to dobry pomysł na film – wyjaśnił Randżit, podając koszyk pakor Lisie. – Gdybyście się zainteresowali, moja gazeta by się włączyła. I zainwestowałbym pieniądze.

– Cholernie dobry pomysł! – zgodziła się Lisa.

– Więc to po to ta kolacja – powiedział Chandra.

– A nawet jeśli? – spytał Randżit, uśmiechając się uroczo.

– Mowy nie ma! – wybełkotał Chandra z ustami pełnymi jedzenia. – Myślisz, że zwariowaliśmy?

– Wysłuchaj mnie – nie ustąpił Randżit. – Jeden z moich felietonistów, całkiem niezły, napisał już parę scenariuszy dla twojej konkurencji…

– My nie mamy konkurencji – przerwał mu Cliff. – Jesteśmy na szczycie filmowej

drabiny i rzucamy kokosami we wszystkich na dole!

– W każdym razie – ciągnął niezrażony Randżit – ten młody pisarz zapalił się do historii. Już zaczął pisać scenariusz.

– Ten jakiś tancerz był głupi – rzucił Cliff.

– Ten jakiś tancerz miał imię – odezwała się cicho Lisa.

Zachowywała się spokojnie, ale widziałam, że jest zła.

– Tak, oczywiście…

– Nazywał się Awinasz. Był świetnym tancerzem, zanim tłum pijanych bandytów pobił go do nieprzytomności, oblał benzyną i zaczął w niego rzucać płonącymi zapałkami.

– Jak powiedziałem… – zaczął Cliff, ale jego partner biznesowy go uciszył.

– Słuchaj, Randżit – zaczął nerwowo Chandra. – Możesz bawić się w bohatera na stronach swojej gazety, rozpisując się o tym biedaku…

– Awinaszu – powiedziała Lisa.

– Tak, tak, Awinaszu: Możesz o nim pisać, ryzykować i jakoś ci się upiecze. Ale bądź realistą. Jeśli zrobimy taki film, dobiorą się nam do tyłka. Zamkną kina.

– Spalą je! – dodał Cliff. – A my stracimy góry pieniędzy, zupełnie bez sensu.

– Wydaje mi się, że niektóre historie są tak ważne – odezwał się łagodnie Randżit – że powinniśmy dla nich zaryzykować.

– Nie tylko my narażamy się na ryzyko – odparł Chandra rozsądnie. – Zastanów się przez chwilę. Gdybyśmy zrobili taki film, doszłoby do zamieszek. Tłum atakowałby kina. Jak powiedział Cliff, mogłoby nawet dojść do podpaleń. Ginęliby ludzie. Czy warto ryzykować coś takiego, żeby opowiedzieć historię?

– Ktoś już zginął – zauważyła Lisa przez zaciśnięte zęby.

– Tancerz. Cudownie utalentowany tancerz. Ale czy kiedykolwiek widziałeś go w NCSP?

Cliff prychnął winem na stół.

– W Narodowym Centrum Sztuk Performatywnych? – rzucił ironicznie. – Chandrę interesują tylko sztuki, które wyczyniają ładne dziewczyny po zgaszeniu świateł, nie, bracie?

Chandra Mehta poruszył się nerwowo.

– Wyluzuj z tym piciem, Cliff. Za wcześnie zacząłeś.

– Mów za siebie – warknął jego partner i nalał sobie kolejny kieliszek. – Martwisz

się, że powiem Randżitowi, iż jego lipna kampania bardziej dotyczy jego politycznych ambicji niż Awinasza, zmarłego tancerza? To Randżit powinien się martwić, nie my. Kupujemy jego gazetę codziennie.

– Może zostawimy interesy w pracy? – wycedził Randżit z wymuszonym uśmiechem.

– Sam zacząłeś – odparł Cliff, machając kieliszkiem i ochlapując winem kolorowe bransoletki Snehy.

– Masz jakąś *prywatną* opinię na temat tego, co spotkało Awinasza? – spytała go Lisa. – Zważywszy, że do morderstwa doszło dwieście metrów od twojej wytwórni, a Awinasz tańczył w trzech twoich filmach?

– Lin – rzucił szybko Chandra. – Pomóż mi. Co sądzisz? Mam rację, na? Gdybyśmy zrobili taki film, kina utonęłyby we krwi. Nie powinniśmy niepotrzebnie obrażać wrażliwości i… i uczuć, no wiecie, wszystkich społeczności, no nie?

– To wasza dziedzina, panowie, nie moja. Wy dwaj robicie w filmach, Randżit – w gazecie, a to nie ma nic wspólnego ze mną.

– O, daj spokój – jęknął Randżit, zerkając na Lisę. – Posłuchajmy, co naprawdę o tym myślisz.

– Już dałem ci uczciwą odpowiedź.

– Proszę – odezwała się Lisa.

– Dobrze. Ktoś powiedział, że wyrafinowanie każdej społeczności jest odwrotnie proporcjonalne do jego zdolności do wybuchów agresji w reakcji na to, co ludzie mówią publicznie lub robią prywatnie.

– Ni… cholery… nie… rozumiem… co to ma, kurwa, znaczyć – powiedział Cliff w osłupieniu.

– To znaczy – wyjaśnił Randżit – że ludzie wyrafinowani nie denerwują się tym, co ludzie mówią publicznie albo robią w zaciszu własnych domów. To dowód na brak wyrafinowania.

– Ale… co to znaczy dla mnie? – spytał mnie Chandra.

– To znaczy, że zgadzam się z tobą. Nie powinieneś robić tego filmu.

– Co? – wykrztusiła Lisa.

– Widzisz? – rzucił Cliff, machając kieliszkiem. – Mam rację.

– Dlaczego, Lin? – spytał Randżit, tracąc uroczy uśmiech.

– To nie jest ich walka.

– Mówiłem! – oznajmił Cliff z satysfakcją.

– Ale to ważne, zgodzisz się? – spytał mnie Randżit, choć surowe spojrzenie kierował na Lisę.

– Oczywiście, że ważne. Zabito człowieka, zamordowano go, i to nie za coś, co zrobił, ale za to, kim był. Ale to nie jest ich walka, Randżit. Oni w to nie wierzą, a Awinasz zasługuje na ludzi zaangażowanych.

– W zeszłym tygodniu Awinasz – oznajmiła Lisa, przeszywając mnie wzrokiem – a w przyszłym mogą pobić i podpalić muzułmanina, Żyda, chrześcijanina albo kobietę. Czy może producenta filmowego. Wtedy to by zainteresowało wszystkich.

– Można to zrobić tylko wtedy, gdy się w to wierzy – odparłem. – Cliff i Chandra nie wierzą. Nie obchodzi ich Awinasz, bez urazy. To nie ich walka.

– Właśnie! – zawołał Cliff. – Chcę tylko zarobić górę pieniędzy, może dostać parę nagród tu czy tam i żyć długo i szczęśliwie na czerwonym dywanie. Czy to taki grzech?

Podano pierwsze danie, więc nie mogliśmy rozmawiać. Wszyscy zajęli się małym rojem kelnerów serwujących nam wachlarz potraw.

Pojawił się posłaniec z recepcji. Ukłonił się gościom i pochylił się do mojego ucha.

– W recepcji czeka niejaki pan Naveen – szepnął mi do ucha. – Twierdzi, że musi się z panem spotkać w dość pilnej sprawie.

Przeprosiłem wszystkich i poszedłem do lobby. Bez trudu znalazłem Naveena i Divyę. Ich kłótnię słyszał każdy w promieniu dziesięciu metrów.

– A właśnie, że nie! – wrzasnęła Divya.

– Jesteś taka…

– Nigdy! – ucięła. – Nie zrobię tego!

– Cześć, stary – rzucił Naveen i westchnął. – Przepraszam, że ci psuję kolację.

– Nie ma sprawy – odparłem, ściskając mu dłoń i kiwając głową naburmuszonej gwieździe towarzystwa. – Co tam?

– Wracaliśmy z prywatnej imprezy na osiemnastym piętrze…

– Akurat zaczęła się rozkręcać! – burknęła Divya.

– Za chwilę rozkręciłaby się tak bardzo, że gości zgarnięto by za zakłócanie spokoju – skorygował Naveen. – Dlatego wyszliśmy. I zgadnij, kto wsiadł do nas do windy? Nie kto inny jak nasz tajemniczy mężczyzna…

– Pan Wilson.

– Ten sam.

– Rozmawiałeś z nim?

– Nie mogłem się oprzeć. Wiem, że miałem poczekać, aż porozmawiamy z nim wspólnie, ale wydawało mi się, że to sam Bóg podsuwa mi tę szansę, więc postanowiłem improwizować.

– Co mu powiedziałeś?

– Że George Skorpion jest moim przyjacielem i że wiem, iż facet go szukał. Spytałem, o co chodzi i dlaczego łazi za moim przyjacielem.

– I?

– Jest prawnikiem – wtrąciła Divya.

– Pozwolisz opowiedzieć? – rzucił Naveen, zaciskając zęby. – Powiedział, że jest prawnikiem i że ma ważną wiadomość dla Skorpiona, tylko że nazwał go panem George'em Bradleyem. To nazwisko Skorpiona?

– Tak. Wilson powiedział, co to za wiadomość?

– Słowa nie pisnął. Chciałbym, żeby był moim prawnikiem. Ale powiedział, że to nic szkodliwego dla Skorpiona.

– To ja to z niego wydusiłam! – syknęła Divya.

– Tak, grożąc, że rozerwiesz bluzkę i zaczniesz krzyczeć, że rzucił się na ciebie w windzie. Moim zdaniem trochę za bardzo pojechałaś.

– Po to się jeździ, idioto! Żeby jechać za bardzo! Po co innego?

– Powiedział coś jeszcze?

– Nie. Już nic więcej. Etyka zawodowa, jak powiedział.

– Gdybyś pozwolił mi wrzasnąć, wszystko byśmy już wiedzieli – oznajmiła Divya. – Ale nie, o nie! Krzyk to niedopuszczalna taktyka dla wielkiego pana detektywa!

– A gdybyś zarobiła tym wrzaskiem na celę w areszcie, czy dobrze bym wykonywał swoją pracę? – wycedził Naveen.

– Jak to możliwe, że nadal jesteście razem? – spytałem. – Nie załatwiliście tej sprawy z niedoszłym gwiazdorem Bollywood?

– Załatwiliśmy – przyznał Naveen z westchnieniem. – Ale jej ojciec załatwia właśnie wielki interes…

– Mukesh Devnani nie robi wielkich interesów, *chamcha* – przerwała Divya. – Mój ojciec robi ogromne, gigantyczne interesy.

– Jej ojciec załatwia ogromny, gigantyczny interes – poprawił się Naveen – i najwyraźniej organizacje, które nie zostały zaproszone, są urażone. Przysłano groźby. Paskudne sprawy. Tata Divyi nie chce ryzykować. Poprosił, żebym przypilnował

smarkuli przez parę tygodni, dopóki nie załatwi interesu.

– Nie jestem smarkulą! – warknęła Divya i pokazała mu język. – I daję słowo, nie mogę się doczekać, kiedy ten interes się skończy!

– Czy ty właśnie pokazałaś mi język? – spytał Naveen osłupiały.

– To właściwa reakcja – oznajmiła naburmuszona.

– Oczywiście, u czterolatki.

– A… – przerwałem im – co było dalej z Wilsonem?

– Wiedziałem, że tu jesteś – powiedział szybko Naveen. – Jeden z gości naszej imprezy powiedział, że widział cię po drodze. Że jesz kolację z Randżitem Choudry. Pomyślałem, że to jedyna szansa, żeby zakończyć tę sprawę, więc poprosiłem Wilsona, żeby spotkał się z nami na zewnątrz, na falochronie. Czeka tam na nas. Co sądzisz?

– Sądzę, że powinniśmy porozmawiać z facetem. Jeśli jest tym, za kogo się podaje, powinniśmy go zawieźć do Zodiakalnych George'ów. Divyo, zostaniesz tu z moją dziewczyną Lisą?

– Nie zaczynaj! – warknęła.

– Właśnie o to się kłóciliśmy – wyjaśnił Naveen. – Powiedziałem jej, że jeśli zechcesz pojechać ze mną do George'ów z tym Wilsonem, ona powinna zostać w hotelu, dla bezpieczeństwa. Nie kupuje tego.

– Jaja sobie robisz? – warknęła. – To najciekawsza rzecz, jaka mnie spotkała od pierdyliona lat, wyprawa z tajemniczym człowiekiem do tych jakichś Zodiaków, a ty mi każesz siedzieć w kącie jak grzeczna dziewczynka? Nie ma mowy. Jestem niegrzeczną dziewczynką. Jadę z wami.

Zerknąłem na Naveena. Jego półuśmiech i zrezygnowane wzruszenie ramion świadczyły, że już przywykł do ustępstw.

– Dobrze. Zaczekajcie tutaj. Powiem Lisie.

Wróciłem do stolika, oparłem ręce na krześle Lisy i pochyliłem się do jej ucha. Szeptem przedstawiłem jej sytuację, a potem przeprosiłem wszystkich zebranych.

– Panie i panowie, z żalem stwierdzam, że muszę wyjść w sprawie dotyczącej przyjaciela. Wybaczcie mi, proszę.

– Mieliśmy zjeść kolację z Randżitem – powiedziała Lisa, wściekle i głośno.

– Liso…

– A jeśli nie zauważyłeś, jesteśmy w jej trakcie.

– Tak, ale…

– To chamstwo – oznajmiła sucho.

– To nagły wypadek. Chodzi o Skorpiona.

– Dlatego wychodzisz? – rzuciła gniewnie. – Czy dlatego, że nie ma Karli?

Spojrzałem na nią osłupiony, zraniony, choć nie rozumiałem dlaczego.

Przyjaźniliśmy się ze Skorpionem i z Bliźniakiem, a sprawa była dla nich ważna.

Lisa wpatrywała się we mnie nieruchomo. Jej spojrzenie nie zdradzało nic prócz gniewu. Milczenie przerwał Randżit:

– No, przykro nam, że z nami nie zostaniesz. Ale bądź pewien, zaopiekujemy się Lisą. I może zdążysz wrócić z tej… wyprawy awaryjnej… na deser. Przypuszczam, że będziemy tu jeszcze jakiś czas.

Spojrzał na mnie z uśmiechem równie szczerym i prawdziwym jak zawsze. Lisa nawet nie drgnęła.

– Serio – dodał Randżit, przykrywając dłonią rękę Lisy. – Zrobimy wszystko, żeby zabawić lisę. Nie przejmuj się.

– Jedź już! – rzuciła Lisa. – Skoro to takie ważne, to już jedź. Przyglądałem się im przez chwilę. Spojrzałem na Randżita i ich dłonie na stole. Jakiś perwersyjny i bardzo szczery instynkt namawiał mnie, żeby uderzyć mocno Randżita. Gdziekolwiek.

Pożegnałem się i odszedłem. Teraz wiem, że gdybym posłuchał tego instynktu, gdybym wywlókł Randżita z hotelu, sponiewierał go i wrzucił z powrotem w to jego kłębowisko węży, wszystkim nam – a może nawet jemu – żyłoby się lepiej i bezpieczniej.

Ale tego nie zrobiłem. Postanowiłem być ponad to. Postąpiłem jak należy. Byłem tym lepszym. Czasem jestem. I tej nocy przeznaczenie napisało dla nas wszystkich nowy rozdział na gwieździstych, czarnych stronach.

# 21

Na dworze mocne podmuchy wiatru pieszczotliwie zgarnęły lekką mgiełkę znad zatoki, przesuwając ją przez szeroką szosę migotliwym welonem delikatnej wilgoci. Monsunowy deszcz, rozważający kolejny atak na miasto, rozmieścił chmury na całym horyzoncie nad morzem.

Prawnik, pan Wilson, opierał się niedbale o sięgający bioder falochron. Miał na sobie granatowy garnitur, a w długich bladych palcach trzymał parasol i fedorę. Jego wykrochmalony kołnierzyk ściskał krawat. Zawiedzeni prawnicy czasem wieszają się na swoich krawatach. Patrząc na Wilsona, zastanawiałem się nad zawodem, którego przedstawiciele chodzą z własnym stryczkiem na szyi.

Zbliżając się do niego, zauważyłem, że rzeczywiście ma srebrzystosiwe włosy, dziwnie kontrastujące ze szczupłą, gładką twarzą trzydziestopięciolatka. Jego oczy miały odcień łagodnego błękitu, który zdawał się zabarwiać białka – wszechogarniający błękit. Lśniły w nich odwaga albo po prostu dobry humor. Spodobały mi się.

– To jest Lin – przedstawił mnie Naveen. – Nazywają go także Shantaram.

– Miło mi – powiedział Wilson, podając mi wizytówkę.

Na karcie widniało nazwisko – E.C. Wilson – oraz nazwa kancelarii, mającej filie w Ottawie i Nowym Jorku.

– Rozumiem, że może mnie pan zabrać na spotkanie z panem Bradleyem, George em Bradleyem – odezwał się Wilson, gdy schowałem jego wizytówkę.

– Rozumiem, że może mi pan powiedzieć, czego pan, do cholery, chce od niego – odparłem spokojnie.

– Aleś mu powiedział – prychnęła Divya.

– Proszę cię, milcz! – syknął Naveen.

– Jeśli naprawdę zna pan pana Bradleya…

– Nazywa mnie pan kłamcą? – spytał Naveen.

– Evan – odparł spokojnie Wilson. – Evan Wilson. I z całą pewnością nie wątpię w pańskie słowo. Mówię tylko, że jako znajomi pana Bradleya rozumiecie, iż sprawa,

którą mam do niego, jest prywatna.

– I pozostanie prywatna – zapewniłem. – Tak prywatna, że nigdy się z nim pan nie spotka bez wyjaśnienia choć w ogólnych zarysach, czego pan od niego chce. George Skorpion jest nerwowy. Lubimy go takiego. Nie niepokoimy go bez przyczyny. Rozumie to pan, tak?

Wilson odpowiedział mi spokojnym, niezmieszanym spojrzeniem. Szerokim chodnikiem przeszło kilka osób walczących z wiatrem. Dwie taksówki zatrzymały się obok w nadziei na zarobek. Poza tym na ulicy panował spokój.

– Powtarzam – powiedział w końcu Wilson, przyjaźnie lecz zdecydowanie – to prywatna…

– Dość! – warknęła Divya. – Może go po prostu skopiecie? Zrobi się rozmowny, jeśli spuścicie mu solidny wpierdol.

Wilson, Naveen i ja zagapiliśmy się na drobniutką, szczuplutką gwiazdę wyższych sfer.

– No co? – rzuciła. – Jazda! Lać gnoja!

– Powinienem uprzedzić – rzucił szybko Wilson – że pozwoliłem sobie podjąć środki ostrożności w postaci wynajęcia ochroniarza z hotelu. W tej chwili nas obserwuje. Tam, koło tamtego samochodu.

Naveen i ja spojrzeliśmy w jego stronę. W cieniu, jakieś pięć metrów od nas, stał ochroniarz w czarnym garniturze. Znałem go. Na imię miał Manaw.

Pan Evan Wilson popełnił błąd, ponieważ nie znał miejscowych reguł. W tamtych latach człowiek potrzebujący prywatnej ochrony wynajmował zawodowca, czyli albo gangstera, albo policjanta na urlopie. Facetom takim jak Manaw nie płacono wystarczająco dużo, żeby naprawdę narażali się na ryzyko. Jako niskoopłacanych pracowników nic ich nie chroniło, jeśli sytuacja zrobiła się niesympatyczna. Nie mieli ubezpieczenia i nie mogli nikogo pozwać, gdyby odnieśli obrażenia. Gdyby zrobili komuś krzywdę i zostali za to pozwani, poszliby do więzienia. Zatem Manaw był wielkim, muskularnym facetem i jak wielu innych wielkich, muskularnych facetów wiedział, że złamana kość utrudni mu chodzenie na siłownię. Straciłby muskulaturę. W przypadku kulturystów jest to problem, który skłania ich do poważnego zajrzenia sobie w oczy w lustrze siłowni.

– W porządku, Manaw! – zawołałem. – Wracaj do hotelu. Wezwiemy cię, kiedy będziemy cię potrzebować.

– Tak jest, Linbaba! – odpowiedział z widoczną ulgą. – Do widzenia panu, panie

Wilson!

Ochroniarz truchtem wrócił do hotelu. Wilson odprowadził go wzrokiem. Trzeba mu oddać, że uśmiechnął się i zachował spokój.

– Wygląda na to, panowie – powiedział łagodnie – że niespodziewanie awansowaliście do kręgu osób najbardziej bliskich panu Bradleyowi.

– No pewnie, ty cholerny białasie! – syknęła wściekle Divya.

– Zechcesz się w końcu zamknąć? – rzucił Naveen. – I w ogóle co to miało być? „Białasie”? A ty co, z Harlemu jesteś czy jak?

– Jestem ze sławnego narodu Pierdol Się – warknęła Divya. – Chcesz usłyszeć nasz hymn?

– Zdaje się, że miał pan przejść do zwierzeń – zauważyłem.

– Mam na imię Evan. Mogę wyjawić, że pan Bradley otrzymał spadek. Jako jedyny żyjący krewny Josiaha Bradleya, niedawno zmarłego właściciela Aeneas Trust, zarejestrowanego w Ottawie, otrzyma znaczną sumę, o ile zdołam go znaleźć i złożyć stosowne deklaracje w obecności upoważnionego notariusza.

– Jak bardzo znaczną? – spytał Naveen.

– Jeśli pozwolicie, zostawię to do wiadomości pana Bradleya. Sądzę, że to on powinien wyjawić wam wysokość swojego spadku – lub nie, jeśli tak zdecyduje.

Wilson nie musiał się martwić o to, czy George Skorpion nam to wyjawi. Kiedy zawieźliśmy go taksówką do hotelu Frantic, przekonaliśmy Zodiakalnych George’ów, żeby zeszli na spotkanie i zostawiliśmy ich z nim samych na ulicy, piętnaście sekund później usłyszeliśmy krzyk George’a Bliźniaka:

– Trzydzieści pięć milionów! O Jezusie Krezusie! Trzydzieści pięć milionów! *Dolarów*, jak babcię kocham!

– Jeszcze tamta ulica cię nie słyszała – warknął Skorpion, rozglądając się nerwowo.

– Czego się boisz? Na razie nie mamy tych pieniędzy! Nikt nas nie zabije we śnie z powodu pieniędzy, których nie mamy.

– Mogą nas porwać – odparł Skorpion, dając nam znak, żebyśmy podeszli. – Prawda, Lin? Są tacy, który mogą nas porwać dla okupu. Potrafią odciąć ucho albo palec i wysłać pocztą.

– Bombajską? – prychnął Bliźniak. – Powodzenia.

– Pewnie już planują porwanie – zakwilił Skorpion.

– Skorpion, no, weź! – zaprotestował Bliźniak, podrygując z zachwytu. – Pięć minut

temu świrowałeś, że cholerne CIA steruje twoim umysłem. Teraz nakręcasz się, że cię porwą. Nie potrafisz usiąść na tyłku i poczuć zapach dobrej karmy?

– Jednakże wydaje mi się, że pan Bradley ma rację – zauważył Wilson.

– Pan Bradley? – zapiał Bliźniak. – Pan Japierdolę Bradley! Mógłbym dać milion za to, że to usłyszałem! E, Skorpion, daj Wilsonowi milion dolarów.

– Jedno jest pewne – ciągnął Wilson. – Nie może pan pozostać w tym hotelu. Nie teraz, gdy znaczna zmiana pańskiej sytuacji finansowej spowodowała przeniesienie pana do, że tak powiem, bardziej znaczącej sfery.

– Chyba bardziej ryzykownej sfery – mruknął Skorpion. – On już teraz mówi o porwaniu. Słyszysz?

– Uspokój się – powiedziałem.

– Właściwie to ma rację – wtrąciła Divya.

– Widzisz? – syknął Skorpion.

– Mój tata jest ekspertem od zabezpieczeń przed porwaniem – oznajmiła Divya. – Uczy mnie, odkąd skończyłam pięć lat. Jak wszyscy bogaci ludzie. Teraz, kiedy jesteś bogaty, musisz się nauczyć technik przeciwporwaniowych, a wszyscy twoi przyjaciele muszą zostać starannie sprawdzeni przez policję. Musisz też mieszkać w bezpiecznym miejscu i kupić pancerną limuzynę. To podstawa. Ochroniarze i pieniądze to komplet, jak buty i torebka.

– O, nie – jęknął Skorpion.

– I masz rację z tymi palcami i uszami – dodała Divya. – Ale porywacze posługują się kurierami, nie pocztą.

– O, nie.

– Znam przypadek, kiedy obcięli porwanemu wszystkie palce z wyjątkiem jednego, zanim rodzina wreszcie zapłaciła.

– O…

– Divya, zlituj się – poprosił Naveen, wzdychając.

– W innym przypadku obcięli oboje uszu. Tragedia. Cała kolekcja designerskich okularów przeciwsłonecznych do wyrzucenia.

– O…

– Divya.

– I w kapeluszu też już nie wygląda jak kiedyś – dodała dziewczyna w zadumie. – Ale przynamniej go uratowali. I ciągle jest bogaty.

– Divya, nie pomagasz! – wycedził Naveen.

– Słucham? – prychnęła. – O ile wiem, w tej rozmowie bierze udział jedynie dwoje milionerów, pan Bradley i panna Ja. Halo! Jestem jedyną osobą uprawnioną do wypowiadania się o porywaniu bogatych osób, na?

– O, nie – jęknął Skorpion.

– Gdzie imprezujemy? – spytał Bliźniak, nadal tańcząc.

– Pozwoliłem sobie zarezerwować apartament w hotelu Mahesh na moim piętrze – oznajmił Wilson. – Miałem nadzieję, że prędzej czy później uda mi się pana znaleźć i wtedy pana ugoszczę. Moja firma przyznała panu także kredyt, z którego może pan korzystać do chwili załatwienia wszystkich formalności i przekazania panu pełnego spadku.

– Eee… niesamowite – wybełkotał Skorpion. – Kredyt?

– W jakiej wysokości? – zainteresował się Bliźniak.

– Ulokowałem sto tysięcy dolarów na pańskim koncie. Ma pan do niego natychmiastowy dostęp.

– Lubię tego gościa – wyznał Bliźniak czule. – Daj mu drugi milion dolarów, Skorpion.

– Mam nadzieję, że nadal będzie pan korzystał z naszych usług – powiedział Wilson. – Tak, jak czynił to przez jakże wiele lat pański świętej pamięci kuzyn Josiah Bradley. Jesteśmy w pełni przygotowani do zapewnienia najlepszej profesjonalnej porady co do zarządzania pańskim spadkiem. Pozostajemy do pańskich usług.

– Na co czekamy? – zawołał George Bliźniak. – Jazda!

– A nasze rzeczy? – spytał George Skorpion, oglądając się na hotel Frantic.

– Wierz mi – rzuciła Divya, biorąc go pod ramię i prowadząc do czekających taksówek. – Wyślesz po to służącego. Od tej pory służący będą robić za ciebie wszystko, co nie jest fajne.

– Whisky! – zawołał Bliźniak, spiesząc za nimi i pochylając się nad ramieniem Divyi.

– I długi prysznic – warknęła.

– I szampan!

– I drugi prysznic.

– I kokaina! Ej, już wiem! Dosypmy kokainy do szampana!

– Zaczynam cię lubić – oznajmiła Divya.

– A ja już teraz cię lubię – odparł Bliźniak. – Rozkręcamy imprezę!

– Oczywiście dołączy pan do nas? – zwróciła się Divya, biorąc pana Wilsona pod rękę.

– Jeśli wybaczy mi pani tę niedyskrecję, panno…

– Devnani. Divya Devnani. Mów mi Diva. Jak wszyscy.

– Jeśli wybaczy mi pani tę niedyskrecję – powiedział Wilson z uśmiechem, nie starając się wyzwolić – czy niespełna pół godziny temu nie radziła pani swoim znajomym, żeby lali gnoja?

– Niemądry – rzuciła z pobłażaniem. – Wtedy nie wiedziałam, że zarządzasz majątkami wartymi trzydzieści pięć milionów dolarów. I mam na imię Diva, pamiętasz?

– Doskonale, panno Divo. Z radością wypiję toast.

Po krótkiej jeździe do hotelu Mahesh Wilson odebrał klucze w recepcji i umówił się z recepcjonistą, by ten wstąpił za godzinę do apartamentu George'a Skorpiona i zarejestrował nowych gości.

Miał już opuścić recepcję, gdy położyłem mu rękę na ramieniu.

– Zamierza pan wnieść skargę? – spytałem cicho.

– Skargę?

– Na Manawa.

– Manawa?

– Pańskiego ochroniarza.

– A, jego – przypomniał sobie Wilson z uśmiechem. – Był raczej opieszały w wykonywaniu obowiązków. Ale… chyba wiedział, że zostawia mnie w dobrych rękach z panem i młodym panem Naveenem, nawet jeśli rzucił mnie na pastwę panny Divy.

– To znaczy, że nie?

– W rzeczy samej. Nie zamierzam składać na niego skargi.

– Dzięki – powiedziałem, ściskając mu rękę.

Polubiłem Evana Wilsona. Był spokojny, dyskretny i rezolutny. W starciu z nami okazał odwagę. Miał poczucie humoru, był profesjonalny, lecz pragmatyczny, i chyba potrafił dobrze oceniać skrzywione charaktery w trudnych sytuacjach.

– Nie ma sprawy – odparł. – Dołączymy do pozostałych?

– Nie, muszę już być gdzie indziej – odparłem, spoglądając na roześmianą grupę – Naveena, Divyę i Zodiakalnych George'ów – czekającą przy windach.

Odwróciłem się do srebrnowłosego kanadyjskiego prawnika.

– Życzę panu powodzenia.

Popatrzyłem, jak odchodzi, a potem wróciłem do restauracji na parterze. Stolik Randżita był pusty. Sprzątnięto z niego naczynia i przyniesiono nową zastawę.

Wezwałem kierownika sali.

– Kiedy wyszli?

– Jakiś czas temu. Panna Lisa zostawiła dla pana wiadomość.

Wysupłał karteczkę z kieszeni kamizelki i podał mi ją. Widniały na niej słowa, napisane ulubionym czerwonym atramentem Lisy.

„Poszłam na imprezę z Randżitem. Nie czekaj".

Dałem kierownikowi sali napiwek i zrobiłem parę kroków, zanim coś przyszło mi do głowy.

– Zjedli deser? – spytałem.

– E… nie. Nie. Wyszli natychmiast po pierwszym daniu.

Pchnąłem drzwi hotelu. Na zewnątrz, w ciepłych ciemnościach, stał Manaw z innym ochroniarzem. Zauważył mnie i pytająco zajrzał mi w oczy. Był fajnym chłopakiem, łączącym w sobie miłe cechy: wysoki wzrost, siłę i dobroć. Martwił się, że pan Wilson złoży na niego skargę za opuszczenie hotelowego gościa. To by go kosztowało utratę pracy i kres wszelkich nadziei na awans w hotelarstwie. Przywołałem go gestem.

– *Kya hal hain,* Manaw? – spytałem, ściskając mu rękę. „Jak leci?".

W stulonej dłoni miałem zrolowany banknot, ale Manaw zacisnął ją swoją wielką łapą i odmówił przyjęcia pieniędzy.

– Nie, nie, Linbaba – szepnął. – Nie… nie mogę niczego przyjąć.

– Ależ możesz – odparłem z uśmiechem, zmuszając go do przejęcia banknotu, który inaczej sfrunąłby na ziemię. – Tyle dałby ci pan Wilson, gdybyś skończył z nim dziś zmianę.

– P… pan Wilson…

– Wszystko gra. Przed chwilą z nimi rozmawiałem.

– Tak, Linbaba. Widziałem, jak tam wchodzisz. Czekałem tu, ale nie miałem odwagi z nim porozmawiać.

– Nie złoży skargi.

– To pewne? Naprawdę?

– To pewne. Tak mi powiedział. Wszystko gra.

W czarno-brązowych oczach Manawa pojawił się błysk, a ja wsiadłem na do motocykl i pojechałem Marine Drive na szczyt wzgórza Malabar. Zatrzymałem się w punkcie widokowym, spoglądając na lśniące klejnoty okien wzdłuż zatoki – szeroki uśmiech Marine Drive. Zwinąłem sobie skręta z haszem i zacząłem palić.

Żebrak, który co wieczór wdrapywał się tą długą, krętą drogą na szczyt, żeby zasnąć w bezpiecznym miejscu, usiadł nieopodal mnie. Podałem mu skręta. Żebrak rozpromienił się i chętnie się zaciągnął, robiąc z dłoni cybuch, żeby nie dotykać papierosa ustami.

– *Mast mai!* – wymamrotał z dymem wysnuwającym mu się z nozdrzy. „Świetny towar!".

Skinął głową dostojnie, znowu się zaciągnął i oddał mi papierosa. Wziąłem grudę haszu, z części zrobiłem skręta i podałem żebrakowi. Ten nagle bardzo spoważniał. Spojrzał na wielki kawał haszyszu na swojej dłoni, potem na mnie i znowu na haszysz.

– Idź do domu – powiedział w końcu w hindi. – Idź do domu.

Wróciłem w ulewnym deszczu, zaparkowałem motocykl pod wiatą przed moim domem, wsunąłem mokry banknot dwudziestorupiowy do kieszeni koszuli zaspanego strażnika i poszedłem do mieszkania.

Lisy nie było. Zdjąłem przemoczone ubranie i buty, wziąłem prysznic, zjadłem chleb z owocami, wypiłem kubek kawy i położyłem się na łóżku.

Wentylator obracał się nad moją głową na tyle szybko, żeby wsączyć serpentynę chłodu w wilgotne powietrze. Nowa ulewa zabębniła o metalowy daszek nad oknem sypialni. Przez uchyloną szybę wpadły strużki srebrzyste jak rtęć.

Paliłem jointa w ciemności i czekałem. Lisa wróciła po trzeciej. Jej kroki wystukiwały niepewny pijacki rytm na marmurowych płytach korytarza.

Wtoczyła się do pokoju, rzuciła torebką w krzesło, nie trafiając – torebka zsunęła się na podłogę. Lisa zrzuciła jeden rozwiązany sandał i wyzwoliła się z drugiego, skacząc na jednej nodze.

Obracając się z wysiłkiem, zsunęła sukienkę i majtki, które zaczepiły się jej o kostkę, gdy runęła na łóżko. W mroku nie widziałem jej źrenic. Jedno spojrzenie zdradziłoby, co wzięła: wszystkie narkotyki żyją i umierają w oczach. Wyciągnąłem rękę do lampki przy łóżku, ale Lisa mnie powstrzymała.

– Zostaw! Chcę być Kleopatrą.

Gdy zasnęła twardo, wziąłem mokry ręcznik, by schłodzić jej ciało. Wytarłem ją, a ona odwróciła się na bok, pogrążona w niewinnym śnie.

Leżałem w ciemnościach obok niej. Nietoperze śmigały za otwartym oknem, szukając schronienia przed światłem świtu. Strażnik, który ocknął się z drzemki i ruszył w obchód budynku, stukał bambusowym kijem o ziemię, żeby odstraszyć szczury. Dźwięk oddalił się, w pokoju zrobiło się cicho i spokojnie. Oddech Lisy był jak fale delikatnie muskające brzeg.

Cieszyłem się w imieniu Zodiakalnych George'ów, niespodziewanych milionerów, i cieszyłem się, że Naveen i Divya nadał są razem, choć ciągle się kłócili. Cieszyłem się też, że Lisa bezpiecznie wróciła do domu.

Ale czułem się chory. Nie wiedziałem, czego pragnie Lisa, lecz byłem pewien, że nie mnie. Czasem chyba chciałem, żeby mnie pragnęła i kochała, i żeby pozwoliła mi się odwzajemnić miłością. Czasem nawet miałem nadzieję, że tak będzie. Ale pragnienie czegoś więcej oznaczało, że mieliśmy bardzo niewiele. Byliśmy przyjaciółmi, którzy nie starali się, żeby pojawiło się między nimi coś więcej.

Oczy zaczęły mi się zamykać. W półśnie zobaczyłem Randżita z wykrzywioną twarzą – diaboliczne, złośliwe stworzenie. Obudziłem się gwałtownie i przez jakiś czas nasłuchiwałem cichego echa morza – oddechu Lisy – aż powieki znowu mi opadły.

I tak spaliśmy, razem, oddaleni, a deszcz obmywał miasto tak dokładnie, że stało się czystsze niż klęcznik w więziennym konfesjonale.

# 22

Obrzydliwi George’owie, jak ich często nazywano, byli obrzydliwie bogaci. Cały południowy Bombaj plotkował, zdumiewając się zrządzeniem losu, który pozwolił najskromniejszym ze skromnych cudzoziemców tego miasta stać się dziedzicami królestwa ziemskiego. Niegdyś niechciani żebracy nagle stali się bardzo pożądani, „jakże wielcy stają się upadli”, śmiał się radośnie Didier.

Przez trzy tygodnie drzwi apartamentu Zodiakalnych Goerge’ów nie zamykały się, wpuszczając nieustanny szereg ekspertów, poświęcających swój talent na dopasowanie nieociosanych uliczników do wypolerowanego świata nagiej fortuny: krawcy, fryzjerzy, pedikiurzyści, jubilerzy, numerolodzy, zegarmistrze, instruktorzy jogi, manikiurzyści, styliści, mistrzowie medytacji, astrologowie, księgowi, przedstawiciele prawni, służący i cały tłum specjalistów od leczenia stresu.

Zapewnienie podstawowych usług tych niezbędnych do egzystencji profesjonalistów i ustalenie ich honorariów na poziomie jałmużny było zadaniem, któremu Divya Devnani oddała się z niezwykłą energią i niemałym talentem. Na te tygodnie wynajęła apartament w hotelu i niemal nieustannie przebywała w towarzystwie początkujących milionerów. „Stworzenie Skorpiona i Bliźniaka na nowo to mój obowiązek”, powiedziała mi.

– Byłam obecna w chwili, gdy George’owie się wzbogacili – oznajmiła. – Ja, która akurat jestem najbogatszą dziewczyną w Bombaju, i to dziewczyną obdarzoną nadnaturalnie dobrym gustem. To karma. Kismet. Kim jestem, żeby zadzierać nosa? Moim obowiązkiem jest pomóc im odrodzić się z popiołów.

Zodiakalni George’owie, pomimo łączącej ich serdecznej przyjaźni, mieli kompletnie inne podejście do drogi z popiołów na parnas. George Bliźniak sugerował, że powinni większość pieniędzy oddać. George’owie nigdy nie kłamali, nie oszukiwali swoich klientów i nigdy nie podnieśli na nikogo ręki. Życie w slumsach i zaułkach Bombaju przyniosło im długą listę przyjaciół i godnych odbiorców, ludzi, którzy im pomagali, kierowników tanich knajp i małych sklepików, które dawały im ratujące życie kredyty, tłumy żebraków i naganiaczy, których życzliwość utrzymywała ich na powierzchni, i nawet paru policjantów, którzy zawsze odwracali wzrok.

„Z tego, co im zostanie – tłumaczył rozentuzjazmowany Bliźniak – mogli wyprawić długi, niezapomniany szereg imprez, a potem odłożyć skromną sumkę na oprocentowane konto, co miesiąc wypłacać odsetki i wrócić do równie szczęśliwego, lecz wygodniejszego życia na ulicy”.

Skorpion nie był zachwycony tym planem. Choć przerażały go odpowiedzialność i moralne brzemię nagłego bogactwa, i mówił o tym każdemu, kto nie zdobył mistrzostwa w sztuce unikania pesymistów, nie potrafił się rozstać z pieniędzmi.

„Te pierwsze tygodnie prosperity były koszmarem”, powiadał. „Pieniądze to inna nazwa nieszczęścia”, powiadał. „Pieniądze to ruina spokoju”, powiadał. Ale nie umiał się pogodzić z planem Bliźniaka i zrezygnować z tego brzemienia. Trwożył się, miotał, jęczał i mamrotał. Ogolony, ostrzyżony, wypilingowany, wymasowany, wymanikiurowany i wyklepany nawilżającymi kremami, wysoki Kanadyjczyk wędrował po swoim luksusowym apartamencie, bogaty i niespokojny.

– To się źle skończy – oznajmił, kiedy wpadłem z wizytą.

– Wszystko się źle kończy, dla wszystkich. Dlatego mamy sztukę.

– Pewnie tak – zgodził się bez przekonania, wcale nieprzekonany. – Widziałeś Bliźniaka? Nadal gra w karty?

– Nie widziałem. Wpuścił mnie jakiś sikh. Twierdzi, że jest twoim kamerdynerem.

– O, tak. To Singh. Tak jakby tu rządzi. On i Diva. Ależ on ma nochal! Jeśli twoja robota polega głównie na zadzieraniu nosa, to dobrze mieć taki długi nos.

– Ma także krótką listę gości do kompletu z długim nosem.

– Bo… bo musieliśmy ograniczyć liczbę osób, które tu wchodzą. Nie uwierzysz, co się działo, odkąd ludzie zwiedzieli się, że mam tę kasę.

– Aha.

– Szturmowali nas dniem i nocą. Hotel musiał podwoić liczbę ochroniarzy na tym piętrze, żeby jakoś opanować sytuację. A oni i tak się tu wkradają. Jeden łomotał do drzwi, prosząc o pieniądze, kiedy robiłem kupę.

– Aha.

– Nie było mnie na ulicy od trzech dni. Ludzie zaczęli wypełzać z zaułków, wyciągając ręce po pieniądze.

Przypomniałem sobie, że Zodiakalni George’owie przez te lata sami wyłaniali się z zaułków, nieodmiennie niosąc muszlę wyciągniętej dłoni.

– Aha.

– Ale nie martw się, Lin – dodał pospiesznie Skorpion. – Zawsze będziesz na tej krótkiej liście.

– Aha.

– Nie, serio mówię. Zawsze byłeś wobec nas w porządku. I nigdy tego nie zapomnę. Hej! Skoro o tym mowa… potrzebujesz może…

– Nie, niczego mi nie brak – powiedziałem z uśmiechem. – Ale dziękuję.

– Dobrze. Dobrze. Znajdźmy Bliźniaka. Chcę mu powiedzieć o nowych ustaleniach ochrony.

Znaleźliśmy londyńczyka w aneksie przeznaczonym na tymczasowy gabinet gościnny. George Bliźniak nakrył wielkie biurko serwetą i zmienił gabinet w jaskinię hazardu.

Grał w pokera z rozmaitymi pracownikami hotelu, obecnie mającymi wolne. Porozrzucane wszędzie talerze z posiłkami, drinki i przekąski wskazywały, że gra toczyła się od jakiegoś czasu.

– Hej, Skorpion! Hej, Lin! – Bliźniak uśmiechnął się z radością na nasz widok. – Siadajcie. Gra się właśnie zaczęła rozkręcać.

– Dla mnie kręci się za szybko.

George Bliźniak był wytrawnym szulerem, ale nigdy nie ogrywał ludzi na duże pieniądze, i czasem umyślnie przegrywał partię, którą mógł wygrać. Dla niego dreszczyk emocji polegał na tym, żeby nie dać się zdemaskować, bez względu na to, jak rozegrał rozdanie.

– E tam, Lin, poszukaj szczęścia.

– Wolę, żeby szczęście poszukało mnie. Poprzyglądam się.

– Jak wolisz – zgodził się, mrugając i rzucając żeton na stół, by podnieść stawkę. – Skorpion, dałeś naszemu gościowi drinka?

– Przepraszam, Lin.

Skorpion odwrócił się do grających w karty pracowników hotelu.

– No, ludzie! Podobno pracujecie w tym hotelu. Przynieście naszemu gościowi drinka. Dajcie mu… co chcesz, Lin?

– Nic.

– Nie, proszę, weź coś.

– Dobrze. Świeży sok z limetki, bez lodu.

Jeden z graczy, ubrany w uniform boya, odłożył karty i odszedł od stołu po sok.

Od strony głównych drzwi apartamentu dobiegł krzyk. Podnieśliśmy głowy i

ujrzeliśmy Didiera, który wkroczył do gabinetu, ciągnąc kamerdynera za długi nochal.

– Ten imbecyl uparł się, że mojego nazwiska nie ma na liście gości! – sapnął.

– Skandal – zgodziłem się. – Całkiem taki sam, jak trzymanie kogoś za nos bez żadnego powodu.

– Bez żadnego powodu? Kiedy wyjaśniłem, że to niedopatrzenie jest niemożliwe, ponieważ moje nazwisko znajduje się na wszystkich listach, od Interpolu po Bombajski Klub Krykietowy, choć ta gra budzi we mnie wstręt, usiłował mi zamknąć drzwi przed nosem!

– Czy mogę zaproponować, żebyś puścił jego nos?

– No, proszę cię! – zaprotestował Didier, ściskając nos kamerdynera jeszcze mocniej w zaciśniętej pięści.

Mężczyzna pisnął.

– On tylko wykonywał swoje obowiązki.

– Jego obowiązkiem było mnie powitać, a nie wyrzucać.

– Rzucam tę pracę! – wygęgał kamerdyner.

– Ponadto nie wiesz, gdzie zaglądał ten nos, który tak ściskasz.

– Masz rację – przyznał Didier z grymasem niesmaku. Puścił nos kamerdynera. – Gdzie mogę umyć ręce?

– Tutaj – powiedział Skorpion, wskazując głową drzwi. – Drugie drzwi po prawej.

Didier łypnął straszliwym wzrokiem na kamerdynera i wyszedł. Kamerdyner spojrzał na mnie. Nie mam pojęcia, dlaczego ludzie na mnie patrzą, kiedy nie mam absolutnie nic wspólnego z sytuacją.

– Może powinieneś umieścić Didiera na tej krótkiej liście – powiedziałem do Skorpiona, sięgając po mały zwitek banknotów ze sterty wygranych pieniędzy przed George'em Bliźniakiem.

– Lin… – jęknął Skorpion. – Didier złapał mojego kamerdynera za nos.

– Masz szczęście, że tylko za nos.

– A to akurat prawda! – przyznał Bliźniak ze śmiechem. – Singh! Natychmiast umieść pana Didiera Levy'ego na krótkiej liście.

– Odszedłem z pracy – wymamrotał Singh, trzymając się za nos.

– Masz takie prawo – powiedziałem, wręczając mu pieniądze, które zabrałem ze stołu. – Ale jeśli to zrobisz, to cech kamerdynerów zamknie przed tobą swoje podwoje. Jeśli przyjmiesz nasze szczere przeprosiny w imieniu naszego przyjaciela oraz tę

rekompensatę za wszelkie nieprzyjemności, zapomnimy o wszystkim.

Mężczyzna wziął pieniądze w wolną rękę, nieustannie trzymając się za nos, a potem zakołysał głową i zajął stanowisko przy drzwiach.

– „Cech kamerdynerów”? – spytał Bliźniak z psotnym błyskiem w oku. – A nie „trzech kamerdynerów”?

– Słuchaj, Lin – odezwał się Skorpion, nagle się rozpromieniając. – Myślisz… może… mógłbyś zostać tu z nami przez jakiś czas? Mamy mnóstwo miejsca. Chcemy wynająć całe piętro i bardzo byś nam się przydał w zrozumieniu, jak to jest być bogaczem.

– Świetny pomysł – zgodził się Bliźniak. – Zostań z nami, Lin. Poproś Lisę, żeby się tu wprowadziła. Ożywicie to miejsce.

– Miła propozycja, chłopaki.

– Czy to znaczy „nie”? – spytał Skorpion.

– Macie Divyę do pomocy. Z tego, co widziałem, świetnie się sprawuje.

– Boję się jej jak cholera – wyznał Skorpion.

– Ty się wszystkich boisz jak cholera – zauważył Bliźniak. – To jeden z powodów, za które cię kochamy. W ogóle co ty tu robisz? Nigdy tu nie zaglądasz. Nienawidzisz pokera.

– Nie nienawidzę.

– No dobra, Wielki Szu, co jest grane?

– To poważna sprawa.

– Nie może być nic poważniejszego od następnego rozdania. Lin właśnie oddał moją wygraną twojemu kamerdynerowi, bo Didier pociągnął go za nos.

– Zgadza się – przyznał Didier, wracając do gabinetu.

– Nie mam nic przeciwko – oznajmił Bliźniak. – Sam chciałem to zrobić, ale bałem się, że Singh mi przyłoży. A teraz, panowie, zamierzam się odegrać, więc zaczynajmy.

– Mówię serio – powtórzył Skorpion. – To poważna sprawa.

– Gram przeciwko Didierowi. To drapieżnik. Wypatroszy mnie, jeśli choćby mrugnę. Czy istnieje coś poważniejszego?

– Chciałem z tobą porozmawiać o nowych regułach bezpieczeństwa.

– O czym?

– O nowych regułach bezpieczeństwa.

– To pięciogwiazdkowy hotel – odparł Bliźniak. – Jesteśmy bezpieczni jak w sejfie.

– Nie, jesteśmy totalnie i kompletnie zagrożeni. Jakiś porywacz może się ukryć na wózku z jedzeniem albo nawet przebrać się za recepcjonistę. Wtedy już po nas. Każdy ufa recepcjoniście. Jesteśmy narażeni na napaść!

– Napaść! A ty co, wrogi najeźdźca?

– Jesteśmy narażeni! Mówię serio!

– No, jeśli to takie ważne, to gadaj. Śmiało.

– Ale… Nie mogę mówić o zasadach bezpieczeństwa przy innych ludziach…

– Dlaczego?

– Bo to… niebezpieczne.

– Nie chcemy, żeby nasi przyjaciele też byli bezpieczni?

– Ale są tu pracownicy hotelu.

– A jeśli nasza obecność tutaj naraża ich na niebezpieczeństwo – oznajmił Bliźniak, tasując karty – to czy nie będzie uczciwe włączyć ich w nasze plany, zwłaszcza tych, którzy grają ze mną, żeby także mogli być bezpieczni?

– Co? – Skorpion pokręcił głową w osłupieniu.

Didier przełożył talię i Bliźniak zastygł z kartami w ręce.

– Co powiesz na to, Skorpion – powiedział do przyjaciela, którego kochał bardziej niż kogokolwiek i cokolwiek na świecie. – Zaprośmy wszystkich naszych przyjaciół z rodzinami, aby zamieszkali z nami. Wszystkich. Wynajmijmy trzy piętra hotelu, niech wszyscy się wprowadzą, na jak długo zechcą. Obsypmy ich hojnymi darami i radością i wydajmy mnóstwo pieniędzy na hotel, żeby jego kierownictwo było szczęśliwe – a będziemy bezpieczni. Rozumiesz? To nasze nowe reguły bezpieczeństwa. Co powiesz?

Odwrócił się od swojego osłupiałego przyjaciela do mnie, cały rozpromieniony.

– Ostatnia szansa, Lin – rzucił, zamierzając rozdać karty. – Wchodzisz?

– Wychodzę – odparłem, ściskając ramię Didiera na pożegnanie.

Gdy opuszczałem gabinet, Bliźniak wprawnie rozdawał karty z diabelskim błyskiem w oku. Didier Levy był jedynym znanym mi człowiekiem, który lepiej oszukiwał w karty niż George Bliźniak. Nie chciałem zostać na tyle długo, żeby zobaczyć, jak jeden z nich przegrywa.

W korytarzu przed apartamentem spotkałem Naveena i Divyę.

– Cześć, Lin – powitał mnie Naveen z radosnym uśmiechem na przystojnej twarzy. – Już wychodzisz?

– Tak. Cześć, Divya.

– Diva, kochanie – poprawiła, uśmiechając się i kładąc drobną rączkę na moim przedramieniu. – Gdzie się tak spieszysz?

– Mam robotę – odpowiedziałem, rewanżując się uśmiechem.

Staliśmy przez chwilę w milczeniu. Nadal się uśmiechaliśmy.

– Co? – rzuciła w końcu Divya.

– Nic – odparłem ze śmiechem. – Tylko widzę, że lepiej się rozumiecie.

– No cóż. Jak się go pozna lepiej, to jednak nie aż taki chudh – oznajmiła Divya, wzdychając.

– Dziękuję – mruknął Naveen.

– No, oczywiście zachował pewne cechy chudha – uściśliła Divya. – I pewnie nigdy się ich nie pozbędzie. Nawet w Paryżu nie zrobią z osła ryżu.

– Z owsa ryżu – poprawił Naveen.

– Co?

– Z owsa ryżu, nie z osła ryżu.

– Co jest? Będziesz handlować zbożem czy jak?

– Nie, oczywiście, że nie. Powiedzenie brzmi: „Nawet w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu". Nie ma w nim ani słowa o ośle.

– Co jest, nagle stałeś się księciem zasranych przysłów?

– Mówię tylko…

– Muszę dostać od ciebie licencję na zmianę przysłowia? O to chodzi?

– No, więc na razie – wymamrotałem, wciskając guzik windy. Wszedłem do kabiny. Tamci nadal się kłócili. Drzwi się zamknęły i winda ruszyła w dół, ale wydawało mi się, że nadal ich słyszę.

Na parterze przekonałem się, że weszli do sąsiedniej windy i kłócili się przez całą drogę w dół. Wyszli z niej, nie przestając się awanturować.

– Witam ponownie.

– Przepraszam, Lin – rzucił Naveen, odrywając się od Divyi. – Uświadomiłem sobie, że zapomniałem ci coś powiedzieć.

– Hm?

– Chodzi o twojego przyjaciela Vikrama – powiedział cicho Naveen. – Przeprowadził się do Dennisa. Śpi u niego na podłodze i ostro bierze. Nie byłem tam od jakiegoś czasu, ale słyszałem od Vinsona, że źle z nim. Vinson tam już nie chodzi i ja też nie. Myślałem… że może o tym nie wiesz.

– Masz rację, nie wiedziałem. Dzięki.

Zerknąłem na Divyę, która czekała w pobliżu wind. Aż do tej chwili nie zauważyłem, jaka jest ładna. Jej szeroko rozstawione oczy o długich rzęsach zwężały się migdałowo w kącikach. Skrzydełka jej delikatnego nosa wyginały się, by spotkać się z lukiem uśmiechu w zmarszczkach, które otaczały kąciki jej ust jak ostrza szabli.

Zerknąłem na Naveena, który wpatrywał się w nią z uwielbieniem.

W tej dziwnej przelotnej chwili patrzenia na Naveena i Divyę poczułem, że przechodzi przeze mnie cień. Zadrżałem. Przeniosłem spojrzenie na oczy Naveena w nadziei, że on też to poczuł.

Serce mi łomotało, a nagła groza, która mnie przejęła, była tak dojmująca, że poczułem jej smak w gardle. Patrzyłem przenikliwie w oczy Naveena, ale nie zobaczyłem w nich nic. Uśmiechnął się do mnie.

– Wiecie co – powiedziałem, cofając się o pół kroku. – Zostańcie razem.

– A, no… – zaczęła Divya z uśmiechem, chcąc zażartować.

– Nie przestawajcie się kłócić – rzuciłem szybko, cofając się o kolejny krok. – Ale zostańcie razem. Uważajcie na siebie, dobrze?

– Dobrze – zgodził się Naveen ze śmiechem. – Ale…

Uciekłem, szybko podbiegłem do zaparkowanego motocykla i wypchnąłem go na jezdnię. Parę metrów dalej zatrzymałem się gwałtownie i spojrzałem przez ramię na oszkloną wieżę hotelu Mahesh. Odjechałem na pełnym gazie.

Zaparkowałem przed domem, w którym mieszkał Dennis. Prowadzące na długą werandę harmonijkowe drzwi balkonowe były otwarte. Wszedłem na werandę i zapukałem w szybę.

Kroki obutych w sandały stóp zbliżyły się szybko do mnie. Odciągnięto zasłonę i ujrzałem Dżamala, Teatr Jednego Aktora. Zaprosił mnie do środka, dając znak, żebym milczał.

Wszedłem, mrużąc oczy, żeby przyzwyczaić się do mroku. W powietrzu unosił się zapach haszyszu, zmieszany z mocną wonią grubego pęku kadzidełek tlących się w pustym wazonie.

Dennis leżał w zwykłej pozie, wyciągnięty na środku wielkiego łoża, z rękami założonymi na piersi. Był ubrany w bladobłękitną jedwabną piżamę. Stopy miał bose.

Po prawej rozległ się charczący kaszel. Zobaczyłem Vikrama wyciągniętego na skrawku dywanu. Obok niego na podłodze siedział Billy Bhasu. Przygotowywał

kolejną chillum.

Z ciemnego kąta pokoju dobiegł mnie głos. Należał do Concannona.

– Patrzcie, kogo przywlókł kot! Mam nadzieję, że przybywasz, żeby wstąpić do mojego gangu, chłopaku. Nie mam nastroju na rozczarowujące dragi ani rozczarowujących ludzi.

Nie zwróciłem na niego uwagi. Podszedłem do Vikrama. Billy Bhasu bokiem odsunął mi się z drogi, nie przerywając nabijania fajki. Szarpnąłem Vikrama, żeby go ocucić.

– Vikram! Vik! Obudź się, chłopie!

Vikram powoli rozkleił powieki, a potem je zacisnął.

– Ostatnia szansa, Shantaram – powiedział cicho Concannon. – Jesteś ze mną czy przeciwko mnie?

Znowu potrząsnąłem Vikramem.

– Obudź się, Vik. Idziemy, chłopie.

– Zostaw go – rzucił Concannon pogardliwie. – Nie widzisz, że człowiek jest szczęśliwy?

– To nie szczęście, jeśli się tego nie czuje.

Znowu potrząsnąłem ramieniem Vikrama.

– Obudź się!

Vikram otworzył oczy, spojrzał na mnie i rozchylił usta w nieprzytomnym, krzywym uśmiechu.

– Lin! Jak się czujesz, stary?

– Jak ty się czujesz, stary?

– Nie ma się o co martwić – oznajmił sennie. Powieki mu opadły. – Wszystko gra, stary. Wszystko… gra…

Zaczął chrapać. Twarz miał brudną. Wyglądał jak kurczące się ciało w ubraniach kogoś zdrowszego.

– Vik! Obudź się, stary!

– Weź mu, kurwa, nie przeszkadzaj – rzucił agresywnie Concannon.

– Zajmij się własnymi sprawami – odparłem, nie patrząc na niego.

– Może mnie zmusisz?

To dziecinna odzywka i wszyscy o tym wiemy, ale często działa.

– Może i zmuszę – odparłem, po raz pierwszy odwracając się do niego.

W mroku ledwie widziałem zimny ogień jego lodowato błękitnych oczu.

– Zróbmy tak – zaproponowałem. – Zabiorę mojego przyjaciela do domu jego rodziców, a potem wrócę tu i spotkamy się na dworze. Może być?

Wstał i podszedł do mnie. Zatrzymał się bardzo blisko mnie.

– Są dwie rzeczy, które uważam za święte: prawo do unicestwienia wrogów i prawo do zniszczenia samego siebie, tak jak się nam podoba. Wszyscy idziemy na dno. Wszyscy. Jesteśmy na tej samej drodze. Vikram tylko nas trochę wyprzedził, to wszystko. To jego przyrodzone prawo. I nie powstrzymasz go.

Mówił z gniewem, a ten gniew rósł z każdym słowem.

– Z prawami łączą się obowiązki – odpowiedziałem, mierząc się wzrokiem z furią. – Przyjaciel ma obowiązek pomóc przyjacielowi.

– Ja nie mam przyjaciół – oznajmił Concannon spokojnie. – Nikt nie ma. Nie ma czegoś takiego. Przyjaźń to bajeczka dla grzecznych dzieci. Jak ten jebany Święty Mikołaj. Straszna cipa z tego tłustego chuja. Pierdolony kłamca, oto, kim jest. Nie ma przyjaciół na tym świecie. W tym życiu są sprzymierzeńcy i wrogowie i każdy zmienia upodobania jak rękawiczki. Tak wygląda prawda.

– Zabieram stąd Vikrama.

– Gówno tam, zabierasz.

Concannon obserwował mnie przez chwilę, przez pięć sekund, po czym przesunął prawą stopę do tyłu, przygotowując się do walki. Nie chcąc dać się zaskoczyć nieprzygotowany, zrobiłem to samo. Concannon powoli uniósł ręce, zatrzymując je przez twarzą, z lewą pięścią wysuniętą do przodu. Ja też to zrobiłem, z mocno łomoczącym sercem.

Idiotyzm. Mężczyźni. Chcieliśmy się pobić za nic. Oczywiście nie można walczyć za coś, walczy się przeciwko czemuś. Jeśli walczysz, to to, co się w tobie opowiada „za”, już jest zapomniane, zastąpione tym, co się gwałtownie przeciwstawia. A ja w tej chwili byłem ze wszystkich sił przeciwko Concannonowi.

– Teatr Jednego Aktora! – odezwał się nagle Teatr Jednego Aktora.

– Zamknij ryj! – warknął Concannon.

– Panowie! Mój haj! Psujecie mój haj!

– Spij, chłopaku – odparł Concannon, nie odrywając wzroku od mojej twarzy. – To potrwa chwilę.

– Proszę – powiedział Dennis cichym, dźwięcznym głosem. – Concannon! Chodź tu natychmiast, mój dziki synu. Chodź i zapal ze mną legendarną chillum. Pozwól mi odzyskać mój haj. Lin, zabierz ze sobą Vikrama. Jest tu od tygodnia. W przeciwieństwie do reszty z nas zamkniętych w tym wesołym grobowcu ma rodzinę, do której może wrócić. Zabierz go ze sobą.

Concannon powoli opuścił pięści.

– Jak wolisz, Dennis – rzucił z uśmiechem. – Jestem starym grzesznikiem. Mnie to nie rusza.

Usiadł przy Dennisie na szerokim łożu.

– Concannon – powiedział Dennis, znowu zamykając oczy. – Nigdy w życiu nie spotkałem kogoś bardziej pełnego życia od ciebie. Nawet kiedy jestem martwy, czuję twoją energię. I dlatego cię kocham. Ale psujesz mój haj.

– Już dobrze, skarbie – powiedział Concannon, kładąc mu rękę na ramieniu. – Nie będzie więcej kłopotów.

Szybko ocuciłem Vikrama i zmusiłem go, żeby wstał. Kiedy byliśmy przy drzwiach, Concannon znowu się odezwał.

– Nie zapomnę ci tego, Shantaram – powiedział, odsłaniając zęby w uśmiechu furii.

Zawiozłem Vikrama taksówką do domu. Odezwał się tylko raz.

– Była świetną laską – powiedział jakby do siebie. – Naprawdę. Gdyby mnie kochała tak bardzo, jak ja ją, byłaby idealna, czujesz to?

Pomogłem jego siostrze położyć go do łóżka, wypiłem trzy filiżanki herbaty z jego zmartwionymi rodzicami, a potem wróciłem taksówką do mojego motocykla. Miałem się spotkać z Lisą na obiedzie w Kayani, koło galerii handlowej Metro Junction. Pojechałem tam powoli, sunąc w tempie marszu długą, zadrzewioną aleją z jaskrawymi straganami z odzieżą, zwaną Ulicą Mody. Myślałem o Concannonie i Vikramie z jego rodzicami, i te myśli atakowały mnie jak wilki.

Ojciec Vikrama był starszym mężczyzną, od dawna na emeryturze, który spłodził najmłodszego syna w jesieni życia. Nie rozumiał niszczącego nałogu Vikrama. Jego przystojny, młody syn, trochę dandys, z miłości do filmów Sergia Leone strojący się w czarne jedwabie i pasy ze srebrnymi klamrami, nagle zaczął nosić brudne ubrania. Jego włosy, niegdyś przystrzyżone z dokładnością co do milimetra, zwisały strąkami, rozczochrane po śnie. Vikram potrafił czasem parę dni z rzędu nie myć się ani nie golić. Nie jadł, nie odzywał się do nikogo w domu. A gdy jego spojrzenie przypadkiem natykało się na zmartwionego ojca, w jego oczach nie było światła ani życia, jakby

dusza już go opuściła i czekała, aż ciało zginie.

Vikram, bogaty chłopiec, który nigdy nie musiał pracować, przepełniony lawiną uczuć do swojej angielskiej róży, stworzył firmę wspierającą przemysł filmowy. Angażował zagranicznych turystów do niemych ról w hollywoodzkich filmach.

Było to prawdziwe wyzwanie. Vikram nie miał doświadczenia w tej branży, a pracował dzięki pożyczonym funduszom. Ale jego urok i wiara w siebie zapewniły mu sukces. Lisa, jego pierwsza wspólniczka, także zaczęła odkrywać swoje zdolności podczas ich wspólnej pracy.

Gdy angielska róża zostawiła Vikrama bez ostrzeżenia czy wyjaśnienia, pewność siebie, która pozwalała mu tańczyć na dachu jadącego pociągu, żeby się jej oświadczyć, odpłynęła z jego życia jak krew z przeciętej żyły.

– I wtedy zaczął brać te rzeczy – szepnął ojciec Vikrama, podczas gdy jego syn spał. – Drobne rzeczy. Perłową broszkę matki, moje pióro, to porządne, prezent od firmy w dniu odejścia na emeryturę. Kiedy go o to spytałem, rozgniewał się i zrzucił winę na służących. Ale to on. Wiemy to. Sprzedaje te kradzione rzeczy, żeby nakarmić głód narkotyku.

Skinąłem głową.

– To hańba – dodał starzec, wzdychając, a w jego oczach pojawiły się łzy. – Straszna hańba.

Były to także smutek i zgroza, ponieważ miłość w ich domu stała się kimś obcym. Ja też byłem kiedyś takim obcym. Uzależniłem się od heroiny, i to tak bardzo, że kradłem, żeby mieć na narkotyki. Przestałem dwadzieścia pięć lat temu i z każdym rokiem nienawidzę tego narkotyku bardziej. Za każdym razem, gdy widzę kogoś uzależnionego lub o nim słyszę, serce ściska mi się ze współczucia. Wiem, że ten ktoś prowadzi wojnę z samym sobą. Ale tak, byłem obcym w domu miłości moich rodziców. Wiem, jak trudno rozróżnić pomoc w wyjściu z nałogu od zwyczajnej pomocy. Wiem, że wszyscy uzależnieni cierpią i umierają, raz po raz, we własnym wnętrzu. I wiem, że jeśli miłość nie stanie się twarda, to nie przetrwa. Tego dnia w roku ucieczki, zanim dowiedziałem się, jakie karty rzuci mi los, modliłem się za nas wszystkich: za Vikrama, jego rodzinę i wszystkich niewolników zapomnienia.

# 23

Zaparkowałem motocykl naprzeciwko kawiarni Kayani, gdzie miałem się spotkać z Lisą. Spojrzałem na światła, odetchnąłem głęboko dwa razy i ruszyłem przez mój drugi ulubiony zabójczy dla pieszych odcinek bombajskich jezdni. Oszalałe samochody pędziły na mnie, skręcając i lawirując w nieprzewidzianych miejscach. Jeśli nie znasz tego tańca, giniesz. Po drugiej stronie tego przejścia samobójców chwyciłem się liny wiszącej w drzwiach kawiarni, żeby wejść po stromych marmurowych stopniach, i przekroczyłem próg. Kayani, być może najsłynniejszy z parsyjskich lokali serwujących herbatę i kawę, miała w menu także omlety z chili, mięsa i warzywne zapiekanki, kanapki i największy wybór domowych ciast i ciastek w okolicy.

Lisa czekała przy swoim ulubionym stoliku w głębi pomieszczenia na parterze, z widokiem na gwarną kuchnię, znajdującą się o siedem kroków za barem.

Kilku kelnerów skinęło mi głową z uśmiechem, gdy szedłem do stolika. Kayani było jednym z naszych miejsc; przez dwa lata wspólnego życia co parę tygodni jadaliśmy tu obiad lub piliśmy popołudniową herbatę.

Pocałowałem Lisę i usiadłem obok niej na rogu stolika. Nasze nogi się zetknęły.

– Bun musca? – spytałem, nie patrząc w menu.

Była to jej ulubiona przekąska w Kayani: bułka ze świeżym masłem, przecięta na trzy kawałki, które można zgrabnie zanurzyć w filiżance gorącej, słodkiej herbaty. Lisa skinęła głową.

– *Do bun musca, do chai* – rzuciłem kelnerowi. „Dwie bułki z masłem, dwie herbaty”.

Kelner Atif zebrał nieotwarte menu i poczłapał do baru, wykrzykując zamówienie.

– Przepraszam za spóźnienie. Dostałem wiadomość o Vikramie, więc zgarnąłem go od Dennisa i zawiozłem do domu.

– Od Dennisa? To ten Śpiący Baba?

– Tak.

– Chciałabym go poznać. Wiele o nim słyszałam. Zaczyna osiągać status kultowej osoby. Risz mówi, że chce zrobić instalację osnutą wokół jego transu.

– Mogę cię do niego zaprowadzić, ale raczej się z nim nie poznasz, chyba że dopisze ci szczęście. Trzeba stać nieruchomo, żeby nie zepsuć jego haju.

– Nie zepsuć jego haju?

– Mniej więcej.

– Już go lubię – powiedziała ze śmiechem.

Znałem jej poczucie humoru i słabość do niezwykłych osób robiących niezwykłe rzeczy.

– O tak. Dennis jest bardzo *lisowym* facetem.

– Jeśli chcesz coś zrobić, zrób dzieło sztuki – odparła.

Przyniesiono herbatę i bułki z masłem. Maczaliśmy ich kawałki w herbacie, czekając, aż masło się rozpuści, i zjadaliśmy je łapczywie.

– I jak Vikram?

– Niedobrze.

– Tak niedobrze, jak myślę?

– Tak niedobrze.

Zmarszczyła brwi. Oboje znaliśmy nałóg i jego gadzi uścisk.

– Myślisz, że sytuacja dojrzała do interwencji?

– Nie wiem. Może. Powiedziałem jego rodzicom, że powinni go posłać na jakiś czas do prywatnej kliniki. Spróbują.

– Stać ich?

– A stać ich na to, żeby tego nie zrobić?

– Słusznie – przyznała.

– Problem w tym, że nawet jeśli tam pojedzie, nie jest jeszcze gotów na pomoc. W żadnym razie.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Nie jest z nami dobrze, ze mną i z tobą, prawda?

– Skąd ten wniosek?

– Ze mną i z tobą – powtórzyła cicho. – Nie jest dobrze, prawda?

– Zdefiniuj „dobrze”.

Usiłowałem się uśmiechać, ale mi się nie udało.

– Dobrze to coś więcej – powiedziała.

– W porządku – szepnąłem. – Zróbmy coś więcej.

– Zwariowałeś, wiesz o tym?

Nic nie rozumiałem i chyba nie chciałem rozumieć, dokąd zmierzamy.

– Kiedy mnie aresztowano, musiałem przejść badania psychiatryczne – oznajmiłem. – Uznano mnie za na tyle normalnego, że mogę brać udział w procesie, czego nie da się powiedzieć o większości moich znajomych, włączając w to psychiatrę, który wydał zaświadczenie. Sąd skazuje wyłącznie zdrowych psychicznie. Co oznacza, że wszyscy skazańcy świata mają zdrową psychikę. I w dodatku dostali na to papiery. A skoro tak wiele osób na wolności spotyka się z psychoterapeutami i psychoanalitykami, wkrótce jedynymi ludźmi mającymi zaświadczenia o zdrowiu psychicznym będą więźniowie.

Lisa spojrzała na mnie. Uśmiech jak promień latarni morskiej torował sobie drogę w mroku jej oczu.

– Dość ciężki temat jak na kogoś, kto trzyma w ręce bułeczkę z masełkiem.

– Ostatnio nawet kiedy staram się cię rozśmieszyć, rozmowa zbacza na ciężkie tematy.

– Chcesz powiedzieć, że to moja wina? – rzuciła zapalczywie.

– Nie. Ja tylko…

– Nie zawsze chodzi tylko o ciebie – warknęła.

– W porządku, w porządku.

Pojawił się Atif, by zabrać naczynia i przyjąć następne zamówienie. W dni, w których mieliśmy wiele do przedyskutowania, zamawialiśmy dwie albo nawet trzy bułki z herbatą. Teraz poprosiłem tylko o herbatę.

– Bez *bun musca*? – spytał Atif.

– Bez. *Sirfchai*. – „Tylko herbata”.

– Może tylko jedną *bun musca*? – spróbował Atif, poruszając krzaczastymi brwiami. – *Na podziałkę*?

– Ani jednej. Tylko czaj.

– *Thik* – wymamrotał, głęboko zatroskany.

Wziął głęboki oddech i krzyknął do kucharzy:

– *Do chai! Do chai lao! Bez bun musca!* Powtarzam: bez *bun musca!*

– Bez *bun musca*? – dobiegło z kuchni.

Spojrzałem na Lisę, potem na Atifa, i na kucharza Vishala, łypiącego ponuro przez okienko. Podniosłem rękę z wyciągniętym jednym palcem.

– Jedna *bun musca!* – zawołałem.

– Tak! – zakrzyknął Atif triumfalnie. – *Ek bun musca, do chai!*

Vishal zakołysał entuzjastycznie głową w okienku, odsłaniając w uśmiechu zęby białe jak perły.

– *Ek bun musca, do chai!* – huknął z zadowoleniem, grzmocąc garnkiem z gotującym się czajem o ruszt gazowej kuchenki.

– Cieszę się, że to ustaliliśmy – powiedziałem, starając się rozśmieszyć Lisę.

Była to urocza śmiesznostka, którą Bombaj zaskakuje nas codziennie i normalnie bawilibyśmy się nią wspólnie.

– Wiesz, to dość dziwne – powiedziała Lisa.

– No, raczej nie. Atif jest…

– Byłam tu wczoraj. Z Karlą.

– E… Co?

– I ten kelner zrobił dokładnie to samo.

– Zaraz. Byłaś tu wczoraj z Karlą i nic mi nie powiedziałaś?

– A po co? Czy ty mi mówisz, z kim się spotykasz i z kim się bijesz?

– Mam powody i dobrze o tym wiesz.

– No więc, kiedy byłam tu z Karlą, ten kelner zrobił to samo…

– Atif?

– Widzisz? Ona też znała jego imię.

– To mój ulubiony kelner z tego lokalu. Nie dziwi mnie, że Karla go lubi. Powinien być kierownikiem.

– Nie, nie rozumiesz.

– Czy musimy rozmawiać o Karli?

– Rozmawiać – spytała cicho. – Czy o niej myśleć?

– A ty myślisz o niej? Bo ja nie. Myślę o tobie i o nas. O tym, co z nas zostało.

Zmarszczyła brwi, a potem zajęła się składaniem i rozkładaniem serwetki.

*Bun musca* i czaj zjawiły się na stole. Przez chwilę ignorowałem ten fakt, ale Atif stał nade mną i przyglądał mi się, więc wziąłem kawałek bułki i zjadłem kęs. Atif zakołysał głową z aprobatą i odszedł.

– To chyba przez moje spaprane życie, wiesz? – odezwała się Lisa, składając serwetkę w drobne plisy.

Wiedziałem. Słyszałem tę historię wiele razy, niezmiennie tę samą, i zawsze

chciałem ją usłyszeć jeszcze raz.

– Nie byłam, no wiesz, wykorzystana czy coś. Nic z tego. Moi rodzice są normalnie świetni. Serio. To ja mam skazę. Wiesz o tym.

– Nie masz żadnej skazy.

– Mam.

– Nawet jeśli, to nie jest to skaza, której miłość nie mogłaby usunąć.

Lisa przez chwilę milczała, popijając czaj i szukając innej drogi do tego, co starała się mi powiedzieć.

– Opowiadałam ci o paradzie?

– Nie w Kayani – oznajmiłem z uśmiechem. – Opowiedz jeszcze raz.

– Co roku mieliśmy Paradę Dnia Założycieli. Przechodziła przez całą Main Street. Wszyscy w promieniu siedemdziesięciu kilometrów brali w niej udział albo przychodzili popatrzeć. Moja szkolna orkiestra też w niej szła, mieliśmy taką wielką scenę na kółkach…

– Platformę.

– Tak, komitet rodzicielski ufundował taką wielką platformę, co roku z innym tematem. Raz to ja zostałam wybrana, żeby usiąść wysoko na takim jakby tronie, jako główna atrakcja. Wtedy temat brzmiał „Owoce wolności”, a scena…

– Platforma.

– Platforma była pełna plonów z miejscowych gospodarstw. A ja byłam Ślicznotką Wolności, rozumiesz?

– Musiałaś wyglądać cholernie słodko.

Uśmiechnęła się.

– Musiałam siedzieć na wysokości, wśród tych gór owoców, ziemniaków, buraków i tak dalej. I musiałam pozdrawiać tłumy jak królowa, o tak, przez całą drogę przez Main Street.

Lekko poruszyła uniesioną dłonią, obróconą wnętrzem do przodu, ze stulonymi palcami, jakby piastowała w nich wspomnienie swoich królewskich dni.

Alef znowu sprzątnął ze stołu. Spojrzał na mnie, unosząc pytająco brew. Uniosłem dłoń nad blatem i dwa razy na niego wskazałem. Jest to znak przerwy. Kelner zakołysał głową i zajął się sąsiednimi stolikami.

– To było coś. Wielki zaszczyt, czujesz? Wszyscy tak mówili. Mówili i mówili, bez przerwy. Wiesz, jakie to wkurzające, kiedy ludzie bez przerwy ci mówią, że

powinieneś się czuć zaszczycony?

– Znam wersję, że powinienem się czuć zawstydzony, ale wyczuwam, o co chodzi.

– Rzecz w tym, że nie czułam się zaszczycona, wiesz? Oczywiście dość się cieszyłam, że wybrali mnie spomiędzy tylu innych dziewcząt, niektórych ładniejszych ode mnie. A nawet nie zrobiłam nic, żeby mnie wybrali. Niektóre dziewczyny próbowały wszystkich diabelskich sztuczek, jakie im przyszły do głowy. Nie wyobrażasz sobie, ile podstępów potrafi wymyślić dziewczyna, dopóki nie zobaczysz ich grupy, walczących o miejsce na ciężarówce na Paradzie Dnia Założycieli.

– Jakie podstępy? – spytałem z nadzieją.

– Ja nic nie zrobiłam. I zdziwiłam się tak samo jak wszyscy, kiedy komitet wybrał mnie. Ale… tak naprawdę nic nie poczułam. Machałam, dostojna jak Maria Antonina, trochę pijana od zapachu tych podgrzewających się na słońcu jabłek, ale spoglądałam na uśmiechające się do mnie twarze, na oklaskujące mnie dłonie i nic nie czułam.

Promienie słońca przeszywały monsunowy zmrok Kayani. Jeden z nich dotarł do naszego stolika, położył się na twarzy Lisy i podzielił ją na pogrążone w cieniu niebiańsko błękitne oczy i usta wilgotne od białego światła.

– W ogóle nic nie czułam – powiedziały te jaśniejące wargi. – Nigdy nic nie czułam. Nie czułam przynależności do tego miasta, tej szkoły czy nawet mojej własnej rodziny. Nigdy. Przenigdy.

– Ale…

– Wy tego nie znacie – stwierdziła sucho. – Ty i Karła. Wy czujecie związek z miejscem, w którym jesteście. W końcu to do mnie dotarło. Trzeba było kelnera, żeby mi to uświadomić. Ale wreszcie zrozumiałam.

Spojrzała na mnie znad zmiętej serwetki, zajrzała mi w oczy z twarzą niewyrażającą niczego.

– Tak jest zawsze – oznajmiła beznamiętnie. – Nie czuję związku z niczym i nikim. Nawet z tobą. Lubię cię, Lin. Od dawna miałam do ciebie słabość. Ale nigdy poza to nie wyszłam. Wiedziałeś? Nigdy nic do ciebie nie czułam.

Zawsze gdy próbowałem pokochać Lisę, czułem nóż wbity w pierś.

Tym nożem były słowa, które przed chwilą wypowiedziała, ponieważ powiedziała je w imieniu nas obojga.

– Ludzie nie przynależą do siebie – odezwałem się cicho. – Nie mogą. To pierwsza zasada wolności.

Usiłowała się uśmiechnąć. Bez powodzenia.

– Dlaczego ludzie się rozchodzą? – spytała z grymasem.

– A dlaczego się schodzą?

– A ty co, terapeuta, że odpowiadasz pytaniem na pytanie?

– Słusznie. Dobrze. Jeśli naprawdę mam to powiedzieć, moim zdaniem ludzie się rozchodzą, jeśli tak naprawdę nigdy ze sobą nie byli.

– A… – podjęła, spuszczając wzrok na blat – a co, jeśli boisz się być z kimś? Z kimkolwiek?

– Jak to?

– Ostatnio znowu czuję się, jakby komitet wybrał mnie na królową parady, choć wcale się nie starałam. Rozumiesz?

– Nie.

– Nie rozumiesz?

– Nie wiem, czy nam się udało, czy nie, ale wiem, że pokonałaś przekleństwo i stanęłaś na nogi. To coś, z czego możesz być dumna. Robisz to, co kochasz, pracujesz z artystami, których szanujesz. I jestem twoim przyjacielem, cokolwiek się stanie. To coś dobrego. Ty jesteś dobra.

Znowu podniosła wzrok. Chciała się odezwać. Otworzyła usta. Wargi jej drgnęły pod wpływem przelotnej myśli.

– Muszę iść – rzuciła pospiesznie, wstając. – Mamy nową wystawę. Nowy artysta. To… to całkiem dobry gość. Montujemy ją od paru dni.

– Dobrze. Zawio…

– Nie. Wezmę taksówkę.

– Jestem szybszy niż wszystkie taksówki w tym mieście – zauważyłem z uśmiechem.

– To prawda, i tańszy, kowboju, ale jednak wezmę taksówkę.

Zapłaciłem i wyszedłem z nią na zalaną słońcem ulicę. Przed kawiarnią czekały taryfy. Podeszliśmy do pierwszej z brzegu. Lisa pochyliła się, by do niej wsiąść, ale ją zatrzymałem.

Przez chwilę patrzyła mi w oczy. Potem uciekła spojrzeniem w bok.

– Nie czekaj dziś na mnie. Ta nowa instalacja jest skomplikowana. Będziemy przez parę dni pracować całą dobę, więc…

– Parę dni?

– Tak. Pewnie… pewnie będę nocować w galerii, dziś i jutro, żeby… żeby zdążyć na czas, rozumiesz?

– Co tu się dzieje?

– Nic się tu nie dzieje – rzuciła i wsiadła do taksówki.

Samochód natychmiast ruszył. Lisa patrzyła na mnie, dopóki nie zniknęła w oddali.

Uniesienie, które rodzi się w sekundę, ma kruchy żywot. Kiedy umiera, żadna siła nie zdoła go wskrzesić w oku kochanka. Lisa i ja patrzyliśmy na siebie z głębin czeluści, w której ląduje uniesienie po upadku.

Słońce przygasło, cień przesunął się przez ogród tego, co było. Stałem na chodniku jakieś pół godziny, intensywnie się zastanawiając. Coś mi umykało, konflikt bardziej fundamentalny niż niechęć Lisy do mojego życia na peryferiach firmy Sanjaya czy nawet jej pragnienie bycia z innymi. Tu się działo coś jeszcze, a ja – oczywiście – nie potrafiłem tego zobaczyć ani nawet poczuć, ponieważ to coś dotyczyło mnie.

# 24

Na ulicy panował wesoły rozbój; zaparkowałem motocykl przed Leopoldem, obok miejscówki ulicznych naganiaczy, których gadzie oczy omiatały okolicę, szukając okazji do zrobienia interesu. Rozejrzałem się powoli w lewo i prawo, chłonąc wszelkie niebezpieczeństwa lub okazje czekające na mnie na tej ulicy. Już zacząłem odsuwać się od myśli o tym cieniu, cieniu Lisy, przesuwającym się przez ogród przeszłości, kiedy nagle rozległ się głos:

– Lin! Ale super! Próbowałem cię odnaleźć!

Był to Stuart Vinson, bardzo podekscytowany. To dobrze. Po tej niezrozumiałej rozmowie z Lisą ożywienie człowieka, którego prawie nigdy nie rozumiałem, wydawało się pożądanym odwróceniem uwagi.

– Vinson. Co tam?

– Jest taka dziewczyna… I… potrzebuję twojej pomocy. Masz jakieś wejścia u policjantów z Kolaby, tak?

– Zależy, co rozumiesz przez wejścia.

– Możesz coś załatwić. Tak?

– Wiem, kto jest pierwszy, a kto ostatni w szeregu, jeśli chodzi o wręczanie pieniędzy.

– No właśnie! Super! Możesz pójść ze mną? Teraz?

– Hm…

– Proszę, Lin. Jest taka dziewczyna… ma wielkie kłopoty.

Zajrzał mi w twarz.

– Co? Nie! Nie zrobiła nic złego. Fakt, że o ile rozumiem, jej chłopak nie żyje. Wczoraj przedawkował i…

– Czekaj. Zwolnij. Co to za dziewczyna?

– No… Nie wiem, jak ma na imię.

– Aha.

– Jeszcze go nie słyszałem. Nie widziałem też jej paszportu. Nawet nie wiem, skąd pochodzi. Ale wiem, że muszę ją uratować i może tylko ja mogę, wiesz? Ona ma takie

oczy, człowieku, no, to jest strasznie dziwne. Jakby wszechświat mówił mi, że muszę ją uratować. To coś mistycznego. Magicznego. To przeznaczenie czy coś. Ale kiedy tylko pytam o nią gliny, każą mi się zamknąć.

– Zamknij się, Vinson, albo gadaj do rzeczy.

– Czekaj! Pozwól wyjaśnić. Byłem na posterunku i płaciłem mandat za mojego kierowcę, no wiesz, bo pobił się z innym kierowcą na Kemps Comer, niedaleko skrętu na Breach Candy i…

– Vinson. Dziewczyna.

– No właśnie, stary. Skończyłem z glinami i zobaczyłem tę dziewczynę. Żebyś ją widział! Te oczy. Ma takie oczy… że… że to ogień i lód jednocześnie. Trzeba zobaczyć, żeby uwierzyć. Czemu to przez oczy się tak świruje?

– Więź. Wracaj do dziewczyny.

– Jak powiedziałem, jej chłopak niedawno przedawkował, wczoraj w nocy albo dziś rano. O ile rozumiem, obudziła się i znalazła go, sztywnego jak deska i zimnego. Mieszkała we Franticu.

– Mów dalej.

– Ci goście z Franticu potrafią robić interesy i trzymać gębę na kłódkę. Załatwiałem tam parę spraw. Ale trup? Tutaj ich wytrzymałość się kończy, wiesz?

– Znam Frantic. Zatrzymali dziewczynę, wezwali gliny i ją przekazali.

– Właśnie. Gnoje.

– Nie chcieli wylądować w pudle, co ciebie też powinno interesować. Ryzykownie jest odgrywać dobrego samarytanina na posterunku, kiedy jest się dilerem. To niebezpieczne.

– No… wiem. Wiem. Ale ta dziewczyna, stary, czysty mistycyzm, no mówię ci! Usiłowałem wydusić z policjantów coś o niej. Powiedzieli mi tylko, że zidentyfikowała zwłoki w kostnicy, tak jak chcieli. Musiała to strasznie przeżyć. I złożyła zeznania, jak chcieli. Ale przecież nic nie zrobiła, a oni nie chcą jej puścić.

– Chodzi o pieniądze.

– Domyśliłem się. Ale oni nie chcą ze mną gadać. Dlatego jesteś mi potrzebny.

– Kto ma dyżur?

– Dilip. Oficer dyżurny. On tym rządzi. A ona siedzi w jego gabinecie.

– To dobrze.

– Mogę mu zapłacić za to, że ją wypuści?

– Sprzedałby swoją broń i odznakę, gdybyś mu dał dobrą cenę.

– Świetnie!

– Ale potem cię odszuka, pobije i odbierze ci je.

– A to nie świetnie.

– Lubi strach. Napełnij oczy odpowiednią ilością udawanego strachu, żeby wywołać uśmiech Dilipa, a potem zaproponuj pieniądze.

– Ty tak robisz?

– Dilip Błyskawica i ja wyszliśmy poza etap udawanego strachu.

– Jeśli wejdziesz ze mną, czy Dilip zgodzi się wziąć pieniądze i wypuścić dziewczynę?

– Pewnie. Tak sądzę. Ale…

– Ale co?

Westchnąłem przeciągle, zmęczony, i spojrzałem, niechętny i pełen rezerwy, w jego zatroskane oczy.

Lubiłem Stuarta Vinsona. Jego szczupła przystojna twarz, opalona przez sześć lat azjatyckiego słońca, zawsze miała ten odważny, szczery, zdeterminowany wyraz, który mógłby należeć do dowódcy ekspedycji na biegun północny, prowadzącego innych na spotkanie szlachetnej przygody, choć tak naprawdę był przebiegłym, fartownym dilerem narkotyków, który żył w dostatku w mieście, w którym głód był na porządku dziennym. Nie mogłem zrozumieć, co nim kieruje.

– Na pewno chcesz się w to mieszać? Nie znasz tej dziewczyny. Nie wiesz nawet, jak ma na imię.

– Proszę, nie mów nic, no wiesz, złego o tej dziewczynie – powiedział Stuart cicho, ale z zaskakującą siłą. – Bo przestanę cię lubić. Jeśli nie chcesz mi pomóc, nie szkodzi. Ale ja już wiem wszystko, co muszę o niej wiedzieć.

– Jezu.

– Przepraszam – szepnął, na chwilę zwieszając głowę.

Równie szybko znowu podniósł na mnie błagalne oczy.

– Wiem, że to może się wydawać wariactwem, ale przez dwie godziny siedziałem w gabinecie Dilipa, usiłując jej pomóc. Nic nie powiedziała. Ani słowa. Ale jeden, jedyny raz spojrzała na mnie i rzuciła mi tak jakby uśmiech. Poczułem go w sercu, Lin. Nie umiem tego wyjaśnić. A ja… ja też się do niej uśmiechnąłem, łona też to poczuła. Wiem. Jestem pewien. Pewien jak niczego w moim życiu. Nie wiem, czy wiesz, jak to

jest kochać kogoś z powodu, którego nie rozumiesz, ale proszę cię tylko o to, żebyś mi pomógł.

Wiedziałem, co to znaczy; wie to każdy zakochany. Przeszliśmy przez ulicę do posterunku Kolaba i gabinetu Dilipa Błyskawicy.

Oficer dyżurny zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów, zerknął na dziewczynę siedzącą po drugiej stronie biurka, a potem znowu na mnie.

– Przyjaciółka? – spytał, wskazując dziewczynę.

Spojrzałem na nią i coś się we mnie stuliło, jak zwijający się ślimak paproci. To była dziewczyna ze zdjęcia z medalionu, dziewczyna, która sprzedała medalion, dziewczyna, którą usiłowałem ostrzec, oddając jej medalion. Losie, pomyślałem, odczep się ode mnie.

Jej przetłuszczone, splątane włosy przykleiły się do spoconego karku. Dziewczyna miała na sobie kobaltowy sprany podkoszulek, na tyle obcisły, żeby podkreślić jej kruchą, szczupłą sylwetkę. Jej dżinsy wydawały się za duże. Cienki pasek ściskał je tak, że tworzyły falbankę wokół wąskiej talii. Na szyi miała medalion. Rozpoznała mnie.

– Tak – powiedziałem. – Przyjaciółka. Proszę, sierżancie-*ji*, włącz wentylator.

Dilip Błyskawica zerknął na nieruchomy wiatrak nad głową dziewczyny i niemal niezauważalnie przeniósł wzrok na wiatrak nad swoją głową, wirujący na tyle szybko, by rozproszyć monsunową duchotę.

Znowu spojrzał na mnie – tęczówki skamieniałe w miodową nienawiść.

– *Punkah!* – ryknął na podwładnego.

Posterunkowy szybko włączył wiatrak nad głową dziewczyny. Chłodne powietrze popłynęło strumieniem na jej szczupłą, spływającą potem szyję.

– A zatem to twoja przyjaciółka, Shantaram? – spytał przebiegle Dilip.

– Tak, Błyskawico-*ji*.

– Doskonale. Jak ma na imię?

– A jakie imię ci podała?

Dilip parsknął śmiechem. Odwróciłem się do dziewczyny.

– Jak masz na imię? – spytałem.

– Rannveig – odpowiedziała bezbarwnym głosem, odruchowo sięgając do medalionu, gdy nasze oczy się spotkały. – Rannveig Larsen.

– Nazywa się Rannveig – oznajmiłem. – Rannveig Larsen.

Dilip znowu się roześmiał.

– Nie takie imię mam zapisane – oznajmił, nadal się uśmiechając.

– To norweskie imię – wyjaśniła dziewczyna. – Pisze się je R-a-n-n-v-e-i-g, ale czyta się je Ranłej. Jak ta rzecz na lotnisku{1}.

– Ma na imię Rannveig – powiedziałem. – Czyta się Ranłej.

– Czego ty chcesz, Shantaram? – spytał Dilip.

– Chciałbym odwieźć pannę Larsen do domu. Miała dość trudny dzień.

– Panna Larsen poinformowała mnie, że nie ma domu – warknął Dilip. – Dziś rano wyrzucono ją z hotelu Frantic.

– Może się zatrzymać u mnie – rzucił szybko Vinson.

Wszyscy spojrzeli na niego.

– Mam… duży dom… – wyjąkał Vinson, wodząc po nas wzrokiem. – I służącą. Zajmie się nią… No… to znaczy… jeśli Rannveig chce u mnie zamieszkać.

Dilip Błyskawica odwrócił się do mnie.

– Co to za idiota? – spytał w hindi.

– To pan Vinson – oznajmiłem.

– Jestem Stuart Vinson – powiedział Stuart. – Byłem tutaj jakieś dziesięć minut temu.

– Milcz! – warknął Błyskawica.

– Chcielibyśmy odprowadzić pannę Larsen do domu, Błyskawico-*ji* – powiedziałem. – Oczywiście, jeśli wolno jej odejść.

– Wolno… – powtórzył Dilip w zamyśleniu. – Takie krótkie słowo… a tak wiele łączących się z nim warunków.

– Chętnie spełnię te warunki – zapewniłem. – Oczywiście zależy, ile ich jest i jak mocno łączą się ze słowem „wolno”.

– Przychodzi mi do głowy co najmniej dziesięć warunków – oznajmił Dilip z chytrym uśmieszkiem, majaczącym przez jego rozdrażnienie.

Odliczyłem dziesięć tysięcy rupii i położyłem je na stole.

Przesunąłem banknoty po blacie. Błyskawica wyciągnął rękę, żeby przykryć nią moją dłoń.

– Dlaczego firma Sanjaya interesuje się tą dziewczyną?

– To nie jest sprawa firmy Sanjaya. To kwestia osobista. Chodzi o przyjaciółkę.

Dilip zerknął na dziewczynę. Zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów.

– Ach, oczywiście – powiedział z wargami drgającymi w obleśnym uśmieszku.

– Chwileczkę… – zaczął Vinson, ale wszedłem mu w słowo, cofając rękę.

– Pan Vinson chciałby ci podziękować, Błyskawico-*ji*, za twoją życzliwość i zrozumienie.

– Zawsze chętnie pomogę – wycedził Dilip. – Dziewczyna musi tu wrócić za dwa dni, żeby podpisać dokumenty.

– Jakie dokumenty?

Dilip przeniósł na niego wzrok. Znałem to spojrzenie: zastanawiał się, w którą część ciała kopnąłby najpierw przykutego do krat Vinsona.

– Przyjdzie, sierżancie-*ji* – obiecałem. – Jakie konkretnie dokumenty ma podpisać?

– Transport zwłok – odparł Dilip, biorąc folder z biurka. – Zwłoki tego nieszczęsnego młodego człowieka wrócą za trzy dni do Norwegii. Ale ta pani musi podpisać formularze za dwa dni. A teraz zjeżdżajcie stąd, zanim zacznę mnożyć warunki jej zwolnienia.

Wyciągnąłem rękę do dziewczyny. Przyjęła ją, wstała i zrobiła parę kroków. Chwiała się. W pobliżu Vinsona potknęła się, a on objął jej ramiona. Wyprowadził ją na ulicę, pomógł wsiąść na tylne siedzenie swojego samochodu i usiadł obok niej. Szofer uruchomił silnik. Oparłem się o otwarte okno.

– Co się stało, Rannveig, jak ta rzecz na lotnisku? – spytałem.

– Co?

– Z twoim chłopakiem. Co się stało?

– Nie musisz się o mnie martwić – rzuciła z roztargnieniem. – Nic mi nie jest. Nic.

– W tej chwili martwię się raczej o niego – odparłem, wskazując Vinsona. – A jeśli mam tam wrócić i zająć się tym policjantem, muszę wiedzieć, co się wydarzyło.

– Ja… nie… – zaczęła, wpatrując się w trzymaną na kolanach płócienną torbę. Podejrzewałem, że ma w niej cały swój dobytek.

– Mów.

– On… nie potrafił przestać. I zaczęło być coraz gorzej. A potem, zaledwie wczoraj, zaledwie zeszłej nocy, powiedziałam mu, że odchodzę, wracam do Oslo. Ale on błagał, żebym została jeszcze tylko jedną noc. Tylko jedną noc. I… i wtedy… zrobił to umyślnie. Widziałam to w jego oczach. Zrobił to umyślnie. Nie mogę wrócić do domu. Nie zdołam spojrzeć w oczy nikomu stamtąd.

Płonący, elektryczny błękit jej oczu się zaszklił, a ona zapadła w zmęczone

milczenie. Znałem ten wyraz oczu: spoglądały na trupa. Patrzyła w twarz swojego zmarłego chłopaka.

– Masz kogoś w Bombaju? – spytałem.

Powoli pokręciła głową.

– Chcesz w to mieszać konsulat?

Pokręciła głową gwałtowniej.

– Dlaczego?

– Mówiłam. Nie potrafię spojrzeć nikomu w oczy.

– Jest wykończona – odezwał się Vinson cicho. – Zabiorę ją do domu. U mnie będzie bezpieczna… Dopóki nie podejmie decyzji, co zrobić.

– Dobrze. Dobrze. Pogadam z Dilipem Błyskawicą.

– Musisz zrobić coś więcej? – spytał Vinson. – Myślałem, że na tym koniec.

– Nie odda jej paszportu. Chce dostać więcej pieniędzy, ale nie zamierzał poruszać tego tematu. Nie przy tobie. Załatwię to.

– Dzięki, stary – powiedział Vinson, kiwając głową. – Dopilnuję, żeby wróciła podpisać te dokumenty. Hej, pozwól, że oddam ci tę kasę!

– Przekazywanie pieniędzy jest fajne tylko na posterunku, nie przed nim. Załatwimy to później. Jeśli odzyskam paszport, zostawię go Didierowi w Leopoldzie.

Vinson odwrócił się do dziewczyny.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział cicho. – Moja służąca się tobą zajmie. Jest groźna, ale ma dobre serce. Gorąca kąpiel, czyste ubranie, coś do jedzenia, sen. Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

Podał kierunek szoferowi i samochód ruszył. Dziewczyna odwróciła się szybko, odnalazła mnie spojrzeniem i powiedziała coś bezgłośnie. Nie zrozumiałem. Patrzyłem za samochodem, aż zniknął, a potem wróciłem na posterunek porozmawiać z Dilipem Błyskawicą.

Niewiele się dowiedziałem. Dziewczyna twierdziła, że obudziła się i znalazła obok siebie martwego chłopaka. W jego ramieniu tkwiła strzykawka. Dziewczyna wezwała kierownika hotelu, a ten zadzwonił na policję i po karetkę.

Dilip Błyskawica chętnie uznał, że to zwykłe przedawkowanie. Chłopak miał liczne ślady po wkłuciach na ramionach, dłoniach i stopach, a kierownik hotelu zeznał, że nikt oprócz młodej pary nie wchodził do pokoju. Wykupienie paszportu dziewczyny kosztowało mnie kolejne pięć tysięcy rupii, a usunięcie nazwiska Rannveig z aktu

zgonu chłopaka – jeszcze dziesięć tysięcy. Poprawiona wersja oficjalnego raportu stwierdzała, że ciało denata znalazł kierownik hotelu. Rannveig zupełnie zniknęła z historii.

W tamtych czasach było to dużo pieniędzy. Zamierzałem zażądać ich zwrotu od Vinsona. Kiedy wychodziłem z gabinetu, wkładając norweski paszport do kieszeni, oficer dyżurny mnie zatrzymał.

– Powiedz firmie Sanjaya, że ta sprawa podniosła stawkę.

– O co ci chodzi?

– DaSilva – rzucił, jakby spluwał. – Andrew DaSilva. To jego heroina zabiła tego chłopca. To trzecia śmierć w wyniku przedawkowania heroiny w tym tygodniu. Firma Sanjaya sprzedaje bardzo silny, bardzo zły towar. Zaczynam mieć kłopoty z jego powodu.

– Skąd ta pewność?

Nie było to uprzejme pytanie, a Dilip nie miał na nie uprzejmej odpowiedzi.

– Wal się razem z twoim martwymi ćpunami. Gówno mnie oni obchodzą. Dwaj miejscowi smarkacze to małe piwo. Ale kiedy w moim rejonie umiera cudzoziemiec, na moim biurku zostaje wielka plama. A ja lubię czyste biurka. Powiedziałem DaSilvie, że będzie mi musiał zapłacić w tym miesiącu podwójnie, za dwa trupy. Teraz trupy są trzy, a cena się potroiła.

– Sam to powiedz Sanjayowi, Błyskawico. Widujesz go częściej niż ja.

Opuściłem posterunek, utorowałem sobie drogę na ulicę i podszedłem do wąskiego cementowego bloku i metalowej balustrady, oddzielających północny i południowy pas ruchliwej jezdni.

Stojąc w dziurze w stalowym ogrodzeniu, czułem opływający mnie ruch; zatłoczone czerwone autobusy, skutery wiozące pięcioosobowe rodziny, wózki, motocykle, rowery, czarno-żółte taksówki, ciężarówki z rybnego targu, prywatne samochody, wojskowe transportery, jeżdżące do i z wielkiej bazy marynarki wojskowej na czubku półwyspu Miasta Wysp. Przez gmatwaninę myśli w mojej głowie przebiły się pojedyncze słowa.

Nasze narkotyki. Narkotyki firmy Sanjaya. Dziewczyna z medalionu, Rannveig, jak ta rzecz na lotnisku. Jej chłopak. Dziewczyna z medalionu. Nasze narkotyki.

Klaksony, dzwonki rowerów, muzyka z radia, krzyki straganiarzy i żebraków dobiegały ze wszystkich stron, odbijały się echem od zadaszonych deptaków i elegancko wytartych kamiennych budynków, które je otaczały.

Nasze narkotyki. Narkotyki firmy Sanjaya. Dziewczyna. Medalion. Jej chłopak. Nasze narkotyki.

Zapachy ulicy karały mnie, doprowadzały do zawrotów głowy: świeży połów ryb i krewetek z portu Sassoon, spaliny z silników na benzynę i ropę, ciężki zapach mokrego płótna – monsunowa pleśń, wpełzająca na frontony wszystkich budynków w mieście.

Nasze narkotyki. Nasze narkotyki.

Stałem na pasie dzielącym jezdnie. Przede mną płynęły strumienie samochodów zmierzających na północ, za mną – jadących na południe, wzdłuż półwyspu.

Kadirbaj nie pozwalał nikomu z firmy handlować heroiną w południowym Bombaju i czerpać zysków z prostytucji. Od jego śmierci ponad połowa nowych funduszów firmy Sanjaya pochodziła z obu tych źródeł. Z każdym miesiącem Sanjay angażował więcej dilerów i otwierał więcej burdeli. Był to nowy świat, nie wspaniały, ale o wiele bogatszy niż ten, który zastałem, gdy Kadirbaj uratował mnie z więzienia i dał pracę. I nie było sensu powtarzać sobie, że nie ja sprzedaję narkotyki czy dziewczyny, że pracuję przy fałszowaniu paszportów. Tkwiłem w tym aż po cienki srebrny łańcuszek na mojej szyi.

Jako żołnierz firmy Sanjaya walczyłem z innymi gangami i w każdej chwili mogłem zostać wezwany do ochrony Andrew, Amira, Fajsala i ich działalności, bez żadnych wyjaśnień, dlaczego mam rozlewać krew, bez prawa do odmowy.

Nasze narkotyki.

Poczułem dotknięcie na plecach. Zanim zdążyłem się odwrócić, dotknięto mnie znowu i jeszcze raz. Trzej Rowerowi Zabójcy śmignęli między samochody na swoich chromowanych rowerach.

Obejrzałem się szybko, by powitać Pankadża, drugiego w hierarchii Rowerowych Zabójców, który zahamował ostro koło mnie. Oparł się o metalową barierkę pasa rozdzielającego. Wokół niego sunęły strumienie pojazdów, a on spojrzał na mnie łobuzersko, z błyskiem w oku.

– Taicie to proste, bracie! – powiedział z uśmiechem, kołysząc energicznie głową. – Nie licząc mnie, zostałeś już zabity trzy razy… gdyby moi chłopcy trafili cię nożami, nie palcami, bracie.

Dziabnął mnie dwoma silnymi palcami w pierś, dokładnie pod sercem.

– Więc cieszę się, że nie będziemy ze sobą walczyć.

– Zdejmij rękę z noża, który masz na plecach – rzucił on – a ja zdejmę rękę z mojego.

Obydwaj wybuchnęliśmy śmiechem i uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Dzięki twojej firmie mamy dużo zajęć – dodał, obracając pedałami roweru do tyłu i trzymając się balustrady. – Jeśli tak dalej pójdzie, uzbieram sobie emeryturę.

– Jeśli interesy zawiodą cię kiedyś na południe od Flora Fountain, będę wdzięczny, jeśli mnie uprzedzisz.

– Uprzedzę, bracie. Bywaj!

Pankadż wrócił na jezdnię. Patrzyłem, jak sprawnie lawiruje między samochodami.

A zanim straciłem go z oczu, zanim podniosłem wzrok ku niebu, podjąłem decyzję. Koniec. Skończyłem z firmą Sanjaya.

Dość. Wystarczy. Odchodzę.

Wiara. Wiara jest we wszystkim, w każdej minucie życia, nawet we śnie. Wiara w matkę, siostrę, brata czy przyjaciela, wiara, że inni zatrzymają się na czerwonym świetle, wiara w pilota samolotu i inżynierów, którzy zaprojektowali maszynę tak, by unosiła się w powietrzu, wiara w nauczycieli, którzy codziennie godzinami czuwają nad dziećmi, wiara w policjantów, strażaków i funkcjonowanie własnego ciała, wiara, że miłość będzie na ciebie czekać, gdy wrócisz do domu.

Ale wiara, w przeciwieństwie do nadziei, może umrzeć. A gdy wiara umiera, wraz z nią zawsze odchodzą dwie przyjaciółki: stałość i oddanie.

Miałem dość. Straciłem tę resztkę wiary, którą darzyłem Sanjaya jako dowódcę. Nie mógłbym dłużej siebie szanować, poddając się jego rządom.

Wiedziałem, że odejście nie będzie łatwe. Sanjay nie lubił nieposłuszeństwa. Ale skończyło się. Ja z tym skończyłem. Wiedziałem, że Sanjay wróci do domu późno. Postanowiłem pojechać do jego domu nocą i powiadomić go, że odchodzę.

Spojrzałem na szyld Leopolda i przypomniałem sobie coś, co powiedziała kiedyś Karla, gdy za dużo wypiliśmy i za dużo mówiliśmy zbyt długo po zamknięciu drzwi. „Gdy żyje się samotnie jako niezależny pracownik w Bombaju, jak Didier – rzuciła ze śmiechem – żyje się w zimnej rzece prawdy”.

Spojrzałem w pęknięte lustro. Już dawno nie zmierzyłem się z samotnością. Zostawiałem małą armię, która przysięgła bronić mnie jako swojego towarzysza broni. Traciłem nietykalność, ochronę niby-prawych prawników firmy, o jedną drogo płatną minutę oddalonych od niby-prawych sędziów.

Zostawiałem za sobą bliskich druhów, którzy wraz ze mną stawiali czoło wrogowi, którzy znali Kadirbaja, znali jego wady i kochali go tak jak ja.

A to okazało się trudne. Usiłowałem uciec przed poczuciem winy i wstydem, i to także nie było łatwe; poczucie winy i wstyd miały więcej artylerii niż ja.

Ale strach lubi się ukrywać, wstręt do samego siebie zagłuszają usprawiedliwienia i czasem nie wiesz, jak bardzo się boisz, dopóki nie zostawisz swoich budzących strach przyjaciół.

Czułem, że sprawy, dla których zbyt długo szukałem usprawiedliwienia i wytłumaczenia, spadają jak liście, zmyte z mojego ciała przez wodospad. Samotność to prąd rzeki prawdy, tak jak wspólnota. Samotność ma własną wierność. Ale kiedy zbliżasz się do brzegu, często wydaje się, że z całej wiary świata pozostała tylko ta, którą masz do siebie.

Odetchnąłem głęboko, przypieczętowałem decyzję sercem i zapamiętałem, żeby wyczyścić i naładować broń.

# 25

Kawita Singh, dziennikarka, która zaczęła wyrabiać sobie nazwisko na dobrych tekstach o złych ludzkich postępkach, odchyliła się z krzesłem tak, że oparło się o ścianę. Obok niej siedziała młoda kobieta, którą widziałem po raz pierwszy. Naveen i Divya zajmowali krzesła po lewej stronie Didiera. Vikram przyszedł z Dżamalem, Teatrem Jednego Aktora i Billym Bhasu z grobowca Dennisa. Fakt, że Vikram był na nogach po dwóch godzinach snu, zdradzał potęgę jego uzależnienia. Kiedy zaczyna się brać, haj może trwać dwanaście godzin. Gdy odporność znika i pojawia się uzależnienie, musisz szukać nowej działki co trzy do czterech godzin.

Kiedy podszedłem do stolika, wszyscy śmiali się z czegoś.

– Cześć, Lin! – zawołał Naveen. – Mówimy o naszych ulubionych przestępstwach. Wszyscy musieliśmy jakieś wymienić. Jakie jest twoje?

– Bunt.

– Anarchista! – rzucił Naveen ze śmiechem. – Awanturnik w poszukiwaniu rozsądku!

– Rozsądny awanturnik – sprzeciwiłem się – w poszukiwaniu przyszłości.

– Brawo! – krzyknął Didier, przywołując kelnera. Odsunął się, robiąc mi miejsce. Usiadłem obok niego i podsunąłem mu norweski paszport Rannveig.

– Vinson odbierze to od ciebie za parę dni – powiedziałem cicho.

Spojrzałem na Vikrama. Unikał mojego wzroku, rozmazywał palcami smugę piwa na stoliku. Dałem mu znak, żeby się do mnie pochylił.

– Co robisz? – szepnąłem.

– Jak to?

– Dwie godziny temu byłeś nieprzytomny.

– Obudziłem się. To się zdarza.

– A ci faceci, którzy kupują narkotyki, przypadkiem są z tobą?

Vikram odsunął się z krzesłem.

– Wiesz co, Lin – powiedział głośno – chyba mnie pomyliłeś z kimś, kogo to rusza. Pomyłka. I chyba nie jestem w tym osamotniony. Didier, rusza cię coś?

– Niechętnie – odparł Didier. – I nieczęsto.

– A ciebie, Kawita?

– Właściwie mele rzeczy nie tylko mnie nie rusza, ale…

– Wiesz, Lin – podjął Vikram – był z ciebie fajny gość, *yaar*. Nie stawaj się kolejnym cudzoziemcem w Indiach.

Pomyślałem o strachu jego ojca i o tym, że rodzina musi ukrywać przed nim kosztowności, ale nie odpowiedziałem.

– W Bombaju wszyscy jesteśmy cudzoziemcami, nieprawdaż? – odezwała się Kawita. – Ja…

Vikram znowu jej przerwał, chwytając Didiera za ramię.

– Możemy to zrobić teraz?

Didier spojrzał na niego wstrząśnięty. Nigdy nie załatwiał interesów w Leopoldzie. Ale wyjął z kieszeni przygotowany zwitek banknotów i podał go Vikramowi. Mój dumny przyjaciel wyszarpnął mu pieniądze i wstał szybko, niemal przewracając krzesło. Teatr Jednego Aktora przytrzymał je i wstał razem z nim. Billy Bhasu podążył w ich ślady.

– Więc… ten… już pójdę – wymamrotał Vikram, wycofując się i unikając mojego spojrzenia.

Billy Bhasu pomachał nam i wyszedł z Vikramem. Teatr Jednego Aktora zakołysał głową z brzękiem bożków zwisających na jego chudej szyi.

– Teatr Jednego Aktora – powiedziałem.

– Teatr Jednego Aktora – odparł, i wyszedł w ślad za innymi.

– Co się dzieje, przyjacielu? – spytał mnie cicho Didier.

– Ja też daję Vikramowi pieniądze. Ale zawsze zadaję sobie pytanie, czy właśnie kupiłem mu działkę, która go zabije.

– Może go też uratować – odpowiedział Didier, nadal cicho. – Vikram jest chory. Ale choroba to inny sposób powiedzenia „nadal żyję”. Ratunek jest wciąż możliwy. Bez czyjejś pomocy Vikram mógłby nie przeżyć tej nocy. Dopóki żyje, zawsze istnieje dla niego szansa. Odpuść i baw się z nami.

Zerknąłem na pozostałych i skapitulowałem. Włączyłem się do gry.

– A ty, Kawita? – spytałem. – Jaki jest twój ulubiony występek?

– Żądza – oznajmiła z mocą.

– Żądza to grzech, nie przestępstwo.

– Też jej to powtarzam – odezwał się Naveen.

– W moim wykonaniu to przestępstwo – warknęła.

Divya rozchichotała się do łez, zarażając resztę obecnych.

– A ty, Didier?

– Oczywiście najbardziej sympatycznym przestępstwem jest krzywoprzysięstwo – oświadczył Didier zdecydowanie.

– Czy mogę ci uwierzyć? – rzuciłem.

– Przysięgniesz? – dodał Naveen.

– Ponieważ – wyjaśnił Didier – tylko kłamstwo ratuje ten świat przed permanentną rozpaczą.

– Ale czy szczerość nie jest wypowiedzeniem prawdy? – zagadnął zaczepnie Naveen.

– Nie, nie! Szczerość to tylko wybór prawdy. Na świecie nie istnieje nic bardziej niszczącego od prawdy ani nic bardziej obrażającego intelekt niż osoba, która upiera się, że zawsze jest całkowicie i kompletnie szczera.

– Całkowicie i kompletnie zgadzam się z tobą! – zawołała Divya, unosząc kieliszek. – Kiedy chcę pogadać z kimś szczerze, idę do doktora.

Pochwały sprawiły, że Didier zaczął się rozkręcać.

– Przysiadają się do ciebie i szepczą: „Pomyślałem, że powinieneś wiedzieć". A potem metodycznie niszczą twoją pewność siebie, ufność i nawet jakość twojego życia tym swoim obrzydliwym wycinkiem prawdy. Jakimś strzępem odrażających informacji, na temat których koniecznie muszą być z tobą szczerzy. Czymś, za co ich przeklinasz. A dlaczego to zrobili? Bo są szczerzy! Ta jadowita szczerość ich do tego zmusiła! Nie! Wolę twórcze kłamstwo niż brzydotę szczerości.

– Didier, bądź ze sobą szczery – rzuciła ironicznie Kawita.

– Akurat ty powinnaś dostrzec głęboką mądrość moich słów. Dziennikarze, prawnicy i politycy to ludzie, którzy z racji zawodu są zobowiązani, by niemal nigdy nie mówić całej prawdy. Gdyby to zrobili, gdyby byli całkowicie szczerzy w sprawie każdej znanej im tajemnicy, cywilizacja upadłaby w miesiąc. Dzień po dniu, drink za drinkiem, program za programem to kłamstwo pozwala nam żyć. Nie prawda.

– Kocham cię, Didier! – zakrzyknęła Divya. – Jesteś moim bohaterem!

– Chciałbym ci wierzyć, Didier – zauważył Naveen z kamienną twarzą. – Ale ta sprawa z krzywoprzysięstwem tak jakby podważa twoją wiarygodność, wiesz?

– Krzywoprzysięstwo to uczciwość wobec własnego serca – odparł Didier.

– Czyli szczerość to coś dobrego – zauważyła Kawita, wskazując serce Didiera.

– Niestety, nawet Didier nie jest całkowicie odporny – przyznał Didier z westchnieniem. – W kwestii kłamstwa osiągam wyżyny heroizmu. Spytajcie jakiegokolwiek policjanta w południowym Bombaju. Ale jestem tylko istotą ludzką i od czasu do czasu dopuszczam się odrażających aktów szczerości. Teraz całkowicie szczerze – przyznaję to ze wstydem – radzę wam kłamać, gdy tylko zdołacie, dopóki nie nauczycie się kłamać z całkowitą szczerością, jak ja.

– Kochasz prawdę – zauważyła Kawita. – Nie znosisz tylko szczerości.

– Masz całkowitą rację – zgodził się Didier. – Wierz mi, gdybyś szczerze mówiła całą prawdę o każdym, ktoś w końcu zrobiłby ci krzywdę.

Wszyscy obecni przy stole zaczęli prowadzić prywatne rozmowy – Didier zgadzał się z Kawitą, Naveen kłócił się z Divyą. Ja odezwałem się do dziewczyny obok mnie.

– Chyba nas nie przedstawiono. Jestem Lin.

– Wiem – odpowiedziała nieśmiało. – Jestem Sunita, przyjaciółka Kawity. No, właściwie to koleżanka z pracy. Początkująca dziennikarka.

– I jak ci się pracuje?

– Świetnie. To fantastyczna szansa, i w ogóle. Ale mam nadzieję, że będę pisarką, jak ty.

– Ja? – rzuciłem zaskoczony ze śmiechem.

– Czytałam twoje opowiadania.

– Opowiadania?

– Wszystkie pięć. Bardzo mi się podobały, ale nie miałam odwagi ci tego powiedzieć.

– Gdzie je znalazłaś?

– No… – zająknęła się speszona. – Dał mi je Randżit… pan Randżit… do korekty. Szukałam literówek i takich tam.

Gapiłem się na nią w osłupieniu. Nie chciałem się na niej wyładowywać, ale byłem zbyt wściekły i ogłuszony, żeby ukryć, co czuję. Randżit miał moje opowiadania? Skąd? Czy Lisa dała mu je za moimi plecami, wbrew mojej woli? Nie mogłem tego zrozumieć.

– Mam je ze sobą – powiedziała Sunita. – Chciałam zjeść dzisiaj obiad samotnie i popracować nad nimi, ale panna Kawita mnie zaprosiła…

– Daj mi je, dobrze?

Sięgnęła do dużej płóciennej torby i podała mi teczkę. Czerwoną. Wszystkie moje historie uporządkowałem kolorami. Czerwony wybrałem dla opowiadań o miejskich świętych.

– Nie pozwoliłem na drukowanie tych tekstów – oznajmiłem, zaglądając do środka, by sprawdzić, czy znajduje się w nich wszystkie pięć opowiadań.

– Ale…

– To nie twoja wina – dodałem łagodnie – i nic ci się nie stanie. Napiszę kartkę, oddasz ją Randżitowi i wszystko będzie dobrze.

– Ale…

– Masz długopis?

– Ja…

– Żartowałem – mruknąłem i wyjąłem długopis z kieszeni kamizelki.

Na ostatniej stronie ostatniego opowiadania znajdowały się tylko dwa wiersze. „Arogancja to wizytówka dumy. Wszystko wypełnia słowem *ja*. Wdzięczność to wizytówka pokory i stanowi przestrzeń zostawioną na miłość". Uznałem, że to stosowna papeteria dla Randżita. Wydarłem kartkę, napisałem te słowa jeszcze raz, odręcznie, i zamknąłem teczkę.

– Lin! – odezwał się kapryśnie Didier. – Nie pijesz! W tej chwili odłóż ten długopis.

– Co robisz? – spytała Kawita.

– Jeśli to ostatnia wola, w twoim przypadku to raczej ostatnia samowola – zażartował Naveen.

– Skoro musisz wiedzieć – odparłem, zerkając na Kawitę – piszę list do twojego szefa.

– Miłosny? – odpaliła, prostując się.

– Mniej więcej.

Skończyłem pisać i podałem kartkę Sunicie.

– Ależ nie! – zaprotestował Didier. – To nieznośne! Po prostu musisz przeczytać to na głos.

– Co?

– Istnieją pewne zasady – oznajmił Dider z naganą. – I musimy je łamać przy każdej okazji.

– Jesteś jeszcze bardziej szalony niż ja.

– Musisz nam to przeczytać.

– To prywatna wiadomość.

– Napisana w publicznym lokalu – odparła Kawita, wydzierając kartkę Sunicie.

– Ej! – Usiłowałem jej odebrać list, ale odskoczyła szybko i stanęła, oddzielona ode mnie stołem. Miała zachrypnięty głos, interesujący ze względu na to, jak wiele w sobie ukrywał.

Przeczytała moją wiadomość.

– „Powiem wprost, Randżit. Ten feudalny sposób, w jaki odgrywasz rolę giganta mediów, jest obelgą dla czwartej władzy. Nie pozwoliłbym ci opublikować nawet zawiadomienia o mojej śmierci. Jeśli jeszcze raz dotkniesz któregoś z moich tekstów, złożę ci wizytę, w trakcie której cię przemodeluję. Dziewczyna, która przyniesie ci ten list, ma mój numer. Jeśli odegrasz się na niej, jeśli ją wylejesz albo w jakikolwiek sposób skrzywdzisz posłańca, ona zadzwoni do mnie, a ja złożę ci wizytę, w trakcie której cię przemodeluję. Nie zbliżaj się do mnie”.

– Cudowne! – zawołała ze śmiechem. – To ja chcę oddać ten list.

Nagły krzyk i brzęk szkła sypiącego się na marmurową posadzkę sprawił, że wraz z innymi spojrzeliśmy w stronę wielkiego łuku wejściowego. Concannon stał w pierścieniu kilku kelnerów z Leopolda. Towarzyszyło mu paru Skorpionów. Wielki facet, Hanuman, stał za Concannonem. Widziałem też twarze, które pamiętałem z tamtej krwawej godziny w magazynie.

Ostatni do środka wcisnął się Danda, kat z wąsikiem jak kreseczka. Lewe ucho przytrzymywała mu skórzana łatka na oko.

Concannon miał ze sobą ołowiany ciężarek w skórzanej sakiewce, przywiązanej sznurkiem do przegubu. Zamachnął się nim, trafiając sikhijskiego szefa ochrony w skroń. Wszyscy gapie jęknęli lub krzyknęli z przerażenia. Inni kelnerzy rzucili się na pomoc. Concannon uderzył drugi raz, gdy podtrzymywali powalonego towarzysza. Pojawiła się krew, mężczyźni upadli. Skorpiony wpadły do restauracji, odpychając stoły i rozpędzając przerażonych gości. Butelki, kieliszki i talerze posypały się na podłogę, roztrzaskując się w spienionych kałużach. Stoliki zakołysały się i przewróciły, krzesła wyprysnęły z terkotem z kłębowiska mężczyzn. Klienci potykali się o meble i ślizgali na mokrej podłodze. Kawita, Naveen i ja wstaliśmy szybko.

– Zrobi się nieładnie – powiedziałem.

– I dobrze! – rzuciła Kawita.

Zerknąłem na nią; już trzymała pustą butelkę w jednej i torebkę w drugiej ręce.

Ludzie zablokowali najbliższe drzwi. Za sobą mieliśmy kąt sali. Gdybyśmy osłonili

się stołem, Divya i Sunita mogłyby się za nim schować. Spojrzałem na Naveena, a on jakby usłyszał moją myśl.

– Divya, do kąta – rzucił, wskazując za siebie, i nie odrywając oczu od walczących.

Dziewczyna przynajmniej raz nie protestowała. Chwyciła Sunitę i pociągnęła ją za sobą. Spojrzałem na Kawitę.

– Tam? – prychnęła. – Wal się.

Bez względu na przyczyny tego dzikiego ataku Concannon i Skorpiony dobrze wybrali moment. Była to senna popołudniowa pora na długo przed wieczornym przypływem gości. Połowa kelnerów odsypiała zarwane noce na górze.

Zaskoczony personel opierał się dzielnie, ale napastnicy przeważali liczebnie. Walcząca, kotłująca się ciżba przetoczyła się przez restaurację w naszą stronę. Trzeba było zwolnić jej pęd, żeby ją zatrzymać.

– Bić chamów! – warknęła Kawita.

Rzuciliśmy się na gangsterów, starając się odeprzeć ich w stronę wejścia. Paru gości dołączyło do nas. Naveen zadawał ciosy pięściami z błyskawiczną precyzją. Odciągnąłem jednego człowieka od półprzytomnego kelnera. Gangster zachwiał się i upadł na wznak. Gdy spróbował się podnieść, Kawita grzmotnęła go w głowę pustą butelką. Upadł, a inni klienci zaczęli go kopać. śpiący kelnerzy z nocnej zmiany, obudzeni przez właściciela Leopolda, zaczęli zbiegać wąskimi schodami w głębi sali. Skorpiony straciły rozpęd. Fala zawróciła. Gangsterzy zaczęli się wycofywać.

Pęd poniósł ze sobą Naveena i mnie, uwięzionych między wrogami a odsieczą. W pobliżu drzwi znalazłem się twarzą w twarz z Concannonem.

Jeśli wiedział, że przegrywa, to jego oczy tego nie zdradziły. Lśniły jak łuski ryby w płytkiej wodzie, rozpalone zimnym światłem. Uśmiechał się. Był szczęśliwy.

Powoli uniósł skórzany worek z ołowianym ciężarkiem aż na wysokość barku.

– Diabeł się w tobie zakochał, chłopaku! – rzucił i zrobił zamach.

Szybko uskoczyłem w prawo. Worek trafił mnie w lewą łopatkę. Kość zadrżała od uderzenia. Błyskawicznie uderzyłem go prawym krzyżowym, dokładnie w skroń, z całej siły. To był mocny cios. Ale nie dość mocny.

Concannon potrząsnął głową i wyszczerzył zęby. Znowu uniósł worek, a ja chwyciłem go i pchnąłem do tyłu, na ulicę.

W filmach mężczyźni walczą ze sobą przez długie minuty, na zmianę się uderzając. W prawdziwej ulicznej bójce wszystko dzieje się o wiele szybciej. Wszyscy biją wszystkich, a jeśli ktoś upadnie, to przeważnie już się nie podnosi.

Oczywiście czasem podłoga jest najbezpieczniejszą kryjówką.

Osłaniając czoło pięściami, czekając na odpowiednią okazję, patrzyłem nad kostkami palców na Concannona. Usiłował uderzyć mnie workiem. Uskoczyłem, zrobiłem zwód, ale przy okazji oberwałem. Cofając się, żeby nie stracić równowagi, natknąłem się na Naveena. Zerknęliśmy na siebie szybko i stanęliśmy, odwróceni do siebie plecami.

Byliśmy sami między Leopoldem a szeregiem ulicznych straganów. Kelnerzy zatrzymali się pod wielkim wejściowym lukiem. Mieli zasady: to, co się działo na ulicy, już ich nie interesowało. Dbali tylko o to, żeby bijatyka nie wróciła do restauracji.

Skorpiony zaatakowały. Naveen sam stawił czoło czterem. Nie mogłem mu pomóc. Miałem na karku Concannona.

Dostrzegłem lukę i zaatakowałem wysokiego Irlandczyka ciosami z lewej i prawej, ale na każdy odpowiadał ciosem worka. Morderczy ciężar miażdżył mi twarz. Szybko popłynęła krew. I niezależnie od tego, jak mocno i trafnie uderzałem, nie mogłem go powalić. Przyszły do mnie słowa jak śnieg niesiony wiatrem.

Więc to koniec…

Bójka skończyła się równie nagle, jak się zaczęła. Skorpiony odstąpiły i zebrały się wokół Concannona.

Naveen i ja zerknęliśmy przelotnie za siebie. Zobaczyliśmy Didiera z bronią w ręku. Bardzo mnie ucieszył ten widok. Didier uśmiechał się tak samo jak Concannon. Obok niego stał Abdullah.

Cofnęliśmy się sprzed lufy automatycznego pistoletu Didiera. Abdullah sięgnął lewą ręką do broni i powoli opuścił ją, aż znalazła się przy boku Didiera.

Przez chwilę panowała cisza. Skorpiony gapiły się na nas, uwięzieni między walką a ucieczką. Świadkowie, kryjący się za arkadami, oddychali szybko. Wydawało się, że nawet ruch na ulicy zwolnił.

Concannon postanowił przemówić. I to był błąd.

– Ty pierdolona, kudłata irańska pizdo – zaczął, pokazując wszystkie żółte zęby i zbliżając się do Abdullaha. – Ty i ja wiemy, kim jesteś. Czemu się nie odezwiesz?

Abdullah miał broń. Strzelił Concannonowi w udo. Ludzie krzyknęli i rozpierzchli się na wszystkie strony.

Irlandczyk zachwiał się, nadal chcąc się bić, uderzyć Abdullaha workiem. Abdullah znowu do niego strzelił, w tę samą nogę. Concannon upadł. Abdullah strzelił jeszcze

dwa razy, w mgnieniu oka. Gdy Hanuman i Danda zatoczyli się do tyłu, uświadomiłem sobie, że wielki Skorpion i jego chudy kumpel też dostali w nogi.

Skorpiony zdolne do ucieczki uciekły. Concannon, urodzony twardziel, pełzł, odpychając się łokciami. Starał się schronić między straganami z upominkami.

Abdullah zrobił dwa kroki i mocno postawił nogę na plecach Irlandczyka. Didier stał u jego boku.

– Ty… jebany… tchórzu… – wystękał Concannon. – No, zrób to! Jesteś zerem!

Z dwóch ran na jego nodze płynęły strumienie krwi. Abdullah wycelował w potylicę Concannona. Był gotów strzelić. Ci nieliczni, którzy nie uciekli, krzyknęli.

– Dość, bracie! – zawołałem. – Dość!

Ale to Didier położył rękę na ramieniu Abdullaha, łagodnie skłaniając go do opuszczenia broni.

– Za wielu świadków, przyjacielu – powiedział. – *Dommage*. Chodź. Szybko.

Abdullah zawahał się; buzował w nim instynkt. Wiedziałem. Ja też słyszałem głos tego instynktu. W tej chwili Abdullah chciał zabić Concannona bardziej, niż ocalić życie. Stanąłem obok niego, tak jak w więzieniu inni stawali obok mnie, strzegąc mojego serca, tak samo jak życia.

– Policjantów nie ma tu tylko dlatego, że Skorpiony musiały im zapłacić za to, żeby się nie mieszali. To nie potrwa długo. Musimy się zmywać.

Abdullah zabrał nogę z pleców Concannona. Irlandczyk natychmiast zaczął pełznąć w stronę drogi.

Obok nas zatrzymały się dwa samochody. Skorpiony wciągnęły do nich Concannona i rannych gangsterów. Odjechały z piskiem opon, potrącając taksówkę pełną turystów.

Naveen Adair objął Divyę. Towarzyszyła im Sunita, początkująca dziennikarka.

– Nic ci się nie stało? – spytałem Divyę.

– Jebane chłopy! – warknęła. – Wszyscyście idioci!

– Nic ci się nie stało? – spytałem Sunitę.

Dziewczyna ściskała czerwoną teczkę z moimi opowiadaniami. Tuliła je do piersi. Drżała.

– Nic – powiedziała. – Ale mam prośbę i nie chcę o niej mówić, kiedy krwawisz. Twarz ci krwawi, wiesz?

– A… spoko. Możemy to załatwić szybko?

Oddała mi moje opowiadania i pokazała mi kartkę, którą napisałem do Randżita.

– Proszę, chcę oddać ten list.

– Eee…

– Proszę. Nie masz pojęcia, jak ten człowiek mnie napastował… seksualnie… prawie omdlewam z rozkoszy na myśl, że mu to wręczę, no i nie jadłam obiadu, i może trochę spadł mi cukier, ale mam wrażenie, że to cudowne wakacje, więc przykro mi z powodu twojej twarzy, ale proszę, pozwól mi oddać ten list.

Didier i Kawita stanęli obok mnie.

– Didier, dasz Sunicie swój numer telefonu i odstawisz ją do biura Randżita?

– Oczywiście, ale musisz się zbierać.

Nieopodal rozległy się strzały.

– Słuchaj – rzuciłem pospiesznie do Didiera. – Lisa jest w galerii na Carmichael Road. Możesz tam pojechać?

– Oczywiście.

– Upewnij się, że nic jej nie jest. Zostań z nią albo przechowaj ją u siebie przez parę dni.

– *Bien sûr*. A co ty zrobisz?

– Nie będę się rzucać w oczy. Jeszcze nie wiem. Weź te opowiadania i je przechowaj.

Wręczyłem mu teczkę i pobiegłem do Abdullaha, który siedział już na motocyklu obok mojego, gotowy do odjazdu.

– Kto strzelał?

– Nasz człowiek – odparł, uruchamiając silnik.

– Gdzie gliny? – spytałem, robiąc to samo.

– Jadą, ale Rawi strzelił w powietrze. Wrócili po kamizelki ochronne i karabiny maszynowe. Musimy natychmiast jechać.

Włączyliśmy się w popołudniowy ruch na drodze, lawirując wśród krętych strumieni samochodów. Od czasu do czasu jechaliśmy skrótem przez puste chodniki lub przez podjazdy do stacji benzynowych. Po paru chwilach zjechaliśmy z wysokiego wzgórza przy Pedder Road i dotarliśmy do kawiarni Centrum Soków, w miejsce, z którego widać było znajdujący się na wyspie monument grobowca Hadżiego Alego.

– Powinniśmy zameldować się u Sanjaya – powiedziałem, gdy zatrzymaliśmy się na światłach.

– Zgoda.

Zaparkowaliśmy przed kawiarnią. Zostawiliśmy motocykle pod opieką parkingowych i zadzwoniliśmy do szefa mafii. Miał zaspany głos, jakbyśmy wyrwali go ze sjesty.

Ale szybko się obudził.

– Że, kurwa, co? Gdzie, kurwa, jesteście?

– Przy Hadżim Alim – odparł Abdullah, trzymając telefon odsunięty od ucha, żebym też słyszał.

– Nie możecie wrócić. Psy będą tu za chwilę, to pewne, i nie chcę, żeby zadawali pytania, na które nie możecie odpowiedzieć. Zniknijcie i nie pokazujcie się przez parę dni, wy pojebańcy. Mówić prawdę, czy jakiś cywil dostał?

Abdullah zjeżył się, słysząc to „mówić prawdę". Zacisnął zęby ze wzgardą i oddał mi telefon.

– Żaden, Sanjaybaj – odpowiedziałem.

Określenie „cywil" oznaczało każdego spoza kryminalnego półświatka – każdego oprócz sędziów, prawników, gangsterów, strażników więziennych i policjantów.

– Dwa Skorpiony dostały w nogi, podobnie jak niezależny, niejaki Concannon. Dostał dwa razy w tę samą nogę, ale nie uważałbym, że jest wyeliminowany. Było mnóstwo świadków. Przeważnie ludzi ulicy albo kelnerów z Leopolda.

– Narobiliście burdelu, Lin, a ty mnie pouczasz, jak to posprzątać? Wal się, skurwielu.

– Jeśli pamięć mnie nie zawodzi – odparłem spokojnie – sam kiedyś strzeliłeś do kogoś przed Leopoldem.

Abdullah poruszył dwoma palcami.

– Nawet dwa razy – dodałem. – I nie ja zacząłem. Zaczęły Skorpiony i to jakiś czas temu. W zeszłym miesiącu zaatakowały nas dziewięć razy. Napadły na Leopolda, bo to nasza ukochana knajpa i znajduje się w środku terenu firmy. Ten cudzoziemiec, Concannon, chce, żeby firma Sanjaya i Skorpiony pozabijali się nawzajem, ponieważ zakłada własny gang. Tyle wiem. Nie potrafię ci powiedzieć, co zrobić, i nawet nie próbuję. Mogę tylko powiedzieć, co wiem. Dla ciebie, nie przeciwko tobie.

– *Madachudh! Bahinchudh!* – wrzasnął Sanjay. Potem znowu się uspokoił. – Zatuszowanie tego będzie kosztować fortunę. Jak myślisz, kto to załatwił z policjantami z Kolaby?

– Dyżur miał Dilip Błyskawica. Ale sądzę, że to zbyt ambitne jak dla niego. Dilip lubi mieć wrogów żywych i związanych.

– Jest taki podinspektor Matre, który od jakiegoś czasu się na mnie uwziął – powiedział Sanjay w zadumie. – A to skurwiel! To jego łapa. *Thik*. Załatwię wszystko z tej strony. Wy dwaj nie rzucajcie się w oczy przez parę dni. Jutro znowu do mnie zadzwońcie. Daj Abdullaha.

Oddałem telefon Abdullahowi, który spojrzał na mnie groźnie. Wzruszyłem ramionami. Wziął słuchawkę i przyłożył do ucha.

– Tak – powiedział dwa razy i zakończył połączenie.

– Co jest?

– Spytał cię, czy jesteś ranny? – spytał Abdullah.

– Nie jest z tych czułych. Raczej z tych nieczułych.

– Nie spytał – warknął Abdullah, marszcząc srogo brwi.

Zapadła chwila ciężkiej ciszy. Potem Abdullah oprzytomniał.

– Twoja twarz. Krwawisz. Powinniśmy pojechać do jakiegoś naszego lekarza.

Spojrzałem w lustro. Nie było tak źle. Przewiązałem chusteczką czoło i oczodół, z których Concannon wytoczył krew.

– W tej chwili – powiedziałem – naszym problemem jest to, że Sanjay nie pójdzie dla nas na wojnę i że jesteśmy zdani na własne siły.

– Mógłbym go zmusić do wojny.

– Nie. Sanjay odsunął mnie od siebie, a teraz zrobi to samo z tobą. Nie pójdzie na wojnę, dopóki ta wojna się nie skończy.

– Powtarzam: mogę go *zmusić* do wojny.

– Dlaczego w ogóle mówimy o wojnie? Nie skarżę się, że Sanjay jej nie chce. Cieszę się z tego. Cieszę się, że nikt inny nie będzie w to zamieszany. Możemy sami się odegrać.

– I tak zrobimy, *Inszallah*.

– Ale ponieważ jesteśmy sami i sami pozostaniemy, musimy opracować strategię i taktykę, bo przed chwilą postrzeliłeś trzech facetów. Jednego z nich dwukrotnie. Co zamierzasz?

Abdullah odwrócił wzrok ode mnie i spojrzał na krzyżujące się wielkie ulice, na których lśniące samochody przepływały z jednego nurtu do drugiego.

Znowu wrócił spojrzeniem do mnie i lekko rozchylił usta, ale nie znalazł słów na to doświadczenie: był sam, a jego towarzysze nie spieszyli mu na ratunek. Był żołnierzem za liniami wroga, który dowiedział się, że droga ucieczki została odcięta.

– Powinniśmy na jakiś czas maksymalnie oddalić się od nich – powiedziałem, żeby zagłuszyć przykrą ciszę. – Może Goa? Dojedziemy tam przez noc. Ale nikomu nie mów. Za każdym razem, gdy mówię komuś, że jadę do Goa, wszyscy proszą mnie, żebym odwalił za nich brudną robotę.

Usiłowałem obudzić uśmiech w mroku jego zwątpienia. Nie udało mi się. Abdullah znowu obejrzał się na południowy Bombaj. Walczył z pragnieniem powrotu i zabicia wszystkich Skorpionów, które nie zdążą się skryć pod jakimś kamieniem. Odczekałem parę chwil.

– No, to co robimy?

Abdullah walczył ze sobą przez chwilę. Odetchnął głęboko dwa razy, naginając swoją wolę.

– Przyszedłem do Leopolda, żeby zaprosić cię w pewne wyjątkowe miejsce. Być może to łut szczęścia, że zjawiłem się, kiedy się zjawiłem, ale zaczekajmy, aż się przekonamy, jakie będą dla nas konsekwencje tego dnia.

– Jakie wyjątkowe miejsce?

Abdullah skierował wzrok na horyzont.

– Nie spodziewałem się, że w drodze na górę będzie nam towarzyszyć tak ciemny cień, ale czy teraz ze mną pojedziesz?

– No, ale dokąd?

– Na spotkanie z nauczycielem nauczycieli, mistrzem, który nauczył swojej mądrości Kadirbaja. Na imię ma Idriss.

Powtórzyłem imię legendarnego nauczyciela, smakując jego brzmienie.

– Idriss.

– Jest tam – oznajmił Abdullah, wskazując łańcuch gór na północy. – Mieszka w tej górze, w jaskini. Kupimy tu wodę, którą zabierzemy ze sobą. To długa wspinaczka… na szczyt mądrości.

# 26

Odświeżeni i przygotowani, ruszyliśmy rozpaloną monsunową jezdnią między ociężałymi ciężarówkami, na których spiętrzono wysokie, krzywe sterty, chwiejące się przy każdym zakręcie. Byłem zadowolony z tej wyprawy i cieszyłem się, że Abdullah przynajmniej raz docisnął gaz. Potrzebowałem prędkości. Rozpędzone samochody tak niespodziewanie zmieniały pasy, że musiałem wściekle wytężyć uwagę, a wściekle wytężona uwaga zagłuszała ból. Wiedziałam, że ból w końcu przyjdzie. Można go odwlec, ale nie da się mu zaprzeczyć. Niech przyjdzie po podróży, pomyślałem. Ból to dowód życia.

Po dwóch godzinach dotarliśmy do zjazdu, który prowadził do parku narodowego imienia Sanjaya Ghandiego. Zapłaciliśmy za wjazd i ruszyliśmy powoli przez gęsty jak dżungla las u stóp góry. Kręta droga, prowadząca do najwyższego szczytu rezerwatu, była w zaskakująco dobrym stanie. Niedawne burze zerwały liście z drzew przy drodze, ale miejscowi, których chaty i ręcznie wzniesione zagrody majaczyły za bujnymi zaroślami, szybko zgarnęli je na rozpałkę.

Minęliśmy grupę kobiet w sari jak kwiatowe ogrody. Szły gęsiego, niosąc na głowach pęki chrustu. Za nimi biegły dzieci, także wlokące patyki i garstki chrustu.

Świeżo spłukany deszczem park tętnił życiem. Chwasty wybujały do wysokości ramion, pnącza pięły się po podpórkach gałęzi. W każdym wilgotnym cieniu bujnie wyrastały mchy, porosty i grzyby. Na zielonym, podmokłym dywanie lasu jarzyły się polne kwiaty w odcieniach różu, szafiru i żółcieni van Gogha. Liście, które na deszczu przybrały kolor czerwieni, pokrywały drogę jak płatki na dziedzińcu świątyni. W powietrzu unosił się ziemisty zapach zdartej kory, chłonięty przez wszystkie przemoczone łodygi i pnie.

Małpie sejmy, obradujące na otwartych drogach, rozpraszały się na nasz widok. Uciekały na pobliskie skały i głazy z pyszczkami wykrzywionymi w małpim oburzeniu. Gdy jedna szczególnie duża grupa uciekła na drzewa tak gwałtownie, że aż się wzdrygnąłem, Abdullah zerknął na mnie i pozwolił sobie na uśmiech, który rzadko gościł na jego twarzy.

Abdullah był najodważniejszym i najbardziej lojalnym człowiekiem, jakiego znałem,

surowym dla innych, ale jeszcze surowszym dla siebie. 1 miał pewność siebie, która u innych mężczyzn budziła podziw lub zazdrość.

Jego wspaniałe kwadratowe czoło wznosiło się nad łukami brwi uniesionymi w wiecznym pytaniu. Gęsta, czarna broda pokrywała wszystko z wyjątkiem ust. Głęboko osadzone oczy w kolorze miodu na terakotowym talerzu były smutne – zbyt smutne i dobre dla tego szerokiego, dumnego nosa, wysokich kości policzkowych i mocnej szczęki, która nadawała jego twarzy groźny wygląd.

Abdullah znowu zapuścił włosy. Spływały na szerokie, muskularne ramiona – grzywa jak symbol siły ukrytej w długich rękach i nogach.

Jego twarz, sylwetka i charakter prowadziły ludzi na wojnę. Ale było w nim coś jeszcze – pokorna wstrzemięźliwość w mowie lub ostrożna mądrość – co odciągnęło go od władzy, jaką raili mu niektórzy z firmy Sanjaya. Błagali, by został dowódcą, ale odmówił. A to, oczywiście, sprawiło, że błagali jeszcze zapalczywiej.

Jechałem obok niego przez dżunglę, czując miłość do niego, strach o niego, strach o siebie, jeśli kiedykolwiek go stracę, i nie myśląc o tym, co się stało ze mną w tej walce i jaki wpływ miało to na moje ciało, jeśli nie na umysł.

Kiedy dotarliśmy do żwirowanego parkingu u stóp góry i wyłączyliśmy silniki, usłyszałem głos Concannona: „Diabeł się w tobie zakochał, chłopaku”.

– Wszystko w porządku, bracie Lin?

– Tak.

Mój wzrok odnalazł telefon na ladzie małego sklepiku.

– Zadzwonimy do Sanjaya?

– Tak. Ja to zrobię.

Abdullah rozmawiał z szefem mafii przez dwadzieścia minut, odpowiadając na jego liczne pytania.

U stóp góry panował spokój. Mały sklepik, jedyny budynek na parkingu, oferował napoje, chipsy i słodycze. Sprzedawca, znudzony młodzieniec z rozmarzoną miną, od czasu do czasu machał bambusowym patykiem z przywiązaną chusteczką. Rój muszek i meszek rozpraszał się na parę sekund, ale nieodmiennie wracał do lepkiego od cukru kontuaru.

Nikt nie zbliżał się do parkingu ani nie schodził z góry. I dobrze. Dygotałem tak gwałtownie, że tych dwadzieścia minut bardzo mi się przydało, żeby się opanować.

Abdullah odłożył słuchawkę i dał mi znak, żebym szedł za nim. Nie mogłem mu powiedzieć, że jestem zbyt słaby i roztrzęsiony, żeby wspinać się po zboczu góry.

Czasem musisz udawać odwagę, jeśli nie chcesz stracić szacunku osoby, którą kochasz.

Ruszyliśmy po stromych, lecz szerokich i solidnych schodach na pierwszą półkę góry. Dotarliśmy do wielkiej jaskini, której masywny granitowy strop podtrzymywały ciężkie, przysadziste kolumny. Łukowate wejście prowadziło do świątyni.

Przeszliśmy dalej prowadzącą w górę ścieżką aż do największej, najbardziej efektownej jaskini. W niszach po obu stronach wysokiego, łukowatego wejścia stały dwa ogromne posągi Buddy, pięciokrotnie przewyższające człowieka. Nie chroniły ich żadne ogrodzenia, ale wyglądały na wyjątkowo dobrze zachowane.

Po dwudziestominutowej wspinaczce, podczas której minęliśmy dziesiątki innych jaskiń, znaleźliśmy się na niedużym tarasie, na którym droga rozchodziła się na kilka wydeptanych ścieżek. Do szczytu został nam jeszcze kawał drogi.

Przeszliśmy przez zagajnik wysokich, smukłych drzew i krzewów lantan, za którymi znajdował się dziedziniec świątyni, wyłożony wielkimi marmurowymi płytami i osłonięty potężną kopułą, wspartą na kolumnach. Za nim znajdowała się niewielka, dyskretna świątynia, schronienie mędrca.

Kamienne, ponure i może trochę smutne spojrzenie brodatego świętego było skierowane na otaczającą nas dżunglę. Abdullah zatrzymał się na chwilę na środku białego marmurowego dziedzińca. Rozejrzał się, podparty pod boki, z przelotnym uśmiechem w oczach.

– Wyjątkowe miejsce?

– Tak, bracie Lin. Tutaj Kadirbaj otrzymał większość nauk od mędrca Idrissa. Miałem zaszczyt towarzyszyć mu podczas niektórych lekcji.

Staliśmy przez chwilę w milczeniu, wspominając zmarłego Khana Kadirbaja. Każdy z nas rozsnuwał przed sobą inny wzór wspomnień.

– To daleko stąd?

– Niedaleko – powiedział, opuszczając dziedziniec. – Ale to najtrudniejszy odcinek wspinaczki.

Czepiając się gałęzi, trawy i pnączy, sunęliśmy w górę najbardziej stromą z dotychczasowych ścieżek. W porze suchej, gdy kamienie i głazy mocno tkwią w ziemi wąskiej ścieżki, poszłoby nam łatwo. Ale w tych mrocznych dniach długich ulew była to mordęga.

W połowie drogi na szczyt spotkaliśmy młodego mężczyznę, schodzącego tą samą trasą. Było tu tak stromo, że musiał się ześlizgiwać tyłem, trzymając się chwastów i pnączy.

Miał przy sobie dużą plastikową manierkę. Mijając nas, otarł się o mnie i Abdullaha, przytrzymując się nas, tak jak i my przytrzymywaliśmy się jego.

– Ale czad! – rzucił w hindi, roześmiany od ucha do ucha. – Przynieść wam coś z dołu?

– Czekoladę! – odparł Abdullah, gdy młodzieniec już znikał w zaroślach, porastających pionową ścieżkę. – Zapomniałem kupić! Zapłacę ci, jak wrócisz!

– *Thik!* – dobiegło nas gdzieś z dołu.

Gdy dotarliśmy na szczyt, ujrzałem przed sobą rozległy płaskowyż, z którego wyrastał ostatni skalisty górski masyw.

Z kilku wielkich, wydrążonych w tym masywie grot rozchodził się widok na płaskowyż i na wiele dolin, łagodnie falujących w dole, a także widniejące na horyzoncie Miasto Wysp, otulone mgłą i dymem. Nadal zdyszany rozejrzałem się dokoła. Pod stopami miałem małe białe kamyki. Nie widziałem ich w dolinie u stóp góry ani podczas wspinaczki. Wniesiono je na szczyt mozolnie, po jednym worku. Wysiłek musiał być ogromny, ale efekt olśniewał: przede mną rozciągała się nieskazitelna, promieniejąca medytacyjnym spokojem przestrzeń.

Pod zielonym płóciennym daszkiem, tak spłowiałym, że idealnie pasował do wybielonych deszczem liści pobliskich drzew, znajdowała się kuchnia. Materiałowe parawany tworzyły inne pomieszczenie, wyglądające na łazienkę z kilkoma kabinami. Pod trzecim daszkiem stało biurko oraz kilka płóciennych leżaków ustawionych jeden na drugim. Za nimi otwarte paszcze czterech jaskiń ukazywały kilka szczegółów wnętrz: drewnianą szafkę w wejściu do jednej, kilka metalowych skrzyń, ustawionych we wnętrzu drugiej, ogromne, poczerniałe palenisko z tlącym się ogniem w trzeciej.

Gdy patrzyłem na jaskinie, z najmniejszej wyszedł młody człowiek.

– Pan Shantaram?

Odwróciłem się do Abdullaha, nieprzyjemnie zdziwiony.

– Pan Idriss kazał mi pana przyprowadzić – wyjaśnił. – To on pana tu zaprosił.

– Mnie?

Abdullah skinął głową. Odwróciłem się do młodzieńca.

– To dla pana – powiedział, wręczając mi wizytówkę.

Odczytałem krótki tekst: „Nikt nie jest guru”.

Zdziwiony oddałem kartkę Abdullahowi. Ten przeczytał ją, roześmiał się i przekazał ją mnie.

– Niezła – powiedziałem, oglądając ją ponownie. – To tak, jakby prawnik powiedział, że nikt nie bierze honorariów.

– Idriss na pewno to wyjaśni.

– Ale może nie dziś – dodał młodzieniec, wskazując jaskinię z paleniskiem. – Mistrz-;: jest dziś zajęty z kilkoma filozofami w świątyni pod górą. Wejdźcie więc. Właśnie zrobiłem herbatę.

Przyjąłem zaproszenie z wdzięcznością, usiadłem na ręcznie wyciosanym stołku i zacząłem popijać herbatę. Zatopiony w myślach, co chyba zbyt często mi się zdarza, pozwoliłem sobie wrócić do bójki z Concannonem.

Teraz, z głową przewietrzoną i chłodniejszą po długiej jeździe i wspinaczce, znowu spojrzałem w oczy Irlandczyka, popijając słodką herbatę w jaskini mędrca Idrissa.

Nagle uświadomiłem sobie, że bezmyślny, brutalny atak Concannona nie obudził mojego gniewu, lecz rozczarowanie. Takie rozczarowanie, które czujemy tylko wobec przyjaciół.

Ale przyłączając się do Skorpionów, Concannon narobił sobie nowych wrogów. Nasi musieli się zemścić na Skorpionach. Gdyby tego nie zrobili, gangsterzy uznaliby to za słabość i znowu by zaatakowali. Zaczęły się problemy. Musiałem wywieźć Karlę z miasta. Miała związek z firmą Sanjaya.

No i proszę. Nie pomyślałem o Lisie, Didierze czy nawet sobie, lecz o Karli. Lisie groziło niebezpieczeństwo, Concannon ją znał. To o nią powinienem się zatroszczyć najpierw, ale tego nie zrobiłem. Pomyślałem o Karli, zawsze o Karli. W tym zasupłanym węźle miłości, spoglądając na gwiazdozbiór iskier w miękkich popiołach paleniska, uświadomiłem sobie, że czuję słodki zapach. Myślałem, że ktoś pali w ofierze kadzidło przy innym ogniu. Ale znałem te perfumy. Dobrze je znałem.

Potem usłyszałem głos Karli.

– Powiedz mi kawał, Shantaram.

Skóra mojej twarzy się napięła. Poczułem chłód gorączki. Krew popędziła przez moje ciało i zatętniła w piersi tak, że oczy zaczęły mnie palić.

Otrząśnij się, pomyślałem. Spójrz na nią. Niech zaklęcie pryśnie.

Odwróciłem się i spojrzałem. Zaklęcie nie prysło.

Karla stała w wejściu groty, uśmiechając się do wiatru. Jej profil rzucał wyzwanie wszystkiemu, jej czarne włosy i srebrny szal trzepotały za nią jak sztandary pożądania. Wysokie, mocne czoło, półksiężyce oczu, delikatny, precyzyjny rysunek nosa i delikatnie wystająca linia spiczastego podbródka, chroniącego złamaną obietnicę ust:

Karla.

– No – rzuciła przeciągle. – Znasz jakiś kawał czy nie znasz?

– Ilu Parsów trzeba, żeby zmienić żarówkę? – wykrztusiłem.

– Dwa lata cię nie widziałam – powiedziała, nadal nie spoglądając na mnie – a ciebie stać tylko na kawał o żarówce?

– Dwadzieścia trzy miesiące i szesnaście dni. Chcesz ten kawał czy nie?

– No dobrze, ilu Parsów trzeba, żeby zmienić żarówkę?

– Parsowie nie zmieniają żarówek, ponieważ wiedzą, że nigdy nie znajdą żadnej tak dobrej, jak ta stara.

Karla odchyliła głowę do tyłu i parsknęła śmiechem. Był to dobry śmiech, wspaniały śmiech, prosto ze wspaniałego serca, mocnego i swobodnego, jak jastrząb unoszącego się w półmroku – śmiech, który sprawił, że wszystkie łańcuchy w moim sercu pękły.

– Chodź tutaj – powiedziała.

Objąłem ją, przytuliłem do tego wydrążonego drzewa – mojego życia, w którym ukryłem marzenie, że Karla pokocha mnie na zawsze.

# 27

Wszyscy mamy jedno oko łagodne i smutne, i drugie, twarde i jasne. Lewe oko Karli było łagodniejsze i smutniejsze od prawego i może przyczyną, dla której nie mogłem się jej oprzeć, było to, że widziałem łagodne światło tego oka, zieleńsze od młodych listków. Byłem niezdolny do działania. Mogłem tylko słuchać, uśmiechać się i czasem zabłysnąć jakimś żartem.

Ale to mi odpowiadało. Tak było dobrze. W tych chwilach poranka, po dniu, w którym góra mi ją oddała, poranka tego łagodniejszego, smutniejszego oka, czułem zdradziecki spokój.

Noc spędziliśmy w oddzielnych grotach. Na płaskowyżu znajdowały się jeszcze trzy kobiety, młode Hinduski, uczennice mędrca. Jaskinia kobiet była mniejsza, ale schludniejsza i lepiej wyposażona. Znajdowały się w niej hamaki i materace, podczas gdy my spaliśmy na kocach rozścielonych na gołej ziemi. W kobiecej jaskini były też metalowe szafki, zawieszone na kamiennych występach, żeby nie dostały się do nich szczury i pełzające owady. My obywaliśmy się paroma zardzewiałymi haczykami, na których powiesiliśmy nasze rzeczy.

Nie spałem dobrze. Po tamtym pierwszym uścisku, pierwszym spojrzeniu na nią po prawie dwóch latach, rozmawiałem z Karlą zaledwie parę minut. Potem odeszła. Znowu.

Abdullah ukłonił się jej dwornie i odciągnął mnie do pozostałych mężczyzn, zebranych na posiłek w wejściu do naszej groty. Odchodziłem tyłem, patrząc na nią, a ona już się ze mnie śmiała, dwie minuty po tym ponownym spotkaniu. Dwa lata w dwie minuty.

Podczas posiłku poznaliśmy sześciu młodych wyznawców i uczniów, którzy opowiadali, co ich sprowadziło na szczyt góry. Abdullah i ja słuchaliśmy, nie komentując. Gdy skończyliśmy skromny posiłek, składający się z dhalu i ryżu, zrobiło się późno. Umyliśmy zęby, opłukaliśmy twarze i położyliśmy się spać. Ale moja lekka drzemka przeszła w koszmar, który obudził mnie przed świtem żelaznym chwytem na gardle.

Postanowiłem pójść do prymitywnej łazienki, żeby zdążyć przed najwcześniej

wstającymi. Skorzystałem z toalety – dziury w ziemi – potem wziąłem mały garnczek wody i mydło i umyłem się, stojąc na drewnianych paletach między płóciennymi parawanami.

Wytarty, ubrany i całkowicie przytomny ruszyłem przez pogrążony w mroku obóz, by usiąść przy gasnącym ogniu. Udało mi się rozniecić go na nowo, karmiąc go patyczkami rozpałki, ułożonymi wokół poobijanego garnka na kawę, gdy obok mnie stanęła Karla.

– Co ty tu robisz? – mruknęła.

– Jeśli nie napiję się zaraz kawy, wbiję zęby w najbliższe drzewo.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Na górze? Mógłbym spytać cię o to samo.

– Ja spytałam najpierw.

Roześmiałem się łagodnie.

– Stać cię na więcej.

– Może nie jestem taka jak kiedyś.

– Wszyscy jesteśmy tacy jak kiedyś, nawet jeśli nie jesteśmy.

– Nie powiedziałeś, co tu robisz.

– To, co mówimy, rzadko pokrywa się z tym, co robimy.

– Nie przyszłam tu na zawody w aforyzmach – rzuciła, marszcząc brwi i jednocześnie się uśmiechając. Usiadła obok mnie.

– Jesteśmy dziełem sztuki, które widzi nas jako dzieło sztuki.

– Mowy nie ma. Zachowaj te teksty dla siebie.

– Fanatyzm oznacza, że jeśli nie jesteś ze mną, to jesteś przeciwko mnie.

– Mogłabym cię podać do sądu za napastowanie aforyzmami, wiesz?

– Honor to sztuka pokory – odparłem z kamienną twarzą.

Mówiliśmy cicho, ale spojrzenia mieliśmy ostre.

– Dobrze – szepnęła. – Moja kolej?

– Oczywiście, że twoja. Trzy zero dla mnie.

– Każde pożegnanie to próba kostiumowa ostatniego pożegnania.

– Niezłe. „Witaj” może czasem kłamać, ale „żegnaj” zawsze mówi prawdę.

– Fikcja to fakt, tylko dziwniejszy. Prawda o czymś jest kłamstwem o czymś innym. Zagęszczaj ruchy, Shantaram.

– Po co ten pośpiech? Mam tego jeszcze dużo.

– Masz czy nie?

– A, rozumiem, chcesz mnie zastraszyć, żebym stracił natchnienie. Proszę bardzo, jedziemy. Natchnienie to łaska pokoju. Prawda jest strażnikiem więzienia duszy. Niewolnictwa nie da się odłączyć od systemu, niewolnictwo jest systemem.

– Prawda jest łopatą – odpaliła. – A twoja misja dziurą.

Parsknąłem śmiechem.

– Każdy fragment stanowi skończoną całość – dodała niemal bez namysłu.

– Całości nie da się podzielić – odparłem – bez tyranii części.

– Tyrania to przywilej bez ograniczeń.

– Los dał nam przywileje, ponieważ nas potępił.

– Los – rzuciła z uśmiechem. – Jeden z moich ulubieńców. Los gra w pokera i wygrywa tylko dlatego, że blefuje. Los jest magikiem, czas – jego sztuczką. Los jest pająkiem, czas – siecią. Mam mówić dalej?

– Czarny humor – powiedziałem, szczęśliwy, jak już dawno mi się to nie zdarzyło. – Niezłe. Łap to: Wszyscy mężczyźni stają się swoimi ojcami, ale tylko wtedy, gdy nie uważają.

Roześmiała się. Nie wiedziałem, gdzie była, ale byłem z nią, w końcu, przy czymś, co kochaliśmy oboje, a ona była moim niebem.

– Prawda to brutal, a my udajemy, że go lubimy.

– To stare! – zaprotestowałem.

– Ale dobre i warte recyklingu. Dawaj.

– Strach to przyjaciel, który cię ostrzega.

– Samotność to przyjaciel, który namawia cię, żebyś wyszedł do ludzi – odparowała. – Zmieńmy temat.

– Nie ma tak niesprawiedliwego, zepsutego lub nieporadnego kraju, który by nie sprawił sobie wzniosłego hymnu.

– Wielka polityka – zauważyła z uśmiechem. – Podoba mi się. Spróbuj tego: tyrania to strach w ludzkiej postaci.

Roześmiałem się.

– Muzyka to wysublimowana śmierć.

– Żal to duch empatii – odwzajemniła się.

– Cholera!

– Poddajesz się?

– Nigdy. Drogą do miłości jest miłość drogi.

– Koany. Chwytasz się brzytwy, Shantaram. Nie ma sprawy. Zawsze chętnie kopnę miłość w dupę. Co powiesz na to: miłość to góra, która cię zabija za każdym razem, gdy się na nią wspinasz.

– Odwaga…

– Odwaga nas określa. Każdy kto się nie poddaje – czyli dosłownie każdy – jest odważny. Przestań już z tą odwagą.

– Szczęście jest…

– Szczęście jest hiperaktywnym dzieckiem zadowolenia.

– Sprawiedliwość oznacza…

– Sprawiedliwość, podobnie jak miłość i władzę, odmierza się miłosierdziem.

– Wojna…

– Wszystkie wojny to wojny kultur, a wszystkie kultury są spisane na ciałach kobiet.

– Życie…

– Jeśli nie żyjesz dla czegoś, umrzesz po nic! – odpaliła, kładąc mi palec na piersi.

– Cholera.

– Co „cholera”?

– Cholera… stałaś się… lepsza, dziewczyno.

– Co, przyznajesz, że wygrałam?

– Przyznaję… że stałaś się… o wiele lepsza.

– I wygrałam, nie? Bo mogę tak przez cały dzień, wiesz?

Mówiła poważnie. Jej oczy rozświetlało tygrysie światło.

– Kocham cię – powiedziałem.

Odwróciła głowę. Po chwili odezwała się do ognia:

– Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Co ty tu robisz?

Szeptaliśmy, żeby nie obudzić innych. Niebo było ciemne, ale na dalekim, zasnutym chmurami horyzoncie pojawiła się smuga koloru zwiędłych liści.

– O, zaraz. – Zmarszczyłem brwi. – Myślisz, że zjawiłem się tutaj, bo tu jesteś? Myślisz, że to jakoś zaaranżowałem?

– A zaaranżowałeś?

– A chciałabyś?

Odwróciła się do mnie półprofilem, spoglądając wnikliwie na mnie tym smutniejszym, łagodniejszym okiem, jakby czytała mapę. Cienie rzucane przez czerwonożółty ogień igrały na jej twarzy; blask wypisywał na niej wiarę i nadzieję, jak zawsze czyni ogień z każdą ludzką twarzą, ponieważ jesteśmy stworzeni z ognia. Odwróciłem wzrok.

– Nie miałem pojęcia, że tu jesteś. To Abdullah mnie tu przywiózł. Roześmiała się cicho. Z ulgą czy rozczarowaniem? Nie potrafiłem poznać.

– A ty? – spytałem, dorzucając parę patyczków do ognia. – Nie stałaś się nagle religijna. Powiedz, że nie.

– Przywiozłam Idrissowi hasz. Lubi kaszmirski.

Teraz to ja się roześmiałem.

– Od dawna to trwa?

– Jakiś… rok.

O czymś marzyła, spoglądając w rozjaśniający się las.

– Jaki on jest?

Znowu na mnie spojrzała.

– Jest… prawdziwy. Później go poznasz.

– A jak ty go poznałaś?

– Nie przyszłam tu, żeby się z nim spotkać. Przyszłam, żeby spotkać się z Chalidem. To on mi powiedział, że Idriss tu jest.

– Chalid? Jaki Chalid?

– Twój – powiedziała cicho. – Nasz.

– To on żyje?

– I to jak!

– *Alhamdulillah.* I jest tutaj?

– Zapłaciłabym duże pieniądze, żeby go tu zobaczyć. Nie, jest w aśramie w dolinie.

Ten bezkompromisowy Palestyńczyk o twardych pięściach zasiadał w radzie Kadirbaja. Był z nami podczas wyprawy do Afganistanu. Zabił człowieka, swojego przyjaciela, ponieważ ten naraził nas na niebezpieczeństwo, a potem odszedł sam, nieuzbrojony, w śnieg.

Byłem jego przyjacielem, ale nic nie wiedziałem o powrocie Chalida do miasta ani o aśramie.

– Aśram?

– Tak – westchnęła.

Jej twarz i zachowanie się zmieniły. Wyglądała na znudzoną.

– Co za aśram?

– Dochodowy. Ma imponujący repertuar. To mu trzeba przyznać. Pokoje medytacyjne, joga, masaże, aromaterapia i śpiewy modlitewne. Strasznie dużo śpiewają modlitewnie. Jakby nie słyszeli o funky.

– I to wszystko u stóp tej góry?

– U wylotu doliny, od zachodu.

Ziewnęła i zmarszczyła brwi.

– Abdullah ciągle tam jeździ. Nie wspominał ci o tym?

Coś się we mnie zachwiało. Cieszyłem się, że Chalid żyje i ma się dobrze, ale poczułem się zdradzony w przyjaźni, i moje serce zadrżało.

– To nie może być prawda.

– Są dwa rodzaje prawdy – odparła Karla z cichym śmiechem. – Ta, którą chcesz usłyszeć, i ta, którą powinieneś usłyszeć.

– Nie zaczynaj.

– Przepraszam. Sam się prosiłeś. Nie mogłam się powstrzymać.

Nagle ogarnął mnie gniew. Może to przez poczucie zdrady. Może przez te dawne łzy – w końcu przedarły się przez tarczę łagodności – lśniące w jej życzliwszym oku.

– Kochasz Randżita?

Spojrzała na mnie obojgiem oczu, tym łagodnym i tym twardym.

– Myślałam, że kiedyś go podziwiałeś… choć to nie twój interes.

– A ty mnie nie podziwiasz?

– Dlaczego o to pytasz?

– Boisz się wyznać, co myślisz?

– Oczywiście, że nie – odparła spokojnie. – Zastanawiam się, dlaczego nie wiesz, co o tobie myślę.

– Nie wiem, co to znaczy, więc może po prostu odpowiedz na moje pytanie.

– Najpierw ty odpowiedz na moje. Dlaczego chcesz wiedzieć? Dlatego że się sobą rozczarowałeś, czy że jesteś zazdrosny o niego?

– Wiesz, z rozczarowaniem jest tak, że nigdy cię nie opuszcza. Ale nie o tym mowa. Chcę wiedzieć, co myślisz, ponieważ to dla mnie ważne.

– Dobrze. Sam tego chciałeś. Nie, nie podziwiam cię. Nie dziś.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Wiesz, o czym mówię – dodała w końcu.

– Nie, nie wiem.

Znowu zmarszczyłem brwi, a ona się roześmiała tym cichym śmiechem, którzy śmiejemy się do samych siebie.

– Co się stało z twoją twarzą? Znowu duma zrzuciła cię na ziemię?

– Na szczęście nie spadłem ze zbytniej wysokości.

Znowu się roześmiała, ale po chwili jej twarz powlókł cień.

– Potrafisz to wyjaśnić? Dlaczego się biłeś? Dlaczego zawsze trafiasz na jakieś bójki?

Oczywiście, że nie potrafiłem. Porwanie i przywiązanie do leżaka – jak to wyjaśnić? Sam tego nie rozumiałem, ani trochę. Concannona też nie. Zwłaszcza jego. Wtedy nie wiedziałem, że stoję na wystrzępionym krańcu zakrwawionego dywanu, który wkrótce przykryje większą część świata.

– Kto mówi, że muszę to wyjaśnić?

– Potrafisz? – powtórzyła.

– A ty potrafisz mi wyjaśnić to, co zrobiłaś z nami?

Drgnęła.

– Śmiało, mów.

– Może powinnam skrócić te męki i zdradzić ci odpowiedź.

– Proszę.

– Na pewno wytrzymasz?

– Jasne.

– Dobrze, więc…

– Nie, czekaj!

– Na co?

– Ta sytuacja domaga się kawy.

– Żartujesz, tak?

– Nie. Jestem rozpaczliwie niedokawiony. Dlatego mnie pokonałaś.

– A więc wygrałam?

– Wygrałaś. Czy mogę się już napić kawy?

Osłaniając dłoń rękawem, zdjąłem garnek z ognia i nalałem kawy do wyszczerbionego kubka. Podałem go Karli, ale skrzywiła się z obrzydzeniem.

– Rozumiem, że to znaczy „nie”.

– Jesteś jasnowidzem czy co? Pij to paskudztwo, *yaar*.

Wypiłem łyk kawy. Była jednocześnie zbyt mocna, zbyt słodka i zbyt gorzka. Idealna.

– No, dobrze – wychrypiałem, gdy rozeszła się w moim organizmie drżącym powitaniem. – Już dobrze.

– Więc…

– Czekaj!

Znalazłem jointa.

– Dobrze – powiedziałem, zapalając go. – Jestem gotowy. Dawaj.

– Na pewno nie potrzebujesz manikiuru ani masażu? – warknęła.

– Jestem gotowy. Wal, ile wlezie.

– Dobrze, proszę bardzo. Te ślady na twojej twarzy, wszystkie blizny na twoim ciele są jak graffiti, namalowane przez twój kryminalny talent.

– Niezłe.

– Nie skończyłam. Twoje serce jest lokatorem w zrujnowanej kamienicy twojego życia.

– Coś jeszcze?

– Nadzorca slumsów nadchodzi, żeby pobrać czynsz – powiedziała ciszej. – Już wkrótce.

Znałem ją na tyle, by wiedzieć, że napisała sobie i przećwiczyła ten tekst. Widziałem jej dzienniki, zapisane inteligentnymi zdaniami, które potem wypowiadała w towarzystwie. Ale bez względu na wszystko miała rację.

– Słuchaj…

– Grasz w rosyjską ruletkę z losem – dodała. – Wiesz o tym.

– I stawiasz na los? O to ci chodzi?

– Los ładuje broń. Los ładuje każdą broń świata.

– Coś jeszcze?

– Dopóki to robisz – powiedziała jeszcze ciszej – tylko niszczysz wszystko.

Jej słowa były na tyle prawdziwe, że zabolały, choćby powiedziała je najciszej.

– Wiesz, jeśli ciągle będziesz tak po mnie jeździć…

– Robisz się zabawniejszy – oznajmiła z cichym śmiechem.

– Nadal jestem taki jak kiedyś.

Przez parę chwil patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Słuchaj, Karla, nie wiem, o co chodzi z tym Randżitem, i nie wiem, jak mogły upłynąć całe dwa lata, odkąd patrzyłem na ciebie i słyszałem twój głos. Wiem tylko, że kiedy jestem z tobą, do głosu dochodzi dzika natura. Kocham cię i zawsze będę przy tobie.

Emocje przemykały przez jej twarz jak liście na wietrze, zbyt liczne, żebym zdołał je odczytać. Nie widziałem jej. Nie byłem z nią. Wydawała się jednocześnie wesoła, zła, zadowolona i smutna. I nie odpowiedziała. Karla, która straciła mowę. Z jakiegoś powodu czuła ból, a ja musiałem sprawić, żeby o nim zapomniała.

– Na pewno nie chcesz tej kawy?

Uniosła brew, drżącą jak grzechotka na końcu gadziego ogona, i już miała mnie ukąsić, kiedy odgłosy z głębi grot ostrzegły nas, że pozostań zaczynają się budzić.

Zjedliśmy śniadanie z radosnymi wyznawcami i właśnie piliśmy drugi kubek czaju, gdy na skraju obozowiska, tam, gdzie kończyła się stroma ścieżka, pojawił się młody uczeń. Z wdzięcznością przyjął czaj i oznajmił, że mistrz wróci do nas dopiero po obiedzie.

– Dość tego – mruknęła Karla i poszła do otwartej kuchni, gdzie opłukała kubek i postawiła go na ociekarce.

– Czego? – spytałem, stając obok niej przy zlewie.

– Mam czas zejść na dół, odwiedzić Chalida i wrócić, zanim Idriss się tu zjawi.

– Idę z tobą – rzuciłem szybko.

– Czekaj. Wstrzymaj Myrmidonów. Dlaczego ze mną idziesz?

To nie było bezpodstawne pytanie. Karla nie lubiła robić nic bezpodstawnie.

– Dlaczego? Bo Chalid jest moim przyjacielem. I nie widziałem go od tego dnia przed trzema laty, gdy odszedł w śnieg.

– Przyjaciel zostawiłby go teraz w cholerę.

– A to co miało znaczyć?

Karla przeszyła mnie tym swoim spojrzeniem: głód płonący w ślepiach wpatrzonego w ofiarę tygrysa. Uwielbiałem je.

– Jest szczęśliwy – powiedziała spokojnie.

– I?

Zerknęła na Abdullaha, który stanął obok mnie.

– Szczęście trudno znaleźć – oznajmiła w końcu.

– Nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz.

– Szczęście nosi tabliczkę z napisem: „Nie przeszkadzać”, ale nikt jej nie respektuje.

– Jeśli nam na kimś zależy, mieszamy się w jego sprawy – odparłem. – Czy przed chwilą, dając mi wycisk, nie mieszałaś się w moje sprawy?

– A ty mieszałeś się między Randżita i mnie?

– Jak?

– Kiedy spytałeś, czy go kocham.

Abdullah odkaszlnął taktownie.

– Może powinienem was zostawić – odezwał się.

– Nie mam przed tobą tajemnic – oznajmiła Karla.

– Ale ty masz wiele tajemnic, bracie – rzuciłem. – Nie powiedziałeś mi, że Chalid tu jest?

– Proszę bardzo, atakuj Abdullaha – wtrąciła Karla. – Ale najpierw odpowiedz na moje pytanie.

– Z łaski swojej wyjaśnij mi, na czym stanęliśmy.

– Masz odpowiedzieć na pytanie.

– Jakie pytanie?

– Dlaczego mnie kochasz?

– Do diabła, Karla! Jesteś najmniej zrozumiałą kobietą, jaka kiedykolwiek posługiwała się zrozumiałym językiem.

– Odczekaj z dziesięć minut – rzuciła ze śmiechem. – Nie, lepiej piętnaście.

– Co zamierzasz?

Znowu się roześmiała, całkiem głośno.

– Chcę ostrzec Chalida, że nadchodzisz, żeby mógł uciec. Wiesz, że to ważne, prawda? Możliwość ucieczki?

Ruszyła w stronę krawędzi płaskowyżu i zniknęła na stromej ścieżce. Odczekałem tych piętnaście minut. Abdullah patrzył na mnie. Nie spytałem. Nie chciałem wiedzieć.

– Może… może ona ma rację… – odezwał się w końcu.

– No nie, ty też?

– Jeśli Chalid spojrzy na wszystko twoimi oczami, nie swoimi, straci nieco wiary w

siebie. A jest mi potrzebny silny.

– Dlatego nie powiedziałeś mi, że Chalid jest w Bombaju?

– Tak, z tego powodu. Żeby chronić jego małe szczęście. Nigdy nie był bardzo szczęśliwy. Na pewno to pamiętasz. Chyba nie znam bardziej ponurego i surowego człowieka niż on. Stracił całą rodzinę na wojnie i podczas czystek wśród palestyńskiej diaspory w Libanie. Nienawiść i smutek tak go okaleczyły, że według niego najbardziej obraźliwym słowem w hindi było *kshama,* znaczące „wybaczenie".

– Nadal nie rozumiem.

– Masz wpływ na naszego brata Chalida – oznajmił Abdullah poważnie.

– Jaki wpływ?

– Twoje zdanie bardzo się dla niego liczy. Zawsze tak było. A twoja opinia o nim się zmieni, kiedy poznasz jego obecne życie.

– Może przejdziemy przez ten most, zanim go spalimy?

– Ale nie mówiłem ci o nim również głównie dlatego, by chronić go przed złem – dodał Abdullah, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Jak to? Należał do rady. W radzie zasiada się dożywotnio. Nikt by go nie mógł tknąć.

– Tak, ale tylko Chalid ma wystarczające wpływy, by zagrozić Sanjayowi jako przewodniczącemu rady. Przez to niektórzy mogą go nie lubić lub się go bać.

– Tylko jeśli zagrozi Sanjayowi.

– Szczerze mówiąc, właśnie o to go prosiłem.

Abdullah, najbardziej lojalny człowiek, jakiego znałem, planował zamach stanu. To doprowadzi do śmierci wielu ludzi. Wielu przyjaciół.

– Dlaczego to robisz?

– Potrzebujemy Chalida być może bardziej, niż sobie uświadamiasz. Odmówił, ale znowu się do niego zwrócę i nie przestanę, aż się zgodzi. Na razie, proszę, zachowaj jego obecność tutaj w sekrecie, tak jak ja.

Była to bardzo długa przemowa jak na małomównego Irańczyka.

– Abdullahu, to już nie moja sprawa. To właśnie usiłowałem ci powiedzieć. Starałem się znaleźć odpowiedni moment, odkąd się tu znaleźliśmy.

– Czy proszę o zbyt wiele?

– Nie, bracie – odparłem, cofając się o pół kroku. – Nie prosisz o zbyt wiele, ale to już nie ma ze mną nic wspólnego. Podjąłem decyzję i czekałem na okazję, by ci o tym

powiedzieć. To tak ważna decyzja, że z nią zwlekałem, zwłaszcza po zajściu z Concannonem i Skorpionami, no i po spotkaniu z Karlą po tylu latach. Ale… pora to powiedzieć.

– Co to za decyzja? Czy ktoś rozmawiał z tobą o moim planie?

Westchnąłem ciężko. Wyprostowałem się, uśmiechnąłem i oparłem o kanciasty głaz.

– Nie, Abdullahu, nikt nie mówił o twoim planie. Słyszę o nim od ciebie. Podjąłem decyzję o odejściu, gdy Dilip Błyskawica powiedział, że trzech chłopaków umarło po narkotyku, który sprzedaje DaSilva ze swoją ekipą.

– Ale ty nie masz z tym nic wspólnego. To nie twoja operacja. Obaj nie zgadzaliśmy się z Sanjayem, kiedy zaczął sprzedawać w południowym Bombaju *garad* i dziewczyny. To nie my podjęliśmy tę decyzję.

– Nie, to coś więcej, stary – powiedziałem, patrząc na spirale burzowych chmur wirujących nad odległym miastem. – Mogę ci podać dziesięć dobrych powodów, dla których powinienem odejść i dla których muszę odejść, ale one nie mają znaczenia, bo nie potrafię wymyślić ani jednego dobrego powodu, żeby zostać. Chodzi o to, że z tym skończyłem i tyle. Odchodzę.

Irański wojownik zmarszczył brwi i rozejrzał się po niewidzialnym polu bitwy Lina, którego znał. Jego umysł toczył wojnę z sercem.

– Pozwolisz mi się przekonać?

– Przekonywanie się jest między przyjaciółmi nie tylko dozwolone, ale i konieczne – powiedziałem. – Lecz proszę, nie chcę nadużywać twojej dobroci. Nie chcę, żebyś zajmował się sprawą, która dla mnie jest stracona. Wiem, co czujesz, bo sam to czuję. Rzecz w tym, że podjąłem decyzję. Już odszedłem, Abdullahu, dawno odszedłem.

– Sanjayowi się to nie spodoba.

– Tu masz rację – przyznałem ze śmiechem. – Ale nie łączą mnie z firmą żadne rodzinne więzi. Nie mam rodziny, więc Sanjay nie może użyć tej karty przetargowej. I wie, że dobrze mi idzie z paszportami. Zawsze mogę się przydać. Sanjay jest przezorny. Lubi mieć wiele możliwości. Podejrzewam, że nie będzie chciał mnie zabić.

– To niebezpieczne założenie – zauważył Abdullah.

– Tak. Faktycznie.

– Jeśli go zabiję, twoje szanse wzrosną.

– Nawet nie wiem, dlaczego to mówię, ale powiem: proszę, nie zabijaj Sanjaya ze względu na mnie. Czy to jasne? Nie miałbym apetytu przez miesiąc.

– Załatwione. Gdy odbiorę mu życie, zapomnę o twojej korzyści.

– A może by mu tak w ogóle nie odbierać życia? Bez względu na wszelkie korzyści. I właściwie dlaczego rozmawiamy o odbieraniu życia Sanjayowi? Jak do tego dopuściłeś? Nie, nie mów mi. Odszedłem. Nie chcę wiedzieć.

Abdullah przetrawiał to przez chwilę z zaciśniętymi zębami i drgającymi wargami.

– Co zrobisz?

– Chyba zostanę niezależnym pracownikiem – oznajmiłem, śledząc wzrokiem cień myśli przesuwających się przez jego oczy w ogorzałej twarzy. – Pomyślałem, że na jakiś czas związę się z Didierem. Od lat mi to proponował.

– To bardzo niebezpieczne – mruknął Abdullah.

– Bardziej niż to? – spytałem, a kiedy otworzył usta, powstrzymałem go. – Nawet nie próbuj, bracie.

– Mówiłeś o tym komuś jeszcze?

– Nie.

– Żeby nie było nieporozumień – powiedział z nagłą surowością. – Wypowiadam wojnę i muszę ją wygrać. Straciłeś wiarę w przywództwo Sanjaya, tak jak ja, i nie należysz już do firmy. Doskonale. Ale mam nadzieję, że z lojalności wobec mnie zachowasz milczenie co do moich planów.

– Szkoda, że mi o tym powiedziałeś. Spisek zaraża, zaraziłem się. Ale jesteś moim bratem, stary, i jeśli mam wybierać między tobą a nimi, bez wahania staję przy tobie. Tylko nie mów mi nic więcej o swoich planach, dobrze? Czy nikt ci nigdy nie powiedział, że nie istnieje klątwa gorsza od cudzych planów?

– Dziękuję ci – powiedział, uśmiechając się łagodnie. – Zrobię wszystko, co mogę, żeby ta wojna nie przyszła na twój próg.

– Wolałbym, żeby nie przyszła na mój subkontynent. Po co wojna? Odejdź, człowieku. Będę stał przy tobie, poza firmą, bez względu na to, jak nas zaatakują. W wojnie zginą nasi przyjaciele, nie tylko wrogowie. Co jest tego warte?

Abdullah oparł się o kamień obok mnie, dotykając mnie ramieniem. Obaj spojrzeliśmy ponad leśnym sklepieniem. Potem Abdullah oparł głowę o głaz, by spojrzeć w niespokojne niebo. Ja położyłem się i uniosłem twarz ku oranemu wiatrem polu chmur.

– Nie mogę odejść – odezwał się Abdullah z westchnieniem. – Bylibyśmy dobrymi partnerami, to prawda, ale nie mogę odejść.

– Chłopiec. Tarik.

– Tak. To siostrzeniec Kadirbaja. Jestem za niego odpowiedzialny.

– Dlaczego? Nigdy mi nie mówiłeś.

Jego twarz złagodniała w smutnym uśmiechu, który rezerwujemy dla wspomnień gorzkich porażek, które przynoszą w końcu sukces.

– Kadirbaj ocalił mi życie – powiedział w końcu. – Byłem wtedy młodym irańskim żołnierzem, uciekającym przed wojną z Irakiem. Narobiłem sobie paskudnych kłopotów, tutaj, w Bombaju. Kadirbaj interweniował. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego taka ważna postać miałaby się wysilać, żeby mnie ratować przed śmiercią, na którą sobie zasłużyłem dumą i porywczością.

Głowę miał tak blisko mojej, że jego głos dochodził jakby z innego miejsca, gdzieś zza wielkich głazów za naszymi plecami.

– Kiedy udzielił mi audiencji i powiedział, że sprawa została załatwiona, zapewniając mnie, że nic mi nie grozi, spytałem, jak mogę mu się odwdzięczyć – podjął Abdullah. – Kadirbaj długo patrzył na mnie z uśmiechem. Znasz dobrze ten uśmiech, bracie lin.

– Znam. Nadal czasem go czuję.

– A potem kazał mi wytoczyć własną krew, moim nożem, i przysiąc na tę płynącą krew, że będę strzegł jego siostrzeńca Tarika jako jego obrońca, w razie potrzeby ryzykując życiem, aż do śmierci swojej lub chłopca.

– Był mistrzem diabelskich paktów.

– O, tak – przyznał cicho Abdullah. Podnieśliśmy się i odwróciliśmy się do siebie. – Ale to dlatego nie mogę po prostu zostawić tego, co robi Sanjay. Pewnych rzeczy nie rozumiesz. Są rzeczy, których nie mogę ci wyjaśnić. Sanjay sprowadza ogień na nasze głowy, może nawet na całe miasto. Straszny ogień. Chłopiec, Tarik, jest w niebezpieczeństwie i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby go ochronić.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, bez uśmiechu, ale jakoś uspokojeni. W końcu wstaliśmy, a on klepnął mnie w ramię.

– Będziesz potrzebować więcej pistoletów.

– Mam dwa.

– Dokładnie. Będziesz potrzebował więcej. Zostaw to mnie.

– Mam dość pistoletów.

– Zostaw to mnie.

– Nie potrzebuję nowych pistoletów.

– Wszyscy potrzebują nowych pistoletów. Nawet wojsko potrzebuje nowych pistoletów, a w wojsku jest wiele pistoletów. Zostaw to mnie.

– Wiesz co, jeśli znajdziesz broń, która usypia ludzi na parę dni, nie robiąc im krzywdy, to mi ją skombinuj wraz z górą amunicji.

Abdullah zatrzymał się i przyciągnął mnie blisko siebie.

– Będzie źle, zanim znowu zrobi się dobrze – szepnął. – To nie żart. Proszę, wiedz, że bardzo wysoko cenię twoje milczenie, milczenie przyjaźni, ponieważ wiem, że jeśli Sanjay się dowie, twoje życie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Bądź gotowy na wojnę, tym bardziej że jej nienawidzisz.

– Dobrze, dobrze.

– Chodźmy do Chalida – dodał, i ruszył.

– Ach, więc teraz możemy zakłócić jego małe szczęście, tak? – spytałem, podążając za nim.

– Już nie jesteś rodziną, bracie Lin – powiedział cicho, zbliżając się do krawędzi płaskowyżu. – Twoja opinia nie ma już znaczenia.

Spojrzałem w jego oczy i zobaczyłem to mgnienie obojętności, przygaśnięcie światła miłości i zaufania, subtelną zmianę w aurze uczuć, gdy ktoś z zewnątrz patrzy na kogoś wewnątrz.

Znalazłem dom, chory dom, w firmie Sanjaya. Teraz jego drzwi się dla mnie zamknęły. Kochałem Abdullaha, ale miłość to lojalność, a on nadal znajdował się w grupie braci, lojalny wobec nich. Dlatego zwlekałem z powiedzeniem mu o mojej decyzji. Dlatego dryfowałem po wodach bystrookiej inteligencji Karli i wojennego szaleństwa Concannona. Traciłem Abdullaha. Zadałem drzwiom firmy cios siekierą. A mój przyjaciel, ze wzrokiem skierowanym ku obcym wodom, szedł ścieżką w dół, pod sinym, brzemiennym niebem, w grzmocie nadchodzącej burzy.

# 28

U stóp góry Abdullah poprowadził mnie wydeptaną drogą przez dolinę posągów Buddy z piaskowca. Kilka minut szliśmy ścieżką w dżungli, potem dotarliśmy do alei w szpalerze drzew, wznoszącej się łagodnie ku dwupiętrowemu domowi z betonu i drewna.

Zanim dotarliśmy do schodów prowadzących na szeroką parterową werandę, Chalid wyszedł nam na powitanie. Odziany w obszerną szatę z żółtego jedwabiu, z girlandami czerwonych i żółtych kwiatów na szyi, stał podparty pod boki.

– Shantaram! – zawołał. – Witaj w Shangri-La!

Zmienił się. Przez te lata bardzo się zmienił. Włosy mu się przerzedziły tak mocno, że stał się prawie łysy. Stracił figurę wojownika, jego biodra i brzuch były szersze od ramion. Przystojna twarz z grymasem wściekłości i pretensji do świata rozlała się od skroni do ginącej w tłuszczu szczęki, a jego złotobrązowe oczy prawie znikły w uśmiechu.

Ale był to Chalid, mój przyjaciel. Pobiegłem po schodach na jego spotkanie.

Wyciągnął ręce, zatrzymując mnie dwa stopnie od siebie. Młody mężczyzna w żółtej kurcie zrobił nam zdjęcie i zostawił aparat wiszący na szyi, by wyjąć z kieszeni koszuli notes i długopis.

– Nie zwracaj uwagi na Taruna – powiedział Chalid, wskazując go głową. – Odnotowuje wszystkie moje spotkania i wszystko, co powiedziałem. Zabraniam mu, ale ten nieposłuszny łobuz nie chce mnie słuchać. Przecież ludzie zawsze robią to, co podpowiada im serce, nieprawda?

– No…

– Przytyłem.

Nie powiedział tego z żalem czy ironią. Po prostu stwierdził fakt.

– No…

– Ale ty masz świetną kondycję. Jak zarobiłeś na te siniaki? Boksowałeś się z Abdullahem? Chyba wygrał. Co nikogo nie dziwi, no nie? Na pewno obaj jesteście w tak doskonałej formie, że możecie się wspiąć na moją górę, żeby spotkać się z

Idrissem.

– Na twoją górę?

– No… ta jej część jest moja, *na*? To Idriss sądzi, że cała góra należy do niego. Straszny chudh. No, dobrze, chodź no tutaj, pozwól się uściskać, a potem się rozejrzymy.

Przeszedłem ostatnie dwa stopnie i wpadłem w chmurę tłuszczu. Tarun trzasnął nam fotkę. W końcu Chalid wypuścił mnie, uścisnął dłoń Abdullaha i wprowadził nas do środka.

– Gdzie Karla? – spytałem, idąc o krok za nim.

– Powiedziała, że spotkacie się na ścieżce – odparł lekko. – Zdaje się, że poszła pobiegać, żeby uspokoić myśli. Nie wiem, który z nas zakłócił jej spokój, ale stawiam wszystkie pieniądze na ciebie, stary przyjacielu.

Za drzwiami ogromnego starego domu znajdował się przestronny westybul ze schodami po lewej i prawej stronie i z łukowatymi drzwiami prowadzącymi do pokojów na parterze.

– To monsunowa rezydencja jednego Brytyjczyka – oznajmił Chalid, wchodząc do salonu, w którym stały regały z książkami, dwa biurka i kilka wygodnych skórzanych foteli. – Przeszła w ręce pewnego biznesmena, ale kiedy zrobiono tu park narodowy, biznesmen musiał sprzedać ten dom miastu. Mój bogaty przyjaciel, jeden z moich uczniów, wynajął go od miasta na parę lat i pozwolił mi tu mieszkać.

– Twój uczeń?

– W rzeczy samej.

– Rozumiem. To tutaj uczysz, jak się nie odzywać do przyjaciół, kiedy wróci się z martwych?

– Bardzo śmieszne – odparł tym samym suchym tonem, którym stwierdził, że przytył. – Ale chyba zrozumiesz potrzebę dyskrecji.

– Pierdolić dyskrecję. Nie umarłeś, Chalid, i chcę wiedzieć, dlaczego nikt mi nic nie powiedział.

– Sytuacja nie jest tak prosta, jak sądzisz. Poza tym to, czego tu uczę ludzi, nie ma nic wspólnego ze światem zewnętrznym. Nauczam miłości. A konkretnie – uczę ludzi kochać samych siebie. Chyba nie zdziwi cię, że dla niektórych nie jest to proste.

Przeszliśmy przez salon i otwarte drzwi balkonowe na oszkloną werandę biegnącą wzdłuż całego domu. Stało na niej mnóstwo wiklinowych foteli i stolików o szklanych blatach.

Powoli obracające się wentylatory pod sufitem poruszały smukłymi liśćmi doniczkowych palm. Za oszkloną ścianą widać było angielski ogród z krzakami róż i schludnie przystrzyżonymi żywopłotami.

Pojawiły się dwie ładne i młode, ubrane w tuniki dziewczyny z Zachodu. Ukłoniły się Chalidowi, składając dłonie.

– Proszę, usiądźcie – zachęcił Chalid, wskazując nam dwa wiklinowe foteliki. Napijecie się czegoś gorącego czy zimnego?

– Zimnego – powiedział Abdullah.

– Ja też.

Chalid skinął głową dziewczynom. Wycofały się parę kroków tyłem, a potem odwróciły się i odeszły. Chalid odprowadził je wzrokiem.

– Tak łatwo znaleźć dobrą pomoc domową – westchnął z zadowoleniem i umościł się w fotelu.

Tarun zapisał to w notesie.

– Co się wydarzyło? – spytałem.

– Co się… wydarzyło? – powtórzył Chalid ze zdziwieniem.

– Kiedy ostatni raz cię widziałem, na ziemi leżał martwy szaleniec, a ty odszedłeś bez broni w śnieżną burzę. A teraz jesteś tutaj. Co się wydarzyło?

– A, rozumiem – rzucił z uśmiechem. – Ty znowu o tym.

– Tak. Ja znowu o tym.

– Wiesz, Lin, odkąd się ostatnio widzieliśmy, zrobiłeś się twardszy.

– Może i tak. A może po prostu lubię prawdę, jeśli mogę ją usłyszeć.

– Prawdę – powtórzył Chalid w zadumie.

Spojrzał na Taruna, który wciąż notował. Asystent przerwał, spojrzał na Chalida, westchnął i opuścił notes.

– No, więc szedłem pieszo z Afganistanu. I szedłem. I szedłem. Zadziwiające, jak daleko można zajść, kiedy nie dbasz o to, czy przeżyjesz. A dokładnie, kiedy się nie kochasz.

– A dokąd konkretnie doszedłeś?

– Do Pakistanu.

„Opowiedz mi o Pakistanie”, odezwał się głos w mojej głowie.

– A po Pakistanie?

– Po Pakistanie dotarłem do Indii. Potem przeszedłem przez Indie do Waranasi. Gdy tam dotarłem, zaczęło być o mnie głośno. Wiele osób mówiło o Idącym w Milczeniu Babie, który nigdy nie odezwał się do nikogo ani słowem. Nie od razu zrozumiałem, że chodzi o mnie. Fizycznie byłem bardzo chory, z niedożywienia. O mało z tego powodu nie umarłem. Po wielu miesiącach głodu wypadły mi włosy i wiele zębów. W ustach miałem wrzody. Nie mógłbym powiedzieć ani słowa, nawet gdyby od tego zależało moje życie.

Roześmiał się cicho, jakby patrzył na pyłki wirujące w świetlistym promieniu wspomnień.

– Ale ludzie brali moje milczenie za mądrość, wiesz? Czasem mniej naprawdę znaczy więcej. A w Waranasi poznałem pewnego Anglika, lorda Boba, który uznał mnie za swojego guru. Tak się złożyło, że był bardzo bogaty. Wielu moich uczniów to bogacze, co jest zabawne, jeśli się nad tym zastanowić.

Chalid zamilkł, patrząc na angielski ogród. Kąciki jego ust unosił uśmiech zdziwienia.

– Lord Bob… – ponagliłem.

– A, tak. Lord Bob. To był dobry, troskliwy człowiek, ale czegoś potrzebował. Rozpaczliwie tego potrzebował. Całe życie upłynęło mu na daremnym poszukiwaniu czegoś, co nada znaczenie jego życiu, i w końcu zwrócił się po to do mnie.

– Po co?

– Nie mam pojęcia. Słowo daję, nie mam pojęcia, czego szukał. Bladego pojęcia. Przecież był obrzydliwie bogaty. Czego jeszcze mógłby chcieć? Ale to, że nie mogłem mu pomóc, nie miało dla niego znaczenia, ponieważ po śmierci zostawił mi cały majątek.

Dziewczyny wróciły z dwiema tacami i postawiły je na stolikach obok nas. Stały na nich drinki w długich szklankach i kilka talerzy z suszoną papają, ananasem i mango, a także trzy rodzaje orzechów w skorupkach. Dziewczyny skłoniły się nisko Chalidowi, składając ręce z uszanowaniem, wycofały się i odeszły, stąpając bezszelestnie po posadzce bosymi stopami.

Odprowadziłem dziewczyny wzrokiem, a potem odwróciłem się do Chalida, zapatrzonego w rozmarzeniu w ogród, oraz Abdullaha, wpatrzonego w niego nieruchomym wzrokiem.

– Przebywałem w Waranasi prawie dwa lata – podjął Chalid. – I czasem tęsknię.

Rozejrzał się i wziął szklankę. Podał mi ją, potem poczęstował Abdullaha i sam

pociągnął długi łyk.

– To były dobre lata. Wiele się nauczyłem od lorda Boba, który tak chętnie oddał się w moje ręce i uzależnił się ode mnie.

Zachichotał. Zerknąłem na Abdullaha. Czy on powiedział: „Oddał się w moje ręce”? Czy on powiedział: „Uzależnił się ode mnie”? Dziwna chwila w i tak dziwnej godzinie. Napiliśmy się.

– I oczywiście nie on jeden – ciągnął Chalid. – Byli inni, nawet starzy sadhu, a wszyscy aż się palili, żeby uklęknąć i dotknąć moich stóp, choć nic nie mówiłem. I wtedy zrozumiałem, jak wielka moc nas wypełnia, gdy inny człowiek, choćby tylko jeden, uklęknie przed nami. Zrozumiałem, że mężczyźni sprzedają ten dający siłę sen kobietom za każdym razem, gdy się oświadczają.

Roześmiał się. Wpatrywałem się w swoją szklankę, w strużki wilgoci, przecinające zygzakiem srebrny filigranowy wzór na powierzchni rubinowego szkła. Chalid, który mówił z takim zadowoleniem o klęczących przed nim ludziach, nie był przyjacielem, którego tak kochałem.

– Nasz brat Lin – odezwał się Chalid, zwracając się do Abdullaha – jest najwyraźniej zaskoczony, że choć mój angielski poprawił się dzięki czasowi spędzonemu z lordem Bobem, moja amerykańska wrażliwość się zmniejszyła. Nie sądzisz?

– Każdy odpowiada za swoje czyny – odparł Abdullah. – To prawo tak samo stosuje się do ciebie i tych, którzy postanawiają przed tobą klęknąć, jak do Lina i mnie.

– Dobrze powiedziane, stary przyjacielu! – zawołał Chalid.

Odstawił szklankę na stół i podniósł się ze stęknięciem.

– Chodźcie! Chcę wam coś pokazać.

Wróciliśmy za nim do domu i poszliśmy do schodów biegnących po obu stronach westybulu. Chalid na chwilę przystanął u ich stóp, z ręką opartą o drewnianą balustradę.

– Mam nadzieję, że sok wam smakował – powiedział poważnie.

– Jasne.

– Ta kropla syropu klonowego zmienia wszystko – dodał.

Zapadła chwila ciszy. Zrozumiałem, że Chalid czeka na odpowiedź.

– Sok był smaczny – pochwaliłem.

– Dobry sok – potwierdził Abdullah.

– Bardzo się cieszę – oznajmił Chalid sucho. – Nie macie pojęcia, jak długo uczyłem personel kuchenny przyrządzania soków. Jednego musiałem zbić kuchenną łopatką. A przez jaki dramat przeszedłem z deserami! Nawet nie proście, żebym opowiedział.

– Masz moje słowo – mruknąłem.

Chalid zrobił krok, ale szybko odwrócił się do Taruna, który szedł za nami.

– Możesz zaczekać tutaj. Odpocznij. Zjedz biszkopta.

Zawiedziony Tarun odszedł w głąb domu. Chalid odprowadził go podejrzliwym spojrzeniem.

Dawny Chalid pokonałby schody, przeskakując po trzy stopnie naraz i prześcignąłby każdego mężczyznę w Bombaju. Ten nowy dwa razy zatrzymał się na pierwszym biegu schodów.

– Na pierwszym piętrze – wysapał, dotarłszy na górę – znajdują się wszystkie sale do medytacji i jogi.

– Czyli ćwiczysz jogę? – spytałem, na chwilę łącząc się z przekornym duchem George'a Bliźniaka.

– Nie, nie! – odparł poważnie Chalid. – Jestem na to za tłusty i nie mam kondycji. Zresztą zawsze wolałem boks i karate. Pamiętasz przecież, Lin.

Pamiętałem. Pamiętałem czasy, gdy Chalid potrafiłby powalić każdego mężczyznę w mieście oprócz Abdullaha i nawet by się nie zasapał.

– Aha.

– Ale moi wyznawcy bardzo lubią jogę. Nieustannie ją uprawiają. Ćwiczyliby całą noc, gdybym im pozwolił. Praktycznie muszę oblewać ich zimną wodą, żeby przestali.

Przez najbliższe drzwi na korytarzu zobaczyliśmy tuzin siedzących na matach uczniów. Z głośników na ścianach dobiegały dźwięki fletu.

Chalid złapał oddech i zaprowadził nas na drugie piętro. Tu ujrzeliśmy wiele zamkniętych drzwi ciągnących się przez cały korytarz.

– Sypialnie – wysapał Chalid. – I pokoje jednoosobowe.

Ostrożnie otworzył najbliższe drzwi. Zobaczyliśmy kilka dziewcząt śpiących na wąskich łóżkach pod moskitierami. Dziewczyny były nagie.

– Moje najbardziej oddane uczennice – wyjaśnił Chalid tym samym dziwnie bezbarwnym tonem.

– Co jest, Chalid? – rzuciłem, ale on położył palec na ustach, uciszając mnie.

– Proszę, Lin, nie hałasuj! Nie będziemy mieć ani chwili spokoju, jeśli się obudzą.

– Dobra, to cześć, Chalid – rzuciłem i ruszyłem w stronę schodów.

– Co robisz? – spytał Chalid z zaskoczeniem.

– Zamierzam iść tak długo, aż stąd wyjdę. To oznacza pożegnanie.

– Nie, Lin, co się stało? – spytał i ostrożnie zamknął drzwi.

– Co się stało? – rzuciłem, zatrzymując się u szczytu schodów. – Co to ma być, harem? Odbiło ci? Za kogo ty się uważasz?

– Wszyscy tu obecni mają prawo odejść – odparł sucho. W głębi jego oczu pojawił się mrok. – Łącznie z tobą.

– Co za zbieg okoliczności – warknąłem, odwracając się. – Bo właśnie wychodzę.

– Nie, nie, przepraszam! – zawołał i podbiegł do mnie. Położył mi rękę na ramieniu, żeby mnie zatrzymać. – Mam ci coś jeszcze do pokazania! Musisz to zobaczyć! To tajemnica. Tajemnica, którą chcę się z tobą podzielić.

– Mam już dość tajemnic jak na jeden dzień. Zadzwoń do mnie, jak zejdziesz z tej góry.

– Ale Abdullah jeszcze nie zobaczył mojej tajemnicy. Nie możesz go pozbawić tego widoku, prawda? To by było okrucieństwo. Abdullahu, nie chciałbyś poznać tej tajemnicy?

– Chciałbym – oznajmił Abdullah jak wcielenie zafascynowanej niewinności.

– No to przekonaj Lina, żeby został! Nieważne, idę na górę, do mojej tajemnicy, a wy możecie pójść za mną, jeśli chcecie, moi bracia.

Cofnął rękę z mojego ramienia, nabrał tchu w płuca przed wspinaczką na trzecie piętro i ruszył po schodach. Zatrzymałem Abdullaha.

– Co my tu robimy?

– Jak to?

– Pokój pełen nagich dziewcząt? Co się z nim stało? Jest mnóstwo dziewczyn. Świat jest ich pełny. Posiadanie pokoju pełnego dziewcząt to coś, co zrobiło słowu „obleśny” złą prasę. Chodź, bracie. Idziemy.

– Ale, Lin… – szepnął Abdullah. – A tajemnica?

– Żartujesz?

– To tajemnica. Prawdziwa tajemnica!

– Nie spodobały mi się tajemnice, które tu poznałem.

– Jak możesz nie chcieć się dowiedzieć?

– Powiedzmy, że mam psychiczną astmę i w tej chwili potrzebuję świeżego

powietrza. To kwestia zdrowotna. Chodźmy.

– Zostań ze mną, proszę, do czasu wyjaśnienia tajemnicy.

Westchnąłem.

– Idziecie? – zawołał Chalid, który zatrzymał się w połowie schodów. – Te schody mnie wykańczają. W przyszłym tygodniu zainstalują tu windę.

Abdullah spojrzał na mnie z proszącym wyrazem surowych oczu.

– Dobrze, dobrze! – zawołałem, idąc po schodach.

Chalid pokonał zakręt schodów, człapiąc ze zmęczenia. W końcu dotarł do zamkniętych drzwi. Wyjął klucz z fałdów kaftana, przekręcił go w zamku i wpuścił nas do środka.

W pomieszczeniu panował mrok. Światło ze schodów ukazało pokój na poddaszu, z belkami skrzyżowanymi nad naszymi głowami jak ramiona. Chalid zamknął drzwi na klucz i włączył wiszącą pod sufitem żarówkę.

Ujrzeliśmy góry złotych i srebrnych przedmiotów: naszyjników i bransolet z drogimi kamieniami, łańcuchów wysypujących się z drewnianych szkatułek na kilku stołach, świeczników, luster, ramek na zdjęcia, szczotek, sznurów pereł, zegarków, wisiorków, broszek, pierścionków na palce rąk i nóg, kolczyków do uszu i nosa, a nawet kilku czarno-złotych naszyjników ślubnych.

Oraz góry pieniędzy.

– Mógłbym to wyjaśniać całymi godzinami – oznajmił Chalid, sapiąc z otwartymi ustami – ale nic nie uświadomi tego lepiej niż ten widok, *na?* Oto moc zgiętych kolan. Widzicie? Widzicie?

Zapadła cisza. Gdzieś pod dachem gruchały gołębie. Ich turkoczące komentarze odbijały się echem w długim, zamkniętym pomieszczeniu.

W końcu Chalid znowu przemówił.

– I to bez podatku.

Spojrzał na Abdullaha, potem na mnie i znowu na Abdullaha.

– No? I co sądzicie?

– Potrzebujesz liczniejszej ochrony – zauważył Abdullah.

– Ha! – Chalid roześmiał się i klepnął go w plecy. – Zgłaszasz się na ochotnika, przyjacielu?

– Ja mam już pracę – odpowiedział Abdullah, jeszcze poważniej.

– Tak, tak, oczywiście, ale…

– To wszystko od uczniów? – spytałem.

– No, ja nazywam ich uczniami, ale oni uważają się za wyznawców – odparł Chalid, patrząc na góry skarbów. – Było tego jeszcze więcej.

– Jeszcze więcej?

– O, tak. Mnóstwo podarunków od moich wyznawców z Waranasi. Tylko że musiałem wyjechać w pośpiechu i wszystko straciłem.

– Jak?

– Musiałem oddać to policji jako łapówkę – odparł Chalid. – Dlatego lord Bob pozwolił mi przed śmiercią zamieszkać w tym domu.

– Dlaczego musiałeś opuścić Waranasi tak szybko?

– Dlaczego chcesz wiedzieć, Lin, mój stary przyjacielu?

Klejnoty z góry skarbów lśniły w oczach Chalida.

– Sam poruszyłeś ten temat, stary.

Chalid przyglądał mi się przez chwilę, wahając się na lodowatej krawędzi zimnej prawdy. Chyba postanowił mi zaufać.

– Była pewna dziewczyna… Wyznawczyni, bardzo zaangażowana, pochodząca z szanowanej rodziny braminów. Piękna i oddana mi ciałem i duszą. Nie wiedziałem, że jest nieletnia.

– No, nie!

– Nie mogłem wiedzieć. Mieszkasz tu, Lin, wiesz, jak dorośle mogą wyglądać hinduskie dziewczynki. Wyglądała na osiemnaście lat, przysięgam. Piersi miała pełne jak dojrzałe mango. I uprawiała seks jak dorosła kobieta. Ale, niestety, miała tylko czternaście lat.

– Chalid, stwierdzam oficjalnie, że się ciebie boję.

– Nie, Lin, zrozum…

– Mam zrozumieć seks z dzieckiem? Chcesz, żebym to zobaczył twoimi oczami? O to ci chodzi?

– Ale to się już więcej nie wydarzy.

– Więcej?

– Wykluczone. Podjąłem odpowiednie środki.

– Za każdym razem, gdy otwierasz usta, przerażasz mnie jeszcze bardziej.

– Posłuchaj! Kazałem wszystkim pokazywać mi metrykę, zwłaszcza tym młodszym. Teraz jestem zabezpieczony.

– *Ty* jesteś zabezpieczony?

– Zostawmy ten poważny ton, *yaar*. Wszyscy czegoś żałujemy, nie? Nie rozśmieszyłem cię dziś, Lin, ale to nie znaczy, że moja rada nie ma wartości. Mamy takie arabskie powiedzenie: radź się tego, przez którego płaczesz, nie tego, z którym się śmiejesz.

– Chalid…

– Chcę, żebyś wiedział, że ty i Abdullah, moi jedyni ocaleni bracia, będziecie zawsze bezpieczni. Ta moc, te pieniądze i mój majątek są wasze.

– O czym ty mówisz, Chalid?

– O pieniądzach na rozbudowę interesu – wyjaśnił, ale to niczego nie wyjaśniło.

– Jakiego interesu?

– Tego interesu. Aśramu. Czas na franszyzę. Możemy prowadzić razem ten aśram i rozszerzyć działalność na całe Indie i w końcu także Amerykę. Nie ma dla nas żadnych granic! I to dosłownie.

– Chalid…

– Dlatego tak długo zwlekałem ze skontaktowaniem się z wami. Musiałem zebrać fundusze. Przyprowadziłem was tu, by pokazać wam coś, co jest tak samo wasze, jak i moje.

– I tu masz rację – mruknąłem.

– Cieszę się, że rozumiesz.

– Chodzi mi o to, że te rzeczy tak samo nie należą do nas, jak nie należą do ciebie.

– A to co ma znaczyć?

– To ofiary dla kogoś większego od nas i dobrze o tym wiesz.

– Nie rozumiesz. Chciałbym, żebyście weszli w to razem ze mną. Możemy zarobić miliony. Ale branża religijna to straszna dżungla. Potrzebuję was, żeby pójść dalej.

– Ja już poszedłem dalej.

– Ale możemy iść we franszyzę! – syknął Chalid, odsłaniając zęby. – Franszyzę!

– Muszę opuścić miasto – odezwał się nagle Abdullah głosem zachrypłym z napięcia.

– Co? – wykrztusił Chalid, wyrwany z marzenia.

– Jeszcze raz chcę cię prosić, żebyś zostawił ten dom i tych ludzi i wrócił ze mną do Bombaju.

– Znowu?

– Zajmij przynależne ci miejsce w radzie, na czele której stał niegdyś Kadirbaj. Nadeszły trudne czasy, a staną się jeszcze gorsze. Potrzebujemy twojego przewodnictwa. Musimy odeprzeć Sanjaya. Jeśli pojedziesz ze mną, Sanjay ocali życie. Jeśli nie, jeden z nas go zabije, a wtedy i tak będziesz musiał objąć przewodnictwo nad radą, dla dobra firmy.

W swoim nowym wcieleniu Chalid stanowił przeciwieństwo mojego wyobrażenia o przywódcy. Ale Abdullah, Irańczyk, który dostroił swoje serce do muzyki bombajskich ulic, nie widział mężczyzny, który stal z nami na poddaszu, lecz prestiż, którzy przylgnął do Chalida dzięki jego długiej i bliskiej przyjaźni z Kadirbajem – oraz autorytet, płynący z wielu bitew i gangsterskich wojen, podczas których dowodził i które wygrał dla firmy.

Ja skończyłem z firmą Sanjaya, już podjąłem decyzję, ale wiedziałem, że nowy Chalid, który zasmakował w ludzkim uzależnieniu, doda ognia sile dawnego Chalida, który tak chętnie wykorzystywał władzę.

Zbrodnia zmieszana z czymkolwiek to przepis na katastrofę – dlatego nas tak fascynuje. Zbrodnia zmieszana z religią niesie zbawicielom odkupienie dzięki ofierze grzeszników. Nie chciałem, żeby Chalid przyjął propozycję Abdullaha.

– Raz jeszcze powiadam ci, że nie mogę się zgodzić – oznajmił Chalid z uśmiechem. – Lecz z całą przyjaźnią i szacunkiem proszę, byś rozważył moją ofertę. To niezwykła okazja startu, zanim ta religijna branża naprawdę się rozkręci. Na samej jodze zarabiamy miliony.

– Musisz myśleć o firmie – naciskał Abdullah. – Musisz podążać za swoim przeznaczeniem.

– Nic podobnego – odparł Chalid, nadal z uśmiechem. – Ale dziękuję, że znowu wziąłeś mnie pod uwagę. A teraz, zanim podejmiecie ostateczną decyzję, proszę, byście pomyśleli o moich skarbach i zjedli ze mną obiad. Umieram z głodu, powiadam wam.

– Ja odpadam – oznajmiłem.

– Ty… co?

– Chalid, odpadłem w chwili, gdy pokazałeś mi swój harem. Odchodzę.

– To znaczy, że nic nie zjesz? – spytał Chalid, zamykając drzwi na klucz.

– To znaczy, że znowu cię żegnam.

– Ale jeśli nie zjesz przygotowanych dla ciebie potraw, spotka cię pech!

– Będę musiał zaryzykować.

– Ale to kaszmirskie słodycze. A kaszmirski cukiernik to mój wyznawca. Nie macie pojęcia, jak trudno znaleźć dobrego cukiernika.

Przeszedłem przez hol przy drzwiach wejściowych. Chalid dreptał za mną. Dołączył do nas Tarun, truchtający u boku swojego mistrza.

– Ach, no cóż – sapnął Chalid, wychodząc z nami na werandę przy drzwiach wejściowych. Ogarnął mnie wilgotnym, gąbczastym uściskiem, potrząsnął dłonią Abdullaha i pomachał nam na do widzenia, gdy odchodziliśmy żwirową ścieżką.

– Wracajcie, kiedy zechcecie! – zawołał. – Zawsze jesteście tu mile widziani! W środowe wieczory puszczamy filmy! I podajemy lodowate firni! A w czwartki tańczymy! Uczę się tańczyć. Uwierzycie?

Stojący przy nim Tarun wszystko notował.

Za pierwszym zakrętem ścieżki ujrzeliśmy czekającą na nas Karlę. Siedziała na pniu powalonego drzewa, paląc papierosa.

– I co, Shantaram, olałeś jego pielgrzymkę?

– Mogłaś mnie jakoś ostrzec – odparłem znękany. – Co mu się stało, do cholery?

– Znalazł szczęście… mniej więcej – odparła cicho. – W jego przypadku raczej więcej niż mniej.

– A ty się cieszysz, że widzisz go w takim stanie?

Oboje spojrzeli na mnie wielkimi oczami.

– No, nie wygłupiajcie się!

Nie przestali patrzeć.

– No dobrze – ustąpiłem. – Może… może po prostu chcę, żeby mój przyjaciel wrócił. Nie tęsknicie za nim?

– Chalid tam jest – powiedział Abdullah.

– Ale…

– Oszczędzaj oddech – rzuciła Karla, ruszając w stronę ścieżki – przyda ci się podczas wspinaczki. Czy wy, gangsterzy, nigdy się nie zamykacie?

Zbliżyliśmy się do ścieżki prowadzącej do pierwszych grot. Karla ruszyła wolnym truchtem. Kiedy dotarliśmy do stromego podejścia, nadal nas wyprzedzała. Wspinaliśmy się, a ja nie mogłem przestać się gapić na faliste linie jej ciała.

„Mężczyźni to psy – powiedział kiedyś Didier. – Niewytresowane”.

– Gapisz się na mój tyłek? – spytała.

– Niestety, tak.

– Wybacz mu – dodał Abdullah, żeby zatuszować czyjeś zażenowanie. – On się gapi, bo wspinasz się zwinnie jak małpka.

Karla parsknęła śmiechem i przytrzymała się pnączy, żeby nie spaść. Ten głośny, szczery śmiech poniósł się pod kopułami drzew na urwisku. Karla wyciągnęła wolną rękę do Abdullaha, ostrzegając, żeby nic nie mówił, zanim ten śmiech się z niej nie wysnuje do końca.

– Dziękuję ci – wykrztusiła w końcu.

– Nie ma za co.

I tak, śmiejąc się i żartując, wspięliśmy się, troje banitów, na górę, która miała zmienić w naszym życiu wszystko i na zawsze.

# 29

Gdy dotarliśmy na szczyt, zostało nam tylko tyle czasu, żeby się odświeżyć. Karla przebrała się w błękitny jak niebo salwar kamiz i dołączyła do nas, by zjeść to, co zostało z obiadu. Gdy skończyliśmy, ogłoszono, że Idriss wrócił na górę. Obejrzałem się na strome zbocze, ale wszyscy inni spojrzeli w stronę jaskiń.

– Istnieje inna droga na górę? – spytałem Karlę.

– Zawsze istnieje inna droga na każdą górę – mruknęła jak kotka. – Wszyscy o tym wiedzą.

– Ach… tak…

Po chwili na ścieżce prowadzącej koło jaskini kobiet pojawił się starszy człowiek, którego uznałem za Idrissa, i młodzieniec. Obaj mieli na sobie białe kurty i luźne, błękitne jak niebo szerokie spodnie. Młodszy mężczyzna, cudzoziemiec, niósł na ramieniu strzelbę.

– Kim jest ten z bronią?

– To Silvano – odpowiedziała Karla.

– Na co mu strzelba?

– Do odstraszania tygrysów.

– Tu są tygrysy?

– Oczywiście. Na sąsiedniej górze.

Chciałem spytać, jak blisko jest ta sąsiednia góra, ale wtedy odezwał się Idriss.

– Przyjaciele – zaczął, odkasłując. – To trudna wspinaczka, nawet od łatwej strony. Przepraszam za spóźnienie. Filozofowie rzucili się dziś na mnie.

Jego niski, łagodny głos rezonował w powietrzu. Zdawał się opływać nas falami. Był to głos niosący ulgę, głos, który łagodnie budzi z koszmaru.

– Nad jakim dylematem dyskutowali, mistrzu-jż? – spytał któryś z uczniów.

– Jeden z nich – zaczął Idriss, wyjmując chusteczkę z kieszeni kurty i wycierając nią czoło – znalazł argument dowodzący, że szczęście to największe zło. Inni nie mogli go obalić, co oczywiście obudziło ich rozpaczliwe niezadowolenie. Chcieli, żebym wyratował ich z tego nieszczęścia, obalając argument.

– I zrobiłeś to? – spytał inny uczeń.

– Oczywiście. Ale trwało to wieki. Czy ktoś z wyjątkiem filozofa walczyłby z takim zapamiętaniem ze stwierdzeniem, że szczęście to coś dobrego? A potem, gdy ich umysły już przyjęły, że szczęście jest dobre, wtedy to nagromadzenie radości ich obezwładniło. Stracili panowanie nad sobą. Czy ktoś z was widział już filozofa w histerii?

Uczniowie spojrzeli na siebie.

– Nie? I dobrze. A oto lekcja: im słabszy masz kontakt z rzeczywistością, tym bardziej niebezpieczny staje się świat. Jednocześnie, im bardziej racjonalny wydaje ci się świat, tym bardziej musisz tę racjonalność kwestionować. No, dość tego, czas zaczynać. Zbierzcie się wokół, usiądźcie wygodnie.

Wyznawcy i uczniowie przynieśli krzesła i stołki i ustawili je w półkolu wokół Idrissa, który ostrożnie spoczął na otomanie. Młody mężczyzna ze strzelbą, Silvano, usiadł nieco za nim, po prawej stronie, na twardym drewnianym stołku, sztywno wyprostowany, nieustannie wodząc wzrokiem po zebranych. Jego spojrzenie bardzo często zatrzymywało się na mnie.

Abdullah pochylił się do mnie.

– Ten Włoch z bronią, Silvano, obserwuje cię – szepnął, lekko poruszając głową.

– Dzięki.

– Nie ma za co – powiedział ze śmiertelną powagą.

– Widzę, że w naszej małej grupie pojawił się nowy gość – odezwał się Idriss, patrząc na mnie.

Odwróciłem się, sprawdzając, czy nie chodzi mu o kogoś za mną.

– Miło mi, że z nami jesteś, Lin. Kadirbaj często o tobie wspominał. Bardzo się cieszę, że mogłeś przybyć.

Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na mnie. Uśmiechali się i kiwali głowami na powitanie. Spojrzałem na świętego męża, walcząc z pokusą, by palnąć, że choć stoczyłem z Kadirbajem wiele filozoficznych rozmów, nigdy nie słyszałem od niego o Idrissie.

– Powiedz nam, Lin – rzucił, uśmiechając się szeroko. – Szukasz oświecenia?

– Nie wiedziałem, że ktoś je zgubił – odparłem.

Nie było to może niegrzeczne, lecz nie okazałem szacunku należnego sławnemu nauczycielowi. Silvano zjeżył się i odruchowo chwycił za strzelbę.

– Mistrzu – odezwał się głosem, w którym brzmiała nienawiść. – Pozwól, że go oświecę.

– Odłóż tę pukawkę, Romeo – odparłem – to przekonamy się, kto pierwszy zobaczy światło.

Silvano miał lekkie, umięśnione ciało i poruszał się z gracją. Kwadratowa szczęka, kwadratowe ramiona, łagodne brązowe oczy i wyraziste wargi nadawały mu wygląd raczej włoskiego modela czy aktora niż ochroniarza świętego męża – a przynajmniej tak sądziłem wtedy. Nie wiedziałem, dlaczego mnie nie polubił. Może na widok ran i siniaków na mojej twarzy uznał, że musi się sprawdzić. Nie obchodziło mnie to; byłem tak zły na Chalida i los, że zadowoliłbym się każdą bójką.

Silvano wstał. Ja też. Idriss dyskretnie skinął dłonią. Silvano usiadł. Więc i ja powoli opadłem na krzesło.

– Proszę, wybacz mu – odezwał się Idriss łagodnie. – Lojalność to rodzaj miłości. Myślę, że to samo można powiedzieć o tobie, prawda?

Lojalność. Lisa i ja nie umieliśmy się w sobie zakochać. Ja kochałem Karlę, cudzą żonę. Straciłem serce do braci z firmy Sanjaya, a tego samego dnia rozmawiałem o zamordowaniu Sanjaya. Lojalność jest nam potrzebna dla tych, których nie kochamy wystarczająco mocno. Kiedy miłość jest silna, nikt nie wspomina o lojalności.

Wszyscy gapili się na mnie.

– Wybacz, Silvano, miałem trudny okres – powiedziałem.

– Dobrze. Bardzo dobrze – pochwalił Idriss. – A teraz chcę… nie, potrzebuję, żebyście się zaprzyjaźnili, chłopcy. Więc chodźcie tutaj obaj, stańcie przede mną i uściśnijcie sobie ręce. Złe wibracje nie pomogą nam w drodze do oświecenia, prawda, chłopcy?

Silvano zacisnął zęby, aż zadrgały mu mięśnie na kwadratowej szczęce, ale wstał szybko i stanął przed Idrissem. W lewej ręce trzymał strzelbę. Prawą miał wolną.

Głupia przekorna myśl, żeby nie pozwolić sobie rozkazywać, zatrzymała mnie na krześle. Uczniowie zaczęli szemrać. Idriss spojrzał na mnie. Wydawało mi się, że powstrzymywał uśmiech. Jego brązowe oczy zalśniły bardziej niż klejnoty z poddasza Chalida.

Silvano przestąpił z nogi na nogę, zaciskając wargi ze złości i z upokorzenia. Wokół jego ust pojawiły się białe zmarszczki.

W tej pustej chwili nic mnie nie obchodziło. To ten Włoch zaczął, mówiąc, że chce mnie oświecić. Chętnie pokazałbym mu moje światło. I chętnie opuściłbym w tej

chwili górę, mędrca, Abdullaha i Karlę.

Karla wbiła mi łokieć w żebra. Wstałem i uścisnąłem rękę Silvana. Potraktował to jak konkurs.

– Dziękuję – powiedział w końcu Idriss i dopiero wtedy przerwaliśmy ten miażdżący kości pojedynek. – To było… oświecające. Teraz zajmijcie miejsca i zaczynajmy.

Wróciłem na krzesło. Abdullah powoli kręcił głową. Karla syknęła jedno słowo:

– Idiota!

Usiłowałem zmarszczyć brwi, ale nie potrafiłem, bo miała rację.

– Dobrze – rzucił Idriss z błyskiem w oku. – Wprowadźmy gościa. Jak brzmi Zasada Numer Jeden?

– Zasada Numer Jeden: nikt nie jest guru! – odpowiedziała cała grupa szybko i zdecydowanie.

– A Zasada Numer Dwa?

– Zasada Numer Dwa: jesteś własnym guru!

– A Zasada Numer Trzy?

– Zasada Numer Trzy: nigdy nie rezygnuj z wolności umysłu.

– A Zasada Numer Cztery?

– Zasada Numer Cztery: informuj swój umysł o wszystkim, bez żadnych uprzedzeń.

– Dobrze, dobrze – roześmiał się Idriss. – Wystarczy. Co do mnie – nie lubię zasad. Są jak mapa miejsca, a nie samo miejsce. Ale wiem, że niektórzy naprawdę lubią zasady i ich potrzebują, więc proszę. Cztery nowe cholerne zasady. Może Zasada Numer Pięć, jeśli do niej dotrzemy, powinna brzmieć: zasady nie istnieją.

Grupa zaśmiała się razem z nim i usiadła wygodniej na stołkach i krzesłach.

Idriss miał trochę ponad siedemdziesiąt lat. Choć chodził, podpierając się długą laską, jego chude, lecz zdrowe ciało zachowało gibkość. Od czasu do czasu bez trudu krzyżował nogi, nie pomagając sobie rękami.

Kędzierzawe, siwe włosy miał krótko przycięte. Nic nie odwracało uwagi od jego wymownych brązowych oczu, wspaniałego luku orlego nosa i wydatnych ciemnych warg.

– Jeśli dobrze sobie przypominam – zwrócił się do Karli – nasza ostatnia dyskusja dotyczyła posłuszeństwa. Czy tak?

– Tak, mistrzu-;i.

– Proszę cię… i wszystkich was. Jesteśmy tu jednym poszukującym umysłem i jednym przyjaznym sercem. Nazywajcie mnie Idrissem, a ja taicie będę się do was zwracać po imieniu. A teraz Karla powie nam wreszcie, jakie ma zdanie na ten temat.

Karla spojrzała na nauczyciela oczami jak płonący las.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Oczywiście.

– Serio?

– Tak.

– Dobrze. Uwielbiaj mnie. Czcij mnie. Bądź mi posłuszny. Ja, ja, ja. To wszystko, co mówi Bóg.

Uczniowie jęknęli ze zgrozy, ale Idriss roześmiał się z nieskrywanym zachwytem.

– Ha! Teraz rozumiecie, moi młodzi poszukiwacze mądrości, dlaczego tak wysoce cenię sobie opinię Karli!

Uczniowie zaczęli szeptać między sobą.

Karla wstała, podeszła na skraj płaskowyżu i zapaliła papierosa. Spojrzała na otaczające nas góry i doliny. Wiedziałam, dlaczego się oddaliła. Czuła się nieswojo, słysząc, że ktoś jej przyznaje rację. Wolała być uważana za inteligentną lub zabawną, nawet jeśli się myliła.

– Uwielbienie to podległość – oznajmił Idriss. – Każda wiara, jak królestwo, żąda od was podległości i posłuszeństwa. Z wszystkich dziesiątków tysięcy religii istniejących od zarania dziejów przetrwały tylko te, które potrafiły wymusić posłuszeństwo. A kiedy posłuszeństwo znika, zależna od niego religia staje się tak zapomniana, jak mity o Zeusie, Apollu i Wenus, którzy tak długo władali całym znanym światem.

– Ale czy to znaczy, że powinniśmy być dumni, a nie posłuszni? – spytał jakiś młody mężczyzna.

– Nie, oczywiście, że nie – odparł Idriss łagodnie. – I słusznie poruszasz ten temat, Ardżunie. To, o czym mówię, nie ma nic wspólnego z dumą. Można wiele zyskać, schylając kark i padając na kolana. Nikt z nas nie powinien być zbyt dumny, by paść na kolana i przyznać, że nie wie wszystkiego, nie jest pępkiem wszechświata i że istnieją rzeczy, których słusznie powinniśmy się wstydzić, a także z radością za nie dziękować. Zgadzacie się?

– Tak – odparło paru uczniów.

– A duma, ta dobra, której potrzebujemy, by przetrwać w brutalnym święcie… czym ona jest? Dobra duma nie mówi: „Jestem lepszy od innych”, bo to słowa złej dumy. Dobra duma mówi: „Pomimo wszystkich moich błędów mam należne mi z urodzenia prawo do istnienia i wolną wolę, której używam, by stać się lepszym”. Nie można zmienić się i udoskonalić bez pewnej dawki dobrej dumy. Zgodzicie się ze mną?

– Tak, Idrissie.

– Dobrze. Zatem powiem wam: klęczcie pokornie, klęczcie ze świadomością, że wszyscy jesteśmy połączeni, z ludźmi i żywymi istotami, klęczcie ze świadomością, że wszyscy trudzimy się, by zrozumieć i znaleźć swoje miejsce, lecz nie po to, by być ślepo posłuszni komukolwiek, nigdy. Czy możecie, moi młodzi uczniowie, coś dodać?

Nastąpiła chwila ciszy. Uczniowie spojrzeli na siebie.

– Lin, nasz nowy gościu – rzucił szybko Idriss. – Co powiesz?

Myślałem o strażnikach, którzy bili więźniów.

– Wystarczające posłuszeństwo pozwala ludziom robić z innymi niemal wszystko.

– Podoba mi się ta odpowiedź! – oznajmił Idriss.

Pochwała człowieka mądrego to najsłodsze wino. Poczułem w sobie jej ciepło.

– Posłuszeństwo jest zabójcą sumienia – wyjaśnił Idriss cicho – i dlatego wymaga go każda funkcjonująca instytucja.

– Ale chyba musimy być czemuś posłuszni? – spytał pars.

– Tak, posłuszni prawom kraju, Zubinie – odparł Idriss – z wyjątkiem tych sytuacji, kiedy prowadziłyby do niehonorowego zachowania. Bądźmy posłuszni złotym zasadom. Czyńmy innym tak, jak chcielibyśmy, żeby czyniono nam, i nie róbmy im tego, co nam niemiłe. Bądźmy posłuszni instynktowi, by uczyć się, tworzyć i kochać. Bądźmy posłuszni uniwersalnemu prawu świadomości, że wszystko, co myślimy, mówimy lub robimy, odnosi efekt większy niż zero, nawet jeśli to tylko efekt w nas samych, i dlatego musimy zminimalizować negatywne impulsy w tym, co myślimy i robimy, a zmaksymalizować pozytywy. Bądźmy posłuszni instynktowi wybaczania i dzielenia się z innymi. Bądźcie posłuszni swojej wierze. I swojemu sercu. Serce nigdy was nie okłamie.

Zamilkł i powiódł wzrokiem po zebranych. Wielu uczniów robiło notatki. Idriss uśmiechnął się, pokręcił głową i zaczął płakać.

Spojrzałem na Abdullaha. Czy on płacze? Abdullah przytaknął i wskazał głową uczniów. Kilku z nich także się rozkleiło. Po chwili Idriss przemówił przez łzy.

– Minęło tak wiele czasu, czternaście miliardów lat, żeby w tej części wszechświata

powstała świadomość zdolna do rozumienia i obliczenia, że trzeba było czternastu tysięcy miliardów lat, żeby dokonać obliczeń. Nie mamy prawa odrzucić tych czternastu miliardów lat. Nie mamy moralnego prawa zmarnować, zniszczyć ani zabić tej świadomości. I nie mamy prawa do rezygnacji z jej wolnej woli, najcenniejszej i najpiękniejszej rzeczy w całym wszechświecie. Mamy obowiązek uczyć się, studiować, zadawać pytania, być uczciwym, szczerym i pozytywnym. A nade wszystko mamy obowiązek, żeby do woli jednoczyć naszą świadomość z dowolną świadomością w powszechnej sprawie miłości.

Później słyszałem tę przemowę wiele razy z ust Idrissa i w zmodyfikowanej postaci z ust niektórych jego uczniów – i podobała mi się w każdej wersji. Lubiłem Idrissa jako myśliciela, ale to, co powiedział zaraz po przemowie, sprawiło, że polubiłem go jako człowieka.

– Poopowiadajmy sobie dowcipy – zaproponował. – Ja pierwszy. Przez cały dzień chciałem go odpowiedzieć. Dlaczego wyznawca buddyzmu zen trzyma w lodówce pustą butelkę po mleku? Ktoś wie? Nie? Poddajecie się? Dla gości pijących herbatę bez mleka!

Idriss i jego uczniowie parsknęli śmiechem. Abdullah śmiał się głośno, radośnie i swobodnie, co nie zdarzyło mu się przez lata naszej znajomości. Zapamiętałem ten śmiech i przechowałem go w sercu. I pokochałem Idrissa prostą, zwyczajną miłością za to, że wyzwolił radość w moim surowym przyjacielu.

– Dobrze, dobrze, teraz ja! – rzucił Ardżun z ożywieniem, wstając.

Uczniowie kolejno opowiadali żarty. Ja wyszedłem, slalomem wymijając ich rzędy. Podszedłem do Karli na skraju płaskowyżu.

Spisywała wykład Idrissa, ale nie w notesie. Pisała na lewej dłoni. Długie zdania wiły się po jej skórze, wzdłuż każdego palca aż po paznokieć i zawracając do kostki, potem między palcami i znowu wzdłuż palca.

Słowa docierały na wewnętrzną stronę dłoni. Cała dłoń z palcami okryła się tatuażem słów jak dekoracjami z henny na dłoniach bombajskiej narzeczonej. Nigdy w życiu nie widziałem nic bardziej seksownego – jestem pisarzem. W końcu znalazłem w sobie siłę, by przenieść spojrzenie na las, nad którym już wisiał ciężki kożuch chmur.

– Więc to dlatego prosiłaś mnie o dowcip – powiedziałem.

– Taki ma styl – odparła, unosząc głowę i patrząc przed siebie. – Twierdzi, że jedną z nieomylnych cech fanatyka jest brak poczucia humoru. Dlatego rozśmiesza nas co najmniej raz dziennie.

– I ty to kupujesz?

– On niczego nie sprzedaje. Za to go lubię.

– No dobrze, to co o nim myślisz?

– Czy to ważne?

– Wszystko, co ciebie dotyczy, jest ważne.

Spojrzeliśmy na siebie. Nie wiedziałem, o czym myśli. Chciałem ją pocałować.

– Rozmawiałeś z Randżitem – powiedziała, marszcząc brwi.

Przestałem myśleć o pocałowaniu jej.

– Strasznie jest gadatliwy ten twój mąż.

– O czym mówił?

– O czym miałby ze mną mówić?

– Nie pogrywaj ze mną!

Mówiła cicho, ale i tak był to krzyk uwięzionego zwierzęcia.

Uspokoiła się.

– Co dokładnie ci powiedział?

– Niech zgadnę – wymamrotałem. – Ty i Randżit robicie to ludziom dla zabawy, tak?

Uśmiechnęła się.

– Randżit i ja mamy układ, ale nie we wszystkim.

Ja też się uśmiechnąłem.

– Wiesz co – powiedziałem. – Do diabła z Randżitem.

– Zgodziłabym się z tobą, gdybym nie sądziła, że pewnego dnia mogę się tam z nim spotkać.

Spojrzała na chmury kłębiące się nad dalekim miastem i na mgiełkę pierwszego deszczu drżącą na skraju lasu.

Czułem się zagubiony, ale zwykle czułem się zagubiony, rozmawiając z Karlą. Nie wiedziałem, czy zdradza mi jakąś intymną tajemnicę o sobie i Randżicie, czy mówi o nas. Jeśli chodziło o Randżita, nie chciałem wiedzieć.

– Wielka burza – zauważyłem.

Zerknęła na mnie.

– To przeze mnie, prawda?

– Co przez ciebie?

Pokręciła głową, a potem znowu przeszyła mnie wzrokiem. Tylko jej zielone oczy

zachowały kolor w poszarzałym świecie.

– Przeze mnie Randżit przyszedł z tobą porozmawiać – powiedziała nagle wprost, bez zagadek. – Martwi się o mnie, wiem. Ale tak naprawdę to on potrzebuje pomocy, nie ja. To on jest zagrożony.

Spojrzała mi w oczy, starając się odczytać moje myśli. Ja widziałem w jej oczach czysty i szczery niepokój o męża. Jakoś zabolało mnie to bardziej niż cios Concannona.

– Czego ty chcesz?

Zmarszczyła brwi, spuściła wzrok, a potem znowu go podniosła.

– Chcę, żebyś mu pomógł – powiedziała, niemal jakby przyznawała się do winy. – Chciałabym, żeby pożył jeszcze parę miesięcy, a to nie jest takie pewne.

– Parę *miesięcy?*

– Lepiej lat, ale parę miesięcy gra tu najważniejszą rolę.

– Najważniejszą dla czego?

Spojrzała na mnie, zastanawiając się nad możliwymi reakcjami, zanim wybrała uśmiech.

– Dla spokoju mojego umysłu – powiedziała, niczego nie mówiąc.

– To duży chłopiec, z dużym kontem bankowym.

– Mówię poważnie.

Przez chwilę patrzyłem na nią, potem uśmiechnąłem się, zaśmiałem cicho.

– Niezły z ciebie numer. Naprawdę niezły.

– Jak to?

– Cały ten wysiłek, to, jak spytałaś mnie rano, czy przyszedłem tutaj z twojego powodu, wszystko tylko po to, żeby odwrócić kota ogonem, bo to ty przyszłaś tu, żeby prosić mnie o pomoc dla Randżita.

– Myślisz, że cię okłamuję?

– Mówienie, że Randżit powinien przeżyć jeszcze parę miesięcy, to to samo co mówienie, że za parę miesięcy będzie martwy. Uroczo.

– Myślisz, że tobą manipuluję?

– Nie byłby to pierwszy raz.

– To nie…

– Nieważne – powiedziałem bez uśmiechu. – To nigdy nie było ważne. Kocham cię.

Usiłowała coś powiedzieć, ale położyłem jej palce na wargach.

– Rozpytam się o Randżita.

Pomruk grzmotu zagłuszył jej odpowiedź; ten pomruk przeszedł w huk, od którego zadrżały drzewa.

– Muszę się zbierać – powiedziałem – jeśli mam dotrzeć do miasta przed tą burzą. Chcę sprawdzić, czy Lisa jest cała i zdrowa.

Odwróciłem się, ale chwyciła mnie za przegub. To była ta ręka z koronkowym tatuażem słów.

– Zabierz mnie ze sobą.

Zawahałem się. Mój instynkt się ocknął.

– Tylko tyle. Zabierz mnie ze sobą do miasta.

– Dobrze. Dobrze.

Wzięliśmy nasze rzeczy i pożegnaliśmy się z uczniami. Zauważyłem, że lubią Karlę. Wszyscy lubili Karlę, nawet jeśli nie chcieli jej zrozumieć.

Na skraju płaskowyżu podeszli do nas Idriss i Silvano, żeby się pożegnać. Silvano nadal trzymał strzelbę na ramieniu.

– Bez urazy – powiedziałem, podając mu rękę.

Splunął na ziemię.

Miło, pomyślałem. No dobrze, bądź ponad to.

– Twoje imię, Silvano, oznacza las.

– I co z tego? – spytał, wysuwając szczękę.

– Wiem to – dodałem z uśmiechem – bo jeden mój włoski przyjaciel zmienił imię z Silvano na Forest{2}. I pamiętam, jak pomyślałem, że to piękne imię w obu językach.

– Co?

– Mówię tylko, że mam przyjaciela, który też nazywał się Silvano i że go bardzo lubię. Przepraszam, że źle zaczęliśmy. Mam nadzieję, że przyjmiesz moje przeprosiny.

– A tak, oczywiście – zgodził się szybko, wyciągając rękę do uścisku.

Tym razem nie siłowaliśmy się, a młody Włoch uśmiechnął się do mnie po raz pierwszy.

– Mówisz po włosku? – spytał.

– Jeśli trzeba, mogę przeklinać.

Idriss parsknął śmiechem.

– Musisz wrócić! – rzucił z mocą. – Żeby posłuchać mojej skromnej pogadanki o

naturze zwierząt i ludzi. Będzie zabawa jak bum-cyk! Może nawet jak bum-cyk-cyk!

Z chmur wystrzeliła błyskawica jak atakująca kobra. Przez chwilę twarz i ciało nauczyciela oblało błękitnosrebrne światło.

– Chciałbym – powiedziałem, gdy zgasło. – Przyprowadzę moją zwierzęcą naturę.

– Zawsze będziesz tu mile widziany.

Abdullah, Karla i ja ruszyliśmy w dół, przytrzymując się czasem siebie nawzajem, żeby nie upaść na śliskiej ścieżce.

Na żwirowanym parkingu Abdullah wyjął telefon. Czekając, aż skończy rozmawiać, spojrzałem na ponure niebo.

– Chyba nie zdążymy przed burzą. Może nas złapać w drodze.

– Jeśli szczęście nam dopisze – zgodziła się Karla. – Kurczę, sytuacja z Silvanem zmieniła się w mgnieniu oka.

– Silvano jest w porządku. To była moja wina. Mam za dużo na głowie.

– Lin, kurwa, czemu to robisz?

– Co?

– Robisz aluzje do tego, o czym myślisz, ale nigdy tego nie zdradzasz.

– Jestem jak otwarta księga – zaprotestowałem, ale znowu miała rację, i wiedziałem o tym.

Chciałem jej powiedzieć. Wszystko wywróciło się do góry nogami. Lisa i ja byliśmy zgubieni. Randżit prowokował ataki bombowe. Ja opuściłem firmę Sanjaya. Zaczęła się wojna między gangami i w ich łonie, a jedyne bezpieczne miejsce w mieście znajdowało się poza miastem.

– Powinnaś na jakiś czas wyjechać z miasta. Ja też.

– Na razie nie ma opcji – rzuciła ze śmiechem i poszła do sklepiku, żeby porozmawiać z ekspedientem.

Wrócił Abdullah.

– Sanjay wszystkich opłacił – powiedział cicho, pochylając się do mojego ucha. – Nie będzie kłopotów. Ale tego się spodziewałem. Muszę jechać na północ do braci z Delhi. Zostanę co najmniej tydzień. Wyruszam już dziś wieczorem.

– Tydzień?

– Ani dnia mniej.

– Jadę z tobą. W Delhi masz wrogów.

– Mam wrogów wszędzie – powiedział cicho, spuszczając oczy. – I przyjaciół. Nie

możesz ze mną pojechać. Ty wybierzesz się na Sri Lankę i dokończysz misję, dopóki sprawa strzelaniny przed Leopoldem nie zostanie rozwiązana.

– Zwolnij, bracie. Odchodzę z firmy Sanjaya, pamiętasz?

– Powiedziałem Sanjayowi, że chcesz odejść.

– Chciałem, żeby usłyszał to ode mnie – rzuciłem, powstrzymując gniew.

– Wiem, wiem. Ale muszę dziś wyjechać do Delhi. Nie byłoby mnie przy tobie, gdy oznajmiłbyś to Sanjayowi, a to by było dla ciebie zbyt niebezpieczne. Postanowiłem zrobić to teraz, żeby wywnioskować z jego reakcji, czy coś ci grozi.

– I grozi?

– Tak i nie. Był zaskoczony, bardzo rozgniewany, ale potem uspokoił się i powiedział, że jeśli zakończysz tę ostatnią misję dla firmy, pozwoli ci odejść. Co sądzisz?

– Powiedział tylko tyle?

– I że gdybyś miał tu jakichś krewnych, już by nie żyli.

– I?

– I że z radością wyrzuci cię na bruk, kiedy wykonasz misję.

– To wszystko?

– Z wyjątkiem przekleństw. Ten człowiek ma plugawe usta i umrze, przeklinając, *Inszallah*.

– Kiedy mam wyjechać?

– Jutro rano – wyjaśnił z westchnieniem. – Pojedziesz pociągiem do Madrasu. Potem wejdziesz na pokład statku towarowego do Trikunamalai. Ludzie firmy spotkają się z tobą jutro rano o siódmej na dworcu kolejowym. Będą mieli wszystkie twoje bilety i instrukcje.

Sri Lanka, statek towarowy, instrukcje. Nabrałem powietrza w płuca i powoli je wypuściłem.

– Sri Lanka?

– Dałeś słowo, że to zrobisz.

– I żałuję tego.

– Po tej misji będziesz wolny. To czyste zerwanie. Postąpisz mądrze, jeśli się zgodzisz. Nie zdołam usunąć Sanjaya jeszcze przez jakiś czas, a tak będziesz bezpieczny.

– Dobrze. Dobrze. Dobrze, *Inszallah*. Jedźmy.

– Czekaj – rzucił i znowu się pochylił. – Przez następne tygodnie musisz bardzo uważać, bracie.

– Znasz mnie – odparłem z uśmiechem.

– Znam – potwierdził z powagą. – I znam demona, który w tobie siedzi.

– Ach tak?

– W każdym z nas mieszkają demony. Niektóre nie chcą nam zrobić krzywdy. Chcą po prostu z nami być. Niektóre pragną czegoś więcej: pożreć duszę, która je więzi.

– Wiesz co, chyba nie orientuję się w demonologii tak dobrze jak ty.

Abdullah przyglądał mi się przez chwilę. W jego bursztynowych oczach wirowały liście niesione wiatrem troski.

– Hej, nie martw się… – zacząłem, ale mi przerwał.

– Słyszałem, jak mówisz, że nie ma dobrych i złych ludzi. Że to nasze czyny są dobre lub złe, nie my.

– To Kadirbaj tak mówił – odparłem, odwracając wzrok.

– Bo usłyszał to od Idrissa – rzucił szybko Abdullah. Znowu na niego spojrzałem. – Wszystkie mądre słowa Kadirbaja padły z ust Idrissa. Ale w tym nie zgadzam się z Idrissem, Kadirbajem ani tobą. Na tym świecie istnieją źli ludzie. I ostatecznie jest na nich tylko jeden sposób.

Uruchomił motocykl i odjechał powoli, wiedząc, że go dogonię.

Karla podeszła do mnie. Kopnąłem starter, ona usiadła za mną. Te perfumy: cynamon i czysty *oud*. Przez jedną atłasową sekundę jej włosy musnęły mój kark.

Warknął obudzony silnik. Karla przytuliła się do mnie, jedną rękę trzymając na moim prawym ramieniu, drugą przełożywszy mi pod pachą tak, że jej dłoń z tatuażem słów spoczęła mi na piersi.

Zagrała we mnie muzyka. Dom. Dom to serce, które jest ci pisane kochać.

Jechaliśmy łagodnie falującą drogą, a cień góry, który doprowadził do naszego spotkania, zniknął w złożonych modlitewnie rękach drzew. W pewnej chwili musiałem mocno zahamować, żeby ominąć leżącą na ziemi gałąź. Karla zderzyła się lekko z moimi plecami i przywarła do mnie mocniej. Nie wiedziałem już, gdzie kończy się jej, a zaczyna moje ciało. Nie chciałem wiedzieć.

Rozpędziłem motocykl, by pokonać stromy wjazd na następne wzgórze. Karla napięła mięśnie, mocno we mnie wczepiona. W najlepszym z możliwych momentów jej dłonie i palce wśliznęły się po moich żebrach na serce i tam znieruchomiały, gdy

wspinaliśmy się nad ostatnie leśne sklepienie.

Dotarliśmy na dużą jezdnię. Włączyłem się w szybki ruch niezdarnie, ogłuszony miłością. Dobrotliwy wiatr zgarnął jej włosy na moją szyję. Karla tuliła się do mnie z ręką jak rozgwiazda na mojej piersi i jechaliśmy do domu autostradą wijącą się jak ogon płaszczki ogończy, przez plamy światła płynącego z pożądania i umierającego na billboardach.

# 30

– To było długie pożegnanie – powiedziała Karla, patrząc, jak Abdullah odjeżdża z parkingu przez hotelem Mahesh.

– Bo droga była długa – odparłem.

– Tak, ale Abdullah, który okazuje emocje? Tego się nie widuje na co dzień.

– Co mogę ci powiedzieć?

– Możesz mi powiedzieć to, czego mi nie mówisz.

„Za pieniądze Chalida można kupić dużo broni", szepnął mi Abdullah na pożegnanie. Raczej średni wybuch emocji.

– To skomplikowane – oznajmiłem.

– Dalej nic mi nie mówisz.

Ciągle siedziała za mną na motocyklu. W jednej ręce trzymała torbę, którą Abdullah przewiózł na swoim motocyklu, drugą położyła na moim biodrze. Przynajmniej raz to, co z drugiej ręki, okazało się dobre.

– Wiesz – powiedziałem radośnie – podoba mi się to.

– Nadal nic mi nie mówisz.

– Ale naprawdę mi się to podoba.

– Co?

– Że tu siedzę na motocyklu i tak sobie z tobą rozmawiam.

– To nie rozmowa.

– Zasadniczo tak.

– Fakt, że czegoś mi nie mówisz, oznacza, że to nie jest rozmowa, ani zasadniczo, ani wcale.

– Może to rozmowa na odwrót.

– To krok wstecz.

Zapadła cisza. Przestrzeń między nami była czysta i pachniała wolnością. Burza przeminęła, a świeży monsunowy wiatr ochładzał wybrzeże za naszymi plecami.

– Wiesz, muszę powiedzieć, że to naprawdę cholernie miłe tak z tobą rozmawiać.

– Ponieważ musisz, czy motocykl musi brać udział w tej rozmowie?

Wyłączyłem silnik.

– No, to co ci się tak bardzo podoba? – spytała. – Że siedzimy tak blisko czy że nie widzę twojej twarzy?

– Że nie widzę twojej twarzy. I… że siedzimy tak blisko.

– Tak myślałam. E, zaraz. Problemem jest moja twarz?

– Konkretnie twoje oczy – mruknąłem, patrząc na ludzi, samochody i ciągnięte przez konie wozy przejeżdżające przed hotelem.

– Oczy, tak?

Czułem jej głos wszędzie tam, gdzie jej ciało dotykało mojego.

– Jeśli nie widzę twoich oczu, to gramy w szachy, a ty właśnie straciłaś królową.

– Ach tak?

– Ach tak.

– I jestem bezbronna i bezsilna?

– Nie bezbronna. Ale zdecydowanie wyczuwam tu jakieś „bez”.

– Bez?

– Przeciwieństwo „z”.

– I to cię kręci?

– Trochę.

– Bo lubisz kobiety czegoś pozbawione?

– Oczywiście, że nie. Ponieważ patrzenie na ciebie jest jak gra w szachy, ja mam jedną królową, a ty cztery, osiem, szesnaście…

– Mam szesnaście królowych?

– O, tak. Zielonych. Szesnaście zielonych królowych. I siedząc na motorze, nie widzę ich, co mi się bardzo podoba. To uwalniające.

Nastąpiła chwila ciszy. Nie trwała długo.

– Na tym polega powab naszej motocyklowej rozmowy?

– To prosty fakt. W dodatku niedawno odkryty. Na razie siedzimy tu, a twoje królowe są zamknięte w pudełku, co mi się niezwykle podoba.

– Jesteś porąbany, wiesz o tym?

– O, tak.

– Moje oczy nie mają znaczenia – powiedziała po chwili z pewnym zdziwieniem w

głosie.

– No cóż, twoje oczy – i ukryte za nimi serce – znaczą dla mnie wszystko. Zastanowiła się nad tym. Chyba.

– Nie, moja wola znaczy wszystko.

Powtórzyła to ostatnie słowo, jakby wypierała je ze swojego ciała.

– Wszystko.

– W temacie wolnej woli zgadzam się z tobą i Idrissem, ale interesuje mnie kierunek, który przyjmuje.

Oparła przedramiona na moich plecach.

– Czy w więzieniu – spytała powoli – straciłeś wolną wolę?

– Czy przykucie do ściany i skopanie do nieprzytomności się liczy?

– Może. Ale kiedy to się działo, czy straciłeś wolną wolę? Czy ci ją odebrali?

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. Znowu nie rozumiałem, dokąd zmierza ta rozmowa i czy mi się spodoba miejsce, do którego nas zaprowadzi. Na jej wielkie pytanie mogłem dać tylko małą odpowiedź.

– Tak. Można tak powiedzieć. Na jakiś czas.

– Mnie też odebrano wolną wolę – powiedziała. – Prędzej zabiję, niż znowu do tego dopuszczę. Człowieka, który mi to zrobił, zabiłam, żeby nie przytrafiło się to komuś innemu. Nigdy więcej nie pozwolę odebrać sobie wolnej woli.

Krzyk buntownika: żywcem mnie nie weźmiecie.

– Kocham cię, Karla.

Nie odpowiedziała. Nawet jej oddech był bezgłośny.

– Wystraszyłem cię? – spytałem po chwili, spoglądając na ruchliwą ulicę.

– Skąd. Szczerość to mój jedyny nałóg.

Odsunęła się ode mnie, oparta na rękach, i znowu zamilkła.

– Ta motorozmowa jest super – odezwałem się po jakimś czasie. – Musisz przyznać.

– W takim razie staraj się ją kultywować. Tu z tyłu jest jałowa pustynia.

– Dobrze. Proszę bardzo. Na górze mówiłaś o Randżicie. Wtedy niewiele ci powiedziałem, ale teraz, skoro sobie tak motogadamy, mam pytanie. Dlaczego Randżit, który musi zachować życie przez parę miesięcy, nie wyprzeda majątku i nie zabierze cię daleko stąd?

– Mówił ci o bombie, prawda?

– A co powiedział tobie?

– Że kazałeś mu zwolnić szofera. Nawiasem mówiąc, miałeś rację. Gość był spod ciemnej gwiazdy.

– Randżit tak usilnie prosił, żebym ci nie mówił, a potem wrócił do domu i wszystko wypaplał.

– To polityk. Polityka to kłamstwo. I sztuka rozpoznania innego kłamcy.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Dlaczego nie zabrał pieniędzy i nie prysnął? To bogacz.

Roześmiała się, zaskakując mnie, bo nie mogłem spojrzeć jej w oczy – a także dlatego, że nie sądziłem, bym powiedział coś śmiesznego.

– Nie umiesz uciec przed grą, Lin.

– Podoba mi się ta rozmowa. O czym mówimy?

– Nieważne, gdzie – powiedziała, pochylając się tak blisko, że poczułem jej oddech na karku. – Nieważne jak, kiedy znajdziesz grę, która cię wciągnie, nie potrafisz odpuścić. Mam rację?

– Mówimy o Randżicie czy Karli?

– Oboje jesteśmy graczami.

– Ja nie lubię gier. Wiesz o tym.

– Niektóre są warte gry.

– Jak zostanie królem Bombaju?

Poczułem jej napięcie, gdy znowu się odsunęła.

– Skąd wiesz?

– Jest ambitny. To widać. Ma wrogów.

Milczała przez chwilę i nie miałem pojęcia, co myśli. Motorozmowa miała swoje minusy.

– Randżit to imitacja dobrego człowieka – powiedziała Karla – wśród autentycznie złych ludzi.

– Imitacja dobrego człowieka? To zwykle one psują opinię autentycznie złym ludziom.

– Źli ludzie sami się do tego przykładają – odparła, śmiejąc się cicho.

– Po co ci te gry? Wycofaj się.

– Gram, bo jestem w tym dobra. Gram dobrze.

– Wycofaj się. Jeśli Randżit jest tak zdeterminowany, żeby wejść do polityki, to ty musisz odejść.

– Chodzi o Randżita i mnie czy o ciebie i mnie?

– O ciebie. Gdybyśmy nie motorozmawiali, pewnie nie potrafiłbym ci tego powiedzieć. Nie w oczy. Nie podoba mi się to, co się tu dzieje. Randżit nie ma prawa cię narażać. Żadne ambicje nie są tego warte.

– Chyba kupię motor – powiedziała, znowu się o mnie opierając i uśmiechając się w moje plecy. – Nauczysz mnie jeździć.

– Mówię serio. On stąpa po kruchym lodzie. Prędzej czy później ten lód pęknie.

– Dlaczego o tym rozmawiamy?

– Dlatego: Randżit może się wdawać w politykę, a ja mogę poprosić przyjaciół, żeby na niego uważali, ale nie musisz być żoną Randżita *tutaj*. Możesz nią być daleko stąd. Na przykład w Londynie.

– W Londynie?

– Mnóstwo hinduskich żon uciekło do Londynu.

– Ale ja jestem bombajską dziewczyną, *yaar*. Co ja bym robiła w Londynie?

– Jesteś też Amerykanką i Szwajcarką. I znasz wiele innych ładnych krajów. Mogłabyś urządzić Randżitowi dom w Londynie – za jego pieniądze – i mieć nadzieję, że będzie cię rzadko odwiedzać. Zrób to ze stylem. Z bombajskim stylem. Ale zrób to, żebyś mogła odejść i nigdy nie wrócić.

– A ja ciągle pytam, co bym tam robiła?

– Nie rzucałabyś się w oczy. Za to, co by ci zostało, mogłabyś zarabiać na siebie, aż przestaniesz potrzebować cudzych pieniędzy.

– Ach tak…?

– Tak. Tak wiele osób marzy o bogactwie, ponieważ chcą być wolni. Wolność oznacza, że nie potrzebujesz cudzych pieniędzy.

– Więc to tak działa? – rzuciła ze śmiechem.

– Może trochę ograniczysz swój styl życia, coś zaoszczędzisz i sama wpłacisz pierwszą ratę za dom. Jesteś mądra. Ani się obejrzysz, a będziesz miała pięć domów.

– Mam ograniczyć swój styl życia?

– Nic o nim nie wiem. Ale czymkolwiek się zajmiesz w Londynie czy gdzie indziej, będziesz bezpieczniejsza niż tutaj, z Randżitem. Ktoś go zaatakuje, i to gwałtownie, bo Randżit nie chce siedzieć cicho, a jego polityczne ambicje denerwują ludzi. Cholera,

sam mam ochotę mu przywalić, a prawie go nie znam.

– Wszedł do gry, bo nie siedzi cicho. To jego wpisowe. Jeśli wygra, jego twarz znajdzie się na plakacie partii, którą sam sobie wybierze. I wygra w wyborach. Jestem tego pewna. Poza tym, dlaczego miałby siedzieć cicho, skoro ma rację?

– Dlatego, że cię naraża.

– Coś ci powiem na temat bezpieczeństwa – szepnęła z twarzą na moich plecach. – Bezpieczeństwo to jaskinia, przyjemna, ciepła jaskinia, ale przygoda jest tam, gdzie jest jasno.

– Karla – rzuciłem, starając się nie poruszać. – Nie masz pojęcia, jak super się tego słucha, nie patrząc na ciebie.

– Ale z ciebie osioł – mruknęła w bezruchu.

– Nie, serio. Jest normalnie świetnie. I słucham cię. Słyszę każde słowo. Według mnie – ale kimże ja jestem – właściwa kobieta to wszystko, czego trzeba. Jeśli facet chce jeszcze całego miasta, to coś z nim nie tak.

– Postąpił bardziej bez sensu niż ty, w twoim pojęciu sensowności? – spytała ze śmiechem.

– Nie możesz wrócić do domu – powiedziałem twardo, zaciskając palce na kierownicy – bo nie wiesz, co cię czeka. I nie możesz tu zostać, bo wiesz, co cię czeka.

Byłem zadowolony, że nie widziała mojej twarzy i że się nie odsunęła.

– Słuchaj, prawdopodobnie jesteś na liście najbardziej poszukiwanych osób. A ja jestem zdecydowanie najbardziej poszukiwany. Jesteśmy, kim jesteśmy i dlatego nie dla nas role publiczne. Jeśli to się zawali, a oni będą szukać kozła ofiarnego, bardzo źle na tym wyjdziemy.

– Nic mi się nie stanie – wymamrotała. – Wszystko pod kontrolą.

– Nie chcę myśleć, że mogłoby ci się coś stać. A mogłoby, przez Randżita. Dużo. Nie lubię go za to. Ten facet pcha się w gips. Zlituj się. Wyślij mi pocztówkę z Londynu i daj mi trochę spokoju ducha.

– Litość – powiedziała cicho. – Moja ulubiona nieistotna cnota. Chyba już raz odbyliśmy tę motorozmowę.

– Miałem rację, nie? Jest super.

– Jest w porządku – mruknęła. – Czy teraz moja kolej?

– Twoja kolej?

– Na motorozmowę?

– Tak.

– Jasne, rozmawiaj – powiedziałem bez wahania, nie uważając, czego sobie życzę.

Przytuliła się bliżej, zbliżywszy usta do mojego ucha.

– Gotowy?

– Na co?

– Nie chcesz się napić kawy, zapalić jointa?

– Nic mi nie trzeba.

– Dobrze. Pozwól, że zrobię dramatyczną pauzę.

– Ale…

– Cicho! Psujesz pauzę.

Zapadła dramatyczna pauza.

– Ta… naprawdę… kurewsko… transcendentna podróż do domu – odezwała się w końcu, szemrząc w moją skórę – była rozdarciem czasu i przestrzeni, skarbie. Gdy wrzuciłeś bieg i wdarłeś się między autobus i cysternę z wodą, dusza opuściła moje ciało. Gdy w ostatniej chwili zdążyliśmy w lukę między zbliżającymi się do siebie samochodami, jakiś glos w mojej głowie powtarzał przez całą drogę do domu: o, tak… o, tak… o, tak… o Boże… o Boże…

Umilkła i moje serce także umilkło.

– Jak mi idzie, Shantaram, bez moich królowych?

Doskonale. Szło jej doskonale. Odwróciłem się na siodełku tak, żeby zobaczyć skrawek jej twarzy.

– Myślałem, że nie wierzysz w Boga – zauważyłem z uśmiechem.

– Kimże jesteśmy, by wierzyć w Boga? – spytała, z wargami o włos od mojej twarzy. – Wystarczy, że Bóg wierzy w nas.

Mogliśmy się pocałować. Powinniśmy się pocałować.

– Myślę, że muszę porozmawiać z Lisą – powiedziałem. Słowa kaleczyły mnie w gardło. – Myślisz, że ty musisz porozmawiać z Randżitem?

Cofnęła się powoli, aż jej twarz znalazła się w cieniu. Znowu się odwróciłem i spojrzałem przed siebie. Nie odezwała się, więc to ja przerwałem milczenie.

– Muszę z nią porozmawiać.

– Możesz to zrobić tutaj – szepnęła.

– Jak to?

– Lisa jest tutaj, w hotelu. Bliźniak i Skorpion wyprawiają imprezę w apartamencie. Wynajęli całe piętro. Dziś oficjalna parapetówka. Dlatego poprosiłam, żebyś mnie tu podwiózł.

– Ale… dlaczego nie wspomniałaś o tym wcześniej?

– Dlaczego o tym nie wiedziałeś?

To było dobre pytanie, na które nie umiałem odpowiedzieć.

– Idziesz? – spytałem, nadal wpatrując się przed siebie.

– Chciałam cię spytać, czy mnie odprowadzisz.

– Randżita tam nie ma?

– Randżit jest dziś zajęty. Comiesięczne spotkanie z radą miejską. Didier już dawno zgodził się odprowadzić mnie do domu i wypić ze mną drinka. Ale wolę, żebyś to był ty. Masz ochotę?

Chciałem się spotkać z Lisą i przekonać się, że jest bezpieczna. Chciałem porozmawiać z Didierem o konsekwencjach strzelaniny przed Leopoldem, dobre powody. Ale bałem się spędzić więcej czasu z Karlą. Nie widziałem jej od dwóch lat, ale była mi podczas tej drogi powrotnej do Miasta Wysp tak bliska, jak skrzydła na moich plecach. No, i to była Karla, więc nic nie było łatwe. Chciała, żeby jej mąż żył co najmniej parę miesięcy; zimnokrwista decyzja, ale nie obchodziło mnie to. Została zraniona i zraniła w odwecie, ale wiedziałem, że nie ma w niej nic złego, tak jak wiedziałem, że nie skrzywdziłaby Randżita ani nikogo innego bez przyczyny. Była zbyt silna dla świata, który znała, i kochałem ją za to. Wydawało mi się, że jeśli znowu na nią spojrzę, nie znajdę odwagi, by odejść.

– Będę zaszczycony, mogąc cię odprowadzić na imprezę – oznajmiłem, wpatrzony przed siebie.

– Będę zaszczycona, towarzysząc ci, Shantaram. Idźmy. Chcę sprawdzić, czy prowadzisz w tańcu tak, jak prowadzisz motocykl, czy też odwrotnie.

# 31

Zaparkowałem motocykl pod markizą nad wejściem do hotelu, a kiedy się odwróciłem, szesnaście królowych spojrzało mi prosto w oczy. Zamarłem.

– Wszystko dobrze?

– Pewnie, bo co?

– Bo wyglądasz, jakby ktoś ci nadepnął na odcisk.

– Nie, nic mi nie jest.

– Na pewno?

– Jasne – powiedziałem, odwracając wzrok od szach-mata. – Wszystko gra.

– Dobrze, chodźmy na tę imprezę. Mnóstwo osób czeka, żeby nam nadepnąć na odcisk.

Przeszliśmy przez hol, znaleźliśmy windę i wcisnęliśmy guzik.

– Za każdym razem, gdy drzwi windy się za mną zamykają – powiedziała Karla, gdy drzwi się zamknęły – mam ochotę się napić.

Drzwi się otworzyły, ukazując pijące towarzystwo, już teraz hałaśliwie wesołe. Goście wysypali się z zatłoczonego apartamentu na korytarz, gdzie usiedli w grupkach bądź też snuli się tam i z powrotem, śmiejąc się i pokrzykując.

Przedarliśmy się do George a Bliźniaka, tańczącego z Didierem przy muzyce tak głośnej, że zagłuszała krzyk. Didier miał na głowie obrus i trzymał jego kraniec w zębach jak kobieta w zasłonie na twarzy.

– Lin! Karla! Ratunku! Patrzę na tańczącego Anglika. Cierpię!

– Francuska menda! – odkrzyknął Bliźniak, śmiejąc się beztrosko.

Przeżywał, całkiem dosłownie, najlepsze chwile swojego życia.

– Chodź, Lin! Karla! Zatańcz ze mną! – zawołał Didier.

– Szukam Lisy! – odkrzyknąłem. – Widziałeś ją?

– Ostatnio… nie – odparł Didier, rzucając mi pytające spojrzenie. Zerknął na Karlę, a potem znowu na mnie. – To znaczy… nie… ostatnio.

Karla pocałowała go w policzek. Ja pocałowałem go w drugi.

– Hej! Ja też chcę! – wrzasnął Bliźniak, podsuwając policzek Karli, która posłusznie go pocałowała.

– Tak się cieszę, że was widzę! – zawołał Didier.

– Wzajemnie! Masz chwilę?

– Pewnie.

Zostawiłem Karlę z Bliźniakiem i wyszedłem z Didierem na korytarz.

Przeprawiliśmy się przez grupy palących, pijących i śmiejących się ludzi na wyspę pustej wykładziny.

Didier otworzył kluczem drzwi jednego z pobliskich apartamentów i zaprosił mnie do środka.

– Niektórzy z tych imprezowiczów nie znają granic – westchnął, zamykając za sobą drzwi i przekręcając w nich klucz.

Główne pomieszczenie apartamentu było dobrze wyposażone, ale wyglądało na niezamieszkane. Na biurku stała taca: brandy i dwie szklanki. Didier wskazał butelkę.

– Nie, dziękuję. Ale wypalę z tobą jointa, jeśli masz.

– Lin! – rzucił Didier z oburzeniem. – Kiedyż to Didier nie miał jointa?

Nalał sobie odrobię brandy, wybrał smukłego blanta z polerowanej mosiężnej papierośnicy, zapalił i przekazał mnie. Gdy się zaciągnąłem, uniósł szklankę w toaście.

– Za przetrwane bitwy! – rzucił, pociągając łyk.

– Co u Lisy?

– Bardzo dobrze. Chyba jest szczęśliwa.

– Gdzie jest teraz?

– Jeszcze parę godzin temu mieszkała u mnie – wyjaśnił Didier, pijąc brandy. – Powiedziała, że wraca do twojego mieszkania.

– Było bardzo źle po moim wyjeździe z Abdullahem?

– No, na twoim miejscu przez jakiś czas nie pokazywałbym się w Leopoldzie, nawet z moimi wpływami.

Wróciłem myślami do bójki w restauracji, Concannona, bijącego ołowianym ciężarkiem powalonego sikhijskiego kierownika sali.

– Dhirendra mocno oberwał. To dobry człowiek. Co z nim?

– Dochodzi do siebie. Leopold nie jest taki sam bez niego, ale jakoś trzeba żyć.

– Ktoś jeszcze ucierpiał?

– Paru – przyznał z westchnieniem Didier.

– A co z glinami?

– Dilip Błyskawica zebrał wszystkich świadków, którzy mają pieniądze, również mnie, i nałożył na nas karę finansową.

– A ulica?

– Z tego, co wiem, nikt o tym nie mówi. Temat umarł. Gazety przestały o nim pisać po pierwszym dniu. Chyba… Karla wykorzystała swoje wpływy u Randżita, żeby ukręcić sprawie łeb, jak to mówią. A ci, którzy nie boją się firmy Sanjaya, drżą przed Skorpionami. W tej chwili panuje spokój, ale kosztował Sanjaya mnóstwo pieniędzy, to pewne. Wiele osób musiało nasikać na ten ogień.

– Przykro mi, że zostałeś w to wciągnięty. W dodatku w Leopoldzie. To święta ziemia!

– Nikt nie może wciągnąć Didiera! – prychnął Didier. – Nawet nieprzytomnego. Albo idzie z własnej woli, albo jest transportowany.

– Mimo to…

– Pewien mój amerykański znajomy mawiał w takich sytuacjach: to burdel, ale nie nasz. Tak, to burdel, ale narobił go Concannon. Pytanie tylko, co z tym zrobimy?

– Masz jakieś pomysły?

– Pierwszy z brzegu – zabić gada.

– Kocham cię, Didier.

– Ja ciebie też, Lin. To co, zabijemy go, tak?

– Nie, zdecydowanie nie. Jutro wyjeżdżam. Nie będzie mnie przez tydzień, może parę dni dłużej. Kiedy wrócę, jakoś wymyślimy, co zrobić. Musimy znaleźć sposób, który nie wymaga zabójstwa.

– Wśród środków zaradczych zabójstwo należy do najbardziej skutecznych. Wszystko inne to na tym etapie tylko blef.

– Chodzi o Concannona. Musi istnieć sposób, żeby dotrzeć do jego serca.

– Przez żebra – podsunął Didier. – Siekierą. Ale pewnie masz rację. Trzeba celować wyżej. Może w głowę?

– Rozmawiałem z nim. Słuchałem go. W więzieniu poznałem dziesiątki takich Concannonów. Nie twierdzę, że go lubię. Mówię, że gdyby urodził się w innych okolicznościach, byłby cudownym człowiekiem. Na swój sposób już jest cudowny. Musi istnieć jakiś sposób, żeby przemówić mu do serca i powstrzymać to wszystko.

– Mężczyźni tacy jak Concannon nigdy się nie zmieniają – oznajmił Didier z głośnym westchnieniem. – Oto bardzo prosty dowód. Czy zmieniłeś się po pójściu do więzienia? Czy zmieniłeś się, wstąpiwszy do firmy? W twoim prawdziwym ja, ukrytym głęboko w sobie? Czy nie jesteś człowiekiem, którym byłeś zawsze?

– Didier…

– Jesteś. Nie zmieniłeś się. Nie mogłeś, tak jak nie mogą się zmienić Concannonowie tego świata. Urodzili się, by krzywdzić i niszczyć, dopóki nie powstrzymają ich czas lub temperament. A teraz, gdy ten oto Concannon chce skrzywdzić i zniszczyć nas, najlepszą rzeczą, jaką możemy zrobić, jest zabicie go, wzięcie na siebie tego karmicznego ciężaru w nadziei, że czynimy dobrze, ocalając świat przed krzywdą, jaka spotkałaby go z ręki tego człowieka – i że ten dobry uczynek wystarczy, by dać naszym duszom lepszą inkarnację. Choć nie przychodzi mi do głowy lepsze wcielenie niż to, które widzisz przed sobą, więc prosiłbym tylko, by Didier wrócił jako Didier i by przeżył to życie dokładnie tak samo.

– Nic nie rób, dopóki nie wrócę, dobrze? Najpierw pogadamy, a potem zrobimy to, co trzeba, dobrze? A w międzyczasie czuwaj nad Lisą. Kiedy się z nią spotkam, spróbuję ją namówić, żeby na jakiś czas wyjechała do Goa… choć obaj ją znamy.

– Nie ma nadziei. – Didier wzruszył ramionami.

– Wiem…

– To chytra lisiczka, mój przyjacielu. I wie, czego chce i jak to dostać.

– Zaopiekuj się nią, dopóki nie wrócę. Jeśli będziesz potrzebować dodatkowej pary oczu, poproś Naveena, żeby poświęcił ci ten czas, którego mu nie zabierze Divya. Porozmawiam z nim… jeśli go znajdę.

– To jasne, że nie potrzebuję niczyjej pomocy, ale polubiłem Naveena – oznajmił Didier w zamyśleniu.

– Ja też go lubię. Dobra z was ekipa. A skoro o ekipach mowa, chciałbym po powrocie do ciebie dołączyć, jeśli nadal mnie chcesz.

– Lin… to znaczy… żeby razem pracować?

– Porozmawiamy jak wrócę.

– Ale… odchodzisz z firmy Sanjaya?

– Tak. Już odszedłem.

– Naprawdę? Sanjay cię puścił?

– Po tej misji daje mi swoje błogosławieństwo. Chyba nawet jest zadowolony, że

odchodzę.

– Nie boisz się z nim poróżnić? Istnieją tylko dwa rodzaje przywódców: tacy, którzy lubią prawdę, i tacy, którzy jej nienawidzą. Obawiam się, że Sanjay to nienawistnik.

– To prawda – przyznałem z uśmiechem.

– Bardzo się cieszę, że od niego odchodzisz. Jesteś zadowolony?

– Tak. Tylko uważaj na Lisę.

– Dobrze, dobrze, i zrobię to z przyjemnością.

– Wrócimy do innych?

– Tak! To wspaniałe wieści i trzeba je uczcić. Ale…

– Ale co?

– Ty i Karla.

– Co: „ja i Karla”? Nie ma mnie i Karli.

– Lin, rozmawiasz z Didierem. Żadne przelotne podejrzenie romansu nie ukryje się przed nim. Widziałem was razem. Wszystko wiem.

– Zapomnij o Karli.

– Zapomnę, jeśli ty zapomnisz – odparł z zatroskanym uśmiechem. – Cokolwiek zrobisz, jestem z tobą.

– Dzięki, bracie – powiedziałem, dzieląc z nim uścisk, który wtulił jego kędzierzawe włosy w moją twarz.

Wróciliśmy do Karli i Bliźniaka. Karla przeniosła wzrok z Bliźniaka na mnie i z powrotem z uśmiechem, w którym kropla politowania dodawała pikanterii czułości.

Dwie młode cudzoziemki, każda ze szklanką w ręku, zbliżyły się tanecznie do Didiera i Bliźniaka, którzy przyjęli drinki, nie przerywając tańca.

– Jesteś z kimś? – spytała jedna z dziewcząt.

– Jestem ze sobą – odparł Bliźniak. – Nie wiem, czy to się liczy. Jestem Bliźniak. A ty jak masz na imię?

– Hej! Ja też jestem spod znaku Bliźniąt!

– To świetnie. W takim razie zrozumiesz to – co jeden bliźniak mówi do drugiego?

– Co?

– Nic. Drugi bliźniak już poszedł.

Roześmiali się, trącając się i rozlewając wino.

Karla i ja przedzieraliśmy się przez tłum, krzycząc do przyjaciół, którzy krzyczeli do

nas, aż dotarliśmy do opustoszałego baru.

– Ładny bar – pochwaliła Karla, przywitawszy się z barmanem. – Darmowy, dobrze zaopatrzony i pusty.

– Miło mi – powiedział barman.

– Zastrzeliłabym trzech mężczyzn za kieliszek szampana – oznajmiła Karla z gestem szlachetnej ręki.

– Oczywiście – zgodził się barman. – A dla pana?

– Woda bez lodu. Jak leci?

– Ostatecznie istnieją tylko dwa pytania – zauważył barman, z nieprzeniknioną miną przygotowując drinki. – „Co zrobiłem?” i „Czego nie zrobiłem?”.

– Chyba że ostatnie pytanie brzmi: „Kto, do cholery, odłączył mi tlen?” – dodałem.

– Życie jest krótkie – oznajmił młody barman, odbijając butelkę pięścią. – Ale składa się z długich nocy.

– Dlatego na szczycie jest tak pusto – dodała Karla.

– Na szczycie jest pusto – odparł barman, napełniając jej kieliszek – bo na dole jest ścisk.

– Jak masz na imię? – spytała Karla ze śmiechem.

– Randall.

– Randallu, to jest Lin, ja jestem Karla, przyznaję ci rację w stu procentach. Skąd pochodzisz?

– Moi rodzice są z Goa – wyjaśnił barman, podając mi wodę – ale ja mieszkam tutaj.

– My też mieszkamy tutaj, dopóki będzie trwało to „tutaj” – powiedziałem. – Skąd te aforyzmy?

– To nie jest ciekawa historia.

– Może my to ocenimy? – spytała Karla.

– No, więc najpierw rozmawiałem – zaczął, myjąc szklankę. – Zadawałem pytania, na przykład: „Przyjechałeś w interesach?”; „Masz dzieci?”; „Dlaczego uważasz, że żona cię nie rozumie?”. Ale po jakimś czasie zacząłem zamieniać swoją stronę rozmowy na drobne okruchy prawdy. Barmani nigdy nie mogą powiedzieć więcej niż parę zdań. To zasada narracji. Nudzę was?

– Nie – powiedzieliśmy jednocześnie.

– No, więc już nie rozmawiam. Dziś zrobiłem wyjątek, bo kończę zmianę, no i

podobacie mi się. Spodobaliście mi się od pierwszego wejrzenia. A ja nigdy się nie mylę co do ludzi.

– A to sympatyczny talent – zauważyła Karla z uśmiechem. – Mów dalej o tych aforyzmach.

– Na ogół mocno przycinam drzewo rozmowy. Wygląda już jak bonsai. Całe z aforyzmów. I tak jest lepiej. Te małe okruchy prawdy są jak hasło. Gdy ludzie je słyszą, drzwi się otwierają.

– Randall… – Oczy Karli lśniły jak kolorowe szkło. – Jeśli kiedykolwiek zamilkniesz, nigdy więcej nie obrażę tego lokalu swoją obecnością. Następną kolejkę, jeśli łaska.

Randall nalał dwa kieliszki szampana i szklankę wody.

– Mój zmiennik jeszcze nie przyszedł, ale skończyłem zmianę jakieś pół godziny temu, więc chciałbym wypić z wami toast – oświadczył, podając Karli szampana, a mnie wodę. – Oby słowa nigdy was nie zawiodły.

– Nie mogę za to wypić, bo słowa nigdy nie zawodzą – rzuciła szybko Karla. – To pierwszy od dwóch lat toast, jaki wypiję z Shantaramem. Uważam, że to spotkanie wyreżyserowało przeznaczenie. Wypijmy za naszą trójkę.

Chciałem stuknąć szklanką o jej kieliszek, ale odsunęła go szybko.

– Nie! Spełnianie toastu wodą przynosi pecha.

– Daj spokój.

– Naprawdę.

– Żartujesz, prawda?

– To, że nie wierzysz w pecha, nie oznacza, iż możesz z nim zadzierać. Potrzeba ci go więcej?

– Tu mnie masz.

– Zawsze cię tu mam.

Przy barze pojawił się ktoś nowy, potrącił Karlę, która wpadła na mnie. Szkło brzęknęło o szkło.

– Jednak spełniliśmy ten toast – mruknąłem.

Przez chwilę patrzyła na mnie bardzo poważnie. Potem znowu się uśmiechnęła.

– Dobrze. Wznieś jeszcze jeden toast, ale nie pij wody. Wtedy będziemy bezpieczni.

– Za zielone oczy, oby nigdy im nic nie groziło!

– Za to na pewno wypiję – rzucił Randall, popijając szampana.

– Za zielone królowe – powiedziała Karla, uśmiechając się do mnie. Uniosła kieliszek, upiła mały łyk i przeszyła mnie spojrzeniem. To była idealna chwila, w której mógł nastąpić przełom i oboje o tym wiedzieliśmy.

– Lin! – zawołał Vinson, wpadając na mnie i klepiąc mnie w plecy dłonią o długich, silnych palcach. Towarzyszyła mu Rannveig. – Dobrze cię widzieć, stary!

Nadal wpatrywałem się w Karlę, a ona we mnie.

– Vinson – rzuciłem. W moim głosie zabrzmiała twarda, przykra nuta. – Chyba się nie znacie. To jest Karla. Karlo, to jest Stuart Vinson. A to Rannveig, jak ta rzecz na lotnisku.

– A niech to, Karla! – zawołał Vinson. – Cholernie się cieszę, że w końcu cię poznałem.

– To na nic – odpaliła Karla wprost.

– Nie…? – Vinson spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– Nie. Wszystko, co słyszałeś, jest nieaktualne.

– Nie… co?

– Zmieniłam się.

Vinson parsknął śmiechem.

– O, no, no. To się zdarza?

– W tej chwili – odparła Karla, nie spuszczając z niego oka. – Staraj się nadążyć.

Moje serce tańczyło jak pijane. Boże, kochałem ją. Nie było takiej drugiej. Karla odwróciła się do dziewczyny, Rannveig, i spytała ją, jak się czuje. Spojrzałem na Rannveig. Nie wyglądała dobrze.

– Nic jej nie jest! – zapewnił Vinson, obejmując dziewczynę.

Rannveig była blada i wyczerpana.

– Mówiłem jej – ciągnął Vinson. – Powiedziałem: słuchaj, wiele przeszłaś. Czas wyjść do ludzi, pośmiać się, rozumiesz. To podobno najlepszy lek.

Przytulił ją do siebie i nią potrząsnął. Jej ręce załopotały bezwładnie.

– Jak ci leci, dziecko? – spytałem.

Poderwała głowę. W jej błękitnych oczach zalśniły lodowe okruchy.

– Nie jestem dzieckiem! – warknęła.

– Spoko…

– Nie bierz tego do siebie – wtrąciła Karla. – To pisarz. Wydaje mu się, że jest

starszy od własnego dziadka.

– A to zabawne – rzucił Vinson ze śmiechem.

– A co do ciebie… – dodała Karla. – Wypuść tę dziewczynę, i to natychmiast.

Zaskoczony Vinson pozwolił sobie odebrać Rannveig.

– Randall – powiedziała Karla. – Wiem, że już skończyłeś zmianę, ale to nagły wypadek. Poproszę cię o najszlachetniejszy alkohol i najbardziej prymitywne żarty, ale już.

– Twój rozkaz jest moim życzeniem, pani – odparł Randall, manewrując kieliszkami tak szybko, że błyskały w jego dłoniach niczym węgorze.

– Coś podobnego – wymamrotał Vinson. – Ukradła moją dziewczynę.

– Ach, więc to twoja dziewczyna?

– No, stary… – Vinson odwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem. – Mówiłem ci, no nie? Wtedy, na posterunku? Mówiłem, że to ta jedyna. Szaleję na jej punkcie. Jest wyjątkowa, nie? Serce bije mi szybciej, gdy tylko na nią patrzę.

– Ona przeżyła katastrofę samolotu.

– Samolotu? Ale… jak?

– Wiesz, o co mi chodzi. Parę dni temu obudziła się z martwym chłopakiem w łóżku. To wielki pożar, który trzeba ugasić. Powoli, człowieku.

– No jasne, jasne. Ale… czekaj. Chyba nie myślisz, że wykorzystuję tę sytuację, co? Nie… nie jestem taki!

– Wiem.

– Nawet jej nie dotknąłem.

– Wiem.

– Nigdy bym tego nie zrobił.

– Wiem.

– Nie jestem taki – powtórzył z urazą.

Nagle ogarnęło mnie zmęczenie, to rozdrażnione zmęczenie, które reaguje złością na wszystko, co nie jest płaskie, białe i nie ma na końcu poduszki.

– Gdybym uważał cię za kogoś takiego, nie pozwoliłbym ci się do niej zbliżyć – ani do żadnej znanej mi dziewczyny.

Zjeżył się; młodzieńcza męskość kazała mu się wyprostować.

– Skoro uważasz, że dasz mi radę, to proszę.

– Nie mam czasu na takie bzdury, Vinson. Poznałem Rannveig przed tobą. I to ja wydostałem ją z więzienia, pamiętasz? To daje mi prawo, żeby ci radzić, żebyś za bardzo nie naciskał. Jeśli ci się to nie podoba i chcesz oberwać, za pięć minut będę na dole przy moim motocyklu.

Zmierzyliśmy się wzrokiem; jego duma zwarła się z moją irytacją. Mężczyźni. Lubiłem Vinsona, a on lubił mnie, a mimo to byliśmy gotowi się pobić.

– Kiedy ją poznałeś? – spytał po długiej pauzie.

– Przed tym dniem na posterunku.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– A dlaczego ona ci nie powiedziała? Może dlatego, że to nie twoja sprawa. Słuchaj. Spotkałem ją raz, na ulicy przed Leopoldem. Czekała, aż jej chłopak kupi towar. Spytaj ją o to.

– Dobrze, dobrze. Ale mnie na niej zależy. Nie widzisz?

– Oczywiście, że widzę. Cieszę się, że jest z tobą. Właśnie to usiłowałem ci przekazać, może w niefortunny sposób. Jesteś miłym facetem. Będzie z tobą bezpieczna. Wiem o tym. Ale wyluzuj trochę. Ona miała chłopaka. Teraz ten chłopak nie żyje. Dziewczyna potrzebuje przyjaciela. Romans może zaczekać do chwili, gdy przyjaźń wykona robotę. Rozumiesz to, prawda?

Vinson rozluźnił się i odetchnął.

– No! Ale mnie nakręciłeś. Jezu! Już myślałem…

– Słuchaj, w tej chwili najlepsze, co możesz dla niej zrobić, to powiedzieć jej, że jej chłopak nie popełnił samobójstwa. Ona czuje się winna, ale nie miała z tym nic wspólnego. Działka była za mocna. W tym samym tygodniu jeszcze trzy osoby umarły z przedawkowania. Sprawdź to. Wytłumacz jej to, niech to zrozumie.

– Dzięki. Hej, przepraszam, że źle zaczęliśmy…

– To moja wina. Mam za dużo na głowie. Widziałeś gdzieś Lisę?

– Ostatnio była z tym artystą. Taki wysoki gość z ulizanymi do tyłu włosami.

– Dzięki. To jeden z jej wspólników z galerii. Jeśli nie zdołam jej znaleźć, wrócę do domu. A ty jej to powiedz, o ile ją spotkasz. Trzymaj się.

– Czekaj! – Vinson wyciągnął do mnie rękę. – Dzięki. Dzięki. To znaczy… Zajmę się Rannveig. To znaczy…

– Wszystko w porządku – zapewniłem, ściskając mu dłoń, uśmiechając się do niego, lubiąc go, życząc szczęścia jemu i dziewczynie i nie dbając o to, czy ich jeszcze kiedyś

zobaczę, byle byli szczęśliwi. – Wszystko w porządku.

We wszystkich pomieszczeniach wirowały małe tornada pijanych na wesoło ludzi. Szedłem od wiru do wiru, szukając Lisy. Nikt nie widział jej od pewnego czasu. W końcu ruszyłem do drzwi.

Karla tańczyła z Rannveig. Przez chwilę na nią patrzyłem: jej biodra jak morze, jej oczy jak flet, jej dłonie jak kobry. Karla.

# 32

Drzwi windy otworzyły się i ujrzałem George’a Skorpiona, Naveena Adaira i Divyę Devnani.

– Lin! – zawołał Naveen. – A ty dokąd, stary? Impreza dopiero się rozkręca!

– Jestem wykończony – oznajmiłem, wchodząc do windy i wciskając guzik, przytrzymujący otwarte drzwi. – Ale możesz ze mną pogadać chwilę?

– Proszę, chodź z nami! – rzucił błagalnie Skorpion. – Musisz mi opowiedzieć o tej strzelaninie u Leopolda. Nikt o niej nie mówi, a ja umieram z ciekawości.

– Kiedy indziej.

– Dobrze, zjedziemy z tobą – zdecydował Naveen, zapędzając innych z powrotem do windy.

Drzwi się zamknęły, ukazując nam nasze odbicia w lustrzanej powierzchni.

– Na górze była taka ładna Amerykanka, jasne włosy, brązowe oczy – odezwała się Divya. – Znasz ją?

– W domu czeka na mnie bardzo ładna dziewczyna – odparłem.

– Ale ona…

– Dość! – warknąłem, zbyt ostro.

– Przestań być taki uroczy, bo nie wytrzymam, ty skurwielu – stwierdziła Divya rzeczowo. – Zaraz zemdleję.

– Przepraszam, to był ciężki…

– Ja znam tę Amerykankę z brązowymi oczami – oznajmił Skorpion wesoło.

Wszyscy na niego spojrzeliśmy.

– To znaczy… jeśli Lin nie pójdzie na imprezę, no nie, i…

– Aleś się odstawił – zauważyłem.

Skorpion ściągnął swoje dość długie włosy w koński ogon. Miał na sobie żółtą koszulę, nowe dżinsy, pasek ze srebrną klamrą i kowbojskie buty. Na jego środkowym palcu połyskiwał pierścień z kwadratowym oczkiem z onyksu ze złotym greckim hełmem na środku.

– Za bardzo? – spytał Skorpion, oglądając się szybko w lustrze. – To był pomysł Divy. Mówiła, że…

– Jest świetnie – przerwałem – Wyglądasz jak milion dolarów. Gratsy, Divya.

– Wygląda jak trzydzieści pięć milionów – poprawiła Divya. – I mów mi Diva. Daję słowo, jeśli jeszcze raz powiesz „Divya", walnę cię w jaja. A jestem wystarczająco niska i wredna, żeby to zrobić.

– To nie jest żart – ostrzegł Naveen.

– Dobrze. Od tej pory jesteś Divą.

Spojrzałem z góry na jej dumną, ładną twarzyczkę. Diva była niska i tak często chodziła w butach na wysokich obcasach, że była lekko pochylona do przodu; wyglądała jak zaczajony na ofiarę drapieżnik. To mi się podobało, w ogóle cała mi się podobała, ale chciałem już wracać do domu.

Drzwi windy otworzyły się; szybko wyszedłem na zewnątrz.

– Na pewno cię nie skusimy? – spytał Naveen.

– Nie dziś.

Przyciągnąłem go do siebie tak blisko, żeby szepnąć:

– Wtedy w Leopoldzie… Cieszę się, że tam byłeś.

– Gdy przyjdzie chwila próby, licz na mnie – odparł, równie cicho.

– Dobrze. Słuchaj, jeśli Didier poprosi cię o pomoc, wyświadcz mi przysługę. Prosiłem, żeby opiekował się Lisą pod moją nieobecność.

– Wyjeżdżasz?

– Na jakiś tydzień. Jak wrócę, zajrzę do ciebie.

– *Thik*.

– Aha, Skorpion! – dodałem głośniej, gdy Naveen, wrócił do Divy. – Uważaj na tę dziewczynę.

– Tę blondynkę z brązowymi oczami?

– Na każdą dziewczynę.

Drzwi się zamknęły i winda ruszyła na górę.

Poszedłem do mojego motocykla, dałem napiwek ochroniarzom i odjechałem w strugach ulewy.

Podczas jazdy przez Marine Drive kojący, oczyszczający deszcz – zimny ze względu na bliskość morza – towarzyszył mi, aż znowu skręciłem i dotarłem do domu.

Wtedy tego nie wiedziałem, ale ten oczyszczający deszcz, te krople wielkie jak kwiaty, był ostatnią ulewą bombajskiego sezonu. Strumienie, które zalewały ulice Miasta Wysp i sprawiały, że każdy centymetr zeschniętej ziemi zielenił się bujnymi chwastami, przesuwały się na południe w stronę Madrasu, by potem przebyć morzem drogę do Sri Lanki i wielkiego oceanu, z którego się zrodziły.

Pokonałem schody po dwa stopnie naraz i wpadłem do mieszkania, chlapiąc wodą na nakrapiany srebrnymi cętkami marmur posadzki w korytarzu. Lisy nie było.

Zdjąłem przemoczone buty i ubrania, zdezynfekowałem ranki na twarzy i stanąłem pod prysznicem. Po moich plecach spływała zimna woda – chłosta pokutnika z przedmieścia.

Ubrałem się i już miałem zaparzyć dzbanek kawy, kiedy weszła Lisa.

– Lin! Gdzieś ty był, do cholery? Wszystko w porządku? Boże, pozwól mi obejrzeć twoją twarz.

– Nic mi nie jest. A co z tobą? Było spokojnie?

– Jesteś dumny z siebie?

– Co?

Pchnęła mnie rękami w pierś, wzięła metalowy flakon i rzuciła nim we mnie. Uskoczyłem; wazon uderzył w regał, przewracając rzeczy, które posypały się na podłogę.

– Wracasz do domu cały poobijany!

– Bo…

– Wojna gangów na ulicy! Dorośnij, na miłość boską!

– To nie…

– Strzelanina przed Leopoldem! Jesteś kompletnym dupkiem?

– Nie strzelałem do żadnego…

– Uciekasz na górę z Karlą.

– Aha, więc to o to chodzi.

– Oczywiście, że o to! – krzyknęła, rzucając popielniczką w regał.

Nagle rozpłakała się, po czym równie nagle przestała płakać i usiadła na kanapie, składając ręce na kolanach.

– Już jestem spokojna – powiedziała.

– Mhm…

– Jestem.

– Dobrze.

– Nie chodzi o ciebie.

– W porządku.

– Naprawdę.

– Lisa, nawet nie wiedziałem, że ona tam jest. Ale skoro wspominasz o Karli, chciałbym coś…

– Och, Lin! – krzyknęła, wskazując rzeczy, które spadły z regału. – Patrz, co się stało z mieczem! Przepraszam! Nie chciałam tego.

Jednym z przedmiotów był miecz Kadirbaja – ten, który powinien przypaść Tarikowi, małemu władcy, siostrzeńcowi Kadirbaja i jego spadkobiercy. Miecz był pęknięty. Rękojeść i głownia leżały osobno obok pochwy.

Podniosłem je, dziwiąc się osobliwej kruchości broni, która przetrwała bitwy w wojnach angielsko-afgańskich.

– Można to naprawić? – spytała niespokojnie Lisa.

– Zrobię to po powrocie – oznajmiłem sucho, kładąc zniszczoną broń na regale. – Jutro jadę na Sri Lankę.

– Lin… nie.

Poszedłem do łazienki i wziąłem kolejny prysznic, żeby się uspokoić. Lisa zrobiła to samo i stanęła obok mnie, kiedy się wycierałem. Pochyliłem się do lustra i zakleiłem plastrem brzydką ranę, którą zostawiła mi na policzku ołowiana broń Concannona.

Lisa mówiła, ostrzegając mnie przez niebezpieczeństwami podróży na Sri Lankę, powtarzając to, co przeczytała w gazecie – gazecie Randżita – wyjaśniając, że nic mnie do tego nie zobowiązuje, i że nie jestem winien firmie Sanjaya niczego, niczego, niczego.

Gdy skończyła, poprosiłem, żeby wyjechała na jakiś czas z Bombaju, powiedziałem jej wszystko, co wiedziałem o strzelaninie przed Leopoldem i ostrzegłem, że nie będzie lepiej, dopóki nie zawrę z Concannonem jakiegoś porozumienia.

– Dość tych okropieństw – rzuciła w końcu. – Czy teraz jest moja kolej?

Oparłem się o stertę poduszek na łóżku. Ona, stojąc z rękami założonymi na piersi, opierała się o framugę drzwi.

– Dobrze, twoja kolej.

– Jeśli nie mogę cię powstrzymać przed wyjazdem, pora porozmawiać o czymś innym.

– Właściwie…

– Kobiety chcą wiedzieć – dodała szybko. – Jesteś pisarzem. Powinieneś to wiedzieć.

– Kobiety chcą wiedzieć… co?

Usiadła obok mnie.

– O wszystkim. – Oparła mi rękę na udzie. – Na przykład o tym, czego mi nie mówisz. O tym, czego nie mówisz żadnej kobiecie.

Zmarszczyłem brwi.

– Słuchaj, podobno kobiety posługują się emocjami, a mężczyźni rozsądkiem. Gówno prawda. Gdybyś zobaczył facetów i ich uczynki – gdybyś zobaczył ich naszymi oczami – „rozsądek" byłby ostatnim słowem, jakiego byś użył.

– Dobrze…

– A kobiety są całkiem rozsądne. Chcą jasności. Chcą odpowiedzi. Jesteś ze mną czy z nią? Kobiety chcą wiedzieć. Cokolwiek innego oznaczałoby brak odwagi, a kobiety lubią odwagę. To według nas rozsądne.

– O czym ty mówisz?

– O Karli, oczywiście.

– Usiłowałem ci powiedzieć…

– O tobie i Karli – dokończyła. – O Karli i tobie. Na górze i tutaj. Mnie to nie przeszkadza.

I nagle się stało: byliśmy dwoma umysłami, dwiema istotami, dwoma rozdzielonymi paradygmatami, zostawiającymi fantomowe kończyny tam, gdzie niegdyś się stykały.

– Nie mogę się z tego otrząsnąć – wyznałem. – Nie chodzi o Karlę, tylko o mnie, a ja…

– Karla i ja zawarłyśmy porozumienie co do ciebie – rzuciła niecierpliwie.

– Porozumienie…?

– W tym celu spotkałam się z nią na obiedzie w Kayani. Nie słuchałeś?

Feynman powiedział niegdyś, że jeśli się rozumie teorię kwantową, to się jej nie rozumie. Nie miałem pojęcia, o czym mówi Lisa.

– O czym ty mówisz?

– Nie chodzi o nią ani o ciebie. Chodzi o mnie.

– Właśnie o tym usiłowałem porozmawiać.

– Nieprawda. Mówiłeś o sobie i Karli. Świetnie. Rozumiem. Ale to nie tego dotyczy. To dotyczy mnie.

– Jakie to?

– Ta rozmowa.

– Czy nie ja ją zacząłem?

– Nie, ja – rzuciła, marszcząc brwi.

– A byłem przy tym?

– No, właśnie. Nie można kochać dwóch osób. Nie tak jak należy. Nikt tego nie potrafi. Ona tak nie może i ty też nie. A ja to rozumiem. Naprawdę. Ale choć to smutne, romantyczne, popieprzone, przejmujące i cudowne, to jednocześnie nie ma żadnego znaczenia. To nie dotyczy jej ani ciebie. Moja kolej. To dotyczy mnie. To moje pięć minut przed mikrofonem.

– Co dotyczy ciebie?

– Wszystko.

– A może zaczęłabyś tę rozmowę jeszcze raz?

Spojrzała mi prosto w oczy, rzucając mi wyzwanie, żeby został z nią.

– Widzisz, kobiety muszą wiedzieć. Proste.

– To już ogarnąłem.

– Kiedy już wiedzą, potrafią sobie poradzić ze wszystkim.

– Poradzić sobie z… czym?

– Przestań się biczować, Lin. Dobry jesteś w tym biczowaniu. Mógłbyś dostać nagrodę, gdyby je przyznawano za samobiczowanie, i nawet mi się to w tobie podoba, ale tu jest niepotrzebne. Zrywam z tobą, teraz, i chciałam o tym porozmawiać, bo uważam, że powinieneś wiedzieć, dlaczego.

– No… jasne… oczywiście. Co?

– Naprawdę uważam, że powinieneś wiedzieć.

– A nie mógłbym udawać, że wiem?

– Przestań się wygłupiać.

– Nie wygłupiam się, po prostu się pogubiłem.

– Dobrze. Chodzi o to, że nie chcę cię więcej tłumaczyć.

– Nie chcesz mnie tłumaczyć przed swoimi przyjaciółmi czy moimi wrogami?

– Nie obchodzi mnie, co ludzie o tobie mówią – powiedziała, paląc mnie niebieskim

ogniem swoich oczu. – I nie słucham tego. Wiesz o tym. Ale nie podoba mi się w tobie to, że tobie się to podoba.

– Lisa…

– Lubisz mieć dwa pistolety, sześć fałszywych paszportów i pieniądze w sześciu różnych walutach w szufladzie. I nie możesz powiedzieć, że robisz to, żeby przeżyć. Jesteś na to zbyt inteligentny. Ja jestem na to zbyt inteligentna. Prawda wygląda tak, że to lubisz. Bardzo to lubisz. I nie chcę tego już sobie tłumaczyć. Nie lubię tego w tobie. Nie mogę lubić takiego ciebie. Nie polubię takiego ciebie. Przykro mi.

Człowiek jest więzieniem. Powinienem był jej powiedzieć, że odszedłem z firmy Sanjaya, a Sri Lanka była moim biletem do domu. Cofnąłbym się o krok od takiego siebie, jakiego nie lubiła. Nie zmieniłaby zdania z tego powodu, ale powinna była to usłyszeć. Człowiek jest więzieniem. Nie odezwałem się.

– Karla lubi takiego ciebie – rzuciła od niechcenia. – Chyba nawet bardziej niż ty sam.

– Gdzieś ty była?

Roześmiała się, dość gwałtownie.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Dość już tego „czy chcesz wiedzieć”.

Usiadła wyprostowana, ze skrzyżowanymi nogami. Jasne włosy miała zaplecione w dwa warkocze, poruszające się i trzęsące przy każdym jej ruchu.

– Znasz Risza, mojego wspólnika z galerii?

– Ilu ty masz tych wspólników?

– Sześciu. No…

– Sześciu?

– No więc…

– Sześciu?

– No więc Risz ostatnio dużo medytował…

– O, nie.

– I ćwiczył jogę…

– Dobra, przestań. Jeśli powiesz mi, że za tym wszystkim stoi jakiś guru, będę musiał go trzepnąć.

– To nie mój guru, tylko Risza, a zresztą nie o tym mowa. To nie słowa guru ani Risza, tylko pewnej kobiety. Nie znam jej, ale Johnny Cygaro dał mi taki poradnik, a

tego samego dnia dostałam dokładnie taką samą książkę od Risza. I to cytat z tej książki – to, co powiedziała.

– Co powiedziała?

– To, co Risz gdzieś usłyszał i mi powtórzył.

– Co?

– Uraza to niespełnione potrzeba lub pragnienie. To właśnie usiłowałam ci powiedzieć.

Zastanowiłem się nad tym. Najgorszy instynkt pisarza – zbyt często pierwszy – to szukanie usterek we wszystkich wypowiedzianych lub napisanych słowach, które dobrze brzmią. Nie mogłem znaleźć żadnej.

– Całkiem niezłe – przyznałem.

– Całkiem niezłe?! Powinna dostać Nagrodę Nobla w dziedzinie Zajebistych Tekstów.

– Możliwe – mruknąłem z uśmiechem.

– To mi rozwaliło mózg, Lin, mówię ci. To ma cholernie wiele sensu. Nagle dokładnie zrozumiałam, dlaczego przez ostatnie miesiące czułam się taka urażona. Naprawdę szalałam, wiesz? To tak, jak wtedy, gdy zaczynają cię wkurzać rzeczy, które kiedyś były urocze, ale nie są już urocze, rozumiesz?

– O jakim stopniu nieuroczości mówimy?

– O bardzo wysokim.

– Bardzo?

– Mamrotałam – wyznała.

– Mamrotałaś?

– Pewnie parę razy mnie słyszałeś.

– O tym, czym cię wkurzyłem?

– Tak.

– Na przykład?

– No, na początek…

– Nie, nie mów. Nie chcę wiedzieć.

– To ci może pomóc w procesie.

– Nie, dziękuję. Proces już zaliczyłem. Mów dalej. Mamrotałaś.

– Widzisz – powiedziała, wygładzając kołdrę przez swoimi skrzyżowanymi w

kostkach nogami – kiedy usłyszałam te słowa: „Uraza to niespełnione potrzeba lub pożądanie”, usiłowałam pomyśleć o tym, co czuję. Rozumiesz?

– Myśloczucie. Chyba… rozumiem.

– Miałam ramę na mój portret. Wiedziałam, co jest moją niespełnioną potrzebą. Wiedziałam, co jest moim niespełnionym pożądaniem. A kiedy się dowiedziałam, zrozumiałam wszystko.

– Czy możesz wyjawić, co to za niespełniona potrzeba?

– Potrzeba uwolnienia się od ciebie – odparła sucho, z dłońmi rozcapierzonymi na łóżku jak gwiazdy.

– Ta nowa ty zrezygnowała z cukru.

– Nie potrzebuję go. Już nie – odparła, kreśląc palcem kółko na kołdrze. – Nie muszę niczego słodzić, zwłaszcza tego, co mówię sobie.

– A niespełnione pożądanie?

– Pragnę być na sto procent w mojej teraźniejszości. Pragnę być teraźniejszością, a nie tylko patrzeć, jak przemija. Wiesz, o czym mówię, prawda? Rozumiesz mnie?

– Może.

– Dziś. To dziś. *Moje* dziś. *Wszystkie* moje dziś. Tego właśnie chcę. Rozumiesz to?

– Jesteś w *dziś*. Rozumiem. Daję słowo, jeśli za tym stoi jakiś guru…

– Nie, to moje słowa. To wszystko ja.

– I tego chcesz?

– Na początek. I jestem tego zupełnie pewna.

Była nieugięta. Wspaniała.

– Zatem jeśli tego naprawdę chcesz, jestem zachwycony.

– Tak?

– Oczywiście. Osiągniesz wszystko, za co się zabierzesz z przekonaniem.

– Naprawdę tak sądzisz?

– To wspaniałe.

– Wiedziałam, że zrozumiesz – powiedziała z ulgą w błękitnych oczach. – Po prostu chcę wyjątkowego *dziś*, takiego, które jest moje, a nie jednostajnego *teraz*, które jednostajnie dzielę z kimś innym.

Jednostajne *teraz*, które jednostajnie dzielisz z kim innym. Całkiem niezła definicja więzienia.

– Rozumiem.

– Chcę wiedzieć, kim jestem, kiedy jestem sama.

– Do boju.

Lisa uśmiechnęła się i westchnęła ze zmęczeniem.

– To się wydaje czystym egoizmem, ale nim nie jest. To akt wspaniałomyślności, wiesz? Nie tylko wobec mnie, ale i ciebie, i Karli. Dzięki temu po raz pierwszy widzę nas wyraźnie. Zobaczyłam, jak bardzo jesteście podobni, ona i ty, i jak bardzo różnicie się ode mnie. Rozumiesz?

Mówiła mi, potępiająco i w pewnym sensie kochająco, że Karla i ja jesteśmy dla siebie stworzeni: kanty Karli pasowały do moich blizn. Ale – bez względu na to, czy była to prawda, czy nie, czy jakoś dziwnie sprawiła mi ból, czy nie – nie miało to znaczenia, ponieważ te uwagi nie należały do Karli ani do mnie, lecz do Lisy.

Upadek i wzlot w tym, co robimy i kim postanawiamy się stać, należą wyłącznie do nas. Tak być powinno i tak być musi. Lisa głęboko zanurzyła się w tym spokojnym, niezmąconym bezruchu, zrodzonym z decyzji, i była w nim wspaniale samotna. A także zdecydowana, odważna i pełna nadziei.

– Ta nowa ty jesteś niesamowita – powiedziałem cicho.

– Dziękuję – odparła spokojnie. – I ta nowa ja, która rozstała się ze starym tobą i nie sypia w tym samym łóżku z nowym tobą, musi przenocować w gościnnej sypialni.

– No, jeśli twoje *dziś* nie będzie przez to zbyt ograniczone, to nie ma sprawy – rzuciłem ze śmiechem.

– O, nie – powiedziała poważnie, przytulając się do mnie z głową na mojej piersi. – Ale skoro żyjemy osobno pod tym samym dachem, powinniśmy ustalić parę zasad.

– Aha…

– Na przykład gości na noc. Powinniśmy ustalić zasadę gości na noc.

– Gości na noc? Twoje *dziś* z każdą chwilą staje się coraz bardziej zatłoczone.

– Możemy wieszać na drzwiach wejściowych znak.

– Znak?

– No wiesz, taki zrozumiały tylko dla nas. Na przykład krasnal ogrodowy. Jeśli stoi po lewej stronie drzwi, jedno z nas ma gościa na noc. Jeśli po prawej – to nie.

– Nie mamy krasnala ogrodowego. Nie mamy ogrodu.

– Możemy wziąć tę figurkę kota, której nie lubisz.

– Nie powiedziałem, że jej nie lubię. Bardzo ją lubię. Powiedziałem, że ona mnie

nie lubi.

– I będziesz musiał mi darować czynsz za co najmniej pół roku.

– Żeby wszystko było jasne w sprawie gości… Kot ma stać po lewej stronie drzwi, czy po prawej?

– Po lewej. I musisz mi darować czynsz.

– Czynsz jest zapłacony za rok góry.

– Nie, mój czynsz, za gościnną sypialnię. Zapłacę stawkę rynkową. Nalegam. Ale wszystko, co miałam, zainwestowałam w następną wystawę i jestem bez grosza. Nie zdołam ci zapłacić przez co najmniej pół roku.

– Zapomnij.

– Nie, serio. Nalegam – powiedziała, trącając mnie w żebra.

– Zapomnij.

Znowu mnie trąciła.

– Poddaję się. Pozwolę ci zapłacić.

– I… potrzebuję zaliczki.

– Zaliczki?

– No.

– Nie pracujesz dla mnie.

– Tak, ale nie znoszę słowa „pożyczka”. Strasznie szorstko brzmi. Od dziś postanawiam, że prosząc o pożyczkę, będę nazywała ją zaliczką. To o wiele przyjaźniejsze słowo.

– Nieźle kombinujesz.

– Ale przez jakiś czas nie będę mogła zapłacić za jedzenie, prąd, telefon ani pralnię.

– Załatwione.

– Spłacę tę zaliczkę, kiedy zostanie mi coś z następnej.

– Jasne.

– I będę potrzebować samochodu, ale o tym możemy pogadać po twoim powrocie.

– Pewnie. Czy to koniec zasad?

– Jest jeszcze coś.

– Wal.

– No, nie wiem… to znaczy…

– Wal.

– Nie będę już gotować – oznajmiła i zacisnęła usta. Jej dolna warga wysunęła się w naburmuszonej minie.

Przez dwa lata zrobiła posiłek trzy razy i nie wspominałem tego dobrze.

– OK.

– Mówiąc brutalnie szczerze, wprost nienawidzę gotowania. Nie mogę tego znieść. Robiłam to tylko dlatego, żeby sprawić ci przyjemność. Za każdym razem było to piekło, od początku do końca. Nigdy więcej tego nie zrobię. Przykro mi, ale tak wygląda sytuacja.

– Oczywiście.

– Nie chcę ci sprawiać przykrości, ale nie chcę też, żebyś miał jakieś oczekiwania. W tej chwili mam mnóstwo oczekiwań, to część procesu, i gaszę je, zanim się przerodzą w…

– Urazę?

– Dokładnie! O Boże, od razu mi lepiej. A tobie?

– Wszystko w porządku.

– Naprawdę? To dla mnie ważne. Nie chcę przywlec w moje *dziś* poczucia winy ani wstydu. To dla mnie ważne, że lubisz mnie na tyle, że mi na to pozwalasz i że uważasz, iż wszystko jest dobrze.

„Dobrze” było tylko połową prawdy, a prawda była tylko połową tej historii. Miałem żal, że Lisa żąda tak wiele i zabiera tak dużo z tej odrobiny, która nam została. Ale też zawsze się spodziewałem lub podejrzewałem, choć niechętnie i nie przyznając się przed samym sobą, że pewnego dnia rozejdziemy się, mając ze sobą tylko tyle, ile zdołamy unieść. No i była Karla, niezmiennie Karla. Nie miałem prawa psuć ani chwili szczęścia Lisy. „Dobrze” to tylko połowa prawdy, a prawda to tylko połowa tej historii.

– Wszystko dobrze, Lisa. Chcę twojego szczęścia.

– Bardzo się cieszę – powiedziała, rzucając mi uśmiechnięte spojrzenie spod rzęs. – Bałam się tego, wiesz.

– Dlaczego? Czy kiedykolwiek cię nie wysłuchałem albo nie wspierałem?

– Nie chodzi o to. To coś bardziej skomplikowanego.

– Jak to?

– Trzeba wziąć pod uwagę inne rzeczy i innych ludzi.

– Jakie rzeczy? Jakich ludzi?

– Teraz nie chcę się w to wdawać.

*Kobiety chcą wiedzieć*?, pomyślałem. *Mężczyźni też.*

– No, weź…

– Słuchaj, jutro wyjeżdżasz, a ja chcę, żebyśmy byli zadowoleni z tego, jak wiele dziś osiągnęliśmy, dobrze?

– Jeśli chcesz.

– Tak. Jestem szczęśliwa i nie chcę tego psuć.

– Wrócę za jakiś tydzień i znowu porozmawiamy. Pomogę ci, w czym tylko zechcesz. Jeśli zapragniesz własnego mieszkania, załatwię to i zapłacę czynsz za rok. Cokolwiek zapragniesz. Nie martw się.

– Naprawdę wyewoluowałeś – powiedziała tęsknie.

– Z czego?

– Z tego, kim byłeś, kiedy się spotkaliśmy.

Spojrzała na mnie z wyrazem, którego początkowo nie potrafiłem rozpoznać. Potem zrozumiałem. To rozczulenie – takie, które rezerwujemy dla szczególnie bliskich nam przyjaciół.

– Pamiętasz nasz pierwszy pocałunek?

– W afgańskiej świątyni. Wygonili nas. O mało nie trafiliśmy do aresztu.

– Przekonajmy się – powiedziała, siadając naprzeciwko mnie – jak zapamiętamy nasz ostatni pocałunek.

Pocałowała mnie, ale ten pocałunek rozpłynął się w szeptach i rozmawialiśmy, leżąc obok siebie w ciemnościach, aż burza straciła rozpęd i ucichła. Gdy Lisa zasnęła, wstałem i spakowałem się na poranną podróż. Moją broń, amunicję, długie noże, paszporty i parę zwitków banknotów schowałem w skrytce, którą sam zrobiłem na tylnej ściance masywnej komody. W górnej szufladzie bieliźniarki zostawiłem pieniądze dla Lisy.

Załatwiwszy to, podszedłem do okna i usiadłem w wiklinowym fotelu, który kupiłem dla Lisy, na tyle wysokim, że widziałem z niego ulicę w dole. Ostatni samotny sprzedawca czaju przeszedł obok naszego budynku, cicho dzwoniąc dzwonkiem roweru, by zwrócić na siebie uwagę drzemiących strażników. Ciche dzyń-dzyń umilkło stopniowo i na ulicy zapanowała cisza.

Wszystko w życiu krąży po orbicie jednego słońca, serca przeznaczenia. Randżit, Vikram, Śpiący Baba Dennis, Naveen Adair, Abdullah, Sanjay, Diva Devnani, Didier,

Johnny Cygaro, Concannon, Vinson, Rannveig, Skorpion, Bliźniak, Sri Lanka, Lisa: moje myśli, podróżnicy, żeglowały po kolejnych morzach, kierując się jedyną gwiazdą na czarnym jak węgiel niebie – Karlą.

Gdy o świcie wyszedłem, Lisa nadal spała. Szybkim krokiem dotarłem na postój taksówek na deptaku. Mój cień skakał jak rozbawiony pies w żółtym świetle poranka. Zaspany taksówkarz niechętnie zgodził się na kurs za podwójną zapłatę. Puste ulice, przez które przejeżdżaliśmy, były jasne, obmyte światłem.

Dworzec, bombajska pogańska katedra, otwierał przed objuczonymi bagażowymi i pasażerami pociągi o niezwykłym znaczeniu, w których każde miejsce było cenne, ważne, niezbędne dla czyjegoś przeznaczenia. A kiedy ekspres do Madrasu ruszył w końcu z miejsca, przez okno ujrzałem przebudzone ulice, od obmytych deszczem przedmieść po zadrzewione zielone góry i doliny poza szarym głodem miasta. „Raz po raz, raz po raz", powtarzał pociąg. Czułem się dobrze: dobrze, i źle jednocześnie. Serce pytało, głowa rozkazywała.

Sri Lanka oznaczała ryzyko. Lisa miała rację. Ale Abdullah rozmawiał z Sanjayem, wydarł mu moją wolność w zamian za moją misję. To zadanie, podobne do pięćdziesięciu innych, które wykonałem, wydawało się małą ceną na bezpieczne odejście z firmy.

Cieszyłem się ze względu na Lisę, cieszyłem się, że uwolniła się ode mnie, skoro tego chciała. Nadal czułem tę samą zatroskaną czułość, którą we mnie budziła, ale musiałem przywyknąć do faktu, że odeszła. Ona odeszła, a ja znajdowałem się w pociągu jadącym na wojnę.

Lisa znalazła swoją prawdę, ja znalazłem swoją. Nadal kochałem Karlę i nie mogłem pokochać żadnej innej.

Nie obchodziło mnie, jakie intrygi snuła Karla, z Randżitem czy przeciwko niemu. Nie obchodziło mnie, że wyszła za innego ani że usiłowałem pokochać inną kobietę. Nie obeszłoby mnie, nawet gdybyśmy nie mogli stać się nikim więcej niż przyjaciółmi. Kochałem ją i wiedziałem, że zawsze będę ją kochać.

Dlatego czułem się dobrze i źle: o jedną złą misję oddalony od dobra.

„Raz po raz" – stukały koła pociągu. – „Raz po raz, raz po raz". Zagrody i pola, wyśnione miasta przepływały za moim oknem, a welon nieba zasłaniał dalekie góry ostatnim deszczem w tym roku.

VI

# 33

Księżyc znikł. Chmury skryły się ze strachu przed ciemnością. Gwiazdy świeciły tak jasno, że kiedy zamykałem oczy, wypalały mi iskierki w mroku pod powiekami. Wiatr docierał wszędzie, żartobliwy, uradowany naszym widokiem na powierzchni nicości. Statek łagodnie unosił się i zanurzał jak pływak, a nie jak jednostka dryfująca po falach.

Na taką noc czekałem w Madrasie od trzech dni – ja i siedemdziesięciu siedmiu innych. Te dni oczekiwania skurczyły się do minut – minut przed północą, minut przed zejściem z niebezpiecznego statku do jeszcze bardziej niebezpiecznych szalup na otwartym morzu.

Fale lizały dziób, słona mgła wdzierała się aż na rufę, na której stałem, w ciemnogranatowych bojówkach i kurtce, kolejny kształt w maskujących kolorach na pokładzie w takich samych barwach.

Spojrzałem na gwiazdy. Statek pokonywał fale, unosząc się między ciemnym niebem a jeszcze ciemniejszą wodą.

Większość oceanicznych statków towarowych ma część kadłuba nad linią wody pomalowaną na biało, kremowo lub bladożółto. W razie nagłego wypadku – zepsutego silnika czy przebitej burty lub dna – już z daleka rzucają się w oczy z morza i powietrza.

„Mitratta”, panamski pięćdziesięciotonowy frachtowiec, był cały ciemnoniebieski, z ciemnoniebieskim brezentem zakrywającym ładunek i takielunek.

Kapitan nawigował przy świetle przyrządów. Statek tak bardzo wtapiał się w mrok nocy, że jego przednie światła wyglądały jak malutkie stworzonka, zanurzające się w falach i znowu się z nich wyłaniające.

Na pokładzie kuliły się postacie jak paczki towaru, którym oczywiście byliśmy. Przemycani ludzie szmuglują ze sobą swoje marzenia. Pasażerowie często szeptali do siebie, ale nie rozróżniałem słów. Ich głosy szemrały tylko ciut głośniej od fal. Ofiary wojny są mistrzami milczenia.

Nagle zapragnąłem towarzystwa. Ruszyłem chwiejnie przez pokład do pierwszej z kilku grup. Uśmiechnąłem się, błysk zębów w ciemnościach. Oni uśmiechnęli się do

mnie, błysk zębów w ciemnościach.

Usiadłem obok nich. Znowu zaczęli szeptać.

Mówili po tamilsku. Nie rozumiałem ani słowa, ale nie przeszkadzało mi to. Zatopiłem się w pluszczącym pomruku ich głosów, ich łagodnej muzyce w cieniach na malowanym stalowym pokładzie.

Ktoś podszedł i przykucnął obok mnie. Mehmud, nazywany Mehmu, mój kontakt na statku.

– To młoda wojna – powiedział cicho, spoglądając na Tamilów obok nas. – Ich ojczyzna na Sri Lance to stary pomysł, ale umierają za niego młodzi. Możesz ze mną pójść?

– Jasne.

Zaprowadził mnie na tylny pokład.

– Nie ufają ci – powiedział, zapalając dwa papierosy i podając mi jednego. – Nic osobistego. Nie wiedzą, kim jesteś ani dlaczego znalazłeś się w ich grupie. Gdy tak jak oni znajdujesz się w sytuacji, która zmienia się tylko na gorsze, wszystko wydaje się zagrożeniem, nawet przyjaciel.

– Płyniesz tym statkiem podczas każdego kursu?

– Tak. Wyładowujemy legalny towar i wracamy do Madrasu.

– Nie chciałbym tego robić co miesiąc. Te łodzie patrolowe, które nas mijały, nie były daleko i miały wielkie działa.

Roześmiał się cicho.

– Wiesz coś o tamilskich muzułmanach na Sri Lance?

– Niewiele.

– Pogromy. Sprawdź to.

Roześmiał się, ale to tylko jego smutek szukał sposobu, żeby się wyrazić.

– Złoto i paszporty, które wieziesz, bardzo pomogą – dodał, prostując się. – Musimy wykupić ludzi z więzienia, a potem wywieźć ze Sri Lanki, żeby powiedzieć światu o ich sytuacji. Dla innych to kolejna wojna domowa. Dla nas to wojna, której nie zaczęliśmy, ale którą musimy toczyć. Dla nas to nie jest kwestia narodowości, tylko wiary.

Znowu wiara. W tym, co robiłem, nie było nic czystego ani szlachetnego. Robiłem to dla siebie. Myślałem o tym ze wstydem, stojąc obok człowieka, który ryzykował życie dla tego, w co wierzył.

Stugramowe złote grudki, które przemycałem, były stopione z biżuterii, którą firma Sanjaya ukradła lub wymusiła. To złoto już było splamione krwią. Nic szlachetnego, nic czystego.

Ale gdzieś w tym tkwił jeszcze okruch wiary jak odłamek witraża. Święta misja Mehmu była dla mnie fuchą, to prawda, ale ten sam mroczny statek niósł nas ku tej samej mrocznej wojnie. I była to wojna dla jednej osoby, dla mnie: uwolnienie jednego człowieka od gangu, który niegdyś był dla niego grupą braci.

Religia to wiara pozbawiona strachu, a wolność to jeden z ideałów wiary. Stojąc na tym zamaskowanym pokładzie, słuchając modlitw odmawianych po arabsku, angielsku, tamilsku, syngalesku i w hindi pod gwiazdami tak jasnymi, że raziły moje oczy jak małe słońca, zawierzyłem wolności i poprosiłem Mehmu o moją broń.

Podniósł sweter, żeby pokazać mi włożony za pasek spodni browning HP ze standardowego wyposażenia oficerów armii indyjskiej. Za ich sprzedaż groziły surowe kary i z tego powodu sprzedający je nam oficerowie żądali wyjątkowych cen.

Lubiłem Mehmu i chciałem, żeby pojechał ze mną na Sri Lankę. Był sprawnym, rozgarniętym trzydziestolatkiem, mówił płynnie w sześciu językach i miał pewne oko. Ale jego broń mi się nie podobała.

– Po co taka armata?

– Rzeczywiście, trochę… ostentacyjna – przyznał Mehmu, rozglądając się dokoła. Wręczył mi broń z magazynkiem.

– Ostentacyjna? Rzuca się w oczy bardziej niż zebra na policyjnym okazaniu!

Sprawdziłem pistolet i zabezpieczyłem go.

– Jeśli masz się dać złapać z bronią podczas tej wojny – powiedział Mehmu – to lepiej z tą. Każda inna będzie ci długo służyć – zanim zrzucą cię z helikoptera do morza, mniej więcej w tej okolicy.

– A ta?

– Ta daje ci szansę. Indyjska armia ma wyspę pod kontrolą, ale obecnie pracuje tak wielu freelancerów… Amerykanie, Izraelici, ludzie z Afryki Południowej… i wszyscy pracują dla indyjskich służb wywiadowczych RAW. Jeśli żołnierze złapią cię z tą bronią, zawsze możesz udawać agenta RAW. Może się nie udać, ale nie byłbyś też pierwszym, który by się wyłgał. Mamy tu Dziki Wschód.

– Czyli mam dźwigać wszędzie to działo, a kiedy je zobaczą, a zobaczą, bo jest takie wielkie, mam im wmówić, że dla nich pracuję, a potem naprawdę zacząć dla nich pracować, jeśli darują mi życie?

– To się zdarza – oznajmił Mehmu, wzruszając ramionami. – Nawet całkiem często.

– Daj mi małą broń. Nie wybieram się na grubego zwierza. Chcę tylko narobić takiego hałasu, żeby zdążyć uciec. Jeśli mnie złapią, wyrzucę broń i wszystkiego się wyprę. Wolę to, niż zacząć dla nich pracować.

– Ale mała broń… – powiedział Mehmu w zamyśleniu. – Zawsze mawiam, że jeśli musisz strzelić komuś w oko, żeby go zabić, masz za małą broń.

Patrzyłem na niego przez chwilę.

– Mała broń? – prychnął. – Albo trafisz w oko i zabijesz, albo kula tylko draśnie mu skórę.

– No co ty.

– Naprawdę. To się zdarza. Nawet całkiem często.

– Masz małą broń czy nie?

– Mam – powiedział w zadumie. – Jeśli jesteś gotów na wymianę.

– Pokaż.

Mehmu wyjął z kieszeni kurtki małe pudełko nabojów i automatyczną dwudziestkędwójkę. Była to broń tak zaprojektowana, by zmieściła się w torebce obok szminki, perfum i karty kredytowej – damski pistolecik.

– Biorę.

Wymieniliśmy się. Sprawdziłem pistolet i włożyłem go do kieszeni kurtki.

– Owinąłbym go grubo w folię – powiedział Mehmu, znowu wkładając browninga za pasek. – I okleił taśmą chirurgiczną.

– Na wypadek gdybym wylądował w wodzie?

– To się zdarza.

– Aha.

– Nawet całkiem często. Co, pierwszy raz coś przemycasz czy jak?

Przemycałem paszporty i złoto do dziewięciu krajów, ale zawsze samolotem i zawsze czechosłowackimi liniami. Komunistyczne linie lotnicze jako jedyne w Bombaju przyjmowały zapłatę za bilety w rupiach, a ochroniarze szukali w bagażach broni i niczego innego. Wszystko inne, od sztabek złota po pliki banknotów, to była twoja sprawa. A ponieważ nikt z wyjątkiem Czechosłowaków nie podróżował czechosłowackimi samolotami do samej komunistycznej Czechosłowacji, nie był to też problem linii lotniczych.

– Latam. Wahadłowo, po siedemdziesiąt dwie godziny. Statków nie obstawiam.

– Nie lubisz statków?

– Nie lubię władzy, na lądzie czy morzu.

– Władzy?

– Władzy. Absolutnej. Prawo morza.

– Chodzi ci o naszego kapitana?

– O każdego kapitana. Moim zdaniem ostatnim wolnym statkiem był „Bounty”.

W pobliżu stert ładunku przymocowanego do pokładu rozległy się ochrypłe szepty. Ludzie zaczęli się podnosić. Widzieliśmy sylwetki poruszające się między spiętrzonymi cieniami.

– Co oni robią?

– Rozdają kapsułki cyjanku tym, którzy chcą.

– Naprawdę to robią?

– Nawet całkiem często.

– Wiesz, Mehmu, jeśli chodzi o podtrzymywanie na duchu… jesteś do bani.

– A właśnie, chcesz cyjanek, skoro już go rozdają?

– Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Chcesz czy nie?

– Jestem raczej typem z gatunku „walczyć do końca”, ale dzięki za propozycję.

Poruszenie na pokładzie wzrastało. Pierwszy oficer wraz z kilkoma członkami filipińskiej załogi przeszli na bakburtę. Odsłonili zwoje drabinek sznurowych ze szczeblami z desek i zaczęli je rozwijać.

– Lepiej zejdź pod pokład po swoje rzeczy – rzucił Mehmu. – Zaczekam na ciebie przy drabinkach.

Ruszyłem wzdłuż względnie pustej sterburty do mojej kajuty.

Owinąłem mały pistolet i pudełko amunicji w foliowe torby, zakleiłem je taśmą i wrzuciłem do plecaka. Zdjąłem kurtkę i sweter, włożyłem ciężką kamizelkę, którą trzymałem w ukryciu, i znowu się ubrałem.

W kamizelce znajdowało się dwadzieścia kilo złota i dwadzieścia osiem pustych paszportów. Zapiąłem z trudem kurtkę i trochę pochodziłem po kajucie, żeby przyzwyczaić się do dodatkowego obciążenia.

Na łóżku leżał otwarty notes. Usiłowałem napisać nowe opowiadanie. Wziąłem na warsztat trudny temat. Chodziło o szczęście, kochających ludzi w szczęśliwym miejscu pełnym miłości i o wydarzenia przesycone miłością i szczęściem. Nie szło mi za

dobrze.

Zgarnąłem do plecaka notes, długopis i wszystko, co leżało na łóżku, i odwróciłem się, żeby wyjść z kajuty. Wyciągnąłem rękę do kontaktu na ścianie i przy okazji ujrzałem swoją twarz w lustrze na drzwiach.

Niemiłosierna prawda podróży do krajów i kultur oddalonych od twojej jest taka, że czasem stajesz się pionkiem. Przeznaczenie, przewodnik wycieczki, potrafi zaprowadzić każdego podróżnika w dowolnym momencie podróży w labirynt nauki miłości albo długi tunel niebezpiecznych przygód. A każdy podróżnik zna te chwile w lustrze: ostatnie, przeciągłe spojrzenie na siebie przed: „Dobra, zróbmy to”.

Wyłączyłem światło i wróciłem na pokład.

Przy drabinkach czekały kolejki ludzi. Pierwszy oficer rzucił szeptem rozkaz i uciekinierzy zaczęli schodzić z pokładu. Ja człapałem na końcu. Marynarz rozdawał nam kamizelki ratunkowe i pomagał je wkładać.

Mehmu stał obok niego.

– Moją też weź – rzucił, gdy marynarz zapinał mi kamizelkę.

Spojrzeliśmy sobie w oczy. Mehmu wiedział, że jeśli wyląduję w wodzie, jedna kamizelka nie utrzyma na powierzchni mojego ciała, obciążonego dwudziestoma kilogramami złota.

Marynarz dał mi drugą kamizelkę, a potem mały metalowy przedmiot, i dał znak, żebym ruszał.

– Co to jest? – spytałem, stając z Mehmu z dala od tłumu przy relingu.

– To kliker.

Była to dziecięca zabawka z dwóch kawałków blachy, która wydawała dźwięk, gdy się ją nacisnęło. Więc ją nacisnąłem.

*Klik-klak*.

– Jeśli wylądujesz w wodzie – dodał Mehmu – zostań tam. Trzymaj się razem z pozostałymi.

– Pozostałymi?

– Łódź wróci do statku, a statek będzie od was o jedno kliknięcie, dopóki niebezpieczeństwo nie minie.

– O kliknięcie od nas?

– Kiedy coś zobaczysz lub usłyszysz, klikaj, żeby inni wiedzieli, gdzie jesteś. Ludzie na ogół trzymają kliker w zębach, żeby go nie zgubić.

Pokazał mi, jak to zrobić.

Mój kliker miał kształt różowej ważki. Mehmu patrzył na mnie z różową ważką w ustach i tak wysyłał mnie na morze.

– To z filmu – powiedział, oddając mi blaszany przyrząd. – Chyba miał tytuł *Najdłuższa wojna*.

– *Najdłuższy dzień*.

– Tak, ten. Widziałeś go?

– No. A ty?

– Nie. A bo co?

– Powinieneś. Dzięki za wszystko, Mehmu. Miło było z tobą żeglować, nawet jeśli nie lubię żeglugi.

– Ja też. Jeśli kiedyś spotkasz taką tęgą dziewczynę, koło trzydziestki, metr sześćdziesiąt dwa, w błękitnym hidżabie – nie pokazuj jej tego pistoleciku.

– Ukradłeś go dziewczynie?

– Tak jakby.

– Przeciwniczce czy przyjaciółce?

– A to jakaś różnica?

– No myślę.

– Trochę przyjaciółce, trochę przeciwniczce. Mojej żonie.

– Żonie?

– No.

– A ty ją kochasz?

– Do szaleństwa.

– A… gdybym pokazał jej ten pistolet… mogłaby…

– Zastrzelić cię. To się zdarza. Nawet często. Do mnie też strzelała. Taka z niej wojowniczka.

– Dobra, żebym nie pomylił: tęga trzydziestka, metr sześćdziesiąt dwa, niebieski hidżab. Zgadza się?

– Zgadza się. Nawiasem mówiąc, to jej konspiracyjny pseudonim.

– Co?

– Niebieski Hidżab.

– Nazywa się Niebieski Hidżab?

– Tak.

– A-ha… Dzięki za ostrzeżenie.

– Nie ma sprawy – odparł z uśmiechem. – Wszystkich przed nią przestrzegam. Taka jest niebezpieczna! Kocham ją na śmierć.

– Wierzę.

– I pamiętaj, w drodze na brzeg jest tylko jedna zasada: jeśli ktoś spróbuje zająć twoje miejsce w łodzi, wypchnij go za burtę.

– To się zdarza?

– Nawet całkiem często.

– Ty! – rzucił pierwszy oficer, wskazując mnie palcem.

Podszedłem do relingu, przełożyłem przez niego nogi i zacząłem schodzić po drabince.

Szło mi gorzej, niż się spodziewałem. Sznurkowa drabinka kołysała się i obracała wokół własnej osi, a ja wczepiałem się ze wszystkich sił w liny i deszczułki stopni. Potem grzmotnęła w niemiłosierną stal kadłuba, zdzierając mi z zaskoczenia skórę z palców.

Dotarłem na koniec drabinki. Trzy łódki wydawały mi się maleńkie, jak ryby piloty przy boku frachtowca rekina. Były to łodzie rybackie, płaskie, z niskimi burtami, jak przeskalowane wersje szalup ratunkowych z pokładu statku, ale z silnikiem. Nadal znajdowaliśmy się na otwartym morzu. Łódź, do której schodziłem, już była przeładowana. Nie wyglądała bezpiecznie. Pokonałem ostatnie szczeble i poczułem wżarty w burty uspokajający zapach ryb.

Rybacy, pomyślałem. Rybacy znają morze.

Przyjazne ręce skierowały mnie na rufę. Przeszedłem na nią nad stopami i małymi pakunkami. Przyjazne ręce skierowały innych na dziób. Załoga równomiernie rozkładała ciężar na łodzi.

Naliczyłem dwadzieścia trzy osoby. Załoga frachtowca dała znak, że wszyscy zeszli, i wciągnęła drabinki. Nasz sternik odepchnął łódź od statku i ruszył na otwarte morze.

Umieszczony w dźwiękochłonnej osłonie silnik działał ledwie słyszalnie.

*Klik-klak.*

Z ciemności dobiegł do nas sygnał z pobliskiej łodzi. *Klik-klak.* Wszyscy odwróciliśmy głowy, by na nią spojrzeć. *Klik-klak,* odpowiedział ktoś. *Klik-klak.*

– Znasz różnicę między wojną a pokojem? – szepnął siedzący obok mnie mężczyzna.

W jego głosie usłyszałem uśmiech.

– Domyślam się, że mi powiesz – odszepnąłem.

– W czasach pokoju poświęcasz dwudziestu, żeby uratować jednego. W czasie wojny poświęcasz jednego, żeby uratować dwudziestu.

– Niezłe, ale nie kupuję.

– Nie zgadzasz się?

– Nie poświęca się dla liczb, lecz dla miłości i kraju.

– W tej wojnie liczby są na tyle wysokie, żeby wprowadzić różnicę.

– Mówiłeś o wojnie i pokoju.

– No i?

– Wojna jest unurzana we krwi. Pokój ma krew wewnątrz, tam, gdzie jej miejsce. Dla mnie to cała różnica. Wojna burzy budynki, pokój na nowo je wznosi.

Roześmiał się cicho, z zamkniętymi wargami.

– Jestem twoim kontaktem – powiedział.

– Ach tak?

– Przypłynąłem w łodzi. Mam się upewnić, że dotrzesz tam, gdzie powinieneś.

Był ode mnie trochę młodszy, niski i szczupły. Miał bezczelny uśmiech, który pewnie zjednywał mu pocałunki i ściągał na niego kuksańce.

– Miło mi cię poznać. Daleko do brzegu?

– Nie bardzo.

Podał mi plastikowy czerpak i zaczął wylewać wodę, która od czasu do czasu chlapała do łodzi. Dołączyłem do niego. Wszyscy pasażerowie płytkiej łodzi zjednoczyli się przy tym zadaniu. Sternik roześmiał się cicho.

*Klik-klak*.

Morze, ten niezmordowany śpiący, poruszało się pod nami. Fale chlapały przez burtę, zalewając nas słonymi bryzgami. *Klik-klak*.

Gdy łodzie dotarły na brzeg, wyskoczyliśmy do sięgającej pasa wody i ruszyliśmy na plażę. Łodzie odpłynęły. Pobiegliśmy do drzew. Dotarłszy do nich, obejrzałem się na morze. Niektórzy bardziej powolni jeszcze biegli, rozbryzgując piasek. W słoneczny dzień byłoby to zabawne, ale w nocy budziło strach.

Nigdzie nie widziałem statku; żadnego światełka oprócz gwiazd.

Mój kontakt dał mi znak z innej kępy drzew. Dołączyłem do niego i razem ruszyliśmy

głębiej w dżunglę. Po chwili przystanął, nasłuchując.

– Jak masz na imię? – szepnąłem, gdy byłem pewny, że nikt za nami nie idzie.

– Tu nie ma imion, stary – odparł. – Im mniej wiesz, tym lepiej. Prawda to słodka rzecz, chyba że ktoś ją z ciebie wyciąga, tnąc cię nożem. Wtedy jest gorzka. Gotowy?

– Tak.

– Na szosie znajduje się ciężarówka jadąca na południe. Poczeka na nas, ale niedługo. Łodzie trochę zeszły z kursu. Musimy przejść spory kawał drogi, a czas nas nagli.

Skierowaliśmy się w zarośla i przez parę minut szliśmy przez dżunglę równolegle do wybrzeża. Od czasu do czasu widzieliśmy między drzewami mgnienia ciemnych fal, ale po chwili oddaliliśmy się od morza tak, że go nie słyszeliśmy. Nawet jego zapach zniknął, zagłuszony przez silniejsze wonie wilgoci dżungli.

Mój kontakt prowadził nas przez gąszcz liści wielkich jak słoniowe uszy, za którymi niespodziewanie ukazała się wąska ścieżynka. Nie znajdowaliśmy kierunku na podstawie gwiazd. Nie widzieliśmy ich. Mój kontakt znał mapę dżungli na pamięć, tak dokładnie, że nie zawahał się ani na chwilę podczas tego szybkiego marszu.

Razem z plecakiem i kamizelką ze złotem niosłem trzydzieści pięć kilo. Ale to nie ciężar był problemem. Aby kamizelka mi się nie przekrzywiła, a złoto przypadkiem się nie zgubiło, mocno związałem ją na piersi i w pasie. Każdy oddech sprawiał mi trudność.

Przedarliśmy się przez zarośla i listowie na szosę.

– Musimy przyspieszyć – oznajmił mój towarzysz, zerkając na zegarek. – Przez jakiś czas będziemy iść boczną drogą. Tak będzie o wiele szybciej. Jeśli zobaczysz jakiekolwiek światło, skacz w drzewa i kryj się. Ja ich odciągnę. Ty się nie ruszaj. Jasne?

– Tak – wysapałem.

– Chcesz, żebym przez jakiś czas poniósł kamizelkę?

– Wszystko gra.

– Daj mi przynajmniej plecak – szepnął.

Z wdzięcznością zsunąłem ciężar z pleców.

– Dobra, teraz biegiem.

Ruszyliśmy truchtem wzdłuż bocznej drogi w milczeniu tak głębokim, że głosy zwierząt lub ptaków wstrząsały moimi nerwami. Każdy oddech napinał skrępowaną

pierś.

„Tak naprawdę – powiedział mi kiedyś nigeryjski przemytnik broni – przemytnik szmugluje tylko siebie. To, co przenosi, to tylko pretekst, wiesz?”.

Zanim dotarliśmy do umówionego miejsca, mój pretekst omal nie doprowadził mnie do zawału.

– Jesteśmy na miejscu – rzucił mój kontakt.

– Alleluja – zipnąłem. – Słyszeliście kiedyś o motocyklach?

– Wybacz. – Mój towarzysz uśmiechnął się i oddał mi plecak. – Ale chyba zdążyliśmy na czas.

– No nie gadaj – wyrzęziłem, opierając ręce na kolanach.

– Masz broń?

– Oczywiście.

– Trzymaj w pogotowiu. Już.

Rozwinąłem pistolet, a on sprawdził i naładował dziesięciostrzałowy automat. Jego spojrzenie padło na mój mały damski pistolecik.

– Jeśli natkniesz się na tęgą kobietę w niebieskim jak niebo hidżabie…

– Wiem. Nie mogę jej pokazywać tej broni.

– A niech cię, chłopie, ty naprawdę żyjesz niebezpiecznie.

– Coś mi mówi, że Niebieski Hidżab robi mocne wrażenie.

– Jest w porządku. Dobra towarzyszka. Tylko nie pokazuj jej broni – powiedział mój kontakt ze śmiechem. Znowu zerknął na zegarek i spojrzał na mrok pożerający drogę tam, gdzie nie sięgało światło gwiazd. – Jeśli ta droga prowadzi na południe, to nią pójdziesz – dodał, znowu zerkając na zegarek. – Dotrzesz nią do Trikunamalai. O ile to możliwe, nie wychodź z dżungli. Jeśli zdołasz dotrzeć na miejsce, zgłoś się w hotelu Castlereagh. Masz tam zarezerwowany pokój na dwa tygodnie. Ktoś się do ciebie zgłosi.

– Tutaj się pożegnamy?

– Tak. Nigdy więcej się nie spotkamy.

Wymamrotał coś niewyraźnie.

– Co?

– Brylant za perłę.

Spojrzałem na niego wyczekująco.

– Nie powinniśmy tu być, my, Tamilowie. Zostawiliśmy brylant, matkę Indie, dla perły. I choćbyśmy nie wiadomo co zrobili, choćby nie wiadomo jak wielu z nas oddało życie, to nigdy nie będzie miało sensu, bo oddaliśmy brylant za perłę.

– To dlaczego nadal wałczycie?

– Nie znasz nas, Tamilów, co? Czekaj! Słyszałeś?

Przez jakiś czas wytężaliśmy słuch w ciemnościach. Jakieś małe zwierzątko przebiegło nieopodal, chyżość przemykająca z szelestem liści. Dżungla znowu pogrążyła się w ciszy.

– Walczę z wojskiem, w którym mnie wyćwiczono – powiedział, spoglądając na drogę w północnym kierunku.

– Armią indyjską?

W owych czasach najliczniejszą formacją woskową na Sri Lance były Indyjskie Siły Pokojowe IPKF.

– RAW – odparł. – Wszyscy przeszliśmy tam trening. Bomby, broń, taktyka, wszystko.

RAW, Skrzydło Badań i Analiz, miało przerażającą reputację w całym regionie. Jego akcje przebiegały w bardzo precyzyjny, zaplanowany sposób, a pozwolenie na działanie przy użyciu wszelkich koniecznych środków dało jego pracownikom swobodę, która zrodziła wiele wątpliwości co do ich postępowania – i niewiele wyjaśnień.

Agenci indyjskiego wywiadu zbierali informacje z wielu źródeł, nie pomijając gangów. Każda mafijna firma w Bombaju znała kogoś z RAW, działającego jawnie lub pod przykrywką. I wszyscy mieli dość rozumu, żeby z nim nie walczyć.

– A teraz prowadzą z nami wojnę – westchnął ponuro mój kontakt. – Brylant kruszy perłę.

Dobiegł nas jakiś odgłos, może zgrzyt zmienianych biegów w oddali; przyczailiśmy się w zaroślach, wpatrując się w tunel drogi. Potem usłyszeliśmy charakterystyczne pokasływanie ciężarówki wspinającej się pod górę. W polu naszego widzenia pojawił się wysoki, rozchwiany pojazd, który zaczął sunąć w dół zbocza ku nam.

– To nasz?

– Nasz – potwierdził mój kontakt, pociągając mnie za sobą.

Zbliżyliśmy się do skraju jezdni, gdzie mój towarzysz zamachał małą, świecącą na niebiesko latarką. Kierowca zahamował z piskiem i stanął na jałowym biegu.

Z bliska przekonałem się, że za ciężarówką jechał jeep ze zgaszonymi reflektorami. Przystanął w cieniu większego samochodu.

Mój kontakt zaprowadził mnie do jeepa. Zerknąłem na pakę ciężarówki. Na belach bawełny siedziało piętnaście lub więcej osób.

– Wsiadasz do jeepa – polecił mój kontakt.' – Jesteś dziennikarzem, pamiętasz? Nie możesz się tłuc z pospólstwem.

Na potrzeby tej akcji stałem się Jamesem Davisem, Kanadyjczykiem, miejscowym korespondentem Agencji Reutera. Moje dokumenty były nieskazitelne. Sam je zrobiłem.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, wiedząc, że pewnie nigdy więcej się nie spotkamy i że któryś z nas – o ile nie obaj – nie przeżyje następnego roku. Mój towarzysz pochylił się blisko.

– Pamiętaj, zamelduj się w Castlereagh i nie rzucaj się w oczy. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin ktoś się z tobą skontaktuje. Powodzenia. Niech *Maa* Durga ma cię w swojej opiece.

– I ciebie.

Mój kontakt wspiął się na pakę ciężarówki i usiadł na beli bawełny. Pomachał mi z uśmiechem.

Przez chwilę wydawało mi się, że widzę tron z worków na dziedzińcu Rowerowych Zabójców, ale zajęty przez duchy wojny, a nie przez płatnych asassynów.

Usiadłem w jeepie, uścisnąłem rękę kierowcy i dwóm młodym mężczyznom z tyłu. Ciężarówka ruszyła, a my za nią. Widziałem twarz mojego przewodnika, majaczącą w cieniu, który unosił go na południe. Mężczyzna nie spuszczał ze mnie oczu.

Ludzie, którzy tak jak ja brzydzą się zbrodnią, często pytają, dlaczego przestępcy tacy jak ja dopuszczają się jej.

Jedna z ważnych odpowiedzi brzmi tak, że droga występku jest zawsze łatwiejsza – dopóki nie rozpadnie się pod ciężarem pożądania. Jedna z mniej ważnych odpowiedzi brzmi tak, że gdy gra toczy się o życie i wolność, często spotyka się wyjątkowych ludzi. W innym życiu kierowaliby fabrykami lub dowodzili armiami. W dżungli, na wygnaniu, byli moimi przyjaciółmi, ponieważ przyjaciel to ktoś, kto jest gotów umrzeć u twojego boku. A trudno znaleźć ludzi gotowych umrzeć u boku kogoś, kogo prawie nie znają – chyba że zna się wielu policjantów, żołnierzy lub banitów.

Ciężarówka skręciła w boczną drogę. Twarz mojego przewodnika znikła w cieniu. Nigdy więcej nie widziałem go ani o nim nie słyszałem.

Jechaliśmy przez dwadzieścia minut. Potem kierowca zatrzymał jeepa na polance

obok drogi.

– Przygotuj paszport i dokumenty. Miniemy parę punktów kontrolnych. W niektórych znajdują się załogi, w innych nie. Przez jakiś czas było tu spokojnie. Włóż to.

Podał mi kamizelkę kuloodporną z napisem PRASA na piersi. Kierowca i dwaj mężczyźni z tyłu także takie włożyli, a kierowca przykleił do szyby biały napis o takiej samej treści. Minęliśmy rozproszone chaty i szałasy. Potem dotarliśmy do pierwszych większych domów. To, co wydawało mi się łuną płonącego lasu na horyzoncie, okazało się jasno oświetlonym miastem zaledwie dziesięć kilometrów od nas.

Przejechaliśmy przez trzy puste punkty kontrolne, za każdym razem zwalniając tak, że niemal pełzliśmy, po czym przyspieszając nagłym zrywem. Okrążyliśmy miasto i w niespełna godzinę dotarliśmy na górujące nad nim Orr's Hill z hotelem Castlereagh.

– Mieliśmy cholerne szczęście – powiedział kierowca, zatrzymując jeepa na podjeździe. – Dziś przyjechała hollywoodzka aktorka z pokazem dla hinduskich żołnierzy. Pewnie nie mogli się oderwać.

– Dzięki za pomoc.

– Nie ma sprawy – odparł z uśmiechem. – Niech Jezus będzie z tobą, towarzyszu.

– I z tobą.

Jeep wycofał się z podjazdu i odjechał z rozpędem. Miejscowi bojownicy byli muzułmanami, hinduistami i chrześcijanami, a każdy używał słowa „towarzysz". Zawsze byli to kanciarze z czarnego rynku, mężowie ograniczonego zaufania. Ten pomysł z towarzyszami był czymś nowym. Zastanawiałem się, jakie inne niespodzianki przygotował dla mnie Sanjay.

Zarzuciłem plecak na ramię i spojrzałem na spiczasty dach hotelu Castlereagh. Budynek był utrzymany w stylu kolonialnym, jak wiele innych, które budowali dla siebie biali wszędzie, gdzie zdołali ukraść złoto. Złoto w kamizelce ściskającej mi pierś wracało do miejsca, z którego je wywieziono, a mnie bardzo się spieszyło, żeby się z nim rozstać.

Zatrzymałem się i przepowiedziałem sobie swoje nowe dane. Przemytnik musi przez jakiś czas żyć z nowym fałszywym nazwiskiem i akcentem, zanim zacznie ich używać. Jako zbieg, za którego głowę wyznaczono nagrodę, miałem już całą kolekcję akcentów, które ćwiczyłem przy każdej okazji.

*Jestem James Davis. James. Nazywam się James Davis. A może nie. Jestem Jim Davis. Czy w dzieciństwie nazywano mnie Jimmy? Jim Davis, miło mi. Nie, proszę, mów mi Jim.*

Gdy już znalazłem godne zaufania fałszywe imię, ruszyłem ku nowemu życiu, jakie miałem przez jakiś czas prowadzić. Mój towarzysz, mój kontakt, który odjechał jako cień na pace ciężarówki, dzięki wojnie nie znał tego problemu, Kiedy nie znajdował się w towarzystwie osób kochanych lub zaufanych, w ogóle nie używał imienia.

Ruszyłem po schodach z granitowych płyt, przeszedłem przez drewnianą werandę i zapukałem do drzwi z wprawionymi ozdobnymi szybkami. Po paru chwilach przez szparę spojrzał na mnie nocny portier.

– Davis – rzuciłem, bez trudu przechodząc na kanadyjski akcent. – Jim Davis. Mam rezerwację.

Portier wpuścił mnie, starannie zamknął drzwi na klucz i zaprowadził mnie do recepcji, gdzie wpisał dane z mojego paszportu do księgi wielkiej jak połowa stołu bilardowego. Trochę to trwało.

– Kuchnia jest zamknięta – powiedział w końcu, przewracając kolejne karty księgi aż do okładki. – W tej chwili mamy bardzo niewielu gości. Sezon zacznie się na dobre za trzy miesiące. Ale możemy zaproponować panu zimne przekąski i jeśli pan sobie życzy, mogę przyrządzić bardzo dobrego drinka, naszą specjalność.

Recepcjonista przemierzył wielki hol i włączył lampę stojącą obok wygodnej, krytej płótnem kanapy. Znowu przeszedł zwinnie przez pomieszczenie i otworzył drzwi do łazienek. Tu także zapalił światło i wziął ręcznik z wieszaka.

– Czy chciałby się pan odświeżyć? – spytał.

Byłem głodny i spragniony. Nie chciałem poświęcać kolejnej półgodziny na tworzenie w hotelowym pokoju bezpiecznej skrytki na moją kamizelkę ze złotem. Dopóki miałem ją na sobie, była bezpieczna.

Przyjąłem ręcznik, umyłem twarz i ręce, a potem usiadłem na kanapie, gdzie już czekało na mnie przygotowane miejsce.

– Pozwoliłem sobie przygotować napój – powiedział recepcjonista, stawiając przede mną wysoką szklankę. – Z kokosem, świeżą limetką, odrobiną imbiru, szczyptą płatków gorzkiej czekolady i paroma moimi tajnymi składnikami. Jeśli panu nie posmakuje, przygotuję inny według pańskiego gustu.

– Na razie zdam się na pański, panie… mogę poznać pańskie imię?

– Ankit. Na imię mam Ankit.

– Ładne imię. „Kompletny”. Jestem Jim.

– Zna pan indyjskie imiona?

– Znam. Skąd pochodzisz?

– Z Bombaju – powiedział, stawiając przede mną tacę kanapek. – Jak pan.

Był albo moim kontaktem w hotelu, albo wrogiem. Miałem nadzieję na to pierwsze. Kanapki wyglądały smakowicie.

– Chcesz usiąść?

– Nie mogę – odparł cicho. – To by nie wyglądało dobrze, gdyby ktoś wszedł. Ale dziękuję. Wszystko w porządku?

Oznaczało to: „Czy przywozisz z sobą jakieś kłopoty?”. Było to uzasadnione pytanie.

– Wszystko dobrze – odparłem, porzucając kanadyjski akcent. – Punkty kontrolne były puste. Szczęście nam dopisało. Do miasta przyjechała jakaś gwiazda filmowa na występy dla żołnierzy.

Ankit odetchnął i oparł się o fotel. Był nieco wyższy ode mnie, chudy. Miał jakieś czterdzieści pięć lat, gęste siwe włosy, przenikliwe oczy i wysportowaną sylwetkę. Domyśliłem się, że te pewne siebie, wdzięczne ruchy zawdzięcza boksowi lub jakiejś innej sztuce walki.

– Przygotowałem opcje wegetariańską i niewegetariańską – oznajmił, wskazując kanapki.

– W tej chwili jestem tak głodny, że odpowiada mi nawet wersja serwetkowa. Mogę się poczęstować?

– Jedz! Jedz! – rzucił w hindi. – Napełnię ci brzuch, podczas gdy ty napełnisz swoją głowę informacjami, by się tak wyrazić.

Zjadłem wszystko. Koktajl także mi smakował. Mój kontakt Ankit, hinduista z Bombaju, w trakcie wojny, w której brali udział buddyści, muzułmanie i inni hinduiści, był dobrym gospodarzem i cennym źródłem informacji. Gdy ja się posilałem, on wymieniał wymogi mojej dwu- łub trzydniowej roli dziennikarza.

– I przede wszystkim musisz codziennie przed dwunastą w południe zgłaszać się w punkcie kontroli, żeby dostać pieczątkę – zakończył. – To konieczne. Jeśli będziesz tu kilka dni, a oni doszukają się jednego zaniedbania, zostaniesz zatrzymany. Miałeś kiedyś poczucie, że jesteś niepożądany?

– Nie ostatnio.

– No, jeśli opuścisz jeden dzień, a oni cię złapią, poczujesz się, jakby wszechświat już cię nie chciał.

– Dziękuję. Czy ktoś jeszcze zachował tu poczucie humoru? Wszechświat już mnie nie chce? To tak przygnębiająca myśl, że poproszę natychmiast o twój wyjątkowy koktajl.

– Tylko nie zapomnij o pieczątce – rzucił ze śmiechem, wracając do małego baru.

Potem jeszcze kilka razy wracał do tego baru. Po trzecim straciłem rachubę, bo wszystko jakby się zapętliło, jakbym patrzył, jak ten sam liść nieustannie przepływa obok mnie, niesiony nurtem strumienia.

Nie byłem pod wpływem narkotyków. Ankit był cholernie dobrym barmanem: takim, który dokładnie wie, na ile chcesz się upić. Mówił cicho, serdecznie i cierpliwie, choć po jakimś czasie przestałem rozumieć jego słowa. Zapomniałem o misji i firmie Sanjaya. Kwiaty tak wielkie, że nie mogłem ich objąć, napierały na moje powieki, usiłując je zamknąć. Runąłem powoli, miękko, niemal bezcieleśnie, w puchowe płatki.

Ankit mówił.

Zamknąłem oczy.

Białe kwiaty stały się rzeką. Zaniosła mnie do spokojnego miejsca wśród drzew, gdzie rzucił się na mnie oszalały z radości pies, który oparł mi łapy na piersi.

# 34

– Davis!

Pies drapał i podkopywał krawędź snu, usiłując mnie zawlec z powrotem do tego miejsca, tej świętej przestrzeni.

– Davis!

Otworzyłem oczy. Nadal siedziałem na sofie, ale Ankit podłożył mi poduszkę pod głowę i przykrył mnie kocem. Moja ręka sama sięgnęła do kieszeni kurtki po mały pistolecik. Odetchnąłem głęboko i przekonałem się, że kamizelka ze złotem wciąż krępuje mi pierś.

Dobrze.

Nade mną stał obcy człowiek.

Niedobrze.

– Cofnij się, przyjacielu.

– Jasne, jasne – rzucił mężczyzna, prostując się i podając mi rękę. – Jestem Horst.

– Często budzisz ludzi, żeby się z nimi przywitać?

Horst parsknął śmiechem. Głośnym. Zbyt głośnym.

– Dobra, zrób mi przysługę. Nie śmiej się tak, dopóki nie wypiję dwóch kaw.

Znowu się roześmiał. Bardzo głośno.

– Wolno łapiesz, co?

Znowu się roześmiał. Potem podał mi filiżankę gorącej kawy.

Była doskonała. Nie możesz nie lubić kogoś, kto przynosi gorącą, mocną kawę, gdy zaledwie cztery godziny temu upiłeś się w trzydzieści minut.

Przyjrzałem mu się.

Jego błękitne oczy były jakby wypłowiałe od słońca. Głowa wydała mi się nienaturalnie wielka. Uznałem, że to przez kokosowo-limetkowe drinki Ankita, ale potem wstałem i przekonałem się, że jego głowa naprawdę jest nienaturalnie wielka.

– Ależ ty masz wielką głowę – powiedziałem, ściskając mu dłoń. – Grałeś kiedyś w rugby?

– Nie – odparł ze śmiechem. – Nie wyobrażasz sobie, jak trudno jest mi dobrać kapelusz.

– Faktycznie – zgodziłem się. – Nie wyobrażam sobie. Dzięki za kawę.

Ruszyłem przed siebie. Na dworze panował jeszcze półmrok. Chciałem iść do siebie i jeszcze trochę pospać.

– Ale musisz się zgłosić w punkcie kontrolnym – dodał Horst. – I wierz mi, tuż po świcie jest dla nas znacznie bezpieczniej niż o jakiejkolwiek porze dnia, *ja*.

Nadal miałem na sobie kamizelkę z napisem PRASA. Horst zapraszał mnie na wyprawę jako kolegę dziennikarza. Jeśli miałem to zrobić, to lepiej w towarzystwie. Koniec snu.

– Dla jakiej gazety pracujesz? – spytałem.

– „Der Spiegel". Właściwie to jestem pracującym dla niej freelancerem. A ty?

– Od dawna tu jesteś?

– Na tyle długo, żeby znać najbezpieczniejszy moment na zgłoszenie się do punktu kontrolnego.

– Mam czas się umyć?

– Tylko szybko.

Pobiegłem na górę, rozebrałem się, wziąłem zimny prysznic, wytarłem się i na nowo ubrałem w kamizelkę. Zajęło mi to sześć minut.

Zbiegłem po schodach, ale w holu nikogo nie było.

Światło świtu miało dokładnie tę samą intensywność co oświetlenie pokoju: blask bez cieni.

Ciszę zmącił cichy chrobot. Ogrodnicy już pracowali.

Wyszedłem na długą, szeroką werandę dokładnie nad otwartą raną trawnika wokół hotelu – raną, którą dżungla nieustannie starała się zagoić.

Kilku służących pieliło, cięło i rozpylało herbicydy; front walki miasta z naturą. Gdy przez chwilę przyglądałem się im, czekając na Horsta, w szumie wiatru usłyszałem głos dżungli.

„Daj nam dwadzieścia pięć lat. Opuść to miejsce. I wróć dwadzieścia pięć lat później. Zobaczysz. Zaleczymy cały ten ból".

– Chciałbym, żeby paru tych gości pracowało u mnie – odezwał się Horst, stając obok mnie. – Moja dziewczyna ma dom w Normandii, przepiękny, ale wymaga mnóstwo pracy. Kilku tych gości załatwiłoby wszystko w oka mgnieniu.

– To Tamilowie – powiedziałem, patrząc, jak przemykają po roziskrzonych rosą trawnikach. – Tamilowie przypominają Irlandczyków. Są wszędzie. Jeśli dobrze poszukasz, i w Normandii znajdziesz ciężko pracujących Tamilów.

– Skąd wiesz, że to Tamilowie? – spytał podejrzliwie Horst.

Odwróciłem się do niego. Potrzebowałem kolejnej kawy.

– Odwalają brudną robotę.

– A, no tak, tak – odparł ze śmiechem.

Nie chciałem go rozbawić. Nie śmiałem się. On także stłumił rozbawienie.

– Powiedziałeś, że dla której agencji pracujesz?

– Nie powiedziałem.

– Lubisz tajemnice, co?

– Ta strzelanina to tylko dekoracje. Prawdziwa wojna toczy się między nami, dziennikarzami.

– Co ty opowiadasz? – rzucił nerwowo. – Spytałem tylko, dla kogo pracujesz, to wszystko.

– Widzisz, jeśli zaprzyjaźnię się z tobą, opowiem o temacie, a potem dowiem się, że mi go ukradłeś, będę musiał cię dopaść i pobić. A to by nie było dobrze.

Łypnął na mnie podejrzliwie. Oczy mu zabłysły.

– Reuter! Tylko gnojki od Reutera są takie zawistne.

Potrzebowałem następnej kawy. Obok mnie pojawił się Ankit ze szklaneczką jakiegoś płynu.

– Liznąłem, że przyda się panu coś na wzmocnienie, jeśli wybaczy pan tę impertynencję – powiedział. – Droga, którą musi pan dziś przebyć, nie jest łatwa.

Wypiłem płyn, który okazał się sherry, i to cholernie dobrą.

– Ankit – oznajmiłem uroczyście – właśnie zostaliśmy krewnymi.

– Doskonale – zgodził się Ankit sympatycznie.

– E, ty – zaczepił go Horst. – Mógłbyś z łaski swojej dowiedzieć się, czy ci goście mają pozwolenie na pracę poza Sri Lanką?

Powstrzymałem odpowiedź Ankita gestem ręki.

– To co, Horst, ruszamy, zanim niedźwiedzie się wybudzą?

– Niedźwiedzie? – zdziwił się. – Tu nie ma niedźwiedzi. Są tygrysy. Tamilskie Tygrysy. Pojebane skurwiele. Noszą przy sobie kapsułki z trucizną, na wypadek gdyby

ich złapano.

– Co ty nie powiesz.

– Chyba nie uświadamiają sobie, że kiedy to robią – kiedy tak popełniają te samobójstwa – druga strona tym gwałtowniej stara się wyrzucić ich z kraju.

– Idziesz czy nie?

– Dobra, dobra, nie wyskakuj z gaci.

– Co?

– Nie wyskakuj z gaci – powtórzył z irytacją, przechodząc przez trawnik.

– Od razu ograniczenia – mruknąłem, idąc za nim na jezdnię.

Walki w Trikunamalai ustały i kruche zawieszenie broni trwało od kilku tygodni. Niemiecki personel „Spiegla" wrócił do domu i czekał na inne przydziały. Horst, austriacki korespondent, został.

Czekał na nowy temat, taki, który tylko on jeden opisze. Pewnie nawet miał nadzieję, że Tamilskie Tygrysy rozpoczną atak w tych okolicach i że jego spłowiałe oczy jako pierwsze zobaczą nową wojnę.

Był wysokim, zdrowym, wykształconym młodym mężczyzną, zakochanym pewnie w miłej, mieszkającej na farmie w Normandii dziewczynie, a marzył o nowej wojnie na Sri Lance. „Dziennikarstwo – powiedział kiedyś Didier Randżitowi, gigantowi mediów – to lekarstwo, które staje się chorobą".

– Nie masz aparatu fotograficznego? – spytał Horst po piętnastu minutach rozmowy o nim samym.

– Z doświadczenia wiem, że w punktach kontrolnych źle widzą jakiekolwiek aparaty oprócz ich własnych.

– To prawda – zgodził się – ale wczoraj na drodze leżała odcięta głowa. Pierwsza od miesiąca.

– Aha.

– I… jeśli dziś znowu jakąś zobaczymy… nie podzielę się z tobą zdjęciami.

– Dobrze.

– Nie moja wina, że nie wziąłeś aparatu.

– Rozumiem.

– Po prostu mówię, żeby było jasne, w porządku?

– Nie chcę twoich zdjęć odciętej głowy. Nie chcę o nich nawet myśleć. Jeśli znajdziesz na drodze odciętą głowę, możesz ją sobie wziąć.

Na jezdni, zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej, znaleźliśmy odciętą głowę.

Początkowo myślałem, że to złudzenie, dynia lub tykwa nadziana na kij w ramach makabrycznego żartu. Po paru krokach przekonałem się, że to martwy chłopiec, szesnasto- lub siedemnastoletni. Jego głowa była zatknięta na bambusowej tyczce, wbitej w ziemię na taką głębokość, że twarz spoglądała w oczy wszystkim przechodniom.

Oczy miał zamknięte. Usta szeroko otwarte.

Horst nastawił ostrość.

– A nie mówiłem? – rzucił. – A nie mówiłem?

Ruszyłem przed siebie.

– A ty, dokąd? – zawołał za mną.

– Dogonisz mnie.

– Nie, nie! Na tej drodze nie jest bezpiecznie. Dlatego chciałem z tobą iść. Powinieneś ze mną zostać, dla własnego bezpieczeństwa.

Szedłem dalej.

– Dwóch przez dwa dni! – rzucił Horst. – Coś się dzieje. Czuję to! Wiedziałem. Dobrze, że zostałem.

Strzelał fotkę za fotką.

„Klik-klak. Klik-klak".

Zabicie dziecka to zbrodnia, ale nadzianie jego głowy na tyczkę to grzech, a grzech zawsze domaga się ekspiacji. Moje serce pragnęło znaleźć jakiś sposób, żeby oddać głowę chłopca jego rodzicom, pomóc im znaleźć resztę jego ciała i złożyć je na wieczny spoczynek.

Nie mogłem słuchać serca. Nie mogłem nawet położyć tej odciętej głowy na ziemi, choć instynkt krzyczał we mnie, żebym to zrobił. Miałem kamizelkę pełną złota i paszportów, miałem własny paszport, równie fałszywy jak akredytacja. Byłem przemytnikiem, dostałem zadanie do wykonania i musiałem odejść.

Idąc, opłakiwałem tego chłopca, kimkolwiek był, cokolwiek zrobił. Szedłem, znowu odnalazłszy moją twardą twarz, starając się zgubić wszystkie myśli w dżungli rozświetlonej przelotną aureolą słonecznego blasku między burzami.

Drzewa, bujne, wysokie i silne, wznosiły się nad zaroślami krzaków i roślin, czasem sięgających do pasa, czasem do ramion. Z liści spadały krople ostatniego deszczu, lądując w grubych korzeniach drzew, jakby wierni wylewali pachnące olejki na stopy

drzewnych świętych, których uniesione ramiona gałęzie i milion dłoni liści wymodliły burzę znad morza. „Jeśli drzewa nie wymodlą deszczu, to deszcz nie spadnie”, powiedziała kiedyś Lisa, gdy wybiegliśmy, by cieszyć się ciepłą monsunową ulewą. Wiatr znad morza uspokajał wstrząśnięte burzą drzewa. Konary kołysały się, pieniste liście falowały w szumie fal na brzegu nieba. Ptaki unosiły się w powietrzu i pikowały w dół, znikając w ścianach zieleni i znowu z nich wypryskując. Ich cienie migotały na mokrej drodze.

Natura leczyła mnie, tak jak ma to w zwyczaju, gdy się jej pozwoli. Przestałem opłakiwać skrzywdzone dziecko przy drodze, a także skrzywdzone dziecko w moim sercu. Przestałem powtarzać słowa „odcięta głowa”.

Z północy nadjechał samochód, odrapany biały sedan z reflektorami zaklejonymi gwiazdami czarnej taśmy. Za kierownicą siedziała kobieta. Tęga. Niska. Koło trzydziestki. W błękitnym jak niebo hidżabie.

Zatrzymała samochód tuż obok mnie i wychyliła się, żeby opuścić szybę.

– No i co tu odpierdalasz? – poinformowała się.

– E…

– Nie mów.

– Przecież spytałaś.

– Wsiadaj.

Wsiadłem.

– Jesteś skasowany – oznajmiła z grymasem pogardy, mierząc mnie spojrzeniem od stóp do głów.

– *Salaam aleikum* – powiedziałem.

– Jesteś skasowany – powtórzyła.

– *Salaam aleikum.*

– *Wa aleikum salaam* – odwarknęła, łypiąc na mnie gniewnie. – Musimy spadać.

Ruszyła, ale po paru sekundach zobaczyliśmy Horsta, nadal stojącego nad głową dziecka. Walczył o to najlepsze z możliwych ujęcie. Kobieta chciała go minąć, ale zatrzymałem ją jakieś dziesięć metrów od dziennikarza.

– Będzie zadawać pytania, jeśli mu zniknę. Załatwię to.

Wysiadłem i pobiegłem do Horsta.

– Co się dzieje? Kto z tobą jest?

– Właśnie się dowiedziałem – rzuciłem bez tchu. – Walki znowu się zaczęły. Spadam

stąd. Podwieźć cię do hotelu?

Zmrużył oczy i spojrzał na północ w stronę opuszczonej drogi.

– Nie, chyba zostanę. Jedź sam. Wszystko w porządku.

– Nie chciałbym cię zostawiać, kiedy robi się niebezpiecznie.

– Nie, nie, poradzę sobie. Sprawdzę w punkcie kontrolnym, co się dzieje. Jedź.

Przełożył aparat z ręki do ręki i wyciągnął do mnie dłoń. Uścisnąłem ją.

– Powodzenia – powiedziałem.

– I wzajemnie. Zrobisz coś dla mnie? Skoro wyjeżdżasz, zachowaj to dla siebie jak najdłużej. Dobrze?

– Nie ma problemu. Cześć, Horst.

Ale on już odszedł, przygotowując aparat.

„Klik-klak".

Wsiadając do samochodu, ujrzałem Niebieski Hidżab, trzymającą pistolet w ręce. Mierzyła we mnie.

– Wszystko dobrze – rzuciłem.

Odjechała z piskiem opon, kierując jedną ręką. Dłonią z pistoletem zmieniała biegi, co mnie denerwowało, tak że wzdrygałem się, gdy gwałtownie trącała dźwignię.

– Co was łączy, gołąbeczki? – rzuciła – Gruch, gruch, gruch. Co mu gruchałeś?

– To, co chciał usłyszeć. Zastrzelisz mnie?

Zastanowiła się poważnie.

– Nie wiem – oznajmiła w końcu. – Co powiedziałeś temu człowiekowi? Po czyjej stronie jesteś?

– Mam nadzieję, że po twojej. A jeśli do mnie strzelisz, zrobisz dziurę w jednym z paszportów.

Skręciła na polankę wśród drzew. Wyłączyła silnik i ujęła broń obiema rękami.

– Myślisz, że to śmieszne? Zniszczyli mi przykrywkę, na którą pracowałam dwa lata, tylko po to, żebym pojechała po ciebie do hotelu, zabrała rzeczy i odwiozła cię na lotnisko.

– Przykrywkę? A ty co, jesteś szpiegiem?

– Zamknij się.

– Aaa…. Dobrze, kim jesteś?

– Znajduję cię na drodze, samego – podjęła, wpatrując się we mnie enigmatycznie. –

Potem zatrzymujesz się, żeby porozmawiać z obcym. Przekonaj mnie, że to nie jest błąd, albo na Allaha, strzelę ci w łeb i zabiorę złoto z twojego trupa.

– Jeśli znasz święty Koran – odparłem – wystarczy mi podać numer wersu.

– Że, kurwa, co?

– Dwa dwieście i dwadzieścia cztery.

– Krowa – prychnęła, podając nazwę koranicznego wersetu. – Wyśmiewasz się ze mnie? Twierdzisz, że jestem gruba?

– Oczywiście, że nie jesteś. Masz krągłości.

– Daruj sobie.

– Sama zaczęłaś.

– O co chodzi z tym wersetem, mądralo?

– Jeśli nie jesteś muzułmanką i zamierzasz się nauczyć paru wersetów Koranu, wers dwa dwieście dwadzieścia cztery stanowi niezły początek. „I nie czyń imienia Allaha pretekstem w swoich przysięgach przeciwko czynieniu dobra, pobożności…”.

– „…i szerzenia pokoju wśród ludzi” – dokończyła, uśmiechając się po raz pierwszy.

– Zrobimy to? – spytałem, zaczynając się wyzwalać z kamizelki.

Kobieta włożyła broń do kieszeni spódnicy, otworzyła tylne drzwi samochodu i podniosła siedzenie tylnej kanapy.

Pod otwieraną płytą znajdowała się kryjówka. Gdy oddałem kamizelkę, Niebieski Hidżab dokładnie sprawdziła wszystkie kieszenie i paszporty. Uspokojona, włożyła kamizelkę do kryjówki i ukryła ją pod zatrzaskiwaną płytą. Siedzenie opadło na miejsce, a my wróciliśmy do samochodu.

– Zatrzymamy się w hotelu – rzuciła moja towarzyszka, ruszając. – Musisz się wymeldować. Potem staniesz się duchem.

– Duchem?

– Zaniknij się. Jesteśmy. Wejdź, zabierz rzeczy i wymelduj się. Ja zatankuję i spotkamy się za kwadrans. Ani sekundy dłużej.

– Czy…

– Wynocha!

Wysiadłem. Wbiegłem po schodach, minąłem recepcję.

– Panie Davis! – zawołał ktoś.

Był to Ankit, całodobowy recepcjonista, który stał na tle wykuszowego okna. Miał w

ręce tacę.

– Widziałem Niebieski Hidżab – powiedział, kiedy się do niego zbliżyłem – i pomyślałem, że będziesz tego potrzebować.

Pociągnąłem długi łyk drinka.

– Nie nazwali cię Kompletnym bez powodu, Ankit.

– Robię, co mogę. Pańskie rzeczy są na recepcji. Musi pan się tylko podpisać, jeśli jest pan gotowy.

– Zróbmy to.

– Ma pan przed sobą sześciogodzinną jazdę. Będę tu, jeśli zechce pan poświęcić minutę na odświeżenie się.

Gdy wróciłem, Ankit czekał z drugim drinkiem. Na kontuarze obok mojego plecaka leżała paczka kanapek, woda oraz dwie butelki napoju gazowanego.

Podałem Ankitowi mały zwitek pieniędzy. Około pięciuset amerykańskich dolarów.

– Nie, nie mogę tego przyjąć – powiedział. – To za dużo.

– Może nigdy więcej się nie zobaczymy. Nie rozstawajmy się poróżnieni.

Uśmiechnął się i schował pieniądze.

– Kanapki podtrzymają cię na siłach, a to może pomóc, jeśli sytuacja z Niebieskim Hidżabem stanie się… napięta.

Były to grudka haszyszu i paczka papierosów.

– Czy powinienem zapalić hasz, jeśli sytuacja z uzbrojoną agresywną kobietą stanie się napięta?

– Nie. Ale ona powinna.

– Niebieski Hidżab pali hasz?

– Uwielbia go – oznajmił Ankit, pakując napoje i jedzenie do mojego plecaka. – Jak kot kocimiętkę. Ale oszczędzaj go jak najdłużej. Robi się wredna, kiedy hasz się skończy.

Na dworze rozległ się pisk opon hamującego samochodu. Trzykrotnie ryknął klakson.

– Wyobraź sobie, że to Durga, dosiadająca tygrysa wojownicza bogini, i odpowiednio ją traktuj.

– Czyli dokładnie jak?

– Bądź pełen szacunku, oddany i strwożony – wyjaśnił Ankit, kołysząc filuternie głową.

– Miło było mi cię poznać, nowy stary przyjacielu. Żegnaj.

W drzwiach odwróciłem się i spojrzałem na niego. Uśmiechał się i machał mi ręką. Spojrzałem na samochód; Niebieski Hidżab wycelowała we mnie palec jak pistolet i warknęła silnikiem.

Ruszyliśmy z rykiem, kierując się na południe w stronę Colombo. Niebieski Hidżab pochyliła się nad kierownicą, ściskając ją do pobielałych kostek.

Po dziesięciu minutach słuchania zgrzytania jej zębów postanowiłem się odezwać:

– Poznałem twojego męża Mehmu.

– To po to przerwałeś błogą ciszę? Żeby wspomnieć mojego cholernego męża?

– Błogą ciszę? Większej błogości zaznałem podczas przesłuchania.

– Do diabła z tobą – warknęła, ale rozluźniła się, jakby wściekłość ją opuściła. – Byłam… napięta. I nie chcę się bardziej spiąć.

Zażartowałbym, ale miała broń.

Dobrze prowadziła. Przez jakiś czas analizowałem jej styl, kiedy wymijała ciężarówki, zwalniała przy tymczasowych zaporach i pokonywała ostre zakręty. Uwielbiam jeździć z kierowcą, któremu można ufać. To jak śmiertelnie niebezpieczna górska kolejka.

Czułem się jak w bańce poruszającej się w czasie i przestrzeni. Cienie drzew pochylały się nad samochodem, starając się nas pocieszyć. Lasy się skończyły i pojawiły się domy ogrodzone płotami – paciorki na kolejnym różańcu cywilizacji.

– Wczoraj strzeliłam do człowieka – odezwała się Niebieski Hidżab po chwili.

– Przyjaciela czy wroga?

– A to różnica?

– Tak, do cholery.

– Był wrogiem.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu.

– Zabiłaś go? – spytałem w końcu.

– Nie.

– Mogłaś go zabić?

– Tak.

– Więc miłosierdzie jest większe od hańby.

– Wal się.

– Te przekleństwa nie są za bardzo zgodne z islamem, co?

– Mówię po angielsku, więc się nie liczą, a poza tym jestem muzułmańską komunistką.

– A… no dobra.

Zatrzymała samochód w zatoczce na poboczu drogi wśród łanów kwiatów, które wystrzeliły z namokłej ziemi. Rozejrzała się i wyłączyła silniki.

– Czy Mehmu dobrze wyglądał?

– Tak.

– Naprawdę?

– Tak. Lubię go. Nawet bardzo.

Niespodziewanie zatkała. Jej łzy kapały gęsto jak krople deszczu, które zaczęły się rozbryzgiwać na oknach.

Równie szybko doszła do siebie, wytarła oczy i zaczęła otwierać torbę z kanapkami.

Znowu się rozpłakała i tym razem nie mogła przestać: jakby naraz pękły w niej wszystkie bariery. Nie wiedziałem, jakie. Nie znałem jej.

Zauważyłem półksiężyce odpryśnięć lakieru na jej paznokciach, siniak na twarzy jak ślad po męskim sygnecie, zadraśnięcia na kostkach rąk, zapach świeżego mydła bijący od jej ubrań, ręcznie upranych w hotelowej miednicy, torbę na tylnym siedzeniu z najpotrzebniejszymi rzeczami podczas szybkiej ucieczki i szybką ucieczkę jej oczu za każdym razem, gdy wyczuwała, że mogę patrzeć nie tylko w jej oczy, ale i w duszę.

Ale ta obserwacja ukazała mi tylko twardą, odważną, oddaną dziewczynę, która podczas ucieczki drobiazgowo dba o higienę, ale nie zmyła z paznokci ostatnich kolorowych śladów po roli, którą grała. Jej „dlaczego” nadal pozostawało tajemnicą, ponieważ w przypadku każdej osoby „dlaczego” zawsze przychodzi wraz z więzią. Nie potrafiłem jej pocieszyć, W torbie zauważyłem chusteczki. Podawałem je jej kolejno, aż jej łzy wyschły i łkanie ustało. Deszcz przestał padać.

Wysiedliśmy i stanęliśmy przy samochodzie. Nalałem wody w złożone dłonie Niebieskiego Hidżabu, żeby mogła sobie umyć twarz. Stała przez chwilę, wdychając aromat białych kwiatów kwitnących na otaczających nas pnączach.

Wróciliśmy do samochodu i zrobiłem jointa. Nie oddała mi go, więc zrobiłem następnego. Tego też zatrzymała, więc zrobiłem parę kolejnych.

Myśli płynęły swobodnie nad zielonym aksamitem pól na jeszcze zieleńsze pastwiska wspomnień, to miejsce w naszym wnętrzu, gdzie dusza zawsze jest turystką.

1 nie wiem, jakie wspomnienia zatańczyły przed Niebieskim Hidżabem, ale dla mnie to była Karla, wirująca i kołysząca się na imprezie. Karla.

– Umieram z głodu – powiedziała Niebieski Hidżab. – A tak przy okazji…

– Wiem. Jeśli pisnę o tym słowem, zastrzelisz mnie.

– Chciałem podziękować. Ale masz rację jak cholera. Podaj kanapkę.

Uruchomiła silnik i wyjechała wolno z zatoczki.

– Nie chcesz, żebym przez jakiś czas poprowadził?

– Ja prowadzę – warknęła, dodając gazu. – Zawsze. Daj kanapkę.

– Z czym chcesz?

– Z gówno mnie obchodzi czym. Masz taką?

– Okazuje się, że cały worek.

Przez resztę drogi nie odezwała się do mnie. Czasem mamrotała „zikr", zwrot używany na określenie boga. Raz zaczęła śpiewać refren piosenki, który urwała po paru taktach.

Gdy stanęliśmy przed wjazdem na lotnisko w Colombo, Niebieski Hidżab wyłączyła silnik i spojrzała na mnie w tej nadal głuchej ciszy, równie dziwnej, jak zaskakująco smutnej.

– *I-muh'sinina* – powiedziałem.

– Dobroczyńcy? – przetłumaczyła.

– Powiedziałaś to, prowadząc.

– Masz drugi paszport?

– Oczywiście.

– Odleć pierwszym samolotem. Wracaj do domu, najszybciej jak możesz. Słyszysz?

– Wracać do domu, najszybciej jak mogę. Dobrze, mamo.

– Bądź poważny. Potrzebujesz czegoś?

– Nie powiedziałaś, dlaczego moja misja została skasowana.

– I nie powiem – odparła spokojnie.

– Jesteś bardziej nieużyta niż korespondent Reutera. Ktoś ci to mówił?

Roześmiała się i ten widok sprawił mi przyjemność.

– Idź. Natychmiast.

– Czekaj – rzuciłem. – Chcę ci coś dać. Ale musisz mi coś obiecać.

– Jakie coś?

– Obiecaj, że nie strzelisz do Mehmu… znowu. W każdym razie nie za to, co ma związek ze mną. Lubię gościa.

– Ja wyszłam za tego gościa – warknęła. – Ale dobrze, dobrze. Nie strzelę do niego. Strzeliłam raptem dwa razy, a ten do tej pory lamentuje.

Wyjąłem z kieszeni mały pistolet, z drugiej wygrzebałem zapasowe naboje i oddałem je.

– Zdaje się, że Mehmu chciał, żebym ci to oddał – powiedziałem.

Wzięła mały pistolecik w dłonie.

– Mehmu, *mehboob* – mruknęła i schowała broń do jednej z licznych kieszeni w fałdzistej kurtynie jej czarnej spódnicy. – Dziękuję.

Wysiadłem i pochyliłem się do okna, żeby się pożegnać.

– To wielki szczęściarz – oznajmiłem. – *Allah hafiz*.

– Teraz będzie miał jeszcze większe szczęście, skoro przyrzekłam do niego nie strzelać. *Allah hafiz*.

Odjechała, a ja poszedłem pieszo na lotnisko.

Czterdzieści pięć minut później byłem już po odprawie. Dopisało mi szczęście, a może Niebieski Hidżab idealnie wszystko wyliczyła. Do odlotu samolotu została mi godzina.

Znalazłem miejsce, z którego mogłem obserwować podróżnych, przyglądać się ich twarzom i ruchom, napięciu, przejawom empatii, letargowi lub pośpiechowi, słuchać jasnych tonów śmiechu i okrzyków, czuć wibracje płaczu dziecka, rozchodzące się w sercu niemal wszystkich obecnych: moment spokoju w miejscu publicznym, obserwacji i czekania na zdanie lub finalną kadencję, które napiszą się same.

Obok mnie usiadł mężczyzna, wysoki i chudy, z krzaczastymi wąsami i zaczesanymi do tyłu włosami. Miał na sobie żółtą koszulę i białe spodnie.

– Witaj – powiedział głośno i dodał szeptem – przywitajmy się jak przyjaciele i chodźmy do baru. Jestem twoim kontaktem. Pijąc, będziemy wyglądać mniej podejrzanie.

Wyciągnął rękę. Ująłem ją i przyciągnąłem go bliżej.

– Chyba się pomyliłeś, Jack – powiedziałem, mocno ściskając jego dłoń.

– Wszystko w porządku – odparł. – Dzwoniła Niebieski Hidżab i podała mi twój opis.

Puściłem jego rękę. Wstaliśmy, przyjaciele na niby.

– Bardzo wiemy – dodał. – Uważnie ci się przyjrzała.

– Nie wiem czemu, ale mnie to nie pociesza – mruknąłem, idąc do baru.

– Fakt, cholera – przyznał mężczyzna, zarzucając mi rękę na ramiona. – W przypadku Niebieskiego Hidżabu lepiej pozostać mglistym wspomnieniem.

– O co chodzi z tymi komunistami?

– Gdy poszukujesz wojowników, dobrze zacząć od wroga twojego wroga.

– Co to znaczy?

– Nie mogę powiedzieć nic więcej.

Rozmawialiśmy, żeby zabić czas. On opowiedział mi historię, która mogła być prawdziwa, ja słuchałem jej z miną, która mogła oznaczać, że mu wierzę. Przerwałem mu, zanim zaczął następną.

– O co chodzi?

– Jak to?

– Nikt nie dostaje kontaktu na koniec misji. A Niebieski Hidżab powiedziała, że moja misja jest skasowana. O co chodzi?

Patrzył na mnie przez chwilę. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że moja cierpliwość się kończy. Bardzo słusznie.

– Nie mogę nic powiedzieć – oznajmił, odwracając wzrok.

– Możesz. I powinieneś. Co jest grane, do kurwy nędzy?

– Co jest grane?

– Coś mi grozi na tym lotnisku? Jestem w niebezpieczeństwie? Złapią mnie? Wykrztuś to z siebie, bo zaraz będziesz wykrztuszać zęby.

– Nie, ty nie jesteś w niebezpieczeństwie – rzucił szybko. – Jesteś niebezpieczeństwem. Mam cię przypilnować, żebyś nie zrobił nic szalonego.

– Szalonego?

– Szalonego.

– Na przykład czego?

– Nie powiedzieli.

– A ty nie spytałeś?

– Nikt nie pyta. Wiesz o tym.

Spojrzeliśmy na siebie.

– Jak miałeś postąpić, gdybym zrobił coś szalonego?

– Załatwić sprawę z policją, wywieźć cię z kraju i jak najszybciej odstawić do Bombaju.

– To wszystko?

– Przysięgam. I nie wiem nic więcej.

– Dobrze. Dobrze. Przepraszam za tę uwagę o zębach. Myślałem, że za chwilę wpadnę w pułapkę.

– Nie jesteś w niebezpieczeństwie – zapewnił mnie. – Ale po powrocie nie idź bezpośrednio do domu.

– Jak to?

– Zgłoś się natychmiast do firmy.

– Czy to ma coś wspólnego z tym, że misja została skasowana?

– Nie wiem. Sanjay bardzo wyraźnie powiedział, że masz się do niego zgłosić. Bardzo wyraźnie. Ale nic nie wyjaśnił.

Zapowiedziano mój lot. Uścisnęliśmy sobie ręce i mój kontakt zniknął w tłumie.

Zająłem miejsce w samolocie i jeszcze przed startem wypiłem dwa drinki. Wykonałem misję. Było po wszystkim. To moja ostatnia praca dla firmy Sanjaya. Byłem wolny i moje serce, to głupie stworzenie w podniebnym zamku, śpiewało przez całą drogę powrotną do domu.

# 35

Przybyłem do Bombaju późno, ale Leopold był nadal otwarty i wiedziałem, że prawdopodobnie zastanę w nim Didiera. Chciałem złożyć raport. Wysoki, chudy mężczyzna z lotniska kazał mi iść od razu do firmy, co było nietypowe. Zawsze miałem obowiązek spotkać się z Sanjayem dwadzieścia cztery godziny po powrocie z misji. Ta pauza była konieczna, na wypadek gdyby ktoś mnie śledził. Sanjay nie dopuszczał odstępstw od tej reguły. Ale ta misja w niczym nie przypominała zwykłych i nic tu nie miało sensu. Przed pójściem do siebie i Sanjaya chciałem usłyszeć od Didiera, co się wydarzyło pod moją nieobecność i gdzie zamieszkała Lisa.

Didier rzeczywiście powiedział mi to, ale nie u Leopolda.

W ciężkim milczeniu jechaliśmy taksówką. Na wszystkie pytania Didier odpowiadał uniesioną dłonią. Zatrzymaliśmy się w spokojnym miejscu obok wzburzonego morza, z widokiem na świątynię Hadżiego Alego.

– Lisa nie żyje – powiedział. – Przedawkowała.

– Co? Co ty mówisz?

– Umarła, Lin.

– Przedawkowała? Co?

– Rohypnol – wyjaśnił ze smutkiem.

– Nie. Nie.

– Tak. Tak.

– To niemożliwe.

Jak to możliwe, że umarła, a ja tego nie poczułem, nie poznałem tego jakoś, nie domyśliłem się?

– To fakt, mój przyjacielu. Lisa odeszła.

Stracony czas rozpadł się na okruchy, które zraniły mnie do krwi. Wszystko, co mogłem powiedzieć Lisie albo z nią zrobić, wszystkie minuty, których jej nie poświęciłem, przeszyły mi pierś. Nie było mnie z nią, kiedy przyszedł koniec.

– To nie może być prawda.

– Niestety, jest.

Moje nogi chciały uciekać albo omdleć. Świat bez Lisy. Didier objął mnie ramieniem. Oparliśmy się o mur promenady.

Siły życiowe wyparowały ze mnie. Atomy miłości, oddzielonej od Źródła, bo świat obracał się zbyt szybko, żeby je utrzymać. Niebo kryło się za czarną opończą chmur, a światło miasta na wodzie wyglądało, jakby ocean płakał. Coś we mnie umierało, a coś innego, duch, wydzierało się na wolność.

Wziąłem z trudem oddech, uspokoiłem galopujące serce i spojrzałem w oczy przyjaciela.

– A jej rodzina?

– Jest tutaj. Bardzo mili ludzie.

– Rozmawiałeś z nimi?

– Tak, a oni ze mną, dopóki nie dowiedzieli się, że przyjaźnię się nie tylko z Lisą, ale i z tobą. Przykro mi to powiedzieć, Lin, ale uważają, że to ty częściowo odpowiadasz za śmierć Lisy.

– Ja?

– Rozmawiałem z nimi o tobie, chwaliłem cię, chwaliłem twój związek z Lisą, ale mi nie uwierzyli. Nie znają cię, więc łatwiej jest im oskarżyć obcego, niż poznać prawdę. Wczoraj wyjechali ze zwłokami naszej smutnej, słodkiej Lisy.

– Zabrali ją?

– Zabrali, Lin. Bardzo mi przykro. Jestem zrozpaczony.

Samochody mijały nas całymi stadami, od świateł do świateł, po czym szeroki bulwar znowu pustoszał. Wzdłuż falochronu siedzieli ludzie, parami lub całymi rodzinami, przeważnie spoglądając na meczet Hadżiego Alego, unoszący się na morzu i rozświetlający duszę.

– Co się stało? Opowiedz mi o wszystkim.

– Na pewno chcesz to usłyszeć? Może najpierw się upijemy?

– Mów.

– A może ja bym się najpierw upił?

– Didier. Mów.

– Wiesz, ja też ją kochałem – powiedział, pociągając z piersiówki. – I przez tych parę ostatnich dni bez ciebie sporo przeżyłem.

Schował piersiówkę, wyjął mosiężną papierośnicę i wziął z niej jointa. Przez parę chwil palił go w milczeniu. Podał mi go.

– Wszystko dobrze.

– Wszystko dobrze? – powtórzył z powątpiewaniem, znowu podając mi papierosa.

– Nic nie jest dobrze, ale daję radę. No… nie bardzo. Ale powiedz, co się stało.

– To się zdarzyło w nocy po twoim wyjeździe. Chciałem…

– W nocy po moim wyjeździe? To pięć dni temu!

– Robiłem wszystko, żeby cię znaleźć. Firma Sanjaya nie pisnęła słowem, a nie mogłem odszukać Abdullaha. Chyba nadal nie wie, tak jak do niedawna ty.

„Abdullahu – szepnęło moje serce. – Gdzie jesteś?”.

– Mocno to odczuje – rzuciłem. – Lubił Lisę, a ona lubiła jego.

– Bardzo. Była jego siostrą *rakhi*.

– Siostrą *rakhi*? Nie mówiła mi. Ani on.

*Rakhi* to prosta bransoletka, którą dziewczyna zawiązuje na nadgarstku chłopca na znak, że od tej poiy musi się on zachowywać jak jej brat i nieulękle jej bronić. Bransoletka to symbol zwycięstwa nowego brata, gdy występuje on w obronie honoru siostry.

– Ja też byłem jej bratem *rakhi*, Lin.

– Kiedy to się stało?

Nie miałem pojęcia, że Lisa kiedykolwiek uczestniczyła w ceremonii *rakhi*, nie mówiąc już o tym, że wybrała Abdullaha i Didiera na braci.

– I to moja wina, że umarła – dodał Didier cicho. – Nie dopełniłem obowiązku chronienia jej pod twoją nieobecność.

Przez parę chwil palił, walcząc ze łzami. Raz zerknął na mnie i zaczął mówić, ale kiedy nasze spojrzenia się spotkały – odwrócił się. Obaj wiedzieliśmy, że to prawda: zostawiłem ją pod jego opieką, a on obiecał nad nią czuwać.

Uliczny zamiatacz szurnął miotłą o krawężnik. Spojrzał na mnie i skinął przyjaźnie głową. Przez chwilę go obserwowałem: szurnięcie i krok, szurnięcie i krok. Nadmorski bulwar, odmierzany miotłą.

– Spłatała mi figla – odezwał się Didier. – I to niładnie z jej strony, bo jej ufałem.

– Mów dalej.

– Więc… oglądaliśmy kolekcję wybornych francuskich filmów, które osobiście dla niej wybrałem, kiedy nagle zaczęła ją boleć głowa. Poszła wcześniej do łóżka, a mnie wysłała po pewne lekarstwo. Kiedy wróciłem, przekonałem się, że zostałem wywiedziony w pole. Znalazłem liścik, w którym Lisa powiadomiła mnie, że idzie na

imprezę i wróci o świcie.

Westchnął i pokręcił głową. Po twarzy spływały mu łzy.

– Dokąd poszła?

– Dowiedziałem się, że na imprezę dla hollywoodzkich gwiazd filmowych gdzieś w Bandrze. Wiesz, ile imprez odbywa się w Juhu i Bandrze co noc i jak długo trwają. Nie spodziewałem się, żeby wróciła przed świtem, więc postanowiłem czuwać przez całą noc razem z Bliźniakiem, który nigdy nie sypia, i czekać, aż Lisa do mnie zadzwoni. Wszędzie zostawiłem wiadomości, także u waszego dozorcy.

– Co chcesz mi powiedzieć? Miałeś nad nią czuwać, a ona nie żyje. Nie rozumiem.

– Słusznie mnie potępiasz.

„Kim jestem, żeby kogoś potępiać?" – pomyślałem. Lisa i mnie wykręciła sporo numerów. Parę razy długo nie mogłem zgadnąć, gdzie jest i co robi.

– Dobrze, Didier, w porządku. Rozumiem. Lisa umie… umiała… uciekać. Była w tym dobra. To nie twoja wina. Mów dalej.

– Jak już wspomniałem, zostawiłem jej wiadomość i poszedłem do hotelu Mahesh grać w pokera z George'em Bliźniakiem. Grałem w karty, kiedy nasza Lisa umierała. Jeden z ulicznych chłopców zawiadomił mnie, że znaleziono ją martwą. Wpadłem w rozpacz.

– I…

– Po sekcji zwłok…

Nie. nie. Lisa, rozcięta, z usuniętymi organami. Nie myśl o tym. Nie wyobrażaj jej sobie.

– Sekcja zwłok?

– Nie… nie było to przyjemne – wymamrotał Didier. – Raport stwierdzał, że Lisa zmarła z powodu przedawkowania środków uspokajających. Znaleziono ją samą.

– Rohypnol?

– Rohypnol. – Didier zmarszczył brwi. – Widziałeś kiedyś, żeby zażywała go dla przyjemności?

– Nigdy. To bez sensu. Nie brała środków uspokajających. Nie znosiła ich tak samo jak ja. Nie lubiła nawet ludzi, którzy je lubili.

– Policja najpierw uznała to za samobójstwo. Uważali, że umyślnie przedawkowała.

– Samobójstwo? Nigdy. Lisa jest wojowniczką.

– Była wojowniczką. Już jej nie ma.

Jeszcze nie nauczyłem się o niej mówić w czasie przeszłym. Lisa nadal była za silna; słyszałem jej figlarny śmiech za każdym razem, gdy pozwalałem sobie o niej myśleć.

– Choć na nic się jej nie przydałem, kiedy żyła – podjął Didier – dopilnowałem, żeby słowo „samobójstwo” usunięto z raportu o jej śmierci. Uznano, że przedawkowała przypadkowo. Dilip Błyskawica wydusił ze mnie za to sporą sumkę. Ten posterunek powinien się zarejestrować jako bank. Gdyby to zrobili, kupiłbym udziały.

– Kto ją znalazł? Nocny strażnik?

– Nie, Lin. Znalazła ją Karla.

– Karla?

– Powiedziała, że umówiła się na późne spotkanie z Lisą w twoim mieszkaniu. Kiedy przyszła, zastała otwarte drzwi. Weszła i znalazła Lisę. Powiadomiła strażnika, a on wezwał karetkę i policję.

– Karla?

Ziemia drżała, jakby fale zalały ulicę jak szemrzące tajemnice.

– Tak. Przeżyła straszny szok, ale to żelazna dama, jak mawiają Anglicy.

– Co… co się stało?

– Policja ją przesłuchała… używając siły fizycznej. Poradziłem Karli, żeby na jakiś czas wyjechała z miasta, ale odmówiła. To ona pomogła rodzicom lisy przejść przez te wszystkie procedury.

– Kiedy ostatnio z nią rozmawiałeś?

– Ostatnio? Wczoraj. W afgańskim kościele odbyło się nabożeństwo w intencji Lisy. Karla brała w nim udział.

– Nabożeństwo dla Lisy? Choć zabrano jej ciało?

– Tak. Karla je zorganizowała.

Tego było za wiele, za dużo ciosów w jednej rundzie. Zbyt długo czekałem na dzwonek i bezpieczny narożnik.

– Karla?

– I to bez niczyjej pomocy. Kiedy o tym wspomniała, zaproponowałem jej pomoc, ale wszystko zrobiła sama.

– Kto jeszcze przyszedł?

– Jej znajomi z galerii, paru z nas z Leopolda, Kawita, Vikram, Johnny Cygaro z żoną, Naveen Adair i Diva Devnani, Zodiakalni George’owie, Stuart Vinson i ta

Norweżka, jego dziewczyna. Rodzice Lisy już wyjechali z jej zwłokami, więc nabożeństwo przebiegło spokojnie.

– Kto przemawiał?

– Nikt. Siedzieliśmy tylko w milczeniu, a potem wyszliśmy z kościoła.

Wczoraj powinienem tam być, razem z innymi, którzy kochali Lisę. Ale ja w tym czasie patrzyłem na odciętą głowę na poboczu drogi. A wysoki, chudy człowiek ostrzegł mnie na lotnisku, żebym nie szedł do domu.

„Nie, ty nie jesteś w niebezpieczeństwie", powiedział. Nie słuchałem go uważnie. Nie uświadamiałem sobie, że to, co powiedział, ma szczególne znaczenie. Zawahał się na ułamek chwili po słowie „ty". Nie, *ty* nie jesteś w niebezpieczeństwie. Mówił mi, że niebezpieczeństwo dotyczy kogoś innego. Czy wiedział? Czy wiedział już, że Lisa nie żyje?

A potem przypomniałem sobie łzy Niebieskiego Hidżabu, jej smutek, jej przeciągłe, milczące spojrzenie, kiedy odwiozła mnie na lotnisko. Czy wiedziała o Lisie?

Lisa umarła kilka dni temu. Firma Sanjaya na pewno wiedziała; mafia wiedziała o wszystkim, co się działo na jej podwórku. Podejrzewałem, że Sanjay martwił się, iż jakoś dowiem się o Lisie na lotnisku i stracę panowanie nad sobą. Wysłał chudego mężczyznę, na wypadek gdybym naraził jego misję.

– Razem z Naveenem Adairem zrobiliśmy rozeznanie – odezwał się Didier, przyglądając mi się uważnie.

Albo ziemia się poruszała, albo kolana mi się uginały, jakbym znowu znalazł się na pokładzie „Mitratty". Nie mogłem się skupić na słowach Didiera. W głowie szumiał mi ocean. Lisa. Lisa. Lisa.

– Lin?

– Przepraszam, co?

– Sprawdziłem parę faktów. Z Naveenem.

– Jakich faktów?

– Nie sposób określić, w jaki sposób rohypnol trafił w ręce Lisy, ale dowiedzieliśmy się, kto go dostarczył.

– Ale jak?

– Przyjrzeliśmy się pigułkom z policyjnego magazynu dowodów. Mają bardzo charakterystyczne oznaczenia.

– Ukradliście dowód?

– Ależ skąd. Kupiliśmy.

– Dobra robota. I czyje to prochy?

Didier zawahał się i spojrzał na mnie badawczo. Jego twarz pokryły zmarszczki troski.

– Jeśli ci powiem, czy przysięgniesz z ręką na sercu, że nie zabijesz go beze mnie?

– Kto to był?

– Concannon – wyjawił z westchnieniem.

Ta śliska fala znowu zalała ulicę. Mocniej chwyciłem się falochronu, żeby nie upaść. Nie wiedziałem, czy to mnie się kręci w głowie, czy świat stracił równowagę. Wszystko się rozjechało.

Rozejrzałem się, usiłując otrzeźwieć. Księżyc był w nowiu. Gwiazdy świeciły jak bledsze latarnie uliczne. Za nami przepływały ławice samochodów, przed nami w zatoce przepływały ławice ryb.

– Nie zgwałcono jej – odezwał się Didier.

– Co… powiedziałeś…?

– Gdy w grę wchodzi rohypnol, zawsze istnieje podejrzenie gwałtu – wyjaśnił Didier cicho. – W raporcie policyjnym napisano, że nie było oznak gwałtu. Pomyślałem, że… powinieneś o tym wiedzieć.

Spojrzałem w dół na fale chlapiące i rozbijające się o głazy u stóp falochronu, fale wypłukujące muszelki i patyczki spomiędzy kamiennych zębów i cierpliwie masujących granitowe ramiona. Fale się śmiały. Fale płakały. Ta wspaniała żywa sekunda, kończąca się jako wiatr, morze i ziemia: fale śmiały się i płakały, wzywając mnie. Spadałem, bardzo szybko. Musiałem się wziąć w garść. Musiałem się pozbierać. Potrzebowałem motocykla.

– Muszę wracać do domu – rzuciłem.

– Oczywiście. Pójdę z tobą.

– Didier…

– Dlaczego zawsze walczysz z uczuciem, Lin? To naprawdę twoja wielka wada.

– Didier…

– Nie. Kiedy przyjaciel chce ci okazać miłość, musisz mu na to pozwolić. Czym jest miłość, jeśli nie tym?

Czym jest miłość, jeśli nie tym?

Te słowa rozbrzmiewały mi w głowie jak mantra, gdy jechałem taksówką. Umilkły

dopiero, gdy dotarliśmy do mojego mieszkania i gdy usiadłem ze strażnikiem, żeby spytać o Lisę.

Strażnik opłakiwał ją i to, kim dla niego byliśmy – zawsze radosnymi, dobrymi i hojnymi ludźmi, obecnymi na każdym święcie i urodzinach.

Gdy się uspokoił, powiedział mi, że Lisa wróciła około pierwszej po północy, z dwoma mężczyznami w czarnej limuzynie. Jeden z nich po jakimś kwadransie wrócił do samochodu i odjechał. Drugi wyszedł godzinę później. Karla przyszła parę minut po nim i wezwała strażnika.

– Znasz tych ludzi?

– Nie.

– Jak wyglądali?

– Jeden był cudzoziemcem. On wyszedł pierwszy. Mówił głośno. Szedł z dwiema laskami i krzyczał z bólu, jakby miał złamaną nogę.

– Albo dwie świeże rany postrzałowe w nodze – zauważył Didier.

– Concannon. A drugi mężczyzna?

– Nie widziałem jego twarzy. Wchodząc i wychodząc, odwrócił się ode mnie i zakrył usta chusteczką.

– Miał samochód?

– Nie. Odszedł pieszo, bardzo szybko, w stronę Navy Clubu.

– Zapisałeś numer rejestracyjny samochodu?

– Tak.

Strażnik sięgnął po księgę i podał mi numer.

– Bardzo mi przykro. Powinienem był…

– Twoja rola polega na strzeżeniu bramy, nie mieszkań. W niczym nie zawiniłeś. Lisa cię lubiła. Bardzo. I wiem, że byś ją uratował, gdybyś mógł, podobnie jak ja. To nie twoja wina.

Dałem mu zwitek pieniędzy i poprosiłem, żeby miał oczy otwarte, po czym ruszyłem po schodach do mieszkania.

Otworzyłem drzwi i przeszedłem przez salon do sypialni. To miejsce, w którym się kłóciliśmy i kochaliśmy, stało się grobem dla samotnej Lisy.

Materac, który kupiła, ponieważ spodobał jej się wzorek w koniki morskie, był odsłonięty. Zostały tylko dwie poduszki u wezgłowia i para znoszonych, ukochanych sznurkowych sandałów w stopach łóżka.

Po chwili przestałem się wpatrywać w miejsce, w którym oddech Lisy zwolnił, ucichł, ustał, zamarł, i odwróciłem wzrok. Pokój był czysty i pusty. Znikły wszystkie jej przedmioty. Spojrzałem na nieliczne moje rzeczy.

Czerwony plakat filmowy *Powiększenia* Antonioniego – sztuka i zapamiętanie stające się śmiercią i pożądaniem – drewniana końska głowa na parapecie, moje pasy wiszące na cichym lokaju w kącie, połamany miecz na regale, parę książek.

I to wszystko; tylko na tyle wypełniłem mieszkanie. Bez kwiatów, obrazów i kolorowych sarongów Lisy miejsce, które nazywaliśmy domem, stało się zimne i puste. „Czym jest cywilizacja? – spytał niegdyś Idriss. – To kobieta, która może żyć jak chce".

– W policyjnym raporcie było zdjęcie martwej Lisy na tym łóżku – odezwał się Didier, stając w drzwiach. – Chcesz je zobaczyć?

– Nie. Nie. Dziękuję.

– Pomyślałem, że cię pocieszy. Wyglądała bardzo, bardzo spokojnie. Jakby po prostu zapadła w sen… wieczny.

Zasłuchaliśmy się w ciszę odbijającą się od ścian naszych serc. Na samą myśl o zdjęciu Lisy, pogrążonej w śmiertelnym śnie, żołądek ścisnął mi się ze zgrozy.

– Lin, obawiam się, że nie jesteś bezpieczny – powiedział Didier. – Policja bardzo chce cię dopaść. Jeśli dowiedzą się, że wróciłeś do Bombaju, przyjdą tu po ciebie.

Miał rację; tak bardzo, że oprzytomniałem.

– Pomóż mi – rzuciłem, zaczynając odsuwać od ściany ciężką komodę.

Przemieściliśmy ją na tyle, żeby odsłonić tylną ściankę. Wyglądała na nietkniętą. Otworzyłem skrytkę.

– Masz zaufanego człowieka, któremu możesz powierzyć moją broń, masę pieniędzy, paszporty i pół kilo najlepszego kaszmirskiego haszu, jaki kiedykolwiek sturlał się z Himalajów?

– Tak, na sto procent.

– Chce tylko pieniędzy?

– Chce tylko pieniędzy.

– Dobrze. Wezwij go.

– Muszę nalegać, żeby przyniósł jakiś alkohol. Wiesz, ile godzin minęło, odkąd wszedłem w kontakt z alkoholem?

– Piłeś z piersiówki trzy minuty temu.

– Piersiówka – wyjaśnił łagodnie jak dziecku – się nie liczy. Mam go poprosić, żeby przyniósł też jedzenie?

– Nie chcę jeść.

– Dobrze. Jedzenie jest dla ludzi, którzy nie mają odwagi brać narkotyków. Poza tym psuje połowę efektu, jaki robi alkohol. Robiono taki test na pijanej myszy… a może to był pijany szczur…

– Zadzwoń już do niego, Didier.

Wcisnąłem parę plików rupii do wewnętrznej kieszeni mojej dżinsowej kamizelki i zwitek amerykańskich dolarów do drugiej. Odciąłem kawałek kaszmirskiego haszu, a resztę schowałem w komodzie. Przypasałem noże w pochwach.

Zatrzasnąłem ściankę komody, którą znowu przysunąłem do ściany, na wypadek gdyby do mieszkania wszedł ktoś oprócz znajomego Didiera. Didier był w otwartej kuchni, przeszukując szafki.

– Nie ma nawet sherry do gotowania – wymamrotał. Potem zauważył mnie i uśmiechnął się do mnie. – Mój człowiek, Tito, zjawi się tu za pół godziny. Jak się czujesz, przyjacielu?

– W porządku… zważywszy okoliczności – powiedziałem z roztargnieniem.

Spojrzałem na lodówkę. Zdjęcia, które Lisa przykleiła do drzwi, zdjęcia, które zrobiłem jej na jej prośbę – znikły. Zostały paski przezroczystej taśmy klejącej, obramowujące pustkę.

Uparła się, żeby to była taśma, a nie magnesy. „Nienawidzę magnesów – wyjaśniła – są zdradzieckie”.

– Jej rodzice wzięli wszystko, co należało do niej, i zabrali ze sobą – wyjaśnił Didier. – Było wiele łez.

Poszedłem do łazienki i umyłem twarz zimną wodą. Nie zadziałała. Upadłem na kolana przed muszlą i wylałem z siebie to coś ciemnego, żrącego, co we mnie zalegało.

Didier zajrzał do łazienki i zachował się przyzwoicie – wycofał się, zostawiając mnie rozsypanego na kawałki.

Znowu się umyłem i spojrzałem w lustro.

Fotografia, którą Lisa zatknęła za łazienkowe lustro, została rozdarta. Twarz Lisy znikła, została tylko moja głupia, roześmiana gęba. Wziąłem resztkę zdjęcia, podarłem i wyrzuciłem do kosza.

Siedząc z Didierem w salonie, wypiłem mocną, czarną kawę i zapaliłem mocny,

czarny kaszmirski hasz z zapasu Lisy: idealny, niebiański, tylko na specjalne okazje. Dlatego przechowywałem go z moimi rzeczami.

Gdy za sprawą Tita pojawiły się brandy i jedzenie, wypiliśmy za Lisę, za ukochaną.

Uto pomógł mi znowu odsunąć ciężką komodę.

– Niezłe – powiedział na widok broni, paszportów i pieniędzy. – Dziesięć procent.

– Załatwione.

Zaczął upychać paczki w worku.

To było moje zabezpieczenie w Mieście Wysp, stawka, którą wnosiłem do gry jako partner Didiera – wszystko, co posiadałem, oprócz tego, co nosiłem w kieszeniach lub plecaku.

Tito miał już zawiązać worek, kiedy go zatrzymałem.

– Chwileczkę.

W mieszkaniu znajdowało się miejsce, w które nie zajrzałem, a które policja mogła przeoczyć. W szafie mieliśmy piecyk gazowy. Lisa zrobiła nad nim półkę, żeby ususzyć na niej grzybki, które pewien przyjaciel przywiózł jej z Niemiec.

Otworzyłem drzwiczki i zajrzałem na półkę. W jej głębi znajdowało się pudełko po butach. Na jego ściance odczytałem słowa: POWODY.

Przyciągnąłem pudełko do siebie i zacząłem w nim grzebać. Moja dłoń zadrżała, gdy pamiątki i zdjęcia muskały ją jak wodorosty w stawie.

Były to zwykłe rzeczy: cienki, srebrny szal, który miała na sobie podczas naszego pierwszego spotkania, nakręcana zabawka, mosiężna zapalniczka Zippo, którą Didier podarował nam na parapetówce, a którą ona bała się mi dać, bo może bym ją zgubił – i na pewno bym to zrobił – psi gwizdek, w który dmuchała, gdy chodziliśmy po Marine Drive, żeby zwrócić na siebie uwagę wszystkich mijanych psów, przycisk do papieru, który zrobiłem dla niej ze srebrnych obrączek, i zbieranina kamieni, muszelek, zdjęć, amuletów i monet.

Było to pudełko pełne niczego, drobiazgów bez wartości i znaczenia dla reszty świata. „I czy to nie jest miłość, Liso?” pomyślałem, spoglądając na pudełko pełne talizmanów. „Czy to, co nie ma znaczenia dla reszty, a dla nas znaczy wszystko, nie jest miłością? Czy nie kochaliśmy, Liso? Czy nie kochaliśmy?”.

Włożyłem pudełko do worka lita, wraz z połamanym mieczem Kadirbaja i sznurkowymi sandałami Lisy. lito zawiązał mocno troki i zarzucił sobie worek na ramię.

– Jak się pan nazywa? – spytałem.

Przyglądałem się jego twarzy. To była ważna twarz. Miał w swoich rękach cały mój ziemski majątek, a znaliśmy się od czternastu minut. Chciałem móc go rozpoznać, choćby się bardzo zmienił.

– Deshpande – powiedział.

– Proszę sobie odliczyć procent.

– Nie ma pośpiechu – rzucił ze śmiechem.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Pan Deshpande skinął głową Didierowi i zbiegł truchtem ze schodów.

– To jak go zabijemy? – spytał Didier, nalewając sobie brandy.

– Kogo?

– Oczywiście Concannona.

– Nie chcę zabić Concannona. Chcę go znaleźć i wydusić z niego, kto kupił od niego ten narkotyk i dał go Lisie.

– Zalecam, żebyśmy to zrobili we dwójkę.

– Muszę porozmawiać z Naveenem. Możesz nas umówić na spotkanie? Po południu idę do Sanjaya. Powiedz Naveenowi, że spotkam się z nim o piątej w afgańskim kościele, jeśli uda mu się zdążyć.

– Pewnie. Wiesz, kiedy wróci Abdullah?

– Nie.

– Potrzebujesz jego obecności w firmie.

– Wiem.

Rozejrzałem się po pokoju i sypialni.

– Będę tu dzisiaj spać.

– Na pewno nie! – zaprotestował Didier. – Tu nie jest bezpiecznie. Znam pewne mieszkanie koło Metro Junction. Właściciel ma wspaniałą kolekcję manii i obsesji. Będziesz nim zachwycony. Pozwól, że cię tam zabiorę.

– Będę spać tutaj.

– Mój przyjacielu, ale z ciebie… – zaczął Didier, ale potem się roześmiał. – No, skoro nie można cię przekonać, w takim razie Didier spędzi noc w tym miejscu smutku i żałoby.

– Nie musisz…

– Didier nalega! Ale będę spać na kanapie, oczywiście. I podziękuj mojej zapobiegliwości, dzięki której poprosiłem Tita o dwie butelki.

Spędziłem noc na podłodze obok łóżka Lisy, na poduszce, na której spoczywała jej głowa. Didier spał na kanapie jak dziecko, z rozrzuconymi rękami i nogami. Poranek zaczął się od zimnego śniadania z tego, czego nie zdołałem w siebie wmusić wczoraj, i brandy z kroplą kawy.

Sprzątnęliśmy kuchnię, a Didier stanął obok mnie w drzwiach mieszkania, które tak często odwiedzał, mieszkania, w którym miłość roześmiała się po raz ostatni.

– Wstydzę się – powiedział cicho. – Bardzo się wstydzę.

– Wstyd to rzecz przeszłości. Jeśli nie teraz, to wkrótce.

Zastanawiał się przez chwilę.

– To powiedzonko Karli, prawda?

– Oczywiście.

Oboje zamyśliliśmy się na chwilę.

– Kiedy ją zobaczysz…

– Didier.

– Nie, chciałem prosić, żebyś obszedł się z Karlą łagodnie, kiedy ją zobaczysz.

– Będę dla niej miły. Zawsze jestem dla niej miły. Chcę ją spytać, jak to się stało, że to ona pierwsza znalazła ciało Lisy. Ty wyślij wszystkich swoich ludzi na poszukiwanie Concannona. I umów mnie z Naveenem. Dobrze?

Usiłowałem zrobić jakiś ruch, żeby uciec z klatki smutku, a Didier to rozumiał. Staliśmy przez chwilę w milczeniu, wpatrując się w puste pokoje.

– Nie jest dobrze, ale jest w porządku, mój przyjacielu. Jest… niedobrze w porządku. Czy… jeśli pozwolisz, chciałbym powiedzieć parę słów do Lisy, tutaj, przy tych drzwiach, których nigdy więcej nie otworzymy.

– Dobry pomysł. Mów – zgodziłem się.

– Liso, kochaliśmy cię i wiesz, że to prawda. Kochaliśmy twój uśmiech, twój otwarty umysł i zwyczaj tańczenia bez powodu, i to, że oszukiwałaś w kalambury, i że kochałaś nas wszystkich. Ale najbardziej kochaliśmy twoją szczerość. Ty nigdy nie udawałaś. Zawsze byłaś autentyczna. Jeśli zostało tu coś z twojego ducha, niech wejdzie do naszych serc i zostanie z nami, kiedy opuścimy to miejsce, w którym ty nas opuściłaś, żebyśmy mogli zawsze być blisko ciebie i zawsze cię kochać.

Zapadła cisza.

– Didier – odezwałem się po chwili. – Dziękuję. Bardzo ładnie to ująłeś.

– No, myślę – odparł, wyciągając mnie na zewnątrz i zamykając drzwi po raz ostatni. – A gdybyś mógł usłyszeć słowa, które przygotowałem dla ciebie, mój drogi przyjacielu!

– Masz już gotową moją mowę pogrzebową? – spytałem, schodząc po schodach.

– Didier nie da się zaskoczyć ze spuszczonymi gaciami, że tak powiem. Zwłaszcza gdy chodzi o ukochanego przyjaciela.

– A, no… jasne… Napisałeś teksty pożegnalne dla wszystkich swoich ukochanych przyjaciół?

– Nie – odparł, gdy wyszliśmy na podwórze. – Tylko dla ciebie. Napisałem taki tekst tylko dla ciebie. To, co powiedziałem do Lisy, pochodziło prosto z serca. A ty, mój nadal żyjący przyjacielu, zwracasz na siebie uwagę bukmacherów, którzy gotowi są obstawiać twoje szanse przeżycia poza firmą Sanjaya.

Spojrzałem na blok, w którym mieszkałem z Lisą. Skoro nie mogłem zobaczyć jej zwłok, żeby uwierzyć w jej śmierć, to mieszkanie było wszystkim, co mi po niej zostało, co zostało z nas. Dla nas obojga było to jasne, radosne schronienie. Ale wiedziałem, że dla mnie, osamotnionego, jego widok będzie nieustanną rozmową z duchem Boga.

# 36

Telewizyjna twierdza Randżita była pilniej strzeżona niż więzienie. Po trzech punktach kontrolnych, w których sprawdzano tylko mój identyfikator, nie szukając przy mnie metalu, w końcu dotarłem do jego osobistej sekretarki.

– Shantaram – powiedziałem po raz czwarty. – To sprawa prywatna i osobista.

Kobieta podniosła słuchawkę, powtórzyła moje słowa i otworzyła drzwi.

Randżit wstał ze skórzanego fotela i wyciągnął rękę nad biurkiem. Sekretarka wyszła i zamknęła drzwi.

– Siadaj – powiedziałem.

– Co…

– Tylu strażników, a żadnemu nie przyszło do głowy zapytać mnie o broń.

– Broń? – wykrztusił Randżit.

– Siadaj.

Usiadł z dłońmi na szklanym blacie.

– Gdzie Karla?

– Karla? Przyszedłeś w sprawie Karli?

– Gdzie Karla?

– Dlaczego pytasz?

– Podnieś słuchawkę.

– Co?

– Podnieś słuchawkę i zadzwoń do Karli.

– Dlaczego… dlaczego sam do niej nie zadzwonisz?

– Nie lubię telefonów. I nie potrzebuję, bo mogę zmusić cię, żebyś zrobił to za mnie. Rozumiesz to, prawda?

– Co mam rozumieć?

– Dzwoń do Karli.

– Ale…

– Dzwoń.

– Chciałeś ze mną rozmawiać, więc jestem – rozległ się głos Karli za moimi plecami.

Siedziała w fotelu w kącie gabinetu. Zasłaniały ją liście doniczkowej palmy.

Karla wyglądała, jakby jednocześnie gniewała się i cieszyła na mój widok. Przerwałem im kłótnię.

– Cześć, Karla. Postawili cię do kąta?

– Randżit i ja zawarliśmy nowy układ – oznajmiła, zapalając papierosa. Cienie palmowych liści kładły się pasami na jej twarzy. – Jeśli znajdziemy się w tym samym pomieszczeniu, będziemy siedzieć jak najdalej od siebie.

– Skończyłaś z nim? – spytałem, wpatrując się w królowe.

Randżit parsknął śmiechem. Spojrzałem na niego. Śmiech ustał tak szybko, że niemal utknął mu w gardle.

– Co cię tak bawi?

– E… no… w sumie nie wiem.

Bał się mnie. To nie miało sensu. Oczywiście wspomniałem o broni, ale jej przy sobie nie miałem. Poza tym była tu Karla i to ona miała pistolet. Obroniłaby Randżita, a on mimo to pocił się ze strachu.

– Znasz to wyrażenie: wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha?

– Chyba… tak.

– Więc wyglądasz jak duch.

– D…duch? Czyj duch?

– Co się z tobą dzieje?

– Powiedziałeś… że masz broń.

Zauważyłem, że drży.

– Powiedziałem, że nikomu nie przyszło do głowy, że mógłbym mieć broń, nie że ją mam.

– No, tak… to znaczy, nie…

– Czy chcesz mi o czymś powiedzieć?

– Nie! – rzucił szybko. – Absolutnie nic.

– Co wiesz o śmierci Lisy?

– Nic. Nic. Biedna dziewczyna. Tragiczny wypadek. To znaczy… nic.

– Do widzenia. Nie czekaj do późna – odezwała się Karla, wstając i idąc do drzwi.

Otworzyłem drzwi i opuściliśmy gabinet. Randżit nadal siedział z rękami rozłożonymi na biurku, jakby je przytrzymywał, żeby nie odpłynęło.

Gdy drzwi windy się zamknęły, Karla wyjęła piersiówkę, upiła łyk, zamknęła ją i odwróciła się do mnie, rażąc mnie potęgą królowych.

– Sądzisz, że miałam coś wspólnego z jej śmiercią?

– Co?!

– Policjanci tak sądzili. Wzięli mnie w obroty. Siniaki zostawili tylko tam, gdzie ich nie widać.

Żołądek mi się skręcił. Gniew wypełnił moje puste wnętrze.

– Dilip Błyskawica?

– Przesyła pozdrowienia.

Drzwi otworzyły się, ukazując mały tłumek w holu. Zatrzymała mnie w drzwiach, stając między mną a ludźmi. Nasze twarze znalazły się o jeden oddech od siebie.

– Nie mam z tym nic wspólnego – szepnęła. – Nigdy nie skrzywdziłabym Lisy. Ani nie pozwoliłabym, żeby ktoś ją skrzywdził.

– Oczywiście – powiedziałem, ale już odeszła.

Ruszyłem w stronę recepcji, rzuciłem identyfikator na blat i przedarłem się przez tłum do Karli, którą znalazłem, niewzruszenie spokojną, w pobliżu wejścia.

Pojechaliśmy na plażę w Bandrze. Karla przywarła do moich pleców, wtulona we mnie twarzą, pasażerka gotowa na śmierć.

Mogłem wybrać którekolwiek z dziesiątek bliższych miejsc, ale musiałem się przejechać. Zatrzymując się w pobliżu morza, byłem już spokojny jak fale zatoki. Ruszyliśmy wygiętym jak uśmiech brzegiem w południowym skwarze, ale czuliśmy się swobodnie – dwoje cudzoziemców, którzy nauczyli się kochać to błogosławione przez słońce miasto.

– Chcę ci powiedzieć o naszym spotkaniu – odezwała się Karla, nie przerywając marszu.

– Naszym spotkaniu?

– Nie.

Zastanowiłem się.

– Twoim spotkaniu z Lisą?

– Tak.

Przeszliśmy jeszcze kawałek, zanim mnie olśniło.

– To znaczy… czy to było spotkanie typu randka?

– Mniej więcej.

– Mniej więcej?

– Mniej więcej.

– Nie ma randek „mniej więcej”.

– Zawsze było między nami… coś.

– Coś?

– Z jej strony.

– I to z powodu tego cosia poszłaś do niej w nocy?

– Lisa powiedziała, że ma ochotę na trochę alkoholu i mnóstwo zabawy albo mnóstwo alkoholu i trochę zabawy.

– Nie rozumiem.

– Taki miała plan.

– Jaki plan?

– Powiedziałam, że mogę wypić z nią trzy lub cztery drinki, a potem zobaczymy, co będzie. Twierdziła, że tobie to nie przeszkadza.

– Serio?

– Tak – rzuciła, marszcząc brwi.

Przeszliśmy w milczeniu jeszcze parę kroków. Nasze cienie czepiały się nas, ukrywając się za nami przed słońcem.

– Randka, z tobą? To tak na poważnie?

– Nie dla mnie – odparła z uśmiechem, a potem spoważniała, spuściwszy wzrok. – Lisa lubiła flirtować. Nie potrafiła się powstrzymać. Dostosowałam się do tej gry, bo to lubiła.

– Przepraszam. Przepraszam, że mnie tam nie było, że temu nie zapobiegłem, że to ty ją znalazłaś. Gdybym mógł zdjąć z ciebie ten ciężar, zrobiłbym to.

– Przeszłość ma tylko jeden plus: nie można jej zmienić. Nie mogłeś nic zrobić i teraz też nic nie zrobisz.

– Znalezienie jej musiało być… straszne.

– Drzwi były otwarte – powiedziała ze spuszczoną głową. – Lisa leżała na łóżku. Myślałam, że śpi. Potem dostrzegłam jej bezruch… i pigułki. Potrząsnęłam nią, ale już nie żyła. Była zimna. Kazałam strażnikowi wezwać karetkę i gliny, ale ona już nie żyła,

Lin. Od dawna nie żyła, biedactwo.

Objąłem ją, a ona wtuliła się we mnie, ufnie, jakbyśmy byli ze sobą.

– Kto z nią był? – spytałem. – Kto dał jej te prochy?

– Jeszcze nie wiem. Starałam się dowiedzieć, ale od jakiegoś czasu nie wchodziłam w to środowisko.

– Czy policjanci zdradzili coś, kiedy… zajmowali się tobą?

– Tylko że bardzo im zależy na tym, żeby cię dopaść. To było oczywiste jak kopniak w kręgosłup. I rozumiem ich punkt widzenia. Powiedzmy to wprost: ty znikasz z miasta, a twoja dziewczyna umiera. A może na odwrót?

– Zaraz. – Cofnąłem ramię, żeby spojrzeć jej w oczy. – Nie myślisz chyba, że zrobiłem Lisie krzywdę?

Roześmiała się – po raz pierwszy, odkąd zobaczyłem ją w gabinecie Randżita, siedzącą za palmami.

– Dobrze usłyszeć znowu twój śmiech.

– To pierwszy raz, odkąd ją znalazłam. Na jakiś czas odrętwiałam, potem byłam na prochach. To oczywiste, że byś jej nie skrzywdził. Nie kochałabym cię, gdybyś mógł to zrobić.

Odwróciła się do morza; wiatr wygładził jej twarz, przygotowując ją do przyjęcia słońca. Wiatr wyśpiewywał melodię morskiej piany, zostawiając pieniste nutki na poprzecznych falach u ujścia zatoki.

– Karla, co się stało, do cholery? Jak sądzisz?

– Mówiłam, jeszcze nie wiem. Gdzieś ty był, do kurwy nędzy?

– Gdzie byłem?

*Klik-klak*. Odcięta głowa. Niebieski Hidżab.

– Miałem robotę. Abdullah się odzywał?

– Nie, ale ma mój numer i zwykle dzwoni po powrocie do miasta.

– Abdullah ma twój numer?

– Oczywiście.

– A ja nie mam.

– Ty nie używasz telefonów.

– Nie w tym rzecz.

– A w czym?

– No…

– Nie wracam do Randżita – rzuciła szybko, bez uśmiechu.

– Co? To znaczy… dobrze, ale dlaczego?

– Już się zameldowałam w Tadżu.

– W tym Tadżu?

– Moje rzeczy dojadą wieczorem.

– Nie wracasz do domu, do Randżita?

– Coś ci powiem, Shantaram. Jeśli zamierzałeś się zadeklarować, to teraz jest najlepszy moment.

Najgorsze w kochaniu kobiety inteligentniejszej od ciebie jest to, że nigdy nie masz jej dość, co właściwie jest także najlepsze.

– Co?

– Co mi kiedyś powiedziałeś – spytała retorycznie – o „przed" i „po"?

– E… a…

– „Po" właśnie się zaczęło. „Po" zaczęło się dziś. Nie możesz wrócić do domu. Ja nie chcę wrócić do domu. Jedyne pytanie brzmi: jesteś ze mną czy beze mnie?

Czułem się jak idiota, nie rozumiejąc, co mówi do mnie Karla. Gdy teraz to wspominam, wiem, że byłem idiotą. Ale nie wiedziałem, jaką decyzję podjęła i dlaczego mi to mówi.

Sekundy przepływały jak kwiatowy pyłek na wietrze. Były wszystkim. Były niczym.

– Dopiero straciliśmy Lisę – wykrztusiłem. – Dopiero straciliśmy Lisę.

– Lisa chciałaby…

Karla urwała, znowu parsknęła śmiechem i poraziła mnie mocą mniej więcej ośmiu smutnych królowych.

– Jezu! – rzuciła. – Czy ja… serio… próbuję cię namówić, żebyś ze mną poszedł?

– No…

– Wal się.

– Że… co?

Poderwała się z miejsca i zatrzymała taksówkę.

– Karla, poczekaj!

Wsiadła i odjechała.

Popędziłem do motocykla i ruszyłem zbyt szybko i zbyt ostro, aż wreszcie dogoniłem

jej taksówkę. Jechałem za nią aż do hotelu Tadż, okrążając ją i usiłując złapać jej spojrzenie. Nie obejrzała się.

Zaparkowałem samochód i patrzyłem, jak Karla wchodzi po szerokich stopniach do hotelu. W recepcji zostawiłem dla niej wiadomość.

Odjechałem od dumnego galeonu hotelu przez rzeki samochodów. Wszystkich, którym jeszcze mogłem ufać, pytałem o Concannona. Sprawdzałem w szulerniach, palarniach opium, barach, palarniach haszu i na rogach ulic, gdzie grano w nielegalną loterię. Nie dowiedziałem się wiele, ale ulica potwierdziła, że Concannon handluje heroiną dla firmy Skorpionów.

Wszyscy nazywali ich już firmą, nie gangiem. Wszyscy uznawali ich za pełnoprawną jednostkę mafijną.

Musiałem złożyć raport Sanjayowi. Ustaliliśmy, że w dniu powrotu ze Sri Lanki, bez względu na to, którego dnia przypadnie, zjawię się u niego o drugiej.

Sanjay pewnie spodziewał się mnie zobaczyć wcześniej. Nie będzie w dobrym nastroju, ale mało mnie to obchodziło. Od śmierci jego przyjaciela Salmana Sanjay nie bywał w dobrym nastroju.

Zaparkowałem na końcu szeregu motocykli przed KC College. Dałem parkingowemu sto rupii i poprosiłem, żeby uważał na niebezpieczne typy.

– Te studenciaki – odparł w hindi – wszystkie są niebezpieczne. Kto wie, co wymyślą?

– Na bardziej niebezpieczne typy niż dzieci.

– A, dobra. Jasne – rzucił i mrugnął do mnie.

Przeszedłem pół przecznicy do posiadłości Sanjaya i zadzwoniłem. Uzbrojony afgański strażnik otworzył drzwi, rozpoznał mnie i pozwolił mi wejść.

Znalazłem Sanjaya w pokoju śniadaniowym w głębi domu. Rząd okien wychodził na zapuszczony ogród, otoczony wysokimi murami. Sanjay miał na sobie piżamę i ciemnoniebieski szlafrok z monogramem na kieszonce.

Na stole stało śniadanie, tak obfite, że wystarczyłoby dla trzech drwali, ale Sanjay pił tylko herbatę i palił papierosa.

W pokoju znajdowało się tylko jedno krzesło, a Sanjay z niego nie wstał.

– Dobra robota – powiedział, mierząc mnie spojrzeniem od stóp do głów. – Ale przecież ty zawsze robisz dobrą robotę, prawda? Otrzymasz zapłatę za to zlecenie. Wszystkie twoje rzeczy z wytwórni paszportów zostały przeniesione. Znajdują się w tej czerwonej skrzyni koło drzwi. Zostało tylko pożegnanie. Więc żegnaj.

– Dlaczego misja została skasowana? Dlaczego wróciłem do domu wcześniej?

Sanjay zdusił papierosa, pociągnął łyk herbaty, bardzo delikatnie odstawił filiżankę na talerzyk i odchylił się na krześle.

– Wiesz, dlaczego się cieszę, że odchodzisz? – spytał.

– Bo myślisz, że jestem stworzony do lepszego życia?

Sanjay parsknął śmiechem. Znałem go od lat, ale nigdy nie słyszałem jego śmiechu. Chyba oszczędzał go na pożegnanie. Potem umilkł.

– Bo nie umiesz grać w zespole – oznajmił ponuro – i nigdy się nie nauczysz. Jesteś czarną owcą. Rozejrzyj się. Każdy należy do kogoś. Ty jesteś bez przydziału. Nigdzie i do nikogo nie przynależysz. A teraz nie masz miejsca i tutaj.

– Czy to przez śmierć Lisy? Dlatego przysłałeś na lotnisko człowieka?

– Jak powiedziałem, nie umiesz grać w zespole. Nie można było przewidzieć twojej reakcji. Byłeś w Madrasie, kiedy to się stało.

– Kiedy się dowiedziałeś?

– Pięć minut po policji, oczywiście. Ale ty już zacząłeś, a misja była zbyt ważna.

– Pięć minut?

– Nigdy nie używasz telefonu, więc istniała duża szansa, że się nie dowiesz. To ja postanowiłem zachować sprawę w tajemnicy, dopóki nie zakończysz misji, i obstawić cię ludźmi na każdym kroku.

– Ty postanowiłeś.

– Tak. Jeśli ci się to nie podoba, no cóż, zawsze istnieje opcja „wal się”.

– Nie powiadomiłeś mnie o śmierci mojej dziewczyny.

– To ty chciałeś, żeby jej nie mieszać do naszych spraw. To ty zdecydowałeś, że nigdy nas nie spotka, choć znamy matki, siostry i żony wszystkich braci z firmy.

Spojrzałem na niego tak wściekły, że mógłbym się z nim pobić. Serce mi łomotało jak plemienny bęben. Zastanawiałem się, ile razy przywódcy przeżywają takie sekundy, nie wiedząc nawet, że śmierć we własnej osobie zjawiła się w pokoju, zwabiona fałszywym alarmem.

– Nadal masz blady cień mojej ochrony – powiedział Sanjay. – Osłania cię, bo nie świadczyłoby o mnie dobrze, gdyby mój były pracownik został zabity w ciągu dwóch pierwszych tygodni po odejściu z firmy. Ale zegar tyka. Nie zmuszaj mnie do wcześniejszego zabrania ci tego cienia. A teraz spierdalaj i daj mi spokojnie skończyć śniadanie.

Otworzyłem drzwi i już zamierzałem odejść, gdy znowu się odezwał. Zawsze się odzywają, zawsze chcą mieć ostatnie słowo, nawet jeśli już je mieli.

– Przykro mi z powodu twojej dziewczyny. To smutne. Jej rodzina musi przechodzić piekło. Ale nie dawaj się sprowokować do pochopnych działań. Gdy następnym razem spieprzysz sprawę, firma pozwoli ci spłonąć.

Opuściłem posiadłość i pojechałem do straganów z jedzeniem dla urzędników z Nariman Point. Nadal byłem zły i głodny. Stojąc z dziesiątkami innych, zjadłem gorące bułeczki z jajkiem, smażonymi ziemniakami i przyprawionymi warzywami i popiłem je wielką szklanką mleka.

Od jakiegoś czasu omijałem posiłki i zarywałem noce. Musiałem ćwiczyć. Musiałem pozostać czujny. Za kilka godzin każdy człowiek z ulicy południowej części Bombaju będzie wiedział, że oficjalnie odszedłem z firmy. Kilku miało do mnie urazę i powstrzymywało się tylko dlatego, że pracowałem dla Sanjaya. Kiedy się dowiedzą, że stałem się samotnym wilkiem, mogą się zjawić.

Po trzydziestu minutach jazdy przez tę zimną rzekę prawdy dotarłem do siłowni w Worli. Opuszczone młyny przerobiono na salony urody i kluby sportowe. Emerytowany gangster z firmy Sanjaya, zwany Komanczem, miał tu siłownię, a także biuro i mieszkanie. Był moim przyjacielem, twardym facetem. Dwa razy walczyliśmy na noże z rywalizującym gangiem i za każdym razem oberwaliśmy. Takich rzeczy się nie zapomina.

Komańcz był prawdziwie neutralny. Wpuszczał na swoją siłownię gangsterów ze wszystkich mafijnych firm, a także policjantów, o ile nikt z nich nie powiedział złego słowa na firmę Sanjaya.

Rozebrałem się, zostawiając tylko dżinsy i buty, i przez godzinę podnosiłem ciężary. Pół godziny walki z cieniem pozwoliło mi ochłonąć.

Chłopcy z siłowni, miejscowi, biedni, początkowo byli speszeni, choć młodzieńczo kozakowali, by mi pokazać, że się mnie nie boją. Kiedy przekonali się, że jestem w porządku, zaczęli boksować ze wszystkich sił razem ze mną.

Wziąłem prysznic, ubrałem się i napiłem wody. Spojrzałem w piegowate lustro. Oczy miałem jasne i przejrzyste. Spokój spłynął na mnie jak jesienne liście. „Gdy wszystko inne zawodzi, zaciśnij zęby”, głosił napis nad lustrem.

– Potrzebujesz górnego wyciągu – powiedziałem do Komańcza, dając mu sumę wystarczającą na kupno maszyny.

Komańcz spojrzał na pieniądze.

– To była kosztowna sesja – zauważył, marszcząc brwi.

– I cieszyła mnie każda jej minuta. Ale wstaw tu małe okno, *yaar*. Gdybym musiał sobie wyobrazić, jak śmierdzi dupa węża, to tu zdobyłbym o tym pewne pojęcie.

– Wal się – rzucił ze śmiechem. – Ale serio, za co te pieniądze?

– Mam nadzieję, że uznasz to za składkę członkowską.

– Ludzie firmy wchodzą za darmo. Wiesz o tym.

– Już nie jestem w firmie. Działam na własną rękę.

Nie powiedziałem tego nikomu oprócz przyjaciół. Po tak długim przebywaniu w organizacji zabrzmiało to dziwnie nawet w moich uszach.

– Co?

– Odszedłem.

– Ale, Lin, to przecież…

– Wszystko w porządku. Sanjay się zgodził. Nawet bardzo się cieszy.

– Sanjay… Sanjay się… zgodził?

– Właśnie od niego wracam. Zgodził się.

– Naprawdę?

– Słowo.

– Dobrze.

– Ale będę potrzebować nowej siłowni. Tej dotychczasowej nie mogę używać. Co powiesz? Przyjmiesz mnie?

Komańcz był zaskoczony i przestraszony, ale uważał mnie za przyjaciela i ufał mi. Stopniowo złagodniał i wyciągnął rękę.

– *Jarur* – powiedział, ściskając mi dłoń. – Jesteś tu mile widziany. Ale muszę powiedzieć, że w tych okolicznościach powinieneś opuścić Bombaj.

– Może, bracie – rzuciłem, odchodząc. – Ale czy Bombaj pozwoli mi odejść?

# 37

„Karla z przyjemnością przyjmie towarzystwo Shantarama o godz. 20.00 w jej apartamencie”.

Wiadomość była napisana jej ręką, tym precyzyjnym, płynnym charakterem pisma, który podobał mi się bardziej niż jakikolwiek inny. Chciałem zatrzymać ten liścik na pamiątkę, ale toczyłem walkę z podstępnym światem: gdyby jakiś nieprzyjaciel położył łapę na tej wiadomości, musiałbym się z nim o nią bić.

Usiadłem na motocyklu, spaliłem kartkę i ruszyłem powoli w stronę afgańskiego kościoła na spotkanie z Naveenem.

Zaparkowałem za przystankiem autobusowym. Gdy pracowałem dla firmy Sanjaya, zatrzymywałem motocykl na chodnikach. Jako freelancer nie mogłem się rzucać w oczy.

W nawie kościoła wisiały zakurzone flagi i sztandary oraz kamienne tablice, upamiętniające poległych w dwóch wojnach afgańskich. Był to wojskowy kościół wzniesiony jako pomnik na cześć żołnierzy. W ławkach nadal znajdowały się wyżłobienia, w których żołnierze opierali karabiny, by się pomodlić przed i po wypełnieniu rozkazu zabijania Afgańczyków, ludzi, których językiem nie mówili, a kultury nie rozumieli.

Smutny kościół był niemal pusty. W ostatnim rzędzie ławek siedziała starsza pani, czytając powieść. Mężczyzna i chłopiec klęczeli na schodach ołtarza. Okrągły witraż nad ołtarzem zdawał się unosić nad ich głowami.

Naveen Adair, młody, lecz pewny siebie, przyglądał się mosiężnemu orłu podtrzymującemu pulpit, stojąc z założonymi z tyłu rękami. Jego postawa wyrażała uszanowanie, ale poruszał się energicznie: młodzieniec, który w stu procentach wykorzystuje swoje życie.

Zauważył, że go obserwuję, i poszedł za mną do pustego ogrodu za kościołem.

Usiedliśmy pod drzewem, na ławce z kamienia i cementu.

Wszędzie panowała cisza. Gasnące wieczorne niebo przybrało barwy witraża nad naszymi głowami, rzucając kolorowe światło na mroczniejący ogród.

– Stary, cholernie mi przykro z powodu Lisy – odezwał się Naveen.

– Mnie też. Naveen, daj mi chwilę, dobra?

Musiałem pomilczeć przez minutę.

I pomyśleć.

Do tej pory nie miałem czasu do namysłu. Teraz, gdy zacząłem myśleć, pomyślałem o jednym.

Lisa. Lisa.

– Co mówiłeś, Naveen?

– …policyjnym raporcie i tyle wiemy, przynajmniej na razie.

Usłyszałem tylko ostatnie słowa.

– Przepraszam, Naveen, nie całkiem oprzytomniałem. Będziesz musiał mi to powtórzyć.

Uśmiechnął się; przyjaciel w nieprzyjaznej sytuacji.

– Dobrze. Ale słuchaj, najpierw wstań.

– Słucham?

– Wstań.

– Po co?

– No kurwa, wstań wreszcie.

Naveen wstał, pociągając mnie za sobą.

– Uściśnij mnie.

– Nie, nie trzeba.

– Tym bardziej. Uściśnij mnie.

– Naprawdę, dobrze się czuję.

– Nie pierdol, twoja dziewczyna zmarła tydzień temu. Uściśnij mnie, *yaar*.

– Naveen…

– Albo uściśniesz Hindusa, którym jestem, albo Irlandczyk, którym jestem, spuści ci łomot. W takiej sytuacji nie ma innego wyjścia.

Rozłożył ramiona. Nie miałem wyjścia.

Uścisnął mnie jak brat, jak mój brat z Australii, i zrobiło się źle.

– Nie duś tego – powiedział, gdy moje łzy padły mu na ramię. – Uwolnij się.

Łzy w ogrodzie witrażowego światła, łzy w objęciach brata z wyboru.

– Wal się, Naveen.

– Uwolnij się.

Więc uwolniłem się od tego, co czułem, a potem uwolniłem się od niego.

– Lepiej ci? – spytał.

– Wal się, Naveen. Tak, lepiej.

Znowu usiedliśmy, a on przekazał mi te nieliczne informacje, które posiadał. Niewiele się dowiedziałem.

– Gdzie Concannon sprzedaje te prochy?

– Nie wiem – powiedział, uśmiechając się po raz pierwszy. – Chcesz go dopaść?

– Chcę z nim pogadać.

– Pogadać?

– Pogadać, a potem posłuchać, kto poszedł z nim do Lisy.

– Myślisz, że to nie on dał Lisie narkotyki?

– Strażnik powiedział, że wyszedł po kwadransie. Drugi mężczyzna przebywał tam prawie godzinę. Chcę wiedzieć, kim był.

– Dobrze, zajmę się tym.

– Strażnik dał mi numer rejestracyjny czarnego samochodu, którym przyjechali – oznajmiłem, podając mu karteczkę z nagryzmolonym numerem. – Gdybyś mógł znaleźć właściciela, bardzo byś mi pomógł.

– Znajdę go na jutro, ale to nie pomoże. Mnóstwo osób rejestruje samochody pod cudzymi nazwiskami.

– Didier załatwił mi pokój w hotelu Amritsar na Metro. Możesz zostawić tam wiadomość albo w Kayani. Będę tam jutro między pierwszą a drugą. W porządku?

– Wyprowadziłeś się od siebie?

– Tak. I nie wrócę.

– Dokąd teraz idziesz?

– O ósmej mam spotkanie z Karlą. Muszę kupić koszulę i zameldować się w Amritsarze. A ty co robisz?

– O wpół do ósmej odbieram Divę. Do tego czasu jestem wolny. Mogę się zabrać z tobą?

– Będę wdzięczny za towarzystwo.

Wytoczyliśmy motocykl zza przystanku autobusowego, obudziłem silnik, a Naveen usiadł za mną.

– Uczę się jeździć – powiedział.

– Mhm.

– A wyścigowcy uczą mnie akrobacji na motorze.

– Wyścigowcy?

– No. Bogate młodziaki na importowanych japońskich motocyklach. Przyjaciele Divy. Dobrze jeżdżą.

– Mhm.

– Mam pokazać na twoim motocyklu, co już potrafię?

– Naveen, nigdy więcej nie mów w ten sposób o moim motocyklu.

– Jasne – rzucił ze śmiechem. – Ale poczekaj, aż zobaczysz mój!

Przejechaliśmy przez Ulicę Mody, na której, nie zsiadając z motocykla, kupiłem nową koszulę i parę podkoszulków, a potem ruszyliśmy do skrzyżowania Metro.

Zaparkowałem w zaułku za hotelem, przez którego fasadę biegł łuk łączący drugie piętro z czwartym.

Amritsar mieścił się w półkolistym budynku, który górował nad wielkim skrzyżowaniem jak skała wznosząca się z kipieli ruchu drogowego. Na parterze znajdowały się sklepy z artykułami sportowymi i biurowymi, sklep muzyczny i restauracja Kayani ze stolikami od strony zaułka.

Od pierwszego piętra wzwyż cały budynek był przeszyty siecią łączących się korytarzy i ukrytych schodów prowadzących od zasłoniętych żaluzjami balkonów do ostatniego prywatnego mieszkania na końcu przecznicy. Ktoś znający drogę mógłby znaleźć się w innym rejonie pocztowym, nie wychodząc z budynku, podczas gdy gliniarze czy inne oprychy nadal łomotałyby do jego drzwi.

Plotka głosiła, że Amritsar ma dwadzieścia jeden wyjść. Mnie wystarczyły trzy. Pierwszą rzeczą, którą robi ukrywający się człowiek, jest namierzenie wyjść. Zanim podszedłem do recepcjonisty, zwiedziłem z Naveenem budynek. Znalazłem trzy dogodne wyjścia prowadzące na trzy różne ulice. Sympatycznie.

Gdy wraz z Naveenem stanęliśmy przed recepcją, ujrzeliśmy Didiera rzucającego kośćmi z kierownikiem hotelu. Wstał, żeby mnie objąć.

– Lin – szepnął mi do ucha – zaraz wygram zniżkę twojej opłaty za pokój.

– Najpierw zapłaćmy – odszepnąłem. – Potem możesz wygrywać.

– Chytre – mruknął, puszczając mnie.

Zameldowałem się, posługując się jednym z fałszywych paszportów. Przyjrzałem się

mojemu nowemu lokum.

Apartament składał się z dużego salonu z sypialnią i łazienką za wysokimi drewnianymi drzwiami. W kącie znajdowała się wnęka kuchenna. W głębi pokoju dostrzegłem łukowate drzwi balkonowe. Podszedłem, uniosłem żaluzje i wyjrzałem na gwarną ulicę.

Widok był fantastyczny: ogromna zabawka, wirująca jak bąk w świetle, dźwiękach i ruchu. Dalej rosły drzewa bombajskiego toru *gymkhany*, tworzące liściasty, cienisty tunel.

Rozejrzałem się; tylko krótka, cienka ścianka oddzielała mój balkon od balkonów dwóch innych apartamentów. Wydawały się puste.

Obok mnie stanął kierownik hotelu.

– W sąsiednich pokojach ktoś mieszka? – spytałem.

– Nie w tej chwili. Ale jutro przyjeżdżają dwie osoby.

– Jutro nie nadchodzi nigdy – powiedziałem w hindi. – Jesteśmy tu i teraz i chcielibyśmy wynająć te trzy frontowe apartamenty na rok. Zapłata gotówką z góry.

– Apartamenty? – spytali jednocześnie Didier i kierownik.

– Apartamenty. Trzy. Od dziś. Na rok. Może być?

– Chwileczkę – wykrztusił kierownik. – Muszę się skonsultować z moją chciwością.

Przez chwilę trwał z zamyśloną miną. W końcu podjął decyzję.

– Kto by pomyślał – oznajmił. – Pokoje nagle się zwolniły.

Nie można nie lubić człowieka, który uczłowiecza swoją chciwość. Przynajmniej ma z nią kontakt.

– Jak się pan nazywa?

– Jaswant. Jaswant Singh. A jak mam się zwracać do pana?

– Wystarczy *baba*. Może być?

– Oczywiście, *baba*. Nie ma problemu. Wynajem na rok? Płatny z góry? Zapłaciłem, a on zostawił nas samych. Zdjęliśmy prowizoryczne ścianki między balkonami i obeszliśmy wszystkie pomieszczenia.

– Po co ci aż tyle pokoi? Bo odmawiam nazwania ich apartamentami – spytał Didier.

– Ściany na końcu tych balkonów są prawdziwe. Jeśli będę miał te apartamenty tylko dla siebie, nikt nie zakradnie się do mnie od tej strony.

– Rozumiem.

– Ale potrzebuję tylko dwóch. Trzeci może być twój, Naveen, jeśli zechcesz.

– Mój? – zdziwił się Naveen.

– Nie masz jeszcze biura, prawda?

– Nie, pracuję u siebie w domu.

– Więc jeśli chcesz, teraz będziesz je mieć.

Naveen spojrzał na Didiera, który wzruszył ramionami z uśmiechem.

– I przyszło ci to do głowy w tej chwili? – spytał Naveen.

– No.

– Bo masz za dużo miejsca?

– No.

– Cudownie. Zgadzam się – oznajmił Naveen, ściskając mi rękę. – Miło będzie wiedzieć, że jesteś po drugiej stronie balkonu.

Didier położył dłoń na naszych.

– To początek czegoś bardzo…

– Cholera! – wrzasnął Naveen. – Zabije mnie!

– Kto mógłby zabić detektywa? – spytał Didier.

– Diva. Jeśli nie odbiorę tej rozpuszczonej smarkuli na czas, będzie się nade mną pastwić przez dwa dni. Muszę lecieć. Po drodze wezmę klucz. Pokój po prawej, dobrze?

Dokładnie ten zamierzałem mu ofiarować.

– Pewnie.

– Spotkasz się z Karlą? – spytał Didier po jego wyjściu.

– O ósmej.

– Mam parę rzeczy do załatwienia, przyjacielu, więc już pójdę. Ale później będziesz mógł mnie złapać. Jeśli czegoś się dowiem, zaczekam trochę w Tadżu.

– Dzięki, Didier.

– Nic takiego.

– Nie, naprawdę. Właściciel tego budynku jest twoim przyjacielem, a to jest jeden z twoich terenów, ponieważ miejscowy boss jest twoim przyjacielem. Dlatego jestem tu bezpieczny. Dzięki za wszystko.

– Kocham cię, Lin. Proszę, nie wzdrygaj się na te słowa. My, Francuzi, nie zakuwamy serca w łańcuchy. Kocham cię. Rozwiążemy zagadkę smutnej, słodkiej Lisy, a potem pójdziemy dalej.

Wyszedł, a ja zostałem w obcych, nowych pokojach, które właśnie wynająłem na rok pod wpływem impulsu. Był to mój pierwszy dom po tym, który stworzyłem z Lisą. Usiłowałem znowu żyć, zasadzić nowe drzewo w nowym miejscu.

Wróciłem na balkon, położyłem ręce na balustradzie i patrzyłem na wir świateł, czerwonych, żółtych i białych, jak powolne fajerwerki w miejscu, gdzie pięć alej stykało się i rozchodziło.

Wrona wylądowała na moim balkonie, przyjrzała mi się, nastroszyła pióra i odfrunęła. Grupa nastolatków, roześmianych i radosnych, przeszła na światłach, kierując się do tanich sklepów na Ulicy Mody. Rozległ się daleki dzwon świątyni, a po nim śpiew. Gdzieś z bliska dobiegł *azaan*{3}, wyraźny i pięknie zaśpiewany.

Czy to jest to miejsce? – zadałem sobie pytanie. Chciałem mieć swoje miejsce. Jakiekolwiek. Chciałem mieć dom.

Czy to tutaj go znajdę? Pragnąłem więzi. Pragnąłem ofiarować wszystko, co miałem, jednej miłości i otrzymać w zamian miłość.

Czy to tutaj? Spojrzałem na skrzyżowanie w nadziei, że ujrzę odpowiedź, a białe, czerwone i żółte światła krętych samochodowych wirów wyglądały jak smoki.

# 38

Zjawiłem się za wcześnie, razem z gwiazdami, które przybyły w limuzynach do Tadża na galę promocyjną nowego filmu. Zaparkowałem motocykl pod palmą, naprzeciwko hotelu. Minuty jak ślimaki wlokły się ku ósmej i mojemu spotkaniu z Karlą.

Przez szerokie drzwi do holu widziałem ściankę, na tle której pozowali goście specjalni wśród logo firm, które płaciły im od sekundy. Błysk, błysk, spojrzeć tu, spojrzeć tam – kartoteka uprzywilejowanych, złapanych na gorącym uczynku.

Limuzyny przestały przyjeżdżać, reporterzy pobiegli do nowych tematów, ściankę rozmontowano. Przestronny, wdzięczny hol, w którym wielcy myśliciele dyskutowali o wielkich ideach w deszczowe bombajskie popołudnia przez wiele deszczowych dekad, znowu stał się nagi i oficjalny. A, co tam. Obszedłem hotel, kierując się do bocznych drzwi, strzeżonych przez mojego znajomego, i wszedłem schodami na piętro Karli. Zapukałem. Otworzyła mi.

Była boso. Miała na sobie czarny jedwabny kombinezon bez rękawów. Włosy związała w kok na potylicy, przeszyty cienkim, srebrnym nożem do papieru w kształcie damasceńskiej szabli.

– Przyszedłeś za wcześnie – zauważyła z uśmiechem. Nie zaprosiła mnie do środka.

– Zawsze przychodzę za wcześnie albo za późno.

– To talent w twoim zawodzie, którego nie wykonujesz. Chcesz wejść?

– Pewnie.

– Risz! – krzyknęła przez ramię. – Koniec wywiadu.

Otworzyła szeroko drzwi. Zobaczyłem Risza, jednego z partnerów Lisy z galerii. Podbiegł do mnie.

– Tak mi przykro – rzucił, ujmując w dłonie moją rękę. – To straszny szok. Kochana Lisa… Taka strata… Wychodzę z siebie z rozpaczy.

Przecisnął się obok Karli, obszedł mnie i podreptał korytarzem. Był to długi korytarz.

– Człowiek, który wychodzi z siebie – powiedziała Karla, patrząc na jego dreptaninę – zwykle staje obok idioty. Wchodź, Shantaram. To był długi dzień.

Wróciła do apartamentu i usiadła na szerokim, wyścielanym parapecie.

– Zrób mi drinka – poprosiła, gdy zamknąłem drzwi na klucz. – Uwielbiam, kiedy ktoś inny robi drinka.

– Co chcesz?

– Wesołą Mary.

– Wesołą Mary?

– To Krwawa Mary, ale bez czerwonych krwinek. I z lodem. Mnóstwem lodu.

Zrobiłem drinki i usiadłem obok Karli.

– Wzniesiemy toast? – spytała.

– Za ucieczkę w gniewie? – podsunąłem.

Parsknęła śmiechem.

– A może za dawne czasy?

– Za upadłych przyjaciół.

– Za upadłych przyjaciół – zgodziła się, trącając szklanką moją szklankę. – Musisz się otrząsnąć – dodała, pociągając długi łyk i odstawiając drinka.

– Nic mi nie jest.

– A tam. Właśnie dałam ci cztery tematy – idiota, wesołość, krew, lód – a ty nie wykorzystałeś żadnego. To do ciebie niepodobne. Niepodobne do nas.

– Do nas?

Patrzyła z uśmiechem, jak się zastanawiam.

– Dlaczego tak bardzo zależy ci, żeby się dowiedzieć, kto dał Lisie narkotyk?

– A tobie nie zależy?

Znowu wzięła szklankę, przyjrzała się jej uważnie, wypiła spory haust i rzuciła na mnie wszystkie królowe.

– Jeśli dowiem się, kto to zrobił, albo jeśli ty się dowiesz, pewnie będę chciała go zabić. Taka prawda skłania ludzi do zabijania. Naprawdę chcesz to wiedzieć?

– Chcę się dowiedzieć, co spotkało Lisę, nic więcej. Jestem jej to winien.

Położyła dłonie na udach, westchnęła i szybko wstała.

Podeszła do sekretarzyka, otworzyła torebkę i wyjęła mosiężną papierośnicę, identyczną jak Didiera. Odwrócona do mnie plecami wyjęła jointa i zapaliła go niezdarnie.

– Nie sądziłam, że będę tego dziś potrzebować – mruknęła między jednym głębokim

wdechem a drugim.

Przesunąłem wzrokiem po jej figurze, wielbiąc ją – jej sylwetkę, spowitą w czerń. Miłość krzyczała we mnie.

– Gdybym tego nie zrobiła – odezwała się, nadal odwrócona ode mnie – rozbiłabym ci butelkę na głowie.

– No tak… słucham?

Zdusiła jointa, wyjęła z papierośnicy jeszcze dwa, zatrzasnęła ją, wrzuciła do torebki i wróciła na parapet.

– Masz – powiedziała, wciskając mi w dłoń blanty. – Dogoń mnie.

– Już i tak jestem nakręcony.

– Pierdol się, Shantaram. Zapal te zasrane jointy.

– No… tak.

Zapaliłem. Za każdym razem, gdy chciałem się odezwać, łagodnie wciskała mi papierosa.

– Wiesz – zauważyłem, gdy dopuściła mnie do głosu – już dwa razy powtórzyłaś „pierdol się".

– Możesz też tak do mnie powiedzieć, jeśli to ci poprawi humor – warknęła.

– Nie, tylko…

– A tam, wyrzuć to z siebie. Lepiej się poczujesz. Powiedz: pierdol się, Karla. Powiedz: co ty odpierdalasz, Karla. No, powtórz: pierdol… się… Karla.

Spojrzałem na nią.

– Nie potrafię.

– Na pewno potrafisz, tylko spróbuj.

– Czy mogę powiedzieć „pierdol się" do zachodu słońca? Czy mogę powiedzieć „pierdol się" do galaktyki?

Znowu uśmiechnęła się do mnie, ale spojrzenie miała przeszywające. Nie wiedziałem, o co jej chodzi.

– Słuchaj – powiedziałem – wyjaśnijmy coś sobie. Chcę się tylko dowiedzieć, co spotkało Lisę. Chcę jakiegoś wyjaśnienia, dla niej i dla nas. Nie rozumiesz?

– Od zrozumienia do odkupienia prowadzi daleka, śliska droga. I wiele osób spada z tego urwiska.

– Ja nie należę do spadalskich.

Parsknęła śmiechem.

– Wiem o tobie wszystko.

– Wszystko.

– Właściwie tak.

– Ach, tak?

– Sprawdź – mruknęła jak kotka.

Roześmiałem się, a potem uświadomiłem sobie, że ona nie żartuje.

– Naprawdę?

– Wypal tego cholernego jointa – rzuciła.

Zaciągnąłem się.

– Ulubiony kolor – zaczęła – niebieski i zielony, liście na tle nieba.

– Cholera. No dobrze, ulubiona pora roku?

– Monsunowa.

– Ulubiony…

– Hollywoodzki film: *Casablanka*, ulubiony hollywoodzki film: *Prem Qaidi*, ulubiona potrawa: lody włoskie, ulubiona piosenka hindi: *Yeh Duniya Yeh Mehfil*, ulubiony motocykl… obecny, niech będzie błogosławiony, twoje ulubione perfumy…

– Twoje – powiedziałem, unosząc ręce w geście kapitulacji. – Moje ulubione perfumy to te, których używasz. Jesteś cholernie dobra.

– Oczywiście, że tak. Urodziłam się dla ciebie, a ty dla mnie. Oboje o tym wiemy.

Wiatr od morza powiał przez pokój, obwieszczając swoje przybycie falowaniem przezroczystych jedwabnych zasłon. Nagle przyszło mi do głowy, że przed laty byłem w sąsiednim apartamencie, odwiedzając Lisę. Czyja oszalałem? Czy też zgłupiałem na tyle, żeby nie powiedzieć tych słów, nie wyznać Karli prawdy: że nie rozumiem jej relacji z Randżitem, że nie potrafię rozchylić dłoni, które życie zacisnęło na wspomnieniach o żyjącej Lisie i myślach o jej śmierci? Nie chciałem wchodzić w związek z Karlą, dźwigając brzemię żałoby. Chciałem się uwolnić, żeby móc się jej ofiarować bez reszty. A to nie mogło nastąpić szybko.

– Lisa była… – zacząłem.

– Zamknij się – ucięła.

Więc się zamknąłem. Zapaliła drugiego jointa i podała mi go. Podeszła do małego barku, wzięła garść kostek lodu i napełniła nimi szklankę w trzech czwartych.

– Najpierw powinno się kłaść lód – powiedziała, powoli polewając kostki wódką –

i uważnie dodawać Wesołą Mary.

Pociągnęła łyk.

– Ach… – westchnęła. – Już lepiej.

Zamyśliła się na chwilę.

– Cholernie długi dzień – powiedziała do sufitu.

– Co się stało z Randżitem?

Rzuciła mi spojrzenie gniewnego wcielenia bogini kobiecości. Moje serce zlodowaciało. Była wspaniała.

– Co takiego powiedziałem?

Odsłoniła zaciśnięte zęby, jakby się nimi chwaliła.

– W końcu przebiłeś się przez swój smutek, żeby spytać mnie o to, co przeżywam? Właśnie takie chwile sprawiają, że „pierdol się” jest ciągle aktualne.

– Zaraz, chwilę. Nie spytałem cię o Randżita i o to, dlaczego od niego odeszłaś, bo uważałem to za oczywistość. To gnój. Chciałem wiedzieć, czy jest w tym coś wyjątkowego. Groził ci?

Roześmiała się dość głośno, odstawiła szklankę. Stanęła przede mną.

– Wstań, Shantaram – rozkazała.

Wstałem. Położyła dłoń na moich dżinsach, wsunęła palce za mój pasek. Przyciągnęła mnie do siebie.

– Czasami – powiedziała bez uśmiechu – po prostu nie wiem, co z tobą zrobić.

Miałem parę pomysłów, ale nie zdążyłem jej o nich powiedzieć. Pchnęła mnie na parapet i usiadła obok mnie.

– Dla nas od śmierci Lisy minął tydzień – dodała. – Ty dowiedziałeś się wczoraj. Rozumiem to. Wszyscy to rozumiemy. I chyba dziwisz się, że nie dostrzegamy, jak ważne to dla ciebie.

– Dokładnie.

– Milcz. Pocałuj mnie.

– Co?

– Pocałuj mnie.

Wzięła mnie za kark i przyciągnęła do siebie na krótki, przelotny pocałunek, po czym znowu mnie odepchnęła.

– Słuchaj, tu nie chodzi o Randżita ani o Lisę. Wiem, że twoje serce nie potrafi o tym

zapomnieć, bo cię znam i kocham. To…

– Kochasz mnie?

– Czy nie powiedziałam tego przed chwilą? Urodziłam się dla ciebie, a ty dla mnie. Zrozumiałam to w pierwszej chwili, gdy znowu zobaczyłam cię na tej górze.

– Czyli…

– Ale znam też twoje słabości. Mamy ich parę, co zawsze jest dobrym początkiem dla wszystkich związków. Tylko że ja…

– Związków?

– O czym my tu rozmawiamy, jeśli nie o nas?

– Eee…

– Wracając do twoich słabości, musimy…

– Ty jesteś moją jedyną słabością.

– Ja jestem twoją siłą. W tej chwili ponad jej połową, jak mi się zdaje. Twoją słabością jest to, że biczujesz się poczuciem winy i tarzasz się we wstydzie. Czekałam, aż dorośniesz, aż z tego wyrośniesz.

– Hm…

– Zrobiłeś postępy – wpadła mi w słowo, powstrzymując mnie uniesioną ręką. – Co do tego nie ma wątpliwości. Ale to za mało. Masz problem z samooceną…

– Uzasadniony.

– Śmieszne. Ale niech będzie. Problemy z samooceną? Mały kaliber. Da się naprawić. Ja jestem zabójczynią. Każdy ma wady. Ale Lisa umarła i choćbyś się ubiczował na śmierć, nie przywrócisz jej życia. Gdyby było inaczej, oszczędziłabym ci kłopotu i sama bym cię wychłostała. I jeszcze mogę to zrobić, jeśli się nie otrząśniesz.

– Dobra, tu się zgubiłem.

– Zapomnij o Lisie. Przynajmniej w mojej obecności. Właśnie ci wyznałam miłość. Nigdy nie powiedziałam tego żadnemu innemu mężczyźnie. Gdybyś nie był tak odrętwiały z poczucia winy, zareagowałbyś.

Pocałowałem ją, wkładając w ten pocałunek wszystko, co miałem, i wszystko, czego chciałem.

– Tak już lepiej – powiedziała, delikatnie odsuwając mnie od siebie. – W tej chwili mogę poczekać na kochanka, ale potrzebuję przyjaciela. Za dużo się dzieje. Musisz nadrobić braki i zacząć wierzyć. Musisz mi zaufać, bo nie mogę ci nic powiedzieć, dopóki się nie skończy.

– Dlaczego?

– Dlatego – odparła z uśmiechem. – Bo jesteś ciekawy i lojalny. A niektóre rzeczy, jakie o mnie usłyszysz, zanim tego nie załatwię, mogą ci się wydać szalone albo jeszcze gorsze. Musisz we mnie uwierzyć.

Mówiła serio, zupełnie szczerze, bez żadnych gier i sztuczek, co było pociągające, piękne i przerażające. Byłem zachwycony. I tak może być cały czas, pomyślałem.

Chwyciła mnie za koszulę i zajrzała mi z bliska w oczy.

– Popatrz mi prosto w królowe i powiedz, że to rozumiesz – rozkazała. – Bo, wiesz, kocham cię, ale w tej chwili za dużo mi się tu dzieje, żebym miała znosić dramatyzowanie gościa, którego kocham. Więc… no, powiedz, że rozumiesz.

– Rozumiem – oznajmiłem, nurkując w tej zielonej lagunie, tak bliskiej, tak głębokiej.

– Dobrze. To zjeżdżaj.

– Powiedziałaś to, jakbyś mówiła serio – odezwałem się, trochę się chwiejąc.

– Nie, mówię to, dopóki mogę.

– Ale ja…

Podeszliśmy do drzwi i Karla wypchnęła mnie za próg, bez pocałunku, objęcia czy uścisku ręki. Drzwi się zamknęły i samotnie ruszyłem przez marmurowy korytarz.

Co się działo? Coś tu było nie tak. Właściwie wszystko.

Wróciłem sprintem do jej drzwi i zadzwoniłem. Natychmiast otworzyła, zaskakując mnie.

– Słuchaj – rzuciłem, starając się jak najszybciej wydobyć z siebie słowa. – To ty. To zawsze byłaś ty, od pierwszej chwili, kiedy…

– …zobaczyłam cię na ulicy – przerwała mi, opierając się o framugę. – Uśmiechałeś się i szedłeś prosto pod koła autobusu. Pamiętam, że uśmiechałeś się do dziecka. A u twoich stóp skakał pies. Wiesz coś o tarocie?

– To chiński gang, tak?

Roześmiała się wesoło. Usłyszałem w głowie świątynny dzwon.

– Wiedziałam to w chwili, gdy wyszarpnęłam cię sprzed tego autobusu – podjęła. – Kiedy spojrzałam ci w oczy, zgasły wszystkie światła. A czas…

– …zwolnił – dokończyłem. – Na bardzo długo. I efekt…

– …utrzymywał się całymi dniami – dodała, prostując się i stając przede mną. – Lin, chcę, żebyś był w tym ze mną, wierząc we mnie, ale nie mogę cię w to mieszać.

Rozumiesz?

– Ulubiony kolor – powiedziałem, odhaczając pozycję na niewidzialnej liście w ręce – czerwień krwinki.

Znowu oparła się o framugę. Ten jej zbyt mądry uśmiech zamajaczył na jej ustach.

– Ulubiona pora roku: zima. Dokładnie: zima w Bazylei. Ulubiony film: *Key Largo*, ulubiona potrawa: stek z rusztu, ulubiona piosenka: *Międzynarodówka*, ulubiony samochód – ponieważ jeszcze nie zakochałaś się w motocyklach – Chevrolet camaro rocznik 1967, matowoczarny z krwawoczerwoną tapicerką…

Pocałowała mnie. Zamknąłem oczy. Światło rozjaśniło mi umysł. Gasło falami, zapadając się pod świat. Miłość jak woda, szukająca morza. Miłość jak czas, szukająca znaczenia. Miłość jak wszystko, co było i co kiedykolwiek będzie.

– Przestań! – rzuciła, odpychając mnie.

Wytarła usta wierzchem dłoni. Chciałem coś powiedzieć, ale uderzyła mnie, całkiem mocno.

– Nie daj się zabić – powiedziała. – Chcę to zrobić jeszcze raz.

– Pocałować czy uderzyć?

– To i to, ale może w innym porządku.

Zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Miłość. Miłość jak odbite od marmuru echo w pustym hotelowym korytarzu.

Didier czekał na mnie w holu.

– Miałem nadzieję, że zostaniesz z Karlą na noc – odezwał się, kiedy wyszliśmy.

Zatrzymałem się i spojrzałem na niego.

– Chciałem tylko powiedzieć, że mam niebezpieczne informacje. Już wiem, gdzie Concannon sprzedaje prochy.

Wieczór zaczął się obiecująco. A ja byłem w odpowiednim nastroju.

– Na ile wiarygodne są te twoje wiadomości?

– Widziano go tam dzisiaj o trzeciej po południu.

– Gdzie jest?

– W domu należącym do Skorpionów.

– Na Marine Lines?

– Tak. Skąd wiesz?

– Dotarłem tam za Wisznu i jego ludźmi w dniu, w którym mnie stłukli. To jedna z

ich siedzib.

– Co zamierzasz?

– Stanąć przed drzwiami i zapukać.

– Granatem? – spytał Didier w głębokiej zadumie.

– Nie. Zadzwonisz do Wisznu i uprzedzisz go, że przyjdę dziś o dziesiątej.

– Skąd przekonanie, że mam numer tego Wisznu?

– Didier – rzuciłem z westchnieniem.

– No dobrze, Didier ma wszystkie numery, to jasne, a przynajmniej może je znaleźć. Ale czy sądzisz, że to roztropne, wchodzić do jaskini lwa?

– Myślę, że Wisznu zechce ze mną pogadać. Strasznie lubi gadanie.

– Dlaczego uważasz, że będzie chciał pogadać z tobą, bez urazy?

– Nie obraziłem się. Odszedłem z firmy Sanjaya i nadal żyję. Będzie chciał ze mną pogadać.

– Doskonale. Zadzwonię.

Patrzyłem, jak wraca do hotelu i daje znak sikhijskiemu odźwiernemu. Ten podszedł do mnie.

– Tak, *baba*? – spytał wyciągając rękę.

Uścisnąłem ją, podając mu przy okazji pieniądze, tak jak wiele razy wcześniej.

– Dla chłopców na koniec zmiany.

– Dziękuję, *baba*. Dziś mieliśmy kilka wielkich przyjęć z wieloma ważnymi gośćmi, więc mało napiwków. Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Uważaj na pannę Karlę. Jeśli dowiesz się o czymś, co powinienem wiedzieć, zatrzymałem się w Amritsarze przy Metro.

– *Thik* – rzucił, wracając do kolegów. – Nie ma problemu!

Didier wrócił z zamyśloną miną, jak rybak przyglądający się deszczowi.

– Wszystko załatwione. Wisznu cię oczekuje. Nie mamy dużo czasu. Potrzebujemy więcej broni i nabojów.

Rozejrzał się za taksówką.

– Nie wezmę broni. A ty ze mną nie pójdziesz.

– Lin! – krzyknął Didier, tupiąc nogą. – Jeśli odmówisz mi tej przygody, napluję na twój grób. A kiedy Didier mówi coś takiego, to jakby wyrył to w kamieniu.

– Mój grób? Dlaczego zawsze umieram przed tobą?

– I zatańczę na nim jak Nuriejew.

– Zatańczysz na moim grobie?

– Jak Nuriejew.

– Dobra. Idziesz ze mną.

– Weźmiemy innych?

– Kto by się odważył? – spytałem, włączając silnik.

– Słuszna uwaga – ustąpił Didier, nadal rozglądając się za taksówką.

– Wsiadaj.

– Słucham?

– Wsiadaj na motor, Didier. Nie chcę być zależny od taksówek, jeśli będziemy się ewakuować w pośpiechu. Wsiadaj.

– Ale, Lin, wiesz o mojej motocyklowej histerii.

– Wiadaj na motocykl, Didier.

– Gdyby samochody się przewracały, też bym nimi nie jeździł. To histeria o podłożu fizycznym, rozumiesz.

– Nie masz histerii motocyklowej. Masz motofobię.

– Mam? – spytał zaintrygowany.

– Niewątpliwie.

– Motofobia. Na pewno?

– Nie ma się czego wstydzić. Wielu moich znajomych ma motofobię. Ale to nic. Jest na to lekarstwo.

– Serio?

– Wsiadaj na ten motocykl, Didier.

# 39

Zaparkowałem motocykl przecznicę od domu Skorpionów i zaczekałem na cichej bocznej uliczce. Światło księżyca pisało na drodze poematy o drzewach. Chudy czarny kot przemknął przez smugi światła i cienia przed nami, zdążając do bezpiecznego miejsca.

– Dzięki, losie – mruknął Didier. – Czarny kot. Oczywiście.

Podeszliśmy do bramy. Stanąłem i rozejrzałem się po pustej ulicy. Przejeżdżały nią samochody, ale było spokojnie.

– Na pewno chcesz to zrobić, Didier?

– Jak śmiesz!

– Dobra, dobra. Przepraszam.

Pchnąłem bramę i podszedłem do drzwi wejściowych. Już miałem zadzwonić, ale Didier mnie zatrzymał. Uśmiechnął się, zrobił pauzę, a potem sam wcisnął guzik.

Do drzwi podszedł mężczyzna. Przez wprawione w drzwi panele z kolorowego i mrożonego szkła zobaczyłem wielkiego faceta. Zbliżał się powoli, o lasce. Hanuman.

– Znowu ty – warknął.

– Opowiedz mi o Pakistanie – odparłem.

Chwycił mnie za ramię i ścisnął jak cytrynę. Wciągnął mnie w głąb korytarza. Z pokojów w głębi wyłonili się muskularni goście o szalonym spojrzeniu. Na schodach pojawili się inni. Hanuman pchnął mnie w stronę drzwi na końcu korytarza.

– *Madachudh! Bahinchudh! Gandu! Saala!* – krzyczeli do mnie, ledwie nad sobą panując.

Każda broń to zagrożenie, a oni byli uzbrojeni i źle nam życzyli. Bałem się, bo nie spodziewałem się broni, a także dlatego, że przestępcy z zasady nie postępują zgodnie z regułami.

Najbliżej mnie stał wielki, kudłaty facet w białym podkoszulku. Powoli podniósł obrzyn i wycelował we mnie. Hanuman mnie obszukał. Upewniwszy się, że nie mam przy sobie pistoletu, uniósł mi koszulę, pokazując wszystkim dwa noże na moich plecach, po czym znowu opuścił moją koszulę, tłumiąc ziewnięcie. Gangsterzy

parsknęli głośnym śmiechem. Hanuman odwrócił się do Didiera, który powstrzymał go uniesioną ręką. Wyjął z kieszeni pistolet automatyczny i podał go Hanumanowi.

Nieco dalej od nas otworzyły się drzwi. Wisznu wyszedł na korytarz i stanął ze swoimi ludźmi.

– Ty mi nie naplułeś na wycieraczkę – powiedział spokojnie. – Ty ją spaliłeś. Wejdź, zanim zaczną się zamieszki.

Cofnął się do pokoju. Hanuman pchnął mnie przez próg.

W gabinecie znajdowały się mahoniowe biurko i dwa aksamitne fotele dla gości, a także rząd stojących za nimi drewnianych krzeseł. Polityczne i religijne plakaty walczyły o miejsce, ale nie było żadnych książek. Ekran na biurku ukazywał różne punkty domu, jeden obraz z kamery po drugim.

Wisznu zatrzymał się w progu, żeby porozmawiać z Hanumanem. Wielki facet pochylał się ku niemu, kołysząc głową.

Wisznu wrócił do nas sam. Albo był bardzo pewny siebie, albo bardzo głupi. Nalał bourbona do trzech szklanek, dodał lodu i podał je nam. Sam usiadł za biurkiem na obrotowym fotelu z wysokim oparciem.

– Pan Levy, prawda? – spytał, kiedy zajęliśmy miejsca przed biurkiem. – Nie znamy się, ale słyszałem o panu.

– *Enchanté, monsieur* – powiedział Didier.

– Moja żona jest chora – zwrócił się do mnie Wisznu. – Opiekują się nią nasz doktor i dwie pielęgniarki. Dlatego się z nią nie rozstaję. Dlatego moi ludzie chcieli cię zabić. Ponieważ moja żona jest w tym domu. Dlatego sam myślę o zabiciu ciebie. Oszalałeś, że tu przyszedłeś?

– Przykro mi, że twoja żona jest chora i że zakłóciłem jej spokój – oznajmiłem, wstając. – Znajdę inny sposób.

– Tak łatwo się poddajesz? – rzucił Wisznu ironicznie.

– Słuchaj, Wisznu. Myślałem, że to twoja szulernia, klub. Nie wiedziałem, że to dom. Znajdę inny sposób.

– Siadaj. Mów, o co chodzi.

– Wiem, co byś poczuł, gdyby cokolwiek spotkało twoją żonę – zacząłem, znowu siadając – bo coś spotkało moją dziewczynę. Umarła. Człowiek, który dał jej prochy, przyczynę jej śmierci, znajduje się pod twoją opieką. Przyszedłem prosić, żebyś pozwolił mi z nim porozmawiać na ulicy.

– Dlaczego nie zaczekasz, aż wyjdzie?

– Nie zaczajam się na ludzi. Wolę wchodzić frontowymi drzwiami. Dlatego prosiłem o spotkanie z tobą. Ten człowiek pracuje dla ciebie, więc zwracam się do ciebie.

– Czego chcesz się dowiedzieć?

– Tego, co wie. Nazwiska człowieka, który był razem z nim, tego, który dał mojej dziewczynie te pigułki.

– A co dostanę w zamian?

– Wszystko, czego sobie zażyczysz, o ile obaj uznamy, że to w porządku.

– Przysługa? – rzucił Wisznu z ironicznym uśmiechem.

– To niemała rzecz – odparłem. – Jeśli pozwolisz mi spędzić trochę czasu z tym człowiekiem, zrobię wszystko, czego sobie zażyczysz, o ile obaj uznamy, że to w porządku. Masz moje słowo.

– Cygaro? – spytał.

– Nie, dzięki.

– Z wielką przyjemnością – oznajmił Didier. Wziął cygaro i powąchał je z lubością. – Wiesz, Wisznudada, jeśli zamierzasz nas zabić, niemal dokładnie tak chciałbym umrzeć.

Wisznu parsknął śmiechem.

– Kiedyś, gdy miałem siedemnaście lat, sam zrobiłem coś takiego – powiedział, przyglądając mi się z nieprzyjemnym uśmiechem. – Wniosłem tacę z czajem do salonu miejscowego bossa, odstawiłem ją i przyłożyłem bossowi nóż do szyi.

– I co się stało? – spytał zaintrygowany Didier.

– Powiedziałem mu, że jeśli jego *goonda* nie przestaną molestować mojej siostry, wrócę tu, równie niepostrzeżenie, i poderżnę mu gardło.

– Ukarał cię?

– Tak. Przyjął mnie do gangu – odparł Wisznu, pociągając łyk alkoholu. – Ale choć przypomina mi to moją młodość, nie mogę pochwalić tego, co zrobiłeś, przychodząc do mojego domu. Kim jest ten człowiek znajdujący się pod moją ochroną?

– Irlandczyk. Concannon.

– A zatem zjawiasz się za późno. Już odszedł.

– Był tu dzisiaj, *monsieur* – odezwał się cicho Didier.

– Tak. Był, potem odszedł. Taka jest natura naszej branży, prawda? Irlandczyk odszedł trzy godziny temu. I nie obchodzi mnie, dokąd się udał i czy go znowu zobaczę.

– W takim razie odejdę. Jeszcze raz przepraszam, jeśli zakłóciłem spokój twojej żony – powiedziałem.

– To prawda – rzucił, dając mi znak, żebym usiadł – że nie pracujesz już dla firmy Sanjaya?

– Tak.

– Za pozwoleniem, Wisznudada – odezwał się Didier, usiłując zmienić temat – nie znałeś tej zmarłej dziewczyny. Ale ja miałem ten zaszczyt. Była klejnotem, bardzo rzadko spotykanym ludzkim kwiatem. Ta strata jest wprost nie do zaakceptowania.

– Tak jak jego wtargnięcie do mojego domu. Trzeba dbać o porządek. Trzeba przestrzegać reguł.

– Niestety – przyznał Didier. – Biedny ten, kto ma miłość za panią i jeszcze biedniejszy ten, kto ją ma za niewolnicę.

– Mam ci powiedzieć coś o biednych? – spytał Wisznu, wstając, by dolać nam alkoholu, ale nie spuszczając ze mnie oka.

– Bardzo proszę – przyzwolił Didier, zaciągając się cygarem.

– Jeśli zbudujesz ładny dom – zaczął Wisznu, znowu siadając – zniszczą ci podłogę, żeby siedzieć na ziemi. Jeśli go wyremontujesz, przyniosą ziemię z zewnątrz, żeby nadal siedzieć na ziemi. Miałem firmę budowlaną, więc wiem. Co sądzisz, Shantaram?

Co sądziłem? Jesteś megalomanem i umrzesz gwałtowną śmiercią.

– Sądzę, że to słowa człowieka, który nienawidzi biednych.

– O, nie udawaj. Wszyscy nienawidzą biednych. Nawet biedni. Chcę powiedzieć, że niektórzy rodzą się, by dowodzić, a inni – większość – by słuchać. Zrobiłeś wielki krok we właściwym kierunku.

– Jakim kierunku?

– Opuściłeś firmę Sanjaya. Teraz dzieli nas tylko jeden mały kroczek. Gdybyś wstąpił do mnie i powiedział mi wszystko, co wiesz o swoim byłym miejscu pracy, stałbyś się przywódcą, nie wykonawcą rozkazów. I uczyniłbym cię bogatym ponad wszelkie wyobrażenie.

Wstałem.

– Jeszcze raz przepraszam, że się tu wdarłem. Gdybym wiedział, że masz tu rodzinę, nigdy bym się nie zjawił. Czy twoi ludzie pozwolą nam odejść, nie budząc wszystkich twoich bliskich?

– *Moi* ludzie? – prychnął Wisznu.

– Twoi.

– Moi ludzie nie tkną cię palcem. Masz na to moje słowo.

Ruszyłem do wyjścia, ale mnie zatrzymał.

– Nie tylko Irlandczyk wie.

Znowu odwróciłem się do niego. Didier zatrzymał się obok mnie.

– Był też kierowca. Mój kierowca. Czarny samochód należał do mnie.

– Do ciebie?

– Irlandczyk pożyczył go ode mnie. Poprzedniego dnia go postrzelono, ale uparł się, żeby wyjść. Pożyczyłem mu mojego szofera.

– Gdzie znajdę tego szofera?

– Nic ci nie powie.

– A może jednak – wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

– Nie żyje. Ale przed śmiercią powiedział mi wszystko, co wiedział.

– Czego chcesz, Wisznu?

– Wiesz, czego chcę. Chcę, żeby firma Sanjaya przestała sprowadzać broń i konstruktorów bomb z Pakistanu na ulice Bombaju.

– To lekka przesada… – zacząłem, ale wpadł mi w słowo.

– Nie zaprzeczaj, bo to się dzieje wszędzie – rzucił, podparty pod boki. – Pieniądze Arabów, trening w Pakistanie, armia już teraz maszerująca przez cały świat – wyliczał coraz głośniej, zapalając się do tematu. – Zamierzają podbić pierwszy kraj, Afganistan. Nie będzie to ostatnie państwo zdobyte przez armię islamską. Jeśli nie rozumiesz, co to znaczy, to jesteś idiotą.

– Teraz to ty przeszkadzasz swojej żonie. Nie chcę prowadzić z tobą debaty politycznej. Chcę Irlandczyka.

– Zapomnij o mojej żonie, skurwielu, i o Irlandczyku też. Powiedzcie mi, co o tym sądzicie. Obaj jesteście tu na tyle długo, żeby czuć miłość Matki Indii. Po czyjej stronie stoicie?

Spojrzałem na Didiera. Wzruszył ramionami.

– Prawdziwa walka – odparłem – toczy się między sunnizmem a szyizmem. Muzułmanie zabijają stu lub więcej innych muzułmanów na jednego przedstawiciela innej religii, meczet po meczecie, bazar po bazarze. Nie mamy interesów w tej walce. Powinniśmy się trzymać z dala od niej. I zdecydowanie nie powinniśmy robić zamachów bombowych ani atakować innych krajów w ramach ich rodzinnej waśni. Ani

kiedy indziej.

– My, Hindusi, mamy interesy w tej walce – odparł poważniej, przebierając palcami. – Kaszmir. Dlatego nas bez przerwy atakują. Chcą, żeby Kaszmir stał się niepodległym państwem islamskim. Jakie jest wasze stanowisko co do Kaszmiru?

– To wojna, w której nikt nie wygra. W każdym zakątku Kaszmiru powinno się roić od błękitnych hełmów ONZ. Tych ludzi trzeba chronić, zanim sytuacja się uspokoi.

– Uważałbyś tak samo, gdyby chodziło o rejon twojej ojczyzny?

– Ma rację – zauważył Didier, robiąc gest cygarem.

Spojrzałem na niego, a potem znowu na Wisznu.

– Ja nie mam ojczyzny. I nie mam już dziewczyny. Wiesz, kto pomoże mi znaleźć człowieka, który ją zabił?

Wisznu roześmiał się i zerknął na wiszący na ścianie zegar. Zbyt późno dotarło do mnie, że gra na zwłokę.

Drzwi za naszymi plecami otworzyły się i do gabinetu wszedł Dilip Błyskawica, a za nim sześciu policjantów. Dwaj chwycili mnie, dwaj inni – Didiera.

Dilip Błyskawica stanął obok mnie. Jego brzuch rozsadzał koszulę.

– Szukałem cię, Shantaram – oznajmił. – Mam parę niemiłych pytań do ciebie.

Spojrzałem na Wisznu. Uśmiechał się. Dilip Błyskawica pociągnął nas do drzwi.

– Czekaj! – rzucił Wisznu, wskazując Didiera. – Pan Levy jest mi potrzebny. Mamy parę spraw do przedyskutowania.

– *Jarur* – zgodził się Błyskawica.

Policjanci puścili Didiera, który spojrzał na mnie, pytając wzrokiem, czy mamy walczyć i zginąć, tu i teraz. Pokręciłem głową, a on posłał mi smutny półuśmiech, usiłując tchnąć odwagę w moje serce, w którym już galopował strach. Nie działo się nic szczególnego. Obaj znajdowaliśmy się już pod opieką Dilipa Błyskawicy i wiedzieliśmy, czego się spodziewać: kopniaków i razów, które ustaną dopiero, gdy kat się zmęczy.

# 40

Policjanci wywlekli mnie w domu. Gangsterzy odprowadzili mnie szyderczymi wrzaskami. Danda kopnął mnie, zatrzaskując drzwi.

Osiem rąk i kilka butów wepchnęło mnie twarzą w dół na tył jeepa, który zbyt szybko ruszył na posterunek w Kolabie, gdzie zostałem wyrzucony z jeepa, parę razy kopnięty i powleczony przez kamienny dziedziniec. Policjanci minęli rząd gabinetów, w których odbywały się normalne przesłuchania, ale zaciągnęli mnie do podkoszarów, w których odbywały się nienormalne przesłuchania.

Podniosłem się i stawiłem czynny opór. Udało mi się parę razy celnie trafić. To im się nie spodobało. Stłukli mnie i wrzucili do szerokiej, ciemnej celi.

Siedziało w niej czterech wystraszonych mężczyzn. Byłem jednym z nim. Pozostali trzej wystraszeni mężczyźni, skuci razem w kącie, siedzieli w kucki. Mieli brudne twarze i podarte koszule. Wyglądali, jakby nie wychodzili stąd od jakiegoś czasu.

Policjanci przykuli mnie do drzwi, nisko przy ziemi, zmuszając mnie do uklęknięcia.

Łup! Kopniak spadł na mnie nie wiadomo, skąd. Witaj, Błyskawico. Kopniak, cios pięścią, cios pałką, pięść, kopniak, kopniak, pałka, kopniak, pięść, pięść, pałka.

Tak biłeś Karlę, ty tchórzu, pomyślałem. To był obraz, na którym mogłem się skupić, żeby nie myśleć. Karma czeka na ciebie. Karma czeka na ciebie.

I nagle wszystko ustało, jak ostatni grom, a ja słyszałem łomot odchodzącej nawałnicy.

Gdy uznałem, że jest już bezpiecznie, odważyłem się podnieść głowę i dostrzegłem Dilipa Błyskawicę. Gapił się na trzech skulonych w kącie więźniów. Dyszał ciężko. Twarz miał rozjaśnioną podłym szczęściem.

Zrozumiałem. Ja byłem supportem. Mężczyźni w kącie stanowili główną atrakcję.

Faceci w kącie też to zrozumieli i zaczęli błagać o litość. Miałem czas odetchnąć, poruszyć się i oszacować rozmiar strat.

Miałem szczęście. Ani jednego złamania, ani jednego pęknięcia, ręce i nogi na chodzie. Mogło być – i bywało – gorzej.

Gdy Dilip Błyskawica zajął się przykutymi ludźmi, dwaj policjanci rozpięli moje

kajdanki i zabrali do gabinetu sierżanta, żeby zastanowić się, jak wiele moich pieniędzy chcą zatrzymać. Wzięli wszystko, oczywiście; tyle kosztowało wykupienie moich ubrań, drobiazgów i noży. Wyrzucili moje rzeczy na ulicę, a mnie w ślad za nimi, ubranego tylko w szorty.

Stanąłem na pustej, ciemnej ulicy obok wysepki, zbierałem kolejno swoje duchy, aż całkiem się ubrałem. Przez jakiś czas gapiłem się nieruchomo na posterunek, jak czasem się dzieje z ludźmi, w których niesprawiedliwość zrodziła opór.

Stałem zakrwawiony, pobity, w świetle jarzeniówek. Słyszałem krzyki nowych ofiar Dilipa Błyskawicy. Migające światło na rogu oblewało mnie czerwienią w rytmie powoli pulsującego serca. Wpatrywałem się w miejsce, z którego dobiegały krzyki.

Obok mnie zatrzymał się czarny ambassador z opuszczonymi szybami. Na siedzeniu z przodu, obok Shaha, szofera z firmy, zobaczyłem Farida. Z tyłu siedzieli: Fajsal, Amir i Andrew DaSilva. DaSilva opierał się łokciem o szybę. Sięgnął pod deskę rozdzielczą. Odruchowo wyjąłem nóż. Gangsterzy parsknęli śmiechem.

– Masz swoje pieniądze – odezwał się DaSilva, przekazując mi paczkę. – Trzydzieści tysięcy. Odprawa za misję na Sri Lance.

Sięgnąłem po paczkę, ale jej nie puścił.

– Masz dwa tygodnie opieki Sanjaya – powiedział, uśmiechając mi się prosto w oczy. – Potem spróbuj mnie zabić, dobra? I zobaczymy, co będzie.

– Nie chcę cię zabić, Andy – odparłem, wyszarpując mu paczkę. – Za dobrze się bawię, ośmieszając cię przed twoimi kumplami.

– A to dobre! – parsknął Amir. – Będę za tobą tęsknić, Lin. *Challo!* Jedziemy!

Czarny ambassador odjechał, zostawiając niebieski dym wirujący w jarzeniowym blasku. Włożyłem pieniądze za koszulę; znowu usłyszałem krzyki.

Poczułem rodzący się ból za prawym okiem. Siniaki na moich plecach i barkach spotykały się ze sobą. Wróciłem przez drzwi z szerokim łukiem, wspiąłem się po schodach na długi ganek i wszedłem do gabinetu Dilipa Błyskawicy.

– Zawołaj go – rzuciłem do przysypiającego posterunkowego za biurkiem.

– Pierdol się, Shantaram – odparł, rozwalając się na krześle. – Lepiej, żeby cię tu nie zobaczył.

Sięgnąłem za koszulę, wyjąłem parę kilkusetdolarowych banknotów i rzuciłem je na biurko.

– Ale już.

Posterunkowy zgarnął banknoty i wybiegł.

Dilip Błyskawica zjawił się po paru sekundach. Nie wiedział, czy chcę narobić kłopotów, czy dać mu łapówkę, i nie był pewny, czego pragnie bardziej. Pławił się w sadyzmie, jego pękająca w szwach koszula pociemniała od potu.

– Ale mam dziś szczęście – powiedział, obracając w dłoniach szpicrutę.

– Chcę wykupić trzech więźniów.

– Co?

– Chcę wykupić trzech więźniów. Za gotówkę.

– Których? – spytał Błyskawica podejrzliwie.

– Tych, którym właśnie spuszczasz łomot.

Dilip parsknął śmiechem. Dlaczego ludzie się śmieją, kiedy nikt nie próbuje ich rozbawić? A, już wiem: kiedy ty ich bawisz.

– Z przyjemnością. Za odpowiednią cenę. Ale czy zrobi ci jakąś różnicę świadomość, że jeden z tych mężczyzn zgwałcił kilka dziewczynek, a ja nie wiem, który to, dopóki nie wydobędę z nich zeznań? Oczywiście, wybór należy do ciebie.

Człowiek próbuje zrobić coś dobrego. W uszach mi dzwoniło, ból budził moją twarz z odrętwienia. Był to ten rodzaj gniewnego bólu, który dygocze w tobie i nie przestanie, dopóki nie wydarzy się coś bardzo dobrego albo bardzo złego. Dzwony nie cichły. Gwałciciel dzieci? Los to wieczny Salomon.

– Chciałbym – wychrypiałem, a potem odkaszlnąłem – chciałbym zapłacić ci za to, żebyś nie bił już tych trzech więźniów. Umowa stoi?

– Stałaby, gdybyś znalazł gdzieś pięćset amerykańskich dolarów.

Wiedział, że zabrał mi wszystko, a posterunkowy rozważnie zachował sto dolarów dla siebie. Dlatego, kiedy rzuciłem na stół pieniądze, Dilipa zamurowało.

– Mam na górze osiemdziesięciu więźniów – wykrztusił. – Chcesz zapłacić, żebym ich nie bił?

W tamtej chwili, pobity i oszalały, ze świadomością, że na tym posterunku znajdowało się ciało Lisy, i wszyscy policjanci je widzieli, i że Dilip Błyskawica pobił Karlę, pewnie przy tej samej kracie, do której mnie przykuł, nic mnie nie obchodziło. Chciałem tylko, żeby krzyki na chwilę ucichły.

Rzuciłem na biurko jeszcze trochę pieniędzy.

– Dziś za wszystkich – oznajmiłem.

Znowu się roześmiał, zgarniając pieniądze. Policjanci stojący w drzwiach także

zarechotali.

– To była owocna noc – oświadczył. – Powinienem cię częściej bić.

Wyszedłem z posterunku przez biały ganek na schody. Przeszedłem pod łukiem prowadzącym na ulicę. Wiedziałem, że kupiłem ciszę na jedną noc, ale że więźniowie zostaną pobici następnego dnia, a po nich następni, i że tak będzie zawsze.

Niczego nie powstrzymałem, bo za żadną cenę nie kupi się spokoju, a okrucieństwo nie ustanie, dopóki dobroć nie obejmie powszechnych rządów.

Czarna limuzyna zatrzymała się przede mną; Karla wysiadła z Didierem i Naveenem. Moja radość skoczyła jak gepard. Ból uciekł ze strachu przed miłością.

Chwycili mnie w objęcia i usadowili w samochodzie.

– Wszystko w porządku? – spytała Karla. Jej dłoń chłodziła m twarz.

– Tak. Skąd wiedziałaś, że wyszedłem?

– Czekaliśmy. Didier do nas zadzwonił i czekaliśmy naprzeciwko, przed Leopoldem. Widzieliśmy, jak cię wyrzucają z posterunku i daliśmy ci chwilę.

– To był pomysł Karli – dodał Naveen. – Powiedziała: „Niech spokojnie włoży spodnie”. Właśnie do ciebie szliśmy, kiedy zatrzymał się przy tobie czarny ambassador.

– A potem, gdy odjechał, wróciłeś na posterunek – powiedział Didier.

– Co wydawało się pewną bezczelnością – uzupełnił Naveen z uśmiechem – więc znowu zaczęliśmy czekać, planując odbić cię z rąk policjantów. Ale jednak sam wyszedłeś.

– Mamy nowe wiadomości – oznajmił Didier.

– Jakie?

– Kiedy cię zabrali, Wisznu porozmawiał ze mną. Powiedział, kto poszedł z Concannonem do Lisy.

– Kto?

– Randżit – rzuciła Karla sucho, biorąc papierosa od Didiera.

– Twój Randżit?

– Mój ze względu na więzy małżeńskie. Ale coś mi się wydaje, że wcześniej niż rozwódką zostanę wdową.

Randżit? Pamiętałem, jaki był przestraszony, kiedy zjawiłem się w jego biurze, szukając Karli. Myślał, że wiem.

– Gdzie on jest?

– Uciekł z miasta – wyjaśniła Karla. – Obdzwoniłam wszystkich jego przyjaciół.

Doprowadziłam ich do szaleństwa, ale nikt z nich nie widział go od wczorajszego wieczoru. Jego sekretarka zarezerwowała mu lot do Delhi. Po wylądowaniu zniknął z powierzchni ziemi. Może być wszędzie.

– Znajdziemy go – zapowiedział Naveen. – Jest zbyt sławny, żeby mógł długo zachować anonimowość.

Karla parsknęła śmiechem.

– Tu się nie mylisz. Prędzej czy później wynurzy się z tego bagna, w którym żyje.

– Możesz odetchnąć – oznajmił Didier – bo tajemnica została rozwiązana.

– Dziękuję – powiedziałem do niego, oddając Karli piersiówkę. – Nie została rozwiązana, ale przynajmniej wiemy, kto może ją rozwiązać.

– No właśnie – zgodziła się Karla. – Dopóki nie znajdziemy Randżita, skupmy się na bieżących sprawach. Wyglądasz na dość sponiewieranego.

– Przepraszam, że się wtrącam – odezwał się szofer w uniformie – ale czy mogę zaoferować panu apteczkę pierwszej pomocy?

– To ty, Randall?

– W rzeczy samej. Czy mogę zaoferować apteczkę i ewentualnie ręcznik?

– Możesz. A jak to się stało, że suniesz po Bombaju tą wielką czarną furą?

– Panna Karla zaproponowała mi, że mogę w ten sposób u niej służyć.

– Daj spokój, Randall – rzuciła Karla ze śmiechem. – W tym samochodzie służy się tylko pomocą przy nalewaniu drinków i podawaniu apteczki.

Spojrzałem na Karlę. Wzruszyła ramionami, otworzyła piersiówkę i podała mi ją, uprzednio zwilżywszy kłąb gazy wódką.

– Pij.

– Służę panience – powiedziałem, uśmiechając się rozbawiony tym spotkaniem z barmanem z hotelu Mahesh.

Karla zdezynfekowała rany na mojej twarzy, głowie i przegubach – sprawnie, bo już wiele razy opatrywała tak żołnierzy. Jednym z jej najlepszych przyjaciół z czasów firmy Kadirbaja był trener bokserski, który dbał o to, żeby bokserzy byli zdolni do walki. Nauczył ją wszystkiego, co umiał, aż sama stała się równie dobra jak on.

– Dokąd panienka życzy? – spytał Randall. – Choć oczywiście celem jest sama podróż.

– Dokąd chcesz się udać? – zwróciła się do mnie Karla ze śmiechem. Dokąd chciałem się udać? Chciałem się pożegnać z Lisą w towarzystwie przyjaciół i

zapomnieć o żałobie. Świadomość, że to Randżit dał pigułki Lisie, przyniosła mi tę odrobinę ulgi, której potrzebowałem, żeby się pożegnać.

– Chciałbym coś zrobić. I, jeśli się zgodzicie, poproszę, żebyście mi w tym towarzyszyli.

– Jasne, w porządku, oczywiście – powiedzieli wszyscy. Żadne nie spytało, o co chodzi.

– Didier, czy moglibyśmy obudzić twojego przyjaciela Tita?

– O ile mi wiadomo, Tito nie sypia – odparł Didier. – A w każdym razie nikt go na tym nie przyłapał.

– Dobrze. Jedźmy.

Didier wyjaśnił Randallowi, jak dotrzeć do kolonii rybackiej za targiem Kolaba. Zaparkowaliśmy za rzędem krzywo stojących ręcznych wózków i ruszyliśmy krętymi, mrocznymi zaułkami i uliczkami na spotkanie z litem, który czytał Durrella przy lampie naftowej. Powiedział, że czuje się samotny, więc zażądał podatku od czasu: dziesięć procent od dwóch godzin. Zapaliliśmy z nim jointa, pogadaliśmy o książkach, a potem wziąłem moje rzeczy.

– Dokąd się teraz udajemy? – spytał Randall, gdy wróciliśmy do samochodu.

– Do budynku Air India – powiedziałem. – Na podniebny pogrzeb.

# 41

Nocny strażnik pamiętał mnie; przyjął pieniądze i wpuścił nas na dach pustego budynku Air India. Czerwony łucznik obracał się powoli. Noc była bezchmurna, horyzont rozleglejszy niż morze. Oglądane z naszej podniebnej perci fale wydawały się delikatne, grzywy z piany były jak pasma dryfujących wodorostów.

Podczas gdy pozostali podziwiali łucznika i widok, ja zająłem się rozniecaniem małego ogniska. Naveen pomógł mi pozbierać cegły i połamane płytki. Zrobiliśmy z nich palenisko.

Poprosiłem strażnika o gazetę i zacząłem zgniatać strony w małe, twarde kulki. Gdy wszystko było gotowe, wyjąłem z torby pudełko z rzeczami Lisy, przechowane u lita.

Metalowa zabawka – drozd – była połączona z nożycopodobnym urządzeniem z otworami na palce. Zacisnąłem nożyce i ptak poruszył głową i zaśpiewał. Należał do Lisy. Miała go od dzieciństwa. Dałem go Karli.

Żółta rura z mosiężnym okuciem na końcu, na które poszły wszystkie moje stare srebrne pierścienie. Zrobiłem to jako przycisk do papieru dla Lisy. Dałem go Naveenowi. Niebieskie aksamitne puzderko mieściło: kamienie, żołędzie, muszelki, amulety i monety. Dałem je Didierowi.

Podarłem zdjęcia na kawałki i położyłem w palenisku wraz ze wszystkimi łatwopalnymi przedmiotami, sznurkowymi sandałami i z samym pudełkiem z napisem POWODY. Ostatni na stercie spoczął cienki srebrny szal zwinięty jak wąż.

Zapaliłem najniżej leżącą papierową kulkę. Zajęła się ogniem. Didier pomógł mi, chlustając ze swojej piersiówki. Karla także. Naveen rozniecił płomienie, wachlując je kawałkiem płytki.

Karla wzięła mnie za rękę i zaprowadziła na skraj dachu, z którego roztaczał się widok na morze.

– Randżit – powiedziałem cicho.

– Randżit – odpowiedziała cicho.

– Randżit – warknąłem.

– Randżit – odwarknęła.

– Jak się trzymasz?

– Dobrze. Mam inne sprawy na głowie. Wszystko w porządku?

– Randżit – rzuciłem przez zaciśnięte zęby.

– Zawsze ją lubił – powiedziała. – Tak się skupiłam na pchaniu go w światło reflektorów, że nie zauważyłam, jak się zbliżyli.

– Twierdzisz, że Randżit kręcił z Lisą?

– Nie wiem. Może. Nigdy nie pytałam go o jego życie seksualne, a on mi się nie zwierzał. Może to po prostu dlatego, że tak bardzo ją lubiliśmy. Randżit lubi rywalizację. Ale jak wszystkim skłonnym do rywalizacji facetom jaja mu odpadają, zanim mu stanie.

– Co to znaczy?

– Powiem ci, kiedy go znajdziemy. W tej chwili moje problemy z Randżitem nie mają znaczenia i nie mają nic wspólnego z Lisą. A jego problemem był strach przed sukcesem. Zadziwiające, jakie to powszechne. Powinni wymyślić na to nazwę.

– Zmęczenie ambicji? – podsunąłem.

– Podoba mi się – powiedziała ze śmiechem. – Jak sądzisz, co Randżit robił z Lisą tamtej nocy?

– Rohypnol to pigułka gwałtu, ale ludzie czasami biorą go wspólnie, bo go lubią. Więc albo Randżit jest gwałcicielem, któremu coś się nie udało, albo kręcili ze sobą i coś poszło nie tak. Rzecz w tym, że nie wydaje mi się, żeby byli aż tak sobie bliscy – wyjąwszy fakt, że Lisa lubiła jego działalność polityczną.

– Jego działalność polityczną? – powtórzyła Karla i prychnęła cichym śmiechem.

– Dlaczego cię to bawi?

– Kiedyś ci to wyjaśnię. Jak ci się siedziało w klatce z Dilipem Błyskawicą?

– Jak zwykle. Boki zrywać.

– Źli policjanci są jak źli księża. Zależy im tylko na spowiedzi, nie na rozgrzeszeniu.

– A ty jak się czujesz?

– Dobrze. Mam siniaki jak test Rorschacha. Jeden wygląda jak dwa kochające się delfiny. Ale może tylko dla mnie.

Chciałem zobaczyć ten siniak. Chciałem go pocałować. Chciałem pobić człowieka, który go zrobił.

– Ten samochód, Randall i pokój w Tadżu… – powiedziałem. – To wszystko kosztuje. Odłożyłem trochę pieniędzy, sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Mogę cię

gdzieś przechować, z samochodem, Randallem i wszystkim, czego będziesz potrzebować. Dopóki Randżit jest na wolności, powinnaś się nie wychylać.

– Słuchaj – rzuciła – mówiłam ci, że pracuję w gazecie Randżita z ekonomistami i analitykami. Zarobiłam trochę i mam małe oszczędności.

– Tak, ale…

– Poświęciłam na to dwa lata, korzystając z najlepszych porad, jakie można było kupić za pieniądze szefa – i to całkiem sporo.

Przypomniałem sobie naszą motorozmowę, kiedy powiedziałem jej, żeby oszczędziła trochę pieniędzy i zapłaciła pierwszą ratę za dom. A ona w tym czasie współpracowała z zawodowymi ekonomistami i analitykami giełdowymi. A mimo to nie powiedziała ani słowa. A nawet była urocza.

– Grałaś na giełdzie?

– Właściwie… nie.

– To o co chodzi… właściwie?

– Manipulowałam nią.

– Manipulowałaś giełdą?

– Troszeczkę.

– Co znaczy „troszeczkę”?

– Wykorzystywałam głosy pełnomocników, żeby wywrzeć nacisk na teoretyczną wartość wszystkich udziałów Randżita w mediach oraz przemysłach energetycznym i transportowym i na szesnaście minut tworzyłam tajny portfel handlowy, a potem go rozwiązywałam.

– Portfel handlowy?

– I kupowałam, ile wlezie, dzięki sześciu facetom przy sześciu telefonach, przez szesnaście minut.

– I co potem?

– Potem zmieniłam ceny akcji w wybranych niezależnych przedsiębiorstwach, w których już kupiłam akcje uprzywilejowane.

– Co?

– Parę razy pomajstrowałam przy giełdzie. Nic wielkiego. Wzięłam kasę i dałam nogę.

– Ile zarobiłaś?

– Trzy miliony.

– Rupii?

– Dolarów.

– Zarobiłaś na giełdzie trzy miliony dolarów?

– Dokładnie mówiąc, orżnęłam giełdę na trzy miliony dolarów. To nie takie trudne, jeśli jest się obrzydliwie bogatym, a byłam dzięki udziałom Randżita. Pieniądze nie stanowią więc problemu. Mam je na czterech różnych kontach. Nie potrzebuję finansowego wsparcia, ani twojego, ani Randżita. Ale potrzebuję twojej pomocy.

– Trzy miliony? A ja ci głędziłem o…

– Londyńskim życiu bombajskiej paniusi. Bardzo mi się to spodobało. Naprawdę. I…

– Czekaj. Potrzebujesz mojej pomocy?

– Do miasta wrócił mój dawny wróg. Madame Zhou.

– Nie lubię tej kobiety, a spotkałem się z nią tylko raz.

– Brak sympatii to dopiero początek. To, co ja do niej czuję, to nienawiść we wszystkich odcieniach.

*Madame* Zhou była sprzedawczynią informacji, która od ponad dekady wyduszała tajemnice z wpływowych klientów jej burdelu, Pałacu Szczęścia. Kiedy Lisa została zwabiona w ten labirynt poplamionych prześcieradeł, Karla wyciągnęła ją z niego, oblała Pałac Szczęścia benzyną i spaliła go do fundamentów.

– *Madame* Zhou rozesłała wiadomość, że mnie szuka. I tym razem nie tylko z bliźniakami.

Znałem bliźniaków, ochroniarzy i nieodłącznych towarzyszy *madame* Zhou. Kiedy ostatnio ich widziałem, krwawili, ponieważ przegrywałem w bardzo nieczystej walce z nimi, a także ponieważ Didier do nich strzelił.

– Nie znoszę tych bliźniaków, a spotkałem ich tylko raz.

– *Madame* Zhou sprowadziła sobie osobistych specjalistów od kosmetyki. Dwóch miotaczy kwasu.

W tamtych czasach jedną z metod represji było oblewanie kwasem. Choć zwykle ograniczało się to do tak zwanych oparzeń honorowych, miotacze kwasu wynajmowali się także na inne okazje, o ile honorarium ich zadowalało.

– Kiedy wróciła do Bombaju?

– Dwa dni temu. Jakoś dowiedziała się o śmierci Lisy. Wie, że to z jej powodu spaliłam jej pałac. Chce mi spojrzeć w oczy i roześmiać się, zanim obleje mnie

kwasem.

Gwiazdy wędrowały po ciemnych pastwiskach. Przedświt odebrał głębię cieniom. Blade światło obudziło brylantowe iskrzenie fal, które wychylały się nad powierzchnię morza jak rozbawione świetliste foczki.

Odwróciłem powoli głowę, żeby patrzeć na profil Karli, w chwili gdy jej serce przemawiało do morza.

Bała się od wielu dni. To ona znalazła zwłoki naszej słodkiej przyjaciółki, to ją pobili policjanci, to ona zerwała na stałe z Randżitem z nieznanego mi powodu, to jej szukali miotacze kwasu i to ona odkryła, że Randżit był ostatnią osobą, która widziała Lisę.

Była najodważniejszą znaną mi dziewczyną, a ja tak bardzo pogrążyłem się w swojej rozpaczy i wyrzutach sumienia, że w potrzebie nie było mnie przy jej boku, gdzie powinienem się znajdować.

– Wiesz, ja…

– To jak? – rzucił Didier znad małego paleniska. – Jesteśmy gotowi?

Didier i Naveen dobrze zajmowali się ogniem. Teraz ze spalonych przedmiotów został miałki pył, już ostygły. Wystarczyło go dla każdego z nas po garści.

Poszliśmy na wychodzący na otwarte morze narożnik dachu i rozsypaliśmy tę odrobinę prochu, która nam po niej została, w miejscu, które wybrałaby ona na rozsypanie moich prochów.

– Żegnaj i witaj, piękna duszo – powiedziała Karla, gdy popiół ulatywał z naszych palców. – Obyś wróciła, by wieść dłuższe i szczęśliwsze życie.

Wraz z popiołem posłaliśmy na wiatr myśli o niej. Byłem tak wściekły na przeznaczenie, że nie mogłem płakać.

– No, lepiej się stąd zabierajmy – odezwał się Naveen, usuwając zaimprowizowane palenisko. – Niedługo przybędzie personel sprzątający.

– Czekajcie – poprosiłem. – *Madame* Zhou wróciła do miasta wraz z miotaczami kwasu i rozpytuje się o Karlę.

– Miotacze kwasu! – Didier jakby splunął tym słowem, wzdrygając się ze zgrozy.

– Kim jest *madame* Zhou? – spytał Naveen.

– Obrzydliwą kobietą – oznajmił Didier, pociągając ostatni łyk z piersiówki. – Wyobraź sobie pająka wielkości niedużej kobiety, a otrzymasz całkiem wierny obraz sytuacji.

– Pilnujmy Karli przez całą dobę, dopóki nie wrzucimy *madame* Zhou i jej miotaczy kwasu do morza. Moglibyśmy…

– Dziękuję i przyjmuję pomoc Didiera i Naveena – wpadła mi w słowo Karla. – Bardzo za nią dziękuję. Ale nie twoją, Lin.

– Nie moją?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo cię tu nie będzie. Wyjeżdżasz.

– Wyjeżdżam?

– Tak.

– Kiedy?

– Dziś rano.

– Do widzenia, Lin. – Didier podbiegł, żeby mnie uściskać. – Nigdy nie wstaję przed popołudniem, więc niestety, nie będzie mnie przy twoim wyjeździe.

– Jakim wyjeździe?

– W góry – wyjaśniła Karla. – Zostaniesz na dwa tygodnie z Idrissem.

– Do widzenia, Lin – odezwał się Naveen, biorąc mnie w objęcia. – Zobaczymy się, jak wrócisz.

– Ale. zaraz…

Już szli do drzwi. Dołączyliśmy do nich, a kiedy drzwi windy się zamknęły, Karla westchnęła.

– Za każdym razem, gdy drzwi windy się zamykają… – zaczęła.

Didier podał jej piersiówkę.

– Myślałam, że już wszystko wypiłeś – powiedziała, pociągając łyk.

– To moja rezerwa.

– Czy wyjdziesz za mnie, jeśli zdołam się rozwieść z Randżitem albo go zabić?

– Ja już poślubiłem swoje wady, kochana, a to bardzo zazdrosne kochanki.

– Co za niefart – powiedziała Karla, wzdychając. – Wszyscy moi faceci albo są wcielonymi wadami, albo je poślubiają.

– A ja do której kategorii należę? – spytał Naveen. – Skoro stałem się twoim facetem…

– Może do obu – odparła. – Dlatego mam w związku z tobą tak wielkie nadzieje.

Doszliśmy do samochodu Karli. Randall otworzył drzwi. Oznajmiłem, że chcę wrócić do swojego motocykla, nadal zaparkowanego pod domem Skorpionów. Karla odprowadziła mnie do falochronu.

Jej palce były jak dotykająca mnie prawda.

Wyobraź sobie, że tak może być codziennie.

– Tak się składa, że lubię kończyć to, co zacząłem – powiedziałem.

Roześmiała się. Świątynny dzwon.

– Chciałbym być przy tobie, kiedy *madame* Zhou wyskoczy z cienia.

– Możesz mi pomóc, przez dwa tygodnie przebywając na górze. Niech tu się wszystko uspokoi. Pozwól, żebym odkręciła tę sytuację. Pozwól mi zrobić to, co muszę, i nie mieszaj się do tego. W razie potrzeby zostań z Idrissem dłużej.

– Dłużej?

– W razie potrzeby.

– A my?

Uśmiechnęła się. Pocałowała mnie.

– Odwiedzę cię.

– Kiedy?

– Kiedy będziesz się tego najmniej spodziewał – rzuciła, odchodząc do samochodu.

– A co z *madame* Zhou?

– Okażemy jej łaskę… dopóki jej nie dopadniemy.

Odprowadziłem wzrokiem odjeżdżający samochód, a potem ruszyłem wzdłuż promenady przy falochronie. Pierwsi przechodnie trącali mnie łokciami, zbyt poważni, by oderwać wzrok od chodnika.

Poranek wznosił się za budynkami od wschodniej strony, z wolna unosząc z ich fasad welony cienia. Tu i tam szczekały psy, tęskniące za jakąś awanturą. Stada gołębi testowały swoje umiejętności, śmigając nad ścieżką niczym szal tancerki, by po chwili znowu wzlecieć w niebyt.

Szedłem jak jednoosobowy kondukt pogrzebowy. Nadal czułem na palcach popioły. Maleńkie drobiny życia Lisy frunęły nad morzem i promenadą.

Wszystko zostawia jakiś znak. Każdy cios odbija się echem w lesie. Każda niesprawiedliwość odcina gałąź, każda strata powala drzewo. Piękna odwaga, nadzieja, która charakteryzuje nasz gatunek, każe nam żyć dalej bez względu na rany, jakie zadaje nam życie. Idziemy przed siebie. Stajemy w obliczu morza, wiatru i słonej

prawdy śmierci, i idziemy dalej.

A każdy krok, każdy oddech, każde spełnione życzenie to obowiązek wobec tych, których życia i miłości nie rozświetlają już iskra i tętno Źródła: duszy, którą kochaliśmy w ich oczach.

VII

# 42

– Zacznę tę lekcję od wyjaśnienia, gdzie Kadirbaj popełnił błąd – powiedział Idriss, gdy spędziłem z nim na górze trzy niespokojne noce, podczas których sen przychodził opornie, i trzy pracowite dni.

– Ale…

– Wiem, wiem, chcesz otrzymać wielkie odpowiedzi na wielkie pytania. Skąd przychodzimy? Dokąd zmierzamy? Kim jesteśmy? Czy życie ma sens? Czy jesteśmy wolni, czy też powolni boskiemu planowi? Dotrzemy i do nich, choć są nieznośne.

– Nieznośne czy nierozwiązywalne?

– Wielkie pytania mają tylko małe odpowiedzi, a wielkie odpowiedzi można znaleźć tylko przez małe pytania. Ale najpierw potrzebujemy nieco O i O.

– Odpoczynku i odnowy?

– Nie, ozdrowienia i oczyszczenia.

– Oczyszczenia? – powtórzyłem, unosząc brew.

– Oczyszczenia. Obowiązkiem każdej istoty ludzkiej jest pomoc innym w oczyszczeniu, gdy ich rozmowa jest prywatna i ma naturę duchową. Pomóż mi w tym, a ja pomogę tobie.

– Nie jestem osobą uduchowioną.

– Jesteś. Dowodzi tego sam fakt, że rozmawiamy, choć nie potrafisz tego dostrzec.

– Dobrze. Ale skoro przyjęto mnie do tego klubu, powinieneś zaostrzyć kryteria.

Siedzieliśmy na białym kamiennym płaskowyżu z widokiem na najwyższe drzewa w dolinie. Kuchnia znajdowała się po naszej lewej stronie, główny teren obozowiska mieliśmy za plecami.

Było późne popołudnie. Małe ptaszki śmigały z gałęzi na gałąź, uwijając się w liściach.

– Szukasz ucieczki w żartach – zauważył Idriss.

– Nie chcę tylko wyjść z wprawy. Znasz Karlę i wiesz, że lubi podnosić poprzeczkę.

– Nie, uciekasz, przed wszystkim z wyjątkiem tej kobiety. Uciekasz przede mną. Gdyby nie było jej w Bombaju, też byś z niego uciekł. Uciekasz nawet wtedy, gdy

stoisz nieruchomo. Czego się tak boisz?

Czego się bałem? Od czego miałem zacząć? Może od śmierci w więzieniu. Powiedziałem mu to, ale tego nie kupił.

– Nieprawda – powiedział, wymierzając we mnie chillum. – Czy bałbyś się, gdyby coś się stało Karli?

– O, tak. Oczywiście.

– O tym mówiłem. O pozostałych rzeczach już wiesz i możesz je znieść, jeśli będziesz musiał. Ale Karla i twoja rodzina… o, tu rodzi się prawdziwy strach, prawda?

– O co ci chodzi?

Idriss wyprostował się z zadowolonym uśmiechem.

– To znaczy, że nosisz w sobie lęk. Lęk powinien być poza nami. Powinien wskakiwać w nas tylko wtedy, gdy jest potrzebny. W innych okolicznościach jesteśmy stworzeni przez naturę i kulturę do spokojnego rozkwitania, ponieważ bardzo trudno jest utrzymać łączność z Boską Istotą, gdy żyjesz w strachu.

– A to znaczy, że…?

– Że musisz zostać oczyszczony.

– A jeśli podobam się sobie nieoczyszczony? Jeśli uważam, że to, co we mnie nieoczyszczone, jest najlepsze? A jeśli nie można mnie oczyścić? Czy regulamin przewiduje taką sytuację?

Idriss parsknął śmiechem.

– Możesz mieć rację – przyznał łagodnie. – To rzeczywiście może być najlepsza twoja część. Ale nie dowiesz się, dopóki się nie poddasz oczyszczeniu.

– Mam się poddać?

– Tak.

– Wiesz, Idriss, kiedy słownictwo zaczyna mi się kojarzyć z sekciarskim slangiem, to, co we mnie nieoczyszczone, każe mi spadać w diabły.

– Ujmę to w ten sposób – powiedział Idriss, odchylając się na krześle. – Załóżmy, że kogoś znasz, znasz go całkiem dobrze, i załóżmy, że ma jakieś sympatyczne cechy, ale ta osoba tylko bierze i nigdy nie daje. Na razie nadążasz?

– Tak.

– Doskonale. Załóżmy, że ta osoba jest bezwzględna wobec tych, którzy nie są mu bliscy i nigdy nie waha się korzystać z cudzego sukcesu, talentu lub pieniędzy, ale nigdy

sama nie pracuje i nigdy się nie rewanżuje. Nadążasz?

– Znam tego gościa – powiedziałem z uśmiechem. – Mów dalej.

– No, więc w tym przypadku, ponieważ jesteś bardziej oczyszczoną osobą, twoim obowiązkiem jest porozmawiać z tym człowiekiem i spróbować zmodyfikować jego niszczące zachowanie. Ale to się uda tylko wtedy, gdy ten człowiek podda się twojemu wpływowi. Jeśli jest zbyt dumny lub zbyt nieoczyszczony, nie możesz wykonać wobec niego swojego obowiązku. Musisz wybrać bardziej otwartą osobę.

– Dobrze. Rozumiem. Ale nie nazwałbym tego poddaniem się, tylko spotkaniem w pół drogi.

– I masz rację, w obu sprawach. To także wspólne terytorium i ugoda, i swobodna dyskusja, ale nic z tego nie jest możliwe bez częściowego oddania ze strony wszystkich zainteresowanych. Cywilizacja to oddanie w dobrej sprawie. Pokora to drzwi do oddania, a oddanie to drzwi do oczyszczenia. Czy to jasne?

– Na razie… nadążam.

– Dzięki Boskiej Istocie – westchnął, odprężając się i opuszczając ręce na kolana. – Nie masz pojęcia, jak wiele osób zmusza mnie do przechodzenia przez to raz po raz, z kolejnymi przykładami, tylko po to, żeby odsunąć na jedną jebaną minutę ich jebaną dumę i uprzedzenia.

Po raz pierwszy usłyszałam, jak przeklina. Zobaczył błysk w moim oku.

– Od czasu do czasu muszę przeklinać albo gadać szalone rzeczy i krzyczeć – wyjaśnił. – W przeciwnym razie mi odjebie.

– Rozumiem…

– Nie wiem, jak to robią ci tantrycy. Cała ta fizyczna pokuta, poświęcenie i poddawanie się męczącym rytuałom, codziennie, przez całe życie. W porównaniu z nimi my, nauczyciele, mamy łatwo. Ale i tak raz na jakiś czas dostajemy świra od samego brzemienia bycia tak kurewsko miłym dla każdego. Zapal mi tę zasraną chillum z łaski swojej. Na czym skończyliśmy?

– Na błędach Kadirbaja – powiedziałem, zapalając mu fajkę.

Przez jakiś czas z niej pykał, odzyskał wątek i spojrzał mi w oczy.

– Powiedz, co wiesz o dążeniu do złożoności – rzucił, wpatrując mi się prosto w oczy.

– Kadirbaj twierdził, że gdyby robić zdjęcie wszechświata co miliard lat wstecz aż do Wielkiego Wybuchu, zobaczylibyśmy, że stawał się on coraz bardziej złożony. I że ten fenomen, to ciągłe dążenie do złożoności od Wielkiego Wybuchu aż do dziś w

najlepszy sposób definiuje charakterystykę wszechświata jako całości. Dlatego jeśli to dążenie do złożoności określa całą historię wszechświata…

– …to jest całkiem niezłym punktem odniesienia dla definicji dobra i zła, obiektywnej, a jednocześnie powszechnie uznawanej – dokończył Idriss. – Wszystko, co skłania się ku złożoności, jest dobre. Wszystko, co się jej sprzeciwia, jest złe.

– A szybkim testem moralnym – dodałem – jest zadanie sobie pytania: „Czy gdyby wszyscy na świecie zrobili to, co robię, albo myśleli o zrobieniu tego, pomogłoby to nam w uzyskaniu większej złożoności czy by nas zahamowało?”.

– Doskonale – powiedział Idriss, z uśmiechem wydmuchując dym przez zęby. – Jesteś dobrym uczniem. Pozwól, że zadam ci pytanie: czym jest złożoność?

– Czy mogę panu…

– Idriss. Mam na imię Idriss.

– Idrissie, czy mogę ci zadać pytanie?

– Oczywiście.

– Czy koncepcja dobra i zła jest naprawdę konieczna?

– Oczywiście.

– Dobrze. A co powiesz ludziom twierdzącym, że dobro i zło są arbitralnymi konstruktami narzuconymi przez kulturę?

– Mam na to prostą odpowiedź – odparł Idriss, pykając z zadowoleniem z fajki. – Mówię im, żeby spierdalali.

– To twoja odpowiedź?

– Naturalnie. Pytam, czy zatrudniłbyś na opiekuna swojego dziecka lub zniedołężniałego dziadka kogoś, kto nie wierzy, że istnieje coś takiego jak dobro i zło? – rzucił, pochylając się do mnie.

– Z całym szacunkiem – odparłem ze śmiechem – to apel do kulturowych uprzedzeń, a nie odpowiedź. Czy dobro i zło są arbitralne, czy nie?

Idriss pochylił się do mnie.

– Ponieważ mamy swoje przeznaczenie, co nie ulega wątpliwości, nasza podróż jest podróżą moralną. Zrozumienie, co jest dobrem, a co złem, a także czym się różnią, jest krokiem koniecznym, żebyśmy mogli stać się stróżami naszego własnego przeznaczenia. Jesteśmy młodym gatunkiem i przyjęcie, że mamy swoje przeznaczenie, stanowi dla nas wielki krok. Zaledwie wczoraj zyskaliśmy samoświadomość.

– Nie całkiem rozumiem – wyznałem, podnosząc wzrok znad notatek. – Na tym

etapie naszej duchowej ewolucji wskazane jest myślenie o wszystkim w kategoriach dobra i zła, tak?

– Gdyby na świecie nie było dobra i zła – oznajmił, znowu odchylając się na krześle – po co byłoby nam prawo? A czym jest prawo, jeśli nie naszym niezdarnym, nieustannie ewoluującym sposobem ustalenia, czym jest zło?

– Nadal nie rozumiem. Mam nadzieję, że będziesz miał do mnie cierpliwość, ale z tego, co powiedziałeś, wynika, że równie dobrze moglibyśmy podstawić pod pojęcia dobra i zła inne słowa, jak „słuszny" i „niesłuszny" czy „pozytywny" i „negatywny". I byłoby lepiej, gdybyśmy to zrobili.

– A, rozumiem – rzucił, przysuwając się do mnie. – Masz na myśli semantykę. Myślałem, że mówisz o kulturowej architekturze dobra i zła.

– A… nie.

– Doskonale, na tym poziomie należy używać określeń „dobro" i „zło", ponieważ mają związek z Boską Istotą.

– A jeśli ludzie nie wierzą w Boską Istotę?

– Mówię im, żeby spieprzali. Nie mogę marnować czasu na ateistów. Nie mają intelektualnego podparcia.

– Nie?

– Oczywiście, że nie. Fakt, że światło ma jednocześnie właściwości fizyczne i metafizyczne, oznacza, że nonsensem jest odrzucanie metafizyki. A brak zwątpienia to skaza intelektu. Spytaj dowolnego naukowca albo świętego mędrca. Zwątpienie to spadochron agnostyka. Dlatego agnostycy zaliczają łagodniejsze lądowania niż ateiści, gdy Boska Istota do nich przemówi.

– To Boska Istota mówi?

– Codziennie, do wszystkich, przez duszę.

– Aha… – wymamrotałem, rozumiejąc jeszcze mniej. – Może odłożę to na później. Przepraszam za ten wtręt.

– Nie przepraszaj. Prosiłem, żebyś podał mi definicję złożoności.

– Hm, Kadirbaj zawsze się od tego wykręcał. A pytałem go parę razy.

– A co ty myślisz?

Co myślałem? Że chcę być z Karlą. Chciałem wiedzieć, czy jest bezpieczna. 1 skoro utknąłem na tej górze, chciałem słuchać nauczyciela, a nie gadać. Ale po trzech dniach dyskusji nauczyłem się, że z fortecy jego umysłu nie ma ucieczki.

Napiłem się wody, odstawiłem starannie szklankę na stół obok nas i wszedłem na ring.

– Początkowo myślałem, że złożoność to komplikowanie rzeczy. Im bardziej są skomplikowane, tym większa złożoność. Mózg jest bardziej złożony od drzewa, a drzewo bardziej złożone od kamienia, a kamień bardziej złożony niż pusta przestrzeń. Mniej więcej. Ale…

– Ale…

– Ale im dłużej myślę o złożoności, tym bardziej wierzę w dwie rzeczy: życie i wolę.

– Jak do nich doszedłeś?

– Myślałem o bardziej doskonałych i zaawansowanych obcych istotach, podróżujących przez przestrzeń kosmiczną. Zadałem sobie pytanie, czego mogą szukać. Myślę, że byłyby zainteresowane życiem. Rozwiniętą wolną wolą. Myślę, że to by je interesowało.

– A to dobre – pochwalił Idriss. – Z przyjemnością opowiem ci o tym więcej. Zrób mi kolejną chillum. Hej, Silvano!

Nieodłączny towarzysz mędrca, Silvano, przeszedł przez białą kamienną przestrzeń.

– *Ji?*

– Proszę, niech przez jakiś czas nikt się do nas nie zbliża. I zjedz coś. Znowu zapomniałeś o obiedzie. Co z tobą? Tylko patrzeć, a ogolisz głowę. Nie bądź bardziej święty od jebanego świętego mędrca, dobrze?

– *Ji* – rzucił Silvano ze śmiechem, cofając się i podchwytując moje spojrzenie.

Odkąd wróciłem na górę, Silvano niemal mnie nie odstępował. Był zawsze gotów do niesienia pomocy, zawsze w dobrym humorze.

Tamten wściekły grymas był jedynie dowodem jego opiekuńczej miłości do Idrissa. Poza tym Silvano dniem i nocą zachowywał się życzliwie i radośnie, czując się swobodnie w tym miejscu, które uznał za dom.

– Złożoność – podjął na nowo Idriss po jego odejściu – jest miarą wyrafinowania w wyrażaniu zestawu pozytywnych właściwości.

– Możesz to jeszcze raz powtórzyć?

– Rzecz staje się złożona do stopnia, który wyraża zestaw pozytywnych właściwości.

– Pozytywnych właściwości?

– W zestawie pozytywnych właściwości znajdują się życie, świadomość, wolność, sympatia, twórczość, uczciwość i wiele innych.

– Skąd pochodzi ten zestaw pozytywnych właściwości? Kto spisał ich listę?

– Są powszechnie znane i znają je te twoje bardziej zaawansowane obce gatunki. Zrozumiesz, dlaczego są pozytywne, jeśli spojrzysz na ich przeciwieństwa: śmierć, nieświadomość, niewolnictwo, wrogość, zniszczenie i nieprawość. Rozumiesz, do czego zmierzam, prawda? Te pozytywne właściwości są uniwersalne.

– Dobrze, jeśli zaakceptujemy ten komplet pozytywnych właściwości, jak je zmierzyć? Kto ma je zmierzyć? Jak uznać, co jest bardziej, a co mniej pozytywne?

Czarny kot stanął obok nas, prężąc grzbiet.

*Witaj, Nocy. Skąd się tu wzięłaś?*

Kot skoczył mi na kolana, wypróbował – lub ukarał – moją cierpliwość pazurkami, i położył się, by zasnąć.

– Można na nas spojrzeć na dwa sposoby – oznajmił Idriss, spoglądając na drzewa pulsujące ptakami. – Jeden zakłada, że jesteśmy tylko kosmicznym wypadkiem, szczęśliwym trafem, istotami, które przypadkiem przetrwały dłużej niż prawdziwi panowie Ziemi – dinozaury. Według tego poglądu jesteśmy całkiem sami, ponieważ mało prawdopodobne, żeby taki wybryk natury wydarzył się gdzie indziej. I że mieszkamy we wszechświecie, w którym znajdują się miliardy planet, w których alkalicznych morzach zamieszkują wyłącznie mikroby, małe pokorne metanogeny, archeony i bakterie.

Wokół Idrissa zaczęła krążyć ważka. Zwabił ją na wyciągniętą dłoń, mamrocząc pod nosem. Wskazał palcem las i ważka odleciała.

– Drugi pogląd – podjął, znowu odwracając się do mnie – zakłada, że jesteśmy wszędzie, we wszystkich galaktykach, a w tej galaktyce, w naszym Układzie Słonecznym, mniej więcej dwie trzecie drogi od całej akcji na Drodze Mlecznej, to my staliśmy się szczęściarzami, i to u nas ewolucja osiągnęła lokalny sukces. Które wyjaśnienie wydaje ci się bardziej prawdopodobne? Jak myślisz?

Co myślałem? Z wysiłkiem wróciłem do tych spraw.

– Stawiam na to drugie. Skoro to się zdarzyło tutaj, to pewnie i gdzie indziej.

– Dokładnie. Prawdopodobnie nie jesteśmy sami. A jeśli wszechświat wytwarza nas – i istoty takie jak my – kiedy zupa jest przyprawiona dokładnie tak, jak trzeba, gdy zestaw pozytywnych właściwości staje się wybitnie znaczący?

– Dla nas?

– Dla nas i sam w sobie.

– I mówimy o niezbędnych i przypadkowych różnicach?

Idriss parsknął śmiechem.

– Gdzie studiowałeś? – spytał, przyglądając mi się, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy.

– W tej chwili tutaj.

– Dobrze. Dobrze. Nie istnieje żadna różnica między tymi dwoma pojęciami. Wszystko jest jednocześnie przypadkowe i niezbędne.

– Chyba nie rozumiem, przepraszam.

– Pójdźmy na sieroty – powiedział, znowu pochylając się do mnie – bo niepotrzebna mi ta zabawa w sokratesowsko-freudowskie pytanie w pytaniu. Kadirbaj to uwielbiał, niech spoczywa w spokoju, ale ja wolę wyłożyć wszystko jasno, a potem to przedyskutować. Zgadzasz się?

– No… tak. Jasne. Proszę bardzo.

– A zatem: wierzę, że wszystkie istniejące atomy posiadają zestaw właściwości danych im przez światło w chwili Wielkiego Wybuchu. Wśród tych właściwości znajduje się zestaw właściwości pozytywnych. Wszystko, co istnieje w postaci atomów, ma zestaw właściwości pozytywnych.

– Wszystko?

– Skąd to zwątpienie?

– Zwątpienie czy dowód wątpliwości?

Idriss pochylił się i sięgnął po chillum.

– Czy wątpisz również w siebie?

Czy wątpiłem? Oczywiście. Upadłem. Byłem jednych z upadłych.

– Tak.

– Dlaczego?

– W tej chwili dlatego że nie płacę za coś, co zrobiłem.

– I to cię niepokoi?

– Bardzo. Na razie zapłaciłem tylko zaliczkę. Muszę spłacić resztę, prędzej czy później, tak czy inaczej, i pewnie z odsetkami.

– Może już płacisz, nie wiedząc o tym.

Idriss uśmiechał się, wysyłając mi łagodny spokój.

– Może i tak – odparłem. – Ale za mało.

– Fascynujące – powiedział, podając mi fajkę, żebym ją zapalił. – Jak ci się układa z ojcem?

– Kocham mojego ojczyma. Jest dobry i inteligentny. To jeden z najlepszych ludzi, jakich znam. Zdradziłem go, żyjąc tak, jak żyję. Zdradziłem jego prawość, stając się tym, kim się stałem.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałem ani jak te słowa ze mnie wypłynęły. Ból, który sprawiłem temu szlachetnemu człowiekowi, zamknąłem za stalowymi drzwiami. Czasem to, co wyrządzamy innym, tak długo zostaje w naszych sercach, że kość zmienia się w kamień.

– Przepraszam. Poniosło mnie.

– Doskonale – powiedział Idriss cicho. – Zapal sobie.

Podał mi chillum. Zapaliłem i odzyskałem spokój.

– Dobrze – powiedział Idriss, odchylając się i siadając po turecku. – Podsumujmy, zanim zjawi się pewien miły, kochany człowiek z problemem z dziewczyną, o którym będę musiał posłuchać. Co jest z tymi młodymi ludźmi? Nie wiedzą, że miłość ma być problematyczna? Gotowy?

– Tak – powiedziałem, wcale niegotowy. – Mów.

– Zestaw pozytywnych właściwości znajduje się w każdej cząsteczce istniejącej materii, wyrażony na własnym poziomie złożoności. Im większa złożoność materii, z tym większą złożonością objawia się zestaw właściwości pozytywnych. Nadążasz?

– Tak.

– Doskonale. Na ludzkim poziomie złożoności następują dwa wybitne wydarzenia. Po pierwsze: mamy wiedzę, która nie wynika z ewolucji. Po drugie, mamy umiejętność przezwyciężania naszej zwierzęcej natury i zachowywania się jak wyjątkowe ludzkie zwierzęta, którymi jesteśmy. Rozumiesz?

– Mistrzu! – zawołał Silvano, dobiegając go nas. – Mogę zabrać na chwilę Lina? Proszę!

Idriss roześmiał się radośnie.

– Oczywiście, oczywiście. Idź z nim, Lin. Porozmawiamy później.

– Jak chcesz. Przejrzę notatki i przygotuję się do następnej rozmowy.

Silvano ruszył biegiem przez płaskowyż i dotarł do ścieżki wiodącej po łagodniejszym zboczu góry.

– Szybko! – ponaglił, rzucając się przed siebie sprintem.

Zboczył na inną ścieżkę, wspinającą się bardzo stromo ku przerwie w drzewach. Ujrzałem za nią pagórek z widokiem na zachodzące słońce.

– Patrz! – rzucił Silvano, wskazując miejsce mniej więcej na środku horyzontu. Znajdował się tam budynek, jakby kościół z wieżą. – Zdążyliśmy na czas.

Gdy czerwona tarcza słońca zaczęła osuwać się w dół, promienie padły na ozdobę na czubku wieży.

Z naszego punktu obserwacyjnego nie mogłem dostrzec, czy ozdoba przedstawiała krzyż, czy krzyż w okręgu, ale przez parę chwil światło bijące od wieży wyglądało jak kolorowa aureola, która skąpała w swoim blasku wszystkie domy i budynki w dolinie.

Znikła wraz ze słońcem w wieczornej mgle.

– Wspaniałe – powiedziałem. – Kiedy to spostrzegłeś?

– Wczoraj – odparł Silvano z uśmiechem, wracając do obozowiska i swojego ukochanego mędrca. – Bardzo chciałem ci to pokazać. Nie wiem, jak długo to potrwa. Może jeszcze tylko dzień lub dwa, a potem ta wspaniałość zniknie.

# 43

Kiedy wróciliśmy na płaskowyż, zobaczyłem Stuarta Vinsona z Rannveig, rozmawiających z Idrissem na tych samych krzesłach, które opuściłem. Jak powiedział Idriss? „Miły, kochany człowiek z problemem z dziewczyną, o którym będę musiał posłuchać”. Zostawiłem ich i zająłem się pracą w kuchni. Vinson i Rannveig przyszli, kiedy zmywałem naczynia. Rannveig wzięła ścierkę i zaczęła wycierać talerze. Świeczki, osadzone na grudach wosku przypominających modele góry, oświetlały pomieszczenie żółtym światłem. Vinson przyglądał nam się od progu. Rannveig zwróciła na niego lodowato błękitne oczy. Skoczył do nas i zajął się odnoszeniem wytartych naczyń na miejsce.

– Wiesz – odezwałem się do dziewczyny. – W języku angielskim istnieje alternatywa do „Rannveig jak pas startowy”. Możesz także być „Rannveig jak wybieg dla modelek”.

– Wolę lotnisko – odparła surowo. – Ale dziękuję za tę myśl. Widziałam się z Karlą.

– Hm?

– Chciałabym ci o tym opowiedzieć, ale na osobności. Możemy gdzieś pójść?

– Jasne.

– Stuart – rzuciła, oddając mu ścierkę. – Teraz porozmawiam z Linem. Przyjdź po mnie za dwadzieścia minut.

Wytarłem ręce i zaprowadziłem Rannveig do zwalonego drzewa, na którym wielu z nas siadało, by czytać lub rozmawiać. Byliśmy sami. Spojrzałem na Vinsona, któiy nadal z zadowoleniem zmywał naczynia w otwartej kuchni.

– Skłamałam – zaczęła Rannveig.

– O czym?

– Karla nie powiedziała ani nie zrobiła nic, co musiałabym ci przekazać w cztery oczy. Mówiła tylko, że wkrótce cię odwiedzi i że nie traci wiary, i że zmienia tę wiarę codziennie, żeby się zabezpieczyć.

– Niezłe – oznajmiłem z uśmiechem. – O czym chciałaś porozmawiać?

– O twojej dziewczynie Lisie – odparła z napięciem w głosie.

Spojrzała mi czujnie w oczy, nie wiedząc, czy nie przekroczyła granicy.

– Bo twój chłopak taicie przedawkował?

– Tak – przyznała, spuszczając oczy, a potem szybko zerkając na Vinsona.

– W porządku – rzuciłem.

Odwróciła się do mnie.

– Kiedy się dowiedziałam, przeżyłam szok. Spotkałam się z nią tylko raz, ale poczułam się, jakby ktoś mnie uderzył w brzuch, wiesz?

– Ja też. Jak sobie radzisz?

– A jak wyglądam?

Trochę przytyła, a na policzkach miała zdrowy rumieniec. Jej niezwykłe oczy – błękitne światło przenikające błękitny lód – patrzyły jasno. Jej dłonie, poprzednio ciągle w ruchu, teraz leżały na kolanach spokojnie jak śpiące kocięta.

Miała na sobie niebieski podkoszulek, męską kamizelkę i spłowiałe dżinsy. Była boso. Nie nosiła biżuterii i nie miała makijażu. W jej owalnej twarzy dominowały pełne wargi i mocny nos.

– Wyglądasz bardzo ładnie – powiedziałem.

Zmarszczyła brwi. Może myślała, że ją podrywam.

– Nie podrywam cię – rzuciłem ze śmiechem. – Jestem zajęty, w tym i wielu przeszłych i przyszłych życiach.

– Tak? Znalazłeś już sobie kogoś po…

– Przed. I po. Tak.

– Jesteś z kimś w związku? Jak przedtem?

– O, tak. Ale nie jak przedtem.

– Lepiej?

– Lepiej. I tobie także będzie lepiej.

Spojrzała na wycierającego talerze Vinsona.

– Moja rodzina z Norwegii… to bardzo pobożni katolicy. Mój chłopak stanowił symbol wszystkiego, czego nienawidzili, więc, no wiesz, żeby pokazać im swoją niezależność, pojechałam z nim do Indii.

– Co on robił w Indiach?

– Mieliśmy pojechać do aśramu, ale nigdy nie dotarliśmy poza Bombaj.

– Był tu już?

– Tak, kilkakrotnie. Teraz wiem, że za każdym razem brał.

– Ale jego śmierć cię zabolała? I nadal boli, prawda?

– Nie kochałam go, ale bardzo go lubiłam, i naprawdę starałam się o niego dbać.

– A Vinson?

– Chyba zaczynam się zakochiwać w Stuarcie. Pierwszy raz coś takiego czuję… ale nie pozwalam sobie na to. Nie mogę. Wiem, że on tego chce, ja też, ale nie mogę.

– Hm…

– Jak sobie z tym poradziłeś? – spytała żarliwie. – Jak znowu nawiązałeś więź?

Jak znowu nawiązałem więź? Dobre pytanie w przypadku człowieka, który oddzielił się górą od ukochanej kobiety.

– Stuart będzie cierpliwy – oznajmiłem. – Da ci czas. Nie ma pośpiechu. Z tego, co widzę, jest o wiele szczęśliwszy niż wtedy, gdy go poznałem.

– Może być szczęśliwszy – odparła z westchnieniem. – Ja też. Czy czasem zdarza ci się utknąć w swoich wspomnieniach?

– Pewnie.

– Naprawdę?

– Jasne. To naturalne. Jesteśmy istotami emocjonalnymi. I tak jest dobrze, o ile emocje nie zdominują życia. Wracasz w przeszłość?

– Tak. Kiedy przestaję myśleć, znowu go widzę. Tak jakby nadal ze mną był.

– Wiesz, ten facet, z którym rozmawialiście, Idriss, powiedział wczoraj komuś, że może uwolnić ducha zmarłej osoby, składając nad rzeką ofiarę z jedzenia na talerzu. Trzeba je zostawić myszom i wronom.

– Jak… jak to działa?

– Nie znam się na tym, ale najwyraźniej zadowolone duchy uwalniają się, by rozpocząć następny etap podróży.

– W tej chwili jestem gotowa na wszystko. Gdy tylko się rozluźniam i przestaję myśleć, on zjawia się przy mnie.

Wspomniałem o składaniu ofiary duchom, żeby zmienić temat i podnieść Rannveig na duchu, ale te słowa otworzyły drzwi w jej oczach, pokazując mi, jak bardzo się bała. Drżała. Oplotła się rękami.

– Słuchaj, Rannveig, wiesz, że w drodze powrotnej i tak musisz się przeprawić przez rzekę. Przygotuję ci talerz i możesz go zostawić na brzegu, jeśli chcesz. Czy twój chłopak lubił słodycze?

– Tak.

– To dobrze. Na dziś przygotowaliśmy mnóstwo słodkości. Może twój chłopak tak się nimi nasyci, że pójdzie dalej i zostawi cię w spokoju.

– Dziękuję. Na pewno spróbuję.

– Będzie dobrze. Z czasem jest łatwiej.

– Medytujesz?

– Tylko podczas pisania. A co?

– Zastanawiałam się, czy nie zacząć – rzuciła z roztargnieniem i znowu spojrzała mi w oczy. – Co o nim myślisz?

– O Vinsonie?

– Tak, o Stuarcie. Nie mam brata ani ojca, żeby ich o niego spytać. Co o nim myślisz?

Spojrzałem na Vinsona, który ustawił ostatnie garnki i talerze na półkach i wytarł podłużne zlewy z nierdzewnej stali.

– Lubię go – powiedziałem. – I jestem w stu procentach pewny, że szaleje za tobą. Jeśli nie jesteś jego bratnią duszą, powinnaś mu to powiedzieć. Szybko. Bo dla niego jesteś tą jedyną.

– Bywasz czasem przygnębiony? Stuart mi o tobie opowiadał. O twoim życiu. Miewasz dni, w których myślisz o samobójstwie?

– Nigdy mi się to nie zdarzyło w niewoli, a większość życia spędziłem w zamknięciu, w ten czy inny sposób.

– Ale serio. Miewasz dni, kiedy chcesz z tym wszystkim po prostu skończyć? Ze wszystkim, raz na zawsze?

– Słuchaj, znam się z samobójstwem z widzenia. Ale jestem raczej z gatunku tych, którzy będą walczyć do końca.

– Ale życie bywa czasami takie gówniane… – szepnęła, znowu na mnie spoglądając.

– I dobrze. Nawet kiedy źle się dzieje. To wszystko krew przepływająca przez serce, wspaniałe minuty wspaniałych rzeczy. Jestem pisarzem. Muszę wierzyć w potęgę miłości. Samobójstwo nie wschodzi w grę.

– Dla ciebie.

– Dla ciebie też nie. Jeśli o nim myślisz, powinnaś się zastanowić nad tym, że nie masz prawa odbierać sobie życia. Nikt nie ma.

– Dlaczego? – spytała Rannveig jak ta rzecz na lotnisku. W jej szeroko otwartych

oczach nie było świadomości okrucieństwa i niewłaściwości tego pytania.

– Pomyśl o tym w ten sposób: czy szaleniec ma prawo zabić obcego człowieka?

– Nie.

– Nie. A kiedy myślisz o samobójstwie, stajesz się szalona, a jednocześnie jesteś obcym człowiekiem, któremu zagraża szaleniec. Bez względu na to, jak zła jest sytuacja, nie masz prawa zabić obcej osoby, którą możesz się kiedyś stać. Reszta twojego życia świadczyłaby o tym, że samobójstwo nie jest wyjściem.

– Ale nigdy nie bywa ci smutno? – spytała.

Była tak przejęta, że miałem ochotę ją objąć.

– Oczywiście. Jak wszystkim. Ale jesteś młoda i masz przed sobą takie bogate życie… Bogate w stada minut. Nie masz prawa ich niszczyć ani nawet zmarnować, tak jak ja. Mamy prawo jedynie ich doświadczać. Więc wyrzuć te myśli z głowy. Nie ma takiej opcji, jasne? I nie spiesz się. To minie. Vinson jest dobrym facetem. Zaczeka na ciebie tak długo, jak będziesz potrzebowała, żeby się zdecydować i rozeznać we własnych uczuciach, jakie by one nie były. To wszystko minie. Wstań i walcz.

– Masz rację, wiem, ale czasem chmura zbyt długo zasłania słońce.

– Jesteś bardzo miłą, bardzo poważną dziewczyną, która przeszła przez te same płonące drzwi co ja. To cię okaleczyło, tak jak mnie. Ale dobrze sobie radzisz. Nawet świetnie. Spójrz na mnie. Biegałem po mieście, a policjanci mnie tłukli. Jesteś o wiele zdrowsza niż poprzednim razem. Porozmawiaj z Idrissem przed odejściem. Jest całkiem fajny.

– Jesteś kryminalistą – rzuciła sucho.

Nie było to pytanie.

– No… jasne.

– Czy kobieta, która nie jest kryminalistką, może kochać kryminalistę? Widziałeś to?

Widziałem, ale nieczęsto.

– No… jasne.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem, ale nie miałem zamiaru jej przekonywać.

– O zbrodni i karze będziesz musiała porozmawiać z Vinsonem – powiedziałem. – Nie wtrącam się w to, jak inni zarabiają.

– Wiesz, czy Stuart kogoś zabił?

– Widzisz… – spojrzałem na małą grupkę ludzi, rozmawiających i krzątających się po płaskowyżu. – Jeśli mamy rozmawiać o Vinsonie, powinniśmy go zaprosić.

– Nie teraz – szepnęła. – Jeszcze nie.

Wstałem; podniosła się równocześnie ze mną.

– Czy zdarza ci się – rzuciła, zacinając się – czy nieustannie zdarza ci się żałować, że nie zachowałeś się inaczej?

– To tylko żal.

– Żal – powtórzyła z roztargnieniem.

– Wiesz, że podczas porwania żąda się dowodu życia?

– Nie.

– Kiedy ktoś zostanie porwany, negocjator żąda dowodu, że ta osoba nadal żyje. Rozmowy przez telefon, nagrania wideo. Dowodu życia.

– Aha.

– Żal to dowód na życie twojej duszy, Rannveig. Gdybyś go nie czuła, nie byłabyś tak miłą osobą, a Vinson nie dostałby fioła na twoim punkcie. To dobrze. A będzie jeszcze lepiej, kiedy żal się rozwieje, co nastąpi wkrótce.

Wróciliśmy na środek płaskowyżu. Vinson dołączył do nas z uśmiechem pustym jak plaża.

– Teraz porozmawiam z Idrissem – rzuciła Rannveig, mijając go. – Przyjdź po mnie po dwudziestu minutach.

– Dobrze, skarbie – powiedział, uśmiechając się do niej. Jego spojrzenie szło za nią jak pies.

– Co cię sprowadza na tę górę, Vinson?

– To był pomysł Rannveig. Rozmawiała z Karlą. Ta Karla to numer, nie? Nie rozumiem połowy z tego, co mówi.

– Wystarczy ci ta druga połowa. Nie znam innej tak inteligentnej kobiety.

– Jak ją poznałeś?

– Uratowała mi życie. Wiesz co, właśnie rozpaliliśmy ogień na głównym palenisku. Możemy przy nim posiedzieć, podczas gdy Rannveig rozmawia z Idrissem. Dobrze?

– Pewnie.

Prawie wszyscy uczniowie zajęli się gotowaniem lub przygotowywaniem ołtarzyków. Poprosiłem jednego z nich, żeby odłożył talerz ze słodyczami dla upartego ducha Rannveig i żeby zostawił go u Silvana.

Przy ogniu nikogo nie było. Vinson i ja usiedliśmy na skrzynkach, spoglądając przez płomienie na obiekt płomiennej namiętności Vinsona, siedzący dwadzieścia metrów

dalej z Idrissem, poza zasięgiem słuchu.

– Wiesz, Lin – odezwał się Vinson, odwracając się do mnie. – I tak chciałem tu przyjść. Chciałem ci przekazać moje kondolencje. Lisa była wspaniałą dziewczyną.

– Dzięki. Byłeś na nabożeństwie, które zorganizowała Karla. W końcu mam okazję powiedzieć ci, że to doceniam.

– To nic takiego. Byliśmy zaszczyceni zaproszeniem.

– Jak się czuje Rannveig?

– No… – zaczął Vinson, drapiąc się w krótką brodę i krzywiąc się, jakby słowa sprawiały mój ból. Westchnął i opuścił ręce na uda. – Cierpi. Naprawdę cierpi. Myślę czasem, że powinienem poszukać profesjonalnej pomocy u jakiegoś psychoterapeuty, ale potem zawsze dochodzę do wniosku, że nikt nie zajmie się nią lepiej ode mnie.

– Z wyjątkiem samej Rannveig.

– Tak, oczywiście, jak jej się polepszy.

– Nie, teraz.

– Ale w tej chwili nie jest tak do końca sobą, stary.

– To ona musi się sobą opiekować, tak jak ty opiekujesz się Vinsonem, rozumiesz? Daj jej tyle luzu, ile potrzebuje. Niech eksperymentuje.

– Eksperymentuje?

– Cokolwiek zechce lub spróbuje zrobić, wspieraj ją w tym. Daj jej czas i przestrzeń. Jeśli jest twoja, prędzej czy później się o tym dowie.

I to mówi mężczyzna, który nie potrafi żyć z jedyną miłością swojego życia, ponieważ nie potrafi się wyzwolić z cienia żałoby. Kim byłem, do diabła, że nagle zacząłem udzielać rad?

– Kim ja jestem, do cholery, żeby udzielać rad? – powiedziałem na głos. – Rób, co możesz, Vinson. Robimy bajzel. Wszyscy. Pewnie nigdy nie przestaniemy. Ale jeśli będziemy się starać, ile możemy, prędzej czy później to komuś wystarczy. Racja?

– Amen, bracie! – zawołał Vinson, przybijając mi piątkę. – Wiesz, wczoraj widziałem Concannona. Byłem na Bazarze Nuli, odwiedzałem jednego z moich dilerów. Przyszedł z paroma facetami. Podpierał się laską. Taką czarną, ze srebrną czaszką zamiast gałki. Fajna, choć głowę bym dał, że kryje w niej szpadę.

– Niewątpliwie. Wiadomo, gdzie mieszka?

– Nie. Ale słyszałem, że zatrzymał się w Kharze. Choć to tylko plotka. O tym facecie krąży mnóstwo plotek. Pytał o ciebie.

– Co powiedział?

– Gdzie jest ten australijski skazaniec?

– I co ty na to?

– Spytałem: „Czy to podchwytliwe pytanie?”. Na szczęście ma poczucie humoru. Spadałem stamtąd w podskokach, stary. Ten gość zachowywał się w porządku… no, powiedzmy… ale teraz się cieszę, że mnie nie ma w mieście.

– Nie przejmuj się Concannonem. Istnieje pewna granica.

Idriss i Rannveig wstali. Obeszliśmy palenisko, żeby do nich dołączyć. Silvano szedł o krok za nami ze strzelbą na ramieniu.

– Na pewno nie zostaniecie na noc? – spytał Idriss dziewczynę, trzymając ją za ręce.

– Dziękuję panu, ale nie. Pokojówka Stuarta bardzo kaszle. Chcę się upewnić, że wszystko z nią w porządku. Była dla mnie bardzo dobra, a w tej chwili nie ma przy niej nikogo.

– Dobrze. Przekaż jej nasze błogosławieństwo. I przyjdź znowu, kiedy tylko zechcesz.

Uklękła i dotknęła ziemi przed stopami nauczyciela. Vinson uścisnął mu rękę.

– Dziękujemy za pańską gościnność – powiedział.

– Jesteście tu jak najmilej widziani – odparł Idriss.

Silvano pociągnął dwóch młodych mężczyzn za sobą.

– Ci chłopcy schodzą na dół bezpieczniejszą ścieżką – oznajmił. – Poprowadzą was z latarkami, jeden z przodu, drugi z tyłu.

– Mają talerz z poczęstunkiem dla lubiącego słodycze ducha – wyjaśniłem Rannveig. – Jest przykryty czerwonym materiałem. Dadzą ci go u stóp góry i powiedzą waszemu szoferowi, gdzie się zatrzymać. Znajdziesz rzekę przy świetle latarki.

– Dziękuję – powiedziała jak przez sen. – Dziękuję za wszystko.

Pożegnali się i odeszli w mrok za paleniskiem.

Tej nocy śniłem o nich – a potem jeszcze parę razy. Didier także nawiedzał moje sny, przypominając mi o priorytetach. Abdullah, mroczny jeździec, odwiedzał sny o przemykaniu nad dachami. A Lisa wołała do mnie echem smutku i żalu, swojego i mojego.

Świat na dole się zmieniał, oczywiście, jak wszystko, ale ja nie potrafiłem nawiązać z nim kontaktu inaczej niż w snach. Oderwałem się od własnego życia i ludzi, którzy stali się moimi przyjaciółmi nie tylko fizycznie; ta góra była ucieczką mojego serca

przed tym światem, który rozpływał się w tym czystszym, bardziej przejrzystym powietrzu, wpraszając się z powrotem tylko poprzez gości i sny.

A sny były trudne. Przeważnie budziły mnie w nocy lub rano, zanim słońce i śpiew ptaków uwolniły mnie z ich okowów. Tamtej nocy obudziły mnie słowa Rannveig, pytającej mnie o żal.

Usiadłem, nasłuchując nocnych odgłosów lasu. Postać ubrana w szatę białą jak kamienie pod jej stopami szła przez płaskowyż.

Był to Idriss z długą laską. Zatrzymał się na skraju otwartego terenu, gdzie przez lukę między drzewami widać było na horyzoncie światła miasta.

Stał tam przez chwilę, może składając ofiarę własnym duchom albo balansując na własnej linie rozpiętej między żalem a skruchą. Potem powoli wrócił do swojej jaskini z twarzą ściągniętą smutkiem, cicho stąpając po chybotliwych kamieniach.

Żal to duch miłości. Żal to milsza wersja nas samych, którą od czasu do czasu wysyłamy w przeszłość, choć wiemy, że już nie zmienimy naszych słów i czynów. Robimy to, bo to ludzka rzecz, coś charakterystycznego dla naszego gatunku. Robimy to, bo nam zależy i ponieważ ciągną nas nici wstydu, które strzępią się i znikają jedynie w morzu żalu.

Żal, nawet bardziej niż miłość, uczy nas, że krzywda rodzi krzywdę, a współczucie budzi współczucie. A kiedy wykona swoje zadanie, rozwiewa się w nicości, którą staje się wszystko.

Położyłem się z powrotem, zastanawiając się, czy Rannveig postawiła talerz na brzegu rzeki, wracając do miasta, i czy dała wolność duchowi, którego ciągle wskrzeszała swoją skruchą.

# 44

Widziałem, jak wielu gości wdrapuje się w pocie czoła do naszego obozowiska na górze i jak odchodzi, lśniąc niczym kamienie w przejrzystej wodzie. Nauczyciel był zawsze łagodny i spokojny. Nic nie mąciło jego dobrotliwego uśmiechu. Nic nie wytrącało go z transu cierpliwej empatii. Oczywiście do chwili, gdy razem z Silvanem i mną zasiadał do kart za prysznicowym parawanem.

W łazienkowej szulerni jego spokój ducha pierzchał, a Idriss lżył ludzką głupotę i przeklinał „złośliwie niedoinformowanych".

Jego uczniowie słyszeli te tyrady i przekleństwa, ale cienka zasłona chroniła jego godność, która nigdy nie opuszczała go, gdy na niego patrzono.

W obozowisku panował spokój. Było jak więzienie bez ścian i dozorców. A jednak łańcuchy, które przykuwały tu wyznawców Idrissa, były tak samo mocne. Kochali go i nie mogli zostawić z lekkim sercem. A przecież nie był człowiekiem, którego łatwo było pokochać.

– Wiedza nieewolucyjna – powiedział podczas jednej z naszych rzadkich godzin spokoju dwa tygodnie po moim przybyciu na górę. – Podsumuj.

– Znowu?

– Znowu, ty bezczelny intelektualisto – potwierdził, pochylając się, żebym mógł mu zapalić jointa. – Wiedza nie jest wiedzą, dopóki jej prawda nie uwidoczni się, gdy się nią dzielisz. Znowu.

– No dobrze. W świecie, w którym jabłka spadają z drzew, wiedza ewolucyjna każe nam ustąpić z toru owocu lub też złapać go bądź podnieść z ziemi i zjeść. Cała pozostała wiedza, na przykład tempo spadania jabłka i obliczenia, które pozwolą nam na wysłanie pojazdu kosmicznego na Marsa, to wiedza nieewolucyjna. Niepotrzebna do celów ewolucyjnych. Więc, po co nam ona? I dlaczego potrafimy ją przyswajać? Czy to dobre podsumowanie?

– Na trzy z plusem. Pominąłeś fakt, że jeśli oszacujesz wszystkie gałęzie wiedzy nieewolucyjnej, wszystkie nauki, sztukę i filozofię aż do logicznych granic, otrzymasz wiedzę o tym, jak wszystko robi wszystko.

– I?

– No, w sumie nic. Na przykład w tej chwili, opierając się na naszych osiągnięciach na Ziemi, nauki i filozofie dają nam środki do unicestwienia naszego gatunku, a także większości innych gatunków. Dlatego sama w sobie nasza wiedza nie ma znaczenia. Natomiast wiedza połączona z naszą zdolnością do pokonywania naszej zwierzęcej natury i wyrażania naszej unikatowej ludzkiej natury – która jest, nawiasem mówiąc, bardzo fajną naturą – znaczy wszystko.

– Nie rozumiem.

– Patrzysz, a nie widzisz. Wszystkie zwierzęta mają naturę zwierzęcą. My mamy zwierzęcą naturę dość podobną do natury bonobo, co przyznaję z zadowoleniem, ale – podobnie jak bonobo – w chwili ekstremalnego stresu zachowujemy się jak szympansy.

– I to cała nasza zwierzęca natura?

– Mniej więcej. Ale w przeciwieństwie do szympansów i bonobo nie zawsze musimy się tak zachowywać. Mamy zdolność modyfikowania naszego postępowania. Szympans jest szympansem i cześć. Ale człowiek może być wszystkim, czym zapragnie.

– Ale jak konkretnie?

– Gdy wyrażamy naszą prawdziwie ludzką naturę, tworzymy prawdziwie ludzkie rzeczy, które nie występują w świecie zwierząt. Takie jak demokracja i sprawiedliwość. Nie ma Demokratycznego Frontu Szympansiego. Nie ma Trybunału Stanu dla lwów i zebr.

– Pewnie nie, ale…

– My, ludzie, w unikatowy sposób kształtujemy swoje zachowanie dzięki ideom, uczuciom, poświęceniu i sztuce. Taicie sprawy biorą się wyłącznie z człowieczeństwa. To my stwarzamy siebie. Rozumiesz?

– Mam wiele przykładów zwierzęcej natury – odparłem. – Mogę je zaczerpnąć z własnego zachowania.

– Oczywiście, nasza zwierzęca natura często daje o sobie znać i nie zawsze w przyjemny sposób. Większość dramatów spowodowanych przez ludzi wynika z naszej zwierzęcej natury, swobodnie się objawiającej. Ale to, co znajdujemy w tej samej gazecie na stronach poświęconych sztuce i nauce, ma więcej wspólnego z naszą ludzką naturą.

– Patrząc na moje podwórko, nie widzę, żeby ludzka natura robiła wiele dobrego.

– Możemy być, kim chcemy, także aniołami. Nie mamy sobie równych na świecie, gdy nawzajem dopingujemy się do czynienia dobra. A kiedy nasze ludzkie „ja” uwalnia nasze umysły od próżności i chciwości, nie tylko czynimy cuda, ale jesteśmy cudem,

jakim nas stworzono.

Była to długa przemowa i jak wiele jego jeszcze dłuższych przemów, zakończona została pytaniem:

– Jak rozumiesz różnicę między losem a przeznaczeniem?

„Los i przeznaczenie, jego siostra bliźniaczka”, powiedziała kiedyś Karla.

– Nie potrafię żyć ze świadomością, że nie rządzimy swoim przeznaczeniem i że los może się nami bawić jak plastikowymi żołnierzykami – odparłem.

– Los się nami nie bawi – oznajmił Idriss, dopalając jointa. – Los na nas reaguje.

– Jak?

Idriss parsknął śmiechem.

Dzień był tak słoneczny, z tak błękitnym, czystym niebem, że obaj włożyliśmy okulary przeciwsłoneczne. On nie widział moich oczu, ja – jego. To pomagało, bo bardzo często, gdy długo spoglądałem w jego brązowe jak liście tęczówki, wpadałem w nie jak dziecko w strumień i musiałem bardzo szybko myśleć, żeby go dogonić, gdy pytaniem wyrzucał mnie ze swojego nurtu na brzeg.

Uczniowie i wyznawcy rozmawiali i śmiali się w cieniu, uporawszy się z obowiązkami tego dnia. Niebo zdawało się wznosić o wiele wyżej niż na ogół, jakby zrobiło się więcej miejsca i przestrzeni.

– Chcesz wiedzieć, jak działa los, bo zamierzasz z nim walczyć, prawda? – spytał Idriss. – Instynkt popycha cię do walki, jeśli czujesz zagrożenie. Myślisz, że los walczy z tobą i chcesz zyskać nad nim przewagę. Mam rację?

– Chciałbym wygrać w uczciwej walce, ale mam wrażenie, że los oszukuje.

– W jakiż to sposób?

– Myślę, że los kręci z czasem. Są wspólnikami zbrodni.

– Na pewno – przyznał Idriss ze śmiechem. – Los to inne imię karmy, co jest innym imieniem czasu, co jest innym imieniem miłości. Wszystkie te imiona to określenie pola tendencji, które przenika wszechświat. W sumie można nawet nazwać je wszechświatem.

– Pole tendencji?

– Pole tendencji.

– Z czego jest to pole tendencji?

– Prawdopodobnie z ciemnej energii, ale nie chodzi o to, z czego się składa, lecz co znaczy. Podobnie jak wszystkie atomy, z których składa się twoje ciało, nie są tobą.

– No dobrze, pole tendencji z ciemnej energii – powtórzyłem, usiłując to zrozumieć. – A jak działa?

– Pole tendencji jest tym, co początkuje ruch ku złożoności i czyni tak od czasów osobliwości. W tym sensie pole to jest wszechświatem. Kiedy na skutek wystarczającej złożoności pojawia się samoświadomość, między polem tendencji a każdą indywidualną istotą pojawia się więź.

– Jaka więź?

– Pole tendencji reaguje na nasz instynkt szukania Boskiej Istoty. Nie możemy bezpośrednio poznać boskości. Nie możemy bezpośrednio poznać Źródła tego wszechświata, tylko jego pole tendencji, a także wszystkich innych nieskończonych wszechświatów talach jak nasz, nieustannie rozkwitających jak kwiaty i znowu kurczących się, by przestać istnieć, i znowu rozkwitających w ogrodzie wiecznego stworzenia gdzieś w umyśle Boga. Nie możemy tego poznać. Nie poznaliśmy nawet tego, czego można się dowiedzieć o naszym własnym wszechświecie, nie wspominając już o nieskończonym multiświecie ani Boskiej Istocie, która go stworzyła. Ale możemy bezpośrednio poznać pole tendencji, kiedy tylko chcemy.

– Jak?

Idriss znowu parsknął śmiechem i zapalił kolejnego jointa.

– Czy to nie twoja kolej, żeby gadać?

Żartował ze mnie delikatnie przynajmniej raz podczas każdej rozmowy – może żebym nie wyszedł z wprawy albo żeby mnie sprowokować do wyjawienia czegoś. Każdy guru, nawet ten, który twierdzi, że nim nie jest, jest znakomitym psychologiem, wyszkolonym w wydobywaniu z człowieka prawdy prowokacją.

– Często ci przerywam i przepraszam za to, ale robię to tylko wtedy, gdy nie rozumiem. W tej chwili rozumiem. Proszę, mów dalej.

– Doskonale – powiedział, podwijając pod siebie nogi na płóciennym krześle. – Zróbmy taką rzecz. Podczas Wielkiego Wybuchu pewne właściwości zostały zasiane w nowo narodzonym wszechświecie. Na przykład przestrzeń, czas, materia, grawitacja, wszystkie przykłady właściwości zasianych we wszechświecie przez Wielki Wybuch. Także pole tendencji, które napędza tendencję do złożoności. Dodam, że zestaw właściwości został również zasiany we wszystkich cząstkach materii. Nadążasz?

– Przestrzeń, czas, materia, grawitacja, klasyczna fizyka, fizyka cząstek, pole tendencji, pozytywne właściwości zasiane podczas Wielkiego Wybuchu.

– Tak – zgodził się Idriss z cichym śmiechem. – W dużym skrócie. Pole tendencji

funkcjonuje na zasadzie bardzo prostego programu – „Jeśli to, to tamto” – który uruchamia wszystko wszędzie. Podstawowy algorytm – „Jeśli stanie się to, to nastąpi tamto” – stosuje się do wszystkiego, z entropią włącznie. Jeśli dojdzie do tego, że powstanie w pełni samoświadoma istota, to nastąpi połączenie z polem tendencji.

– Czy entropia nie funkcjonuje w kontrze do złożoności?

– Nie. Entropia funkcjonuje w kontrze do porządku. Poza tym nieskończona entropia występuje tylko w układzie zamkniętym. A przy czarnych dziurach w naszym wszechświecie, które prowadzą nie wiadomo dokąd, nie jest to układ zamknięty.

– Przepraszam, ale chciałbym się cofnąć. Twierdzisz, że bez względu na to, co dobrego lub złego zrobimy w życiu, zawsze możemy się połączyć z tym polem tendencji?

– Jeśli zestroisz się z polem tendencji poprzez rozprzestrzenianie i zgłębianie zestawu pozytywnych właściwości w sobie, to pole tendencji zareaguje nieustanną energią i afirmacjami. Jeśli działasz przeciwko niemu swoim negatywnym nastawieniem, niesprawiedliwością, brakiem miłości i nieznajomością prawdy, to osłabiasz swoją więź z polem tendencji i doświadczasz egzystencjalnego niepokoju bez względu na to, jak bardzo jesteś bogaty i sławny lub jak wielką posiadasz władzę.

– Egzystencjalny spokój zamiast niepokoju? To chcesz powiedzieć?

– Jeśli zachowasz więź z polem tendencji, otrzymasz spokój umysłu. Życie to więź, świat to więź, a brak więzi zawsze je zubaża.

– Chyba wszyscy moi znajomi – z wyjątkiem najbliższych przyjaciół – czują jakiś rodzaj egzystencjalnego lęku. Czy to nie naturalne dla człowieka?

– Nic z wyjątkiem naszego wspólnego człowieczeństwa nie jest naturalne dla człowieka. Kiedy zaczynaliśmy, było nas kilkuset. Kilkuset, bez kłów i pazurów. Zabraliśmy je drapieżnikom, które chciały na nas polować. Nauczyliśmy się, dzięki współpracy i miłości, że nie musimy się bać żadnego stworzenia, miejsca, lądu ani morza. Jesteśmy wspaniali i potworni. Ale możemy być, kim tylko chcemy, od zabójców sąsiadów po zbawców dalekich sąsiadów w naszej galaktyce. Możemy kształtować nasz los. Mamy do tego narzędzia. Możemy…

Jakieś poruszenie wśród studentów zwróciło uwagę świętego człowieka. Odwróciliśmy się i ujrzeliśmy Naveena i Divę. Rozmawiali z małą grupką.

– Jaka ładna dziewczyna – zauważył cicho Idriss. – Znasz ją?

– Nazywa się Divya Devnani, ale radzę, żebyś ją nazywał Divą.

– Jej ojciec to Mukesh Devnani, ten przemysłowiec?

– Ten sam.

– Zatem dziewczyna musi mieć kłopoty. Proszę, poznaj mnie z nią.

– Tak jest.

Przedstawiłem ich sobie. Kiedy Idriss wziął Divę za rękę i zaprowadził ją na wygodny leżak, który opuściłem, ja odszedłem z Naveenem do drzewa, na którym siedziałem przed tygodniami z Rannveig, rozmawiając o zbrodni i karze.

Naveen zaczął rozmowę od zbrodni i kary.

– Concannon jest ruchliwy – powiedział, usiadłszy. – Trudno go dopaść, ale zaczynam się do niego zbliżać. No i jest zlecenie na Randżita.

– Nie mów. Na ile?

Naveen spojrzał na mnie, rasowy detektyw.

– Dlaczego chcesz wiedzieć?

– Z ciekawości – powiedziałem z uśmiechem. – Znam parę osób, które chciałyby się dorzucić, jeśli można.

– Właściwie można – przyznał Naveen. – Podobno miejscowy przedsiębiorca i miejscowy polityk nawzajem przebijali swoje oferty dla zabójcy, ale potem połączyli siły, żeby podwoić cenę.

– Randżit powinien na jakiś czas zniknąć z Bombaju. Rozpytaj się u wszystkich, którzy znają Goa, jeśli możesz. Mam w Delhi paru przyjaciół z firmy. Rozpytam się i sprawdzę, czy Randżit się tam nie ukrywa.

– Dobrze. A z innej beczki: w ostatnim tygodniu doszło do dwóch walk między firmą Sanjaya i Skorpionami. Padły strzały. Zniszczono dwa sklepy. Ta mała wojenka, którą Skorpiony zaczęły przed Leopoldem, zaczyna się rozrastać. Jeden z ich domów na Marine Lines spłonął. Gazety twierdzą, że w ramach odwetu. W ogniu zginęła pielęgniarka. Prasa szaleje. Sanjaya aresztowano, ale potem wypuszczono. Brak dowodów.

Byłem w tym domu. Wiedziałem, że żona Wisznu choruje. Dlatego w domu była pielęgniarka, ta, która zginęła. Wiedziałem, że Wisznu nie ustanie, dopóki ogień nie zapłonie tuż przed twarzą Sanjaya.

– A, i twój przyjaciel Abdullah wrócił – dodał Naveen. – Powiedział, że spotka się z tobą, kiedy zejdziesz z góry. Ale kazał ci tu zostać jeszcze co najmniej tydzień.

– Jeszcze jeden tydzień?

– Tak powiedział.

– Cholera. No, nieźle. Dzięki, że się tu pofatygowałeś, żeby mi to powiedzieć.

– Właściwie to przyszliśmy tu z twoją przyjaciółką – odparł z uśmiechem.

Spojrzałem mu w oczy. Skinął głową.

– Gdzie ona jest?

– W tej drugiej jaskini. Prosiła, żebym dał jej parę minut, zanim ci powiem, a Karli się nie odmawia!

# 45

Popędziłem przez śliskie białe kamienie. Wyhamowałem przed wejściem do groty. Zajrzałem do środka. Karla siedziała na drewnianym stołku, przyglądając się leżącej na jej dłoni srebrnej figurce bogini Lakszmi.

Stałem w wejściu do jaskini, z twarzą zwróconą na wiatr, tak jak ona podczas naszego pierwszego spotkania na górze.

– Powiedz mi kawał.

Odwróciła się powoli w moją stronę. Kątem oka widziałem jej uśmiech.

– No więc, znasz jakiś kawał czy nie? – spytałem.

– Znam. Dlaczego policjanci nazywają informatorów dwa liście?

– Trzy tygodnie cię nie widziałem, a ciebie stać tylko na kawał o policjantach?

– Szesnaście dni i osiem godzin. Chcesz ten kawał czy nie?

– Chcę. Dlaczego policjanci nazywają informatorów dwa liście?

– Bo trzeba im dać z liścia, żeby zaczęli mówić, a potem drugi raz, żeby się zamknęli.

– Chodź tutaj.

Pocałowała mnie, zarzucając mi ręce na szyję, stojąc na palcach. Nasze ciała wtuliły się w siebie jak dwa zrośnięte z sobą drzewa.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedziałem. – Dlaczego Naveen miał ci dać dziesięć minut?

– Byłam trochę zgrzana po wspinaczce, a chciałam wyglądać dobrze. Dla ciebie.

– Chodźmy gdzieś.

Zabrałem ją do Miejsca Silvana, gdzie usiedliśmy na trawie, mając przed sobą widok na drzewa. Wiatr atakował nas falami, wznosząc się z doliny ciepłymi powiewami. Drzewa na urwisku kołysały się, muskając nas pierzastym cieniem.

– Opowiedz mi o wszystkim – odezwała się Karla.

– Zabawne, chciałem cię poprosić o to samo.

– Nie, ty pierwszy.

– Nie mam ci wiele do przekazania. Spokojnie tu. Jak na warsztatach z prac domowych. To tutaj strasznie ważne.

– Jak się tu czujesz?

– Dobrze. Wolę obowiązki domowe od reguł.

– Dzięki, że tu wytrwałeś. Kocham cię za to. Wiem, że nie tu chciałeś być.

Nie wyjaśniła, dlaczego chciała się mnie pozbyć z miasta, a ja jej nie pytałem. Cieszyłem się, że jest ze mną.

– Ale nigdy się tu nie nudzę. Mnóstwo ludzi przychodzi do Idrissa, a zostają tylko na parę godzin.

– Jakich ludzi?

Oparła się na rękach rozluźniona i uśmiechała się z zadowoleniem w słońcu.

– Parę dni temu przybył tu polityk z całą obstawą cyngli i ochroniarzy. Chciał porady. Idriss powiedział mu, żeby dał sobie spokój z ochroniarzami i opancerzonymi samochodami i chodził wśród ludu w prostej koszuli, spodniach i sandałach.

– A co na to polityk?

– Że gdyby to zrobił, zabiliby go. „Na tym polega twój problem”, odparł Idriss. „Wracaj i go rozwiąż”.

– Uwielbiam gościa. Powinien występować w kabarecie.

– Odwiedziło nas też sześciu świętych mędrców – dodałem. – Dyskutowali z Idrissem dniem i nocą, tonąc w kłębach dymu. W końcu zaczęli wymachiwać nad głowami trójzębami, gotowi wszystkich pozabijać. Silvano i ja musieliśmy się nimi zająć.

– Za pomocą strzelby Silvana?

– Skąd. Nie strzela się do świętych mędrców. Zapłaciliśmy im za odejście.

– Chytre. Jak ci się układa z Silvanem?

– Dobrze. To świetny facet.

– Wiedziałam, że go polubisz. Jest bardzo do ciebie podobny.

– Do mnie?

– O, tak.

Zastanowiłem się nad tym chwilę.

– Lubię go. Chciałbym go mieć w naszym zespole.

– Zespole? To my mamy zespół?

– Zastanawiałem się nad tym. Zastanawiałem się, czy nie…

– Porozmawiamy o tym później – ucięła. – Jak ci się układa z Idrissem?

Chciałem porozmawiać o nas i o tym, co będziemy razem robić w Mieście Wysp albo poza nim. Chciałem porozmawiać o nas i chciałem ją pocałować.

– Wolę porozmawiać o nas – odparłem z uśmiechem.

– Jak ci się układa z Idrissem? – powtórzyła.

– Idriss… jest całkiem fajny, muszę przyznać.

– Otworzył ci jakieś drzwi?

Poważne pytanie, i w dodatku zabawne: przez prawie całe życie zamykałem drzwi i robiłem wszystko, żeby się nie otworzyły. Zbyt wielu rzeczy nie chciałem pamiętać.

– Drzwi w umyśle tak. Ale jeśli pytasz, czy się zmieniłem… nie, to ciągle ja.

Spojrzała na rozciągającą się przed nami panoramę: dolinę i wioskę z migoczącą w oddali wieżą.

– Znalazłaś *madame* Zhou? – spytałem.

– Zniknęła bez śladu – powiedziała Karla, spoglądając w miejsce, w którym ziemia całowała się z niebem.

– Ani śladu?

– Nikt jej nie widział ani o niej nie słyszał, odkąd Didier i Naveen zaczęli się o nią rozpytywać. Pewnie nadał jest w mieście. To przebiegłe babsko. Jeśli nie chce, żeby ją znaleziono, stanie się niewidzialna.

– Nikt nie jest niewidzialny. Jeśli nie wyjechała, znajdziemy ją. Naveen przekazał mi wiadomość od Abdullaha. Prosił…

– Żebyś zaczekał co najmniej tydzień. Abdullah dzwonił do mnie i mi to powiedział. Dlatego przywlokłam tu ze sobą Naveena.

– I Divę?

– To co innego. Chciałam, żeby poznała Idrissa. Mam wobec niej plany i coś mi mówi, że Idriss jest naszą kosmiczną więzią.

– A skoro mowa o kosmicznych więziach… – Przyciągnąłem ją, żeby ją pocałować.

Ziemisty zapach jej włosów. Słońce dotykające nas ciepłym, przesianym przez liście światłem, gorący oddech wiatru szemrzący w drzewach na urwisku. Karla.

– Możemy tu dziś spać, Shantaram?

– Możemy, nawet teraz.

– Dobrze. Więc wróćmy do dzieci i ładnie się z nimi pobawmy.

– Ale… ja…

Pobawiliśmy się ładnie z Naveenem i uczniami. Idriss przez dwie godziny rozmawiał z Divą, a potem uparł się, żeby biedna bogata dziewczynka została na noc, w jaskini biednej bogatej dziewczynki, wraz z innymi dziewczynkami.

Ku mojemu zaskoczeniu Diva natychmiast się zgodziła. Potem przestałem się dziwić, bo posłała Naveena do samochodu po najpotrzebniejsze rzeczy. Gdy zjedliśmy kolację i zmyliśmy naczynia, niektórzy uczniowie odeszli, by wrócić o świcie, inni wrócili do jaskiń, by się uczyć lub spać. Moi przyjaciele, nocne marki, usiedli przy ogniu, popijając zbyt słodką czarną herbatę z odrobiną rumu.

Wstałem, żeby życzyć dobrej nocy Idrissowi i Silvanowi, którzy siedzieli ze mną po jednej stronie ogniska.

Naveen, Diva i Karla rozmawiali i śmiali się przy świetle ognia malującego tajemnicze piękno.

– Ta Diva to niezwykła młoda kobieta – odezwał się cicho Idriss, gdy dziewczyna parsknęła śmiechem z czegoś, co powiedziała Karla.

Podczas prywatnej rozmowy Diva tak bardzo rozśmieszyła mędrca, że nie mógł przestać chichotać. Patrząc na nią, znowu się roześmiał.

– Nie sądzisz, że jest niezwykła?

Spojrzałem na nią, siedzącą obok Karli. Niczego nie dostrzegałem.

– Widzę bardzo rozpuszczoną dziewczynę – oznajmiłem. – Inteligentną, ładną i rozpuszczoną.

– Może masz rację – przyznał Idriss ze śmiechem. – Ale pomyśl, kim się stanie i co osiągnie.

Odszedł na spoczynek z Silvanem u boku.

Dołączyłem do pozostałych. Diva pociągnęła Karlę za łokieć i razem usiadły na płóciennych leżakach zwróconych w stronę lasu na wschodzie. Widziałem tylko ich profile, co chwila chowające się za oparciami. Zająłem miejsce obok Naveena.

– Dobrze widzieć, jak się uśmiechasz – zauważył.

– Uśmiechałem się?

– Tak. No, zanim Karla cię zostawiła.

Pogrzebał kijem w ogniu, z którego sypnęły jasne iskry.

– Co ci chodzi po głowie, młody?

– To może poczekać do jutra – odparł, nie dając spokoju ogniowi.

– Liczy się tylko teraźniejszość. Co jest?

– Martwię się o nią – wyznał, zerkając na dziewczęta. Dobiegał nas tylko ich śmiech.

– Karlę?

– Nie – rzucił, marszcząc brwi. – Divę.

– O co chodzi?

– Jej ojciec spiknął się z bardzo ciemnymi typami. Naprawdę wyjątkowo wrednymi. Chodzi o wielkie pieniądze, a oni mają mało cierpliwości.

– Czekaj. Mukesh Devnani to jeden z największych bogaczy w Bombaju.

– Wziął skądś mnóstwo pieniędzy niewiadomego pochodzenia. Nie wystarczało mu budowanie centrów konferencyjnych, chciał budować całe miasta i miasteczka, od zera. A pieniądze, które mogły mu to zapewnić, mieli jedynie…

– Faceci z niedoborami cierpliwości. A teraz chcą je odzyskać z odsetkami.

– Właśnie. Dziwne, że Randżit się w to wmieszał.

– Randżit? Jak?

– Prowadził w swoich gazetach kampanię przeciwko jednemu z wielkich nowych miast, które zamierzał zbudować Mukesh. Ta jego nagonka sprawiła, że rząd zmienił zdanie i unieważnił pozwolenia na budowę. Wszystko zaczęło się rozpadać. Zrobiło się tak kiepsko, że kiedy do domu Mukesha przyszli policjanci, nie wiedzieliśmy, czy chcą go chronić, czy aresztować.

– Musi im zapłacić, choćby miał przez to zbankrutować.

– Właśnie to mu powiedziałem. Z całym szacunkiem. Ale w tej sytuacji jest pewien haczyk, nie wiem jaki. Teraz już nieczęsto bywam w rezydencji z Juhu. Zacząłem coś podejrzewać po tych kilku razach, gdy miałem okazję pomyszkować w jego gabinecie. Myślę, że Diva… Diva zostanie porwana, prędzej czy później. Jej matka zmarła pół roku temu. Diva jest jedynaczką. Jedyną spadkobierczynią. Wrogowie jej ojca mogą ją wykorzystać, żeby go skrzywdzić. To czysta, choć nieczysta logika. Martwię się, stary.

– Myślisz, że naprawdę jest tak źle?

– Tak. Zaczynam… panikować. To mnie przerosło, a naprawdę mi zależy na tej dziewczynie, nawet jeśli ma ojca palanta.

– Wywieź ją z miasta.

– Próbowałem. Wie, że coś się kroi. Nie chce opuszczać ojca.

– Mógłbyś ją gdzieś ukryć.

– Jak? Gdzie? Jest sławna, stary. Częściej uciekamy przed dziennikarzami niż ciemnymi typami. A ona to uwielbia. Musiałem jej dać szlaban na telefon. Dzwoniła do paparazzich i umawiała się z nimi na ustawki. Zna ich po imieniu. Stawia im drinki. Jest matką chrzestną ich dzieci.

Roześmiałem się, ale potem dostrzegłem, że Naveen nie żartuje.

– Według niej dyskrecja jest wtedy, kiedy nie wynajmujesz samolotu z transparentem, co zrobiła na swoją osiemnastkę. Sama mi powiedziała. I tak jest wszędzie, dokąd tylko pójdzie.

– Mógłbyś ją ukryć w slumsach – podsunąłem. – O ile by się na to zgodziła. Ja ukrywałem się tam przez półtora roku, to jedno z najbezpieczniejszych miejsc, jakie znam.

– A oni by ją przyjęli?

– Kierownik slumsów jest moim przyjacielem. I uwielbia imprezy. Pokocha Divę. Ale to nie dla każdego, a Diva z pewnością nie jest każdym.

– Mówisz poważnie?

– Chyba że znasz lepsze miejsce, w którym można by ukryć bombajską divę przed oszalałym tłumem. Ale niczego nie obiecuję. Muszę najpierw spytać przyjaciela.

Naveen znowu spojrzał na dziewczyny. Karla i Diva kwiczały ze śmiechu, zasłaniając sobie usta i nosy, żeby stłumić ten dźwięk. Coś piły. Wyglądało apetycznie.

– Słuchaj, Naveen, jeśli po moim zejściu z góry nadal będziesz przekonany do tego pomysłu, spytam Johnny'ego Cygaro. Dobra?

– Nie wiem, jak to sprzedać Divie, ale dobrze. Proszę, zrób to. Chcę mieć jakiś wybór, jeśli sprawa jej ojca przybierze zły obrót.

– Nie ma sprawy. Zobaczmy, co piją dziewczyny.

Przez jakiś czas rozmawialiśmy razem, czwórka przyjaciół połączona zarówno strachem, jak i sympatią, nie tylko towarzystwo, ale towarzysze broni.

Przy pierwszej pauzie w tej pełnej śmiechu rozmowie Karla i ja pożegnaliśmy się, wzięliśmy koce, wodę i pudełko z jedzeniem i przy świetle latarki poszliśmy do Miejsca Silvana.

Zrobiłem nam namiot z dwóch koców i posłanie z reszty. Położyliśmy się, podparci na łokciach. Otworzyłem pudełko, ukazując zimne smażone pakory, ananasa, ciastka z orzechami cashew i soczewicą, parę garści innych orzechów oraz bengalski krem w

małych glinianych czarkach. Karla zamknęła je i wyjęła z torebki dwie piersiówki, papierośnicę i złotą zapalniczkę z wprawionym małym zegarkiem. Położyła je na kocu. Wskazówki zegarka pokazywały dwadzieścia trzy minuty po północy.

– Zegarek na twojej zapalniczce stanął – zauważyłem, wyciągając po niego rękę.

– Nie nakręcaj go – rzuciła szybko. – Tak wolę.

– Karla, za tydzień wrócę i…

– Pozwól, ja pierwsza.

– Dobrze.

– Lokuję pewną sumę w interes z Didierem i Naveenem. Zamierzają rozbudować biuro detektywistyczne. Uważam, że to dobry pomysł.

– No dobrze, ale myślałem o franszyzie pieniędzy z czarnego rynku. Mam znajomości i mogę kupić ich kasę, jeśli nie lojalność. Mogę nam zapewnić dobre życie.

– Mam pieniądze.

– I powinnaś je zatrzymać.

– Nie wiemy, jak długo będziemy w Bombaju – odparła, upijając łyk z piersiówki i podając ją mnie. – Cieszmy się tą przejażdżką, jak długo można… na ile to bezpieczne.

– Praca detektywa nie należy do dziesięciu najbardziej bezpiecznych zawodów świata. Nawet w stu się nie załapie.

– Ale i tak jest dużo powyżej zbrodni i kary.

Zbrodnia i kara. Ile razy przez ostatnie dni słyszałem naprawdę lub w myślach te słowa, to echo śmiechu losu? Ile razy trzeba je usłyszeć?

– Nie widzę dla siebie miejsca w tym planie.

– Jesteś cichym wspólnikiem. Jak ja.

– Tak?

– Im cichszym, tym lepszym.

– Im cichszym…

– Będziesz rozmawiać z ludźmi, do których Didier i Naveen nie mają dostępu. Jeśli mamy z nimi gadać, kto może to zrobić, jeśli nie ty lub ja? A może oboje razem?

– Karla… – Chciałem ją rozebrać, ją i siebie, i przestać mówić. – Nie mogę przejść od popełniania przestępstw do walki z nimi. Mój talent rozkwita na drodze występku.

– Będziemy się specjalizować w zaginionych osobach – oznajmiła Karla, pociągając kolejny łyk.

– Ty i ja jesteśmy zaginionymi osobami! – rzuciłem za śmiechem.

Ona też się roześmiała.

– W sprawach, w których policjanci się poddali.

– Jeśli policjanci się poddali, to pewnie nie bez powodu.

Wyjęła jointa z brązowej papierośnicy i zapaliła go.

– Niekoniecznie. Czasem po prostu chcą zakończyć sprawę, a jeśli nie potrafią jej rozwiązać, zostawiają ją nierozwiązaną. A czasem dostają pieniądze za to, żeby czegoś nie zauważyć. Zbiegłych mężów, zaginionych narzeczonych, synów marnotrawnych… Jesteśmy ostatnią deską ratunku dla zaginionych ukochanych.

– Nie widzę tu szansy zarobku. Wygląda mi na to, że będę żyć z twoich pieniędzy.

– Nie będzie żadnych pieniędzy. Na razie. Koszt tego interesu przewyższy zyski z niego. Ale sektor prywatnych detektywów i ochroniarzy wkrótce przeżyje boom. Jestem tego pewna. I na szczęście mam dość żetonów, żeby przez jakiś czas grać w tę grę. Jeśli to cię martwi, prowadź rejestr. Oddasz mi pieniądze, kiedy interes zacznie się kręcić.

– A skoro mowa o zaginionych osobach, są jakieś wieści o Randżicie?

– Jeszcze nie. Podobno widziano go na jakimś jachcie na Malediwach. Staram się to ustalić. Na jakiś czas dzięki jego udziałom jestem poważnym graczem. Dobrze, że był beznadziejnym szefem, a ja nie. Cała jego agencja prasowa pomaga mi go znaleźć. Ironia losu, prawda?

– Nadal mieszkasz w Tadżu?

– Aha. Na razie to wystarczy. Mają dobrych ochroniarzy na dole, a ja jeszcze lepszych na górze.

– Widziałaś się z Didierem?

– Towarzyszył mi. Wystraszył się tymi miotaczami kwasu. Wiesz, jaki jest próżny.

– On by nie nazwał tego próżnością. Nazywa to dobrym smakiem i chyba oboje możemy się z nim zgodzić.

– Tak czy tak, zamierzam wymazać tę kobietę ze swojego pola widzenia.

Odsunęła wszystkie przedmioty na bok i wyciągnęła się na kocach, podłożywszy rękę pod głowę.

– Czy teraz, gdy znasz moje plany, wchodzisz w nie?

Los prowadzi cię do tego, czego pragniesz, a czas sprawia, że dostajesz to w niewłaściwym momencie. Czy chciałem wejść w jej agencję poszukiwania zaginionych

ukochanych? Nie. Nie mógłbym współpracować z glinami i nie mógłbym nikogo wydać, przez co byłbym marnym detektywem.

A Karla o tym wiedziała. Widziała to w moim spojrzeniu, słyszała w moim oddechu, ciężkim oddechu troski o to, że nie zejdziemy z góry tą samą drogą.

– Przestań myśleć – rozkazała. – Jutro jest takie samo jak ty. Nigdy nie w porę.

Wiatr w świetle księżyca, rzucający koronkę cienia liści na jej skórę. Miłość we wszystkich minionych życiach, za każdym razem, gdy się w sobie zakochiwaliśmy i traciliśmy się nawzajem. Blask gwiazd na jej uśpionej twarzy. Tej nocy mojego nieba nie rozświetlała żadna gwiazda, nic mi nie wskazywało drogi na tym morzu, na którym się znaleźliśmy, a jednocześnie nas nie było. Ale nie myślałem o tym. Karla spała w moich ramionach, a ja płynąłem już do domu.

VIII

# 46

Nie założyłem Biura Zaginionej Miłości z Karlą, Naveenem i Didierem. Możecie mnie nazwać upartym osłem, jak Naveen. Albo wariatem, jak Didier. Albo wolnym duchem, jak nie nazwała mnie Karla. Karla przestała się do mnie odzywać. Nie odpowiadała nawet na moje wiadomości, choć wysłała mi jedną przez Naveena: kazała mi nie zbliżać się do siebie, dopóki nie ochłonie. Ja z kolei zapaliłem się do działania. Kupiłem od Didiera pakiet przestępstw czarnego rynku. Didier został legalnie działającym biznesmenem, wspólnikiem w Biurze Zaginionej Miłości, dwa lokale od mojego, i postanowił wyrzec się przestępstw. Odpuściłem sobie narkotyki i prostytutki i skupiłem się na kantorach wymiany walut. Nie od razu zorientowałem się w szczegółach. Kupowałem legalne pieniądze, które stawały się brudne, i znowu je prałem w banku, odliczając małe tygodniowe nadwyżki z wysokich dziennych obrotów. Jak na giełdzie, ale bez kłamstw i korupcji.

Gdy Karla w końcu się odezwała, późnym popołudniem drugiego dnia po zejściu z góry, pospieszyłem na spotkanie z nią przy falochronie w Juhu, gdzie parę tygodni temu rozmawialiśmy o Lisie, naszej utraconej miłości. Pogodni przechodnie mijali nas, a gdy słońce zaczęło zachodzić, Karla rozpłakała się i powiedziała, że nie gniewa się na mnie, tylko była zmartwiona wieściami o Lisie i Randżicie.

– Co Randżit robił wtedy z Lisą? Co ona robiła z nim? Od powrotu do Bombaju nie potrafię przestać o tym myśleć.

Płakała mi w koszulę. Powoli przestała.

– Dlaczego tego nie rozumiem?

Zawsze wyprzedzała o dwa kroki wszystkie osoby z jej otoczenia. Ta tajemnica nie dawała jej spokoju, podczas gdy we mnie tliła się powoli – dla niej burza piaskowa, dla mnie piasek w klepsydrze z imieniem Randżita. Musiałem jej powiedzieć, żeby dała temu spokój, tak jak ona kiedyś powiedziała to mnie.

– Znajdziemy go – obiecałem. – A kiedy go znajdziemy, dowiemy się, co się stało. Do tego czasu musimy przestać o tym myśleć, bo oboje oszalejemy. To znaczy… jeszcze bardziej.

Uśmiechnęła się.

– Coś tu się nie zgadza. Coś, o czym powinnam wiedzieć, a nie wiem. Coś, co mam przed samym nosem. Ale masz rację – jeśli nie odpuszczę, oszaleję.

Cynobrowy zachód słońca, ostatnia z łask tego dnia, zmył wady i skazy ze wszystkich twarzy i z postaci na promenadzie – ocean wieczornego światła, ukazujący jedynie to, co w nas piękne.

Delikatny wietrzyk muskał falochron, bawiąc się spódnicami i koszulami przechodniów. Zaczęły nas mijać pierwsze samochody z zapalonymi reflektorami. Przejrzyste cienie liści palmowych przesuwały się po twarzy Karli, od wygięcia jej szyi po wargi, wraz z każdym kolejnym przejeżdżającym samochodem. Karla.

– Czy to duma nie pozwoliła ci dołączyć do Didiera, Naveena i mnie? – spytała, zwracając na mnie bardziej surowe spojrzenie.

– Nie.

– Duma jest jedynym grzechem, którego w sobie nie dostrzegamy, wiesz.

– Nie jestem dumny.

– Akurat. Ale to dobrze. Lubię dumnych mężczyzn. Kobiety też. Ale niech cię ona nie powstrzymuje. Może nam się udać.

– Jak?

– Możliwe, że przetrwamy tylko tydzień, ale równie możliwe, że będziemy tu i za trzy lata. Interes może się rozkręcić po trzech miesiącach. Bezpieczeństwo stanie się bardzo ważne w Indiach w następnych pięćdziesięciu latach. Mówię ci. Miałam dwa lata na zbadanie tematu, razem z najlepszymi doradcami Randżita.

– Ty mówisz serio?

– Zawsze mówię serio, gdy chodzi o miłość.

– Miłość? – Wyszczerzyłem się jak idiota.

– Skup się. – Dziabnęła mnie palcem. – Tu chodzi o interesy.

– Dobrze, już się skupiam.

– Pieniądze nie popłyną od bogatych do biednych. Będą płynąć od biednych do bogatych, szybciej niż kiedykolwiek, i u bogatych zostaną. To tak cholernie niesprawiedliwe, że osobista ochrona będzie niezawodną inwestycją. Rozumiesz?

– Dziwne, ale tak. A agencja detektywistyczna?

– Jesteśmy biurem, nie agencją. Bierzemy tylko jeden rodzaj spraw. Zaginionych ukochanych. Nie podglądamy, nie śledzimy. Prowadzimy dochodzenie w sprawie zaginionych ukochanych. To nasza droga do szerzej pojętego biznesu ochroniarskiego.

Zaczniemy się rozwijać, i to szybko.

– Jak?

– Musimy zaprzyjaźnić się ze wszystkimi ważnymi graczami. Jeśli znajdziemy ich zaginionych ukochanych, nie będą potem na nas donosić. Ponadto dowiemy się, gdzie tańczą wszystkie szkielety.

– Dobrze to przemyślałaś.

– Przestaniesz mówić oczywistości?

– Podążam za twoim tokiem myślenia i rozumiem…

– Czyżby? To coś czystego i słusznego. Nie dostrzegam nic słusznego po twojej stronie boiska.

– Słuszność? Teraz mówimy o słuszności?

– Wiesz, cokolwiek się wydarzy po drodze, choćby to były nawet tak interesujące rzeczy jak sukces, klęska i zabawa, przede wszystkim liczy się to, że to będzie coś słusznego i że w ten sposób coś zmienimy.

– Znajdując utracone miłości?

– Wolałbyś tracić znalezione miłości?

Warknęła to, bo myślała, że nie biorę jej poważnie. Uraziło mnie to.

– Pijesz do mnie? Do nas?

– Nie ja się z tego wykręciłam.

– Karla, należę do ciebie. Ale wiesz, że nie mogę współpracować z psami.

– Możesz się do tego nie mieszać.

– Do oddawania ludzi w ręce policji czy do zeznawania w sądzie? Mogę się od tego wykręcić?

– Didier weźmie na siebie kontakty z policją. Powiedział, że tęskni do rozmowy z glinami, podczas której nie będzie leżeć na podłodze.

– Nie chodzi tylko o to. Mam za wiele do stracenia. Jestem poszukiwany wszędzie z wyjątkiem tego kraju, a to dlatego, że tu wiem, komu zapłacić. Nie przekraczam granic. Psy dają mi spokój, bo nie sprzedaję narkotyków ani dziewczyn i nikogo nie oszukuję, nie biję nikogo, kto sobie nie nagrabił, trzymam gębę na kłódkę, kiedy mnie kopią, i płacę im regularnie i hojnie.

– Istny raj. – Karla uniosła ironicznie brew.

– Tolerują mnie. Ale to się może zmienić, a wtedy będę musiał uciekać, i to szybko. Wiesz o tym. Nie mogę zaczynać nic na poważnie i ty też nie powinnaś. Myślałem, że

oboje to rozumiemy.

– Mówiłam, jestem cichym wspólnikiem – rzuciła z przelotnym błyskiem królowych. – Ale zawsze mogę się stać głośna, jeśli nie wejdziesz w to ze mną.

Zapadła chwila ciszy. Karla prowokowała mnie do powiedzenia czegoś niewłaściwego – i może powiedziałem.

– Słyszałaś coś nowego o Randżicie?

Odwróciła głowę. Wydawało mi się, że ją zraniłem, i usiłowałem zmienić temat.

– Co powiesz na to: wymelduj się z Tadża i wprowadź się do apartamentu obok mojego – zaproponowałem.

– Obok twojego?

– Mówię serio. Są tam trzy pokoje z balkonem wychodzącym na przyzwoitą ulicę, a powiedziałaś, że lubisz bezpieczeństwo.

Zastanowiła się nad tym, rzucając mi dwie królowe kącikiem oka.

– Mówimy o mieszkaniu u ciebie? – spytała, wiedząc, że kiepsko mi idzie w tę grę.

– Ten temat zostawię na inną rozmowę. Ale kupiłem do twoich drzwi nowe zamki i zainstalowałem je.

– Do moich drzwi?

– No… tak. Jeśli zgodzisz się tam zamieszkać.

– Chyba byłeś całkowicie pewien mojej zgody.

– Hm…

– Ile zamków zainstalowałeś?

– Pytasz o drzwi frontowe?

– A o ilu drzwiach mówimy?

– O wszystkich. Łazienka, sypialnia, balkon. Wszystkie.

– Ach tak – mruknęła z uśmiechem. – Jakieś inne niespodzianki?

– W łazience postawiłem apteczkę z zestawem do szycia. Jeśli będzie trzeba, zdołasz zaszyć sporą ranę.

– A podobno romantyzm umarł – rzuciła, chichocząc.

– Kupiłem też inne rzeczy.

– Inne rzeczy, tak?

– Tak, w okolicy są świetne sklepy. Kazałem kierownikowi wstawić do twojego pokoju małą lodówkę pełną wódki, wody gazowanej, cytryn i najwstrętniejszego sera,

jaki udało mi się znaleźć.

– Miło.

– I przykleiłem taśmą nóż pod szufladą biurka. Jeśli ją otworzysz, ktoś stojący w pokoju nie dostrzeże, że sięgasz po broń.

– Ach tak?

– A twoje łóżko jest z pomalowanych żelaznych rur.

– Moje łóżko ma rury – powiedziała ze śmiechem.

– Tak, sprawdziłem zaślepki. Te w wezgłowiu dały się odkręcić. Włożyłem do jednej rury zwitek banknotów, a do drugiej – wąski nóż. Na wszelki wypadek.

– Praktyczne.

– I kupiłem ci sitar.

– Sitar. A to na co?

– Nie wiem. Na dole był sklep muzyczny. Nie potrafiłem się oprzeć.

– No, wiesz…

– Nie ma obsługi hotelowej – wpadłem jej w słowo. – Ale na dole jest sklep z sitarami, a kierownik piętra jest bardziej szalony niż ja. Biorąc to pod uwagę, uważam, że powinnaś się tam wprowadzić. Wchodzisz do gry?

– Kochanie, do końca twojego życia to ja jestem grą.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Dobrze. No to przeprowadźmy cię, sąsiadko.

Wsiadła na motocykl ze mną. Pojechaliśmy do hotelu za Randallem. Powściągnąłem chęć, żeby go prześcignąć. Nie byłoby to trudne. Karla położyła lewą rękę na moim ramieniu, prawą trzymając na moich kolanach. Głowę oparła o moje plecy. Chciałem tak jechać, dopóki motocykl nie będzie miał dość.

– Wiesz – powiedziałem, idąc z nią do spokojnego zakątka na schodach hotelu Taj. – Moglibyśmy po prostu tak jechać, aż dotrzemy wystarczająco daleko albo motocykl będzie miał dość.

– Mam tu sprawy do załatwienia – odparła z uśmiechem. – Poza tym zaginiona miłość to nasz atut, przynajmniej na razie. Nasza pierwsza oficjalna sprawa to Randżit i złapiemy tego szczura, gdziekolwiek się schował.

– Oficjalna?

– Zarejestrowałam już biuro na policji. Przyspieszyłam bieg spraw dzięki pomocy

człowieka Randżita. Należy do rady miasta i ucieszył się na mój widok. Od zniknięcia Randżita dopływ kasy się urwał. Ja poszłam na spotkanie wyposażona w to, co Ameryka ma najlepszego. To miły facet, tylko czasem twarz ma bardziej chciwą niż umysł.

Teraz ja się roześmiałem.

– Porozmawiamy o tym później – powiedziała, przyciągając mnie do siebie i tuląc, jakbyśmy się stali jednym ciałem.

– Wypocznij dobrze – dodała, cofając się.

– Dobrze… co?

– Będziesz potrzebował snu, jeśli nie chcesz pracować w moim biurze, tylko działać jako freelancer.

– Zaraz. Nie mogę się dziś z tobą spotkać?

– Na pewno nie – oznajmiła, odrywając się ode mnie i pokonując ostatnie stopnie prowadzące do drzwi. – Poza tym rano nadal tu będzie.

– Co?

– Pożądanie – rzuciła, stając w drzwiach. – No, pamiętasz chyba, co to? Ładne stworzonko, rozrywkowe, bez skrupułów?

Drzwi się zamknęły. Znowu nic nie rozumiałem. Potem się uśmiechnąłem. Cholera, Karla.

Wróciłem do hotelu Amritsar i znalazłem kierownika hotelu w rozterce, z głową w pudle z napisem „Rozterka, sp. z o.o”.

– Co cif tak dręczy, Dżaswant?

– W tym pudle powinien być fazer – oznajmił kierownik, spoglądając na mnie z roztargnieniem, nadal grzebiąc w bąbelkowej folii. – A, jest!

Wyjął zabawkowy pistolet, ale jego radość szybko zgasła.

– Wszystko nie tak! Emiter fotonów jest w złym miejscu! I nie ma pola ochronnego. W tych czasach nikomu nie można ufać.

– To tylko zabawka.

– Replika – poprawił mnie. – I bardzo niedokładna.

– To replika zabawki.

– Nie rozumiesz. Mam przyjaciela, parsa, który powiedział, że zrobi mi prawdziwy fazer, jeśli zdobędę idealną replikę oryginału. Ale na tym dziadostwie nie będzie pracować. To pars.

W jego oczach malował się palący smutek.

– Proszę cię – powiedziałem żarliwie. – Nie rób pistoletu laserowego.

– Fazera – skorygował. – Dałbym ci z niego postrzelać. Ludzie dniem i nocą wchodzą i wychodzą z twojego apartamentu, jakby to był dworzec.

– Tylko ludzie, którzy mają klucz.

– No, obecnie są tam dwaj powiernicy klucza.

Znalazłem Naveena na krześle obok biurka, które kupiłem w sklepie ze starociami na dole. Grał na mojej gitarze; lepiej ode mnie, ale każdy gra lepiej ode mnie.

Zajrzałem do sypialni i zobaczyłem na łóżku Didiera. Eleganckie włoskie półbuty postawił na podłodze, schowawszy do nich sznurowadła. Pomachał mi.

– Fajnie grasz – pochwaliłem Naveena, rzucając się na krzesło.

– Fajna gitara – odparł, nie przerywając grania popularnej goańskiej ballady.

– Znalazłem ją na dole, w sklepie muzycznym.

– To nie miejsce dla takiej gitary – odparł, przerzucając się na *Comfortably Numb* Pink Floydów. – To kosztowna w utrzymaniu, szalona gitara miłosna, jak Diva.

– Jak wygląda sytuacja Divy?

– Niedobrze – mruknął, nadal grając. – Dlatego poddaję się terapii gitarowej.

– Tego ranka załatwiłem tę sprawę z Johnnym Cygaro. Klan Bihari wyprowadził się ze slumsów, zostawiając sześć pustych domów. Zarezerwowałem dwie chaty, parę kroków od domu Johnny'ego. Jedną dla niej, jedną dla ciebie.

– Moim zdaniem ani o minutę za wcześnie – oznajmił Naveen, odkładając gitarę.

– Chyba masz rację. Rozpytałem się dziś koło Fortu. Jej ojciec ma wielkie kłopoty. Bukmacherzy dają mu szanse pięćdziesiąt do jednego. Ludzie mówią o nim, jakby już nie żył. I gadają o Divie, że może wiedzieć o grzechach swojego ojca albo o miejscu ukrycia pieniędzy.

– W rzeczy samej – zgodził się Didier, zrywając się z łóżka z zadziwiającą zwinnością i podchodząc na palcach do niedużej, sięgającej piersi lodówki.

Kupił mi tę lodówkę na nowe mieszkanie, od razu wyposażoną w piwo. Postawił butelkę brandy na nocnym stoliku dla siebie, a mnie i Naveenowi rzucił po puszce. Następnie znowu umościł się wygodnie na łóżku.

– Sam również się rozpytałem – oznajmił. – Co najmniej dwie niebezpieczne i bezlitosne grupy uwzięły się na ojca Divy. Obie mają mocne powiązania z policją.

– Masz rację – potwierdził Naveen.

– Jedną z tych grup stanowią wręcz policjanci – ciągnął Didier. – Chodzi o jakąś sprawę z funduszem emerytalnym. Ten mogoł biznesu zgromadził hordy wrogów. Powinien się ulotnić z Bombaju i zamieszkać na bezimiennej wyspie. Na pewno go na nią stać.

– Nie znam bardziej upartego gościa – warknął Naveen. – Chce to przeczekać. Uważa, że ma najlepszą ochronę. I owszem, to prawda, że dniem i nocą otaczają go uzbrojeni goście, ale…

– Ale co?

– Ale w jego domu pracują dwie oddzielne ekipy ochroniarzy, gliny i prywatni. Żaden z nich, o ile mi wiadomo, nie pali się, żeby zginąć za najbogatszego i najbardziej nieuczciwego człowieka w Bombaju. Niektórzy z nich mieszkają w slumsach i marzą o tym, że kiedyś wprowadzą się z rodziną do jednopokojowego mieszkanka wielkości jego toalety. Jeśli gliny dostaną rozkaz odejścia, jego prywatna armia ucieknie. Przestrzegałem go, ale nie słucha.

– Słucha cię – wtrącił Didier. – Zostawił córkę pod twoją opieką.

– Wczoraj powiedział do mnie „synu” – wyznał Naveen. – Bardzo dziwne. Prawie go nie znam.

Podszedł do zasłoniętych żaluzjami okien. Podniósł żaluzję; neon kina Metro zaróżowił mu twarz.

– Powiedział: „Pilnuj mojej córki jak źrenicy oka, niech będzie tuż przy tobie, bezpieczna, daleko ode mnie, mój synu”.

– Znacząca odpowiedzialność – zauważył Didier.

– I znaczące zlecenie – dodałem. – Z Divą nie ma żartów. Powinna opuścić miasto.

– Zgadzam się – powiedział Didier. – I to szybko.

– Nie wyjedzie. Znam ją. Jeśli spróbuję zawieźć ją na lotnisko, narobi takiego wrzasku, że zamkną cały terminal.

– Jeśli nie możesz jej namówić do opuszczenia Bombaju i jeśli ludzie, którzy chcą zabić jej ojca, mogą ją porwać, to musisz ją ukryć, dopóki to wszystko nie minie. A slumsy są jedynym znanym mi miejscem, w którym nikt nie będzie szukać najbogatszej dziewczyny w mieście. Ale mam nadzieję, że wpadłeś na lepszy pomysł.

– Nie wpadłem.

– Ani ja – dodał Didier.

– Gdzie jest teraz Diva?

– Na spotkaniu. Co tydzień spotyka się z koleżankami w Presidencie.

– Ach tak? – mruknął Didier.

– Nazywają to Plotkarski Klub Divy – wyjaśnił Naveen.

– Fascynujące! – zawołał Didier.

– Raz w tygodniu zbierają się jak piranie i rozszarpują na kawałki wszystkie znane im dziewczyny, które nie należą do ich kliki.

– Załatwisz mi zaproszenie? – spytał Didier, podchodząc do nas. – Strasznie chciałbym być na takim spotkaniu.

– Do dziesiątej powinna skończyć – oznajmił Naveen. – Pojedziecie ze mną po nią?

– Ja na pewno! – oznajmił Didier, wkładając buty i sznurując je.

– Potrzebuję was obu – wyznał Naveen – jeśli mam ją przekonać, żeby zrezygnowała z apartamentu w Maheshu i zamieszkała na tydzień w slumsach. Musicie obaj ją przytrzymać, gdy będę jej wyjaśniać nasz zamysł.

– Na pewno chcesz to zrobić akurat teraz? – upewniłem się.

– Teraz albo nigdy – powiedział młody detektyw z uśmiechem, choć oczy miał poważne. – Zdążymy przewieźć Divę slumsów i ją tam urządzić, zanim zbyt wiele osób się o tym dowie. Co sądzicie?

– Didier jest gotowy do działania. Do Plotkarskiego Klubu, w tej chwili!

# 47

Znaleźliśmy Divę w stadku innych div w holu hotelu President. Trzy zatrzymały się, patrząc na nas z wypraktykowaną zgrozą.

Didier wystąpił w pomiętej marynarce z białego lnu i spłowiałych niebieskich spodniach. Ja byłem w wysokich butach, czarnych dżinsach, podkoszulku i kamizelce. Naveen miał na sobie szare bojówki i koszulę z cienkiego brązowego zamszu. Niósł ciężki plecak.

Ślicznotki wyraźnie dały nam do zrozumienia, że nie przedstawiamy sobą ładnego widoku.

– Więc to on? – spytała jedna z nich, wskazując oskarżycielsko tipsem Naveena.

– Motocyklowy maniak – rzuciła druga, od razu mnie skreślając.

– Rozwiązły kobieciarz – podsumowała trzecia Didiera.

– Proszę wybaczyć, *mademoiselle* – odparł ten – ale jeśli już, to jestem raczej mężczyźniarzem.

– Rozwiązły mężczyźniarz – dobiła go dziewczyna.

– I koń – wycedziła Diva, patrząc na Naveena. – Bez księcia.

Jej koleżanki zachichotały.

– Co to za tobół? – spytała Diva. – Czyżbyś, daj Boże, ruszał w Himalaje?

– Nie mnie tu interesują szczyty – odpalił Naveen, łypiąc na nią.

– Uuu! – zawołały koleżanki Divy. – Kocurek ma pazurki!

– Musimy iść – zwrócił się Naveen do Divy.

– A może byś się wspiął na szczyt bambusa – odparła Diva wyzywająco. – I tam został.

Dziewczyny zachichotały.

Naveen był wściekły, ponieważ autentycznie się bał. Zważywszy zagrożenie, w jakim znalazła się Diva, uważał, że stojąc w dobrze oświetlonym lobby, bezsensownie się naraża. W każdej chwili spodziewał się bandy osiłków, gotowych wpaść i porwać dziewczynę. Ten silny, pewny siebie chłopak wiedział, że nie zdoła ich powstrzymać. Znałem go na tyle, żeby wiedzieć, że uczucie strachu było mu obce i że mu się nie

podobało.

Didier wykorzystał tę chwilę niezręcznego milczenia, by ukłonić się elegancko dziewczynom.

– Drogie panie, pozwólcie, że się przedstawię – powiedział, rozdając swoje wizytówki. – Nazywam się Didier Levy. Urodziłem się we Francji, lecz od lat goszczę w waszym wspaniałym mieście. Z moim współpracownikiem, powszechnie znanym detektywem, panem Naveenem Adairem, tworzymy Biuro Zaginionej Miłości. Jesteśmy do usług, gdy trzeba będzie wyjaśnić jakąś tajemnicę.

– O kurczę! – mruknęła jedna z dziewcząt, czytając wizytówkę.

– Żadna sprawa nie jest zbyt drobna – reklamował się Didier – a żadna plotka – zbyt mało ważna dla Biura Zaginionej Miłości.

– Musimy iść – ponaglił Naveen, wskazując drzwi.

Diva ucałowała przyjaciółki na do widzenia i poszła z nami. Ruszyliśmy pod portykiem w stronę zaczynającej się tu ulicy.

Naveen zatrzymał się i zerknął za moje ramię. Obejrzałem się; Didiera nie było z nami. Wróciłem truchtem do hotelu, żeby odciągnąć go od dziewcząt.

– Do zobaczenia we wtorek! – zawołał, kiedy wlokłem go za sobą. – Zapewniam was, znam ploteczki o znanych ludziach, które sprawią wam więcej przyjemności niż orgazm!

Koleżanki Divy pisnęły.

Dołączyliśmy do Naveena i Divy.

– Wizytówki? – rzuciłem.

– Pomyślałem, że… warto się przygotować – wyjaśnił Didier.

– Pokaż.

– Też chciałbym zobaczyć – dodał Naveen.

– Ja też – zgodziła się Diva. – Rozdawaj, Francuzie.

Didier niechętnie podał nam kartoniki. Przyjrzeliśmy się im przy świetle ulicznej latarni.

BIURO ZAGINIONEJ MIŁOŚCI
*Didier Levy, mistrz miłości*
*Naveen Adair, mistrz zaginięć*

Na odwrocie kartki znajdował się rysunek, przedstawiający chyba nasłuchujące ucho, oraz słowa:

JĘZYK JAK ŁOPATA OBRACA ŚWIATEM

*Apartament 7, hotel Amritsar, Metro, Bombaj*

– Nie sądzicie, że są zbyt… skromne? – spytał Didier serio.

– Mistrz zaginięć? – spytał Naveen. – Jak jakiś magik.

– I o co chodzi z tym uchem? – spytałem niewinnie.

– No wiesz! Nie podoba ci się tylko dlatego, że parę miesięcy temu urwałeś komuś ucho – oznajmił Didier z urazą.

– Nie całkiem – odpaliłem. – Poza tym, teraz to już apartament, a nie pokój 7?

– Zaraz – odezwała się Diva, kładąc mi na piersi dłoń jak malutkie widełki. – Urwałeś komuś ucho?

– Naveen – powiedziałem ze sztucznym uśmiechem. – Możesz zaczynać.

– Widzisz… – zaczął Naveen.

– Obaj ani słowa – rozkazała Diva. – Najpierw muszę usiąść. Gdzie limuzyna?

Zerknęliśmy na nią.

– Nie mamy limuzyny – wyjaśnił Naveen. – Już nie. Odesłałem szofera do domu.

Diva parsknęła śmiechem, ale nie dołączyliśmy, więc chwyciła Naveena za koszulę tak gwałtownie, że ją rozdarła.

– Co… kurwa… zrobiłeś?

– Divo, proszę, zaufaj mi – wymamrotał Naveen, wpuszczając strzępy koszuli w spodnie.

– Zaufać? Zaufałam i straciłam ten jebany samochód! Wiesz, jak daleko można zajść na takich obcasach? Do tego służą limuzyny, ty debilu, żeby wozić takie buty! Gdzie moje pudełko do butów?

– Czy nie możemy dokończyć tej rozmowy gdzieś z dala od głównej jezdni? Tam jest taki zaułek.

– Chyba cię…

– Proszę, panienko – wtrącił Didier. – Chyba rozumiesz, że nie stalibyśmy tutaj, apelując do ciebie w ten sposób, gdyby twój los nie leżał nam na sercu i gdybyśmy nie uznali, że to rozsądne.

Powiodła wzrokiem po naszych twarzach i pomaszerowała w stronę zaułka. Zatrzymała się w jego połowie, oparta o mur. Jedną stopę uniosła i oparła o ścianę. Miała na sobie elegancką żółtą spódnicę, białą bluzkę z golfem i sandałki na szpilkach. Rozporek z boku spódnicy ukazywał ładnie upozowane krótkie, piękne nogi

dziewczyny. A Diva umiała pozować; robiła to dla wszystkich pism w kraju.

Zerknąłem na Naveena. Patrzył na nią oczami zakochanego: z pożądaniem pozbawionym głodu. „My, twardzi faceci, spadamy w otchłań miłości szybko i gwałtownie", powiedział kiedyś Didier. I nie było wątpliwości, że Naveen Adair, Hindus i Irlandczyk, był twardym facetem, który gdzieś spadał.

Naveen powiedział jej wszystko. Była uparta i dumna. Wiedział, że musi być z nią brutalnie szczery, żeby przekonać ją, iż grozi jej niebezpieczeństwo. Rzucił jej do stóp wszystkie pokrętne interesy ojca, robione z gangsterami, przekupnymi politykami lub policjantami. Diva opuściła stopę i stanęła prosto, spięta.

– Zagrożenie jest bardzo realne – powiedział łagodnie Didier. – Wszyscy zbadaliśmy tę kwestię i wszyscy doszliśmy do wniosku, że grozi ci niebezpieczeństwo.

– To wredne typy – dodał Naveen. – A twojego ojca otaczają dobrzy ludzie, którym nie ufa. Chyba dlatego kazał mi dbać o ciebie i nie przyprowadzać cię do domu.

– Mamusiu – jęknęła cicho, wzywając ducha.

– Doradzam wyjechać – odezwał się Didier. – Szybko i daleko. Byłbym zaszczycony, mogąc to zaaranżować. Lin dostarczy panience fałszywe dokumenty. Mamy dość pieniędzy. Będzie panienka bezpieczna, dopóki ta sprawa się nie rozwiąże.

– Nie wyjadę, dopóki tata tu jest – oznajmiła naburmuszona Diva. – A jeśli pójdzie do więzienia? Będzie mnie potrzebować. Dopóki jest w Bombaju, nie wyjadę, choćby nie wiem co.

– Alternatywą jest ukrycie cię w pobliskich slumsach – oznajmił Naveen. – To właśnie usiłujemy ci przekazać.

– W slumsach? Najpierw mówisz mi, że mój tata jest oszustem i że inni oszuści chcą go zabić, żeby mogli mnie porwać albo zabić, choć z tym zmagam się przez całe życie, a teraz…

– Jest… jest naprawdę źle – przerwał jej Naveen. – Mówiłem ci. Sam się boję. Proszę, wysłuchaj nas.

– Mieszkałem tam – oznajmiłem. – W slumsach będziesz bezpieczna. To nie powinno potrwać długo.

– Slumsy? – powtórzyła, jeszcze się buntując, choć bez przekonania.

– Masz kogoś na tyle bliskiego, żeby powierzyć mu swoje życie? – spytał Didier.

Drobna gwiazda elity drgnęła, jakby poraził ją prąd, wstrząśnięta tym pytaniem bardziej niż przestępstwami ojca czy zagrożeniem swojego bezpieczeństwa. Cofnęła się o pół kroku. Potem odzyskała panowanie nad sobą.

– Mam mnóstwo dalekich krewnych, ale nikogo bliskiego. Moja matka była jedynaczką, jak ja, a brat mojego ojca zmarł dwa lata temu. Od śmierci mamy mam tylko tatę. Nigdzie nie pojadę.

– Ukrywanie się w slumsach nie będzie przyjemne – ostrzegł Didier. – Ludzie są cywilizowani, ale warunki prymitywne. Czy nie chce panienka przemyśleć swojej decyzji?

– Nie wyjadę.

– Mówiłem – mruknął Naveen, poprawiając plecak.

Zostawiłem ich i poszedłem na skraj zaułka. Ulica za nim prowadziła do białych arkad i okrągłych okien World Trade Centre ze slumsami w tle. Nic nie budziło niepokoju. Bezdomni umościli się do snu na chodnikach. Psy szamotały się, skakały i szczekały, wykorzystując tę godzinę, kiedy mogły zaszaleć. Niemal pusty autobus wyłonił się zza zakrętu przede mną, obwieszony plakatami filmowymi jak bojowy słoń sztandarami.

Latarnie ukazywały wejście do slumsów u wylotu ulicy. Znałem tamtejsze surowe życie. Wiedziałem, jak bardzo może być satysfakcjonujące. Te slumsy były jak meduza, empatyczna kopuła wspólnej sprawy, włókienka miłości i wspólnego cierpienia dotykały każdego życia.

Diva ruszyła powoli w moją stronę z Naveenem i Didierem. Naveen objął ją ramieniem. Nie odtrąciła go.

Może powiedział jej, że ten plecak, który tak wyśmiewała, jest pełen jej rzeczy, pospiesznie zabranych z jej apartamentu w Maheshu. Może teraz – gdy inne miłości zamknęły się przed nią – w końcu otworzyła się na niego.

Wyszła w krąg światła i dopiero teraz zobaczyłem jej strach.

– Wszystko będzie dobrze, mała – powiedziałem, zmuszając ją do spojrzenia mi w oczy. – Czeka cię całkiem fajna przygoda w całkiem fajnej okolicy.

– Podobno okolica bardzo się polepszyła, odkąd się wyprowadziłeś – palnęła, ale z dawnego ognia został tylko mały płomyk. – No to powiedz, slumsiarzu, co powinnam wiedzieć?

– Im bardziej się poddasz – powiedziałem, zbliżając się do szerokiej ścieżki obok otwartej latryny – tym będzie lepiej.

– Mój terapeuta mówił to samo – wymamrotała. – A potem pozwałam go o molestowanie.

– W slumsach molestować będzie cię tylko miłość – odparłem. – Ale będziesz

musiała przywyknąć.

– A to dawać mi tę miłość – rzuciła dzielna dziewczyna z elity. – Teraz, zaraz. Przyjmę tyle, ile mogę dostać.

# 48

Ścieżka była trudna: pylista ziemia i kamienie. Po prawej długie ogrodzenie z siatki oddzielało lśniące wystawy w World Trade Centre. Po lewej rozciągało się szerokie pole, na którym kobiety i dzieci chodziły na stronę w chwasty i krzaki, między cudze odchody.

Jakaś kobieta kucała w ciemnościach, zasłonięta rosochatymi roślinami. Obok ścieżki w usianej kamieniami trawie przycupnęły dzieci. Kiedy Diva je mijała, uśmiechały się i wołały: „Witaj! Jak masz na imię?”.

Gdy ścieżka zaczęła schodzić ku morzu, ujrzeliśmy pierwsze mgnienie slumsów: podarty płaszcz rzucony na wybrzeże obok lśniących wieżowców bogaczy.

– Ja pierdolę – mruknęła Diva.

W nocy slumsy wyglądały jak skansen mroków średniowiecza. Domy były oświetlone lampami naftowymi. Nie było elektryczności ani bieżącej wody. Co noc przez ścieżki przetaczały się fale szczurów, pożerających sterty śmieci leżące tu jak odrażające ofiary. Zapach nafty, prawie spalonego oleju musztardowego i kadzidła, zmieszany ze słonym wiatrem znad morza, z wonią mydła, rozpaczliwego ratunku przed brudem, potu spracowanych ciał, odoru koni, kóz, psów, kotów, małp i węży – cała ta kakofonia zaatakowała Divę, gdy szliśmy przy świetle latarki krętą drogą do domu Johnny’ego Cygaro.

Diva miała szeroko otwarte oczy, ale usta zacisnęła z desperackim zdecydowaniem. Trzymała Naveena za ramię, ale jej stopy w sandałkach na wysokich obcasach stąpały pewnie po nierównym podłożu.

Johnny Cygaro czekał na nas, odziany w najlepszą szatę.

– Witaj, Aanu – powiedział, składając dłonie i kłaniając się Divie. – Nazywam się Johnny Cygaro. Mam nadzieję, że wybaczysz mi, iż nazywam cię Aanu. Powiedziałem wszystkim, że jesteś moją kuzynką Aanu, która przyjechała z Londynu.

– Dobrze – powiedziała Diva niepewnie.

– Żebyś mogła się tu czuć swobodnie – dodał Johnny – wyjaśniłem im, że jesteś trochę nienormalna. To powinno wyjaśnić twój gniewny temperament.

– Moje co?

– No, Shantaram wspominał…

– Aaa, Shantaram!

– Powiedziałem także wszystkim, że ktoś cię szuka, bo go okradłaś, więc muszą zachować twoją obecność wśród nas w sekrecie.

– Dobrze… chyba.

– O, tak. To najbezpieczniejsza kryjówka dla złodziei – oprócz parlamentu.

– A to bardzo pocieszające – odparła Diva z uśmiechem. – Chyba.

– Zdziwiłabyś się, jak wielu sławnych ludzi ukrywa się z nami w slumsach. Kiedyś gościliśmy tu krykiecistę. Nie mogę ci zdradzić jego imienia, ale kiedy graliśmy razem, powiedział…

– Zamknij się, Johnny!

Zona Johnny'ego, Sita, wyszła z domu w czerwono-złotym sari, furkoczącym jak żagiel wokół jej szczupłego ciała.

– Nawet nie wiesz, o czym mówiłem – rzucił Johnny zraniony.

– I tak się zamknij – warknęła Sita. – I daj spokój tej biednej dziewczynie.

W ślad za nią zjawiły się dwie inne kobiety i zaprowadziły Divę do zarezerwowanej dla niej chaty o parę kroków dalej. Naveen i Didier poszli za nimi. Spojrzałem na Johnny'ego.

– Idziesz, Johnny?

– Eee… dam trochę czasu Sicie – wymamrotał.

– Co, kłopoty w raju? – spytałem.

– O, żebyś wiedział! – pożalił się Johnny, przeciągając palcami przez gęste brązowe włosy. – Sita doprowadza mnie do szału.

– Wiesz co, zrobię trochę jointów. Dla Divy. Chyba będzie ich potrzebować bardziej niż koców, jeśli zdoła zasnąć. Może wejdziemy i wszystko mi opowiesz, kiedy będę pracować.

Więc Johnny zaczął opowiadać. W pół godziny dowiedziałem się o Sicie tego, czego żaden mężczyzna nie powinien wiedzieć o cudzej żonie. Raz usiłowałem stanąć po jej stronie, ale Johnny się rozpłakał, więc musiałem przestać.

Potem mówiliśmy tylko o Johnnym. Jego cierpienie było odmierzane Stacjami Drogi Małżeńskiej, z których każda przedstawiała obraz wściekłej żony. W końcu sytuacja stała się jasna.

– Antykoncepcja – powiedziałem, zwijając jointy, mające pomóc Divie w adaptacji

do slumsów.

– Co mówisz?

– Ona chce kolejnego dziecka, a ty nie. Antykoncepcja.

– W tej chwili praktykuję antykoncepcję – odparł, nerwowo wiercąc się na krześle. – Nie kochaliśmy się od pół roku.

– To nie jest antykoncepcja, Johnny, tylko brak koncepcji. Nic dziwnego, że Sita chodzi wściekła.

– Sita uważa, że seks jest po to, żeby robić dzieci. Ja uważam, że seks jest do robienia dzieci i czasem do kochania się. Ona nie chce się zgodzić na żadną metodę antykoncepcji. Kiedy próbowałem porozmawiać z nią o prezerwatywach, nazwała mnie zboczeńcem.

– A to niełądnie.

– Co ja mam zrobić? Widzisz, jaka jest piękna, *na?*

Sita nosiła imię po dobrej, poświęcającej się bogini i na ogół żyła zgodnie z zasadami swojej imienniczki. Ale miała także temperament i ostry język. Przez chwilę zastanawialiśmy się nad tym, a stosik jointów dla Divy rósł.

– Mógłbyś załatwić to po dziewczyńsku i pogadać z nią – zasugerowałem.

– To dość… niebezpieczne. Albo…?

– Albo mógłbyś załatwić to po męsku.

– Po męsku? – powtórzył podejrzliwie.

– Mężczyzna udaje, że nie zauważa, i ma nadzieję, że kobieta podda się pierwsza.

– To ja wolę po męsku – oznajmił Johnny, uderzając pięścią w dłoń. – To o wiele bezpieczniejsze od prawdy.

– Nie bądź taki pewny – mruknąłem, zbierając jointy. – Kobiety mają jakiś nadprzyrodzony, telepatyczny, czarnoksięski talent nie z tego świata. Słyszą wszystkie nasze myśli. Więc prędzej czy później musisz to zrobić na dziewczyński sposób.

– Oczywiście – jęknął. – W ten sposób kobiety mszczą się na mężczyznach.

– Czyli?

– Zmuszają ich, żeby na chwilę stali się kobietami. To okrutne, do czego się posuwają, zmuszając nas do rozmowy. I straszne, a mężczyźni mają problem ze strasznymi rzeczami. Chcą z nimi walczyć.

– Skoro mowa o strasznym, chodźmy sprawdzić, jak sobie radzi Diva.

Diva stała w gromadce dziewczyn, które dawno powinny już spać. Wypytywały ją o

wszystko, co miała na sobie, i wszystko, co wysypywało się z plecaka Naveena.

Johnny i Sita wyścielili podłogę z ubitej ziemi niebieską folią, na której położyli patchworkowe narzuty. W kącie stał gliniany dzban na wodę *matka,* przykryty aluminiowym talerzem ze stojącą do góry dnem szklanką.

Ten dzban zawierał cały dzienny przydział wody dla Divy: wszystko, co mogła zużyć do picia, gotowania i zmywania. W kącie stała kuchenka turystyczna z dwoma palnikami. Metalowa szafka na wysokich nóżkach mieściła dwa metalowe rondle, trochę żywności i karton mleka. Kolejna metalowa szafka z trzema półkami miała pomieścić ubrania Divy.

Na tej szafce stała lampa naftowa. Słaby ogienek rzucał blask na twarze i w zakątki chaty. Oprócz dekoracyjnej girlandy sztucznych kwiatów, zwisającej z podpierającej dach bambusowej tyczki, nie było tu nic więcej.

Ściany zrobiono z plecionych trzcinowych mat, w których wyrwy zaklejono stronami gazet. Rolę dachu odgrywał arkusz zwykłej plastikowej folii, rozpiętej na bambusowym rusztowaniu chaty.

Sufit był tak nisko, że musiałem się lekko pochylić. Spędziłem mnóstwo czasu w dusznej chacie, takiej jak ta. Wiedziałem, że dzień, który na ulicach miasta wydaje się nieprzyjemnie skwarny, w małej chacie staje się piekłem, że każdy oddech jest wtedy wysiłkiem, a pot kapie z człowieka jak deszcz z liści.

Spojrzałem na Bombajską Divę, siedzącą na patchworkowych narzutach i paplającą z dziewczynami.

Nie kłamałem – gdy się trochę pomieszka w slumsach, naprawdę robi się łatwiej, ale najpierw musi się stać tak źle, że czujesz, iż ani sekundy dłużej nie zniesiesz tego tłumu, ciągłego hałasu, braku wody, hord grasujących szczurów i nieustannego, niedającego się zagłuszyć pomruku głodu i śmiertelnie rannej nadziei. Nie mogłem powiedzieć Divie, że lepsze dni zaczynają się dopiero po tym najgorszym. I nie mogłem wiedzieć, że w jej przypadku ten najgorszy dzień miał nastać za dwadzieścia cztery godziny.

– Przyniosłem ci zapasik – oznajmiłem, podając jej małą stertkę jointów i ćwierćlitrową butelkę miejscowego rumu.

– Wiesz, co dobre – powiedziała z uśmiechem, przyjmując podarunek. – Siadaj, Shantaram, i dołącz do nas. Dziewczyny właśnie mi wyjaśniały, kogo mam tu całować w dupę, żeby móc się wysrać.

– Dziękuję, ale nie – rzuciłem z uśmiechem. – Zostanę tu z Naveenem i Didierem,

dopóki nie zaśniesz, więc nie będę daleko. Mogę ci czegoś dostarczyć?

– Nie, stary. Chyba że dostarczysz mi tatę.

– To raczej stoi w sprzeczności z naszym celem – zauważyłem, znowu się uśmiechając. – Ale wkrótce, gdy sytuacja z twoim tatą się unormuje, Naveen na pewno was skontaktuje.

– Mam nadzieję. Kiedy zobaczyłam te chude dziewczynki, pomyślałam, że mogłyby sprzedawać swoją dietę odchudzającą za miliony. Ale potem uświadomiłem sobie, że są głodne. Co tu się dzieje, do cholery?

– Witaj po drugiej stronie.

– No, jeśli zostanę tu przez tydzień, będę miała aż nadto czasu, żeby to zmienić.

Któraś z dziewczyn przetłumaczyła angielskie słowa na hindi. Pozostałe zaczęły klaskać i wiwatować. Diva spojrzała na mnie triumfalnie.

– Widzisz? Rewolucja już się zaczęła.

W oczach nadal miała przekorny buntowniczy ogień, ale nie potrafiła ukryć przyczajonego w sercu lęku.

Była inteligentna. Wiedziała, że Naveen, Didier i ja nie zmuszalibyśmy jej do czegoś tak drastycznego, jak tydzień w slumsach, gdybyśmy się nie spodziewali, że na ulicy spotka ją coś o wiele gorszego.

Byłem pewien, że tęskniła za luksusem swojego rodzinnego dworu, jedynego domu, jaki miała. Naveen powiedział, że zawsze było w nim pełno przyjaciół, jedzenia, picia, rozrywek i służby. I może miała też wrażenie, że ojciec ją opuścił, oddając pod opiekę Naveena.

Patrzyłem na jej niewzruszony, hardy uśmiech, kiedy rozmawiała z dziewczynami. Bała się o ojca, to wiedziałem na pewno. Może nawet bała się o niego bardziej niż o siebie. I była sama, w nieznanym świecie: turystka w mieście, w którym się urodziła.

Poszedłem do sąsiedniej chaty i usiadłem na wytartym niebieskim dywanie obok Didiera i Naveena. Grali w pokera.

– Może partyjkę? – zaproponował Didier.

– Raczej nie. Jestem dziś jakiś rozproszony. Nie potrafię zebrać myśli na tyle, żeby grać na twoim poziomie.

– Doskonale. – Didier uśmiechnął się dobrotliwie. – Zatem będziemy kontynuować lekcję. Właśnie uczyłem Naveena, jak oszukiwać w honorowy sposób.

– Honorowe oszustwo?

– Oszustwo z honorem – poprawił Didier.

– Oraz jak rozpoznać oszusta – dodał Naveen. – Wiedziałeś, że istnieją dokładnie sto cztery sposoby oszukiwania? Dwa na każdą kartę w talii. To fascynujące. Didier mógłby to wykładać na uniwersytecie.

– Oszukiwanie w kartach to po prostu magia – oznajmił Didier skromnie. – A magia to po prostu oszukiwanie w kartach.

Przyglądałem im się, jak grali, popijając z awaryjnej piersiówki Didiera. Ta noc była trudna i dla mnie, choć nie aż tak szokująco, jak dla Divy.

Poczułem, jak kopuła slumsowej społeczności zaczyna się nade mną zamykać – dźwięki, zapachy, wir upartych wspomnień. Wróciłem do łona gatunku ludzkiego. Gdzieś niedaleko rozległ się kaszel, ktoś krzyczał przez sen, dziecko kwiliło, mąż mówił cicho do żony w marathi o ich długach. Czułem zapach kadzidła, palonego w wielu domach wokół nas. Moje serce starało się bić w rytmie dwudziestu pięciu tysięcy innych serc, niezsynchronizowanych, dopóki nie nauczą się rozbłyskiwać i gasnąć w tej samej fali światła. A jednak nie mogłem się wstrzelić. Coś się zmieniło, w moim życiu lub sercu. Ta część mnie, która przed laty z taką gotowością wsiąkła w to jezioro świadomości, jakim są slumsy, zginęła. Gdy uciekłem z więzienia, szukałem domu, wędrowałem, zmieniając państwa i miasta w nadziei, że rozpoznam to właściwe miejsce, kiedy je znajdę. Tymczasem znalazłem miłość w osobie Karli. Wtedy nie wiedziałem, że poszukiwanie jednego prowadzi do drugiego.

Pożegnałem się z Didierem i Naveenem, zajrzałem do Divy, śpiącej już w ramionach nowych przyjaciółek, i ruszyłem uliczkami, smutny ponad wszelkie zrozumienie.

Dołączył do mnie mały bezpański pies. Wybiegał w przód i wracał, zderzając się z moimi nogami. Gdy wyszedłem ze slumsów i włączyłem silnik motocykla, pies wrócił do zgrai innych, wyjąc prowokacyjnie.

Postanowiłem wrócić do hotelu Amritsar, żeby trochę popisać. Jadąc pustą ulicą, zauważyłem Arszana, ojca Farzada, nominowanego przywódcę trzech szukających skarbu rodzin.

Arszan nie szukał skarbu: wpatrywał się nieruchomo w posterunek w Kolabie, naprzeciwko którego stał. Zawróciłem i zatrzymałem się obok niego.

– Cześć, Arszan. Jak leci?

– A, dobrze, dobrze – rzucił z roztargnieniem.

– Trochę późno – zauważyłem. – A to podła dzielnica. Bank, posterunek policji i sklep drogiego projektanta, a wszystko w promieniu dwudziestu metrów.

Arszan uśmiechnął się łagodnie, ale nie odwrócił wzroku od posterunku.

– Eee… Czekam tu na kogoś – powiedział jakby od niechcenia.

– Może nie przyjdzie. Podwieźć cię do domu?

– Poradzę sobie. Nic mi nie jest, Lin. Jedź.

Był tak rozedrgany, że ręce mu dygotały, jakby pod wpływem gwałtownych myśli, a twarz zastygła w nieświadomym grymasie bólu.

– Muszę nalegać – oznajmiłem. – Nie wyglądasz dobrze.

Arszan powoli oprzytomniał i potrząsnął głową. Jego oczy straciły osłupiały wyraz.

W drodze do domu nie odezwał się ani słowem. Kiedy stanęliśmy pod jego domem, z roztargnieniem podziękował i pożegnał się, po czym ruszył do drzwi.

Otworzył nam Farzad, zdyszany i zatroskany.

– Co się dzieje, tato? Wszystko dobrze?

– Nic mi nie jest, chłopcze – powiedział Arszan, opierając się na jego ramieniu.

– Lin, wejdziesz? – spytał Farzad.

Wykazał się odwagą, bo nadal był w firmie, a obaj wiedzieliśmy, że Sanjay miałby mu za złe kontakty ze mną.

– Nie, dzięki – odparłem. – Niedługo się spotkamy.

W Amritsarze wyrzuciłem to wszystko z głowy i wziąłem długi prysznic. Diva, która pewnie w posiadłości ojca musiała brać kąpiele z wonnymi olejkami, będzie się musiała myć w małej miednicy, i na dodatek – jak inne dziewczyny – kompletnie ubrana.

Biedna mała, pomyślałem, znowu się ubierając. Przypomniałem sobie, że Naveen był na każde jej wezwanie. I zastanowiłem się, kiedy w końcu irlandzko-hinduski detektyw przyzna, że jest w niej zakochany.

Zrobiłem sobie bezchlebową kanapkę z tuńczyka, pomidora i cebuli między dwoma kawałkami parmezanu, wypiłem dwa piwa i przez jakiś czas przeglądałem czarnorynkowe machlojki Didiera.

Didier wszystko zapisywał, włącznie z charakterystykami najważniejszych graczy, miesięcznymi zyskami, pensjami i łapówkami. Przeczytawszy jego notatki, schowałem je pod wezgłowie i wziąłem mój dziennik. Pracowałem nad nowym opowiadaniem o radosnych, dobrych ludziach, robiących radosne, dobre rzeczy. To była historia o miłości. Bajka.

Chciałem dorzucić parę nowych linijek do słów, które już napisałem. Przeczytałem

pierwszy akapit.

„Gdy chodzi o prawdę, istnieją dwa rodzaje kochanków – ci, którzy odnajdują prawdę w miłości, i ci, którzy znajdują miłość w prawdzie. Cleon Winters nigdy nie szukał prawdy w niczym i nikim, ponieważ nigdy nie wierzył w prawdę. Ale kiedy zakochał się w Shanassie, prawda znalazła jego i wszystkie kłamstwa, które sobie opowiadał, stały się szarańczą, żywiącą się polami wątpliwości. Po pierwszym pocałunku Shanassy zapadł w śpiączkę i pół roku spędził nieprzytomny, zanurzony w jeziorze czystej prawdy".

Przez chwilę siedziałem nad opowiadaniem, de postacie zaczęły się zmieniać, posłuszne własnej morfologii, i stały się ludźmi, których znałem: Karlą, Concannonem, Divą.

Twarze się rozmyły, powieki mi opadły, a każdy powrót do pisania wymagał skupienia siły woli. Zacząłem odpływać na morzu twarzy, prawdziwych i wyobrażonych.

Dziennik upadł obok łóżka. Luźne kartki wysunęły się z niego. Wentylator pod sufitem zmieszał strony mojej radosnej, dobrej opowieści z kryminalnymi aktami Didiera. Powiew powietrza zapisał zbrodnię jako miłość, a miłość jako zbrodnię, a ja zasnąłem.

# 49

Idriss powiedział, że afirmacje będą nieustanne, raz po raz. Jeśli tak się działo, to ich nie widziałem, nawet w snach. Idriss mówił o sprawach duchowych, ale jedyne z dziedziny duchowości, co przyszło mi do głowy, to natura. Nie znalazłem łączności z jego polem tendencji, a wyrzucony na obrzeża świata nie czułem więzi z nikim oprócz Karli.

Szukałem wiary dla siebie. Uczyłem się modlitw w językach, którymi nie mówiłem, i modliłem się z wierzącymi, gdy mnie zapraszali. Ale zawsze szukałem więzi z ludźmi i czystością ich wiary, nie z religijnym kodeksem, którego przestrzegali. Często łączyło mnie z nimi wszystko prócz ich Boga.

Idriss mówił o Boskiej Istocie językiem nauki, a o nauce – językiem wiary. Dziwne, ale miało to dla mnie sens, podczas gdy wykłady Kadirbaja o kosmologii rodziły we mnie tylko trudne pytania. Rozmowy z Idrissem – jak z każdym nauczycielem – były podróżą, a ja chciałem się uczyć podczas tej podróży, ale duchowa ścieżka prowadziła w las, gdzie przestawaliśmy mówić na tyle, by ptaki odnalazły drzewa, lub ku oceanom, rzekom i pustyniom. I wszystkie piękne czuwające dnie, każda nieprzespana, przepisana noc, niosły ze sobą małe, nieusuwalne pustki pytań.

Wziąłem prysznic, wypiłem kawę, posprzątałem w pokojach i zszedłem na dół do motocykla, zaparkowanego pod budynkiem. Miałem się spotkać na śniadaniu z Abdullahem. Chciałem tego i jednocześnie się bałem – bałem się zobaczyć, że sympatia znikła z jego oczu. Dlatego po drodze myślałem o Divie Devnani, bogatej dziewczynie w bardzo biednych slumsach, której ojciec czekał na swoją ostatnią godzinę. Zapamiętałem, żeby przy następnej wizycie przywieźć jej trawkę Kerala i butelkę kokosowego rumu.

Gdy zaparkowałem obok motocykla Abdullaha, stojącego naprzeciwko restauracji Saura, powoli i niechętnie podniosłem głowę, ale oczy mojego przyjaciela były tak samo szczere jak zawsze. Abdullah uścisnął mnie, a potem stłoczyliśmy się na małej ławie za stołem w miejscu, z którego obaj widzieliśmy drzwi.

– Stałeś się tematem rozmów – oznajmił Abdullah przy masala dosa i pierożkach w sosie mango. – DaSilva założył się, że nie dożyjesz do końca miesiąca.

– Ktoś przyjął zakład?

– Oczywiście, że nie – odparł Abdullah między kęsami. – Pobiłem DaSilvę bambusowym prętem. Wycofał pieniądze.

– Brawo.

– Na razie liczy się słowo Sanjaya, a Sanjay chce, żebyś żył.

– Tak jak kot chce zostawić przy życiu mysz?

– Mówimy tu raczej o tygrysie i myszy. Sanjay uważa, że Skorpiony to koty, a oni nienawidzą cię bardziej niż DaSilva.

– Jestem dla Sanjaya celem czy użyteczną przynętą?

– Tym drugim. Nie wierzy, że długo przetrwasz poza firmą. Ale jesteś użyteczny – na swój wyjątkowy sposób.

– Tak?

– Dopóki żyjesz, drażnisz niektóre osoby.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy. Moim zdaniem będziesz drażnić nawet po śmierci. To rzadki dar.

– Jeszcze raz dziękuję.

– Nie ma sprawy.

– Jak stoję w sprawach biznesowych?

– Sanjay nie sądzi, że pożyjesz tak długo, żeby rozkręcić jakiś biznes.

– To rozumiem. Ale jeśli dożyję, powiedzmy, do pojutrza, kiedy zamierzam zacząć, to jakie mam szanse?

– Sanjay zapewnił mnie, że da ci pozwolenie, jak wszystkim, ale za wyższy procent.

– A powiadają, że bossowie mafii nie mają serca. Mogę robić własne paszporty?

– Sanjay uważa, że nie…

– …pożyję tak długo. Ale jeśli?

– Sanjay powiedział, że masz zakaz wstępu do wytwórni paszportów. Twój młody podopieczny, Farzad, poszedł do samego Sanjaya prosić, żeby mógł się uczyć prywatnie od ciebie. Sanjay powiedział, że jego zdaniem nie…

– …pożyję tak długo, wiem, ale nie wykluczył tego?

– Nie. Zabronił Farzadowi kontaktować się i rozmawiać z tobą.

– A gdybym kupił własne narzędzia i zaczął modyfikować książki?

– Sanjay nie sądzi…

– Abdullahu – przerwałem z westchnieniem. – Mam gdzieś, co sądzi Sanjay na temat mojego rychłego kopnięcia w kalendarz. Jeśli chodzi o ten temat, liczę się wyłącznie z własną opinią. Powiedz Sanjayowi przy pierwszej okazji, że kiedyś może sam będzie potrzebować ode mnie dobrego paszportu. Jeśli nie ma nic przeciwko temu, chciałbym zacząć robić książki. Jestem w tym dobry, a to anarchistyczna działalność. Sprawdź, czy się zgodzi, dobrze?

– *Jarur,* bracie.

Ucieszyłem się, że nazwał mnie bratem, ale nie wiedziałem, czy to znaczy, że pogodził się z moją dezercją z firmy, czy też jego niechęć zbliża go do obozu buntowników, w którym się znalazłem.

– Przejmujesz całą działalność Didiera? – spytał.

– Nie. Narkotyki sobie daruję. Firma może je sobie wziąć. Albo Amir.

I dziewczyny. Mogą sobie wziąć prostytutki Didiera w południowym Bombaju. Skreśliłem długi i pozwoliłem wszystkim dziewczynom działać, jak chcą. Teraz pracują dla siebie. Ale firma pewnie zechce wynegocjować z nimi powrót.

– Stanie się, nim zajdzie słońce – zaśpiewał Abdullah. Jego niski głos zawibrował. – Więc, co ci zostanie, skoro nie dziewczyny i narkotyki?

– Wszystkie kantory Didiera. Mam dość kasy, żeby utrzymywać mniej więcej piętnastu cinkciarzy od Flora Fountain do rynku w Kolabie przez miesiąc. Jeśli interes nie wypali, poradzę sobie. Specjalizuję się też w zegarkach i elektronice. Każdy uliczny sprzedawca najpierw przyniesie fanty do mnie, pomijając wszystkich klientów. Chyba zdołam to rozkręcić.

– Zegarki? – spytał Abdullah, surowo marszcząc brwi.

– Kolekcjonerskie zegarki to dobry zarobek.

– Ale zegarki, Lin? – rzucił, nagle niemal rozgniewany. – Za Kadirbaja byłeś żołnierzem.

– Nie jestem nim. Jestem gangsterem, tak jak ty.

– Byłeś jednym z jego synów. Jak możesz tu siedzieć i rozmawiać o zegarkach?

– No dobrze – rzuciłem, starając się zachować lekki ton. – Może pojedziemy do Nariman Point i tam pogadamy o zegarkach?

Abdullah podniósł się od stołu, wyszedł z restauracji i skierował się do motocykla. Nie zapłacił rachunku, jak w każdej innej restauracji w południowym Bombaju. Jak każdy gangster. Ja zapłaciłem, zostawiłem napiwek dla kelnerów i dogoniłem go.

– Trzeba się przejechać – mruknął.

Dotarliśmy do bombajskiego uniwersytetu, gdzie zaparkowaliśmy, przeszliśmy przez arkady i ocienione chodniki, aż do znanych jako Azad Maidan boisk za kampusem i innymi budynkami.

Ogrodzenie z metalowych prętów oddzielało szerokie połacie boisk od rozciągającej się za nimi ulicy. Znajdowała się w nim tylko jedna furtka, do której prowadziła długa ścieżka, wiodąca przez trawnik do uniwersytetu. Blask niewidocznego słońca odbijał się złotem od wszystkich powierzchni.

Szliśmy z Abdullahem wzdłuż ogrodzenia, tuż koło porastających go krzaczastych chwastów.

Prawie tak samo chodziłem codziennie z innymi mężczyznami w więzieniu. Chodziliśmy i mówiliśmy, chodziliśmy i mówiliśmy w kółko całymi latami.

– Było bardzo źle? – spytałem. – Na górze słyszałem różne rzeczy. 0 co chodzi z tym pożarem w domu Skorpionów?

Abdullah wydął usta. Przewidywał, że spytam go o walki w Kolabie i ogień, w którym zginęła pielęgniarka żony Wisznu. Wiedziałem, co robiła tam ta kobieta. Zastanawiałem się, czy Abdullah lub ktokolwiek inny z firmy spodziewał się, że w domu są cywile. Ja się tego nie spodziewałem, dzwoniąc do drzwi, a nie powiedziałem o tym Abdullahowi ani nikomu innemu.

Abdullah westchnął ciężko, mocno zaciskając wargi.

– Lin, zamierzam ci zaufać, jakbyś nadal należał do rodziny. Nie powinienem, ale muszę.

– Abdullahu, wiesz, że nie lubię się rozdrabniać. Nie chcę intymnych szczegółów na żaden temat z wyjątkiem intymnego. I nie łam dla mnie przysięgi, choć kocham cię za to, stary. Powiedz mi z grubsza, o co chodzi, żebym wiedział, kto strzela do kogo.

– Farid – oznajmił Abdullah. – Odradzałem. Ogień jest niewybredny. Ja chciałem być wybredny i zabić ich osobiście. Wszystkich, raz na zawsze. Sanjay postanowił użyć ognia. Podłożył go Farid, Skorpiony uciekły, ale pielęgniarka, której nie powinno tam być, zginęła w płomieniach.

– Gdzie jest teraz Farid?

– Nadal tutaj, u boku Sanjaya. Nie chce opuścić miasta, co byłoby rozsądne.

– Dużo się dzieje.

– Co się dzieje?

– Nic. Tylko tak powiedziałem. Skorpiony znowu się zemszczą. Poznałem tego gościa, Wisznu. To nie pętak. Jest cwany i ma polityczne ambicje. Z tego powodu posiada sprzymierzeńców w nietypowych środowiskach. Nie lekceważ go.

– Czego on chce?

– Do pewnego stopnia – tego, co ty. Śmierci Sanjaya. Ale chce też, żeby zginęli wszyscy ludzie firmy. I ma coś z Pakistanem.

– Pakistanem?

– Pakistanem. Sąsiedzkie państwo, mili ludzie, ładny język, świetna muzyka, tajna policja. Pakistan.

– A to niedobrze – spochmurniał Abdullah. – Sanjay ma wielu przyjaciół w Pakistanie. To ci przyjaciele przysłali mu afgańskich strażników.

Zbliżyliśmy się do zakrętu ogrodzenia. Dwoje młodych ludzi siedziało na kocu rozłożonym na ciepłej aksamitnej trawie. Trzymali przed sobą otwarte książki. Wokół nich skakało stadko wron, pławiących się w porannym słońcu i szukających robaków.

Abdullah zawrócił, żeby uniknąć pary.

– Czekaj – rzuciłem. – Ja ich znam.

Vinson i Rannveig podnieśli głowy z uśmiechem. Przedstawiłem Abdullaha i pochyliłem się, żeby podnieść jedną z książek. Był to *Bohater o tysiącu twarzy* Josepha Campbella.

– Jak natrafiliście na Campbella?

– Uczyliśmy się o nim na uniwersytecie – wyjaśniła Rannveig. – Robię Stuartowi błyskawiczny wykład.

– Zaraz mi łeb pęknie – dodał Vinson z uśmiechem, machając ręką nad jasnymi falistymi włosami.

– Carlos Castaneda – odczytałem okładkę innej książki. – Robert Pirsig, Emmet Grogan, Eldridge Cleaver i Budda. Niezłe towarzystwo. Powinniście dorzucić tu jeszcze Sokratesa i Howarda Zinna. Nie wiedziałem, że tu studiujesz.

– Nie – rzuciła szybko Rannveig.

– W zasadzie to ja tu studiuję – wyznał Vinson. – Zapisałem się na uniwersytet prawie dwa lata temu, ale wagarowałem. Choć nadal mam kartę biblioteczną.

– No, to miłego czytania – zakończyłem, odwracając się, by odejść.

– Udało się – powiedziała Rannveig. – To z talerzem jedzenia.

Obejrzałem się na nią.

– Naprawdę?

– Tak. Łasuch się chyba ucieszył. Zniknął. Dziękuję.

– O czym mówicie? – spytał Vinson, zdumiony jak dziesięciolatek.

Jedną z jego cech, które lubiłem najbardziej, była jego twarz, tak szczera, że można było w niej czytać jak w otwartej książce. Wszystkie jego uczucia i myśli malowały się na niej.

– Powiem ci później – mruknęła Rannveig, machając nam na do widzenia.

– Czy ci ludzie także kupują i sprzedają zegarki? – spytał Abdullah, gdy ruszyliśmy przez boiska w stronę wejścia na kampus.

– Znowu do tego wracamy?

Abdullah sapnął. Naprawdę istnieją ludzie, którzy sapią. Jak się okazuje, znam ich całkiem sporo. Mam taką teorię, że sapacze mają w genach odrobineczkę domieszki niedźwiedziego DNA.

– Mam twoje pistolety – rzucił z urazą. – Powiedz, gdzie ci je dostarczyć.

– Znam faceta, który przechowa je za dziesięć procent ich wartości. Podam ci na niego namiary. Dzięki. Powiedz, ile ci wiszę.

– To prezent – oznajmił Abdullah urażony.

– Przepraszam, bracie, oczywiście. Cholernie mi miło. A skoro mowa o broni, mam spotkanie z Vikrantem, moim specjalistą od noża, w Sassoon Dock. Mogę coś dla ciebie zrobić?

Zbliżyliśmy się do luku, przez który wychodziło się na ulicę, ale Abdullah zatrzymał mnie, zanim wmieszałem się w tłum studentów.

– Jest jeszcze coś – zaczął, ale potem zamknął usta i odetchnął ciężko przez nos. – Sanjay zabronił nam się przyjaźnić z tobą i kontaktować się z innych powodów niż interesy firmy.

– Rozumiem.

– Rozumiesz, co to oznacza?

– Chyba… tak.

– To znaczy, że kiedy następnym razem spotkamy się jawnie, Sanjay będzie trupem.

– Co?

– Bądź pewny siebie, nie bój się – dodał Abdullah, ściskając mnie gwałtownie, a potem odsuwając mnie od siebie żelaznymi ramionami. – Ktoś nad tobą czuwa.

– No pewnie.

– Nie, chodzi mi o to, że wynająłem kogoś, żeby popilnował cię przez parę tygodni – wyjaśnił cierpliwie.

– Serio? Kogo?

– Rowerowych Zabójców.

– Wynająłeś obłąkanych morderców jako moich ochroniarzy?

– Tak.

– To akt troskliwości. Kosztowny. Obłąkani nie są tani.

– Masz rację. Wziąłem trochę pieniędzy ze skarbca Chalida.

– Co Chalid na to?

– Zgodził się. Mogę go zwabić do Bombaju, ku jego prawdziwemu przeznaczeniu, tylko w jeden sposób: przenosząc jego skarby po jednym z góry do miasta.

– Żartujesz, nie?

Abdullah zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów, urażony do żywego.

– Nigdy nie żartuję.

– Właśnie, że żartujesz – odparłem ze śmiechem. – Tylko nie wiesz, że to robisz. Zabawny z ciebie gość.

– Naprawdę? – spytał z grymasem.

– Zatrudniłeś obłąkanych morderców, żeby mnie chronili. To dowodzi, że masz poczucie humoru. Lisa zawsze się śmiała w twoim towarzystwie, pamiętasz?

Lisa.

Abdullah spojrzał na boisko; mięśnie jego szczęk zadrgały, choć spojrzenie było całkiem nieruchome. Studenci grali w krykieta i piłkę nożną, siedzieli grupkami, robili gwiazdy na trawie i tańczyli bez powodu.

Lisa.

– Byłeś jej bratem *rakhi* – dodałem. – Nie mówiła mi tego.

– Nadchodzą wielkie zmiany – oznajmił Abdullah, spoglądając mi w oczy. – Następnym razem zobaczysz mnie prawdopodobnie na moim pogrzebie. Pocałuj mnie jak brata i módl się, żeby Allah wybaczył mi moje grzechy.

Pocałował mnie w policzek, wyszeptał słowa pożegnania i z wdziękiem włączył się w strumień studentów przepływający pod łukiem.

Pola, otoczone przez długie, najeżone szpicami ogrodzenie, wyglądały jak rozległa zielona sieć, którą słońce zarzuciło, by złapać młode inteligentne umysły. Szukałem spojrzeniem Vinsona i Rannveig w dalekim zakątku tych terenów, ale nie mogłem ich

znaleźć.

Abdullaha już nie było, gdy dotarłem do mojego motocykla. Dochodziło południe, a on nie chciał się tłumaczyć, dlaczego pokazał się w moim towarzystwie. Zastanowiłem się, kiedy i w jakich okolicznościach znowu się zobaczymy.

Wróciłem do portu Sassoon, do sklepu Vikranta. Dałem cenionemu nożownikowi dwie połówki miecza, który zapisał mi Kadirbaj.

Vikrant miał metodę podbijania ceny, polegającą na tym, że zaczynał od najtańszego rozwiązania, namawiał do niego, a potem wyjawiał jego wady. To, oczywiście, prowadziło do następnej taniej opcji, do której klient się przekonywał, by dowiedzieć się o kolejnej fatalnej wadzie i otrzymać jeszcze jedną opcję z nową wadą.

Przez wiele lat usiłowałem namówić Vikranta, żeby przeszedł od razu do bardzo drogiej opcji pozbawionej wad. Niestety, coś takiego nie mieściło mu się w głowie.

– Czy musimy znowu przechodzić przez tę sprawę z opcjami? Nie możesz od razu zaprezentować mi wersji deluxe? Naprawdę, gówno mnie obchodzi, ile to kosztuje. I to naprawdę wkurzające, stary.

– Jak wszystko na świecie, można być wkurzającym we właściwy i w niewłaściwy sposób – oznajmił nożownik.

– Hm?

– O, tak. Na przykład ja. Jestem profesjonalnie irytujący. Mój dar irytowania ludzi ma związek z zawodem. Ale ty jesteś irytujący bez przyczyny.

– Nie jestem.

– W tej chwili mnie irytujesz.

– Wal się, Vikrant. Naprawisz ten miecz czy nie?

Vikrant długo przyglądał się broni, usiłując się nie uśmiechać.

– Naprawię – zdecydował w końcu. – Ale pod warunkiem, że będę mógł to zrobić na własny sposób. Ta rękojeść ma fatalną wadę. Opcja trzeciej klasy.

– Świetnie. Działaj.

– Nie. – Vikrant uniósł miecz leżący na jego odwróconych wierzchem do góry dłoniach. – Musisz zrozumieć. Jeśli naprawię go na swój sposób, nigdy nie pęknie i będzie stawiać czoło czasowi, ale to nie będzie ten sam miecz, z którym przodkowie Kadirbaja szli w bój. Będzie wyglądać inaczej, będzie inny w dotyku. Jego dusza będzie inna.

– Rozumiem.

– Chcesz ochronić historię – spytał nożownik, pozwalając sobie na uśmiech – czy chcesz, żeby historia chroniła ciebie?

– Zabawny jesteś. Chcę, żeby miecz przetrwał. Został mi powierzony; nie wiem, czy następny posiadacz da go do naprawy, jeśli znowu pęknie. Dawaj opcję deluxe. Niech ten miecz przetrwa wieki. I możesz go przerobić, ale nie pokazuj mi go, dopóki nie skończysz, dobrze? Jest mi smutno.

– Z powodu miecza czy tego, że ci go powierzono?

– Tego i tego.

– *Thik*.

– Dobrze. I dzięki za wiadomość o Lisie, którą przesłałeś przez Didiera. Wiele dla mnie znaczyła.

– To była miła dziewczyna – powiedział Vikrant z westchnieniem, machając mi na do widzenia. – Jest już w lepszym miejscu.

– Lepsze miejsce – powtórzyłem z uśmiechem. Pomyślałem, że to dziwne: myśleć, że jakieś życie jest lepsze od tego, którym żyjemy.

Unikałem lepszych miejsc i cały ten długi dzień i wieczór spędziłem na objeździe cinkciarzy od Flora Fountain przez Nariman Point aż do namorzynów w Kolaba Back Bay.

Słuchałem gangsterskich plotek w rewirze, notowałem wszystkie obliczenia właścicieli kantorów, porównywałem je z zapiskami Didiera, określiłem, kto jest tu największym drapieżnikiem, które restauracje nas lubią, a które nie chcą nas wpuszczać, jak często policjanci żądają pieniędzy, którym mężczyznom można ufać, którym dziewczynom nie można ufać, które sklepy stanowią przykrywkę dla innych interesów i ile kosztuje każdy metr kwadratowy czarnego rynku w Kolabie.

Zbrodnia popłaca – oczywiście, w przeciwnym razie nikt by się nią nie zajmował. Przeważnie popłaca szybciej, jeśli nie lepiej, niż Wall Street. Ale na Wall Street jest policja. A policja była moim ostatnim przystankiem przed wizytą w slumsach.

Na mój widok Dilip Błyskawica wskazał krzesło.

– Nie siadaj tam, kurwa – uprzedził. – Czego tu, kurwa?

Zmierzył mnie wzrokiem, wspominając ostatni łomot, jaki mi spuścił. Miał nadzieję zobaczyć, że utykam.

– Błyskawico-*ji* – zacząłem uprzejmie. – Chcę wiedzieć, czy teraz, gdy jestem niezależny, nadal mogę ci wręczać łapówki, czy też muszę się zwrócić do podinspektora Patila. Miałem nadzieję, że mogę, bo podinspektor potrafi zaleźć za

skórę. Ale jeśli mu to powtórzysz, wszystkiego się wyprę.

Posterunkowi parsknęli śmiechem. Dilip Błyskawica przeszył ich morderczym spojrzeniem.

– Wrzucić tego pojeba do podkoszarów – warknął do policjantów opartych w drzwiach. – I skopać mu łeb.

Przestali się śmiać i ruszyli do mnie.

– Żartowałem – rzucił Błyskawica ze śmiechem, i uniósł rękę, powstrzymując swoich ludzi. – Żartowałem.

Posterunkowi parsknęli śmiechem. Ja także. W sumie było to całkiem zabawne… na swój sposób.

– Pięć procent – oznajmiłem.

– Siedem i pół – odpalił Błyskawica. – I gdy następnym razem odwiedzisz podkoszary, pozwolę ci usiąść na krześle.

Posterunkowi wybuchnęli śmiechem. Ja też, bo dałbym mu dziesięć procent.

– Umowa stoi. Jesteś twardym negocjatorem, Błyskawico-;!. Nie na darmo poślubiłeś kobietę z Marwarich.

Marwari to kupcy z Radżastanu w północnych Indiach. Słyną z przebiegłości i nieustępliwości w robieniu interesów. Marwarska żona Dilipa Błyskawicy słynęła z trwonienia pieniędzy w takim tempie, że mąż nie nadążał z wyciskaniem ich ze swoich ofiar.

Sierżant spojrzał na mnie bez zachwytu. Wargi wykrzywiły mu się w grymasie. Za każdym sadystą w cieniu stoi inny sadysta. Kiedy poznasz jego tożsamość, wystarczy tylko wymienić jego imię.

– Wynoś się!

– Dziękuję, sierżancie-*ji* – powiedziałem.

Minąłem policjantów, którzy przed kilkoma tygodniami przykuli mnie do krat i skopali. Uśmiechali się i dobrotliwie kiwali głowami. To także było zabawne – na swój sposób.

# 50

Zaparkowałem przed slumsami i poszedłem do Johnny'ego. Nie zastałem go w domu, więc zajrzałem do sąsiednich chat, zajętych przez Naveena i Divę. Jak zwykle usłyszałem ich szybciej, niż zobaczyłem.

– Wiesz, co kobieta musi tu zrobić, żeby się wysrać? – rzuciła Diva, gdy stanąłem na spłachetku pustej ziemi przed ich chatami.

– O kurczę, długo trwa ta rozmowa – zauważyłem. – Nie o tym zaczęłaś mówić wczoraj?

– Wiesz, panie *Kharab Dhandha* Shantaram? – warknęła, używając określenia w hindi dla ciemnych interesów.

– Wiem. Mieszkałem tu. I to nie do pomyślenia.

– No myślę, że nie do pomyślenia! – wrzasnęła Diva, odwracając się ode mnie, by dziabnąć Naveena palcem w pierś. – Na przykład kobieta nie może srać za dnia!

Na spłachetku ziemi zgromadziło się parę osób. Naveen i Didier stali przed chatą Naveena, Diva – z żoną Johnny'ego, Sitą, i trzema dziewczynkami z sąsiednich domów.

– Ale… – spróbował Naveen.

– Wyobraź sobie, że ktoś ci powie, że nie wolno ci robić kupy przez cały dzień, bo jesteś mężczyzną i ktoś może cię podejrzeć. Dostałbyś szału, nie?

– Ale…

– A nam tak mówią, bo jesteśmy kobietami. I gdy wreszcie słońce zajdzie, musimy łazić po jakichś kamieniach i robić to w jakimś beznadziejnym miejscu w kompletnych ciemnościach, bo jeśli weźmiemy latarkę, ktoś mógłby zobaczyć, jak sramy!

– Ale…

– Kobiety są tu molestowane w tych ciemnościach! Tam się kręcą zboczone typy! Typy, którym nie przeszkadza, że brodzą w gównie. Nawet im się to podoba. Nie żartuję i nie będę tego tolerować. Zaczekałam do zmroku ze zrobieniem kupy i nie powtórzę tego nigdy więcej. Spierdalam stąd, i to już! Odchodzę.

Naveen zastanowił się, czy jeszcze raz powtórzyć „ale…". Spojrzał na Didiera. Didier spojrzał na mnie. Ja przyglądałem się fascynującemu węzłowi na czubku

bambusowej tyczki podtrzymującej dach.

Usłyszeliśmy tupot i Johnny wypadł z jednej z węższych uliczek, którymi chodziliśmy na skróty. Na nasz widok zatrzymał się gwałtownie. Miał otwarte usta. Ręce wyciągał przed sobą, jakby trzymał w nich gałąź.

– Co się stało, Johnny? – spytała Sita w marathi.

– Nie… nie mogę…

– Johnny, co się stało? – spytałem.

Johnny spiął się, jakby chciał uciekać. Jego twarz wykrzywił grymas.

Sita podeszła do niego i odprowadziła go na bok. Po chwili wróciła i zawołała Naveena i mnie.

Didier i dziewczynki zostali z Divą.

– Co tu się, kurwa, wyprawia?! – wrzasnęła Diva. – Odchodzę! Halo! Ktoś o tym zapomniał?

Johnny siedział w plastikowym foteliku, pijąc schłodzoną wodę z butelki.

– Wszyscy nie żyją – wykrztusił.

– Kto? – spytał Naveen.

– Ojciec Aanu, to znaczy Divy, i wszyscy z jego domu. Wszyscy. Nawet ogrodnicy. Nawet zwierzęta. To była straszna masakra.

– Kiedy?

– Przed chwilą – rzucił Johnny bez tchu. – Lin, jak to powiemy tej dziewczynie? Nie mogę tego zrobić. Nie mogę!

– Sprawdziłeś to? – spytał Naveen.

– Tak, oczywiście. Policja i prasa szaleją. Zaraz powiedzą o tym w wiadomościach, a wtedy Diva i tak się dowie. Czy mamy po prostu czekać? Co zrobimy?

– Włącz radio, Johnny – rozkazałem.

Diva znalazła miejscową rozgłośnię.

Z radia popłynęły straszne słowa, „rzeźnia” i „masakra”. Zabito Mukesha Devnaniego i siedmiu jego pracowników. Zabito nawet domowe zwierzęta. Nie oszczędzono żadnej żywej istoty.

„Divya Devnani – mówiło radio raz po raz – jedyna dziedziczka fortuny Devnanich, mogła także zginąć w tej rzeźni, masakrze, rzeźni”.

– Nie może się dowiedzieć z radia – zdecydowałem. – Trzeba jej powiedzieć.

– Ja to zrobię – zaofiarował się Naveen z oczami rozświetlonymi łagodnym blaskiem.

– Dobrze. Będzie ci trudno, ale to powinieneś być ty. Tylko nie tutaj. Zejdźmy nad morze. Znam tam spokojne miejsce.

Diva nie protestowała, gdy przeszliśmy przez slumsy, ale kiedy zstąpiliśmy na czarne kamienie przy brzegu, usiłowała zawrócić. Chyba wyczuła, że usłyszy złe wiadomości.

Naveen wziął ją w ramiona i powiedział jej o wszystkim. Wyrwała się mu i przeszła parę chwiejnych kroków po kamienistym brzegu. Naveen szedł tuż za im i parę razy ją podtrzymał, kiedy jej bosa stopa wśliznęła się między kamienie.

Diva kuśtykała przed siebie, oszołomiona, z niewidzącymi oczami. Jej nogi poruszały się, posłuszne instynktowi ucieczki przed cierpieniem i strachem.

Widziałem to już podczas buntu w więzieniu – mężczyznę tak przerażonego, że raz po raz zderzał się z kamiennym murem, za każdym razem sądząc, że przechodzi przez drzwi. Umysł Divy był gdzie indziej, szukał świata, który nie wróci. Naveen prowadził ją szerokim łukiem ku mnie, a ona nawet tego nie zauważała. Bezwolnie dała się posadzić na głazie i bardzo powoli oprzytomniała. A wtedy wybuchnęła nieopanowanym szlochem.

Zostawiłem ją z Naveenem, który ją kochał, i wróciłem do slumsów, żeby sprowadzić na pomoc Sitę i dziewczynki. Sity nie było. Za to znalazłem Karlę i Zodiakalnych George'ów.

Spojrzałem na Didiera. Fakt, że Diva ukrywała się w slumsach, był tajemnicą.

– Pomyślałem, że powinna mieć jakieś wsparcie – wyjaśnił Didier. – Zwłaszcza że wszyscy przenocujemy w tej… społeczności, prawda?

Karla pocałowała mnie na powitanie.

– Jak ona się czuje?

– Jakby ktoś ją uderzył pałką – odparłem – ale się trzyma. To twarda sztuka. Dobrze, że przyjechaliście. Jest z Naveenem nad morzem. Dałbym im trochę czasu. Ona jest wstrząśnięta, a Naveen znał jej ojca.

– Didier jest dżentelmenem. Nie mógłby dotrzymać tajemnicy, bo Diva w tak strasznej chwili zostałaby bez przyjaciół.

– Ponadto Didier zbyt się boi duchów, żeby zostać sam – dodała Karla.

– Duchów?

– Oczywiście – oznajmił Didier z godnością. – To miejsce jest nawiedzone.

Wyczuwam obecność obcych bytów.

– Nieważne, dlaczego przyszliście, cieszę się z tego.

– Dawno mnie tu nie było – powiedziała Karla, spoglądając na chaty. – Jakie tym razem atrakcje przewidzieli? Tyfus, cholera?

Przed laty, gdy mieszkałem w slumsach, mieliśmy tu wybuch cholery. Karla przyszła wtedy, żeby mi pomagać przy leczeniu. Nie zwracała uwagi na szczury, opiekowała się chorymi, na czworakach zmywała biegunkę z podłogi.

– Możliwe, że to dziwnie zabrzmi, ale tamte czasy z tobą to moje najmilsze wspomnienia.

– Moje też – powiedziała, rozglądając się. – I masz rację, zabrzmiało dziwnie. Co te dziewczyny robią z chatą Divy?

– Ozdabiają ją. Chyba chcą ją podnieść na duchu.

– W tym dzikim mieście uniesie się dziś wiele duchów zmarłych – odparła Karla. – To pewne.

– Straszna sprawa – odezwał się Skorpion, podchodząc do nas.

– Biedactwo – dodał Bliźniak. – Zatrzymaliśmy jej apartament w Maheshu. Jest do jej dyspozycji, gdyby zechciała.

– Nie mówcie nikomu o tym miejscu – poprosiłem. – Johnny i inni wiele ryzykują. Niech nikt nie wie o Divie. Dobrze?

– Dobrze jak cholera, chłopie – zapewnił Bliźniak.

– Tak… – mruknął Skorpion. – Chyba że…

– Chyba że…?

– Chyba że ktoś to ze mnie wydusi siłą.

– Jak to?

– No, załóżmy, że ktoś zacznie mnie bić, żeby wydobyć ze mnie zeznania – wtedy bym powiedział. Więc mogę ci obiecać dyskrecję tylko do granicy fizycznego uszczerbku.

Spojrzałem na Bliźniaka.

– To jego zasada – oznajmił, wzruszając ramionami.

– Bardzo dobra – dodał Skorpion. – Gdyby wszyscy na świecie zaczynali śpiewać na pierwszy znak przemocy, nie byłoby już tortur.

– Świat kapusiów – mruknęła Karla. – Może to jest jakaś myśl.

Z bocznej uliczki wyłonił się mężczyzna prowadzący rower obładowany paczkami.

– Ach! – zawołał Didier. – Pomoc humanitarna!

Mężczyzna zdjął z roweru piankowy materac, walizkę, składany stolik karciany, cztery składane płócienne krzesła i dwa worki alkoholu. Spojrzałem na te ostatnie.

– To dla Divy – wyjaśnił Didier, odrywając się na chwilę od liczenia butelek. – Dziewczyna będzie musiała się dziś upić jak nigdy w życiu.

– Alkohol nigdy nie jest rozwiązaniem.

Nagle z cienia wyłoniła się Diva.

– Muszę się bardzo upić.

Didier spojrzał na mnie znacząco.

– Czy zechcecie… – spytała – moi obcy nowi przyjaciele, bo nikt z was nie jest moim prawdziwym przyjacielem, a moich prawdziwych przyjaciół tu nie ma i mogę ich nigdy więcej nie zobaczyć, tak jak mojego ojca, więc czy zechcecie pomóc mi bardzo się upić, czy mnie umyjecie, kiedy się porzygam, i położycie do łóżka, kiedy urwie mi się film?

Zapadła chwila ciszy.

– Oczywiście! – zawołał Didier. – Chodź tu, słodkie skrzywdzone dziecko. Chodź do Didiera, a wypłaczemy się sobie nawzajem w mankiet i spluniemy przeznaczeniu w twarz.

Diva oczywiście płakała. A także przeklinała, machała rękami, miotała się po małej chatce, potykała się o patchworkowe koce i wołała dziewczyny, żeby tańczyły razem z nią. Gdy zawodzące głosy i klaskanie w dłonie stały się najgłośniejsze, Diva upadła. Naveen szybko ją złapał i zaniósł, leżącą z rozłożonymi rękami jak złamanymi skrzydłami, na posłanie. Powoli skuliła się w kłębek i zasnęła.

Czuwający przed sąsiednią chatą Didier grał w pokera z Naveenem i Zodiakalnymi George’ami. Nie była to popisowa rozgrywka: Skorpion nigdy nie oszukiwał, Didier i Bliźniak nigdy nie grali czysto, a Naveen nie mógł oderwać myśli od dziewczyny śpiącej w chacie obok.

Zajrzałem do Divy. Kilka dziewczyn z sąsiedztwa spało obok niej, żeby dotrzymać jej towarzystwa. Jedna, osiemnastoletnia Anju, tuliła ją w ramionach. Druga trzymała rękę na jej brzuchu. Trzy inne dziewczyny leżały blisko nich. Czyjś mały braciszek spał w ich nogach.

Przyciąłem knot lampy naftowej, żeby nie przygasła, i zapaliłem od jej płomyka spiralę odstraszającą komary i sandałowe kadzidło. Postawiłem je na metalowej szafce i wyszedłem, zamykając za sobą lekkie, trzymające się na sznurkowych zawiasach

drzwi ze sklejki.

Wąskimi uliczkami uśpionej ufności wróciłem do kamieni i morza czarnego jak niebo. Stanąłem, patrząc i słuchając. W tym miejscu Diva usłyszała i zrozumiała, że straciła wszystko.

Gdy stanąłem na murze więzienia, między wieżyczkami strażniczymi, czułem spokój. Cały strach mnie opuścił, bo wiedziałem, że jeśli strażnicy do mnie strzelą, spadnę po właściwej stronie muru.

Dopiero gdy zsunąłem się po sznurze uplecionym z kabli i ruszyłem biegiem, spokój mnie opuścił, a świadomość, co zrobiłem, uderzyła mnie tak gwałtownie, że przez wiele tygodni nie potrafiłem opanować drżenia rąk.

Ale ja wybrałem wygnanie, a Diva została do niego zmuszona. I wszystko to było zbyt okrutne: zabito jej ojca wraz ze wszystkimi otaczającymi go osobami. Dokładnie takie zbyt okrutne rzeczy sprawiają, że nawet silni upadają. Miałem nadzieję, że ta dziewczyna z towarzystwa, ukrywająca się w prawdziwym świecie, po powrocie do nieprawdziwego świata znajdzie przyjaciół, którzy ją podtrzymają.

Dobiegł mnie jakiś dźwięk; odwróciłem się i ujrzałem Karlę stojącą na stercie kamieni na skraju slumsów. Szukała mnie.

Pomachała do mnie; fala niespodziewanie rozbiła się na pobliskich kamieniach, fontanny wody strzeliły wysoko. Białe strużki piany spłynęły po czarnych głazach. Druga fala otoczyła kamienie girlandą piany. Ruszyłem ku światłu i miłości, pokonując po jednym mokrym ciemnym kamieniu.

Zatrzymałem się obok Karli i przez jakiś czas patrzyliśmy, jak morze obmywa brzeg rozpaczy Divy.

Wróciliśmy między chatami, wibrującymi i mruczącymi we śnie; ojcowie spali na zewnątrz, żeby ich rodziny miały więcej miejsca. Srebrny księżyc oblewał ich łagodnym blaskiem. Potem zaczęliśmy cicho rozmawiać z Didierem, George'ami i Naveenem w chacie koło tej, w której spała Diva. Chcieliśmy być blisko na wypadek, gdyby dziewczyna się przebudziła.

Bombaj Divy miał się nieodwracalnie zmienić: niektórzy jej znajomi sprzed tragedii staną się prawdziwymi przyjaciółmi, inni – obcymi w raju dla prasy. Kiedy Diva wróci do swojego życia, wszystko będzie inaczej. Naveen był chłopakiem z Bombaju i może rozumiał to lepiej od nas. Ale nasze tułacze serca uznały Miasto Wysp za dom. I tak razem czekaliśmy podczas tej nocy czuwania, aż szkarłatny świt obudził nową tułaczkę i pomógł jej dotrzeć na brzeg.

IX

# 51

Cisza, która zapadła po tej burzy, którą była śmierć Lisy i masakra w domu Devnanich, ciągnęła się przez długie, pracowite, spokojne tygodnie. Byłem zadowolony. Widziałem już wystarczająco wiele nawałnic jak na jeden rok.

Diva przyjęła rolę dziewczyny ze slumsów, a slumsy przyjęły rolę gospodarza Divy. Nie miały wielkiego wyboru: dziewczyny ze slumsów były tak zauroczone Divą, że utworzyły stałą gwardię honorową, a że zabójców pana Devnaniego nie znaleziono, więc Diva pozostała w najbezpieczniejszym miejscu w mieście.

Gazety nadal opisywały masakrę i zniknięcie spadkobierczyni. Wyznaczony prezes zarządzał grupą firm ojca Divy, współpracując z różnymi radami nadzorczymi do czasu odnalezienia dziedziczki.

W slumsach mieszkało dwadzieścia pięć tysięcy ludzi, a większość znała tożsamość Divy. Nikt nie zadzwonił do gazety ani nie zażądał nagrody. Diva znajdowała się pod ochroną slumsów, a w tym labiryncie chat i ciasnych uliczek nazywała się Aanu i była jedną z nich. Nie zagrażali jej tu zabójcy ani pierwsze strony gazet. Georgeowie urządzili półpermanentną imprezę i permanentne igrzyska w pokera na ostatnim piętrze hotelu Mahesh. Celebryci, którzy kręcili nosem na wszystko, spędzali na tych imprezach więcej czasu niż u terapeutów.

Gdy zastępca burmistrza rozbił bank, ogłosił grę rozrywką municypalną, niepodlegającą dochodzeniu w sprawie hazardu. Gdy dzielnicowy poborca podatkowy wygrał podobną stawkę, poker został zarejestrowany jako działalność dobroczynna. A gdy najładniejsza gwiazdeczka z Bollywood wygrała sześć rozdań z rzędu, zgarniając wszystkie pieniądze z wyjątkiem tych w puli, gra stała się tak gorąca, że hollywoodzcy gwiazdorzy jeden po drugim próbowali – bez powodzenia – odzyskać męską dumę i pobić jej rekord.

Didier z zaskakującą pilnością zajął się prowadzeniem Biura Zaginionej Miłości. Wstawał wcześnie, czasem tak szokująco wcześnie, że gdy go za pierwszym razem zobaczyłem świeżego i dziarskiego o ósmej rano, cofnąłem się ze zgrozą. Didier zawsze mawiał, że każdemu powinna wystarczyć godzina słonecznego światła, a najbardziej warta obejrzenia jest godzina przed zachodem słońca.

Poranna wersja znanego mi nocnego marka początkowo wydawała mi się dziwna. Didier był punktualny. Pracował. Nawet opowiadał żarty.

– Wiesz – powiedział Naveen po paru tygodniach działalności. – Bardzo się cieszę, że skontaktowałeś mnie z Didierem. Umie pracować, sukinkot, jeśli mogę się tak wyrazić.

– Może. Nie wiem.

– Po prostu tęsknisz za dawnymi czasami.

– To nie jest tęsknota, pierwsza wersja była lepsza. Nie chcę, żeby Didier stał się korposzczurem.

Nowy Didier stał się korposzczurem i bardzo poważnie zabrał się do działalności detektywistycznej. Interesy zaczęły się kręcić. Didier zamieścił ogłoszenie Biura Zaginionej Miłości w największym dzienniku, jednej z gazet Randżita, oferując nagrodę za informację o miejscu pobytu Randżita, zaginionej miłości i właściciela Randżit Media. Nie uzyskał w ten sposób wielu nowych tropów, ale wszyscy w mieście zaczęli mówić o Biurze Zaginionej Miłości, dzięki czemu zgłosiło się do niego ponad dwunastu klientów, a każdy ze zdjęciem i raportami policyjnymi na temat swoich zaginionych ukochanych. A kiedy w ciągu dwóch tygodni odnalazło się dwóch zaginionych – dzięki powiązaniom Didiera i detektywistycznym talentom Naveena – biuro zaczęło przyciągać innych klientów, gotowych płacić gotówką i z góry.

Karla jak zwykle miała rację: rynek to samozaspokajająca się potrzeba. Zaginione miłości, zapomniane lub porzucone przez przepracowanych policjantów, stanowią nieustanny ból serca, również dla glin, a tę potrzebę należy zaspokoić. Biuro prosperowało jak należy: znajdowano zaginionych ukochanych i zwracano ich tym, którzy nie potrafili przestać ich szukać.

Vinson i Rannveig od czasu do czasu wpadali na imprezy George’a Bliźniaka. Vinson był szczęśliwy, ale nigdy nie odstępował Rannveig na krok, chyba że kazała mu się oddalić albo prosiła, żeby gdzieś poczekał.

Ta dziewczyna o oczach jak lód w błękitnej szklance jakby pogodziła się ze śmiercią swojego chłopaka. Nigdy więcej o nim przy mnie nie wspomniała. Ale choć ten duch odpłynął na falach rzeki akceptacji, na młodej twarzy Rannveig osiadł mrok. Tak, jakby na każdą jej minę padał cień niezdecydowania. Jednak wyglądała zdrowo i dobrze. Zaczęła się też ubierać tak jak Karla, w mgiełkę salwar kamizu i obcisłe bawełniane legginsy. Do twarzy było jej w tym stroju, z włosami ściągniętymi w wysoki kucyk. A kiedy uśmiechała się radośnie i śmiało, jak jej się to czasem zdarzało, zwątpienie się rozpływało i przeświecało przez nie jasne niebo tego, kim mogła się stać.

Podczas tajemniczej nieobecności Randżita Kawita Singh została awansowana z szeregowej dziennikarki na zastępczynię redaktora flagowej gazety jego koncernu. Fakt, że Karla miała decydujący pakiet akcji w Randżit Media, miał tu pewne znaczenie. Fakt, że felietony Kawity były najpopularniejsze w całym mieście, miał znaczenie rozstrzygające.

W ciągu dwóch tygodni pod twórczą dłonią Kawity gazeta przybrała nowy kierunek: nie w prawo ani lewo, lecz prosto w górę, ku nowemu. Nastrój się poprawił. Bombaj był wspaniałym, ciekawym miejscem życia. „Dość tego porównywania się z innymi miastami", napisała Kawita w pierwszym artykule wstępnym. „Otwórzcie oczy i zobaczcie, jak wspaniały jest ten gigantyczny eksperyment społeczny, w którym żyjemy, i jak prawdziwa miłość sprawia, że funkcjonuje".

Ludzie przyjęli to z zachwytem. Czasami mieszkańcy miasta potrzebują, żeby ktoś pokazał im jego piękno, a artykuł Kawity rozniecił w sercu każdego mumbajkara ogień dumy, której żaden z nich nie czuł, dopóki Kawita go nie rozpaliła. Sprzedaż gazety zwiększyła się o dziewięć procent. Kawita okazała się strzałem w dziesiątkę.

Karla roześmiała się, długo i radośnie, gdy kampania obywatelskiej dumy stała się trendem, który objawił się szeregiem społecznych działań w całym mieście. Nie spytałem, dlaczego, a ona mi tego nie wyjaśniła.

Wprowadziła się do apartamentu obok mojego i przerobiła go w ciągu tygodnia, pełnego zmian i dostaw. Jej trzy pokoje – salon, sypialnia i korytarz z garderobą, jak u mnie – zmieniły się w beduiński namiot.

Fale niebiańskiego błękitu i białego muślinu, spływającego z lampy na środku każdego pokoju, kryły sufit. Klosze zdjęto i zastąpiono starymi kolejowymi latarniami.

Karla poleciła wynieść wszystkie meble z wyjątkiem łóżka i biurka w salonie. W muzycznym sklepie na dole kupiła stolik i kazała odpiłować mu nogi, żeby mogła przy nim siedzieć po turecku. Każdy centymetr linoleum – nawet w łazience – przykryła tureckimi i irańskimi dywanami. Leżały jeden na drugim, jakby omdlały podczas walki o bardziej eksponowane miejsce u jej stóp.

Balkon wychodzący na skrzyżowanie Metro i połączony z moim został spowity w czerwone jedwabne sari, łagodzące biały żar dnia szkarłatnymi płachtami materiału.

Nie sypiała u mnie, ale mi to nie przeszkadzało. Żyłem w niebie. Nie zaznałem szczęśliwszych czasów od tego dnia przed dziewięcioma laty, gdy rzuciłem się w rynsztok hańby.

Wolność, szczęście, sprawiedliwość i nawet miłość to części tej samej całości:

wewnętrznego spokoju. Gdy po raz pierwszy zastraszyłem kogoś, żeby zdobyć pieniądze na narkotyki, przekroczyłem linię. Ale odkąd Karla wprowadziła się do hotelu Amritsar, na chwilę przestałem się taplać w poczuciu winy. Niemal codziennie jedliśmy razem śniadanie, obiad i kolację. Pracowaliśmy osobno, ale spędzaliśmy razem każdą wolną minutę. Po pracy jeździliśmy po Mieście Wysp. Czasem Karla siadała za kierownicą samochodu, podczas gdy Randall popijał wodę gazowaną na tylnym siedzeniu. Oglądaliśmy filmy, odwiedzaliśmy przyjaciół, byliśmy na paru imprezach.

Ale każdej naszej wspólnej nocy Karla wracała samotnie do swojego beduińskiego namiotu, zamykając wszystkie te zamki, które zamocowałem na jej drzwiach. Oczywiście doprowadzała mnie do szału, ale w najlepszy możliwy sposób. Ludzie różnią się w takich sprawach, wiem, ale dla mnie nie liczy się to, jak długo się czeka, lecz jakość tego czekania. A godziny samotności codziennie spędzane tuż obok Karli miały najwyższą jakość.

Czasem w trakcie tego wysokojakościowego czekania – bardzo rzadko – przyłapywałem się na myślach o wybiciu pięścią nowego kanału wentylacyjnego w ścianie mojego pokoju. Czasem zaś świadomość, że jestem zaledwie o metr od niej, napinała mi nerwy. A przypominam, że zawsze miałem też czarny rynek, który jeszcze bardziej podkręcał nerwową atmosferę.

„Przestępstwo to demon, a adrenalina to jego ulubiony narkotyk”, powiedział kiedyś Didier. Każde przestępstwo, nawet drobne, jak czarnorynkowa wymiana walut, wyzwala odrobinę adrenaliny. Ludzie, z którymi robisz interesy, są przynajmniej trochę niebezpieczni, policjanci są więcej niż trochę niebezpieczni, a każdemu przestępstwu jest przypisany osobny gatunek drapieżcy i ofiary. Czarnorynkowa wymiana walut w południowym Bombaju była w owych czasach prawie legalna. Cinkciarze działali otwarcie w co drugiej trafice w Kolabie. W południowym Bombaju znajdowało się dwieście dziesięć trafik, a każda miała pozwolenie władz miasta i firmy Sanjaya. Ja prowadziłem czternaście z nich, odkupionych od Didiera i za pozwoleniem Sanjaya. Na ogół było to bezpieczne zajęcie, ale przestępcy z założenia są brutalnie nieprzewidywalni.

Nigdy nie zabierałem Karli na objazd trafik. Między śniadaniem a obiadem robiłem jeden, potem drugi po obiedzie i trzeci, wieczorny, przed snem. Pracownicy musieli często widywać szefa.

Prowadzenie kryminalnej franszyzy wymaga zaangażowanej współpracy, zwykle za pieniądze, oraz wyraźnie określonych ról i zasad. Ja zapewniałem pieniądze, firma

Sanjaya określała role i narzucała zasady.

Ale każdy uliczny cinkciarz miał własną dumę. Nieustannie trzeba się spodziewać buntu zrodzonego przez frustrację lub strach. Zdrada choćby jednego z moich ludzi spowodowałaby błyskawiczną karę Sanjaya, ale kosztowałaby mnie także franszyzę. Moim zadaniem było uniemożliwianie takich buntów poprzez trzymanie sklepikarzy w kleszczach strachu i przyjaźni.

Świat przestępstwa rządzi się feudalnymi zasadami, a kiedy się to zrozumie, rozumie się bardzo wiele. Firma Sanjaya była zamkiem na wzgórzu z fosą pełną krokodyli gangsterów, a Sanjay był feudalnym panem. Jeśli chciał jakiejś dziewczyny, brał ją. Jeśli życzył komuś śmierci, zabijał go. Ponieważ kupiłem franszyzę na bazarze, stałem się kimś w rodzaju barona rozbójnika, a sklepikarze byli chłopami pańszczyźnianymi. Nie mieli żadnych praw z wyjątkiem tych nadanych im przez firmę.

Świat przestępstwa to istniejąca równolegle do lśniącego miasta średniowieczna metropolia, włącznie z monarchią absolutną i publicznymi egzekucjami. A jako baron rozbójnik, jeżdżący od jednej chłopskiej zagrody do drugiej na stalowym wierzchowcu, miałem prawo narzucać swoją władzę.

Najważniejszym talentem, przydatnym w prowadzeniu przestępczej franszyzy, jest roztaczanie aury niepodważalnej władzy. Jeśli sam w to nie wierzysz, nikogo nie oszukasz. Ci ludzie są na to zbyt inteligentni. Musisz narzucić swoją wolę, i to tak, żeby nikt nawet nie myślał o buncie. W Bombaju oznacza to mnóstwo wrzasków i czasem policzek, zwykle z powodu najbanalniejszych rzeczy, aż atmosfera się oczyści, a ty będziesz miał ostatnie, najgłośniejsze słowo.

Potem wszystko jest kwestią spostrzegawczości. Ktoś żuje paan, ktoś inny go nie znosi, a jeszcze inny słucha świętych pieśni z głośnika w kształcie King Konga. Jeden lubi chłopców, drugi dziewczyny, trzeci za bardzo lubi dziewczyny, czwarty jest pewny siebie, gdy jest sam, piąty kładzie uszy po sobie, dopóki nie przybędą posiłki. Ten pije, myśli, pali, kaszle, podgląda, gada, chodzi, a tamten jako jedyny będzie stał naprzeciwko ciebie do ostatniego ciosu noża.

– Słyszałeś, co spotkało Abhidżita? – spytał Francis, mój cinkciarz z Regal Circle, kiedy zatrzymałem się przy nim.

– No.

Abhidżit był małym ulicznikiem sprowadzającym turystów. Zbyt szybko wjechał na policyjną blokadę skradzionym skuterem. Zderzył się z kamiennym filarem mostu, który był twardszy od jego głowy.

– Wkurzający mały palant – powiedział Francis, wręczając mi pieniądze. – Teraz, kiedy nie żyje, jeszcze bardziej mnie drażni niż za życia. A za życia był najbardziej wkurzającym palantem świata.

– Tak cię wkurza, że stałeś się skąpy – zauważyłem, przeliczając pieniądze.

– Jak to skąpy, *baba*? – rzucił na tyle głośno, żeby usłyszeli go inni waluciarze.

Powiodłem wzrokiem po ich twarzach.

– Nie rób tego, Francis.

– Niczego nie robię, *baba*! – krzyknął. – Oskarżasz mnie, a…

Chwyciłem go za kołnierz i zawlokłem w zaułek o parę kroków dalej.

– Mój kiosk!

– Walić kiosk.

Pchnąłem go w zaułek.

– Zaczynamy – oznajmiłem.

– Co zaczynamy.

– Oszukujesz mnie na oczach kumpli. Teraz możemy pogadać szczerze, sam na sam. Gdzie pieniądze?

– *Baba,* nic…

Spoliczkowałem go.

– Ja nie…

Uderzyłem mocniej.

– Za koszulą – wykrztusił. – Są za koszulą.

Za pazuchą Francisa znajdowało się mnóstwo pieniędzy. Wziąłem te, które mu się nie należały, resztę zostawiłem.

– Nie obchodzi mnie, skąd zdobywasz pieniądze, o ile mnie nie rżniesz. I nigdy więcej nie będziesz odstawiać takiego przedstawienia na oczach swoich kumpli. Rozumiesz, prawda?

Naga władza to brzydka rzecz; na tyle brzydka, żeby odstraszyć ścierwojady. Dyscyplinowanie ulicznych przestępców także bywa brzydkie. Ci ludzie muszą wiedzieć, że reakcja zawsze będzie szybka i gwałtowna, i muszą się jej bać. Jeśli się nie boją, zbuntują się wszyscy, a wtedy poleje się krew.

Robiłem obchód tak długo, aż zgromadziłem dość zagranicznej waluty, by zapukać do drzwi czarnorynkowego banku na Ballard Pier.

Czarnorynkowi bankierzy nie są przestępcami. To cywile, którzy popełniają przestępstwa. Stojąc po bezpiecznej stronie prawa, nie ryzykują odsiadką. Nie afiszują się z bogactwem, żeby zdobyć poważanie, bo pieniądze są ważniejsze. I zachowują całkowitą apolityczność: przechowują czarnorynkowe pieniądze każdej partii, rządzącej lub nie.

Firma Sanjaya korzystała z czarnorynkowego banku w Ballard Pier, podobnie jak Skorpiony. Ale wielu policjantów także trzymało tam swoje łupy, tak jak niektóre grube ryby ze służb wojskowych, no i oczywiście politycy. Znajdowały się tam pieniądze firm deweloperskich, cukrowni, szybów naftowych i funduszy łapówkowych. Pod wieloma względami był to najlepiej strzeżony bank w mieście. I rewanżował się swoim klientom opieką. Kiedy któryś z nich narobił kłopotów, bank za pewną opłatą ogarniał sytuację. Każdy skandal spoczywał w jego skarbcu, opisany, zapakowany i zamknięty. Podobno w banku na Ballard Pier znajdowało się więcej szamba niż nieopodatkowanego złota. Wszyscy w mieście mieli coś do zyskania dzięki niewidzialnej ręce banku i wszyscy mieli coś do stracenia, gdy ta ręka zmieniała się w pięść. Mieścił w sobie tak wiele tajemnic i tajemnych pieniędzy, że nie mógł upaść.

Dla drobnych płotek, jak ja, mających dostęp do małej przestępczej filii, czarnorynkowy bank stanowił wygodny sposób na wymianę amerykańskich dolarów i innych walut na czarnorynkowe rupie. Bank przekazywał walutę do konsorcjum nabywców z południowego Bombaju.

Nikt z wyjątkiem najbardziej zaangażowanych wspólników nie znał tożsamości owych nabywców. Niektórzy twierdzili, że to grupa producentów filmowych i aktorów, choć krążyły też plotki o bombajskiej filii loży masońskiej.

Kimkolwiek byli, mieli łeb. Kontrolowali osiemdziesiąt procent czarnorynkowych dolarów na południu, zarabiali najwięcej ze wszystkich w tym łańcuchu i nigdy nie ryzykowali nawet godziną odsiadki.

Po odliczeniu kosztów miałem ze swojej działalności dwadzieścia tysięcy rupii miesięcznie. Gdybym nadal mieszkał w slumsach, byłbym królem. Na ulicy były to grosze. Kiedy zbrodnia zaczyna się opłacać, szybko uczysz się, że kluczem do przetrwania nie jest zarabianie, lecz zatrzymanie pieniędzy. Wszystkie zarobione nieuczciwie rupie mają tysiące nóg, na których się rozchodzą. I nie możesz wezwać policjantów, bo pieniądze często odchodzą właśnie do nich.

A kiedy pieniądze zaczynają napływać strumieniem, a ty nie masz żadnych pilnych wydatków, bo lubisz odkładać kasę na czarną godzinę, to decyzja, gdzie je przechować, należy do najważniejszych. Przede wszystkim nie wolno wszystkiego trzymać w

jednym miejscu. Jeśli zrobi się gorąco i będziesz musiał coś oddać, dobrze mieć ładny zapasik. Ja trzymałem trochę pieniędzy w domu, na wypadek, gdybym musiał uciekać, trochę przechowywałem u Tita, człowieka Didiera, który liczył mi po przyjacielsku dwa procent. Nadal nazywał to dziesięcioma procentami, ale brał dwa.

– Wybacz – rzucił, kiedy z przyzwyczajenia znowu wymamrotał „dziesięć procent". – Mój umysł gniewa się na mnie.

– Słuchaj, Tito, jeśli ktoś do ciebie zadzwoni i powie ci, że siedzę związany w jakiejś piwnicy, że mnie torturują i poda ci hasło „Trzystu Spartan", wtedy daj mu pieniądze, dobrze?

– Załatwione – zgodził się Tito. – Za dziesięć procent.

# 52

W Indiach każda kobieta w pewnym wieku automatycznie staje się ciocią. Ciocia Półksiężyc, prowadząca czarnorynkowy bank na rybnym targu, miała jakieś pięćdziesiąt lat, i była obdarzona tak bujnym czarem uwodzicielskim, że żaden mężczyzna nie potrafił wytrzymać w jej towarzystwie dziesięciu minut, by się jej nie oświadczyć. A ciocia Półksiężyc, pocieszona wdowa, robiła wszystko, co było w zasięgu jej znacznych możliwości, by każda transakcja zakończyła się podwojeniem sumy.

Do tej pory udawało mi się zmieścić w dziewięciu minutach: załatwiałem interes i uciekałem.

– Witaj, ciociu Półksiężyc – powiedziałem, wręczając jej asystentowi zza lady owinięte w papier pieniądze. – Jak się miewasz?

Ciocia Półksiężyc trąciła stopą plastikowe krzesełko, które przysunęło się do moich stóp. Już się to jej zdarzało. Szczerze mówiąc, za każdym razem.

Beton, nawilżany tranem od dziesięcioleci, stał się gładki niemal jak szkło. Trudno było po nim chodzić, a nawet stać. Tak jakby martwe ryby, których tłuszcz wsiąkł w podłogę wokół hamaka cioci Półksiężyc, życzyły nam wszystkim upadku.

I ludzie upadali. Codziennie.

Usiadłem, wiedząc, że tak łatwo się nie wywinę z czarnorynkowego banku cioci Półksiężyc.

Siedziałem na końcu bardzo długiego metalowego stołu do krojenia. Był jednym z kilku na rybnym targu, wielkim jak boisko do piłki nożnej pod krzywo leżącą blachą falistą i brudnymi lampami.

Praca już ustała, a krzyki utonęły w ciszy, która być może przypominała ciszę otwartych rybich pysków, krztuszących się naszym powietrzem tak, jak my krztusimy się tym, co jest powietrzem dla nich.

Słyszałem, jak ciocia Półksiężyc przełyka ślinę. Słyszałem tykanie zegara na ścianie. Słyszałem, jak asystent cioci powoli, uważnie liczy pieniądze.

Było ciemno, ale w tym cieniu powietrze wrzało bardziej niż na słonecznej ulicy. Odór był początkowo tak mocny, że zacisnął mi gardło, ale potem osłabł i zmienił się

w słabą nutę ryb wyciągniętych z wody.

Ktoś zaczął spłukiwać rynek szlauchem. Krew i strzępy martwego mięsa popłynęły rynsztokiem w betonowej podłodze.

Obok rynsztoka stała ciocia Półksiężyc. Jej hamak przykrywały ręcznie szyte kołdry, równie srebrne jak płetwy karpia lustrzenia.

– Powiadają, że ktoś skradł ci serce – powiedziała.

– To prawda – przyznałem. – A ty jak się miewasz?

Ciocia Półksiężyc rozłożyła ręce. Bardzo, bardzo powoli opuściła się na hamak, ciągłe z rozłożonymi rękami. Potem wysunęła stopy z pantofli i zaczęła poruszać nogami. Nie wiem, czy to była joga, czy akrobatyka, ale jej nogi były podobne do pytonów szukających ofiary do uduszenia. Poruszały się w lewo i prawo, na północ i południe, wirowały nad jej głową i rozkładały się tak szeroko, że mogłaby przejść przez strumień, zanim w końcu znieruchomiały pod nią na srebrnej kołdrze, ze zwinnymi stopami opartymi na udach olimpijki.

Trwało to jakieś trzydzieści sekund. Gdyby to było przedstawienie, zacząłbym bić brawo, ale ciocia Półksiężyc nie uważała tego za występ, a mnie za klienta.

Zaczęła poruszać ramionami.

– Jak interesy? – spytałem pospiesznie.

Za późno. Pochyliła się ku mnie, wyginając plecy z kocią giętkością. Jej piersi znalazły się w moim polu widzenia – półksiężyc wytatuowany na każdej kuli – a ciocia nie znieruchomiała, dopóki nie ujrzałem księżyca w pełni.

Jej niezwykle długie włosy spłynęły na hamak wokół podwiniętych nóg, zasłaniając pełnię i niemal muskając zakrwawioną podłogę.

Ciocia Półksiężyc uniosła oczy pełne groźnych tajemnic i spraw, o których nie mogliśmy wiedzieć, po czym oplotła się rękami tak, że objęła dłońmi własną szyję, trzepocząc palcami jak płatkami anemonów rozchylających się w świetle jej księżyca.

Nie można powiedzieć, że nie miała uroku. Ale ja lubiłem ją bardziej niż jej sławne popisy.

Ciocia Półksiężyc zawsze chodziła uzbrojona, co jest nieodmiennie interesujące, bez względu na punkt widzenia. Miała mały automatyczny pistolet, prezent od komendanta głównego policji. Chciałbym wiedzieć, dlaczego. Ciekawiła mnie ta historia. Wiedziałem, że ciocia strzeliła do tej pory tylko dwa razy, zawsze by uratować kogoś przed bandytami z innych dzielnic miasta. Umiała czytać z ręki i jako wróżka zarabiała więcej niż jako handlarka ryb i właścicielka czarnorynkowego banku. I przez trzy lata z

rzędu wygrywała mistrzostwa wrestlingu kobiet w slumsach rybackich. Były to zawody wyłącznie damskie, strzeżone przez mężów, braci i ojców odwróconych plecami do walczących dziewcząt. Nikt oprócz walczących nie widział rozgrywek aż do chwili, gdy została wyłoniona zwyciężczyni.

Byłem ciekaw tych zawodów. Byłem ciekaw, w jakich okolicznościach komendant dał jej pistolet. Ale nie byłem ciekaw tej trwającej dziesięć minut gry.

– Kobieta zawsze znajdzie sposób – powiedziała ciocia Półksiężyc, prostując się i zerkając na zegarek. – Przynajmniej raz, gdy będziesz kochać się z tą kobietą, która zabrała ci serce, pomyślisz o mnie.

– Widzisz, i tu się mylisz. To się nie wydarzy.

– Jesteś taki pewny? – spytała, patrząc mi prosto w oczy.

– W stu procentach. Z całym szacunkiem, ale moja dziewczyna leje cię, jak chce. Jesteś piękną kobietą i tak dalej, ale moja dziewczyna jest boginią. A jeśli chodzi o prawdziwą walkę, zlałaby cię tu i teraz. Zlałaby nas oboje, jedną ręką, a potem musielibyśmy jej za to podziękować. Szaleję za nią.

Ciocia Półksiężyc przez parę sekund nie spuszczała ze mnie wzroku, być może mnie testując. Potem uderzyła się po udach i parsknęła śmiechem. Tak mnie ucieszyła, że też się z nią roześmiałem.

– Zgadza się! – zawołał jej asystent, wkładając mój zwitek rupii do metalowego pojemnika, zamykając go i odnotowując kwotę w księdze rachunkowej.

– Nie ty pierwszy powiedziałeś takie słowa – oznajmiła ciocia Półksiężyc. – Ale jako jeden z niewielu. Bardzo niewielu. Większość błaga o darmowy pokaz i wymyśla byle jakie preteksty, żeby się ze mną spotkać.

– Trzeba ich zrozumieć, twój pokaz jest fantastyczny.

Ciocia Półksiężyc znowu się roześmiała.

– Dziękuję. Stąd wzięła się legenda o moich wróżebnych umiejętnościach. Wymyślił ją pewien niewierny mąż, żeby móc trzymać mnie za rękę i patrzeć na fazy księżyca. Niektórzy aż się pocą, tak bardzo tego potrzebują. Nawet ludzie, których znasz. Twój przyjaciel Didier przychodzi do mnie co tydzień.

– Wcale mnie to nie dziwi – rzuciłem ze śmiechem. – Po co to robisz?

Nagle uświadomiłem sobie, że to pytanie może ją zaboleć.

– Przepraszam – dodałem szybko. – To pytanie pisarza, pewnie niewybaczalnie chamskie.

Ciocia Półksiężyc znowu się roześmiała.

– Shantaram, człowiek może zadać to pytanie tylko wtedy, gdy starczy mu na nie sił. Więc kiedy uznasz, że starczy ci sił, zadaj je sobie.

– Moja dziewczyna będzie zachwycona tym tekstem.

– Następnym razem ją przyprowadź – rzuciła jak groźbę.

– A jeśli przeciągnie spotkanie dłużej niż dziesięć minut i oświadczy ci się?

– Oczywiście, że mi się oświadczy. Ty pewnego dnia także.

– Myślałem, że już to sobie wyjaśniliśmy – rzuciłem zdezorientowany.

– Piszesz opowieści – odparła z uśmiechem. – Pewnego dnia napiszesz o mnie i to będzie wyznanie miłości. A ta kobieta, której dałeś serce, oświadczy mi się z radosnej miłości, z niczego więcej.

– Czy miłość nie jest zawsze radosna?

– Nie – powiedziała wesoło ciocia Półksiężyc. – Istnieje jeszcze twój sposób miłości. Twój i paru innych, tobie podobnych, którzy stali się moimi najdroższymi przyjaciółmi.

– Nie chcę nieszczęśliwej miłości – oznajmiłem, marszcząc brwi. – W ogóle nie chcę nieszczęścia.

– Mówię o prawdziwej miłości. Prawdziwa miłość jest zawsze bardziej bolesna i bardziej satysfakcjonująca niż cokolwiek innego.

– To… bardzo niejasne. Ale cieszę się, że porozmawialiśmy. Jeśli nieumyślnie cię uraziłem i nie zamierzasz mnie zastrzelić, daj mi jakieś dwie minuty. Tyle zajmie mi dotarcie do drzwi po tej powierzchni.

– Idź, Shantaram – rzucił ze śmiechem. – Dziś jesteś klientem VIP. Niech Bogini sprawi, by twoja broń była ostra, a wrogowie się ciebie bali.

Powoli oddaliłem się od niej, ślizgając się i sunąc po podłodze rybiej rzeźni jak po lodowisku, aż dotarłem do złotego łuku słonecznego blasku, prowadzącego na otwartą część rynku.

Gdy oczyszczałem podeszwy, obejrzałem się na ciocię Półksiężyc. Robiła na łóżku ćwiczenia jogi. Jedną stopę uniosła wysoko i zamknęła ją w dłoni jak płomyk unoszący się nad jej głową. Ciocia Półksiężyc: kobieta interesu, gangster i Mistrzyni Minut. Miała rację, pomyślałem. Karla pewnie by się jej oświadczyła.

Mój trzeci bank, rezerwowy jak piersiówka Didiera, znajdował się w szulerni, którą George Bliźniak urządził w hotelowym apartamencie.

Gry, w których obraca się wielką ilością pieniędzy, muszą mieć pulę, z której utrzymuje się kasyno. Kasyno pobiera procent od gry, przegranej lub wygranej, ale także gra, ponieważ to, co wygrasz, jeśli grasz dobrze, zawsze jest kwotą większą niż wpisowe.

Najlepszym sposobem na to, by działalność kasyna była opłacalna, jest zatrudnienie dobrego krupiera, który wie, kiedy spasować, oraz podstawienie gracza, który wydaje się niezależny, ale oddaje swoją wygraną kasynu. Nawet przy tak ustawionej grze zawsze istnieje możliwość, że jakiś szczęściarz rozbije bank. To się zdarza. Czasem nawet trzy noce z rzędu.

Ale szczęściarz zdarza się na tyle rzadko, że dobrze ustawiona gra musi się opłacić, na pięć nocy z siedmiu, a George Bliźniak umiał ustawić grę.

Wraz z Didierem i Bliźniakiem wrzuciliśmy pieniądze do puli, żeby rozkręcić rozgrywkę. Moje tygodniowe zyski z pokera dorównywały odsetkom z dobrze prowadzonego funduszu.

Bliźniak przestał oszukiwać. Był to regulaminowy wymóg, narzucony przez Didiera i mnie. Musieliśmy grać uczciwie, w przeciwnym razie nie miało to sensu.

I Bliźniak się dostosował. Grał uczciwie i z talentem, zyskując sobie mnóstwo nowych przyjaciół i mnóstwo pieniędzy dla nas.

Bliźniak musiał grać, bo jego przyjaciel milioner okazał się skąpy. Skorpion płacił wszystkie rachunki za Mahesh, ponieważ było to jedyne miejsce w całym Bombaju, w którym czuł się bezpiecznie, a za bardzo się bał, żeby wyjechać z miasta tam, gdzie ukrywali się inni milionerzy.

Za to sprawdzał wszystkie rachunki i faktury, szukając minimalnych oszczędności, i często je znajdował, wyszarpując grosze z rachunków wynoszących tysiące. Nie zgadzał się na płacenie za imprezy Bliźniaka, więc ten prosił wszystkich, żeby przynosili swoje używki, i zabawa trwała dalej. Była tańsza, bardziej tandetna i o wiele bardziej popularna. Hotel stał się miejscem, gdzie ludzie sławni spotykali się z niesławnymi, a wszystkie bary i restauracje pękały w szwach. Skorpion otworzył Bliźniakowi ograniczone konto w hotelu na jedzenie, picie i usługi. Dawał mu też dwieście dolarów tygodniówki.

Bliźniak zarabiał dwieście dolarów za każdą godzinę spędzoną z nami przy grze, a grał w transie eleganckiej skuteczności. Był pewny siebie. Przegrywał z uśmiechem, nucąc piosenki, wygrywał bez zadzierania nosa.

– Zastanawiałem się, czy nie założyć grupy wsparcia, takiej jak AA, dla ludzi

podobnych do mnie, którzy nie potrafią przestać oszukiwać. Anonimowi Szulerzy, coś w tym stylu. Ale problem polega na tym, że nie można by tam nikomu zaufać. Zwłaszcza gdyby doszło do gry. Rozumiecie?

– Daj spokój. Cynik to ktoś, kto gniewa się na własną duszę, a ty nie jesteś cynikiem.

Bliźniak skrzywił się niechętnie, rozważając tę myśl.

– Kocham cię, stary – powiedział, uśmiechając się do siebie.

– Ja też cię kocham, bracie. Poza tym udało ci się. Przetrwałeś odwyk od oszukiwania, grasz uczciwie i lepiej niż kiedykolwiek.

– Nie było to łatwe – wyznał, wzdrygając się. – Początkowo szukałem ratunku w książkach. Poszedłem ostro w Keatsa i zrobiło mi się smutno i odlotowo jednocześnie. Potem się skerouaczyłem, a kiedy wygrzebałem się z tego stanu, pijany jak Świnia i plotący, co mi ślina na język przyniesie, wpadłem na Fitzgeralda, potknąłem się o Hemingwaya, zderondowałem się z George'em Eliotem, poszedłem na dno z Virginią Woolf, widziałem fatamorgany z Djuną Bames i oszalałem Durrellem, ale potem przerzuciłem się na filmy i po trzech dniach z Humphreyem Bogartem stałem się zdrowy jak rzodkiewka.

– Niezła grupa wsparcia.

– No. Nie ma to jak towarzystwo pisarzy i aktorów, gdy jesteś na skraju załamania.

– To prawda. Dobrze, że na ciebie zadziałało.

Bliźniak spojrzał na mnie, na chwilę porzucając pozę.

– Z tej strony jest ładny widok. Nigdy nie sądziłem, że to powiem, ale czuję się prawie dobrze, nie oszukując.

– Tak trzymać.

– Myślisz? Czasem uczciwość wydaje się szemrana. Rozumiesz mnie?

– Jasne. Nie poddawaj się. Wyglądasz świetnie. Obfitość szans i niedobór słońca bardzo ci służą, mistrzu kasyna. Co u Skorpiona?

– E…

– Aż tak źle?

– Za bardzo stroni od ludzi. Na ogół siedzi sam w prezydenckim apartamencie. Mnie tam nie wpuszcza.

– Nie?

– Nie wpuszcza nikogo oprócz obsługi hotelowej. Je tam większość posiłków. No, gdyby miał tam ze sobą jakieś słodkie kobieciątko, sam był stał na straży pod

drzwiami. Ale on tam nie ma nikogo, a nasza dwójka, Skorpion i ja, nigdy nie była sama.

– Może potrzebuje tylko chwili spokoju.

– Dzieliliśmy się wszystkim, każdym kęsem jedzenia. Nawet orzeszki w paczce liczyliśmy, żeby żaden z nas nie był poszkodowany. Kłóciliśmy się o wszystko, bez przerwy, ale żaden nigdy nie jadł bez drugiego. Nie łamaliśmy się chlebem, by się tak wyrazić, od trzech dni. Martwię się o niego.

– Myślał o wyjeździe z Bombaju?

– Jeśli, to nie mówi o tym ze mną. A co?

– Bogactwo mu siadło na psychikę. Musi zacząć żyć, a nie zacznie, dopóki go nie wyprowadzisz.

– Dokąd?

– Tam, gdzie mieszkają milionerzy. Milionerzy trzymają się razem i potrafią o siebie zadbać. Będzie tam bezpieczny, a ty odzyskasz spokój ducha.

– Mam wystarczająco wiele kłopotów, mieszkając z jednym milionerem. Nie zniosę całej dzielnicy.

– Więc wywieź go do Nowej Zelandii. Kupcie sobie gospodarstwo pod lasem.

– Do Nowej Zelandii?

– To piękny kraj, piękni ludzie. Świetne miejsce, żeby zniknąć.

– Strasznie się martwię, Lin. Wiesz, wczoraj przegrałem rozgrywkę, którą mogłem wygrać.

– Wczoraj zagrałeś ze trzysta rozgrywek.

– Tak, ale boję się, że stracę panowanie nad sytuacją, wiesz? Czuję się bezradny, bo nie mogę mu pomóc, a przecież go kocham.

Powinienem się zamknąć. Nie mogłem wiedzieć, jak moje rady wpłyną na Zodiakalnych George'ów. Gdyby złota rybka mogła spełnić moje trzy życzenia, w jednym z nich poprosiłbym o wiedzę, kiedy się zamknąć.

– Może… no nie wiem, może powinieneś go zabrać na zewnątrz. Pochodzić dookoła hotelu. Jak za dawnych czasów, tylko z ochroniarzami. Może to go otrzeźwi.

– To nie jest zły pomysł – oznajmił Bliźniak w zamyśleniu. – Mógłbym go do tego skłonić podstępem.

– Albo po prostu zaprosić.

– Nie, podstęp będzie nieunikniony. Nawet na pustyni musiałbym go skłonić

podstępem do wypicia wody, bo uważałby, że CIA ją tam podłożyła. Ale mam plan.

– Tylko mi go nie wyjawiaj – zastrzegłem się, zostawiając zwitek gotówki w puli i ruszając do drzwi. – Mam alergię na plany.

Powinienem się martwić o moich przyjaciół. Teraz to wiem. Jak wiele osób z miasta uważałem, że pieniądze Skorpiona rozwiązały wszystkie ich problemy. Myliłem się. Tak, jak to się często zdarza, pieniądze stały się przekleństwem, które zagroziło ich przyjaźni i życiu.

# 53

Opuściłem hotel i pojechałem do nielegalnej restauracji pod chmurką na plaży tuż koło miejsca, w którym zaczynał się falochron. Restauracja działała od trzech miesięcy. Powstała, ponieważ gwiazdor filmowy i miejscowy finansista postanowili stworzyć ją jako dar dla miasta na zaniedbanej części publicznej plaży. Dlatego odtworzyli kawałek Goa, wraz z palmami, parasolami z trzcin i piaskiem wchodzącym między palce.

Jedzenie było tu świetne, a obsługa sprawna i przyjazna. Ale fakt, że restauracja była kompletnie nielegalna i prawdopodobnie czekało ją rychłe zamknięcie, dodawał takiego smaku potrawom, że urzędnicy miejscy, odpowiedzialni za zamknięcie nielegalnego lokalu, czekali całymi dniami na wolny stolik.

Właściciel restauracji, którego ten ekscentryczny i efemeryczny dar dla miasta kosztował masę pieniędzy nie do odzyskania, był moim znajomym. Karla czekała przy stoliku, który mi zarezerwował.

Wstała. Światło świecy musnęło jej twarz jak delikatna ręka. Karla pocałowała mnie i przytuliła dłońmi w czerwonych rękawiczkach. Była ubrana w czerwony cheongsam z rozcięciem na biodrze. Włosy miała upięte w falistą konstrukcję, w której tkwiła zatruta strzałka z dmuchawki, ozdobiona czerwonym klejnotem. Była piękna, tak jak ta noc, dopóki nie usłyszałem imienia Concannona.

– Słucham?

– Concannon napisał do mnie list – powtórzyła, kierując na mnie cztery zielone królowe.

– I mówisz mi o tym dopiero teraz?

– Inne tematy były ważniejsze.

– Chcę go przeczytać – rzuciłem.

Nie było to dobre podejście, ale się wściekłem. Na Concannona.

– Nie.

– Nie?

– Nie.

– Dlaczego?

– Spaliłam go. Możemy pojechać gdzieś, gdzie będę dmuchać dymem tylko na ciebie?

Wjechaliśmy na szczyt Malabar Hill, z którego rozciągał się widok na znajdującą się na plaży restaurację, którą właśnie opuściliśmy. Światełka samochodów na zakręcie Marine Drive otaczały girlandą brzuch wielkiego oceanu, matki wszystkiego.

Przez jakiś czas Karla dmuchała na mnie dymem. Potem spojrzała na mnie dwiema zielonymi królowymi.

– Co się dzieje?

– A co się *nie* dzieje?

Siedzieliśmy na kamiennym monumencie, na tyle wysoko, żeby widzieć między drzewami ocean. Parę metrów od nas w mroku siedziała inna para, szepcząc do siebie.

Samochody i motocykle mijały nas powoli, przygotowując się do wjazdu na długą, wijącą się drogę, okrążającą miejskie zoo i prowadzącą stromo do skrzyżowania Kemps Corner. Nad tą jezdnią unosił się zapach uwięzionych lwów i odgłosy ich żałosnych ryków.

Policjanci przejeżdżali obok nas co jakieś pół godziny. W pobliżu mieszkali bardzo bogaci ludzie. Jakaś limuzyna zwolniła, niemal się zatrzymując. Szyby miała przyciemnione.

Delikatnie naparłem na Karlę, czując jej ciało, jego ciężar, gotów odsunąć ją i sięgnąć po nóż. Samochód pojechał dalej zboczem Wzgórza Lwiego Smutku.

– Dlaczego spaliłaś list?

– Jeśli nabawisz się infekcji, z którą twój system immunologiczny sobie nie radzi, walczysz z nią antybiotykami. Ten list był toksyczny, więc potraktowałam go antybiotykiem ognia. Teraz go nie ma.

– Nieprawda. Jest w twojej pamięci. Wszystko jest nadal w twojej pamięci. Ty niczego nie zapominasz. Co było w liście?

– Jest w pamięci dwóch osób, jego i mojej. Dlaczego miałby się znaleźć w pamięci trzeciej osoby?

Zaczerpnęła szybko powietrza. Znałem ten szybki oddech. To nie tlen, to amunicja. Rozzłościła się i chciała się na mnie odegrać.

– To dotyczy nas obojga – rzuciłem, unosząc ręce do góry. – Wiem, że list to sprawa prywatna. Ale tu chodzi o wroga. Musisz to dostrzegać.

– Napisał go w nadziei, że ci go pokażę. To podstęp. Chciał dopiec tobie, nie mnie.

– Właśnie dlatego chcę wiedzieć, co ci napisał.

– Właśnie dlatego nie powinieneś. Wystarczy, żebyś wiedział, że nie było to miłe i że powinieneś się orientować w jego zamiarach. Nie ukrywałabym przed tobą ważnych informacji, ale nie chcę, żebyś przeczytał ten list. Musisz to rozumieć.

Nie rozumiałem i nie podobało mi się to. Podejrzewałem, że Concannon miał coś wspólnego ze śmiercią Lisy. Chciał mi rozbić czaszkę. Nie czułem się zdradzony, tylko pominięty. Karla pomijała mnie w zbyt wielu swoich grach i intrygach.

Pojechaliśmy do domu i pocałowaliśmy się na dobranoc. Nie było dobrze. Nie potrafiłem udawać. Byłem nieszczęśliwy i rozczarowany. Dotarłem już prawie na próg mojego apartamentu, kiedy Karla mnie zatrzymała.

– Nie rób takiej miny – rzuciła. – O co chodzi?

Stała w wejściu do beduińskiego namiotu. Ja zatrzymałem się w drzwiach mnisiej celi: pokoju byłego więźnia, gotowego zwinąć się w sekundę i odjechać co motocykl wyskoczy.

– O list Concannona – odparłem. – Powinnaś była mi go pokazać. Jest jak jakaś dziwna tajemnica, którą niepotrzebnie przechowujesz.

– Tajemnica? – powtórzyła, przechylając głowę i mierząc mnie wzrokiem. – Wiesz co, jutro będę bardzo zajęta.

– Ach, tak?

– I… pojutrze.

– A…

– Wtedy też.

– Zaraz. Czy to nie ja powinienem się gniewać?

– Nigdy nie powinieneś się gniewać.

– Nawet kiedy mam rację?

– Zwłaszcza wtedy. Ale teraz jej nie masz. I oboje jesteśmy wkurzeni.

– Nie masz prawa się na mnie wściekać. Concannon miał coś wspólnego z Randżitem i Lisą. Nic, co go dotyczy, nie powinno być tajemnicą.

– Zostawmy to w tym miejscu, zanim powiemy coś, czego będziemy żałować. Będziemy w kontakcie. Jeśli poczuję się samotnie, wsunę liścik pod twoje drzwi.

Zamknęła drzwi i przekręciła zamki.

Ja wróciłem do siebie, ale po chwili zjawił się Abdullah, przerywając mi gniewne

krążenie po pokoju. Kazał mi się przygotować i dołączyć do niego na ulicy.

Zaparkował obok mojego motocykla wraz z Komanczem i trzema innym gangsterami z firmy, również na motorach. Pojechałem za nimi do Flora Fountain, gdzie zatrzymaliśmy się, by przepuścić cysternę z wodą, która wlokła się przez skrzyżowanie wolno jak słoń.

– Nie chcesz wiedzieć, dokąd jedziemy? – rzucił do mnie Abdullah.

– Nie. Cieszę się, że jadę z tobą.

Abdullah uśmiechnął się i ruszył przez Kolabę do portu Sassoon, koło wejścia do bazy marynarki wojennej. Zaparkowaliśmy przed szeroką, ocienioną bramą, zamkniętą na noc.

Abdullah posłał chłopca po czaj. Mężczyźni rozsiedli się na swoich motocyklach, każdy zwrócony w inną stronę, by obserwować inną część ulicy.

– Fardeen został zabity – powiedział Abdullah.

– *Inna lillahi wa inna ilayhi raji'oon* – wyrecytowałem słowa pokoju, „Pochodzimy od Boga i do Boga wracamy", choć czułem się wstrząśnięty i zraniony.

– *Subhanahu Wa Taaaia* – odparł Abdullah. „Oby Allah wybaczył złe i przyjął dobre uczynki powracającej duszy".

– *Ameen* – zakończyłem.

Fardeen był zawsze tak uprzejmy i rozważny i tak doskonale umiał rozstrzygać cudze spory, że nazywaliśmy go Politykiem. Był odważny w walce i lojalny wobec przyjaciół. Wszyscy z wyjątkiem niego mieli jakiegoś wroga w łonie firmy Sanjaya. Jego jednego kochali wszyscy.

Jeśli firma Skorpionów zabiła go w ramach odwetu za spalenie ich domu, to wybrali jedynego człowieka, którego śmierć przeszyła wszystkie serca.

– Skorpiony? – spytałem.

Towarzysze Abdullaha, Komańcz, Shah, Rawi i Wysoki Tony, roześmiali się gorzko.

– Dopadli go między Flora Fountain a bazarem Chor – powiedział Shah, niecierpliwie wycierając łzę złości. – Jechał tutaj, ale nie dotarł. Znaleźliśmy jego motocykl w Byculla, zaparkowany na poboczu.

– Zabrali go gdzieś – dodał Wysoki Tony – związali, torturowali, wytatuowali mu na piersi pierdolonego skorpiona i wbili w to miejsce nóż. Możemy spokojnie założyć, że to były Skorpiony.

Wysoki Tony, nazwany tak dla odróżnienia od drugiego Anthony'ego z firmy, Małego

Tony'ego, splunął na ziemię z przekleństwem. Tatuaż stanowił dodatkowe okrucieństwo. Fardeen był muzułmaninem i był posłuszny tradycji, wyznawanej przez niektórych muzułmanów, zabraniającej tatuaży. Ten tatuaż zmienił kategorię konfliktu – nie chodziło już o wojnę między rywalizującymi gangami, lecz między religiami.

– Jasna cholera – rzuciłem. – Jak mogę wam pomóc?

Znowu parsknęli śmiechem, ale tym razem szczerym.

– Przyjechaliśmy, żeby pomóc tobie, bracie – oznajmił Abdullah.

– Pomóc mnie?

Znowu się roześmiali.

– O co chodzi, Abdullahu?

– Wyznaczono cenę za twoją głowę, Lin.

– To ograniczona oferta – dodał Komańcz. – Trwa tylko dwadzieścia cztery godziny.

– Od kiedy?

– Od dzisiejszej północy do jutrzejszej – wyjaśnił Shah.

– Ile?

– Jeden *lakh* – powiedział Rawi. – Sto tysięcy rupii, stary. Czyli jesteś tu jedynym człowiekiem, który zna swoją wartość rynkową.

W tamtych czasach była to równowartość sześciu tysięcy dolarów. W Ameryce ta kwota wystarczała na kupno ciężarówki, w Bombaju – na zwabienie wszystkich zabójców z południowej strefy.

Pomyślałem o kilku znajomych, nawet przyjaciołach, którzy chętnie zabiliby mnie za darmo, gdyby tylko przyszło im to do głowy, po prostu dlatego, że lubili zabijać ludzi.

– Dzięki, panowie – mruknąłem.

– Co zamierzasz? – spytał Abdullah.

– Muszę się trzymać z daleka od Karli. Nie chcę, żeby znalazła się na linii ognia.

– Mądrze. Potrzebujesz czegoś z domu?

Czy łowna zwierzyna czegoś potrzebuje?

Pracowałem na ulicy. Zawsze byłem gotowy do ucieczki. Miałem dobre buty, dobre dżinsy, czysty podkoszulek, moją fartowną kamizelkę z wewnętrznymi kieszeniami, amerykańskie dolary, indyjskie rupie, dwa noże za pasem i niezawodny motocykl.

Nie miałem broni palnej, ale wiedziałem, gdzie ją dostać.

– Nie, wszystkiego mi wystarczy. To będzie interesująca noc. Dzięki za ostrzeżenie.

Zobaczymy się za dwadzieścia cztery godziny. *Allah hafiz*.

Wyprostowałem motocykl i chciałem odjechać.

– Zaraz, zaraz! – zawołał Wysoki Tony.

– A ty dokąd? – spytał Rawi.

– Znam jedno miejsce.

– Miejsce? – spytał Abdullah, marszcząc brwi.

– Miejsce. *Allah hafiz*.

– Zaraz, zaraz! – znowu rzucił Wysoki Tony.

– Jakie miejsce? – chciał wiedzieć Rawi.

– Takie z wejściem, które znają wszyscy, i wyjściem, które znam tylko ja.

– Że co? – poinformował się Komańcz.

– Zdobędę broń – oznajmiłem – owoce i parę piw, po czym zaszyję się tam na dwadzieścia cztery godziny. To na razie. Poradzę sobie.

– Mowy nie ma – odparł Rawi, kręcąc głową.

– Sanjay zabronił nam ci pomagać – wyjaśnił Abdullah. – Ale w takich czasach, gdy zabito członka Rady, wielu młodzieńców spoza firmy dołączyło do nas przy patrolowaniu naszego rewiru. Na przykład Komańcz, a przecież odszedł z firmy.

– No właśnie – poparł go Rawi.

– Nic ci nie przeszkodzi jeździć z nami na patrol – podjął Abdullah. – I nic ci nie przeszkodzi przebywać z nami przez następne dwadzieścia cztery godziny w geście poparcia dla firmy Sanjaya.

– A jeśli postanowisz tak zrobić… – zaczął Wysoki Tony.

– … nie możemy ci zabronić – dokończył Rawi.

– Więc przyłącz się do nas i przez następne dwadzieścia cztery godziny patroluj z nami granice południowego Bombaju – powiedział Abdullah, klepiąc mnie po ramieniu. – I zaproponuj nam swoją ochronę na czas tych ataków na firmę.

Była to miła oferta, godna zapamiętania, ale krępująca.

– A gdyby któryś z was oberwał kulę przeznaczoną dla mnie? Jak się wtedy poczuję?

– A gdybyś oberwał kulę przeznaczoną dla któregoś z nas? – spytał Abdullah, uruchamiając motor. – Jak się wtedy poczujesz?

Odjechaliśmy razem. Kiedy rozgrzaliśmy silniki, zwolniliśmy i zaczęliśmy przemierzać ulice i bulwary, dwaj z przodu, trzej z tyłu.

Mężczyźni wypierają pewne rzeczy. Kierują się poczuciem obowiązku i wypierają wszystko, co stoi im na drodze do wypełnienia tego obowiązku.

Za moją głowę wyznaczono nową nagrodę, a ja nie miałem pojęcia, kto mógł to zrobić, ale wyparłem tę myśl, skupiając się wyłącznie na przetrwaniu. Może fakt, że mój własny rząd też wyznaczył za mnie nagrodę, pomógł mi w zablokowaniu tej myśli i poświęceniu się objazdowi granic z Abdullahem i pozostałymi na wypadek niespodziewanych ataków ze strony firmy Skorpionów.

Nie po raz pierwszy patrolowałem południowy Bombaj. Inne gangi także próbowały przejąć to terytorium na ulubionym przez turystów półwyspie. Nocami jeździliśmy po ulicach, oczekując napaści, które czasem miały miejsce; napaści, które byłyby znacznie gorsze, gdybyśmy nie mogli odpierać ich w niespełna pół minuty dzięki lotnym oddziałom patrolowym.

Dwa czteroosobowe oddziały zmieniały się co cztery godziny jazdy, co stanowi rozsądną granicę dla motocykli.

Smocza paszcza Miasta Wysp ma mniej więcej rozmiary Manhattanu. Przez te godziny zrobiliśmy dziesiątki pętli. Na szczęście południowy Bombaj roi się od maleńkich zaułków, na tyle szerokich, żeby zmieścił się w nich motocykl. Zapewniają one sieć skrótów, które oszczędzają stania w korkach i dostarczają nieustannych zaskoczeń przy niespodziewanych wyjazdach i wjazdach na większe szosy.

Chwile, gdy przestawaliśmy jeździć i rozmawialiśmy z ludźmi, były równie ważne jak czas spędzony na siodełku. Każdy życzliwy podszept umożliwiał nam uderzenie na wroga. Walka na znanym terenie jest w wojnie podjazdowej asem pik. Zwracanie uwagi na szczegóły to as kier. Życzliwe społeczeństwo, które darzy cię sympatią i zaufaniem co najmniej takim jak policję, to poker królewski.

Muszę wspomnieć, że po zabójstwie Fardeena policjanci połączyli siły z firmą Sanjaya, pozwalając na jakiś czas gangsterom mieć przy sobie broń. Informatorzy Didiera zapewnili, że Skorpiony usiłują wedrzeć się do południowego Bombaju, wykorzystując przemoc i religijny nacjonalizm. Uważali, że policjanci powinni ich wspierać, ponieważ postrzegali siebie jako patriotów, a ludzi Sanjaya jako zdrajców.

Policjanci mieli wyraźne rozkazy, by natychmiast reagować w sprawach konfliktów religijnych, co stanowiło dla Dilipa Błyskawicy dogodny pretekst. Sierżant dołączył do firmy Sanjaya, która płaciła mu więcej niż patrioci, i wysłał swoje patrole w jeepach, by aresztowały Skorpiony za zakłócanie porządku publicznego.

Ten rozejm był dla nas czasem napięcia. Wielu z nas wolało agresję. Wtedy wiadomo, na czym się stoi, bo wszyscy przestrzegają tych samych zasad. Gdy

policjanci nagle stają się przyjaciółmi, pora zacząć grać w inną grę.

Czuliśmy się dziwnie, kiedy zatrzymywaliśmy się na światłach obok policyjnego jeepa, którego pasażerowie uśmiechali się do nas, a nawet nas zagadywali, choć pamiętaliśmy, że ci sami policjanci bili nas na tyłach tych samych jeepów.

Pod koniec patrolu, gdy nie wydarzyło się nic niezwykłego, zatrzymaliśmy się przy grobowcu Hadżiego Alego, gdzie Tardeo spotyka się z Peddler Road.

Wszystko na południe od tego miejsca stanowiło terytorium firmy Sanjaya, od morza do morza. Grobowiec świętego stał na neutralnym terenie, a gangsterzy z całego Bombaju przychodzili do meczetu w pokojowych zamiarach nawet wtedy, gdy ich gangi walczyły ze sobą.

Abdullah zostawił nasze motocykle pod opieką kontaktu z pobliskiej stacji benzynowej i zaprowadził nas długim chodnikiem na kładce dla pieszych do położonej na wyspie małej świątyni.

Wszyscy już wykonywaliśmy przed walką ten gangsterski rytuał: nocny spacer do grobowca świętego.

Hadżi Ali, wtedy po prostu bogaty uzbecki kupiec imieniem Ali, rozdał cały swój majątek biednym i udał się na pielgrzymkę do Mekki. Zwiedził wszystkie kraje, do których mógł wówczas dotrzeć podróżnik. Nie było to łatwe, ponieważ żył w piętnastym wieku, ale objechał cały świat, niosąc cały swój dobytek na plecach i ucząc się wszystkiego, czego mógł się nauczyć.

Jako człowiek o dobrym smaku osiadł w Bombaju i zasłynął w mieście i poza jego granicami ze swej pobożności. Umarł podczas dorocznego hadżdżu. Trumna z jego ciałem zatonęła w morzu, ale fale w cudowny sposób wyrzuciły ją na brzeg koło Bombaju, gdzie zbudowano jego grobowiec. W sezonie raz dziennie morze zalewało ścieżkę prowadzącą do grobowca Hadżiego Alego – tak, jakby święty mówił: „Proszę, dość” i oddzielał się od naszego świata grzechów i smutków. Dzięki zatopionej ścieżce mógł pogrążyć się we śnie, by odbudować siły jako jeden z wielkich obrońców miasta.

Tej nocy ścieżka prowadząca przez morze była sucha i niemal całkiem pusta. Wiał gwałtowny wiatr, uderzając w nas porywistymi podmuchami. Szliśmy samotnie, sześciu gangsterów, ku grobowcowi na wyspie, a blask księżyca rzucał nasze długie cienie na zwierciadlaną powierzchnię morza.

Po obu stronach szerokiej ścieżki znajdowały się okrągłe głazy niczym skulone, czarne i mokre stworzenia, tulące się do niej w poszukiwaniu schronienia.

Grube jak kopyto wielbłąda pęki żarzących się kadzideł przesycały powietrze

zapachem pobożności.

Tym razem nie poddałem się rytuałowi. Szykujący się do wojny gangsterzy szli ścieżką przez morze, rozmyślając o wyrządzonych krzywdach, potem modlili się przy grobowcu o przebaczenie i odchodzili, gotowi na piekło. Ja tego nie zrobiłem. Myślałem o Karli i o tym, że pożegnaliśmy się w gniewie. Nie zastanawiałem się, kto wyznaczył nagrodę za moją głowę. Lista podejrzanych była długa i nie skróciłbym jej rozmyślaniem. Jak się okazało, wyręczył mnie w tym Abdullah.

– Nie spytałeś, kto chce zapłacić za twoją śmierć – odezwał się, kiedy wracaliśmy przez morze i dotarliśmy do pasa kamieni łączących ścieżkę z brzegiem.

– Pomyślałem, że najpierw spróbuję przeżyć te dwadzieścia cztery godziny – odparłem.

– Dlaczego nie chcesz tego wiedzieć już teraz?

– Bo kiedy się dowiem, będę chciał coś z tym zrobić. A lepiej by było, żebym to zrobił, kiedy już wszyscy przestaną na mnie polować.

– To ten Irlandczyk.

– Concannon?

– Tak.

Teraz to ja się roześmiałem.

– Dobrze widzieć, że nie upadasz na duchu – zauważył Rawi, idąc o krok za nami z Shahem, Komanczem i Wysokim Tonym.

– Nie – rzuciłem ze śmiechem. – To wcale nie jest śmieszne… a jednocześnie jest, i to bardzo. Znam tego gościa, Concannona. Dla niego to taki kawał. Gangsterski żart, żeby sprawdzić, czy go przeżyję. To dlatego kontrakt wygasa po dwudziestu czterech godzinach. On się ze mną bawi.

Nie potrafiłem tego wyjaśnić lepiej, bo za bardzo się śmiałem, a kiedy chłopaki w końcu zrozumieli, także zaczęli się śmiać – wszyscy z wyjątkiem Abdullaha. A kiedy już się zaczęli uspokajać, przypomniało im się, jak bardzo żałują, że sami na to nie wpadli. Potem zaczęli wymieniać nazwiska szalonych przyjaciół, którym chcieliby coś takiego zrobić, i znowu ogarnęła ich wesołość.

– Uwielbiam tego gościa – oznajmił Rawi. – Muszę go poznać. No, oczywiście go zabijemy, ale przedtem chciałbym go poznać.

– Ja też – dodał Wysoki Tony. – Czy to tego typa Abdullah postrzelił w nogę?

– Tego samego.

– Dwa razy – poprawił Abdullah. – W tę samą nogę. I teraz sami widzicie, że miłosierdzie to cnota, którą należy obdarzać sprawiedliwych, a nie takiego demona.

Zaczęli się zaśmiewać jeszcze bardziej. W pewnym sensie był to dobry znak. Zamordowano jednego z naszych, człowieka, którego wszyscy kochaliśmy, a mnie grożono śmiercią, ale nie baliśmy się aż tak, żeby nie móc się śmiać. Młodzi żołnierze mafii spoważnieli, widząc surowe spojrzenie Abdullaha, i wróciliśmy na brzeg.

Wyprawa do grobowca Hadżiego Alego w przeddzień wojny była obelgą wobec świętego, którego trumna za sprawą cudu wróciła do Miasta Wysp, by je pobłogosławić – a my o tym wiedzieliśmy.

Ale wiedzieliśmy także – albo zmuszaliśmy się, żeby w to wierzyć – że święci wybaczają wyrzutkom. I podczas tego spaceru byliśmy pewni, że mimo iż zbezcześciliśmy grobowiec, Hadżi Ali wie, że go kochamy – wiecznie cierpliwego świętego, który uśpiony na morzu wysłuchiwał naszych gangsterskich modlitw.

# 54

Figiel Concannona okazał się błogosławieństwem, bo wywabił z dżungli Kolaby wszystkie podstępne węże. Po upływie dwudziestu czterech godzin Abdullah i Didier odwiedzili każdego bandziora, który rozpytywał się o nagrodę za moje życie, i spuścili mu manto na wypadek, gdyby kontrakt został odnowiony.

Ja tropiłem Concannona, idąc za każdym ledwie wyczuwalnym śladem. W trakcie tych poszukiwań trafiałem na dalekie przedmieścia i nieprzetarte drogi. Spędzałem mnóstwo czasu na motocyklu, myśląc przeważnie o Concannonie. Ale Irlandczyk był jak duch, echo drwiącego śmiechu, i w końcu musiałem na jakiś czas uznać, że skoro nie można go znaleźć, nie stanowi zagrożenia.

Karla nadal się wściekała. Nie odzywała się do mnie i znikała na całe dnie. Ja też próbowałem się na nią gniewać, ale nie potrafiłem. Uważałem, że nie powinna zatrzymać dla siebie listu, zwłaszcza że jego autor ofiarował nagrodę za zabicie mnie. To mnie bolało, ale bardziej dokuczała mi tęsknota za nią. Te dni, które spędziliśmy razem, połączeni i szczęśliwi, były jednymi z lepszych w moim życiu.

„Chcesz wiedzieć, po czym się poznaje, że jesteś ze swoją bratnią duszą? – zagadnął mnie kiedyś nigeryjski przemytnik. – Po prostu nie możesz się na nią gniewać. Mam rację?”.

Miał i nie miał – bratnie dusze mogą przez jakiś czas się gniewać, tak jak Karla. Ale ten lodowaty dystans oznaczał, że nie muszę jej mówić o żarcie Concannona. Wiedziałem, że o nim usłyszała. Wiedziałem, że ją rozbawił i że będzie ze mnie żartować na dziesiątki inteligentnych sposobów.

*Madame* Zhou nadal była na swobodzie. Nikt od tygodni nie widział jej ani nie miał o niej informacji. Słowo „kwas” przeżerało mi umysł za każdym razem, gdy o nim myślałem. Nie chciałem męczyć Karli i nie obchodziło mnie, z kim się spotyka, ale chciałem wiedzieć, że jest bezpieczna, więc dyskretnie nad nią czuwałem, gdy tylko czas mi na to pozwalał.

Karla spędzała dużo czasu z Kawitą Singh w redakcji i galerii Lisy. Wiedziałem, gdzie jest o każdej porze dnia i nocy, ale nie mogłem z nią rozmawiać. To mnie doprowadzało do szaleństwa i wybuchów złości.

Moi cinkciarze zaczęli rzucać we mnie plikami banknotów, zamiast mi je dawać. Gdy codziennie przez trzy dni wszczynałem awantury, zaczęto mi wspominać o sposobach zarządzania gniewem, od prostytutek i prochów po walki gangów i wybuchy.

– Jeśli chcesz przestać myśleć o kobiecie, najlepiej coś sobie wysadzić – poradził znajomy. – Ja wysadziłem mnóstwo rzeczy. Ludzie uważają, że to terroryści, ale to tylko ja, żeby przestać myśleć o kobiecie.

Nie chciałem niczego wysadzać, ale ciągłe chodziłem spięty i podminowany, więc udałem się na konsultacje do specjalisty.

– Wysadziłeś kiedyś coś z miłości? – spytałem mojego golibrodę Ahmeda.

– Ostatnio? – uściślił.

Dom Stylu Ahmeda był ostatnim bastionem walki z salonami fryzjerskimi. Znajdowały się w nim trzy fotele z czerwonej skóry i chromu – fotele dla mężczyzn, nasycone hipnotyczną mocą. Żaden znany mi facet nie potrafił się im oprzeć.

Gdy się już siadało w takim fotelu, miało się przed sobą lustro z fotkami poprzednich ofiar, z których żadna nie wydawała się zbyt szczęśliwa. Byli to klienci, którzy zgodzili się na publikację swojego wizerunku w zamian za darmowe strzyżenie. Stanowili ostrzeżenie, by nigdy nie skąpić pieniędzy w Domu Stylu.

Ahmed miał typowy dla fryzjerów czarny humor, ale był także urodzonym demokratą, co w nim ceniliśmy. Tolerował wszystkie opinie, a klienci jego zakładu mieli zagwarantowaną wolność słowa. Było to jedyne znane mi miejsce w całym mieście, gdzie muzułmanin mógł nazwać hinduistę fanatykiem, hinduista mógł się mu odwzajemnić tym samym, po czym rozchodzili się do domów odprężeni, nie doprowadzając do wybuchu zamieszek.

Ta atmosfera udzielała się wszystkim. Klienci Domu Stylu Ahmeda zachowywali się, jakby dostali serum prawdy. I całe to targowisko bigoterii odchodziło w niepamięć, gdy tylko klienci opuszczali zakład.

Ahmed golił mnie brzytwą ostrą jak wąsy Rowerowych Zabójców. Gdy żyje się po niewłaściwej stronie prawa, lista osób, którym pozwalasz się golić brzytwą, nie imponuje długością. Ahmed był godny zaufania, ponieważ tak bardzo cenił swój zawód, że nie mógłby mi poderżnąć gardła brzytwą. To by było wbrew kodeksowi golibrody.

Gdyby chciał mnie zabić, sięgnąłby po któryś z pistoletów, jak ten, który sprzedał mi parę miesięcy temu, a który znajdował się na przechowaniu u Tita. Ufając regułom jego

cechu, powierzyłem moje gardło jego honorowi i odprężyłem się, pozwalając się golić.

Ahmed otulił moją świeżo odartą ze skóry twarz ręcznikami tak gorącymi, że kojarzyły się z izbą tortur. Zadowolony z efektu, zerwał je po chwili gestem toreadora. Sprawnie omiótł mnie miotełką, oprószył talkiem moją szyję tam, gdzie ją ogolił, po czym zaproponował mi szeroki wybór spośród buteleczek z jedynym rodzajem wody po goleniu – Ambrozja Ahmeda.

Byłem spokojny. Profesjonalizm Ahmeda mnie ukołysał. Czułem się uzdrowiony, przepełniony błogością. I właśnie wklepywałem Ambrozję Ahmeda w twarz, gdy do salonu wtargnął Danda, nazywając mnie skurwielem.

No proszę, Danda, a ja akurat mam wodę po goleniu.

Nie doczekałem do końca jego tyrady. Nie byłem ciekaw, jak mnie nazwie ani dlaczego. Nie byłem ciekaw, czego chce ani dlaczego tego chce. Chwyciłem go za koszulę i uderzyłem mokrą od wody kolońskiej dłonią w jego czerwone ucho i uderzałem tak długo, aż mi się wyrwał i uciekł, zabierając ze sobą sporą część mojego spięcia.

Otworzyłem drzwi golami i pomachałem na do widzenia.

– *Allah hafiz*, Ahmedbaj.

– Czekaj! – rzucił Ahmed, podchodząc do mnie. Poprawił mi zgnieciony podczas szarpaniny kołnierz dżinsowej kamizelki. – Tak lepiej.

Wyszedłem na zewnątrz i natknąłem się na schodach na George'a Bliźniaka. Chwycił mnie za starannie wygładzoną kamizelkę.

– Dzięki Bogu, stary – wydyszał, rzucając mi się w ramiona. – Wszędzie cię szukam!

– Jak mnie znalazłeś?

George wiedział, że to profesjonalne pytanie.

– Jeden alfons z First Pasta Lane chodzi za tobą. Powiedział, że jesteś podminowany. Założył się, że nie wytrzymasz kolejnych dwóch dni bez dziewczyny.

– Nic mi nie jest – oznajmiłem. – Właśnie zostałem wyleczony.

– Dobrze – rzucił George nerwowo.

– Co się stało?

– Skorpion. Oszalał. Musisz mi pomóc.

– Zwolnij. Skorpion nie mógł oszaleć. Skorpion jest szalony.

– Oszalał o wiele, wiele bardziej niż dotąd. Coś jak ze Strefy Mroku. Świruje,

człowieku.

– Może pogadamy o tym w jakimś spokojnym miejscu?

Usiedliśmy w Madras Café. Zamówiliśmy *idli sambar* i po dwie szklanki mocnej, słodkiej herbaty. Bliźniak pozostał człowiekiem ulicy, nawet jeśli jego przyjaciel się wzbogacił. Najpierw zjadł, potem zaczął rozmawiać.

Gdy upił łyk herbaty, spłukując ostatnie wspomnienie o chili i kokosie, przystąpił do opowiadania. Historia – jak wiele innych indyjskich historii – zaczęła się paradą świętych.

Poprzedniego dnia przez ulice miasta przeszła procesja na cześć miejscowego świętego, który akurat był miłośnikiem haszyszu. Wszędzie zaroiło się od świątobliwych mężów. Był to jedyny dzień w roku, w którym policjanci nie mogli nikogo aresztować za palenie haszyszu, ponieważ palili go przeważnie święci mężowie.

Było to święto stworzone jakby specjalnie dla Zodiakalnych George'ów i Bliźniak posłużył się nim jako pretekstem do wywabienia Skorpiona z szańców Maheshu na świeże powietrze. Początkowo, referował Bliźniak, wszystko szło dobrze. Skorpion przypomniał sobie, jak się chodzi po ulicy. Nawet się rozgadał. Zaczął opowiadać swoim czterem ochroniarzom, wynajętym na godziny z hotelu, o mijanych bramach i zaułkach i o przygodach, które przeżywał w nich wraz z Bliźniakiem.

Potem skręcili i przekonali się, że na drodze stanął im sadhu – święty mędrzec. Sadhu stał z uniesionym rękami, w jednej trzymał gruźlastą laskę, drugą miał umazaną świętą czerwienią.

– I co się stało? – spytałem.

– Powiedziałem: „Namaste, *ji*. Zapalisz sobie? Mam *manali*.

– I zapalił z tobą?

– Nie zdążył. Bo zanim zdążył odpowiedzieć, Skorpion spróbował go ominąć. A wtedy sadhu go powstrzymał.

– Czego chciał?

– Powiedział: „Daj mi tysiąc dolarów".

– Ile?

– Tysiąc dolarów.

– A co Skorpion na to?

– Skorpion na to: „Zwariowałeś?".

– Czy miał w kieszeni tysiąc dolarów?

– Dokładnie o to spytał go sadhu. „Czy masz w kieszeni tysiąc dolarów?”.

– I miał?

– Miał dwadzieścia pięć tysięcy, Lin. Pokazał mi, żeby wyjaśnić, dlaczego musi nam towarzyszyć czterech ochroniarzy z hotelu.

– I co odpowiedział Skorpion?

– Skorpion, no wiesz, tak jakby się wściekł i powiedział: „Nikt nie daje tysiąca dolarów komuś kompletnie obcemu. Dam ci sto dolarów, ale zostaw mnie w spokoju”.

– Niezbyt uprzejmie – zauważyłem. – I jak przyjął to guru?

– Był spokojny jak, no wiesz, guru, i powiedział: „Czy gdybyś dał mi tysiąc dolarów, zauważyłbyś, że ci ubyły?”.

– A co Skorpion na to?

– Powiedział: „W tym rzecz”.

– A sadhu?

– Sadhu na to: „Twoją słabością jest chciwość. I to przebudzenie jest warte tysiąc dolarów”. Zapamiętam te słowa aż do śmierci, mówię ci.

– Miał rację.

– No myślę – zgodził się Bliźniak, zerkając na drzwi. Chciało mu się zapalić. – I w dodatku powiedział to z uśmiechem. Tego uśmiechu też nigdy nie zapomnę. To była pokerowa twarz, tylko uduchowiona. I możliwe, że to ten uśmiech podjudził Skorpiona, rozumiesz. Sam ten uśmiech.

– Co się stało?

– Skorpion usiłował przejść koło świętego mędrca i tak jakby zaczęli się szarpać. Ochroniarze krzyczeli, żeby przestał. I raptem bach, święty mędrzec przewraca się i grzmoci głową o narożnik muru. Głęboko się skaleczył. Zdarł sobie kawał skóry z czoła nad brwią. Ochroniarze polecieli mu pomóc. Ja dałem mu chusteczkę i powiedziałem, że musimy wezwać hotelowego lekarza.

Bliźniak urwał. Spojrzał na ulicę. Chciał znowu się tam znaleźć, w nurcie szczęścia i talentu, który tak bezpiecznie niósł go przez tak długi czas.

– Papierosa zapalimy, jak już opowiesz wszystko – powiedziałem. – Wiem, jak się zachowujesz na ulicy, stary. Jak stąd wyjdziesz, to mi się ulotnisz w minutę. Więc od rzeczy i opowiedz, co się wydarzyło.

– Nie powinieneś powiedzieć „do rzeczy”?

– Bliźniak…

– Święty mędrzec rzucił na niego klątwę – oznajmił Bliźniak, drżąc. Nagle się przestraszył, a to mi się nie spodobało, bo go lubiłem.

– I?

– I tyle.

Nie istnieje większa cierpliwość od tej, którą okazujemy naszym ukochanym, kiedy komplikują sprawy bardziej, niż powinni. Uśmiechnąłem się cierpliwie.

– Co właściwie się wydarzyło?

– Święty mędrzec go przeklął. Powiedział, że chciwość stanie się narzędziem, które odbierze mu życie. Powiedział, że od tego dnia, w którym Skorpion rozlał jego krew, jego pieniądze będą przeklęte i przyniosą mu tylko smutek i żal.

– Co było potem?

– Ochroniarze dali nogę. Od razu.

– A Skorpion?

– Uciekł. Znalazłem go potem w hotelu.

– A święty mędrzec?

– Zaczekałem z nim. Chciałem go namówić, żeby poszedł ze mną do hotelu. Ale potem pojawili się inni święci mędrcy, a on poradził mi, żebym spadał, bo mogliby się tak na mnie wściec, że by mnie zabili. No to uciekłem. Wiesz, jak niebezpieczni potrafią być ci święci mędrcy.

– A Skorpion uważa, że został przeklęty.

– On *jest* trochę przeklęty – jęknął Bliźniak. – Służba hotelowa opuściła nasze piętro. Boją się klątwy i nie chcą go obsługiwać.

– Jak sobie radzicie?

– Skorpion porozmawiał z kierownictwem i dziś wynajęli nowych ludzi. Chyba z Litwy. Mili ludzie. Nie rozumiem ani słowa. Jego nowi ochroniarze to Rosjanie. Ich także nie rozumiem, a mówią po angielsku, i w ogóle. No i Skorpion znowu się zabarykadował w apartamencie, ale tym razem na serio.

– Przez jakiś czas nie przychodź na pokera – powiedziałem. – Załatwię to z Didierem. Znajdziemy tego sadhu i namówimy go, żeby zdjął klątwę.

Pomyślałem, że ten sadhu pewnie nie jest bogaty. I że moglibyśmy go znaleźć i poprosić, żeby przyjął sowitą opłatę za zdjęcie klątwy i wybaczył idiocie, który dotknął go bez szacunku.

Sadhu, których znałem – a znałem ich całkiem wielu – przyjęliby tę ofertę bez wahania. To się mogło udać. Nie mogłem wtedy wiedzieć, że Bliźniaka, mojego niewinnego, kochającego przyjaciela, zaprowadzi to na od dawna zakazane rzeki.

– Fantastycznie! Lin, jesteś geniuszem. Ta klątwa wykańcza Skorpiona. Powiem ci, że sam też kiepsko się z nią czuję. Moim zdaniem człowiek powinien omijać klątwy świętych mędrców szerokim łukiem, tak jak granat. Znalazłem się w strefie duchowego promieniowania, by się tak wyrazić, i tak samo jak Skorpionowi zależy mi na tym, żeby to załatwić.

– Mógłbyś poprosić o pomoc Naveena Adaira – zaproponowałem, znowu rozpuszczając język. – Ma w Amritsarze Biuro Zaginionych Miłości, w apartamentach obok moich.

– Świetny pomysł! Rozpytam się, a jeśli nie zdołam go znaleźć, poproszę Naveena. Raz dwa doprowadzimy Skorpiona do porządku.

– Dobrze – powiedziałem. – Podwieźć cię?

Spojrzał przez otwarte drzwi na mój motocykl, zaparkowany nieprzepisowo przy chodniku.

– Nie, ale dzięki – powiedział z uśmiechem. – Nigdy nie przepadałem za motocyklami. Pojadę do hotelu taksówką. Dziękuję, Lin. Wiedziałem, że poczuję się lepiej, jeśli z tobą porozmawiam.

Pojechałem południowymi bulwarami, objeżdżając kantory, pokazując się i myśląc o Zodiakalnych George'ach i o tym, jacy byli szczęśliwi, zanim odziany w ciemny garnitur elegancki posłaniec przeznaczenia uczynił jednego z nich bogaczem. Podobnie jak Skorpion, nie musiałem zostawać w Bombaju. Dzięki przemycaniu paszportów nieźle znałem niektóre rejony Afryki. Miałem kontakty w Lagos i Kinszasie. Zawsze było tam miejsce dla dobrego fałszerza dokumentów.

Miałem przyjaciół w Singapurze. Zaprosili mnie jako białego reprezentanta indyjsko-chińskiego kręgu walutowego. Dobrze bym zarabiał w bezpiecznym mieście, w którym można było mieć spokój, o ile szanowało się miejscowe zasady i nikomu nie robiło się krzywdy.

Często się nad tym zastanawiałem. Ale zawsze prędzej czy później odrzucałem wszystkie opcje. I nie umiałem się zdecydować, czy nie mogę się rozstać z tym miastem, czy kobietą.

Pojechałem w ponurym nastroju do Amritsaru, mając nadzieję, że zastanę tam Karlę. Moi ludzie uprzedzili mnie, że przed godziną opuściła galerię. Miałem dla niej prezent

na przeprosiny.

Znajomi z zespołu jazzowego powiedzieli mi, że zjawią się z akustycznymi instrumentami nad morzem w Kolaba Back Bay, żeby zagrać jam. Było to wyjątkowe wydarzenie. Dokładnie takie prezenty Karla lubiła najbardziej.

– Rozminęliście się – powiedział Didier, podnosząc głowę znad zabałaganionego biurka. – Była tu parę minut temu. I nie sama. Z Tadżem.

– Kto to jest Tadż, do kurwy nędzy?

– Taki wysoki artysta, dość przystojny, z długimi czarnymi włosami. To on wyrzeźbił tego Enkidu, który stoi przy wejściu do galerii Dżehangir. Jest bardzo utalentowany.

– Artysta – powtórzyłem, przypominając sobie tego rzeźbiarza.

– W rzeczy samej. Dlaczego tak się garniemy do muzyków i malarzy?

– Bo to seksowne. Malarze zdejmują z nich ubrania, a muzycy doprowadzają ich do orgazmu.

– A to gnoje – syknął Didier.

– Zgadzam się. Powiedziała, kiedy wróci?

– No…

– Co?

– No…

– Dlaczego mam o tym nie wiedzieć?

– Powiedziała… że wróci… za dwa dni. I chyba mówiła serio. Wzięła pistolet. I tego wysokiego artystę, Tadża.

Przez chwilę milczałem, ale chyba zacisnąłem zęby – albo pięści – bo Didier wstał i wziął mnie w objęcia.

– Choćby się nie wiadomo co działo, zawsze jest alkohol – powiedział, trzymając mnie za ramiona. – Nawalmy się majestatycznie. Masz jakieś ulubione miejsce zapomnienia?

– Wiesz co, chyba masz rację. Zresztą i tak powinniśmy tam pojechać.

– Pojechać?

– Żeby posłuchać Aum Azaan, zespołu Raghawa. Dziś grają. To nieoficjalny koncert na Back Bay. Miałem nadzieję, że zabiorę tam Karlę. Ale jedźmy tam sami i dobrze się bawmy.

– Teraz mówisz z sensem – oznajmił radośnie Didier. – Ale jeśli pozwolisz, pojadę taksówką.

# 55

Pojechałem sam, żeby spotkać się z Didierem na jamie, ale kiedy w drodze na Cuffe Parade mijałem posterunek w Kolabie, zobaczyłem Arszana stojącego na środku jezdni. Miał w dłoni długi kuchenny nóż z ząbkami i krzyczał.

Zahamowałem i podszedłem do niego. Tłum zaczął się zbierać wokół niego, ale wszyscy pozostawali w bezpiecznej odległości. Na razie policjanci go nie widzieli, a może postanowili nie reagować.

– Jak się miewasz, wujku? – spytałem, wyciągając dłoń.

– Ten tchórz! – krzyknął Arszan. – Skopał mojego syna, a teraz Farzad leży w szpitalu, z wylewem krwi do mózgu! Wyjdź i walcz! Słyszysz, Dilip!

– O kurczę, Arszan, spokojnie. Nie tak głośno.

Nikt nie wygrywa, stając do otwartej walki z glinami. Jeśli masz dość dużo broni, żeby ich odeprzeć, zawsze mogą wrócić z posiłkami. A jeśli i ich pokonasz, będą wracać z nowym wsparciem, aż zginiesz albo uciekniesz. To właśnie znaczy wsparcie policji: wynajmujesz grupę, która nie może. sobie pozwolić na przegraną. To część niepisanej umowy, którą zawierają z każdym miastem, jakie ich zatrudnia: policjanci codziennie narażają życie, jak przestępcy, i nie mogą tolerować otwartego ataku na siebie. Policjanci i przestępcy odpowiadają ciosem na cios. To zasada. I zawsze to oni uderzają ostatni.

Delikatnie doprowadziłem Arszana na pobocze drogi, a potem na chodnik. Wydarłem mu z ręki kuchenny nóż i oddałem go jednemu z ulicznych chłopców.

Na rogu był postój taksówek. Wepchnąłem Arszana do czekającego samochodu i kazałem kierowcy zaczekać. Zaparkowałem motocykl w bezpiecznym miejscu i wezwałem innego ulicznika, żeby popilnował go do mojego powrotu. Gdy wróciłem do taksówki, Arszan płakał.

Usiadłem obok kierowcy i kazałem mu jechać do domu o trzech frontonach koło Cuffe Parade. Arszan położył się na siedzeniu z tyłu i zasłonił twarz ramieniem. Gdy taksówka ruszyła, zauważyłem Dilipa Błyskawicę. Stał pod łukowatym wejściem na posterunek, podparty pod boki.

Arszan zatrzymał taksówkę, zanim dojechaliśmy do jego domu. Powiedział, że musi

ze mną porozmawiać na osobności. Nieopodal znajdowała się herbaciarnia, w której siedziałem z Concannonem po walce ze Skorpionami. Znaleźliśmy zaciszny kącik pod niebieską foliową płachtą rozpiętą między drzewami.

Arszan z trudem wypił parę łyków herbaty.

– Opowiedz mi o Farzadzie.

– Ciągle bolała go głowa. Byłem tak wściekły, że już raz tam poszedłem, żeby wyzwać Dilipa, ale przywiozłeś mnie do domu. Te bóle stały się coraz gorsze. W końcu namówiliśmy Farzada, żeby się zbadał. Okazało się, że ma w mózgu wielki skrzep. Powiedzieli, że to od kopniaka w głowę.

– O, cholera. Przykro mi.

– Podczas badań stracił przytomność. Natychmiast zabrali go na intensywną terapię. I od tej pory tam jest. Siedemdziesiąt dwie godziny. Nie reaguje.

– Nie reaguje?

– Jest w śpiączce.

– W którym szpitalu?

– Bhatia.

– To dobry szpital. Nic mu nie będzie.

– Umrze.

– Nie umrze. Nie pozwolisz mu na to. Ale nie będzie miał po co żyć, jeśli Błyskawica cię zabije. Obiecaj, że nigdy więcej nie zrobisz tego, co zrobiłeś.

– Nie… nie mogę.

– Możesz. I musisz. Ludzie na ciebie liczą.

– Nie rozumiesz. Ja go znalazłem.

– Kogo?

– Skarb.

Gdzieś rozległ się brzęk: ludzie modlili się w miejscowej świątyni, dzwoniąc małymi, ręcznymi dzwonkami.

– Ten skarb?

– Tak.

– Kiedy?

Arszan wpatrywał się tępo w swoje stopy. Pusta szklanka wyśliznęła mu się z palców. Złapałem ją w powietrzu i postawiłem na ziemi.

– Dwa tygodnie temu.

– Rodzina musi szaleć z radości nawet w tych smutnych czasach.

– Nikt nic nie wie.

– Co? Musisz im powiedzieć.

– Początkowo nie wyjawiłem im tego, bo nie chciałem, żebyśmy stracili to, co mamy – zaczął cicho, jakby mówił do siebie. – To poszukiwanie było… takie fajne. Wszyscy byliśmy szczęśliwi. Wiem, że ten skarb nas zmieni. To nieuniknione. Nie zdołamy przed tym uciec. Więc zachowałem to w sekrecie.

Zamilkł, zatopiony w marzeniach o skarbie, który jeszcze nie został znaleziony.

– A teraz?

– Kiedy Farzad stracił przytomność, odkąd leży na tym łóżku, nie reagując na pocałunki, zrozumiałem, że zataiłem prawdę z chciwości. W głębi serca uważałem, że ta tajemnica jest zbyt wspaniała, żeby się nią podzielić, i przez jakiś czas sprawiało mi przyjemność, że należy tylko do mnie.

– To ludzkie. A teraz im to zrekompensujesz, jak mężczyzna.

– Nie rozumiesz? Nie protestowałem, kiedy ten policjant skopał Farzada, bo nie chciałem narazić poszukiwań. Poświęciłem dla tego skarbu własnego syna.

– Nie ty go kopnąłeś w głowę. A Dilip Błyskawica i mnie parę razy kopnął w głowę i nie zrobił mi się skrzep. To pech i zbieg okoliczności. Nie ma w tym twojej winy.

– Byłem… egoistą.

– A teraz będziesz altruistą. Stać cię na najlepszych lekarzy i specjalistów świata. Dzięki skarbowi wyleczysz Farzada.

– Naprawdę tak myślisz?

– Nie wiem. Nic nie wiem. Ale uważam, że powinieneś spróbować. Cokolwiek zrobisz, musisz powiedzieć innym, że znalazłeś skarb. Codziennie zrywasz jedno włókienko ich zaufania. Musisz to zrobić dzisiaj.

– Masz rację – powiedział, prostując się. – Masz rację.

– A zanim to zrobię, wyjaśnię jedną rzecz. Nie chcę udziału w tym skarbie. Nie chcę o nim więcej słyszeć, jeśli się zgodzisz.

– Co ty mówisz?

– Mówię, że go nie potrzebuję, nie chcę i nie chcę o nim nigdy więcej słyszeć. Rozumiesz, prawda?

– Jesteś dziwny, Lin. Ale cię lubię.

Odprowadziłem go do drzwi domu. Zanim jeszcze się otworzyły, dobiegło nas zza nich pomstowanie Anahity.

– To ja tu piekę siedem bochenków na modlitwy za Farzada! – krzyknęły na nas zamknięte drzwi – a ty nawet nie potrafisz wrócić do domu na czas!

Otworzyła w połowie utyskiwania, zobaczyła wyraz twarzy Arszana, krzyknęła i chwyciła go w objęcia.

– Co się stało? – rzuciła. – O co chodzi, moje najdroższe kochanie?

– Muszę ci coś powiedzieć, skarbie – wykrztusił Arszan, opierając się na niej i przechodząc przez czerwone zasłony, za którymi znajdowała się wydrążona jama domu. – Wezwij wszystkich.

– Oczywiście, najdroższy – powiedziała, prowadząc go troskliwie.

– Przepraszam za te bochenki, skarbie – dodał Arszan z roztargnieniem.

– Nie myśl już o tym, najdroższy.

Odszedłem. Nikt tego nie zauważył. I dobrze.

Stanąłem na zewnątrz i złapałem taksówkę, żeby wrócić tam, gdzie zostawiłem motocykl. Z domu trzech rodzin dobiegły mnie wrzaski i krzyki radości.

Znalazłem motocykl i zapłaciłem chłopcu, który go pilnował. Oddał mi te pieniądze wraz z naddatkiem, co nie było dobrym znakiem. Pod moją nieobecność posłużył się moim motorem. Był bezstrefowcem. Załatwiał interesy w cudzych samochodach i na motorach. Właśnie sprzedał komuś narkotyki, siedząc na moim motocyklu, i teraz dzielił się ze mną zarobkiem. Gdybym pracował w firmie Sanjaya, nie przyszłoby mu do głowy, żeby wykorzystać mój pojazd. To było nieposłuszeństwo i on o tym wiedział – sprawdzał tylko, czy ja też o tym wiem.

Chwyciłem go za koszulę i wtłoczyłem mu pieniądze do kieszeni.

– Jakim zasranym prawem używasz mojego motoru?

– W tej chwili źle się dzieje na ulicy, Linbaba! Afgańczycy są na Mohammed Ali Road, Skorpiony pod łóżkiem. Człowiek nie wie już, gdzie załatwiać interesy.

– Przeproś.

– Bardzo przepraszam, Linbaba.

– Nie mnie. Motocykl. Miałeś się nim opiekować. Przeproś.

Chłopak, którego nadal nie puszczałem, złożył ręce i pochylił się nad motocyklem. Był podstępny, a obaj wiedzieliśmy, że jeśli ucieknie, będę musiał go dogonić.

Chłopak przyłożył złożone dłonie do czoła.

– Przepraszam cię, motocyklu-*ji*, za moje złe maniery – powiedział żarliwie – Obiecuję, że w przyszłości będę cię szanować.

Chciał go pogłaskać, ale powstrzymałem go.

– Dość. Nigdy więcej tego nie rób.

– Dobrze.

– I powiedz innym bezstrefowcom, żeby trzymali się z dala od mojego motocykla.

– Dobrze.

Pojechałem do Back Bay na jam, omijając dom Arszana. Nie chciałem myśleć o skarbie ani Farzadzie pogrążonym w śpiączce w szpitalu. Było mi smutno; na tyle smutno, że potrzebowałem jazzu.

Zaparkowałem koło motocykla Naveena, obok pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu studentów siedzących na brzegu. Jazz unosił wszystkich na te same wyżyny. Stanąłem na skraju grupy, z rękami w kieszeniach kurtki. Płynąłem na dźwiękach muzyki, myśląc o Karli, która tak bardzo by się nią zachwyciła.

– Gnojki z tych muzyków – wymamrotał Naveen, stając obok mnie.

Patrzył na Divę, która siedziała u stóp bardzo uzdolnionego, przystojnego gitarzysty Raghawa. Wpatrywała się w niego z uwielbieniem. Chłopak był miły, przyjaźniłem się z nim, ale Naveen miał trochę racji.

– W rzeczy samej.

Nikt tu nie znał Divy – nikt z wyjątkiem jej przyjaciółek, bogatych dziewcząt, które wraz z Didierem siedziały w pewnym oddaleniu od głównej grupy na trawnikach Back Bay. Diva była nieumalowana. Na czole miała bindi ze szkiełka, ubranie i sandały ze sklepu w slumsach, zgodnie z najnowszą slumsową modą. Wyglądała w tym stroju ładnie, jak wszystkie dziewczęta. Ale martwiła mnie obecność jej przyjaciółek z dawnego bogatego życia.

– Przyszły razem z nią? – spytałem.

– Nie mogłem ich powstrzymać – przyznał Naveen z westchnieniem. – Diva mówi, że przysięgły milczeć. Musiałem jej na to pozwolić. Tkwi w slumsach od dwóch tygodni. Potrzebuje tego.

– Pewnie tak. A studenci mogą jej nie rozpoznać. Całkiem nieźle weszła w skórę dziewczyny ze slumsów.

– Powinieneś posłuchać, jak przeklina. Wczoraj trafiłem na lekcję – dziewczyny uczyły ją, co powinna powiedzieć, kiedy jakiś facet chce ją wyrwać. Bardzo

pouczające. Chcesz usłyszeć?

– Mieszkałem tam. Wiem, że zaczyna się od *lauda lasoon*, a kończy na *saala lukka*. Proszę Boga, żeby Diva nie obrzuciła mnie tym, czego się nauczyła.

– Amen.

– Jej koleżanki były w slumsach?

Naveen roześmiał się. Zmarszczyłem brwi, bo pytałem o bezpieczeństwo Johnny'ego Cygaro i jego rodziny, a ten temat mnie nie śmieszył.

– To takie zabawne?

– Tak – powiedział, nadal się śmiejąc.

– Dlaczego?

– Bo jeśli divy Divy kiedykolwiek odwiedzą slumsy, to przegram zakład z Didierem.

– Raz jeszcze, młody detektywie, użyję słowa „dlaczego". Dlaczego?

Naveen westchnął z pewnym zażenowaniem.

– Didier usiłuje ściągnąć dziewczęta do slumsów na wieczór opowiadań o duchach. Naprawdę się na to napaliły, ale slumsów boją się bardziej niż duchów. Powiedziałem Didierowi, że w dniu, w którym je zaciągnie do slumsów, prześcignę Benicię.

Była to ogromna przechwałka. Naveen ćwiczył wyczyny na motorze z chłopcami z Kolaby i całkiem nieźle nauczył się jeździć, ale prześcignięcie Benicii stanowiło zupełnie inną sprawę.

Benicia była Hiszpanką mieszkającą w Bombaju od paru lat. Kupowała biżuterię z Radżastanu i sprzedawała ją klientom z Barcelony. Mieszkała sama, z nikim się nie spotykała i z tego powodu budziła wiele domysłów. Ale wszyscy wiedzieli, że kiedy jeździ po Bombaju swoim motocyklem vintage 35OCC, nikt jej nie prześcignie.

– Znasz Benicię?

– Jeszcze nie.

– I mówisz serio o tym zakładzie?

– Jasne – rzucił ze śmiechem, ale potem spoważniał. – Chyba nie chcesz przekupić koleżanek Divy?

– Nikt nie powinien tam chodzić. Diva jest gościem Johnny'ego i jego rodziny. Dopóki ludzie, którzy zabili jej ojca, nie zostaną złapani, nikt nie powinien jej widzieć, bo to by zagroziło jej gospodarzom.

– O… oczywiście, masz rację – wymamrotał speszony Naveen. – O tym nie pomyślałem. Spróbuję wybić to z głowy koleżankom Divy, ale nie wiem, czy Didier

ich już nie przekonał. Przepraszam.

– Nie szkodzi. A jeśli divy naprawdę odwiedzą slumsy, a ty namówisz Benicię, żeby się z tobą ścigała, postawię na ciebie tysiąc dolarów, tu i teraz.

– Serio?

Wyjąłem pieniądze z kieszeni i podałem mu je.

– Załatwione. – Naveen podał mi rękę.

– Załatwione – odparłem, ściskając ją.

– Jak idzie z Karlą?

– Dobrze – powiedziałem, może przekonująco. – A z Divą?

– Jestem na skraju szaleństwa – oznajmił bardzo przekonująco.

– A ona wie?

– Że jestem na skraju szaleństwa? – spytał z zawodową troską.

– Że ją kochasz – wyjaśniłem, czekając na jego reakcję.

Dobry był. Zamknął miłość w klatce zaciśniętych szczęk, nie zdradzając niczego, i spojrzał na slumsową Divę, klaszczącą w rytm muzyki.

Studenci chodzili od grupki do grupki, śmiejąc się i rozmawiając. Inni siedzieli, szepcząc ze sobą. Czasem trzymali się za ręce, odrobinę się przytulali, z rzadka całowali. W tamtych latach w Bombaju było to najbardziej wyzywające zachowanie, o jakim mogli marzyć młodzi. Było też bardziej niewinne, niż można by się spodziewać po dwudziestolatkach rozrywanych przez hormony.

Ta nieśmiała miłość, którą sobie okazywali w chwilach odpoczynku od bycia przyszłością narodu, budziła rozczulenie. Byli dziećmi przyszłości. Nosili modne ubrania, palili jointy, pili tani rum i grali muzykę nad morzem, odbijającą się od ścian wieżowców, w których mieszkało wielu z nich. Ale także dobrze się uczyli i nie obchodziło ich, że w ich grupie znajdowali się przedstawiciele wszystkich religii i kast.

Nikt taki nie pojawił się do tej pory na brzegach Miasta Wysp. Nadchodził ich czas; teraz to oni mieli stać u steru firm i rad, kierując się innymi gwiazdami.

Dwie przyjaciółki Divy leżały Didierowi na piersi, chichocząc nieopanowanie. Nie słuchały muzyki. Każde jego zdanie kończyło się ich piskiem, choć starały się go tłumić w jego koszuli.

Didier zauważył mnie i odszedł od nich, nie bacząc na ich fochy.

– Co cię zatrzymało? – spytał, ściskając mi dłoń.

Co mnie zatrzymało? Samobójczy atak Arszana na posterunek w Kolabie i legendarny skarb.

– Opowiem ci później. Jak leci?

Didier mnie nie słuchał. Był zajęty dawaniem skandalicznych znaków dziewczynom.

– Jak leci, Didier?

– Mam tam dwie przeurocze panie, które chciałyby poznać cię lepiej niż to rozsądne.

Zrobił gest, jakby prezentował magiczną sztuczkę. Spojrzałem na dziewczyny siedzące o parę metrów dalej. Możliwe, że się uśmiechały. Nie byłem pewien.

Nie wiem, co im o mnie naopowiadał, ale najwyraźniej budziłem w nich trwożną fascynację. Uniosły ręce i poruszyły nimi. Może machały, a może dawały znak, żebym się nie zbliżał. Znowu zrobiły tę dziwną minę i znowu nie potrafiłem jej odczytać. Faceci nigdy nie rozumieją mimiki ładnych dziewczyn. Wstały, całkiem sprawnie jak na dziewczyny przyzwyczajone do siedzenia w kawiarniach, i powoli ruszyły do nas. Ich bose palce badały trawę przy każdym ruchu. Nie, te dziewczyny nie spędzały życia w kawiarniach.

Divy były tancerkami, razem występującymi i ćwiczącymi. Dobrymi tancerkami. To już rozumiałem. Faceci zawsze rozumieją ruchy bioder ładnych dziewczyn.

– Jeśli spytają cię o człowieka, którego zabiłeś – syknął Didier. – Ja będę gadać.

– Nikogo nie zabiłem.

– Nie? – rzucił z powątpiewaniem. – To dlaczego mi się wydaje, że było inaczej?

– Cześć – odezwała się pierwsza dziewczyna.

– Cześć – dodała druga.

– Cieszę się, że tu jesteście – powiedziałem. – Nie odchodźcie, moja żona zaraz wróci z kościoła.

– Żona?

– Z kościoła?

– Tak. Poszła z dziećmi. Czwórka, najstarsze jeszcze nie ma czterech lat. Tak się cieszę, że jesteście dobrymi opiekunkami. Te brzdące to małe demony, a my musimy od nich odpocząć.

– Fuuu!

– Nie jesteście opiekunkami do dziecka? – spytałem niewinnie. – Didier mówił, że możecie przychodzić w poniedziałki, środy i piątki, dwadzieścia rupii za godzinę.

– Fuuu! – rzuciły z obrzydzeniem i odeszły, by usiąść z dwoma ładnymi, dobrze

ubranymi chłopcami, grającymi w zespole na tablach.

– No i coś ty narobił! – jęknął Didier.

– „Człowiek, którego zabiłem”? – syknąłem. – „Ja będę gadać”?

– No wiesz, Lin… Didier jest artystą konfabulacji, wszyscy o tym wiedzą, ale spójrzmy prawdzie w oczy – nie dajesz mi materiału. Pozwoliłem sobie na licencję poetycką. Jeśli powiem ludziom prawdę, tylko Naveen – a i to nie na pewno – i ja będziemy cię uważać za interesującego.

– Co to ma być? Konkurs, kto bardziej spieprzy Shantaramowi tydzień? Daj mi spokój, Didier. Mam już dość jak na jeden dzień.

Didier nie mógł odpowiedzieć, bo nagle rozległ się krzyk:

– Chyba się pali!

Odwróciliśmy się i ujrzeliśmy płomienie na brzegu niedaleko nas.

– To kolonia rybacka – rzucił Naveen.

– Łodzie się palą – oznajmiłem.

– Zostań z Divą! – zawołał Naveen do Didiera, gdy ruszyłem biegiem do motocykla.

– Dziewczyny są ze mną bezpieczne! – odkrzyknął Didier, obejmując ramionami divy Divy. – Ale błagam, nie dajcie się zabić!

# 56

Naveen i ja przejechaliśmy koło tłumów wylewających się z wielkich slumsów w stronę pożaru. Zatrzymaliśmy motocykle na środku jezdni, obok betonowej barierki rozdzielającej pasy. Już z tego miejsca widzieliśmy płonące łodzie.

Na plaży, na której w roju chatek mieszkali rybacy, było ciemno, ale naprzeciwko zatoczki, zaledwie dwadzieścia metrów dalej, znajdowało się skrzyżowanie, i latarnie rzucały zimne światło na pożar.

Lodzie zmieniły się już w czarne, skurczone wersje dawnych siebie. Ich burty nadal jarzyły się czerwonym żarem. Łodzie były już stracone, ale ogień nie zniszczył domów, a ludzie rozpaczliwie starali się je uratować.

Naveen i ja osłoniliśmy twarze chusteczkami, przebiegliśmy przez ulicę i dołączyliśmy do grup z wiadrami. Stanąłem między dwiema kobietami; przejmowałem wiadro od jednej i podawałem je drugiej. Były szybkie, ledwie za nimi nadążałem.

Z plaży dobiegały krzyki uwięzionych w pożarze kobiet i dzieci. Uciekły na płyciznę, ratując się przed płomieniami. Strażacy rzucili się przez dym i ogień na ratunek dzieciom. Ich rękawy i spodnie zapaliły się błyskawicznie od kałuż benzyny i nafty między stłoczonymi chatami.

Jeden z ratowników wyłonił się z wirującego dymu tuż obok mnie z dzieckiem w ramionach. Włosy mu się tliły; nie zwracał na to uwagi. Minął mnie, ale nie mogłem przerwać łańcucha i mu pomóc.

Smród spalonej skóry wpełzł mi do głowy i został tam jak zwłoki konia na prerii wspomnień.

Czy istnieje limit strasznych rzeczy, które można zobaczyć i których można doświadczyć w jednym życiu? Oczywiście, że istnieje: jest nim jedna rzecz lub żadna.

Wiadra przestały krążyć. Wszyscy klęczeli lub patrzyli w niebo. Rozpadał się deszcz. Nawet tego nie zauważyłem. Nadal czułem spaloną skórę i z jakiegoś powodu przypomniałem sobie odciętą głowę na poboczu drogi na Sri Lance. Nadal byłem na preriach przeszłości.

Deszcz lał. Ogień syczał. Strażacy zburzyli najbardziej niebezpieczne ruiny i zdławili pożar. Ludzie tańczyli. Gdybym miał lepszy humor albo gdyby Karła tam była,

tańczyłbym z nimi.

Wróciłem plażą i spojrzałem na ścianę drzew po drugiej stronie plaży za spalonymi łodziami. Z dymu i cienia zaczęły się wyłaniać szare postacie.

Szare postacie, duchy lub demony, zbliżały się ku nam powoli. Wnętrza łodzi były przesycone wsiąkającym w nie od stuleci tranem i otaczający nas dym miał błękitnoczarny kolor. Ludzie, którzy przez niego przechodzili, byli nim ubrudzeni, ponieważ to oni rozpalili ogień. Pokrywała ich szarość popiołu, dymu i sadzy z drzew, wśród których się ukrywali. Deszcz spływał strugami po ich twarzach, zmieniając ich w szare tygrysy, powoli poruszające się w dżungli dymu. Dopiero po paru sekundach dotarło do mnie, że to Skorpiony.

Hanuman, wyróżniający się wśród nich jak maszt i kulejący, wyłonił się z cienia ostatni.

Zdarza się, że gdy miłość i strach połączą się z historią, nawet jeśli to tylko historia tak małego miejsca jak rybacka zatoczka w Kolabie, czas naprawdę zwalnia bieg. Serca zmieniają się w łomoczące młoty i nagle widzisz wszystko jednocześnie. Stajesz się kimś innym – kimś, kto już nie żyje. I twoja percepcja staje się ostra jak nigdy, dostrzegasz każdy zawijas dymu.

Widziałem zbliżających się do nas Skorpionów. Widziałem ludzi nadal tańczących za moimi plecami. Widziałem dzieci, psy i starców siedzących na piasku. Widziałem strażaków stojących między chatami, z parą buchającą ze spalonych mundurów.

Skorpiony nadal znajdowały się jakieś sześćdziesiąt metrów od nas. Miały noże i siekiery. Ogień miał być pierwszym aktem, teraz zaczął się drugi i ostatni.

Wyszarpnąłem noże zza paska i ruszyłem truchtem w kierunku Skorpionów. Nie wiedziałem, co robię. W tamtej chwili wydawało mi się najważniejsze, żeby dać ludziom za mną czas do ucieczki. Krzyczałem. Pewnie nawet wyłem.

Po trzecim czy czwartym kroku przestałem myśleć i coś się stało z moimi uszami. Nic nie słyszałem. Pragnienia, te skrzydła bez ptaków, przeszywały mnie jak włócznie światła.

W obu rękach trzymałem noże i biegłem jak przez tunel, głuchy na dźwięki. Nie słyszałem nawet własnego oddechu. Wydawało mi się, że to trwa wieki, ale wiedziałem, że kiedy się zbliżę, wszystko potoczy się zbyt szybko.

Ktoś biegł obok mnie. Naveen. Ale nie, nie biegł ze *mną*, chwycił mnie za kamizelkę i pociągnął w dół. Upadłem na piasek z takim rozmachem, że świat do mnie wrócił i wrzaski, krzyki oraz syreny natychmiast na mnie runęły. Naveen, który przewrócił się

razem ze mną, przygniatał mnie połową ciała.

Coś wskazywał. Spojrzałem i zobaczyłem policjantów, mnóstwo policjantów pędzących i strzelających raz po raz. Skorpiony padały albo się poddawały. Dilip Błyskawica już kopnął pierwszego. Naveen i ja nadal leżeliśmy na ziemi. Naveen jednocześnie śmiał się i płakał. Trzymał mnie za ramię ze wszystkich sił.

Tamtej nocy mnie pokochał i nigdy nie pozwolił mi w to zwątpić. Czasem nie jest nam dane dokonać najodważniejszego czynu, na który się zdobyliśmy. A czasem iskra, która budzi braterską miłość w mężczyznach niespokrewnionych ze sobą, rodzi się wyłącznie z dobrych intencji.

Patrolowaliśmy rejon zatoczki aż do przybycia Abdullaha, Ahmeda i Wysokiego Tony'ego. Przekazałem Abdullahowi wszystko, co wiedziałem, i wróciliśmy na koncert w Back Bay.

Zespół już odszedł. Zostało tylko paru studentów. Powiedzieli nam, że Didier, ulubieniec palaczy, zostawił wiadomość, że idzie do jakiegoś Johnny'ego Cygaro.

Diva usiadła szybko, gdy tylko przekroczyliśmy próg jej chaty w slumsach.

– Co ty wyprawiasz, idioto? – wrzasnęła.

– Nic mi nie jest – oznajmiłem.

– Nie ty! – warknęła. – Ten drugi idiota. Co ci odbiło? Walczysz z jakimś zasranym pożarem? Odjęło ci ten mały móżdżek?

– Didier się tobą opiekował – odparł Naveen. – Odszedłem tylko na godzinę.

– A kto się opiekował tobą? – syknęła, dziabiąc go palcem w pierś.

Naveen rozpromienił się w radosnym uśmiechu.

– I co się tak szczerzysz?

– Obchodzi cię, co się ze mną stanie – odparł Naveen, kiwając palcem przed jej dumnie zadartym nosem. – Obchodzę cię.

– Oczywiście, że mnie obchodzisz! Co z ciebie za dziadowski detektyw?

– O kurczę.

– To wszystko, co masz do powiedzenia?

– O kurczę.

– Jeśli to powtórzysz jeszcze raz, grzmotnę cię garnkiem. Zamknij ryj i mnie nim pocałuj.

Prawie to zrobili, ale przeszkodziły im przeraźliwy łomot garnków i patelni oraz zgiełk głosów. Ktoś przechodził przez slumsy, robiąc wiele hałasu.

Naveen oddał Divę w ręce Sity, gotów uciekać z nią przez boczne uliczki na wybrzeże morza. Johnny Cygaro, Didier, Naveen i ja stanęliśmy na jedynej ścieżce prowadzącej z głównej części slumsów.

Przez zgiełk przebijał się głos mówiący po angielsku. Należał do Kawity Singh. Kiedy stanęła przed chatą Divy, zorientowaliśmy się, że jest uśmiechnięta, a gwardia honorowa kobiet wita ją z radością. Diva i Sita dołączyły do niej.

– Specjalnie dla ciebie – oznajmiła Kawita, wręczając Divie gazetę. – Dzisiejsza strona tytułowa. Za parę godzin znajdzie się w kioskach, ale pomyślałam, że ty pierwsza powinnaś ją zobaczyć.

Diva przeczytała artykuł, spojrzała na zdjęcia ojca, oddała mi gazetę i padła Naveenowi w ramiona.

Gang, odpowiedzialny za masakrę w domu Devnanich, został schwytany. Bandyci przyznali się do winy i zostali uwięzieni. Był to afrykańsko-chiński syndykat zbrodni, zajmujący się większością farmaceutycznych używek przemycanych przez Bombaj z Lagosu.

Rozbicie gangu i rozwiązanie zagadki było możliwe, jak powiedział rzecznik policji, dzięki współpracy kilku krajów. Tymczasowy prezes Devnani Industries, Radżesz Dżain, raz jeszcze zaapelował do zaginionej dziedziczki majątku, by zgłosiła się po należny jej spadek.

Zagrożenie minęło. Diva mogła zostawić naftowe lampy i wrócić do świata elektryczności.

– Mogę cię poczęstować piersióweczką? – spytał mnie Didier.

Rozmawiał i żartował z Kawitą. Wyraz jej twarzy świadczył, że się jej narzucam i zaraz wyczerpię jej cierpliwość.

– Skąd wiedziałaś, że Diva tu jest? – spytałem ją.

– Przecież masz psychiczną łączność z Karlą – warknęła, pociągając z piersiówki Didiera. – Ty mi powiedz.

– Co to ma znaczyć?

– Może byś tak wrócił do domu. Bo masz dom, prawda?

Nie rozumiałem, o co się na mnie tak gniewa, i mało mnie to obchodziło.

– To cześć.

Wyszedłem na ulicę i właśnie uruchomiłem silnik, gdy obok zatrzymał się inny motocykl i ktoś rzucił moje imię. Był to Rawi, żołnierz firmy, który jeździł ze mną tej

nocy, gdy byłem zwierzyną łowną.

– Abdullah kazał mi cię znaleźć – powiedział, siedząc na motorze, z rękami na wysokiej kierownicy. – Skorpiony zabiły Amira. Farid nie żyje.

– Niech spoczywają w pokoju – odparłem. – Co się stało?

– Skorpiony wywlokły Amira z domu i zabiły go na ulicy.

– O, cholera.

– Farid oszalał. Wdarł się z bronią do policyjnego aresztu.

– I?

– Policjanci uciekli, a Farid zabił trzech Skorpionów siedzących za podpalenie. Ten wielki, Hanuman, ocalił Wisznu. Wziął na siebie sześć kul, no i już po nim. Ten z wąsikiem, Danda, także nie żyje.

– A co z Faridem?

– Psy wróciły z masą broni i zabiły Farida. Podobno dostał sześćdziesiąt nabojów.

– *Y'Allah*.

– Spierdalaj stąd, człowieku. Na ulicy zrobił się western, a ja jestem za bardzo Hindusem, żeby się bawić w Indian i kowbojów.

Odjechał szybko; samotny łącznik w strefie militarnej. Był przestraszony i rozgniewany – u mężczyzny to zawsze złe połączenie.

Nigdy nie widziałem go przestraszonego. Był spokojnym człowiekiem – w każdym gangu jest ktoś taki. Ale utrata prostodusznego Amira, pierwszego do tańca i bitki, oraz Farida Złotej Rączki, najlepszego boksera, członków rady Sanjaya, wystraszyła młodego gangstera.

Nie po raz pierwszy zginął Skorpion, nie po raz pierwszy zginął człowiek firmy. A po nich w tej purpurowej powodzi miało zginąć wielu innych. Rawi żył tak, jakby każdy dzień był jego ostatnim. To była wojna. Klęska wszystkiego.

Wróciłem do Amritsaru. Musiałem się wyspać, a potem się dowiedzieć, kto na ulicy jeszcze nie stracił zdrowych zmysłów. Musiałem sprawdzić, ilu z moich pracowników jeszcze działa, a ilu uciekło.

Zaparkowałem w uliczce, która dzieliła hotel na pół. Chyba za często ją wybierałem, bo straciłem czujność, wycierając motocykl po jeździe.

Kiedy się wyprostowałem, tuż obok mnie stała *madame* Zhou z bliźniakami po obu stronach.

Towarzyszyli jej też dwaj inni mężczyźni: niscy i chudzi, z malującym się w oczach

głodem, którego nic nie potrafi zaspokoić. Trzymali ręce w kieszeniach kurtek. Miotacze kwasu.

– *Madame* – odezwałem się. – Bez urazy, ale jeśli twoi miotacze zaczną wyciągać ręce z kieszeni, dostanę szału. A kiedy będzie po wszystkim, nie będę jedynym, który ucierpi.

*Madame* Zhou parsknęła śmiechem. Może chciała, żebym na pewno zrozumiał, że to śmiech, bo włączyła lampkę ukrytą pod welonem z czarnej koronki. Była to świecąca obroża na baterie, jakiej używa się na imprezach. Nosiła ją na szyi jak naszyjnik.

Welon spływał ze sztywnej wysokiej mantyli zrobionej z czegoś czarnego i błyszczącego. Typowałem martwe pająki. Koronka kładła się na sukni z czarnej tafty sięgającej do ziemi i zasłaniającej stopy.

*Madame* Zhou musiała włożyć buty na bardzo wysokich platformach, ponieważ – choć malutka – niemal mogła spojrzeć mi prosto w oczy. Blask przenikał koronkę, oświetlając jej twarz od dołu.

Podejrzewałem, że *madame* chciała w ten sposób zademonstrować mi swoją sławną porażającą urodę. Nie udało się.

Nadal się śmiała.

– Wie pani, *madame*, jestem zmęczony.

– Dziś umarł twój przyjaciel Vikram – odparła szybko, wyłączając światło.

Zrozumiałem: to światło nie miało rozniecać żądz, tylko gasić nadzieję.

W nagłych ciemnościach jej twarz stała się plamą mroku.

– Vikram?

– Ten kowboj. Nie żyje.

Patrzyłem na czarną dziurę, jej twarz, myśląc o miotaczach kwasu i Karli.

– Nie wierzę.

– To prawda – zapewniła.

Przechyliła głowę, przyglądając mi się niewidocznymi oczami.

Nadal wlepiałem wzrok w miotaczy kwasu. Widziałem ich ofiary. Niektóre z nich znałem: ludzi, których rysy się rozpłynęły, a twarze zmieniły w naciągnięte maski z dziurami po wypalonym nosie, wargach i oczach.

Ci ludzie stali się żebrakami, którzy porozumiewali się z innymi dotykiem.

Na myśl o nich ogarnął mnie jeszcze większy gniew – i dobrze, bo się bałem.

– Skąd wiesz?

– Wszystko jest w dokumentach. To sprawa policyjna. Popełnił samobójstwo.

– Niemożliwe.

– Możliwe – szepnęła *madame* Zhou. – Tak jest. Wziął tygodniowy zapas heroiny i wstrzyknął go sobie. Zostawił list pożegnalny. Mam jego kopię. Chcesz przeczytać?

– Wie pani, *madame*, spotkałem panią tylko dwa razy, a już wolałbym nigdy pani nie poznać.

– To ja dałam mu te narkotyki – dodała.

O, nie, błagał mój umysł. Proszę, nie.

– Najtańsze z moich morderstw – oznajmiła. – Szkoda, że wszyscy ludzie, których nienawidzę, nie są narkomanami. Życie stałoby się o wiele łatwiejsze.

Roześmiała się. Oddychanie zaczęło sprawiać mi trudność. Niełatwo było obserwować całą czwórkę. Piątkę, jeśli doliczyć pajęczycę wielkości małej kobiety zwaną *madame* Zhou.

Łukowaty wylot uliczki był ciemny i pusty. Na szosie nikogo nie było.

– Oszukał mnie – syknęła. – W dodatku w sprawie biżuterii. Nikt mnie nie będzie oszukiwał. Zwłaszcza w sprawie biżuterii. To jest ostrzeżenie, Shantaram. Nie zbliżaj się do niej.

– Może porozmawia pani z Karlą osobiście? Chciałbym na to popatrzeć.

– Nie chodzi o Karlę, głupcze, ale o Kawitę Singh. Nie zbliżaj się do Kawity.

Powoli wyciągnąłem noże. Bliźniacy wyjęli z rękawów pałki. Miotacze kwasu przyczaili się, gotowi do rzutu. *Madame* Zhou znajdowała się na wyciągnięcie ręki. Mogłem ją chwycić i cisnąć na miotaczy kwasu. Był to pewien plan. I wystarczyło jedno uderzenie serca, żeby się urzeczywistnił.

– Zaczynajmy – rzuciłem. – Niech już raz będzie z tym koniec.

– Nie dziś, Shantaram – odparła, cofając się. – Ale na pewno nie pierwszy raz usłyszałeś te słowa.

Odeszła powoli, chwiejąc się na platformach, z suknią ciągnącą się za nią po ziemi – taftowy cień, na widok którego szczury uciekają do swoich nor.

Miotacze się zmyli. Bliźniacy wycofali się za *madame* Zhou, spoglądając na mnie spode łba.

*Madame* Zhou groziła Karli, a teraz przeniosła swoją uwagę na Kawitę. Zniknęła, kiedy jeszcze pragnąłem ją dogonić i skończyć z tą sytuacją raz na zawsze. Ale miałem dość śmierci na tę noc.

Wróciłem do mojego apartamentu, wypiłem coś, wypaliłem ostatnią odrobinę boskiego towaru Lisy, przez jakiś czas tańczyłem przy muzyce, a potem usiadłem do pisania.

Farid i Amir nie żyli. Hanuman i Danda nie żyli. Lodzie i chaty na plaży zostały spalone. I Vikram też już nie żył. Vikram, pasażer pociągu miłości. Vikram odszedł.

Zmiana to krew czasu. Świat się zmieniał i poruszał pod moimi stopami jak wieloryb wyskakujący w powietrze. Szachowe figury same się poruszały. Nic nie było już jak kiedyś, a ja wiedziałem, że przez jakiś czas nie nastąpi zmiana na lepsze.

Ci, którzy umarli niedawno, także są przodkami. Szanujemy łańcuch życia i miłości, celebrując życie, nie opłakując śmierć. Wszyscy to wiemy i wszyscy tak mówimy, gdy odchodzą nasi ukochani.

Ale choć wiemy, że śmierć istnieje naprawdę i choć opowiadamy sobie historie, bólowi straty nie można zaprzeczyć – chyba że raniąc czułość.

Płacz to dobra rzecz. Nie jest racjonalny i nie może być. To czystość wykraczająca poza rozsądek. To esencja tego, kim jesteśmy, i odbicie tego, kim się staliśmy. Miłość.

Płakałem z powodu Vikrama. Wiedziałem, że nie został zamordowany, lecz uwolniony: wiecznie uciekający więzień duszy.

Przeklinałem, piekliłem się i pisałem w dzienniku dziwne rzeczy, które powinny być prawdziwe. Moja ręka miotała się po stronach jak uwięzione zwierzę. Gdy w oczach mi się zamgliło, a czarne słowa, które napisałem, zaczęły przypominać koronkowy welon *madame* Zhou, zasnąłem w sieci złych snów, złowiony i czekający, aż śmierć zakradnie się do mnie.

X

# 57

Grzech to brak więzi, a nic nie zrywa więzi między nami dokładniej niż wielki grzech – wojna. Walka o władzę nad południowym imperium zbrodni sprawiała, że przyjaciele obracali się przeciwko sobie, wrogowie uderzali bez ostrzeżenia, a policjanci błagali o pokój, bo te walki rujnowały wszystkich.

Skorpiony przegrupowały się pod dowództwem Wisznu. Sprowadziły do Bombaju dwudziestu nowych ludzi z północnego stanu Uttar Pradesh. Byli to doświadczeni uliczni wojownicy, nieprzejednani w patriotycznych uczuciach. W pierwszym tygodniu odebrali firmie Sanjaya Flora Fountain i teren Fortu.

Firma, widząc, że jej imperium rozpada się kawałek po kawałku, zareagowała szybko na północną inwazję: zabito przywódcę przybyszów niespełna sto metrów od jego domu.

Hussein Dwa, który jako pierwszy stawał przed laty do walki za Kadirbaja, stanął przed samochodem Sanjaya, gdy szef firmy opuścił swój dom, i tak długo strzelał w okna, aż zabił Sanjaya i jego dwóch afgańskich strażników. Następnie nadał firmie swoje imię, jak często czynią królobójcy, i przywrócił młodemu królowi Tarikowi należne mu miejsce w radzie nowej firmy Husseina. Pierwszą decyzją chłopca było wezwanie do rozlewu krwi. „Zabijcie wszystkich – powiedział podobno. – Zabijcie wszystkich i zabierzcie im wszystko".

W ten sposób firma Husseina pozbyła się dawnego motta: „Prawda i odwaga" i zastąpiła je nowym: „Zabierzcie im wszystko".

Grzech następował za grzechem, aż potężne brzemię zerwało ostatnie więzy tolerancji, a honor i wiara odleciały na zimowym wichrze, zostawiając obnażoną nienawiść.

Karla znowu zaczęła się do mnie odzywać, ale była o wiele bardziej zajęta niż dotąd. Zbyt zajęta, by dzielić ze mną więcej niż jeden posiłek co drugi dzień. Wydawało mi się, że przez jakiś czas nie mogła się otrząsnąć po samobójstwie Vikrama, ale być może pokazywała mi tylko to, czemu sam nie potrafiłem stawić czoła. Przestała się śmiać i uśmiechać. Na jakiś czas stała się Karlą, którą poznałem – wiecznie poważną Karlą. I przestaliśmy u siebie sypiać. Była to próba wytrzymałości,

obmyślona dla zwolnionych więźniów lub muzyków.

Brodziłem w testosteronie, adrenalinie i feromonach, pozbawiony więzi z kobietą, którą kochałem i z którą nie mogłem się kochać, ale z którą rozmawiałem codziennie.

I nadal byłem rozdrażniony. Ale rozdrażnienie stało się w południowym Bombaju czymś naturalnym i nikt nie zwracał na nie uwagi.

Miarą człowieka jest odległość między jego człowieczeństwem a poświęceniem. Ja poświęciłem się Karli, ale przez ten dystans między nami poświęcająca się część mnie samotnie strzegła płomyka na wietrze, podczas gdy człowieczeństwo przemierzało ulice na motorze.

Tak się złożyło, że w tamtych czasach wszystkie ulice miasta były stworzone do takich motocyklowych rajdów.

„Strach jest brakiem prawdy, a chciwość jest brakiem wiary", powiedział mi kiedyś Idriss. Przez sześć tygodni strach i chciwość na zmianę buszowały na ulicach i w slumsach południowego Bombaju – sześć długich tygodni napięcia, napaści, spekulacji i krwi w zaułkach.

Haszysz, marihuana, środki pobudzające, uspokajające i uspokajające na zawsze podrożały pięciokrotnie. Najpilniejsi urzędnicy państwowi czym prędzej podnieśli stawki łapówek, powodując kaskadę korupcji, na której zbili małe fortuny, i podwajając dziesięciorupiową opłatę, której żądali policjanci z drogówki, łapiący za przekroczenie prędkości. Chciwość płaciła przy blasku księżyca, strach był jedynym wiernym towarzyszem na ulicach.

Poznałem chłopaka, który niedawno wstąpił do firmy Husseina, i polubiłem go; godzinę później dowiedziałem się, że został zabity. Kilka dni później to samo spotkało kolejnego młodego wojownika. Od uściśnięcia dłoni po rzucenie garści ziemi na trumnę mijało zaledwie parę godzin.

W obu przypadkach odczułem to boleśnie, choć nie miało to nic wspólnego ze mną. Za każdym razem, gdy poznawałem nowego, palącego się do walki żołnierza mafii, czułem się nieswojo.

Rowerowi Zabójcy brali zlecenia od firmy Husseina i pilnie zabijali ludzi z firmy Skorpionów. Skorpiony zrzucały ludzi Husseina z motocykli. Ludzie Husseina zdetonowali bombę w barze Skorpionów.

Skorpiony okradły bank w południowym Bombaju i nie zostały złapane. W odwecie ludzie Husseina napadli na terenie Skorpionów na ciężarówkę przewożącą pieniądze – i nie zostali złapani. Oba gangi za skradzione pieniądze przekupywały urzędników

bankowych i ochroniarzy, a jeśli nie udało się ich przekupić – zastraszały ich. Bez świadków dochodzenie umarzano.

Każdy posiadacz broni na sprzedaż żądał ceny trzykrotnie wyższej od oficjalnej. Mężczyźni potrzebujący broni sprzedawali ślubną biżuterię żon, by pozwolić sobie na taki zakup. Czasy siekier i noży oznaczających walkę oko w oko przeminęły w ciągu jednego sezonu zimowego słońca. Zastąpiły je czasy strzelanin oko za oko. W ulicznej wojnie każdy ciemny kąt może oznaczać śmierć. Ginęły w nich cztery osoby tygodniowo. Płaciłem dwóm najlepszym młodym wojownikom Komańcza za dyskretne obserwowanie Karli i dbanie o jej bezpieczeństwo. Chciałem to robić sam, ale mi nie pozwoliła.

Wojna o południowy Bombaj skończyła się równie nagle, jak się zaczęła. Firmy Husseina i Skorpionów zawarły rozejm, po którym nastąpiło spotkanie Husseina i Wisznu. Nie wiadomo, co sobie powiedzieli, ale deklaracja, którą potem wygłosili, mówiła nie tylko o pokoju, ale także o braterstwie i integracji. Obie firmy postanowiły stać się jednością. Powstał problem, jak nazwać nową organizację, ponieważ niektórzy żołnierze z grupy Kadirbaja-Sanjaya Husseina oznajmili, że prędzej się zastrzelą, niż nazwą się Skorpionami.

Nowy syndykat mafijny zyskał nazwę firmy Wisznu. Choć Wisznu dysponował liczniejszą grupą, miał też znacznie mniejsze terytorium niż Hussein, więc uznano, że nazwanie firmy jego imieniem zdusi bunt na ulicach i zniechęci zewnętrzne gangi do napaści na południowy Bombaj.

Obaj przywódcy stali się przewodniczącymi rady i obaj szanowali nawzajem swój autorytet. Miejsca w radzie rozdzielono sprawiedliwie między członków byłych gangów, podobnie jak łupy wojenne.

Osiągnięto niełatwą równowagę między ograniczonym zaufaniem i nieograniczoną nienawiścią; by zapewnić sobie współpracę, obie strony wysłały swoich krewnych i krewne, by mieszkali z wrogiem, i w ten sposób umocnili rozejm.

A kiedy ci zakładnicy trafili do rodzin, których zadaniem było dbać o nich jak o własne dzieci i zabić ich, jeśli rozejm zostanie zerwany, sześciotygodniowa wojna skończyła się w jeden dzień i na ulicach znowu zapanowała bezpieczna nieprawomocność.

Gdy nastał pokój, zapłaciłem młodym żołnierzom z siłowni Komańcza, którym powierzyłem opiekę nad Karlą. Przyjęli pieniądze, ale powiedzieli, że nie mogą już dla mnie pracować.

– Dlaczego?

– Bo Karla wynajęła nas jako agentów operacyjnych Biura Zaginionej Miłości.

– Agentów operacyjnych?

– Tak, Linbaba. Fajnie, *na?* Jestem agentem operacyjnym i będę szukać zaginionych osób. Wszystko już załatwione, *yaar.* A jeszcze parę tygodni temu wyrzucałem pijaków z baru Manny'ego!

– Lubię bar Manny'ego – zaprotestowałem.

– Prowadzę pamiętnik – dodał drugi chłopak. – Napiszę scenariusz do hollywoodzkiego filmu! O naszych sprawach i takich tam. Panna Karla jest bombowa. Normalnie bombowa. To na razie, Lin. Dzięki za premię!

– Na razie.

Ruszyłem w objazd po moich cinkciarzach. Kiedy mogłem, byłem przyjazny i pomocny, kiedy musiałem – wredny i agresywny. Rozejm jakoś ciągle się utrzymywał. Widziałem, jak Skorpiony jeżdżą z ludźmi Husseina i jak ramię w ramię zajmują się loterią, prostytutkami i narkotykami, towarzysze zbrodni.

Zrobiłem sobie przerwę, by posiedzieć na motocyklu i popatrzeć na zachód słońca nad Marine Drive. Grupa bębniarzy ćwiczyła na szerokim chodniku. Był to ostatni tydzień sezonu festiwali, a bębniarze z całego Bombaju doskonalili technikę na procesje i śluby, na które ich wynajmowano.

Dzieci wyrywały się rodzicom z rąk, by tańczyć i podskakiwać obok grających. Rodzice stali obok, klaszcząc i kołysząc głowami na boki w takt nieustępliwego rytmu. Dzieci skakały jak świerszczyki, wymachując chudziutkimi rączkami i nóżkami. Przy takiej publiczności bębniarze osiągnęli niemal histeryczną intensywność, śląc swój rytm nad morzem ku zachodzącemu słońcu. Przyglądałem im się, gdy wieczór stawał się nocą, rozlewając atrament na falach.

„Co ty robisz, Karla?" – myślałem. – „Co my robimy?".

Zawróciłem i pojechałem do Leopolda. Miałem nadzieję, że złapię tam Kawitę Singh i opowiem jej o *madame* Zhou. Przez tygodnie, odkąd ten pająk w ciele kobiety wypełzł z cienia pod hotelem Amritsar, parę razy usiłowałem się skontaktować z Kawitą, ale bez skutku. Dopiero gdy zimne spojrzenia recepcjonistów w budynku redakcji stały się lodowate, uświadomiłem sobie, że Kawita mnie unika. Nie wiedziałem dlaczego ani co jej zrobiłem. Postanowiłem, że zaczekam, aż los nas ze sobą zetknie. Ale martwiło mnie, że *madame* Zhou wymieniła jej imię, i nie mogłem pozbyć się wrażenia, że mam obowiązek ostrzec Kawitę. W końcu jeden z moich kontaktów wspomniał, że widuje ją codziennie z Didierem między trzecią a czwartą po

południu u Leopolda.

W Leopoldzie uważali, że Didier sam stał się kimś w rodzaju zaginionego ukochanego i jego częste nieobecności bolały personel. Kelnerzy okazywali mu swoją dezaprobatę, obsługując go z nieskazitelną uprzejmością, ponieważ nic nie wkurzało go bardziej. Didier usiłował ich obrażać, by stracili to nieprzyjemne panowanie nad sobą. Dał z siebie wszystko, rzucił nawet parę obelg, które trzymał w rezerwie na czarną godzinę – ale ani drgnęli, a ich okrutna kurtuazja wbijała mu mały kolec w serce z każdym ohydnym „proszę" i niewybaczalnym „dziękuję".

– Lin – zwrócił się do mnie, siedząc z Kawitą Singh przy swoim stoliku. – Co jest twoim ulubionym przestępstwem?

– Znowu? – spytałem.

Pochyliłem się, żeby pocałować Kawitę w policzek, ale uniosła szklankę do ust, więc tylko pomachałem jej na dzień dobry. Uścisnąłem rękę Didiera i usiadłem obok niego.

– Tak, znowu – mruknęła Kawita, opróżniając szklankę do połowy.

– Już mówiłem: bunt.

– Nie, to druga runda – oznajmił Didier, uśmiechając się tajemniczo. – Kawita i ja postanowiliśmy zagrać. Spytamy wszystkich o drugie ulubione przestępstwo, a potem przetestujemy na nich naszą teorię.

– Macie teorie na temat innych ludzi?

– Przestań – rzuciła Kawita z uśmieszkiem. – Nie wmówisz mi, że nie masz teorii na mój temat.

– A wiesz, że nie mam? Jaką teorię macie o mnie?

– Ach… – rzucił uśmiechnięty Didier. – To by zepsuło zabawę. Najpierw musisz wymienić drugie ulubione przestępstwo, potem sprawdzimy nasze teorie.

– Dobrze. Moje drugie ulubione przestępstwo? Stawianie oporu przy aresztowaniu. A twoje, Kawita?

– Herezja.

– W Indiach herezja nie jest przestępstwem – zaprotestowałem, uśmiechając się do Didiera o pomoc. – Czy reguły waszej gry na to pozwalają?

– Niestety, tak. Odpowiedź to odpowiedź.

– A ty, Didier? Twoje pierwsze ulubione przestępstwo to zdaje się krzywoprzysięstwo, prawda?

– W rzeczy samej – przyznał Didier radośnie. – Powinieneś zagrać z nami.

– Dzięki, ale nie. Ale chciałbym poznać twój drugi typ.

– Cudzołóstwo.

– Dlaczego?

– Bo dotyczy miłości i seksu, ma się rozumieć. Ale także dlatego, że to jedyne przestępstwo, które każdy dorosły w pełni rozumie. Co więcej, ponieważ nie możemy brać ślubu, to jedno z nielicznych przestępstw, których nie może popełnić gej.

– Bo cudzołóstwo jest grzechem, nie przestępstwem.

– Chyba nie pójdziesz teraz w religijność? – prychnęła Kawita.

– Nie. Używam słowa „grzech" w bardziej ogólnym, ludzkim sensie.

– Czy znamy jakieś grzechy oprócz własnych? – spytała Kawita, zaciskając zęby wyzywająco.

– Mocne! – zawołał Didier. – Jestem zachwycony. Kelner! Jeszcze jedną kolejkę!

– Jeśli ludzie nie wierzą, że istnieje jakieś zbiorowe porozumienie co do czegokolwiek, to niech ruszają w swoją stronę. Jeśli przyjmiesz wspólny język, możesz rozmawiać o grzechu w znaczący, niereligijny sposób. Tylko to miałem na myśli.

– Więc, czym on jest? Czym jest grzech?

– Grzech to coś, co rani miłość.

– O! – krzyknął Didier. – Boskie! No, to teraz niech nasza pantera się odgryzie. Dawaj, dziewczyno!

Kawita usiadła prosto. Miała na sobie czarną spódnicę i czarną bluzkę bez rękawów z rozpiętym suwakiem. Jej krótka czarna fryzura, elegancka w każdym mieście świata, muskała wystrzępioną grzywką twarz pozbawioną makijażu, trzydziestojednoletnią i tak ładną, że sprzedałaby wszystko.

– A jeśli całe twoje życie jest grzechem? – rzuciła Kawita kpiąco. – A jeśli każdy twój oddech rani miłość?

– Laską miłości jest to, że zmywa grzechy – oznajmiłem.

– Cytujesz Karlę, tak? – prychnęła Karla. – Bardzo stosowne!

Była zła, a ja tego nie rozumiałem.

– Cytuję – przyznałem. – Nadaje się do cytowania.

– No myślę – mruknęła gorzko.

W jej głosie brzmiała agresywna nutka. Wtedy nie rozpoznałem jej prawdziwego znaczenia.

Przyszedłem do Leopolda, żeby ostrzec Kawitę przed nową obsesją *madame* Zhou. Nie zastanawiałem się nad grą, w którą grała z Didierem, ponieważ czekałem tylko na lukę w rozmowie, żeby przekazać jej wieści. Gdybym zwracał większą uwagę na to, co mówili, jej następna uwaga tak by mnie nie zaskoczyła.

– Grzech? Miłość? Jak w ogóle możesz mówić te słowa? Nie boisz się kary boskiej?

– Zaraz, moment. O co ci chodzi?

– O to, że nigdy nawet na minutę nie zapomniałeś o Karli, będąc w łóżku z Lisą.

– A to skąd ci się wzięło?

Didier pospieszył mi z odsieczą.

– Drugim ulubionym przestępstwem Didiera było ukrywanie zbiega. To uzupełnia jego profil. Chcesz posłuchać?

– Zamknij się! – warknęła na niego Kawita.

– Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to wal śmiało – zwróciłem się do niej.

– Wolałabym cię walnąć w łeb – oznajmiła, odstawiając szklankę.

– Proszę bardzo.

– Lisa chciała cię zostawić dla mnie. Przez jakiś czas przede mną była z Rosanną z galerii, sprawdzała się, ale my byłyśmy kochankami od miesięcy. I gdyby odeszła od ciebie szybciej, dziś by żyła.

No dobrze, pomyślałem. Więc już wiemy. Kawita najwyraźniej nie dostrzegała ironii sytuacji – że była z Lisą, kiedy Lisa była ze mną. Zazdrość nie ma lustra, a niechęć jest głucha na prawdę.

– No, dobra – rzuciłem, wstając. – Przyszedłem tutaj, żeby ci powiedzieć, że niedawno natknąłem się na wariatkę na wolności, niejaką *madame* Zhou, która ostrzegła mnie, żebym się do ciebie nie zbliżał. Teraz widzę, że przyjdzie mi to bez trudu.

Wyszedłem z baru.

– Lin, proszę! – zawołał za mną Didier.

Uruchomiłem silnik i zrobiłem trasę od moich cinkciarzy do banku i z powrotem. Zajrzałem do moich prywatnych oszczędności. Godziny mijały, ja miałem za sobą rozmowy z dziesiątkami osób, ale nie mogłem przestać myśleć o Lisie. Ślicznej Lisie.

Miłość jest zawsze jak lotos, nieważne, gdzie wyrośnie. Jeśli Lisa znalazła miłość albo chociaż radość z Kawitą Singh, którą zawsze lubiłem, cieszyłbym się z tego.

Czy aż tak się od siebie oddaliliśmy, że nie mogła mi powiedzieć o swoim związku z

Kawitą?

Lisa zawsze była zaskakująca i przynajmniej trochę niezrozumiała. Ale ja zadowoliłbym się pocałunkami i zawsze bym ją wspierał, bez względu na to, w którą stronę płynęła jej natura Wodnika. Bolało mnie, że nasz związek nie był wystarczająco bliski. Bolało mnie jeszcze bardziej, że Kawita mogła mieć rację, i że Lisa mogłaby nadal żyć i być szczęśliwa, gdyby zostawiła mnie szybciej i ułożyła sobie życie z Kawitą – może gdybym był bardziej szczery, a ona bardziej chętna do powiedzenia prawdy.

Bolało mnie to tak bardzo, że ucieszyłem się, kiedy dostałem wiadomość od Tuarega. Oznaczała ona, że muszę przejechać parę godzin w korkach, by spotkać się z jednym z najbardziej niebezpiecznych umysłów tego miasta.

# 58

Tuareg był emerytowanym specjalistą, który przez lata pracował w firmie Kadirbaja, pełnoprawnym członkiem rady z prawem głosu, choć nigdy nie uczestniczył w obradach, ponieważ pełnił funkcję specjalisty od tortur.

Jego zadaniem było zapewnianie posłuszeństwa i wydobywanie informacji – coś, do czego chciało doprowadzić wiele osób z firmy, lecz czego nikt oprócz Tuarega nie chciał zrobić. Ale Tuareg nie torturował z sadystycznych skłonności. Po prostu odkrył, że ma do tego talent.

W Afryce Północnej – nikt dokładnie nie wiedział, gdzie – był psychiatrą wyznania freudowskiego. Po przyjeździe do Bombaju zaczął pracować dla firmy Kadirbaja. Wykorzystywał swoje wykształcenie, żeby odkryć najgłębsze lęki swoich pacjentów i powiększyć je tak, by pacjent stał się podatny. Chwalił się po cichu, że to skuteczniejsza terapia niż freudowska psychoanaliza.

Nie widziałem go od lat, odkąd przestał się zajmować torturami, i przeprowadził się do Kharu. Słyszałem, że prowadzi zakłady totalizatora w sklepie z zabawkami.

Wiadomość, w której mnie do siebie zapraszał, każdego innego dnia by mnie zaniepokoiła – Tuareg był denerwujący – ale wtedy ucieszyłem się, że trafia mi się coś, co odwróci moją uwagę i pozwoli mi przewietrzyć głowę.

Ruszyłem na północ, gdzie znajdowała się wówczas względnie odległa dzielnica Khar. Bombaj rozrastał się tak szybko, że jego południowa część, twórcze serce miasta, stała się słabym echem bicia większego serca na północnych przedmieściach. Na do niedawna pustych terenach już zaroiło się od nowych domów i budynków handlowych. Powstawały nowe fabryki mody, projektujące sławę od fundamentów. Ostentacyjne markowe sklepy przy wielkich ulicach rywalizowały z ostentacyjnie bezczelnymi podróbkami na ulicznych straganach, odbijających się w wystawach kopiowanych projektantów.

Minąłem domy i centra handlowe, wzniesione do połowy i już sprzedane, jakby sama nadzieja w końcu znalazła swoją cenę. A długie sznury pełznących w korkach samochodów związywały te połacie aspiracji z akrami ambicji. Te jezdnie były jak szramy na twarzy tego, co uczyniliśmy z Ziemi.

Dom Tuarega, duży i nowoczesny, przypominał marokański pałac. Odziany w czerń ciemnoskóry mężczyzna, który mi otworzył drzwi, wyglądał jak brodaty profesor, naukowiec w roztargnieniu szukający okularów, które ma na czole.

– *Salaam ałeikum, Tuareg*.

– *Wa aleikum salaam*, Shantaram – odpowiedział, ciągnąc mnie za kamizelkę. – Naprawdę musiałeś przyjechać na motocyklu? Wchodź. Straszysz moich sąsiadów.

Zaprowadził mnie w głąb domu pełnego łukowatych drzwi; to wnętrze przypominało ul.

– Mam nadzieję, że zrozumiesz… najpierw muszę cię pokazać żonie, która zdecyduje, czy możesz tu przebywać.

– Ach tak.

Przeszliśmy przez kilkoro drzwi aż do miejsca, w którym wysoki sufit ginął w mroku.

Na środku pomieszczenia znajdował się podest, na który prowadziły trzy stopnie. Stała na nim kobieta w czarnej burce wyszywanej czarnymi migotliwymi kamieniami. Koronka zakrywała jej twarz: ona mogła mi patrzeć w oczy, ja jej – nie.

Nie wiedziałem, czy powinienem się odezwać. Tuareg wysłał wiadomość, a ja się zjawiłem. Nie miałem pojęcia, czego się spodziewać ze strony tej kobiety obsypanej czarnymi gwiazdami.

Przechylenie jej głowy świadczyło, że parę razy zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. Chyba jej się nie spodobałem. Przechyliła głowę w drugą stronę, rozważając tę kwestię.

– Godzina – rzuciła, nadal z przechyloną głową, odwróciła się, przeszła przez łuk, który prowadził do drugiego luku, który prowadził do kolejnego.

Tuareg zaprowadził mnie przez łuki do pokoju *majlis* z grubymi dywanami na podłodze i miękkimi poduchami pod ścianami. Młodzi mężczyźni z jego rodziny podali nam wodę kokosową i humus z gorzką limetką oraz szparagi.

Usiedliśmy na podłodze, a kiedy uporaliśmy się z przekąską, młodzieńcy wrócili z gorącą herbatą, którą podali nam z samowara z długą szyjką. Obmyliśmy ręce w ciepłej, pachnącej mandarynkami wodzie, którą lali nam na dłonie siostrzeńcy i kuzyni, a potem wypiliśmy herbatę, filtrując ją przez trzymane w ustach kostki cukru.

– Jestem zaszczycony twoją gościnnością – odezwałem się, gdy znaleźliśmy się sami i zapaliliśmy sziszę nabitą tureckim tytoniem, marihuaną Kerala i himalajskim haszyszem.

– Jestem zaszczycony, że przyjąłeś moje zaproszenie – odparł Tuareg.

Wiedziałem, co ma na myśli: żaden członek lub były członek firmy nie zareagowałby tak szybko. W czasach, gdy Tuareg pracował dla mafii, był traktowany z chłodnym szacunkiem. Gdy z niej odszedł, wszyscy się od niego odwrócili.

Nie rozumiałem tego. Kiedyś wszyscy czerpali zyski z jego pracy. W każdej chwili mogli zrezygnować, ale tego nie zrobili. Ja pracowałem w paszportach i usługi Tuarega nigdy nie były mi potrzebne. Ale to firma ochraniała mnie przez tyle lat, więc kim byłem, żeby oceniać innych?

Czy podobało mi się to, co robił? Nie. Ale czasem czyny nie świadczą o człowieku i nauczyłem się tego w bolesny sposób.

– Czy wiesz, że jesteś jednym z czterech ludzi, którzy przez te wszystkie lata pracy dla firmy uścisnęli mi rękę? Chcesz poznać nazwiska pozostałych trzech?

– Kadirbaj, Mahoud Melbaaf i Abdullah Taheri – zaryzykowałem.

Parsknął śmiechem.

– Zgadza się. Mój ojciec mawiał: „Gdy idziesz do boju, miej przed sobą wikinga, a za sobą Persa. Jeśli wiking nie wygra, nigdy nie umrzesz sam, bo Pers ci na to nie pozwoli”.

– Chyba wszyscy w razie potrzeby potrafimy się zdobyć na waleczność.

– Zaczynasz filozofować?

Raczej zaczynałem odczuwać działanie trawy i haszu. Główka fajki była wielka jak słonecznik, a mnie czekała długa droga powrotna. Musiałem oprzytomnieć. Rozmawiałem z Tuaregiem kilka razy i przekonałem się, że zawsze jest sobą.

– Chcę powiedzieć, że walczymy, gdy czemuś, co kochamy, grozi niebezpieczeństwo. Nieważne, kim jesteśmy ani skąd pochodzimy. Nikt nie ma na to wyłączności.

Znowu się roześmiał.

– Szkoda, że kiedyś nie rozmawialiśmy tak częściej i że nie możemy znowu rozmawiać. Już nigdy nie wrócisz do mojego domu, chyba że twoje lub moje życie będzie od tego zależeć. To wyjątkowa okazja z wyjątkowego powodu. Bardzo wysoko cenię swoją prywatność. Czy to jasne?

Drugi buch z fajki zaczął działać: czas ziewnął i uciął sobie drzemkę. Twarz Tuarega się rozmyła, raz groźna, raz serdeczna, choć nie zmieniał jej wyrazu.

W porządku, pomyślałem. Nie powinieneś się bać kata, lecz psychiatry.

– Rozumiem – powiedziałem, mając nadzieję, że mój głos nie brzmi tak piskliwie, jak mi się wydaje.

– Dobrze. – Tuareg znowu pyknął z sziszy. – Irlandczyk. Chcesz go znaleźć, a ja wiem, gdzie go szukać.

Concannon. Na sekundę ironia faktu, że zawodowy kat znalazł mojego prywatnego kata, okazała się ponad moje siły. Parsknąłem śmiechem.

– Przepraszam – rzuciłem pospiesznie, odzyskując panowanie nad sobą. – Dobrze wiedzieć, że wiesz, gdzie jest Concannon. Też chciałbym to wiedzieć. Nie śmieję się z tego, co powiedziałeś. Po prostu ten Irlandczyk rozśmiesza człowieka, bez względu na to, jak bardzo chce się go skrzywdzić.

– Jak mój kuzyn Gulab – zgodził się Tuareg. – Poprawił się dopiero, kiedy trzej kuzyni zrobili mu krzywdę.

– Jak się zachowuje?

– Bardzo dobrze. Stał się prawdziwym świętym.

– Ach, świętym?

– Zdecydowanie. To cud, że przeżył, kiedy do niego strzeliłem, nie mówiąc już o innych karach. Ludzie uważają, że los go pobłogosławił. I na pewno tak jest, zwłaszcza w nowej pracy, którą jest rozdzielanie błogosławieństw przy meczecie w Dadarze. A co do Irlandczyka, radzę ci, żebyś go zabił, dopóki możesz.

– Wiesz, ja…

– Mówię serio – powiedział, spoglądając na mnie poważnie. – Ty chyba nic o nim nie wiesz, co?

– Chętnie dowiem się więcej – oznajmiłem. Starałem się wytrzeźwieć bardziej, niż kiedykolwiek starałem się najarać.

– On jest prawdą.

– Nie rozumiem.

– Jest poszukiwaczem prawdy, jak ja.

– To znaczy, że zmusza ludzi do mówienia, tak jak ty kiedyś.

– To nie prawda jest niebezpieczna, lecz ktoś, kto zawsze wie, gdzie ją znaleźć. Irlandczyk jest takim człowiekiem. Widziałem jego akta. Był bardzo dobry w swoim fachu. To chyba młodsza wersja mnie.

Znowu się roześmiał i pyknął z fajki.

– Nie masz pojęcia, ile strachu w sobie nosisz, dopóki ktoś ci nie pomoże go

odnaleźć – dodał po chwili.

To była gra, psychologiczna gra, a ja w nie nie grywam. Nie odpowiedziałem. To on mnie zaprosił, więc prędzej czy później musiał przejść do rzeczy. Zrobił gest w stronę fajki, nalegając, żebym zapalił. Zrobiłem to.

– Za moich czasów u Kadirbaja – podjął – nikt w firmie nie miał większej władzy ode mnie, choć nigdy nie pojawiałem się na zebraniach. Kadirbaj wiedział, że potrafię sprawić, iż źródło prawdy tryśnie na każdej pustyni, nawet z jego własnych ust. Kiedy przekonał się, jak dobry jestem w moim fachu, miał przed sobą tylko dwie drogi: zabić mnie lub wykorzystać. Powinieneś uczyć się od niego.

Przez chwilę patrzył na mnie znacząco.

– Proszę, żadnych rad o zabijaniu – rzuciłem szybko.

Znowu się roześmiał i wskazał rurkę sziszy.

– Pal! – rozkazał.

Dmuchałem tak długo, aż węgielki w dzbanie rozjarzyły go niczym małe słońce, zaciągnąłem się głęboko, zamknąłem wąż i wydmuchnąłem strumień dymu, który dotarł zawijasami fal do ściany sklepionego pokoju.

– Doskonale! – pochwalił Tuareg. – Nigdy nie ufaj człowiekowi, który stroni od haszyszu.

– Bo jest zbyt trzeźwy?

– Bo haszysz lubi rozmowę – odparł Tuareg ze śmiechem. – Więc rozmawiajmy.

– Dobrze. Mów.

– Ten Irlandczyk… nie ciebie nienawidzi, lecz Abdullaha. Od zawsze. Atakuje cię, bo wie, jak bardzo w ten sposób krzywdzi Abdullaha.

– Co o tym wiesz?

– Wiem, że dlatego Irlandczyk spotkał się z twoją dziewczyną w noc jej śmierci.

Nie potrafiłem ukryć wstrząsu.

– Tak, wiem o ostatniej nocy twojej dziewczyny.

– Skąd?

– Najpierw zapal – odparł, wskazując mi sziszę. – Rozumiesz, że pewne informacje należy przyjmować w transie, żeby w pełni pojąć ich znaczenie?

„Dobra”, pomyślałem. „Wszystko jasne”.

– Rozumiem, że przeprowadzasz na mnie psychologiczny eksperyment. Wolałbym brać w nim udział świadomie.

Tuareg lubił się śmiać – kara psychoanalityka – a jego śmiech brzmiał bardzo osobliwie, cienko i szorstko, zawsze z tą samą niezmienną wysokością i tonem. Wszystko śmieszyło go tak samo, a śmiech nigdy nie wybuchał głośniej ani nie przycichał, jak mechaniczna kopia.

„Śmiech i sposób chodzenia zdradzają wszystko", powiedział kiedyś Didier.

– Bardzo pragnę odbyć z tobą przynajmniej jeszcze jedną sesję – oznajmił Tuareg. – Masz rację. To był kolejny mały eksperyment. Wybacz mi.

– Przestań mnie testować.

– Dobrze. Przestanę – rzucił ze śmiechem. – Widzisz, prawie nikt mnie tu nie odwiedza, a ostatnio przestałem opuszczać ten dom. Brakuje mi… czynnych eksperymentów. Czy mam dalej mówić o Irlandczyku?

– Proszę.

– Wraz z Abdullahem zabił pewnego człowieka.

– Co…?

– Niejednego.

To niemożliwe. Nie chciałem w to uwierzyć.

– Skąd o tym wiesz?

Tuareg zmarszczył brwi, wahając się na granicy zdziwienia, gotów znowu się roześmiać.

– Ludzie mi się zwierzają – wyjaśnił.

– Dobra, wiesz co? Już nie jestem ciekawy. Abdullah powie mi resztę.

– Czekaj! Skąd ta niecierpliwość? To informacja powierzona, nie wyegzekwowana. Musisz to wiedzieć o Abdullahu.

– Nie będę o nim rozmawiać za jego plecami. Przepraszam.

– Wspaniale – powiedział cicho Tuareg. – To była kolejna mała próba. Mam nadzieję, że mi ją wybaczysz. Tak mi brakuje obiektów.

– Co to ma być? Sam mnie zaprosiłeś do swojego domu, a nagle okazuje się, że muszę znać hasło, żeby z tobą normalnie porozmawiać?

– Nie, nie, pozwól mi mówić. Jest pewien biznesmen, który był winien firmie pieniądze za ochronę i nie chciał ich zapłacić. Podał Sanjaya do sądu za wymuszenie i narobił mnóstwo hałasu. Problem rozwiązali Abdullah i Irlandczyk. On sam opowie ci, co tam zaszło. Ja mogę tylko dodać, że to bardzo przykra sprawa.

– Co to ma wspólnego z dziewczyną?

Lisa. Lisa. Nie potrafiłem się zmusić, żeby wypowiedzieć jej imię w tym ulu Tuarega.

– To coś, o czym wie ktoś inny.

– Ty tego nie wiesz?

– Nie wiem… na razie.

Spojrzał na mnie. Chyba dobrze się czuł w moim towarzystwie. Nadal nie wiem, jak to o mnie świadczy.

– Wiesz, czym jest tajemnica? – spytał. Jego długa siwa broda poruszyła się w uśmiechu.

– Czymś, czego mi nie powiesz? – odparłem z nadzieją.

– Tajemnica to niewypowiedziana prawda. A Abdullah trzymał to w tajemnicy przed tobą, a wiem, ponieważ wczoraj go o to spytałem.

– Dlaczego go spytałeś?

– Dobre pytanie. Dlaczego je zadałeś?

– Przestań, proszę. Dlaczego go spytałeś o mnie? Bo to ma związek z moją dziewczyną?

– Ten Irlandczyk, Concannon, wie, że Abdullah cię kocha. Uważa, że Abdullah powiedział ci o morderstwie, które razem popełnili. To daje mu dwa powody, żeby cię zabić. To dwudziestoczterogodzinne zlecenie na ciebie nie było żartem, tylko poważnym zamachem na twoje życie. On chciał cię zabić, żeby Abdullah cierpiał, i chce zabić Abdullaha.

– Rozumiem. I dziękuję. Gdzie mogę go znaleźć?

Tuareg znowu się roześmiał. Miałem nadzieję, że wyjaśni, co go tak cieszy. Siedziałem pod tukiem, wśród niekończących się łukowatych galerii i byłem tak ujarany, że nogi zmieniły mi się w galaretę.

– Na tym świecie istnieją tylko dwa gatunki ludzi – oznajmił Tuareg, po raz pierwszy uśmiechając się szczerze. – Ci, którzy wykorzystują, i ci, którzy dają się wykorzystywać.

Ja uważałem, że tych gatunków jest prawdopodobnie o wiele więcej, na pewno więcej niż dwa, ale doszedłem do wniosku, że Tuareg mówi o czymś innym: o powodzie, dla którego mnie tu wezwał.

– Podejrzewam, że ta informacja będzie mnie kosztować – powiedziałem.

– Tak, chcę w zamian przysługę – przyznał. – Ale sądzę, że chętnie mi ją

wyświadczysz.

– Jak bardzo chętnie?

– Chcę wiedzieć wszystko, co wiesz i czego się dowiesz, o Randżicie Choudhry.

– Dlaczego?

– Zamierzam się nim zaopiekować, zanim zrobi to ktoś inny.

– Zaopiekować?

– Tak, w pewnym pomieszczeniu, niedaleko stąd.

Czasem los daje ci garść piasku i obiecuje, że jeśli będziesz go wystarczająco mocno ściskać, zmieni się w złoto.

– Wiesz, Tuareg – oznajmiłem, przygotowując moje galarety do wstania – dziękuję za propozycję, ale sam znajdę Irlandczyka i Randżita.

– Czekaj – rzucił Tuareg. – Przepraszam. To była ostatnia mała próba. Przysięgam, że to już koniec. Czy chciałbyś poznać moje wnioski na twój temat?

– Powiedziałem już, że nie przybyłem tu jako obiekt badań.

– Oczywiście – zgodził się Tuareg ze śmiechem, pociągając mnie w dół obok siebie. – Proszę, zostań i wypij jeszcze trochę gorącej herbaty.

Kuzyni i siostrzeńcy wynieśli talerze i przynieśli nowy samowar z gorącą herbatą.

– Musisz mi wybaczyć – podjął Tuareg. – Bo jąknie, będę musiał chodzić na psychoanalizę przez rok.

Parsknąłem śmiechem.

– Nie, mówię serio – oznajmił, spoglądając mi w oczy poważnie. – Musisz mi wybaczyć.

– Czuj się rozgrzeszony.

– Nie czuję się rozgrzeszony. Czy mi naprawdę wybaczasz?

– Daj spokój, kim, do cholery, jestem, żeby komukolwiek wybaczać?

– Niech będzie. I dziękuję. Mówiąc w ściśle handlowym znaczeniu, bez żadnych testów, jestem w stanie zapłacić znaczną sumę za… prywatną sesję z Randżitem Choudhry.

– Brzmi to atrakcyjnie, ale… – zacząłem, lecz mi przerwał.

– Dwie rodziny zrozpaczonych dziewcząt zapłacą nam wysoką cenę, jeśli Randżit znajdzie się w moich rękach.

– Nie.

– Rozumiem – powiedział cicho. – To był test, którego nie zaplanowałem. Dziękuję. Bardzo mi się podobało. Oto adres Irlandczyka.

Wyjął zza mankietu małą karteczkę i podał mi ją.

– Dziś znajdziesz Irlandczyka w towarzystwie tylko jednego lub dwóch mężczyzn. Będzie odsłonięty. Dziś, o północy, masz okazję, by uderzyć.

– Dziękuję – odparłem. – Ale nie wydam ci Randżita, jeśli go znajdę.

– To jasne. Potrzebujesz pomocy przy porwaniu Irlandczyka?

– Nie chcę go porywać. Chcę, żeby przemyślał swoje opcje.

– A, rozumiem. Zatem niech Allah będzie z tobą. Wypalmy jeszcze jedną fajkę.

– Wiesz, naprawdę muszę lecieć.

– Proszę! Jeszcze tylko jedna.

Kuzyni i siostrzeńcy wymienili starą sziszę na nową, wypełnioną czystą himalajską wodą, jak mi powiedzieli, a potem nabili fajkę czystym himalajskim zielem.

– Nauczałem umysł i torturowałem umysł – zaczął Tuareg, kładąc się na jedwabnych poduszkach obok mnie. Rozdzielała nas taca z herbatą i daktylami. – I wiesz co? Nie ma żadnej różnicy. Zabawne, prawda?

– Nie dla twoich ofiar.

Tuareg zaśmiał się tym mechanicznym śmiechem.

– Wiesz, czym w psychiatrycznym żargonie jest słoń w pokoju?

– Odsetkiem udanych sesji?

– Nie. Odsetek udanych sesji ukazuje tylko tych, którym można i którym nie można pomóc. Słoniem w pokoju jest to, że możemy kształtować zachowanie swobodniej, niż je zrozumieć. Kiedy wiesz, jak zmusić człowieka do dowolnej rzeczy, zaczynasz się zastanawiać, kim naprawdę jesteśmy.

– Nie możesz zmusić nikogo do niczego. Nawet ty. Faktem jest, że zachowania niektórych z nas nie można przewidzieć ani kontrolować. I to mi się podoba.

– Przeżyłeś to – powiedział, znowu podnosząc się z poduszek. – Wiesz, jak to jest.

– Co przeżyłem?

– Tortury – rzucił z błyskiem oczu.

– Więc to po to ta druga fajka, tak?

– Przeżyłeś je. Powiedz mi, czego się nauczyłeś. Proszę, zwierz mi się.

– Wiem, że ludzie, których można wziąć za słabych, okazują się silni, i odwrotnie.

– Tak. Czy pozwolisz mi… wypytać się o to?

– Otóż… nie – powiedziałem, z trudem wprawiając galarety w ruch.

– Czy chcesz, żebym coś ci wyjawił? To nas połączy.

– Otóż… nie – mruknąłem, znajdując siły, by wstać.

– Mam sklep z zabawkami, bo tego chcę. Zgodziłem się prowadzić totalizator tylko dlatego, żeby pokazać, iż nadal jestem wiemy firmie. Sklep jest najważniejszy, totalizator to tylko przykrywka.

– Aha…

– A na imię mam Mustafa. To Kadirbaj nazwał mnie Tuaregiem. Powiedział, że to znaczy „Opuszczony przez Boga”, i że tak nazywano Niebieski Lud, ponieważ nie da się go ujarzmić. Ale na imię mam Mustafa.

– Nie…

– Proszę, przyznałem ci się do dwóch rzeczy, więc jesteśmy braćmi.

– Spoko…

– A dzięki profilowi, który sporządziłem podczas dzisiejszego spotkania, będę dokładnie wiedział, co z tobą zrobić, jeśli opowiesz komukolwiek o moim domu.

Zerknął na zegarek.

– Oj… Widzę, że nasz czas się skończył.

# 59

Kiedy jedziesz na haju, czego nie powinien robić nikt normalny, czas znika. Przybyłem do Kolaby z dalekiego Kharu i nie pamiętałem tej podróży. Jeśli podróż była celem, to nigdy do niego nie dotarłem.

Cokolwiek wydarzyło się po drodze, wracając w głąb Miasta Wysp, czułem się uwolniony od troski i pozbawiony pragnienia. A może było tak, ponieważ miałem adres Concannona i wystarczyło tylko poczekać na północ, by go tam odwiedzić.

Usiłowałem znaleźć Karlę. Nie unikała mnie, ale i na mnie nie wpadała. Wiedziałem, że czasem późno w nocy wypija drinka z Didierem w Leopoldzie.

Zaparkowałem motocykl przed restauracją i wszedłem. Miałem nadzieję, że nie zdradziłem rozczarowania, widząc Didiera samego. Uśmiechnął się do mnie promiennie, a ja również odpowiedziałem uśmiechem, idąc do niego. Po zastanowieniu uznałem, że jednak się cieszę z nieobecności Karli, skoro chciałem się tej nocy rozliczyć z Concannonem.

Didier wstał i długo ściskał mi dłonie.

– Tak bardzo się cieszę, że cię widzę! Zastanawiałem się, gdzie się podziałeś. Źle się czułem, kiedy wyszedłeś po tej rozmowie z Kawitą. Zraniłeś mnie. Nie pomyślałeś o moich uczuciach?

– Wiedziałeś o Lisie i Kawicie?

– Oczywiście – prychnął. – Didier wie o wszystkim. Na co komu Didier, jeśli nie zna wszystkich skandali?

– Nie całkiem rozumiem to pytanie. Skupmy się na moim.

– No… wiedziałem. Kiedy Lisa mnie wystawiła, w pierwszym odruchu pomyślałem, że jest z Kawitą. Sprawdziłem, ale Kawita była na innej imprezie, niedaleko stąd.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? Dlaczego ona mi nie powiedziała?

– Kelner! – zawołał Didier.

– Unikasz odpowiedzi.

– To były dwa pytania, Lin. Kelner!

– I tak unikasz.

– Na pewno nie. Po prostu postanowiłem odpowiedzieć na twoje pytanie po wypiciu dwóch drinków. To nie to samo. Kelner!

– W czym mogę służyć? – spytał miło Miluś.

– Przestań być taki uprzejmy – warknął Didier. – I przynieś nam dwa piwa.

– W tej chwili – wydeklamował słodko Miluś, wycofując się z uniżeniem.

Zachowywał się wkurzająco układnie i Didier w końcu się wkurzył.

– Zejdź mi z oczu! – wrzasnął. – I przynieś to cholerne piwo, człowieku!

Miluś uśmiechnął się zbyt miło.

– Wiesz, że kiedy jesteś zły, robisz się bardzo angielski? – zauważyłem.

– A to świnie! – pieklił się Didier. – Są mili tylko dlatego, że mi to sprawia przykrość. To jak strajk, tylko na odwrót. Najbardziej odrażające wykorzystanie uprzejmości, a uprzejmość przecież świadczy o tym, kim jesteśmy, czyż nie?

– To miłość świadczy o tym, kim jesteśmy.

– No pewnie! – rzucił Didier, tupiąc nogą pod stołem. – Właśnie dlatego ta obłudna uprzejmość jest tak bolesna. Proszę, dopóki tu jesteś, spraw, żeby byli nabzdyczeni i chamscy. Błagam!

– Zobaczę, co da się zrobić. Ale wiesz, trudno zrazić do ciebie ludzi. Może cię upiększę tak jak ty mnie, kiedy mówiłeś o mnie divom. O której twojej ofierze mam opowiedzieć?

– Lin, urażasz mnie.

– Ciebie wszystko uraża. To jeden z powodów, dla których cię kochamy. A mnie uraża, że nie powiedziałeś mi o Lisie.

– Ale, Lin, to taka delikatna sprawa. Trudno powiedzieć to tak po prostu, na głos. Twoja dziewczyna jest biseksualna i ma kochankę. Miałem z tego zażartować? Hej, Lin, wiesz, że twoja dziewczyna lubi języki obce?

– Nie mówię o seksie. Lisa powiedziała mi, że jest biseksualna już po pierwszej nocy. Mówię o związku. Wygląda na to, że ty, Lisa i Kawita wiecie o czymś, o czym ja nie wiem, choć powinienem.

– No… bardzo mi przykro. Czasem tajemnica jest zbyt cenna, żeby ją wyjawić. Wybaczysz mi?

– Koniec z tajemnicami, Didier. Jesteś moim bratem. Nie możesz się odwracać do mnie plecami.

Didier nie wytrzymał. W bladoniebieskich oczach błysnęło mu figlarne światełko jak

blask latarni morskiej wzywającej wędrowca do domu.

– Ja bym chciał, żebyś się do mnie odwrócił plecami…

Troska znikła, ukryta w kurzych łapkach.

Policzki mu się zapadły od nałogów, którym zbyt namiętnie się oddawał, ale skórę miał nadal jędrną, usta wciąż zdeterminowane, a nos władczy. Obciął na krótko swoje kędzierzawe włosy i nosił je z przedziałkiem na bolcu, pewnie za namową Divy. W tej fryzurze wyglądał jak Dirk Bogarde w jego wieku, i było mu w niej do twarzy. Wiedziałem, że dzięki temu zyska nowych zalotników na imprezach.

– Wybaczyłeś mi?

– Zawsze ci wybaczam, jeszcze zanim zgrzeszysz.

– Jestem zachwycony, że mnie dziś odwiedziłeś – rzucił, uderzając się w uda. – Czuję, że zanosi się na ważne rzeczy. Możesz zostać, czy już lecisz jak zawsze?

– Będę tu siedzieć do północy. Do tego czasu masz mnie na wyłączność.

– Wspaniale!

Miluś grzmotnął kuflem o stół przede mną.

– *Aur kuch?* – warknął do mnie. „Coś jeszcze?”.

– Idź stąd – burknął Didier.

– Ależ oczywiście, panie Didier-sahib – powiedział słodko Miluś. – Cokolwiek pan powie, panie Didier-sabib.

– Już rozumiem – zwróciłem się do Didiera. – Poważna sprawa. Musisz zrobić coś wyjątkowo spektakularnego, żeby odzyskać ich brak szacunku.

– Wiem – jęknął. – Ale co?

Do naszego stolika podszedł wysoki barczysty mężczyzna z krótkimi jasnymi włosami i ledwie wykształconym nosem, przez co jego twarz wydawała się tak płaska, że aż dwuwymiarowa.

Kiedy zbliżył się i stanął nad nami, przekonałem się, że jego nos jest rozgnieciony; tyle razy go złamano, że chrząstka się zapadła. Albo bardzo kiepsko się bił, albo stoczył tyle walk, że średnia przegranych odcisnęła na nim swoje piętno.

W każdym razie nie wyglądał zbyt ładnie, kiedy tak stał nad nami. Właściwie nade mną.

– Jak możesz siedzieć obok tego pedała? – spytał mnie.

– Dzięki grawitacji – odparłem. – Znajdź w encyklopedii, jak będziesz miał wolny wieczór.

Wielki facet odwrócił się do Didiera.

– Pluję na ciebie!

– Jeszcze nie – odparł Didier. – Ale się zdarza.

– Bo zaraz coś zdarzy się z twoją twarzą! – zagroził facet, wysuwając dolną szczękę jak łopatę.

– Ostrożnie – ostrzegłem. – Mój chłopak jest wybuchowy.

– Wal się.

Drugi mężczyzna stał w pewnej odległości. Obserwowałem go kątem oka, ale skupiłem się na twarzy jak księżyc w pełni nad naszym stołem.

– Wiesz, co robimy w Leningradzie z takimi jak ty? – spytał facet.

– To samo, co robicie z takimi jak ja wszędzie – odparł Didier spokojnie, rozparty na krześle z ręką w kieszeni marynarki. – Dopóki was nie powstrzymamy.

Rosjanie z Leningradu. Zaryzykowałem otwarte spojrzenie na drugiego mężczyznę, stojącego parę kroków od nas. Był ubrany w cienką czarną koszulę, podobnie jak jego przyjaciel. Krótkie brązowe włosy miał trochę zmierzwione, jasnozielone oczy lśniące, a wyraziste usta skore do uśmiechu. Kciuki założył za szlufki spłowiałych dżinsów.

Był szczuplejszy i szybszy od swojego przyjaciela – i o wiele spokojniejszy. Przez to stał się dla mnie najbardziej niebezpiecznym mężczyzną na sali – z wyjątkiem Didiera, ponieważ wszyscy inni, włącznie ze mną, byli zdenerwowani. Mężczyzna spojrzał mi prosto w oczy i uśmiechnął się dobrotliwie.

Wróciłem wzrokiem do faceta, który zasłaniał głową kilka lamp nad naszym stołem.

– Pokaż, na co cię stać! – krzyknął, uderzając Didiera w pierś. – Walcz!

Klienci pospiesznie opuścili sąsiednie stoliki. Wysoki Rosjanin odepchnął puste stoliki i krzesła na bok i stanął na oczyszczonej przestrzeni, wyzywając Didiera.

– Chodź tu, kurduplu – syknął.

Didier zapalił papierosa.

– Podwójna obrzydliwość! – wrzasnął wysoki Rosjanin. – Pedał i Żyd! Żydowski pedał. Już gorszych nie ma.

Kelnerzy stanęli dookoła. Byli gotowi skoczyć, jeśli wrzaski zmienią się w walkę, ale nikt nie chciał pierwszy nadziać się na wielkiego wściekłego Rosjanina.

– No chodź tu, ty karaczanie.

– Ależ oczywiście – powiedział Didier pogodnie. – Jak dopalę papierosa.

O cholera, pomyślałem – i wiedziałem, że nie ja jeden. Didier zaciągał się z

przyjemnością, delikatnie formując kopczyk popiołu w szklanej popielniczce.

W ciszy towarzysz Rosjanina podszedł szybko do mnie. Wyciągnął rękę, wskazując krzesło obok mojego.

Dobry pomysł. Kiedy się przesunął, rozparłem się na krześle, sięgnąłem za siebie prawą ręką i chwyciłem rękojeść jednego z noży.

– Czy to miejsce jest zajęte? – spytał miło towarzysz wielkiego faceta. – Twój przyjaciel skończy papierosa za jakąś minutę, a ja wolałbym posiedzieć, jeśli się zgodzisz.

– To wolny kraj, Oleg – odparłem. – Dlatego tu mieszkam.

– Dzięki – rzucił, sadowiąc się wygodnie obok mnie. – Ej, nie bierz tego do siebie, ale to trochę stereotyp, wiesz? Jestem Rosjaninem, więc muszę mieć na imię Oleg?

Miał rację. A kiedy facet ma rację, to ma rację, nawet jeśli myślisz o dziabnięciu go nożem w udo.

– Mam na imię Lin – powiedziałem. – I nie wiem, czy mi miło, że cię poznałem.

– I wzajemnie – oznajmił Oleg.

– Jaja sobie robisz?

– Nie – zapewnił ze śmiechem. – Naprawdę tak mam na imię. Oleg. A twój żydowski gejowski przyjaciel za chwilę dostanie w dupę.

Obaj spojrzeliśmy na Didiera, który przyglądał się swojemu papierosowi z wnikliwością gościa z zakładu medycyny sądowej.

– Stawiam na Żyda – oświadczyłem.

– Serio?

– Zawsze stawiam na tego Żyda.

– Ile?

– Wszystko, co mam.

– Wszystko, czyli ile?

– Wszystko wynosi trzy tysiące.

– Dolarów?

– W rublach nie handluję. Papieros się dopala. Wchodzisz?

– Jasne. – Oleg wyciągnął do mnie rękę.

Puściłem nóż, uścisnąłem mu dłoń i znowu dotknąłem rękojeści noża. Oleg machnął na kelnera. Didier prawie dopalił papierosa.

Kelner ominął wzrokiem Olega i spojrzał na mnie zdumiony. Martwił się. Wielki facet nadal czekał na Didiera na oczyszczonym terenie. Wszystko zamarło. Kelner – Sajed – nie rozumiał, co się dzieje. Skinąłem do niego głową, a on przybiegł, nie spuszczając wzroku z wielkiego Rosjanina.

– Poproszę zimne piwo – powiedział Oleg. – I talerz waszych frytek. Sajed mrugnął parę razy i łypnął na mnie.

– W porządku – oznajmiłem. – Ja też nie mam pojęcia, co się dzieje.

– Aha. – Sajed odetchnął z ulgą. – Piwo i frytki, w tej chwili.

Odszedł truchtem, kołysząc rękami i głową.

– W porządku – rzucił w hindi. – Nikt nie wie, co się dzieje.

Kelnerzy odprężyli się, patrząc na ostatnie chwile papierosa Didiera.

– Nawiasem mówiąc, mam nadzieję, że twój przyjaciel wygra – odezwał się Oleg. – Choć, niestety, bardzo w to wątpię.

Didier zgasił papierosa.

– Masz nadzieję, że wygra facet, na którego stawiam?

– *Czort, da* – oznajmił Oleg.

– Co to znaczy?

– „Tak, do diabła” po rosyjsku.

– Mhm.

– *Czort, da*. Zapłaciłbym trzy tysiące dolców, żeby zobaczyć, jak ktoś spuszcza manto temu debilnemu fanatykowi… gdybym był takim facetem.

– Ale nie jesteś.

– Ty go dopiero poznałeś. Ja pracuję z tym debilem od tygodni. Ale nie mogę patrzeć, jak kogoś biją. Nawet jego. Wiem, jak to smakuje, i nie podoba mi się.

– Mhm.

– A jak twój koleś wygra, to będzie tak, jakbym za to zapłacił, ale nie będę miał karmicznego długu.

Didier wstał powoli i wyszedł zza stołu.

– Jak zapłacisz – zwróciłem się do Olega – powinniśmy porozmawiać.

Didier strzepnął płatki popiołu ze zmiętej czarnej aksamitnej marynarki i postawił jej kołnierz.

Wbił głęboko ręce w kieszenie i ruszył do wielkiego Rosjanina.

Wielki Rosjanin machał przed sobą pięściami ogromnymi jak czaszki, w które pewnie często uderzał. Kołysał się powoli. Ja trzymałem rękę na nożu. Gdyby Oleg chciał wmieszać się do akcji, byłem pewny, że zdążę go zatrzymać, zanim wstanie. Ale Oleg założył ręce za głowę, odchylił się na krześle i chłonął przedstawienie.

Didier zbliżył się do wielkiego faceta na półtora kroku i nagle skoczył wysoko w baletowym piruecie, z rękami w kieszeniach. Osiągnąwszy najwyższy punkt, rozłożył szeroko ramiona i spadł lukiem, opierając kolana na piersi Rosjanina, a pistolet na czubku jego głowy.

Potem, znowu z rękami w kieszeniach, cofnął się od przeciwnika. Rosjanin, którego mózg chwilowo przestał działać, upadł najpierw na kolana, a potem, machając rękami, na twarz, rozkwaszając sobie nos.

– Płacisz, Oleg – rzuciłem, kiedy Didier podszedł do baru, żeby załatwić sprawę z kierownictwem.

– Ożeż ty! – mruknął Oleg. – Ten wielki facet w Rosji bije się na gołe pięści w walkach bez zasad.

– Twój wojownik właśnie oberwał za sprawą baletu i dobrze skonstruowanej broni. Płać.

– Nie ma sprawy – odparł Oleg, uśmiechając się ze zdziwieniem. – Jestem Rosjaninem. To my wynaleźliśmy dobrze skonstruowaną broń.

Wyjął z kieszeni zwitek banknotów, oddzielił parę zewnętrznych listków, a resztę schował z powrotem.

– Tajemniczy z ciebie osobnik – powiedziałem.

– Raczej bezrobotny osobnik.

Fakt, że George Skorpion zatrudnił rosyjskich ochroniarzy oraz rosyjska inwazja na Leopolda musiały mieć ze sobą coś wspólnego.

– Niech zgadnę – rzuciłem. – Zajmowałeś się ochroną ostatniego piętra w Maheshu?

– Tak. Wczoraj nas wyrzucił, skurwiel.

– To akurat mój przyjaciel, nawet jeśli skurwiel.

– Przepraszam. Jeśli go znasz, to wiesz, jaki jest skąpy. Podliczył każdą minutę naszego czasu i dał nam dwieście dolarów na do widzenia – za chronienie jego życia. Śmieszne, nie?

– W tym zwitku było więcej niż dwieście dolców.

– W hotelu było kasyno prowadzone przez jakiegoś Bliźniaka.

– Mhm.

– No i poszczęściło mi się i rozbiłem bank.

Oleg, dziecko szczęścia, rozbił bank. Ze wszystkich kasyn na świecie musiał wejść akurat do mojego.

Radośnie uśmiechnięty Sajed przyniósł drinki i jedzenie.

– Pan Didier był niesamowity – wymamrotał do mnie. – Od lat nie widzieliśmy, żeby tak ładnie tańczył! Znokautował tego dużego jednym ciosem.

– A gdzie wytańczysz tego dużego? – spytałem.

– Na ulicę – odparł Sajed, wycierając blat i podsuwając przekąsić Olegowi. Ten złapał za frytkę i skinął nią w moją stronę.

– Mogę jeść? – spytał uprzejmie. – Uwielbiam domowe frytki.

– Twojego przyjaciela właśnie wynoszą na ulicę.

– To mogę czy nie mogę?

– Zaraz wracam – oznajmiłem z westchnieniem.

Znałem zasady. Nieprzytomny Rosjanin zostanie wywleczony z Leopolda, trzydzieści centymetrów za granice terenu lokalu. Znajdzie się wtedy w strefie handlowej. Straganiarze stopniowo przesuną go do rynsztoka, trzydzieści centymetrów od swoich straganów. Wtedy znajdzie się w strefie taksówkarzy, aż w końcu dotrze, nadal nieprzytomny, na jezdnię, skąd zabierze go karetka, o ile wcześniej nie rozjedzie go autobus. Byłem już na miejscu tego człowieka, nieprzytomnego mięsa na łasce świata.

Wezwałem znajomego straganiarza i zapłaciłem mu za to, że zapakuje wielkiego Rosjanina do taksówki i wyśle do szpitala.

Didier nadal odbierał gratulacje i płacił hojnie za przerwę w działalności Leopolda. Wróciłem do stolika, szukając trzeciego Rosjanina. Wiem, że to brzmi trochę paranoicznie, ale to były szalone lata i doświadczenie nauczyło mnie, że zawsze dobrze jest poszukać trzeciego Rosjanina.

– Czy jest tu trzeci Rosjanin? – spytałem, siadając obok Olega.

Ten otarł usta serwetką i odwrócił się do mnie, patrząc mi prosto w oczy bladozielonymi oczami.

– Gdyby tu był trzeci Rosjanin, to mnie by tu nie było. Wszyscy się boją Rosjan. Nawet Rosjanie boją się Rosjan. Jestem Rosjaninem. Wiem, co mówię.

– Dlaczego Skorpion was zwolnił?

– Wiesz, to twój przyjaciel…

– Oraz wariat. Powiedz.

– No, tak jakby świrował na tle klątwy, którą rzucił na niego jakiś święty mędrzec. Ja osobiście zabiłbym faceta, który na mnie rzuca klątwy, albo zmusił go, żeby wszystko odwołał. Ale ja jestem Rosjaninem, a my inaczej patrzymy na takie sprawy.

– No, ale co się stało?

– Mój były szef, a twój przyjaciel, zatrudnił testerów jedzenia.

– Kogo?

– Spotkałeś kiedyś testera jedzenia?

– Nie. Ale ty najwyraźniej spotkałeś.

– Hinduskie dzieci. Miłe. Pierwsze próbują jego jedzenie, żeby sprawdzić, czy nie jest zatrute.

Wiedziałem, że w orlim gnieździe Skorpiona źle się dzieje. Bliźniak już mi to mówił. Ale nie brałem obsesji Skorpiona poważnie. Jeśli Oleg mówił prawdę, Skorpion miał kłopoty. Był dobrym człowiekiem, który się znalazł w złej sytuacji. W takich chwilach powinni wkroczyć przyjaciele. Ale ja miałem w kieszeni adres Concannona, a w Leopoldzie chciałem tylko zabić czas do północy, dlatego zapomniałem o przyjacielskich powinnościach.

– Wyrzucił was czy odeszliście?

– Powiedziałem, że nie mogę pozwolić, żeby dzieci próbowały jego jedzenie. Zaproponowałem, że sam to zrobię. Jestem zawsze głodny. Ale on nie przyjął dobrze tej krytyki. Wyrzucił nas obu.

– Kto wam zapłacił za to, żebyście tu przyszli i narobili kłopotów?

– Nie mnie, jemu. To on poprosił mnie, żebym wypił z nim ostatniego drinka. Zgodziłem się w nadziei, że nigdy więcej go nie zobaczę. A on po drodze powiedział, że dostał prywatne zlecenie na sponiewieranie jakiegoś francuskiego geja w barze.

– I postanowiłeś się dołączyć?

– Pomyślałem, że jeśli nie przypilnuję tego wariata, gotów kogoś zabić, a to źle wpłynie na moją wizę.

– Aleś ty humanitarny.

– A ty, kurwa, kto, żeby mnie oceniać?

Uśmiechał się, przyjazny jak szczeniak. I znowu miał rację, a kiedy facet ma rację, niewiele można zrobić.

– Wal się – mruknąłem. – Jeśli przyszedłeś tu skrzywdzić mojego kumpla, najpierw

musisz się zająć mną.

– Więc się zajmę! – zawołał Oleg, rozbijając mój bojowy nastrój.

– Co?

– Zajmuję się tobą – krzyknął Oleg. – Uściśnij mnie!

Poderwał mnie z krzesła – był silniejszy, niż się spodziewałem – i chwycił w objęcia.

Los nigdy nie walczy otwarcie. Los się zakrada. Świat brnie przez jeziora czasu, a każde jezioro, w które wpadałem, dziko i czule wciągało mnie głębiej w objęcia mojego zaginionego brata z Australii.

Wyzwoliłem się i znowu usiadłem. Oleg uniósł rękę, żeby zamówić kolejkę, ale go powstrzymałem.

– Jesteś bezrobotny? – spytałem.

– Tak. Co proponujesz?

– Trzy lub cztery godziny pracy.

– Od kiedy?

– Z grubsza biorąc… od teraz.

– Co miałbym robić?

– Być może wywalczyć sobie wejście i prawdopodobnie wyjście. Ze mną.

– Wejście do czego? Banków nie obrabiam.

– Domu.

– Dlaczego musimy sobie wywalczyć wejście?

– Bo ludzie, którzy znajdują się w tym domu, jakoś mnie nie lubią.

– Czemu?

– Obchodzi cię to?

– Nie w tym rzecz.

– Jaka rzecz?

– Te pieniądze, które dziś przegrałem w zakładzie. Razy dwa.

– A, ta rzecz. Świetnie. Wchodzisz?

– Zabiją nas?

– Obchodzi cię to?

– Oczywiście, że mnie to obchodzi! Ty też mnie obchodzisz, a dopiero cię poznałem.

– Nie sądzę.

– Jestem Rosjaninem. Szybko nawiązujemy więź.

– Nie sądzę, żeby nas zabili.

– Dobrze, to przeciwko ilu ludziom stajemy?

– Trzem. Ale jednym z nich jest pewien Irlandczyk imieniem Concannon. On wystarczy za dwóch.

– Skąd są dwaj pozostali?

– Co cię to, kurwa, obchodzi?

– Od narodowości zależy cena. Wszyscy o tym wiemy.

– Nie robiłem ankiety, ale jakiś czas temu słyszałem, że Concannon pracuje z Afgańczykiem i Hindusem. Mogą tam być.

– Czyli trzej faceci?

– Możliwe, że dwaj i Irlandczyk, który wystarczy za dwóch.

– Irlandczyk, Afgańczyk i Hindus?

– Możliwe.

– Przeciwko Rosjaninowi i Australijczykowi… – powiedział w zamyśleniu.

– Skoro chcesz tak na to patrzeć…

– Razy cztery.

– Cztery?

– *Czort, da*.

– Dlaczego?

– Za Afgańczyka i Rosjanina w tym samym pomieszczeniu w tych czasach płaci się ekstra.

– Tysiąc dwieście za to, że będziesz dziś walczyć? W życiu!

Didier ruszył do naszego stolika. Powitały go oklaski, a on parę razy ukłonił się ludziom przy stolikach.

– Coś ci powiem – oznajmił Oleg, pochylając się do mnie. – Pójdę z tobą i jeśli się nie sprawdzę, w ogóle mi nie płać. Lecz jeśli będziesz ze mnie zadowolony, daj mi, ile żądam.

– Didier, poznaj Olega – rzuciłem. – Zakochasz się w nim.

– *Enchanté, monsieur* – powiedział Didier uwodzicielsko.

– Nie przeszkadza panu, *monsieur*, że tu siedzę? – spytał Oleg uprzejmie. – Zważywszy, że wszedłem do baru w towarzystwie wariata?

– Kto z nas nie wszedł do Leopolda w towarzystwie wariata? – powiedział Didier wyrozumiale. – A Didier potrafi zauważyć człowieka z charakterem z odległości pięćdziesięciu metrów… i strzelić mu w serce z tej samej odległości.

– Widzę, że się dogadamy – oznajmił Oleg, wygodnie opierając ramiona na stole.

– Kelner! – krzyknął Didier. – Jeszcze kolejkę!

Powstrzymałem kelnerów uniesioną ręką.

– Wychodzimy, stary. Nic ci nie jest?

– Ależ, Lin! – jęknął naburmuszony Didier. – Jak mam świętować moje zwycięstwo? Kto ze mną wypije?

– Następny wariat, który tu wejdzie, bracie – odparłem, biorąc go w objęcia.

# 60

Pojechaliśmy do Parel, opuszczonej dzielnicy przemysłowej. Tuareg twierdził, że Concannon przeniósł sprzedaż narkotyków do byłej przędzalni, podzielonej na małe lokale do wynajęcia. W nocy dzielnica zamieniała się w miasto duchów – i to dosłownie. Wiele osób donosiło, że widziało duchy w mrowiu chat wokół przędzalni. Mężczyźni i kobiety żyli, pracowali i umierali na tym terenie od dwóch pokoleń, zanim przędzalnię zamknięto. „Wiesz, co to są duchy? – spytał mnie kiedyś Johnny Cygaro. – To biedni ludzie, którzy umarli".

– Pusto tu jakby – zauważył Oleg, kiedy zaparkowaliśmy motocykl i ruszyliśmy ku rzędom szarych, milczących zabudowań.

– W nocy przeważnie jest pusto – wyjaśniłem. – Concannon pracuje w czwartym budynku. Hala 4A. Nie gadaj tak głośno.

Szliśmy wzdłuż siatki, na której wisiały tablice reklamowe zachęcające do rujnujących inwestycji w ziemię i giełdę.

– Co by się nie stało – szepnął Oleg – to będzie cholernie dobry materiał.

Stanąłem i zatrzymałem go, kładąc mu rękę na piersi.

– Materiał? – rzuciłem szeptem.

– Tak.

– Jesteś dziennikarzem?

– *Czort*, *niet* – szepnął.

– Co to ma znaczyć?

– „Nie, to diabła" po rosyjsku. Odwrotność „tak, do diabła".

– Zacząłeś mnie uczyć rosyjskiego? Akurat teraz? – syknąłem. – Jesteś dziennikarzem czy nie, Oleg?

– Nie. Jestem pisarzem.

– Pisarzem?

– Tak.

– Rosyjskim pisarzem? Żartujesz, nie?

– No, jestem pisarzem. I jestem Rosjaninem, więc wychodziłoby na to, że jestem rosyjskim pisarzem, jeśli chcesz o tym tak myśleć. Idziemy się bić czy już ci się odechciało?

Pochyliłem się, opierając ręce na kolanach. Usiłowałem podjąć decyzję, czy wolę stanąć w hali 4A przeciwko dwóm facetom i podwójnie liczącemu się Concannonowi sam, czy z rosyjskim pisarzem. Nie była to łatwa decyzja, ale może po prostu pisarze tak mają.

– Rosyjski pisarz – szepnąłem.

– Masz coś przeciwko rosyjskim pisarzom?

– Kto nie ma czegoś przeciwko rosyjskim pisarzom?

– Serio? A Aksjonow? Wszyscy lubią Aksjonowa.

– Wal się – szepnąłem.

– A Turgieniew? Turgieniew jest zabawny.

– Aha. Całkiem jak Gogol.

– Gogol właściwie nie był Rosjaninem – skorygował Oleg ochrypłym szeptem – tylko ukraińskim Kozakiem. Jednym z wielkich ukraińskich pisarzy.

– Dość.

– Zaraz. – Oleg chwycił mnie za ramię. – Jesteś pisarzem? O to chodzi, tak? Ha! Ale numer! Dwóch pisarzy wyruszających na misję!

– No, ożeż ty, kurwa!

– A właściwie, co to za misja?

Z Rosjaninem mógłbym zaskoczyć trzech ludzi, załatwić sprawę z Concannonem i wycofać się, nie robiąc nikomu krzywdy z wyjątkiem Concannona i siebie. Bez Olega musiałbym pociąć ludzi Concannona – i dlatego chciałem mieć towarzystwo. Ale wybrałem sobie pisarza. Rosyjskiego pisarza.

– No i jest Lew Łunc – szepnął Oleg z nadzieją. – Uwielbiam go.

– Zamknij ryj – odszepnąłem.

Wyprostowałem się i powiodłem wzrokiem dokoła. Z jednej strony długiej, szerokiej ulicy biegły tory. W chatach przędzalni Nissena, ciągnących się jak rzędy kurhanów, panowała cisza.

W zasięgu wzroku nie było ani jednej żywej duszy. Nawet bezdomne psy buszowały gdzieś daleko. Panował spokój, taki jak w niebezpiecznych miejscach, jeśli się ich nie boisz. Chłonąłem go, bo się bałem i chciałem powstrzymać Concannona bez dalszego

rozlewu krwi, choć czułem, że to nie będzie łatwe.

– A tak właściwie, dlaczego ja? – szepnął Oleg. – Czemu nie twój przyjaciel Didier albo ktoś inny?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Oczywiście – odparł, patrząc na mnie przenikliwie. – To będzie dobry materiał.

– Bo znam przyjaciół, którzy by ze mną poszli, ale mogłaby im się stać krzywda i źle bym się z tym czuł. A jeśli tobie się stanie, nie będę się źle czuć. Rozumiesz, prawda?

– Pewnie – szepnął, uśmiechając się radośnie. – Bardzo dobry powód. Gdybym był w takiej sytuacji, też bym kupił twoje życie.

– Nie kupuję twojego życia, panie Dostojewski. Kupuję twój czas podczas walki. Jasne?

– Jasne – zgodził się pogodnie Oleg. – Cieszę się, że sobie porozmawialiśmy.

– W takim razie powiem ci coś jeszcze. Jeśli zbliżysz się do mojej dziewczyny, to cię potnę.

– Ty masz dziewczynę? – szepnął z niedowierzaniem Oleg.

– A to co miało znaczyć?

– No…

– Tylko spróbuj ją brać na rosyjskiego pisarza, to cię potnę.

– O tym cięciu załapałem za pierwszym razem – zapewnił mnie szeptem. – To nie jest coś, o czym się łatwo zapomina.

Uśmiechał się od ucha do ucha, a ja nie miałem pojęcia, dlaczego. Albo nie tracił humoru bez względu na okoliczności, albo wiedział coś, o czym ja nie miałem pojęcia.

– No co? – rzuciłem, marszcząc brwi.

– Naprawdę masz dziewczynę?

– Nawet się do niej nie zbliżaj ze swoim rosyjskim eposem.

– Dobra, dobra – powiedzieli, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Co się tak szczerzysz?

– Strasznie fajnie jest robić coś godnego opisania z innym pisarzem. Potem powinniśmy razem stworzyć opowiadanie. Mam już parę świetnych pomysłów.

– Przestaniesz w końcu? Możemy oberwać konkretny wpierdol. Ten Irlandczyk jest szalony i twardy jak wolfram. Uważaj.

– Dobrze, dobrze, wyluzuj. Zainwestowałem w to tysiąc dwieście dolarów.

Spuścimy łomot Irlandczykowi i jego ziomkom i pójdziemy się upić.

Ruszył sprintem do hali 4A. Sam. Ci Rosjanie!

Pobiegłem za nim i złapałem go przed wejściem. Przekradliśmy się wzdłuż ściany wielkiego hangaru o półkolistym dachu i zerknęliśmy w wysokie okno.

Concannon siedział z dwoma facetami. Grali w karty na masce nieskazitelnego czerwonego pontiaca laurentian, częściowo zasłoniętego srebrną plandeką.

– Gotowy? – szepnąłem.

– Gotowy na co? – odszepnął Oleg. – Jak wygląda plan?

– Wchodzimy drzwiami i prowokujemy Irlandczyka.

– A nie powinniśmy się raczej zakraść?

– Gdybym lubił się zakradać, przyniósłbym broń.

– Nie masz broni?!

Otworzyłem drzwi i wkroczyłem do hali. Oleg szedł tuż za mną. Zatrzymaliśmy się przed Concannonem i jego kumplami.

Afgańczyk trzymał ręce na kolanach. Hindus trzymał ręce na kolanach. Nie widziałem, czy mają broń.

Ręce Concannona widziałem wyraźnie. Bił brawo.

– Z tobą jest lepsza zabawa niż z pijaną zakonnicą! – zawołał. – Słyszałem, że nie żyjesz. Widzę, że to tylko podła plotka.

– Załatwmy to – rzuciłem. – Ty i ja, sami.

– Chcesz walczyć, chłopaku?

Nadal się uśmiechał. Uświadomiłem sobie, że można znielubić uśmiech.

– Chcę, żebyś zwinął interes i nie zbliżał się do mnie i moich przyjaciół. Jeśli się zgodzisz, usiądę z tobą i złoję ci dupę w pokera.

– A jeśli nie?

W jego oczach iskrzyły się zimne gwiazdy, przefiltrowane przez wilgotne światło.

– Wtedy będziemy się bić, ty i ja, tu i teraz, i załatwimy to raz na zawsze.

Concannon rozparł się z uśmiechem w plastikowym fotelu.

– Weź go na cel, Gowinda – odezwał się cicho.

Więc to Hindus miał broń. Afgańczyk wstał, nadal trzymając karty.

– Tak, szefie – powiedział Gowinda.

– Stań koło jego przyjaciela – polecił mu Concannon.

Gowinda wstał i ruszył ku nam.

– I nie spuszczaj z muszki Australijczyka, chłopcze – ostrzegł Concannon. – Jest niegrzeczny. Jeśli choćby drgnie, zastrzel go.

– Tak, szefie – odparł Gowinda, uśmiechając się do mnie.

Jego oczy lśniły w półmroku hali jak opale. Gdy dotarł do Olega, wbił mu broń w brzuch. Oleg nadal się uśmiechał. Wyglądało na to, że tylko ja tu nie mam humoru.

– Przychodzę tu otwarcie, jak mężczyzna, a ty wyciągasz broń? – rzuciłem.

To go uraziło, bo obaj wiedzieliśmy, że mam rację. Chęć do walki rosła w nim szybko.

– Drobne ubezpieczenie – powiedział, z trudem panując nad wściekłością.

– Jeżeli popełnisz błąd, Concannon, nie tylko my zginiemy.

Powiedziałem to do wiadomości jego pomocników, Afgańczyka i Hindusa.

– Gowinda na pewno umrze – dodałem. – I Afgańczyk. – Odwróciłem się do tego ostatniego. – *Salaam aleikum.*

Nie odpowiedział.

– *Salaam aleikum* – powtórzyłem, wykorzystując jedną z milszych zasad islamu, zgodnie z którą szczere powitanie powinno się spotkać z co najmniej równie szczerą odpowiedzią.

– *Wa aleikum salaam* – rzucił w końcu.

– Jak masz na imię?

Otworzył usta, ale Concannon mu przeszkodził.

– Nie gadaj z nim, ty pogański debilu. On ci chce spierdolić psychikę, nie widzisz? Żyje z tubylcami, więc gada jak tubylec. Ale to tylko po to, żeby wam spierdolić te słabe pogańskie móżdżki. Patrz i podziwiaj, jak ja spierdolę jego mózg.

Wstał i obszedł samochód, by znaleźć się tuż koło mnie.

– Jeśli coś zrobi – rzucił do Gowindy – zastrzel jego kumpla. Pomogę ci później pociąć zwłoki.

– Tak, szefie.

Concannon stanął naprzeciwko mnie, powoli kołysząc się na boki, z ustami wygiętymi w uśmiechu.

– Wiem, czego chcesz się dowiedzieć – oznajmił.

– Chcę, żebyś dał spokój. To wszystko.

– Ha! Nieprawda. Chcesz usłyszeć odpowiedź na bardzo ważne pytanie.

– O co ci chodzi?

– Pytanie – zanucił. – Pytanie, pytanie.

– Mów!

– Zapamiętaj moje słowa, Gowinda! – rozkazał Concannon, nie odrywając ode mnie wzroku. – Jeśli rzuci się na mnie, zabij jego przyjaciela. Ja zajmę się tą pizdą.

– Tak, szefie.

– Chcesz wiedzieć tylko jedno – oznajmił, pochylając się do mnie. – Czy przeleciałem tę twoją słodką małą Amerykankę, zanim zostawiłem ją z Randżitem, czy nie.

Żyły zaczęły mi nabrzmiewać, od zaciśniętych szczęk po oczy i czoło. Wściekłość wycisnęła ze mnie pot. To było coś innego, coś nowego, coś, czego tu nie przyniosłem. Kiedy Concannon sprowadził do tego pomieszczenia Lisę, walka zaczęła dotyczyć jej.

– Wiesz, Concannon, Wielki Głód nie zabił w tobie Anglika, bo ty po prostu jesteś Anglikiem, tylko z irlandzkim akcentem – odgryzłem się, żeby go sprowokować.

Rzucił mi się do gardła, ale uskoczyłem i wycofałem się w stronę samochodu.

– Dlaczego tego nie zrobimy? – spytałem. – Podejrzewam, że jesteś mocny tylko w gębie. Sprawdźmy i raz z tym skończmy. Jeśli skopiesz mi dupę i jesteś gotów uścisnąć mi rękę i być moim przyjacielem, chętnie uznam twoją wyższość. Brzmi sprawiedliwie, Gowinda?

– Tak, szefie – odpowiedział odruchowo ochroniarz.

– Zamknij się, debilu – warknął Concannon.

– Twój człowiek nie odbezpieczył sumienia – oznajmiłem. – Zróbmy to bez broni. Brzmi sprawiedliwie, Gowinda?

– Zamknij się! – wrzasnął Concannon. – Wszyscy milczeć!

Przez chwilę mierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

Czy się nie mylę? Czy się nie mylę, wracając dziś do tamtego uśmiechu na twarzy mojego wroga i widząc wahanie w oczach człowieka, który kochał walkę?

– Dobra, skoro chcesz walki, to przyszedłeś w dobre miejsce – oznajmił w końcu. – Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli puszczę muzyczkę? Zawsze puszczam muzyczkę, kiedy spuszczam wpierdol. Zastanawiałem się nad zrobieniem składanki moich ulubionych kawałków.

Włączył odtwarzacz połączony z głośnikami w samochodzie. Z czerwonego pontiaca

bluznęła irlandzka muzyka. Concannon stanął w pozie, gotowy do walki, z pięściami przed sobą.

– No to się nie krępuj – rzucił.

Skoczyłem na niego, powaliłem na ziemię, a w locie uderzyłem pięścią w udo, dokładnie tam, gdzie Abdullah do niego strzelił. Zanim runęliśmy na podłogę, udało mi się powtórzyć dwa silne ciosy. Concannon zawył z bólu i upadł na kolano.

Poderwałem się na równe nogi i ominąłem jego gardę, sięgając do oczu. Pozwoliłem się uderzyć w potylicę. Czułem impet uderzeń, ale ból do mnie nie docierał. Zakrzywiłem palce, wdzierając mu się w oczodół. Szybko mi się wyrwał, ale zraniłem go na tyle, że musiał zamknąć krwawiące oko.

Z jednym niewidzącym okiem i zgiętym kolanem zaatakował rutynową kombinacją ciosów, przed którą przestrzegał mnie Naveen. Uskoczyłem i zbliżyłem się na tyle, że złapałem go za obojczyk i pociągnąłem w dół, dodając cały ciężar mojego ciała. Kość się obluzowała, a Concannon ryknął, machając ręką w cierpieniu.

W więziennych walkach nie chodzi o walkę. W więziennych walkach chodzi o wygraną i śmierć.

– A, więc to tak? – rzucił, usiłując się ode mnie oddalić i trąc oko.

– Tak, właśnie tak.

Znowu się do mnie zbliżył, ale rzuciłem się na podłogę i chwyciłem go za jaja, wykręcając je. Nie puściłem ich, padając. Concannon skulił się na podłodze, usiłując ochronić swoje rodowe klejnoty.

Dźwignąłem się na kolana i uderzyłem go ze wszystkich sił. To nie wystarczyło, więc powtórzyłem cios.

Concannon usiadł chwiejnie. Śmiał się i nadal trzymał się za jaja zdrową ręką. Śmiał się i kołysał się na podłodze jak dziecko na kocyku.

– Oszukiwałeś, ten gość jest świadkiem – oznajmił, wskazując na Olega.

– A ten kawał ołowiu, którym mnie ostatnio uderzyłeś? Co to miało być, kodeks honorowy? A to dwudziestoczterogodzinne zlecenie na mnie? To było zgodne z regułami? Daję ci szansę, żebyś się zamknął i dla odmiany kogoś posłuchał. Daj mi spokój, Conannon.

– Oszukiwałeś, synu – odparł, usiłując się śmiać. – Musisz się wyspowiadać z tego grzechu, wiesz.

– Jeśli nie przestaniesz się do mnie przypierdalać, będę miał większy grzech.

– Wiesz, chłopaku, o wiele bardziej cię lubiłem, kiedy nie żyłeś – rzucił ze śmiechem. Zamknięte oko mu krwawiło. – Gowinda, zastrzel tego gnoja. Strzel tej piździe w głowę.

Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Gowinda poruszył ręką, Oleg wyjął nóż i chlasnął go przez twarz, po czym odebrał mu broń, zanim ta wypadła.

Gowinda wrzasnął z bólu i rozpaczy, że jego twarz filmowego bohatera właśnie przeszła do innej kategorii ról. Oleg uderzył go jego bronią i Hindus umilkł.

Afgańczyk nadal trzymał karty w dłoni jak mały wachlarz. Ja miałem nóż, Oleg broń.

– Na twoim miejscu, przyjacielu, teraz bym spasował – powiedział do niego Oleg z uśmiechem i bronią w opuszczonej ręce. – Choćbym miał najlepsze karty.

Afgańczyk upuścił karty i uciekł.

– Zwichnąłeś mi obojczyk, ty pizdo – stęknął Concannon. Głowa opadła mu na bok. – Nawet nie mogę podnieść ręki. Jakbym mógł, tobym cię rozwalił jednym ciosem, obaj to wiemy.

– Daj. Mi. Spokój.

– Słodka, słodka, słodka Lisa.

Znowu go uderzyłem. Runął na wznak, z rozrzuconymi rękami, ale nie stracił przytomności.

„Co mam zrobić?", pomyślałem. „Zabić go? Nie, dopóki nie spróbuje zabić mnie".

Concannon leżał na podłodze z jednym zamkniętym okiem i uszkodzonym obojczykiem. Nie próbował się podnieść. Ale ciągle gadał i chichotał, jakby to był żart, który sam sobie opowiadał.

Olegowi to się nie spodobało. Chciał go zakneblować, ale zwróciłem mu uwagę na karmiczny dług, który będzie nad nim wisieć, jeśli Concannon się udusi. Dlatego Oleg tylko go uderzył i zrobił to bardzo sprawnie. Concannon zapadł w drzemkę. Zostawiliśmy go pod opieką rannego Gowindy. Ostrzegłem, że straci coś więcej niż gładką buzię, jeśli znowu zobaczę go w południowej części Bombaju.

– Zabieram twoją broń – oznajmił Oleg. – Jeśli zechcesz ją odzyskać, zastrzelę cię z niej.

W milczeniu potruchtaliśmy do motocykla. Kiedy do niego dotarliśmy, wyciągnąłem rękę do Olega, żeby mu podziękować.

– Sześć tysięcy z dzisiaj – powiedziałem, wręczając mu pieniądze. – Jutro dam ci resztę z premią. Będę o piątej w Leopoldzie. Mam u ciebie dług wdzięczności za to, co

zrobiłeś.

– Nie chciałbym widzieć, jak ten Irlandczyk się upija – oznajmił, zerkając za siebie.

– Ja w ogóle nie chciałbym go już widzieć. Dobrze się spisałeś, Oleg.

– Dziękuję – odparł z uśmiechem.

– Dużo się uśmiechasz, co?

– Na ogół jestem szczęśliwy. To mój krzyż, ale staram się go nieść z uśmiechem. Mam swoje troski, ale nie przeszkadzają mi być szczęśliwym. Chcesz ze mną popracować nad tym opowiadaniem?

– Ty naprawdę jesteś pisarzem?

– Oczywiście.

– Miałeś parę niezłych tekstów.

– Tekstów?

– No, jak powiedziałeś Afgańczykowi, żeby spasował, choć ma dobre karty. I że zabijesz Gowandę jego własną bronią.

– Rosyjskie filmy – powiedział zdziwiony. – No jak to, nie znasz dialogów z rosyjskich filmów? Będziesz zachwycony. To świetny materiał.

Wróciliśmy do Kolaby. Uścisnąłem rękę Olegowi i zostawiłem go pod hotelem.

Próżność ukrywa się w dumie. Opuściłem Olega stojącego na poboczu drogi i choć ocalił mi życie, wmawiałem sobie, że nikogo nie potrzebuję, nawet takiego dobrego człowieka jak on. Ale tak naprawdę zostawiłem go, bo go lubiłem i wiedziałem, że Karla prawdopodobnie polubi go tak samo lub bardziej. To hańba, moja hańba, ale zostawiłem tego dobrego człowieka na ulicy, ponieważ byłem o niego trochę zazdrosny, choć Karla jeszcze go nie poznała.

# 61

Musiałem znaleźć Abdullaha. Musiałem wiedzieć, co zrobił – lub nie zrobił – z Concannonem. Pojechałem do meczetu Nabiła i na bazar Nuli i we wszystkie te miejsca, w których Abdullah znajdował otuchę w towarzystwie niebezpiecznych przestępców. Byłem zły. Pięści mi krwawiły. Nie traktowałem uprzejmie nawet ludzi, których lubiłem.

– Gdzie Abdullah? – pytałem raz po raz, nie wyłączając motocykla.

Twardzi mężczyźni, którzy narażają swoje życie, wymagają szacunku, więc spotkało mnie parę nieprzyjemności.

– Wal się, Lin. Chcesz zajrzeć do mojego pistoletu? Może tam się ukrył.

– Sam się wal. Gdzie Abdullah?

Znalazłem go na całonocnym festiwalu śpiewaków sufickich. Wszyscy śpiewali długą pieśń *Ali Munna* i wiedziałem, że mogą to robić godzinami, podając sobie chillum w kręgach.

Złapałem spojrzenie Abdullaha, który natychmiast wstał, ostrożnie stąpając bosymi stopami wśród siedzących śpiewaków.

Wyszliśmy na zakurzony żwirowany parking, wokół którego rosły drzewa.

– *Salaam aleikum* – powiedział Abdullah, witając mnie pocałunkiem w policzek.

– *Wa aleikum salaam*. Co jest, kurwa? Zabiłeś kogoś z tym Irlandczykiem Concannonem? Dlatego wtedy strzeliłeś do niego dwa razy? Żeby się zamknął?

– Chodź ze mną – powiedział poważnie Abdullah, prowadząc mnie za ramię. Przeszliśmy do znajdującego się o parę kroków od nas szerokiego luku z gałęzi magnolii, kołyszących się w zwolnionym tempie pod wpływem nieczęstych podmuchów wiatru. Usiedliśmy na rzędzie wielkich głazów, zostawionych na otwartej przestrzeni jako zapora dla samochodów. Z sufickiego namiotu stojącego parę metrów dalej nadal dobiegał nas śpiew. Jakaś wrona, spóźniona lub zbyt wczesna, krakała na gałęzi nad naszymi głowami.

Dwie jasne latarnie, zawieszone na plątaninie drutów, ukazywały wejście do namiotu śpiewaków. Było to zaimprowizowane spotkanie zwoływane od czasu do

czasu w różnych miejscach – tam, gdzie wydano pozwolenie – i likwidowane bez śladu tuż po świcie.

W okolicy takiego spotkania było spokojnie i bezpiecznie, ponieważ wszyscy uważali, że ten, kto zakłóci tak pobożne modlitwy, ściągnie na siebie przekleństwo na siedem pokoleń. Takiego ryzyka nikt nie zamierzał podejmować, nawet gangsterzy z konkurencyjnych gangów. Czasami to nienarodzone pokolenia nas ochraniają.

– Wzięliśmy zlecenia spoza firmy – zaczął Abdullah. – To Sanjay tak zdecydował. Chyba miał motywy polityczne, ale to tylko moje podejrzenie. Pierwszym zadaniem było zabicie biznesmena. – Urwał, a ja go nie poganiałem. Miałem za sobą długą drogę i długi koszmar.

– Irlandczyk zgłosił swoją kandydaturę we wszystkich firmach. Sanjay go wynajął i wysłał mnie z nim. Miałem dopilnować, żeby się wszystko udało.

Znowu zamilkł.

– Ale się nie udało – pomogłem mu.

– Jego żona i córka były w domu. Nie powinny. Zobaczyły nas i mogły nas zidentyfikować, ale nie mogłem ich zabić.

– Oczywiście.

– Zabił je Concannon, a ja mu na to pozwoliłem. Słuchałem odgłosów i teraz mnie prześladują.

Abdullah, Abdullah, niepokonany Abdullah. Poczułem, jak mi się wymyka, tak jak czasem miłość, gdy most łączący dwie osoby jest za daleko, a ziemia na drodze do niego staje się lotnymi piaskami.

– Co zrobił?

– Poderżnął im gardło.

– O Boże.

– Wszystkie gazety o tym pisały. Musiałeś o tym czytać.

Mąż uduszony, żona i córka zabite, pieniądze ukradzione: pamiętałem tę historię. I pamiętałem, że mi się nie podobała.

– Potem powiedziałem Concannonowi, że jeśli kiedykolwiek go zobaczę, zabiję go – podjął Abdullah. – Przeciąłem jego więź z firmą, a Sanjay przekazał nasze zlecenia Rowerowym Zabójcom.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? Ten gość wydał zlecenie na mnie, do kurwy nędzy.

– Wstydziłem się.

– Wstydziłeś się?

Wstyd. Znałem go. Abdullah był moim bratem, a braterstwo nie ma ograniczeń.

– Powinieneś był mi powiedzieć. Jesteśmy braćmi.

– A gdybyś mnie odtrącił za moje haniebne zachowanie?

Los równie często przydziela nam rolę sędziego, jak i osądzanego. Byłem zbiegłym więźniem, załatwiającym ciemne interesy na ulicach, a Abdullah nagle ujrzał we mnie sędziego z młotkiem w dłoni. Miałem ochotę go nim uderzyć.

– Powinieneś był mi powiedzieć.

– Wiem – powiedział, zwieszając głowę.

– Koniec sekretów. Ty i Didier kochacie te wasze tajemnice, słowo daję.

– Koniec sekretów – powtórzył Abdullah.

– Żołnierskie słowo honoru?

– Tak.

– Dobrze. Miej oczy otwarte. Dziś odwiedziłem Concannona i albo się wycofa, albo wypełznie ze swojego legowiska, żeby kogoś pokąsać.

– Poszedłeś beze mnie?

– Miałem pomocnika.

– Pobiłeś go? – spytał Abdullah, znowu się rozpogadzając.

– Zrobił się burdel. Uważaj.

– Jestem z ciebie dumny.

– Przynajmniej ty. Musiało do tego dojść, ale trudno mu przemówić do rozsądku.

– Wejdziemy do namiotu i pośpiewamy? – zaproponował.

– Dzięki, ale nie. Wracam do domu. Może Karla tam jest.

– Do zobaczenia wkrótce, bracie.

Wróciłem do Miasta Wysp przez długą, szeroką Marine Drive, którą dotarłem do hotelu Amritsar. Droga była pusta. Falochron był pusty. Domy po mojej lewej stronie spały, promieniejąc spokojem.

Potem zobaczyłem człowieka grającego na gitarze. Siedział pod latarnią na środku bulwaru.

Był to Oleg. Zatrzymałem się obok niego.

– Co robisz?

– Gram na gitarze – powiedział z zadowoleniem.

– Dlaczego grasz na gitarze na środku drogi?

– Bo tu jest świetna akustyka – odpowiedział z wkurzającym uśmiechem. – Morze za mną, budynek przede mną. Idealnie. Grasz na gitarze. Powinniśmy zagrać razem. Moglibyśmy…

Odjechałem aż do Nariman Point, po czym zawróciłem i znowu się do niego zbliżyłem.

– Chcesz się upić? – spytałem przez pomruk motoru.

– Z tobą? – upewnił się.

Znowu odjechałem do Nariman Point, zawróciłem i dotarłem do niego.

– Tak! Bardzo chcę się upić – oznajmił.

– Wsiadaj na motor, Oleg.

– A mogę poprowadzić?

– Nigdy więcej nie mów tak o moim motocyklu.

– Dobrze. – Oleg usiadł za moimi plecami, przewiesiwszy gitarę przez ramię. – Trzeba znać granice.

– Trzymaj się mocno.

– A jak się upijemy, będziemy z kimś walczyć?

– Nie.

– Nawet ze sobą?

– Zsiadaj.

– Nie, nie. Po prostu gdybyśmy mieli ze sobą walczyć, chcę być trzeźwy, bo walczysz nie fair.

– Wal się.

– My, Rosjanie, nie umiemy walczyć nie fair. Dlatego wszyscy nas wykorzystują.

– Oleg, jeśli jeszcze raz powiesz „my, Rosjanie”, zrzucę cię na zakręcie.

– To co mam mówić? Przecież jestem Rosjaninem.

– Nazywajmy ich R-ludźmi.

– Dobra – zgodził się Oleg, chwytając się mnie. – My, R-ludzie, szybko się dostosowujemy.

Potrafił jeździć na motorze jako pasażer i był zabawny. Kiedy zaparkowałem i wszedłem po schodach do mojego apartamentu w hotelu Amritsar, miałem dobry humor.

Gdy zbliżyliśmy się do drzwi, Karla otworzyła swoje. Wychodziła gdzieś.

Miała na sobie wieczorową sukienkę bez rękawów i trampki do kostek. Włosy ułożyła w kok, który przekłuła ością miecznika, kupioną na rybnym targu. Kazała ją oczyścić, wypolerować i przytwierdzić do jej szerszego końca jeden ze swoich pierścieni z drogim kamieniem, iskrzącym się w świetle padającym z pokoju.

– O kurczę – powiedział Oleg z podziwem, zaglądając do beduińskiego namiotu.

– Karla, to Oleg, rosyjski pisarz i dobry człowiek w złej sytuacji. Oleg, to Karla.

Karla zmierzyła mnie spojrzeniem od stóp do głów, przechylając głowę jak kobieta w migotliwej burce wśród krużganków Tuarega. Coś było nie tak – bardziej niż zwykle. Spojrzała na Olega. Uśmiechnęła się.

– Zła sytuacja, tak?

– Karla – powiedział Oleg, całując jej dłoń. – Co za piękne imię. Mam specjalną ukochaną i naszywam ją Karlesza. Takie dla niej wymyśliłem pieszczotliwe imię. Jestem zaszczycony. A twój chłopak powiedział, że jeśli zacznę z tobą flirtować, to mnie potnie.

– Ach tak? – rzuciła Karla z uśmiechem.

– Wiesz co – wtrąciłem. – Oleg i ja upijemy się dziś w moim pokoju. To była długa noc. Trudna noc. Chciałabyś do nas dołączyć?

– Chodzi o chęć czy o zamiar?

– Karla.

– To uczciwe pytanie – zauważył Oleg.

Łypnąłem na niego.

– Mówię tylko, że…

– Nie, dzięki – rzuciła Karla, wyłączając światło, zatrzaskując drzwi i przekręcając klucz w kilku zamkach. – Ale wiesz co, Oleg, mam dla ciebie propozycję.

Odwróciła się i obdarzyła go szesnastoma królowymi.

– Jaką propozycję? – spytał miło Oleg.

– Potrzebujemy agentów operacyjnych, a ty robisz właściwe wrażenie.

– Agentów?

– Otwórzmy tę butelkę zapomnienia – zaproponowałem – i upijmy się.

– Mamy biuro, jedne drzwi od moich – wyjaśniła Karla, opierając się o framugę. – I potrzebujemy agentów operacyjnych z ikrą. Masz ikrę, Oleg?

– Mogę mieć – odparł ten. – Ale dlaczego sądzisz, że się nadaję?

– Nie przedstawiłby cię mi, gdybyś się nie nadawał – oznajmiła, wskazując mnie kciukiem. – Wchodzisz?

Oleg zerknął na mnie.

– Potniesz mnie, jeśli się zgodzę?

– Naturalnie, że cię nie potnie – obiecała Karla.

Oleg znowu na nią spojrzał.

– Świetnie! Dwa razy zwolniony i zatrudniony, a wszystko tego samego dnia. Wiedziałem, że się wzbogacę w tym mieście. Kiedy zaczynam?

– O dziesiątej – odparła Karla. – Włóż ładną koszulę.

Oleg uśmiechnął się uroczo. Karla się zrewanżowała. Zapragnąłem udusić Olega ładną koszulą.

– Dobra – odezwałem się. – No, to do zobaczenia.

Pochyliłem się, żeby ją pocałować, objął, poczuć ocean, wrócić do domu, ale powstrzymała mnie ręką opartą o moją pierś.

– Wejdź, Oleg – powiedziałem, rzucając mu klucze.

Otworzył drzwi i wydał cichy okrzyk.

– Ale minimalizm – rzucił, patrząc na wystrój mojego lokum. – Czysty Sołżenicyn, człowieku!

– Co się dzieje? – spytałem, kiedy zostawił nas samych z tym, co się działo.

Spojrzała na moją twarz jak na labirynt, z którego szukała wyjścia. Jej spojrzenie spoczęło na moich wargach, czole i oczach.

– Wyjeżdżam na parę tygodni – oznajmiła.

– Kiedy?

– Wiesz, że jednocześnie mnie rozczula i wścieka, iż przeczuwałam to pytanie?

– Przestań mnie zwodzić. Co się dzieje?

– Nie chcesz wiedzieć – powiedziała, cała w płonących królowych.

– Bardzo chcę. Chcę wiedzieć, gdzie wyważyć drzwi, jeśli będziesz mnie potrzebować.

Roześmiała się. Ludzie tak często się śmieją, kiedy mówię poważnie.

– Zamierzam spędzić parę tygodni z Kawitą. Sam na sam.

– Że, kurwa, co? – spytałem, wyrażając swoje myśli.

Znowu przechyliła głowę na bok.

– Zazdrosny?

Nie byłem zazdrosny. Dziś sięgam pamięcią w przeszłość i wiem, że byłem bardziej zazdrosny o rosyjskiego pisarza, ponieważ był fajnym facetem, niż o Kawitę. Ale Kawita rzuciła mi złe słowa i nagle uświadomiłem sobie, że nadal mnie one bolą. Nie sądziłem, żeby Karla odchodziła do kochanki – odchodziła do kogoś, kto mnie nienawidził.

Wtedy, tamtej nocy, nie powtórzyłem Karli, co powiedziała mi Kawita. Powinienem o tym wspomnieć. Ale miałem za sobą ciężką noc.

– *Madame* Zhou złożyła wizytę w zaułku za tym budynkiem. Ostrzegła mnie, żebym nie zbliżał się do Kawity. Naprawdę uważasz, że wyjazd z nią jest bezpieczny?

– Czego ty ode mnie chcesz? – warknęła, cała z ognia i wściekłej dumy.

– Chcę być ci najbliższy. To grzech, że wykorzystujesz to przeciwko mnie. Przestań ze mną grać. Powiedz, żebym cię zostawił w spokoju albo żebym cię kochał z całego serca.

Uraziłem ją. Często to widywałem, niemożliwą do opanowania reakcję na jej twarzy lub w ciele.

– Mówiłam ci już o zaufaniu wobec mnie i że może być ci z tym trudniej.

– Karla, nie odjeżdżaj.

– Zamieszkam z Kawitą – oznajmiła, odwracając się ode mnie. – Nie czekaj.

Odeszła. Odprowadziłem ją wzrokiem, kiedy zeszła po schodach, a potem wpadłem do mieszkania, żeby zerknąć na nią przez okno, gdy szła na postój taksówek przy kinie Metro.

Oleg stanął obok mnie. Karla wsiadła do taksówki i odjechała.

– Kiepsko, bracie – powiedział ze współczuciem. – Nawiasem mówiąc, twoja wódka jest do niczego, ale rum może być. Pij.

– Muszę się najpierw umyć. Przygotuję prysznic dla ciebie. Czuj się jak u siebie w domu.

Oleg obrzucił spojrzeniem spartański pokój, którego drewniana posadzka lśniła jak wieko lakierowanej trumny.

– Dobrze – mruknął.

Stanąłem pod prysznicem, który co chwila odkręcałem i zakręcałem. Wodę przywożono do naszego budynku cysternami, by ją wpompować do zbiorników na dachu. Korzystali z niej wszyscy w budynku.

By jej nie marnować, zakręcałem prysznic co jakiś czas, oparty o ścianę; w końcu wszystko, co się wydarzyło z Concannonem, uderzyło we mnie tak mocno, że się wzdrygnąłem i zwymiotowałem. Znowu odkręciłem leczniczą wodę.

W świecie, który dla siebie stworzyliśmy, bycie mężczyzną jest kłamstwem, tak samo jak bycie kobietą. Kobieta jest zawsze czymś więcej niż narzuconą jej ideą, mężczyzna jest zawsze kimś więcej niż narzucony mu obowiązek. Mężczyźni są empatyczni, kobiety dowodzą armiami. Mężczyźni wychowują dzieci, kobiety zdobywają egzosferę. Nie jesteśmy jednym lub drugim, jesteśmy bardziej interesującymi wersjami siebie. Mężczyźni także czasem płaczą pod prysznicem.

Trochę potrwało, zanim zmyłem emocje z twarzy. Potem, gdy Oleg brał prysznic, w ramach medytacji oczyściłem broń i położyłem ją na ukrytej półce obok łóżka.

– Twoje mydło jest do niczego – oznajmił Oleg, wycierając się. – Przyniosę ci R-mydło. Zdarłbyś nim z siebie nawet pąkle.

– Na ogół pąkle mi nie dokuczają – odparłem, podając mu butelkę. – I lubię moje mydło.

Oddał mi butelkę, napiłem się i oddałem butelkę jemu, a wtedy on się napił i znowu ją oddał, no więc i ja się napiłem.

– To mój podkoszulek – zauważyłem w trakcie tego picia i oddawania.

– Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. Miło włożyć coś czystego. W moim chodziłem przez erę geologiczną.

– Zatrzymaj go. Mam jeszcze jeden.

– Widziałem. I dwie pary dżinsów. Nie idziesz w konsumpcjonizm. A jeśli pożyczę twoje spodnie, mogę podwinąć nogawki? Bardzo mi się podoba taki styl.

– A podwijaj aż do Uralu. Ale zwiń ten uśmiech. Jeśli upijemy się bardziej, zacznie mnie przerażać.

– Jasne, stary. Mniej się uśmiechać. My, R-ludzie, potrafimy się dostosować. Masz muzykę?

– Jestem pisarzem – oznajmiłem, podając mu butelkę. – Oczywiście, że mam muzykę.

Miałem zestaw stereo, podłączony do używanych hollywoodzkich głośników. Podobało mi się, że stapiały każde nagranie w ten sam ocean dźwięków, te same sygnały wielorybów z jakiegoś miejsca, w którym raczej nie oddycha się powietrzem.

– Masz gówniany zestaw – oznajmił Oleg.

– Strasznie krytyczny z ciebie skurwysyn, Oleg.

– Tak naprawdę zapamiętuję rzeczy, które ci kupię.

– Czego chcesz posłuchać?

– Masz Clash?

Włączyłem *Combat Rock*. Oleg zerwał się, żeby chwycić za gitarę.

– Wrzuć ostatni kawałek, *Death Is a Star* – poprosił. – Umiem to. Zagrajmy razem.

Wykonaliśmy rosyjsko-australijsko-hinduską wersję akustyczną wspólnie z dalekim Clashem. Graliśmy tę piosenkę raz po raz, aż w końcu się zestroiliśmy, a zaśmiewaliśmy się przy tym jak dzieci. Struny na nowo otworzyły rany na moich palcach i krew po bójce z Concannonem spłynęła na moją gitarę.

Potem byliśmy już zbyt pijani, żeby grać, i właśnie kiedy przestało nam to przeszkadzać – to i wszystko inne – ujrzałem w moim pokoju posłańca. Był ubrany we właściwy posłańcom mundur khaki i trzymał w dłoni list.

– A ty, skąd się wziąłeś? – spytałem, chwiejąc się, żeby skupić na nim spojrzenie.

– Z zewnątrz – odpowiedział.

– A, no to w porządku. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Mam dla pana wiadomość.

– Nie lubię wiadomości.

– Ale to moja praca.

– Co prawda, to prawda. Ile jestem ci winien?

Zapłaciłem posłańcowi i usiadłem, patrząc na wiadomość. Nie chciałem jej czytać. Anglicy mówią, że brak wiadomości to dobra wiadomość. Niemcy – że brak wiadomości to brak złej wiadomości. W tej sprawie zgadzam się z Niemcami. Coś wewnątrz mnie – i nadal nie wiem, czy to jest coś, co mnie ratuje, czy pogrąża – zawsze mi podszeptuje, żebym podarł wiadomość, nie czytając jej, bez względu na to, kto ją przysłał. Czasem to robię. Ale musiałem ją przeczytać na wypadek, gdyby miała coś wspólnego z Karlą. Nie miała. Przysłał ją George Bliźniak.

*Drogi Linie, stary kumplu. Skorpion i ja pojechaliśmy do dżungli. Szukamy tego guru, żeby zdjął klątwę. Naveen dał nam dobrą poszlakę i zaczynamy od jutra na kanałach Karnataka. Trzymaj kciuki. Kocham cię, stary.*

Pomyślałem, że to radosny list pełen nadziei i ucieszyłem się. Nie zdawałem sobie sprawy, że to krzyk o pomoc. Położyłem list na stole, włączyłem dobre reggae na kiepskim zestawie stereo i zaczęliśmy tańczyć. Oleg tańczył chyba dla zabawy, ale

może i ten uśmiechnięty Rosjanin pragnął uwolnić własne demony. Myślałem o walce z Concannonem i tańczyłem, by zasłużyć na rozgrzeszenie za zwycięstwo, za pokonanie przeciwnika i żałowanie tego.

Luna, nasza samotna siostra, odsiewa ból i zło z blasku słońca i wysyła nam bezpieczne promienie, które nie parzą i nie niszczą. Tańczyliśmy tej nocy w świetle księżyca, Oleg i ja, śpiewaliśmy, krzyczeliśmy i śmialiśmy się, zobojętniając się na to, co uczyniliśmy i co straciliśmy. A księżyc zaszczycał dwóch upadłych głupców w dniu klęski blaskiem słońca, oczyszczonym przez kamienne lustro na niebie.

XI

# 62

Oleg zamieszkał ze mną. Spytał, czy może spać na mojej kanapie, a ja się zgodziłem, co znaczyło, że musiałem kupić kanapę. Oleg poszedł ze mną i bardzo długo podejmował za mnie decyzję. W końcu wybrał kanapę z zielonej skóry, na tyle długą, żeby można się było na niej wyciągnąć, co robił często, gdy tylko ją dostarczono.

Kiedy nie pracował jako agent operacyjny z ikrą, szukając wraz z Naveenem i Didierem zaginionych ukochanych, wylegiwał się na kanapie z założonymi na piersiach rękami i rozważał problemy swoich psychologicznych stepów. Tuareg by go pokochał.

– Powiedziałeś niedawno, że można zmienić swoje sny – odezwał się, wyciągnięty na kanapie na tydzień po rozpoczęciu pracy w biurze. – I to w chwili, gdy śpisz i je śnisz?

– Oczywiście.

– Pogrążony w głębokim śnie, na bieżąco zmieniasz jego bieg?

– Tak. Ty nie?

– Nie. I chyba niewielu tak potrafi.

– Ujmę to w ten sposób: koszmar to sen, którego nie potrafię kontrolować, a sen to koszmar, nad którym mam władzę.

– Ha. Jak to działa?

– Ja tu piszę, Oleg.

– A, przepraszam – powiedział, stukając stopami o siebie. – Pracuj, pracuj. Pogrążam się w milczeniu.

Pisałem nowe opowiadanie. Zrezygnowałem z tego radosnego. Nie skończyło się dobrze. Teraz nakreśliłem parę akapitów o Abdullahu i myślałem o kilku osnutych wokół niego historiach. Abdullah krył w sobie wątki narracji jak skrzydlate orły, każdy lecący w inną stronę, ale nigdy nic o nim nie napisałem.

Tego popołudnia poczułem potrzebę, by go odmalować słowami, i pisanie szło mi szybko. Akapity rozkwitały na stronach mojego dziennika jak hortensje.

Wiele lat po tym słonecznym popołudniu w hotelu Amritsar pewien pisarz powiedział mi, że pisanie o żyjących przynosi im pecha. Wtedy tego nie wiedziałem i

cieszyłem się z tego, co napisałem o Abdullahu; tak bardzo się cieszyłem, że zapomniałem o groźbach i przestępstwach, o wrogach, którzy kryją się za uśmiechem, Kawicie, Karli i wszystkim na świecie, byle tylko nic mi nie przeszkadzało i byle bym mógł dalej pisać.

– O czym jest to opowiadanie? – spytał Oleg.

Odłożyłem pióro.

– O tajemniczej zbrodni.

– Jakiej?

– O pisarzu, który zabił kogoś za to, że mu przeszkadzał pisać. Chcesz znać tajemnicę zbrodni?

Oleg usiadł na kanapie z łokciami na udach.

– Uwielbiam tajemnice.

– Tajemnicą było, dlaczego pisarz tak długo z tym zwlekał.

– Sarkazm – oznajmił Oleg. – Powinieneś poczytać Lermontowa. Kaukaz słynie z sarkazmu.

– Co ty nie powiesz – mruknąłem, biorąc długopis.

– Naprawdę potrafisz zmieniać sny?

Pióro w mojej dłoni podryfowało w stronę Olega i zawisło nad moim opartym o biurko łokciem. Miałem nadzieję, że zmieni się w kaduceusz i uśpi mojego gadatliwego towarzysza.

– Ale jak to działa? Strasznie bym chciał zmieniać sny. Ja też mam sny, wiesz, i bardzo bym chciał umieć je zapętlić.

Zamknąłem pióro, zamknąłem dziennik i wziąłem dwa zimne piwa. Rzuciłem mu jedno, usiadłem wygodnie i uniosłem puszkę w toaście.

– Za tajemnice – powiedziałem.

– Za tajemnice!

– A teraz odpręż się i opowiedz mi, co się dzieje.

– Twoja Karla… – zaczął Oleg, pociągając łyk piwa. – Wiem, co czujesz, bo mam w Moskwie moją Karleszę.

– Dlaczego nie jesteś w Moskwie?

– Nie lubię Moskwy – oznajmił, znowu pijąc. – Jestem chłopakiem z Sankt Petersburga.

– Ale kochasz tę dziewczynę.

– Tak. Ale ona mnie nienawidzi.

– Nienawidzi?

– Nienawidzi.

– Skąd wiesz?

– Zapłaciła swojemu ojcu, żeby mnie zabił.

– Musiała mu zapłacić? Kim on jest, bankierem?

– Nie, policjantem. Bardzo ważnym.

– I co potem?

– To długa historia – oznajmił z westchnieniem, spoglądając na białe firanki, trzepoczące na zalanym słońcem balkonie.

– Nie bądź gnojem, Oleg. Zabiłeś moje opowiadanie. Możesz wypełnić puste miejsce swoją długą historią.

Oleg roześmiał się gorzko. Jeden z naszych najbardziej charakterystycznych środków wyrazu – gorzki śmiech.

– Spałem z jej siostrą – oznajmił, wpatrzony w swoje piwo.

– Aha. Marnie, ale można robić gorsze rzeczy z cudzymi siostrami.

– Nie, to skomplikowane. One są bliźniaczkami. Nieidentycznymi.

– Do czego zmierzasz?

W korytarzu rozległ się znajomy głos.

– Halo? Lin, jesteś w domu? – spytał Didier, wchodząc przez otwarte drzwi.

– Didier! – zawołałem radośnie. – Siadaj, weź piwo. Oleg zapuszcza się na terytorium poza moją kanapą, a ty jesteś idealnym przewodnikiem.

– Niestety, jestem umówiony w wielu miejscach i…

– Moja dziewczyna z Moskwy mnie nienawidzi – oznajmił Oleg sucho i bezradnie – ponieważ jest nieidentyczną bliźniaczką, a ja spałem z nią i jej nieidentyczną siostrą bliźniaczką.

– Fascynujące. – Didier usadowił się na krześle. – Jeśli to nie jest niedelikatne pytanie, czy miały ten sam… zapach?

– Niedelikatne? – powtórzyłem ironicznie. – Twoje pytanie?

– Zabawne, że to powiedziałeś – mruknął Oleg, przyglądając się wnikliwie Didierowi. – Miały. Dokładnie ten sam zapach, ten sam zapach… wszędzie.

– To w rzeczy samej nieczęste zjawisko – zauważył Didier. – Wybitnie rzadkie. Czy

może zauważyłeś długość ich palców serdecznego i wskazującego?

– Czy możemy przejść do momentu, w którym jej ojciec chciał cię zabić? – spytałem, myśląc, że powinienem pisać.

– Wybornie – zachwycił się Didier. – Chciał cię zabić, powiadasz?

– Jasne. Widzisz, bo to było tak. Ja kochałem Elenę i nic nigdy nie wydarzyło się między mną a jej siostrą Iriną, aż pewnego razu strasznie się upiłem. Byłem kompletnie *razbit*.

– *Razbit*? – spytał Didier.

– Rozbity. Nie wiedziałem, co się dzieje, a Irina weszła mi do łóżka, naga, podczas gdy Elena była u sąsiadów.

– Cudownie – szepnął Didier z fascynacją.

– Było kompletnie ciemno – ciągnął Oleg. – Bardzo ciemno. Okna zasłaniały czarne rolety. A ona pachniała jak Elena. I była w dotyku całkiem jak ona.

– Pocałowała cię? – spytał Didier, mistrz seksualnej medycyny sądowej.

– Nie. I nic nie powiedziała.

– No myślę. To by ją wydało. Sprytna dziewczyna.

– Elena tak nie uważała, kiedy wróciła, włączyła światło i zobaczyła, jak się kochamy.

– Z tego się nie da wytłumaczyć – zauważyłem.

– Wyrzuciła mnie z mojego własnego mieszkania – pożalił się Oleg. – Nawet nie wiem, czy to legalne. No, bo do tej pory płacę czynsz. A jej ojciec zagroził, że odgrodzi mnie więziennymi kratami od kobiety, którą kocham.

– Elena nie czuła się bardzo kochana.

– Nie – odparł Oleg. – Mam na myśli Irinę. Kiedy się kochaliśmy, pijani i w ogóle, to była najlepsza rzecz, jaka mnie spotkała. Irina była szalona, na wszystkie dobre sposoby. I ja dla niej oszalałem. Nadal mi nie przeszło.

– Fantastyczne – pochwalił Didier z uśmiechem. – Ale co było potem?

– Udało mi się wysłać wiadomość do Iriny. Prosiłem ją, żeby ze mną uciekła. Zgodziła się i zaplanowaliśmy, że spotkamy się o północy na Dworcu Paweleckim. Ale Irina opowiedziała o tym Elenie, a Elena przyszła do mnie, prosząc, żebym nie wywoził Iriny. Porozmawiałem z nią, ale się nie zgodziłem. Spotkałem się z Iriną na dworcu i razem uciekliśmy. A potem ona zatrzymała mnie i spytała, czy na pewno kocham ją, a nie jej siostrę bliźniaczkę.

Zrobił pauzę, szukając drogi przez gęstwinę wspomnień.

– I? – rzucił Didier, niecierpliwie tupiąc nogą. – Co się stało?

– Staliśmy w mroku. Spytała mnie, skąd mam pewność, że kocham ją, a nie Elenę. Znacie ten moment, kiedy kobieta pyta o prawdę? I wiesz, naprawdę to czujesz, że pod żadnym pozorem nie powinieneś jej tego mówić?

– Tak – powiedzieliśmy obaj.

– A ja powiedziałem prawdę.

– Bardzo było źle? – spytałem.

– Powiedziałem jej, że jestem absolutnie pewny, że ją kocham, bo żeby zyskać tę pewność, jeszcze raz przespałem się z Eleną dwie godziny temu, kiedy do mnie przyszła. I z nią nie czułem nic. Prawie nie było mi przyjemnie. Więc byłem pewny, że Irina jest dla mnie stworzona, i że nie chodziło tylko o to, że tamtej nocy byłem pijany i wszystko mi się przywidziało.

– O cholera.

– *Merde* – zgodził się Didier.

– Walnęła mnie – powiedział Oleg.

– Sam mam ochotę cię walnąć – prychnął Didier. – Powiedzenie kobiecie nieupiększonej prawdy to hańba!

– Sam sobie wykopałeś grób – przyznałem ze śmiechem. – I żadna z nich ci nie przebaczyła?

– Ich ojciec zlecił moją sprawę zawodowcom. Musiałem uciekać, i to szybko.

– Trudna sprawa – oświadczyłem. – To kara za to, że zakochałeś się w córkach policjanta.

Odwróciłem się do Didiera, który siedział ze skrzyżowanymi nogami, podpierając brodę ręką.

– Jakieś porady?

– Didier zna rozwiązanie problemu – odparł Didier. – Musisz przez dwa tygodnie nosić pod koszulą dwa podkoszulki. Nie wolno ci się myć mydłem ani szamponem. Tylko wodą. Nie wolno ci się niczym perfumować i nie wolno ci się otrzeć o nikogo, kto używał perfum.

– A potem? – spytał Oleg.

– A potem przesyłasz podkoszulki, po jednym dla każdej bliźniaczki, z dwoma słowami na odwrocie koperty – Leopold, Bombaj.

– A potem?

– Potem dajesz zdjęcie Iriny kelnerom z Leopolda i ogłaszasz, że nagrodzisz pierwszego, który ją rozpozna i cię powiadomi.

– Dlaczego uważasz, że przyjedzie? – spytał Oleg.

W jego uśmiechniętych oczach lśniło to samo światło, co w oczach studentów na górze, kiedy słuchali Idrissa.

– Zapach – wyjaśnił Didier dobrotliwie. – Jeśli jest twoja, siła twojego zapachu ją tu sprowadzi. Przybędzie do ciebie niczym na feromonową pielgrzymkę. Ale tylko jeśli jest twoja, a ty jej.

– O kurde, Didier! – Oleg klasnął w dłonie. – Zacznę od razu.

Poderwał się, wyjął z szafy mój drugi podkoszulek i naciągnął na pierwszy, który miał na sobie.

– Dlaczego zdjęcie Iriny, a nie Eleny? – spytałem Didiera. – Albo obu?

– Seks – oznajmił Didier surowo. – Nie uważałeś? Irina to Elena bez zahamowań.

– A to prawda – zgodził się Oleg, wygładzając obleczoną w podkoszulki pierś.

– Dokładnie. – Didier obwąchał go, upewniając się, że Oleg nie pachnie sztucznym aromatem. – Seks z Iriną był wyjątkowy. Czy muszę mówić więcej?

Wstał, otrzepując rękawy.

– Moja misja dobiegła końca – oznajmił, zatrzymując się w progu. – Uprawiaj sport wymagający wysiłku, Oleg. Wspinaj się na wysokie, niebezpieczne miejsca, zeskakuj z nich, prowokuj policjantów, wdaj się w bójkę z oprychem, a przede wszystkim flirtuj z kobietami, ale nie uprawiaj z żadną seksu, dopóki nie wyślesz podkoszulków. Ona musi czuć tygrysa, wilka, małpę i mężczyznę głodnego seksu, a także głodne go kobiety. *Bonne chance*.

Wyszedł, zarzucając na szyję szarobłękitny szal.

– O kurde – powiedział Oleg z podziwem.

– Pamiętasz, jak prosiłem, żebyś nie używał słowa na R?

– No… – zgodził się niepewnie.

– Dodaję do tej listy „o kurde”.

– Więc jest jakaś lista?

– Od teraz.

– Cholera, masz listę rzeczy, których nie wolno mi mówić. Zaczynam tęsknić za Moskwą, a nawet jej nie lubię.

Miał rację. Lista rzeczy zakazanych?

– Wiesz co, walić to. Mów, co chcesz.

– Serio?

– No.

– O kurde, znowu jestem Rosjaninem.

– Chciałeś pojeździć moim motocyklem, tak?

– Mogę?

– Po moim trupie. Ale na dole jest taki stary grat. Zaparkowałem obok niego. Należał do kelnera z Kayani. Nie podobało mi się, jak ten kelner go traktował, więc go wykupiłem z niewoli. Przez ostatnie tygodnie doprowadzałem go do porządku.

– *Kruto* – rzucił Oleg, znajdując buty.

– Co to było?

– To byłem ja, niemówiący „o kurde". *Kruto* znaczy „w chuj dobrze", stary.

– *Kruto?*

– Tak jest. *Kruto*, stary.

– Potrafisz prowadzić motor?

– Żarty sobie robisz? – prychnął, zawiązując trampki. – My, Rosjanie, potrafimy prowadzić wszystko.

– Dobrze. Zrobię parę okrążeń i możesz mi towarzyszyć, jeśli chcesz, skoro masz dziś wolne.

– Świetny materiał na opowiadanie! Dziękuję.

– Tylko mi się nie wtrącaj do mojego materiału. Jedź i obserwuj, a potem wytrzyj do czysta tablicę ze wspomnieniami, jasne?

– Ale jeśli znajdę wspaniałą postać, kogoś, z kim będziesz rozmawiać, kogoś, kto jest naprawdę, no wiesz, zadziwiająco świetny?

Zastanowiłem się nad tym. Facet był w porządku.

– Możesz sobie wziąć jedną postać – zdecydowałem.

– Super!

– Ale nie ciocię Półksiężyc.

– O… A wydaje się fajna.

– Dlatego nie możesz jej wziąć. Jesteś gotowy ruszać czy nie?

– Jestem gotowy na wszystko, człowieku. To motto mojej rodziny.

– Proszę, proszę, nie opowiadaj mi o swojej rosyjskiej rodzinie.

– Dobrze, dobrze, ale stracisz mnóstwo świetnych rosyjskich postaci! A dałbym ci je za darmo.

# 63

Powoli okrążyliśmy dwa razy południowe dzielnice, oglądając Miasto Wysp. Rzadko musieliśmy zmieniać bieg, ponieważ przejeżdżaliśmy na czerwonym świetle za każdym razem, gdy mogliśmy to zrobić bez mandatu, i wybieraliśmy każdy nieznany człowiekowi skrót.

Oleg był zachwycony wizytą w pokątnym banku. Spytał, czy mają tam pokoje do wynajęcia. I zakochał się w cioci Półksiężyc. Ona także go polubiła – i to na tyle, żeby pokazać mu dwa cykle księżyca.

Odciągnąłem go od niej po dziewięciu minutach i trzydziestu sekundach. Odjechaliśmy, uciekając od niej tym wolniej, im szybciej staraliśmy się jechać. Noc zgasiła światło, gdy dotarliśmy do hotelu President na Cuffe Parade. Za nami rozlegało się natarczywe wycie klaksonów.

Dałem znak prawą ręką, że można mnie omijać. Klaksony nadal ujadały, więc zwolniłem i stanąłem pod kopułą oświetlonych latarnią platanów, nadal intensywnie zielonych, choć pora monsunowa już dawno minęła. Obok mnie znajdowała się ścieżka, na której nie zmieściłby się żaden samochód. Mogłem nią uciec, gdybym tego potrzebował. Oleg zatrzymał się obok mnie. Nieopodal stanęła limuzyna. Położyłem rękę na nożu. Przyciemniana szyba spłynęła w dół i zobaczyłem Divę w towarzystwie dwóch przybocznych.

– Cześć, mała – powiedziałem. – Jak leci?

Wysiadła. Szofer rzucił się otworzyć przed nią drzwi, ale nie zdążył. Machnęła na niego ręką.

– Nie martw się, Vinodbaj – rzuciła mu z uśmiechem. – Dałam radę.

Ukłonił się i zerknął szybko na przyboczne, po czym spuścił wzrok i zastygł, czekając obok samochodu.

Fakt, że Diva dodała grzecznościową końcówkę „baj” do jego imienia, był znaczący. W ten sposób sygnalizowała swój szacunek, a szofer pewnie nie bywał tak traktowany nigdzie poza kręgiem rodziny i przyjaciół, znających wartość człowieka kryjącego się w uniformie.

Było to coś niezwykłego, wykraczającego poza obyczaje, i polubiłem za to młodą

milionerkę.

– Lin – powiedziała, przytulając mnie. – Tak się cieszę, że cię widzę.

Po raz pierwszy mnie przytuliła. Co więcej, po raz pierwszy mnie nie obraziła.

– *Kruto* – mruknąłem. – Ktoś się cieszy na mój widok. Miła odmiana.

– Chciałam ci tylko podziękować – powiedziała, opierając dłoń na mojej piersi. – Od pożaru nie miałam okazji. Potem wróciłam do firmy taty i tak dalej… Ale myślałam o tym, żeby ci podziękować, i chciałam wyrazić moją wdzięczność dla ciebie, Naveena, Didiera, Johnny'ego Cygaro, Sity i Aanu, tej prawdziwej, i Priti, i *dudhwallah* Srinivasan, i…

– Przerażasz mnie – przerwałem jej. – Gdzie jest tygrysica?

Diva parsknęła śmiechem. Jej divy w klimatyzowanej limuzynie także.

– Kim jest twój przyjaciel? – spytała Diva, obrzucając Olega spojrzeniem od stóp do głów i od głów do stóp.

– To Oleg, rosyjski pisarz i agent operacyjny Biura Zaginionej Miłości.

– Diva Devnani – oznajmiła Diva z uśmiechem, wyciągając rękę. – Bardzo mi miło cię poznać.

Oleg ucałował jej dłoń.

– Oleg Zaminowicz. Uważamy, że nasz pradziadek zmyślił to imię, ale co tam, dobrze brzmi, więc nie mamy mu tego za złe.

– Jestem Charu – powiedziała jedna z div.

– A ja Pari – dodała druga.

Oleg szarmancko się ukłonił, siedząc na motocyklu.

– Wsiadajcie – rzuciła Charu.

– Koniecznie – zgodziła się Pari.

Drzwi limuzyny otworzyły się bezszelestnie, jakby z własnej woli.

– Co za wspaniały pomysł – Oleg spojrzał na mnie z nadzieją.

– Świetnie! – zawołała Diva. – Zatem załatwione. Ja jadę do slumsów z Linem na motocyklu, a Oleg z dziewczynami.

– Czekaj – powiedziałem. – O czymś zapomniałaś.

– Dam radę – zapewniła mnie Diva. – Jeździłam z naszym służącym na motocyklu, odkąd skończyłam trzy lata.

– Mówię o motocyklu Olega.

Oleg zajrzał do limuzyny pełnej pięknych dziewcząt w krótkich sukienkach, jakoś o wiele krótszych, gdy siedziały na tylnej kanapie. Spojrzał na mnie.

– Nie zostawia się motocykla, Oleg.

– Pamiętasz radę Didiera? – spytał kulawo, błagając mnie o męskie zrozumienie. – Wiesz, co mam na myśli. Pachnący podkoszulek. Powinienem zacząć już dziś. No… co o tym sądzisz?

Znowu zajrzał do limuzyny. Były to niewątpliwie ładne dziewczyny i niewątpliwie zainteresowane Olegiem.

– Zaparkuj motocykl na chodniku koło tej bramki – poleciłem. – Daj strażnikowi sto rupii za popilnowanie go, dopóki nie zdołam go odebrać.

– Świetnie! – Oleg czym prędzej wtoczył motocykl na chodnik i zdławił w zarodku protesty strażnika, wręczając mu sporą sumkę.

Wrócił pędem do limuzyny, rzucił mi kluczyki i wsiadł, zatrzaskując za sobą drzwi.

Diva uśmiechała się do mnie. Stała obok mojego motocykla. Noc pełzła ku nam chodnikiem jak jaszczurka. Niektórzy przechodnie rozpoznawali Divę. Przystawali, żeby popatrzeć.

– Z jakiej okazji ten uśmiech? – spytałem.

– Z takiej, że nie masz pojęcia, jak miłym jesteś człowiekiem.

Zmarszczyłem brwi. Ludzie – przyjaciele, wrogowie – zbyt szybko wirowali wokół mnie, jakbym był ostatnim człowiekiem, którego należy obudzić podczas ataku.

– Charu i Pari to nieduże dziewczyny z wielkim sercem – powiedziała.

– Że co?

– Uważają, że jesteś też interesujący. Nie wyprowadziłam ich z błędu.

– Co?

– Uważają, że jesteś interesujący. Tylko tyle.

– Każdy jest interesujący.

– Ty naprawdę kochasz Karlę, co? – spytała, znowu z uśmiechem. Po tygrysicy nie było ani śladu.

– Dlaczego wracamy do slumsów?

– Kobiety wyprawiają imprezę. Mam zaszczyt być gościem honorowym. Chciałabym, żebyś mi towarzyszył. Powiedz, że to nie jest najlepsza oferta, jaką dostałeś przez ostatnie dwadzieścia minut.

Teraz to ja się roześmiałem. Może naprawdę się zmieniła. Tak czasem bywa.

– Gość honorowy?

– Jedźmy, bracie – rzuciła z uśmiechem i przełożyła nogę przez motor.

Zaparkowaliśmy przed slumsami i przeszliśmy ulicami ozdobionymi kwiatami. Długie, grube girlandy łączyły wszystkie domy ze sobą. Siostrzeniec Johnny'ego, Eli, prowadził nas z latarką przez mrok rozświetlany płomykami lamp naftowych. Zatrzymywał się przy każdym efektowym bukiecie, żebyśmy mogli podziwiać każdy kwiat. Miał na sobie najlepsze ubranie, to, które wkładał na modlitwy – jak wszyscy, których mijaliśmy po drodze.

W końcu dotarliśmy na placyk, na którym odbywały się w slumsach śluby i święta. Wokół małej sceny ustawiono w półkole plastikowe krzesełka. Na placu robiło się coraz ciaśniej. Kobiety w kolorowych sukienkach, z włosami przystrojonymi kwiatami plumerii, wyglądały w świetle płomieni jak ogród, rozbrzmiewający szczebiotem ptaków o zachodzie słońca.

Zjawili się Charu i Pari z Olegiem. Potem do zebranych dołączyła Kawita z Naveenem i idącą parę kroków za nimi Karlą.

Karla.

Zobaczyła mnie i uśmiechnęła się do mnie. Te uczucia, kiedy kobieta się uśmiecha do ciebie, te dźgnięcia odwagi, ten deszcz…

Ludzie namawiali Divę, żeby coś powiedziała. Znalazła pustą przestrzeń w miejscu, gdzie wszyscy widzieli jej niedużą postać. Prezentowała się skromnie, ale jej przemówienie było jeszcze skromniejsze.

– Chcę wam wszystkim bardzo podziękować – zaczęła w hindi. – Ponieważ ocaliliście mi życie, wiem, że razem możemy wszystko. I od tego momentu jestem z wami do końca. Sfinansuję przeniesienie sporej części slumsów do przyzwoitych, bezpiecznych, wygodnych domów w mieście. Przysięgłam sobie, że to zrobię, i zaangażuję w to wszystkie środki, jakie mam.

Kobiety wiwatowały, mężczyźni też, a dzieci skakały, jakby ziemia była zbyt gorąca, by na niej ustać. Muzycy grali jak szaleni, aż wszyscy prawie ogłuchli.

Długa, niebieska folia wyznaczała miejsce wybrane na posiłek. Ułożono na niej liście bananowca, pełniące funkcje talerzy. Już jadłem, ale odmowa byłaby nieuprzejma i przynosiłaby pecha.

Wszyscy kucnęliśmy obok siebie. Charu i Pari musiały usiąść, bo ich spódniczki od projektantów były zbyt krótkie. Patrzyły na wszystko ogromnymi oczami, jakby ujrzały afrykańskie lwy. Po raz pierwszy przekroczyły granice slumsów. Jedzenie pełne

zarazków przerażało je i przejmowało odrazą, ale były zarazem zafascynowane, a zafascynowana Hinduska jest już kupiona.

Los zrządził, że Kawita usiadła po mojej prawej, a Karla po lewej stronie. Serwowano wegetariańskie *biryani* z pastą kokosową, bengalskimi przyprawami, kaszmirskimi dodatkami, pieczonymi warzywami, jogurtem z ogórkiem i pomidorem, żółtym dhalem i smażonym w woku kalafiorem, okrą i marchewką, które podawały nam nieprzerwane szeregi uśmiechniętych ludzi.

– Zabawna pora na imprezę – zwróciłem się do Karli.

– Gdybyś miał o tym jakieś pojęcie – odezwała się Kawita, pochylając się, by schwytać moje spojrzenie, duszę czy co innego – wiedziałbyś, że to czas między zmianami, jedyny moment, kiedy ludzie z pierwszej i drugiej zmiany mogą się spotkać.

Rozbawiła mnie. Przecież mieszkałem w tych slumsach, w odróżnieniu od Kawity. Niewiele mogłem się od niej nauczyć na ten temat.

– Ty naprawdę nie odpuszczasz, co?

– Dlaczego miałabym odpuścić, kowboju?

– Może raczej podasz mi ten cuchnący czatnej? – odezwała się Karla, przyjmując rolę rozjemcy.

Podałem sos, na chwilę zerkając jej w oczy.

– Uciekł po śmierci Lisy – rzuciła Kawita. – I teraz też ucieka.

– Dobra, wyrzuć to z siebie.

– Czy to groźba? – syknęła z nienawiścią.

– Jak prawda może być groźbą? Mam już dość tych gierek z wpędzaniem mnie w poczucie winy. Przyjechałem do tego miasta z własnymi problemami. Nie musisz mi ich dodawać.

– Zabiłeś ją!

Tego się nie spodziewałem.

– Uspokój się – powiedziała do niej Karla.

– Nie było mnie tu tamtego dnia. Nie było mnie w tym kraju. To się zdarzyło na twojej zmianie.

Drgnęła. Zraniłem ją, a tego nie planowałem, chciałem tylko, żeby przestała ranić mnie. W oczach pojawiły się jej łzy.

– Kochałam ją – powiedziała i łzy popłynęły jej po policzkach. – Ty ją tylko wykorzystywałeś, czekając na Karlę.

– To idealny moment, żeby przestać o tym mówić i skupić się na święcie – odezwała się w końcu Karla. – Wyluzujcie i zachowujcie się jak uprzejmi goście. Nie przyszliśmy tutaj we własnej sprawie. Jesteśmy tu dla Divy, która też sporo wycierpiała.

Przez jakiś czas udawałem, że jem, a Kawita udawała, że wyluzowała. Żadnemu z nas się nie udało.

– To ty powinieneś umrzeć na tym łóżku w samotności – syknęła Kawita, tracąc panowanie nad sobą.

– Przestań – rzuciła Karla.

– Nie masz nic do powiedzenia, Lin?

– Przestań – powiedziałem.

– To wszystko?

Zacząłem wstawać, ale pociągnęła mnie za rękaw.

– Chcesz wiedzieć, co powiedziała o tobie, kiedy się ze mną kochała?

Powinienem odpuścić. Nie zrobiłem tego.

– Wiesz, Kawita, pracujesz w gazecie, która sprzedaje śniadym ludziom wybielające balsamy. Mówisz o ochronie środowiska, a bierzesz pieniądze za reklamy firm naftowych i koncernów węglowych. Pouczasz ludzi, którzy noszą futra, a przyjmujesz reklamy restauracji podających kury z chowu klatkowego i naszpikowane hormonami hamburgery. Wasi ekonomiści wybaczają bankierom, bez względu na to, co zrobią, wasze artykuły manipulują opinią publiczną, a wasza krytyka to pchla na słoniu nietolerancji. Kobiety ze stron waszych gazet to lalki, a mężczyźni – mędrcy. Tuszujecie tyle samo zbrodni, ile opisujecie, prowadziliście kampanie przeciwko niewinnym tylko po to, żeby się lepiej sprzedawać, i oboje o tym wiemy. Zejdź z tego tronu i daj mi spokój.

Spojrzała na mnie z determinacją, która niczego nie zdradzała, ale może nie miała czego zdradzać. Wstałem, przeprosiłem zebranych i wróciłem samotnie przez slumsy. Naveen dogonił mnie w uliczce pełnej sklepików.

– Lin! Poczekaj.

– Jak sobie radzisz z zaginioną miłością? – spytałem.

Nieświadomie dotknąłem bolesnego miejsca. Łypnął na mnie gniewnie.

– Co to ma znaczyć? – warknął.

– Wiesz co, Naveen, lubię cię. Ale to naprawdę nie jest dobry moment, żeby się

nabzdyczać.

Odszedłem samotnie, ale kiedy dotarłem do mojego motocykla na większej ulicy przed slumsami, gdzie nadal bawiły się dzieci, ktoś szybko i cicho zbliżył się do mnie od tyłu.

Odwróciłem się, chwyciłem go jedną ręką za gardło, a drugą wyjąłem nóż, zanim dotarło do mnie, że to Karla.

– Masz mnie, Shantaram – powiedziała, kiedy ją puściłem.

– Jak zawsze.

Nie odsunęła się ode mnie.

– Jeśli będziesz się tak zakradać, możesz się spotkać z czyimś wkurwem.

– Wkurwem? Aleś ty amerykański.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo amerykański mogę się dzisiaj stać.

– Czy to uleczy mój wkurw?

– Może nie. Może powinienem powiesić ci dzwonek na bransoletce.

– Może powinieneś – mruknęła jak kotka.

Pocałowałem ją, oparty o motocykl, modląc się, żeby nigdy mnie nie zostawiła.

– Moment – rzuciła, cofając się. – Jesteś gotów wedrzeć się do Troi, a statki jeszcze nawet nie dobiły do brzegu.

– Nie wiem, co to znaczy, ale czy mogłabyś mi to wyjaśnić horyzontalnie?

– W moim czy twoim obecnym mieszkaniu? – spytała ze śmiechem.

– W czyimkolwiek obecnym mieszkaniu.

Znowu się roześmiała.

– To nie zabrzmiało dobrze – dodałem szybko. – Nie byliśmy razem, odkąd wróciłem z góry. Nie dłuży ci się? Bo mnie bardzo.

Czułem się, jakbym opowiadał dowcipy. Karla śmiała się coraz głośniej. W końcu zaczęła błagać, żebym przestał, bo brakowało jej tchu.

– Doprowadzasz mnie do szału, Karla. Znasz to uczucie, kiedy przy kimś czujesz, że wszystko jest na swoim miejscu? Ja mam je tylko przy tobie.

Przestała się śmiać i zmierzyła mnie wzrokiem. Nie wiem, co jest we mnie takiego, że ludzie ciągle mierzą mnie wzrokiem, ale zaczęło mi się to już nudzić.

Pocałowała mnie. A ja ją. Deszcz, fala i to miejsce wewnątrz, gdzie tańczymy lepiej niż w rzeczywistości. Pocałowała mnie.

Uderzyła mnie w twarz.

– Cholera! A to za co?

– Ogarnij się. Myślałam, że już to sobie wyjaśniliśmy. Mówiłam ci. Jesteśmy w tej grze razem albo jestem w mej sama. To twój wybór, nie mój.

– Dobrze. Zgoda. W jakiej grze?

– Kocham cię – rzuciła, odsuwając się. – W tej chwili potrzebuję Kawity. Mam plan i nie mogę ci go zdradzić, pamiętasz? Potrzebuję jej. I chcę, żebyś stał się lepszym człowiekiem, żebyś się uniósł wyżej.

Psy szczekały, kiedy wróciła truchtem do slumsów.

Nie zrozumiałem ani słowa z wyjątkiem własnych, a i to niekoniecznie. Ale przynajmniej wiedziałem, że znowu znalazłem się w świecie Karli. I nadal czułem jej cios i pocałunek.

# 64

Po tamtej nocy Oleg zniknął mi z oczu na dwa tygodnie. Znalazł sobie na jakiś czas nową kanapę, a przyboczne Divy zajęły się nową zabawkę. Nazajutrz po jego zniknięciu pojechałem taksówką w miejsce, gdzie zostawił swojego grata. Przez jakiś czas mówiłem do motocykla i zapewniałem go, że choć moje serce należy do innej maszyny, będę go teraz lepiej strzegł, zwłaszcza przed rosyjskimi pisarzami. Motocykl zawiózł mnie do domu bez żadnej awarii, mrucząc piosenkę przez całą drogę – dzielny pojazd, który uparł się nie umierać.

Jeździłem od rana do nocy, pomagałem przyzwoitym ludziom z pożyczkami i odbierałem pieniądze nieuczciwym defraudantom, wymieniałem się zabawnymi żartami i jeszcze zabawniejszymi obelgami, od czasu do czasu dawałem w ucho jakiemuś bezczelnemu waluciarzowi, z innymi klękałem, by się modlić, wręczałem łapówki policjantom i żołnierzom firmy za błogosławieństwo z dołu, rzucałem datki w kościołach i świątyniach za błogosławieństwo z góry, karmiłem żebraków przed meczetami, wypędziłem brutalnego alfonsa z mojego terenu i wszedłem jako trzeci do zawodów w rzucaniu nożem, żeby sprawdzić, kto jest w tym lepszy ode mnie – zawsze warto to wiedzieć. Złote dni stały się srebrzonymi nocami. Parę tygodni po tym, jak Oleg przerwał zapachowy eksperyment, jechałem właśnie do Leopolda, myśląc o podawanym w nim wegetariańskim curry z ryżem, głodny tak, że byłem gotowy je zjeść, gdy nagle ktoś wszedł na jezdnię wprost pod mój motocykl.

Był to Stuart Vinson.

– Lin! – krzyknął. – Wszędzie cię szukałem. Zaparkuj tę zasraną ryczącą maszynę, stary.

– Spokojnie – rzuciłem, głaszcząc motocykl po zbiorniku paliwa. – Zachowuj się, człowieku.

Stuart łypnął na mnie, a potem na motocykl.

– Co?

– Uspokój się. Jesteś jednoosobowym korkiem.

Samochody omijały nas, a posterunek w Kolabie nie był aż tak daleko.

– To poważna sprawa, Lin! Spotkajmy się w Leopoldzie. Od razu tam idę.

Stuart przemknął między samochodami do Leopolda; samochody przemykały wokół mnie, gdy nieprzepisowo zakręciłem i zaparkowałem motocykl.

Kiedy wszedłem do Leopolda, Vinson naprzykrzał się Milusiowi o stolik. Na stoliku Didiera znajdowała się tylko tabliczka „zarezerwowane”. Wręczyłem ją Milusiowi i usiadłem. Vinson zajął miejsce obok mnie.

Nie wyglądał dobrze. Jego promieniejąca zdrowiem twarz surfera wychudła, a pod oczami, zwykle pełnymi optymizmu, pojawiły się sine kręgi.

– Coś mi się zdaje, że piwo – rzuciłem do Milusia.

– Myślicie, że tylko was muszę obsłużyć? – rzucił Miluś w przestrzeń i wrócił do kuchni.

– Chcesz to powiedzieć przed czy po piwie? – spytałem.

Wydawało mi się, że to rozsądne pytanie. Robiłem to już na oba sposoby i wiedziałem, jak to wygląda: ta sama historia opowiedziana przez dwóch różnych wariatów.

– Zniknęła – oznajmił.

– Aha, czyli przed. Chodzi o Rannveig?

– Tak.

– Jak zniknęła?

– Była, a potem nagle już jej nie było. Szukałem jej wszędzie. Nie wiem, co zrobić. Miałem nadzieję, że odezwała się do ciebie.

– Nie widziałem jej – powiedziałem. – I nie mam pojęcia, gdzie jest. Kiedy zniknęła?

– Trzy dni temu. Szukałem wszędzie, ale…

– Trzy dni? Ocipiałeś? Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

– Jesteś moją ostatnią deską ratunku. Próbowałem wszędzie i ze wszystkimi.

Ostatnia deska ratunku. Nigdy tak o sobie nie myślałem. Nigdy nie byłem taką osobą. Zawsze to do mnie najpierw dzwoniono.

Miluś przyniósł piwo. Vinson wypił je szybko, ale nie pomogło.

– Boże, Boże! – załkał. – Gdzie ona jest?

– Słuchaj, Vinson, może poproś o pomoc Naveena. To on znajduje zaginione miłości.

– Możesz zadzwonić w moim imieniu?

– Nie używam telefonu. Ale mogę cię do niego zawieźć, jeśli chcesz.

– Proszę. Zrobię wszystko. Tak się o nią martwię!

Wstaliśmy. Moje piwo zostało nietknięte. Zostawiłem napiwek dla Milusia. Zbyt skromny.

– Wal się, Shantaram – powiedział Miluś, na nowo stawiając tabliczkę na stole. – Kto wypije twoje piwo, ja się pytam?

Odstawiłem zagubionego z powodu miłości Vinsona do Biura Zaginionej Miłości, dwa drzwi od moich, i zostawiłem go z Naveenem.

Moje stosunki z Naveenem ochłodły. Zraniłem go jakoś, to było pewne, ale nie miałem pojęcia, co takiego zrobiłem. Przywiozłem do niego Vinsona, bo mu ufałem i miałem nadzieję, że Naveen to dostrzega. Uśmiechnął się do mnie blado, kiedy wróciłem do siebie, po czym odwrócił się do Vinsona z oczami pełnymi poważnych pytań.

Zjadłem puszkę zimnej fasoli, wypiłem pół litra mleka i uzupełniłem ten zaimprowizowany posiłek połową szklanki rumu. Zostawiłem drzwi uchylone i usiadłem na moim ulubionym niskim fotelu obitym ciemnoniebieską skórą. Dżaswant Singh odziedziczył go po poprzednim recepcjoniście, który odziedziczył go po kimś z cholernie dobrym gustem w doborze krzeseł dla pisarza. Ja kupiłem fotel od Dżaswanta i w zamian dałem mu inny, nowiutki. Dżaswant był zachwycony i otoczył go kolorowymi światełkami. Ja postawiłem mój stary fotel w kącie, z którego miałem widok na balkon, a jednocześnie na korytarz, biurko recepcjonisty i prowadzące do niego schody. W tym miejscu napisałem swoje najlepsze teksty.

Właśnie pisałem swoje najlepsze teksty, kiedy Naveen dotknął mojego ramienia.

– Masz chwilę? – spytał.

Inteligentny, odważny i oddany, dobry i uczciwy chłopak. Dokładnie taki, jaki powinien być syn lub brat. Ale ja musiałem pisać.

– Ile chwil?

– Parę.

– Jasne – mruknąłem, odkładając dziennik. – Wejdź i usiądź.

Naveen usiadł na kanapie i rozejrzał się dokoła. Nie naoglądał się wiele.

– Zawsze zostawiasz drzwi otwarte?

– Tylko kiedy nie śpię.

– Ten pokój wygląda jak… – zaczął Naveen, szukając podpowiedzi w pokoju człowieka gotowego do ucieczki. – Jak obóz wojskowy, jeśli mnie rozumiesz.

Myślałem, że jak tu pomieszkasz, stanie się przytulniejszy. Ale… nie.

– Karla nazywa to szykiem uchodźcy.

– Podoba jej się?

– Nie. O co ci chodzi, Naveen?

– Diva – rzucił, jakby wzdychał. Zwiesił głowę.

– Co z nią?

– Zaproponowała mi pracę – powiedział z grymasem. – Dlatego byłem ostatnio taki drażliwy.

– Praca to nie taka tragedia.

– Nie rozumiesz. Wezwała mnie na zebranie. Jej człowiek zaprowadził mnie aż na dach jej budynku w Worli. Ma tam biura. Nie widziałem jej od jakiegoś czasu. Była… oboje byliśmy zajęci.

Zacisnął usta, jakby zabraniał sobie dalszego mówienia. Czekałem, a potem go ponagliłem.

– No i?

– Wyglądała… niesamowicie. Obcięła włosy. Fantastyczna fryzura. Ubrała się na czerwono. Na tym dachu strasznie wiało. Spojrzałem na nią. Przez chwilę pozwoliłem sobie na wiarę, że wezwała mnie, żeby mi powiedzieć…

Opuścił głowę i spojrzał na dłonie.

– Ale ona chciała ci zaproponować pracę.

– No.

– Za dużą kasę?

– No. Zbyt dużą.

– Dobra. Ona chce cię chronić. Bardzo cię lubi. Oboje przeżyliście trudne chwile. Teraz się martwi, że przez to Biuro Zaginionej Miłości znowu znajdziesz się na ulicy.

– Naprawdę tak myślisz?

– Myślę, że w ten sposób wyraża swoją troskę o ciebie. Nie powinieneś się martwić, tylko cieszyć.

– Może masz rację. Wtedy prawie mnie pocałowała, pamiętasz?

– Powiedziała, żebyś się zamknął i ją pocałował. Może powinieneś.

– Wiesz, ta nowa Diva… – powiedział Naveen w zamyśleniu. – Muszę do niej przywyknąć. Zawsze wiedziałem, co myśli i co powie dawna Diva. Tej szczęśliwej,

uśmiechniętej za nic nie potrafię zrozumieć. Jest jak śnieg na radarze. Jakbym musiał się w niej od nowa zakochać.

– Wiesz co, przeczytałem kiedyś poradnik *Kobiety dla opornych*.

– I czego się dowiedziałeś?

– Ni cholery nic z niego nie zrozumiałem. Ale utwierdziłem się w przekonaniu, płynącym z moich porąbanych doświadczeń, że nie zrozumiesz, co myśli kobieta, dopóki sama ci tego nie powie. A żeby ci powiedziała, musisz ją spytać. Pewnego dnia będziesz musiał spytać tę dziewczynę, czy myśli o tobie poważnie.

– Powinienem przyjąć tę pracę?

– Oczywiście, że nie. Pracowałeś dla jej ojca. Teraz jesteś na własnym rozrachunku. Diva będzie cię bardziej szanować za odmowę niż za zgodę. Prawdopodobnie znajdzie inny sposób, żeby mieć cię przy sobie.

Naveen wstał i zaproponował, że umyje po sobie szklankę. Odstawiłem ją na stół.

– Dobry z ciebie człowiek – powiedziałem. – A ona to dostrzega.

Ruszył do wyjścia, ale szybko się odwrócił, jak w bokserskim tańcu.

– Ej, nie zapomnij o dzisiejszym wyścigu.

– Jakim wyścigu?

– Nie słyszałeś? Cham i Pari odwiedziły slumsy, a ja wyzwałem Benicię na pojedynek. Wszystko umówione.

– Benicia się zgodziła?

– Tak.

– Spotkałeś się z nią?

– Tak jakby. To na razie.

– Zaraz. Tak jakby?

Naveen oparł się o framugę, ale unikał mojego spojrzenia.

– Umówiłem się z nią, żeby kupić biżuterię – zaczął. – To jedyny sposób, żeby się z nią spotkać. Niełatwo do niej dotrzeć. Kazała mi usiąść na dywanie, w bardzo starym mieszkaniu. Prowadzi w nim interesy. I przez całą transakcję była w nikabie.

– Całej czarnej szacie czy tylko zasłonie na twarz?

– W zasłonie. A te oczy, człowieku! Słowo daję!

– Jest muzułmanką?

– Nie. Spytałem i powiedziała, że nie. Po prostu pasuje jej nikab. To właściwie nie

jest prawdziwy nikab, tylko takie jakby okulary, które zasłaniają jej twarz z wyjątkiem oczu. Musiała je specjalnie zamówić. Te oczy, człowieku, słowo daję!

– Zamaskowana jak Batman. Karla będzie zachwycona.

– Te oczy, człowieku! – powtórzył znowu. – Słowo daję.

– Weź na wstrzymanie. Jak poszło? Z Benicią?

– Kupiłem masę radżasthańskiej biżuterii w ramach dowodu dobrej woli, a potem wyjaśniłem jej sytuację. Zgodziła się, ale pod jednym warunkiem.

– A, zawsze jest coś drobnym druczkiem.

– Muszę się z nią umówić.

– Jeśli wygrasz czy jeśli przegrasz?

– Jeśli wygram, przegram albo zrezygnuję.

– Żartujesz?

– Cholera, Naveen! Diva nie będzie zachwycona, że umówiłeś się na spotkanie z kobietą zagadką, która, nawiasem mówiąc, jeździ motocyklem vintage 350 cc szybciej niż ktokolwiek w Bombaju.

– Niż ktokolwiek z wyjątkiem mnie – uściślił Naveen. – Ćwiczyłem. Jestem szybki.

– I bardzo ci się to przyda, kiedy Diva się dowie o tym spotkaniu.

– Klamka już zapadła.

– Ha. Diva niewątpliwie skopie ci za to tyłek, natomiast u Didiera zapunktujesz jak cholera. Oszaleje, kiedy się o tym dowie.

– Już wie. Wszyscy wiedzą. Wszyscy… z wyjątkiem Divy. Myślałem, że ty też wiesz.

Nie wiedziałem. Nikt mi nie powiedział. Niepostrzeżenie odłączyłem się od świata przyjaciół, który wspólnie z nimi budowałem.

– Gdzie ma być ten wyścig?

– Budynek Air India, Marine Drive, Pedder Road i z powrotem, trzy razy.

– Gdzie zjeżdżasz na Pedder Road?

– Na ostatnich światłach przed Hadżim Alim.

– Kiedy?

– O północy.

– Psy będą zachwycone.

– Psy nam pomagają. Dbają o bezpieczeństwo ruchu, a my jesteśmy tak wdzięczni za

ich współpracę – by się tak wyrazić – że zapłaciliśmy tyle, ile zażądali, czyli niemało. Chcemy ich wciągnąć w sprawy organizacyjne. Potrzebujemy ich radia do komentowania wyścigu. W tym są pieniądze.

– Na przykład trochę moich – rzuciłem ze śmiechem.

– Wiesz… – powiedział niepewnie – w gorączce chwili, zajęty tym wyścigiem i w ogóle, kompletnie nie pomyślałem, jak Diva przyjmie fakt, że spotkałem się z Benicią.

– Nie zrzucaj tego na gorączkę chwili.

– No, ale gdybym nadal był z dawną Divą, która waliła mnie w jaja za każdym razem, gdy się wychylałem, nigdy by do tego nie doszło.

– Przyprowadź na spotkanie nową Divę. Może się spodobać Benicii. A Diva lubi biżuterię.

– Nie takie spotkanie Benicia miała na myśli.

– Skąd wiesz?

– Te oczy… Zrobiła takie… no… trzeba to było widzieć, ale nie mam wątpliwości. Nie chodziło jej o zwykłe spotkanie.

– A ty się na to zgodziłeś?

– Mówiłem ci, trochę mnie poniosło.

– Odwołaj wyścig.

– Nie mogę. Zbyt wiele osób zainwestowało w to zbyt dużo pieniędzy. Muszę dać z siebie wszystko.

– No to kiedy będziesz na tej randce, przyznaj się, że kochasz inną. Wyjaśnij, że powinieneś był ją uprzedzić, kiedy prosiła cię o to „nie tylko spotkanie”.

– Głupio mi jak cholera.

– Niepotrzebnie. Wygraj ten wyścig i załatw sprawę jak należy.

Przytulił mnie tak mocno, jakbym nagle znalazł się w rzece po pierś, opływającej mnie na tyle delikatnie, by mnie nie przewrócić.

Potem wypadł pędem.

– Do zobaczenia na wyścigu! – krzyknął, zbiegając po schodach.

– Czekaj! – zawołałem. Naveen wrócił biegiem na najwyższy schodek.

– Ta dziewczyna, przyjaciółka Vinsona, Rannveig.

– No – rzucił, stojąc na jednej nodze, jak jeleń, który lada chwila rzuci się do ucieczki. – Już z nim rozmawiałem. Jest w biurze z Didierem.

– To także moja przyjaciółka. Jeśli chcesz ją znaleźć, idź w duchowość. Sam bym od tego zaczął.

– Dobra, duchowość. Zrobi się. Coś jeszcze?

– Nie. Uciekaj.

Więc uciekł.

Z jakiegoś powodu naszła mnie ochota, żeby zamknąć drzwi na wszystkie zamki, oczyścić broń, naostrzyć noże, coś napisać i upić się na tyle, żeby przegapić wyścig. W tamtej chwili nie chciałem mieć nic wspólnego z cudzymi dramatami miłosnymi.

Wstałem i ruszyłem do drzwi, ale Vinson mnie ubiegł.

– Masz chwilę?

– Kurwa, człowieku, kto nie ma chwili? I kto nie wie, że to potrwa dłużej niż chwilę? Wszyscy. Więc daj sobie spokój z tą pasywno-agresywną pseudoskromnością, wejdź, ulokuj swoje zwłoki na sofie Olega, napij się piwa i powiedz mi, co ci chodzi po głowie albo co chodzi po głowie Olegowi, jeśli ośmielisz się zgadnąć.

– Ale humorek – mruknął, siadając.

Rzuciłem mu piwo.

– Ładna kanapa – dodał. – Kim jest Oleg?

– Co ci chodzi po głowie, Vinson?

Zaczął o niej mówić, o tej dziewczynie z Północy, która wszędzie, gdzie szła, niosła w oczach lód. Obwiniał się, że za bardzo ją przytłoczył swoją opieką, że czuła się z nim jak w więzieniu, że popełnił mnóstwo błędów.

– To ty jesteś więźniem, stary – oznajmiłem.

– Ja?

– Więźniem przykutym do swoich czynów. A ona jest wolnym ptakiem.

– Jak to?

– Nie chcę mówić o Rannveig za jej plecami, ale powiem, że to wrażliwa osoba, a to, co robisz, jakoś ją rani. Jej ostatni chłopak umarł z powodu heroiny, pamiętasz?

– Nie biorę heroiny.

– Tylko nią dilujesz.

– Nie mówiłem o tym Rannveig – odparł spłoszony. – Ona nie wie, co robię.

– Choć znam ją mało, to wiem, że twoje zajęcie ma dla niej znaczenie. Wiesz, Vinson, możliwe, że będziesz musiał wybrać między pieniędzmi a dziewczyną.

– Nie mogę żyć, jak żyję, bez pieniędzy. Żyję z rozmachem, i to lubię.

– Bierz mniejszy rozmach.

– Ale Rannveig…

– Rannveig będzie zachwycona, dopóki będziesz mieć pokojówkę. Lubi twoją pokojówkę.

– Najpierw muszę ją znaleźć.

– Znajdziesz. Albo ona ciebie. To inteligentna dziewczyna. Jest silniejsza, niż wygląda. Poradzi sobie.

– Dzięki, Lin – powiedział Vinson, wstając.

– Za co?

– Nie uważasz, że jestem głupi, skoro mi tak zależy. Że tak ją kocham. Psy uważają mnie za wariata.

– Psy uważają za wariata każdego, kto dobrowolnie wchodzi na posterunek. I tu mogą mieć rację.

– Naprawdę myślisz, że do mnie wróci?

– Może wrócić do ciebie, ale nie do tego, co robisz.

Vinson powoli zszedł po schodach, kręcąc z troską głową.

Wiara to bezwarunkowa miłość, a miłość to bezwarunkowa wiara. Vinson, Naveen i ja byliśmy zakochani i pozbawieni ukochanych kobiet, a wiara była dla nas drzewem, które nie daje cienia. Miałem nadzieję, że Vinson będzie miał szczęście i że Rannveig pozwoli się odnaleźć. Miałem nadzieję, że Diva pozwoli odetchnąć Naveenowi. I miałem nadzieję, że nieznany mi plan Karli nie będzie nas kosztować wszystkiego, co prawie mieliśmy.

# 65

Niemal zdołałem zamknąć drzwi, ale Didier pchnął je z drugiej strony.

– Mam pewien problem – oznajmił, rzucając się na sofę.

– Powinienem wynajmować ten mebel na godziny – mruknąłem. – Jest bardziej zajęty ode mnie.

– Dziś ma się odbyć specjalna impreza.

– Mhm.

– Bal kostiumowy.

– Zamykam drzwi, Didier.

– W najlepszej wypożyczalni zostały tylko dwa kostiumy i zarezerwowałem oba, ale nie mogę się zdecydować.

– Co to za kostiumy?

– Gladiatora i baletnicy.

– Nie widzę problemu.

– Problemu? Nie widzisz problemu? To jasne, że Didier jest idealny w obu rolach, więc nie może wybrać.

– Rozumiem.

– Co mam zrobić?

– Moja rada jest taka – oznajmiłem, kanalizując energię sofy Olega. – Bądź gladiatorem do pasa, a od pasa – baletnicą. Bądź gladiatnicą.

– Gladiatnica… – Didier rzucił się do drzwi. – Muszę to natychmiast wypróbować.

Poczłapał po schodach, a ja poczłapałem do drzwi i w końcu zdołałem je na chwilę zamknąć. Powinienem się cieszyć, ale się nie cieszyłem. Nie lubiłem zamkniętych drzwi, nawet w snach. Noc w noc śniło mi się, że łomoczę w nie pięściami.

Usadowiłem się w fotelu, ale nie mogłem pisać. O minutę za długo wpatrywałem się w zamknięte drzwi i znowu znalazłem się w klatce.

Każdy cios zadany przykutemu człowiekowi, każdy zastrzyk mający opanować bunt, każdy wstrząs elektryczny przymusu jest obrazą dla tego, kim się staniemy, kiedy

wypełni się nasze przeznaczenie. Czas to błona, tkanka łączna, i można go skaleczyć. Czas nie leczy wszystkich ran, czas jest wszystkimi ranami. Tylko miłość i wybaczenie je leczą.

Nienawiść zawsze zostawia po sobie ślad. Ale czasem nie jest to nasza własna nienawiść. Czasem jesteś przykuty, a nienawiść, która w ciebie uderza, wyrosła w cudzym sercu. Wtedy proces zapomnienia jest dłuższy.

Nawet jeśli pewnego dnia znajdziemy sposób, by spleść pasma miłości i wiary, które znajdujemy po drodze, zawsze zostają ślady tego, o czym nie da się zapomnieć. Przeszłość wpatruje się w ciebie, kiedy wpatrujesz się w zamknięte drzwi.

Przez jakiś czas byłem zaginionym synem, uciekającym przed przyjaciółmi i miłością, zamykającym na klucz wspomnienia strachu, gniewu, buntu, więziennych zamieszek, płonącej kaplicy, strażników w kamizelkach kuloodpornych, mężczyzn, którzy woleliby umrzeć, niż znosić kolejny dzień takiego życia, tak jak ja byłem gotów umrzeć, gdy stanąłem na murze i uciekłem.

Czas także umrze, tak jak my, wraz z wszechświatem – i znowu się narodzi. Czas to żywa istota, tak jak my, która rodzi się, żyje, umiera. Czas ma tętno, ale to nie jest tętno naszego serca, choćbyśmy poświęcili mu się cali. Nie potrzebujemy czasu, to on nas potrzebuje. Nawet czas potrzebuje towarzystwa.

Odwróciłem wzrok od drzwi i dla odmiany zagłębiłem się w pola, jeziora, plaże i drzewa Karli, jej chmury i burze, które wszystko obracają w ruinę, a kiedy się tam znalazłem, napisałem zdania o Karli i czasie, walczących o miłość. Nie udały mi się. Ale zaznaczyłem tę stronę, zanim zamknąłem dziennik, bo czasem najlepsze zdania biorą się z tych nieudanych.

Poszedłem na balkon i zapaliłem jointa od Didiera.

Skrzyżowanie na dole wyglądało w miarę spokojnie. Rozgorączkowane owady samochody wracały chmarami do swoich uli. Nadszedł czas ostatniego objazdu, a wyścig Naveena z Benicią miał się odbyć wkrótce, ale nie chciało mi się ruszać.

Karla, Didier, Naveen, Diva, Vinson, Zodiakalni George'owie, Kawita: nie rozumiałem, co się dzieje. Zaszło tyle zmian, pojawiła się taka niepewność, tyle razy miałem wrażenie, że znajduję się po niewłaściwej stronie muru, którego nie widzę…

Zagubiłem się w tym chaosie. Przez cały wieczór radziłem innym, a dla siebie nie potrafiłem znaleźć rady. Mogłem tylko być posłuszny instynktowi, który radził, by to Karła wybrała, raz i na zawsze: życie ze mną gdzie indziej albo życie w Mieście Wysp beze mnie.

To, co teraz robiła w Bombaju, nie dotyczyło mnie, a czułem, że powinno. Byłem gotów samotnie odjechać i gdzieś na nią poczekać, jeśli nie zechce odjechać ze mną. Wiedziałem, że spotkam ją na wyścigu. Musiałem na niego pójść. Chciałem z nią porozmawiać, choćby tylko po to, żeby się pożegnać.

Kiedy nie masz w życiu żadnego innego planu oprócz najprostszej drogi z miasta i kiedy twoje serce zbyt długo czekało na prawdę, albo kiedy twoja dusza za długo czekała na nową piosenkę, los czasem uderza laską w ziemię i bucha na ciebie ogień.

Samochody mijały mnie z morderczą prędkością. Widziałem ludzi Husseina i Skorpionów pędzących w przeciwnych kierunkach. W moją stronę zbliżał się motocykl z bardzo wysoką kierownicą. Człowieka, który na nim jechał, rozpoznałbym z daleka. Rawi.

Oparłem motocykl na stopce i machnąłem ręką.

– Co tam?

– Pożar w domu Kadirbaja – rzucił, podjeżdżając.

– We dworze?

– No.

– Nazir zdrowy? I Tarik?

– Nikt nie wie. Usiłują uratować meczet. Tylko tyle słyszałem. Jedynie motocykle mogą się tam przedrzeć. Podobno na Mohammed Ali Road jest korek. Nie pokazuj się dziś na ulicy.

Dom Kadirbaja płonął.

Zobaczyłem chłopca na cesarskim tronie, z głową przechyloną na bok i długimi palcami podtrzymującymi czoło. Zobaczyłem mojego afgańskiego przyjaciela Nazira o surowej twarzy rozświetlonej porannymi modlitwami.

I coś mi wyjęto z piersi, coś głęboko ukrytego, co przestało należeć do mnie. Poczułem, że więź się zrywa. Poczułem, że miłość odchodzi, wysącza się ze mnie, jakby smutek przeciął mi żyły. I poczułem strach – o nas wszystkich.

Rawi odjechał, a ja ruszyłem za nim. W tamtych latach pragnienie śmierci było równie silne, jak i chęć przeżycia. I czasem wspinałem się na maszt mojego serca, tej łódeczki na otwartym morzu, i otwierałem ramiona, by przyjąć szalejącą nad światem nawałnicę.

# 66

Rawi jechał szybko, ale nie zostawił mnie daleko za sobą. Bez trudu przejechaliśmy smoczym kręgosłupem Mohammed Ali Road, ale potem natknęliśmy się na mur samochodów, ciężarówek i autobusów stojących z wyłączonymi silnikami.

Musieliśmy wjechać na chodnik pełen ludzi, którzy nie mogli iść po zablokowanej drodze. Cieszyłem się, że pierwszy jedzie Rawi, który odtrącał ludzi z drogi przednim kołem motocykla. Płynnie i z szacunkiem wymijał wszystkich, nikomu nie robiąc krzywdy, lecz utrzymując tempo marszu. I po drodze powtarzał tylko jedno słowo:

„Kadirbaj!".

Krzyczał je raz po raz jak mantrę. A na jego dźwięk ludzie ustępowali mu z drogi.

Firma stworzona przez Kadirbaja była poczwarką, z której wylęgła się firma Sanjaya, i zalążkiem firmy Wisznu, ale w chwili zagrożenia tylko imię Kadirbaja miało moc, przed którą ustępowały rzesze.

Tak bardzo się bałem stracić z oczu Rawiego, i na własną rękę wymijać ludzi, że trzymałem się go zbyt blisko i parę razy wjechałem mu w błotnik. Rawi lekko nacisnął klakson, prosząc mnie o zachowanie spokoju, a potem znowu zawołał to niezapomniane imię:

„Kadirbaj!".

Dotarliśmy na róg koło meczetu, ale wysoka ściana motocykli, ręcznych wózków i rowerów blokowała ruch na chodniku. Szeregi ludzi sunęły jezdnią, wypełniając wszystkie przerwy między samochodami.

Przez łuki markiz nad chodnikiem widzieliśmy dym, płomienie i wozy strażackie. Jezdnia obok nas była na mur zablokowana samochodami i autobusami.

Postawiliśmy motocykle w bramie, spięliśmy je moim łańcuchem i wdrapaliśmy się po murze rowerów, koszy i wózków, przechodząc pod tablicami wiszącymi nad sklepami.

Zsunęliśmy się po wyboistym metalowym zboczu i wylądowaliśmy koło kordonu policyjnego w miejscu, gdzie kończył się korek. Policjanci rozciągnęli zwykły sznurek od zderzaka ambassadora do rączki wózka. To wystarczyło, żeby powstrzymać ludzką powódź. Przeszliśmy pod sznurkiem i ruszyliśmy między sklepikami przed meczetem,

kierując się do posiadłości Kadirbaja.

Wozy strażackie oblewały wodą z potężnych węży ściany świątyni, starając się opanować ogień. Meczet wydawał się nietknięty, lecz kiedy ruszyliśmy między czarnymi, przeciekającymi wężami strażackimi, ujrzeliśmy ruinę domu Kadirbaja.

Samotny oddział strażaków starał się ograniczyć niszczycielską działalność ognia, ale większość sił skierowano do meczetu, od którego mogły się zająć inne zabudowania.

Ludzie z kilku mafijnych firm już stali na wąskiej uliczce, wpatrując się w płomienie, które rzucały na ich twarze wściekły blask. Widziałem głównie tych z firmy Husseina, ale było też kilku od Wisznu i gangsterzy z innych organizacji. W sumie zebrało się ich ze dwudziestu. W środku stał Abdullah, w którego oczach płonął dziki ogień. Strażacy nie pozwalali gangsterom się zbliżyć, prosili, żeby dali im wykonywać obowiązki. Abdullah przedarł się przez ich szeregi, odtrącił trzech strażaków, uderzył czwartego, który starał się mu zagrodzić wejście do budynku, i zniknął w płomieniach.

Ludzie z firmy spojrzeli na strażaków, sprawdzając, czy będą walczyć. Strażacy noszą mundury. Według gangsterów każdy, kto nosi mundur, znajduje się po drugiej stronie barykady.

Strażacy wycofali się, zabierając ze sobą kolegów. Płacono im za ratowanie ludzi, a nie za walkę z nimi. Ci, którzy dostawali za nią pieniądze – policjanci – rzucili się ku wycofującym się strażakom.

Walka z psami to niebezpieczny interes. Policjanci na ogół lubią walczyć, ale zważają na zasady: bić tak, żeby nie było trwałych śladów, i bez broni. Czysty, klasyczny łomot. To mniej więcej oddaje obraz sytuacji, ale są jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze, gliny mają długą pamięć, dłuższą niż znani mi przestępcy, zdecydowanie bardziej skłonni do wybaczania i zapominania. A po drugie: jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli, mogą cię zastrzelić i nie iść za to do więzienia.

Ludzie firmy schowali broń albo ją rzucili i stali przed płonącym budynkiem. Psy zaatakowały ze wszystkich sił, gangsterzy odpowiedzieli tym samym.

Każda sekunda naszego życia to chwila wyboru. Patrzyłem, jak walka się zaczyna. Siły były mniej więcej wyrównane. Potem na pomoc przybiegła nowa grupa policjantów. Rawi wraz z innym gangsterem, Przekrętem, rzucili się do walki. Mogłem zostać. Mogłem się tylko przyglądać. Nie zrobiłem tego. Rzuciłem moje noże za wózek i ruszyłem wprost w chaos, w którym żaden z nas nie powinien się znaleźć.

Szedłem krótko. Jakiś policjant uderzył mnie, zanim dotarłem na linię frontu. Dobry

był. I szybki. Usłyszałem dzwon i nie wiedziałem, która to runda. Posłuszny instynktowi uskoczyłem, a potem uderzyłem, ale było za późno – policjant już leżał u moich stóp. Wysoki Tony – wysoki, chudy Tony – powalił go na ziemię.

Stanęliśmy wśród ludzi firmy. Policjanci pospieszyli swoim na pomoc. Ludzie potykali się i szamotali. Gliny biły swoich. Ludzie firmy walczyli ze sobą.

Chwyciłem policjanta za koszulę i przyciągnąłem go do siebie. Doszedłem do wniosku, że jeśli nie zdoła uderzyć mnie, nie uderzy też nikogo innego.

Myliłem się w obu tych sprawach. Facet uderzył pięścią nad moimi łokciami i trafił akurat w tę część mojej głowy, która wyłączyła światło, część, która puściła Clasha w jakimś pokoju z rosyjskim pisarzem, daleko stąd.

Straciłem równowagę, odruchowo pociągając go za sobą. Runął na mnie. Inni policjanci, którzy zjawili się razem z nim, powalali gangsterów. Strawiony ogniem fronton domu zaczął osuwać się w dół. Runęliśmy w popioły.

Nie wiem, ile osób upadło na policjanta, który upadł na mnie. Wydawało mi się, że cała ludzkość. Kadzidło szczypało mnie w oczy, jakby już trwał nasz pogrzeb, a wokół unosiły się drobiny żaru z drewna sandałowego.

W zgliszczach leżały osmalone strony świętych ksiąg. Poczułem smród palonych włosów i potu zbyt licznych ciał, za bardzo mnie przygniatających.

Z domu świsnęły kule. Nagle ucieszyłem się, że miażdży mnie góra ludzi.

– Pociski wybuchają od gorąca! – zawołał jakiś policjant w marathi. – Lecą na oślep. Wstrzymać ogień!

Przygniatający mnie policjanci i gangsterzy nie chcieli ryzykować. Przywarli do ziemi, a raczej do mnie. Łapałem powietrze malutkimi haustami, jak królik. Ostrzał ustał, gdy magazynki się opróżniły. Łuk nad naszymi głowami w końcu runął. Leżący mężczyźni jeszcze mocniej do mnie przywarli. Od luku oderwał się fragment tablicy z napisem i runął na nas. Nie mogłem poruszać rękami. Nadal ściskałem koszulę policjanta. Nic nie widziałem. Oddychałem powietrzem szorstkim od popiołu, ale cieszyłem się, że w ogóle je mam. A potem wszystko ustało. Policjanci i gangsterzy wstawali niezdarnie jeden po drugim. Ten leżący na mnie był ostatni. Usiłował oderwać się ode mnie, ale mocno go trzymałem. A on uparcie pełzł na czworakach, nie patrząc na mnie, aż w końcu go puściłem.

Wstałem, wytarłem oczy i spojrzałem na płonący dom – dom, w którym Kadirbaj podarował mi godziny swojego życia, by prowadzić ze mną dyskusje filozoficzne.

Otoczony krużgankami dziedziniec wyglądał jak drżący rysunek, nakreślony

czerwonożółtymi płomieniami. Ściany działowe domu osuwały się w dół. Szkielet z drewnianych belek stał w ogniu. I wszystko przepadło. Wszystko.

Nie mogłem tego znieść, nie mogłem się z tym pogodzić. Miejsce, które z jakiegoś powodu uznałem za niezniszczalne, ginęło w pożarze i popiołach.

Odwróciłem się i zobaczyłem Abdullaha. Przyklęknął na jednym kolanie na otwartym terenie koło meczetu. Trzymał w objęcia chłopca, Tarika. Ludzie cofnęli się z szacunkiem. Abdullah tulił chłopca, ale głowa Tarika już chyliła się ku ziemi, a jego młode silne ramiona zwisały bezwładnie.

Walki ustały. Policjanci ustawili nową barykadę w pełnej szacunku odległości. Ludzie pokonali ją, żeby dotknąć płaszcza martwego chłopca.

– Nazir? – spytałem Abdullaha, kiedy zdołałem się przebić przez rozpaczający tłum. – Widziałeś go w domu?

– Wyjąłem ciało chłopca z jego rąk – powiedział Abdullah, nadal klęcząc, nadal płacząc. – Nie żyje. Nie mogłem wynieść jego ciała. Już płonęło, gdy zabrałem Tarika.

Abdullah także umierał i obaj o tym wiedzieliśmy. Ślubował bronić chłopca własnym ciałem, a ten zginął. Jego bezwładne ciało leżało jak podarta flaga. Wiedziałem, że Abdullah zmusi ludzi, którzy zabili Tarika i Nazira, żeby oddali cześć tej fladze, zanim umrą, nawet gdyby miało go to kosztować życie.

– Na pewno nie żył?

Abdullah spojrzał na mnie. W oczach miał irańskie pustynie.

– Dobrze, dobrze – rzuciłem, zbyt wstrząśnięty, by mu nie przyznać racji.

Nazir był ostoją, niezdobytym bastionem, człowiekiem, który opowiada historie długo po tym, jak wszyscy inni zginą.

– Już nie żył, kiedy go znalazłeś?

– Tak. Jego ciało leżało na boku, spalone, ale dzięki swojej ofierze oszczędził twarz i ciało Tarika. Zostali zastrzeleni. Obaj. I nigdzie nie ma strażników.

Szalejący z rozpaczy ludzie odepchnęli mnie, chcąc dotknąć pokonanego króla. Przecisnąłem się przez szybko gęstniejący tłum, którego nie mógł opanować żaden policyjny kordon. Dotarłem na jezdnię i wszedłem po osuwającej się górze rowerów i wózków aż do mojego motocykla, przy którym zastałem Rawiego.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedział. – Potrzebuję motoru. Dziś rozpęta się piekło.

Jeśli piekło oznacza ogień i wściekłość, to miał rację. Oburzenie przełamuje zaporę

zdrowego rozsądku. Morderstwo w domu Kadirbaja, które zagroziło także ukochanemu meczetowi, miało doprowadzić do tego, że na miasto wybiegną watahy wilków, i obaj o tym wiedzieliśmy. Piękne, tolerancyjne Miasto Wysp nie było już bezpieczne.

Pomyślałem o Karli i jej bezpieczeństwie.

Rozpiąłem łańcuch, uwolniłem nasze motocykle i ruszyliśmy do Kolaby. Rawi zostawił mnie przy skrzyżowaniu Metro, żeby spotkać się ze swoimi towarzyszami broni. Ja wbiegłem po schodach hotelu Amritsar, by sprawdzić, czy Karla jest u siebie.

– Musisz się wykąpać – zauważył Dżaswant. – I przebrać.

Mój podkoszulek tajemniczo zniknął, podarty w walce. Kamizelka była osmalona i ubrudzona sadzą. Moje nagie ramiona i pierś pokrywały zadrapania i popiół.

– Widziałeś ją?

– Poszła na wyścig.

– Dzięki.

– Wal się, *baba* – odparł.

Pobiegłem na dwór, przeskakując po cztery stopnie naraz. Musiałem znaleźć miejsce, z którego Karla zamierzała obserwować ten legendarny wyścig. Podejrzewałem, że skusi ją najbardziej niebezpieczny zakręt trasy – w którym los i śmierć usiądą wspólnie z kubełkiem popcornu.

Nie było łatwo się tam dostać. Miasto zostało zablokowane i musiałem przekupić policjantów w czterech punktach kontrolnych, żeby pozwolili mi zachować noże.

Niepokoje w mieście mogą się skończyć śmiercią tysięcy osób w całych Indiach, nawet w tak tolerancyjnym mieście jak Bombaj. Policjanci zamknęli ulice, dopóki ogień groził meczetowi, a podejrzenie mogło paść na hinduistów.

Kiedy dotarłem do punktu obserwacyjnego, wyścig już się skończył, a policjanci z drogówki reagowali na wezwania do zamieszek na bazarze Nuli. „Tłum nadchodzi z Dongri", powtarzały raz po raz policyjne radia w marathi.

Pojechałem do pijalni soków przy Hadżim Alim. Myślałem, że Naveen może tam świętować swoje zwycięstwo lub opijać klęskę, ponieważ był to jeden z nielicznych nadal otwartych lokali publicznych.

Po drodze mijałem ludzi, biegnących do hinduistycznej świątyni i muzułmańskiego meczetu. Słyszeli, że część muzułmańskiej dzielnicy w Dongri stoi w płomieniach. Musiałem ich omijać, od czasu do czasu hamując, kiedy spanikowany człowiek wyskakiwał mi wprost przed koła. Zatrzymałem się pod Hadżim Alim, zatrzymując moją maszynę w pewnym oddaleniu od zaparkowanego przed świątynią szeregu

zagranicznych motocykli. Zerknąłem na stoliki przed pijalnią i zobaczyłem Naveena siedzącego z Kawitą Singh.

Obejrzałem się na grupę motocyklistów. Zobaczyłem szczupłą dziewczynę w nikabo-okularach, czerwonej skórzanej kurtce, białych dżinsach i czerwonych trampkach. Benicia. Siedziała na matowym czarnym motorze vintage 350CC z wymienną kierownicą. Na zbiorniku paliwa widniało słowo *Ishq*, oznaczające namiętną miłość.

Obok niej stał jakiś tuzin osób, mimo upału w ubraniach z kolorowych skór. Nie znałem żadnej. Jakaś głowa odwróciła się w moją stronę. Karla.

Karla uśmiechnęła się, ale nie wiedziałem, co mówią do mnie jej oczy. Albo: „Cieszę się, że cię widzę", albo: „Nie rób nic głupiego". Podszedłem i wziąłem ją za ramię.

– Muszę z tobą porozmawiać.

Chłopcy na japońskich motocyklach przyjrzeli mi się. Byłem cały w popiele, zadrapaniach i osmaleniach.

– Co się stało? – spytała.

– Dom Kadira spłonął. Nazir i Tarik nie żyją.

Przeszedł ją dreszcz na tyle silny, że szarpnął jej głową. Osunęła się na mnie i objęła mnie wpół. Wróciliśmy do mojego motocykla. Usiadła na nim, plecami do grupy przed barem.

– Wyglądasz, jakbyś był ranny – powiedziała. – Wszystko w porządku?

– To nic takiego. Ale…

– Byłeś tam? W pożarze?

– Tak, ale…

– Wariat! – syknęła, cała w płonących królowych. – Już i tak jest niebezpiecznie, a ty musisz się jeszcze bawić ogniem? Dlaczego zadaję sobie tyle kłopotu, żebyś był bezpieczny, skoro ty wychodzisz ze skóry, żeby się narazić?

– Ale…

– Daj mi jointa.

Zapaliliśmy. Słyszałem, jak stojący nieopodal policjanci rozmawiają o zamknięciu całego miasta w ramach planu B, jeśli zamieszki rozprzestrzenią się poza pobliski Crawford Market.

Chciałem się stamtąd wydostać. Chciałem ją zawieźć do domu, brudny i w ogóle. Chciałem wziąć prysznic i odwiedzić beduiński namiot.

Motocykliści przyglądali nam się. Przyszli tu, by oblewać czyjeś zwycięstwo sokiem arbuzowym. Młodzi chłopcy pragnący zaimponować dziewczynom. Ich język ciała sygnalizował, że szukają zaczepki, której nikt im nie rzucał.

Ogień, myślałem. Przepadło. Wszystko przepadło. Nazirze, Nazirze, Nazirze, strzelili do ciebie i spalili cię, mój bracie.

– Chłopiec nie żyje? – spytała Karla, wyciągając mnie z tego pożaru.

– Tak. Widziałem go. Był martwy, ale nietknięty przez ogień. Nazir osłonił jego ciało. Abdullah wyniósł zwłoki Tarika z budynku, ale Nazira musiał zostawić.

– Oby wszechświat ukoił jego młodą, powracającą duszę.

– Niech ukoi ich dusze.

– Ich dusze – powtórzyła.

– Zostali zastrzeleni, a ich strażnicy zniknęli.

– Jesteś pewien?

Przez chwilę patrzyłem na nią, jak Abdullah na mnie na tamtej płonącej ulicy, z martwym skarbem w ramionach.

– Dobrze. Dobrze – rzuciła.

Jeden z motocyklistów zbliżył się do nas. Wyszedłem zza mojej maszyny.

– Wszystko w porządku, Karla? – spytał. – Ten facet ci się narzuca?

– Nie, gościu – rzuciłem niesympatycznie. – Ty mi się narzucasz. Won. Pewnie był miłym chłopcem, ale wybrał bardzo kiepski moment. Poza tym gadałem z moją dziewczyną.

– A ty, kurwa, kto?

– Facet, który mówi ci, żebyś spierdalał, dopóki możesz.

– Idź i usiądź, Abhaj – rzuciła Karla z odwróconą głową.

– Dla ciebie wszystko. – Abhaj ukłonił się; jego lśniąca skórzana kurtka zaskrzypiała przy tym jak drewniane schody. – Jeśli będziesz mnie potrzebować, jestem tam.

Wycofał się, obrzucając mnie strasznym spojrzeniem.

– Miłe dziecko – powiedziałem.

– Wszyscy są mili. I wszyscy przyjdą na dzisiejszą imprezę.

– Jaką imprezę?

– Tę, na którą cię odprosiłam.

– Co zrobiłaś?

– Byłeś zaproszony, ale cię odprosiłam.

– Kto mnie zaprosił?

Lekko przechyliła głowę na bok.

– Gospodyni, jeśli musisz wiedzieć.

– O jakiej imprezie mówimy?

– O wyjątkowej. Możesz nie uwierzyć, ale musiałam pociągnąć za parę sznurków, żeby wykreślono cię z listy. Powinieneś się z tego cieszyć.

– W tej chwili z niczego się nie cieszę.

Kolejny motocyklista podszedł do nas od strony Karli, gapiąc się na mnie. Był nie wiedzieć czemu zły. Uniosłem rękę i spojrzałem na niego złym okiem. Zatrzymał się.

– Nie.

Odszedł.

– Wyluzuj, Lin – powiedziała Karla, pochylając się jak do pocałunku.

– Na dziś to cały luz, na jaki mnie stać.

– To znajomi. Nie przyjaciele, ale użyteczni znajomi.

– Chodź ze mną.

– Nie mogę… – zaczęła.

– Możesz.

– Nie.

– Wygrałem! – zawołał Naveen, podbiegając, żeby mnie uściskać. – Co za wyścig! Ta dziewczyna jest fenomenalna, ale wygrałem. Widziałeś?

– Świetnie – mruknąłem. – Powiedz swoim kumplom, żeby odpuścili.

– A, im? – rzucił ze śmiechem. – Są wybuchowi, ale oni tylko lubią jeździć.

– A skoro o jeździe mowa, jadę dziś z Benicią – oznajmiła Karla.

– Co robisz?

– Naveen zaprosił Kawitę na bal kostiumowy i jadę z Benicią. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza?

Tak bardzo mi to przeszkadzało, że miałem ochotę wziąć te motocykle i rzucić nimi w Boga.

– Wiesz co – powiedział Naveen, popatrując to na nią, to na mnie. – To ja będę tam, jakbyś się zdecydował.

Wycofał się tyłem parę kroków, a potem pobiegł do swoich przyjaciół.

– Jeśli muszę zostać pobity albo poparzony, żeby móc z tobą rozmawiać, to chyba musimy iść na terapię – odezwałem się, gdy znaleźliśmy się sami.

– Mów za siebie – odparła, odsuwając się. – Terapia jest dla ludzi, którym się nie chce mówić prawdy.

– Zabawnie usłyszeć to od kogoś, kto nie chce powiedzieć mi prawdy.

– Nie mogę ci powiedzieć całej prawdy. Myślałam, że to rozumiesz.

– Niczego nie rozumiem. Naprawdę idziesz dziś z tymi ludźmi?

Obejrzała się przez ramię i znowu wróciła do mnie wzrokiem.

– Ten bal jest wyjątkowy. Czy uwierzysz mi, że idę na niego i że cię odprosiłam, bo cię kocham?

– Dziwi mnie, że idziesz na bal, jakikolwiek, choćby był nie wiadomo jak ważny, po tym, co się dziś stało.

Rozchyliła na chwilę wargi, ukazując zaciśnięte zęby. Oczy jej się rozszerzyły. Znałem to spojrzenie. Nie groziło, lecz tłumiło coś, czym by mnie uraziła. Miałem to gdzieś.

– Znałaś ich. Mówimy o Nazirze. Nie wiem jak ty, ale ja chcę teraz być tylko z tobą.

– To straszne, co spotkało tego chłopca…

– I Nazira.

– I Nazira. Słodkiego Nazira.

Zamilkła; wspomnienie Afgańczyka naruszyło jej niezłomność. Karla i ja zapalaliśmy tę samą lampę, widząc pobrużdżoną twarz Nazira i jego żarliwy, budzący grozę uśmiech, z którym otwierał drzwi posiadłości Kadirbaja.

Karla nabrała tchu, uśmiechnęła się do mnie i wzięła moje ręce.

– Ten bal jest naprawdę ważny. Otworzy wiele tajnych drzwi i zbliży mnie do tych, których kiedyś nie powinnam otwierać.

– Jakich drzwi?

– Jeszcze nie. Proszę, zaufaj mi. Proszę. Zaufaj mi, gdy mówię, że ten bal da mi szansę zostawić to wszystko i żyć długo, nie oglądając się wstecz.

– Dlaczego ten bal jest taki ważny?

– Boże! Nie chcesz odpuścić. I nie chcesz mi zaufać.

– Dajesz mi tak mało. I to był zły dzień. Przepraszam. Chyba moja wiara trochę podupada.

Spojrzała na mnie, może rozczarowana, może tylko szukająca rozczarowania na

mojej twarzy.

– Dobrze. To bal fetyszy.

– I… co z tego?

– Coś takiego nigdy dotąd nie odbyło się w Bombaju. Wiele obecnych na nim osób się odsłoni.

– Ile?

– Oczywiście wszystkie – powiedziała łagodnie, dotykając mojego policzka. – Dlatego cię odprosiłam.

– Co?

– Lubię cię takim, jaki jesteś. Kocham cię takim, jaki jesteś. O to właśnie chodzi. Nie chcę, żeby stała ci się jakaś krzywda w tym Babilonie.

– Ale ty idziesz.

– Ja nie jestem tobą, kochanie. A ty nie jesteś mną.

– Jedź ze mną.

– Muszę tam iść. Mam parę spraw do zakończenia. Zaufaj mi.

– Wszystko skończone. Jedź ze mną.

– Muszę iść – powiedziała, wstając. Zatrzymałem ją, kładąc palce na jej nadgarstku tam, gdzie mogłaby się znajdować bransoleta.

– Jeśli nie słyszałaś, to trąby już się odezwały. Mury runęły. To…

– O, aluzja do Biblii – powiedziała z uśmiechem. – Kuszące. Bardziej niż ten cholerny bal, ale muszę na niego iść.

– Ja nie żartuję. To nie pora na imprezy. Czas się zbroić i bronić. Zrobi się gorąco. Zapłoną domy. Zapłoną ulice. Powinniśmy zgromadzić zapasy, przeczekać to, a potem znaleźć inne miasto.

Spojrzała na mnie z taką miłością, że zatonąłem w rzece szczerego uczucia, nie mając pojęcia, jak opuściłem brzeg.

– To rzeczy, które czynią nas jednością, czynią nas jednostkami wartymi zachodu.

Miałem dość. Była zbyt blisko. Światło gwarnego baru z sokami zapalały w jej oczach neonowe barwy, a ja znowu zapłonąłem.

– Co to znaczy?

– Nie rezygnuj ze mnie – szepnęła.

– Ale…

– *Nie waż się* ze mnie rezygnować.

Pocałowała mnie. Pocałowała mnie tak szczerze, że kiedy otworzyłem oczy, już jej nie było.

Podbiegła do chłopaków na motorach. Już włączyli silniki. Usiadła za Benicią.

Hiszpanka włożyła kask i opuściła jego szybkę – czarną, odbijającą światło płaszczyznę tam, gdzie były oczy. Bardzo poważnie traktowała swoją prywatność, a to nie powinno budzić sprzeciwów. Ale Karla siedziała na jej motocyklu i to już budziło mój sprzeciw. Benicia pochyliła się, żeby chwycić za kierownicę, Karla pochyliła się do niej. Potem wyprostowała się i rozejrzała, od razu znajdując wzrokiem moje oczy. Uśmiechnęła się.

*Nie rezygnuj ze mnie.*

Przytuliła się do pleców Benicii.

Kawita usiadła za Naveenem, który zatoczył fantazyjną pętlę przed barem i zatrzymał się obok mnie.

– Czemu nie jedziesz? – spytał przez warkot silników.

Był pożar, pomyślałem. Zginęli ludzie. Zginął Nazir. Część miasta jest zamknięta. Ale on był szczęśliwy. Wygrał wyścig. Nie mogłem mu tego odebrać.

– Baw się dobrze. Zobaczymy się za parę dni.

– No pewnie.

Warknął silnikiem.

– Oto Niezaproszony – rzuciła Kawita. – Co masz w sobie tak strasznego, że nie zaproszono cię na imprezę?

Naveen dodał gazu i odjechał, a chłopcy na motorach podążyli za nim.

Karla rozłożyła szeroko ramiona, uwożona przez Benicię.

*Nie rezygnuj ze mnie.*

Byłem poparzony, poobijany, skaleczony, obsypany popiołem, i sam ze zmarłymi w mieście, które miało zostać zamknięte.

*Nie waż się ze mnie rezygnować.*

# 67

Wróciłem do Amritsaru i wszedłem powoli po schodach. Ciało mi ciążyło.

– Miałeś rację, Dżaswant – rzuciłem, mijając recepcję. – Potrzebuję prysznica.

– A nie mówiłem? A właśnie nie ma gorącej wody i całe miasto oszalało. No i dobrze ci tak, *baba*, dobranoc, pchły na noc.

Usiadłem przy biurku, otworzyłem dziennik i opisałem, co czułem i co widziałem tej nocy. Popiół z mojej ręki brudził strony. Moja lewa ręka, którą przytrzymywałem kartki, zostawiła idealnie wyraźne ślady linii papilarnych.

Płomienie z czarnego atramentu szalały na stronach dziennika. Płomienie odbite w oczach policjanta, płomienie odbite w chromowanym błękicie muru rowerów, neonowe płomienie z rur wydechowych motocykli i podkute buciory, spod których sypały się buntownicze iskry sprawiedliwej zemsty.

Gdy nie mogłem już pisać, sięgnąłem po butelkę i wziąłem prysznic w więziennym stylu, całkowicie ubrany.

Wypiłem trochę i namoczyłem brudne ubrania, powoli zdejmując je z siebie, warstwa po warstwie. Znowu wypiłem i umyłem moje jeszcze brudniejsze ciało, skórę przesyconą kwaśną wonią strachu i jego nieidentycznego bliźniaka, przemocy ze strachu.

Zastrzeleni. Zabici. Spaleni. Nie żyją.

Czysty, wytarty i nagi, zasunąłem zasłony, odcinając się od nadchodzącego dnia, zamknąłem drzwi na cztery spusty, rozłożyłem broń w tych miejscach apartamentu, gdzie mogła mi się przydać, puściłem muzykę na moim kiepskim zestawie, odmówiłem dziękczynną modlitwę za mój kiepski zestaw, po czym zacząłem krążyć.

Gdy spędzi się wystarczająco wiele czasu w celi, człowiek uczy się chodzić, ponieważ ruch ucisza wewnętrzny głos, nakazujący ci uciekać.

Nie waż się ze mnie rezygnować.

Chodziłem. Znowu się napiłem. Muzyka stała się głośniejsza, a może tak mi się tylko wydawało. Popłynąłem na fali Boba Marleya na pogodniejszy brzeg. Chciałem spojrzeć na uśmiech Karli i uświadomiłem sobie, że nie mam żadnej jej fotografii.

Przeszukałem cały mój dobytek – bez powodzenia. Doszedłem do wniosku, że tu może pomóc joint. Joint znalazł mi mnóstwo interesujących rzeczy, o których nie miałem pojęcia, że je posiadam, włącznie z oswojonym świerszczem, który nie cykał i którego przeprowadziłem na balkon. Ale zdjęcia Karli nie było.

Zacząłem odczuwać działanie trawy i pierwsze słowa, które napisałem w dzienniku po tych bezowocnych poszukiwaniach, brzmiały:

„Czy Karla istnieje naprawdę?".

Potem napisałem mnóstwo innych rzeczy. Cytowałem poezję. „Gdy los i ludzie częstują mnie wzgardą…"{4} i dotarłem do „lecz od tych myśli brzydnie mi życie", gdy ktoś, komu życie najwyraźniej zbrzydło, zaczął się dobijać do drzwi.

Dalej tańczyłem mój taniec wojenny dla zmarłych i łomot ustał. Rytm muzyki miotał mnie tak długo, aż znowu mogłem zacząć pisać.

Spisałem całe strony notatek o Nazirze. Ukochani, którzy odeszli, nigdy nie opuszczają naszego serca, ale ich wyrazisty obraz blednie. Chciałem opisać Nazira, dopóki potrafiłem. Chciałem opisać jego oczy, tak często przypominające oczy zwierzęcia, polującego zwierzęcia, nieświadomego i zdolnego do wszystkiego, te górskie oczy, które od urodzenia patrzyły na szczyt świata i które tak rzadko stawały się lampami w jaskini jego czułości. Opisałem jego poczucie humoru, ukryte za strasznym grymasem. Opisałem cień, który padał na jego twarz bez względu na oświetlenie, jakby popioły jego ostatniej godziny od narodzin przylgnęły do jego twarzy. Opisałem jego dłonie, te pazury smoka z Komodo, które na całe życie naznaczyły ciemna ziemia z wczesnych lat pracy, marsjańskie kanały i zmarszczki na jego gruźlastych palcach, czasem głębokie jak rany zadane nożem. Opisałem Tarika. Pisałem o małych kropelkach potu, które pojawiały się nad jego górną wargą, gdy udawał kogoś innego. Opisałem precyzję jego ruchów, jakby jego życie było niekończącą się herbacianą ceremonią.

I opisałem jego urodę. W tym niezdarnym chłopcu kształtował się już przystojny mężczyzna o twarzy, która zwracałaby uwagę dziewcząt, i odważnym spojrzeniu, rzucającym wyzwanie wszystkim mężczyznom.

Usiłowałem go opisać, zatrzymać, ocalić, jego i Nazira, dzięki słowom, które będą żyć dłużej od nich.

Pisałem, aż coś się we mnie skończyło – albo wszystko się skończyło i dotarłem do miejsca, w którym ustają słowa i myśli i pozostają tylko emocje, a samotne bicie serca przebija się przez coraz chłodniejszą głębię oceanu za oknem. Zasnąłem i przyśniło mi się, że Karla wyciąga mnie z płonącego domu, a jej pocałunki parzą mnie miłością.

XII

# 68

Obudziłem się i stwierdziłem, że to nie pocałunki Karli parzą mi skórę; zasnąłem z twarzą na posążku Pana Sziwy i jego trójząb odgniótł mi znak na policzku. Znowu wziąłem prysznic, postanawiając nie wychodzić przez parę dni i może nadal opłakiwać zmarłych. Ale kiedy się wytarłem i spojrzałem w lustro, okazało się, że ślad trójzębu nadal znajduje się na moim policzku. Wyglądał, jakby miał tam pozostać jeszcze parę dni. Zrozumiałem, że skoro doprowadziłem się do takiego stanu, iż sam się napiętnowałem, choć mam wrogów, którzy chętnie by mnie w tym wyręczyli, to pora skończyć z używkami.

I jednocześnie z tą trzeźwiącą myślą dotarło do mnie, że Karla mogła wyjść wcześniej z balu fetyszy, i że zamieszki mogły uwięzić ją gdzieś w Mieście Wysp. Ubrałem się w strój bojowy, sprawdziłem kieszenie i wyszedłem na korytarz. Pod drzwiami wyjściowymi stała barykada z mebli. W owych czasach była to zwykła praktyka w hotelach podczas zamieszek w mieście, by oddzielić gości od walczących i szabrowników.

– Cały południowy Bombaj jest odcięty – oznajmił Dżaswant znad gazety. – Cudem udało mi się kupić gazetę. I nie, nie możesz jej przeczytać, dopóki nie skończę.

– Gdzie?

– No, nie zabierzesz jej nigdzie. Drzwi są zabarykadowane.

– Gdzie zamknięto ulice?

– Wszędzie.

Z powodu zamknięcia ulic nie mogłem się poruszać po mieście za dnia – podobnie jak pozostali.

– Na ile?

– A co cię to, kurwa, obchodzi?

– Wal się, Dżaswant. Jak czujesz? Jeden dzień czy cztery?

– Wziąwszy pod uwagę te pożary i zamieszki, stawiałbym na trzy dni.

– Trzy dni? Nie starczy mi na tyle natchnienia.

– Natchnienia! – parsknął Dżaswant, odkładając gazetę i obracając się do mnie na

swoim nowiutkim fotelu.

Wcisnął guzik na biurku i w ścianie obok mnie otworzył się panel, odsłaniając ukrytą szafkę pełną alkoholu, papierosów, przekąsek, malutkich paczuszek płatków zbożowych, pudełek cukru w kostkach, słoików miodu, puszek z tuńczykiem lub fasolą, zapałek, świeczek, apteczek pierwszej pomocy i słojów z czymś nieokreślonym.

Wcisnął kolejny guzik i wokół szafki zabłysła girlanda maleńkich kolorowych lampeczek.

– Hej – rzucił, zauważywszy w ich świetle trójząb na mojej twarzy. – Wiesz, że masz na policzku triśulę?

– Nie spoufalajmy się za bardzo.

Dżaswant wskazał swoją grotę skarbów.

– Zawsze chętnie ograniczę się do płaszczyzny biznesowej – powiedział, unosząc najpierw jedną, potem drugą brew. – Mam też muzykę.

Wcisnął kolejny guzik i z głośników na jego biurku ryknęła taneczna muzyka *bhangra*. Przycisk do papieru zaczął tańczyć na szklanym blacie wraz ze zszywaczem.

– My, sikhowie, nauczyliśmy się przystosowywać do okoliczności – krzyknął Dżaswant przez muzykę. – Chcesz przeżyć trzecią wojnę światową, zamieszkaj wśród sikhów!

Doczekał do końca piosenki, a była to bardzo długa piosenka.

– Nigdy mi się nie nudzi – oznajmił z westchnieniem szczęścia. – Chcesz posłuchać jeszcze raz?

– Nie. Dzięki. Chcę kupić od ciebie alkohol, zanim zrobi to Didier.

– Didiera tu nie ma.

– Nie będę ryzykować.

– Hm… To chyba najbardziej inteligentna rzecz, jaką od ciebie usłyszałem.

– Ludzie nie mówią ci inteligentnych rzeczy, bo masz niewłaściwe podejście.

– Jebać podejście.

– No i właśnie o tym mówię.

– Podejście nie płaci czynszu.

– Wsadź sobie swój czynsz.

– Dobra, dobra, bo ci gumka pęknie – mruknął i podszedł do mnie, wybierając z szafki artykuły, które wskazałem.

– Masz gotowe jointy? – spytałem.

– Jasne, po pięć, dziesięć, piętnaście…

– Biorę.

– Ile?

– Wszystkie.

– *Czi, czi!* Nikt cię nie nauczył sztuki negocjacji handlowych?

– Dawaj towar, Dżaswant.

– Nawet nie wiesz, ile kosztuje.

– Ile kosztuje?

– W chuj dużo.

– Spoko. Pakuj.

– No i znowu to samo. Musisz się targować, bo inaczej to nie jest cena. Oszukujesz mnie, kiedy nie chcesz się targować o uczciwą cenę, nawet jeśli bym na tym zyskał. Tak się nie robi.

– Podaj mi uczciwą cenę, a ja ją zapłacę.

– Nie rozumiesz – powiedział cierpliwie, jakby tłumaczył małpie. – Gra polega na tym, żebyśmy obaj zrozumieli, jaka cena jest uczciwa. To jedyny sposób jej określenia. Jeśli wszyscy nie będziemy tak robić, to mamy przesrane. To takie psuje jak ty rozwalają cały porządek, bo nachalnie chcą płacić dowolną cenę.

– Zapłacę tyle, ile to kosztuje.

– Coś ci wyjaśnię. Nie możesz się odciąć od tego systemu, choćbyś bardzo chciał. Negocjacje to fundament handlu. Nikt cię tego nie nauczył?

– Nie obchodzi mnie, ile co kosztuje.

– Wszystkich to obchodzi.

– Mnie nie. Jeśli nie mogę sobie na to pozwolić, nie chcę tego. Jeśli chcę i mogę sobie na to pozwolić, nie obchodzi mnie, ile pieniędzy muszę za to dać. Na co nam pieniądze, jeśli nie po to?

– Pieniądze to rzeka, człowieku. Niektórzy z nas płyną z prądem, niektórzy ledwie dopływają do brzegu.

– Starczy tych starych sikhijskich porzekadeł.

– To nowe sikhijskie porzekadło. Właśnie je wymyśliłem.

– Daj mi ten towar, Dżaswant.

Dżaswant westchnął.

– Lubię cię – wyznał. – Nigdy nie powiem tego publicznie, bo nie jestem osobą wylewną. Wszyscy to wiedzą. Ale lubię cię i dostrzegam w tobie parę interesujących cech. Widzę także parę skaz w twoim duchowym rozumowaniu, a ponieważ cię lubię, chętnie ci wyrównam czakry, że tak się wyrażę.

– Nie mnie pierwszemu to mówisz, co? – rzuciłem, zabierając dwa worki produktów pierwszej potrzeby.

– Nie wykluczam.

– I jak przyjęli to tamci?

– Potrafię sprzedać każdy tekst. Raz grałem Otella w…

– Miło robi się z tobą interesy.

– No i znowu! Właśnie to ci usiłowałem wytłumaczyć! Lubię cię, rozumiesz, ale kiedy jesteś jak dziecko, choć już dorosłeś, tracisz całą radość bycia dorosłym, rozumiesz?

Muzyka na wyjście. Dżaswant znowu poraził mnie bhangrą.

Ułożyłem moje łupy, zjadłem dwie puszki tuńczyka na zimno, naostrzyłem noże, a potem robiłem pompki i podciągałem się na drążku, aż zapadła noc i mogłem się wykraść na miasto.

Za dnia nie można obejść bandobastu, czyli pełnej blokady ulic. W południe wszyscy w mieście są – lub będą – ofiarami. Policjanci się wystraszyli. Było ich za mało, żeby powstrzymać zamieszki lub ratować banici. Blokada upraszczała im zadanie: kto wyjdzie na ulicę, tego można zastrzelić.

– Wychodzę, Dżaswant – rzuciłem tuż przed północą.

– Gówno tam, wychodzisz. Barykada zostaje na miejscu.

– Jeśli ja ją zburzę, narobię bałaganu – oznajmiłem, podchodząc do drzwi.

– Nigdy! – Dżaswant wyszedł zza biurka i delikatnie odsunął od drzwi ustawione na sobie krzesła i ławy. – To skomplikowana konstrukcja. Mój przyjaciel pars potrafił to robić lepiej. Szkoda, że go tu nie ma. Ale wystarczy, żeby nas bronić przed żywymi trupami.

– Przed czym?

– Tak to się zaczyna, człowieku – powiedział niespokojnie. – Wszyscy o tym wiedzą.

Uchylił drzwi odrobinę.

– Musisz znać hasło.

– Po co?

– Żeby wrócić. Żebym wiedział, że to ty.

– Co powiesz na „otwieraj te drzwi”?

– Myślałem o czymś bardziej osobistym.

– Jeśli uda mi się wrócić, a ty mi nie otworzysz, wyłamię drzwi.

– Jak?

– Zawiasy znajdują się na zewnątrz, Dżaswant.

– Zawiasy! Mój przyjaciel pars by o tym pomyślał. Na pewno jego barykada przeciwko żywym trupom jest bez zarzutu.

– Po prostu otwórz te zasrane drzwi, jak wrócę.

– Tylko nie daj się ugryźć zombiakom – poprosił, znowu barykadując drzwi.

Noc to prawda w fioletowej sukni. Nocą ludzie zachowują się inaczej. Najbezpieczniejszym sposobem obejścia zamkniętych ulic – jeśli koniecznie musisz to zrobić – jest jazda na tylnym siedzeniu motocykla drogówki.

Znałem porządnego policjanta, który potrzebował pieniędzy. Korupcja to podatek narzucony każdemu społeczeństwu, które nie płaci ludziom na tyle dobrze, by sami się przed nią bronili. Policjant wyjaśniał swoim kolegom, że jestem tłumaczem ochotnikiem, który ostrzega turystów, żeby nie kręcili się nocą po ulicach. I rzeczywiście, tu i tam natykaliśmy się na zaskoczonych turystów z plecakami, nieprzygotowanych na zabarykadowane hotele w mieście duchów. Dla nich policjant z siedzącym za nim cudzoziemcem był miłym widokiem.

Przejeżdżaliśmy na jałowym biegu przez punkty kontrolne, głośno odpowiadając na pytania i machając ręką. Objeżdżałem ciche miasto, siedząc za uzbrojonym policjantem, któremu płaciłem od godziny, byle tylko znaleźć Karlę. Chciałem się znaleźć przy niej albo przynajmniej wiedzieć, że nic jej nie grozi.

Legendy spisuje się krwią i ogniem, a na ulicach było dość czerwieni, by stworzyć nowe legendy. Policjant z drogówki powiedział, że w pobliżu meczetu Nabiła wybuchły walki. Zginęli ludzie, wielu więcej odniosło rany. Meczet ocalał nietknięty, bez jednej pękniętej dachówki. Ludzie nazywali to cudem, zapominając, ilu strażaków odniosło obrażenia, by uratować świętą budowlę.

– Imponujące czasy – zauważył policjant Dominie w typowo hinduski sposób, przejeżdżając w tempie marszu przez puste ulice.

– Imponująco straszne – odpowiedziałem.

– Właśnie – zgodził się ze śmiechem.

– Zajrzyjmy do hotelu Mahesh – zaproponowałem.

– Będziesz o tych czasach opowiadać swoim dzieciom – powiedział Dominie, zawracając do Mahesha i zaglądając we wszystkie ciemne zaułki. – O czasach, gdy po Bombaju buszowały duchy.

Nie natknęliśmy się na Karlę, ale znaleźliśmy jej samochód. Zbliżyliśmy się i dostrzegłem za kierownicą Randalla, a Vinsona na tylnym siedzeniu.

Randall otworzył okno. Vinson otworzył butelkę szkockiej.

– Cześć, Randall. Gdzie Karla?

– Nie wiem. Nie widziałem jej, odkąd odjechała na motocyklu z panną Benicią.

– Znalazłem ją! – odezwał się Vinson, trochę pijany.

Spojrzałem na niego.

– Gdzie?

– W aśramie! – oznajmił radośnie.

– Karla w aśramie? Nigdy, chyba żeby zamierzała go kupić.

– Nie Karla. Rannveig. Właściwie to Naveen ją znalazł. Jest w aśramie jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów stąd. Pojadę tam, jak tylko się tutaj uspokoi.

Znowu wróciłem do Randalla.

– Co się dzieje?

– Miałem spotkać się z panną Karlą w hotelu Amritsar, ale tak szybko ogłoszono bandobast, że policja nie pozwoliła mi odjechać, a nie mogłem opuścić pojazdu, więc tu utknąłem.

– A ten pasażer?

– Pan Vinson schronił się w samochodzie o drugiej po południu, kiedy na tej ulicy zastrzelono złodzieja, chcącego ukraść pozostawiony samochód.

– I od tej pory tu siedzisz?

– Tak. Czekam, aż będę się mógł spotkać z panną Karlą w hotelu Amritsar.

– Mahesh znajduje się ledwie pięćset metrów stąd – powiadomiłem go. – To nie pora na nocne przesiadywanie w samochodzie. W hotelu będziesz bezpieczniejszy.

– Nie opuszczę pojazdu, dopóki moje życie nie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Jestem tu całkowicie bezpieczny. Ale może pan Vinson będzie zainteresowany.

– Mowy nie ma – wymamrotał Vinson. – Chcę przeżyć, żeby odnaleźć moją

dziewczynę. Jest w aśramie. Mocna rzecz, człowieku.

Spojrzałem na Dominica.

„To cię będzie kosztować”, powiedziało jego spojrzenie. I słusznie. Prosiłem o wiele.

– Jeśli będzie wyglądać jak samochód prasy, to się przedostaniemy – oznajmił, kołysząc głową na boki. – Wtedy się przebijemy.

– Macie długopis i kartkę? – spytałem. – Moglibyście zrobić znak PRASA?

Przez jakiś czas kłócili się o szczegóły, jak zwykle ludzie w takich sytuacjach, nawet kiedy gra idzie o wielką stawkę. W końcu uzgodnili projekt.

Randall umieścił kartkę na przedniej szybie, podparłszy ją butem Karli.

Dominie przeprowadził nas przez kolejne punkty kontrolne. Randall salutował. Vinson pił, żeby wypaść wiarygodnie jako dziennikarz.

W zaułku za Amritsarem zapłaciłem Dominikowi i podziękowałem mu za pomoc.

– Dobry z ciebie facet – powiedział z uśmiechem, chowając zapłatę. – Gdybym uważał, że jesteś zły, zastrzeliłbym cię. Do zobaczenia za dwie godziny. Nie martw się. Znajdziemy twoją dziewczynę. To Bombaj, *yaar*. Bombaj zawsze znajduje drogę do miłości. Odpocznij.

Odjechał; warkot jego motocykla przypominał ludziom ukrytym za okiennicami i drzwiami, że ktoś ich broni: odważny człowiek, który utrzymuje porządek.

# 69

Gdy Dominie zniknął w oddali, Randall wysiadł, żeby otworzyć drzwi Vinsonowi. Zanim zdążył do nich dotrzeć, z zaułka dobiegł nas głos, który obu nas zatrzymał.

– Ostrzegałam cię – powiedziała *madame* Zhou. – Ostrzegałam, żebyś nie zbliżał się do Kawity Singh.

Jej opryszki – bliźniaki i miotacze kwasu – wyłoniły się z mroku. Już miałem odpowiedzieć, kiedy Randall stanął obok mnie.

– Proszę – odezwał się cicho.

– Panuję nad wszystkim – rzuciłem, usiłując obserwować jednocześnie pięć niebezpiecznych sylwetek. – *Madame* Zhou regularnie występuje w tym zaułku, a ja jakoś zawsze mam bilet w pierwszym rzędzie.

*Madame* Zhou parsknęła śmiechem – tylko ona.

– Proszę, pozwól mi przemówić – powiedział Randall cicho. – Czekałem na to.

Zauważyłem, że mu na tym zależy. Ustąpiłem.

– Proszę mi pozwolić, że się przedstawię, *madame* – zaczął, zwracając się do zawoalowanej postaci. – Jestem Randall Soares, jeden z dwóch mężczyzn, którzy występują tu w obronie wiadomej kobiety. Jeśli kobietę tę spotka jakaś krzywda, zabiję panią i całą pani menażerię. To ostatnie ostrzeżenie. Proszę nas zostawić w spokoju, bo pani zginie.

Miał charakter. Ja bym nie powiedział aż tyle, wiedząc, że *madame* jest zwolenniczką odpowiedzialności zbiorowej. Liczyłem, że Randall nie ma rodziny, którą można wyśledzić po nazwisku.

Randall trzymał rękę w kieszeni marynarki. Tak jak miotacze kwasu. Ja trzymałem dłoń na nożach. *Madame* Zhou wycofała się tyłem w zaułek, aż cienie znowu ją pożarły.

– Randall Soares – rzuciła. Ostatnie słowo zabrzmiało jak syk węża. – Randall Soares.

Menażeria ukryła się w cieniach. W zaułku zapanowała cisza.

– Skontaktuj się ze wszystkimi znanymi ci Soaresami – doradziłem. – Ta kobieta to

koncentrat zemsty.

– Nie mam rodziny – odparł. – Jestem sierotą. Porzucono mnie po urodzeniu i nikt mnie nie adoptował. Sierociniec opuściłem jako szesnastolatek. *Madame* Zhou nie może skrzywdzić rodziny, której nie mam.

– Naprawdę byś ich zabił?

– A pan nie?

– Chcę to powstrzymać, zanim dojdzie do zabijania. Byłeś w piechocie?

– W piechocie morskiej indyjskiej marynarki wojennej.

– Ach tak? Jak długo?

– Sześć lat.

– No, co tam? – zawołał z samochodu Vinson.

– Komuś odbiło kulą w płot – wyjaśnił Randall, otwierając mu drzwi. – Ktoś puka do bram piekła.

– Zajebiście się cieszę, że znowu jestem na świeżym powietrzu – oznajmił Vinson, przeciągając się. – Kisiłem się w tym samochodzie ze sto lat! Muszę się odlać, człowieku, ale to już.

Podszedł do najbliższej ściany.

– Zachowuj się – powiedziałem. – Wytrzymaj, aż wejdziemy na górę. Tu parkują motocykle.

Randall postawił samochód pod ścianą zaułka, do którego prowadziło łukowe wejście; nie blokował ruchu, ale zapewniał sobie drogę szybkiej ucieczki.

– Nikt go nie uszkodzi – zapewniłem, kiedy zamknął drzwiczki. – Możesz wejść na górę i rozprostować nogi.

– Dziękuję panu.

– Przestań się wygłupiać z tym panem. Mam na imię Lin albo Shantaram, jeśli chcesz, ale panem nie jestem. Możesz mnie też nazywać szefem.

– Dziękuję, panie Shantaram – odparł z uśmiechem. W jego oczach zalśnił goański zachód słońca.

– Czy ja bym mógł już się odlać? – poinformował się Vinson, zataczając się tak, jakby zaułek się kołysał.

Randall i ja wtaszczyliśmy go po schodach. Załomotałem do drzwi.

– Otwieraj, Dżaswant.

– Hasło! – zawołał Dżaswant zza drzwi.

– Otwieraj te jebane drzwi, skurwysynu – rzuciłem, podtrzymując Vinsona.

– Lin! Czego chcesz?

– Czego chcę, ty hotelowa podróbko Pendżabczyka? Chcę cię udusić twoim własnym turbanem, a po uduszeniu zadźgać cię twoim własnym kirpanem!

– Pocałuj mnie w moją chrześcijańską dupę. Czego naprawdę chcesz?

Spojrzałem na Randalla, który chyba dobrze się bawił. Spojrzałem na Vinsona, który ślinił się na moje ramię. Ten to już z pewnością dobrze się bawił. Spojrzałem na zamknięte drzwi do mojego hotelu.

– Chciałbym wejść – powiedziałem na tyle słodko, na ile to możliwe przez zaciśnięte zęby.

– Nie ma sprawy – odparł Dżaswant. – Towarzyszy ci ktoś zarażony?

– Kurwa, Dżaswant, otwieraj.

Rozległ się chrobot odsuwanej barykady i wcisnęliśmy się do środka. Dżaswant ustawił swoją kompozycję na dawnym miejscu, odwrócił się i wskazał kołyszącego się Vinsona.

– On mi wygląda na zarażonego.

– Muszę się odlać w trybie pilnym – oznajmił Vinson.

– Wycieka z niego płyn? – spytał Dżaswant, cofając się o krok.

– Zaraz wycieknie, jeśli nie przestaniesz gadać – warknąłem, usiłując uciec.

– Widziałeś w mieście zarażonych? – indagował Dżaswant.

– Starczy już tych wygłupów z żywymi trupami – uciąłem, prowadząc Vinsona do mojego pokoju. – To jest Randall.

– Cześć, Randall, jestem Dżaswant. Jak jest w mieście?

– Na razie spokojnie – odparł Randall. – Ale popieram twoją czujność. W kwestii zombiaków lepiej uważać, niż żałować.

– Właśnie! – Dżaswant wrócił na swoje miejsce. – Cały czas im to powtarzam. Zaraza. Chaos. Te sprawy. To się zawsze tak zaczyna.

– Dżaswant – stęknąłem, usiłując jednocześnie utrzymać Vinsona w pozycji pionowej i otworzyć drzwi swojego apartamentu, co okazało się zaskakująco trudne. – Będę potrzebował więcej prowiantu. Jak widzisz, mam gości.

– To jasne jak twoja zagraniczna dupa – zgodził się ze śmiechem.

Otworzyłem drzwi i ujrzałem w moim pokoju Didiera z Olegiem, Divą i jej przybocznymi, Cham i Pari.

Wszyscy byli w kostiumach. Diva wystąpiła w kombinezonie w panterkę, Didier zasłonił już tors gladiatora, ale zachował skórzaną maskę, baletową spódniczkę i rajstopy. Oleg był rzymskim senatorem w sandałach i todze z mojego prześcieradła. Cham i Pari przebrały się za koty, włącznie z małymi uszkami i długimi ogonami. Cham była szarym persem, Pari wybrała futerko czarne jak noc.

– Lin! – odezwał się Didier, siedzący obok Divy na rzuconym na podłogę materacu. – Spóźniliśmy się na bal, jak nakazuje dobre wychowanie, i policja nas zatrzymała, więc wróciliśmy tutaj, a potem całe miasto zostało zamknięte.

– Cześć, Lin – dodała Diva. – Nie przeszkadzamy?

– Oczywiście, że nie. Miło mi was widzieć. To…

– Randall – przedstawił się Randall. – Pani piękną twarz znają wszyscy.

– Jeej – zaszemrały Charu i Pari.

– Cześć, jestem Vinson – odezwał się Vinson – i odnalazłem moją dziewczynę. Jest w aśramie.

– Jeej – jęknęły Charu i Pari.

– To Charu – oznajmiła Diva – a to Pari.

– Jest w aśramie – powiadomił Vinson Pari, ściskając jej rękę.

– A co, nawiedził ją zły duch? – spytała Pari.

– Albo umiera na nieuleczalną chorobę? – dodała Charu.

– Co? – Vinson zakołysał się, usiłując skupić na nich wzrok. – Wiecie co, muszę się natychmiast odlać.

Odstawiłem go do łazienki i zamknąłem drzwi.

– Jesteś jakiś sponiewierany – zauważyła Diva, wstając i rozkładając ramiona. – Uściskaj mnie, *yaar*.

Przytuliła mnie i znowu usiadła na materacu obok Didiera.

Ten materac coś mi przypominał. Zerknąłem do sypialni. Materac z łóżka zniknął. Goła drewniana rama wyglądała jak trumna.

– Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza – odezwał się Didier, spijając moje zapasy na czas inwazji zombiaków. – Ponieważ wszyscy utknęliśmy tutaj na diabli wiedzą jak długo, jedynym rozsądnym rozwiązaniem było przeniesienie materaca tutaj.

– Dżaswant! – ryknąłem. – Mam więcej gości. Biorę wszystko, co masz!

– Nie tak się to załatwia, *baba!* – odkrzyknął Dżaswant. – Przecież wiesz.

– Dżaswant, albo załatwisz to ze mną, albo przyślę tam Didiera.

– Przeprosiny przyjęte – odparł Dżaswant z godnością. – Towar należy do ciebie.

Po chwili wniósł do apartamentu tekturowe pudła i skrzynki butelkowanej wody. Wrócił z butlą gazu i dwupalnikową kuchenką. Odsunął moje zeszyty i notatki i zainstalował kuchenkę, zapalając ogień zasilaną bateriami zapalarką w kształcie pistoletu. Podkręcił, przykręcił i znowu podkręcił płomień, jakby wypuszczał z butli świetliki.

– Jeej – jęknęły Charu i Pari.

Dżaswant ukłonił się im.

– Restauracje zostały zamknięte – oznajmił – i nie dostarczają jedzenia na wynos. Jesteście zdani na własne siły na nie wiadomo jak długo.

– Będziemy potrzebować więcej jointów – powiedziałem, stojąc w drzwiach.

– Da się załatwić, ale w tej sytuacji to będzie kosztować.

– Biorę wszystko.

– No i znowu! Niczego się nie nauczyłeś? Jesteś zagrożeniem dla uczciwego biznesu.

– Didier!

– Przeprosiny przyjęte. Przyniosę towar później. Jest w tunelu.

– W tunelu?

– Tak.

– Pod tym hotelem jest tunel?

– Ma się rozumieć. Dlatego go kupiłem. Sikhowie przetrwają trzecią wojnę światową, pamiętasz?

– Mogę zobaczyć?

Dżaswant zmrużył oczy.

– Niestety… to nie na twoją kieszeń.

– Wal się, Dżaswant.

– Chyba że…

– Wal się, Dżaswant!

– Chyba że – powtórzył z uporem – zombiaki się tu włamią i tunel stanie się naszą ostatnią drogą ucieczki. Gdybym miał fazer, byłoby łatwo.

– Dość już o tych zombiakach!

– Żadna z tobą zabawa – mruknął, wracając na swoje miejsce. – Kuchenkę wam tylko wypożyczyłem. Doliczę do rachunku.

Spojrzałem na barykadę, myśląc o Karli, czekając, aż znowu zacznę jej szukać. Wróciłem wzrokiem do zebranych w pokoju. Oleg szperał w pudłach. Wyjął parę naczyń.

– Bardzo się przydadzą.

– Gdybyśmy tylko nie zwolniły służącego… – odezwała się Pari.

Diva zaczęła się zaśmiewać tak gwałtownie, że skuliła się w kłębek.

– Nie potrzebujemy służących – odparł Oleg z uśmiechem. – Jadłyście rosyjskie potrawy? Oszalejecie dla nich, daję wam słowo.

– Jeej – westchnęły Charu i Pari.

Oleg posłał swoje podkoszulki do Moskwy, po jednej dla każdej nieidentycznej bliźniaczki, i zgodnie z zasadami Didiera mógł teraz swobodnie przejmować inne zapachy do czasu, gdy Irina zjawi się tu w ramach feromonowej pielgrzymki.

Przyboczne Divy go lubiły. Wszyscy go lubili. Cholera, nawet ja go lubiłem. Ale w tamtej chwili mogłem myśleć tylko o Karli, uwięzionej w jakimś budynku, bez ochrony.

– Mogę pomóc w gotowaniu? – spytał Vinson, wytaczając się z łazienki.

– Nie zalecam – rzucił Randall. – Podejrzewam, że umiejętności kulinarne pana Olega to sport widowiskowy, nie krwawy.

– A ty to właściwie kto? – spytała Diva, opierając się o Didiera.

– To Randall – wyjaśnił Didier. – Opowiadałem ci o nim. Tajemnica wyjaśniona w inteligentnych sentencjach.

– Jestem Randall – przedstawił się Randall. – I mam zaszczyt znowu się pani przedstawić.

– Chodź, Randall, usiądź z nami – zaprosiła go Diva, klepiąc w materac.

– Czy mogę z całym szacunkiem poprosić, by pan Vinson mógł do mnie dołączyć? Mam wrażenie, że został pozostawiony pod moją opieką, a podejrzewam, że powinien się położyć.

– Oczywiście – zgodziła się Diva. – Klapnij sobie, Vinson.

– Wielkie dzięki – wymamrotał Vinson. Randall pomógł mu się umościć na moim materacu w pozycji półleżącej, z jedną z moich poduszek pod głową. – Moja dziewczyna jest w aśramie, wiesz? Zdaje się, że trochę się zaprawiłem, i wczoraj też, bo ona jest w aśramie, wiesz, a to znaczy, że teraz jej chłopakiem jest Bóg czy ktoś taki, a jak ja mogę z tym walczyć? Jak można walczyć z Bogiem? No i kurde, jak On jest taki wielki, to czemu nie znajdzie sobie własnej dziewczyny? To mnie zdołowało.

Naprawdę konkretnie mnie zdołowało.

– Wpadłeś, dzieciaku – powiedziała Diva.

– Wszyscy wpadli, jeśli mogę tak powiedzieć – odparł Randall. – To uczucie typu ucieczka lub walka.

Diva wyciągnęła rękę nad Didierem i położyła ją na ramieniu Randalla.

– A gdybym powiedziała, że podwoję sumę, którą płaci ci Karla, czy zacząłbyś pływać pod inną banderą?

– Pracy dla panny Karli nie da się wycenić – odparł Randall z uśmiechem. – To przywilej, więc – z całym szacunkiem – pozostanę na swoim statku i pomogę pannie Karli w ucieczce w szalupie, jeśli to będzie konieczne.

Diva zmierzyła go wzrokiem, sięgającym poza jego uśmiech.

– Jeśli spędzimy tu całą noc, poznamy się znacznie lepiej – zapowiedziała.

– Każda minuta w pani towarzystwie jest zaszczytem.

Zostawiłem im te minuty, zaszczycony chwilą samotności w mojej sypialni, ale Diva szybko poszła za mną, obróciła mnie i chwyciła za klapy kamizelki.

– Czy między Randallem i Karlą coś jest? – szepnęła.

– Co?

– Bo jeśli tak, to nie chciałabym kłusować na jej terytorium. Lubię Karlę.

– Kłusować?

– Ale jeśli nic nie ma, to mówię ci, Lin, ten facet to ciacho. Normalnie ptyś, *yaar*.

Nasz piękny Bombaj płonie, pomyślałem. Nasz piękny Bombaj ginie. Ludzie giną.

– Jasne – powiedziałem, nie całkiem rozumiejąc, dlaczego nie przygotowuje się do blokady miasta, która może potrwać kilka dni, ale zadowolony, że słyszę w jej głosie tygrysi pomruk dawnej Divy.

– Czyli spoko?

Zajrzała mi niewinnie w oczy.

– Pewnie.

– I między Karlą i Randallem na pewno nic nie ma? No wiesz, trudno uwierzyć, skoro to takie ciacho, no nie?

Świat nie powinien się zmieniać tak szybko, tak dziwnie – ale zawsze się zmienia. Nic z tego nie rozumiałem. Karla jeżdżąca z Benicią, Naveen jeżdżący z Kawitą, Diva tańcząca z Randallem, mój pokój pełen ludzi uciekających przed burzą. Miałem tylko jedno schronienie – Karlę, która może gdzieś na mnie czekała, uwięziona.

– Masz wolną rękę, Diva. Działaj.

Diva wybiegła w podskokach, a ja zamknąłem za nią drzwi i oparłem się o nie, ale nie przekręciłem klucza w zamku. Nie chciałem, żeby to usłyszeli i poczuli się niezręcznie. Spodziewałem się, że ktoś je otworzy lada chwila, ale potrzebowałem minuty dla siebie.

Kawita miała rację. Karla nigdy nie zeszła z ołtarza, nawet kiedy zapalałem na nim świeczki dla Lisy. Karla była moim ołtarzem – od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzałem.

Czy to grzech – dać komuś miłość, kiedy nie możesz dać mu swojego serca? Czy na chwilę umieramy wewnątrz, czy też ocalamy miłość? Czy Karla podcięła skrzydła tej gołębicy, gdy otworzyła okno? Czy nasze życie, które wydawało mi się szczęśliwe, było naprawdę szczęśliwe? Czy żyłem z Lisą w kłamstwie, czy okłamywałem życie?

Z pokoju obok dobiegł mnie śmiech – łódź dryfująca przez nieuniknione. I przez spokojną minutę niewygodnej prawdy drzwi za moimi plecami stały się konfesjonałem, a przez moje serce przewaliły się wszystkie moje grzechy zaniechania i niezaniechania: Nazir i Tarik, zaniedbani przyjaciele, zastrzeleni i zostawieni w ogniu, Lisa, zaniedbana, na zawsze utracona miłość. Od skruchy za mój egoizm ścierpła mi skóra i zacząłem błagać zmarłych, żeby mi wybaczyli.

Śmiech i tupot stóp zza drzwi stukały mnie w plecy. Nie wiedziałem, czy to gest wybaczenia, czy pokuta. Postanowiłem uznać, że spłaciłem dług, i zacząłem sprzątać sypialnię na wypadek, gdyby któryś z uchodźców zza drzwi chciał się przespać.

Złożyłem prześcieradła i koc na obnażonych deskach łóżka, by zmęczonemu gościowi było jak najwygodniej. Sprzątnąłem, ułożyłem książki w jednym kącie, gitarę odstawiłem w drugi i wytarłem podłogę wilgotną szmatą.

I gdzieś w trakcie tej nieoczekiwanej pracy dla niespodziewanych gości, gdzieś w jej spokoju, prostocie i niezbędności, strumień żalu stał się rzeką, a ja pozwoliłem Karli i Lisie odejść.

Gdziekolwiek były, dokądkolwiek zmierzały, za życia czy po śmierci, pozwoliłem im odejść. Pamiętałem, jak się śmiały, jak je obie rozśmieszałem. I uśmiechnąłem się na to wspomnienie, a ten uśmiech otworzył zakratowane okno i wypuścił je na wolność.

# 70

Życie banity ma własne ograniczenia. Salon był pełen pokojowo nastawionych przyjaciół, ale także mnóstwa niebezpiecznej broni. Rozmieściłem ją starannie we wszystkich zakamarkach, w każdym meblu, od balkonu po drzwi wejściowe, biorąc od uwagę każdy rodzaj ataku. Ale nie wziąłem pod uwagę, że mój pokój zaatakują przyjaciele.

Wróciłem do nich i pozbierałem notatki i zeszyty, którym Dżaswant odebrał miejsce na rzecz kuchenki.

– Ludzie… ludzie! – rzuciłem, przerywając zabawę.

Wszyscy spojrzeli na mnie. Uśmiechali się.

– Spodziewałem się niechcianych gości, a tymczasem mam dziś chcianych gości.

Moi przyjaciele zaczęli bić brawo i wiwatować.

– Nie, czekajcie! Wszyscy jesteście mile widziani, oczywiście, a dzięki zapobiegliwości Dżaswanta mamy mnóstwo jedzenia, wody i innych artykułów pierwszej potrzeby, dzięki którym przeczekamy tę sytuację.

Znowu okrzyki i oklaski.

– Nie, czekajcie! Chodzi o to, że ponieważ spodziewałem się nieproszonych gości, zostawiłem tu broń.

Spojrzały na mnie nierozumiejące oczy. Chyba wydawało im się, że to żart i czekali na puentę.

Sięgnąłem na prawie pustą półkę z książkami i zdjąłem z niej toporek.

– Nie przeszkadzajcie sobie – powiedziałem, obracając go w dłoniach. – Spokojnie. Przez jakiś czas będę zbierać broń, bo nie chcę, żeby ktoś z was zrobił sobie przypadkiem krzywdę. Dobrze?

Gapili się na mnie w osłupieniu. Didier nosił maskę, a i tak widziałem jego osłupienie.

– Jeej – szepnęły Chara i Pari.

Położyłem toporek na moim ogołoconym łóżku i wróciłem do pokoju, gdzie zebrałem noże, pistolet, dwie pałki i masywny kastet. Ostatni był zestaw noży do

rzucania od Vikranta, ukryty za narożnikiem balkonu w pobliżu miejsca, w którym siedziała Diva.

– Albo masz tragiczną paranoję – odezwała się – albo tragiczną sytuację.

– Nie mam czasu na paranoję – odparłem ze śmiechem. – Zbyt wielu ludzi chce mnie dopaść.

Pistolet schowałem do kieszeni kamizelki. Nie mogłem ukryć broni w mieszkaniu, ponieważ nie mogłem powierzyć jej żadnemu z moich gości. „Kiedy pozwalasz, by ktoś zginął z twojej broni, ściągasz na siebie złą karmę", powiedział kiedyś Farid, drogi Farid Złota Rączka.

Didier i Oleg mieli własne pistolety, gdyby sytuacja wymagała użycia broni. A istniała możliwość, że do tego dojdzie. W Bombaju i innych indyjskich miastach zamieszki doprowadzają do pożarów całych kwartałów. A wokół ognia czyhają uzbrojeni w noże i pałki podpalacze, czekając, aż ich ofiary rzucą się do ucieczki.

Umówiłem się z Dominikiem na następny objazd za dwie godziny. Dominie musiał pojechać do domu, zjeść coś, zdrzemnąć się i znowu zgłosić się na służbę. Podczas blokady miasta wszyscy policjanci pracowali na wszystkich zmianach.

Chciałem pominąć jedzenie i od razu zasnąć, ale w mieszkaniu pełnym ludzi, z materacem na podłodze, moje plany same się odwołały.

Wróciłem do salonu i rozejrzałem się wśród produktów od Dżaswanta, spiętrzonych w stercie na stole koło kuchenki. Wziąłem w jedną rękę banana, w drugą migdały, i jadłem na zmianę. Wypiłem pół szklaneczki miodu. Potem wbiłem do dużej szklanki trzy jajka, zalałem je mlekiem, dodałem kurkumy i wypiłem.

Dziewczyny przyglądały mi się.

– Fuuu – odezwała się Charu.

Była ładna. Przez chwilę próżność popychała mnie do wyjaśnienia, że zaraz muszę znowu ruszać w drogę, a nie mam czasu gotować. Ale byłem zakochany i próżność, ten blady cień dumy, nie miała na mnie wpływu.

– Chcesz trochę? – spytałem, podając jej szklankę.

– Fuuu!

– To jakaś magiczna sztuczka czy coś? – spytała Pari.

– Jeśli podobają się panience magiczne sztuczki, proszę dalej nie szukać! Didier jest tutaj! – oznajmił Didier.

– Jeej, chcę zobaczyć wszystkie sztuczki – oznajmiła Charu.

– I niech będą niesamowite – dodała Pari.

Sytuacja wróciła do normy. Wszyscy powiedzieli coś ważnego tak, jakby to było nieważne. Wróciłem do sypialni, zgarnąłem broń na stertę i umieściłem ją na parapecie za komodą.

– Wiesz, gdyby to był horror – odezwał się Oleg, opierając się o framugę drzwi – ta ukryta broń byłaby punktem zwrotnym.

– Do momentu, kiedy poznałbyś miejsce jej ukrycia – odparłem. – Wtedy ty byłbyś punktem zwrotnym.

– Cholera! Grałeś kiedyś w Dragon Quest? W Moskwie jest na to szał.

– Zwijam się stąd, Oleg – powiedziałem, odwracając się do niego.

– Czekaj – rzucił szybko. – Zwijasz się? Myślałem, że nikt się nie może zwinąć. Nie wolno się rozdzielać. To pierwsza zasada przetrwania w szalonych czasach.

– Dziwnie to zabrzmi, ale przekazuję dowodzenie tobie.

– Dowodzenie czym?

– Moim apartamentem do czasu, aż wrócę.

– Dobrze – powiedział po namyśle. – Co mam zrobić?

– Nie pozwól, żeby coś się stało z moimi zeszytami. Pilnuj, żeby dla wszystkich wystarczyło jedzenia. A jeśli Karla wróci przede mną, strzeż jej.

– Na pewno chcesz mi to powierzyć? Jestem punktem zwrotnym, bo wiem, gdzie schowałeś broń.

– Daj spokój.

– Wybacz, ale za dobrze się bawię. Randall powiedział, że w laboratorium nieopodal robiono jakieś chore eksperymenty i że ostatnio uciekł z niego jeden z obiektów. Wszystko było w gazetach. Dziewczyny wystraszyły się na śmierć. Dziś mogłoby mi się poszczęścić. Mogę? Pod warunkiem, że na kanapie?

Spojrzałem na niego, myśląc o płonących budynkach, płonących przyjaciołach.

– To spojrzenie ma oznaczać tak czy nie? – spytał Oleg z uśmiechem.

– Spisujesz wydarzenia tej nocy?

– No pewnie! Zapamiętuję z dokładnością kamery. A ty nie? To niezwykła sytuacja i niezwykła grupa ludzi. No wiesz…

– Nie zasypiaj. Takie budynki jak ten hotel często płoną podczas zamieszek. Nie żartuję. Dlatego nie piłem. Dlatego nie paliłem. To gówniana sytuacja i musisz zachować trzeźwość pod moją nieobecność.

– Nie martw się o naszą szalupę – rzucił uśmiechnięty Oleg. – Wszyscy w niej będą, kiedy znowu tu przypłyniesz.

– Napisałeś już te słowa, co?

– *Czort, da*. Dzięki ci za to. Bardzo to doceniam.

– Jeśli Karla zjawi się przede mną, zatrzymaj ją tutaj.

– Obrażasz mnie. Przecież już to powiedziałeś.

– Strzeż ją pilniej niż kogokolwiek i cokolwiek innego. Rozumiesz, prawda?

– Prawda. Robi się coraz lepiej!

Wróciłem do salonu, ubrany jakbym wyruszał w bój. Didier grał z Divą w papier, kamień, nożyce. Charu i Pari usiłowały wyjaśnić zasady Vinsonowi, któremu ręce zbyt się mnożyły w oczach, żeby mógł cokolwiek pojąć. Randall liczył punkty, kurtuazyjnie oszukując.

Wyszedłem na korytarz.

– Co, znowu ta jebana barykada? – jęknął Dżaswant.

– Otwieraj.

– Jest bandobast, idioto! Za parę godzin się rozwidni, a wtedy będziesz łatwym cupem.

– Łupem. Łatwym łupem. Otwieraj.

– Nie uświadamiasz sobie, że za każdym razem, gdy przechodzisz przez barykadę, osłabiasz ją? – spytał cierpliwie.

– Dżaswant, proszę.

– Gdyby był tu mój przyjaciel pars, zaprojektowałby przenośną barykadę specjalnie na taką okazję, ale…

– Dżaswant, odsuwaj te graty, a jeśli spytasz mnie o hasło, kiedy znowu wrócę, każę grawerowi wypisać ci to na twoim *kara*.

– Pocałuj mnie w moją tłustą pendżabską dupę – odparł Dżaswant, podnosząc swój wydatny brzuch ku wydatnej piersi. – Przeprosiny przyjęte.

Odsunął barykadę od drzwi, ale kiedy chciałem wyjść, zatrzymał mnie.

– Jeśli panna Karla wróci, będzie ze mną bezpieczna.

– Właśnie stałeś się moim przyjacielem, Dżaswant.

– Nie za darmo – dodał. – Jako ochroniarz pobieram opłatę. Dopiszę ci ją do rachunku.

Zbiegłem po schodach wielkimi susami, przekradłem się pod ścianą i znalazłem Dominica, niecierpliwie czekającego na mnie w zaułku pod arkadą hotelu.

– Nie spieszyłeś się – rzucił, odjeżdżając razem ze mną. – I tak trudno mi się wytłumaczyć z twojej obecności. Nie muszę się jeszcze tłumaczyć ze spóźnienia.

– Spałeś trochę? – zawołałem do niego.

– Godzinę. A ty?

– Miałem towarzystwo. Znasz najnowsze wieści? Jak wygląda sytuacja?

– Bardzo źle – powiedział. Nasz motocykl odbijał się w oświetlonych latarniami wystawach. – W Dongri, Malad i Andheri wybuchły pożary. Setki ludzi straciły domy i sklepy. Na dworcu roi się od uchodźców, którzy szukają schronienia albo chcą uciec z miasta.

– Doszło do zamieszek?

– Młodzi przywódcy społeczności hinduistów i muzułmanów zebrali swoich ludzi. Kiedy na terenie hinduistów wybucha pożar, zjawiają się ciężarówki pełne hinduistycznych studentów. Tworzą kordon świadków, więc nie może dojść do przemocy. Tak samo jest po strome muzułmańskiej. Nie chcą, żeby powtórzyła się sytuacja z ostatnich zamieszek w Bombaju.

– I to się sprawdza?

– Na razie studenci bardzo dobrze utrzymują spokój. Powinniśmy ich zrekrutować do policji. Potrzebujemy takich.

– Kto podkłada ogień?

– Gdy na bombajskiej ulicy pojawia się ogień – powiedział Dominie i splunął na jezdnię – na miejscu zgliszcz wyrastają centrum handlowe lub apartamentowiec.

Czasem spekulanci wykorzystywali czas napięć społecznych, by spalić małe sklepiki stojące im na drodze do celu. Wynajmowali zbirów i kazali im zawiązać na głowach pomarańczowe opaski, gdy będą palić muzułmańskie sklepy, lub zielone podczas podkładania ognia na ulicach hindustów.

Dominie nie był cyniczny, tylko przygnębiony. Miał trzydzieści lat i troje dzieci – dwie córeczki, dziesięcio- i ośmioletnią oraz czteroletniego synka. Uczciwie i ciężko pracował, dniem i nocą ryzykując życie dla munduru, który nosił, ale przestał wierzyć w system, który go w niego ubrał i dał mu broń.

Po drodze mówił z goryczą to, co słyszałem już wiele razy w slumsach, na ulicach i w sklepikach. Był to głos urazy z powodu podwójnej niesprawiedliwości systemu kastowego, który żeruje na biedakach, ale wmawia im, że bieda jest ich

przeznaczeniem.

W czasach dziadka Dominica jego rodzina wyznawała hinduizm. Przeszła na chrześcijaństwo podczas fali nawróceń pod wpływem wyrafinowanych, etycznie niezapomnianych przemów doktora Ambedkara, pierwszego ministra sprawiedliwości i przywódcy niedotykalnych.

Początkowo przejście na inną wiarę ściągnęło na rodzinę nieprzyjemności, ale kiedy Dominie założył własną rodzinę, on i jego żona byli już w pełni zintegrowani ze społecznością chrześcijańską, podobnie jak wielu innych, którzy przeszli na buddyzm lub islam, żeby uwolnić się od ograniczeń kasty.

Byli tymi samymi ludźmi, tymi samymi sąsiadami, tylko chodzili w inne miejsca, żeby połączyć się ze Źródłem. Ale każda religia potępia – a czasem brutalnie karze – tych, którzy chcą od niej odejść, więc zmiana wyznania pozostała bardzo bolesnym tematem.

Objeżdżaliśmy miasto od Navy Nagar po skrzyżowanie Worli, wszystkimi możliwymi trasami. Mijały nas ciężarówki ze skandującymi hinduistami i muzułmanami oraz furkoczącymi sztandarami – pomarańczowymi hinduistów, zielonymi muzułmanów.

Politycy i bogacze łamali zasady, jeżdżąc po pustych jezdniach w opancerzonych wozach, zawsze z największą prędkością, jakby ktoś ich gonił. Niewiele osób odważyło się wyjść na ulice. Zauważali nas w tej samej chwili, co my ich, i uciekali. Poza tym pogrążone w ciemnościach przedświtu miasto było puste.

Nie widziałem żadnych zombiaków, za to psy i szczury pojawiały się stadami. Były głodne; ludzie nie zostawiali już odpadków. Teraz przemierzały opustoszałe ulice, wyjąc i piszcząc.

Dominie uważał, żeby ich nie przejechać. Hindusi lubią psy i szczury. Hindusi lubią prawie wszystko. Raz przepuścił chmarę szczurów, stojących przed nami jak kierdel owiec na wiejskiej drodze.

Warknął silnikiem, błysnął reflektorem, ryknął klaksonem. Szczury ani drgnęły.

– Masz jakiś pomysł? – spytał Dominie.

– Mógłbyś strzelić w powietrze, żeby je wystraszyć. Policjanci robią tak z ludźmi, kiedy stoją na drodze.

– Nie ma takiej opcji.

Pojawił się wychudzony bezdomny pies; jego żylaste łapy dygotały. Na indyjskich ulicach psy są obecne od tysięcy lat, a ten pies znał swój teren. Zatrzymał się i przesłał skomplikowaną wiadomość z warknięć i szczęknięć.

Szczury rozbiegły się, szukając śmieci na innych ulicach. Pies szczeknął do nas.

Chyba powiedział: „Zjeżdżać stąd”.

Ruszyliśmy.

– Fajny pies – rzucił Dominie przez ramię.

– Tak, i cieszę się, że nie miał ze sobą kumpli. W Indiach wścieklizna co roku zabija trzydzieści pięć tysięcy osób.

– Aleś ty skupiony na negatywach – mruknął, skręcając w stronę Worli Naka.

– Jestem skupiony na przetrwaniu.

– Powinieneś wpuścić do serca Jezusa.

– Jezus jest we wszystkich sercach, bracie.

– Serio?

– Oczywiście. Uwielbiam tego gościa. Kto go nie lubi?

– Wiele osób – rzucił ze śmiechem. – Niektórzy go nienawidzą.

– Nie. Genialny umysł, kochające serce, wielkie poświęcenie – Jezus był autentyczny. Tamci ludzie mogą nie lubić chrześcijan, ale nikt nie nienawidzi Jezusa.

– Miejmy nadzieję, że dzisiejszej nocy nikt go nie będzie nienawidzić – rzucił Dominie, zerkając w mijane zaułki.

Dotarliśmy do Worli Naka, jasno oświetlonego skrzyżowania pięciu dróg z wielką jak boisko wyspą dla policjanta. Dominie zatrzymał się obok niego i wyłączył silnik.

– Całkiem sam, Mahan? – spytał w marathi.

– Tak. Ale teraz już nie, bo jest przy mnie pańska znakomita osoba. Kim jest ten biały?

– Tłumacz. Ochotnik.

– Ochotnik?

Mahan zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów, na wypadek, gdybym zrobił jakiś podejrzany ruch, bo tylko wariat mógł na ochotnika jeździć po ulicach.

– Ochotnik? Odbiło mu?

– Złóżcie raport, Mahan – warknął Dominie.

– Tak jest! W mieście panuje spokój, odkąd zacząłem zmianę o…

Przerwał mu podwójny łomot. Wyładowana ciężarówka przejechała przez próg zwalniający. Odwróciliśmy się i ujrzeliśmy ją, jak nadjeżdża z prawej strony.

Ogromna ciężarówka miała z tyłu skrzynię z bokami sięgającymi do piersi

mężczyznom, którzy się na niej tłoczyli. Gdy przejeżdżała pod latarniami, pomarańczowe transparenty wyglądały jak blask słonecznego światła.

Ciężarówka najechała na kolejny próg zwalniający, najpierw przednimi, potem tylnymi kołami. Śpiewający mężczyźni dwukrotnie podskoczyli, fala przechodząca od pierwszych do ostatnich głów aż po te najbardziej zewnętrzne.

– *Ram! Ram!* – śpiewali.

Za nami rozległ się klakson. Odwróciliśmy się; z lewej strony nadjeżdżała kolejna ciężarówka z zielonymi sztandarami.

– *Alah hu Akbar!* – skandowali jadący nią ludzie.

Wszyscy obejrzeliśmy się na pomarańczowych, a potem na zielonych. Wydawało się jasne, że ciężarówki miną się nieopodal miejsca, gdzie staliśmy, na środku drogi.

– No dobrze – powiedział spokojnie Dominie, opierając motocykl na stopce. – Zdrowaś Mario, łaskiś pełna.

– *Narrayani* – wymamrotał Mahan, także modląc się do bogini. Stanąłem obok nich. Spojrzeliśmy w lewo i prawo na zbliżające się ciężarówki, które bardzo zwolniły. Mahan – który samotnie zarządzał tym wielkim skrzyżowaniem – miał krótkofalówkę i bambusową trzcinkę. Spojrzałem na niego. Nasze spojrzenia się spotkały.

– Wszystko jest uporządkowane – powiedział po angielsku. – Bez napięcia. Pan jest z nami.

– A my z nim – dodałem w marathi.

– To prawda! – zgodził się w tym samym języku. – Lubisz miejscowy alkohol?

– Nikt nie lubi miejscowego alkoholu – odpowiedziałem ze śmiechem, a on roześmiał się razem ze mną.

Kierowcy postanowili wypróbować swoje umiejętności, mijając się jak najbliżej. Ich pomocnicy złożyli lusterka i unieśli wysoko sztandary. Inni przechylili się przez burty paki, krzycząc do kierowców i łomocząc w drewniane płyty.

Ciężarówki, słonie stojące na żółwiach, pełzły ku sobie w żółwim tempie, tak blisko, na ile pozwalała tylko wiara. Minęły się nieopodal nas i tam się zatrzymały obok siebie, śpiewacy przeciwko śpiewakom. Na każdej jechało co najmniej stu skandujących mężczyzn, rozgorączkowanych wiarą, ochrzczonych gorączkowym potem. Przez kilka taktów ich pieśni stapiały się ze sobą, słowa jak echo innych słów, a potem oranż zaczął chwalić zieleń, a zieleń oranż, śpiewając do jednego Boga.

Byłem spięty, gotowy na wszystko, ale mężczyźni na ciężarówkach nie okazywali gniewu. Ci młodzi studenci patrzyli tylko na swoich braci i bez przerwy śpiewali.

Mieli misję. Tłum zatrzymał strażaków chcących gasić ogień w dzielnicach hinduistów i muzułmanów. Młodzieńcy z ciężarówek byli świadkami narażającymi swoje życie, by nic nie przeszkodziło cywilnym władzom w działaniu. Mieli świętą misję ratowania społeczności i nie dawali się sprowokować. Ciężarówki rozjechały się przy wtórze żarliwego skandowania, ale bez jednego złowrogiego grymasu.

A gdy pojechały w różne strony, zabierając ze sobą śpiew, zobaczyłem ją, Karlę, stojącą samotnie po drugiej stronie skrzyżowania. Podwiozła ją jedna z ciężarówek.

Miała na sobie czarne dżinsy, czarny podkoszulek bez rękawów i cienki czerwony płaszcz z kapturem, którym przykryła czarne włosy. Na jej ramieniu wisiała torba z przypiętymi sandałkami. Karla była boso.

Patrzyłem, jak macha ciężarówce z zielonym sztandarem. Potem podbiegłem.

– Tak cię cieszę, że cię widzę! – powiedziała, kiedy chwyciłem ją w ramiona. – Myślałam, że to się nigdy nie skończy.

– Co się nigdy nie skończy? – spytałem, tuląc ją.

– Szukanie ciebie. – Światło latarni padało na zielone królowe. – Myślałam, że utknąłeś gdzieś z jakimiś ciemnymi typami. Ruszyłam ci na pomoc.

– Zabawne. To ja myślałem, że utknęłaś gdzieś z jakimiś ciemnymi typami i ruszyłem ci na pomoc. Pocałuj mnie.

Pocałowała mnie i odchyliła się, znowu na mnie patrząc.

– Ćwiczyłeś?

– Wszystko jest ćwiczeniem.

– Wal się, Shantaram. Wykorzystujesz moje teksty przeciwko mnie. Wstyd.

– To nie wszystko, co mam przeciwko tobie.

– No myślę.

– Nie, naprawdę. Nie wiem, co zamierzasz ani co musisz zrobić, ale dopóki to wszystko się nie uspokoi, proszę, wróć ze mną. Wiesz, tylko po to, żebyś wiedziała, że jestem bezpieczny.

Znowu się roześmiała.

– Wygrałeś. Prowadź.

– Chodź, poznasz Dominica. To przyjaciel, pomagał mi.

– Gdzie twój motocykl?

– Miasto jest zablokowane. Jeżdżę z Dominikiem. Tylko tak mogłem cię szukać.

– Naprawdę jeździsz z tym gliną z drogówki?

Spojrzała w pustą, świetlistą przestrzeń z Mahanem i Dominikiem.

– To także nasza podwózka do domu – wyjaśniłem – jeśli nie przeszkodzi ci taki trójkąt.

– Pod warunkiem, że znajdę się w środku – odparła, biorąc mnie pod ramię.

– Jak udało ci się pojechać ciężarówką?

Zatrzymała mnie na pustym skrzyżowaniu, zanim dotarliśmy do Dominica. Chwyciła za kołnierz kamizelki i przyciągnęła po kolejny pocałunek.

Kiedy oprzytomniałem, stała o krok ode mnie, a ja chyliłem się ku niej, jakbym tego nie zauważył. Policjanci gwizdali, śpiewali i tańczyli. Przydreptałem do nich i przedstawiłem Karlę.

– Miło mi – powiedział Dominie. – Szukaliśmy pani w różnych zakazanych i niezakazanych miejscach.

W Indiach dyskrecja oznacza nieprzerwane mówienie czegoś niedyskretnego.

– Jak miło – mruknęła naburmuszona Karla. – Chciałabym usłyszeć od ciebie o tych zakazanych miejscach, kiedy nie będziesz zajęty ratowaniem miasta.

Pojechaliśmy we trójkę. Karla siedziała przede mną. Przywarła do mojej piersi plecami, trzymając mnie za kamizelkę. Oparła głowę o mój obojczyk i zamknęła oczy. Czułbym się lepiej, gdyby nie oplatała nogami Dominica i nie trzymała stóp na zbiorniku paliwa jego motocykla.

Mijaliśmy kolejne punkty kontrolne, jakby sprzyjały nam dobre czary. Dominie rzucał tylko jedną mantrę w marathi – „Nie pytajcie” – omijając policyjne barykady ze mną z tyłu i nogami Karli z przodu.

Żaden policjant nie pytał. Żaden nawet nie mrugnął okiem. „Trudno nie lubić psów – powiedział mi kiedyś pewien mądry więzień. – Myślą jak my, działają jak my i walczą jak my. Są łobuzami, którzy zaprzedali się bogaczom, ale jednak łobuzami”.

Dominie wyrzucił nas w zaułku za hotelem.

– Dzięki – powiedziała Karla, kładąc rękę na sercu. – Fajna przejażdżka.

Dałem mu wszystko, co miałem w kieszeniach, głównie amerykańskie dolary, ale także kolekcję innych walut na czarną godzinę. Wyszło około dwudziestu tysięcy dolarów. Taka suma przechodziła przez moje ręce co drugi dzień, ale stanowiła fortunę dla człowieka, który żył za pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Wystarczyłaby na jednopokojowy dom, marzenie Dominica, który – jak wielu policjantów broniących tego miasta podczas blokady – mieszkał w nędznych barakach.

– To za dużo – powiedział pochmurnie. Uświadomiłem sobie, że go obraziłem.

– To wszystko, co miałem w kieszeniach – odparłem, zmuszając go, żeby przyjął te pieniądze. – Gdybym miał więcej, też bym ci dał. Jestem tak szczęśliwy, człowieku! Mam u ciebie dług. Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebował, dobrze?

– Dzięki, Lin – powiedział, upychając banknoty za koszulą. Widziałem, że zastanawia się, jak szybko zdoła dotrzeć do domu po objeździe miasta, żeby powiedzieć żonie.

Odjechał, a Karla ruszyła w stronę łukowatego zaułka. Zatrzymałem ją.

– Stop – rzuciłem, chwytając ją za łokieć. – *Madame* Zhou ma zwyczaj wychodzić tu z cienia.

Karla zerknęła na szarobury horyzont za budynkami, na którym pojawiła się zapowiedź nowego dnia.

– Za dnia raczej nie wypełza na dwór – oznajmiła, ruszając przed siebie. – Światło szkodzi jej na skórę.

Weszliśmy po schodach do zablokowanych drzwi na nasze piętro.

– Hasło! – krzyknął Dżaswant.

– Debil – odkrzyknąłem.

– A ty co, jakieś jebane medium jesteś czy jak? – spytał Dżaswant. Nie słyszałem chrobotu odsuwanej barykady. – Skąd możesz to wiedzieć?

– Otwórz drzwi, Dżaswant. Mam tu zarażoną dziewczynę.

– Zarażoną?

– Odsuń… barykadę… i otwórz… te drzwi!

– *Baba,* z tobą naprawdę nie ma żadnej zabawy – powiedział Dżaswant, odsuwając misterną barykadę.

Uchylił drzwi. Karla wśliznęła się do środka.

– Wcale nie wygląda pani na zarażoną – zakląskał słodko Dżaswant. – Wygląda pani promiennie!

– Dziękuję – powiedziała Karla. – Zrobiłeś przypadkiem zapasy na wypadek katastrofy?

– Wie pani, jacy jesteśmy my, sikhowie – odparł Dżaswant, kręcąc w palcach pasemko brody.

– Szerzej te drzwi, Dżaswant – rzuciłem, nadal usiłując się przecisnąć.

Dżaswant bardziej odsunął konstrukcję. Wdarłem się do środka, a on na nowo

zabarykadował drzwi.

– Jaki raport przynosisz? – spytał, otrzepując dłonie z kurzu.

– Wal się.

– Czekaj! – rzucił poważnie. – Chcę wiedzieć, co się tam dzieje. Jak brzmi meldunek sytuacyjny?

– Jaki meldunek? – Usiłowałem go wyminąć, by dostać się do pokoju.

– Czekaj – poprosił, stając mi na drodze.

– No, co?

– Nie zdałeś raportu! Co się tam dzieje? Ty jeden od szesnastu godzin byłeś na dworze. Jak bardzo jest źle?

Był przejęty. Naprawdę mu zależało. Po antysikhijskich zamieszkach tłum chodził ulicami, trzymając za włosy odcięte głowy sikhów. Wielka indyjska tragedia. Ludzka tragedia.

– Dobrze, dobrze – ustąpiłem. – Zła wiadomość brzmi tak, że nie widziałem żadnych zombiaków. Ani jednego, nigdzie, chyba że pijaków i polityków.

– O – zawiódł się nieco Dżaswant.

– Dobra wiadomość jest taka, że w mieście grasują hordy szczurów i zgraje wygłodniałych psów.

– Wszystko jasne. – Dżaswant klasnął w dłonie. – Dzwonię do mojego przyjaciela parsa. Od lat męczył mnie tym swoim planem szczurzej zarazy. Będzie zachwycony.

Odeszliśmy, kiedy wybierał numer.

– Opłata za ochronę nadal obowiązuje! – zawołał za mną. – Byłem gotowy, choć panna Karla wróciła z tobą. Dopiszę to do rachunku.

Drzwi do mojego apartamentu nie były zamknięte na klucz. Z wewnątrz dobiegały dziwne odgłosy. Cicho otworzyłem drzwi. Od progu zobaczyłem Didiera, mówiącego do Chara językami na moim materacu, podczas gdy Oleg przenosił swój zapach na Pari i moją kanapę.

Za dziwny odgłos, który usłyszeliśmy zza drzwi, odpowiadał Vinson, usiłujący grać na mojej gitarze. Leżał na plecach z nogami opartymi o ścianę. Nikt nas nie zauważył.

Zrobiliśmy krok dalej, żeby zajrzeć do mojej sypialni. Diva i Randall leżeli na moim łóżku. Ich dłonie udzielały sobie równie czułej pieszczoty jak usta.

Miałem ochotę trzepnąć Randalla, żeby oderwać go od dziewczyny, którą kochał Naveen, ale to należało do Divy. Karla pociągnęła mnie za kamizelkę.

– Nie wjedziesz tam jak jeździec apokalipsy – szepnęła i wyprowadziła mnie za rękę.

Stanęliśmy przed drzwiami jej pokoju. Serce mi łomotało.

Karla obróciła klucz w zamku, zatrzymała się, odwróciła i spojrzała na mnie.

Nigdy nie traktowałem jej jak coś, co mi się należy. Ale klucz tkwił w zamku, który otwierał drzwi do jej beduińskiego namiotu, a moje serce przepełniała taka nadzieja, że nie zostało w nim miejsca na zwątpienie. Miałem nadzieję, że zamknięcie miasta i ten mały satyrykon w moim apartamencie skłonią ją do otwarcia namiotu.

Karla uśmiechnęła się, otworzyła drzwi i delikatnie pchnęła mnie do środka. Zapaliła ukryte lampki i rozstawiła kadzidło we właściwych miejscach. Wzięła mnie za kołnierz kamizelki, przerwała mi podziwianie sztandarów czerwonego i błękitnego jedwabiu nad moją głową i zmusiła mnie, żebym cofnął się do łóżka.

Pocałowała mnie, a potem pchnęła na posłanie.

Przyciągnęła otomanę do stóp łóżka, usiadła i zaczęła mi rozsznurowywać but. Jej palce gorączkowo rozsupłały węzły, rozluźniły sznurówki. Zdjęła jeden i upuściła go na ziemię. Upadł z głuchym buciorowym łupnięciem, a ona zajęła się drugim. Łupnął o podłogę parę sekund później.

Zdjęła mi kamizelkę i podkoszulek, rozpięła dżinsy, obnażyła mnie.

– Wiesz, na czym polega twój problem? – spytała, oglądając mnie całego. – Jesteś twardszy, niż powinieneś.

– To twoja wina – odparłem, zakładając ręce za głowę, na poduszkach Karli, w jej beduińskim namiocie.

– Kto powiedział, że to wina? To coś, co dziewczyny czasem lubią prowokować.

Znowu nie zrozumiałem, ale mi to nie przeszkadzało. Bardzo się cieszyłem, że mogę patrzeć na aureole jedwabiu nad jej głową.

– Naprawdę do mnie wróciłaś? – spytałem. – Wyszłaś z balu fetyszy i wróciłaś, żeby mnie poszukać?

Stała na rozstawionych nogach, z dłońmi na biodrach.

– Przepłynęłabym dla ciebie zatokę Kolaba, skarbie – powiedziała, uśmiechając się na widok mojego zagubienia. – No, mogłabym poprosić Randalla, żeby mi towarzyszył, bo nie jestem wybitną pływaczką, ale bym po ciebie wróciła, skarbie.

– Hindusi nie potrafią pływać tak jak Australijczycy – zauważyłem. – W Australii jest więcej rekinów.

Karla rozpięła czarną koszulę i odrzuciła ją na bok.

– Wiesz – powiedziała, zsuwając dżinsy i bieliznę – wszystkim byłoby o wiele łatwiej, gdybym od tej pory miała cię w zasięgu wzroku.

Przechyliła głowę na bok, żeby przyjrzeć się mojej reakcji.

– Nigdy więcej nie powinniśmy się rozdzielać – odparłem poważnie. – Co sądzisz?

– Za jakieś szesnaście minut będziesz dokładnie wiedział, co sądzę – powiedziała, przysuwając się do moich ust, żeby mnie pocałować.

Król wszystkiego, a jednocześnie żebrak na przyjęciu.

Rzucony w nią, rzucony we mnie, obracający się, poruszający, zmieniający, dotykający, wypacający zbyt długą samotność.

Moje ręce na ścianie, odpychające cienie. Jej stopy na mojej piersi, przemawiające cicho, podeszwy i palce, gdy bardziej obcesowe języki wykrzykiwały wszystko inne.

Świat stoczył się z łóżka. Moje plecy na podłodze. Jej kolana na dywanie, kolorowy namiot za jej głową, wentylator rozpędzający gołębice dymu z sandałowego kadzidła.

Karla wtulona we mnie, opierająca się czołem o moje czoło, zaglądająca mi w oczy, zalewając mnie światłem. Zatopienie w przyjemności, zapomnienie o własnej i odnalezienie jej w oczach Karli, powrót do domu: jej oczy bez strachu, bez murów, wracające do mnie.

Ze splecionymi rękami, ze złączonymi palcami, z nogami rozrzuconymi w cielesną układankę, wtuleni w siebie jak śpiący w lesie zbiegowie.

# 71

Karla i ja nie opuściliśmy namiotu przez całą blokadę miasta.

Pierwszego ranka obudziłem się i zobaczyłem ją, idącą do mnie z kubkami kawy na tacy. Zawsze budziłem się przed wszystkimi, nawet w więzieniu – zwłaszcza tam – i dziwnie było obudzić się, gdy kto inny jest już przytomny.

Była ubrana w coś w rodzaju szlafroka, ale czarnego, zupełnie przezroczystego. Pod nim była naga. Wydawało mi się, że wszędzie, dokąd idzie, pływa w cieniu, i zapragnąłem popłynąć z nią.

Postawiła tacę na wielkim bębnie, którego używała jako nocnego stolika, pocałowała mnie i usiadła obok mnie na łóżku.

– Pozwól, że ci opowiem, co się działo – powiedziała z ręką na moim kolanie.

– Tej nocy? – spytałem z nadzieją.

– Od dnia, w którym poznałam Randżita.

– Rozumiem. Czyli nie tej nocy.

– Nie tej nocy. Wiesz, jak poznałam Randżita?

– Na walkach psów?

– Potrzebujesz tego, Shantaram.

– Nie, nie potrzebuję. Potrzebuję tylko ciebie.

– Tak, potrzebujesz mnie i potrzebujesz tego.

– Dlaczego?

– Dlaczego potrzebujesz mnie czy tego?

– Wiem, dlaczego potrzebuję ciebie – jesteś drugą połową wszystkiego. Dlaczego muszę słuchać o tobie i Randżicie?

– Druga połowa wszystkiego – powtórzyła z uśmiechem. – To mi się podoba. Potrzebujesz tej rozmowy, bo źle cię traktowałam i źle się czuję z tego powodu, choć postąpiłam słusznie, bo zawsze myślałam o tobie.

– No dobrze, ale…

– Nie lubię się źle czuć, zwłaszcza w związku z tobą, więc muszę to jakoś załatwić.

A jedynym sposobem na to jest wyjaśnienie ci, co robiłam, żebyś mógł mnie zrozumieć.

– Nie obchodzi mnie, co robiłaś.

– Zasługujesz na to, żeby wiedzieć.

– Ale nie chcę wiedzieć. I nic mnie to nie obchodzi.

Roześmiała się i podniosła rękę do mojej piersi.

– Czasem jesteś zabawniejszy od prawdy.

– I weselszy – dodałem, całując ją i zanurzając się z nią w czarnym cieniu. Jakiś czas później przyniosła świeżą kawę i zaczęła od nowa.

– Chciałam, żeby przesiedlenie slumsów znalazło się na Uście politycznych postulatów w Bombaju.

– Doskonała kawa – oznajmiłem. – Włoska?

– Oczywiście, i nie zbaczaj z tematu.

– Przeniesienie slumsów. Rozumiem. Tylko nie wiem, czy chcę rozumieć.

– Co rozumieć?

– Karla, kocham cię. Naprawdę mnie nie obchodzi, co…

– Randżit i ja poznaliśmy się w windzie.

– Karla…

– W zaciętej windzie, dokładnie mówiąc.

– To piękna metafora Randżita. Zacięty i wywindowany.

– Winda przez godzinę stała między siódmym a ósmym piętrem – ciągnęła, przemocą zapędzając mnie do swoich wspomnień.

– Godzinę?

– Sześćdziesiąt długich minut. Tylko my dwoje, Randżit i ja.

– Uderzał do ciebie?

– Oczywiście. Flirtował i wyciągnął do mnie łapy, a ja mu przyłożyłam. Znowu spróbował, ja przyłożyłam mu o wiele mocniej, a wtedy usiadł na podłodze i spytał, co chcę osiągnąć w życiu.

Upiłem łyk kawy i w wyobraźni przyłożyłem Randżitowi dwa razy.

– Pierwszy raz w życiu ktoś zadał mi to pytanie.

– Ja ci je zadałem. I to nie raz.

– Ty pytałeś, co chcę robić, tak jak ja pytam ciebie. On spytał, co chcę osiągnąć.

– To to samo pytanie, tylko w innej windzie.

Karla parsknęła śmiechem i pokręciła głową.

– Nie będę się w to wgłębiać, choć bardzo mnie kusi, żeby skopać dupę twoim koanom.

– Kop w dupę, gdy brzemię jest wielkie – powiedziałem z kamiennym wyrazem twarzy.

– Nie ma mowy. Powiem ci to, co powinieneś wiedzieć, a potem tak cię wyaforyzmuję, że zakręci ci się w głowie jak po domowym winie.

– Słowo?

– Tylko nie utrudniaj.

– Dobrze. No, więc utknęłaś w małżeństwie, przepraszam, w windzie z Randżitem, a kiedy nie mógł po ciebie sięgnąć, spytał, co chcesz osiągnąć. I co odpowiedziałaś?

– Powiedziałam bez namysłu: „Chcę osiągnąć to, że mieszkańcy slumsów będą mieli przyzwoite mieszkania".

– Aon?

– „Nasze spotkanie było zapisane w gwiazdach. Chcę się zająć polityką i uczynię ten program priorytetem, jeśli za mnie wyjdziesz".

– Powiedział to w windzie?

– Tak.

– I zgodziłaś się?

– Tak.

– Po godzinie w windzie?

– Tak – przyznała, marszcząc brwi.

Zajrzała mi w oczy, zielone królowe buszujące po moim szarym niebie.

– Chwila. Uważasz, że żaden mężczyzna nie mógłby mi się oświadczyć po godzinie spędzonej w zaciętej windzie, tak?

– Nie powiedziałem…

– Najszybsze oświadczyny złożono mi po pięciu minutach.

– Nie powiedziałem…

– Zaproponowałabym ci, żebyś mnie w tym pobił, ale wiem, że nie możesz, a ja ci na to nie pozwolę.

– Bez urazy, ale jaki miał w tym interes… oprócz ciebie?

– Powiedział, że chce się wypiąć na rodzinę i że nie ma lepszego sposobu. Że szukał

kogoś takiego jak ja.

– Dlaczego chciał się wypiąć na rodzinę?

– Randżit zarządzał majątkiem rodzinnym, ale miał braci i siostry, którzy narzekali na jego lewe interesy. Trzy razy pozwali go do sądu, żeby zyskać kontrolę nad pieniędzmi, które defraudował. Randżit potrzebował żony, którą mógł potraktować jak broń.

– Przeciwko nim?

– Tak. Nie mógł się od nich odciąć bez powodu, a wiedział, że nie będą siedzieć cicho, kiedy weźmie sobie zagraniczną żonę, zwłaszcza że zagraniczna żona też nie zamierzała siedzieć cicho.

– Załatwiliście to w godzinę? Ty usuniesz jego problemy, on usunie twoje? Nieznajomi z windy, co?

– Właśnie. Za każdym razem, kiedy prowokowałam ich obraźliwą reakcję, on się na nich mścił. Byłam czymś w rodzaju odwróconej hipoteki.

– Jesteś słodka, nawet kiedy starasz się nie być – powiedziałem z uśmiechem. – Jak ci się udało tak ich do siebie zrazić?

– To wredne towarzystwo. Bardzo skłonne do nienawiści. A Randżit wyjawił mi wszystkie ich podłe tajemniczki. Za każdym razem, gdy ich widziałam, miałam ataki szczerości. A oni je źle znosili.

– Więc kiedy ta winda zjechała na parter, wyszłaś za Randżita?

Karla nagle spoważniała.

– Po tym, co zrobiłam ci za sprawą Kadirbaja, myślałam, że nigdy się do mnie nie odezwiesz. I miałam rację. Przez dwa lata nie padło między nami ani jedno słowo.

– Dałem ci wolność, bo wyszłaś za Randżita.

– Wyszłam za Randżita, żeby dać ci wolność. I przez dwa lata pomagałam mu przecinać rodzinne więzi i wspinać się na polityczny szczyt, choć nie miał ku temu żadnych przesłanek oprócz ambicji.

– Więc zawłaszczyłaś go sobie, żeby mógł sobie przywłaszczyć rodzinny majątek, a on w zamian wprowadził w życie twój plan przesiedlenia slumsów? Dobrze to rozumiem?

– Zasadniczo. Przynajmniej tak się umawialiśmy.

– Karla… przecież to… jakieś szaleństwo.

– A zamieszkanie z Lisą nie było szaleństwem?

– Nie codziennie.

Karla roześmiała się i odwróciła wzrok.

– Randżit w ostatniej chwili wycofał się z planu przesiedlenia i z wyścigu o władzę, ponieważ spotkał się z pogróżkami.

– Kiedy to się stało? – spytałem, myśląc, że jego wycofanie się mogło mieć coś wspólnego ze śmiercią Lisy.

– Tego dnia w jego biurze, kiedy wpadłeś wściekły na mnie, właśnie to wszystko zakończyłam. Przecięłam tę sytuację. Wszystko, na co pracowałam, runęło. Randżit się wycofał. Cały się trząsł ze strachu. Poddał się, a wiesz, że nie znoszę ludzi, którzy się poddają. Przyszłam i usiadłam w kącie, czekając, aż się uspokoi, a potem powiedziałam, że jeśli jeszcze kiedykolwiek spotkamy się w tym samym pomieszczeniu, będziemy siadać jak najdalej od siebie.

– A on bał się, bo wydawało mu się, że wiem o jego obecności podczas ostatnich chwil Lisy.

– Bardzo się ucieszyłam na twój widok.

– Tak jak ja teraz? – spytałem, całując ją.

– Bardziej – mruknęła jak kotka. – Siedziałam w kącie, wszystko, co zaplanowałam i na co pracowałam, leżało wokół mnie w gruzach, i nagle pojawiłeś się ty. Jeszcze nigdy nie cieszyłam się tak z czyjejś obecności. Mój bohater, pomyślałam.

– Przygotuję coś bohaterskiego do jedzenia. Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu.

– Nie, pozwól, że ja to zrobię.

Wróciła z talerzem daktyli, sera i jabłek oraz winem w długich czerwonych kieliszkach stojących na ptasich szponach.

Opowiedziała mi o tym, jak zniknięcie Randżita dało jej ostatnią szansę na przeprowadzenie gry, ponieważ miała upoważnienie do zarządzania udziałami Randżita, a on nie mógł jej go odebrać, bo musiałby się wyłonić z kryjówki. Dała Kawicie Singh awans na zastępcę redaktora naczelnego w zamian za obietnicę, że Kawita rozpocznie kampanię nawołującą do przesiedlenia slumsów.

Wspólnie opracowały program, który, grając na obywatelskiej dumie, miał skłonić opinię publiczną do humanitarnego przesiedlenia mieszkańców slumsów. Opublikowały go na stronach gazet, których nominalnym właścicielem nadal był Randżit.

– Redaktor naczelny rzucał nam kłody pod nogi – ciągnęła Karla. – Tygodniami starałyśmy się go przeciągnąć na swoją stronę. Czepiał się wszystkiego. Ale kiedy

przyjął zaproszenie na bal fetyszy, poszło gładko.

– Co poszło gładko?

– Uzyskanie posłuszeństwa. Wypal ze mną jointa.

– Dlaczego wsiadłaś na motocykl Benicii?

– Bardziej boli cię, że byłam z Benicią, czy że usiadłam na jej bardzo ładnym motocyklu?

– Wszystko mnie boli. Nie chcę cię widzieć na żadnym motocyklu z wyjątkiem mojego, chyba że to będzie twój motocykl.

– Wtedy będziesz musiał mnie nauczyć jeździć, renegacie. Zaczyna się od rozłożenia nóg, tak?

– Na tyle szeroko, żeby usiąść.

– Wypal ze mną jointa – powtórzyła, kładąc się na łóżku ze stopami na moich kolanach.

– Teraz?

– No co, miasto jest zablokowane. Nie możemy nigdzie iść. Dżaswant ma mnóstwo zapasów. Ja mam broń. Odpręż się i zapal ze mną jointa.

– Jestem całkiem odprężony, ale skoro uważasz, że to dobry pomysł…

– Niektóre drzwi – powiedziała powoli – można otworzyć jedynie dzięki czystemu pożądaniu.

Jakiś czas później przyniosła owoce na tacy z niebieskiego szkła i nakarmiła mnie nimi, kawałek po kawałku. Miłość to więź, a szczęście jest połączeniem jaźni. Karla pocałowała moje dłonie, jej włosy rozłożyły się jak skrzydła w blasku słońca. I ta chwila, pobłogosławiona przez miłość kobiety, obmyła rany.

– Posłuszeństwo – podjęła Karla, moszcząc się obok mnie z kieliszkiem wina.

– Posłuszeństwo?

– Nie ma to jak fetysz, kiedy chcesz określić to, co skłania do uległości.

– Redaktora naczelnego?

– Odlatujesz? Oczywiście, że tak.

– Jak znalazłaś jego fetysz? Dał ci wizytówkę czy jak?

– Kiedy przybyli goście, czekały na nich wszystkie możliwe fetysze. Dziewczęta w maskach i seksownych strojach przeparadowały z nimi jedna po drugiej, aż zauważyłam reakcję. Nie trwało to aż tak długo.

– I?

– Domina, w sari ze sztucznej skóry. Klasyka.

– I co potem?

– Potem został sfilmowany, jak daje się zdominować w prywatnej alkowie.

– Sfilmowałyście go ty i Kawita?

– Nie tylko jego. Mamy też sędziego, polityka, biznesmena i policjanta.

– To ty to zorganizowałaś?

– Kawita i ja miałyśmy współpracującą z nami kobietę ze środowiska.

– Kogo?

– Gospodynię.

– Którą była…?

– Diva.

– Diva? Nasza Diva, ta zza drzwi, z Randallem?

– Nasza Diva, która już wyszła z Cham i Pari, kiedy spałeś. Przyjechały po nie samochody. Ochroniarze łomotali do drzwi. Dżaswant myślał, że to zombiaki chcą się wedrzeć do środka. Odsunęliśmy barykadę i…

– Zaraz. Ja to wszystko przespałem?

– Tak jest, żołnierzu. Diva powiedziała, że wyglądasz słodko.

– Co proszę?

– Chciała ze mną porozmawiać, kiedy Charu i Pari przygotowywały się do wyjścia. Te dziewczyny potrzebują czasu na wszystko. Diva przyszła tutaj i usiadłyśmy na łóżku.

– A ja tu spałem?

– Tak. Miała rację, śpiący wyglądasz słodziej niż przytomny. Co za szczęście, że mam słabość do przytomnego ciebie.

– Jak długo była tu Diva?

– Wypaliłyśmy jointa.

– Aż tyle?

– I wypiłyśmy kieliszek wina.

– A ja tu spałem?

– Tak. Przyszła mi powiedzieć, że Kawita ma nowego cichego wielbiciela i że trochę jej odbija.

– Jej już dawno odbiło. Miała romans z Lisą i nie może o niej zapomnieć. Jest inteligentna i zdolna, ale w moim towarzystwie też jej odbija. Chyba dlatego *madame*

Zhou ją lubi – obie są szalone.

– Kawita zrobiła to wszystko z nami. Towarzyszyła nam na każdym kroku.

– A ty dałaś jej drugie pod względem ważności miejsce u steru wielkiego dziennika.

– Nie pozwolę ci na nią gadać. Nikomu nie pozwolę gadać na nią ani na moich przyjaciół. Tak jak nie pozwoliłabym nikomu obgadywać ciebie.

– Dobrze. Słusznie. Ale moim zadaniem jest cię ostrzec, że wyczuwam zagrożenie.

– Zadaniem? – powtórzyła ze śmiechem.

– Tak, a twoim zadaniem jest ostrzec mnie. Więc Diva odjechała z dziewczynami?

– Ochroniarze je odwieźli. Musiały się nieźle tłumaczyć z tego zniknięcia na całą noc.

– A ja to wszystko przespałem?

– A jakże. Pomogliśmy Dżaswantowi postawić barykadę na nowo, wzięłam prysznic, wróciłam do łóżka, a ty się ucieszyłeś na mój widok. Nawiasem mówiąc, dziewczęta kazały cię pożegnać.

Czułem się dziwnie. Zawsze byłem pierwszy na nogach, bez względu na rozmiar zmęczenia, z najgłębszego snu wyrywał mnie stuk długopisu upuszczonego w sąsiednim pokoju. A tymczasem przespałem rozmowę prowadzoną na moim łóżku.

Było to niezwykłe uczucie, dezorientujące, to powolne tętno i zamglone kontury, a ja poruszałem się w tym wszystkim jak po pokładzie kołyszącego się statku. Trochę mi zajęło zrozumienie, co to jest: spokój.

„Spokój – powiedział kiedyś Idriss – jest doskonałym wybaczeniem i przeciwieństwem strachu”.

– Jesteś tu, Shantaram? – spytała Karla, biorąc mnie pod brodę i potrząsając.

– Zawsze z tobą.

– To dobrze. Na czym stanęliśmy?

– Mówiłaś, jak zorganizowałaś to razem z Kawitą.

– Z Kawitą i Divą. Diva jest obecnie najbogatszą dziewczyną w Bombaju, a kiedy wydaje bal fetyszy, pod jej dom podjeżdżają rzędy limuzyn.

– Ale Divy tam nie było.

– Zorganizowałyśmy to tak, żeby policja ją zatrzymała i odesłała z powrotem do centrum miasta. W ten sposób nie była powiązana z tym, co się tam stało.

– Kryłyście jej tyły.

– Kryłyśmy jej tyły – zgodziła się Karla, klepiąc mnie w pierś.

Nigdy wcześniej tego nie robiła; po raz pierwszy moją skórę musnął ten drobny gest, zrodzony z jej prawdziwego ja, kiedy miłość ją zupełnie rozluźniła.

– Więc zorganizowałaś zabawy z fetyszami i kamery?

– Miałyśmy siedem celów, w tym redaktora, ale pojawiło się tylko pięć.

– Celów?

– Kłód pod nogi, z których chciałyśmy zrobić użyteczne narzędzia zmiany.

– A teraz tych pięciu…

– To narzędzia zmiany, slumsy zostaną przesiedlone, a problemy kobiet spotkają się z większą uwagą. Wygrana na całej linii w damskim stylu.

Usiadłem. Podała mi ręcznik pachnący imbirem, którym wytarliśmy twarze i dłonie.

– Jeśli ci faceci to grube ryby, to są z założenia niebezpieczni. Ten film to bomba i będzie tykać, dopóki istnieje.

– Mamy pośredników – powiedziała, opierając się o moje ramię.

– Muszą być kuloodporni.

– Są. Do prowadzenia rozmów wynajęłyśmy Rowerowych Zabójców.

– Teraz wszystko brzmi o wiele rozsądniej. Rowerowi Zabójcy?

– Nie rozmawiam bezpośrednio z nikim oprócz nich. Oni załatwiają negocjacje.

– Jak do tego doszło?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– No pewnie.

– No więc… – powiedziała, siadając naprzeciwko mnie w pozycji lotosu – Randall i ja zauważyliśmy dwa razy, że Rowerowi Zabójcy cię śledzą, więc wysłałam Randalla, żeby się dowiedział, czego chcą.

– Rozmawiał z nimi sam?

– Niewątpliwie.

– To skarb. Cieszę się, że sprzymierzył z tobą siły.

– Z nami – poprawiła.

– Co sądzisz o Randallu i Divie? Naveen szaleje za nią, a myślałem, że i ona go lubi.

– Jest blokada miasta. To wyjątkowy czas. Lepiej nie mieszajmy się do tego.

– Masz rację… chyba. Wróćmy do Rowerowych Zabójców.

– Powiedzieli Randallowi, że Abdullah wynajął ich, żeby przez jakiś czas nad tobą czuwali. Paru z nich się z nim zaprzyjaźniło.

– A kiedy odkryłaś, że są do wynajęcia, wynajęłaś ich.

– Tak, a oni przystali na to z ochotą.

– Mhm.

– Pracują nad swoim wizerunkiem. Chcieliby się zająć bardziej akceptowalną działalnością niż zabijanie ludzi dla pieniędzy.

– Na przykład zastraszaniem ich dla pieniędzy.

– Coś w tym stylu. To spory krok w kierunku ocieplenia wizerunku.

– Mhm.

– Kiedy poprosiłam ich o prowadzenie negocjacji w naszym imieniu, zrozumiałam, że to się może udać. Nie mogłabym tego zrobić bez nich, bo wszyscy poza nimi ugięliby się pod presją i wydaliby nas. Gdy los posłał ich za tobą, poprosiłam, żeby stanęli za mną.

– Właściwie przed tobą.

– Dokładnie. Iszmit, ich szef, rozmawia z narzędziami zmiany.

– Znam Iszmita.

– To prawdziwy dżentelmen.

– Sól podziemi.

– A Pankadż, jego przyjaciel, który, nawiasem mówiąc, naprawdę cię lubi, jest niesamowity. Zaprosiłam go na bal fetyszy.

– No myślę. A ja nie mogłem o niczym wiedzieć?

– Chroniłam cię. Osłaniałam przed ogniem.

– Bo jestem głupi?

– Bo jesteś moją bratnią duszą. Gdyby to wszystko się nie udało, chciałam mieć pewność, że nie dotrą do ciebie. Ty też się ukrywasz, pamiętasz?

Zobaczyłem w niej nowe piękno. Broniła mnie, strzegła własną duszą.

Wstała, by znowu zapalić kadzidło, siedem patyczków, świetlików w kolorowym pokoju. Włożyła je w paszcze glinianych smoków. Patrzyłam, jak krąży po sypialni, a mój umysł walczył z czasem, starał się zatrzymać wszystko z wyjątkiem tego.

Usiadła obok mnie i wzięła mnie za rękę.

– Gdybym ci powiedziała, że chciałam przesunąć całe miasto w kierunku humanitarnego przesiedlenia slumsów, czy pomógłbyś mi, czy też starał się mi przeszkodzić? Szczerze?

– Starałbym się namówić cię, żebyś wyjechała i zaczęła gdzie indziej nowe życie ze mną.

– Dlatego cię chroniłam.

– Dlatego?

– Pomógłbyś mi, bo mnie kochasz, ale nie miałbyś czystych intencji, a przez to stałbyś się wrażliwy na ciosy. A z tobą pewnie i ja.

Zastanowiłem się nad tym, nie całkiem to rozumiejąc, ale nasunęło mi się inne pytanie.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Myślisz, że sprawa nie jest wystarczająco ważna? – spytała kpiąco.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Teraz to ona się zastanowiła. Uśmiechnęła się i zdecydowała na szczerość.

– Żeby sprawdzić, czy mogę. Chciałam się przekonać, czy potrafię.

– Moim zdaniem potrafisz wszystko. Ale powinniśmy to zrobić razem.

Znowu się roześmiała.

– Jesteś tak bardzo kochany. A ja tak bardzo się cieszę, że w końcu ci powiedziałam.

Tego wszystkiego było za dużo. Wszystkie marzenia się spełniły. Zwątpienie – to, co walczy z miłością – pchnęło mnie na krawędź urwiska i sprowokowało do skoku. Więc skoczyłem.

– Tak bardzo cię kocham, Karla, że zatonąłem w tej miłości i nigdy się z niej nie wynurzę.

Mężczyźni nie lubią tak szczerze wyznawać miłości, dawać kobiecie pistolet, przystawiać go do własnego serca i mówić: „Proszę, w ten sposób możesz mnie zabić”. Ale czułem, że jestem bezpieczny. Jestem bezpieczny.

– Ja też cię kocham, skarbie – powiedziała, cała w zielonych królowych. – Zawsze cię kochałam, nawet jeśli wyglądało to inaczej. Uparłam się na ciebie i lepiej się do tego przyzwyczaj, bo od tej pory będziemy nierozłączni. Rozumiesz to, prawda?

– Rozumiem – powiedziałem, przyciągając ją do siebie, żeby mnie pocałowała. – Przemyślałaś to dokładnie i długo, co?

– Znasz mnie – mruknęła jak kotka. – Wszystko robię długo i dokładnie.

XIII

# 72

Pozwoliłem Olegowi na jakiś czas zamieszkać w moim apartamencie. Był opłacony za rok z góry, a ja się cieszyłem, że Oleg ma się gdzie podziać.

Oleg cieszył się bardziej. Chwycił mnie w ramiona, podniósł i pocałował. „U Rosjan to normalne”, wyjaśnił.

Karla wszędzie jeździła ze mną, nawet na moje objazdy czarnego rynku, a ja wszędzie jeździłem z nią. Jeździliśmy razem, a Randall dyskretnie podążał za nami w samochodzie.

Moje objazdy waluciarzy były niebezpieczne, ale niemal wszystko, co robiła Karla, było równie niebezpieczne. Jej objazdy znajomych z kręgów sztuki i biznesu mnie niepokoiły, a niektóre moje sprawy niepokoiły ją niemal tak samo.

Ludzie nie od razu przywykli, że jesteśmy nierozłączni. Różnie na to reagowali. Jak się okazało, moi znajomi z półświatka przyjęli to lepiej niż jej znajomi z wielkiego świata.

– Proszę wypić z nami herbatę – zagadywali ją moi waluciarze podczas każdej wizyty. – Proszę, koniecznie.

– Wstęp wzbroniony – mówiono mi przy każdym stanowisku ochrony. – Należy okazać przepustkę.

Karla przeprowadzała mnie przez wszystkie bramki i nalegała, żebym wszędzie siedział u jej boku. Chodziłem na zebrania z rekinami finansjery w salach konferencyjnych, które wyglądały jak wnętrze tej samej trumny.

Garnitur, powiedział kiedyś Didier, to nic innego jak wojskowy mundur, tylko odarty z honoru. I rzeczywiście, słowo „honor” rzadko rozbrzmiewało w tych salach i ekskluzywnych klubach. Gdy Karla je wypowiadała, twierdząc, że akcji Randżita użyje do wsparcia honorowej sprawy, przez pomieszczenie przepływały wciąż te same fale niepokoju, usta rozchylały się jak pyszczki ryby, a kolorowe krawaty falowały na obrotowych fotelach jak wodorosty we wzburzonym morzu.

Artyści stanowili jeszcze inną historię, opowiedzianą przez wysokiego, przystojnego rzeźbiarza, koszącego siano na bujnych polach milionerów.

Galeria kwitła. Skandal zawsze podkręca handel. Jego zapach przywarł do dzieł

zaatakowanych przez fanatyków, dzieł zakazanych lub zagrożonych zakazem, i drażnił zmysły bogatych klientów. Ludzie mający dość pieniędzy, by nigdzie nie stać w kolejce, czekali na zamówienie i płacili za nie czarnorynkowymi rupiami. Rzeźbiarz Tadż zarządzał galerią i pomnażał pieniądze szybciej, niż potrafił machać młotkiem.

Gdy pewnego dnia, parę tygodni po blokadzie miasta, wszedłem z Karlą do galerii, akurat rozmawiał z grupą klientów. Rosanna siedziała w recepcji, odbierając telefony.

Tadż skinął głową Karli, nie przerywając dyskusji. Poszliśmy w głąb galerii. Motocyklowe reflektory zastąpiły dziesiątki czerwonych jarzeniówek.

Usiedliśmy na kanapie krytej czarnym jedwabiem. Na podłodze stały oparte o ściany obrazy; blejtram jednego stawał się ramą następnego. Anuszka przyniosła nam czaj i biszkopty. Kiedy nie grała roli artystki performance'u, stawała się nieśmiałą młodą kobietą, chcącą się wszystkim przypodobać. Galeria była jej drugim domem.

– Co tam? – zagadnęła ją Karla, kiedy dziewczyna usiadła obok nas na dywanie.

– Po staremu – odparła Anuszka z uśmiechem.

– Trzy dni temu mówiłaś, że jest gotowa nowa wystawa marathijskich artystów, a nie widzę przygotowań.

– Bo… doszło do pewnej dyskusji.

– Dyss…kuss…ji? – syknęła Karla.

Zjawił się Tadż. Usiadł obok Anuszki, z wdziękiem podwijając pod siebie nogi.

– Przepraszam – rzucił. – Musiałem się uporać z tymi klientami. Wielka transakcja. Jak się masz, Karlo?

– Usłyszałam o pewnej dyskusji – odparła Karla, przeszywając go spojrzeniem. – I mam ochotę podyskutować.

Tadż szybko odwrócił wzrok.

– Jak się masz, Lin?

Za każdym razem, kiedy na niego patrzyłem, przypominały mi się te dwa tajemnicze dni, które spędził z Karlą gdzieś poza Bombajem; dni, o których Karla nigdy mi nie opowiedziała, ponieważ nigdy o nie nie pytałem.

Tadż był dość wysoki, smagły i tak przystojny, że budził zazdrość w pozostałych z nas. Przystojni faceci nic nie poradzą, że są przystojni. Znałem paru przystojnych facetów, fajnych ludzi i przyjaciół, a my, brzydcy faceci, przepadaliśmy za nimi, ale nawet wtedy trochę im zazdrościliśmy, bo byli tak cholernie przystojni. Oczywiście to nasza wina, nie ich, i w przypadku Tadża winę ponosiłem ja, nie on, ale za każdym

razem, kiedy na niego patrzyłem, miałem ochotę wziąć go na przesłuchanie.

– Dobrze. A ty? – warknąłem.

– A… świetnie – powiedział niepewnie.

– Podyskutuj ze mną, Tadż – odezwała się Karla, skupiając na sobie jego uwagę. – Na czym polega problem z wystawą?

– Możemy się najpierw najarać? – spytał Tadż, dając znak Anuszce, która natychmiast wstała, by poszukać psychicznego wsparcia. – Od czterech godzin bez przerwy rozmawiam z klientami i w głowie wirują mi liczby.

– Gdzie ona jest?

– Anuszka przyniesie – powiedział Tadż, wskazując bezradnie drzwi.

– Nie trawa. Wystawa marathijskich artystów. Gdzie ona jest?

– W magazynie – wymamrotał Tadż, spoglądając na drzwi i wzywając Anuszkę siłą woli.

– W magazynie?

Anuszka wróciła, paląc bardzo dużego jointa, którego szybko podała Tadżowi. Rzeźbiarz uniósł dłoń, prosząc Karlę o cierpliwość, zaciągnął się, wypuszczając z płuc małą chmurkę dymu. W końcu podał jointa mnie.

– Wiesz, że nie palę, kiedy wożę Karlę – oznajmiłem, nie wyciągając ręki. – Już ci to mówiłem. Przestań mi proponować.

– Ja poproszę – rzuciła Karla, wyrywając mu jointa. – I poproszę o wyjaśnienie.

– Słuchaj… – Tadż zdążył się już na tyle najarać, że mógł znowu udawać. – Ludzie uważają, że poświęcenie całej wystawy jednej grupie artystów… jednej grupie językowej… nie jest właściwym kierunkiem…

– Ludzie?

– Ludzie z galerii. Podoba im się wystawa marathijskich artystów, ale nie czują się z nią dobrze.

– Od dwóch tygodni masz tu wystawę bengalskich artystów.

– To inny kontekst.

– Wyjaśnij mi, na czym polega ta różnica.

– No, więc… to znaczy…

– Kocham to miasto i jestem cholernie szczęśliwa, że tu mieszkam – powiedziała Karla, pochylając się ku niemu. – Jesteśmy na terenie Marathów, żyjemy w mieście Marathów, dzięki uprzejmości Marathów, którzy nam go użyczyli. Ta wystawa jest dla

nich, Tadż, nie dla ciebie.

– To sprawa polityczna.

– Nieprawda. Wszyscy ci artyści są dobrzy, a niektórzy wspaniali. Sam tak powiedziałeś. Osobiście ich wybierałam, z pomocą lisy.

– Są dobrzy, oczywiście, ale nie o to tu chodzi.

– Mnie, tobie, Rosannie i Anuszce, a także wszystkim innym członkom zespołu, którzy nie urodzili się w Bombaju, chodzi o to, że prezentowanie utalentowanych mieszkańców miasta, które daje nam gościnę, jest po prostu słuszne.

– Prosisz o zbyt wiele – powiedział Tadż rozpaczliwie.

– Chcę tej wystawy – oznajmiła Karla. – To był mój ostatni wspólny projekt z Lisą.

– A ja chciałbym się zgodzić – jęknął Tadż. – Ale to po prostu niemożliwe.

– Gdzie są eksponaty?

– Mówiłem. Nadal w magazynie.

– Poślij do galerii Dżehangir.

– Całą wystawę? – spytał wstrząśnięty. – Są tam piękne obrazy, a jeśli zostaną odpowiednio wystawione na sprzedaż, po jednym…

– Wyślij ją do galerii Dżehangir – powtórzyła. – Oni są na tyle przyzwoici, żeby zaprezentować tę wystawę i zasługują na to bardziej niż ty.

– Ale…

– Skończyliśmy – powiedziała do mnie, wstając.

Tadż wyprostował się i stanął przed nią.

– Proszę, rozważ to jeszcze.

Chwycił ją za ramię. Odepchnąłem go.

– Nie podchodź, Tadż – ostrzegłem cicho.

– Popełniasz wielki błąd – powiedział. – Galeria zaczyna naprawdę zarabiać…

– Mam pieniądze – odparła Karla. – To, czego chcę, to szacunek. Skończyłam z tobą, Tadż. Od tej pory ta galeria jest twoja. Bądź sobie apolityczny, ile chcesz. Ja odchodzę. Ubezpieczenie płacisz ty, więc kiedy wyślesz mi marathijską wystawę, dopilnuj, żeby nic się jej nie stało po drodze. Powodzenia i żegnam.

Odjechaliśmy na kolejną moją rundę.

– Wiesz, że to gej, prawda? – spytała Karla, trzymając mnie za ramię.

– Kto?

– Tadż.

– Tadż jest gejem?

– Nie wiedziałeś?

– Nigdy nie wiem, dopóki ludzie mi nie powiedzą.

– I byłeś zazdrosny, tak?

Zastanawiałem się nad tym przez jakiś kilometr.

– To znaczy, że gej nie może cię pociągać?

Zastanawiała się nad tym przez kolejny kilometr.

– Racja – przyznała. – Ale nie ten gej.

– Ale wyjechałaś z nim na dwa dni.

– Do SPA. Żeby pić soki i naładować baterie przed walką. Tadż mi tylko towarzyszył, żeby rozpracować pewne rzeczy związane z galerią.

– A ja nie mogłem pojechać do towarzystwa lub pomocy?

– Chroniłam cię przed moimi intrygami, pamiętasz? – szepnęła mi do ucha. – Poza tym Didier go lubi.

– Didier i rzeźbiarz…?

– Tadż już zrobił parę studiów nagiego Didiera. Nieźle mu wyszło.

– Zrobi rzeźbę Didiera?

– Aha.

– Didier nigdy nie przestanie o tym gadać.

– O, tak. Obiecałam, że będziemy na odsłonięciu.

– Może zrezygnuję. Już widziałem odsłoniętego Didiera.

– Tadż przedstawi Didiera jako *Dawida* Michała Anioła, ale czterdziestodziewięcioletniego.

– Zdecydowałem. Nie idę.

Zwolniłem i zatrzymałem motocykl przy krawężniku szerokiego, względnie pustego bulwaru. Kiedy wystarczająco długo jeździsz ulicami Miasta Wysp, zaczynasz je wyczuwać.

– Co się stało? – spytała Karla.

– Ruch jest jakiś dziwny – powiedziałem, rozglądając się.

– Co w nim dziwnego?

– Nie ma go. Policjanci go z jakiegoś powodu wstrzymują.

Minęła nas rozpędzona kawalkada samochodów, błyskając światłami w kolorze świeżej krwi. Za nią pojawiły się druga i trzecia. Patrzyliśmy, jak pędzą niczym strumienie światła i znikają w ciemnościach, aż na ulicy znowu zapanował spokój i wrócił normalny ruch.

– Jechali w pośpiechu do Bandry – powiedziałem, odjeżdżając powoli. – Psy i dziennikarze. To chyba coś dużego.

– Obchodzi cię to? – spytała, obejmując moją rękę.

– Nie! – krzyknąłem przez ramię. – Spotkajmy się z kimś fajnym. Muszę zostawić pieniądze w banku.

Ciocia Półksiężyc przeszła samą siebie w popisie dla Karli. W pewnej chwili kazała mi odejść, twierdząc, że następny etap jej występu jest tylko dla kobiet.

Odszedłem, ślizgając się w zwolnionym tempie na tranie, walcząc z pokusą, by się obejrzeć.

– Niezłe – powiedziała Karla, dołączywszy do mnie na targu Kolaba. – Joga jak cholera. Ktoś koniecznie musi namalować tę kobietę.

– Może któryś z twoich młodych malarzy?

– Świetny pomysł – przyznała ze śmiechem. – Zdaje się, że razem stworzymy bardzo interesujące rzeczy, Shantaram.

– Tu się zgodzę.

Młoda prostytutka z dzielnicy seksu Regal Circle wracała przez rynek do swojej chaty w rybackich slumsach. Miała na imię Circe i był z niej niezły numer. Jeśli nie zarobiła dość pieniędzy, miała zwyczaj tak długo męczyć mężczyzn, aż zgodzili się uprawiać z nią seks albo aż zapłacili jej, żeby przestała się im narzucać.

– Cześć, Shantaram – rzuciła. – Rżnij mnie długo za podwójną cenę.

– Cześć, Circe – odparłem, usiłując ją ominąć, ale stanęła mi na drodze, podparta pod boki.

– Rżnij mnie krótko, rżnij mnie długo, ty gnojku!

– Na razie, Circe – mruknąłem, znowu ją omijając, ale chwyciła w dłonie swoje żółte sari i pobiegła, żeby jeszcze raz stanąć przede mną.

– Albo rżniesz, albo płacisz – oznajmiła, chwytając mnie za ramię i usiłując się o mnie otrzeć.

Karla odepchnęła ją dłońmi tak mocno, że Circe się zatoczyła.

– Nie zbliżaj się – warknęła w hindi, unosząc pięści.

Circe poprawiła sari i odeszła, unikając spojrzenia Karli.

– A, więc tak to się robi – powiedziałem.

– Urocza dziewczyna – oznajmiła Karla. – Od balu fetyszy spotykam same osoby, która chciałabym dodać do listy.

– No myślę. Skończyłem objazd. Dokąd panienka sobie życzy?

– Teraz, mój ukochany, pójdziemy tam, gdzie się rozdaje kiełbasę wyborczą.

# 73

Pojechaliśmy na południe do hotelu Tadż Mahal, gdzie Karla miała spotkanie z udziałowcami koncertu medialnego Randżita. Przedwieczorna godzina nadal złociła oczy sikhijskich ochroniarzy, którzy wyszli na nasze powitanie w hotelu. Karla włożyła sandały z przezroczystego plastiku i szary uniform kotlarza, którego kołnierz odcięła, robiąc szeroki dekolt. W pasie przewiązała się czarnym, ozdobnie plecionym konopnym sznurkiem. Jej włosy, ułożone przez wiatr podczas podróży na moim motocyklu, wyglądały bardzo ładnie. Ja miałem na sobie czarne dżinsy, dżinsową kamizelkę i podkoszulek z Keithem Richardsem, na który zamieniłem się z Olegiem, i który nie bardzo pasował na spotkanie biznesowe. Ale mało mnie to obchodziło – oni też nie byli ubrani tak, jak wypada w moim świecie.

Zebranie odbyło się w ldubie biznesowym. Weszliśmy do maleńkiej windy. Ledwie drzwi się zamknęły, podałem Karli piersiówkę. Pociągnęła łyk i oddała mi ją; drzwi otworzyły się, ukazując wąski korytarz prowadzący do nieumiarkowanie skromnego dekadenckiego skarbca.

Skórzane fotele i kanapy – każdy mebel w cenie sporego samochodu – stały na tle szerokich mahoniowych paneli, importowanych z dalekich krajów, w których zabija się mahoniowce dla ich piękna. Kryształy kłuły oczy iskrami światła, dywany się puszyły, przepyszne portrety pysznych gigantów biznesu zdobiły ściany, a kelnerzy w białych rękawiczkach cierpliwie spełniali każdą potrzebę.

W pokoju było sześciu biznesmenów, eleganckich i dobrze zakonserwowanych. Na nasz widok skamienieli, wpatrzeni w Karlę.

– Proszę przyjąć moje kondolencje, Karla-madame – powiedział jeden nich.

– Wyrazy współczucia – dodali inni.

Spojrzałem na Karlę. Przyglądała im się uważnie. Nie spodobało jej się to, co zobaczyła.

– Coś się stało z Randżitem – powiedziała.

– Nie wie pani?

– O czym? – spytała cicho.

– Randżit odszedł, Karla-*madame* – wyjaśnił biznesmen. – Ktoś zastrzelił go dziś

wieczorem w Bandrze. Przed chwilą. Właśnie podali w wiadomościach.

Uświadomiłem sobie, że te czerwone kawalkady samochodów policji i prasy pędziły do Bandry na miejsce śmierci Randżita. Karla również to zrozumiała. Spojrzała na mnie.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

Skinęła głową, zaciskając usta.

– Jeśli pozwolicie, panowie, chciałam was poprosić o odłożenie tego spotkania na czterdzieści osiem godzin.

– Oczywiście, Karla-madame.

– Co tylko pani zechce, Karla-madame.

– Wyrazy współczucia.

W windzie Karla wtuliła się we mnie, schowała twarz na mojej piersi i zapłakała. Raptem winda zatrzymała się i utknęła między piętrami.

Karla ucichła, wytarła oczy i rozejrzała się ze świtającym uśmiechem.

– Witaj, Randżit – powiedziała. – Chodź tu i walcz jak uczciwy duch.

Winda znowu ruszyła w dół.

– Żegnaj, Randżit – mruknąłem.

Na ulicy, koło motocykla, wziąłem ją za rękę.

– Co chcesz zrobić?

– Gdybym mogła… jeśli nadał tam jest… chciałabym go zidentyfikować. Nie chcę tego robić w kostnicy.

Pojechałem z nią do Bandry. Randall podążał za nami. Minęliśmy kordon dziennikarzy koło nocnego klubu, w którym Randżit spotkał swoje przeznaczenie.

Jego zwłoki nadal leżały w lokalu. Podobno policja zwlekała z wyniesieniem ciała sławnego potentata, ponieważ nie przyjechali jeszcze reporterzy z wielkiej stacji telewizyjnej. Karla, Randall i ja stanęliśmy w tłumie w drzwiach klubu, oświetlonych przez miejscowe ekipy telewizyjne.

Czułem się nieswojo. Nie chciałem patrzeć, jak ciało Randżita opuszcza lokal na noszach. No i wszędzie roiło się od policjantów.

Spojrzałem na Karlę. Cała w płonących królowych, wodziła dokoła wzrokiem, obserwując wielkie furgonetki transmisyjne, reflektory i szeregi psów.

– Naprawdę chcesz to zrobić? – spytałem.

– Muszę. To moja ostatnia powinność wobec rodziny Randżita. Żeby ich przeprosić

za to, że grałam w jego grę.

Przedarła się przez kordon dziennikarzy. Błysnęły flesze. Szedłem pół kroku za nią, z Randallem u boku.

– Odsuńcie się – mówił spokojnie Randall w marathi i hindi, przechodząc w tłumie. – Proszę, okażcie szacunek. Okażcie szacunek.

Dziennikarze i policjanci pozwolili wejść Karli, ale mnie i Randalla zatrzymali. Czekaliśmy na nią dziesięć długich minut. Wyszła wyprostowana, z podniesioną głową, ale opierała się na ramieniu starszego oficera.

– To straszna rzecz, *madame* – mówił policjant. – Nie zakończyliśmy jeszcze dochodzenia, ale wydaje się, że pani męża zastrzelił pewien młody mężczyzna, który…

– Nie mogę o tym teraz mówić – przerwała mu Karla.

– Oczywiście – rzucił szybko.

– Proszę mi wybaczyć opryskliwość – dodała Karla, zatrzymując go uniesioną ręką. – Chciałam tylko, żebyście zeznali, iż zidentyfikowałam ciało Randżita. Należy szybko powiadomić jego rodzinę, a teraz, gdy potwierdziłam jego tożsamość, możecie wykonać ten przykry obowiązek, prawda?

– Tak, *madame*.

– Zatem, czy przyjmujecie moje zeznanie i poinformujecie rodzinę Randżita?

– Przyjmuję, *madame* – oznajmił policjant, salutując. – I dopełnię tego obowiązku.

– Dziękuję panu. – Karla uścisnęła mu dłoń. – Niewątpliwie będziecie chcieli porozmawiać także ze mną. Złożę wam wizytę w wybranym przez was czasie.

– Tak, *madame*. Proszę przyjąć moją wizytówkę. I pozwolę sobie wyrazić moje kondolencje.

– Jeszcze raz dziękuję.

Kiedy ruszyliśmy do motocykla, kilku fotografów usiłowało zrobić Karli zdjęcie. Randall ich powstrzymał i zapłacił za to, żeby nie krzyczeli o wolności prasy.

Wróciliśmy na południe, a Karla płakała z policzkiem na moich plecach. Gdy zatrzymaliśmy się na światłach, Randall wyskoczył z samochodu i podał jej chusteczki w czerwonym ceramicznym pudełku. Karla przyjęła je, zanim światła się zmieniły. I chyba ten drobny gest serdeczności ją pokrzepił, bo łzy przestały płynąć. Już nigdy więcej nie zapłakała po Randżicie.

# 74

Zabrałem Karlę do beduińskiego namiotu w hotelu Amritsar. Pozwoliła mi się rozebrać i położyć do łóżka – przywilej kochanka. Przespała świt, dzień i fiołkowy wieczór, by obudzić się pod księżycem uchodźców.

Przeciągnęła się, spostrzegła mnie i rozejrzała się po pokoju.

– Długo spałam?

– Cały dzień – wyjaśniłem. – Już prawie północ. Spóźniłaś się na jutro.

Usiadła szybko, mierzwiąc sobie włosy w idealnym stylu.

– Północ?

– Tak.

– Przyglądałeś mi się, kiedy spałam?

– Byłem zbyt zajęty. Spisałem obszerne oświadczenie dla policji, podpisałem je w twoim imieniu i dostarczyłem. Spodobało im się. Nie musisz tam wracać.

– Naprawdę to zrobiłeś?

– Jak się czujesz? – spytałem z uśmiechem.

– Dobrze – powiedziała, zsuwając się z łóżka. – Dobrze. I muszę siusiu.

Wróciła owinięta białym jedwabnym szlafrokiem. Usiłowałem wymyślić, jak skłonić ją do mówienia o Randżicie, martwym Randżicie, i co poczuła, patrząc na jego zwłoki. Przerwało mi pukanie do drzwi.

– To Naveen – powiedziała Karla. – Wpuścisz go?

– Poznajesz go po pukaniu?

Otworzyłem drzwi i zaprosiłem do namiotu młodego detektywa.

– Co tam, młody? – spytałem.

– Bardzo mi przykro z powodu Randżita – zwrócił się do Karli.

– Ktoś musiał go zabić – odparła, zapalając małego jointa. – Cieszę się, że nie padło na mnie. Wszystko dobrze, Naveen. Odespałam to i już wszystko w porządku.

– Dobrze. Cieszę się, że nie odpuszczasz.

Spojrzał na mnie, na Karlę, znowu na mnie.

– Co jest? – spytałem.

– Przepraszam. Tylko usiłuję się przyzwyczaić do myśli, że jesteście razem.

– Mhm.

– W hotelu prowadzą zakłady, jak długo Oleg będzie mógł mieszkać w twoim apartamencie – oznajmił radośnie Naveen. – Oleg wziął trzy…

– Jakieś inne wieści? – spytałem, wkładając dżinsy.

– O, tak. Dennis wychodzi dziś z transu. Będzie mnóstwo osób. Pomyślałem, że… może… powinnaś się przewietrzyć.

Karla zainteresowała się przebudzeniem Dennisa z dwuletniego snu, ale nie byłem pewien, czy jest gotowa na wyjście do ludzi. Nie byłem pewien, czy ja jestem gotów. Prawie całą noc i dzień nie spałem, czuwając nad Karlą. Zapłaciłem policjantom, żeby dali jej spokój. I przez cały czas raz po raz zadawałem sobie pytania o Randżita i Lisę, na które mógł odpowiedzieć tylko Randżit.

– Chcesz wyjść czy zostać, mała?

– Miałabym przegapić zmartwychwstanie? Za pięć minut jestem gotowa.

– Dobrze, to ja się dołączam – powiedziałem, wkładając podkoszulek. – Nie co dzień ktoś wraca z krainy zmarłych.

Zeszliśmy na dół. W luku pod hotelem ujrzeliśmy Randalla siedzącego na tylnej kanapie samochodu. Czytał *Pochowaj me serce w Wounded Knee*. Lampka pod sufitem rzucała mu na twarz niebieskawą poświatę.

Karla dała mu ten samochód, bo uparcie jeździł za nami na wypadek, gdyby go potrzebowała. Randall przyjął podarunek i przerobił obszerne tylne siedzenie na sypialnię wraz z małą lodówką na baterie i zestawem stereo lepszym od mojego.

Był boso, w czarnych spodniach i białej, rozpiętej pod szyją koszuli. Jego brązowe goańskie oczy, spłowiałe od pokoleń na słońcu i w morzu, wypełniało światło szczęścia. Randall wyszedł z samochodu i włożył sandały. Był przystojny, wysoki, inteligentny i odważny. A kiedy podszedł, żeby przywitać się z Karlą, błyskając zębami jak muszlami na idealnie pięknej plaży, zrozumiałem, dlaczego tak bardzo spodobał się Divie.

– Jak się pani miewa? – spytał, na chwilę ujmując dłoń Karli.

– Znakomicie – powiedziała. – Czy znajdziesz coś dla mnie w swoim dobrze wyposażonym barku? Wczoraj miałam zły sen i męczy mnie pragnienie.

– W tej chwili – oznajmił Randall, otwierając drzwi samochodu i wydobywając z

niego małą buteleczkę wódki.

– Zaduchy tych, którzy odeszli – powiedziała Karla, osuszając buteleczkę dwoma łykami. – No, a teraz wskrześmy umarłego.

– Wskrzeszacie Dennisa, Śpiącego Babę?

– W rzeczy samej – przyznała Karla tęsknie. – Przebudzenie zamiast opłakiwania, co wy na to?

– Z niekłamaną przyjemnością – odparł Randall, zmartwiony tym, co przeżyła, ale zadowolony, że się podniosła. – Za psychiczną reanimację!

– W ostatniej chwili przed wydaniem aktu zgonu – dodał Naveen.

Spojrzałem na indyjsko-irlandzkiego detektywa, który rozmawiał z przygotowującym samochód Randallem, i zastanawiałem się, jakie myśli chodziły mu po głowie: od trzech tygodni Randall spotykał się z jego ukochaną. Lubiłem Randalla i Naveena niemal tak, jak oni najwyraźniej lubili się nawzajem. Naveen objął Randalla, ten odwzajemnił uścisk. Wyglądali, jakby naprawdę darzyli się sympatią, i nie potrafiłem tego zrozumieć – gdyby sytuacja stała się nieprzyjemna, nie wiedziałbym, którego bić.

– Zostawię motocykl i zabiorę się z Randallem – oznajmił Naveen, kiedy Karla i ja usiedliśmy na motocyklu.

Przejechaliśmy między atłasowymi sztandarami ulic do mrowiska Kolaby, pełnej starych domów. W pobliżu portu Sassoon dosięgły nas nocne wonie martwych i umierających morskich stworzeń i towarzyszyły nam aż do szeregu werand, na których spoczywał Dennis.

Na ulicy czekał tłum. Ogromne autobusy brodziły w morzu petentów, które rozstępowało się przed metalowymi wielorybami.

Utorowaliśmy sobie drogę do wyjścia na werandę, w którym spodziewano się zobaczyć Dennisa wyłonionego z dobrowolnej śpiączki.

Ludzie trzymali świece i lampy naftowe, a czasem pęki kadzideł. Inni skandowali.

Dennis stanął w drzwiach swojego apartamentu. Przez jakiś czas patrzył na szeroką werandę jak na rzekę z czerwonych płytek, a potem przeniósł wzrok na tłum suplikantów na ulicy o parę schodków niżej.

– Witajcie wszyscy zebrani – powiedział. – Śmierć jest cicha. Przebywałem w niej i mogę wam powiedzieć, że panuje tam wielka cisza, chyba że ktoś zepsuje ci haj.

Zebrani zaczęli wiwatować i krzyczeć, wołając imiona Boskiej Istoty.

Dennis zrobił parę chwiejnych kroków. Ludzie skandowali i śpiewali. Dennis zszedł

po schodkach na ulicę i runął w tłum.

– No, to ja rozumiem. To jest rozrywka – mruknęła Karla.

– Myślisz? – odparłem, patrząc, jak wierni ronią łzy na Dennisa, znowu leżącego.

– E, wstanie – oznajmiła Karla, opierając się o mnie. – Przedstawienie dopiero się zaczęło.

Dennis usiadł raptownie, płosząc oczekujący jego błogosławieństwa tłum.

– Już ogarniam – powiedział. – Wiem, co muszę zrobić.

– Co? – spytało parę osób.

– Zmarli – powiedział Dennis głosem dźwięczącym głośno w ciszy. – Muszę im służyć. Oni także potrzebują wsparcia.

– Zmarli?

– Wyłącznie oni.

– Ale jak im służyć?

– Przede wszystkim – zaczął Dennis – czy mógłbym zapalić bardzo mocną chillum? Życie znowu psuje mój haj. Czy ktoś przygotuje mi chillum?

Dziesiątki osób rzuciły się do wypełniania jego prośby, przez co zadanie stało się bardziej skomplikowane, niż powinno. W końcu Billy Bhasu kucnął obok powalonego wyznawcy snu i podał mu fajkę.

Dennis zapalił. Ludzie zaczęli się modlić. Ktoś potrząsnął dzwonkami. Ktoś inny wyjął sagaty. Ktoś cicho zaczął recytować mantry w sanskrycie.

– Ten facet jest jak jednoosobowy film – zauważyła Karla.

Spojrzała nad moim ramieniem na Randalla stojącego pół kroku za nami.

– Widzisz to, Randall?

– Niezwykły spektakl – przyznał Randall. – Spontaniczna kanonizacja.

– Trzeba to przyznać Denisowi, że sam dla siebie jest wszechświatem – dodał Naveen.

Dennis z trudem wstał. Pojawiła się lektyka, niesiona przez krzepkich młodzieńców, torujących sobie drogę w tłumie okrzykami i stęknięciami. W tej samej lektyce noszono ciała zmarłych na płonące stosy, ale teraz postawiono na niej krzesło pokryte srebrną sztuczną skórą.

Młodzieńcy postawili lektykę na ziemi, pomogli Dennisowi usiąść, podnieśli go i ruszyli w długi marsz do pomnika Wrót Indii.

Dennis uśmiechał się dobrotliwie, błogosławiąc uniesione ku niemu twarze trzymaną

w dłoni chillum.

– Uwielbiam tego gościa – powiedziała Karla. – Chodźmy za procesją.

Ruszyliśmy obok tłumu, czasem go objeżdżając, by dotrzeć przez kręte, ocienione liśćmi uliczki do pomnika. Tłum rósł; muzycy i tancerze wychodzili z domów, by się przyłączyć. Pod koniec w procesji szło więcej osób, które nie miały pojęcia, co się dzieje, niż tych, które wyruszyły w pochód. A kiedy dotarliśmy do punktu obserwacyjnego, Dennis znajdował się już w środku rozgorączkowanego zgromadzenia, które – świadomie lub nie – świętowało jego powrót z wieloletniej milczącej pokuty.

Sto metrów dalej w pokojach hotelu Tadż Mahal ludzie rządzący wielkim światem łączyli siły – wyselekcjonowali wybrany przez biedaków rząd sprzyjający biznesmenom, który zarzucił sieci w nowe morze handlowej korupcji.

Pięćset metrów dalej Wisznu, przywódca organizacji, od niedawna funkcjonującej pod nową nazwą firma 307 – od numeru indyjskiego paragrafu karnego dotyczącego usiłowania zabójstwa – rozpoczął rządy półświatkiem, bezlitośnie wyrzucając ze swojego gangu muzułmanów. Pozwolił zostać jedynie tym, którzy opowiedzieli mu o Pakistanie i o wszystkim, co wiedzieli o planach pokonanego Sanjaya.

Abdullah po pożarze zniknął i nikt nie wiedział, gdzie się podział ani co planuje. Inni muzułmanie z pierwotnej firmy odeszli i zebrali się w środku muzułmańskich bazarów w Dongri. Nawiązali silniejsze kontakty z dostawcami broni z Pakistanu. Zamieszki okaleczyły miasto jak zawsze: nawoływania ważnych i mniej ważnych przywódców o spokój nie zdołały uciszyć strachu. Za przerażającym wspomnieniem samej przemocy kryła się lodowata świadomość, że w ogóle mogło dojść do czegoś takiego, nawet w miejscu tak pięknym i przepełnionym miłością jak Miasto Wysp.

Karla klaskała w rytm śpiewu, Randall i Naveen kołysali głowami na boki. A setki biedaków i chorych tłoczyły się, by dotknąć lektyki dumnie niesionego Dennisa.

Na ogromnym pomniku Wrót Indii lśniły światła, ale z miejsca, w którym staliśmy, szeroki łuk wydawał się cienką niteczką, uchem igielnym, przez którą nie zdołał przejść wielbłąd Indii Brytyjskich. Morze za nim wyglądało jak czarne lustro usiane ognikami setek małych łódek kołyszących się na wzburzonych falach – ślad świetlistej dłoni odciśniętej na wodnej tafli.

A z trojańskiej budowli, którą Anglicy zostawili w Mieście Wysp, dochodziły echa rozpaczliwych modlitw – dźwięk, który jak wszystkie inne niósł się przez wieczność.

Każdy dźwięk, jaki wydajemy, jest nieskończony. Ciągnie się przez przestrzeń i czas

jeszcze długo po naszym odejściu. Nasz dom, nasza Ziemia, transmituje w kosmos nasze krzyki, wołania, modlitwy i pieśni. Tej nocy z miejsca, które wydawało się święte, do nasłuchującego wszechświata dotarły modlitwy i okrzyki bólu obudzonego przez nadzieję.

– Jedźmy – powiedziała Karla, wsiadając na mój motocykl.

Powoli ruszyliśmy przed siebie, dając Randallowi i Naveenowi czas. Tłum skandował coraz głośniej, na jakiś czas godząc sprzeczne sygnały z Miasta Wysp czystością swojego błagania.

# 75

Szczęście boi się próżni. Ponieważ byłem tak szczęśliwy z Karlą, smutek w oczach Naveena ranił mnie bardziej niż wtedy, gdy i w moim sercu była próżnia smutku. Jego odważna miłość jakby upadła, a ja chciałem wiedzieć, czy tylko zbiera siły, czy też dała się pokonać.

Po powrocie do hotelu Amritsar wykorzystałem chwilę spokoju, by zaciągnąć Naveena za rękaw do korytarza za biurkiem Dżaswanta.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Jak to?

– Randall umawia się z twoją ukochaną, a ty się z nim bratasz. Nie rozumiem.

Naveen zjeżył się, jak to robią młode drapieżniki, bardziej instynktownie niż z gniewu.

– Wiesz, Lin, niektóre rzeczy są prywatne nie bez powodu.

– Wal się, ty irlandzki Hindusie. Co się dzieje?

Naveen uspokoił się, widząc, że kieruje mną życzliwość, i oparł się o ścianę.

– Nie radzę sobie z tym światem – wyznał. – Nawet nie potrafię w nim funkcjonować, chyba że zadaję komuś niewygodne pytania albo pomagam kogoś aresztować.

– Z jakim światem?

– Jej światem – powiedział, jakby rzucał najstraszniejsze przekleństwo.

– Nie musisz żyć w jej świecie, żeby być jej chłopakiem – odparłem. – Randall z nią chodzi, a mieszka w samochodzie.

– To mnie miało podnieść na duchu?

– To ci miało uświadomić, że kiedy poszedłeś na tę randkę z Benicią, dałeś ciała. Teraz musisz to naprawić. Musisz zasłużyć na miłość, którą czujesz, stary.

Naveen zwiesił głowę, jakby miał przed sobą trzecią z sześciu rund, których nie mógł wygrać. Zrobiło mi się go żal. Nie chciałem go przygnębić. Chciałem mu uświadomić, że był wart kilku takich Randallów. I chciałem mu przypomnieć, że Diva też o tym wie.

– Słuchaj, młody…

– Nie – przerwał. – W porządku. Rozumiem cię, ale nie będę z tym walczyć. Nigdy.

– Jeśli teraz nie staniesz do walki, sytuacja powtórzy się z kimś innym. I to będzie twoja wina, bo nie potrafisz tego naprawić.

Uśmiechnął się i wyprostował, patrząc mi w oczy.

– Dobry z ciebie przyjaciel – powiedział. – Ale spudłowałeś. Jestem wolny, tak jak Diva, i tak powinno pozostać.

– Powiedziałem swoje – oznajmiłem, nadal mówiąc swoje – ale nie widzę, żebyś zamierzał skapitulować.

– Na swoje można wyjść tylko dzięki cudzej kapitulacji – odparł, wzruszając ramionami.

Spojrzałem na niego uważnie, usiłując wydrzeć z niego prawdę.

– Przećwiczyłeś to sobie z myślą o Karli, co?

– Tak – przyznał się z uśmiechem. – Ale w tym przypadku to prawda. Nie zrobię tego i będę wdzięczny, jeśli nie będziesz o tym więcej wspominać. Serio. I nie mam nic przeciwko Randallowi. To dobry człowiek. Lepszy od jakiegoś złego człowieka.

– Proszę bardzo – powiedziałem, smutniejszy chyba nawet od niego. – Zobaczmy, co porabia Karla.

Karla siedziała z Didierem na dywanie, zajmując się seansem z tabliczką ouija.

– O, nie, nie mogę dalej – oznajmił Didier na mój widok. – Twoja energia wprowadza zbyt wiele zakłóceń.

– To jedna z twoich najwspanialszych cech – dodała Karla. – Siadaj tutaj, Shantaram. Sprawdzimy, czy zdołamy zakłócić spokój duchów hotelu Amritsar.

– W tym mieście jest zbyt wiele duchów, które znam osobiście – odparłem z uśmiechem. – A skoro o duchach mowa, Didier, ta skrzynka wina, które zamówiłeś, stoi na biurku Dżaswanta. Lepiej ją zgarnij, zanim on się nią zajmie. Uwielbia czerwone wino.

Didier dźwignął się z podłogi i popędził na korytarz.

– Moje wino! Dżaswant!

Naveen wyszedł za nim, żeby mu pomóc. Podszedłem do Karli, pchnąłem ją na dywan, położyłem się obok niej i ją pocałowałem.

– Widzisz, jaki jestem podstępny? – spytałem, kiedy nasze wargi się rozłączyły.

– Dobrze wiem, jaki jesteś podstępny – odparła ze śmiechem – bo ja jestem jeszcze

bardziej podstępna.

Pocałunki bez konsekwencji i oczekiwań, pocałunki jako dar, karmiący ją, karmiący mnie miłością.

Ktoś zapukał do otwartych drzwi. Był to Dżaswant, a Dżaswant nie dawał się spławić.

– Tak? – spytałem, odrywając się od Karli, żeby spojrzeć na niego.

– Przyszli do ciebie ludzie – szepnął. – Witam, panno Karlo.

– Witaj, Dżaswant – odpowiedziała. – Schudłeś? Wyglądasz, jakbyś ćwiczył.

– Staram się zachowywać…

– Jacy ludzie? – rzuciłem.

– Ludzie. Do ciebie. Straszni. W każdym razie kobieta jest straszna.

*Madame* Zhou, pomyślałem. Karla i ja zerwaliśmy się w tej samej chwili.

Ja sięgnąłem po broń, ona po szminkę.

– Szminka?

– Jeśli myślisz, że spotkam się z tą kobietą nieumalowana – powiedziała, poprawiając włosy przez lustrem – to nic nie rozumiesz.

– Masz… całkowitą rację. Nie rozumiem.

– Muszę ją dobić, zanim ją dobiję naprawdę – odparła, odwracając się do mnie. – No, to zabijmy ją dwa razy.

Wyszliśmy na korytarz, ja pierwszy, Karla za mną. Kwas. Karla. Kwas. Karla.

W ręce miałem nóż. Karla trzymała broń i potrafiła się z nią obchodzić. Ominęliśmy przepierzenie, żeby uważnie przyjrzeć się holowi, i zobaczyliśmy dwie osoby stojące przed biurkiem Dżaswanta. Dżaswant był zmartwiony.

Wychyliłem się bardziej. Nie widziałem mężczyzny, ale kobieta była niska i tęga, koło trzydziestki. Wyróżniały ją mordercze spojrzenie i błękitny hidżab.

– W porządku – powiedziałem do Karli, wychodząc na otwarty teren. – Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

– Duża przesada – odparła Niebieski Hidżab, nadal wbijając Dżaswanta w fotel morderczym spojrzeniem.

– Tożsamość potwierdzona – powiedział Dżaswant. – Droga wolna, *madame*.

Niebieski Hidżab była z Ankitem, konsjerżem z hotelu na Sri Lance. Uśmiechnął się, przyłożył dwa palce do czoła i zasalutował.

Pomachałem mu. Niebieski Hidżab założyła ręce na piersi, po czym spojrzeniem wbiła Dżaswanta jeszcze głębiej w fotel. Dopiero wtedy podeszła, żeby się ze mną przywitać. Ankit podążał krok za nią.

– *Salaam aleikum*, żołnierzu – powiedziałem.

– *Wa aleikum salaam* – odparła, rozplatając ręce i ukazując trzymany w dłoni bardzo mały automatyczny pistolecik. – Nie dokończyliśmy interesów.

– *Salaam aleikum* – odezwała się Karla. – A ty trzymasz broń w ręku, rozmawiając z moim chłopakiem.

– *Wa aleikum salaam* – rzuciła Niebieski Hidżab, nieulękle wpatrując się w zielone królowe. – Pistolet jest podarunkiem. I nadal jest nabity.

– Całkiem jak mój – powiedziała Karla z uśmiechem. Niebieski Hidżab także się uśmiechnęła.

– Niebieski Hidżab, poznaj Karlę. Karla, to Niebieski Hidżab – przedstawiłem je sobie.

Kobiety wpatrzyły się w siebie, nie odzywając się ani słowem.

– A to jest Ankit – dodałem.

– To wyjątkowy przywilej, że mogę panią poznać – oznajmił Ankit.

– Cześć, Ankit – mruknęła Karla, nie odrywając spojrzenia od Niebieskiego Hidżabu.

– Ankit robi koktajl, na widok którego Randall zzielenieje z zazdrości jak absynt. To płynny portal między wymiarami. Musisz go spróbować.

– Zawsze chętnie przygotuję dla pana portal.

– Dziewczyny, macie ze sobą wiele wspólnego – powiedziałem i zamierzałem powiedzieć więcej, ale Niebieski Hidżab i Karla spojrzały na mnie dokładnie w taki sam niezbyt pochlebny sposób, więc się rozmyśliłem.

– Wychodzisz za nich – odezwała się Niebieski Hidżab – licząc, że się zmienią i dorosną. A oni nas poślubiają, licząc, że się nie zmienimy.

– Małżeński paragraf 22 – powiedziała Karla, biorąc Niebieski Hidżab pod rękę i prowadząc ją do beduińskiego namiotu. – Chodź ze mną, biedna dziewczyno, odśwież się. Chyba jesteś bardzo zmęczona. Przebyłaś dziś daleką drogę?

– Dziś nie aż tak, ale wczoraj i przedwczoraj podróżowałam przez dwadzieścia cztery godziny – odparła Niebieski Hidżab. Karla zamknęła za nią drzwi.

Dżaswant, Ankit i ja zostaliśmy na korytarzu, wpatrzeni w zamknięte drzwi.

– No, to dopiero przerażająca kobieta – wykrztusił Dżaswant, wycierając pot z karku. – Myślałem, że to panna Karla jest przerażająca – bez urazy, *baba* – ale przysięgam, gdybym w porę zobaczył, że ta kobieta w niebieskim hidżabie wchodzi po schodach, już bym był w tunelu.

– Ona jest w porządku. Właściwie bardziej niż w porządku. Jest cholernie fajna – oznajmiłem.

– Po drodze zauważyłem niedaleko stąd sklep z alkoholem – odezwał się Ankit. – Czy mógłbym kupić składniki na pański specjalny koktajl i przygotować parę portali, by skrócić czas oczekiwania na panie?

– Kupić? – powtórzył Dżaswant ze zdziwieniem, włączając przycisk i otwierając swój magazyn żelaznych racji. Wcisnął kolejny guzik i lampki zamigotały wesoło. Zawiesił palec nad trzecim.

– Wiesz, Dżaswant… – zacząłem, ale było za późno.

Z głośników ryknął łomot i zgiełk *bhangry*.

Spojrzałem na Ankita, który przeglądał zawartość schowka Dżaswanta. Zapuścił cienki wąsik, a jego krótko obcięte siwe włosy przypominały gładką fryzurę Cary'ego Granta. Granatowa, sięgająca do połowy uda tunika ze stójką i spodnie z serży w takim samym kolorze zastąpiły hotelowy uniform. Ankit badał zapasy Dżaswanta okiem naukowca: światowiec oglądający wystawę występku.

– Chyba da się z tym pracować – ocenił.

Potem dotarła do niego *bhangra;* porzucił błyskające okienko i ruszył w tan. Nie był kiepski; szło mu na tyle dobrze, że Dżaswant wstał i tańczył z nim do końca piosenki.

– Puścić jeszcze raz? – wysapał z palcami nad włącznikiem.

– Tak! – zawołał Ankit.

– Najpierw obowiązek, potem przyjemności – napomniałem.

– To prawda – przyznał Dżaswant, podchodząc do tajnej skrytki. – Powiedz, czego ci potrzeba.

– Muszę zrobić mały chemiczny eksperyment – oznajmił Ankit. – I zdaje się, że masz wszystkie odpowiednie chemikalia.

– Dobrze, zajmijmy się drinkami – zdecydowałem. – Spędzimy tu noc. Karla i ja nie musimy nigdzie jechać i mamy czas. Czyń swoją powinność, Ankit.

Płyny wylały się z butelek, sok z limetki wypełnił dzbanek, miąższ kokosa został wyciśnięty, gorzka czekolada starta na drobniutki pył, pojawiły się szklanki, i już

mieliśmy przetestować pierwszy alchemiczny wyrób Ankita, kiedy zawołała mnie Karla.

– Zacznijcie beze mnie – powiedziałem, odstawiając szklankę.

– Opuszczasz imprezę, zanim się zaczęła? – zaprotestował Dżaswant.

– Pilnujcie mojej szklanki. A jeśli usłyszycie w pokoju strzały, przyjdźcie mnie ratować.

# 76

Niebieski Hidżab i Karla siedziały po turecku na podłodze koło balkonu, otoczone dywanami, jeziorami medytacyjnych supełków. Obok nich stała srebrna taca z migdałami pachnącymi różą i miętą, paskami ciemnej czekolady, skrawkami kandyzowanego imbiru i szklankami z niedopitym sokiem limonowym. Czerwone i żółte światła ulicznych sygnałów obmywały ich twarze łagodnym blaskiem. Wolno obracający się wentylator nad ich głowami skręcał w spirale wstążki dymu z kadzidełek, a lekki wietrzyk przypominał nam, że noc za oknami nie ma dna.

– Usiądź, Shantaram – powiedziała Karla, pociągając mnie ku sobie. – Niebieski Hidżab musi wkrótce odejść. Ale ma parę dobrych wiadomości i kilka nie aż tak dobrych.

– Jak się czujesz? – spytałem. – Wszystko dobrze?

– Dobrze, *Alhamdulillah*. Najpierw chcesz dobre czy nie aż tak dobre?

– Zacznijmy od nie aż tak dobrych.

– *Madame* Zhou nadal żyje – oznajmiła Niebieski Hidżab. – I ciągle jest na wolności.

– A dobre?

– Jej miotacze kwasu zostali zlikwidowani, a bliźniaki nie żyją.

– Zaraz. Możemy się trochę cofnąć? Skąd wiesz o *madame* Zhou? I jak się tu znalazłaś?

– Nie wiedziałam o niej i nie interesowała mnie. Chodziło mi o miotaczy kwasu. Polowaliśmy na nich od roku.

– Poparzyli kogoś, kogo znasz – zrozumiałem. – Przykro mi to słyszeć.

– Była dobrą wojowniczką i nadal jest dobrą towarzyszką i przyjaciółką. Pojechała na urlop do Indii. Ktoś wynajął tych dwóch miotaczy kwasu, a oni zmienili jej twarz w maskę. Maskę jak symbol protestu, można powiedzieć.

– Nadal żyje? – spytała Karla.

– Tak.

– Czy możemy coś zrobić?

– Nie sądzę. Chyba że chcesz jej pomóc ukarać miotaczy kwasu, co właśnie czynimy. Trochę to potrwa.

– Złapaliście miotaczy kwasu? Czy ktoś został poparzony? – chciała wiedzieć Karla.

– Narzuciliśmy na nich koce i tak długo ich kopaliśmy, aż pozbyli się butelek z kwasem. Wtedy zabraliśmy ich ze sobą.

– A bliźniaki skoczyły im na pomoc, sądząc, że atakujecie *madame* Zhou – dodałem.

– Tak. Nie mieliśmy pojęcia, że bronią *madame* Zhou. Nie obchodziło nas to. Chodziło nam o miotaczy kwasu. *Madame* Zhou uciekła, a my jej na to pozwoliliśmy. Zatrzymaliśmy bliźniaków i miotaczy kwasu.

– Zatrzymaliście bliźniaków na dobre?

– Tak.

– Co z nimi zrobiliście?

– Leżą tam. Dlatego musiałam szybko się oddalić, *Inszallah*.

– Dam ci, czegokolwiek potrzebujesz. Skąd ci przyszło do głowy, żeby mi o tym powiedzieć?

– Zabraliśmy miotaczy kwasu do slumsów. Mieszka tam czterech braci i dwudziestu czterech kuzynów poparzonej dziewczyny. Ona sama także tam mieszka, z mnóstwem osób, które ją kochają. Przesłuchaliśmy miotaczy kwasu. Chcieliśmy wyciągnąć z nich listę wszystkich dziewcząt, które kiedykolwiek skrzywdzili.

– Dlaczego?

– Żeby odwiedzić później ich rodziny i powiedzieć, że ci ludzie nie żyją i że nigdy tego nie zrobią żadnej innej dziewczynie. I by potem odwiedzić wszystkich klientów, którzy im to zlecili, i zmusić ich do zapłacenia gotówką za piekło, które im zgotowali. Te pieniądze przekazalibyśmy poparzonym dziewczętom, *Inszallah*.

– Dopiero się poznałyśmy – odezwała się Karla – ale już wiem, że cię kocham.

Niebieski Hidżab położyła dłoń na jej nadgarstku.

– Gdy miotacze kwasu zaczęli mówić – podjęła, spoglądając na mnie – padło twoje nazwisko. Powiedzieli mi, że *madame*, ta kobieta w czerni, która uciekła, kazała im za tobą chodzić. Wydusiłam z nich informację, gdzie mieszkasz, i przyszłam, żeby cię ostrzec przed tą kobietą.

Przeżywałem szok za szokiem, a jednym z nich była myśl o miotaczach kwasu, zamęczonych na śmierć przez ludzi, których skrzywdzili. Nie mogłem jej znieść.

– Dzięki za ostrzeżenie – powiedziałem. – Dzisiaj wyjeżdżasz. Jak możemy pomóc?

– Mam wszystko, czego mi trzeba. Ale rano muszę być już daleko stąd. Martwi mnie Ankit. Nie mogę z nim jechać, ponieważ z powodu nagłej zmiany planów tylko jedno z nas może przekraść się przez granicę. Wiem, że Ankit będzie chciał zostać i muszę mu na to pozwolić, ale się boję.

– Nikt go nie skrzywdzi, jeśli zostanie z nami – zapewniłem.

– Nie, boję się go zostawić, bo jest strasznie agresywny.

Pomyślałem o przyjaznym nocnym portierze, tak wyczulonym na cudze potrzeby, o jego wąsiku dandysa i idealnym koktajlu, i jakoś nie mogłem połączyć ze sobą tych informacji.

– Ankit?

– To bardzo skuteczny agent. Jeden z najlepszych i najbardziej niebezpieczny. Na tej wojnie niewiele osób zdążyło dożyć siwych włosów. Ale pora, żeby odszedł na emeryturę. Ostatnie zlecenie dostał prawie trzy lata temu, gdy zaczął pracować jako nocny portier w hotelu, w którym wszyscy dziennikarze lubią wpaść na drinka i pogadać. Ale teraz zbyt wiele osób go zna. Miałam zabrać go do naszego człowieka w Delhi, żeby zaczął nowe życie, ale zastrzelenie bliźniaków pokrzyżowało nam plany.

– Jest poszukiwany? – spytałem. – Mamy go ukryć?

– Nie. Dlaczego miałby być poszukiwany?

– No, choćby z powodu bliźniaków.

– Zastrzeliliśmy ich ja i moi towarzysze. On nie ma z tym nic wspólnego.

– Bliźniaków trudno powstrzymać. Zastrzeliłaś ich z tego śmiesznego pistoleciku?

– Oczywiście, że nie – odparła, wyjmując z kieszeni spódnicy pistolet. – Z tego strzelam tylko do męża. Dlatego mi go ukradł.

– Ale miałaś go w dłoni, kiedy się z nami witałaś – zauważyłam z uśmiechem.

– Z innego powodu – odparła, a jej myśli popłynęły ku pistoletowi.

– Mogę go zobaczyć? – poprosiła Karla.

Niebieski Hidżab podała jej broń. Karla obejrzała ją, trzymając w tym zagłębieniu dłoni, w którym linie zamiaru spotykają się z potęgą konsekwencji. Powoli podniosła wzrok, aż spojrzała mi w oczy.

– Ładny – oznajmiła, oddając pistolet Niebieskiemu Hidżabowi. – Chcesz zobaczyć mój?

– Oczywiście – odparła kobieta. – Ale chcę, żebyś go zatrzymała. Wkrótce spotkam mojego Mehmu, *Inszallah,* i wiem, że tym razem nie będę potrzebować broni – ani

nigdy więcej. Będziemy rozmawiać i wszystko się dobrze ułoży, *Alhamdulillah*.

– Mogę go wziąć? – upewniła się Karla.

– Tak. Zamierzałam oddać go Shantaramowi, ale teraz, kiedy cię poznałam, uważam, że powinien trafić do ciebie. Przyjmujesz mój podarek?

– Tak.

– Dobrze. W takim razie chcę zobaczyć twoją broń.

Karla miała matowy pięciostrzałowy rewolwer kalibru 38 z krótką lufą. Wyjęła go spod dywanu obok siebie, otworzyła bębenek, wysypała pociski na podołek i zatrzasnęła bębenek.

– Bez urazy – powiedziała, oddając broń Niebieskiemu Hidżabowi. – Łatwo sobie zrobić krzywdę.

Niebieski Hidżab obejrzała małą, śmiertelnie groźną broń okiem eksperta i oddała ją. Dla pewności ujęła własną broń, gdy Karla przeładowała rewolwer. Obie patrzyły na mnie przez parę sekund z bronią w ręku, z namysłem, a jednocześnie dziwnie nieobecnym spojrzeniem. Dla mnie wyglądało to tak, jakby w ich oczach pojawił się mur kobiecości. Nie miałem pojęcia, co się za nim dzieje. Cieszyłem się tylko, że jestem świadkiem spotkania tych dwóch dzikich, silnych kobiet.

– Proszę, zechciej przyjąć w rewanżu prezent ode mnie – odezwała się po chwili Karla.

Z koka na karku wyjęła długi szpikulec, uwalniając panterze łapy swoich czarnych włosów.

– Na okazje, gdy nie będziesz nosić hidżabu – dodała, podając szpikulec Niebieskiemu Hidżabowi. – Bardzo uważaj. Trzymaj tylko za kamień, tak jak ja. Łatwo sobie zrobić krzywdę.

Była to strzałka z dmuchawki z małym rubinem przytwierdzonym do mosiężnego kołnierza na tępym końcu.

Karla wstała szybko i przyniosła z sypialni długą, smukłą butelkę z czerwonego szkła. Na nakrętce widniał symbol Majów.

– Kurara – wyjaśniła. – Wygrałam tę strzałkę i butelkę w grze słów z pewnym antropologiem.

– Wygrałaś to w scrabble? – spytała Niebieski Hidżab, trzymając w jednej ręce strzałkę, a w drugiej butelkę.

– Mniej więcej. Zanurzasz strzałkę w kurarze i zostawiasz na noc przy każdej pełni. I

noś ją uważnie, raz się zadrasnęłam i przez parę godzin śniłam na jawie.

– Wspaniale. To działa tak szybko?

– Wbij to w szyję mężczyzny, a będzie w stanie zrobić tylko sześć lub siedem kroków. To wynagradza minusy poruszania się na szpilkach.

– Jestem zachwycona – oznajmiła Niebieski Hidżab. – Naprawdę mogę to wziąć?

– Musisz.

– Dziękuję – powiedziała Niebieski Hidżab nieśmiało. – Bardzo mi się podoba twój podarek.

– O co kłócisz się z Mehmu? – spytała Karla.

– O hidżab – powiedziała Niebieski Hidżab z westchnieniem, przywołując wspomnienie minionych awantur.

– Uważa, że jest zbyt ortodoksyjny?

– Nie, uważa, że nie jest modny. Mehmu bardzo interesuje się modą. Ma dwanaście par dżinsów i we wszystkich walczy za biednych. Chce, żebym zdjęła hidżab i wyglądała tak modnie jak pozostałe dziewczyny, które pochodzą z Europy i mają długie jasne włosy.

– Wyglądasz super – oznajmiła Karla. – Nawiasem mówiąc, ten odcień niebieskiego jest świetny.

– Ale nie tak super jak inne towarzyszki – burknęła Niebieski Hidżab.

– Inne towarzyszki?

Niebieski Hidżab spojrzała na mnie, a potem na Karlę.

– Shantaram nic ci o mnie nie powiedział, prawda?

– Nic nie wiem – odparłem. – Nie znam koloru twojej flagi i nie pytałem oto.

– Nie czujesz wierności fladze? – spytała Niebieski Hidżab, marszcząc brwi.

– Na ogół nie. Ale bardzo często jestem wierny osobie, która trzyma flagę.

– Mehmu, Ankit i ja jesteśmy komunistami – wyjaśniła, znowu odwracając się do Karli. – Byliśmy w grupie Habasza. Trenowaliśmy w Libii z Palestyńczykami z Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny, ale musieliśmy się wycofać. Ich działalność stała się zbyt… emocjonalna.

– Co Tamilka ze Sri Lanki robiła w Libii z Palestyńczykami…? Jeśli mogę o to spytać, nie naruszając twoich granic.

– Uczyłam się bronić naszego ludu.

– To musiałaś być ty? – spytała cicho Karla.

– Kto weźmie broń, jeśli wszyscy ją odłożymy? – odparła z goryczą Niebieski Hidżab, uwięziona w kole gniewu, któremu zemsta nie pozwalała się zatrzymać.

– Ty i Mehmu naprawdę kłócicie się o hidżab? – spytała Karla, zmieniając nastrój jednym uśmiechem.

– Bez przerwy. – Niebieski Hidżab także się uśmiechnęła, zasłaniając dziewczęce usta ręką żołnierza. – Po raz pierwszy strzeliłam do niego, bo powiedział, że ten hidżab dodaje mi pięć kilo.

– Sam był sobie winien – przyznała Karla ze śmiechem.

– Chyba nie myślisz, że mnie pogrubia, co?

– Twój hidżab ma działanie wyszczuplające – oznajmiła Karla. – I masz piękną twarz.

– Tak myślisz?

– Poczekaj. – Karla poderwała się i pobiegła do sypialni.

– Masz szczęście – powiedziała Niebieski Hidżab.

– Wiem – odparłem z uśmiechem, wypatrując Karli. – Mehmu też.

– Nie. Masz szczęście, bo twoje nazwisko było następne na liście miotaczy kwasu.

Odwróciłem się i spojrzałem w jej oczy znające mroczne sekrety.

Karla wróciła do nas. Wcisnęła w dłonie Niebieskiego Hidżabu małą sakiewkę z błękitnego aksamitu.

– Szminka, cień, lakier, haszysz, czekolada i mały tomik wierszy Seferisa – na chwilę tylko dla siebie.

– Bardzo dziękuję – powiedziała Niebieski Hidżab, oblewając się rumieńcem.

– My, dziewczyny, musimy się trzymać razem – odparła Karla. – Bo kto uratuje naszych mężczyzn? Opowiedz, jak strzeliłaś do swojego męża po raz drugi.

– Po raz drugi strzeliłam, bo powiedział, że jedna dziewczyna z delegacji z Niemczech Wschodnich nalegała, żeby dotknął jej długich, jedwabistych włosów, i że mu się to spodobało. Chciał, żebym zdjęła hidżab i pokazała włosy.

– Ja bym ją zastrzeliła – powiedziała Karla z uśmiechem.

– Nie mogłam jej zastrzelić za to, że to zaproponowała – odparła poważnie Niebieski Hidżab. – Mehmu jest przystojny. Ale miałam prawo strzelić do niego za to, że to zrobił.

– W co strzeliłaś? – zaryzykowała Karla.

– W biceps. Mężczyźni nie lubią tracić dużych mięśni na pół roku, a taki strzał nie

zostawia permanentnego uszkodzenia. Trzeba wziąć małokalibrowy pistolet, przycisnąć do wewnętrznej strony bicepsu i strzelić. Potrzebujesz tylko grubej ściany po drugiej stronie, żeby zatrzymała kulę.

– Zastanawiałaś się nad poradnią małżeńską? – spytała Karla z namysłem.

– Próbowaliśmy wszystkiego…

– Nie, chodziło mi o to, czy nie chciałabyś udzielać porad małżeńskich. Uważam, że masz wrodzony talent, a został nam jeden lokal wolny w tym budynku. Moglibyśmy go połączyć z moją firmą.

– A co to za firma? Jeśli mogę spytać, nie naruszając twoich granic.

– Jestem współwłaścicielką Biura Zaginionej Miłości. Znajdujemy zaginionych ukochanych i oddajemy ich rodzinom. Czasem znalezienie jest równie trudne jak utrata, a połączeni kochankowie potrzebują porady. To miejsce w sam raz dla ciebie i zapraszam cię, żebyś je zajęła.

– Podoba mi się ten pomysł – przyznała nieśmiało Niebieski Hidżab. – Szukałam dla siebie nowej niszy… takiej, która nie trafia na pierwsze strony gazet. Jestem… bardzo zmęczona, Mehmu też. Kiedy będziemy mogli bezpiecznie wrócić, złożę ci wizytę i znowu o tym porozmawiamy, *Inszallah*.

Starałem się nie zwracać na siebie uwagi i dobrze mi to wychodziło. Na moich oczach załatwiały kobiece interesy, których nie widzi żaden mężczyzna, chyba że zaproszony. Potem przypomniały sobie o mojej obecności i tak jakby cofnęły zaproszenie. Karla się uśmiechała, ale Niebieski Hidżab łypała na mnie ponuro, z zatrutą strzałką w dłoni.

– Eee… powiedziałaś, że masz problem z Ankitem? – rzuciłem czym prędzej.

– Po zmianie planów trasa ucieczki jest przewidziana tylko dla mnie – wyjaśniła Niebieski Hidżab, nieco łagodniejąc, i odwróciła się do Karli. – Nie mogę zabrać go ze mną. Ale nie mogę go też zostawić. To dobry towarzysz. Dobry człowiek.

– Znajdę mu pracę na czarnym rynku, jeśli chcesz – zaproponowałem. – Poradzi sobie do twojego powrotu.

– Ja go zatrudnię – oznajmiła Karla. – Był przez trzy lata nocnym portierem w dużym hotelu. Takie umiejętności są zawsze potrzebne.

– Albo mógłby pracować ze mną na czarnym rynku – powiedziałem, broniąc swojego szemranego terenu.

– Albo nie – odparła Karla z uśmiechem. – Pod żadnym pozorem.

– Tak czy tak, będzie z nami bezpieczny – podsumowałem. – Nie martw się.

Niebieski Hidżab wbiła ozdobioną rubinem szpilkę w zakrętkę długiej, smukłej butelki i zakręciła ją. Wsunęła ją w kolejną niewidzialną kieszeń swojej spódnicy.

– Muszę iść – rzuciła, wstając nieco chwiejnie.

Karla i ja rzuciliśmy się jej na pomoc, ale powstrzymała nas dłońmi jak anemony.

– Nic mi nie jest – oznajmiła. – Nic mi nie jest, *Alhamdulillah*.

Wyprostowała się, wygładziła spódnicę i wyszła razem z nami na korytarz.

Ankita nigdzie nie było widać. Dżaswant nie siedział za swoim biurkiem: wyjadał przysmaki z własnego zapasu na czarną godzinę. Odwrócił się do mnie z okruszkami na brodzie i biszkoptami w ręce.

– Gdzie Ankit? – spytałem.

– Ankit? – rzucił z urazą, jakbym zarzucił mu, że go zjadł.

– Koktajlowy koleżka. Gdzie się podział?

– A, ten. Miły gość. Trochę nieśmiały.

Dżaswant otrzepał brodę z okruszków i zastygł w zamyśleniu, wpatrzony we wzór, jaki utworzyły na podłodze.

– Ile koktajli obaliłeś?

– Trzy – odparł, unosząc cztery palce.

– Zamknij sklepik na dziś. Odpłynąłeś. Gdzie Ankit?

– Randall przyszedł, wypił parę drinków i zabrał go na dół, żeby pokazać mu samochód. A co?

– Gdzie Naveen? I Didier?

– Kto?

Spojrzałem na Niebieski Hidżab i Karlę.

– Zaprowadzę cię do Ankita – powiedziałem.

– Nie – rzuciła szybko. – Nie mogę się z nim pożegnać. Bez przerwy tylko się z kimś żegnam. Istnieje inna droga wyjścia z tego hotelu?

– Jest kilka. Do wyboru, do koloru.

– Sam odprowadzę tę damę – zgłosił się Dżaswant, którego koktajl pozbawił strachu przed Niebieskim Hidżabem. – Muszę się przejść, żeby rozjaśniło mi się w głowie.

– Chcesz, żebyśmy poszli z tobą? – spytała Karla, zwracając się do dziewczyny.

– Nie, lepiej, żebym była sama. Jestem bezpieczniejsza, kiedy muszę walczyć tylko we własnej obronie, *Alhamdulillah*.

– Dopóki nie spotkasz się z mężem. A potem może zrobisz coś pogodniejszego, na przykład zajmiesz się doradztwem małżeńskim. Masz pieniądze?

– Mam wszystko, czego mi potrzeba, *Alhamdulillah*. Jeszcze się spotkamy, *Inszallah*.

– *Inszallah* – zgodziła się Karla z uśmiechem, przytulając ją do siebie.

Niebieski Hidżab stanęła przede mną z uśmiechem przeświecającym przez grymas.

– Tamtego dnia w samochodzie płakałam z powodu Mehmu i mnie – wyjaśniła. – Ale płakałam także z twojego powodu. Było mi przykro, że ta dziewczyna umarła pod twoją nieobecność, a ja nie mogłam ci powiedzieć. Polubiłam cię. Nadal cię lubię. I cieszę się twoim szczęściem. *Allah hafiz*.

– *Allah hafiz* – odpowiedziałem. – Uważaj, Dżaswant, dobra? Zachowaj czujność. Jesteś napruty jak stodoła, stary.

– Nie ma problemu – oznajmił Dżaswant z uśmiechem. – Ochrona gwarantowana. Dopiszę ci to do rachunku.

Kiedy zostaliśmy sami, Karla usiadła za biurkiem. Uniosła palec nad trzecim przyciskiem.

– Nie zrobisz tego – jęknąłem.

– Doskonale wiesz, że to zrobię – prychnęła, wciskając guzik.

*Bhangra* ryknęła z głośników, jakby ktoś potrząsnął nas za ramiona.

– Dżaswant to usłyszy i dopisze mi to do rachunku! – wrzasnąłem, przekrzykując ją.

– Na to liczę! – odkrzyknęła Karla.

– Dobra, sama chciałaś – rzuciłem i podniosłem ją z krzesła Dżaswanta. – Pora zatańczyć!

Pozwoliła się podnieść, ale oparła się o mnie całym ciężarem.

– Wiesz, że niegrzeczne dziewczynki nie tańczą. Nie chcesz, żebym zaczęła.

– Nie musisz tańczyć – odparłem, odsuwając się od niej o parę kroków. – W porządku. Ale ja będę tańczyć, tu i teraz, a ty możesz do mnie dołączyć w każdej chwili, gdy poczujesz taką potrzebę.

Uśmiechnęła się do mnie i przez chwilę na mnie patrzyła, ale potem zaczęła się poruszać, a w końcu przestała się wstydzić.

Jej ręce i dłonie zmieniły się w wodorosty płynące na falach budzonych przez jej biodra. Zbliżyła się w tańcu do mnie i zaczęła kreślić wokół mnie kręgi pokusy. Trącające mnie fale, czarne koty i zielony ogień.

Niegrzeczne dziewczynki tańczą tak samo jak źli faceci.

Właśnie pomyślałem, że zdecydowanie muszę poprosić Dżaswanta o ten kawałek i może także jego zestaw stereo, kiedy nagle wpadłem w tańcu na stojącego w drzwiach listonosza.

Karla wyłączyła muzykę; stanęliśmy wśród szemrzących ech w nagłej ciszy.

– List – odezwał się listonosz, podając mi tablicę z klipsem do podpisania. Noc nadal była ciemna, do świtu zostało wiele godzin, ale byliśmy w Indiach.

– Dobrze – powiedziałem. – To list do mnie, tak?

– Pan jest Shantaram, a to list do pana Shantarama – wyjaśnił cierpliwie. – Więc tak, to do pana.

– Dobrze – powtórzyłem, kwitując odbiór listu. – Trochę późno kończysz obchód, co?

– Albo bardzo wcześnie zaczynasz – dodała Karla, stając obok mnie i opierając się o moje ramię. – Co cię sprowadza o tej porze, listonoszu-;i?

– To moja pokuta, *madame* – odparł listonosz, wkładając tablicę do torby.

– Pokuta – powiedziała Karla z uśmiechem. – Niewinność dorosłych. Jak masz na imię, listonoszu-*ji*?

– Hitesz, *madame*.

– Dobry człowiek – przetłumaczyła.

– Niestety, nie – odparł, wręczając mi list, który schowałem do kieszeni.

– Za co odbywasz pokutę, jeśli mogę spytać? – zaciekawiła się Karla.

– Stałem się pijakiem.

– Ale teraz nim nie jesteś.

– Nie jestem. Ale byłem i zaniedbałem moje obowiązki.

– W jaki sposób?

– Czasem tak się upijałem, że ukrywałem parę toreb listów, ponieważ nie mogłem ich dostarczyć – wyjaśnił cicho. – Urząd pocztowy zmusił mnie do pójścia na odwyk, a kiedy to zrobiłem, zaproponowali, że odzyskam posadę, jeśli w czasie wolnym dostarczę te wszystkie ukryte listy, przepraszając ludzi, których zdradziłem.

– I stąd twoja obecność – powiedziała Karla.

– Tak, *madame*. Zacząłem od hoteli, ponieważ są otwarte o tej porze. Więc proszę przyjąć moje przeprosiny za to, że dostarczyłem pański list tak późno – zwrócił się do mnie.

– Przeprosiny przyjęte – zapewniliśmy go jednocześnie.

– Dziękuję. Dobranoc i dzień dobry – rzucił z powagą, zmierzając na następne spotkanie.

– Indie – westchnąłem, kręcąc głową. – Kocham je.

– Nie zamierzasz tego przeczytać? – spytała Karla. – List dostarczony przez los w osobie nawróconego grzesznika?

– Chciałaś spytać, czy pozwolę ci to przeczytać, prawda?

– Ciekawość jest nagrodą samą w sobie.

– Nie chcę go przeczytać.

– Dlaczego?

– List to los, który się narzuca. Nie mam szczęścia do listów.

– Daj spokój. Napisałeś do mnie dwa listy i były to dwa najlepsze listy mojego życia.

– Nie przeszkadza mi pisanie ich od czasu do czasu, ale nie lubię ich dostawać. Jedno z moich wyobrażeń o piekle to świat, w którym dostajesz list nie co tydzień, lecz co minutę, codziennie, przez całą wieczność. To koszmar.

Spojrzała na mnie, a potem na rożek koperty wystającej mi z kieszeni i znowu na mnie.

– Możesz go przeczytać – pozwoliłem, dając jej list. – Proszę cię o to. Jeśli jest tam coś, o czym powinienem wiedzieć, po prostu mi powiedz. Jeśli nie, podrzyj go.

– Nawet nie wiesz, kto go przysłał – mruknęła, patrząc na kopertę.

– Nie obchodzi mnie, od kogo jest. Mam pecha do listów. Powiedz mi tylko, czy jest tam coś, o czym powinienem wiedzieć.

W zamyśleniu stuknęła kopertą o policzek.

– Jest i tak nieaktualny, więc przeczytam go później – oznajmiła, wsuwając go za koszulę. – Jak znajdziemy Ankita i upewnimy się, że wszystko z nim w porządku.

– Na pewno tak. Ankit potrafi o siebie zadbać. To niebezpieczny komunista wytrenowany przez Palestyńczyków w Libii. Wolałbym pójść do twojego namiotu i upewnić się, że wszystko jest w nim w porządku.

– Najpierw zejdźmy na dół, zanim wejdziemy na górę – odparła z uśmiechem.

# 77

Zeszliśmy na dół, myśląc o górze. Śmiech Randalla i Ankita usłyszeliśmy na długo przed tym, jak skręciliśmy pod łuk na parterze hotelu.

Na tyle zaparkowanej pod ścianą przerobionej limuzyny rozsiedli się Randall i Ankit. Vinson siedział na materacu między nimi, a Naveen wraz z Didierem – w kabinie szofera.

– Nieźle – odezwała się Karla z szerokim uśmiechem. – Jak sobie radzicie, chłopcy?

– Karla! – krzyknął Didier. – Musisz się do nas przyłączyć!

– Cześć, Karla! – zawołali pozostali.

– Co świętujecie? – spytała, opierając się o otwarte tylne drzwi.

– Jednoczymy się w bólu – wyjaśnił Didier. – Wszyscy jesteśmy mężczyznami opuszczonymi lub tragicznie rozłączonymi, więc niezwykle ucieszy cię nasza męska niedola.

– Opuszczonymi? – prychnęła Karla. – *Et tu,* Didier?

– Tadż zerwał dziś ze mną – załkał Didier.

– Coś takiego… Rzeźbiarz o kamiennym sercu.

– A panna Diva zerwała ze mną – dodał Randall.

– I ze mną – jęknął Naveen. – Od tej pory będziemy przyjaciółmi. Tak powiedziała.

– Ja nigdy nie znalazłem miłości – wyznał Ankit. – Jeszcze nie skończyłem szukać, ale od bardzo dawna jestem sam i w szklance, którą teraz wzniesiemy, unoszą się bąbelki mojego smutku.

– Rannveig wykopała mnie z aśramu – pożalił się Vinson. – Znalazłem ją i znowu utraciłem. Powiedziała, że muszę tam z nią zostać przez miesiąc. Cały miesiąc! Moje interesy szlag by trafił, gdybym jej posłuchał. A ona nie chce zrozumieć. Kazała mi się zabierać. Na szczęście spotkałem ich!

Wszyscy pili środek znieczulający Ankita w koktajlowych kieliszkach. Vinson nabijał fajkę wodną. Jej szklany zbiornik miał kształt czaszki z małym emblematem z macicy perłowej. Podał mi fajkę, ale przekazałem ją Karli.

– Jeśli zapalę i spróbuję słynnych koktajli Ankita – powiedziała, dziękując gestem –

to będę musiała usiąść w tym samochodzie.

– Siadaj między nami – poprosił Didier.

– Chodź, Lin – zwróciła się do mnie. – Gdzie chcesz usiąść?

– Chcę wytrzeć mój motocykl – odparłem, wiedząc, że limuzyna pełna męskiego lamentu wyda się jej lepszą rozrywką ode mnie. – Wsiadaj do nich, a ja dołączę do was później.

Pocałowała mnie. Naveen wysiadł z samochodu i otworzył przed nią drzwi. Usiadła po turecku, z przodu, obok Didiera, ale tyłem do przedniej szyby, oparta o poduszkę na desce rozdzielczej, spoglądając w głąb samochodu.

Naveen rzucił mi uśmiech, wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi.

Randall włączył migające lampki z tajnego magazynu Dżaswanta i podał Karli koktajl Ankita. Karla uniosła kieliszek.

– Panowie! Za Biuro Zaginionej Miłości!

– Za Biuro Zaginionej Miłości! – krzyknęli.

Jak na dany sygnał w zaułku pojawił się Oleg, uśmiechający się jak zwykle, choć z pewnym trudem. Na widok imprezy rozpogodził się wyraźnie.

– *Kruto!* Fajnie, że cię widzę, Lin.

– Gdzieś ty się podziewał, człowieku?

– Te dziewczyny… Te divy… Wycisnęły mnie jak ręcznik, a potem mnie wyrzuciły. Jestem kompletnie…

– *Razbit!* – podsunąłem.

– *Razbit* – powtórzył. – Co świętujecie?

– Doroczne spotkanie utraconych kochanków, i już zaczęliśmy bez ciebie. Wsiadaj, człowieku.

Rozbawieni biesiadnicy wśród okrzyków wciągnęli Olega na tył samochodu, gdzie spoczął obok Randalla z koktajlem w ręku.

Ja, czekając na moją ukochaną, podszedłem do motocykla zaparkowanego w pobliżu lepszego wyjścia z zaułka. Wyjąłem spod siedzenia szmaty i czule wytarłem motocykl.

Podczas gdy Karla ryczała, a Didier piszczał ze śmiechu, ja rozmawiałem z moją maszyną, zapewniając ją, że nie jest sama.

Martwiłem się o *madame* Zhou. Nie znałem jej na tyle, by wiedzieć, czy kochała bliźniaków lub czy w ogóle kogokolwiek kochała. Ale towarzyszyli jej od lat. A ona i tak była szalona i spragniona zemsty. Chciałem wiedzieć, czy czuje się wściekła i

pokonana, czy tylko wściekła. A miejscem, w którym lubiła się materializować, był ten ciemny zaułek pod hotelem, w którym Karla tak dobrze się bawiła.

Do świtu została godzina. Miałem nadzieję, że to święte słońce pozbawi wampirzycę życia. Usiadłem na wypolerowanym motocyklu i zapaliłem jointa, obserwując oba wejścia do zaułka i oglądając się na każdy krok czy warkot pojazdu.

Po jakimś czasie wypełnionym rozmyślaniem i troską przednie drzwi samochodu się otworzyły. Podchmielony Naveen wygramolił się na zewnątrz, przytrzymując drzwi z przesadną dwornością.

Karla wysiadła szybko i podeszła do mnie, bardzo dobrze imitując płynny, pewny siebie krok.

Naveen pożegnał się z przyjaciółmi, chłopcy z samochodu życzyli mu dobrej nocy. Randall opuścił żaluzje w oknach limuzyny, przygotowując się na świt.

– Masz coś przeciwko temu, żebym tu posiedział, dopóki świt się nie rozkręci na dobre?

– Ależ skąd – powiedziała, siadając obok mnie na motocyklu. – Trzymasz straż, prawda?

– *Madame* Zhou mnie niepokoi. A była związana z tymi bliźniakami.

– Ona też się zaniepokoi. Już teraz Niebieski Hidżab dała jej powód do niepokoju. Karma to młot, nie piórko.

– Kocham cię – szepnąłem, patrząc, jak słaba poświata świtu rozjaśnia jej twarz. Chciałem ją pocałować, ale nie zrobiłem tego, bo sama myśl o tym zbyt mnie cieszyła. – Jak było w samochodzie?

– Strasznie fajnie. Zyskałam nowy materiał na następny konkurs aforyzmów. Jakbym widziała akupunkturową mapę męskich słabych punktów.

– Powiedz jeden aforyzm – poprosiłem.

– Nie ma mowy – odparła ze śmiechem. – Jeszcze się nie wyklarowały.

– Tylko jeden – poprosiłem bardziej.

– Nie.

– Jeden, malutki.

– Dobrze, dobrze – ustąpiła. – Proszę. Mężczyźni to pragnienia ukryte w tajemnicach, a kobiety to tajemnice ukryte w pragnieniach.

– Cholernie ładny.

– Podoba ci się?

– Tak.

– Fajnie było patrzeć, jak mężczyźni się odsłaniają, by się tak wyrazić. Oczywiście dzięki Didierowi. Żaden by się tak nie otworzył, gdyby on ich nie podjudził.

– Powiedziałaś Ankitowi o Niebieskim Hidżabie?

– Tak. Udało mi się to przemycić podczas ogólnego biadania. Dobrze to przyjął.

– świetnie.

– A ja zaproponowałam mu pracę. To także dobrze przyjął.

– Inteligentny facet. A ty szybko działasz. Co jeszcze robisz szybko, Karla-*madame*?

Ranek na tyle się rozjaśnił, że mogłem zostawić chłopaków. Chciałem już wracać do namiotu. Zrobiłem krok naprzód, ale Karla mnie zatrzymała.

– Zrobisz coś ze mną? – spytała.

– O, to mi się podoba – odparłem z uśmiechem. – Właśnie to miałem na myśli.

– Nie. Czy pójdziesz gdzieś ze mną?

– Na górę, do namiotu?

– Po namiocie.

– Jasne. – Roześmiałem się; w tej samej chwili z limuzyny o zasłoniętych oknach dobiegł ryk śmiechu. – Ale pod warunkiem, że przestaniesz mi kraść bohaterów.

– Bohaterów?

– Ankita, Randalla i Naveena – odparłem, wiedząc, że zrozumie.

Parsknęła śmiechem.

– To ty jesteś jednym z moich bohaterów. I nigdy o tym nie zapominaj.

– No, skoro ty to piszesz, to dokąd chcę z tobą iść?

– Na górę. Do Idrissa.

– Świetnie. Zrobimy sobie długi weekend.

– Chciałam na dłużej.

– O ile dłużej?

– Aż do nadejścia deszczu – powiedziała cicho. – I może do jego ustania.

Dwa miesiące?

To niełatwe, kiedy prowadzi się interesy na czarnym rynku.

Znałem chłopaka, młodego żołnierza imieniem Dżagat, który padł ofiarą czystek Wisznu: był hinduistą i nie zgadzał się na wyrzucanie muzułmanów tylko z powodu ich wyznania. Wisznu nie mógł mu zrobić krzywdy, ale wyrzucił go razem z muzułmanami.

Chłopak był zdolny, nadal miał kontakty z firmą 307 i potrafiłby zapanować nad waluciarzami, gdybym się usunął. Mogłem zrobić sobie urlop i nie wykluczałem, że młody Dżagat, ronin wygnany ze swojej firmy, mógłby prowadzić interesy pod moją nieobecność.

Nie wykluczałem też, że gdybym wrócił po tak długiej przerwie, ujrzałbym ruinę moich spraw i przekonałbym się, że ronin zginął lub przepadł.

– Jasne – powiedziałem. – Z tobą pojadę wszędzie. Mogę się wyrwać na tak długo… ale czy ty też?

– Przepisałam udziały Randżita na jego najmniej łubianą siostrę – powiedziała, biorąc mnie pod rękę, gdy ruszyliśmy ku schodom. – Dałam Tadżowi i komitetowi galerii moje udziały w galerii. Przepisałam wszystko, co mogłabym odziedziczyć po Randżicie, na jego najmniej łubianego brata. To on przekupił szofera, który podłożył fałszywą bombę w samochodzie Randżita. Uznałam, że tak wypada.

– Upłynniłaś łatwe do upłynnienia aktywa Randżita.

– Trochę zatrzymałam, na wypadek, gdyby mi zabrakło płynów.

– Naprawdę chcesz zostać na tej górze przez parę miesięcy?

– Tak. Wiem, że niełatwo się tam żyje i że masz tu sprawy, ale chcę, żebyśmy zaczerpnęli świeżego powietrza, świeżych pomysłów. Muszę się pozbyć duchów i zacząć z tobą na nowo. Myślisz, że mógłbyś to zrobić? Dla mnie, dla nas?

Jestem z miasta. Kocham naturę, ale lubię wygody, jakie daje miasto. Nie po raz pierwszy spędziłbym kilka miesięcy, żyjąc w bliskości z innymi ludźmi, biorąc zimne prysznice i sypiając na cienkim materacu na ziemi. Ale Karla chciała tego i potrzebowała. A w mieście nadal panował niepokój po zamieszkach i blokadzie i jeszcze nie powróciła do niego jego zwykła niezwykłość. Był to dobry moment na wyjazd.

– Dobrze – powiedziałem, budząc jej uśmiech. – Sprawdźmy, co da nam góra.

XIV

# 78

Na biegnącej przez las drodze na górę mięciutkie listeczki młodych drzew muskały nam twarze, przy każdym zakręcie całując błękitny horyzont. Małpy siedziały na głazach, osądzając nas. Chmara wron usiłowała nas zastraszyć, atakując falangami pierzastych fal, jaszczur lei pełzały po próchniejących pniach przewróconych drzew.

Jechaliśmy na motocyklu. Randall i reszta podążali za nami samochodem. Daleki ryk dzikiego tygrysa z rezerwatu spłoszył z drzew kolorowe ptaki. Wyfrunęły na otwartą drogę – chmura rozstępująca się w locie wokół nas.

Zaparkowaliśmy na górskim parkingu za sklepem z przekąskami i napojami. Sowicie opłaciliśmy sklepikarza, żeby popilnował naszych pojazdów. Uprzedziłem go, że będę wracać co dwa dni, żeby sprawdzić, co się dzieje z moim motocyklem, i że się nie ucieszę, jeśli ktokolwiek w jakikolwiek sposób go obrazi. O samochód się nie martwiłem. Był na tyle duży, żeby sam o siebie zadbać.

Towarzyszyła nam cała ekipa: Randall, Vinson, Ankit i Didier. Naveen i Oleg też chcieli pojechać, ale obaj porzuceni kochankowie musieli stać za sterem Biura Zaginionej Miłości. Przy pierwszym stromym podejściu Didier spytał, czy istnieje inna trasa. Karla zamierzała mu odpowiedzieć, ale wpadłem jej w słowo. Wiedziałem, jak sceptyczny i agresywny staje się w obecności świętych. Chciałem, żeby wczołgał się do obozu Idrissa, nie wkroczył do niego.

– Twierdzisz, że nie dasz rady? – rzuciłem prowokująco.

– Na pewno dam! – warknął Didier. – Pokaż mi najtrudniejszą trasę.

Ruszyliśmy; Karła szła pierwsza, potem ja, za nami Didier, Randall, Vinson i Ankit. Didier radził sobie dobrze, zwłaszcza gdy ja go ciągnąłem, a Randall pchał.

Vinson wyprzedził nas znacznie, rozkoszując się drogą. Z zaskoczeniem ujrzałem Ankita zaledwie parę kroków za nim. Obaj zniknęli w falującym morzu traw, krzaków i pnączy nad naszymi głowami.

W pewnym momencie Karla się roześmiała, a ja pomyślałem o Abdullahu, który powiedział jej z uznaniem, że jest zwinna jak małpka.

– Abdullah! – zawołałem do niej.

– Właśnie o nim myślałam! – odkrzyknęła.

Potem oboje zamilkliśmy, myśląc o naszym wysokim, odważnym, gwałtownym przyjacielu, którego oboje kochaliśmy. Znowu zniknął, tak jak poprzednio. Zastanawiałem się, kiedy go znowu zobaczymy i czy jesteśmy gotowi na to, czego możemy się wtedy dowiedzieć.

Dotarliśmy na szczyt w milczeniu. Stanęliśmy obok Vinsona i Ankita, którzy podparci pod boki patrzyli na płaskowyż, szkołę mędrca Idrissa.

Na nowej prowizorycznej pagodzie z bambusowych tyczek wisiały girlandy kwiatów. Pomarańczowo-biało-zielona płachta w barwach indyjskiej flagi falowała na kopule. Na ocienionym przez pagodę terenie na środku płaskowyżu leżały piękne dywany. Cztery wygodne obszerne poduchy leżały w półkolu wokół malutkiej, niziutkiej drewnianej sceny.

Za pagodą studenci przygotowywali się do ważnego wydarzenia.

– Zawsze tak tu jest? – spytał Randall.

– Nie – odparłem. – To chyba jakaś specjalna okazja. Mam nadzieję, że się nie narzucamy.

– A ja mam nadzieję, że jest tu bar – mruknął Didier.

Podchwyciłem spojrzenie Karli.

– Zastanawiasz się, kto tu wniósł te dywany i bambusowe tyczki, prawda? – spytała cicho, gdy nasza załoga miejskich grzeszników chłonęła widok.

– Ktoś musiał przytargać tu te wspaniałości, żeby ważni ludzie mogli na nich usiąść – odparłem z uśmiechem. – Nawet jeśli wniesiono je łatwą trasą, to dowód wielkiego poważania lub szacunku. Ciekaw jestem, dla kogo.

Silvano przebił się przez grupy robiące ozdoby i przygotowujące jedzenie na tacach.

– *Come va, ragazzo pazzo?* – spytał, podchodząc. „Jak leci, szalony chłopaku?”.

– *Ancora respirare* – odparłem. „Nadal oddycham”.

Silvano pocałował Karlę w oba policzki, a potem mnie przytulił.

– Cudownie, że tu przyszedłeś – rzucił radośnie. – Tak się cieszę, że cię widzę! Kogo przyprowadziłeś?

Przedstawiłem go, a on przywitał się ze wszystkimi, promieniejąc uśmiechem wiary.

– To Boska Istota przywiodła cię tu dzisiaj – oznajmił.

– Naprawdę? Myślałem, że Karla.

– Nie, chodzi o to, że dziś odbędzie się wielka dyskusja. Wspaniali mędrcy z czterech dystryktów wyzwali Idrissa na pojedynek w dyskusji.

– Dyskusja filozoficzna? – odezwała się Karla. – To pierwsza od ponad roku, prawda?

– Rzeczywiście. I dziś padną wszystkie wielkie pytania i wszystkie odpowiedzi. To wielkie wyzwanie z udziałem wielkich świętych mędrców.

– Kiedy się zacznie? – spytała Karla. Królowe rozgrzewały się przed bitwą.

– Za godzinę. Jeszcze trwają przygotowania. Macie mnóstwo czasu, żeby się odświeżyć po wspinaczce i coś przegryźć.

– Bar jest już otwarty? – spytał Didier.

Silvano spojrzał na niego, nie rozumiejąc.

– Tak jest – odezwał się Ankit, brzęcząc zawartością plecaka, który wtargał na szczyt.

Zostawiłem Karlę z Didierem i pozostałymi, zaniosłem do lasu kubełek wody, znalazłem odosobnione miejsce, które wydawało się w miarę przyjazne, i umyłem się.

Gdy tylko oderwałem się od Karli po tej długiej jeździe na górę, zacząłem słyszeć przeraźliwy jęk cierpienia. Wspinając się na płaskowyż, uświadomiłem sobie, że ten jęk, który nie chciał umilknąć, wydają miotacze kwasu.

Od chwili, w której Niebieski Hidżab powiedziała mi o ich schwytaniu, torturowaniu i śmierci, czułem tę czerwoną falę płonących dusz, bijącą o moje stopy.

Podczas jazdy na górę, gdy Karla mnie obejmowała, zanurzyłem się w miłości – liść na niedzielnym stawie. Ale kiedy się rozłączyliśmy podczas wspinaczki, we wspomnieniach pojawił się dreszcz strachu. Siniak po łańcuchach, gorszy od ukąszenia, krzyki pokonanych, zawsze głośniejsze od krzyków wyzwania.

Na szczycie, gdy wszyscy przygotowywali się na wielką debatę mądrych myślicieli, poszedłem do lasu, by się obmyć i by pobyć w samotności ze wspomnieniami o torturach i kapitulacji.

Serce bolało mnie na myśl o Niebieskim Hidżabie i jej przyjaciółce, straszliwie okaleczonej towarzyszce, a także o wszystkich kuzynach i sąsiadach, których ogarnęły taki gniew i wściekłość, że odpłacili katom tą samą monetą.

Ale każda egzekucja zabija sprawiedliwość, ponieważ nikt nie zasługuje na śmierć. Przetrwałem pustynię więziennego bicia i powlokłem się dalej, bo wybaczyłem ludziom, którzy mnie torturowali. Nauczyłem się tego triku od torturowanych, którzy uważali za swoją powinność przekazanie go z kolei mnie, gdy byłem przykuty i bity.

Odpuść, mówili ci mędrcy. Jeśli będziesz ich nienawidzić, tak jak oni nienawidzą nas, zniszczysz swój umysł, a to jedyne, czego nie mogą dosięgnąć.

– Wszystko dobrze, skarbie? – odezwał się głos Karli zza drzew. – Debata wkrótce się rozpocznie. Zarezerwuję nam miejsca.

– W porządku! – odkrzyknąłem, choć nie było w porządku, nawet nie „niedobrze w porządku". – W porządku.

– Dwie minuty! Nie możemy tego przegapić. To coś w sam raz dla nas.

Wiedziałem, dlaczego Karla sprowadziła nas na górę do legendarnego mędrca – chciała mnie uleczyć. Chciała mnie uratować. Łamałem się, a ona to widziała. Może ona także się łamała. Jak Karla i wszyscy inni znani mi żołnierze żartowałem i śmiałem się z rzeczy, od których inne zranione serca płakały, i nauczyłem się obojętnieć na stratę i śmierć. Teraz spoglądam w przeszłość i widzę rzeźnię; niemal wszyscy, których kochałem, nie żyją. I jedynym sposobem, by żyć, gdy ukochani nieustannie giną, jest wchłanianie za każdym razem odrobiny grobowego zimna.

Kiedy Karla odeszła, pozwoliłem spojrzeniu odpłynąć ku labiryntowi liści, który rozumieją tylko drzewa. Nienawiść ma własną sieć grawitacji, w której drobinki zagubienia więzną w spiralach przemocy. Miałem własne powody, żeby nienawidzić miotaczy kwasu, gdybym chciał ich nienawidzić, i nie byłem nieczuły na drżenie sieci. Ale to nie z nienawiści starałem się obmyć w tym lesie, na tej górze, lecz z hańby, której nie byłem winien, lecz która nie znikała.

Czasem z jakiegoś powodu nie mogłem tego powstrzymać albo tego nie powstrzymywałem. Czasem z jakiegoś powodu brałem udział w czymś złym, zanim się zorientowałem, że nie jestem już sprawiedliwy.

W tym lesie, w samotności, wybaczyłem to, co mi uczyniono. W modlitewnym miejscu moich własnych błędów wybaczyłem im to, co robili, i miałem nadzieję, że ktoś gdzieś wybaczy mnie. A wiatr w bujnych liściach szeptał: „Poddaj się. Jeden jest wszystkim, a wszystko jest jednym. Poddaj się".

# 79

„Wiara to tak naprawdę uczciwość – powiedział mi kiedyś wyklęty ksiądz. – Więc nabieraj jej do pełna, kiedy tylko możesz, synu". Wierni studenci mistycznego nauczyciela Idrissa zgromadzili się na płaskowyżu z białego kamienia, tonącym w późnopopołudniowym słońcu w nadziei, że spotkanie z myślicielami napełni ich mądrością. Zjawili się też niektórzy niewierni: paru wyznawców wielkich mędrców, którzy mieli nadzieję, że Idriss, arogancko pokorny, spadnie z urwiska nieustępliwości. Wiara ma także swoje problemy, tak jak szczerość, a w trwożnych sercach czystość sięga po miecz.

Didier, wierny własnym przyjemnościom, znalazł hamak rozpięty między drzewami i przez jakiś czas walczył z zasupłanym sznurem, żeby jakoś pozostać w cieniu drzewa przez całą dyskusję.

Karla mu na to nie pozwoliła.

– Jeśli to przegapisz – oznajmiła, ciągnąc go za marynarkę – nie zdołam z tobą o tym rozmawiać. Dlatego nie możesz tego przegapić.

Usadowiła naszą grupkę tak, żebyśmy widzieli rozmówców.

Widzowie ułożyli sobie wokół pagody arenę z poduszek – na tyle blisko, żeby słyszeć wszystkie znaczące modulacje głosu i konkluzje. Oczekiwanie – duch reputacji – snuło się w tłumie, gdy studenci wymieniali się historiami o legendarnych mędrcach, którzy rzucili wyzwanie Idrissowi.

Święci mężowie wyłonili się z największej jaskini, w której medytowali wspólnie, przygotowując się na trudną próbę. Byli to ważni guru mający własnych wyznawców. Najmłodszy liczył trzydzieści pięć, najstarszy około siedemdziesięciu lat, o parę lat mniej niż Idriss. Wszyscy mieli na sobie identyczne białe *dhoti* otulające ich ciała, a na szyjach nosili rudraksze. Korale miały kryć w sobie wielką nadprzyrodzoną zdolność wykrywania pozytywnych i negatywnych substancji. Legenda głosiła, że zawieszona nad czystą substancją rudraksza obraca się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a nad substancją negatywną zakreśla kręgi w odwrotnym kierunku. Z tego powodu żaden guru się z nią nie rozstaje. Guru noszą także pierścienie i amulety, by zmaksymalizować moc sprzyjających im planet i zminimalizować wpływ nieprzyjaznych gwiazd, dalekich,

lecz niepozbawionych mocy.

Studenci szeptali, że zakazano im wymawiać imiona sławnych mędrców, ponieważ ze skromności chcieli oni, by rzucone Idrissowi wyzwanie pozostało anonimowe. Patrząc, jak siadają na wielkich poduchach, gdy studenci rzucali im płatki pod nogi, nazwałem najmłodszego z nich Ponurym, następnego Wątpiącym, trzeciego Ambitnym, a najstarszego – Zobaczymy. Ten ostatni najszybciej zajął miejsce i pierwszy sięgnął po sok z limetki i kawałek świeżej papai.

– Długo to potrwa? – szepnął Vinson.

– Słuchaj no – odparła Karla, zaciskając wargi. – Chcesz spędzić siedem lat na studiowaniu filozofii, teologii i kosmologii?

– Teraz powiem „nie” – wymamrotał niepewnie Vinson.

– Chcesz zrobić na Rannveig wrażenie kogoś, kto studiował przez siedem lat?

– Teraz powiem „tak”.

– Dobrze, więc siedź cicho i słuchaj. Te dyskusje z Idrissem mają miejsce tylko raz na rok, więc zamierzam tego wysłuchać od początku do końca.

– A będzie przerwa? – poinformował się Didier.

Idriss przyklęknął przed każdym mędrcem, od najstarszego do najmłodszego, przyjmując ich błogosławieństwo, po czym wszedł na mały podest, usadowił się na nim i powitał zgromadzonych.

– Zapalmy, zanim zaczniemy – zaproponował łagodnie.

Studenci wnieśli do pagody wielką fajkę wodną i rozdali wszystkim węże z ustnikami. Najdłuższy wąż trafił do Idrissa, który rozniecił żar w fajce.

– A teraz – powiedział, gdy wszyscy zapalili, włącznie z Didierem, który wyjął ściśle skręconego jointa i dotrzymywał kroku świętym. – Proszę, rzućcie mi wyzwanie swoimi pytaniami.

Mędrcy spojrzeli na Zobaczymy, oddając mu pierwszeństwo. Stary mędrzec uśmiechnął się, nabrał tchu i zanurzył się w cienie, by rzucić kamień słów w toń.

– Czym jest Bóg? – spytał.

– Bóg to idealny wyraz wszystkich pozytywnych właściwości – odpowiedział Idriss.

– Tylko pozytywnych?

– Wyłącznie.

– Czy zatem Bóg nie czyni zła i nie popełnia grzechu?

– Oczywiście, że nie. Czy twierdzisz, że Bóg mógłby popełnić samobójstwo lub

okłamać niewinnego?

Mędrcy zaczęli się naradzać. Dostrzegałem ich problem. Według wielu świętych tekstów bogowie wszystkich czasów zabijali ludzi. Niektórzy torturowali wiecznie ich dusze lub na to pozwalali. Wersja Boga niezdolnego do zła była trudna do pogodzenia ze świętymi księgami.

Dyskusja została przerwana, kiedy dowodzenie nią nadal spoczywało w rękach Zobaczmy.

– A czym jest życie, wielki mędrcze? – spytał Zobaczymy.

– Życie to organiczny wyraz tendencji ku złożoności.

– Ale czy twoim zdaniem życie zostało stworzone przez Boską Istotę, czy też samo się stworzyło?

– Życie na planecie zaczęło się od dziwnie nieprawdopodobnej, lecz całkowicie naturalnej współpracy elementów nieorganicznych w zasadowych kanałach pod morzami, co doprowadziło do powstania pierwszych komórek bakterii. Ten proces jest jednocześnie samostworzeniem i boskim działaniem.

– Mówisz o nauce, wielki mędrcze?

– Nauka jest duchowym językiem i jedną z najbardziej duchowych spraw.

– A czym jest miłość, wielki mędrcze?

– Miłość to intymna więź.

– Mówiłem o jej najczystszej postaci, wielki mędrcze – wyjaśnił Zobaczymy.

– I ja także, wielki mędrcze – odparł Idriss. – Naukowiec, który wykorzystuje jej właściwości, usiłując znaleźć lek na chorobę, nawiązuje z nią bliską więź i zostaje nią wypełniony. Wyprowadzenie na spacer psa, który ci ufa, jest objawem bliskiej więzi. Otworzenie serca w modlitwie na Boską Istotę jest objawem bliskiej więzi.

Zobaczymy skinął głową i roześmiał się cicho.

– Ustępuję pola moim młodszym kolegom – oznajmił.

– Skąd mamy wiedzieć – zaczął Ambitny, ocierając pot z ogolonej głowy – że istnieje zewnętrzna rzeczywistość?

– W rzeczy samej – poparł go Wątpiący. – Nawet przy założeniu *Cogito, ergo sum*, skąd ktokolwiek z nas może wiedzieć, że świat poza naszym umysłem, który wydaje nam się realny, tak naprawdę nie jest bardzo przekonującym snem?

– Niech każdy, kto nie wierzy w zewnętrzną rzeczywistość, pójdzie ze mną na skraj przepaści nieopodal, a potem w nią skoczy. Ja wybiorę dłuższą drogę, ścieżką w dół

zbocza, a kiedy dotrę na dół, będę kontynuował dyskusję na temat zewnętrznej rzeczywistości z tym, kto przeżyje.

– Dobry argument – powiedział Zobaczymy, najstarszy z mędrców. – Ja zamierzam przeżyć i zostaję tutaj.

Wszystkie pytania, które padły podczas tej dyskusji, słyszałem już na tej górze i znałem na pamięć odpowiedzi Idrissa. Jego pogląd na kosmologię był oparty na przypuszczeniach, ale logika – elegancka i spójna – łatwa do zapamiętania.

– Wolna wola – odezwał się Ponury, najmłodszy z mędrców. – Jakie masz na nią poglądy?

– Oprócz czterech sił fizycznych, materii, przestrzeni i czasu w kosmosie, istnieją dwie wielkie duchowe energie – oznajmił Idriss. – Pierwsza to Boskie Źródło wszystkiego, które od narodzin wszechświata nieustannie wyraża się jako pole duchowej tendencji, przypominające pole magnetyczne ciemniejszej energii. Druga niewidzialna siła to wola, kiedy się objawia.

– Jaki jest sens istnienia tego pola tendencji? – spytał Ponury.

– Na tym etapie, jaki osiągnęła nasza świadomość, nie sposób określić jego celu. Ale, tak jak w przypadku energii, wiemy, jakie ma działanie i jak go wykorzystać, choć nie wiemy, czym jest.

– Ale jaka jest jego wartość, mędrcze? – chciał wiedzieć Ponury.

– Wartość jest nieoszacowana – odparł Idriss z uśmiechem. – Związek między polem duchowej tendencji a naszą ludzką wolą jest na naszym poziomie celem życia.

Idriss dał znak, żeby podano mu kolejną fajkę, którą przyniósł mu Silvano. Włoski akolita zostawił swoją strzelbę poza widownią, ale i tak pochylając się z fajką ku mędrcowi, wysuwał łokieć, jakby przytrzymywał wysuwającą się broń.

– No dobrze – szepnął Vinson do Karli. – Nic nie skumałem.

– Żartujesz, Stuart, prawda?

– Ale gdzie tam, człowieku – szepnął Vinson. – Mam nadzieję, że reszta pokazu nie będzie taka mądra, bo nie wyrobię. A ty coś ogarniasz?

Karla spojrzała na niego ze współczuciem. Jedna z rzeczy, którą kochała najbardziej na świecie, a może nawet najbardziej ukochana, była dla niego obcą mową.

– Może ci to przedstawię w skrócie, jak hasło na podkoszulek – zaproponowała, kładąc mu rękę na ramieniu – aż się z tym trochę otrzaskasz?

– O kurczę – szepnął Vinson z wdzięcznością. – Mogłabyś?

Karla uśmiechnęła się do niego, a potem spojrzała na mnie.

– Niesamowite, co?

– O, tak – odparłem z uśmiechem.

– Mówiłam, że musimy tu przyjść.

Idriss i pozostali mędrcy zakończyli palenie inspirującej fajki, po czym wrócili do palących pytań.

– Jak to, mistrzu-*ji*? – rzucił Wątpiący. – Jak połączenie z tym polem tendencji lub Boską Istotą może wyjaśnić sens życia?

– Pytanie nie ma znaczenia – odparł łagodnie Idriss, z życzliwością dla kolegi, który także poszukiwał prawdy. – Sens nie jest atrybutem życia. Sens jest atrybutem woli. Atrybutem życia jest cel.

Mędrcy znowu zaczęli się naradzać, pochylając się do Zobaczymy, który siedział naprzeciwko Idrissa. Po kolei spychali anioły z łebka szpilki, rozstrzygając, która część malutkiej kopułki da im najlepszy cel.

Idriss westchnął i spojrzał na studentów w bieli, otaczających go jak magnolie. Najwyższe drzewa rzucały wyzwanie zachodzącemu słońcu, ocieniając świętych mężów.

– Więc… – odezwał się Vinson.

– Sens życia – złe pytanie – szepnęła Karla. – Cel życia – dobre pytanie.

– O kurczę – powiedział Vinson. – Czyli w sumie dwa pytania.

Mędrcy się podzielili. Wątpiący odkaszlnął.

– Mówimy o więzi z Boską Istotą czy innymi żywymi stworzeniami?

– Każda szczera więź, prawdziwa i dobrowolna, bez względu na to, gdzie występuje, czy dotyczy kwiatu, czy świętego, jest więzią z Boską Istotą, ponieważ każda szczera więź automatycznie wiąże obie strony z duchowym polem tendencji.

– Ale skąd można wiedzieć, że nawiązało się więź? – spytał powątpiewająco Wątpiący.

Idriss zmarszczył brwi, spuścił wzrok, nie mogąc powstrzymać smutku, który dostrzegł na dalekim brzegu pobożności Wątpiącego. Znowu podniósł oczy i uśmiechnął się serdecznie do Wątpiącego.

– Pole tendencji to potwierdza – odparł.

– Jak?

– Szczera pokuta, na przykład dobroć lub współczucie, łączą nas z polem tendencji.

Pole tendencji zawsze reaguje, czasem wysyłając wiadomość przez ważkę, czasem poprzez dobroć obcej osoby, a czasem spełniając gorące pragnienie.

Mędrcy znowu zaczęli się naradzać.

Vinson wykorzystał przerwę w dyskusji, żeby zarzucić mi rękę na ramiona i pogrążyć mnie w swoim niezrozumieniu. Chciał coś szepnąć do Karli, ale nie pozwoliła mu zacząć.

– Moc jest zawsze z tobą, jeśli się jej wyrzekniesz – powiedziała.

– Aha.

Mędrcy wrócili wśród odkasływań do uprzejmej dyskusji.

– Chcesz ukryć sens w labiryncie intencji – oznajmił Ponury – ale czy jesteśmy zupełnie wolni, podejmując decyzje, czy też determinuje nas boska wiedza o wszystkim, co robimy?

– Czy jesteśmy ofiarami Boga? – podsumował Idriss ze śmiechem. – To sugerujesz? Zatem, po co dawał nam wolną wolę? Żeby nas dręczyć? Czy naprawdę mam w to uwierzyć? Nasza wola jest po to, żebyśmy zadawali Bogu pytania, nie tylko błagali go o odpowiedzi.

– Chcę wiedzieć, w co wierzysz, mistrzu.

– W co wierzę, wielki mędrcze, czy co wiem?

– W co żarliwie wierzysz.

– Doskonale. Wierzę, że Źródło, które zrodziło nasz wszechświat, współistnieje z nami w tej rzeczywistości jako pole duchowej tendencji. Wierzę, że wola, nasza ludzka wola, jest nieustannym stanem superpozycji, oddziałującym i nieoddziałującym na pole duchowej tendencji, jak fotony światła, z którego się składa.

Mędrcy raz jeszcze zaczęli się naradzać, a Vinsonowi prawie udało się spytać, co jest grane.

– Moc to ty – podsumowała szeptem Karla – jeśli jesteś wystarczająco pokorny.

– Nie ma czegoś takiego jak mało ważny wybór – powiedział Idriss. – Dlatego tak wielu ludzi mających władzę usiłuje wywrzeć wpływ na wszystkie nasze decyzje. Gdyby nie były ważne, nie wysilaliby się.

– Wiesz, o czym mówię, mistrzu-;i – odezwał się Ambitny z lekką irytacją. – Codziennie podejmujemy tysiące mało ważnych decyzji. Wybór nie może być tak ważnym czynnikiem, jak sugerujesz, skoro tak wiele osób dokonuje go bez duchowego skupienia i skoro tak często okazuje się on mieć niewielkie znaczenie.

– Powtarzam – oznajmił Idriss z cierpliwym uśmiechem – nie ma czegoś takiego jak mało ważny wybór. Wszystkie decyzje są istotne, choćby podejmowano je bez zastanowienia. Nasze wybory za każdym razem rzucają superpozycję, którą nazywamy ludzkim życiem, w tę czy inną rzeczywistość i w tę czy inną percepcję, i ta decyzja ma niewielki lub wielki, ale mimo to wieczny wpływ na strumień czasu.

– Nazywasz to mocą? – spytał wyzywająco Ambitny.

– To energia – skorygował Idriss. – Duchowa energia, wystarczająca, by zmienić czas, co nie jest nieważną sprawą. Aż do powstania woli czas przez miliardy lat był panem wszystkich żyjących istot.

Zobaczymy wezwał mędrców na konferencję. Doskonale się bawił, choćby nawet na koszt kolegów, a może zwłaszcza na koszt kolegów. Nie sposób było określić, czy jego taktyczne narady miały zbić z tropu Idrissa czy jego kolegów.

Vinson spojrzał na Karlę i otworzył usta, żeby spytać.

– Uważaj na karmę, bo cię ugryzie w dupę – streściła Karla. – Wszystko, co robisz, ma wpływ na strumień czasu, człowieku.

Pocałowałem ją szybko. Wiedziałem, że znajdowaliśmy się na świętym zgromadzeniu świątobliwych myślicieli, ale zakładałem, że mi to wybaczy.

– To druga najlepsza randka mojego życia – szepnęła, kiedy mędrcy się wyprostowali i trzej intelektualni trenerzy zostawili Ponurego w narożniku ringu, gotowego do następnej rundy.

– Odchodzisz od tematu – zaczął Ponury. – Rozszyfrowałem twoją technikę, mistrzu-*ji*. Odchodzisz od tematu dzięki semantycznym trikom. Wróćmy do świętych tekstów i zaleceń. Jeśli ludzka dusza jest wyrazem naszego człowieczeństwa, jak zdajesz się sugerować, czy należy wykonywać obowiązki, co zalecają nam święte teksty?

– Otóż to – dodał Ambitny, chcąc zwabić Idrissa w pułapkę kastowości. – Czy ktokolwiek z nas może uciec przed kołem karmy i naszymi obowiązkami, nałożonymi na nas przez Boską Istotę?

– Mamy racjonalne i logiczne obowiązki wobec Boskiego Źródła wszystkiego, o ile ono istnieje – odparł Idriss. – Jedynym innym obowiązkiem jest ten wobec współbraci w człowieczeństwie i planecie, która daje nam schronienie. Wszystko poza tym to kwestia osobistych preferencji.

– Czy nie przychodzimy na świat z karmicznymi obowiązkami? – naciskał Ambitny.

– Cała ludzkość przyszła na świat z karmicznymi obowiązkami. Ludzie rodzą się z osobistą karmiczną misją, za sprawą której odgrywają indywidualne role we

wspólnym karmicznym obowiązku.

Mędrcy spojrzeli na siebie, być może zawstydzeni, że usiłowali zwabić Idrissa na grzęzawisko religii, z którego on wydostał się dzięki gałęzi wiary.

– Czy Bóg przemawia do ciebie? – spytał Zobaczymy, mierzwiąc długą siwą brodę węźlastymi palcami, posiniaczonymi przez lata przebierania czerwonych bursztynowych paciorków mali w medytacyjnych cyklach po sto osiem.

– Co za piękne pytanie – powiedział Idriss, śmiejąc się łagodnie. – Zakładam, że ciekawi cię, czy Bóg interesuje się mną i czy potrafię się z nim porozumiewać, podczas gdy ten Bóg, stwórca wszechświata, łączy się ze wszystkimi innymi świadomymi istotami. Zgadza się?

– Całkowicie – przyznał stary guru.

Idriss roześmiał się w zamyśleniu.

– Co znaczy to pytanie? – szepnął Vinson.

– Czy Bóg robi to, co obiecał? – odparła szybko Karla, uśmiechając się do niego pokrzepiająco.

– Aaa, czaję – ucieszył się Vinson. – Czyli czy Bóg odbiera telefon, tak?

– Widzę Boską Istotę w każdej minucie mojego życia – odparł Idriss. – I otrzymuję nieustanne potwierdzenia jej obecności. Oczywiście nie jest to język powszechnie znany, lecz duchowy język zbiegów przypadku i więzi. Chyba wiesz, o czym mówię, wielki mędrcze?

– Wiem, Idrissie. Wiem – zgodził się Zobaczymy ze śmiechem. – Czy mógłbyś podać przykład?

– Każde spokojne spotkanie z naturą jest naturalną rozmową z Boską Istotą. Dlatego tak ważne jest, by żyć jak najbliżej natury.

– Piękny przykład, wielki mędrcze – pochwalił Zobaczymy.

– Otwieranie serca, by zapalić światło uczucia w oczach nowego przyjaciela, jest rozmową z Boską Istotą – ciągnął Idriss. – Szczera medytacja jest tą samą rozmową.

– Poprzednio byłeś niekonkretny – powiedział Zobaczymy. – Teraz powiedz nam zwięźle, czym jest sens i cel życia.

– Jak już wspomniałem, zadaliście mi dwa pytania, a tylko jedno z nich jest ważne.

– Już o tym mówiliśmy i nadal nie rozumiem – odparł Ponury markotnie.

– Bez w pełni świadomej woli pytanie o sens czegokolwiek jest nie tylko pozbawione sensu, ale i niemożliwe – wyjaśnił cierpliwie Idriss.

– Ależ mistrzu-;i, czy ta ludzka wola, o której mówisz, nie może być sensem sama w sobie? – spytał Wątpiący, marszcząc brwi.

– Powtarzam: pytanie o sens życia jest pozbawione znaczenia. Sens jest cechą, która się wyłania, kiedy pojawia się w pełni świadoma wola, by zakłócić superpozycję możliwości poprzez dokonywanie niezależnych wyborów i zadawanie niezależnych pytań.

Nastąpiła niezmącona chwila ciszy, co mnie ucieszyło, bo gdyby Vinson ją zakłócił, Karla mogłaby go zastrzelić po zakończeniu debaty.

– Samo pytanie jest sensem – szepnąłem do niego.

– Dzięki – mruknęła Karla, opierając się o mnie.

– Sens jest atrybutem woli – ciągnął Idriss. – Istotne pytanie brzmi: co jest celem życia?

– Doskonale – powiedział Zobaczymy, śmiejąc się cicho. – Co nim jest?

– Cel życia polega na tym, by wyrażać jak najpełniej zestaw pozytywnych właściwości poprzez połączenie się z czystymi intencjami innych, naszą planetą i Boskiego Źródła wszystkiego…

– Jak określasz te pozytywne właściwości, mistrzu-*ji*? – spytał Wątpiący. – W których świętych tekstach je znajdujemy?

– Zestaw pozytywnych właściwości można znaleźć wszędzie, w każdym miejscu, w którym ludzie żyją ze sobą po ludzku. Życie, świadomość, wolność, miłość, sprawiedliwość, uczciwość, miłosierdzie, sympatia, odwaga, hojność, współczucie, wybaczenie, empatia i wiele innych, równie pięknych. Są zawsze takie same, wszędzie tam, gdzie istnieją dobre serca, które dają im schronienie.

– Ale do których konkretnie świętych tekstów odnosisz się w swoich analizach, mistrzu-*ji*?

– Nasze wspólne człowieczeństwo jest świętym tekstem o spokoju ludzkiego serca – odparł Idriss. – I dopiero zaczęliśmy go spisywać.

– A w jaki sposób te pozytywne właściwości prowadzą nas do celu? – naciskał Ambitny.

– My, ludzie, rodzimy się ze zdolnością gromadzenia wiedzy nieewolucyjnej i zdolnością do kształtowania naszego zachowania – oznajmił Idriss, sięgając po szklankę wody. – Dla innych zwierząt to bardzo trudne, ale dla nas – dzięki Boskiej Istocie – wprost przeciwnie.

– Czy możesz powiedzieć dokładniej o tej nieewolucyjnej wiedzy, mistrzu-*ji*? –

spytał Wątpiący. – Nie znam tego terminu.

– To rzeczy, które wiemy, ale których nie musimy wiedzieć, żeby przetrwać. Dodatkowa wiedza na każdy temat.

– Mamy wiedzę – powiedział Ambitny. – To żadne objawienie. I potrafimy kształtować nasze zachowanie. Gdzie w tym widzisz cel, mistrzu-*ji*?

– Bez tego nie możemy twierdzić, że mamy przeznaczenie. Ale kiedy oba te czynniki zaistnieją, fakt naszego przeznaczenia staje się niezaprzeczalny.

– W jaki sposób, mistrzu-*ji*?

– Przestaliśmy być małpami. Potrafimy się zmieniać. Zmieniamy się nieustannie. Odkryjemy większość praw rządzących wszechświatem i będziemy mieli wpływ na naszą ewolucję. To przeznaczenie panuje nad DNA, a nie, jak dotychczas, DNA nad przeznaczeniem.

– Czy mógłbyś zdefiniować przeznaczenie? – spytał Ambitny.

– Przeznaczenie to skarb, który odnajdujemy w świadomości śmierci.

– Tak! – krzyknęła Karla. – Przepraszam.

– Może już czas, żebyśmy zrobili sobie przerwę i odświeżyli się przed kolejną rundą?

Uczniowie wstali, by odprowadzić zadumanych mędrców do groty.

Idriss, któremu Silvano podał ramię, rozejrzał się, napotkał spojrzenie Karli i uśmiechnął się do nas.

– Cieszę się, że przyszłaś – powiedział, odchodząc do swojej jaskini. – Miło widzieć was razem.

– Wiecie co – odezwał się Vinson, kiedy znaleźliśmy się sami – chyba już coś łapię. Karla, miałaś rację z tymi podkoszulkami. Randall, notujesz, prawda?

– Szczegółowo.

– Chciałbym później przejrzeć te notatki.

– Ja druga – powiedziała Karla.

– Ja ostatni – dodałem.

– Tak bardzo się cieszę, że to ustaliliśmy – odezwał się Didier. – A teraz proszę, niech ktoś otworzy bar. Może moja dusza się uszlachetniła, ale umysł błaga o litość.

# 80

Po wznowieniu dyskusji Wątpiący wystąpił z pytaniem, ale Idriss łagodnie uniósł rękę, uciszając wszystkich.

– O ile widzę – zaczął cicho, unosząc dłoń niczym trójząb czystej cierpliwości – jesteśmy jedynym gatunkiem zdolnym wyjść poza swoje ograniczenia, stać się kimś lepszym, niż się nam śniło i mającym potencjał, by dostać się wszędzie, gdzie zechcemy.

Na chwilę umilkł.

– Dlaczego pozwalamy, by nieliczni popychali masy do rywalizacji, konsumpcji i walki? – podjął. – Kiedy zażądamy pokoju równie namiętnie, jak żądamy wolności?

Niespodziewane łzy padły mu na spoczywające na kolanach dłonie.

– Wybaczcie – powiedział bezradnie.

– Wielki mędrcze – odezwał się Zobaczymy, płaczący wraz z nim ze współczucia. – Wszystkich wezwała nas tutaj siła miłości. Nie traćmy radości w naszych duchowych poszukiwaniach.

Idriss roześmiał się, ocierając łzy jak okruchy księżycowego kamienia.

– To błąd semantyczny, wielki nauczycielu – powiedział, znowu odzyskując nad sobą panowanie. – Miłość nie ma siły, ponieważ można ją dać tylko z własnej woli.

– Doskonale – rzucił Zobaczymy z uśmiechem. – Zatem, czym jest siła?

– Siła kieruje ludźmi i procesami bądź też wpływa na nich. Siła to stopień kontroli, i zawsze jest powiązana z władzą. Siła to strach ustępujący przed chciwością. W miłości nie ma strachu ani chciwości, tak jak nie ma siły ani kontroli, i dlatego wykracza ona poza iluzję siły.

– Ale co z siłą leczenia? – spytał Ponury. – Zaprzeczysz jej?

– To energia leczenia, mistrzu-*ji*. Każdy uzdrowiciel wie, że nie ma w tym przemocy, za to energii pod dostatkiem. Energia to proces. Proces to próba wywarcia wpływu na proces bądź też kierowania lub kontrolowania go.

– Nawet siła modlitwy, mistrzu-*ji*? – spytał Ambitny. – Nie ma niczego takiego?

– Istnieje duchowa energia modlitwy – odparł Idriss – tak jak istnieje duchowa

energia miłości, a obie to źródło łaski, ale nie ma w nich siły. Energia to proces, a siła to próba kontrolowania procesu.

Vinson wiercił się w miejscu.

– Siła źle, energia dobrze – szepnął do Karli. – Władza absolutnie korumpuje.

– Bardzo dobrze – pochwaliła go Karla radośnie.

– Zapalmy znowu – zaproponował Idriss mędrcom.

– Brawo! – szepnął jeszcze radośniej Didier, i widzowie odetchnęli, podczas gdy mędrcy i mój francuski przyjaciel zapalili z przyjemnością.

– Czy kontynuować? – spytał Idriss, gdy mędrcy odlecieli już na tyle, żeby dosięgnąć wyżyn metafizyki.

– Oczywiście – odparli.

– Fakt, że jesteśmy, kim jesteśmy – podjął Idriss, jakby nie było żadnej przerwy w dyskusji – i zadajemy właściwe pytania, choćby znalezienie prawdy trwało całymi stuleciami, jest przeznaczeniem we własnej osobie. Przeznaczenie, podobnie jak życie, również jest kształtującym się zjawiskiem.

Vinson pochylił się, żeby wyszeptać pytanie, ale Karla go ubiegła.

– Energia plus kierunek równa się przeznaczenie – rzuciła pospiesznie, skupiona na debacie.

– Ale przeznaczenie…? – odezwał się Wątpiący, którego ogolona głowa lśniła od potu. – Mógłbyś to znowu wyjaśnić?

– Nasze ludzkie przeznaczenie jest faktem, nie przypuszczeniem – oznajmił Idriss. – Przeznaczenie to zdolność skupiania duchowej energii w postaci woli w celu zmiany przyszłego kursu życia. Wszyscy to robimy – w większym lub mniejszym stopniu – w odniesieniu do własnego życia i do zbiorczego losu naszego gatunku. Już teraz nasze życie poddaje się wpływom i tylko od nas zależy, czy to dostrzeżemy i czy będziemy kierować nim w bardziej pozytywny sposób.

– Ale w jaki sposób mielibyśmy to dostrzec? – spytał Zobaczymy.

– Wyraźmy zestaw pozytywnych właściwości, najlepiej jak potrafimy. To właśnie ukazanie duszy objawiającej się w ludzkiej dobroci i odwadze.

– Dlaczego? – spytał Ambitny. – Dlaczego ktokolwiek miałby się wysilać, żeby zrobić coś dobrego czy pozytywnego? Czemu nie pracować dla własnego zysku? Czy to nie prawo ewolucji – skoro tak bardzo lubisz naukę?

– Ależ skąd – powiedział Idriss z uśmiechem, tak jak to czynił już sto razy

wcześniej. – Niektórzy wszędzie widzą dziki świat, rywalizację na śmierć i życie. Ale na świecie istnieje także wspaniała współpraca, od mrówczych i leśnych społeczności po społeczności ludzkie. Zdolność do adaptacji to wspaniała umiejętność współdziałania. Współdziałanie to ewolucja.

– Ale przecież przetrwają najsilniejsi – nie poddawał się Ambitny. – I najsilniejsi rządzą. Czy zamierzasz odwrócić naturalny porządek rzeczy?

– Naturalnym porządkiem rzeczy jest współdziałanie – sprzeciwił się Idriss. – Molekuły nie rywalizują ze sobą, by utworzyć związki organiczne, lecz współdziałają. I my, wielcy mędrcy, jesteśmy wielkimi zbiorami bardzo kooperatywnych molekuł, dzięki Boskiej Istocie. Kiedy ustanie współpraca, będziemy mieć kłopoty.

– Ponieważ lubisz sięgać po podstawowe zasady, czy to znaczy, że istnieje inny porządek moralny niż ten, jaki znajdujemy w świętych tekstach? – odezwał się Zobaczymy.

Było to pytanie pułapka. Wiedziałem, że Karla rwie się, żeby na nie odpowiedzieć, bo rozmawialiśmy na ten temat parę razy.

– Święte teksty istnieją, żebyśmy wiedzieli, kim możemy się stać – powiedział Idriss. – Dopóki nie osiągniemy tego etapu w naszej boleśnie długiej ewolucji kulturalnej, dopóki nie osiągniemy tego etapu godnego tak pięknych objawień, nasze wspólne człowieczeństwo będzie pełnić funkcję bardzo użytecznej gwiazdy wiodącej nas do podstawowych prawd.

– Lekceważysz święte teksty? – chciał wiedzieć Zobaczymy.

– To ty to powiedziałeś, nie ja. Moja skromna rada brzmi: święte teksty są jak święte miejsca. Wkraczając do tych ostatnich, powinniśmy się oczyścić – tak samo jak przed czytaniem świętych tekstów. A najlepszą metodą oczyszczenia duszy, by mogła przyjąć wielkie objawienia Boskiej Istoty, jest posiadanie czystych rąk w postępowaniu z innymi ludźmi i światem, który daje nam życie.

Mędrcy znowu zaczęli się naradzać. Idriss wykorzystał tę okazję, żeby poprosić o kolejną fajkę i z zadowoleniem ją zapalił.

– Dobre serce, dobra wiara? – odezwał się Vinson.

– Zaczynasz łapać – mruknęła Karla.

Randall notował. Ankit pomagał mu, od czasu do czasu szepcząc końcówki zdań.

– Jak wam się to podoba, chłopaki? – szepnąłem.

– Jakby ktoś podskakiwał ze spadochronem – odparł Randall – zamiast z nim zeskakiwać.

– Przydałby nam się ten wasz nauczyciel w partii – powiedział Ankit z podziwem.

– Jest jakieś party? – ożywił się Didier.

– W partii komunistycznej – odszepnął Ankit sucho. – Ale dziś przy ognisku możemy zaaranżować dla pana małe party, jeśli pan sobie życzy.

– Doskonale – rozradował się Didier. – O Boże, święci znowu zaczynają.

– Wyznam, wielki mędrcze – powiedział skromnie Zobaczymy – że zagubiłem się w dżungli twoich nowatorskich idei.

– Tak – dodał Wątpiący. – Ja także zostałem w tyle, bo rozmawiając o sprawach duchowości, nie posługujesz się zwykłym słownictwem.

– Mówiąc o duchowości, można używać każdego słownictwa, lecz na wyższej lub niższej częstotliwości więzi – odparł Idriss. – Ta rozmowa jest tylko jedną z wielu.

– Jak może istnieć więcej niż jeden język, którym można mówić o duchowości? – spytał Wątpiący.

– Jeśli istnieje Bóg i duchowy język, który nas z nim łączy, to z definicji jest to jedyny język, ale wyrażany w różny sposób.

– Nawet negatywny? – spytał Ponury, rozkręcając się.

– Czy nie wolałbyś się skupić na bardziej wzniosłym duchowym języku, którym mówiliśmy do tej pory, a nie na bardziej przyziemnym? – spytał Idriss z żalem.

– Czy nie masz przykładów? – rzucił Ambitny.

– Przykładem jest niemal cały ludzki świat – oznajmił Idriss z powagą.

– Zatem nie powinno ci sprawiać kłopotów przytoczenie innych duchowych języków niż nasz – warknął Ambitny.

Idriss spojrzał na niego z cierpliwym zrozumieniem i odetchnął głęboko, wybaczająco.

– Doskonale – powiedział. – Zatem przez chwilę pochodźmy w ciemnościach.

Pociągnął łyk soku z limetki.

– Wykorzystywanie to duchowy język zysku – zaczął ze smutkiem.

Ci studenci, którzy słyszeli wcześniej jego przemowy, już kiwali głowami w rytmie jego ontologicznej poezji.

– Ucisk to duchowy język tyranii – ciągnął Idriss.

Studenci zaczęli mamrotać, powtarzając jego mantrę.

– Hipokryzja to duchowy język chciwości. Bezwzględność to duchowy język władzy, a fanatyzm to duchowy język strachu.

– Notujesz, Randall? – spytałem, kiedy Idriss zrobił pauzę na nabranie tchu.

– Tak jest – mruknął.

– Przemoc to duchowy język nienawiści – podjął Idriss – a arogancja to duchowy język próżności.

– Idriss! – zawołało kilku uczniów.

– Czekajcie! – poprosił Idriss, łagodnym gestem powstrzymując przerywających. – Zebraliśmy się tutaj, by szukać prawdy. Proszę, drodzy uczniowie i goście, nie odzywajcie się w obecności tych wielkich mędrców, choć zachęcałem was, byście to czynili w naszych dyskusjach.

– Jak sobie życzysz, mistrzu-*ji*! – zawołał Ankit niespodziewanie rozkazującym tonem i powiódł wzrokiem po zebranych, kładąc palec na ustach. Znowu zrobiło się cicho.

– Czy mogę prosić, wielcy mędrcy, żebyście ruszyli ze mną ścieżką bardziej wzniosłych duchowych języków? – spytał Idriss.

– Oczywiście – zgodził się Zobaczymy.

– Z jakimi przykładami, mistrzu-;i? – chciał wiedzieć Wątpiący.

– Zapraszam, byś mi je dał, wielki mędrcze – odparł Idriss. – Bo bardzo chciałbym zobaczyć, jakie piękne ptaki wyfruną z twojego umysłu.

– To kolejna sztuczka – przerwał Ambitny. – Masz z góry przygotowane odpowiedzi, tak?

– Oczywiście – przyznał Idriss z cichym śmiechem. – I wyuczone na pamięć. A wy nie?

– Raz jeszcze przypominam ci, mistrzu-*ji*, że to ty masz dawać odpowiedzi, a my zadawać pytania – oznajmił Ambitny, chowając się za barykadą reputacji.

– Dobrze – powiedział Idriss, prostując plecy. – Jesteście gotowi na moją odpowiedź?

– Tak, wielki mędrcze – zapewnił Zobaczymy.

– Emocja to duchowy język muzyki – zaczął Idriss – a zmysłowość to duchowy język tańca.

Zrobił pauzę, czekając na komentarze, a potem kontynuował.

– Ptaki to duchowy język nieba, a drzewa to duchowy język ziemi.

Znowu zamilkł, jakby nasłuchując.

– Chyba umarłam – szepnęła Karla – i trafiłam do raju mądrali.

– Hojność to duchowy język miłości, pokora to duchowy język honoru, a oddanie to duchowy język wiary.

Wielu uczniów widziało już, jak Idriss stawia czoło wyzwaniu. Kochając go tak, jak go kochali, połączyli się z nim niewinnie, nie pragnąc jego zwycięstwa, lecz odnalezienia prawdy, bez względu na to, kto ją odnajdzie.

– Prawda to duchowy język zaufania, ironia – duchowy język zbiegu okoliczności.

Uczniowie kołysali się, posłuszni nakazowi milczenia.

– Humor to duchowy język wolności, a poświęcenie to duchowy język pokuty.

Idriss znowu urwał, walcząc z próżnością. Wiedział, że potrafiłby ciągnąć ten wiersz jeszcze długo. Spojrzał na uczniów zarumieniony i z uśmiechem odzyskał panowanie nad sobą.

– Wszystko jest duchowością i wszystko wyraża się własnym duchowym językiem. Połączenia ze Źródłem nie da się zerwać. Można je tylko zakłócić.

Uczniowie zaczęli bić brawo i wołać, po czym sami się uciszyli, dumni i pokorni jednocześnie.

– Teraz chętnie bym odpoczął, może przez godzinę, jeśli się zgodzicie.

Studenci wstali bez zastanowienia i zaprowadzili mędrców do groty.

– Nie wiem jak ty – powiedziałem do Karli, zadowolony z przerwy – ale ja potrzebuję czegoś bardzo nieświętego.

– To tak jak ja – przyznała. – I jest mi obojętne, czy to wypiję, czy wypalę. Wszystkie nerwy mam w ustach.

– Chciałaś tam być, tak?

– To były bardzo konkretne teksty – powiedziała z błyskiem w uszczęśliwionych oczach.

Idriss był inteligentny i charyzmatyczny, ale wiele razy toczył takie dyskusje. Wiedział, kiedy stoi na twardym gruncie, a kiedy na filozoficznym trzęsawisku. Już stawałem z pytaniami przed nauczycielami – wieloma – i przekonałem się, że czasem inteligencja tuszuje brak zasad, a charyzma zasłania ambicję. Lubiłem tego nauczyciela, ale w oczach swoich studentów już był święty, a to mnie trochę martwiło, ponieważ każdy cokół jest większy od człowieka, który na nim stoi.

Mędrcy wrócili i dyskusja trwała jeszcze trzy godziny, aż skończyły im się pytania. Potem wszyscy uklękli u stóp Idrissa, prosząc o błogosławieństwo w zamian za to, które dali mu na początku dyskusji.

– Kocham nasze gry – wyznał Zobaczymy, który odszedł ostatni.

– Zawsze jestem wdzięczny Boskiej Istocie, że możemy hojnie dzielić się naszymi dawnymi i nowymi ideami. To błogosławieństwo.

Mędrcy zeszli łatwiejszą ścieżką, wysypaną płatkami róż. I byli chyba zamyśleni, jeśli nie mniej wątpiący, ambitni i ponurzy.

Idriss wziął kąpiel i odmówił modlitwy. My pomogliśmy rozmontować prowizoryczną pagodę i pozbieraliśmy dywany i tace.

Karla na ochotnika zajęła się kuchnią i przyrządziła wegetariańskie pulao, kalafiora i ziemniaki w kokosowym sosie, zieloną fasolkę i groszek z kolendrą w sosie szpinakowym, marchewki i dynię pieczone na ogniu w folii oraz ryż basmati, aromatyzowany mlekiem migdałowym.

Obserwowanie jej, gdy kręciła się wśród wielkich garów i woków na sześciu palnikach jednocześnie, wśród kłębów pary, w których brylowała mistrzostwem smaku i zestawień kolorów, było fascynujące. Gapiłem się na nią, mrugając jak sowa, aż zagoniła mnie do zmywania.

Pracowaliśmy w kuchni wraz z trzema młodymi kobietami ze społeczności uczniów. Gawędziły z Karlą o muzyce, modzie i filmach, przygotowując jedzenie dla dwudziestu ośmiu wyznawców.

Gotowanie dla Idrissa i pozostałych uważano na górze za święty obowiązek, a w przyrządzanie potraw, którymi miał się posilać mistrz, wkładano miłość.

Gdy wierni nie zajmowali się gotowaniem, modlitwą czy nauką, lubili jeść i na koniec uczty nie pozostał ani okruszek wonnych dzieł Karli. Sama Karla nie jadła dużo, ale na koniec wzniosła kieliszek w toaście.

– To za mnie i za przyszły rok – powiedziała. – Za gotowanie raz na rok!

– Za gotowanie raz na rok! – zawołali ci, którzy gotowali codziennie.

Gdy wszystkie naczynia zostały spiętrzone w lśniące wieże i większość wiernych opuściła obóz lub poszła spać, przy ognisku usiedli grzesznicy – Karla, Didier, Vinson, Randall, Ankit i ja.

Didier zasugerował grę w sugestie: każdy, kto niechcący powie sugestywne słowo, będzie musiał wypić drinka. Według jego teorii ci, którzy są najbardziej opętani seksem, upiją się najszybciej, a wtedy wszyscy się dowiemy.

Ja i tak wiedziałem, że najbardziej opętany seksem jest Didier, który przy okazji miał również najtwardszą głowę. Karla także to wiedziała i zmieniła temat.

– A co powiecie na to, chłopaki – rzuciła, wstając. – Może każdy z was opowie

prawdziwą historię, dlaczego siedzicie tutaj, a nie gdzie indziej, z miłością waszego życia?

– Rannveig zamknęła się w aśramie – poskarżył się od razu Vinson. – Przeze mnie. Tak bardzo ją kocham, że aż się zrobiła od tego jakaś święta czy co, rozumiecie? I nie wiem, czy istnieje na to jakiś antyegzorcyzm.

– Ja dokładnie rozumiem – przyznał Randall. – Choć wolałbym nie rozumieć.

Karla i ja pożegnaliśmy się z nimi. Wziąłem jeden zwinięty dywan, płócienną płachtę, zwój liny i mój plecak z artykułami pierwszej potrzeby. Karla miała dwa koce i własną torbę niezbędnych rzeczy. Poszliśmy przy świetle latarki na pagórek, strasząc sami siebie pląsającymi cieniami, gdy ścieżka nagle zakręcała.

– Omal nie strzeliłaś do tego cienia, co? – spytałem, wtulony w nią na wąskiej ścieżce. Latarka w jej dłoni rzucała kręgi koherencyjne na ciemne płótno pogrążonego w mroku lasu.

– A ty sięgnąłeś po nóż – odparła, wtulając się we mnie.

Za pomocą liny zrobiłem nam przyzwoite schronienie. „Mając odpowiednią linę – powiedział mi kiedyś przewodniczący związku tirowców – można zrobić właściwie wszystko”.

W tirowym namiocie rozmawialiśmy, całowaliśmy się i powtórzyliśmy każdy argument i odpowiedź, które padły podczas dyskusji.

– Wy, faceci, kompletnie tego nie rozumiecie – powiedziała Karla sennie, gdy już przejrzeliśmy skarbiec myśli.

– My, faceci?

– Wy, faceci.

– Czego nie rozumiemy?

– Prawdy.

– Jakiej prawdy?

– Wielkiej.

– Na jaki temat?

– No właśnie – powiedziała Karla, której oczy były jak zielone lustra.

– Co „właśnie”?

– Macie obsesję na punkcie prawdy. Ale prawda to nic takiego. Po trzech drinkach prawda to tylko ograniczenie.

– Nie potrzebuję drinka, żeby pozbyć się przy tobie ograniczeń – odparłem z

uśmiechem.

Pocałowaliśmy się, kochaliśmy się i dalej rozmawialiśmy i dyskutowaliśmy, cofając się do początku dyskusji, aż w końcu zasnęliśmy, a mgliście świetlisty półksiężyc zawładnął niebem.

Obudziłem się gwałtownie ze świadomością, że nie jesteśmy sami. Powoli podniosłem głowę i zobaczyłem odwróconego od nas Idrissa. Stał parę metrów dalej, spoglądając na srebrną filiżankę księżyca.

Zerknąłem na Karlę. Nadal spała, ubrana w mój podkoszulek jak w nocną koszulę.

– Cieszę się, że mnie widzisz – odezwał się Idriss, nie odwracając się.

– Zawsze się cieszę, kiedy cię widzę – szepnąłem. – Wstałbym, ale nie jestem odpowiednio ubrany.

Idriss roześmiał się cicho i dalej patrzył w gwiazdy, wsparty na lasce.

– Bardzo się cieszę, że ty i Karla tu jesteście – powiedział. – I chciałbym, żebyście wiedzieli, iż możecie tu zostać, jak długo zechcecie.

– Dziękuję.

Karla obudziła się i dostrzegła Idrissa.

– Idriss – powiedziała, siadając. – Proszę, usiądź, czuj się jaku siebie.

– Zawsze czuję się ja u siebie, gdziekolwiek jestem – odparł Idriss wesoło, nadal nie odwracając się do nas. – I podejrzewam, że to samo dotyczy was, prawda?

– Czy możemy ci coś zaproponować? – spytała Karla, trąc oczy. – Wody albo soku?

– Sam fakt, że mi to zaproponowałaś, sprawia, że już jestem nasycony.

– Ubierzemy się i przyjdziemy do ciebie – zaproponowałem. – Mogę ci zrobić herbatę na ognisku.

– Za parę minut odejdę – odparł. – Ale muszę wam coś powiedzieć, a umysł nie pozwolił mi o tym zapomnieć. Stąd moja nieproszona wizyta, za którą przepraszam.

– To my jesteśmy nieproszonymi gośćmi – zauważyła Karla.

Idriss znowu się roześmiał.

– Chciałaś siedzieć obok mnie podczas dzisiejszej dyskusji? – spytał.

– O, tak – rzuciła ze śmiechem. – Następnym razem wpisz mnie na listę.

– Załatwione – zgodził się, już rozstając się z nami w myślach. – Jesteście gotowi na moje instrukcje?

– Tak – szepnęła Karla niepewnie.

– Oboje musicie wyrzec się przemocy i zrobić wszystko, co trzeba, żeby żyć w spokoju.

– Trudno wyrzec się przemocy w świecie, który jest jej pełny – zauważyła Karla.

– Przemoc, tyrania, ucisk, niesprawiedliwość – to wszystko góry na mapie naszego życia – oznajmił Idriss. – Musimy je spotkać na naszej drodze. Najbezpieczniejszym sposobem jest ich obejście. Ale jeśli wybierzesz tę ścieżkę, zajmie ci ona całe życie, zaczniesz krążyć w nieskończoność, a niektóre z tych gór staną się twoim przeznaczeniem. Jedynym sposobem, by wyrwać się z tego błędnego kręgu i rozejrzeć się, by uniknąć nowych gór, jest wspięcie się na szczyt i zejście z niego. Ale z górami jest tak, że żaden etap wspinaczki nie jest mniej niebezpieczny niż ten, który właśnie się zakończył.

– Co to znaczy? – spytałem.

– Martwię się o was dwoje. Często się o was martwię. Widok ze szczytu po niebezpiecznej wspinaczce to coś, czego nie zaznacie, jeśli wybierzecie bezpieczniejszą okrężną drogę, ale on również jest bardzo niebezpieczny. I musicie polegać na sobie nawzajem i służyć sobie większą pomocą niż dotychczas. Wy już się wspinacie w cieniu góry…

– A ty wspiąłeś się na wszystkie swoje góry? – spytała Karla.

– Kiedyś byłem żonaty – powiedział Idriss cicho i powoli. – Dawno temu. Moja żona, oby jej dusza zaznała szczęścia, nieustannie towarzyszyła mi w duchowych poszukiwaniach, tak jak wy towarzyszycie sobie. Byłbym nikim bez tego wszystkiego, czego nauczyliśmy się razem. A teraz samotnie wspinam się w cieniu góry.

– Nigdy nie jesteś sam – szepnęła Karla. – Wszyscy, który cię znają, pomagają ci iść.

Idriss roześmiał się cicho.

– Przypominasz mi ją. A ty przypominasz mi mnie samego, Lin, w innym życiu. Nie zawsze byłem spokojnym człowiekiem, którego znasz. Nigdy nie rezygnujcie z miłości, którą do siebie czujecie. Nigdy nie porzucajcie poszukiwań spokoju we własnym sercu.

Odwrócił się w milczeniu i wrócił do obozu.

Znowu otoczyły nas odgłosy nocy, gdzieś z daleka dobiegł nas dzwonek kolejowy. Karla milczała, wpatrując się w cienie liści, w których zniknął Idriss.

– Jeśli mamy to zrobić właściwie, musimy rozstrzygnąć parę spraw – powiedziała, zwracając na mnie oczy jak zielone światło księżyca. – I chcę to raz na zawsze

załatwić jak należy.

– Myślałem, że już to załatwiliśmy.

– Dopiero zaczęliśmy – powiedziała z uśmiechem, przeciągając się sennie i moszcząc na posłaniu obok mnie. – Parę miesięcy na górze i wszystko się ułoży.

Nagle odsunęła się i zaczęła szukać czegoś w swoich rzeczach. Wreszcie podała mi list.

– To najlepszy z możliwych momentów na list górskiego cienia – powiedziała, znowu się do mnie przytulając. Ziewnęła szeroko, zamknęła oczy i zasnęła. Ja rozłożyłem pojedynczą kartkę. List był od George'a Bliźniaka. Przeczytałem go przy świetle latarki.

*Cześć stary, tu Bliźniak, raportuję, że nie znaleźliśmy jeszcze tego guru, co przeklął Skorpiona, ale jesteśmy na tropie. Byliśmy w Karnatace na górze, potem u; Bengalu i gdzieś pomiędzy się pochorowałem, stary, i nie czuję się zbyt dobrze, ale nie mogę zostawić Skorpiona, więc szukamy dalej. No i gdybym nie wrócił, to po prostu chciałem powiedzieć komuś, komu na mnie zależy, że niczego nie żałuję, bo kocham moje życie i mojego przyjaciela Skorpiona.*

*Z wyrazami szacunku,*

*Bliźniak.*

Odłożyłem list i przytuliłem Karlę pogrążoną w głębokim śnie. Ja nie od razu zdołałem zasnąć.

Myślałem o mężczyznach siedzących przy ognisku, Ankicie, Vinsonie, Didierze i Randallu, rozłączonych z miłością, lecz znajdujących ją w opowieściach rzucanych w ogień jak całopalne ofiary. Pomyślałem o Abdullahu, który nigdy nie tracił wiary w nic, ale niemal zawsze był sam. Zobaczyłem Vikrama w ciemnym zaułku wspomnień, równie samotnego w śmierci, jak i za pseudożycia, zależnego od narkotyków.

Pomyślałem o Naveenie, wiedząc, że kocha Divę Devnani, lecz patrzy na nią przez kolczaste chaszcze zwane społeczeństwem. Pomyślałem o Ahmedzie z Domu Stylu, który niegdyś powiedział mi, gdy obaj znaleźliśmy się w opałach, że przez całe życie kochał tę samą kobietę, choć rodziny ich rozłączyły, i że nie widział jej, odkąd skończył dziewiętnaście lat. Pomyślałem o samotnym Idrissie i samotnym Kadirbaju, o samotnym Tariku i samotnym Nazirze, i Kawicie, samotnej po śmierci Lisy, i o wszystkich, którzy żyli i umierali samotni, ale zawsze kochając lub wierząc w miłość. Cudem nie jest to, że miłość nas znajduje, choć to dziwne i mistyczne doświadczenie. Cudem jest, że choć niektórzy z nas nigdy jej nie znajdują, że choć miłość często zbyt długo czeka w kulisach, że choć nie puka do drzwi, nie zostawia wiadomości, nie daje

nam kwiatów, tak wielu z nas nigdy nie przestaje w nią wierzyć.

Kochankowie, zbyt szczęśliwi w swojej miłości, nie muszą wierzyć. Życie niekochanych, którzy nigdy nie przestają wierzyć, to żywoty świętych, pielęgnujących miłość w ogrodach wiary.

Spojrzałem na Karlę oddychającą w moją pierś. Wzdrygnęła się, zapędzona w ślepy zaułek snu. Uspokoiłem ją głaskaniem, aż jej oddech znowu stał się moją prywatną melodią spokoju.

A ja podziękowałem losowi, gwiazdom, pomyłkom czy dobrym uczynkom, które dały mi ten piękny spokój, kiedy Karla była przy mnie. I w końcu zasnąłem, a z półksiężyca, srebrnego kielicha, gwiazdy sypały się na nasze sny w cieniu góry.

# 81

Góra miała własne miejsce w czasie, wyznaczone rytuałami i zachodami słońca, posiłkami i medytacjami, ogniskami, pokutą, modlitwami i śmiechem. Nasi przyjaciele kolejno opuszczali płaskowyż, i w końcu tylko Karla i ja zostaliśmy z Idrissem, Silvanem i kilkoma uczniami.

Karla miała rację z tym wyjazdem: proste życie w dziwny sposób dodało nowe komplikacje do naszego związku. Rozmawialiśmy godzinami, dniem i nocą, odwiedzając przeszłość w teraźniejszości, która przed nami uciekała.

– Uratował mnie – powiedziała Karla po paru tygodniach pobytu na górze, gdy rozmowa zeszła na czasy Kadirbaja.

– Poznałaś go w samolocie, uciekając.

– Tak. Byłam w strasznym stanie. Zabiłam człowieka, który mnie zgwałcił, i choć wiedziałam, że zrobiłabym to jeszcze raz, byłam w strasznym stanie. Udało mi się dotrzeć na lotnisko, kupić bilet i wsiąść do samolotu, ale w powietrzu się rozsypałam. Kadirbaj siedział obok mnie. Miał bilet powrotny do Bombaju, ja – bilet w jedną stronę. Zaczął ze mną rozmawiać, a kiedy wylądowaliśmy, zaprowadził mnie tutaj, na tę górę. I od następnego dnia zaczęłam dla niego pracować.

– Kochałaś go – powiedziałem, ponieważ go kochałem.

– Tak. Nie lubiłam go, o czym mu powiedziałam, i nie zgadzałam się z jego sposobem załatwiania spraw, ale go kochałam.

– Na dobre i złe, był potęgą w tym mieście i w naszym życiu.

– Wykorzystał mnie, a ja mu na to pozwoliłam. I wykorzystywałam ludzi, których chciał wykorzystać. Wykorzystałam cię dla niego. Ale kiedy o nim myślę, nie czuję nic oprócz miłości. Czy masz tak samo?

– Tak.

– W złych chwilach czasem nadal czuję, jak stoi koło mnie.

– Ja też. Ja też.

Karla i ja dobrze czuliśmy się na świętej górze, ale lubiliśmy pozostawać w kontakcie z nieświętym miastem. Raz na tydzień na szczyt wnoszono gazetę, okazjonalni

goście przynosili wieści o przyjaciołach i wrogach, ale najlepszym źródłem informacji był młody ronin, Dżagat, który przejął moje interesy na czas mojego pobytu na górze.

Dżagat spotykał się z nami co dwa tygodnie na parkingu pod jaskiniami. Wieści, które przynosił z miasta, zawsze sprawiały, że z radością myśleliśmy o czekającej nas wspinaczce na szczyt.

Dżagat donosił, że politycy i inni fanatycy robią, co mogą, żeby zasiać niezgodę, zwłaszcza między przyjaciółmi. Na niektórych terenach plastikowe barykady zaczęły oddzielać sąsiadów i sąsiedztwa, czasami z powodów tak błahych jak upodobania kulinarne.

Na ulicach, w slumsach i miejscach pracy w całym mieście ludzie o różnych upodobaniach wiedli dobre życie i dobrze pracowali. Ale w biurach partii politycznych reprezentanci ludu wznosili mury między ludźmi, bo przyjaźń zagrażała wojnie politycznej. A ludzie z obu stron barykady burzyli się, zapominając, że i oni, i ich przeciwnicy to tylko armie biedaków.

Wisznu zakończył czystki i złożona wyłącznie z hinduistów firma 307 została pobłogosławiona przez świętych mężów w nowej posiadłości Wisznu na Carmichael Road, blisko galerii, którą Karla dała Tadżowi, i znacznie bliżej kieszeni bombajskiej elity.

Dżagat opowiadał, że wyprawiono wspaniałe przyjęcie, które ociepliło lodowate serca miejscowych snobów. Niektóre gwiazdy filmowe stały się regularnymi gośćmi w pałacu Wisznu.

– Wisznu sfinansował naprawdę wielki indyjski film – oznajmił Dżagat. – Zdjęcia są w Bułgarii czy tam w Australii. W każdym razie za granicą. Jego zdjęcie było we wszystkich gazetach. Zrobiono je na wielkim przyjęciu, na którym ogłoszono wiadomość o nowym filmie.

– I nikt nie chciał go aresztować za zabicie afgańskich strażników, Nazira i Tarika i podłożenie ognia, który pochłonął dom Kadirbaja i część miasta?

– Nie było świadków, baba-chłopie. Oskarżenia wycofano. Zastępca komisarza był na tym balu, na którym ogłoszono wiadomość o nowym filmie. Bohaterem tego filmu jest szorstki i dziarski policjant – postać wzorowana na tym typie, zastępcy komisarza, co to jest taki cięty na przestępców i tylu ich pozabijał. A Wisznu za to płaci. Ja tego nie ogarniam, chłopie. To jakby obrabować własny bank.

– Fakt – zgodziłem się.

– Zabawne – rzuciła Karla ze śmiechem. – Ilu ochroniarzy miał ze sobą Wisznu?

– Chyba czterech – powiedział Dżagat. – Mniej więcej tyle co asystent komisarza.

– Czemu interesują cię ochroniarze? – spytałem.

– To prawo odwróconej sprawiedliwości. Im więcej ochroniarzy, tym podlejszy charakter.

– A Rowerowi Zabójcy kompletnie zmienili swój wizerunek – dodał Dżagat, kręcąc głową. – Wyglądają zupełnie inaczej. Mają białe spodnie i miętowe koszule.

– Miętowi Zabójcy – mruknęła Karla.

– Wszyscy tak wyglądają?

– Tak. Teraz są bohaterami.

– Bohaterami? – powtórzyłem z powątpiewaniem.

– Nie żartuję. Ludzie ich uwielbiają. Nawet moja dziewczyna kupiła mi miętową koszulę.

– Rowerowi Zabójcy w jeepach, tak?

– Tak, z chromowanymi rowerami na stabilizatorach.

– I nie zabijają już ludzi?

– Nie. Teraz nazywają się Nie Ma Problemu.

– Nie Ma Problemu? – powtórzyła zaintrygowana Karla.

– Tak.

– To tak, jakbyś ty się nazwał Okay – powiedziałem. – W Indiach wszyscy co trzy minuty mówią: „Nie ma problemu". Zawsze, kiedy jest problem, ludzie mówią tu: „Nie ma problemu".

– Dokładnie. To genialne – oznajmił Dżagat. – Nie ma problemu zbyt wielkiego lub małego. Nie Ma Problemu.

– Chyba żartujesz.

– A skąd, baba-chłopie. Przysięgam. I to działa. Ludzie proszą ich o pomoc w negocjacjach z porywaczami i tak dalej. W zeszłym tygodniu uwolnili porwanego milionera, a zostały mu już tylko palce u lewej ręki. Te palce też były zagrożone, dopóki do akcji nie wkroczyli Nie Ma Problemu. Ludzie proszą ich, żeby usuwali kłopoty z budynkami i budowlańcami, przez które latami tonęły rupie liczone w *koti*, chłopie. Wypruwają sobie żyły dla każdego, kto ich zatrudnia.

– Fajnie – powiedziała Karla.

– Mhm – mruknąłem, zaniepokojony tym, co usłyszałem.

Biedna ulica, główna ulica i ulica giełdy to trzy wielkie arterie każdego miasta i nie

zgrywają się dobrze ze sobą. Znajdują się daleko od siebie, rozdzielają je pozorne różnice, bo gdziekolwiek się ze sobą krzyżują, oczy dostrzegają miłość, umysł widzi niesprawiedliwość, a prawda je wyzwala. Władza na każdej ulicy ma wiele do stracenia przez swobodne umysły i serca, ponieważ władza to przeciwieństwo wolności. Jako człowiek pozbawiony władzy wolę, żeby mieszkańcy biednej ulicy nie zbliżali się do głównej ulicy, policjanci sami sobie fundowali filmy, a goście z giełdy nie zbliżali się do nikogo do czasu, aż wszystkie ulice staną się jednością.

Musiałem zacząć myśleć o czymś innym. Im dłużej Dżagat rozmawiał z nami, tym dłużej musiał stać w korku, wracając do miasta. Karla, która być może doszła do tego samego wniosku, zmieniła temat.

– Sprawdziłeś, co z Didierem? – spytała młodego ronina.

– *Jarur* – potwierdził ten, spluwając. – Nadal przesiaduje u Leopolda i ma się dobrze. Aha, a ci zodiakalni goście, ci milionerzy… wrócili do miasta.

– Gdzie?

– Do Mahesha, chłopie. Nie mogę tam nikogo odwiedzać. Nie urodziłem się z właściwym kodem kreskowym, nie przejdę przez ich skaner, wyczuwasz.

– Jeśli czegoś się dowiesz, daj mi znać.

– Pewnie. Hej, wiecie, dlaczego ludzie tak bardzo się troszczyli o tych dwóch zagraniczniaków, kiedy mieszkali na ulicy? – spytał w zamyśleniu.

– Bo to bardzo fajni goście?

– Oprócz tego – powiedział, kreśląc stopą esy-floresy u naszych nóg.

– Powiedz – ponagliła Karla, którą zawsze przyciągały takie sprawy.

– Bo się nazywają Zodiakalni George'owie. Dlatego. W Indiach to dużo znaczy, wyczuwacie? To tak, jakbyś się nazywał Karma albo coś. Wszędzie, gdzie szli, zabierali ze sobą zodiak. Kiedy ktoś ich karmił, to karmił zodiak. Kiedy dawał im schronienie, to chronił zodiak. Kiedy bronił ich przed bandytami, to bronił zodiak przed negatywną energią. A składanie ofiar planetom, które nami kierują i które nas gnębią, jest bardzo ważne. Mnóstwo osób tęskni za szansą ofiarowania czegoś tym Zodiakom, którzy teraz są tak bogaci, że niczego nie potrzebują, *baba*-chłopie.

Indie. Czas odmierzany zbiegami okoliczności, logika sprzeczności.

Dżagat zakłócił moją równowagę, którą omal udało mi się osiągnąć w Indiach. Ale ten wstrząs powtarzał się niemal codziennie. Świat, w którym żyłem, a w którym się nie urodziłem, ronił dziwne kwiaty ze wszystkich drzew, które dawały mi schronienie.

– To piękna historia – pochwaliła Karla.

– Naprawdę? – mruknął Dżagat, ukrywając nieśmiałość za grymasem.

– Tak. Dziękuję, że się nią z nami podzieliłeś.

Dżagat, którego imię oznacza świat, zarumienił się i odwrócił wzrok, odruchowo sięgając po nóż za pasem.

– Hej, chłopie, słuchaj – powiedział, odwracając się do mnie. Jego poznaczona bliznami młoda twarz opowiadała tę samą historię każdemu, kto na nią spojrzał. – Nie czuję się dobrze, biorąc pieniądze z twoich lokali.

– Przecież odwalasz całą robotę – odparłem. – Dlaczego nie miałbyś brać za nią pieniędzy? To ja jestem ci wdzięczny za to, że dbasz o te lokale. To wielki dług wdzięczności, Dżagat-chłopie.

– Wal się, chłopie – rzucił ze śmiechem. – Odkładam dla ciebie co tydzień dwadzieścia pięć procent tygodniowo, czy ci się to podoba, czy nie, jasne?

– Spoko, *jawan* – powiedziałem, używając słowa w hindi, oznaczającego żołnierza. – Godzę się z tym.

– Kiedy wrócisz z tego upiornego miejsca, pełnego tygrysów i świętych, będziesz miał trochę grosza.

– Kiedy wrócę do twojego upiornego miejsca, pełnego biznesmenów i psów, bardzo chętnie zgarnę te trochę grosza – odparłem.

– Pojedźmy z Dżagatem na autostradę – zaproponowała Karla.

– Super. Chcesz mieć towarzystwo, Dżagat, czy wolisz jechać szybko?

– Spłyńmy sobie powolutku aż na dół, baba-chłopie.

– *Kruto!* – rzuciła Karla z uciechą.

– A to co? Oleg uczył cię rosyjskiego? – spytałem, składając stopkę motocykla.

– *Sprositie jego* – rzuciła ze śmiechem.

– A co znaczy…?

– Jego spytaj.

– Tak zrobię – wymamrotałem z urazą, a ona roześmiała się głośniej.

Motocykl to zazdrosna maszyna. Jeśli cię kocha, zawsze wie, kiedy choćby pomyślisz o innym. A kiedy wie, to nie zapali. Ponieważ spojrzałem na motocykl Dżagata, moja maszyna nie chciała ruszyć nawet po trzech próbach.

Motocykl Dżagata grał staccato, jego silnik 35OCC z jednym tłokiem był jak bęben, który cię nosi, gdzie zechcesz, więc pozwalasz mu grać własny rytm.

Karla pochyliła się, obejmując zbiornik mojego motocykla i otaczając dłońmi rączkę

kierownicy.

– Podróż w dół i górę dobrze ci zrobi, kochanie – powiedziała do motocykla. – Przejedźmy się.

Kopnąłem starter i silnik ożył, przez chwilę się zakrztusił, po czym zawarczał równomiernie.

Pojechaliśmy ramię w ramię pustą leśną drogą w dół zbocza aż na początek okrutnie zdeterminowanej autostrady. Pomachaliśmy Dżagatowi i zawróciliśmy.

Jechaliśmy przez wieczorny las w porze, gdy śmiałość dnia zmienia się w podstęp nocy. Ptaki wracały do gniazd, owady budziły się z drzemki, nietoperze o skrzydłach jak orły wyruszały na ucztę. Jechaliśmy cieniem w łagodnym wietrzyku, pod ukrywającym się i odsłaniającym niebem.

Noc była młoda, bezchmurna. Pierwsze gwiazdy budziły się, trąc oczy. Płonące gdzieś liście słały w powietrze ziemisty zapach. A my byliśmy dwojgiem szczęśliwych banitów, zjednoczonych i wolnych.

# 82

Dotarliśmy na parking, szczęśliwi i wolni, i ujrzeliśmy czekającego na nas Concannona. W białej koszuli siedział na bagażniku czerwonego pontiaca laurentian. Koszula powinna być czerwona.

– Trzymaj się, skarbie – rzuciłem do Karli, przechylając motocykl tak, że prawie stanął, zawróciłem i przejechałem w dół jeszcze kilkaset metrów, zanim zahamowałem.

– Co ty wyprawiasz?

– Tam jest drzewo z wielką dziuplą. Czekaj na mnie.

– Ukryć się? – spytała takim tonem, jakbym zażądał, żeby oddała krew dla *madame* Zhou.

– Tylko zaczekaj, aż wrócę.

– Oszalałeś?

– Ten tam to Concannon.

– To jest Concannon? – spytała, zawsze zaintrygowana intrygującymi ludźmi.

– Zaczekaj tutaj. Zaraz wrócę.

– Powtarzam: oszalałeś? To ja mam broń, pamiętasz? I lepiej strzelam. I zdaje się, że mieliśmy być zawsze razem, nigdy osobno.

Znalazłem się w trudnej sytuacji. Gdy wróg jest bezwzględny, straty zaczynają się tam, gdzie kończy się miłosierdzie. Ale Karla była odważna i prawdopodobnie walczyłaby do ostatniej kropli krwi.

– Dobrze – zgodziłem się niechętnie. – Ale nie ryzykuj. Ten gość gada tak samo dobrze, jak walczy.

– Teraz to już muszę się z nim spotkać. Zróbmy dobre wejście, Shantaram.

Wróciliśmy na parking. Postawiłem motor na stopce. Razem z Karlą odeszliśmy od niego, kiedy jeszcze oddychał. Przestrzeń między mną a Concannonem kurczyła się z każdym krokiem. Przy ostatnim odbiłem się w górę i uderzyłem Concannona z rozpędu.

– Co jest, kurwa? – rzucił, trzymając się za skroń.

Zsunął się z bagażnika i okrążył mnie, markując parę ciosów. Włączyłem się, ale osłonił się i szybko cofnął. Odciągał mnie od Karli. Mógł mieć gdzieś ukrytych

wspólników. Powoli cofałem się od niego, aż w końcu stanąłem obok niej.

– Co tu robisz, Concannon? Gdzie twoje oprychy?

– Przyjechałem sam, chłopaku. Czego nie mogę powiedzieć o tobie.

Wyszczerzył zęby do Karli, która pomachała mu ręką.

– Cześć – powiedział.

Karla wyjęła broń z torebki i wycelowała w niego.

– Jeśli masz broń, to ją wyrzuć – wycedziła.

– Nigdy nie chodzę uzbrojony, panienko – odparł.

– To dobrze, bo ja zawsze chodzę uzbrojona. Jeśli zrobisz jakiś ruch, trafię cię dwa razy, zanim się rozkręcisz.

– Zrozumiałem – oznajmił z uśmiechem.

– Nie należy się tu zapuszczać. W tym lesie mieszkają tygrysy. To dobry sposób, żeby pozbyć się ciała.

– Gdybym sądził, że pani narzeczony nie kopnie mnie w głowę, ukląkłbym przed panią. To zaszczyt. Nazywam się Concannon.

– Mój chłopak bardzo się zdenerwował, kiedy spaliłam twój list i nie zdradziłam mu jego treści. Czekałam na tę okazję i cieszę się, że mi ją dałeś. Powiedz to teraz głośno, w jego obecności, jeśli wystarczy ci odwagi.

– Ach, więc to o ten list tak się pani gniewa? Nie, nie, nie przyjmę zaproszenia do powtórzenia moich nieprzyzwoitych propozycji przed tym zbiegłym skazańcem. To by nie było mądre.

– Tak myślałam – rzuciła z uśmiechem. – Napisałeś coś i nie masz odwagi tego powiedzieć.

– Zatem, nie ucieszyły panienkę moje małe insynuacje? Moim zdaniem były całkiem pomysłowe.

– Milcz – rzuciłem.

– Widzi panienka, z czym muszę się zmagać? – pożalił się Concannon Karli.

– Milcz – odparła. – W tej chwili masz do czynienia z nami dwojgiem. I nie za bardzo ci idzie. Czego tu chcesz?

– Przyjechałem, żeby coś powiedzieć pani chłopakowi. Czy jeśli usiądę na samochodzie, tak jak poprzednio, pozwoli mi pani przemówić?

– Wolałbym cię widzieć w bagażniku. W bagażniku samochodu, który spada w przepaść – oznajmiłem.

Concannon uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Gniew postarza, wiesz? Dodaje lat twojej twarzy. Czy mogę spokojnie usiąść na tym zasranym samochodzie i pogadać z tobą jak chrześcijanin z chrześcijaninem, czy nie?

– Siadaj – rzuciła Karla. – A te chrześcijańskie ręce trzymaj na widoku.

Concannon wskoczył na bagażnik samochodu, opierając stopy na zderzaku.

– Masz okazję, żeby się wytłumaczyć – oznajmiła Karla.

Concannon parsknął śmiechem, zmierzył ją spojrzeniem, a potem przeniósł wzrok na mnie. W słabym świetle parkingu jego oczy lśniły jasnym błękitem.

– Nie miałem nic wspólnego z Lisą – rzucił szybko. – Nawet jej nie tknąłem. Spotkałem się z nią tylko raz… no, dwa, ale ją lubiłem. Była słodka. Nigdy bym jej nie zrobił czegoś takiego. Powiedziałem tak tylko po to, żeby cię sprowokować. Nigdy jej nie tknąłem. I nigdy bym tego nie zrobił. To nie w moim stylu.

Chciałem go powstrzymać. Chciałem zdjąć klątwę, którą było dla mnie jego imię. Było złe, wszystko, co się z nim łączyło, było złe.

– Mów – rozkazała Karla.

– Gdybym wiedział, jak bardzo nienormalny jest Randżit, sam bym go powstrzymał – oznajmił Concannon. – Przysięgam. Zabiłbym go własnymi rękami, gdybym wiedział, kim jest.

Zwiesił głowę. Opuścił gardę. Miałem ochotę rzucić się na niego i wepchnąć go tam, skąd przylazł. Ale Karla chciała się dowiedzieć wszystkiego.

– Mów dalej – poleciła. – Mów, co wiesz.

– Dopiero później się dowiedziałem – wyjaśnił Concannon. – Gdybym wiedział wcześniej, nie byłoby żadnego „później”.

– To już wiemy. Mów.

– Poznałem tego świra Randżita dzięki narkotykom. Wielcy tego świata nie wahają się dzwonić do takich jak ja, gdy potrzebują towaru. Kiedy powiedział mi, że chce kupić prochy, które uśpią Lisę, postanowiłem z nim pójść.

– Randżit chciał ją uśpić? – spytała Karla, według mnie zbyt łagodnie.

– Tak. Kupił rohypnol. Myślałem, że to ma być kawał. Powiedział mi, że się z nią przyjaźni i że mają prywatną imprezę.

– Ale dlaczego z nim poszedłeś?

– Żeby wkurwić twojego chłopaka – odparł Concannon, wskazując mnie. – Dlatego

wysłałem ci ten obleśny liścik i na chwilę użyczyłem ci mojego sprośnego umysłu, żeby torturować tego oszalałego skurwysyna.

– Milcz – powiedzieliśmy oboje.

– No proszę, jaka piękna parka świętych chuliganów. Idealnie dobrani.

– Dlaczego tam poszedłeś, Concannon? – spytała Karla, a on, słysząc swoje imię, odwrócił na nią błękitne oczy.

– Mówiłem – odparł z uśmiechem. – Wiedziałem, że jeśli obecny tu Lin dowie się, iż byłem z tą dziewczyną w jego domu pod jego nieobecność, oszaleje bardziej niż ogier.

– Dlaczego chciałeś, żeby oszalał?

– Żeby zrobić mu krzywdę, bo wiedziałem, że to zaboli tego Irańczyka.

– Abdullaha?

Nie powiedziałem jej. Nie mogłem zdradzić Abdullaha, mówiąc prawdę o tym, kim się wtedy stał z Concannonem.

– Zabiliśmy razem parę osób – oznajmił Concannon od niechcenia. – Nic takiego. Ale on zaczął odgrywać tubylca i między nami wybuchła wojna. Twój chłopak był po prostu przypadkową ofiarą.

– Dobra, starczy tego – przerwałem.

– Próbowałeś kiedyś treningu zarządzania gniewem? – spytał Concannon.

– Spadaj stąd, Concannon. Znudziło mi się powtarzać „milcz”.

– Zanim odjedziesz… o ile ci pozwolimy… powiedz, co wiesz o Randżicie – rozkazała Karla.

Nie rozumiałem jej. Randżit mnie nie obchodził i nie chciałem, żeby z gadziego pyska Concannona znowu padło imię Lisy. Wiedząc, do czego jest zdolny, wiedząc, że Tuareg go zaaprobował, chciałem się go stąd pozbyć łub pozbawić go przytomności.

– Nie pogrywaj z nami – warknąłem. – Jeśli masz coś do powiedzenia, to gadaj.

– Spotkałem Randżita na imprezie w Goa. Przyszedł w peruce, niby że się ukrywa, ale od razu go rozpoznałem. Ponieważ wiedziałem, że jest milionerem i tak dalej, pomyślałem, że musi mieć gdzieś zapas kasy, więc nafaszerowałem go kokainą i heroiną i przekonałem, żeby zabrał mnie do swojej meliny.

– Randżit ma dom w Goa? – spytała Karla.

– Zdaje się, że wynajęty. Wielki i piękny. Świetna chata. No i przez cały czas prowokowałem go, żeby podszedł do sejfu i go otworzył, a on tymczasem otworzył go

sam z siebie i spytał: „Chcesz obejrzeć film?”.

Karla delikatnie położyła dłoń na moim ramieniu.

– Jaki film?

– Porno, jak się okazuje – rzucił Concannon ze śmiechem. – Choć był to bardzo jednostronny seks. Dziewczyny leżały nieprzytomne. On miał na głowie czepek kąpielowy, a na rękach gumowe rękawice. Nie zostawiał śladów po swoim występku. Po wszystkim umył je i ubrał, i zostawił na kanapie z kocem na kolanach, więc kiedy się obudziły, nie wiedziały, co się wydarzyło.

– Randżit to zrobił?

– Tak. Nie wiedziałeś?

Poczułem, że jednak mogę powiedzieć kolejne „milcz”, ale Karla ścisnęła mnie za ramię.

– Powiedział ci, dlaczego to zrobił?

– Powiedział, że jego żona jest oziębła, jeśli wybaczysz, i że nie uprawia z nim seksu, dlatego wykorzystuje te śpiące dziewczyny, udając, że kocha się z nią. Znaczy z tobą.

Karla ścisnęła moje ramię.

– Twierdzisz, że to właśnie spotkało Lisę?

– Myślę… – Concannon pozwolił sobie odwrócić wzrok. – Myślę, że dał jej rohypnol w drinku, ale przesadził z dawką. Mój towar jest czysty, rozumiesz. Moim zdaniem umarła, biedaczka, zanim ją wykorzystał.

– Kim były inne dziewczęta?

– Tego nie wiem. – Concannon wzruszył ramionami. – Rozpoznałem tylko jedną, a i to dlatego, że jej twarz pojawiała się czasem w gazetach. Ale… mogę ci powiedzieć jedno. Wszystkie wyglądały jak ty, a on nakładał im czarne peruki.

– Mam tego dość – oznajmiłem.

– Tylko nie wyjeżdżaj mi tu znowu z tym „milcz”, chłopaku. Nie przyjechałem tutaj, żeby sprawiać kłopoty. Mam dość kłopotów, choć nigdy nie sądziłem, że to powiem. Odszedłem na emeryturę.

– To dobre miejsce, żeby emerytura stała się permanentna.

– Podlec z ciebie – odparł uśmiechnięty Concannon. – Z podłymi myślami w podłej głowie.

– Co zrobiłeś, kiedy Randżit pokazał ci te filmy? – spytała Karla.

– No, trochę mu przygrzmociłem i zostawiłem nieprzytomnego. Nie mogłem go zabić, choć chciałem, bo zbyt wiele osób mnie z nim widziało. Potem zabrałem wszystkie pieniądze z sejfu, a także ten film z nim i dziewczyną z gazet.

– I co z nim zrobiłeś?

– Teraz będzie śmiesznie – oznajmił Concannon, zakładając ręce na piersi.

– Śmiesznie? Ciebie to śmieszy? – wycedziłem.

– Ręce na widoku – powtórzyła Karla. Concannon rozplótł ręce. – Dlaczego śmieszne?

– Jest taki młody głupek, który od czasu do czasu kupuje ode mnie kokainę. Niezbyt duży, ale z paskudnym charakterem. Ma sądowy zakaz zbliżania się do własnej rodziny. Chce zostać gwiazdą filmową, więc dostarcza czasem towar prawdziwym gwiazdom i dostaje epizody. Dziewczyna z chorego filmu Randżita jest aktorką, a on – jej wybuchowym chłopakiem.

– Dałeś mu ten film? – spytała Karla z błyskiem w oku.

– Tak, kiedy przyszedł po towar – odparł Concannon z radosnym uśmiechem. – Randżit od czasu do czasu wracał potajemnie do miasta i zawsze kupował u mnie. Powiedziałem temu awanturnikowi, że Randżit pojawi się w przebraniu w nocnym klubie w Bandrze.

– Czyli go wydałeś.

– Nie tylko. Dałem temu młodemu dzikusowi prezent. Osobiście zawiązałem na nim kokardkę. I tak mieliśmy film, odwiedziny Randżita w nocnym klubie i nieoznakowaną broń pełną nieoznakowanych naboi. Resztę zrobiła ludzka natura.

Karla uścisnęła mi ramię.

– Zjawiłeś się tutaj, żeby powiedzieć, że wrobiłeś mojego byłego męża?

– Zjawiłem się, żeby ostrzec twojego chłopaka – powiedział Concannon, prostując się.

– I zabierzesz to ostrzeżenie do domu.

– No i znowu to samo! – jęknął z wesołą desperacją. – W całym tym mieście pełnym wrzeszczących pogan z tobą najtrudniej się zaprzyjaźnić. Znam katów, którzy są zabawniejsi od ciebie. Usiłuję ci powiedzieć, że się zmieniłem.

– Nie dostrzegam zmiany. Nadal oddychasz.

– Znowu te podłe myśli. Słuchaj, skończyłem z tym. Jestem teraz biznesmenem i mam na to papiery. Fakt, że nie mam do ciebie urazy za ostatnie, chyba powinien to

potwierdzać.

– Ty się nigdy nie nauczysz, co?

– Przecież się nauczyłem! Właśnie to usiłuję ci powiedzieć. Po naszej bójce przemyślałem sobie wszystko. Ale naprawdę wszystko. Byłem ranny. Ramię nie zagoiło mi się dobrze i nie jest już takie sprawne jak dawniej. Straciłem refleks i nigdy nie będę walczył jak kiedyś. Jeszcze nigdy nie dopuściłem nikogo tak blisko, żeby mnie pokonał, i to mną wstrząsnęło. Moje doświadczenie typu droga do Damaszku nastąpiło w tym magazynie w Bombaju, a z konia strącił mnie australijski zbieg. Przeszedłem przemianę. Teraz jestem biznesmenem.

– Jakim biznesmenem? – spytała Karla, rozluźniając chwyt na moim ramieniu.

– Włożyłem wszystkie pieniądze w spółkę z Dennisem.

– Śpiącym Babą?

– Tym samym. Pewnego pięknego dnia zacząłem myśleć o tym przysłowiu, no wiesz, że jeśli posiedzisz spokojnie nad rzeką, w końcu przepłyną obok ciebie ciała twoich wrogów.

Pomyślałem, że chcę zobaczyć, jak przepływa obok mnie Concannon na falach Gangesu.

– I przyszło mi do głowy, w kolejnym epizodzie typu droga do Damaszku, że to nie jest rzeka, tylko nierdzewna stal. Stół przedsiębiorcy pogrzebowego, rozumiesz? No, więc razem z Dennisem kupiliśmy dom pogrzebowy i teraz w nim pracujemy. Już przez mój stół przepłynął jeden z moich wrogów. Ależ się wtedy uśmiałem po pijaku, pięknie go przystrajając do pochówku.

– Dennis na to poszedł?

– Jesteśmy jak stworzeni dla siebie. Wiem, jak wyglądają trupy, a on wie, jak się czują. Nigdy nie widziałem człowieka, który by się delikatniej obchodził ze zmarłymi. Nazywa ich śpiącymi i przemawia do nich, jakby naprawdę spali. To bardzo serdeczne. Bardzo czułe. Ale mam pod ręką kij baseballowy na wypadek, gdyby któryś odpowiedział.

Concannon urwał, złożył dłonie o obrzmiałych kostkach w modlitewnej piramidzie.

– Wiem, że to dziwne – taki kat na żywych i umarłych, jak ja, miałby zrezygnować z tego cyrku – ale mówię prawdę. Zmieniłem się, a na dowód tego przyjechałem tutaj, ryzykując, że narażę się na twój wybuch, żeby powiedzieć ci o dwóch rzeczach. Pierwszą już ci powiedziałem – o Randżicie i tej słodkiej dziewczynie.

– A druga rzecz? – wyręczyła mnie Karla.

– Druga rzecz to to, że firma 307 wynajęła jakichś cyngli spoza miasta, żeby zabili dziś w nocy tego Irańczyka Abdullaha. A ponieważ Abdullah się tutaj ukrywa, obaj jesteście narażeni.

– Kiedy przyjadą? – spytałem.

Concannon spojrzał na zegarek i uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Za jakieś trzy godziny. Miałbyś więcej czasu, gdybyś się tak cholernie nie rzucał i pozwolił mi bez przeszkód otworzyć serce.

Podejrzewałem, że Concannon zastawia na nas pułapkę. Nie spodobało mi się to.

– Dlaczego nam to mówisz? – spytała Karla.

– Załatwiam niezałatwione sprawy, panienko. Nigdy nie miałem nic przeciwko twojemu facetowi. Chciałem skłonić tego upartego idiotę, żeby pracował dla mnie, a nie zrobiłbym tego, gdybym nie miał do niego słabości. Źle go traktowałem, bo nienawidziłem Abdullaha, który zwrócił się przeciwko mnie i groził mi śmiercią.

– Przestań mówić o Abdullahu – warknąłem.

– Ale już go nie nienawidzę. Nie zrobił nic złego, ten irański… osobnik. To ja postąpiłem źle i przyznaję to z własnej woli. W każdym razie dziś Irańczyk zakończy życie. A ja znalazłem miejsce, w którym czuję się jak w domu i wiem, że w ten czy inny sposób odnajdę spokój, bo ktoś inny zabije moich wrogów i przyśle mi ich. Będę wśród swoich, by się tak wyrazić. Nie wiem, czy rozumiesz.

– Rozumiemy – powiedziała Karla. Ja milczałem.

– Czy wierzysz, kiedy mówię, że nie mam urazy do żadnego z was i że nie życzę wam źle?

– Nie – rzuciłem. – Żegnaj, Concannon.

– Powiadają, że to pisarz – zauważył Concannon, mrugając do Karli. – Chyba pisze maluśkie książeczki.

– Jest wielką książką – odpaliła Karla. – A ja jestem wielką postacią. Dziękuję, że nas uprzedziłeś. Właściwie jak masz na imię?

– Fergus – palnąłem, uprzedzając go, a on parsknął śmiechem i zeskoczył z samochodu, szeroko rozkładając ramiona.

– Więc jednak mnie lubisz! Wiedziałem! Dźgniesz mnie, jeśli cię uściskam?

– Tak. Nigdy tu nie wracaj.

Powoli opuścił ręce, uśmiechnął się do Karli i wycofał się do samochodu.

– Nie ma sensu wzywać policji – dodał. – Psy dostały mnóstwo kasy za to, żeby nie

patrzyć dziś na tę górę, dopóki Irańczyk nie zginie raz na zawsze.

Uruchomił silnik, dodał gazu i minął nas, wystawiając łokieć przez otwartą szybę.

– Potrzebujecie może dynamitu? – rzucił. – Mam na tyle całe pudełko, a teraz już na nic mi się nie przyda.

– Może następnym razem – odparła Karla z uśmiechem, machając mu ręką.

Reflektory z tyłu jego samochodu schowały się za pierwszym pagórkiem jak nietoperze. Karla odwróciła się szybko do mnie, budząc królowe.

– Nie widzieliśmy Abdullaha na górze, więc jest u Chalida. Musimy go ostrzec.

– Zgoda. A potem Silvana i uczniów. Sytuacja może dosięgnąć Idrissa.

Karla już prawie zaczęła biec do domu Chalida, kiedy ją zatrzymałem.

– Możemy najpierw o czymś porozmawiać?

– Jasne. – Rozluźniła się natychmiast. – Co jest?

– Wiesz, mówiliśmy, że zawsze będziemy razem.

Spojrzała na mnie, trzymając się pod bokiem.

– Nie będę się kryła po dziuplach, Shantaram – powiedziała, mierząc mnie zwężonymi oczami.

– Nie o to mi chodzi. Staram się coś wyjaśnić.

– W tej chwili?

– Jeśli dziś zrobi się gorąco, nie odchodź ode mnie. Stój obok albo za mną. Weź mnie pod rękę, jeśli to będzie konieczne. Jeśli znajdziemy się odwróceni do siebie plecami, ty strzelaj, a ja będę walczyć nożem. Ale działajmy jak jedna osoba, bo jeśli nie, oszaleję, martwiąc się o ciebie.

Parsknęła śmiechem i przytuliła mnie, więc prawdopodobnie część z tego, co powiedziałem, była słuszna.

– Chodźmy – rzuciła gotowa do biegu.

– Czekaj.

– Znowu?

– „Może innym razem”? – zacytowałem jej ostatnie słowa do Concannona.

– No co?

– Powiedziałaś „Może innym razem”, kiedy Concannon proponował nam dynamit.

– Teraz? Wywlekasz to akurat teraz?

– Concannon nie jest facetem typu „następnym razem”. To facet na jeden raz, a druga

połowa planety to prawie wystarczająca odległość od niego.

– Nie wierzysz w odkupienie?

Była urocza, kiedy się ze mną przekomarzała, ale tu chodziło o Concannona, a mordercy już się zbliżali do góry, żeby zabić naszego przyjaciela.

– Nie wierzę Concannonowi – oznajmiłem. – Ani w nawrócenie, ani w to przedsiębiorstwo pogrzebowe. Nie wierzę w ani jedno jego słowo. To może być pułapka.

– I dobrze! – krzyknęła, ruszając sprintem. – Idziesz?

# 83

Na ostatniej prostej ścieżki prowadzącej do domu Chalida w szpalerach drzew usłyszeliśmy muzykę i setki osób śpiewających w wielogłosie. Posiadłość była oświetlona jak więzienie, szperaczami przytwierdzonymi do drzew.

– Jego stadko najwyraźniej się rozrosło – zauważyła Karla cicho, gdy razem zatrzymaliśmy się przed schodkami, patrząc na zalaną światłem werandę. – Niezły chórek.

Otaczające nas drzewa o liściach białych w świetle reflektorów wyglądały jak przerażone szkielety, wznoszące ręce w powietrze. Śpiew był gwałtowny, śpiewacy najwyraźniej upili się wiarą.

Podparty pod boki Chalid wyszedł przez szerokie drzwi na werandę.

Na tle światła, które powoli wypalało nam oczy, wyglądał jak czarna sylwetka. Towarzyszyły mu dwa cienie.

Chalid uniósł rękę i śpiew wiernych ustał. W ciszy rozległy się głosy owadów.

– *Salaam aleikum* – przemówił.

– *Wa aleikum salaam* – odpowiedziałem razem z Karlą.

Gdzieś szczekały bardzo głośne, bardzo duże psy. Taki dźwięk nasuwa myśl o ostrych zębach i ucieczce. Karla wzięła mnie pod rękę. Szczekanie brzmiało zajadle. Chalid znowu uniósł rękę i ucichło.

– Przepraszam, nie to nagranie – powiedział, oddając pilota cieniowi. – Co tu robisz, Lin?

– Przyszliśmy do Abdullaha – odezwała się Karla.

– Co tu robisz, Lin?

– To, co powiedziała Karla – rzuciłem. – Gdzie on jest?

– Abdullah oczyścił się na przyjęcie śmierci, a teraz się modli – oznajmił Chalid. – Nikt nie może mu przeszkadzać, nawet ja. Przebywa sam na sam z Allahem.

– Idą po niego.

– Wiemy. Nie ma tu uczniów. Aśram jest już od jakiegoś czasu zamknięty. Jesteśmy…

Znowu rozległ się żarliwy śpiew, który urwał się w pół mantry.

– Przestań się bawić pilotem, Dżabalah! – krzyknął Chalid przez ramię.

Owady i żaby raz jeszcze stały się słyszalne.

– Jesteśmy gotowi na wojnę – dodał Chalid.

– Gdzie ja to już czytałam? – mruknęła Karla.

Chalid uniósł władczo rękę.

– To ja rozsiałem plotki, że Abdullah tu jest. To ja wywabiłem zabójców z miasta. To pułapka, Lin, a ty mi w nią włazisz.

Znowu rozległo się szczekanie psów.

– Dżabalah! – ryknął Chalid i nagranie ucichło.

Chalid zszedł w ciszy, by stanąć obok nas na ścieżce. Stracił połowę nabytej masy. Znowu ćwiczył. Wyglądał na sprawnego, silnego, pewnego siebie i niebezpiecznego. Najwyraźniej nauczył się siebie kochać.

Wziął moją dłoń w swoją, pochylił się do nas, ale odezwał się do Karli.

– Cześć, Karla – powiedział, ściskając mnie. – Nie mogę cię powitać bezpośrednio na oczach moich ludzi, bo jesteś kobietą w towarzystwie mężczyzny, który nie jest twoim krewnym.

Przytulił mnie mocno do siebie, szepcząc mi do ucha, ze względu na obecność swoich ludzi, lecz kierując te słowa do niej.

– Wyrazy współczucia z powodu straty męża. Musisz natychmiast stąd odejść. Dziś będzie tu wojna.

Cofnął się, ale chwyciłem go za ramię.

– Wiedziałeś i nie ostrzegłeś nas?

– Ostrzegłem cię teraz i powinieneś to przyjąć jako błogosławieństwo. Musicie odejść. Moi luzie są nerwowi. Jeszcze dojdzie do jakiegoś wypadku.

– *Allah hafiz*, Chalid – powiedziała Karla, odciągając mnie.

– Powiedz Abdullahowi… – rzuciłem – powiedz, że jeśli będzie nas potrzebował, jesteśmy tutaj, na górze.

– Powiem, ale będę mógł z nim rozmawiać dopiero wtedy, gdy zacznie się walka – odparł Chalid ze smutkiem. – Niech pokój wam dziś towarzyszy.

Pomachał ręką, ponieważ dotarliśmy już do końca ścieżki i znaleźliśmy się zbyt daleko, żeby mógł mówić szczerze. Pozdrowiliśmy go i ruszyliśmy truchtem w długą wspinaczkę na górę.

Zatrzymałem Karlę. Było ciemno, ale w jej oczach migotały odbicia światła.

– Mogę ci coś powiedzieć?

– Znowu? – rzuciła ze śmiechem.

– Wieczorem może się zrobić gorąco. Jeśli chcesz znaleźć się daleko stąd, zabiorę cię tam, dokąd zechcesz.

– Najpierw ostrzeżmy Idrissa – powiedziała z uśmiechem, ruszając przed siebie.

Ścigałem się z nią przez całą drogę na górę. Mocno zdyszani wpadliśmy na płaskowyż rojący się od uczniów, którzy rozmawiali do późna przy ogniu. Znaleźliśmy Silvana i wymusiliśmy na nim spotkanie z Idrissem w wielkiej grocie.

– Zabójcy – odezwał się Idriss na koniec opowieści.

– Bardzo uzdolnieni – potwierdziłem. – Musimy się stąd ewakuować. Przynajmniej na ten wieczór.

– Oczywiście. Musimy zabrać uczniów w bezpieczne miejsce. Natychmiast wydam instrukcje.

– Ja zostanę i będę bronić tego miejsca – oznajmił Silvano.

– Nie wolno ci – zaprotestował Idriss. – Musisz iść z nami.

– Muszę się sprzeciwić.

– Musisz iść z nami – powtórzył Idriss.

– Tak nakazuje rozsądek – poparłem go. – Jeśli ktoś z dołu będzie usiłował tu uciec, a inni zaczną go gonić, nikt nie będzie bezpieczny.

– Muszę zostać, mistrzu-*ji* – uparł się Silvano. – A ty musisz odejść.

– Można być *zbyt* odważnym, Silvano – napomniał go Idriss. – Tak jak można być zbyt wiernym.

– Wszystkie twoje dzieła są tutaj, ponad pięćdziesiąt pudeł, w większości rozpakowanych. Nie zdążymy zebrać ich, by znieść ze sobą. Zostanę tutaj i będę strzegł twojego dorobku.

Podziwiałem jego oddanie, ale wydawało mi się, że Silvano podejmuje zbyt wielkie ryzyko, godzi się zapłacić zbyt wysoką cenę za słowo pisane. Wtedy odezwała się Karla.

– Zostaniemy z tobą, Silvano.

– Karla! – zacząłem, ale posłała mi w uśmiechu prawdziwą miłość; no i co mogłem zrobić?

– Zdaje się, że masz towarzystwo, Silvano – westchnąłem.

– Zatem załatwione – oznajmił Idriss. – Chodźcie ze mną. Niech studenci jak najszybciej zjawią się ze swoimi najcenniejszymi rzeczami. Zejdziemy dłuższą trasą do świątyni Kali w miejscu, gdzie zaczyna się autostrada. Tam zaczekamy. Kiedy wszystko się uspokoi, wyślij nam wiadomość.

– Źle się czuję z tym, że ta sprawa uderzyła w ciebie. Przepraszam – zwróciłem się do Idrissa.

– Branie odpowiedzialności za decyzje i czyny innych to grzech przeciwko karmie – odparł. – Równie poważny jak unikanie odpowiedzialności za własne decyzje i czyny. Nie ty to spowodowałeś. To nie twoje karmiczne brzemię. Oby nic ci się dziś nie stało. Daję wam błogosławieństwo.

Położył kolejno rękę na naszych głowach, mamrocząc mantry ochronne.

Studenci zebrali swoje prywatne rzeczy do zawiniątek i zebrali się przy ścieżce na dół. Latarki i latarnie kołysały się w ich rękach jak świetliki. Idriss dołączył do nich, odwrócił się, żeby nam pomachać, i ruszył na czele pochodu z długą laską w ręce.

Jeden z uczniów, niejaki Widżaj, postanowił zostać z nami. Był chudy, wysoki i miał na sobie podobne do piżamy bawełniane spodnie i bluzę. Był boso i chodził z bambusową tyczką, sięgającą mu do ramienia. Patrzył na odejście nauczyciela z kamiennym wyrazem młodej, pięknej twarzy. Kiedy się do mnie odwrócił, w jego oczach płonęły Indie.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Spojrzałem na jego tyczkę, przypominając sobie ludzi, z którymi walczyłem w zeszłym roku, od Skorpionów po Concannona, myśląc jednocześnie, że warto by było do tego kijaszka przywiązać nóż.

– Tak – powiedziałem. – Mam zapasowy nóż, jeśli chciałbyś go przywiązać do tej tyczki.

Chłopak cofnął się, obrócił tyczką tak, że zafurkotała, jednocześnie skoczył i zatrzymał bambus o palec od mojego buta.

– Albo… nie – wykrztusiłem.

– Podzielimy się i zajmiemy osobne punkty obserwacyjne? – spytał Silvano.

– Nie! – rzuciliśmy jednocześnie ja i Karla.

– Każdy, kto tu przyjdzie, wejdzie na nasz teren – powiedziałem. – Znajdziemy ukryte miejsce z trasą ewakuacyjną, z którego będziemy widzieć wylot ścieżki. Jeśli ktoś znajdzie się na otwartej przestrzeni, spłoszymy go strzałami i hałasem.

– A jeśli dojdzie do walki?

– Zabijemy ich – odparła Karla – zanim oni zabiją nas. Jesteś królem strzelców, Silvano, a ja też sobie radzę. Będzie dobrze.

– Albo – wtrąciłem – moglibyśmy uciec i przeczekać. Mamy tu wiele kryjówek, a oni nie będą siedzieć wiecznie na tej górze.

– Ja jestem za walką – powiedział uczeń z tyczką.

– A ja za tym, żeby podjąć decyzję, kiedy nadejdzie odpowiednia pora – odparłem.

– Zgadzam się, że musimy mieć dobrą kryjówkę – odezwał się Silvano w zamyśleniu. – Najlepszym punktem obserwacyjnym byłaby jaskinia najbliższa ścieżki.

– Nie ma z niej drugiego wyjścia – zaprotestowałem. – Lubię je mieć.

– Jest – sprzeciwił się Silvano. – Pokażę.

W głębi groty znajdowała się zasłona. Widziałem ją już, ale sądziłem, że to tylko ozdoba zasłaniająca nagi kamień. Silvano odsunął ją i zaprowadził nas przy świetle latarki długim tunelem, naturalnym lub też wykutym. Łączył pierwszą jaskinię z ostatnią.

Wyłoniliśmy się w jaskini Idrissa – bliskiej zarośli dżungli – tylko parę kroków od kryjówki.

– Podoba mi się – oznajmiła Karla. – Kupiłabym tę grotę i w niej mieszkała, gdybym mogła.

– Ja też – zgodziłem się. – Urządźmy się w pierwszej grocie. Nie mamy dużo czasu.

– Nie wiem, jak wy, ale ja jestem głodny – oświadczył Silvano, pocierając brzuch.

Przynieśliśmy do jaskini prowiant, wodę, koce i latarki. Pożarłem talerz jedzenia, które podała mi Karla, nie uświadamiając sobie nawet, co to jest. Ale kiedy głód ucichł, odezwał się strach.

Mając Karlę tuż obok i wiedząc, że zabójcy się zbliżają, nie potrafiłem zagłuszyć instynktu, który darł się na mnie, żebym stąd spieprzał w cholerę. Ale Karla była spokojna i zdecydowana. Skończyła jeść i czyściła broń. Nuciła pod nosem. Kiedy się nad tym zastanawiam, widzę, że zawsze miała odwagę za nas wszystkich.

– Gdzie są skrzynie z pismami Idrissa? – spytałem Silvana.

– W największej jaskini – odpowiedział, kończąc jedzenie.

– Więc postarajmy się, żeby nic się tam nie działo. Od zabłąkanej kuli może wybuchnąć pożar.

– Zgoda.

Widżaj wziął talerz Karli i ustawił go z innymi przed grotą.

– Znam ten las – rzucił Silvano, wstając i się przeciągając. – Przeszukam teren z Widżajem. I muszę do łazienki.

Wyszli i skierowali się w prawo. Szybko zniknęli nam z oczu. Wylot ścieżki wychodzącej na płaskowyż znajdował się po lewej stronie. Tak wiele stóp wydeptało tę ziemię, że jedynie gdzieniegdzie rosła na niej dzika trawa. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, ale noc była jasna i dobrze widzieliśmy rozciągający się na pięćdziesiąt metrów płaskowyż.

Serce biło mi szybko. Zmusiłem je do zwolnienia tempa, ale na myśl o Karli, która może zostać ranna lub trafić w ręce zabójców, tętno znowu mi przyspieszyło. Karla spojrzała na mnie i zauważyła, że boję się o nią.

– Narobić hałasu, uciec i się schować? – rzuciła z pięknym grymasem ironii. – To ma być twoja strategia?

– Karla…

– *Chee, chee!* Czy przy następnym spotkaniu mógłbyś to zachować dla siebie?

– „Ja jestem za walką”, mówi gość z bambusową tyczką – rzuciłem ze śmiechem. – To lepsza strategia? Nie sądzę, żeby warto było o to walczyć.

– Pisarz, który nie wierzy, że spisane słowa mędrca nie są warte, by o nie walczyć?

– Nie. Uciekłem przez okno, bo policjanci mnie gonili, i musiałem zostawić wszystko, co miałem. Dawne moje teksty przepadły, ale ja nadal jestem i nadal piszę. Nie warto poświęcać życia za słowo pisane.

– Jak to?

Kiedy Karla pytała: „Jak to?”, oznaczało to wyzwanie.

– Życie nie jest ważne dlatego, że istnieją święte pisma. Pisma są ważne, ponieważ życie jest święte.

Ofiarowała mi radosne królowe.

– Moja krew! Przygotujmy się.

Ustawiliśmy pudła i worki w wejściu do groty i położyliśmy się tak, żeby widzieć ścieżkę. Karla wzięła mnie za rękę.

– W tej chwili na całej planecie nie ma miejsca, w którym chciałabym być bardziej niż tu – oznajmiła.

Nie mogłem odpowiedzieć, bo usłyszeliśmy pierwszy strzał.

Im dalej jesteś od strzelającego, tym słabszy jest strach. Huk, który z bliska może cię ogłuszyć, z daleka wydaje się pstryknięciem palców. Te pierwsze strzały były jak

klaskanie w dłonie, które po chwili zmieniło się w burzę braw.

Silvano i Widżaj wrócili pospiesznie do groty i przykucnęli obok nas.

– Na dole jest cała armia – rzucił Silvano, słuchając kanonady.

– Dwie armie – odparłem. – I miejmy nadzieję, że tam zostaną.

Strzały wreszcie umilkły. Zapadła cisza, a potem, o parę kroków od nas, huknęło parę razy. Przeciwników było sporo.

Czekaliśmy w ciemnościach, wytężając słuch przy każdej złamanej gałązce, każdym podmuchu wiatru. Minuty upływały w groźnej ciszy, a potem od strony stromej ścieżki dobiegły nas hałasy, stękanie i jęki. Silvano i Widżaj zerwali się i pobiegli, zanim zdążyłem ich ostrzec. Karla też zrobiła ruch, jakby chciała wstać, ale ją przytrzymałem.

U wylotu ścieżki pojawił się człowiek idący na czworakach. Silvano pojawił się jak cień po jego prawej stronie. Mierzył ze strzelby w jego głowę. Mężczyzna podniósł się chwiejnie. Trzymał pistolet. Widżaj zamachnął się tyczką i wytrącił nią broń z ręki przybysza, ale ta wystrzeliła i kula uderzyła w ścianę jaskini niedaleko od miejsca, w którym się przyczailiśmy.

– Dzięki, Shantaram – powiedziała Karla. – Ta kula mogła mnie trafić, gdybym stała.

Mężczyzna jeszcze przez chwilę utrzymywał się na uginających się nogach, po czym upadł twarzą na ziemię. Kiedy podszedłem z Karlą, Widżaj odwrócił go na wznak.

Mężczyzna nie żył.

– Lepiej sprawdź, czy nie przywlókł za sobą ogona – rzuciłem do Silvana.

– Znasz go?

– Nazywał się DaSilva.

– Po czyjej stał stronie?

– Po niewłaściwej. Do samego końca.

Silvano i Widżaj zbiegli truchtem w dół, by sprawdzić, czy w okolicy nie ma maruderów. Ja, wpatrzony w zwłoki, zrozumiałem, że nie mogę zostawić ich w obozie, gdzie nauczał Idriss. Nie miałem wyboru. Musiałem je przenieść. Karla przeniosła dwóch zmarłych – a w każdym razie ja wiedziałem o dwóch. Mnie zdarzyło się przenieść trzech: jednego w więzieniu, jednego w domu przyjaciela i jednego gangstera, który mnie nienawidził, DaSilvę. Ten sprawił nam obojgu najwięcej kłopotów.

– Nie możemy zostawić go tutaj, gdzie znajdą go gliny – powiedziałem.

– Masz rację – zgodziła się Karla. – Taki skandal źle wpływa na myślenie.

– Nie będzie łatwo. Zejście jest strome, a jeszcze ze zwłokami…

– No – mruknęła, rozglądając się dokoła, podparta pod boki.

Owinęliśmy ciało w sari jakiejś uczennicy i związaliśmy mocno. Na obu końcach pakunku zrobiliśmy uchwyty ze sznura.

Właśnie skończyliśmy, gdy wrócili Silvano i Widżaj. Przerażony Widżaj błysnął w mroku oczami białymi jak ostrygi.

– To duch? – wykrztusił, wskazując drżącym palcem zwłoki DaSilvy.

– Mam nadzieję – oznajmiłem. – Zniesiemy go na dół. Nie ma potrzeby, żeby psy dowiedziały się, że tu wlazł.

– Dziękuję – powiedział szybko Silvano. – Pomożemy wam.

– Poradzimy sobie – odparła Karla. – Na dole są nasi przyjaciele. Znają nas, ale was nie, i mogą zacząć strzelać na wasz widok. Będziemy bezpieczniejsi, jeśli zrobimy to bez was. Zostańcie tu i strzeżcie tych ksiąg.

– Dobrze – ustąpił niechętnie Silvano. – Dobrze. Skoro nalegasz.

– No to jazda – rzuciła Karla, ujmując uchwyt upiornego pakunku. – Trzeba dostarczyć paczkę z duchem.

# 84

Zaciągnęliśmy zwłoki DaSilvy na skraj płaskowyżu i ruszyliśmy ścieżką. Ja szedłem pierwszy, biorąc na siebie prawie cały ciężar, Karla podtrzymywała pakunek jak mogła.

Było mi wstyd, że nie mogłem jej oszczędzić tego smutnego i zakazanego występku, który nas czekał. Właściwie wstydziłem się tego bardziej niż samego występku. Pomyślałem o jej dłoniach, o szorstkiej linie, która rani jej skórę, o jej stopach, ocieranych i kaleczonych przy każdym kroku.

– Stać! – rzuciła mniej więcej w połowie drogi.

– Co się stało?

Parę razy odetchnęła głęboko i rozprostowała zmęczone ręce i ramiona.

– Dobra – sapnęła, jedną ręką odgarniając włosy z czoła, drugą trzymając trupa. – To oficjalnie najlepsza randka mojego życia. A teraz możemy znieść nieboszczyka z tej zasranej góry.

Na dole zaniosłem na plecach zwłoki DaSilvy do dworu Chalida. Ścieżka nadal była oświetlona, a drzwi otwarte. Wydawało się, że w środku nikogo nie ma.

Razem weszliśmy po schodach do holu. Położyłem ciało DaSilvy na podłodze i zaczęliśmy je rozpakowywać.

– Co robicie? – spytał stojący za mną Chalid.

Odwróciłem się. Miał broń w ręku.

– *Salaam aleikum,* Chalid – powiedziała Karla z bronią w ręku.

– *Wa aleikum salaam* – odparł. – Co robicie?

– Gdzie Abdullah? – spytałem.

– Nie żyje.

– O nie. Nie. Proszę, nie.

– Oby Allah przyjął jego duszę – szepnęła Karla.

– Na pewno nie żyje? – wykrztusiłem z trudem. – Gdzie jest?

– Kiedy go znalazłem, leżało na nim czterech martwych mężczyzn. Jednym z nich był

Wisznu. Wiedziałem, że ten arogancki drań przyjdzie tu, żeby się napawać zwycięstwem. A teraz nie żyje. Moja firma zagarnie wszystko, co do niego należało.

– Gdzie ciało Abdullaha?

– Z resztą zwłok moich ludzi – wyjaśnił Chalid. – W jadalni. A ja pytam cię po raz ostatni, co tu robicie?

– Ten tutaj zabłąkał się za daleko – powiedziałem, odsłaniając twarz DaSilvy. – Pokazaliśmy mu drogę. To jeden z twoich czy tamtych?

– To człowiek, którego wykorzystaliśmy, żeby zastawić tę pułapkę. Sam do niego strzeliłem, kiedy odegrał swoją rolę, ale udało mu się uciec.

– Już wrócił – powiedziała Karla. – Możemy go tutaj zostawić? Nie chcemy, żeby Idriss miał z tym coś wspólnego.

– Zostawcie go. Moi ludzie wkrótce sprowadzą ciężarówki. Dołączę go do zwłok, które jutro wrzucimy do rynsztoka.

– Nie chcę widzieć ciała Abdullaha. Czy przysięgniesz, że nie żyje?

– *Wallah!*

– Ale ja chcę go zobaczyć – zwróciła się do mnie Karla. – Nie musisz mi towarzyszyć.

Zawsze razem, nigdy osobno – ale czasem to „razem” jest zadaniem dla tylko jednej osoby.

– Pójdę – ustąpiłem, już czując mdłości. – Pójdę.

Chalid wpuścił nas do jadalni, do której przeszliśmy przez gabinet. Cztery ciała leżały równo obok siebie na stole, jak bezdomni śpiący razem na chodniku.

Natychmiast zobaczyłem Abdullaha, którego długie czarne włosy zwisały nad krawędzią stołu. Chciałem się odwrócić. Chciałem uciec. Ta piękna twarz, to waleczne serce, ten ogień na niebie… nie mogłem znieść widoku pustej, zimnej skorupy. Ale Karla podeszła do niego, położyła głowę na jego piersi i zapłakała. Musiałem się poruszyć. Przeszedłem wzdłuż stołu, muskając głowy zmarłych, i ująłem dłoń Abdullaha.

Twarz miał surową i ten widok sprawił mi ulgę. Był ubrany w biel, na której wyraźnie odcinały się wszystkie plamy krwi. Jego czoło było czyste tylko tam, gdzie znajdowała się niegdyś biała czapka. Poza tym cała jego dumna twarz z wyrazistymi brwiami, nosem i brodą sumeryjskiego króla, była zbryzgana krwią. Na jego ciele znajdowały się rany po ciosach noża i kulach, lecz twarz została oszczędzona.

Świadomość, że jego czas się zatrzymał, bolała mnie jak skurcz. Moja nić czasu wibrowała we mnie, lecz jedno z jej włókien umilkło na zawsze. Bolało mnie, że mój przyjaciel nie oddycha, nie żyje, nie kocha. Trudno było patrzeć na człowieka, który tu był, ale już przestał istnieć.

Karla miała rację, zmuszając nas do płaczu. „Jeśli się raz nie pożegnasz – powiedział mi kiedyś irlandzki poeta – to nigdy się nie pożegnasz". A mnie pożegnanie z Abdullahem zajęło dużo czasu.

W końcu puściłem jego martwą dłoń, a wraz z nią rozstałem się z mitem o tym człowieku. Każdy, kto nas opuszcza, zostawia po sobie miejsce, którego nie da się zapełnić.

Karla wróciła ze mną na werandę znowu opanowana, lecz opłakując Abdullaha i wiedząc, że teraz oboje będziemy nosić w sobie pustą jaskinię – jaskinię, w której raz po raz będziemy tonąć w smutku i we wspomnieniach.

Chalid czekał na nas.

– Powinniście się spieszyć – powiedział. – Moja firma jest dziś wyjątkowo nerwowa.

– Twoja firma?

– Firma Chalida, Lin – powiedział Chalid, marszcząc brwi. – Tej nocy odebraliśmy życie Wisznu, a teraz przejmujemy cały jego majątek. Tej nocy narodziła się firma Chalida. Taki był plan. Dokładnie mówiąc – plan Abdullaha, który sam przydzielił sobie rolę przynęty.

– Wiesz co, Chalid… – zacząłem, żeby z nim skończyć, ale urwałem, bo w tej samej chwili z mroku wyłonił się mężczyzna.

– *Salam aleikum,* Shantaram – powiedział Tuareg.

– *Wa aleikum salaam,* Tuareg – odparłem, stając blisko Karli.

– Tuareg pracował dla mnie jako niezależny agent – wyjaśnił Chalid. – Wszystko to jest jego dziełem. A teraz wrócił do domu, do firmy Chalida.

– Ty to wymyśliłeś, Tuareg?

– Tak. I zadbałem, żebyś się w to nie wmieszał, posyłając cię za Irlandczykiem. A to dlatego, że uścisnąłeś mi rękę.

– Żegnaj, Chalid – powiedziałem.

– *Allah hafiz* – dodała Karla, biorąc mnie na schodach pod rękę, bo oboje szliśmy chwiejnie.

– *Khuda hafiz* – odparł Chalid. – Do zobaczenia.

Kiedy dotarliśmy do stóp góry, Karla mnie zatrzymała.

– Masz klucze do Stanu Łaski?

– Zawsze mam klucze do mojego motocykla – odparłem. – Chcesz się przejechać?

– O tak, jedźmy. Jestem tak zdruzgotana, że tylko wolność może mnie uratować.

Pojechaliśmy do świątyni, w której Idriss schronił się z uczniami, i powiedzieliśmy, że niebezpieczeństwo minęło. Idriss wysłał młodego, wysportowanego ucznia, żeby przekazał wiadomość Silvanowi. Przyjęliśmy od mędrca błogosławieństwo i ruszyliśmy dalej.

Przez ostatnią godzinę przed świtem jeździliśmy okrężną trasą donikąd. Motocykl gadał do nas na pustej drodze ze światłami błyskającymi zielenią po obu stronach, ponieważ o tej porze nikt w Bombaju nie stawał na czerwonym.

Zaparkowaliśmy motocykl u wylotu dłuższego, łagodniejszego podejścia na szczyt. Przywiązałem maszynę łańcuchem do młodego drzewka, żeby się nie bała, i ruszyliśmy długą, łagodną, krętą drogą na płaskowyż.

Karla tuliła się do mnie. Ja podtrzymywałem ją, obejmując ją w talii, odejmując trochę ciężaru jej krokom.

– Abdullah – powtórzyła cicho parę razy.

*Abdullah*.

Pamiętałem, jak powiedziała to, żeby nas rozśmieszyć podczas wspinaczki. Pamiętałem czasy, gdy Abdullah był przyjacielem, z którym potrafiłem się śmiać i żartować. Rozpłakaliśmy się razem, nadal idąc.

Dotarliśmy do obozu i znaleźliśmy w nim uczniów, którzy już zajęli się wracaniem do normalności.

– No dobra, tu jest za hałaśliwie – odezwała się Karla, oparta o moje ramię. – Idźmy na pagórek.

Ruszyliśmy do naszego prowizorycznego namiotu na pagórku. Zadbałem o wygodę Karli, która bez protestu osunęła się na poduszkę jak w sen. Po chwili już spała.

Mieliśmy w naszych zapasach dużą butelkę wody. Zmoczyłem ręcznik i oczyściłem rany i otarcia, które najpierw sobie wyobraziłem, a potem znalazłem na dłoniach i stopach Karli.

Od czasu do czasu jęczała, gdy woda wdzierała się do jej snów, ale się nie obudziła.

Gdy oczyściłem jej dłonie i stopy, namaściłem je olejkiem kurkumowym. Był to lek,

który wszyscy na górze używali na skaleczenia i otarcia.

Gdy już wmasowałem go w jej poranione stopy, Karla odwróciła się na bok i zapadła głębiej w unicestwiający sen.

Abdullahu. Abdullahu.

Poszedłem z wodą do lasu, wypróżniłem się, obmyłem, wyszorowałem i wróciłem, by zaleźć Karlę przebudzoną, wpatrzoną w nasz skrawek nieba.

– Wszystko dobrze? – spytałem.

– Tak. Gdzie byłeś?

– Myłem się.

– Po tym, jak oczyściłeś moje rany.

– Lubię higienę.

Usiadłem obok niej, a ona usadowiła się obok mnie.

– Odszedł – powiedziała z twarzą na mojej piersi.

– Odszedł – powtórzyłem.

Dzień uniósł swój błękitny sztandar, życie ocknęło się ze snu: krzyk, śmiech, śmiałe wołanie ptaka na tle nieba, wibrujące historie miłości, opowiadane przez gołębie.

Karla znowu zasnęła, a mnie jej obecność przyniosła spokój taki, jaki tworzy tylko uśpiona miłość, choć myśli o Abdullahu – postrzałowe rany umysłu – nadal krwawiły.

Był zdyscyplinowany, serdeczny do ostatniego tchu dla przyjaciół, bezwzględny tak bardzo, że mógłby zhańbić własny honor, tak jak i ja, na swój sposób.

W końcu zasnąłem, płynąc na fali pocieszających słów, słów Idrissa, które raz po raz przechodziły przez moją głowę jak owce, które nawzajem się liczą.

„Tajemnicą miłości jest to, czym się staniemy – powtarzały słowa. – Tajemnicą miłości jest to, czym się staniemy”. Szmer tych sylab zlał się ze szmerem pierwszego delikatnego deszczu nowej pory monsunowej, który obudził nas następnego ranka. Zranieni przez tę noc, wróciliśmy w ulewie do obozu. Deszcz wypełnił niebo morzem, oczyszczonym na wysokości i spływającym z rozkołysanych na wietrze drzew.

Strumienie figlarnie wytyczały własne drogi, ptaki tuliły się na gałęziach, nie tęskniąc za wolnością lotu. Rośliny, które wyglądały jak cienkie apostrofy, stały się akapitami, pnącza, które w zimie zasnęły jak węże, teraz bezczelnie wiły się w nowej jaskrawej zieleni. Ochrzczony przez niebo świat odrodził się na nowo, a nadzieja spłukała z góry całoroczny kurz i krew.

XV

# 85

Pod koniec tego pierwszego tygodnia deszczu, kiedy Silvano zatańczył z uczniami w mżawce przy jasno świecącym słońcu i nawet Idriss dołączył się na parę kroków, opierając się na długiej lasce, Karla i ja po raz ostatni zeszliśmy z góry.

Nie wiedzieliśmy, że za jakiś rok ta stroma ścieżka zniknie, wymazana przez naturę. Nie wiedzieliśmy, że płaskowyż z jaskiniami zarośnie wkrótce po tym, jak Idriss i jego uczniowie zwiną obozowisko i odejdą do Waranasi.

Nie wiedzieliśmy, że widzimy go po raz ostatni. Przez całą drogę w dół kipieliśmy opowieściami o nim, nieświadomi, że już stał się duchem filozofii, który będzie obecny tylko we wspomnieniach i w ideach. Nie wiedzieliśmy, że straciliśmy Idrissa tak samo jak Abdullaha.

Ścigaliśmy się z czarną chmurą aż do początków półwyspu, do Metro Junction, i zaparkowaliśmy motocykl pod łukiem hotelu Amritsar akurat w chwili, gdy rozpętała się nowa burza.

Nawałnica uderzyła z obu stron krużganka; przywarliśmy do siebie, śmiejąc się pod uderzeniami wodnych biczów. Gdy burza ustała, razem wytarliśmy motocykl. Karla przemawiała do niego jak mototerapeutka.

Weszliśmy do hotelu; przez tych kilka tygodni naszego pobytu na górze wiele się tu zmieniło. Tam, gdzie znajdowała się tajna skrytka Dżaswanta, ujrzeliśmy szklane drzwi lodówki. Dżaswant zachował swój szpanerski fotel, ale drewniany blat recepcji zastąpił kontuarem ze szkła i z syntetycznego laminatu. Sam Dżaswant miał na sobie szpanerski garnitur z krawatem.

– Co tu się wyrabia, Dżaswant, do cholery? – spytałem.

– Musisz się godzić ze zmianą, człowieku – poinformował mnie Dżaswant. – Witam – zwrócił się do Karli. – Jak cudownie znowu panią widzieć!

– Ładny garnitur – odpowiedziała.

– Dziękuję. Jak pani sądzi, dobrze leży?

– Bardzo cię wyszczupla. Chodź się przywitać, ale uważaj, ociekam wodą.

Ja nadal posyłałem mroczne spojrzenia jaśniejącemu nowością kontuarowi.

– O co chodzi? – spytał Dżaswant.

– Twoja recepcja wygląda jak stanowisko linii lotniczych.

– No i?

– Do stanowiska linii lotniczych podchodzi się z konieczności, nie dla przyjemności.

– Możesz odwiedzać stare biurko, kiedy tylko zechcesz. Oleg je kupił. Stoi w twoim apartamencie.

– Oleg! Cholera, dobry jest. Wyprzedził mnie.

– Nowy kontuar jest w porządku – oznajmiła Karla. – Postaw jakąś roślinę na górnej półce, obok niej połóż ładną dużą muszlę, a na niższej półce szklany przycisk do papieru. To złagodzi ten wygląd. Mogę ci pożyczyć muszlę i szklaną kulę z dmuchawcem w środku.

– Serio? Bardzo bym chciał.

– Nie ma tu rumu – powiedziałem, ścierając mgiełkę ze szklanych drzwi nowej szafkowej lodówki. – Ani sera.

– Mamy nowe menu – odparł Dżaswant, rzucając laminowaną kartę na laminowany blat linii lotniczych.

Nie zaszczyciłem jej spojrzeniem.

– Lubiłem stare menu.

– Nie mieliśmy starego menu – zauważył stropiony Dżaswant.

– No właśnie.

– Biuro Zaginionej Miłości ściąga tu mnóstwo ludzi i chciałem im zaprezentować właściwy korporacyjny *image*. Musisz nadążać za czasami, Lin.

– Wolę, żeby czasy nadążały za mną.

– Uprzedzam, że zastanawiałam się nad poczynieniem pewnych zmian w moim apartamencie – odezwała się Karla.

– Zmian? – podchwycił czujnie Dżaswant, przedzierzgając się w przedsiębiorcę w krawacie.

Przez parę następnych dni Karla rozmontowywała beduiński namiot i malowała ściany na czerwono, z czarnym obramowaniem drzwi. Dżaswant nie narzekał, bo to on sprzedał nam farby. Karla wycięła zdjęcia z pism naukowych i oprawiła je w hollywoodzkie złote ramy. Oprawiła też pióro, liść i stronę z tomiku poezji, którą znalazła, niesioną wiatrem, na cichej uliczce.

*Deszcz błagania*

*Potem*
*gdy nie jestem z tobą,*
*a ty czujesz się tak samotna,*
*że zaczynasz liczyć gwoździe w sercu,*
*najeżonym nimi jak drzwi skarbca,*
*kiedy ułożysz swoje milczenie*
*we flakonie godziny,*
*wspomnienia w naszych rękach*
*i kolec śmiechu,*
*dodający barwy moim oczom,*
*kiedy usadowisz się u; wezbranym biciu serca,*
*purpurowej fali marzeń na jawie,*
*chlupoczącej o wybrzeża miłości,*
*a twoja przesycona perfumami skóra*
*śpiewa, oddając się myśli o mnie:*
*„Jak mimozy pragną monsunu,*
*tak ja pragnę ciebie,*
*jak kwiaty szkarłatnego kaktusa pragną księżyca,*
*tak ja pragnę ciebie”,*
*w moim potem,*
*gdy nie ma mnie z tobą,*
*odwracam głowę ku oknu życia*
*i błagam o deszcz.*

Karla oprawiła w czarne barokowe ramy wielkie zdjęcia Petry Kelly i Idy Łupino, swoich idolek. Wniosła rośliny z balkonu do pokoju i postawiła je w każdym kącie. Tylko kilka zostawiła na zewnątrz, by oglądały się za słońcem.

Zdaje się, że usiłowała odtworzyć górski las w hotelowym apartamencie i całkiem nieźle jej się to udało. W salonie nie było takiego miejsca, w którym nie widziało się roślin albo nie czuło się ich dotyku.

No i postawiła długą, smukłą, stylizowaną rzeźbę trojańskiego żołnierza autorstwa Tadża. Usiłowałem zasłonić ją rośliną, ale Karla mi nie pozwoliła.

– Serio? To przez tego gościa odeszłaś z galerii.

– To dobry rzeźbiarz – odparła, poprawiając przeklętego żołnierza – choć mamy człowiek.

Zrobiłem z żołnierza wieszak na kapelusze. W tym celu musiałem kupić kapelusz, ale

było warto. I stopniowo sytuacja zaczęła osiągać coś w rodzaju spokoju, który zaczyna nam wystarczać, gdy wie się wystarczająco wiele o wystarczająco wielu złych rzeczach.

Zielony apartament Olega – bo ściany moich pokoi zaczęły pasować do kanapy – cieszył się wielką popularnością. Karla i ja byliśmy na paru jego imprezach i dobrze się bawiliśmy. Kilka innych spędziliśmy, śmiejąc się z wariackich rozmów prowadzonych podniesionymi głosami za ścianą, która transmitowała je nam w wysokiej niewierności.

Młody Rosjanin zapomniał o Irinie, którą nazywał swoją Karleszą. Jej zdjęcia, które rozdał kelnerom u Leopolda, pofałdowały się i spłowiały, a on już nie pytał, czy ją widzieli.

– Dlaczego nazywasz Irinę Karleszą? – spytałem go kiedyś.

– Kochałem kiedyś inną Irinę – wyjaśnił, a jego nieustanny uśmiech zgasł na chwilę w półświetle wspomnienia. – Była moją pierwszą miłością. Po raz pierwszy zakochałem się na zabój. Oboje mieliśmy po szesnaście lat. Rozstaliśmy się po roku, ale nadal czuję, że zdradzam tę pierwszą Irinę, kiedy wypowiadam jej imię. Karlesza to pieszczotliwy przydomek, którym mój ojciec nazywał swoją siostrę, a moją ciotkę. Zawsze mi się podobał.

– Więc… nie czułeś, że zdradzasz Elenę, spotykając się z Iriną, ale uważasz, że jesteś niewierny swojej pierwszej miłości, wypowiadając jej imię?

– Niewiernym można być tylko wobec kogoś, kogo się kocha – odparł, zaskoczony moją ignorancją. – A ja nigdy nie kochałem Eleny. Kochałem Irinę i kocham Karleszę.

– A dziewczęta, które przewijają się przez twój zielony pokój?

– Straciłem nadzieję, że kiedykolwiek zobaczę Karleszę – wyjaśnił, odwracając wzrok. – Podkoszulkowy trik Didiera nie zadziałał. Może nie było nam pisane.

– Myślisz, że zakochasz się w którejś z tych dziewczyn?

– Nie – rzucił szybko, znowu się rozjaśniając. – Jestem Rosjaninem. My, R-ludzie, kochamy na zabój. Dlatego nasza literatura i muzyka są tak szalone z namiętności.

Oleg też pracował z Naveenem jak szalony i z wielką namiętnością. Razem tworzyli dobraną parę. Didier zajął się wraz z nimi sprawą, która zwróciła na siebie uwagę opinii publicznej, gdy połączyli zagubionych kochanków i przy okazji odkryli gang handlarzy żywym towarem, co doprowadziło do jego likwidacji i wielu aresztowań.

Od tej sprawy Didier, niebezpieczny zblazowany Francuz, zaczął poświęcać więcej czasu i powagi Biuru Zaginionej Miłości, a kiedy nie urzędował u Leopolda, zawsze

przebywał z młodymi detektywami, pracując nad *szokująco pilną* sprawą.

Vinson sprzedał swój narkotykowy interes konkurencji i wrócił z Rannveig do aśramu. Po paru tygodniach szorowania podłóg napisał do Karli, że nie nawiązał prawdziwej więzi ze świętymi mędrcami z aśramu, za to dogadał się z ogrodnikami, którzy hodują dla nich marihuanę. Był zadowolony i pracował z Rannveig nad nowym planem biznesowym.

Firma Chalida nie finansowała żadnych filmów, a kiedy pewien policjant zginął na południu, zawieszenie broni między bandytami z policji i bandytami z gangu zostało zerwane. Dilip Błyskawica pracował na trzy zmiany, bo liczba więźniów ciągle rosła.

Pewna dziennikarka została pobita pod własnymi drzwiami za mówienie prawdy, pewien polityk został pobity we własnym domu za to, że nie chciał skłamać. Awantury policji z firmą Chalida podczas spraw w sądzie stały się codziennością i czasem przeradzały się w zamieszki. Firma twierdziła, że wszystkie wyroki są podyktowane uprzedzeniami religijnymi, policja upierała się, że każdy cios był usiłowaniem zabójstwa.

Tron Chalida zaczynał się chwiać i nie było Abdullaha, który by go podparł. Mistyk, który stał się mafijnym bossem, tracił panowanie nad swoją organizacją. Jego niepotrzebna przemoc była obelgą dla nieuczciwego bezprawia i cały półświatek chciał, żeby to się skończyło.

Nie mogliśmy powstrzymać Chalida, ale sprawa z Dilipem Błyskawicą miała się inaczej. Karla powiedziała, że ma dla mnie prezent urodzinowy i chce mi go dać wcześniej.

– Nie obchodzę…

– Urodzin, wiem. Chcesz wiedzieć, co to za prezent, czy nie?

– Chcę.

– Policjant, którego mamy na fetyszowych nagraniach, to Dilip Błyskawica.

Karma to młot, nie piórko, przypomniało mi się jej powiedzenie.

– Bardzo ciekawe.

– Chcesz wiedzieć, co jest jego fetyszem?

– Nie.

– To ma coś wspólnego z folią.

– Przestań.

– Która krępuje całe ciało oprócz krępującego organu – i ust.

– Dobra, dość.

– A w pewnym momencie dziewczyna musiała mu przetrzepać klejnoty packą na muchy.

– Karla.

– Oczywiście plastikową, a potem…

Zatkałem sobie uszy palcami i śpiewałem, aż przestała. Dziecinna, niepoważna i skuteczna metoda.

– Dobra. Ponieważ to twój prezent urodzinowy, którym możemy zmusić Dilipa do wszystkiego, co chciałbyś zrobić z tym filmem? – spytała Karla z niegodziwym uśmieszkiem zrodzonym z buntu.

– Przypuszczam, że już to przemyślałaś.

– Moim zdaniem powinien odejść na emeryturę, uprzednio powiedziawszy, jak bardzo mu przykro za to, że znęcał się nad więźniami. Powinien odejść w hańbie i pozbawiony emerytury.

– Fajnie.

– Dilip od lat kopał sobie własny grób, kopniak za kopniakiem. Uważam, że już czas, żeby w niego wpadł.

– Kiedy?

– Poproszę Nie Ma Problemu, żeby jutro dostarczyli mu wiadomość z dwudziestoczterogodzinnym terminem rezygnacji. Jeśli jej nie złoży, upublicznimy nagranie. Brzmi dobrze?

– Nie ma problemu – powiedziałem z uśmiechem. Cieszyłem się, że się go pozbędę, i zastanawiałem się, kim będzie następny Dilip Błyskawica i ile jeszcze będziemy musieli zapłacić.

– Uważam też, że powinien odejść na emeryturę do jakiejś dalekiej wioski – dodała Karla w zamyśleniu. – Najlepiej tej, z której przyjechał. Jestem pewna, że ludzie, którzy znali go od małego, będą wiedzieć, co z nim zrobić.

– A jeśli dobrze go znają, zrobią to w odosobnionym miejscu.

# 86

George Bliźniak leżał w specjalnie wyposażonym pokoju na ostatnim piętrze hotelu Mahesh. Czuwali nad nim George Skorpion i zastępy lekarzy. Hotel dzięki międzynarodowym kontaktom zapewnił specjalistów, a Skorpion wynajął lekarzy z najlepszych szpitali w Indiach.

Wydawało się, że nic już nie pomoże Bliźniakowi, którego chude ciało z każdym dniem traciło siły – a jednak pacjent zawsze witał nowego specjalistę uśmiechem i żartem.

Spotkanie z Bliźniakiem okupiliśmy cierpieniem, bo nikt poza nami nie został na tyle długo, żeby wysłuchiwać męczącego Skorpiona.

– Odstawiłem jedzenie – mówił Skorpion, stojąc z nami pod drzwiami pokoju Bliźniaka. – I zrobił mi się pęcherz na stopie od chodzenia i martwienia się o Bliźniaka. I dobrze mi tak, bo to wszystko moja wina.

– Nie dręcz się – powiedziała Karla, biorąc go za rękę. – Nikt ci niczego nie zarzuca.

– Ale to naprawdę moja wina. Gdybym nie szukał tego świętego mędrca, Bliźniak nie nabawiłby się dengi i byłby zdrowiuteńki.

– Nikt nie kocha Bliźniaka bardziej niż ty – odparła Karla, otwierając drzwi. – I on o tym wie.

Bliźniak leżał na w pełni zautomatyzowanym łóżku szpitalnym. Rurki tkwiły mu w zbyt wielu miejscach. Jego łóżko pokrywał nowy plastikowy namiot. Dwie pielęgniarki sprawdzały ekrany urządzeń stojących po lewej stronie łóżka.

Bliźniak uśmiechnął się do nas. Źle wyglądał. Jego chude ciało miało kolor miąższu persymony, a kiedy się uśmiechnął, pod skórą jego twarzy pojawiły się zarysy czaszki.

– Cześć, Karla! – powiedział wesoło, choć jego głos brzmiał słabo. – Cześć, Lin, stary. Tak się cieszę, że przyszliście!

– Cholernie dobrze cię znowu widzieć, człowieku – powiedziałem, machając do niego przez plastik namiotu.

– Może zagramy? – spytała Karla. – Chyba że te lekarstwa cię spowolniły.

– Nie mogę jeszcze grać w karty, choć bardzo bym chciał. Leżę pod tym namiotem od paru tygodni, bo oni ciągle boją się go zdjąć. Podobno mój system immunologiczny padł. Te maszyny są chyba tylko na pokaz. Utrzymują mnie przy życiu dzięki gumkom recepturkom i dobroci. Moje organy wysiadają po kolei, jak ludzie z pociągu, czujecie to?

– Boli cię?

Bliźniak uśmiechnął się do Karli bardzo powoli – światło słońca przeganiające cienie z doliny.

– A skąd, kochanie. Dali mi kroplówkę. Tak się robi, jak umierasz, no nie? Wtedy nagle wszystkie prochy stają się legalne i można ich brać, ile dusza zapragnie. To dobra strona złej strony, że tak powiem.

– I tak chciałabym rozegrać z tobą parę rozdań – odparła z uśmiechem – dopóki wszyscy jesteśmy po dobrej stronie.

– Jak powiedziałem, to mój system immunologiczny się załamał. Dlatego mam ten namiot. To ty mogłabyś mi zrobić krzywdę. Śmieszne, no nie?

– George Bliźniak się poddaje? – rzuciła Karla przekornie. – To jasne, że możesz z nami zagrać. Rozdamy, a ja będę trzymała twoje karty, nie patrząc w nie. Chyba mi ufasz, no nie?

Karla nigdy nie oszukiwała w żadnej grze i Bliźniak o tym wiedział.

– Ale najpierw musisz spytać ich – powiedział, wskazując głową pielęgniarki. – Trzymają mnie na krótkiej smyczy.

– Zaczynamy? – spytała Karla, mrugając do pielęgniarek. – A jeśli będą się niepokoić, to przestaniemy. Gdzie karty?

– W górnej szufladzie komody, tuż obok ciebie.

Otworzyłem szufladę. Leżały w niej: talia kart, tani zegarek, mały dzwonek-amulet z bransoletki, order z czasów wojny, który mógł należeć do ojca Bliźniaka, krzyżyk na łańcuszku i portfel wytarty przez uporczywe ubóstwo. Karla przystawiła trzy krzesła do łóżka, ja dałem jej karty. Potasowała je, rozkładając na wolnym krześle. Wzięła karty Bliźniaka i zbliżyła je do plastikowej płachty.

Pielęgniarki przyjrzały się im równie uważnie jak Bliźniak.

– Oznaczymy twoje karty cyframi od jeden do pięciu, od lewej do prawej – zaproponowała Karla. – Jeśli będziesz chciał którąś rzucić, wymień jej numer. Kiedy będziesz miał układ, wymień numery kart, a ja je przełożę, dobrze?

– Chwytam – oznajmił Bliźniak. – Na razie czekam.

Jedna z pielęgniarek klasnęła językiem. Bliźniak obejrzał się na nią. Obie kręciły głowami. Bliźniak znowu spojrzał na nas.

– Po namyśle zmieniam zdanie – powiedział. – Odkładam jedynkę i czwórkę. Daj mi dwie karty.

Pielęgniarki skinęły głowami. Karla wyjęła z talii niechciane karty, pociągnęła dla niego dwie nowe i pokazała mu je. Musiały być dobre, bo i Bliźniak, i pielęgniarki zrobili pokerowe miny.

– Stawiam pięćdziesiąt – rzucił Bliźniak. – Przebij to, jeśli potrafisz. Ja się nigdzie nie spieszę.

– Podnoszę stawkę do stu – odparła Karla. – Tylko się nie napinaj, bo ci rurka pęknie.

– Ja pasuję – oznajmiłem, odkładając karty i zostawiając pojedynek Karli i Bliźniakowi.

– Jestem gotowy – powiedział Bliźniak i niespodziewanie się rozkaszlał. – Czyń swoją powinność.

– Gram, żeby wygrać. Lepiej o tym pamiętaj.

– A pamiętacie tamten wieczór? – spytał Bliźniak, a jego uśmiech był jak zachód słońca w dolinie wczorajszego dnia. – Ta parapetówka, którą wyprawiliśmy ze Skorpionem… pamiętacie ją?

– Świetna impreza – przyznałem.

– Fajna zabawa – dodała Karla.

– To była najlepsza impreza świata. Nigdy w życiu tak się nie bawiłem.

– Dasz radę. Masz przed sobą jeszcze długą drogę. Czas zarabiać. Płać lub płacz, cwaniaczku.

Zrobiliśmy dla Bliźniaka, co mogliśmy; przy odrobinie pomocy pielęgniarek udało mu się oszukiwać przy każdym rozdaniu. Często go odwiedzaliśmy, ale pod koniec każdych odwiedzin, z dala od pokoju Bliźniaka, kłóciliśmy się ze Skorpionem, żeby przeniósł swojego zodiakalnego bliźniaka do szpitala. Skorpion za każdym razem odmawiał. Miłość ma własną logikę – i własne wpadki.

Na drugim końcu miasta, w innym pokoju, w którym gra toczyła się o życie i śmierć, Farzad, młody fałszerz, zaczął reagować na leczenie. Gdy skrzep w jego mózgu się rozpuścił, Farzad odzyskał mowę i zdolność ruchów. Skurcz, który od czasu do czasu zamykał mu lewe oko, przypominał mu, że pyskowanie groźnym ludziom ma groźne następstwa. Tajemnicze zniknięcie Dilipa Błyskawicy przypominało mu – z

pogodniejszym uśmiechem – że nikt nie uniknie karmy.

Trzy rodziny podzieliły się skarbem, zostawiając jego część na odrestaurowanie połączonych domów. Zachowali wspólną przestrzeń bez zmian, ale stopniowo zdjęli rusztowania, powoli odmalowując i zmieniając wystrój ścian. W końcu ich oczom ukazała się mała bazylika, którą utworzyli podczas poszukiwań. Karli spodobała się plątanina kładek, sięgająca na wysokość trzech pięter nad naszymi głowami, a jeszcze bardziej – radosne współistnienie parsów, hinduistów i muzułmanów. Gdy ja raz w tygodniu siedziałem z Arszanem nad robotą, dopasowując nielegalne dokumenty, które dla niego stworzyłem, do jego nowych, legalnych, Karla z pędzlem lub wiertarką w ręku pracowała na rusztowaniu z rodzinami.

Była rzeką, nie kamieniem, a każdy dzień był kolejnym zakrętem na równinie jutra. Karla została wyrwana z rodziny, która kochała i której miłości była pewna aż do dnia, kiedy jej krewni uwierzyli mężczyźnie – przyjacielowi i sąsiadowi – który ją zgwałcił. Po latach, gdy zabiła gwałciciela i uciekła, zerwała wszelkie więzy ze swoim życiem. Stała się uciekinierką, tańczącą kotką, zieloną wiedźmą, której nie groziło nic z wyjątkiem jej samej – tak samo, jak to było ze mną.

Za pieniądze, które zarobiła na giełdzie, wynajęła ludzi, nowych przyjaciół, nie całkiem obcych, dając im lokale, które wynajęła w hotelu Amritsar. Otoczyła się nową rodziną, bo wielu członków jej starej rodziny, którą znalazła w Bombaju, opuściło Miasto Wysp, umarło lub umierało jak George Bliźniak.

Nie wiem, jak wiele osób zgromadziła w Amritsarze i na ile działała, kierując się nieświadomym instynktem. Ale kiedy pracowała z trzema rodzinami w pałacu poszukiwaczy skarbu, szybko i radośnie dostosowała się do nich, a ja dostrzegłem w niej – i w sobie – głód, który zmienił się w potrzebę. Słowo familia pochodzi od słowa *famulus*, oznaczającego służącego. Pierwotnie familia oznaczała służbę z danego domostwa. Zasadniczo pragnienie posiadania rodziny i ten głód, który powstaje w nas po jej utracie, to nie tylko tęsknota za przynależnością do kogoś, lecz także za przywilejem służenia tym, których kochamy.

# 87

Nadeszła pora zmian. Miasto Wysp zdawało się stroić na nieistniejącą paradę. Pasy rozdzielające lśniły świeżą farbą, naniesioną przez ludzi, którzy przy każdym ruchu pędzla ryzykowali życiem. Zmieniono wystrój sklepów, a kupujący dostosowali się, wymieniając swoją garderobę. Na każdym rogu pojawiły się nowe znaki, zapowiadające stare przywileje. A wszechobecna pleśń, komentarz natury do naszych planów, została zdrapana z budynków i zamalowana.

– Dlaczego nie podoba ci się nowy wygląd? – spytał znajomy właściciel restauracji, przyglądając się z chodnika swojemu świeżo odmalowanemu przybytkowi.

– Podobał mi się stary. Odwaliłeś kawał dobrej roboty, ale podobała mi się fasada, którą udekorowały cztery ostatnie pory monsunowe.

– Dlaczego?

– Lubię rzeczy, które nie stawiają oporu naturze.

– Musisz dotrzymać kroku nowym czasom, – człowieku – oznajmił, wstrzymując oddech i wchodząc do swojej odnowionej restauracji, ponieważ nie można było w niej oddychać i nie stracić przytomności, tak mocny odór farby się w niej unosił.

Moda to komercyjna strona sztuki i nawet Dom Stylu Ahmeda w końcu poddał się tyranii asymilacji. Ręcznie malowany szyld przybrał postać stygmatu skąpstwa – logo. Brzytwy i gniewnie zjeżone pędzle znikły, zastąpione przez szereg produktów pielęgnacyjnych z oznakowaniem zapewniającym, że nie testowano ich na małych króliczkach i nie oślepią ani nie zabiją użytkowników.

Nawet woda po goleniu, Ambrozja Ahmeda, znikła. Na szczęście przybyłem w porę, by ocalić lustro ozdobione zdjęciami darmowych fryzur Ahmeda, z których każde wyglądało jak pośmiertne zdjęcie słusznie zabitego bandyty.

– Tylko nie lustro! – krzyknąłem, zatrzymując małych facetów z wielkimi młotami, którzy już się na nie zamachnęli.

– *Salaam aleikum*, Lin – odezwał się Ahmed. – Robimy tu Nowy Dom Stylu Ahmeda.

– *Wa aleikum salaam.* Tylko nie lustro!

Zasłoniłem lustro własnym ciałem, rozkładając ręce. Karla stanęła obok Ahmeda. Założyła ręce na piersi, a w ogrodach jej oczu czaił się bezczelny uśmieszek.

– Lustro musi zniknąć – oznajmił Ahmed. – Nie pasuje do nowego wystroju.

– To lustro pasuje do każdego wystroju – zaprotestowałem.

– Nie do tego – zaprotestował Ahmed. Wziął ze sterty papierów broszurę i pokazał mi ją.

Obejrzałem zdjęcie i oddałem je.

– Wygląda jak restauracja sushi. Ludzie nie mogą dyskutować o polityce i kłócić się w takim miejscu, nawet jeśli lustro zostanie.

– Nowa polityka. Żadnych kłótni. Ani o politykę, ani o religię, ani o seks.

– Oszalałeś? Cenzura u fryzjera?

Spojrzałem na Karlę, która bawiła się jak królowa.

– Zrozum – rzuciłem błagalnie. – Musi istnieć chociaż jedno miejsce, w którym nikt nikogo nie całuje w dupę.

Ahmed zgromił mnie surowym spojrzeniem.

Nie było to jego własne surowe spojrzenie, lecz surowe spojrzenie jakiegoś przystojnego mężczyzny z fryzurą z falą nad czołem, prosto z katalogu Nowego Domu Stylu.

Przejrzałem zdjęcia, wiedząc, że Ahmed jest z nich prawdopodobnie dumny, bo nielegalnie włączył do swojego katalogu fotografie gwiazd filmowych i znanych biznesmenów, żeby dodać mu blasku. Nie chciałem ranić jego uczuć, ale według mnie te zdjęcia przedstawiały niewłaściwy zestaw ofiar.

– Nie możesz zbić tego lustra, Ahmed.

– Sprzedasz mi je? – odezwała się Karla.

– Serio?

– Tak. Jest na sprzedaż?

– Usunięcie tych zdjęć zajęłoby mi sporo czasu – powiedział Ahmed w zamyśleniu.

– Wolę je ze zdjęciami, jeśli ci to nie przeszkadza. Jest idealne takie, jakie jest.

Kocham cię, Karla, pomyślałem.

– Dobrze. Czy tysiąc rupii, z ceną transportu i instalacji włącznie, wydaje się pani do zaakceptowania?

– Tak – zgodziła się Karla z uśmiechem, podając mu pieniądze. – Mam w moim biurze pustą ścianę i nie mogłam się zdecydować, co na niej powiesić. Jeśli twoi

ludzie zdołają ostrożnie zdjąć lustro i zamontować je dzisiaj w hotelu Amritsar, będę bardzo zobowiązana.

– Załatwione – rzucił Ahmed, dając znak ludziom z młotami, żeby je odłożyli. – Odprowadzę was.

Na ulicy rozejrzał się, by się upewnić, że nikt nas nie podsłuchuje, i pochylił się do nas.

– Nadal przyjmuję zapisy na wizyty domowe – szepnął. – Oczywiście nieoficjalnie, w największej tajemnicy. Nie chcę, żeby ludzie uważali, że stałem się oschły.

– A to dobra wiadomość – powiedziałem.

– Więc gdybyśmy zebrali w naszym domu grupę kłótliwych, bardzo zapalczywych osób, mógłbyś przyjść i stworzyć dawny Dom Stylu Ahmeda?

– Lustro już jest – odparł Ahmed z uśmiechem. – I naprawdę będę tęsknić za niebezpiecznymi dyskusjami.

– Załatwione – oznajmiła Karla, ściskając mu dłoń.

Ahmed spojrzał na mnie, zmarszczył brwi i wyprostował mi kołnierzyk na karku.

– Kiedy wreszcie dokupisz rękawy do tej marynarki?

– Kiedy zaczniesz je sprzedawać w Nowym Domu Stylu – odparłem. – *Allah hafiz*.

– *Salaam, salaam* – rzucił Ahmed ze śmiechem.

Odjechaliśmy, a wtedy Karla powiedziała mi, że to lustro jest moim drugim prezentem urodzinowym, znowu przypominając mi, że to moje urodziny, o których z zadowoleniem zapomniałem.

– Proszę, nie mów nikomu! – krzyknąłem przez ramię.

– Wiem! – odkrzyknęła. – Lubisz świętować cudze urodziny i zapominać o własnych. Twoja tajemnica jest u mnie bezpieczna.

– Kocham cię. Niedawno to pomyślałem. I dzięki za lustro. Naprawdę spełniłaś moje marzenie.

Mieliśmy więcej czasu, żeby jeździć, wspólnie pić i jeść, bo sprzedałem moje kantory Dżagatowi za te dwadzieścia pięć procent, które mi oddał. On zarządzał nimi lepiej ode mnie i zyskiwał więcej pieniędzy, szacunku i dyscypliny waluciarzy. Fakt, że jakiś rok przed zajęciem się kantorami odciął mały palec złodziejowi, który go okradł, pewnie tylko mu pomógł.

Nie mogłem już odwiedzać cioci Półksiężyc na rybnym targu, bo Karla ją podkupiła.

– Mam ci prowadzić księgowość? – upewniła się ciocia Półksiężyc.

– Kto lepiej od ciebie zna się na bezpieczeństwie cudzych pieniędzy? – odparła Karla, stając przed sterczącymi ćwiartkami księżyca.

– To prawda – przyznała ciocia Półksiężyc w zamyśleniu. – Ale to by mogło być dużo pracy.

– Nie aż tak dużo. Nie prowadzimy podwójnej księgowości.

– Jestem przyzwyczajona do moich stałych gości – oznajmiła ciocia Półksiężyc, pochylając się i rozpoczynając orbitalny obrót ku półksiężycowi.

– To, co robisz za zamkniętymi drzwiami, jest twoją sprawą – zapewniła ją Karla. – To, co robisz za otwartymi drzwiami, jest naszą sprawą. Jeśli cię to interesuje, to mam przyjaciela imieniem Randall, który posiada limuzynę. Na ogół parkuje pod moim budynkiem.

– Limuzyna – powtórzyła ciocia Półksiężyc w zamyśleniu.

– Z przyciemnianymi szybami i długim materacem z tyłu.

– Rozważę tę propozycję – zdecydowała ciocia Półksiężyc, bez wysiłku unosząc nogę nad głowę.

Po paru dniach rozważenie propozycji zaprowadziło ją do apartamentu położonego pod naszym w hotelu Amritsar, w którym Karla wynajęła całe piętro.

Biuro cioci Półksiężyc znajdowało się tuż koło dwóch innych, już pomalowanych i wyposażonych. Na drzwiach jednego z nich wisiała tabliczka: „Doradztwo małżeńskie Błękitnego Hidżabu”. Muzułmańska komunistka – lub też komunistyczna muzułmanka – spotkała się z Mehmu wcześniej, niż się spodziewała, i zadzwoniła do Karli z pytaniem, czy oferta jest jeszcze aktualna.

– Na razie nie przyjechała – powiedziałem, kiedy przytwierdzono do drzwi mosiężną tabliczkę.

– Przyjedzie – odparła Karla z uśmiechem. – *Inszallah*.

– A trzeci pokój jest na co?

– Na niespodzianki – zamruczała jak kotka. – Nie masz pojęcia, jakie niespodzianki dla ciebie przygotowałam.

– A mogłabyś mnie zaskoczyć kolacją? Umieram z głodu.

Właśnie jedliśmy kolację w ogrodzie przed bistro w Kolaba Back Bay, kiedy usłyszeliśmy krzyki na ulicy o parę kroków od nas. Samochód zatrzymał się obok mężczyzny na chodniku. Ludzie z samochodu krzyczeli, domagając się zwrotu pieniędzy, które był im winien. Dwaj wysiedli z samochodu.

Patrząc na zamieszanie, uświadomiłem sobie, że tym mężczyzną jest Kesz Zapamiętywacz. Uniósł ręce nad głowę. Dwa osiłki zaczęły go bić.

Karla i ja wstaliśmy od stolika i podeszliśmy do Kesza. Narobiliśmy tyle hałasu, że napastnicy wrócili do samochodu i odjechali.

Karla pomogła Keszowi usiąść z nami przy stole.

– Szklankę wody proszę! – zawołała do kelnera. – Coś ci zrobili, Kesz?

– Nie – odparł, pocierając guz – dowód długu – na czubku głowy. – Pójdę już.

Wstał, ale pociągnęliśmy go na krzesło.

– Zjedz z nami – poprosiła Karla. – Możesz sprawdzić, kto z nas ma lepszą pamięć, ty czy my. Jesteś dobry, ale stawiam na nas.

– Naprawdę nie powinienem…

– Naprawdę powinieneś – powiedziałem, wzywając kelnera.

Kesz dokładnie zgłębił menu, zamknął je i podał swoje typy.

– Risotto z cukinią, czarnymi oliwkami i musem z karczocha – powtórzył kelner – sałata lodowa z sosem z pistacji, pieprzu i imbiru, oraz tiramisu.

– Nie – poprawił Kesz. – Sos z pistacji, pieprzu i imbiru chciałem do rukoli. To numer siedemdziesiąty siódmy z waszego menu. Sałatę lodową podajecie z sosem z cytryny, czosnku, chili, orzechów i awokado, numer siedemdziesiąty szósty z waszego menu.

Kelner otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale przejrzał w pamięci jadłospis i zrozumiał, że to klient ma rację. Odszedł, kręcąc głową.

– Co się stało, Kesz? – spytałem.

– Mam dług – wyjaśnił, uśmiechając się z rozczarowaniem. – Zapamiętywacze nie mają już tego znaczenia, co kiedyś. Ludzie do wszystkiego wykorzystują telefony. Wkrótce wszyscy będą mogli się dowolnie porozumiewać.

– Wiesz co? – rzuciłem, kiedy przyniesiono jedzenie. – Weź taksówkę i przyjedź do hotelu Amritsar. My na motocyklu zdążymy przed tobą.

– Co kombinujesz? – Karla zerknęła na mnie spod rzęs jak koronka.

– Niespodzianki – oznajmiłem, usiłując zamruczeć. – Nie masz pojęcia, jakie niespodzianki dla ciebie przygotowałem.

Na pewno udało mi się zrobić niespodziankę Didierowi, wprowadzając Kesza do jego gabinetu w Amritsarze.

– Nie rozumiem… do czego potrzebujemy jego usług – powiedział Didier,

wyglądający bardzo profesjonalnie za biurkiem obok biurka Naveena.

– Kesz to najlepszy zapamiętywacz na południu – zauważył Naveen, który również wyglądał bardzo zawodowo. – Co ci chodzi po głowie, Lin?

– Pamiętacie, jak się żaliliście, że ludzie lodowacieją, kiedy nagrywacie ich zeznania? Widzą dyktafon i sztywnieją?

– Tak.

– Kesz będzie waszym dyktafonem. Zapamiętuje wszystkie rozmowy. Może być żywym sprzętem nagrywającym. Ludzie będą przy nim swobodnie rozmawiać.

– To mi się podoba! – rzuciła Karla ze śmiechem.

– Serio? – mruknął Didier z powątpiewaniem.

– Ja go zatrudnię, jeśli tego nie zrobisz.

– Zatrudniam go – oznajmił Didier. – Jutro o dziesiątej rano mamy rozmowę z milionerem i jego żoną. Ich córka zaginęła. Możesz przyjść. Ale musisz się prezentować… po dyrektorsku.

– Do zobaczenia – rzuciłem, wypychając Kesza z gabinetu. Na korytarzu dałem mu pieniądze. Nie chciał ich przyjąć.

– Dziś musisz uiścić wszystkie długi – poleciłem. – Nie chcemy, żeby ci faceci się tu zjawili. Od jutra wychodzisz na prostą, pamiętasz? Spłać wszystkich, wyprostuj sytuację i bądź tu o dziewiątej. Przychodź pierwszy, wychodź ostatni. Poradzisz sobie.

Kesz zaczął płakać. Cofnąłem się i oddałem dowodzenie Karli. Przytuliła go, a on szybko się uspokoił.

– Didier powiedział, że masz wyglądać po dyrektorsku – przypomniałem.

– Tak. Spróbuję…

– Do diabła z tym. Ubieraj się, jak chcesz. Zachowuj się naturalnie. Ludzie będą z tobą rozmawiać tak jak ja w tej chwili i będziesz w tym dobry. Jeśli Didier zacznie cię nękać, powiedz, że zakazałem ci ubierać się jak niewolnik.

– On ma rację – poparła mnie Karla. – Bądź sobą, a wszystko się ułoży.

– Dobra – rzuciłem. – Idź i spłać dziś te długi. Oczyść się.

Kesz zszedł po jednym stopniu, zatrzymując się na każdym, jakby osiągał nowy poziom świadomości. Jego głowa znikła mi z oczu za zakrętem schodów.

Przez jakiś czas patrzyłem za nim w zamyśleniu. Potem odwróciłem się i ujrzałem uśmiech Karli.

– Kocham cię, Shantaram – powiedziała, całując mnie.

Jakiś czas później Kesz rozwiązał dwie sprawy w ciągu dwóch tygodni i stał się gwiazdą Biura Zaginionej Miłości. Jego wrażliwość na każdy szczegół i zdolność zapamiętywania wszystkiego okazała się kluczowa w rozwiązywaniu spraw. Żadna rozmowa nie mogła się odbyć bez niego.

Ciocia Półksiężyc i jej pomocnik prowadzili księgi rachunkowe biura i od czasu do czasu przechowywali pieniądze klientów. Ciocia Półksiężyc była sumienną kobietą interesu. Poświęcała dużo czasu na przeprojektowanie planu biznesowego, żeby oszczędzić cudze pieniądze i czas. Dzięki prywatnym sesjom w limuzynie Randalla dbała o spragnionych księżyca klientów. „Talentem jest to, jak używasz talentu", powiedziała mi kiedyś, ilustrując to swoimi talentami.

Vinson i Rannveig wrócili z aśramu wyprani z dumy, ale nie widywaliśmy się z nimi często, bo byli zajęci otwieraniem kawiarni i koniecznymi renowacjami.

Udało nam się oderwać ich od remontu na parę minut.

Karla wzięła Rannveig pod rękę i odprowadziła na bok na babską rozmowę, a mnie zostawiła z Vinsonem w niewykończonej kawiarni.

– Jest… no, znasz takie fale, takie idealne, które płyną i płyną i nie pozwalają ci upaść? – spytał Vinson.

– Nie, ale jeżdżę motocyklem, a to tak, jakby surfować w cywilizacji.

– Znasz takie, wiesz, normalnie wieczne fale?

– Mam zbiornik paliwa. Wiem, jak długo trwa wieczność.

– Nie, mnie chodzi o coś w rodzaju tego pola tendencji, o którym mówił Idriss.

– Mhm.

– Wiesz, jakbym surfował po tej superpozycji, między równie doskonałymi do surfowania falami. Rannveig i Idriss naprawdę otworzyli mi głowę. Czasem czuję, że pomysły mi się z niej wręcz wysypują.

– Cieszę się, że jesteś szczęśliwy. No i ta kawiarnia to świetny pomysł. Szczerze się cieszę ze względu na ciebie i Rannveig. No, to się zbieram. Mieliśmy…

– Ta sprawa z kawiarnią jest niesamowita – rzucił Vinson, wskazując wielkie worki pod ścianą. – No wiesz, gdybym ci wyjaśnił różnicę między odmianą kolumbijską a ziarnem z Ghany, łeb by ci eksplodował.

– Dzięki za ostrzeżenie. Ale wiesz, Karla przyjdzie za chwilę, więc raczej wątpię, żebyśmy mieli czas na tak długą opowieść.

– Jak przyjdzie, zacznę od początku – oznajmił Vinson bezlitośnie.

– Co u Rannveig? – spytałem litościwie.

– Znasz takie fale, człowieku, takie idealne fale, co nie pozwalają ci spaść?

– Bardzo się cieszę, że jesteś szczęśliwy. Jak myślisz, dokąd poszła Karla z Rannveig?

– Powąchaj te ziarna tylko raz – powiedział Vinson, otwierając worek. – Są taicie dobre, że nigdy więcej nie wypijesz kawy.

– To wasz slogan reklamowy?

– Nie, człowieku, nasz slogan to nasza nazwa. Miłość i Wiara, tak się nazywa nasza kawiarnia i taki mamy slogan.

Miał w sobie niewinność, którą Rannveig straciła, gdy jej chłopak umarł z przedawkowania narkotyków, które bezmyślnie sprzedawał Vinson. Niewinność, jaką znowu odnalazła Rannveig w jego gotowości do zmiany, była delikatną prawdą, której imieniem nazwali swoją kawiarnię.

– Powąchaj moje ziarenka – nalegał Vinson.

– Eee… dziękuję, postoję.

– Wąchaj! – rzucił natarczywie, wlokąc do mnie worek jak zwłoki.

– Nie będę ci wąchał ziarenek, Vinson, choćby pochodziły z samego środka Kolumbii. Przestań wlec tutaj to ścierwo.

Vinson odstawił worek pod ścianę akurat wtedy, gdy Karla i Rannveig wróciły do nas.

– Nie chciał powąchać moich ziarenek – poskarżył Vinson.

– Nie chciał? – prychnęła Karla. – Lin, którego znam, to fanatyk kawy.

– Stuart zrobił specjalną mieszankę – oznajmiła Rannveig z dumą. – Nigdy nie piłam lepszej kawy.

– Mam ją w sąsiednim pokoju – poderwał się Vinson, gotów po nią pobiec. – Możesz powąchać, jeśli chcesz.

– Dziękuję, postoję – oznajmiłem szybko. – Czuję ją stąd.

– Mówiłem ci, mój wielkanocny zajączku – powiedział Vinson, tuląc Rannveig. – Ludzie poczują kawę już na chodniku i będą… zahipnotyzowani czy coś.

– Powodzenia – powiedziałem, wyciągając Karlę z remontowanej kawiarni.

– Otworzymy podczas pełni – oznajmiła Rannveig w trakcie uścisku. – Nie zapomnijcie.

Wsiedliśmy na motocykl, ale Karla zatrzymała mnie, zanim uruchomiłem silnik.

– Co poczułeś od Vinsona? – spytała z ręką na moim ramieniu.

– Fale kawowe. A ty od Rannveig?

– Powiedział ci, jak nazwą kawiarnię?

– Tak. Miłość i Wiara. A co?

– Na moje oko on jest miłością, a ona wiarą.

Obok nas zatrzymał się samochód, blokując nam wyjazd. Był to karawan z Dennisem, Przebudzonym Babą, za kierownicą. Obok niego ujrzałem Concannona. Billy Bhasu i Dżamal, Teatr Jednego Aktora, siedzieli z tyłu, obok manekina leżącego w czymś, co przypominało przezroczystą trumnę.

Concannon wystawił łokieć przez okno.

– Poszukiwany – rzucił, szczerząc zęby do Karli. – Żywy lub martwy.

– Z drogi – warknąłem.

– Cześć, Karla – powiedział Dennis. – Miło cię zobaczyć na jawie. Czy spotkaliśmy się, kiedy byłem po drugiej stronie?

– Cześć, Dennis – odparła ze śmiechem, obejmując mnie. – Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, z całą pewnością byłeś najarany. Co ty wyprawiasz?

– Testujemy dynamikę Śpiących podczas transportu w komorze sypialnej – wyjaśnił cierpliwie. – Przymocowałem do manekina specjalne plastry. Wykażą siniaki różnego stopnia. Dzięki temu określimy najbardziej wygodną wyściółkę sypialnych kabin, które dla nich zrobimy.

– Robicie własne trumny? – spytała Karla.

– W rzeczy samej – powiedział, podając chillum Concannonowi. – Musimy. W obecnych kabinach sypialnych Śpiący muszą mieć ściśnięte nogi. W naszych zyskają trochę swobody. To bardzo ważne dla wygody Śpiących.

– Rozumiem – powiedziała z uśmiechem.

– Będą miały puchową wyściółkę z jedwabnym powleczeniem – ciągnął Dennis, trzymając ręce na kierownicy. – I zrobimy je ze szkła, żeby Śpiący mogli mieć do towarzystwa rośliny, małe zwierzątka i owady, buszujące pod ziemią wokół nich.

– Miło.

– Czy mogę przedstawić Billy'ego Bhasu i Dżamala, Teatr Jednego Aktora? – spytał Dennis. – Chłopcy, to Karla-madame.

Billy Bhasu posłał Karli uśmiech, Dżamal zakołysał głową, brzęcząc przykutymi bogami.

Nie mogłem sobie tego odmówić.

– Teatr Jednego Aktora – powiedziałem, kiwając głową Dżamalowi.

– Teatr Jednego Aktora – powtórzył.

Spojrzałem na Karlę. Zrozumiała.

– Teatr Jednego Aktora – rzuciła z uśmiechem.

– Teatr Jednego Aktora – odpowiedział jak na komendę, również uśmiechnięty.

Spojrzałem na Concannona. Chciałem, żeby odjechał, ale on postanowił porozmawiać.

– Zmarli tańczą – rzucił tonem konwersacji.

Przesunąłem spojrzenie na Dennisa za kierownicą karawanu.

– Na pewno powinieneś prowadzić? – spytałem go, usiłując zamknąć Concannonowi gębę.

– Muszę prowadzić – zagrzmiał Dennis. Jego basowy głos odbił się w pojeździe echem. – Concannon nie jest wystarczająco zjarany, żeby kierować karawanem.

– Zmarli potrafią tańczyć – powtórzył Concanon z radosnym uśmiechem. – Naprawdę, wiecie?

– No nie mów – mruknęła Karla, opierając się o mnie.

– Mówię. – Concannon wyszczerzył zęby. – Wiele się nauczyłem w tej pracy. To była prawdziwa edukacja. Na ogół odchodziłem, kiedy jeszcze podrygiwali, i nigdy się na nich nie oglądałem.

– Concannon – przerwał mu Dennis. – Psujesz mój haj, człowieku.

– Ja tylko sobie rozmawiam. Jesteśmy przedsiębiorcami pogrzebowymi, ale to nie znaczy, że nie możemy sobie gawędzić z ludźmi.

– To fakt. Ale jak mam testować ten nowy karawan, skoro nie jestem najarany?

– Ja tylko mówię – oznajmił z uporem Concannon – że te zwłoki podrygują na długo po śmierci, nagle zaczynają się trząść na stole. Jedno ciało, które mieliśmy wczoraj, tańczyło lepiej ode mnie. No, ale tak prawdę mówiąc, to nigdy mnie nie pociągał taniec, skoro można było się bić albo całować.

– Zapal następną chillum – polecił Dennis, wrzucając bieg. – Jeśli nie dbasz o mój haj, posłuchaj manekina. Krzyczy, że chce mu się palić.

Odjechali; przed oczami przesunął nam się namalowany na długich szybach karawanu slogan ich firmy: „Odpoczywająca wieczność”.

– A to ci interesująca paczka – zauważyła Karla.

– Związek stworzony w piekle – burknąłem. – Ale manekin to spoko gość.

# 88

Diva Devnani wezwała nas na spotkanie w swoim biurze. Znajdowało się na Worli Seaface, długim łagodnym luku budynków spoglądających na morze z szerokiego, półkolistego bulwaru. Budynek Divy wyglądał jak górny pokład transatlantyku, z wysokimi, okrągłymi oknami pod pełnymi żaglami i długim balkonem służącym jako reling.

Kiedy drzwi windy się zamknęły, podałem moją piersiówkę Karli, która pociągnęła łyk, zanim ją oddała. Windziarz zerknął na mnie. Podałem mu piersiówkę. Chlusnął sobie w usta rumem, nie dotykając wargami gwintu. Oddał mi alkohol, kołysząc głową na boki.

– Niech Bóg błogosławi wszystkim – powiedział.

– W imieniu wszystkich – odezwała się Karla – niech Bóg błogosławi tobie.

Drzwi windy otworzyły się, ukazując przestrzenie z marmuru i ze szkła, z paroma bardzo ładnymi i bardzo znudzonymi dziewczynami w bardzo obcisłych spódniczkach.

Karla rozmawiała z recepcjonistką, a ja tymczasem zawędrowałem między biurka ze szkła i stali. Dziewczęta słuchały muzyki na słuchawkach, grały w gry wideo i czytały kolorowe pisma. Jedna podniosła na mnie wzrok, przewracając kartkę. Ściszyła muzykę w słuchawkach.

– Mogę pomóc? – warknęła z morderczym spojrzeniem.

– E… ten… tak sobie chodzę – wykrztusiłem, cofając się w stronę Karli.

Recepcjonistka zaprowadziła nas do wnęki z widokiem na drzwi gabinetu Divy. Usiedliśmy w pluszowych fotelach. Obok stał niski stolik z biznesowymi pismami i magazynami, wodą sodową w szklanym dzbanie i orzeszkami ziemnymi w brązowym odlewie dłoni.

Mój wzrok przyciągnęła ta fistaszkodajna dłoń. Wskazałem ją, usiłując zrozumieć, co symbolizuje.

– Tym ci zapłacimy? – szepnąłem do Karli. – A może to zrobiliśmy z ostatnim, który prosił o podwyżkę?

– Trzeba brać, co dają – odparła.

– Cholernie dobre – pochwaliłem z uśmiechem uznania.

Obok nas stanęła wysoka, ładna dziewczyna.

– Napiją się państwo kawy? – spytała.

– Może później, z Divą – odparła Karla. – Dziękuję.

Dziewczyna odeszła, a ja odwróciłem się do Karli.

– Dziwne te dziewczyny.

– Nie takie straszne, jak się malują.

– Nie, chodzi mi o to, że nic nie robią.

– Jak to nic nie robią?

– To wir nieaktywności.

– No i co z tego? Może akurat jest wolniejszy dzień.

– Karla, no weź. Tam siedzi siedem bardzo ładnych dziewczyn i żadna nic nie robi. To dość dziwne.

– Dziwne jest to, że je policzyłeś.

– Przecież…

Drzwi do gabinetu Divy otworzyły się dokładnie na minutę przed umówioną porą naszego spotkania. Wyszła przez nie chmara biznesmenów w podobnych garniturach i z identycznie ambitnymi spojrzeniami.

– Punktualność to czas złodziei – mruknęła Karla, zerkając na zegar i wstając.

Diva stanęła na progu swojego biura, podparta pod boki.

– Wejdźcie – powiedziała, całując Karlę w oba policzki. – Tak bardzo za wami tęskniłam. Dzięki, że przyszliście.

Padła na ogromny fotel za połacią czarnego fortepianu, który skróciła i przerobiła na biurko. Na fortebiurku stało oprawione w srebrne ramki zdjęcie ojca Divy. Nad nim pieniły się kwiaty, roniące żółte płatki na lakierowaną czerń. Kadzidło tliło się na podstawce w kształcie pawiego ogona. Biuro było obszerne, ale przed biurkiem stały tylko dwa fotele. Wszyscy ci z metra cięci biznesmeni stali przez całe spotkanie z Divą. Twarda dziewczyna, pomyślałem. I nic dziwnego.

– No, to było coś – odezwała się Diva. – Mogę wam zaproponować drinka? Bóg mi świadkiem, że ja go potrzebuję.

Wcisnęła guzik na konsoli i sekundę później otworzyły się drzwi. Ładna dziewczyna przeszła przez obszerny pokój, z trudem pokonując śliską podłogę na idiotycznie wysokich obcasach. Po przemarszu na sztywnych nogach zatrzymała się przy biurku z

furkotem krótkiej spódniczki.

– Martini – rzuciła Diva. – Poznaj pannę Karlę i pana Shantarama.

Martini pomachała nam. Wstałem, położyłem prawą rękę na piersi i skłoniłem głowę. To najbardziej uprzejmy sposób powitania kobiety w Indiach, ponieważ wiele tutejszych kobiet nie lubi uścisku dłoni. Martini skłoniła głowę, a ja znowu usiadłem.

– Poproszę manhattan – zadysponowała Diva. – A ty, Karla?

– Dwie miarki wódki z dwiema kostkami lodu proszę.

– Dla mnie woda z cytryną.

Martini obróciła się na wysokokalibrowym obcasie i odeszła powoli; żyrafa w szklanym zoo.

– Pewnie zastanawiacie się, dlaczego was wezwałam – zaczęła Diva, dając mi kolejny powód do zastanowienia, bo się nie zastanawiałem.

– Zastanawiam się – odparła Karla – ale nie nad tym. Przejdziesz do rzeczy, kiedy stanie się wystarczająco rzeczowa, dobrze? Jak się miewasz? Nie widziałyśmy się od wielu tygodni.

– Wszystko dobrze – powiedziała Diva z uśmiechem, prostując się w fotelu, który przy jej drobniutkiej sylwetce wyglądał jak połowa łoża. – Jestem zmęczona, ale zapracowałam sobie na to. Dziś sprzedałam wszystko. Dokładnie wszystko. To było ostatnie z bardzo długiego szeregu spotkań, które odbyły się wczoraj i dziś.

– Jak to: „Sprzedałaś wszystko”? – spytała Karla.

– Wszyscy ci ludzie, którzy zarządzają moimi firmami, mają jako bonus transze udziałów. Powiedziałam im, że jeśli sprzedam firmy, ich udziały staną się bezwartościowe. Ale jeśli oddają mi je, będą mogli zatrzymać firmy i kierować nimi z własnymi radami nadzorczymi i dawać sami sobie premie, nie wydając ani dolara, a ja odejdę.

– Sprytny ruch – pochwaliła Karla. – Jako główny udziałowiec możesz wykorzystać przeciwko nim doroczne zebranie. Za to omija cię proza codziennego dnia. To jakby się upić bez kaca.

– Właśnie! – zgodziła się Diva. Pojawiła się Martini z drinkami.

– Masz jointa? – spytała Diva.

– Tak – powiedziały jednocześnie Karla i Martini, i spojrzały na siebie.

Wydawało mi się, że sytuacja zrobiła się napięta. Ale milczące starcia między pięknymi kobietami są jak kobiece magiczne sztuczki, zbyt szybkie i subtelne dla

męskiego oka i instynktu. Nie wiedziałem, co się dzieje, więc tylko uśmiechałem się do wszystkich.

Karla wyjęła z papierośnicy smukłego jointa i podała go Divie. Martini – długie nogi, zero kieszeni – łypnęła na nią ponuro i odwróciła się gwałtownie. Falbanki jej spódniczki zafalowały jak wodorosty.

– Dzięki – powiedziała Diva. – Z tą chwilą odzyskałam wolność. Gdyby był wieczór, już piłabym szampana. Koktajle mogę tankować cały dzień, ale od szampana mój IQ spada o dwadzieścia punktów, a to głupota, którą rezerwuję na późniejszą porę. A tymczasem – za wolność dla kobiet!

– Wolność dla kobiet! – zawołała Karla.

Diva milczała przez chwilę.

– Źle było? – spytała Karla, wyrywając ją z zamyślenia.

– Wszyscy chcieli władzy – odparła Diva, obracając drinka w dłoniach. – Nie mogli znieść, że u steru stoi kobieta, choć z radością lizaliby buty mężczyźnie.

– Dali ci to do zrozumienia? – spytała Karla.

– Widziałam to w ich oczach na każdym zebraniu. A to, co szeptali za moimi plecami, zawsze do mnie docierało za sprawą zdrajców. Władza w moich rękach była dla nich wypowiedzeniem wojny. Te pasożyty, którym mój ojciec pozwolił zalęgnąć się w firmach, te padalce udające, że o niczym nie wiedzą, kiedy czarnorynkowe pieniądze omal nas nie zrujnowały, zaczęły się robić dokuczliwe. A nawet groźne. Wiesz, o czym mówię?

– Takich jak oni trzeba zmiażdżyć albo zostawić za sobą – oznajmiła Karla. – Mogłaś ich zmiażdżyć, bo ojciec zostawił ci taką władzę. Dlaczego odchodzisz?

– Mój tata dużo zainwestował w akcje energetyczne. To wszystko, co nam zostało. Za firmę budowlaną spłaciliśmy długi, a te akcje nadal mają dużą wartość. Ja nie zaryzykowałabym z ropą naftową i węglem, a on tak, i przykuł mnie do kołowrotka, w którym biegają tysiące ludzi. Nie mogę go zatrzymać.

– Więc nadal jesteś w grze?

– Wychodzę z niej, ale powiedziałam nowym dyrektorom, że za każdy rok, w którym zaczną działać uczciwiej i lepiej, dostaną z powrotem transzę swoich udziałów.

– Jakie masz plany? – spytałem.

– Zatrzymałam jedną firmę i nie zamierzam jej sprzedawać – agencję modelek połączoną z butikiem z sukniami ślubnymi, tym, o którym ci opowiadałam. Dodałam jeszcze biuro doradztwa Ślubnego i nadałam mu nową nazwę. Będę tym kierować.

– Ach… – odezwałem się. – Więc te dziewczyny są modelkami czekającymi na zlecenie.

– Można tak powiedzieć – przyznała Diva, spoglądając na Karlę. – Wiem, że minęło sporo czasu, odkąd o tym rozmawiałyśmy, ale miałam nadzieję, że nadal jesteś zainteresowana. Bardzo bym chciała, żebyś wspierała mnie swoimi pomysłami. Co ty na to?

– Pomysł mi się podobał na etapie projektu – odparła Karla – i cieszę się, że go urzeczywistniasz. Możesz na nas Uczyć, dopóki jesteśmy w mieście. Porozmawiajmy o tym w przyszłym tygodniu podczas kolacji u nas, dobrze?

– Spoko – rzuciła Diva z roztargnieniem. Jej spojrzenie uciekło ku zdjęciu jej ojca w girlandach kwiatów.

Daliśmy jej trochę czasu, bez pośpiechu czekając, aż jej trans się skończy.

– Wiesz, dlaczego chciałam, żeby nazywano mnie Divą? – spytała po chwili, nadal wpatrując się w zdjęcie. – Byłam w łazience na jednej imprezie i usłyszałam, jak moje przyjaciółki nazywają mnie za plecami. Trivia Divya. I wiesz co? Miały rację. Byłam trywialna. Tak. Więc tego wieczoru zmieniłam imię na „Diva” i zmusiłam wszystkich, żeby tak mnie nazywali. Ale wtedy po raz pierwszy poczułam się nietrywialnie, jeśli jest takie słowo.

– „Niezbędna” to właściwe słowo – powiedziała Karla.

Młoda dziedziczka odwróciła się do niej z cichym śmiechem.

– No i dobrze – powiedziała. Wstała, przeciągnęła się i ziewnęła.

Również wstaliśmy, a ona odprowadziła nas do wysokich drzwi gabinetu.

– Tak się cieszę, że jesteś wolna – rzuciła Karla, biorąc ją w objęcia. – Fruń wysoko, mały ptaszku.

Odjechaliśmy na motocyklu, powoli, a nasze myśli biegły dwoma różnymi torami. Ja myślałem o biednej bogatej dziewczynce, która mieszkała w slumsach i rozdała fortunę. Karla – o czym innym.

– Wszystkie te kobiety to byłe dziewczyny do towarzystwa, tylko z klasą – oznajmiła nad moim ramieniem.

– Kto?

– Te ładne panny z biura, które z takim wdziękiem się leniły. To wszystko dziewczyny do towarzystwa. Dominy, dokładnie mówiąc. Specjalistki od fetyszy. Diva wynajęła je na bal fetyszy, ale potem zaproponowała im stałą pracę. Zgodziły się wszystkie. Nie są modelkami. Prowadzą poradnię małżeńską i ślubną.

– Poradzą sobie – mruknąłem. – Dlaczego nie powiedziałaś, kiedy o tym wspomniałem?

– Zatrzymaj motocykl – poprosiła, odrywając się ode mnie.

Zjechałem na pobocze koło przystanku autobusowego.

– Czy ty serio mnie pytasz, dlaczego nie powiedziałam ci, że jedziemy do cyrku byłych dam do towarzystwa? – spytała, muskając oddechem mój kark.

– Hm…

Włączyłem się w ruch i przez chwilę jechałem, ale potem znowu się zatrzymałem, bo Oleg siedział na środku pasa rozdzielającego i grał na gitarze. Zatrzymaliśmy się obok niego.

– Co robisz, Oleszka? – spytała Karla, rzucając mu garść królowych.

– Gram na gitarze – oznajmił, uśmiechając się po rosyjsku.

– To na razie, Oleg – rzuciłem i warknąłem silnikiem.

Karla delikatnie nacisnęła palcem moje ramię i silnik umilkł.

– Dlaczego tutaj? – spytała.

– Akustyka jest tu idealna – odparł. – Morze za mną, a budynki…

– Co grasz? – chciała wiedzieć Karla.

– To piosenka *Let The Day Begin* The Call. Ten gość, Michael Been, to jakby święty rock and roiła. Kocham go. Mogę wam to zagrać?

– Na razie, Oleszka – burknąłem, znowu warcząc silnikiem.

– Może się dosiądziesz? – zaproponowała Karla.

– Serio? – spytaliśmy jednocześnie, Oleg i ja.

– Wyrzucimy cię pod domem. Jedziemy do Dongri.

Oleg usiadł za Karlą, która oplotła mnie nogami, oparłszy stopy o zbiornik benzyny. Oparła się o Olega, który jechał z gitarą na plecach.

W ten sposób minęliśmy kilku policjantów z drogówki, czekających na skrzyżowaniu na parę ofiar z miejskiej dżungli.

– *Vicaru naka* – rzuciłem w marathi. „Nie pytajcie”.

# 89

Karla nie odwiedziła perfumiarskiego bazaru w Dongri ani tej okolicy od pożaru w posiadłości Kadirbaja. Ale ponieważ mieszała własne perfumy, potrzebowała specjalnych olejków. Gdy w końcu poczuła, że może spojrzeć na stronę, którą odwróciła, nie czytając, wpletliśmy się w ściśle tkany dywan ruchu ulicznego, by odwiedzić jej ulubiony sklep tuż koło Mohammed Ali Road.

Wielki Ali, jeden z trzech kuzynów, którzy w jego rodzinie nosili imię Ali – tych pozostałych nazywano Smutny Ali i Rozważny Ali – zaprosił nas do swojego sklepu, proponując, abyśmy ułożyli się wygodnie na poduszkach.

– Podam herbatę, Karla-madame – zaofiarował się Rozważny Ali.

– Dawno się nie widzieliśmy – dodał Smutny Ali. – Tęskniliśmy za panią.

– Mamy gotowe pani olejki, Karla-*madame* – oznajmił Wielki Ali.

Napiliśmy się herbaty, a Karla testowała olejki i słuchała opowieści o egzotycznych zapachach, sprowadzanych z egzotycznych krajów.

Kiedy wychodziliśmy, potężny stary kupiec w bieli spytał, czy mógłby tylko raz powąchać perfumy Karli. Zgodziła się, wysuwając łodygę smukłego nadgarstka, z którego dłoń opadała jak liście deszczu.

Wszyscy handlarze perfum kilka razy zaciągnęli się ze znawstwem zapachem i pokręcili z powątpiewaniem głowami.

– Pewnego dnia – powiedział Wielki Ali, gdy już wychodziliśmy – odkryję tajemnicę twojego bukietu.

– Póki życia, poty nadziei – odparła Karla.

Znowu wyszliśmy na ulicę, na powrót usiedliśmy na motocyklu. Małe fiolki z cennymi aromatami i olejkami brzęczały cicho w czarnym aksamitnym woreczku. Po paru krokach ujrzeliśmy dwóch mężczyzn, których dobrze znaliśmy z dawnych dni Firmy Kadirbaja. Przeszli na chodnik obok nas.

Salar i Azim byli ludźmi ulicy, którzy całe lata spędzili na najniższej kondygnacji hierarchii firmy. Kiedy ulubieńcy zginęli, oni przetrwali na tyle długo, by dotrzeć na wyższe stanowiska w nowej firmie Chalida, zwolnione przez poległych żołnierzy.

Nosili nowe firmowe stroje i nerwowo poprawiali nowe złote łańcuchy i bransolety, jeszcze nienawykli do jarzma posłuszeństwa.

Znali Karlę z czasów, zanim dołączyłem do firmy, i lubili ją. Opowiadali jej śmieszno-straszne historie z życia gangstera, bo wiedzieli, że jej się podobają. I tak było, a ona rewanżowała się im śmieszno-strasznymi historiami z życia złej dziewczyny. Oni śmiali się, odrzucając głowy do tyłu, a ich złote łańcuchy błyskały w wieczornym świetle.

– Na razie, panowie – powiedziałem. – *Allah hafiz*.

– Dokąd idziesz? – spytał Salar.

– Wracam do motocykla na Mohammed Ali Road.

– Odprowadzimy cię. Znamy skrót. Pokażemy ci go.

– Pójdziemy w tę stronę – oznajmiłem. – Zajrzymy jeszcze do paru sklepów. *Allah hafiz*.

– *Khuda hafiz* – odparł Azim, machając nam na do widzenia.

Nie chciałem nigdzie chodzić ani z ludźmi z firmy Chalida, ani z żołnierzami z innych firm. Nie chciałem się cofać. Nawet we wspomnieniach.

Po raz tysięczny pomyślałem o opuszczeniu Miasta Wysp z Karlą i osiedleniu się gdzieś na odległej plaży. W mieście nie można uciec przed firmą. Firma jest miastem. Można przed nią uciec tylko tam, gdzie nie ma nic wartościowego.

Minęliśmy niezbyt liczne zbiorowisko ludzi, i już mieliśmy przejść koło brukowanego wylotu zaułka, kiedy wypadli z niego ludzie, krzykiem rozdzierając jedwabisty spokój.

Zerknąłem na Karlę, żałując, że nie jesteśmy gdzie indziej. Oboje wiedzieliśmy – lub podejrzewaliśmy – że to sprawka Salara i Azima. Znaliśmy ich od lat, ale uliczne wojny gangów nie były już moim problemem i nie musiałem się nimi interesować.

Ale Karla się interesowała; pociągnęła mnie za sobą. Z zaułka prosto na mnie wypadł mężczyzna – Salar, cały zakrwawiony. Miał parę ran kłutych na piersi i brzuchu. Osunął się na mnie, a ja go chwyciłem.

Zerknąłem w głąb zaułka i zobaczyłem Azima, leżącego twarzą w dół. Resztki jego krwi wyciekały na bruk.

– Złapię taksówkę – rzuciła Karla i zniknęła w tłumie.

Salar uniósł rękę z wysiłkiem i tak długo szarpał złoty łańcuszek na szyi, aż go przerwał.

– Dla mojej siostry – wykrztusił, wciskając mi go.

Schowałem łańcuszek do kieszeni i mocno chwyciłem Salara w pasie.

– Nie mogę cię położyć, bracie – powiedziałem. – Chciałbym, ale wtedy nie zdołałbym cię podnieść w jednym kawałku. Karla łapie taksówkę. Trzymaj się, stary.

– Koniec ze mną, Lin. Zostaw mnie. *Y'Allah*, co za ból!

– Nie wiem jak, ale ominęli twoje płuca. Nadal oddychasz. Przeżyjesz, stary, tylko się trzymaj.

Karla nadjechała po dwóch minutach. Otworzyła drzwi taksówki.

Położyliśmy Salara na tylnej kanapie obok mnie. Karla usiadła obok kierowcy.

Nie wiem, ile mu zapłaciła, ale nawet nie mrugnął okiem na widok krwi i zawiózł nas do szpitala w rekordowym czasie, pod prąd.

Przed szpitalem pielęgniarki i sanitariusze położyli Salara na noszach i wwieźli go do środka. Ruszyłem za nimi, ale Karla mnie powstrzymała.

– W tym stanie nie możesz się nigdzie pokazać, kochanie – powiedziała.

Koszula i podkoszulek pod moją kamizelką były przesiąknięte krwią.

Zdjąłem kamizelkę, ale wtedy rozbryzgi krwi na moim podkoszulku wyglądały jeszcze gorzej.

– Do diabła z tym. Musimy zostać z Salarem, dopóki nie pojawią się ludzie z firmy. Ci, którzy go załatwili, mogą chcieć dokończyć robotę, a nie wezwiemy na pomoc policjantów.

– Jedna chwila – poprosiła Karla.

Zatrzymała jakiegoś prawnika, który właśnie mijał nas szybko, w białym kołnierzu, sztywnym od fałszywych założeń, z dokumentami klienta pod pachą.

– Dam dziesięć tysięcy rupii za pańską marynarkę – oznajmiła Karla, pokazując mu wachlarz banknotów.

Prawnik spojrzał na pieniądze, potem na nią i zaczął opróżniać kieszenie marynarki wartej tysiąc rupii. Karla włożyła mi ją, postawiwszy jej kołnierz i odwróciwszy klapy. Polizała palce i wytarła nimi moją twarz.

– Sprawdźmy, co z Salarem – powiedziała, prowadząc mnie do szpitala.

Zaczekaliśmy w korytarzu przed salą operacyjną. Czarno-białe płytki, jak pusta krzyżówka, spotykały się z szarozielonymi ścianami, na których zostały ślady po mopach zmęczonych sprzątaczy. Obowiązek może się stać sługą lub panem, a tam, gdzie rządzi, brak rozważności rodzi cierpienie.

– Wszystko w porządku, mała? – spytałem.

– Tak – powiedziała z uśmiechem. – A u ciebie?

– Ja…

Korytarzem nadeszło czterech młodych gangsterów z firmy Chalida, z daleka roztaczając aurę władzy. Ich przywódca, Faaz-Shah, był gorącokrwistym awanturnikiem, a z jakiegoś powodu na mój widok jego krew zawrzała jeszcze bardziej.

– Co tu, kurwa, robisz? – rzucił, zatrzymując się o parę kroków ode mnie.

Zasłoniłem sobą Karlę, trzymając dłoń na nożu. Znała większość starszych gangsterów z firmy, ale nie młodych zapalczywców.

– *Salaam aleikum* – powiedziałem.

Faaz-Shah zawahał się, szukając w moich oczach czegoś, czego nie mógł znaleźć. Walczyłem obok jego dwóch starszych braci w bitwach z innymi gangami. Walczyłem też u boku Chalida, ich nowego przywódcy. Ale nigdy nie stałem w walce obok Faaz-Shaha.

– *Wa aleikum salaam* – powiedział łagodniej. – Co się stało z Salarem? Co tu robisz?

– Dlaczego was przy nim nie było? – spytałem. – Skąd się o nim dowiedzieliście?

– Mamy swoich ludzi w szpitalu. Wszędzie mamy ludzi.

– Tylko nie w zaułku, gdzie zaatakowano Azima i Salara.

– Azima?

– Kiedy go zobaczyłem, był już martwy. Wykrwawił się.

– Gdzie?

Ci młodzieńcy byli zapalczywi, z tych, którzy łatwo dostrzegają zły humor, choćbyś starał się go ukryć, i łatwo wpadają w gniew.

Nic mi nie groziło, bo po prostu postąpiłem jak należy, a oni prędzej czy później by się o tym dowiedzieli. Ale żaden z nich nie był bezpieczny, gdyby któryś ośmielił się napyskować Karli.

– Karla – zwróciłem się do niej z uśmiechem – mogłabyś poszukać herbaty?

– Z przyjemnością – odparła, uśmiechając się tajemniczo do młodych gangsterów.

– Pierwszy zaułek od Mohammed Ali Road – rzuciłem po jej odejściu. – Od strony bazaru z perfumami, stojąc tyłem do miasta. Spotkaliśmy ich tuż przed faktem.

– Co?

– Byliśmy na bazarze i spotkaliśmy Salara i Azima. Porozmawialiśmy i poszliśmy dalej. Oni poszli skrótem przez zaułki. Kiedy dotarliśmy okrężną trasą do wylotu zaułka, było już po wszystkim. Salar padł mi w ramiona. Ktoś na nich czekał.

Rozchyliłem poły marynarki, pokazując zakrwawiony podkoszulek i znowu je zapiąłem.

Chłopcy stropili się, jak zwykle gangsterzy, kiedy uświadomią sobie, że mają dług honorowy.

– Przywieźliśmy go tutaj taksówką – dodałem, siadając. – Czekaliśmy, żeby się dowiedzieć, czy wszystko z nim dobrze. Możecie się do nas dosiąść, jeśli chcecie. Karla przyniesie herbatę.

– Mamy robotę – odparł Faaz-Shah.

– Czekaliśmy też na kogoś z firmy, kto by popilnował Salara. Nie jest tu bezpieczny. Postaw przy nim człowieka.

– Potrzebuję każdej pary rąk. Jesteś tutaj. Nadal sprzyjasz firmie, tak?

– Czyja to teraz firma?

Faaz-Shah parsknął śmiechem i nagle umilkł, uderzony inną myślą.

– Naprawdę potrzebuję teraz wszystkich ludzi. To mój krewny, wiesz?

– Salar?

– Tak. To mój wuj. Jego rodzina już tu jedzie. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś tu został do czasu, aż tu dotrą.

– Załatwione. I przechowaj to – powiedziałem, wyjmując łańcuszek z kieszeni. – Chciał, żeby oddać to jego siostrze, jeśli nie uda mu się przeżyć.

– Oddam.

Faaz-Shah ostrożnie ujął łańcuszek, jakby spodziewał się, że ozdoba poruszy się w jego dłoni. Potem włożył go do kieszeni. Podniósł na mnie spojrzenie pełne rezerwy.

– Mam u ciebie dług wdzięczności – oznajmił.

– Nie.

– Tak – warknął, zaciskając zęby.

– Świetnie, w takim razie sceduj ten dług na pannę Karlę. Jeśli usłyszysz o czymś, co mogłoby jej zagrozić, ostrzeż ją lub mnie, a będziemy kwita. W porządku?

– W porządku. *Khuda hafiz*.

– *Allah hafiz* – odparłem i odprowadziłem ich wzrokiem, kiedy wymaszerowali jak armia spragniona zemsty.

Cieszyłem się, że już z nimi nie jestem. Cieszyłem się, że teraz noszę rannych, a nie ranię, tak jak Concannon cieszył się, że grzebie ludzi zamiast ich zabijać. W tej szarozielonej ciszy zapach środka dezynfekującego, bielonej pościeli i gorzkich lekarstw stal się nagle zbyt kliniczny i serce mi przyspieszyło.

Przez parę sekund odruchowe emocje poniosły mnie w noc z Faaz-Shahem i innymi, ku wojnie, która jeszcze nie została wypowiedziana. Wróciły do mnie te waleczność i strach, jakbym już przystąpił to bitwy. A potem uświadomiłem sobie, że nie muszę w niej brać udziału. Nie tym razem. Już nigdy.

# 90

Oderwałem się od rozmyślań o przemocy i ujrzałem Karlę, idącą ku mnie powoli długim szpitalnym korytarzem. Towarzyszył jej jakiś mężczyzna – sprzątacz w chłopskim stroju. Twarz Karli promieniała, jej uśmiech zapowiadał tajemnicę, która pragnie zostać wyjawiona.

Karla wskazała mężczyźnie miejsce obok mnie.

– Zdecydowanie musisz poznać tego pana i wysłuchać jego historii – oznajmiła. – Dew, poznaj Shantarama. Shantaram, to jest Dew.

– *Namaste* – powiedziałem. – Miło mi.

– Opowiedz mu, Dew – poprosiła Karla, uśmiechając się do mnie.

– Ale to nie jest bardzo zabawna historia… może zasmucić. Może innym razem – odezwał się Dew i zaczął wstawać, ale łagodnie go posadziliśmy.

– Proszę, opowiedz – ponagliła Karla. – Tak, jak mnie.

– Ale jeśli nie wrócę do pracy, mogą mnie wyrzucić – wyjąkał.

– I dobrze – oznajmiła Karla. – Bo kiedy stąd wyjdziemy, zabierzemy cię ze sobą.

Dew spojrzał na mnie. Uśmiechnąłem się do niego.

– Rób, co każe.

– Nie mogę… Muszę skończyć pracę.

– Najpierw historia – uparła się Karla. – Potem skończymy, żeby zacząć od nowa.

– No, więc tak jak mówiłem, kiedy czekaliśmy na czaj – zaczął, spuszczając wzrok – mam na imię Dew i jestem sadhu.

Dew miał ogoloną głowę i nie nosił żadnych amuletów ani bransoletek. Oprócz uniformu i czapki nie miał na sobie niczego, nawet butów. Był bardzo skromny i szczupły.

Ale jego twarz miała zdecydowane rysy, a w oczach, kiedy je w końcu podniósł, nadal palił się ogień.

Sadhu Sziwy pokrywają się popiołami z krematoriów, rozmawiają z duchami i przywołują demony, nawet jeśli kryją się one tylko w ich głowie. Ciało Dewa wyrażało pokorę, ale jego twarz była niepokonana.

– Kiedyś miałem długie dredy – powiedział w zamyśleniu. – To takie anteny, rozumiecie, dla ludzi, którzy palą. Z dredami nigdy nie wychodziłem bez papierosa. Teraz, gdy mam ogoloną głowę, żaden obcy nie podzieli się ze mną nawet szklanką wody.

– Dlaczego ściąłeś włosy? – spytałem.

– Okryłem się hańbą. Byłem u szczytu swoich możliwości. Pan Sziwa szedł ze mną krok w krok. Węże mnie nie kąsały. Sypiałem z nimi w lesie. Lamparty odwiedzały mnie i budziły pocałunkami. Skorpiony mieszkały w moich włosach, ale mnie nie żądliły. Żaden człowiek nie potrafił bez lęku spojrzeć mi w oczy, gdy się gniewałem.

Urwał i spojrzał na mnie oczami, które nadal widziały dzikość i zmarłych.

– To chciwość, rozumiesz – podjął. – Kluczem jest chciwość. Za chciwością trafisz do grzechu. Ja byłem chciwy władzy. Przekląłem człowieka, cudzoziemca, który napadł mnie na ulicy. Przekląłem go, powiedziałem, że jego bogactwo doprowadzi go do ruiny, a kiedy to zrobiłem, moje moce spłynęły ze mnie jak deszcz z szyby.

Włosy na rękach mi się zjeżyły. Spojrzałem na Karlę siedzącą po drugiej stronie świętego sprzątacza. Pokiwała głową.

– Czy tego dnia spotkałeś dwóch cudzoziemców? – spytałem.

– Tak. Jeden był bardzo uprzejmy. Anglik. Drugi bardzo niegrzeczny, ale żałuję tego, co zrobiłem. Żałuję za wszystkie krzywdy, które mu wyrządziłem. Żałuję, że sprzeniewierzyłem się własnej pokucie. Usiłowałem odnaleźć tego człowieka, ale nie mogłem, choć szukałem wszędzie. Nie udało mi się cofnąć mojej własnej klątwy.

– Dew, my znamy tego człowieka – oznajmiła Karla. – Znamy człowieka, którego przekląłeś. Możemy cię do niego zaprowadzić.

Ogolony sadhu jakby zapadł się w sobie. Przez chwilę oddychał z trudem, potem znowu się wyprostował.

– Naprawdę?

– Tak.

– Wszystko w porządku? – spytałem, kładąc mu rękę na chudym ramieniu.

– Tak, tak – wykrztusił. – *Maa! Maa!*

– Chciałbyś się na chwilę położyć?

– Nie, wszystko w porządku. W porządku. Ja… zagubiłem własną drogę i zacząłem pić. Nie byłem przyzwyczajony do alkoholu. Nigdy go nie używałem. Robiłem złe rzeczy. Potem pewien wielki święty zatrzymał mnie na ulicy i zabrał do swojej

świątyni Kali.

Spojrzał szybko w górę, jakby wynurzał się z wody, by zaczerpnąć powietrza.

– Czy macie pewność, że to ten człowiek, którego przekląłem? – spytał drżącym głosem.

– Tak.

– I zechce się ze mną spotkać? Pozwoli mi zdjąć klątwę?

– Myślę, że tak – zapewniła go Karla.

– Powiadają, że *Maa* Kali jest przerażająca – zwrócił się do mnie, kładąc mi rękę na ramieniu. – Ale tylko dla hipokrytów. Jeśli masz niewinne serce, Ona nie potrafi cię nie kochać. Jest matką wszechświata, a my jesteśmy Jej dziećmi. Jak mogłaby nas nie kochać, skoro stajemy się dla niej niewinni?

Zamilkł, przez chwilę gwałtownie oddychając z ręką na sercu. W końcu odzyskał spokój.

– Na pewno dobrze się czujesz? – spytała Karla.

– Tak. Dzięki *Maa* czuję się dobrze. Tylko trochę mną to wstrząsnęło.

– Jak tu trafiłeś? – spytałem.

– Ogoliłem głowę i przybyłem tutaj, żeby wykonywać najskromniejszą pracę, jaką mogłem znaleźć – służyć bezradnym i przerażonym. A teraz otrzymałem odpowiedź na moje pytania, ponieważ znaleźliście mnie i zaprowadzicie do tego człowieka. Proszę, weźcie to.

Wręczył mi laminowaną wizytówkę, pustą z jednej strony, z symbolem z drugiej. Wsunąłem ją do kieszeni kamizelki.

– Co to jest? – zaciekawiła się Karla.

– *Yantra*. Jeśli spojrzysz na nią z czystym sercem, usunie wszystkie negatywne myśli z twojego umysłu, żebyś mógł podejmować mądre, rozważne wybory.

– Czekamy na wiadomości o naszym przyjacielu. Czy możemy ci coś przynieść?

– Niczego mi nie brakuje – odparł, znowu siadając na ławie. – Czy naprawdę odchodzę z tej pracy?

– Na to wygląda – oznajmiła Karla.

Pojawili się krewni Salara w towarzystwie dwóch żołnierzy firmy. Lekarze przynieśli wiadomości, że Salar przeżyje.

Zabraliśmy Dewa, świętego pokutnika, na najwyższe piętro hotelu Mahesh. Patrzyliśmy, jak Skorpion pada na kolana – tak jak sadhu. Wtedy odwróciliśmy się i

wróciliśmy do windy.

– Wiesz – powiedziała Karla, czekając na kabinę. – To wydarzenie może wzmocnić system immunologiczny Bliźniaka.

– Możliwe – mruknąłem, kiedy rozległ się dzwonek windy.

– Wiem, dokąd teraz pójdziemy – oznajmiła Karla, podając mi piersiówkę.

– Myślisz, że jesteś taka inteligentna? – rzuciłem, zasłaniając zakrwawioną koszulę czarną marynarką prawnika.

– Pójdziemy po twój motocykl. Jest nadal na Mohammed Ali Road, a tobie bardziej zależy na nim niż na umyciu się.

Była mądra i przypominała mi o tym od czasu do czasu przez całą drogę do hotelu Amritsar. Mój odzyskany motocykl mruczał silnikowe mantry.

Po powrocie Karla odświeżyła się, a potem zostawiła łazienkę mnie. Wyjąłem wszystkie przedmioty z kieszeni i położyłem na szerokiej porcelanowej półce pod lustrem. Banknoty były zakrwawione. Klucze stały się czerwone, a monety wypłowiały, jakby zbyt długo leżały w fontannie życzeń. Położyłem obok nich noże w pochwach, rzuciłem na podłogę marynarkę prawnika i zdarłem z siebie koszulę wraz z podkoszulkiem.

Odrzucając je, zauważyłem wizytówkę, którą dostałem od Dewa. Podniosłem ją i odłożyłem na półkę. Po raz pierwszy spojrzałem na swoje odbicie jak na obcego.

Odwróciłem wzrok, żeby nie patrzeć sobie w oczy, i usiłowałem zapomnieć o tym, o czym nie potrafiłem przestać myśleć.

Ten podkoszulek był podarunkiem od Karli. Zrobił go jeden z jej protegowanych artystów, kopiując dzieło artysty znanego z gryzienia płócien, które zapewniały mu chleb.

Cały przód koszulki pokrywały rozcięcia i rozdarcia. Karla zachwycała się tym, bo zachwycała się autorem. Mnie podkoszulek się podobał, bo był ułomny i jedyny w swoim rodzaju.

Zdjąłem go ostrożnie w nadziei, że uda mi się go wyprać, ale kiedy spojrzałem w lustro, upuściłem go do umywalki.

Krew, która przesiąkła przez materiał, zostawiła piętno na mojej piersi. Miało kształt odwróconego trójkąta, otoczonego gwiazdkami. Spojrzałem na wizytówkę Dewa. Nosiła niemal taki sam znak.

Indie.

Kartka wymknęła mi się z palców, a ja wpatrzyłem się w osłupieniu w to, czym się stałem z własnej woli. Spojrzałem na symbol na mojej piersi. Zadałem sobie pytanie, prędzej czy później przychodzące do głowy wszystkim, którzy mieszkają wystarczająco długo w tym kraju.

Czego ode mnie chcecie, Indie? Czego ode mnie chcecie, Indie? Czego ode mnie chcecie?

Zbiegi okoliczności torturowały moje serce, jeden bezsensowny przypadek wydawał mi się istotniejszy od drugiego. „Jeśli spojrzysz na nią z czystym sercem – powiedział sadhu, dając mi wizytówkę. – Mądre, rozważne wybory".

Uciekłem z więzienia, gdzie nie mogłem podejmować decyzji, i ograniczyłem się do jednego wyboru, wszędzie i z każdym z wyjątkiem Karli – zostań albo odejdź.

Czego chcecie ode mnie, Indie?

Co oznaczał ten krwawy znak? Jeśli to wiadomość pisana cudzą krwią, to czy mnie ostrzega? A może to jedna z tych afirmacji, o których mówił Idriss? Czy zacząłem popadać w szaleństwo, doszukując się nieistniejących znaczeń?

Chwiejnie poszedłem pod prysznic i patrzyłem, jak czerwona woda znika w odpływie. W końcu stała się czysta. Zakręciłem ją, ale zostałem w kabinie, oparty o ścianę, z dłońmi na kafelkach i spuszczoną głową.

Czy to wiadomość? – zadałem sobie pytanie, nie pytając. Wiadomość wypisana krwią nam mojej piersi?

Moje noże spadły ze szczękiem na płytki podłogi, wyrywając mnie z zamyślenia. Wyszedłem, żeby je podnieść, i pośliznąłem się na mokrej podłodze. Zacisnąłem dłoń i skaleczyłem się o ostrza.

Odłożyłem noże i znowu się skaleczyłem. Przez całe lata nawet nie drasnąłem się tą bronią. Krew spłynęła do umywalki na wizytówkę, którą do niej upuściłem. Wyjąłem ją i wytarłem. Włożyłem dłoń pod zimną wodę, a potem przycisnąłem skaleczenie ręcznikiem, żeby rana się zamknęła. Umyłem noże i odłożyłem je w bezpieczne miejsce. I dość długo patrzyłem to na wizytówkę, to na swoje odbicie w lustrze.

Znalazłem Karlę na balkonie. Narzuciła na ramiona cienki niebieski szlafrok. Chciałbym ją tak widywać codziennie do końca mojego życia, ale musiałem wyjść. Miałem coś do zrobienia.

– Musimy znowu wyjść – oznajmiłem. – Mam coś do zrobienia.

– Tajemnica! Hej, a skoro o tajemnicach mowa, skąd ten bandaż na twojej ręce?

– Mało ważne. Gotowa? Niedługo wzejdzie słońce.

– Będę gotowa przed tobą – oznajmiła, zrzucając szlafrok. – Mam nadzieję, że nie planujesz nic strasznego.

– Nie.

– Po prostu uważam, że znajdując Dewa dla Skorpiona i Bliźniaka, ponieważ zawieźliśmy Salara do szpitala, ponieważ byliśmy na perfumiarskim bazarze, wykorzystaliśmy nasz przydział karmicznych zbiegów okoliczności. Nie powinniśmy kusić losu.

– To nic strasznego, daję słowo – powiedziałem. – Może niepokojącego. Ale nie strasznego.

Kiedy dotarliśmy do świątyni Hadżiego Alego, perłowe sztandary obwieściły nadejście słońca, króla niebios. Pierwsi pielgrzymi, proszalnicy i petenci ruszyli już ścieżką prowadzącą do świątyni. Żebracy bez kończyn, usadzeni przez swoich pomocników w kółku, skandowali imiona Allaha, a przechodnie rzucali w ich krąg monety lub banknoty. Dzieci, które odwiedziły to miejsce po raz pierwszy w życiu, były ubrane w swoje najlepsze stroje: chłopcy w garniturkach na wzór gwiazdorów filmowych, dziewczynki z włosami ściągniętymi niemiłosiernie w ozdobne plecionki na potylicy. Stanąłem w połowie drogi do świątyni, w połowie drogi do śpiącego świętego.

– Tutaj – powiedziałem.

– Nie zamierzasz się dziś modlić?

– Nie… dzisiaj – odparłem, spoglądając na mijających nas ludzi.

– To co zamierzasz?

W szeregu ludzi nastąpiła przerwa i na parę sekund zostaliśmy sami. Wyjąłem noże z pochew i wrzuciłem je kolejno do wody.

Karla przyglądała się, jak noże wirują w powietrzu i znikają w morzu.

Staliśmy przez chwilę, obserwując fale.

– Co się wydarzyło, Shantaram?

– Właściwie nie wiem.

Podałem jej wizytówkę ze znakiem *yantra*.

– Kiedy zdjąłem koszulę, miałem ten symbol na piersi. Prawie dokładnie taki sam, namalowany krwią Salara.

– Myślisz, że to znak?

– Nie wiem. Zadawałem sobie to samo pytanie i wtedy skaleczyłem się nożem w

dłoń. Więc… więc z tym skończyłem. To dziwne. Nie jestem religijny.

– Ale jesteś uduchowiony.

– Nie. Naprawdę nie.

– Jesteś, tylko o tym nie wiesz. To jedna z rzeczy, które kocham w tobie najbardziej.

Przez jakiś czas milczeliśmy, słuchając fal: dźwięk wiatru w koronach drzew.

– Jeśli myślisz, że wrzucę tam moją broń, to zwariowałeś – odezwała się, przerywając ciszę.

– Zachowaj swoją broń – rzuciłem ze śmiechem. – Ja z tym skończyłem. Jeśli nie zdołam naprawić problemu własnymi rękami, to pewnie zasłużę na to, co mnie spotka. A poza tym ty masz broń, a nigdy się nie rozstajemy.

Karla chciała wrócić do domu okrężną drogą, choć byliśmy nieprzytomni ze zmęczenia, więc wróciliśmy.

Gdy po wystarczająco długiej jeździe Karla przywykła do nieco innego, nowego mnie, wróciliśmy do Amritsaru i zmyliśmy pod prysznicem ostatni pył zwątpienia. Dołączyłem do Karli, palącej jointa w tym samym niebieskim szlafroczku, na tym samym balkonie, z którego odeszliśmy przed godziną.

– Mogłeś trafić w głowę rybę którymś z tych twoich noży – powiedziała – kiedy je wyrzuciłeś.

– Ryby są jak ty, skarbie. Bardzo szybkie.

– To z tymi nożami… to na serio?

– Na serio zamierzam spróbować.

– W takim razie jestem z tobą – powiedziała, całując mnie. – Na całej linii.

– Nawet jeśli będziemy musieli wyjechać z Bombaju?

– Zwłaszcza wtedy.

Karla zasłoniła dzień kotarami i zdjęła szlafrok, by wypróbować lustro z dawnego Domu Stylu Ahmeda. Oboje prezentowali się dobrze. Włączyła funky i zafunkowała mi syrenie falowanie rąk i bioder. Wziąłem ją w ramiona. Zarzuciła mi ręce na szyję i zakołysała się przede mną.

– Oszalejmy trochę – zaproponowała. – Zasłużyliśmy.

# 91

Miłość i wiara, jak nadzieja i sprawiedliwość, to konstelacje w nieskończoności prawdy. I zawsze przyciągają tłumy. Tak wielu rozemocjonowanych wyznawców kofeiny stawiło się w kawiarni Miłość i Wiara w dniu jej otwarcia, że Rannveig zadzwoniła do nas, prosząc, żebyśmy przyszli trochę później, bo sama miłość i wiara nie zagwarantują nam miejsca.

Znaleźliśmy Didiera w Leopoldzie, radośnie obrażanego przez dwóch kelnerów jednocześnie i rewanżującego się im tym samym. Leopold pękał w szwach. Ludzie śmiali się ze wszystkiego i krzyczeli bez powodu z radosną determinacją. Najwyraźniej świetnie się bawili, ale my musieliśmy się zwijać.

– Tylko jeden drink – powiedział Didier błagalnie. – W Miłości i Wierze nie mają alkoholu. Słyszałeś o czymś takim?

– Jeden drink – zgodziła się Karla, siadając obok niego. – I ani jednej huśtawki nastrojów więcej.

– Kelner! – zawołał Didier.

– Myślisz, że ty jeden chcesz pić? – poinformował się Miluś, strzelając szmatą o stolik.

– Dawaj wódę, idioto! – warknął Didier. – Czas mnie goni.

– A ja mam własne życie – odwarknął Miluś i poczłapał dalej.

– Muszę zapisać na twoje konto, że unormowałeś sytuację – powiedziałem do Didiera. – Nie pamiętam, żeby Miluś odzywał się bardziej chamsko.

– Co się zapisuje na konto, czasem trzeba oddać z odsetkami – oznajmił Didier, dumny jak paw.

– Lin jest nieuzbrojony i obnażony na ciosy świata – powiadomiła go Karla. – Dziś rano wyrzucił noże do morza.

– Morze je wypluje – zapewnił ją Didier. – Morze nie potrafi się pogodzić z tym, że wypełzliśmy na ląd. Zapamiętasz moje słowa, Lin. Morze to zazdrosna kobieta bez uroku.

Do naszego stolika podszedł mężczyzna z paczką. Był to Vikrant, nożownik. Przez

chwilę poczułem ukłucie wyrzutów sumienia, że jego doskonale wykonane narzędzia, moje noże, spoczywają na dnie płytkiego morza.

– Cześć, Karla – rzucił. – Lin, szukałem cię. Twój miecz jest gotowy.

Rozwinął materiał, ukazując miecz Kadirbaja. Został scalony złotymi nitami, które stały się oczami dwóch smoków, stykających się ogonami.

Była to piękna praca, ale przypomnienie o tym mieczu sprawiło mi ból. Przez ten rok, wypełniony pobytami na górze i pożarami, udało mi się o nim zapomnieć, co teraz uświadomiłem sobie ze wstydem.

– Teza udowodniona – oznajmił Didier. – Morze jest zazdrosną kobietą. Didier nigdy się nie myli.

– Można obronić chłopca – zauważyła Karla – ale nie można ochłopcować broni.

– Piękna robota – pochwaliłem. – Ile jestem winien?

– To było dzieło miłości – oznajmił, cofając się. – Na mój koszt. Nie zabij tym nikogo. Cześć, Karla.

– Cześć, Vikrant.

Podano drinki i mieliśmy już wnieść toast, ale uniosłem dłoń.

– Przyjrzyjcie się tamtej dziewczynie.

– Lin, niełądnie mówić o innej kobiecie, kiedy w twoim towarzystwie…

– Przyjrzyj się jej, Didier.

– Myślisz, że to ona? – spytała Karla.

– O, tak.

– Kto? – chciał wiedzieć Didier.

– Karlesza – oznajmiła Karla. – Karlesza Olega.

– Czyżby?

Dziewczyna była wysoka i trochę podobna do Karli, z czarnymi włosami i bladozielonymi oczami. Miała na sobie obcisłe czarne dżinsy, czarną motocyklową kurtkę i kowbojskie botki.

– Karlesza – wymamrotała Karla. – Niezły styl.

– Miluś! – zawołałem. Kelner przyczłapał do mnie. – Masz nadal to zdjęcie od Olega?

Miluś z urazą przeszukał kieszenie i wyjął z nich pomięte zdjęcie. Uniósł na wysokość twarzy dziewczyny, siedzącej pięć stolików dalej.

– Zadzwoń do Olega i zgłoś się po nagrodę. To dziewczyna, której szukał.

Miluś przez jakiś czas gapił się na zdjęcie, potem spojrzał na dziewczynę i popędził do telefonu.

– Czy już skończyliśmy? – spytałem.

– Nie chcesz zostać i popatrzeć na spotkanie Olega i Karleszy? – zagadnęła kpiąco Karla.

– Znudziło mi się już bycie ślepym narzędziem losu.

– Ja muszę zobaczyć to spotkanie. I nie ruszycie mnie z tego miejsca, dopóki nie ujrzę go na własne oczy – oznajmił Didier.

– Dobra – mruknąłem, wstając.

Do naszego stolika podszedł mężczyzna. Był niski, chudy, ciemnoskóry i pewny siebie.

– Przepraszam, czy to ciebie nazywają Shantaramem? – spytał.

– Kto pyta? – warknął Didier.

– Nazywam się Tatif i muszę coś przedyskutować z panem Shantaramem.

– Proszę dyskutować – powiedziała Karla, wskazując mnie.

– Słyszałem, że za pieniądze zrobisz wszystko – zaczął Tatif.

– To bardzo obraźliwe – zauważyła Karla z uśmiechem.

– Zdecydowanie – zgodził się Didier. – O jakich pieniądzach mowa?

Zatrzymałem licytację podniesieniem ręki.

– Mamy spotkanie, Tatif – oznajmiłem. – Wróć tu jutro o trzeciej, wtedy porozmawiamy.

– Dziękuję. Dobranoc państwu.

Tatif przecisnął się między stolikami na ulicę.

– Nawet nie wiesz, czego chciał ten… ten… Tatif – ostrzegł Didier.

– Spodobał mi się z wyglądu. Wam nie?

– Mnie tak – przyznała Karla. – I mam wrażenie, że jeszcze go zobaczymy.

– Na pewno nie! – prychnął Didier. – Nie widzieliście jego butów?

– Widziałem – zgodziłem się z nią. – Militarne trzewiki, białe od soli. Sól miał też na połach kurtki. Podejrzewam, że ostatnio spędził dużo czasu nad morzem.

– Mam na myśli styl – skorygował Didier z westchnieniem. – Obrzydlistwo! Widywałem już bardziej stylowe wypchane zwierzęta!

– Cześć, Didier – rzuciła Karla, wstając. – Do zobaczenia na otwarciu.

Przejechaliśmy obok zatłoczonego deptaka i parę przecznic dalej natknęliśmy się na jeszcze większy tłum na otwarciu Miłości i Wiary. Ludzie stali nie tylko na chodniku, ale także na ulicy. Zaparkowaliśmy i przez chwilę nie schodziliśmy z motocykla.

Szyld nad drzwiami, przedstawiający symbole ze wszystkich religii i słowa w hindi, marathi i po angielsku, był otoczony białymi lampkami w kształcie magnolii.

Szkarłatna aureola lampeczek w kształcie plumerii otaczała szybę od strony ulicy, przez którą widać było klientów pijących espresso oraz Vinsona i Rannveig, stojących za włoskim ekspresem do kawy, z którego buchały kłęby pary. Przy wygiętym w łuk barze na piętnaście osób zostały trzy wolne stołki. Rannveig zarezerwowała je dla nas, ale jeszcze nie byłem gotów dać się zapędzić w ten stworzony dla nas kącik czułości.

Myślałem o dziewczynie z Norwegii, którą zobaczyłem na zdjęciu w medalionie, a godzinę później – stojącą w cieniu losu. Spojrzałem na nią, uśmiechniętą w oknie miłości i wiary, już we własnej wieczności. Vinson wymienił z nią szybkie spojrzenie i szybki uśmiech, rozmawiając wesoło z klientem.

Nie chciałem tam wchodzić. To, czym się stali, miało w sobie czystość, której nie chciałem mącić.

– Postoję tu chwileczkę – oznajmiłem, stając koło motocykla. – Idź pierwsza. Zaraz do ciebie dołączę.

– Zawsze razem – odparła, znowu siadając na motocyklu i zapalając jointa.

Didier stanął obok nas, trzymając dłoń na unoszącej się gwałtownie piersi.

– Co się wydarzyło? – spytała Karla.

Didier uniósł rękę, czekając, aż wróci mu oddech.

– Czy… czy… czy… moje miejsce jest zarezerwowane? – zipnął.

– W pierwszym rzędzie – zapewniłem go. – Co było z Olegiem i Karleszą?

– Oleg wpadł do kawiarni – poinformował nas Didier, gdy jego serce zwolniło do zalecanego przez lekarzy tempa – i po prostu chwycił ją jak worek cebuli i uniósł w noc.

– Nie śledziłeś ich? – spytała Karla, śmiejąc się.

– Jakże inaczej – prychnął Didier z wyższością. – W końcu Didier jest detektywem z Biura Zaginionej Miłości.

– Dokąd poszli? – spytałem.

– Zniknęli – syknął Didier. – W limuzynie Randalla. Ten Randall doprowadza mnie

do szaleństwa.

– W najmilszy z możliwych sposobów – dodała Karla.

– Nie wchodzicie? – zaciekawił się Didier, zaglądając do nowej kawiarni, pełnej roześmianych ludzi.

– Posiedzimy tu jakiś czas – odparła Karla. – Idź, Didier. Dodaj tej spelunce klasy.

– Zatem to Didier musi podnieść flagę miłości i wiary – zdecydował Didier, zarzucając szal na ramię. – Żyjemy w czasach otwierania ust, najszerzej jak się da. Zauważcie, jak będę dla was krzyczeć.

Obciągnął marynarkę i wdarł się do kawiarni. Usiadł obok młodego przystojnego biznesmena, potrącając go przy tym. Biznesmen przyjął to życzliwie i obaj wdali się w ożywioną rozmowę.

Usiedliśmy, przez chwilę przyglądając się w milczeniu gwarnemu, tłumnemu otwarciu. Potem Karla oparła się o mnie.

– Lubię motorozmowy – powiedziała. – Nawet kiedy siedzimy ramię w ramię.

– Ja też.

– Chcesz wiedzieć, kto jest nową cichą partnerką Kawity Singh? – spytała cicho.

– Czy to mnie przestraszy?

– Prawdopodobnie.

– Dobrze. Powiedz.

– *Madame* Zhou.

– Jak to się mogło stać?

– *Madame* Zhou chciała zaszantażować swoich byłych klientów i powrócić do Bombaju jako gracz na scenie politycznej. Los – z niewielką pomocą – sprowadził ją do Kawity. Zhou ma notes z zapiskami o wszystkich swoich klientach i ich seksualnych preferencjach. Przyznam, że lubię go czytać.

– Dlaczego Zhou poprosiła Kawitę o pomoc?

– Ja podsunęłam jej ten pomysł.

– Jak?

– Chcesz poznać wszystkie odpowiedzi?

– Chcę wiedzieć wszystko, co dotyczy ciebie – rzuciłem ze śmiechem.

– Wiedziałam o istnieniu tego notesu i że *madame* Zhou jest osłabiona, lecz nadal ambitna. Znałam też nazwisko jej najbardziej wiernego klienta. To biznesmen, a ja wykupiłam jego firmę. W zamian zasugerował, że idealną osobą, pasującą do tego

kręgu szantażu, jest Kawita Singh. Wtedy *madame* Zhou zaczęła się nią interesować.

– A kiedy bliźniaki zginęły, zwróciła się do Kawity o pomoc.

– Tak, jak liczyłam. Występek łączy się z nawykami, a nawyki sprawiają, że ludzie są przewidywalni.

– Co ma z tego Kawita?

– Oprócz seksu?

– Proszę cię, chyba nie…

– Żartuję. Sześć tygodni temu powiedziałam Kawicie, że to *madame* Zhou zabiła jej chłopaka. Właściwie narzeczonego. Nie zgadzał się na to, by *madame* Zhou przekupywała urzędników w jego okolicy. Znalazł poparcie. I z tego powodu zginął.

– Skąd wiesz, kto go zabił?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– No…

– Lisa.

– Eee… Lisa? A ona skąd wiedziała?

– Wtedy pracowała dla *madame* Zhou w Pałacu Szczęścia. Zanim ją stamtąd wydostałam.

– I zanim spaliłaś to miejsce.

– I zanim je spaliłam. Lisa nie mogła powiedzieć o tym Kawicie, więc powiedziała mnie.

– Dlaczego nie mogła powiedzieć Kawicie?

– Znałeś Lisę. Nie potrafiła rozmawiać z ludźmi, z którymi uprawiała seks.

– Zaczynam podejrzewać, że znałaś ją lepiej ode mnie.

– Nie – odparła Karla z łagodnym uśmiechem. – Ale zawarłyśmy w twojej sprawie porozumienie.

– Coś mi o tym wspomniała. Że spotkała się z tobą w Kayani i rozmawiała o nas.

Karla roześmiała się cicho.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, co się stało?

– Znowu to samo?

– Od chwili, kiedy odszedłeś, zbierałam informacje o tobie. Początkowo cieszyłam się, bo wyglądało na to, że jesteś szczęśliwy z Lisą. Ale znałam Lisę i wiedziałam, że to spaprze.

– Zaraz. Dowiadywałaś się o mnie przez te dwa lata?

– Oczywiście. Kocham cię.

Tak czysta, tak jasna: ufność w ludzkim oku.

– Co wspólnego ma to wszystko… – zacząłem, dochodząc do siebie – z twoim małym porozumieniem z Lisą?

Karla uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Dowiedziałam się, że Lisa wróciła do swoich szaleństw i że cię zdradza, i to często, a ty nic o tym nie wiesz.

– Nie pytałem o to.

– Wiem. Ale wszyscy o tym mówili. Wszyscy z wyjątkiem ciebie.

– To nieważne. To nie miało znaczenia.

– To nie było w porządku, bo ty tak nie robiłeś i zasługiwałeś na coś lepszego. Więc pewnego dnia stanęłam za nią w jej ulubionym sklepie z sukienkami i dotknęłam jej ramienia.

– I co jej powiedziałaś?

– Zażądałam, żeby opowiedziała ci dokładnie, co robiła, żebyś mógł zdecydować, czy chcesz z nią dalej być – albo żeby przestała się kurwić.

– Kurwić? To dość mocne określenie.

– Mocne? W galerii nie było mężczyzny ani kobiety, włącznie z klientami, którzy byliby przed nią bezpieczni. Nie obchodziłoby mnie to, gdyby nie fakt, że robiła to tobie.

– I zawarłaś z nią to jakieś porozumienie?

– Jeszcze nie wtedy. Dałam jej szansę. Kochałam ją. Wiesz, jak łatwo było ją kochać, kiedy się na nią patrzyło. Ale ona się nie zmieniła. Więc usiadłam z nią w Kayani i powiedziałem jej, że cię kocham i nie chcę, żeby cię dłużej raniła.

– A co ona na to?

– Zgodziła się dać ci wolność. Nie kochała cię, ale lubiła cię do szaleństwa. Powiedziała, że chciała odejść stopniowo, nie zrywając z tobą od razu.

– Ty zerwałaś nasz związek? – spytałem, wzburzony tym podmuchem prawdy. – Tak było?

– Nie całkiem – westchnęła. – Jeszcze widzę jej twarz, kiedy ją znalazłam na tym łóżku. Pamiętam, co jej powiedziałam. „Jeśli się nie przyznasz i dalej będziesz go krzywdzić, powstrzymam cię”.

– Zrobiłabyś to? Choć ją kochałaś?

– Za każdym razem, gdy w zeszłym roku szedłeś z Lisą na obiad w restauracji – powiedziała cicho – jadłeś go w towarzystwie jej kochanków, czasem męża i żony, i jako jedyny przy stoliku byłeś nieświadomy sytuacji. Przykro mi.

– Często wychodziła, a ja nigdy nie zadawałem jej pytań. Ciągle nie było mnie w domu i nie mogłem jej powiedzieć, gdzie się podziewałem i co przemycałem. Miała kłopoty, a ja nie zdawałem sobie z tego sprawy.

– Nie miała kłopotów, ona była kłopotem. Tego dnia w Kayani, kiedy zgodziła się przestać ci mieszać w głowie, usiłowała mnie poderwać.

– Serio? – rzuciłem ze śmiechem.

– Pewnie, że tak. To przecież była Lisa. Piękna, szalona i popularna.

– Cała ona.

– Wiesz, początkowo sądziłam, że jesteś naiwny. Ale to przecież nie tak. Ty ufasz ludziom, a ja uwielbiam w tobie tę cechę. Uwielbiam, kiedy się mi ufa. Zaufanie to najlepszy narkotyk dla duszy. To, że mnie nie skreśliłeś, znaczy dla mnie bardzo dużo. Bardziej niż wspólne życie cenię sobie to, że żyliśmy osobno, ufając sobie. Rozumiesz mnie?

– Chyba tak. Ale teraz jesteśmy razem.

– Teraz jesteśmy razem – powtórzyła, opierając się o mnie.

– Naprawdę przez cały ten czas czuwałaś nade mną?

– Naprawdę. A ty nigdy nie opuściłeś miasta, choć to zapowiadałeś.

– Nie mogłem. Nie zrobiłbym tego, dopóki w nim mieszkasz.

Ludzie śmiali się i żartowali na chodniku przed Miłością i Wiarą. Rozejrzałem się czujnie, dostrzegając każdego kieszonkowca, dilera i egzekutora haraczu, buszujących na obrzeżach stadka. Było w porządku, spokój półświatka.

– Nie mówiłaś nikomu tego, co powiedziała Lisa – że to *madame* Zhou zleciła morderstwo?

– Zatrzymałam to dla siebie aż do nadejścia odpowiedniej chwili. Teraz Kawita już wie i nie pozwoli *madame* Zhou odejść, dopóki nie zdobędzie jej notesu. A wtedy przedstawi *madame* Zhou swojej małej przyjaciółce, karmie.

*Madame* Zhou i Kawita? Pomyślałem, że to jak moneta z orłem po obu stronach, krzywdząca każdego bez względu na to, jak upadnie.

– Powiem to wprost: *madame* Zhou nie wie, że to Kawita jest narzeczoną chłopaka,

którego zabiła, zaraz… cztery lata temu?

– Tak. Kawita Singh naprawdę się tak nie nazywa. Kiedy jej chłopak zginął, pracowała w Londynie jako wolny strzelec. Wróciła, przybrała fałszywe nazwisko i zatrudniła się u Randżita. Miała nadzieję, że dowie się, co spotkało jej chłopaka. Odczekałam, aż stanie się na tyle silna, żeby stanąć przeciwko *madame* Zhou i pokonać ją tak, żeby uszło jej to na sucho. Wzmocniłam ją i dałam jej władzę. I w końcu nadszedł dzień, na który czekała. Powiedziałam jej.

– A zatem Kawita obserwuje *madame* Zhou, która wykorzystuje ją, żeby wyrwać władzę ludziom z jej notatnika, a kiedy Kawita zdobędzie notatnik, pozbędzie się *madame* Zhou?

– Otóż to. Partia szachów, rozgrywana przez niebezpieczne kobiety.

– Kiedy Kawita dostanie ten notatnik?

– Wkrótce.

– Czy go wykorzysta?

– O, tak – powiedziała Karla ze śmiechem. – I stworzy superskuteczne narzędzia zmiany.

– Nie wiem, której się bać bardziej, Kawity czy *madame* Zhou.

– Uprzedzałam, że źle oceniłeś Kawitę.

– Nikogo nie oceniam. Chcę świata bez kamieni albo raczej bez ludzi, którzy nimi rzucają.

– Wiem – parsknęła, chichocząc.

– Co cię tak śmieszy?

– Coś, co kiedyś powiedział o tobie Didier.

– Co?

– Lin ma dobre serce, a to niewybaczalne.

– Dziękuję… chyba.

– Chcesz wiedzieć, dla kogo jest to trzecie biuro na dole?

– Noc rewelacji, nie ma co. Dobrze się bawisz, nie?

– No pewnie. Chcesz wiedzieć, kto jest za drzwiami numer trzy?

– Zdecydowanie. Chcę zobaczyć tunel, którego nadal mi nie pokazano.

– Bo nie chciałeś podpisać umowy o dochowaniu tajemnicy.

– Za każdym razem, gdy podpisujesz dokument, los bierze sobie wolne.

– Johnny Cygaro.

– W trzecim biurze?

– Tak.

– Kiedy przestaniesz kraść mi bohaterów? W Amritsarze masz już połowę powieści, a ja jej jeszcze nie napisałem.

– Johnny zakłada biuro nieruchomości – oznajmiła, ignorując mnie z wdziękiem. – Specjalizuje się w przenoszeniu mieszkańców slumsów.

– Dzielnica zejdzie na psy.

– To ja sfinansowałam jego biuro. Resztką pieniędzy Randżita. Przez jakiś czas zastanawiałam się nad powiększeniem gospodarstwa w hotelu.

– Nawet pomimo powrotu Karleszy Oleg nie odejdzie, prawda?

– Liczę na to – odparła z uśmiechem. – I ty też. Lubisz tego faceta.

– Rzeczywiście, lubię. I lubiłbym go bardziej, gdyby był trochę mniej rozćwierkany.

– Czy Naveen dziś przyjdzie?

– Diva zleciła mu sprawę. Ta dziewczyna zawsze znajdzie sposób, żeby go zająć i mieć go przy sobie.

– Myślisz, że się zejdą?

– Nie wiem – powiedziałem, starając się nie liczyć na to, czego oni może wcale nie pragnęli. – Ale wiem, że Naveen nigdy nie zrezygnuje z Divy. Nieważne, co mówi, szaleje za nią. A jeśli połączy się krew hinduską i irlandzką, otrzymuje się faceta, który nie potrafi zrezygnować z miłości.

Klienci Miłości i Wiary zgromadzili się na chodniku. Trzymali podkoszulki, a czasem się nimi wymieniali.

– Co się dzieje?

– Pamiętasz podkoszulkowe wersje słów Idrissa? Te, które mówiłam Vinsonowi?

– Tak.

– Vinson i Rannveig skorzystali z notatek Randalla i wydrukowali je na podkoszulkach. Teraz je rozdają jako upominki.

Młody mężczyzna nieopodal podniósł podkoszulek, żeby przeczytać napis. Zajrzałem mu przez ramię.

„Serce pełne chciwości, dumy łub nienawiści nie jest wolne”.

Kiedy słyszałem na górze, jak Idriss to mówi, przyznałem mu rację i ucieszyłem się, że jego słowa przetrwały i nadal żyją, choćby na podkoszulku. I musiałem też przyznać,

że zbyt często znajdowałem w swoim sercu chciwość i dumę.

Ale nie byłem już sam. Jak powiedziała Rannveig, ponownie nawiązałem więź.

– Co sądzisz? – spytała Karla, przyglądając się, jak ludzie wymieniają się cytatami Idrissa na darmowych podkoszulkach.

– Nauczyciele, jak pisarze, nie umierają, dopóki ludzie ich cytują.

– Kocham cię, Shantaram – powiedziała, wtulając się we mnie.

Spojrzałem na wesołą, roześmianą grupę, ściśniętą w wąskim pomieszczeniu kawiarni. Ci, których straciliśmy przez te lata w Mieście Wysp, wypełniliby taką samą przestrzeń.

Zbyt wielu, zbyt wielu martwych, którzy ciągle żyli, gdy o nich myślałem. I niemal wszystkich mogły uratować pokora lub wspaniałomyślność. Vikram, Nazir, Tank, Sanjay, Wisznu i wszystkie inne imiona wołały mnie, zawsze posyłając ku mnie Abdullaha, mojego brata, mojego brata Abdullaha.

Karla oparła się o mnie, tupiąc stopą w rytm muzyki dochodzącej z kawiarni. Uniosłem jej twarz do światła, aż sama stała się światłem, i pocałowałem ją, i staliśmy się jednością.

Prawda to wolność duszy. Jesteśmy bardzo młodzi w tym młodym wszechświecie i często upadamy lub okrywamy się hańbą, choćby tylko w jaskini własnego umysłu. Walczymy, kiedy powinniśmy tańczyć. Rywalizujemy, oszukujemy i karzemy niewinną naturę.

Ale naprawdę tacy nie jesteśmy. Po prostu tak postępujemy w świecie, który sobie urządziliśmy, a w każdej sekundzie życia możemy zmieniać swoje postępowanie i świat.

W tym wszystkim, co ma prawdziwe znaczenie, jesteśmy jednością. Miłość, wiara, ufność, empatia, rodzina, przyjaźń, zachody słońca i pieśni zachwytu: w każdym życzeniu zrodzonym z naszego człowieczeństwa jesteśmy jednością. Nasz gatunek w tym punkcie naszej linii losu jest jak dziecko, które niszczy dmuchawiec bez namysłu czy zrozumienia. Ale nadal mamy w sobie zdziwienie dziecka i nie istnieje granica dobra, które możemy zdziałać, kiedy ludzkie serca się połączą. To prawda o nas. To historia o nas. To znaczenie słowa Bóg: jesteśmy jednością. Jesteśmy jednością. Jesteśmy jednością.

# OD AUTORA

Ta powieść opisuje postacie żyjące w autodestrukcyjny sposób. Wymogi autentyzmu sprawiają, że piją, palą i biorą narkotyki. Nie zalecam takiego zachowania, tak jak nie pochwalam przestępstw jako sposobu życia ani przemocy jako metody rozstrzygania sporów. Natomiast zalecam robienie wszystkiego, co w naszej mocy, by być uczciwym, pozytywnie myślącym i twórczym wobec siebie i innych. GDR

{1} Runway – pas startowy.

{2} Forest (ang.) – las.

{3} Wezwanie do modlitwy, wygłaszane z minaretu przez muezina.

{4} *Sonet XXIX* Williama Szekspira w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.